TAD WILLIAMS

Kamień Rozstania

DRUGI TOM SERII
„Pamięć, Smutek i Cierń”

REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

TAD WILLIAMS

Kamień Rozstania

Przełożył
Paweł Kruk

REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

Nota Autora

Wyrażam swoją wdzięczność Evie Cumming, Nancy Deming-Williams, Paulowi Hudspethowi, Peterowi Stampfelowi oraz Dougowi Wernerowi, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Ich wnikliwe komentarze i sugestie okazały się bardzo przydatne, a w niektórych przypadkach zaowocowały w zaskakujący sposób. Jak zwykle wyrażam swoje podziękowania moim dzielnym wydawcom, Betsy Wollheim oraz Sheili Gilbert, które wspomagały mnie w trudnych chwilach.

(Nawiasem mówiąc, wszyscy wymienieni powyżej stanowią ten rodzaj ludzi, z którymi chciałbym być w chwili ataku Nornów. Niektórzy uważają pewnie, że to wątpliwe wyróżnienie, ale jest to zupełnie niezgodne z moimi przekonaniami.)

Na końcu książki znajduje się wykaz postaci i wyrażeń.

Trolle Turnie
YIQANUC
RIMMERSGARD
Frostmarch
Wealdhelm
HERNYSTIR
Las ALDHEORTE
Hayholt
ERKYNLAND
Wzgórza Thrithingów
Łąki Thrithingów
Warinstein
Perdruin
Jeziora Thrithingów
NABBAN
Osten Ard
WRAN

Streszczenie tomu pierwszego pt. *Smoczy tron*

Przez wieki zamek Hayholt należał do nieśmiertelnych Sithów, którzy musieli go jednak opuścić, uciekając przed napaścią Człowieka. Od tamtej chwili rozpoczęły się rządy ludzi w tej największej i najpotężniejszej z twierdz oraz w pozostałej części Osten Ard. Ostatnim z panujących jest Prester John, Wielki Król wszystkich narodów ludzkich. Po triumfalnym objęciu przez niego rządów nastąpiły długie lata pokoju, w czasie których zasiadał na Smoczym Tronie wykonanym z kości pokonanego przez siebie smoka.

Simon, niezdarny czternastolatek, jest jednym z podkuchennych w Hayholt. Jego rodzice nie żyją, a rodziną są mu pokojówki i ich surowa przełożona, Rachel, zwana Smokiem. Gdy tylko Simon może uciec od prac kuchennych, chowa się w zagraconych komnatach ekscentrycznego uczonego z zamku, doktora Morgenesa. Cieszy się bardzo, gdy starzec prosi, by chłopiec został jego uczniem, lecz radość mija, kiedy się okazuje, że Morgenes woli uczyć go czytania i pisania zamiast magii.

Wszyscy spodziewają się śmierci starego, schorowanego Króla Johna, więc Elias, jego pierworodny syn, przygotowuje się do objęcia tronu. Josua, rozsądny brat Eliasa, zwany Bezrękim, toczy z przyszłym królem spór

z powodu osoby Pryratesa, duchownego cieszącego się złą sławą, który jest najbliższym doradcą Eliasa. Walka między braćmi okazuje się zwiastunem zła, jakie nadciąga nad zamek i cały kraj.

Wkrótce po przejęciu rządów przez Eliasa nastaje susza, która dotyka narody Osten Ard. Na drogach pojawiają się rozbójnicy, a z odludnych wiosek znikają ludzie. Naturalny porządek rzeczy zostaje zachwiany i poddani zaczynają tracić wiarę w swojego Króla, lecz władca i jego przyjaciele wydają się nie zważać na niedolę ludzi. W całym królestwie rozlegają się coraz częstsze głosy niezadowolenia, a tymczasem znika Josua, brat Eliasa – niektórzy twierdzą, że przygotowuje powstanie.

Złe rządy niepokoją wielu, między innymi księcia Isgrimnura z Rimmersgardu, a także hrabiego Eolaira, wysłannika leżącego na zachodzie Hernystiru. Niepokoi się nawet córka Eliasa, Miriamele; szczególnie martwi ją osoba odzianego zawsze w purpurowe szaty powiernika ojca, Pryratesa.

Tymczasem Simon zostaje pomocnikiem Morgenesa. Zaprzyjaźniają się pomimo niezdarności chłopca i odmowy Doktora uczenia go czegokolwiek, co przypominałoby magię. Podczas jednej ze swych wędrówek w podziemiach Hayholt Simon odkrywa tajemne przejście i nieomal zostaje schwytany przez Pryratesa. Udaje mu się jednak uciec, a błąkając się w nieznanych korytarzach, znajduje uwięzionego w podziemnej celi Josuę, którego chciano zgładzić w tajemniczym rytuale planowanym przez Pryratesa. Simon sprowadza Doktora Morgenesa i obaj uwalniają Josuę. Prowadzą go do komnaty Doktora, skąd Josua ma się wydostać na wolność korytarzem wiodącym pod prastarym zamkiem. Gdy Morgenes wysyła do przyjaciół ptaki z wiadomością o tym, co się stało, pojawia się Pryrates ze strażą królewską, by zaaresztować Doktora i Simona. W walce

z Pyratesem ginie Morgenes, lecz jego ofiarna śmierć umożliwia Simonowi ucieczkę tym samym tunelem, którym uciekł książę.

Oszalały ze strachu chłopiec przedziera się przez ciemne korytarze pod zamkiem, które ciągną się wśród ruin starego, sithijskiego zamku. Wreszcie wydostaje się na powierzchnię. Znajduje się na cmentarzu poza murami miasta. Jego uwagę przyciąga blask ogniska. Staje się świadkiem tajemniczych wydarzeń: Pyrates i Król Elias biorą udział w dziwnym rytuale, w którym uczestniczą także ubrane na czarno postacie o białych twarzach. Wręczają one Eliasowi szary miecz zwany Smutkiem – miecz posiadający niepokojącą moc. Przerażony Simon ucieka.

Wędruje brzegiem ogromnego lasu Aldheorte. Mijają tygodnie. Simon jest skrajnie wyczerpany z głodu i zmęczenia, lecz wciąż znajduje się bardzo daleko od celu, do którego zdąża: Naglimundu, leżącej na Północy twierdzy Josui. Zbliża się do chaty drwala, by poprosić o coś do jedzenia, lecz tam znajduje obcą istotę usidloną w pułapce; jest to jeden z Sithów, o których mówi się, że istnieli tylko w legendach albo dawno już wyginęli. Powracający drwal chce zamordować bezbronnego Sithę, lecz Simon zabija go. Uwolniony Sitha zatrzymuje się tylko na chwilę, posyła Simonowi białą strzałę i znika między drzewami. Nieznany głos podpowiada Simonowi, aby wziął strzałę, która – jak wyjaśnia – jest darem od Sithy.

Mały doradca okazuje się trollem o imieniu Binabik podróżującym na ogromnej, szarej wilczycy. Wyjaśnia Simonowi, że znalazł się tu przypadkowo, lecz może towarzyszyć Simonowi do Naglimundu. W drodze do twierdzy Binabik i Simon mają wiele przygód: uświadamiają sobie, że niebezpieczeństwo, jakie im grozi, jest dużo większe od gniewu Króla i jego doradcy, którym odebrano więźnia. Ścigani przez wydające się posiadać nienaturalną moc białe ogary ze znakiem Burzowej Góry na obrożach – góry o złej sławie, która leży daleko na Północy – zmuszeni są

schronić się w leśnym domu Geloë. Zabierają po drodze dwóch podróżników, których uratowali przed psami. Geloë, tajemnicza i obcesowa kobieta, mieszkająca w lesie, o której mówi się, że jest czarownicą, przyznaje, że starożytni Nornowie – skłóceni z Sithami ich krewni – zostali w jakiś sposób wplątani w los królestwa Prestera Johna.

W dalszej wędrówce naszych bohaterów wciąż ścigają śmiertelnicy i inne istoty. Kiedy Binabik zostaje ranny od strzały, Simon i jeden z ich nowych towarzyszy, służąca z zamku, muszą przejąć na siebie trudy przewodzenia podróżą. Zostają zaatakowani przez kudłatego olbrzyma, lecz ratuje ich Josua ze swymi myśliwymi. Książę zabiera ich do Naglimundu, gdzie Binabik dochodzi do siebie i gdzie potwierdza się, że Simon został wciągnięty w wir niebezpiecznych wydarzeń. Nadciąga Elias z wojskami, by rozpocząć oblężenie Naglimundu. Towarzyszka podróży Simona, podająca się za służącą, okazuje się księżniczką Miriamele, podróżującą w przebraniu po ucieczce od ojca, który jej zdaniem oszalał, ulegając wpływom Pryratesa. Z Północy i innych części królestwa przybywają do Naglimundu przerażeni ludzie, którzy w twierdzy Josui szukają schronienia przed szalonym Królem.

Gdy książę i jego rycerze obradują nad zbliżającą się bitwą, pojawia się dziwny Rimmersman, Jarnauga. Jest on członkiem Ligi Pergaminu, koła wtajemniczonych uczonych, do którego należał Morgenes i mistrz Binabika. Jarnauga przynosi jeszcze gorsze wieści. Wyjaśnia, że ich wrogiem jest nie tylko Elias; Króla wspomaga Ineluki, Król Burz. Był on niegdyś księciem Sithów. Zmarł pięć wieków temu, lecz jego pozbawiony ciała duch panuje teraz wśród zamieszkujących Burzową Górę Nornów, krewnych wygnanych Sithów.

Przyczyną śmierci Inelukiego była straszliwa, magiczna moc szarego miecza, Smutku, a także atak ludzi na Sithów. Według członków Ligi

Pergaminu akt darowania Smutku Eliasowi ma być pierwszym krokiem jakiegoś niezrozumiałego planu zemsty, planu, w wyniku którego wciąż żywy Król Burz ma objąć ziemię w posiadanie. Jedyna nadzieja w profetycznym poemacie, który sugeruje, że „trzy miecze” mogłyby przezwyciężyć magiczną moc Inelukiego.

Jednym z nich jest Smutek Króla Burz, który znalazł się w rękach ich przeciwnika, Króla Eliasa. Drugim jest pochodzący z Rimmersgardu Minneyar, który był kiedyś w Hayholt, lecz nie wiadomo, gdzie się teraz znajduje. Trzecim jest Cierń, czarny miecz najsławniejszego rycerza Króla Johna, sir Camarisa. Jarnauga i pozostali przypuszczają, że może on być gdzieś w skutej lodami Północy. Kierowany tą nikłą nadzieją Josua wysyła Binabika, Simona i kilku żołnierzy na poszukiwanie Ciernia, gdy tymczasem Naglimund przygotowuje się do odparcia oblężenia.

Narastający kryzys wpływa na postępowanie innych. Księżniczka Miriamele, zniechęcona troskliwą opieką swego wuja Josui, przebrana ucieka z Naglimundu w towarzystwie tajemniczego mnicha Cadracha. Ma nadzieję dotrzeć do leżącego na południu Nabbanu i tam prosić swych krewnych o pomoc dla Josui. Na prośbę Josui stary książę Isgrimnur – bardzo charakterystyczna postać – wyrusza w przebraniu na jej poszukiwanie.

Tiamak, zamieszkujący bagniste obszary kraju Wran uczony, otrzymuje dziwną wiadomość od swego dawnego nauczyciela Morgenesa, w której Doktor informuje go o nadejściu złych czasów i sugeruje, że Tiamak ma do wypełnienia zadanie.

Maegwin, córka króla Hernystiru, patrzy bezsilna na upadek swego rodu i całego kraju pogrążającego się w wirze wojny wywołanej zdradą Wielkiego Króla Eliasa.

Simon wraz z Binabikiem i pozostałymi towarzyszami wpada w zasadzkę Ingena Jeggera, łowcy z Burzowej Góry, i jego ludzi. Ratuje ich Sitha, Jiriki, uratowany wcześniej przez Simona przed chatą drwala. Dowiedziawszy się o celu ich wyprawy, Jiriki postanawia towarzyszyć im na górę Urmsheim, legendarną kryjówkę jednego z ogromnych smoków.

W czasie, gdy Simon i jego towarzysze udają się na górę Urmsheim, Król Elias rozpoczyna oblężenie Naglimundu. Choć pierwsze ataki zostają odparte, oblężeni ponoszą dotkliwe straty. Wreszcie wydaje się, że Elias rezygnuje i jego siły wycofują się, lecz zanim mieszkańcy zamku mają czas, by zacząć celebrować zwycięstwo, na północnym horyzoncie pojawia się dziwna burza. Jest ona płaszczem, pod którym przybywają przerażające siły samego Inelukiego, armia składająca się z Nornów i olbrzymów. Kiedy Czerwona Dłoń, pięciu głównych podwładnych Króla Burz, otwiera bramy Naglimundu, rozpoczyna się straszliwa rzeź. Josua z kilkoma innymi osobami ucieka z ruin zamku. Przed wejściem do ogromnego lasu Josua przeklina Eliasa za jego okrutny pakt z Królem Burz i przysięga odebrać mu koronę ojca.

Simon i jego towarzysze wspinają się na górę Urmsheim; pokonując wiele niebezpieczeństw, odkrywają Drzewo Uduna, ogromny, zamarznięty wodospad. W pobliskiej jaskini-grobowcu odnajdują Cierń. Kiedy mają już powrócić z mieczem, pojawia się Ingen Jegger i atakuje ich ze swymi ludźmi. Bitwa budzi Igjarjuka, białego smoka, który od wieków spał pod lodem. Obie strony ponoszą dotkliwe straty. Na polu walki pozostaje tylko Simon osaczony na skalnej półce. Kiedy lodowy smok atakuje go, Simon unosi Cierń i zadaje nim cios. Tryska na niego czarna, gorąca krew bestii, a Simon traci przytomność.

Budzi się w jaskini na górze Yiquanuc zamieszkiwanej przez trolle. Opiekują się nim Jiriki i Haestan, erkynlandzki żołnierz. Cierń został

odnaleziony, lecz Binabik razem ze Sludigiem, Rimmersmanem, zostaje uwięziony przez swój lud; grozi im kara śmierci. Krew smoka naznaczyła Simona piętnem i duży kosmyk jego włosów posiwiał. Jiriki nadaje mu imię „Śnieżnowłosego” i oznajmia, że został naznaczony – na dobre i na złe.

Słowo wstępne

Wiatr wył w pustych blankach, zawodząc, jakby tysiąc potępionych dusz wołało o litość. Pomimo przeraźliwego zimna, które wysysało powietrze z jego silnych kiedyś płuc i które wydawało się zdzierać skórę z jego twarzy i dłoni, brat Hengfisk słuchał tego odgłosu z pewną ponurą przyjemnością.

„Tak, tak właśnie będą zawodzić tłumy grzeszników, którzy szydzili z nauki Matki Kościoła – niestety, zaliczali się też do nich ci mniej gorliwi spośród braci Hoderundianów. – Jakże oni będą płakali w obawie przed sprawiedliwym Boskim gniewem, jak będą błagali o pomoc, ale wtedy będzie już za późno...”

Uderzył mocno kolanem w kamień, który spadł z murów, i upadł w śnieg; z jego spękanych warg wydobył się piskliwy jęk. Zakonnik siedział, zawodząc cicho, lecz szczypiące łzy, które natychmiast zamarzały na jego policzkach, zmusiły go do powstania. Ruszył dalej, kulejąc.

Główny trakt, który prowadził do zamku przez miasto Naglimund, ginął pod śniegiem. Stojące po jego obu stronach domy i sklepy były prawie zupełnie niewidoczne pod śmiertelnym, białym całunem, a te, które jeszcze można było dostrzec, przypominały skorupy od dawna już nieżyjących zwierząt. Na drodze był tylko Hengfisk i śnieg.

Kiedy wiatr zmienił kierunek, świst dochodzący z blanków na szczycie wzgórza wzmógł się. Zakonnik zmrużył wybałuszone oczy, spojrzał w górę na mury, potem opuścił głowę. Zapadał zmrok. Brnął przez śnieg, a skrzypienie jego butów przypominało ciche bębnienie w rytm zawodzącej muzyki wiatru.

„Nic dziwnego, że ludzie z miasta uciekli do twierdzy” – pomyślał, drżąc. Wokół niego widać było rozdziawione gęby dziur w dachach i ścianach, które zapadły się pod ciężarem śniegu. Ale oni na pewno siedzą bezpieczni w zamku, chronią ich kamienne ściany i solidne, drewniane dachy. Siedzą przy ogniu, a ich twarze są czerwone, roześmiane – twarze grzeszników, przypomniał sobie z wyrzutem: cholernych, beztroskich grzeszników; zejdą się wokół niego i będą się dziwić, że przeszedł całą drogę w takiej burzy. „Przecież mamy miesiąc Yuven!” – Czyżby tak mu się pomieszało w głowie, że nie pamięta, jaki to miesiąc? Nie, z pewnością jest teraz Yuven. Jeszcze dwie pełnie księżyca temu była wiosna, trochę chłodna, ale to było fraszką dla Rimmersmana, takiego jak Hengfisk, który wychował się w chłodzie Północy. A więc to pogoda była niecodzienna; tak zimno, śnieg i lód w miesiącu Yuven – pierwszym letnim miesiącu.

Czy to nie brat Langrian odmówił opuszczenia opactwa i Hengfisk musiał się nim opiekować? „To coś więcej niż tylko zła pogoda – mówił brat Langrian. – Ta plaga obejmie wszystko, co Bóg stworzył. Jeszcze za życia zobaczymy Dzień Sądu Ostatecznego”.

Langrian uparł się, by zostać. Jeśli chciał siedzieć w spalonych murach klasztoru i jeść jagody i tym podobne – ile można znaleźć jagód przy takiej pogodzie? – niech robi, co chce. Brat Hengfisk nie był takim głupcem. Według niego należało dostać się do Naglimundu. Stary biskup Anodis z pewnością radośnie powita Hengfiska. Na pewno doceni jego bystre oko i to, co Hengfisk będzie miał do powiedzenia na temat wydarzeń

w opactwie i niezwykłej pogody. Bez wątpienia Naglimundczycy przyjmą go miło, nakarmią, będą zadawali pytania, posadzą przy ogniu...

„Ale przecież oni muszą wiedzieć o panującym zimnie” – pomyślał ponuro Hengfisk, otulając się szczelniej trzeszczącym od mrozu habitem. Znalazł się już w cieniu muru. Biały świat, przez który wędrował od wielu dni, a nawet tygodni, wydawał się skończyć nagle, jakby napotkał otchłań, która ziała kamienną nicością. „Tak, z pewnością wiedzą o śniegu i całej reszcie. Dlatego pewnie wszyscy opuścili miasto i przenieśli się do twierdzy, chyba dlatego? To przez tę diabelską pogodę, to dlatego nie ma na murach straży, chyba dlatego”.

Stał i przesuwał pełen nadziei wzrok po przysypanych śniegiem gruzach, które kiedyś stanowiły główną bramę Naglimundu. Spod śniegu wystawały olbrzymie filary i potężne kamienie, wszystkie czarne i zwęglone. Dziura w chylącym się murze była tak duża, że ze dwudziestu takich chudych Hengfisków mogłoby w niej stanąć ramię przy ramieniu.

„Patrzcie, jak wszystko zapuścili. Och, będą wrzeszczeć, kiedy nadejdzie czas sądu; ich wrzaskom nie będzie końca i nie będzie już możliwości poprawy. Wszystko w nieładzie: brama, miasto, pogoda”.

Takie niedbalstwo musi zostać ukarane. Z pewnością biskup Anodis ma pełne ręce roboty, by utrzymać w ryzach takie krnąbrne stado. Hengfisk z chęcią pomoże wspaniałemu starcowi pokierować tymi leniami. Ale najpierw ognisko i coś ciepłego do jedzenia. Potem trochę klasztornej dyscypliny. Wkrótce wszystko wróci do normy... Hengfisk stąpał ostrożnie między potrzaskanymi filarami i kamieniami pokrytymi śniegiem.

„Właściwie to w pewnym sensie obraz ten jest dość... piękny” – pomyślał zakonnik. Wszystko, co znajdowało się za bramą, pokrywała delikatna siatka lodu, podobna do cieniutkich nici pajęczej sieci.

Zachodzące słońce rzucało na oszronione wieże, mury i całe dziedzińce wąskie pasemka dogasającego ognia.

Tutaj wewnątrz wiatr nie wył już z taką siłą. Hengfisk stał w miejscu zaskoczony niespodziewanym spokojem. Pokrywający wszystko lód ściemniał, gdy słońce skryło się za murami. Rogi dziedzińca wypełniły ciemnofioletowe cienie, które kładły się na ścianach zburzonych wież. Wiatr syczał teraz jak kot, zakonnik o wyłupiastych oczach opuścił głowę, zrozumiawszy wreszcie, co się stało.

„Opuszczone”. – W Naglimundzie nie było nikogo, ani jednej duszy, by powitać zmarzniętego wędrowca. Przeszedł wiele mil przez śnieżne pustkowie, by dotrzeć do miejsca równie martwego jak kamień.

„Ale – pomyślał nagle – skoro tak, co w takim razie mają znaczyć tamte niebieskie światła w oknach wież?”

I kim były postacie, które zbliżały się do niego poprzez zawalony gruzami dziedziniec, poruszając się między oblodzonymi kamieniami ze zwinnością kotów?

Serce zabiło mu gwałtownie. W pierwszej chwili, gdy ujrzał ich piękne, zimne twarze i jasne włosy, pomyślał, że to anioły. Później, dostrzegłszy złowrogi blask ich czarnych oczu, odwrócił się i potykając, zaczął uciekać.

Nornowie schwytali go bez najmniejszego wysiłku i ponieśli w głąb opuszczonego zamku pod pogrążone w cieniu i oblodzone wieże, w których wciąż migotały płomienie. A kiedy nowi władcy Naglimundu zaczęli doń szeptać w swym melodyjnym języku, jego krzyki wzniosły się nawet ponad wycie wiatru.

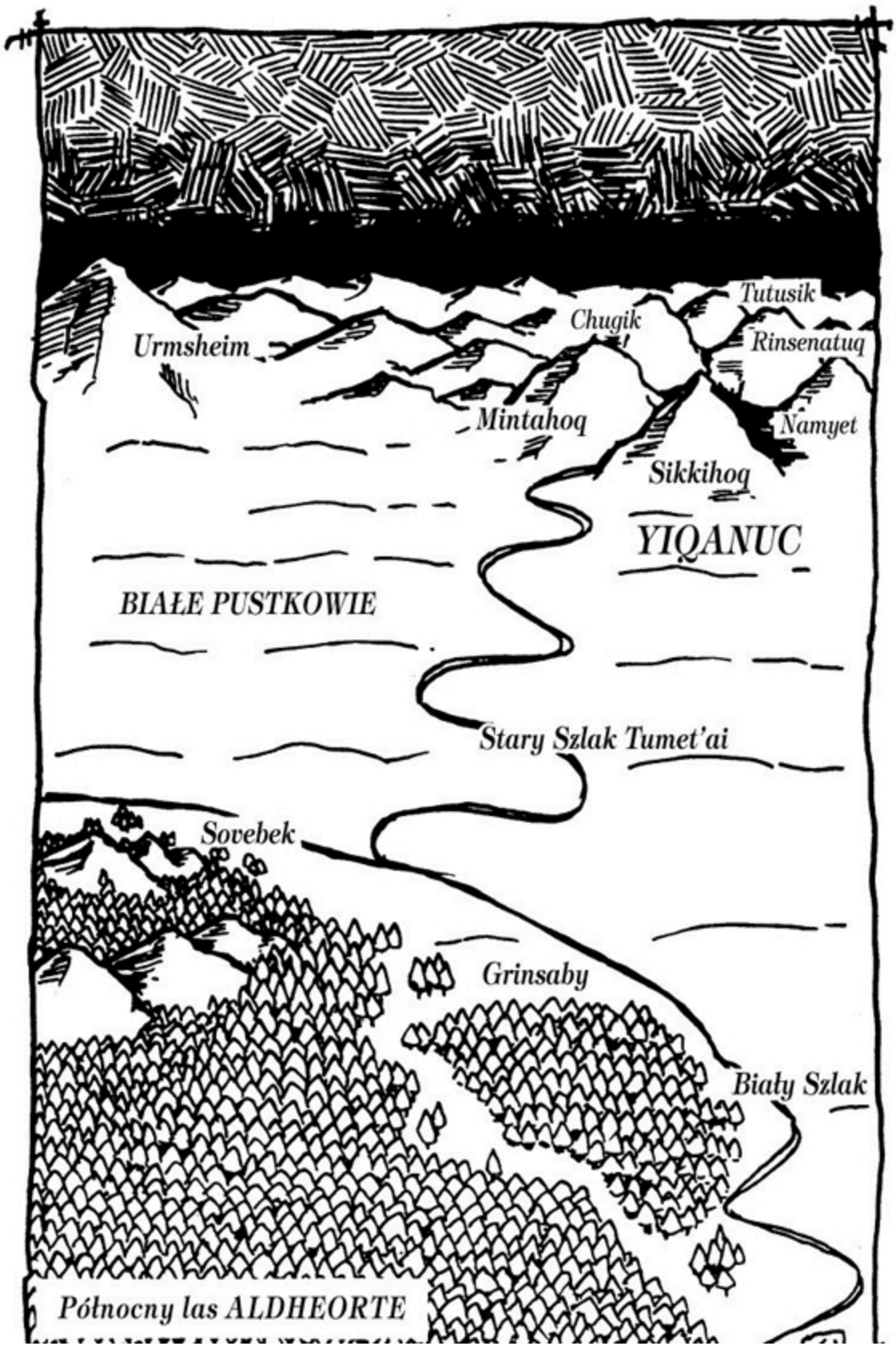
Tutusik
Chugik
Urmsheim
Rinsenatuq
Mintahoq
Namyet
Sikkihoq
YIQANUC
BIAŁE PUSTKOWIE
Stary Szlak Tumet'ai
Sovebek
Grinsaby
Biały Szlak
Północny las ALDHEORTE

CZĘŚĆ PIERWSZA

OKO BURZY

1. Muzyka gór

NAWET W JASKINI, gdzie trzaskający ogień wysuwał szare palce dymu w kierunku dziury w suficie, a jego czerwone płomienie igrały na wymalowanych na ścianach wizerunkach poskręcanych węży i bestii o wybałuszonych oczach i potężnych kłach, Simon nie mógł pozbyć się chłodu, który przenikał jego ciało. Kiedy drżący zapadał w sen i budził się, przenikając zasłonę dziennego światła i chłodu nocy, miał wrażenie, że wypełnia go szary lód, od którego jego kończyny sztywnieją, a jego wnętrze pełne jest szronu.

Uciekając od chłodnej jaskini Yiqanuc i swego chorego ciała, wędrował Ścieżką Snów; bezradnie pozwalając się nieść z jednego snu w drugi. Wielokrotnie śnił, że wrócił do Hayholt, który kiedyś był jego domem i nigdy już nim nie będzie: widział zalane słońcem trawniki, liczne kryjówki i ocienione zakątki. Dla niego był to największy dom, jaki widział, pełen życia, barw i muzyki. Znowu chodził po Ciernistym Ogrodzie, a wiatr śpiewający na zewnątrz jaskini, w której spał, śpiewał także w jego snach, poruszając delikatnie listkami i potrząsając żywopłotami.

W jednym z takich dziwnych snów wydawało mu się, że powrócił do komnaty Doktora Morgenesa. Gabinet Doktora znajdował się teraz na

szczycie wysokiej wieży; z jej wysokich, łukowatych okien widać było przepływające chmury. Starzec siedział z ponurą miną pochylony nad dużą, otwartą księgą. Jego surowy wyraz twarzy i milczenie napawały Simona strachem. Wydawało mu się, że Morgenes w ogóle go nie zauważa; starzec wpatrywał się z uwagą w szkic rysunku trzech mieczy widoczny na otwartej stronie księgi.

Simon podszedł do parapetu. Wiatr wzdychał cicho, choć chłopiec nie czuł żadnego powiewu. Spojrzał w dół na dziedziniec. Stamtąd spoglądała na niego mała, ciemnowłosa dziewczynka; patrzyła szeroko otwartymi, poważnymi oczami. Simon uniósł dłoń, jakby chciał do niej pomachać, lecz dziewczynka nagle zniknęła.

Wieża z zagraconym pokojem Morgenesa zaczęła uciekać spod stóp Simona niczym fale odpływu. Na końcu zniknął i sam Doktor. Jego postać zanikała powoli jak cień w chwili, gdy nastaje jasność, lecz do końca nie spojrzał na Simona. Jego żylaste dłonie szybko przebiegały po kolejnych stronach księgi, jakby czegoś szukał. Simon zawołał do Doktora, lecz wszystko wokół niego stało się szare i zimne, pełne wirującej mgły i strzępów innych snów...

Obudził się tak samo, jak budził się wielokrotnie od chwili zejścia z Urmsheim, i stwierdził, że jest noc. Pod kamienną ścianą pokrytą pismem runicznym spali Haestan oraz Jiriki. Erkynlandczyk spał w płaszczu, zwinięty, z brodą przyciśniętą do piersi. Sitha wpatrywał się w coś, co trzymał w swych długich palcach. Wydawał się tym bardzo zaabsorbowany. Jego oczy świeciły słabo, jakby to, co trzymał, odbijało blask dogasającego ogniska. Simon chciał coś powiedzieć – tęsknił za ciepłem i głosem innych – lecz sen przyciągał go do siebie.

Wiatr wyje tak głośno...

Słychać było, jak zawodzi na zewnątrz w górskich przełęczach, tak samo jak zawodził wokół szczytów wież w Hayholt... tak samo jak wył w pustych blankach Naglimundu.

Tak smutny... wiatr jest tak smutny...

Wkrótce ponownie zasnął. W jaskini słychać było tylko słabe oddechy i samotną muzykę gór.

BYŁA TO TYLKO DZIURA, lecz znakomicie spełniała rolę więzienia. Sięgała dwadzieścia łokci w głąb kamiennego wnętrza góry Mintahoq, a na jej dnie mogło leżeć wzdłuż dwóch mężczyzn lub cztery trolle. Ściany jamy były tak gładkie, że nawet pająk miałby trudności z chodzeniem po niej. Na jej dnie było ciemno, zimno i wilgotno jak w lochu.

Chociaż księżyc przesuwał się nad ośnieżonymi szczytami sąsiadów Mintahoq, jedynie kilka promieni jego światła sięgało dna jamy, ledwie muskając dwie nieruchome postacie. Było tak od chwili, gdy księżyc pojawił się na niebie; jego blada kula – Sedda, jak nazywają księżyc trolle – była jedyną poruszającą się rzeczą w całym świecie nocy, płynął powoli nad ciemnymi polami nocy.

W pewnym momencie coś się poruszyło u wylotu jamy. Jakaś mała postać pochyliła się nad nią, spoglądając w ciemność.

– *Binabiku...* – kucająca nad jamą postać zawołała w gardłowym języku trolli. – *Binabiku, czy mnie słyszysz?*

Jeśli nawet jeden z cieni na dnie jamy poruszył się, zrobił to bezgłośnie. Postać u góry przemówiła ponownie.

– *Binabiku, dziewięć razy, dziewięć dni twoja włócznia stała przed moją jaskinią, a ja czekałam na ciebie.* – Słowa miały być wypowiedziane uroczyście, lecz głos zadrżał, zanim postać odezwała się ponownie. –

Czekałam i wołałam cię w Miejscu Echa. W odpowiedzi usłyszałam tylko swój własny głos. Dlaczego nie wróciłeś i nie zabrałeś swojej włóczni?

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

– Binabiku, dlaczego nie odpowiadasz? Chyba należy mi się to od ciebie?

Większa z postaci siedzących na dnie jamy poruszyła się. Słaby promień księżycowego blasku odbił się w jasnoniebieskich oczach.

– Co to za trolli jazgot? Nie dość, że wrzucacie do dziury kogoś, kto nic złego wam nie zrobił, to jeszcze przychodzicie tutaj i nie dajecie mi spać przez swoją paplaninę!

Pochylona nad dołem postać znieruchomiała na chwilę i zaraz zniknęła w ciemności nocy.

– No, dobrze. – Sludig ponownie otulił się szczelnie swym wilgotnym płaszczem i zwinął się na ziemi. – Binabiku, nie wiem, co ci ten troll mówił, ale nie podoba mi się, że twoi ludzie przychodzą szydzić z ciebie i ze mnie, choć nie dziwi mnie wcale, że mnie nie lubią.

Siedzący obok niego troll nic nie odpowiedział, a tylko popatrzył na Rimmersmana swymi ciemnymi, smutnymi oczami. Po chwili Sludig przewrócił się na drugi bok i drżąc, spróbował zasnąć.

ALE JIRIKI, NIE MOŻESZ ODEJŚĆ! – Simon owinięty w koc siedział na brzegu swego siennika. Zazgrzytał zębami, chcąc powstrzymać lekki zawrót głowy; obudził się pięć dni temu i od tamtej chwili prawie przez cały czas leżał na plecach.

– Muszę – odparł Sitha ze spuszczonym wzrokiem, jakby nie mógł oprzeć się proszącemu spojrzeniu Simona. – Wysłałem już Sijandiego

i Ki’ushapo, ale w rzeczywistości to mnie oczekują. Seomanie, zostanę jeszcze dzień lub dwa, ale dłużej nie mogę.

– Musisz pomóc mi uwolnić Binabika! – Simon podniósł stopy z zimnej, kamiennej podłogi i położył je na łóżku. – Mówiłeś, że trolle ci ufają. Nakłoń ich, żeby uwolnili Binabika. Potem pojedziemy wszyscy razem.

Jiriki westchnął, wypuszczając powietrze ze świstem.

– Młody Seomanie, to nie takie proste – powiedział, a w jego głosie dało się odczuć nieomal zniecierpliwienie. – Nie mam żadnej władzy ani żadnych praw, by nakłaniać lud Qanuc do zrobienia czegokolwiek. Czekają na mnie też inne obowiązki, których nie zrozumiesz. Zostałem tutaj tak długo tylko dlatego, że chciałem się upewnić, że wracasz do zdrowia. Mój wuj Khendraja’aro dawno już powrócił do Jao e-Tinukai’. Zobowiązania wobec mojego domu i krewnych nakazują mi udać się za nim.

– Nakazują ci? Ale przecież ty jesteś księciem?

Sitha pokiwał głową.

– To słowo znaczy coś innego niż w waszym języku. Należę do panującego domu, ale nikomu nie rozkazuję i nikim nie rządzę. Mną też na szczęście nikt nie rządzi – z wyjątkiem pewnych okoliczności. Moi rodzice zdecydowali, że takie właśnie okoliczności zaistniały. – Simon miał wrażenie, że odczuwa w głosie Jirikiego nieomal nutę gniewu. – Nie obawiaj się. Ty i Haestan nie jesteście więźniami. Lud Qanuc darzy cię honorami. Pozwolą ci odejść, kiedy tylko zechcesz.

– Ale ja nie odejdę stąd bez Binabika. – Simon skręcał w palcach połę swego płaszcza. – I bez Sludiga.

W wejściu ukazała się mała, ciemnowłosa postać, która zakasłała uprzejmie. Jiriki spojrzał przez ramię i skinął głową. Weszła stara kobieta Qanuc i postawiła u stóp Jirikiego parujący dzbanek; potem wyciągnęła

szybko spod swego obszernego płaszcza z owczej skóry trzy miseczki i ustawiła je w półkolu. Jej drobne palce szybko przesuwały się po naczyniach, a jej pucołowata twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Simon dostrzegł jednak w jej oczach błysk strachu, kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Skończywszy, wycofała się tyłem do wyjścia i zniknęła za połą zasłony równie cicho, jak się pojawiła.

„Czego ona się boi? – zastanawiał się Simon. – Jirikiego? Binabik mówił, że Qanucowie i Sithowie zawsze dość dobrze ze sobą żyli”.

Nagle pomyślał o sobie: jest przecież dwa razy większy od trolla, rudowłosy, twarz pokryta pierwszym zarostem, i do tego chudy jak patyk, choć sterty koców uniemożliwiały staruszce dostrzeżenie tego. Jaką różnicę widzieli ludzie z Yiqanuc między nim a znienawidzonym przez nich Rimmersmanem? Czyż naród Sludiga nie wojował z trollami przez wieki?

– Seomanie, napijesz się? – spytał Jiriki, wlewając do miseczki trochę parującego napoju. – To twoje naczynie.

Simon wyciągnął dłoń.

– Czy to jest zupa?

– To jest aka, jak nazywają ją Qanucowie; ty byś powiedział herbata.

– Herbata! – Simon wziął ochoczo miseczkę.

Judith, przełożona zamkowej kuchni, bardzo lubiła herbatę. Lubiła siadać po pracy przy ogromnym kubku gorącego napoju. Kuchnia wypełniała się wtedy aromatem południowych ziół. Kiedy była w dobrym humorze, pozwalała Simonowi skosztować trochę. Na Usiresa, jak on tęsknił za domem!

– Nigdy nie myślałem... – zaczął i pociągnął duży łyk, po czym natychmiast wypluł to, co wypił, krztusząc się. – Co to jest? – Czknął. – To nie jest herbata!

Jiriki popijał wolno ze swojego naczynia i dlatego nie było widać, czy się uśmiecha.

– Ależ to jest herbata – odparł Sitha. – Qanucowie używają do jej parzenia innych ziół niż Sudhoda’ya. Nic dziwnego, skoro tak mało z wami handlują.

Simon wytarł dłonią usta i skrzywił się.

– To jest słone! – Powąchał naczynie i ponownie się skrzywił.

Sitha skinął głową i pociągnął łyk.

– Tak, solą ją. Dodają też masła.

– Masła!

– Przedziwne są drogi wnuków Mezumiiru – oznajmił uroczyście Jiriki. – Nieskończona jest ich różnorodność.

Simon odstawił naczynie z niesmakiem.

– Masło. Usiresie, ratuj mnie. Ale parszywa przygoda.

Jiriki ze spokojem dopił swoją herbatę. Imię Mezumiiru przypomniało Simonowi o jego przyjacielu, trollu, który kiedyś w nocy śpiewał o Kobiecie-Księżycu. Posmutniał.

– Co zrobimy dla Binabika? – spytał Simon. – Czy możemy zrobić cokolwiek?

Jiriki popatrzył na niego spokojnymi, kocimi oczami.

– Jutro będziemy mieli okazję przemawiać w jego imieniu. Nie wiem jeszcze, jaką popełnił zbrodnię. Niewielu spośród Qanuców zna jakiś inny język poza swoim – twój przyjaciel jest pod tym względem wyjątkowy – a ja niezbyt dobrze mówię ich językiem. Poza tym oni nie są zbyt rozmowni w obecności obcych.

– Co się jutro wydarzy? – spytał Simon i położył się na łóżku. Huczało mu w głowie. Dlaczego wciąż czuje się taki słaby?

– Odbędzie się... sąd, jak przypuszczam. Władcy ludu Qanuc będą sądzić i wydadzą wyrok.

– Będziemy bronili Binabika?

– Nie, Seomanie, do tego chyba nie dojdzie – powiedział spokojnie Jiriki. Przez chwilę na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. – Pójdziemy tam dlatego, że ty spotkałeś Smoka z Góry... i przeżyłeś. Władcy Qanuców chcą cię poznać. Z pewnością będzie też poruszana sprawa przestępstwa twego przyjaciela, lecz o tym będą rozmawiać trolle między sobą. A teraz odpoczywaj, bo potrzebne ci będą siły.

Jiriki wstał i przeciągnął się; poruszał przy tym głową w dziwny sposób, a jego bursztynowe oczy patrzyły gdzieś daleko. Simon poczuł, że wstrząsa nim dreszcz i ogarnia znużenie.

„Smok!” – pomyślał setnie zdziwiony i przerażony. To *on* widział smoka! On, Simon, podkuchenny, poszturchiwany wałkoń i gamoń zamierzył się mieczem na smoka i przeżył, choć oblała go gorąca smocza krew! Zupełnie jak w opowieściach!

Spojrzał na czarny, słabo lśniący Cierń, który częściowo przykryty leżał pod ścianą i czekał, podobny do pięknego, straszliwego węża. Nawet Jiriki wydawał się dotykać go z niechęcią, a nawet mówić o nim. Sitha ze spokojem zbywał pytania Simona, który chciał wiedzieć, jaka to magia płynie jak krew w mieczu Camarisa. Simon przesunął zziębniętą dłonią wzdłuż szczęki do wciąż bolącej blizny biegnącej w dół twarzy. Jak taki zwykły kuchcik odważył się podnieść tak potężną rzecz?

Zamykając oczy, czuł, że ten wielki i nieczuły świat wiruje wolno pod nim. Słyszał jeszcze kroki Jirikiego, który podszedł do wyjścia, a potem cichy szelest odsuwanej zasłony i sen znowu pociągnął go w dół.

SIMON ZNÓW ŚNIŁ. Jeszcze raz ukazała mu się twarz małej, ciemnowłosej dziewczynki. Wprawdzie twarz była dziecięca, lecz poważne oczy były stare i głębokie niczym studnia na opuszczonym cmentarzu. Wydawało mu się, że dziewczynka chce mu coś powiedzieć. Jej usta poruszały się bezgłośnie, lecz gdy jej twarz ginęła powoli w zmąconych wodach snu, wydało mu się przez chwilę, że jednak słyszy jej głos.

OBUDZIŁ SIĘ NASTĘPNEGO RANKA i zobaczył nad sobą Haestana.

Gwardzista szczerzył zęby w uśmiechu, a jego broda lśniła od topniejącego śniegu.

– Simonie, chłopcze, czas wstawać. Czeka nas dzisiaj dużo roboty, dużo roboty.

Wciąż był słaby i ubieranie zajęło mu sporo czasu, lecz zdołał zrobić to sam. Haestan pomógł mu wzuć buty, których nie wkładał od chwili przebudzenia. Były sztywne, jakby zrobione z drewna, a materiał ubrania drapał jego dziwnie teraz czułą skórę. Mimo to poczuł się lepiej, dźwignąwszy się w odzieniu na nogi. Chwiejąc się, przemierzył kilkakrotnie jaskinię i poczuł, że znowu staje się dwunogim zwierzęciem.

– Gdzie jest Jiriki? – spytał, narzucając płaszcz na ramiona.

– Poszedł pierwszy. Nie martw się o spotkanie. W razie czego zaniosę cię.

– Przyniesiono mnie tutaj – powiedział Simon i sam się zdziwił, słysząc oziębły ton swego głosu – ale to jeszcze nie znaczy, że ciągle trzeba mnie nosić na rękach.

Krzepki Erkynlandczyk zachichotał i bynajmniej się nie obraził.

– Wcale się nie zmartwię, jeśli pójdziesz o własnych siłach. Trolle mają bardzo wąskie ścieżki i wcale mi nie tęskno do noszenia po nich

kogokolwiek.

Simon musiał zatrzymać się na chwilę w wejściu, by przyzwyczaić wzrok do blasku, jaki wdarł się do jaskini po uniesieniu zasłony. Wyszedł na zewnątrz i stwierdził, że odblask śniegu nawet w tak pochmurny ranek jest prawie nie do zniesienia.

Stali w odległości około dwudziestu łokci przed jaskinią, na skalnej półce, która ciągnęła się stąd na prawo i lewo, wzdłuż zbocza góry. Wzdłuż niej widać było ciemne otwory innych jaskiń, a potem półka skręcała, ginąc za wygięciem brzucha Mintahoq. Simon dostrzegł powyżej rzędy podobnych ścieżek. Z górnych jaskiń zwisały drabiny, a tam, gdzie nierówny teren nie pozwalał na połączenie skalnych półek, kołysały się mosty, które sprawiały wrażenie zrobionych jedynie ze skórzanych rzemieni. Simon dostrzegł nawet ubrane w futra małe postacie dzieci Qanuc śmigające po kołyszących się konstrukcjach ze zwinnością wiewiórek, choć upadek z pewnością oznaczałby niechybną śmierć. Simonowi od samego patrzenia zrobiło się niedobrze, więc się odwrócił.

Miał przed sobą ogromną dolinę Yiqanuc. Za nią z wypełnionej mgłą otchłani wyłaniali się kamienni sąsiedzi góry Mintahoq, wznosząc swe głowy do szarego, sypiącego śniegiem nieba. Malutkie, ciemne dziurki znaczyły ich odległe szczyty; na ścieżkach pomiędzy nimi uwijały się malutkie, prawie niewidoczne postacie.

Ścieżką nadjechały trzy trolle; siedziały wygodnie w skórzanych siodłach na grzbietach kudłatych baranów. Simon przesunął się do przodu, ustępując im drogi, i znalazł się zaledwie parę stóp od krawędzi półki. Spojrzał w dół i natychmiast zakręciło mu się w głowie, tak samo jak na Urmsheim. Podstawa góry, ustrojona tu i tam wijącymi się wiecznie zielonymi zaroślami, rozszerzała się poniżej poprzecinana połączonymi

drabinami, półkami podobnymi do tej, na której stał Simon. Nagle zdał sobie sprawę z panującej ciszy i odwrócił się do Haestana.

Trzej jeźdźcy zatrzymali się na środku ścieżki i wpatrywali się w Simona szeroko otwartymi oczami. Gwardzista, ukryty w cieniu wejścia za trollami, zasalutował chłopcu z szyderczą miną ponad głowami trolli.

Policzki dwóch z nich porastał rzadki zarost. Wszyscy trzej nosili na futrzanych płaszczach naszyjniki z dużych paciorków z kości słoniowej i mieli ozdobnie rzeźbione włócznie zakrzywione u dołu na wzór kijów pasterskich, których używali do kierowania swymi wierzchowcami o spiralnych rogach. Wszyscy trzej byli więksi od Binabika; po kilku dniach spędzonych wśród Qanuców Simon przekonał się, że Binabik był jednym z najmniejszych dorosłych trolli. Spotkane trolle wydawały się bardziej prymitywne i niebezpieczne od jego przyjaciela; dobrze uzbrojone, o surowych twarzach, wyglądały groźnie pomimo swej małej postury.

Simon wpatrywał się w trolle, one zaś patrzyły na Simona.

– Simonie, wszyscy o tobie słyszeli – zagrzmiał Haestan, a trolle spojrzały na niego zaskoczone jego gromkim głosem – lecz nikt cię jeszcze nie widział.

Zaalarmowane trolle obrzuciły żołnierza spojrzeniem od stóp do głów, po czym cmoknięciem ponagliły swoje barany i odjechały pośpiesznie.

– Będą mieli o czym mówić – zachichotał Haestan.

– Binabik opowiadał mi o swoim domu – powiedział Simon – ale nie za bardzo rozumiałem to, co mówił. Prawie nigdy nie jest tak, jak się wydaje, że będzie, prawda?

– Tylko dobry Pan Usires zna wszystkie odpowiedzi – odparł Haestan. – A teraz jeśli chcesz się spotkać ze swoim małym przyjacielem, najlepiej będzie, jak ruszymy dalej. Idź ostrożnie i nie za blisko krawędzi.

SCHODZILI WOLNO ŚCIEŻKĄ, która na przemian zwężała się i rozszerzała, prowadząc ich serpentynami w dół. Słońce stało już wysoko na niebie, lecz skrywały je ciemne chmury gnane mroźnym wiatrem. Szczyt góry, podobnie jak i wierzchołki po drugiej stronie doliny, przykrywała biała czapa śniegu, lecz niżej nie było go już tak dużo. Śnieżne zaspy napotykali coraz rzadziej, a wokół widniały czarne plamy gołej ziemi i odkryte skały. Simon nie miał pojęcia, czy taki śnieg jest czymś normalnym w pierwszych dniach miesiąca Tiyagar w kraju Yiqanuc, ale pewien był, że ma dość śniegu i zimna. Każdy płatek śniegu, który wpadał mu do oka, odczuwał jak obrazę; wciąż czuł ból w miejscu świeżej blizny na policzku i szczęce.

Kiedy opuścili tę część góry, która wydawała się zamieszkana, nie widzieli już wielu trolli. Z niektórych jaskiń wydobywał się dym i można było dostrzec zerkające z ciekawością ciemne postacie. Minęły ich też dwie grupy jeźdźców udających się w tym samym kierunku; podobnie jak ich poprzednicy zwalniali, by przyjrzeć się obcym, i zaraz ruszali pośpiesznie przed siebie.

Minęli też grupkę dzieci baraszkujących w zaspie śniegu. Małe trolle, które sięgały Simonowi zaledwie do kolan, ubrane były w futrzane kurtki i getry, przez co przypominały małe, okrągłe jeże. Na widok Simona i Haestana dzieci wybałuszyły oczy, a ich wysoki szczebiot ucichł; nie uciekały jednak i nie wydawały się przestraszone. Spodobało się to Simonowi. Uśmiechnął się słabo, pamiętając o bolącym policzku, i pomachał do dzieci ręką.

Kiedy kręta ścieżka zaprowadziła ich na północny stok góry, znaleźli się w miejscu, gdzie nie dobiegały już żadne odgłosy jej mieszkańców; byli zupełnie sami, wyjąwszy wyjący wiatr i śnieg.

– Nie podoba mi się tutaj – odezwał się Haestan.

– Co to jest? – Simon wskazał w górę, na zbocze. Na skalnym występie, wysoko w górze stała dziwna budowla w kształcie jaja, zbudowana ze starannie ułożonych śnieżnych bloków. Budowla lśniła słabo w blasku różowych promieni skośnie świecącego słońca. Przed nią stały w rzędzie trolle; w dłoniach schowanych w rękawicach trzymały włócznie, a ich surowe twarze ginęły w naciągniętych na głowy kapturach.

– Nie pokazuj palcem, chłopcze – powiedział Haestan, trącając delikatnie Simona w łokieć. – Czy kilku ze strażników nie popatrzyło w dół? To musi być coś ważnego, o czym mówił twój przyjaciel Jiriki. Nazywają to „Lodowym Domem”. Ci malcy wściekają się z jakiegoś powodu, który dotyczy tego domu. Nie wiem, o co chodzi, i nie chcę wiedzieć.

– Lodowy Dom? – spytał Simon, wpatrując się w budowlę. – Czy ktoś tam mieszka?

Haestan pokręcił głową.

– Tego Jiriki nie mówił.

Simon spojrzał uważnie na Haestana.

– Czy dużo rozmawiałeś z Jirikim podczas naszego pobytu tutaj? To znaczy wtedy, gdy ja byłem nieprzytomny.

– Och... – zaczął Haestan i urwał. – W rzeczywistości niezbyt dużo. Wydaje mi się, że on wciąż myśli o czymś wielkim. Rozumiesz, o co mi chodzi? O czymś ważnym. Ale jest dość miły. Trochę inny od człowieka, lecz dobry. – Haestan zamyślił się przez chwilę. – Nie jest taki, jak myślałem, istota pełna czarów. Mówi zrozumiale, tak. – Haestan uśmiechnął się. – Dobrze wyraża się o tobie. Z tego, jak mówi o tobie, można by sądzić, że jest ci winien pieniądze. – Zachichotał cicho.

Dla wciąż słabego Simona był to długi i wyczerpujący spacer: najpierw szli w górę, potem w dół. Posuwali się do przodu po stoku góry. Chociaż

Haestan podpierał go przy każdym potknięciu, Simon zaczął się zastanawiać, czy jest w stanie pójść dalej. Obchodzili właśnie ogromny kamień, który wyrósł przed nimi na środku ścieżki, niczym głaz w korycie rzeki, i stanęli nagle przed szerokim wejściem do dużej jaskini.

Obszerne wejście, szerokie na co najmniej pięćdziesiąt kroków, przywodziło na myśl otwarte usta góry Mintahoq, które za chwilę mają obwieścić wyrok. Wewnątrz widać było rząd ogromnych, zwietrzałych posągów; były to przypominające ludzi postacie o okrągłych brzuchach i plecach zgarbionych pod ciężarem sklepienia. Wieki surowej, zimowej pogody sprawiły, że ich twarze były zupełnie pozbawione rysów. Simon ze zdziwieniem spostrzegł, że cecha ta kazała patrzącemu widzieć w nich raczej coś nowego, co dopiero wykluwało się z przedwiecznego kamienia, jeszcze nieukształtowanego, zamiast przedmiotów z przeszłości.

– *Chidsik Ub Lingit* – odezwał się głos za Simonem. – Dom Przodka.

Simon podskoczył i odwrócił się zdziwiony, lecz nie był to głos Haestana. Obok niego stał Jiriki wpatrzony w puste kamienne twarze.

– Od jak dawna jesteś tutaj? – Simon zawstydził się, że został zaskoczony. Ponownie odwrócił głowę w stronę wejścia do jaskini. Kto by przypuszczał, że takie małe trolle potrafią wyrzeźbić tak ogromnych strażników.

– Wyszedłem, żeby was przywitać – powiedział Jiriki. – Witaj, Haestanie.

Gwardzista mruknął coś pod nosem i skinął głową. Simon zastanawiał się, co zaszło pomiędzy Erkynlandczykiem i Sithą podczas jego choroby. Bywały chwile, że bardzo trudno rozmawiało mu się ze skrytym księciem Jirikim. Jak więc takiemu prostemu żołnierzowi jak Haestan udało się zjednać sobie księcia, choć nie zaznał piekielnych lekcji perswazji prowadzonych przez Doktora Morgenesa?

– Czy tutaj mieszka król trolli? – spytał głośno.

– Razem z królową – przytaknął Jiriki. – Choć w języku Qanuców nie nazywa się ich królem i królową. Należałoby raczej powiedzieć Pasterz i Łowczyni.

– Królowie, królowe, książęta, a żadne z nich nie jest tym, czym powinno być, sądząc z nazwy – narzekał Simon. Był zmęczony, zmarznięty i obolały. – Dlaczego ta jaskinia jest taka duża?

Sitha roześmiał się cicho. Mocno wiejący wiatr rozwiał jego lawendowe włosy.

– Młody Seomanie, dlatego że gdyby była mniejsza, trolle bez wątpienia poszukałyby większej na swój Dom Przodka. Powinniśmy już wejść, i to nie tylko dlatego, że jesteś zmarznięty.

Jiriki poprowadził ich między dwoma środkowymi posągami w kierunku migocącego, żółtego światła. Kiedy przechodzili pomiędzy ogromnymi nogami, Simon spojrzał w górę na pozbawione oczu twarze widoczne ponad okrągłymi, kamiennymi brzuchami. Po raz kolejny przypomniał sobie nauki Doktora Morgenesa.

„Doktor zawsze mówił, że nigdy nie wiadomo, co się komu przydarzy; «nigdy nie oczekuj zbyt wiele» – powtarzał. Kto by pomyślał, że ja zobaczę kiedyś takie rzeczy, będę miał takie przygody? Nikt nie wie, co mu się przydarzy...”

Poczuł na twarzy skurcz bólu i ściśnięcie w żołądku. Doktor jak zwykle powiedział prawdę.

Jaskinia pełna była trolli, a powietrze w jej wnętrzu przesycone słodkawo-kwaśnym zapachem oliwy i tłuszczu. Paliło się tam chyba z tysiąc żółtych światełek.

Ściany i wysoki sufit jaskini były nierówne; w ich zagłębieniach i na podłodze płonęły kałuże oliwy, a w każdej z nich unosił się biały, cienki

knot. Setki takich lampek sprawiały, że w jaskini było o wiele jaśniej niż na zewnątrz, gdzie było raczej pochmurnie. Wokół falował ocean czarnowłosych głów trolli ubranych w skórzane kurtki. Na ich ramionach siedziały dzieci podobne do mew przysiadających na grzbietach fal.

Na środku jaskini wznosił się skalny występ. Tworzyła go platforma wyrąbana z podłogi jaskini, gdzie siedziały dwie niewielkie postacie otoczone kałużą płonącej oliwy.

Po chwili Simon zorientował się, że to niezupełnie kałuża, raczej płytka fosa wyżłobiona wokół platformy i wypełniona płonącą oliwą, która zasilała lampy. Postacie wewnątrz płonącego kręgu spoczywały na czymś, co przypominało hamak wykonany z bogato rzeźbionej skóry i umocowany rzemieniami do konstrukcji z kości słoniowej. Obie siedziały nieruchomo, otulone w białe i czerwonawe futra. Ich twarze były okrągłe i spokojne, a oczy jasne.

– Ona nazywa się Nunuuika, a on Uammannaq – wyjaśnił cicho Jiriki. – Są władcami ludu Qanuc.

Kiedy to mówił, jedna z postaci dała znak zakrzywionym kijem. Zebrane trolle rozstąpiły się na boki, tłocząc się jeszcze bardziej. Utworzyły przejście, które ciągnęło się od kamiennej platformy aż do miejsca, gdzie stał Simon i jego towarzysze. Setki małych, pełnych oczekiwania twarzy zwróciły się teraz w ich stronę. Wszyscy szeptali cicho. Simon, zmieszany, patrzył wzdłuż utworzonego przejścia.

– Wszystko jasne – mruknął Haestan i popchnął lekko Simona. – Idź, chłopcze.

– Idziemy wszyscy – powiedział Jriki. Wykonał jeden ze swych skomplikowanych gestów, dając Simonowi do zrozumienia, by poszedł przodem.

Simonowi wydawało się, że szepty wzmogły się, a zapach wyprawionej skóry stał się jeszcze bardziej intensywny, gdy ruszył w stronę króla i królowej...

„Raczej Pasterza i Łowczyni – przypomniał sobie. – Albo czym tam są”.

W jaskini zrobiło się nagle jakby bardzo duszno. Starał się wziąć głęboki oddech i potknął się. Upadłby, gdyby Haestan nie złapał go z tyłu za płaszcz. Dotarłszy do podestu, stał przez chwilę wpatrzony w podłogę, starając się pozbyć zawrotu głowy, i dopiero później spojrzał na siedzących na platformie. Raził go blask lamp. Odczuwał złość, choć nie wiedział na kogo. Przecież po raz pierwszy opuścił łóżko. Czego od niego oczekiwali? Że wyskoczy żwawo i zabije kolejne smoki?

Ze zdziwieniem stwierdził, że Uammannaq i Nunuuika są bardzo do siebie podobni, jakby byli bliźniakami. Choć z drugiej strony trudno było powiedzieć, że nie można ich od siebie odróżnić: siedzący po lewej ręce Simona Uammannaq miał rzadką brodę, która zwisała zapleciona w warkocz czerwono-błękitnymi rzemykami. Włosy także miał zaplecione w wymyślne pętle; spoczywały na głowie podtrzymywane grzebieniami z czarnego, lśniącego kamienia. Uammannaq jedną ręką gładził brodę, w drugiej zaś trzymał oznakę swojej władzy: grubą, bogato rzeźbioną i zakrzywioną na jednym końcu włócznię, jakiej jeźdźcy-trolle używają do kierowania baranem.

Jego żona – jeśli tak nazywali ją Qanucowie – trzymała prostą włócznię, dość cienką, z kamiennym grotem tak zaostrzonym, że wydawał się przezroczysty. Rzeźbione grzebienie z kości słoniowej przytrzymywały jej upięte wysoko długie, czarne włosy. Twarz miała okrągłą, a lśniące oczy, skryte częściowo za skośnymi powiekami, były płaskie i jasne niczym wypolerowany kamień. Simonowi nie zdarzyło się dotąd, by kobieta

patrzyła na niego w tak zimny i arogancki sposób. Przypomniało mu się, że nazywano ją Łowczynią, i poczuł się nieswojo. O wiele mniej groźnie wyglądał Uammannaq. Jego nalana twarz zdawała się pogrążona we śnie, choć spojrzenie miał całkiem bystre.

Po krótkiej chwili wzajemnego badania się Uammannaq wyszczerzył żółte zęby w szerokim uśmiechu, a jego oczy nieomal zniknęły w pogodnym zezie. Uniósł dłonie w kierunku przybyszów, po czym złożył je razem i powiedział coś w gardłowym języku Qanuców.

– On mówi, że wita was w Chidsik Ub Lingit i w górach Yiqanuc – przetłumaczył Jiriki.

Zanim Sitha zdążył powiedzieć coś więcej, odezwała się Nunuuika. Jej słowa wydawały się bardziej wyważone niż słowa Uammannaqa, lecz Simon i tak nic nie zrozumiał z jej wypowiedzi. Jiriki słuchał jej uważnie.

– Łowczyni także was wita. Mówi, że jesteś dość wysoki, lecz z tego, co ona wie o ludziach Utku, wydajesz się młody jak na pogromcę smoka pomimo tych białych włosów. *Utku* to imię, jakim trolle nazywają mieszkańców nizin – dodał cicho.

Simon patrzył przez chwilę na parę władców.

– Powiedz im, że cieszę się z ich powitania albo to, co trzeba powiedzieć. Powiedz im też, że ja nie zabiłem smoka – prawdopodobnie tylko go zraniłem – i że zrobiłem to, by chronić swoich przyjaciół; postąpiłem tak samo, jak Binabik z Yiqanuc postępował wielokrotnie.

Kiedy skończył tę długą wypowiedź, poczuł, że zaczyna brakować mu powietrza, i nagle zakręciło mu się w głowie. Pasterz i Łowczyni, którzy przyglądali mu się bacznie, kiedy mówił, i którzy zmarszczyli brwi na wspomnienie imienia Binabika, zwrócili się wyczekująco do Jirikiego.

Sitha zastanowił się przez chwilę, a potem wydał z siebie długi potok grzechoczących słów w języku trolli. Uammannaq pokiwał głową

z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Nunuuika słuchała obojętnie. Kiedy Jiriki skończył, spojrzała na swego małżonka i ponownie przemówiła.

Sądząc z jej przetłumaczonej odpowiedzi, można by uznać, że w ogóle nie słyszała imienia Binabika. Pochwaliła Simona za jego odwagę, mówiąc, że Qanucowie od dawna uważali górę Urmsheim – ona nazwała ją *Yijarjuk* – za miejsce, którego należy unikać za wszelką cenę. Teraz, powiedziała, być może nadszedł czas zbadania zachodnich gór, gdyż smok, nawet jeśli przetrwał, z pewnością skrył się w głębinach, by leczyć swe rany.

Uammannaq wydawał się zniecierpliwiony przemówieniem Nunuuiki. Gdy tylko Jiriki skończył tłumaczyć jej słowa, zauważył, że nie jest to odpowiednia pora na takie wyprawy, gdyż dopiero minęła sroga zima, a ponadto okrutni *Croohokuq* – Rimmersmeni – są niebezpiecznie aktywni. Zaraz też dodał pośpiesznie, że Simon i jego towarzysze, drugi mieszkaniec nizin i dostojny Jiriki, mogą pozostać u nich jako honorowi goście tak długo, jak tylko zechcą, oraz że jeśli w jakikolwiek sposób on lub Nunuuika mogą ulżyć im w czasie pobytu, wystarczy poprosić.

Jiriki nie zdążył jeszcze przetłumaczyć wszystkiego na język Simona, a ten już przestępował z nogi na nogę, nie mogąc doczekać się możliwości odpowiedzi.

– Tak – powiedział do Jirikiego. – Jest coś, co mogą zrobić. Mogą uwolnić Binabika i Sludiga, naszych towarzyszy. Uwolnijcie naszych towarzyszy, jeśli łaska! – powiedział głośno, zwracając się do ginącej w futrach pary władców, którzy patrzyli na niego, nic nie rozumiejąc. Słysząc jego podniesiony głos, niektóre spośród trolli stłoczonych wokół kamiennej platformy zaczęły szeptać zaniepokojone. Simon, oszołomiony nieco, zastanawiał się, czy nie przesadził, lecz w tym momencie było mu wszystko jedno.

– Seomanie – powiedział Jiriki. – Obiecałem sobie, że będę wiernie tłumaczył twoje słowa i nie będę się wtrącał do tego, co mówisz, lecz wyświadcz mi tę przysługę i nie proś ich o to. Proszę.

– Dlaczego nie?

– Proszę. Bądź tak dobry. Później ci to wyjaśnię. Proszę, zaufaj mi.

Simon usłyszał płynące z jego ust słowa pełne złości, zanim zdołał się powstrzymać.

– Chcesz, żebym wyświadczył ci przysługę, która oznacza opuszczenie moich przyjaciół? Czy nie uratowałem ci życia? Czy nie otrzymałem od ciebie Białej Strzały? Kto tu komu winien jest przysługę?

Gdy tylko skończył, zrobiło mu się przykro. Wydawało mu się, że między nim a sithijskim księciem wyrosła nagle bariera nie do pokonania. Jiriki utkwił w nim swe płonące spojrzenie. Zebrani zaczęli kręcić się nerwowo i szeptać, czując, że coś się wydarzyło.

Sitha spuścił wzrok.

– Wybacz, Seomanie. Żądam od ciebie zbyt wiele.

Simon miał wrażenie, jakby tonął niczym kamień wrzucony do błotnistego stawu. Zbyt szybko! Nie mógł objąć wszystkiego myślami. Pragnął jedynie położyć się i nie wiedzieć o niczym.

– Nie, Jiriki – wymamrotał. – To ja przepraszam. Wstydzę się swoich słów. Jestem idiotą. Zapytaj ich, czy mogę pomówić z nimi jutro. Czuję się chory.

Nagle wrażenie zapadania się stało się bardzo realne; czuł, że cała jaskinia się przechyla. Światła oliwnych lamp zadrżały, jakby powiał wiatr. Kolana ugięły się pod Simonem, lecz Haestan zdążył chwycić go za ramiona i podtrzymać.

Jiriki spojrzał szybko na Uammannaqa i Nunuuikę. W tłumie zebranych trolli przebiegła fala podekscytowanych szeptów. Czy ten czerwonoczuby,

podobny do bociana mieszkaniec nizin nie żyje? Może takie długie i cienkie nogi nie mogły unieść jego ciężaru przez tak długi czas. W takim razie dlaczego obaj mieszkańcy nizin utrzymują wciąż pozycję pionową? Trolle kiwały głowami zdumione i szeptały, wymieniając między sobą różne domysły.

– *Nunuuiko, najbystrzejsze oko, i Uammannaqu, najpewniejszy wodzu: chłopiec wciąż jest jeszcze chory i bardzo słaby.* – Jiriki mówił spokojnie. Tłum zwiedziony jego spokojną mową pochylił się do przodu. – *W imię odwiecznej przyjaźni między naszymi narodami proszę was o przysługę.*

Łowczyni przechyliła głowę, uśmiechając się.

– *Mów, Starszy Bracie* – powiedziała.

– *Nie mam prawa ingerować w wasze sądy i nie będę tego robił. Proszę tylko, byście nie rozpoczynali sądu nad Binabikiem z Mintahoq, zanim jego towarzysze – a między nimi chłopiec, Seoman – nie będą mieli sposobności przemówienia w jego imieniu. Proszę też, by Rimmersman, Sludig, miał również taką możliwość. Proszę was o to w imię Kobiety-Księżyca, naszego wspólnego przodka.* – Jiriki skłonił się, lecz tylko górną połową ciała. Nie było w tym geście ani trochę służalczości.

Uammannaq pukał palcami po drzewcu swej włóczni. Popatrzył zakłopotany na Łowczynię. Wreszcie skinął głową.

– *Nie możemy ci tego odmówić, Starszy Bracie. Niech tak będzie. A zatem za dwa dni, kiedy chłopiec odzyska siły. Ale nawet gdyby ten dziwny młodzieniec przyniósł głowę Igjarjuka, nie zmieniłoby to tego, co ma się zdarzyć. Binabik, uczeń Tego, Który Śpiewa, dopuścił się okropnej zbrodni.*

– *Tak też mi powiedziano* – odparł Jiriki. – *Ale odważne serca ludu Qanuc nie były jedyną rzeczą, która zdobyła uznanie Sithów. Podziwialiśmy też uprzejmość trolli.*

Nunuuika dotknęła grzebieni w swych włosach, lecz jej wzrok pozostał niewzruszony.

– *Uprzejme serce nie może mieć wpływu na nasze prawo, książę Jiriki, inaczej potomkowie Seddy – Sithowie, jak i śmiertelnicy – powrócą nadzy między śniegi. Binabik będzie osądzony.*

Książę Jiriki skinął głową i jeszcze raz skłonił się lekko, zanim się odwrócił. Haestan prawie niósł potykającego się Simona, gdy szli między zdumionymi trollami do wyjścia, a potem na zewnątrz w zimny wiatr.

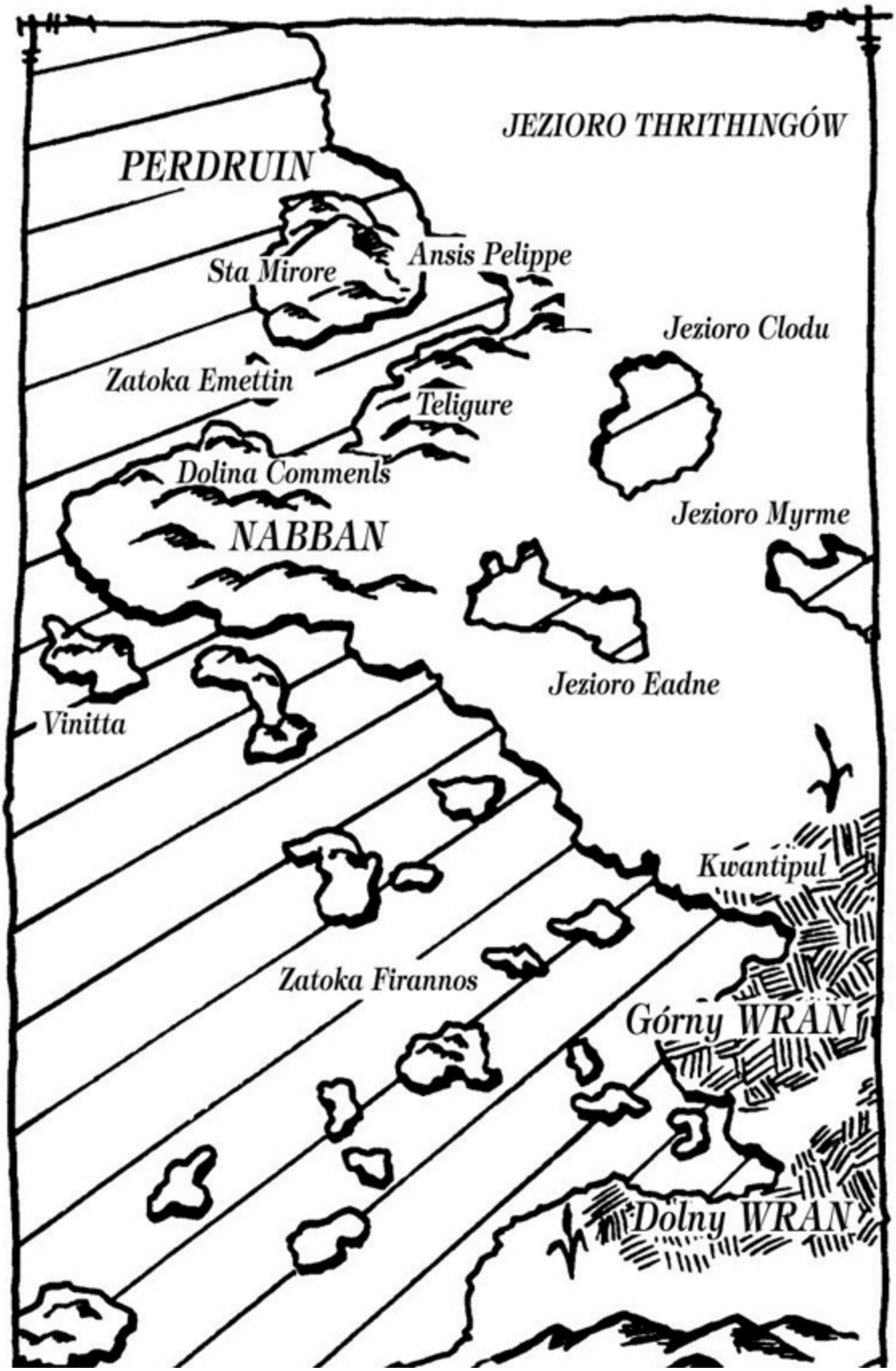
JEZIORO THRITHINGÓW
PERDRUIN
Sta Mirore
Ansis Pelippe
Jezioro Clodu
Zatoka Emettin
Teligure
Dolina Commenls
NABBAN
Jezioro Myrme
Jezioro Eadne
Vinitta
Kwantipul
Zatoka Firannos
Górny WRAN
Dolny WRAN

2. Maski i cienie

OGIEŃ TRZASKAŁ I STRZELAŁ, gdy płatki śniegu opadały w płomienie i natychmiast topniały. Na rosnących wokół drzewach migotał jeszcze pomarańczowy blask dogasającego ogniska. Poza tą kruchą barierą światła czekały cierpliwie mgła, chłód i ciemność.

Deornoth wyciągnął dłonie nad żarem, starając się nie zwracać uwagi na obecność tchnącego życiem lasu Aldheorte; splątane konary, które skrywały gwiazdy na niebie, ginące we mgle pnie drzew, kołysane statecznie zimnym, monotonnym wiatrem. Po drugiej stronie ogniska siedział Josua, lecz odwrócił wzrok od ognia i patrzył we wrogą ciemność. Jego szczupłą twarz oblaną blaskiem migocącego ognia wykrzywiał grymas. Sercem Deornoth był z księciem, lecz widok jego twarzy był teraz dla niego zbyt ciężki do zniesienia. Spuścił głowę i zaczął rozcierać zziębnięte palce, jakby chciał zetrzeć całe zmęczenie: swoje, swojego pana i pozostałych utrudzonych i obolałych członków grupy.

Gdzieś w pobliżu ktoś zajęczał, lecz Deornoth nie zareagował. Wielu spośród nich cierpiało i wątpił, by niektórzy – mała służąca z okropną raną gardła i jeden z ludzi lorda konstabla z nadjedzonymi przez te piekielne istoty wnętrznościami – dożyli rana.

Ich kłopoty nie skończyły się z chwilą opuszczenia zniszczonego zamku Josui. Zostali zaatakowani, gdy tylko opuścili ostatnie, zniszczone stopnie Przełazu. Tuż przy granicy lasu Aldheorte ziemia wokół nich zaczęła się unosić i noc, którą przyniosła burza, rozbrzmiała piskliwymi okrzykami.

Wszędzie widać było kopaczy czy też Bukkeny, jak nazwał je młody Isorn, wykrzykując ich imię histerycznie i rozdając ciosy na lewo i prawo. Choć bał się panicznie, udało mu się zabić kilkunastu, lecz i sam otrzymał kilka lekkich ran zadanych ostrymi zębami kopaczy oraz ich okropnymi, wyszczerbionymi nożami. Nie można było ich zignorować, gdyż w lesie nawet małe rany mogły okazać się groźne.

Deornoth wiercił się niespokojnie. Te małe istoty uczepiły się także jego ramienia jak szczury. Śmiertelnie przestraszony niemal odciął sobie rękę, żeby się uwolnić od piskliwych napastników. Na samą myśl o nich robiło mu się niedobrze. Potarł dłoń, przypominając sobie tamte chwile.

Osaczona grupa Josui zdołała wreszcie uciec, zabijając wystarczająco dużo przeciwników, by móc przebić się do lasu. Groźnie wyglądające drzewa w jakiś dziwny sposób dawały im bezpieczne schronienie. Choć wiele kopaczy przeżyło, stworzenia nie ścigały ich w lesie.

„Czy w lesie powstrzymywała ich jakaś magiczna moc drzew? – zastanawiał się Deornoth. – A może mieszka tutaj coś jeszcze straszniejszego od nich?”

Uciekając, pozostawili za sobą pięć porwanych na strzępy ciał, które kiedyś były ludźmi. Tych, którzy się uratowali, było teraz może dwunastu, a będzie pewnie jeszcze mniej, sądząc po urywanym oddechu żołnierza Helmfesta, który leżał przy ogniu otulony kocem.

Lady Vorzheva ocierała krew z jego trupio bladego policzka. Patrzyła błędnym wzrokiem przypominającym do złudzenia szaleńca, którego Deornoth widział kiedyś na placu w Naglimundzie, jak siedział i godzinami

przelewał wodę z jednej miski do drugiej, nie uroniwszy przy tym ani kropli. Deornoth czuł, że opiekowanie się tym żywym trupem było zajęciem równie bezużytecznym; mówiły to także ciemne oczy Vorzhevy.

Książę Josua nie poświęcał jej więcej uwagi niż komukolwiek innemu. Pomimo strachu i zmęczenia, jakie dzieliła z pozostałymi, jasne było, że jest wściekła na obojętność księcia. Deornoth od dawna był świadkiem burzliwych stosunków panujących pomiędzy Josuą i Vorzhevą, lecz nie był pewny, po czyjej jest stronie. Czasem czuł niechęć do tej kobiety z plemienia Thrithingów, widząc w niej przeszkodę dla działalności księcia. Kiedy indziej współczuł jej, gdyż jej szczera namiętność i cierpliwość często były wystawione na próbę. Josua potrafił być nieznośnie drobiazgowy i ostrożny i zawsze, nawet w najlepszych chwilach, miał skłonności do melancholii. Deornoth domyślał się, że książę byłby bardzo trudnym partnerem dla każdej kobiety, którą miałby kochać i z którą miałby mieszkać.

Gdzieś w pobliżu rozmawiali cicho stary błazen Towser i harfiarz Sangfugol. Bukłak błazna leżał pusty na ziemi. Nie wiedzieli, kiedy znowu będą mogli napić się wina. Towser opróżnił bukłak w kilku łykach, wywołując gwałtowne protesty współtowarzyszy. Pijąc, łypał ze złością kaprawym okiem, niczym stary kogut, który odstrasza nieproszonych gości ze swego kurnika.

Jedynie księżna Gutrun, żona Isgrimnura, oraz ojciec Strangyeard, archiwista z Naglimundu, robili w tej chwili coś pożytecznego. Gutrun rozcięła przód i tył swej brokatowej spódnicy i zszywała rozcięte kawałki, otrzymując coś na kształt bryczesów, które miały ułatwić jej przedzieranie się przez gęste zarośla. Strangyeard stwierdził, że pomysł jest godny uwagi, i zaczął rozcinać stępionym nożem Deornotha przód swego szarego habitu.

W pobliżu ojca Strangyearda siedział zamyślony Einskaldir, Rimmersman. Pomiędzy nimi ktoś leżał; w ciemności był to tylko ciemny wzgórek oświetlony słabo blaskiem ognia. Była to mała pokojówka, której imienia Deornoth nie pamiętał. Uciekła z nimi z zamku i przez całą drogę płakała cichutko. Płakała do chwili, gdy zaatakowały ich kopacze. Przywarły do jej gardła jak teriery do gardła dzika; trzymały się nawet wtedy, gdy jej wybawcy posiekali ich ciała. Teraz leżała już cicho. Bardzo, bardzo cicho i kurczowo trzymała się nici życia.

Deornoth poczuł dreszcz uwięzionego w swym ciele strachu. Miłościwy Usiresie, co myśmy takiego uczynili, że otrzymujemy taką zapłatę? Jakiego ohydnego czynu dopuściliśmy się, że zostaliśmy ukarani tak sromotną klęską Naglimundu?

Starał się ukryć strach, który – nie miał wątpliwości – widoczny był na jego twarzy. Rozejrzał się. Na szczęście nikt go nie obserwował: nikt nie widział jego haniebnego wstydu. Deornoth był rycerzem, a rycerzowi takie zachowanie nie przystało. Deornoth z dumą wspominał moment, kiedy poczuł dotknięcie książęcej rękawicy i usłyszał, że jest przyjęty do służby. Teraz pragnął gorąco poczuć strach bitwy z ludźmi, a nie z malutkimi, skrzeczącymi kopaczami czy też z Nornami o kamiennych, białych twarzach, którzy zniszczyli zamek Naglimund. Jak można było walczyć ze straszydłami z opowieści z czasów dzieciństwa?

Chyba nadszedł dzień Sądu Ostatecznego. Tylko takie potrafił znaleźć wyjaśnienie. Istoty, z którymi walczyli, z pewnością były prawdziwe – krwawiły i umierały, czy tak mogły zachowywać się demony? – lecz niewątpliwie należały do istot Ciemności. Dzień sądu nadszedł wreszcie.

Dziwne, lecz myśl o tym sprawiła, że Deornoth poczuł się silniejszy. W końcu czy powołaniem rycerza nie była obrona jego pana przed jego wrogami, zarówno cielesnymi, jak i duchowymi? Czy nie tak mówił

duchowny przed przekazaniem Deornothowi lenna? Ze wszystkich sił starał się odegnać niepokojące go myśli. Zawsze był dumny ze swego spokoju i opanowania; z tego też powodu czuł się swobodnie nawet w obecności zamkniętego w sobie księcia. Czy Josua nie musiał najpierw zapanować nad sobą, by móc poprowadzić innych?

Na wspomnienie księcia Deornoth jeszcze raz spojrzał ukradkiem na Josuę i znowu się zmartwił. Wydawało się, że cierpliwość księcia rozpadła się wreszcie pod wpływem sił, jakich żaden człowiek nie był w stanie znieść. Deornoth widział, że Josua patrzy w szarpaną wiatrem ciemność; jego usta poruszały się bezgłośnie, gdy mówił coś do siebie, zmarszczywszy brwi w bolesnym skupieniu. Deornoth nie mógł znieść tego widoku.

– Książę Josuo – zawołał cicho. Książę przestał mówić do siebie, lecz nie spojrzał na młodego rycerza. Deornoth spróbował jeszcze raz. – Panie, mój dobry panie...

Deornoth przygryzł wargę w nadziei, że znajdzie odpowiednie słowa, a wtedy Josua nagle się wyprostował; jeszcze przed chwilą błądził błędnym wzrokiem w ciemności poza kręgiem ognia, lecz teraz patrzył przytomnie.

– O co chodzi? – spytał Deornoth zaniepokojony. Drzemiący za nim Isorn zerwał się z nieprzytomnym okrzykiem na dźwięk głosu przyjaciela. Deornoth sięgnął dłonią po swój miecz i wyciągnął go z pochwy, zrywając się na równe nogi.

– Cicho. – Josua poruszył ramionami.

Przez obóz przemknął dreszcz przerażenia. Przez niekończące się sekundy panowała cisza, lecz później wszyscy usłyszeli: coś przedzierało się ciężko przez zarośla tuż poza kręgiem światła.

– Znowu tamte stworzenia! – Głos Vorzhevy przeszedł z szeptu w drżący okrzyk.

Josua odwrócił się i chwycił ją mocno za ramię. Potrząsnął nią.

– *Cicho*, na miłość boską.

Odgłos łamanych gałęzi stawał się coraz wyraźniejszy. Isorn i jego żołnierze zerwali się, ściskając nerwowo miecze. Niektórzy spośród pozostałych płakali cicho lub modlili się.

Josua syknął:

– Żaden mieszkaniec lasu nie szedłby tak głośno... – Pomimo wysiłku nie potrafił ukryć niepokoju. Wysunął swój miecz, Najdel, z pochwy. – Idzie na dwóch nogach...

– Pomóżcie mi... – zawołał głos w ciemności.

Wydawało się, że noc stawała się jeszcze ciemniejsza, jakby chciała przygnieść ich swą ciemnością i zmieść ich słabe ognisko. Chwilę później coś przedostało się poza krąg drzew. Istota uniosła ramiona przed oczy, jakby raził ją blask ognia.

– Niech Bóg ma nas w opiece, niech ma nas w opiece! – zawołał ochryple Towser.

– Patrzcie, to jest mężczyzna – szepnął Isorn. – Na Aedona, jest cały we krwi!

Ranny zrobił jeszcze dwa chwiejne kroki w kierunku ogniska, potem opadł na kolana, ukazując twarz czarną od zaschniętej krwi; widać było tylko oczy patrzące ślepo na zgromadzonych wokół ogniska.

– Pomóżcie mi – jęknął ponownie. Mówił powoli, a jego chrapliwy głos prawie nie przypominał kogoś, kto mówi językiem Westerling.

– Pani, cóż to za szaleństwo? – jęknął Towser. Stary błazen szarpał księżną Gutrun za rękaw jak małe dziecko. – Powiedz mi, co za przekleństwo spadło na nas.

– Ja go chyba znam! – Deornoth wstrzymał oddech, czując, że paraliżujący go strach mija. Podbiegł do drżącego mężczyzny i pomógł mu

dojść do ognia. Ubranie przybysza całe było w strzępach. Na jego szyi, na kołnierzu spalonej skóry wisiał łańcuch powyginanych kółek – nic więcej nie pozostało z kolczugi. – To jest pikinier, który był z nami i stał na straży – Deornoth zwrócił się do Josui. – Wtedy, gdy spotykałeś się z twoim bratem w namiocie poza murami zamku.

Książę skinął powoli głową. Wytężył wzrok skupiony.

– Ostrael... – wyszeptał Josua. – Czy nie tak się nazywa? – Książę wpatrywał się długo w zakrwawionego pikiniera, potem z jego oczu popłynęły łzy i się odwrócił.

– Masz, biedaku, masz... – Ojciec Strangyeard wyciągnął dłoń z bukłakiem z wodą. Nie mieli jej o wiele więcej niż wina, ale nikt nie protestował. Woda wypełniła otwarte usta Ostraela i wylała się, ściekając po brodzie. Wydawało się, że nie może przełykać.

– Ko...kopacze go dopadły – powiedział Deornoth. – Jestem pewien, że widziałem, jak go zaatakowały jeszcze na zamku. – Podtrzymując pikiniera, czuł drżenie jego ramion i słyszał świszczący oddech. – Na Aedona, jak on musiał cierpieć.

Ostrael spojrzał na Deornotha; jego oczy były żółte i lśniące nawet w tak słabym świetle. Usta w twarzy pokrytej ciemną skorupą krwi znowu się poruszyły.

– Pomóż... – Pikinier mówił bardzo wolno, jakby każde słowo wpychano mu boleśnie do ust, zanim je wypowiedział. – Bo...boli – wyszeptał ze świstem. – Pustka.

– Na Boże Drzewo, jak można mu pomóc? – jęknął Isorn. – Wszyscy cierpimy od ran.

Usta Ostraela pozostały otwarte. Patrzył w górę niewidzącym wzrokiem.

– Możemy zabandażować mu rany. – Gutrun, matka Isorna, odzyskiwała równowagę. – Możemy dać mu płaszcz. Jeśli przeżyje do rana, może będziemy mogli zrobić dla niego coś więcej.

Josua odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na młodego pikiniera.

– Księżna ma rację, jak zawsze. Ojcze Strangyeardzie, poszukaj jakiegoś płaszcza. Może ktoś, kto jest tylko lekko ranny, może oddać swój...

– Nie! – zaprotestował Einskaldir. – Nie podoba mi się to!

Wszyscy zamilkli zmieszani.

– Chyba nie jesteś zazdrosny... – zaczął Deornoth, lecz urwał, gdyż Einskaldir skoczył obok niego i chwyciwszy drżącego Ostraela za ramiona, przewrócił go gwałtownie na ziemię, po czym przycisnął kolanami jego klatkę piersiową. Nie wiadomo skąd brodaty Rimmersman wyciągnął swój długi nóż, który przytknięty do umazanej krwią szyi Ostraela przypominał otwarte w uśmiechu lśniące usta.

– Einskaldir! – Twarz Josui była upiornie blada. – Co ty wyprawiasz?

Rimmersman spojrzał przez ramię, uśmiechając się dziwnie.

– On nie jest prawdziwym człowiekiem! Nie obchodzi mnie, gdzie go przedtem widzieliście!

Deornoth wyciągnął dłoń w kierunku Einskaldira, lecz natychmiast ją cofnął, gdy nóż Rimmersmana ciął powietrze tuż obok jego palców.

– Głupcy! *Patrzcie!* – Einskaldir wskazał rękojeścią miecza w kierunku ognia.

Nagie stopy Ostraela leżały pośród żaru na krawędzi ogniska. Objęte ogniem ciało sczerniało, lecz pikinier nadal leżał spokojnie przygnieciony ciężarem Einskaldira i oddychał ciężko ze świstem.

Zaległa cisza. Wydawało się, że opadła na nich jakaś mrożąca krew w żyłach, dusząca wszystko mgła. Scena wydawała im się przeraźliwie

dziwna, niczym nocna zjawa, a jednak rzeczywista. Uciekając z ruin Naglimundu, mogli zawędrować w nieznaną krainę szaleństwa.

– Może jego rany... – zaczął Isorn.

– Idioto! On nie czuje ognia – warknął Einskaldir. – Na gardle ma rozcięcie, od którego każdy by umarł. *Spójrz! Widzisz?* – Siłą odchylił głowę Ostraela, aż wszyscy zobaczyli żywe mięso na krawędziach rany, która ciągnęła się od jednej kości szczęki do drugiej. Stojący blisko ojciec Strangyeard wydał stłumiony okrzyk i odwrócił się.

– I powiedzcie mi, że on nie jest jakimś duchem... – mówił dalej Rimmersman, lecz w tym momencie został nieomal zrzucony na ziemię, gdyż ciało pikiniera zaczęło się pod nim wyginać.

– Przytrzymajcie go! – krzyknął Einskaldir, starając się trzymać swą twarz z daleka od głowy Ostraela, która szamotała się na prawo i lewo, kłapiąc zębami.

Deornoth rzucił się do przodu i chwycił chude ramię; było zimne i twarde jak kamień, lecz wciąż przeraźliwie elastyczne. Isorn, Strangyeard i Josua także starali się przytrzymać wijące się ciało. Z mroku dobiegały pełne strachu okrzyki i przekleństwa. Kiedy Strangyeard uchwycił mocno nieuwięzioną jeszcze stopę, ciało znieruchomiało. Deornoth wciąż czuł drgające mięśnie leżącego, który rozluźniał je i napinał, próbując się uwolnić. Pikinier oddychał ze świstem przez usta otwarte w grymasie idioty.

Ostrael uniósł głowę i wykrzywił ją, zwracając swą sczerniałą twarz kolejno w stronę każdego z trzymających. Nagle jego wybałuszone oczy jakby ściemniały i zapadły się. Chwilę później puste oczodoły zalśniły migocącym blaskiem ognia, a ciężki oddech ustał. Ktoś krzyknął przestraszony i zapadła pełna przerażenia cisza.

Kiedy uwięziony przemówił, niesamowita groza opadła na obóz, jakby olbrzym chwycił ich w swą olbrzymią, miażdżącą wszystko dłoń.

– *Tak...* – odezwał się głos. Nie było w nim nic z ludzkiego brzmienia, jedynie przeraźliwe, lodowate dudnienie pustki; głos wył jak czarny, nieokiełznany wiatr. – *W ten sposób byłoby o wiele łatwiej... lecz teraz została wam odebrana szybka śmierć, która przychodzi we śnie.*

Deornoth czuł, że bijące szybko serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. Czuł też, jak siła opuszcza jego dłonie, chociaż wciąż trzymali ciało, które kiedyś było ciałem Ostraela Firsframa. Przez podartą koszulę leżącego wyczuwał pierś zimną jak kamień nagrobka, lecz wciąż drżącą z ogromną żywotnością.

– Czym ty jesteś? – spytał Josua, starając się opanować głos. – I co zrobiłeś temu biedakowi?

Istota zarechotała i byłby to śmiech całkiem wesoły, gdyby nie przerażająca pustka w jej głosie.

– *Nic nie zrobiłem tej istocie. Już nie żyła, czy też prawie nie żyła; nietrudno było znaleźć martwych śmiertelników w ruinach twej twierdzy, książę gruzów.*

Ktoś wpijał swe paznokcie w ramię Deornotha, lecz zmasakrowana twarz przyciągała jego wzrok tak mocno, jak zapalona świeca na końcu długiego, czarnego tunelu.

– Kim jesteś? – dopytywał się Josua.

– *Jestem jednym z panów twego zamku... i twojej śmierci* – odpowiedziała istota stanowczo. – *Nie muszę niczego tłumaczyć żadnemu śmiertelnikowi. Gdyby nie spostrzegawczość tego brodacza, cicho poderżnąłbym wam gardła nocą i zaoszczędził nam kłopotu i czasu. Kiedy wasze dusze z piskiem popędzą wreszcie do niekończącego się Pomiędzy,*

skąd my sami uciekliśmy, będzie to za naszą przyczyną. Jesteśmy Czerwoną Dłonią, rycerzami Króla Burz, a on jest panem wszystkiego!

Wypuszczając powietrze przez rozcięte gardło, ciało nagle złożyło się wpół z piekielną siłą przypiekanego ogniem węża. Deornoth czuł, że wymyka mu się z dłoni. Z rozkopanego nogą żaru poleciały w górę iskry. Deornoth usłyszał gdzieś w pobliżu płacz Vorzhevy. Inni krzyczeli przerażeni. Zsuwał się z leżącego; czuł, że przygniata go spychany Isorn. Słyszał okrzyki przerażenia swoich towarzyszy, które mieszały się z jego histeryczną modlitwą o siłę...

Nagle przerażająca moc tej istoty zelżała nieco. Jej ciało rzucało się jeszcze z boku na bok niczym zdychający węgorz, aż wreszcie znieruchomiało.

– Co...? – zdołał z siebie wydusić.

Einskaldir, z trudem łapiąc oddech, wskazał łokciem na ziemię, lecz wciąż nie zwalniał uścisku z nieruchomego ciała. Odcięta ostrym nożem głowa Ostraela potoczyła się na odległość ramienia od reszty ciała, nieomal poza krąg światła. Wszyscy widzieli, jak martwe usta wykrzywiły się, warcząc. Oczodoły istoty były teraz pustymi dziurami; świecące w nich purpurowe światło zgasło. Z martwych ust wydobył się jeszcze ostatni oddech, a z nim słowa:

– *Nie ma ucieczki... Nornowie odnajdą... Nie...* – Zapadła cisza.

– Na Archanioła... – milczenie przerwał ochrypły, przerażony głos błazna.

– Padł ofiarą demona – powiedział drżącym głosem Josua. – Musimy mu sprawić aedonicki pogrzeb. – Głos księcia zabrzmiał stanowczo, lecz wiele go to kosztowało wysiłku. Odwrócił się do Vorzhevy, która stała z szeroko otwartymi oczami i ustami rozdziawionymi okrzykiem

przerażenia. – Musimy uciekać. Rzeczywiście ścigają nas. – Josua spojrzał na Deornotha. – Aedonicki pogrzeb – powtórzył.

– Najpierw... – odezwał się Einskaldir; mówił, dysząc, a z długiego zadrapania na jego twarzy płynęła krew – ...najpierw odrąbię mu ręce i nogi. – Pochylił się i podniósł topór, by wykonać to, co powiedział. Pozostali odwrócili się.

LEŚNA NOC PODPEŁZŁA jeszcze bliżej.

Stary Gealsgiath szedł wolno po mokrym, kołyszącym się pokładzie swego statku w kierunku dwóch zakapturzonych, otulonych płaszczami postaci, które stały skulone przy prawej burcie. Odwróciły się, gdy nadszedł, lecz nie puściły poręczy.

– Co za piekielna pogoda! – zawołał kapitan, przekrzykując wyjący wiatr. Żadna z postaci nie odezwała się. – Chłopaki będą już dzisiaj spać w łóżkach – zaryczał jowialnie stary Gealsgiath. Jego gardłowy, hernystirski głos zabrzmiał głośniej od łopotu żagli. – Psia pogoda.

Większa z postaci zsunęła z głowy kaptur; deszcz zacinał w jej różową twarz tak, że musiała zmrużyć oczy.

– Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie? – zawołał brat Cadrach.

Gealsgiath roześmiał się, a jego śniada twarz się zmarszczyła. Wiatr natychmiast porwał ze sobą jego śmiech.

– Tylko wtedy, gdy zachce ci się popływać. Zbliżamy się już do portu Ansis Pelippe.

Cadrach odwrócił się i utkwił wzrok w kotłującym się mroku, gęstym od mgły i deszczu.

– Jesteśmy już blisko? – spytał, odwracając się.

Kapitan uniósł zakrzywiony palec i wskazał na ciemniejszą plamę w ciemności na prawo od dziobu statku.

– Ta wielka, ciemna plama to właśnie góra Perdruin, niektórzy nazywają ją Iglicą Streawe’a. Zanim całkiem się ściemni, wpłyniemy do portu. Chyba że wiatr spłata nam figla. Niech to Brynioch przeklnie, dziwna pogoda jak na miesiąc Yuven.

Towarzysz Cadracha, mniejszy od niego, rzucił spojrzenie na majaczącą w gęstej mgle górę Perdruin i zaraz znowu opuścił głowę.

– W każdym razie, ojcze – odezwał się Gealsgiath, przekrzykując wiatr – dziś wieczór zawijamy do portu i pozostaniemy w nim przez dwa dni. Zdaje się, że tutaj wysiadacie, bo zapłaciliście tylko za dopłynięcie do tego portu. Może zejdziesz później na brzeg i napijesz się ze mną po kuflu czegoś dobrego, jeśli nie zabrania ci tego twoja wiara. – Kapitan uśmiechnął się z afektacją. Każdy, kto spędził choć trochę czasu w portowych tawernach, wiedział, że aedoniccy zakonnicy nie stronili od mocnych trunków.

Brat Cadrach patrzył przez chwilę na kołyszące się żagle, po czym zwrócił swe trochę dziwne, chłodne spojrzenie na marynarza. Na jego okrągłej twarzy pojawił się uśmiech.

– Dziękuję, kapitanie, ale nie. Zostaniemy z chłopcem na statku jeszcze jakiś czas po przybyciu do portu. On nie czuje się najlepiej, a ja nie chcę go poganiać. Czeka nas długa wędrówka pod górę, zanim dotrzemy do opactwa. – Mniejsza postać trąciła Cadracha w łokieć znacząco, lecz zakonnik nie zwracał na to uwagi.

Gealsgiath wzruszył ramionami i nasunął mocniej na oczy swój bezkształtny kapelusz.

– Zrobisz, jak będziesz chciał, ojcze. Zapłaciłeś za podróż i odpracowałeś, co do ciebie należało, choć powiedziałbym raczej, że to

twój chłopak odpracował. Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz, zanim wypłyniemy do Crannhyru. – Odwrócił się, machając pokrytą guzami dłonią, i ruszył z powrotem śliskim pokładem. – Ale jeśli chłopiec czuje się źle, zabrałbym go pod pokład – zawołał, odchodząc.

– Chcieliśmy tylko zaczerpnąć świeżego powietrza! – zawołał za nim Cadrach. – Prawdopodobnie zejdziemy na ląd jutro rano! Dzięki, kapitanie!

Kiedy stary Gealsgiath zniknął we mgle i deszczu, towarzysz Cadracha zwrócił się do zakonnika:

– Dlaczego mamy zostać na pokładzie? – spytała Miriamele; na jej ładnej, szczupłej twarzy wyraźnie widać było gniew. – Chcę już zejść z tego statku! Każda godzina jest droga. – Deszcz tak przemoczył nawet jej gruby kaptur, że pozlepiane kosmyki czarnych włosów przylgnęły do jej czoła.

– Cicho, moja pani, cicho. – Tym razem uśmiech brata Cadracha wydawał się odrobinę bardziej szczery. – Oczywiście, że zejdziemy na ląd, gdy tylko dobijemy do brzegu. Nie martw się.

– To dlaczego powiedziałeś mu...? – spytała ze złością Miriamele.

– Ponieważ marynarze lubią dużo mówić i założę się, że właśnie taki jest nasz kapitan. Jeden święty Muirfath wie, że nie było innego sposobu, żeby go uciszyć. Gdybyśmy mu zapłacili i powiedzieli, żeby trzymał język za zębami, zaraz upiłby się i rozgadał wszystko. A tak, jeśli ktoś podsłucha jego rozmowę o nas, będzie myślał, że jesteśmy jeszcze na statku. Może nawet będzie czekał na nas do chwili odpłynięcia statku. My tymczasem będziemy już bezpieczni w Ansis Pelippe. – Cadrach cmoknął zadowolony.

– Och. – Miriamele rozważyła to, co powiedział. Po raz kolejny nie doceniła zakonnika. Cadrach nie pił od chwili wejścia na pokład statku Gealsgiatha w Abaingeat. I nic dziwnego; od tamtej chwili chorował kilkakrotnie. Za tą okrągłą twarzą krył się bystry umysł. Nie po raz pierwszy stwierdziła, że Cadrach potrafi myśleć.

– Przepraszam – odezwała się wreszcie. – To był dobry pomysł. Czy naprawdę uważasz, że ktoś nas szuka?

– Moja pani, bylibyśmy głupcami, gdybyśmy myśleli inaczej. – Zakonnik ujął ją pod łokieć i poprowadził na dający dość słabe schronienie dolny pokład.

KIEDY WRESZCIE ZOBACZYŁ PERDRUIN, miał wrażenie, że spośród wzburzonych fal wyłonił się ogromny statek, który płynie wprost na ich kruchą łupinkę. Początkowo widział zaledwie ciemniejszą plamę; potem, jakby ktoś nagle odsłonił kurtynę mgły, miasto wyrosło prawie nad jego głową niczym dziób potężnego statku. Gdy statek handlowy Gealsgiatha przemykał się przez wejście do portu, wyspa wciąż rosła nad nimi; jej skalista posada tworzyła klin ciemności, który rosnąc, zasłaniał nawet spowite mgłą niebo.

Cadrach zdecydował, że zostaną pod pokładem. Miriamele odpowiadało takie rozwiązanie. Stała oparta o poręcz, słuchając pokrzykujących i śpiewających marynarzy, którzy zwijali żagle w ciemności upstrzonej światełkami latarni. Ich głosy wznosiły się w nierówno śpiewanej piosence i nagle załamywały się przekleństwami i salwą śmiechu.

Kiedy znaleźli się za ścianą portowych budynków, wiatr zelżał. Miriamele poczuła dziwne ciepło, które rozchodziło się po plecach i karku; od razu rozpoznała znajome uczucie: była szczęśliwa. Była wolna i zmierzała tam, dokąd chciała. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni czuła się tak dobrze.

Nie była w Perdruin od czasów dzieciństwa, lecz mimo to miała wrażenie, że wraca do domu. Jej matka, Hylissa, przywiozła ją tutaj, kiedy Miriamele była małą dziewczynką; w czasie wizyty Hylissy u jej siostry, księżnej Nessalanty z Nabbanu. Zatrzymali się w Ansis Pelippe, by złożyć

kurtuazyjną wizytę księciu Streawe. Miriamele niewiele z tamtych odwiedzin zachowała w pamięci, lecz zapamiętała miłego starca, który dał jej mandarynkę, oraz ogrodzony wysokim murem ogród ze ścieżkami wyłożonymi płytkami. Miriamele goniła wtedy ptaka z bardzo długim ogonem, gdy tymczasem jej matka piła wino, śmiała się i rozmawiała z dorosłymi.

Pomyślała, że tamten miły staruszek musiał być księciem. Ogród, który wtedy widziała, z pewnością był ogrodem jakiegoś bogacza; przypominał starannie utrzymany raj ukryty wewnątrz zamkowego dziedzińca. Pamiętała kwitnące drzewa i przepiękne srebrne i złote rybki pływające w małym stawie, który umieszczono na środku ścieżki...

Wiejący od portu wiatr wzmógł się i szarpnął jej płaszczem. Poczuła chłód poręczy pod palcami i przycisnęła ramiona do ciała.

Niedługo po wizycie w Ansis Pelippe matka udała się w kolejną podróż, tym razem bez Miriamele. Wuj Josua zabrał Hylissę do ojca Miriamele, Eliasa, który wtedy walczył gdzieś ze swoim wojskiem. W czasie tej podróży Josua stracił dłoń, a Hylissa nigdy z niej nie powróciła. Elias, oszalały ze smutku, ale i zbyt wzburzony, by mówić o śmierci, powiedział tylko swej córeczce, że matka nigdy już nie będzie mogła powrócić. Miriamele wyobrażała sobie matkę uwięzioną w otoczonym murem ogrodzie równie pięknym jak ten, który widziała w Perdruin. Nie mogła go opuścić nawet po to, by odwiedzić swą córkę, która tak bardzo za nią tęskniła...

A córka, kiedy kładziono ją do łóżka, leżała całymi nocami, nie śpiąc, wpatrując się w ciemność, i układała plany uratowania matki z kwitnącego więzienia pełnego kamiennych ścieżek...

Od tamtej pory nic już nie układało się dobrze. Miała wrażenie, że po śmierci matki ojciec napił się jakiejś wolno działającej trucizny, jadu, który

zżerał go od wewnątrz i zamieniał powoli w kamień.

Gdzie on jest teraz? Co robi Wielki Król Elias?

Miriamele spojrzała w górę na tonącą w mroku górzystą wyspę i poczuła, że chwila radości umyka szybko jak chusteczka, którą wiatr wyrwał z czyjejś dłoni. Nawet teraz jej ojciec oblegał Naglimund, wyładowując złość na murach twierdzy Josui. Isgrimnur, stary Towser i wszyscy inni walczyli teraz o swoje życie, gdy tymczasem ona mijała portowe światła, płynąc na gładkim i ciemnym grzbiecie oceanu.

Był z nimi też chłopiec z kuchni, rudowłosy i niezdarny, choć zawsze życzliwy, który nie potrafił ukryć swych rozterek i strapień. Posmutniała na wspomnienie o nim. Razem z małym trollem udali się do nieznanej krainy Północy, by być może nigdy nie powrócić.

Wyprostowała się. Wspomnienie dawnych towarzyszy kazało jej pomyśleć o chwili obecnej. Podróżowała przecież z zakonnikiem jako nowicjusz – w dodatku chory nowicjusz. Powinna być teraz pod pokładem. Statek wkrótce przybije do brzegu.

Miriamele uśmiechnęła się ponuro. Tyle oszustw. Uciekła od ojca; była wolna, lecz wciąż coś udawała. W Nabbanie i Naglimundzie pomimo smutku często udawała, że jest szczęśliwa. Wolała kłamać, niż odpowiadać na pytania, zadawane pewnie w dobrej wierze, na które jednak nie potrafiła odpowiedzieć. Kiedy ojciec odsunął się od niej, udawała, że nic ją to nie obchodzi, choć czuła, że wypełnia ją coraz większa pustka.

Gdzie jest Bóg? – myślała mała Miriamele; gdzie On był, kiedy miłość powoli zamieniała się w obojętność i troskę, która w końcu stała się tylko obowiązkiem? Gdzie był Bóg, gdy jej ojciec błagał niebiosa o odpowiedź na swoje pytania, a jego córka słuchała tego zatrwożona w cieniu pod jego drzwiami?

„Może on uwierzył w moje kłamstwa? – pomyślała z goryczą, schodząc po śliskich od deszczu, drewnianych stopniach na niższy pokład. – Może on chciał w nie wierzyć, by móc kontynuować to, co zamierzył”.

MIASTO NA WZGÓRZU było jasno oświetlone, a w przesiąkniętej deszczem ciemności widać było wielu zamaskowanych biesiadników. W Ansis Pelippe obchodzono właśnie święto przesilenia dnia z nocą. Pomimo niespotykanie złej pogody wąskie i kręte uliczki miasta rozbrzmiewały wesołymi okrzykami.

Miriamele cofnęła się, gdy nagle pojawili się zataczający się mężczyźni przebrani za małpy powiązane łańcuchami. Ujrzawszy ją w cieniu drzwi rozwalającego się domu, jeden z pijanych aktorów, ubrany w sztuczne futro pozlepiane teraz od deszczu, odwrócił się i zatrzymał, jakby chciał jej coś powiedzieć. Lecz zamiast tego czknął tylko, uśmiechnął się przepraszająco przez otwarty pysk przekrzywionej maski i spuścił smutny wzrok na wyboistą ulicę.

Kiedy małpy odeszły, potykając się, u jej boku pojawił się Cadrach.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała stanowczo. – Nie było cię prawie godzinę.

– Moja pani, z pewnością nie aż tak długo. – Cadrach pokiwał głową. – Musiałem zająć się pewnymi rzeczami, które bardzo nam się przydadzą. Tak, bardzo się przydadzą. – Rozejrzał się. – Ależ to głośna noc, prawda?

Miriamele pociągnęła Cadracha na ulicę.

– Patrząc na nich, nikt by nie powiedział, że na Północy jest wojna i umierają ludzie – powiedziała z naganą w głosie. – A przecież i Nabbańczycy wkrótce także mogą być w nią wciągnięci.

– Nie ma obawy, moja pani – zaprzeczył Cadrach, starając się zdążyć za Miriamele. – Filozofią Perdruińczyków jest nie wiedzieć o takich rzeczach.

Dlatego właśnie zachowują dobre samopoczucie i nie angażują się w większość konfliktów; wspomagają obie strony: potencjalnego zwycięzcę i zwyciężonego, i mają jeszcze z tego niezły zysk. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu i otarł deszcz z czoła. – Ale jest coś, o co z pewnością walczyliby twoi Perdruińczycy: ochrona swoich zysków.

– Dziwi mnie, że nikt ich nie atakuje. – Księżniczka nie wiedziała, dlaczego beztroska mieszkańców Ansis Pelippe tak ją denerwuje, ale rzeczywiście czuła się poirytowana.

– Atakować? Zmącić wodę w studni, z której wszyscy piją? – Cadrach był wyraźnie zdziwiony. – Moja droga Miriamele... to znaczy, mój drogi Malachiasie – muszę o tym pamiętać, gdyż niebawem znajdziemy się wśród ludzi, którym twe imię nie jest obce – tak więc, mój drogi Malachiasie, musisz się jeszcze dużo nauczyć o świecie. – Zamilkł, gdyż nadeszła kolejna grupa podchmielonych przebierańców, którzy sprzeczali się o słowa jakiejś piosenki. – Posłuchaj ich – powiedział zakonnik, wskazując na przechodzących – oni są przykładem tego, że fakt, o którym mówisz, nigdy nie nastąpi. Słyszałaś tę małą debatę?

Miriamele mocniej naciągnęła na głowę kaptur, by ochronić się przed zacinającym deszczem.

– Tylko trochę – odparła. – A co to ma do rzeczy?

– Nie jest istotne, o co się kłócili, lecz jak to robili. Wszyscy byli Perdruińczykami, chyba że straciłem słuch od tego morskiego ryku, a mimo to sprzeczali się w języku Westerling.

– I co z tego?

– Widzisz. – Cadrach zmrużył oczy, jakby szukał czegoś w zatłoczonej, rozświetlonej blaskiem latarń ulicy, lecz nie przestał mówić. – Oboje posługujemy się językiem Westerling, lecz nie licząc erkynlandzkich rodaków – a i oni nie wszyscy – nikt nie posługuje się tym językiem

w swoim kraju. Rimmersmeni w Elvritshalli używają języka Rimmerspakk; my, Hernystirczycy, mówimy naszym językiem, będąc w Crannhyrze czy Hernysadharc. Jedynie Perdruińczycy przyjęli uniwersalny język twego dziadka, Króla Johna, i język ten stał się praktycznie ich własnym.

Miriamele zatrzymała się na środku błotnistej ulicy, pozwalając przetoczyć się roześmianej fali. Ponad dachami domów wznosił się sztuczny świt blasku tysięcy oliwnych lamp.

– Bracie Cadrachu, jestem zmęczona i głodna i nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

– To proste. Perdruińczycy są, jacy są, ponieważ zawsze starają się zadowolić innych; innymi słowy, zawsze wiedzą, z której strony wieje wiatr, i ustawiają się tak, by wiał im w plecy. Gdybyśmy my, Hernystirczycy, byli narodem zdobywców, Perdruińczycy posługiwaliby się językiem hernystirskim. Nabbańczycy mówią: Jeśli Król potrzebuje jabłek, Perdruińczycy zakładają sady. Głupi byłby ten, kto chciałby zaatakować tak uległego przyjaciela i pomocnego sprzymierzeńca.

– A zatem można powiedzieć, że Perdruińczycy wystawiają swe dusze na sprzedaż? – zauważyła Miriamele. – I są lojalni tylko wobec najsilniejszych?

Cadrach uśmiechnął się.

– Moja pani, wyczuwam w twych słowach nutę pogardy, lecz trafnie to określiłaś.

– W takim razie nie są lepsi – rozejrzała się uważnie, starając się opanować gniew – nie są lepsi od dziwek!

Spojrzenie zakonnika stało się chłodne i pełne dystansu; uśmiech był teraz wyrazem formalnej grzeczności.

– Księżniczko, nie wszyscy mogą być bohaterami – powiedział spokojnie. – Niektórzy wolą poddać się temu, co nieuniknione, i złożyć dar

przetrwania dla spokoju sumienia.

Idąc, Miriamele zastanawiała się nad tą oczywistą prawdą i nie wiedziała, dlaczego jest jej tak bardzo smutno.

WYŁOŻONE KAMIENIAMI uliczki Ansis Pelippe wiły się niemiłosiernie; w wielu miejscach ich stopnie wyżłobione w kamieniu wspinały się zboczami wzgórz, potem serpentyną schodziły w dół, aby ponownie zawrócić i przeciąć się wielokrotnie niczym węże w koszyku. Po ich obu stronach stały ciasno obok siebie domy; w większości ich okna przypominały zamknięte oczy śpiącego, a tylko gdzieniegdzie rozjaśniał je blask lamp i dochodziła muzyka. Pochylone przylegały trwożliwie do ściany zbocza, a ich górne piętra jakby wisiały nad ciasnymi ulicami. Miriamele poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie z głodu i zmęczenia. Momentami miała wrażenie, że ma nad sobą nisko chylące się konary drzew lasu Aldheorte.

Perdruin leżało na wzgórzach otaczających Sta Mirore, największą górę na tych terenach. Ich ciężkie grzbiety wyrastały niemal bezpośrednio ze skalistych krawędzi wyspy ponad zatoką Emettin. To sprawiało, że Perdruin swym kształtem przypominało maciorę z małymi. Niewiele było tam płaskiego terenu; jedynie w zagłębieniach, gdzie wysokie wzgórza łączyły się ze sobą. Tam też przywarły do ich zboczy, jak gniazda mew, miasta i wioski Perdruin. Nawet Ansis Pelippe, wielki port i siedzibę księcia Streawe’a, wybudowano na stromych zboczach cypla, który mieszkańcy nazwali Portowym Kamieniem. W wielu miejscach mieszkańcy Ansis Pelippe mogli stanąć na przytulonej do zbocza ulicy i pomachać swym sąsiadom idącym ulicą poniżej.

– Muszę coś zjeść – odezwała się wreszcie Miriamele urywanym głosem.

Stali na zakręcie jednej z krętych uliczek w miejscu, skąd widzieli w dole pomiędzy dwoma domami światła tonącego we mgle portu. Na zachmurzonym niebie pojawił się niewyraźny księżyc podobny do kawałka kości.

– Ja też nabrałem ochoty na postój – wysapał Cadrach.

– Jak daleko stąd jest do opactwa?

– Nie ma żadnego opactwa, w każdym razie my się do niego nie udajemy.

– Ale przecież powiedziałeś kapitanowi... och! – Miriamele potrząsnęła głową, coraz dotkliwiej czując ciężar mokrego kaptura i płaszcza. – Ach, tak. Dokąd więc idziemy?

Cadrach uśmiechnął się wpatrzony w księżyc.

– Możemy iść tam, dokąd chcemy. Zdaje się, że na końcu tej ulicy znajdziemy jakąś godziwą tawernę; przyznaję, że tam właśnie zmierzałem, choć nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobała wspinaczka po takich wzgórzach *goirach*.

– Do tawerny? Dlaczego nie do hotelu? Tam moglibyśmy zjeść i się przespać.

– Wybacz, ale jedzenie nie jest tym, o czym teraz myślę. Aż wierzyć mi się nie chce, że wytrzymałem tak długo na pokładzie tego piekielnego statku. Odpocznę dopiero wtedy, gdy zaspokoję pragnienie. – Cadrach otarł dłonią usta i uśmiechnął się.

Miriamele nie podobało się jego spojrzenie.

– Ale co drugi dom tutaj jest tawerną... – zaczęła Miriamele.

– Tak, tak. Tawerną pełną pijanych plotkarzy i szpiegów. Zasłużyłem na odpoczynek w lepszym miejscu. – Odwrócił się tyłem do księżyca i ruszył sztywnym krokiem w górę ulicy. – Chodź, Malachiasie. Jeszcze tylko kawałek, możesz mi wierzyć.

WYDAWAŁO SIĘ, ŻE W CZASIE takiego święta nie ma w mieście tawerny, która nie byłaby przepełniona, lecz przynajmniej w Czerwonym Delfinie goście nie siedzieli policzek przy policzku jak w tawernach bliżej nabrzeża, a tylko łokieć przy łokciu. Miriamele z ulgą osunęła się na ławkę stojącą pod ścianą naprzeciw drzwi i zanurzyła się w fale rozmów i śpiewów. Cadrach odłożył swoją laskę i torbę, by oddalić się po kufel Nagrody Podróżnego. Po chwili był już z powrotem.

– Ach, dobry Malachiasie, zapomniałem, że zapłaciwszy za podróż statkiem, zostałem niemal żebrakiem. Czy masz może cintisa lub dwa, które pomogłyby mi ugasić pragnienie?

Miriamele poszukała w swojej sakiewce i wyciągnęła garść miedziaków.

– Kup mi chleba i sera – powiedziała, wysypując monety do wyciągniętej dłoni zakonnika.

Marzyła o tym, by móc zdjąć mokry płaszcz. W pewnym momencie do tawerny wkroczyła z hukiem kolejna grupa biesiadników; otrzepując się z deszczu, wołali o piwo. Najgłośniej zachowywał się osobnik w masce psa z wywieszonym czerwonym językiem. Huknąwszy pięścią w stół, spojrzał na Miriamele i jakby znieruchomiał na chwilę. Przestraszyła się, przypominając sobie inną psią maskę i strzały śmigające między drzewami. Po chwili jednak pies odwrócił się do swoich kompanów. Rzucił jakiś dowcip i roześmiał się, potrząsając szmacianymi uszami.

Miriamele przycisnęła dłoń do piersi, jakby chciała kazać zwolnić szybko bijącemu sercu.

„Nie wolno mi zdejmować kaptura – pomyślała. – Przecież to noc szaleństw. Kto mi się będzie przyglądał? Lepiej jednak go nie zdejmować. Ktoś mógłby mnie rozpoznać, choć chyba to mało prawdopodobne”.

Cadracha nie było już dość długo. Miriamele zaczynała się niepokoić. Zastanawiała się, czy nie pójść i go nie poszukać, gdy wreszcie pojawił się z dzbanem piwa w każdej dłoni. Pomiędzy dzbanami niósł pół bochenka chleba i kawał sera.

– Dzisiejszej nocy można umrzeć z pragnienia, czekając na piwo – powiedział.

Miriamele zaczęła łapczywie jeść. Po chwili pociągnęła duży łyk piwa, które było mocne i gorzkie. Resztę pozostawiła Cadrachowi, który wcale nie protestował.

Kiedy zlizała z palców ostatnie okruchy chleba i zastanawiała się, czy jest wystarczająco głodna, by spróbować pasztetu z gołębia, na ich ławkę padł cień. Spod czarnego kaptura spoglądała na nich twarz Śmierci.

Miriamele wstrzymała oddech, a Cadrach zakrztusił się winem, wylewając trochę na swój habit, lecz obcy w masce się nie poruszył.

– Dobry żart, przyjacielu – rzucił rozzłoszczony Cadrach. – Przyjemnej zabawy. – Otarł dłonią mokre miejsce.

Usta Śmierci nawet nie drgnęły. Zza wyszczerzonych zębów dobiegł bezbarwny głos:

– Chodźcie za mną.

Miriamele poczuła mrowienie na karku. Nagle stwierdziła, że jest bardzo najedzona.

Cadrach zmrużył oczy. Widziała, że napiął kark i dłonie.

– A kim ty jesteś, przebierańcu? Gdybyś był prawdziwą Siostrą Śmiercią, lepiej byłbyś ubrany. – Zakonnik wskazał lekko drżącym palcem na podarte, czarne ubranie, w które ubrana była postać.

– Wstańcie i chodźcie ze mną – powiedziała zjawa. – Mam nóż. Źle skończycie, jeśli zaczniecie krzyczeć.

Brat Cadrach spojrzał na Miriamele i wykrzywił twarz. Wstali. Księżniczka czuła, że drżą jej kolana. Śmierć dała im znak, by szli przodem przez tłum gości.

Miriamele zastanawiała się, czy nie spróbować szybkiej ucieczki, gdy z tłumu przy drzwiach wyłoniły się dwie inne postacie. Jedna z nich miała na sobie niebieską maskę i strój marynarza; druga ubrana była w strój wieśniaczy, a na głowie miała zbyt duży kapelusz. Ich ponure spojrzenia niezbyt odpowiadały panującemu nastrojowi.

Eskortowani przez marynarza i wieśniaka, Miriamele i Cadrach wyszli na ulicę za ubraną na czarno Śmiercią. Miriamele pośliznęła się na jednym ze śliskich, kamiennych schodów i z przerażeniem zobaczyła tuż obok trupią czaszkę Śmierci, która wyciągnęła dłoń, by ją podtrzymać. Choć dotknięcie było tylko przelotne, Miriamele nie mogła się od niego uwolnić, nie narażając się na upadek; zacisnęła zęby w milczeniu. Chwilę później zeszli ze schodów i ruszyli inną aleją; potem wspięli się po rampie, by skręcić za róg.

Choć księżyc świecił słabo i słychać było okrzyki dochodzące z tawerny oraz z portu, Miriamele zupełnie nie wiedziała, gdzie się znajduje. Szli wąskimi, bocznymi uliczkami jak stado czających się kotów; mijali pogrążone w cieniu podwórka i obrośnięte winem alejki. Od czasu do czasu z zaciemnionych okien dochodziły ich odgłosy ludzkich szeptów, a raz nawet słyszeli kobiecy płacz.

Wreszcie doszli do osklepionej bramy w wysokim murze. Śmierć wyciągnęła z kieszeni klucz i otworzyła ją. Weszli na dziedziniec, który ginął pod dachem konarów chylących się wierzb; krople deszczu spływały wolno z gałązek na popękane kamienie dziedzińca. Prowadzący odwrócił się do pozostałych i dał znak kluczem, nakazując, by Miriamele i Cadrach poszli przed nim w kierunku ocienionych drzwi.

– Człowieku, przyszliśmy z tobą tak daleko – odezwał się zakonnik szeptem, jakby także brał udział w tej konspiracji. – Ale czy mamy tak biernie dać się wprowadzić w zasadzkę? Dlaczego nie mielibyśmy walczyć z wami tutaj i zginąć pod gołym niebem, jeśli już musimy umrzeć?

Śmierć pochyliła się ku niemu bez słowa. Cadrach odchylił się, lecz mężczyzna w masce z trupią czaszką pochylił się jeszcze bardziej i zapukał do drzwi dłonią w czarnej rękawiczce, po czym pchnął je. Dobrze naoliwione zawiasy poruszyły się, nie wydając najmniejszego dźwięku. W wejściu paliło się słabe, lecz sprawiające wrażenie przytulności światło. Miriamele minęła zakonnika i weszła do wnętrza. Cadrach ruszył za nią, mrucząc coś do siebie. Człowiek przebrany za Śmierć wszedł za nimi i zamknął drzwi za sobą.

Znaleźli się w małym salonie oświetlonym tylko blaskiem ognia z kominka i płomieniem jednej świecy, którą postawiono w jakimś naczyniu na stole obok karafki z winem. Ściany pokoju zakrywały ciężkie, bawełniane gobeliny, które w nikłym świetle wydawały się przedstawiać tylko kolorowe plamy. Przy stole, na krześle z wysokim oparciem siedziała postać równie dziwna jak te, które ich przyprowadziły: był to wysoki mężczyzna w rdzawobrązowym płaszczu – na twarzy miał maskę o ostrych rysach lisa.

Lis pochylił się i wdzięcznym ruchem dłoni skrytej w welwetowej rękawiczce wskazał dwa krzesła.

– Siadajcie. – Głos miał dość cienki, lecz melodyjny. – Siadaj, księżniczko Miriamele. Wstałbym, gdyby nie chore nogi.

– To jakieś szaleństwo – wybuchnął Cadrach, patrząc przez ramię na maskę trupiej czaszki. – Panie, to jakaś pomyłka. Mówisz do chłopca, on jest moim pomocnikiem.

– Proszę. – Lis nakazał mu łagodnym gestem milczenie. – Czas, byśmy zdjęli nasze maski. Czy nie tak kończy się zwykle uroczystość przesilenia dnia z nocą?

Uniósł lisią maskę, odkrywając zmierzwione, siwe włosy i twarz pooraną zmarszczkami. Na jego pomarszczonych ustach pojawił się uśmiech, a oczy zalśniły w blasku ognia.

– Skoro już wiesz, kim jestem... – zaczął, lecz przerwał mu Cadrach.

– Panie, nie wiemy, kim jesteś, musiałeś nas z kimś pomylić!

Starzec roześmiał się.

– Ale tam, mój drogi przyjacielu, ciebie może i nigdy nie widziałem, lecz księżniczka i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Bardzo, bardzo dawno temu była moim gościem.

– Ty jesteś... książę Streawe? – spytała Miriamele zdumiona.

– Zgadza się. – Książę skinął głową. Pochylił się i ujął jej mokrą dłoń w swoją w welwetowej rękawiczce. – Jestem panem Perdruin. A także waszym panem od chwili, gdy zeszliście na wyspę, którą zarządzam.

3. Krzywoprzysięzca

TEGO DNIA, W KTÓRYM SPOTKAŁ SIĘ z Pasterzem i Łowczynią, kiedy słońce wzeszło już wysoko, Simon poczuł się dość silny, by wyjść na zewnątrz i usiąść na skalnym ganku przed jaskinią. Wzdragając się przed zimną powierzchnią skały, usiadł na kocu; pozostałą jego część zarzucił sobie na ramiona. Wydawało się, że w całym Yiqanuc nie ma niczego, co przypominałoby krzesło, nie licząc królewskiego siedzenia w Chidsik ub Lingit.

Pasterze dawno już wyprowadzili swoje owce z dolin, gdzie zapędzano je na noc, i popędzili stada niżej w poszukiwaniu paszy. Jiriki wyjaśnił mu wcześniej, że przedłużająca się zima zniszczyła młode pędy roślin, którymi żywiły się zwierzęta. Na jednym z odległych wzgórz widać było jeszcze malutkie jak mrówki, zbite w gromadę owce. Dochodził stamtąd klekot uderzających o siebie rogów baranów walczących o przewodnictwo w stadzie.

Kobiety trolli – przywiązawszy swe czarnowłose dzieci do skórzanych siodełek na plecach – wyruszyły uzbrojone w cienkie włócznie na polowanie, by świstakami i innymi zwierzętami urozmaicić dietę, którą stanowiła głównie baranina. Binabik często powtarzał, że owce są

prawdziwym bogactwem ludu Qanuc; zjadali oni tylko te nienadające się już do niczego innego.

Kobiety trollów nie nosiły ze sobą włóczni tylko dlatego, że polowały na świstaki, króliki i inne małe zwierzęta. Simon zauważył, że jedno z futer, którym owinięta była Nunuuika, pochodziło od irbisa; jego ostre jak sztylety pazury wciąż lśniły wspaniale. Mając w pamięci groźne spojrzenie Nunuuiki, Simon nie wątpił, że sama zdobyła to trofeum.

W tych okolicach nie tylko kobiety narażone były na niebezpieczeństwo; także pasterze musieli się mocno natrudzić, by uchronić swe cenne owce przed licznymi drapieżcami. Binabik powiedział mu kiedyś, że wilki i lamparty, choć niebezpieczne, są niczym wobec górskich niedźwiedzi, z których największe osobniki dorównują wagą tuzinowi trolli. Binabik opowiadał, że wielu spośród jego ziomków znalazło szybką i okropną śmierć w zębach i pazurach białego niedźwiedzia.

Na wspomnienie tamtych opowieści Simon poczuł się nieswojo. Czy i on nie stał przed smokiem Igjarjukiem, zwierzęciem potężniejszym i bardziej niebezpiecznym od zwykłych zwierząt?

Siedział, patrząc, jak ranek przechodzi w popołudnie, i obserwując życie na górze Mintahoq: trudne, lecz jednocześnie zorganizowane jak w ulu. Starsi, którzy nie chodzili już polować ani paść owiec, gawędzili przed swymi jaskiniami lub wygrzewali się na słońcu; rzeźbili kości i rogi albo przycinali zwierzęcą skórę i wyrabiali z niej najprzeróżniejsze przedmioty. Dzieci, które były już za duże, by matki zabierały je na polowanie w siodełkach na plecach, bawiły się na zboczu góry pod okiem starców. Śmigały po cienkich drabinach lub huśtały się na mostach z rzemieni, zupełnie nie zważając na przepaści w dole. Simon nie mógł patrzeć na ich wyczyny, lecz przez całe popołudnie ani jedno dziecko nie zrobiło sobie krzywdy. Choć nie potrafił ocenić szczegółów, wyczuwał, że

panuje w tym wszystkim porządek. Miarowy rytm życia trolli wydawał się równie stały i silny jak sama góra.

TEJ NOCY SIMON znowu śnił o wielkim kole. Tym razem był do niego przywiązany; każdą z jego kończyn rozciągnięto na jednej ćwiartce obręczy. Przypominało to okrutną parodię męki Usiresa, Syna Bożego. Simon nie tylko został odwrócony do góry nogami, podobnie jak cierpiał Usires, lecz koło obracało go, tocząc się nieustannie poprzez pustkę czarnego nieba. Przed oczami migotały mu niewyraźne światła gwiazd. Coś tańczyło przed nim i szydziło z niego; coś lodowatego i pogrążonego w cieniu, czego śmiech przypominał głuche bzyczenie much.

Zawołał, tak jak zwykle w czasie swych koszmarnych snów, lecz nie usłyszał żadnego dźwięku. Próbował się uwolnić, jednak jego kończyny pozostawały bezwładne. Gdzie był Bóg, o którym duchowny mówił, że widzi wszystko? Dlaczego pozostawił Simona w tej okropnej otchłani?

Coś zaczęło się wolno formować w rozmazanym świetle gwiazd. Jego serce biło z coraz większą trwogą. Lecz z wirującej otchłani nie wyłoniła się oczekiwana okropność o czerwonych ślepiach; zamiast niej ujrzał małą, poważną twarz: była to ciemnowłosa dziewczynka, którą widział już w innych snach.

Otworzył usta. Wydawało mu się, że wściekle wirujące niebo zwolniło swe obroty.

Dziewczynka wymówiła jego imię. Głos docierał do niego jakby z długiego korytarza. Simon zdał sobie sprawę, że zna tę twarz, że widział ją wcześniej, ale kto to był... gdzie ją widział?

– *Simonie* – powtórzyła; głos był teraz wyraźniejszy, bardziej natarczywy. Lecz jeszcze coś innego sunęło w jego stronę. To coś było blisko, całkiem blisko...

Obudził się.

KTOŚ GO SZUKAŁ. Simon siadł na swym łóżku, z trudem łapiąc oddech i nasłuchując. Wokół panowała cisza przerywana tylko nieustannymi jękami górskiego wiatru i słabym chrapaniem Haestana, który leżał w pobliżu paleniska owinięty grubym płaszczem.

W jaskini nie było Jirikiego. Czy możliwe, by Sitha zawołał go z zewnątrz? A może to tylko sen? Simon zadrżał i pomyślał, czy nie lepiej schować się znowu pod swe futrzane przykrycie. W blasku żaru widział obłoczek swego oddechu.

Nie, ktoś czekał na zewnątrz. Nie potrafił powiedzieć, skąd wie, ale był tego pewien. Czuł, że jest napięty niczym struna harfy. Ta noc jakby drżała z napięcia.

A co, jeśli ktoś *rzeczywiście* czeka na niego na zewnątrz? A może jest to ktoś, czy też *coś*, czego należałoby się wystrzegać?

Rozmyślania takie nie miały jednak większego znaczenia. Wcześniej podświadomie postanowił, że wyjdzie, i myśl ta nie dawała mu spokoju.

„Rana wciąż jeszcze boli – pomyślał – i tak nie zasnę”.

Wyciągnął spodnie spod płaszcza, pod którym spał i gdzie chronił je przed chłodem nocy, i wciągnął na nogi, starając się robić to możliwie najciszej. Potem wsunął buty na bose stopy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie włożyć kolczugi, lecz niechęć przed jej zimnymi kółkami okazała się większa od pragnienia bezpieczeństwa, jakie mogłaby zapewnić. Narzucił na ramiona płaszcz i przeszedł cicho obok śpiącego Haestana, a potem pod wiszącą w wejściu skórzaną zasłoną.

Nad górą Mintahoq wisiały gwiazdy, widoczne niezwykle wyraźnie. Simon przyglądał im się zdumiony i miał wrażenie, że odczuwa dzielącą go od nich odległość i cały niewiarygodny przestwór nocnego nieba. Księżyc,

zbliżając się do pełni, wisiał nisko nad odległymi szczytami. Pokrywający je śnieg skrzył się w jego słabym blasku, lecz wszystko inne tonęło w cieniu.

Opuścił wzrok i zrobił kilka kroków na prawo, gdy nagle zatrzymało go głuche warczenie. Na ścieżce dostrzegł jakąś dziwną postać; była ciemna i tylko jej krawędzie rozjaśniał blask księżyca. Warczenie powtórzyło się. Oczy zalśniły zielono.

Simon zamarł z przerażenia, lecz po chwili rozpoznał postać.

– Qantaqa? – zapytał cicho.

Warczenie przeszło teraz w pełne podniecenia skomlenie. Wilczyca podniosła głowę.

– Qantaqa? Czy to ty? – Próbował przypomnieć sobie jakieś słowa w języku Binabika, lecz niczego nie pamiętał. – Jesteś ranna? – Przeklął siebie w duchu. Odkąd przyniesiono go tutaj ze smoczej góry, ani razu nie pomyślał o wilczycy, a przecież była jego towarzyszem – przyjacielem.

„Egoista! – zganił siebie”.

Skoro Binabik był uwięziony, pewnie nikt nie wiedział, co się działo do tej pory z Qantaqą. Zabrano jej pana i przyjaciela, podobnie jak Simonowi zabrano Doktora Morgenesa. Noc wydała mu się nagle o wiele bardziej zimna i pusta; świat wokół tchnął obojętnością i okrucieństwem.

– Qantaqa? Jesteś głodna? – Zrobił krok do przodu, ale wilczyca cofnęła się. Ponownie zawarczała, lecz teraz brzmiało to bardziej jak podniecenie niż gniew. Odbiegła kilka kroków w podskokach, warcząc; jej gęste, szare futro czyniło ją prawie niewidoczną. Simon poszedł za nią.

IDĄC OSTROŻNIE PO MOKREJ, kamiennej ścieżce, pomyślał, że być może robi coś głupiego. Kręte szlaki góry Mintahoq z pewnością nie były

odpowiednim miejscem na spacery o północy, zwłaszcza bez pochodni. Trolle dobrze o tym wiedziały: ścieżki prowadzące do jaskiń były puste, a i w samych jaskiniach nie paliły się żadne światła. Simon szedł w ciemności nieznacznie rozjaśnionej słabym światłem księżyca i wydawało mu się, że obudził się z jednego snu po to tylko, by zapaść w drugi.

Wydawało się, że Qantaqa celowo zmierza w sobie znanym kierunku. Kiedy Simon zostawał z tyłu, wracała do niego i czekała cierpliwie w odległości kilku kroków, puszczając małe obłoczki pary. Gdy tylko Simon zbliżał się na długość wyciągniętego ramienia, biegła dalej. I tak szedł za nią, jak za duchem z zaświatów, który chce go odwieść od ognisk jego ziomków.

Szli jakiś czas wokół zbocza góry i dopiero wtedy Qantaqa przybiegła do Simona. Wpadł na nią tak niespodziewanie, że odbił się od jej ogromnego ciała i upadł na siedzenie. Stała nad nim przez chwilę, czule obwąchując zimnym nosem jego kark. Simon podrapał ją za uchem i poczuł – nawet przez gęste futro – że drży. Chwilę później, jakby miała już dość pieszczot, znowu odskoczyła i stała, skomląc, dopóki Simon nie wstał i roztarłszy siedzenie, ruszył za nią.

Miał wrażenie, że obszedł z Qantaqą połowę góry. Wilczyca zatrzymała się wreszcie, popiskując w podnieceniu na krawędzi kompletnej ciemności. Simon podchodził bardzo ostrożnie; przez cały czas macał dłonią surowy kamień zbocza góry. Zniecierpliwiona Qantaqa przebierała nogami.

Wilczyca stała na krawędzi ogromnego dołu, który wyrąbano tuż przy ścieżce. Płynący nisko po niebie księżyc, niczym przeładowany statek, oblewał srebrzystym światłem jedynie jego krawędzie. Qantaqa szczeknęła, nie mogąc ukryć podniecenia.

Simon ze zdziwieniem usłyszał, że z dołu dobiega jakiś głos.

– Uciekaj stąd, wilku! A niech to przeklnie Aedon, nawet spać już nie dają!

Simon opadł na zimną skałę i zaczął pełzać na kolanach, aż jego głowa znalazła się nad ciemnym wnętrzem dołu.

– Kto tam jest? – zawołał. Jego słowa odbiły się echem, jakby leciały nieskończenie daleko. – Sludig?

Zapadła cisza.

– Simon? Czy to ty?

– Tak! Tak! To ja! Przyprowadziła mnie Qantaqa! Czy jest z tobą Binabik? Binabik! To ja, Simon!

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Wreszcie odezwał się Sludig, lecz teraz Simon wyczuł napięcie w jego głosie.

– Troll i tak ci nie odpowie. Jest tu ze mną, lecz nie odzywa się ani do mnie, ani nawet do Jirikiego, kiedy tu przychodził; z nikim nie rozmawia.

– Czy jest chory? Binabiku, to ja, Simon! Dlaczego nie odpowiadasz?

– Chore jest chyba tylko jego serce – powiedział Sludig. – Co do reszty wygląda tak jak przedtem. Może jest trochę chudszy, podobnie jak ja. Ale zachowuje się, jakby już nie żył. – Coś zaszurało w dole, jakby ktoś się poruszył. – Jiriki mówi, że nas zabiją – dodał po chwili Rimmersman zrezygnowanym głosem. – Sitha próbował stawać w naszej obronie; może niezbyt gorliwie, ale zrobił to. Twierdził, że jego argumenty nie przekonały trolli, które nie chcą zrezygnować z wymierzenia sprawiedliwości. – Roześmiał się ponuro. – Sprawiedliwość, która pozwala na zabicie kogoś, kto nie wyrządził im najmniejszej krzywdy. A także jednego spośród nich, który przecierpiał wiele dla dobra wszystkich, także i dla ich dobra. Einskaldir miał rację. Z wyjątkiem tego milczka tutaj w dole, wszystkie inne trolle to nędzne kreatury.

Simon usiadł i ścisnął głowę dłońmi. Wiatr duł nieustannie, obojętny na troski innych. Czuł, że ogarnia go bezradność.

– Binabiku! – zawołał, ponownie pochylając się nad dołem. – Qantaqa czeka na ciebie! Przy tobie jest Sludig. On też cierpi. Nikt wam nie pomoże, jeśli ty sam sobie nie pomożesz! Dlaczego nie porozmawiasz ze mną?

W odpowiedzi usłyszał tylko głos Sludiga:

– To na nic, mówię ci. Ma zamknięte oczy. Nie słyszy cię i się nie odezwie.

Simon uderzył dłonią w skałę i zaklął. Poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

– Sludig, pomogę wam – odezwał się wreszcie. – Jeszcze nie wiem jak, ale pomogę. – Wyprostował się. Qantaqa trąciła go nosem i zaskomlała. – Czy mam wam coś przynieść? Jedzenie? Wodę?

Usłyszał ponury śmiech Sludiga.

– Nie. Karmią nas, choć się nie przejadamy. Poprosiłbym o wino, ale nie wiem, kiedy po nas przyjdą. Nie chcę, żeby mnie stąd zabrali zamroczonego winem. Proszę, módl się za mnie. I za trolla.

– Przysięgam, że zrobię coś więcej. – Simon wstał.

– Simonie, byłeś bardzo dzielny tam na górze – zawołał cicho Sludig. – Cieszę się, że cię poznałem.

Gwiazdy świeciły zimnym światłem, kiedy Simon wracał do swojej jaskini, starając się iść prosto i nie płakać.

SZEDŁ W BLASKU KSIĘŻYCA zagubiony w plątaninie myśli i dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że znowu idzie za Qantaqą. W czasie rozmowy ze Sludigiem wilczyca kręciła się nerwowo nad krawędzią dołu,

teraz zaś zdążała w jakimś sobie tylko wiadomym celu. Nie zatrzymywała się już jak poprzednio w oczekiwaniu na Simona, dlatego musiał iść dość szybko, by za nią nadążyć.

Księżyc świecił tak jasno, że Simon widział przed sobą ścieżkę, wystarczająco szeroką, by utrzymać na niej równowagę przy ewentualnym potknięciu. Wciąż czuł się bardzo osłabiony. Zastanawiał się, czy po prostu nie usiąść i poczekać do świtu, aż ktoś go odnajdzie i odprowadzi do jaskini, lecz Qantaqa się nie zatrzymywała. Czuł, że powinien być wobec niej lojalny, i dlatego szedł wytrwale.

Wkrótce z niepokojem zauważył, że zaczynają się wspinać ponad główny szlak bardzo wąską i stromą ścieżką. Wilczyca prowadziła go wciąż w górę, tak że po drodze przecięli wiele innych, poziomo biegnących szlaków. Simonowi wydawało się, że powietrze staje się coraz rzadsze. Wiedział, że nigdy dotąd nie wspinał się aż tak wysoko i przy swoim słabnącym oddechu; czuł, że wychodzi poza granice bezpieczeństwa. Gwiazdy były już tak blisko.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie są wierzchołkami niesłychanie odległych gór, które pozostają niewidoczne w ciemności i tylko ich ośnieżone czapy skrzą się w blasku księżyca. Nie, to była głupota. Gdzie musiałyby się znajdować, żeby pozostać niewidocznymi w ciągu dnia, kiedy świeci słońce?

W rzeczywistości powietrze może nawet nie było rzadsze, ale z pewnością robiło się coraz zimniej i chłód wciskał się nieubłaganie pod jego ciężki płaszcz. Drżąc, postanowił zawrócić na główny szlak i nie zwracać uwagi na kaprysy Qantaqi. Jednak w następnej chwili zorientował się ze zdziwieniem, że zszedł ze szlaku i znalazł się na wąskiej, skalnej półce. Poza tym skalnym gankiem, na którym skrzyły się słabo płaty śniegu, widać było szeroką, czarną szczelinę. Qantaqa podbiegła do niej

i zatrzymała się, węsząc. Po chwili odwróciła głowę w stronę Simona, przechyliła ją nieco, szczeknęła pytająco i zniknęła w otworze. Zastanawiał się, co ma robić – pozwolić się prowadzić na dziwne wycieczki po górze to jedno, wejść do ciemnej jaskini w środku nocy to zupełnie inna sprawa – gdy nagle z ciemności wyłoniły się trzy małe postacie. Simon tak się przeraził, że niemal spadł z występu.

„Kopacze!” – przemknęło mu przez myśl. Pomacał nogą skałę w poszukiwaniu jakiejś broni. Jedna z postaci wysunęła się do przodu, unosząc cienką włócznię w ostrzegawczym geście. Naturalnie okazała się trollem – z bliska widać było wyraźnie, że są one trochę większe od Bukkenów – lecz wcale nie dodało mu to odwagi. Te osobniki były małe, za to dobrze uzbrojone. Simon zdawał sobie sprawę, że jest dla nich obcym, który włóczy się po nocy, a to mogło być jakieś tajemne, uświęcone miejsce.

Stojący najbliżej niego troll zsunął z głowy futrzany kaptur. W bladym świetle księżyca ukazała się twarz kobiety. Simon widział wyraźnie jedynie białka jej oczu, lecz był przekonany, że patrzy na niego złowrogo. Pozostałe trolle przysunęły się do swej towarzyszki, mrucząc coś gniewnie pod nosem. Simon cofnął się o krok; poruszał się ostrożnie, by nie stracić równowagi.

– Przepraszam. Ja sobie tylko chodzę – powiedział, lecz zaraz się zorientował, że i tak go nie rozumieją. Przeklął samego siebie za to, że nie nauczył się choć paru słów z języka trolli od Binabika czy Jirikiego. „Zawsze czegoś żałuję. Zawsze jest na coś za późno!” Zastanawiał się, czy już zawsze będzie takim gamoniem? Miał już tego dość. Czas, by ktoś inny przejął jego rolę.

– Ja sobie tylko chodzę – powtórzył. – Szedłem za wilczycą. Za.... wilczycą... – Mówił wolno, starając się, by jego głos zabrzmiał przyjaźnie,

choć czuł, że ma ściśnięte gardło. Jedno drobne nieporozumienie i mógł poczuć ostrze jednej z tych groźnie wyglądających włóczni we własnych wnętrznościach.

Kobieta nie spuszczała z niego wzroku. Powiedziała coś do jednego ze swych towarzyszy, ten zaś podszedł do ciemnego wejścia jaskini. Gdzieś z jej wnętrza dobiegło odbijające się echem warczenie Qantaqi i troll szybko wrócił na swoje miejsce.

Simon cofnął się jeszcze o krok. Trolle przyglądały mu się w milczeniu; widział ich małe postacie, czujne i napięte, lecz żaden z nich nie uczynił najmniejszego nawet gestu, by go zatrzymać. Powoli odwrócił się do nich tyłem i ruszył wolno, ostrożnie pomiędzy lśniącymi srebrzyście skałami. Po chwili nie widział już ani trollów, ani Qantaqi i tajemniczej jaskini.

Poszedł ścieżką w dół skąpany w sennym świetle księżyca. W połowie drogi do głównego szlaku musiał się zatrzymać; usiadł i oparł łokcie na drżących kolanach. Wiedział, że pokona zmęczenie, a nawet strach, lecz nie wyobrażał sobie, by mógł kiedyś pokonać samotność.

SEOMANIE, JEST MI NAPRAWDĘ przykro, ale nic nie można zrobić. Wczoraj po zachodzie słońca ukazała się Reniku, gwiazda, którą nazywamy Letnią Latarnią. Jestem tu już za długo i muszę iść.

Jiriki siedział ze skrzyżowanymi nogami przed jaskinią i patrzył w dół, na dolinę zasnutą mgłą. W przeciwieństwie do Simona i Haestana nie był zbyt ciepło ubrany. Rękawy jego lśniącej koszuli powiewały na wietrze.

– Ale co zrobimy w sprawie Binabika i Sludiga? – Simon cisnął w dół kamień, mając nadzieję, że trafi on któregoś z niewidocznych we mgle trolli. – Zabiją ich, jeśli nic nie zrobisz!

– W tej sprawie nic nie mogę zrobić – odparł spokojnie Jiriki. – Qanucowie mają prawo wymierzać sprawiedliwość zgodnie ze swymi

zwyczajami. Muszę zachować się honorowo i nie mogę interweniować.

– Honorowo? Do diabła z honorem! Binabik nie ma nawet możliwości zabrania głosu! Jak więc może się bronić?

Sitha westchnął, lecz jego jastrzębia twarz pozostała niewzruszona.

– Może nie chce się bronić. Może Binabik zdaje sobie sprawę z tego, jakie popełnił przestępstwo.

Haestan parsknął zniecierpliwiony.

– Nie wiemy nawet, o co go oskarżają.

– Powiedziano mi, że o krzywoprzysięstwo – wyjaśnił Jiriki spokojnie. Odwrócił się do Simona. – Seomanie, muszę iść. Wieść o tym, że łowczy królowej Nornów zaatakował Zida'ya, bardzo zmartwiła mój lud. Chcą, żebym wrócił do domu. Trzeba omówić wiele spraw. – Jiriki odsunął kosmyk włosów z oczu. – Ponadto mam zobowiązanie wobec mego krewnego, An'nai'ego, który zginął i został pochowany na Urmsheim. Musi odbyć się ceremonia umieszczenia jego imienia w Księdze Tańczącego Roku. Na mnie właśnie spoczywa ten obowiązek, gdyż to ja, Jiriki i-Sa'onserei, przyprowadziłem go na miejsce, w którym zginął; przyszedł tutaj za moją namową. – Ostatnie słowa Sitha wypowiedział napiętym głosem, a palce jego brązowej dłoni zacisnęły się w pięść. – Rozumiesz mnie? Nie mogę zlekceważyć ofiary An'nai'ego.

Simon nie ustępował.

– Nie wiem nic o waszej Tańczącej Księdze, ale powiedziałeś, że pozwolą nam zabrać głos w obronie Binabika! Powiedzieli ci tak, prawda?

Jiriki skinął głową.

– Tak. Pasterz i Łowczyni zgodzili się na to.

– W takim razie jak będziemy mogli to zrobić, gdy ty odejdziesz? Nie znamy języka trolli, a oni nas nie rozumieją.

Simonowi wydawało się, że na niewzruszonej twarzy Jirikiego pojawił się na chwilę wyraz zdumienia, lecz trwało to tak krótko, że nie miał pewności, czy rzeczywiście tak było. Ich spojrzenia spotkały się. Simon patrzył długo w złociste plamki źrenic Jirikiego.

– Masz rację, Seomanie – powiedział wolno Jiriki. – Obowiązki wobec mego ludu i honor zawsze wyznaczały moje postępowanie, ale nigdy w tak przedziwny sposób. – Opuścił głowę i przez chwilę przyglądał się swoim dłoniom, po czym spojrzał na szare niebo. – An’nai i moja rodzina będą musieli mi wybaczyć. – *J’asu pra-peroihin!* Moja hańba zostanie zapisana w Księdze Tańczącego Roku. – Westchnął głęboko. – Pozostanę do dnia wystąpienia Binabika w sądzie.

Simon powinien był się ucieszyć, lecz zamiast tego czuł tylko pustkę. Nawet taki zwykły śmiertelnik jak on potrafił dostrzec smutek księcia Sithów; Jiriki składał jakąś ogromną ofiarę, której Simon i tak nie rozumiał. Ale co innego mógł zrobić? Wszyscy oni zostali uwięzieni – przynajmniej formalnie – na tej wysokiej górze, ponad resztą świata. A byli przecież tylko głupimi bohaterami, przyjaciółmi krzywoprzysięzców... Poczuł wstrząsający nim dreszcz.

– Jiriki! – zawołał, machając rękoma, jakby doznał nagłego olśnienia. Czy zda się to na coś? Ale jeśli tak, czy pomoże Binabikowi? – Jiriki – odezwał się ponownie, tym razem spokojniej. – Chyba wymyśliłem coś, co umożliwi ci pomoc Binabikowi i Sludigowi.

Słysząc wzruszony głos Simona, Jiriki odłożył patyk, na którym coś rzeźbił, i pochylił się, pytająco unosząc brwi.

– Musisz zrobić tylko jedną rzecz – oświadczył Simon. – Musisz pójść ze mną na spotkanie królowej i króla czy też Pasterza i Łowczyni.

SIMON I JIRIKI WRACALI O ZMROKU z Domu Przodka po rozmowie z parą królewską, która niechętnie, lecz zgodziła się na spotkanie. Sitha uśmiechał się lekko.

– Młody Seomanie, wciąż mnie zadziwiasz. Postąpiłeś odważnie. Nie wiem, czy pomoże to twemu przyjacielowi, lecz z pewnością jest to dobry początek.

– Nigdy by się nie zgodzili, gdybyś ich nie poprosił, Jiriki. Dziękuję ci.

Sitha wykonał bardzo skomplikowany gest długimi palcami.

– Pomiędzy Zida’ya i niektórymi spośród Dzieci Zachodzącego Słońca pozostał jeszcze cień szacunku. Pięć stuleci osamotnienia nie może tak łatwo zniweczyć tysiącleci dobrych stosunków. Choć trzeba powiedzieć, że wiele się zmieniło. Wy, śmiertelnicy – dzieci Lingit, jak nazywają was trolle – objęliście panowanie. Świat nie jest już światem mego ludu. – Wyciągnął dłoń i dotknął lekko ramienia Simona. – Pomiędzy nami także istnieje pewna więź, Seomanie. Nie zapomniałem o tym.

Idący obok Sithy Simon chciał coś odpowiedzieć, lecz nic nie przychodziło mu do głowy.

– Proszę cię tylko, byś zrozumiał jedno: niewielu jest już Sithów. Zawdzięczam ci życie, i to dwukrotnie, ku memu zmartwieniu, lecz zobowiązania wobec mego ludu znacznie przewyższają wartość mego życia, którym cieszę się jeszcze dzięki tobie. Widzisz, młody śmiertelniku, pewnych rzeczy nie da się uniknąć. Naturalnie mam nadzieję, że Binabik i Sludig zostaną ułaskawieni, ale ja jestem Zida’ya. Muszę przekazać opowieść o tym, co wydarzyło się na smoczej górze; muszę opowiedzieć o zdradzie sług Utuk’ku oraz o śmierci An’nai’ego.

Nagle Jiriki zatrzymał się i spojrzał na Simona. W fioletowym cieniu zapadającego zmroku z rozwianymi włosami przypominał ducha dzikich gór. Przez chwilę Simon dostrzegł w jego oczach całą głębię jego

długowieczności. Poczuł, że dotyka rzeczy nie do ogarnięcia: wieki istnienia rodu sithijskiego księcia, lata jego historii podobne do ziaren piasku na plaży.

– Seomanie, nic nie kończy się tak łatwo – powiedział wolno Jiriki. – Nawet jeśli ja odejdę. Nie trzeba być mędrcem, by powiedzieć, że jeszcze się spotkamy. Długi Zida'ya mają głębokie korzenie. Niosą ze sobą ziarna mitów. Taki właśnie dług mam u ciebie do spłacenia. – Jiriki ponownie wygiął palce w dziwnym geście, po czym wsunął dłoń za koszulę i wyciągnął jakiś płaski, okrągły przedmiot. – Widziałeś już to, Seomanie – powiedział. – To jest moje lusterko, łuska Większej Bestii, jak głosi legenda.

Simon wziął lusterko z dłoni Sithy zdziwiony jego lekkością. Poczuł pod palcami chłód rzeźbionej oprawy. Kiedyś zobaczył w nim twarz Miriamele, Jiriki zaś pokazał mu w nim ukryte w lesie miasto Enki-e-Shao'saye. Teraz w półmroku widział w nim tylko swoją ponurą twarz.

– Daję ci je. Było ono talizmanem w mojej rodzinie od czasów, gdy Jenjiyana od Słowików opiekował się pachnącymi ogrodami w cieniu Seni Anzi'in. Z dala ode mnie będzie ono tylko lusterkiem do przeglądania się. – Jiriki uniósł dłoń. – No, nie zupełnie tak. Jeśli będziesz musiał ze mną porozmawiać lub będziesz mnie potrzebował – *naprawdę potrzebował* – powiedz to do lustra. Usłyszę cię i będę wiedział. – Jiriki uniósł palce w ostrzegawczym geście w kierunku milczącego Simona. – Lecz niech ci się nie wydaje, że sprowadzisz mnie do siebie w jednej chwili, jak to się dzieje w waszych opowiadaniach o skrzatach. Nie posiadam żadnych magicznych mocy. Nie mogę nawet obiecać, że będę mógł przybyć. Lecz jeśli się dowiem, że mnie potrzebujesz, zrobię wszystko, co będę mógł, aby ci pomóc. Zida'ya mają jeszcze przyjaciół, nawet w tym śmiałym i młodym świecie śmiertelników.

Simon poruszał przez chwilę bezgłośnie ustami, zanim odpowiedział:

– Dziękuję. – Nagle ten mały kawałek szarego szkła wydał mu się bardzo ciężki. – Dziękuję.

Jiriki wyszczerzył białe zęby w uśmiechu. Znowu wydawał się tym, kim był wśród swoich – zaledwie młodzieńcem.

– Masz też swój pierścień. – Wskazał na drugą dłoń Simona, na której widniał cienki złoty krążek z ornamentem w kształcie ryby. – Zupełnie jak w opowieściach o skrzatach! Biała Strzała, czarny miecz, złoty pierścień, a do tego wszystkiego lusterko Sithy. Jesteś tak obładowany ważnymi skarbami, że będzie cię słychać z daleka, gdy będziesz szedł! – Książę roześmiał się, a jego śmiech przypominał świszczącą muzykę.

Simon wpatrywał się w pierścień uratowany dla niego ze zgliszczy komnat Doktora Morgenesa i wysłany do Binabika w jednej z ostatnich wiadomości od Doktora. Umazany oliwą z rękawic, które nosił, pierścień wciąż pozostawał na brudnym palcu Simona.

– Nie wiem, co znaczy napis na jego wewnętrznej stronie – powiedział. Nagle zsunął pierścień z palca i wręczył Jirikiemu. – Binabik też nie potrafił tego odczytać; wspominał tylko o smokach i śmierci. – Nagle coś mu przyszło do głowy. – Czy osobie, która go nosi, pomaga on zabijać smoki? Myśl ta podziałała na niego dziwnie przygnębiająco, zwłaszcza że nie liczył na to, by udało mu się zabić bestię. A może pomogło mu magiczne zaklęcie? W miarę jak powracał do sił, odczuwał coraz większą dumę ze swego odważnego wyczynu w obliczu strasznego Igjarjuka.

– Seomanie, cokolwiek się stało na Urmsheim, dotyczy to ciebie i pradawnego dziecka Hidohebbi. Nie było w tym żadnej magii. – Jiriki nie uśmiechał się już. Pokiwał głową z powagą i oddał pierścień Simonowi. – Nie mogę powiedzieć ci nic więcej o tym pierścieniu. Jeśli taki mędrzec jak Morgenes nie powiedział więcej, wysyłając go do ciebie, to i ja nie ośmielę

się tego robić. Nawet najśmielszym śmiertelnikom nie wychodzi na dobre, gdy wiedzą zbyt wiele.

– Czy potrafisz odczytać to, co jest tam napisane?

– Tak. Napisano to w jednym z języków Zida’ya. Dziwi mnie to – biorąc pod uwagę, że jest to tylko świecidełko śmiertelników – gdyż jest to jeden z mniej znanych języków.

– Tylko tyle mi powiesz?

– Na razie tak. Może kiedy znowu się spotkamy, będę wiedział więcej o tym, dlaczego otrzymałeś pierścień. – Sitha wyglądał na zatroskanego. – Seomanie, życzę ci szczęścia. Jesteś osobliwym chłopcem, nawet jak na śmiertelnika...

W tym momencie usłyszeli okrzyk Haestana, a chwilę później zobaczyli, jak nadchodzi ścieżką i czymś wymachuje. Okazało się, że złapał górskiego zająca. Wołał teraz, że rozpalił już ogień.

CHOĆ NAPEŁNIŁ ŻOŁĄDEK gotowanym mięsem z ziołami, Simon długo nie mógł zasnąć tej nocy. Leżąc na posłaniu, wpatrywał się w migocące na suficie czerwone cienie i rozmyślał o wszystkim, co mu się dotąd przydarzyło, jak o dziwnej opowieści.

„Jiriki miał rację, znalazłem się jakby w opowieści. Takiej, jakie zwykle opowiadał Shem; a może to jest Historia, której uczył mnie Doktor Morgenes. Nikt jednak nie powiedział, jakie to jest okropne znaleźć się w środku opowieści i nie znać jej końca...”

Wreszcie udało mu się zasnąć, lecz niebawem znowu się obudził. Haestan jak zwykle spał twardo, chrapiąc i dmuchając w brodę. Nigdzie nie było widać Jirikiego. Simon w dziwny sposób wyczuwał w jaskini jakąś pustkę, która mówiła mu, że Sitha rzeczywiście już odszedł i udał się w drogę powrotną do swego domu.

Pomimo obecności wartującego gdzieś w pobliżu i mruczącego sennie strażnika Simon poczuł się tak bardzo samotny, że się rozpłakał. Płakał cicho, wstydząc się swej słabości przed samym sobą, lecz powstrzymanie płynących łez byłoby równie trudne, jak dźwignięcie na plecach góry Mintahoq.

SIMON I HAESTAN PRZYSZLI do Chidsik ub Lingit o wyznaczonej przez Jirikiego porze, to jest godzinę po wschodzie słońca. Przed świtem zrobiło się bardzo zimno. Drabiny i nieuczęszczane o tej porze mosty z rzemieni kołysały się na wietrze. Kamienne szlaki góry Mintahoq stały się jeszcze bardziej zdradzieckie, niż były do tej pory; w wielu miejscach pokrywała je cienka warstwa lodu.

Kiedy obaj przecisnęli się do środka przez tłum rozmawiających trolli, Simon oparł się ciężko na ramieniu Haestana, który ubrał się tego dnia w futrzany płaszcz. Nie spał dobrze po odejściu Sithy; w jego snach migały cienie mieczy i wciąż pojawiała się, nie wiadomo dlaczego, mała, czarnooka dziewczynka.

Trolle przybyły wystrojone, jakby obchodziły jakieś święto. Wielu założyło lśniące naszyjniki z rzeźbionych kłów i kości, kobiety zaś upięły wysoko czarne włosy, przytrzymując je grzebieniami z rybich i ptasich czaszek. Kobiety i mężczyźni podawali sobie bukłaki, z których popijali im tylko znany trunek, śmiejąc się przy tym i gestykulując. Haestan przyglądał się im ponuro.

– Namówiłem jednego, żeby dał mi się napić łyczek – powiedział. – Smakuje jak koński mocz. Ileż bym dał za kropelkę czerwonego perdruińskiego.

Na środku pieczary, w obrębie fosy pełnej niezapalonej oliwy stały cztery misternie rzeźbione stołki z kości ze skórzanymi siedzeniami;

ustawiono je przed pustym podestem. Wszystkie trolle rozsiadały się wygodnie dookoła, pozostawiając te miejsca wolne, więc Simon i Haestan domyślili się, że dwa ze stołków są przeznaczone dla nich. Zdążyli właśnie usiąść, gdy zebrani wstali. Rozległ się dziwny dźwięk, który odbijał się echem od ścian pieczary; słychać było monotonny, dźwięczny śpiew. Niezrozumiałe słowa w języku Qanuc, niczym drzazgi unoszone na morskich falach, stawały się wyraźniejsze i ginęły w monotonnym jęku. Były to bardzo dziwne i niepokojące dźwięki.

Przez chwilę Simon myślał, że ten jednostajny śpiew związany jest z ich wejściem, lecz ciemne oczy wszystkich trolli zwrócone były na drzwi w przeciwległej ścianie groty.

W tych właśnie drzwiach ukazała się przedziwna postać. Nie była to para królewska, jak spodziewał się tego Simon. Nowo przybyły był trollem, a przynajmniej był wzrostu trolla. Jego małe, muskularne ciało lśniło od oliwy. Miał na sobie skórzaną koszulę z frędzlami, a twarz pozostawała niewidoczna za maską z baraniej czaszki, ozdobionej tak wieloma rzeźbami, że stanowiła zaledwie cieniutką siateczkę. Nad jego barkami sterczały dwa ogromne, spiralnie wykrzywione rogi, wyżłobione niemal do przezroczystości. Na piersi osobnika widniał naszyjnik z czarnych, zakrzywionych pazurów, a on sam okryty był płaszczem z biało-żółtych piór.

Simon nie potrafił powiedzieć, czy był to duchowny, tancerz, czy może herold pary królewskiej. Kiedy zatupał lśniącymi stopami, tłum wydał okrzyk zadowolenia. Kiedy dotknął czubków swych rogów, a potem uniósł dłonie ku niebu, tłum zamilkł na chwilę, a potem zaraz podjął monotonny śpiew. Przez jakiś czas mężczyzna podskakiwał na całym podeście. Wreszcie znieruchomiał, jakby nasłuchiwał czegoś. Tłum umilkł.

W drzwiach pojawiły się cztery kolejne postacie; trzy z nich były wzrostu trolli, lecz czwarta przewyższała wszystkich.

Podprowadzono Binabika i Sludiga. Prowadziło ich dwóch strażników, którzy trzymali groty włóczni tuż przy plecach więźniów. Simon chciał wstać i krzyknąć, lecz Haestan położył ciężką dłoń na jego ramieniu, dając mu do zrozumienia, by pozostał na miejscu.

– Spokojnie, chłopcze. Będą tędy przechodzili. Zaczekaj, aż tu przyjdą. Nie będziemy robić żadnego widowiska dla tej hałastry.

Zarówno troll, jak i jasnowłosy Rimmersman bardzo schudli od chwili, gdy Simon widział ich po raz ostatni. Twarz Sludiga tam, gdzie nie zarastała jej gęsta broda, była czerwona, a skóra łuszczyła się, jakby za długo siedział na słońcu. Binabik był bardzo blady; jego śniada niegdyś skóra przybrała teraz kolor owsianki. Oczy miał zapadnięte i podkrążone.

Obaj szli wolno; troll ze spuszczoną głową, Sludig natomiast rozglądał się wyzywająco. Dostrzegłszy Simona i Haestana, uśmiechnął się do nich ponuro. Kiedy przeszli przez fosę i znaleźli się w kole, Rimmersman poklepał Simona po ramieniu, lecz zaraz jęknął z bólu, gdy idący za nim strażnik dźgnął go włócznią w ramię.

– Gdybym tak miał miecz – mruknął Sludig. Podszedł jeszcze bliżej i usiadł ciężko na jednym ze stołków. Binabik zajął najbardziej oddalone od Simona miejsce. Przez cały czas nie podniósł wzroku i nie spojrzał na swych towarzyszy.

– Potrzeba tu czegoś więcej niż mieczy, przyjacielu – szepnął Haestan. – Są mali, ale odważni. I, na Usiresa, spójrz, ilu ich jest!

– Binabiku!!! – zawołał Simon ponad ramieniem Sludiga. – Binabiku! Przyszliśmy, żeby się za wami wstawić!

Troll jakby drgnął. Wydawało się, że coś powie, lecz milczał wpatrzony gdzieś daleko. Potrząsnął nieznacznie głową i ponownie opuścił wzrok.

Simon poczuł, że ogarnia go wściekłość. Binabik musi walczyć o swoje życie! Tymczasem siedzi jak stary Rim, gospodarski koń, który czeka na ostateczny cios.

Nagle gwar ucichł. W drzwiach pojawiły się dwie inne postacie. Nunuuika, Łowczyni, i Uammannaq, Pasterz, ubrani byli w odświętne futrzane szaty przyozdobione klejnotami z kości słoniowej i wypolerowanych kamieni. Za nimi szedł jeszcze jeden troll; poruszał się bardzo cicho w miękkich butach. Była to młoda kobieta o ogromnych oczach pozbawionych wszelkiego wyrazu i mocno zaciśniętych ustach. Powiodła nieprzytomnym wzrokiem po stołkach i odwróciła głowę. Mężczyzna z rogami tańczył, dopóki cała trójka nie dotarła do podestu i nie zasiadła na swym tronie wyścielanym skórami i futrami. Nieznana Simonowi kobieta usiadła przed parą królewską, o jeden stopień niżej. Tańczący herold – czy kimkolwiek był; Simon wciąż nie miał pewności – przytknął jakiś stożek do jednej z lamp na ścianie groty, po czym wrzucił go do małej fosy z oliwą, która natychmiast zajęła się ogniem. Płomień pędził po kole, pozostawiając pióropusz czarnego dymu, który po chwili wzniósł się wysoko pod sufit groty. Simon i pozostali siedzieli otoczeni pierścieniem ognia.

Pasterz pochylił się i unosząc swą zakrzywioną włócznię, skinął na Binabika i Sludiga. Kiedy przemówił, tłum ponownie zaczął nucić śpiewnie, lecz trwało to krótko. Uammannaq mówił jednak dalej. Jego żona i młoda kobieta podniosły wzrok. Simon miał wrażenie, że Łowczyni patrzy bardzo nieprzyjaźnie. Trudno natomiast było powiedzieć, co wyraża wzrok tej drugiej.

Pasterz mówił przez jakiś czas. Simon zaczął się już zastanawiać, czy para królewska nie postanowiła wycofać się z obietnicy danej Jirikiemu, gdy Pasterz wskazał swą włócznią na Binabika i skinął energicznie na

towarzyszy trolla. Simon spojrzał na Haestana, a ten uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: Poczekajmy i zobaczmy, co będzie dalej.

– Simonie, to wszystko jest bardzo dziwne.

Były to słowa Binabika. Mówił ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Jego głos wydał się Simonowi równie przyjemny jak dźwięk instrumentu, śpiew ptaka czy odgłos bębniącego o dach deszczu. Simon wiedział, że mając tak zadowoloną minę, wygląda jak głupiec, ale w tej chwili niczym się nie przejmował.

– Zdaje się – ciągnął Binabik nieco ochrypłym głosem przez to, że tak długo go nie używał – że razem z Haestanem jesteście gośćmi moich panów i że muszę tłumaczyć wszystko, o czym się tutaj mówi, na język dla was zrozumiały, gdyż nikt poza mną nie zna obu języków.

– Nie będziemy mogli przemawiać w twojej obronie, jeśli nikt nas nie zrozumie – odezwał się łagodnie Haestan.

– Binabiku, pomożemy ci – powiedział dobitnie Simon. – Ale twoje milczenie nikomu nie pomoże.

– Jak mówiłem, wszystko to jest bardzo dziwne – powiedział ochryple Binabik. – Zostałem potępiony za niehonorowe zachowanie się, choć z drugiej strony dla zachowania honoru jestem zmuszony wyjaśniać moje złe postępowanie obcym przybyszom, gdyż są oni honorowymi gośćmi. – Na jego ustach pojawił się ponury uśmiech. – Szanowany gość, zabójca smoka, osoba, która ma swój udział w losach innych; nie potrafię tego wyjaśnić, lecz wyczuwam w tym wszystkim ciebie, Simonie. – Zmrużył oczy na chwilę, po czym wyciągnął swój gruby palec, jakby chciał dotknąć twarzy Simona. – Przyjacielu, ta blizna jest dowodem twej odwagi.

– Binabiku, co ty zrobiłeś? Jakie według nich popełniłeś przestępstwo?

Troll przestał się uśmiechać.

– Złamałem złożoną przysięgę.

Nunuuika przemówiła nagle zdecydowanym tonem. Binabik spojrzał na nią i skinął głową.

– Łowczyni mówi, że miałem już dość czasu na wyjaśnienia. Teraz zajmą się osądem mego przewinienia.

WSZYSTKO WYDAWAŁO SIĘ przebiegać znacznie szybciej, gdy Binabik tłumaczył na język Westerling. Czasem wydawało się, że tłumaczy bardzo dokładnie, kiedy indziej przekazywał tylko streszczenia dłuższych przemówień. Binabik jakby odzyskał nieco ze swej energii, przejmując rolę tłumacza, lecz nikt nie miał wątpliwości, w jak trudnym znalazł się położeniu.

– Binabiku, uczniu Tego, Który Śpiewa, wielkiego Ookequka, jesteś oskarżony o krzywoprzysięstwo. – Uammannaq, Pasterz, pochylił się do przodu, wykręcając swą brodę nerwowo, jakby czuł się nieswojo. – Czy zaprzeczasz temu?

Nastąpiła długa cisza po tym, jak Binabik przetłumaczył słowa Pasterza. Spojrzał na swych przyjaciół i zaraz skierował wzrok na parę królewską.

– Niczemu nie zaprzeczam – przemówił wreszcie. – Przedstawię całą prawdę, jeśli wy, Najbystrzejsze Oko i Najpewniejsze Wodze, wysłuchacie mnie.

Nunuuika oparła się wygodnie o poduszki.

– Będzie na to czas. – Zwróciła się do męża. – Nie zaprzecza.

– Tak więc – Uammannaq przemówił ciężko – Binabik jest winny. Ty, Croohok – tu zwrócił się do Sludiga – jesteś oskarżony o to, że należysz do zbrodniczej rasy, która wojuje z nami od niepamiętnych czasów. Nikt nie zaprzeczy, że jesteś Rimmersmanem, więc twoje oskarżenie pozostaje w mocy.

Gdy słowa Pasterza zostały przetłumaczone, Sludig zaczął coś mówić gniewnym głosem, lecz Binabik uciszył go ruchem dłoni. Sludig, ku zaskoczeniu pozostałych towarzyszy, usłuchał go.

– Zdaje się, że nie ma mowy o jakiejkolwiek sprawiedliwości tam, gdzie chodzi o dawnych wrogów – Sludig mruknął do Simona. – Mimo wszystko pamiętam takie trolle, których szanse były mniejsze, gdy znalazły się w rękach moich ziomków, niż moje tutaj.

– Niech mówią ci, którzy mają powody do oskarżeń.

W jaskini zapadła pełna oczekiwania cisza. Herold wystąpił do przodu, grzechocząc swym naszyjnikiem. Spojrzał na Binabika przez oczodoły baraniej czaszki z nieukrywaną pogardą, po czym uniósł dłoń i przemówił niskim głosem.

– Oangolik, Ten, Który Przyzywa Dusze, oznajmia, że Ookequk, Ten, Który Śpiewa, nie przybył do Lodowego Domu w Dzień Zakończenia Zimy, jak nakazuje prawo od czasów, gdy Sedda dała nam te góry – przetłumaczył Binabik. Także i w jego głosie brzmiała nieprzyjemna, gniewna nuta, obecna w głosie oskarżyciela. – Oangolik oznajmia, że Binabik, uczeń Tego, Który Śpiewa, także nie przybył do Lodowego Domu.

Simon wyczuwał falę nienawiści pomiędzy jego przyjacielem a zamaskowanym trollem. Nie było wątpliwości, że istniał między nimi jakiś dawny zatarg.

Ten, Który Przyzywa Dusze mówił dalej:

– Ponieważ uczeń Ookequka nie przybył, by dopełnić swego obowiązku – to jest odśpiewać Rytuał Przyspieszenia – Lodowy Dom nie stopniał do dnia dzisiejszego. Zima nie opuści kraju Yiqanuc, dopóki Lodowy Dom stoi na swoim miejscu. Przez zdradę Binabik sprowadził na swój lud srogą zimę. Lato nie nadejdzie i wielu z nas umrze.

– Oangolik oskarża go o krzywoprzysięstwo.

W jaskini rozległy się gniewne głosy. Zanim Binabik skończył tłumaczyć jego słowa, Ten, Który Przyzywa Dusze zdążył przykucnąć.

Nunuuika rozejrzała się z dostojnie uniesioną głową.

– Czy ktoś inny z obecnych tutaj oskarża Binbiniqegabenika?

Nieznana młoda kobieta, o której Simon prawie zapomniał, słuchając gniewnego przemówienia Oangolika, wstała wolno ze swego miejsca na najwyższym stopniu. Mówiła krótko ściszonym głosem ze spuszczonymi skromnie oczami.

Binabik nie od razu przetłumaczył jej słowa, choć najwyraźniej wywołały one falę pomruków wśród zebranych. Simon nigdy dotąd nie widział takiego wyrazu na twarzy Binabika: wyglądał teraz na zupełnie nieszczęśliwego. Troll wpatrywał się w kobietę z ponurą determinacją, jakby obserwował jakieś okropne wydarzenie, które musi zobaczyć, by zdać z niego relację.

Simonowi wydawało się, że Binabik nic już więcej nie powie, lecz wtedy troll przemówił; mówił głosem bezbarwnym, jakby opowiadał o dawnej, teraz już nieistotnej ranie.

– Sisqinanamook, najmłodsza córka Nunuuiki, Łowczyni, i Uammannaqa, Pasterza, także oskarża Binabika z Mintahoq. Choć pozostawił on swą włócznię przed jej drzwiami, nie powrócił, gdy minęło dni dziewięć razy dziewięć i nadszedł dzień ślubu. Nie przysłał też żadnej wiadomości ani wyjaśnienia. Kiedy wreszcie powrócił w nasze góry, nie przybył do swego ludu, lecz razem z Croohokiem i Utku udał się na unikaną przez nas górę Yijarjuk. Zhańbił Dom Przodka i swoją narzeczoną.

– Sisqinanamook oskarża go o krzywoprzysięstwo.

Zdumiony Simon wpatrywał się w ponurą twarz Binabika, który tłumaczył mu ostatnie oskarżenie. Małżeństwo! Przez cały czas, gdy razem z trollem przedzierali się do Naglimundu, a potem wędrowali przez Białe

Pustkowie, lud Binabika czekał na niego, by wypełnił przysięgę małżeńską. I do tego był zaręczony z córką Pasterza i Łowczyni. Nigdy o tym nie wspomniał!

Simon spojrzał uważniej na oskarżycielkę Binabika. Na pierwszy rzut oka Sisqinanamook była tego samego wzrostu co inne trolle, lecz była chyba trochę wyższa od Binabika. Swe lśniące, czarne włosy zaplotła po obu stronach głowy w warkocze, które złączyła w jeden pod brodą, ozdabiając go błękitną wstążką. W porównaniu z matką nie nosiła wiele biżuterii. Na jej czole zawieszony na czarnym, skórzanym rzemieniu lśnił tylko jeden ciemnoniebieski klejnot. Jej śniade policzki zarumieniły się. Choć jej spojrzenie nie było tak wyraźne – jakby mącił je strach lub gniew – Simon wyczuwał w jej postawie upór i silną wolę; jej wzrok może nie miał takiej siły jak wzrok matki, lecz było to spojrzenie kogoś, kto sam decydował o sobie. Przez moment Simonowi wydawało się, że widzi ją taką, jaką mógłby zobaczyć jeden z jej rówieśników: nie delikatną i uległą piękność, lecz ładną i bystrą dziewczynę, której uznanie trudno będzie zdobyć.

Nagle zrozumiał, że to ona właśnie stała przed jaskinią Qantaqi zeszłej nocy. To ona groziła mu włócznią! Mówiło mu to coś w jej twarzy, czego nie potrafił uchwycić. W końcu ona także była łowczynią, jak jej matka.

Biedny Binabik! Z pewnością niełatwo było zdobyć jej względy.

– Nie zaprzeczam słowom Sisqinanamook, córki Rodu Księżyca – odezwał się wreszcie Binabik. – Zdumiał mnie fakt, że w ogóle przyjęła włócznię kogoś tak pospolitego jak uczeń Tego, Który Śpiewa.

Po tych słowach Sisqinanamook wykrzywiła usta, jakby w grymasie pogardy, lecz Simon odniósł wrażenie, że jest on udawany.

– Wielka jest moja hańba – mówił dalej Binabik. – Rzeczywiście, moja włócznia stała przed jej drzwiami przez dziewięć nocy razy dziewięć. Nie

wróciłem, by ją poślubić, gdy nadszedł wyznaczony czas. Nie mam żadnego usprawiedliwienia, które by naprawiło wyrządzoną przeze mnie krzywdę czy też zmniejszyło moją winę. Musiałem dokonać wyboru, jak to zwykle bywa, gdy wejdzie się na Ścieżkę Wieku Dojrzałego. Wędrowałem po dziwnym kraju, a mój mistrz zmarł. Dokonałem wyboru i z żalem muszę przyznać, że gdybym jeszcze kiedyś znalazł się w podobnej sytuacji, postąpiłbym tak samo.

Binabik skończył tłumaczyć to, co przed chwilą powiedział, lecz zdumiony jego słowami tłum wciąż wrzał gniewnymi szeptami. Troll odwrócił się do młodej kobiety i powiedział coś cicho i szybko, nazywając ją tym razem „Sisqi”. Ona natychmiast odwróciła twarz, jakby nie miała siły na niego spojrzeć. Nie przetłumaczył swych ostatnich słów, lecz zasmucony zwrócił się w stronę jej rodziców.

– I cóż to mógł być za wybór? – spytała pogardliwie Nunuuika. – Co mogło być tak ważne, że skłoniło cię do krzywoprzysięstwa; ciebie, który i tak wspiąłeś się ponad śniegi, do których przywykłeś; ciebie, którego zaręczynową włócznię przyjęto w tak dostojnym domu?

– Mój mistrz Ookequk złożył obietnicę Doktorowi Morgenesowi z Hayholt, był to bardzo mądry człowiek z Erkynlandu. Kiedy zmarł mój mistrz, czułem się w obowiązku dotrzymania obietnicy.

Uammannaq pochylił się, potrząsając swą brodą zdziwiony i rozgniewany.

– A zatem obietnica złożona jakiemuś mieszkańcowi nizin była dla ciebie ważniejsza od poślubienia córki Domu Przodka albo sprowadzenia lata? Doprawdy, Binabiku, ci, którzy twierdzą, że pozostając u boku grubego Ookequka, nauczyłeś się tylko szaleństwa, mają rację! Zlekceważyłeś swój lud dla... dla Utku?

Binabik pokiwał głową bezsilnie.

– Uammannaqu, Pasterzu ludu Qanuc, chodziło tu o coś więcej. Mój mistrz obawiał się jakiegoś niebezpieczeństwa, które zagraża nie tylko nam, ale całemu światu, jaki rozpościera się poniżej tych gór. Ookequk obawiał się zimy o wiele sroższej od najgorszych, jakie znamy, takiej, która zmroziłaby Lodowy Dom na tysiąc lat. Ookequk przewidywał coś o wiele gorszego niż tylko złą pogodę. Jego obawy podzielał także Morgenes, mędrzec z Erkynlandu. Obietnica była bardzo istotna ze względu na te niebezpieczeństwa. Będąc przekonanym o słuszności tych obaw, byłbym gotów złamać przysięgę po raz drugi, gdybym nie miał innego wyjścia.

Sisqinanamook jeszcze raz spojrzała na Binabika. Simon myślał, że teraz popatrzy na niego bardziej przychylnie, lecz jej usta wciąż pozostawały mocno zaciśnięte. Jej matka, Nunuuika, uderzyła dłonią w drzewce swej włóczni.

– To nie jest żaden argument! – wykrzyknęła Łowczyni. – Żaden! Gdybym się obawiała lawiny z wyższych przełęczy, czy miałabym pozostać na zawsze w jaskini, głodząc swe dzieci? Z twoich słów wynika, że ten lud i góra, która była twym domem i na której się wychowałeś, nic dla ciebie nie znaczą! Jesteś gorszy od pijaka, który przynajmniej twierdzi, że nie powinien pić, choć w swej słabości i tak ponownie wpada w nałóg. Ty zaś stajesz przed nami i ze śmiałością złodzieja siodeł mówisz: „Zrobię to jeszcze raz. Moja przysięga nic dla mnie nie znaczy”. – Potrząsnęła włócznią z wściekłością. Rozległy się stłumione głosy aprobaty tłumu. – Powinieneś zostać stracony natychmiast. Jeśli zarazisz innych swym szaleństwem, zanim przeminie jedno pokolenie, wiatr będzie hulał po naszych pustych jaskiniach.

Gdy tylko Binabik skończył tłumaczyć ostatnie słowa władczyni, podniósł się rozgniewany Simon. Wciąż czuł na twarzy piekącą bliznę, która nieustannie przypominała mu tamtą chwilę, kiedy Binabik wisiał

uczepiony grzbietu lodowej bestii, walcząc z nią samotnie, i krzyczał, by Simon ratował się ucieczką.

– Nie! – zawołał rozgniewany Simon, zaskakując nawet Haestana i Sludiga, którzy słuchali zdumieni. – Nie! – Simon oparł się o stołek. Kręciło mu się w głowie.

Binabik posłusznie zwrócił się do władców oraz swej narzeczonej i zaczął tłumaczyć słowa rudowłosego mieszkańca nizin.

– Nie rozumiecie tego, co się dzieje – zaczął Simon. – Ani tego, co zrobił Binabik. Tutaj, w waszych górach, jesteście daleko od reszty świata, ale istnieje niebezpieczeństwo, które i was może dosięgnąć. W zamku, w którym kiedyś mieszkałem, wydawało mi się, że zło jest tylko czymś, o czym rozprawiają duchowni, i nawet oni tak do końca w nie nie wierzą. Teraz wiem o wiele więcej. Otacza nas mnóstwo niebezpieczeństw i z każdym dniem stają się one groźniejsze! Czy nie widzicie tego? To zło ścigało mnie i Binabika w czasie naszej podróży przez wielki las i przez śnieżne pustkowie, które rozciąga się poniżej waszych gór. Ścigało nas nawet na smoczej górze!

Simon zamilkł na chwilę oszołomiony, oddychał szybko. Miał wrażenie, że trzyma coś, co wije się i wymyka mu z rąk.

„Co ja mam im powiedzieć? Pewnie mówię jak wariat. Tak, Binabik tłumaczy im moje słowa, a oni patrzą na mnie, jakbym szczekał jak pies! Pewnie tylko pogorszę sytuację Binabika!”

Jęknął cicho i ponownie zaczął mówić, starając się pozbierać kotłujące się w jego głowie myśli.

– Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Na Północy pojawiła się ogromna moc... to znaczy, chciałem powiedzieć... my jesteśmy na Północy... Opuścił głowę i spróbował skupić myśli przez chwilę. – Na Północy, ale i na Zachodzie. Istnieje ogromna, lodowa góra. Mieszka tam

Król Burz, ale on nie żyje. Nazywa się Ineluki. Słyszeliście o nim? Słyszeliście o Inelukim? Jest okropny! – Simon pochylił się do przodu i poczuł, że nagle traci równowagę; wpatrywał się wybałuszonymi oczami w przestraszone twarze Pasterza, Łowczyni oraz ich córki, Sisqinanamook. – Jest okropny... – mówił dalej, patrząc prosto w ciemne oczy dziewczyny.

„Binabik nazywał ją Sisqi – pomyślał, gubiąc wątek. – Pewnie ją kochał...”

Miał wrażenie, że coś chwyciło jego umysł i potrząsa nim niczym pies schwytanym szczurem. Nagle poczuł, że spada na dno wirującej studni. Czarne oczy Sisqinanamook stały się jeszcze ciemniejsze i większe. Po chwili nie było już jej ani jej rodziców, a razem z nimi zniknęli przyjaciele Simona i całe Chidsik ub Lingit. Pozostały jednak oczy, które patrzyły na niego ze smutkiem. Te brązowe oczy należały do kogoś, kogo znał, do dziecka, które pojawiało się w jego snach, dziecka, które wreszcie rozpoznał.

„Leleth – pomyślał. – Ta mała dziewczynka, którą zostawiliśmy w chacie w lesie, ponieważ była ranna. Zostawiliśmy ją z...”

– *Simon* – powiedziała, a jej głos odbił się echem w jego głowie – *to moja ostatnia szansa. Mój dom zostanie wkrótce zniszczony, a ja ucieknę do lasu, ale najpierw muszę ci coś powiedzieć.*

Simon nigdy nie słyszał głosu Leleth. Jego wysoki ton pasował do jej wieku, lecz było w jej głosie coś dziwnego: był zbyt poważny, zbyt wyraźny i dobitny, przepełniony wiedzą. Rytm jej mowy i wyrażenia, jakich używała, wskazywały raczej na to, że mówi dorosła kobieta...

„Geloë?” – pomyślał. Choć wydawało mu się, że nie mówi głośno, usłyszał swój głos jakby w pustym pomieszczeniu.

Tak. Nie zostało mi już wiele czasu. Nie mogłabym się z tobą porozumieć, lecz dziewczynka, Leleth, posiada pewne zdolności... ona jest jak płonące zwierciadło, w którym mogę skupić swoją wolę. Simon, ona jest dziwnym dzieckiem. – Rzeczywiście, niemal pozbawiona wyrazu twarz dziecka, które do niego mówiło, różniła się od twarzy innych dzieci. W jej oczach było coś, co przenikało go na wylot, jakby był tylko ulotną mgłą.

– Gdzie jesteś?

– W swoim domu, lecz niedługo tu pozostanę. Jezioro pełne jest ciemnych postaci, które są coraz bliżej. Nadchodząca moc jest zbyt potężna. Zamiast opierać się takiej nawałnicy, lepiej będzie uciec i poczekać na bardziej sprzyjający czas do walki. Posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia: Naglimund upadł. Co więcej, Josua wygrał tylko bitwę, lecz zwycięzcą jest ten, którego oboje znamy i który przychodzi z Północy. Jednak Josua żyje.

Simon poczuł skurcz strachu.

– A Miriamele?

– O tej, którą zwano Maryą – a także Malachiasem? – wiem tylko, że odeszła z Naglimundu. Moi informatorzy nie dowiedzieli się nic więcej. Muszę powiedzieć ci coś jeszcze: myśl o tym i pamiętaj, gdyż Binabik z Yiqanuc zamknął się przede mną. Musicie udać się do Kamienia Rozstania. Jest to jedyne bezpieczne miejsce przed nadciągającą burzą, choć i ono może być bezpieczne tylko na krótko. Idźcie do Kamienia Rozstania.

– Co? Gdzie jest ten kamień? Naglimund padł? – Simon czuł, że ogarnia go rozpacz. A więc wszystko przepadło. *– Geloë, gdzie jest ten kamień?*

Nagle opadła na niego czarna fala, jakby otrzymał cios dłonią olbrzyma. Twarz dziewczynki zniknęła, pozostawiając po sobie szarą pustkę. Słowa

Geloë dźwięczały mu w głowie.

– *To jest jedyne bezpieczne miejsce... Uciekajcie!... Nadciąga burza...*

Szarość zaczęła ustępować, niczym odpływające z plaży fale.

Simon zorientował się, że klęczy wpatrzony w drżące, żółtawe płomienie palącej się oliwy w Chidsik ub Lingit. Tuż nad sobą zobaczył zatroskaną twarz pochylonego Haestana.

– Co za diabeł cię opętał, chłopcze? – spytał żołnierz, opierając jego głowę na swym ramieniu i sadzając na stołku.

Simon miał wrażenie, że jego ciało składa się z łachmanów i zielonych gałązek.

– Geloë powiedziała... powiedziała, że burza... i Kamień Rozstania. Musimy iść do Kamienia Roz... – Simon zamilkł na widok Binabika klęczącego przed podestem. – Co robi Binabik? – zapytał.

– Czeka na wyrok – rzucił ponuro Haestan. – Kiedy ty zemdlałeś, powiedział, że nie będzie już walczył. Rozmawiał jeszcze trochę z królem i królową, a teraz czeka.

– Ale to niesprawiedliwe! – Simon spróbował wstać, ale nogi ugięły się pod nim. W głowie huczało mu, jakby ktoś walił młotem. – To niesprawiedliwe.

– Taka jest wola Boża – wyszeptał smutno Haestan.

Uammannaq, który dotąd szeptał coś do swojej żony, teraz zwrócił się do klęczącego Binabika. Powiedział coś w gardłowym języku trollów, co wywołało falę jęków wśród zebranych. Pasterz uniósł dłoń do swej twarzy, zakrywając oczy powolnym, sztucznym gestem. Łowczyni powtórzyła z namaszczeniem ten sam gest. Simon czuł, że ogarnia go chłód bardziej przejmujący niż w najgorszą zimę. Nie miał wątpliwości, że jego przyjaciel usłyszał przed chwilą wyrok śmierci.

4. Czara miętowej herbaty

PROMIENIE SŁOŃCA PRZEBIJAŁY SIĘ między ciężkimi chmurami i padały niemo na grupę uzbrojonych jeźdźców, którzy jechali Głównym Traktem w kierunku Hayholt. Jaskrawe barwy ich proporców bladły w cieniu, a błoto na drodze tłumiło odgłos kopyt wierzchowców i tak ta dzielna armia sprawiała wrażenie, że posuwa się cicho po dnie oceanu. Wielu z nich jechało ze spuszczonymi głowami. Inni zerkali spod hełmów, jakby się bali, że ktoś ich rozpozna.

Jednak nie wszyscy wyglądali tak ponuro. Hrabia Fengbald, który wkrótce miał zostać księciem, jechał na czele królewskiego oddziału, a nad jego głową powiewał zielono-czarny sztandar ze smokiem Eliasa oraz jego własny ze srebrnym sokołem. Długie, czarne włosy hrabiego opadały mu na kark, przytrzymywała je tylko szkarłatna przepaska na czole. Jechał, uśmiechając się i machając dłonią skrytą w rękawicy, na co ustawiony wzdłuż drogi tłum kilkuset gapiów odpowiadał okrzykami.

Tuż za nim jechał Guthwulf z Utanyeat, który z trudem powstrzymywał grymas na twarzy. On także szczycił się tytułem hrabiowskim – i prawdopodobnie przychylnością Króla – lecz nie miał wątpliwości, że oblężenie Naglimundu wszystko zmieniło. Przedtem wyobrażał sobie dzień, kiedy jego dawny kompan Elias zasiądzie na tronie, a on, Guthwulf, stanie

u jego boku. I rzeczywiście Elias został Królem, lecz pozostała część marzeń się nie spełniła. Tylko taki młody bałwan jak Fengbald mógł być tak głupi, żeby tego nie zauważyć, albo tak ambitny, by go to obchodziło.

Guthwulf obciął bardzo krótko swe siwiejące włosy jeszcze przed oblężeniem, dlatego hełm luźno siedział na głowie. Choć wciąż był on imponującym osiłkiem w kwiecie wieku, miał wrażenie, że kurczy się w swej zbroi, staje się coraz mniejszy. Zastanawiał się, czy tylko on jest w takim podłym nastroju? A może ostatnie dwa lata bez walki zmiękczyły go. Nie, z pewnością tak nie było. W czasie oblężenia, dwa tygodnie temu serce biło mu szybko, ale było to wynikiem podniecenia, a nie strachu. Śmiechem witał zbliżającego się wroga. Jednym cięciem łamał kręgosłup przeciwnika; walczył, ani razu nie spadając z konia; kierował swym rumakiem jak za młodych lat – robił to lepiej niż cokolwiek innego. Nie, nie zmiękł. Przynajmniej nie w tym względzie. Wiedział jednak, że nie jest jedynym, który czuje jakiś wewnętrzny niepokój. Zebrany tłum wiwatował, lecz składał się głównie z młodych zbirów i pijaków z miasta. Większość okien wychodzących na Główny Trakt zasłaniały okiennice; w paru innych widać było zerkających przez ciemne szczeliny mieszczan, którzy nie mieli ochoty wiwatować na cześć Króla.

Guthwulf odwrócił się, by spojrzeć na Eliasa, i poczuł dreszcz niepokoju, widząc, że ten go obserwuje. Elias zamyślony wpatrywał się w niego zielonymi oczami. Guthwulf skinął z przymusem głową. Król odpowiedział mu sztywno, po czym spojrzał ponuro na zebranych. Na skutek jakiejś niewyjaśnionej dolegliwości Elias większą część podróży spędził w wozie i przesiadł się na swego czarnego rumaka dopiero tuż przed bramami miasta. Teraz trzymał się dzielnie, skrywając wszelkie cierpienia, które być może mu doskwierały. Król był szczuplejszy niż kilka lat temu; na jego twarzy wyraźnie widać było zarys szczęki. Nie licząc

bladej cery, która w słabym świetle popołudnia nie rzucała się w oczy – a także nieobecnego spojrzenia – Elias wyglądał na szczupłego i silnego wojownika, jak przystało wojującemu Królowi, który wraca w triumfie po udanym oblężeniu.

Guthwulf spojrzał z niepokojem na szary miecz o podwójnej rękojeści. Schowany w pochwie obijał się o udo Eliasa. Przeklęty miecz! Tak bardzo pragnął, aby Elias cisnął go do studni. Guthwulf był przekonany, że wiąże się z nim coś złego. Także i niektórzy spośród tłumu czuli najwyraźniej niepokój, którego źródłem była królewska broń, lecz tylko Guthwulf przebywał w obecności Smutku wystarczająco często, by poznać prawdziwe źródło ich trwogi.

Nie tylko miecz niepokoił ludzi z Erchesteru. Złamanie obrony Naglimundu nie było w pełni chwalebnym zwycięstwem nad uzurpatorskim bratem. Guthwulf wiedział, że mieszkańcy Erchesteru i Hayholt, choć pozostawali z daleka od miejsca bitwy, słyszeli o okropnym losie zamku Josui i tamtejszych ludzi. A nawet gdyby o niczym nie wiedzieli, to spuszczone głowy i ponure miny goszczące zamiast radości na twarzach zwycięskich rycerzy mówiły, że nie wszystko potoczyło się tak, jak się spodziewano.

„To coś więcej niż tylko wstyd – pomyślał Guthwulf – coś więcej niż obawa” – dotyczyło to zarówno jego, jak i żołnierzy. Wszyscy odczuwali strach, którego nie potrafili ukryć. Czy Król oszalał? Czy sprowadził zło na nich wszystkich? Hrabia wiedział, że Bóg nie obawiał się walki ani przelania krwi – takim przecież atramentem wypisał swoją wolę, jak powiedział kiedyś pewien filozof. Ale, na Usiresa, przecież to było coś innego, czyż nie?

Jeszcze raz spojrzał ukradkiem na Króla, czując ucisk w żołądku. Elias przysłuchiwał się teraz swemu doradcy, odzianemu w czerwone szaty

Pryratesowi. Łysa głowa duchownego podskakiwała tuż przy uchu Eliasa niczym skórzaste jajo.

Guthwulf rozważał kiedyś zabicie Pryratesa, ale doszedł do wniosku, że mogłoby to tylko pogorszyć sprawy. Oznaczałoby to zabicie łowczego w chwili, gdy psy skaczą do gardła. Pryrates mógł być jedyną osobą, która miała jeszcze kontrolę nad Królem, chyba że, jak czasem wydawało się Guthwulfowi, to właśnie Pryrates prowadził Eliasa na drogę wiecznego potępienia. Kto to mógł wiedzieć? A niech ich wszystkich! Kto mógł wiedzieć?

Elias wyszczerzył zęby w uśmiechu, spoglądając na nieliczny tłum wiwatujących, być może w odpowiedzi na jakąś uwagę Pryratesa. Guthwulf pomyślał, że nie jest to spojrzenie kogoś szczęśliwego.

– Jestem zły. Moja cierpliwość kończy się wobec takiej niewdzięczności. – Król zasiadł na swym tronie, był to słynny Smoczy Tron jego ojca, Johna. – Wasz monarcha wraca z wojny, przynosi wam wieści o wielkim zwycięstwie, a tu wita go garstka motłochu. – Elias wydął wargi, wpatrując się w ojca Helfcene, szczupłego duchownego, który był też kanclerzem w Hayholt. Helfcene klęczał u stóp Króla; jego łysa głowa sterczała przed tronem niczym zbyt mała tarcza. – Dlaczego nikt mnie nie witał?

– Ależ witali, panie, witali – wyjąkał kanclerz. – Czyż nie przywitałem cię przy Bramie Nearulagh z całą służbą, która pozostała w Hayholt? Jesteśmy wzruszeni, widząc Waszą Wysokość w zdrowiu, i głęboko poruszeni zwycięstwem na Północy!

– Moi płaszczący się słudzy nie wyglądali na specjalnie wzruszonych. – Elias sięgnął po swój puchar. Zawsze czujny Pryrates podał mu go natychmiast, uważając, aby nie rozlać ciemnego płynu. Król pociągnął

długi łyk i skrzywił twarz od jego goryczy. – Guthwulf, czy powiedziałbyś, że moi poddani złożyli mi odpowiedni hołd?

Hrabia wziął głęboki oddech, zanim odpowiedział wolno:

– Może... może słyszeli wcześniej jakieś pogłoski...

– Pogłoski? O czym? Czy pokonaliśmy twierdzę mojego zdradzieckiego brata w Naglimundzie, czy też nie?

– Ależ tak, mój Królu. – Guthwulf czuł, że znajduje się w niezręcznej sytuacji. Elias wpatrywał się w niego swymi zielonymi oczami niczym sowa. – Ależ tak – powtórzył hrabia. – Tylko że nasi... sprzymierzeńcy... mogli dać powód do jakichś plotek.

Elias zwrócił się do Pryratesa. Patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami, jakby rzeczywiście się dziwił.

– Zyskaliśmy potężnych przyjaciół, prawda, Pryratesie?

Duchowny skinął głową nieznacznie.

– Tak, Wasza Wysokość, potężnych przyjaciół.

– I w końcu spełnili naszą wolę, prawda? Zrobili to, czegośmy żądali?

– Zrobili dokładnie to, czego zażądałeś, Królu Eliasie. – Pryrates spojrzał na Guthwulfa. – Spełnili twoją wolę.

– Widzicie. – Elias odwrócił się zadowolony w kierunku ojca Helfcene. – Wasz Król pojechał na wojnę, pokonał wroga i powrócił z przymierzem starszym niż nawet dawno upadłe imperium nabbańskie. – Mówił niebezpiecznie drżącym głosem. – Dlaczego więc moi słudzy płaszczą się jak zbite psy?

– Panie, to zwykłe prostaki – odparł Helfcene. Na czubku jego nosa zawisła kropla potu.

– Wydaje mi się, że ktoś tutaj robił złą robotę podczas mojej nieobecności – powiedział Elias dobitnym głosem. – Chciałbym wiedzieć,

kto rozpowiadał plotki. Słyszysz, Helfcene? Muszę wiedzieć, kto wie lepiej od samego Wielkiego Króla, co jest dobre dla Osten Ard. Idź już, a kiedy spotkamy się ponownie, myślę, że będziesz miał mi coś do powiedzenia. – Elias szarpał ze złością skórę na twarzy. – Zdaje się, że niektórzy z tych cholernych piecuchów, którzy nie opuszczają zamku, powinni przypomnieć sobie, jak wygląda szubienica. Jej cień przypomni im o tym, kto tutaj rządzi.

Kropla potu oderwała się wreszcie od nosa Helfcene'a i upadła na podłogę. Kanclerz pokiwał głową energicznie i w tej chwili z jego twarzy spłynęły kolejne krople; było ich zadziwiająco dużo jak na tak chłodne popołudnie.

– Oczywiście, mój panie. To dobrze, bardzo dobrze, że już wróciłeś. – Uniósł się nieco z klęczek, skłonił ponownie, po czym odwrócił i wyszedł szybko z Sali Tronowej.

Uderzenie olbrzymich drzwi, które zamknął za sobą, odbiło się echem w górze pomiędzy krokwiami i licznymi sztandarami. Elias ponownie oparł się o szerokie oparcie tronu z pożółkłej kości i potarł oczy wierzchem silnych dłoni.

– Guthwulf, chodź tutaj – powiedział stłumionym głosem.

Hrabia Utanyeat zrobił krok do przodu, choć z trudem opanowywał chęć ucieczki z sali. U boku Eliasa stał Pryrates z twarzą gładką i niewzruszoną jak marmur.

W chwili gdy Guthwulf podszedł do Smoczego Tronu, Elias opuścił dłonie na swe uda. Sine cienie pod jego oczami sprawiały wrażenie, że oczy Króla zapadły się jeszcze bardziej. Przez moment Guthwulfowi wydawało się, że Król spogląda na niego z jakiejś ciemnej dziury, z pułapki, w którą wpadł.

– Guthwulf, musisz mnie bronić przed zdradą. – Elias mówił drżącym głosem; w jego słowach zabrzmiała nuta desperacji. – Ja jestem słaby, lecz nadchodzą wielkie sprawy. Ten kraj ujrzy złoty wiek, o jakim filozofowie i duchowni marzyli tylko; lecz ja muszę przetrwać. Muszę albo wszystko na nic. Wszystko zamieni się w popiół. – Elias pochylił się i chwycił szorstką dłoń Guthwulfa w swoje ręce zimne jak łuski ryby.

– Musisz mi pomóc, Guthwulf. – Teraz jego drżący głos zabrzmiał dobitniej. Przez chwilę hrabia miał wrażenie, że słucha swego dawnego towarzysza, którego pamiętał z wielu bitew i awantur, i tym bardziej bolesne wydawały mu się słowa Króla. – Fengbald, Godwig i cała reszta to banda głupców – powiedział Elias. – Helfcene zachowuje się jak przestraszony królik. Jesteś jedynym, któremu mogę zaufać – z wyjątkiem Pryratesa. Tylko wy dwaj jesteście wobec mnie całkowicie lojalni.

Król zasłonił oczy, zaciskając jednocześnie zęby jakby z bólu. Skinieniem dłoni nakazał Guthwulfowi odejść. Hrabia spojrzał na Pryratesa, lecz duchowny pokiwał tylko głową i odwrócił się, by napełnić puchar Eliasa.

Kiedy Guthwulf otworzył drzwi komnaty i wyszedł na oświetlony lampami korytarz, poczuł w żołądku skurcz strachu. Zaczął rozważać to, co do tej pory wydawało mu się nie do pomyślenia.

MIRIAMELE WYRWAŁA DŁOŃ z uścisku hrabiego Streawe’a. Zrobiła gwałtownie krok w tył i opadła na krzesło, które podstawił jej mężczyzna przebrany za Śmierć. Przez chwilę siedziała nieruchomo, jakby uwięziona w pułapce.

– Skąd wiedziałeś, że to ja? – odezwała się wreszcie. – Że przyjdę tutaj?

Hrabia cmoknął i popukał zakrzywionym palcem w lisią maskę, którą odłożył.

– Silni działają, posługując się siłą. Ci, którzy nie są tak silni, muszą być sprytni i działać szybko.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Streawe uniósł brwi.

– Doprawdy? – Zwrócił się do swego wspólnika z twarzą Śmierci: – Możesz odejść, Lenti. Zaczekaj ze swoimi ludźmi na zewnątrz.

– Pada deszcz – odparł żałośnie Lenti, potrząsając białą maską i spoglądając z głębi jej oczodołów.

– W takim razie zaczekaj na górze, głupcze! – rzucił gniewnie. – Zadzwonię, kiedy będę cię potrzebował.

Lenti ukłonił się i rzuciwszy szybkie spojrzenie w kierunku Miriamele, wyszedł.

– Ach – westchnął Streawe – on czasem zachowuje się jak dziecko. Ale robi, co do niego należy. Nie o wszystkich moich sługach mogę powiedzieć to samo. Hrabia przesunął karafkę z winem w kierunku brata Cadracha, który powąchał ją podejrzliwie, najwyraźniej nie wiedząc, co dalej robić. – Napij się – powiedział hrabia. – Czy myślisz, że zadawałbym sobie tyle trudu, aby sprowadzić cię przez całe Ansis Pelippe i otruć w jednej z moich najlepszych rezydencji. Gdybym życzył ci śmierci, byłbyś martwy zaraz po zejściu na ląd.

– Takie słowa nie pozwalają mi czuć się tutaj swobodnie – powiedziała Miriamele, odzyskując powoli pewność siebie. – I zaczynają mnie złościć. Hrabio, jeśli w swym postępowaniu kierowałeś się honorem, dlaczego zatem przyprowadzono nas tutaj pod groźbą noża?

– Czy Lenti powiedział wam, że ma nóż? – spytał Streawe.

– Oczywiście – rzuciła krótko Miriamele. – Czy chcesz powiedzieć, że go nie miał?

Starzec zachichotał.

– Błogosławiona Elysio, ależ miał! Ma ich mnóstwo; różnych kształtów i rozmiarów, niektóre o dwóch ostrzach, inne z jednym, lecz obustronnie naostrzone. Lenti ma więcej noży niż ty zębów. – Streawe jeszcze raz zachichotał. – Wciąż powtarzam mu, żeby się tym nie chwalił. W mieście nazywają go „Avi Stetto”. – Streawe przestał się śmiać i tylko sapał lekko.

Miriamele odwróciła się do Cadracha, u niego szukając wyjaśnienia, lecz mnich zajęty był karafką wina, do którego najwyraźniej nabrał już zaufania.

– Co znaczy... „Avi Stetto”? – spytała wreszcie.

– W języku perdruińskim znaczy to „Mam nóż”. – Streawe pokiwał głową z zadowoleniem. – Tyle tylko, że nie potrafi bawić się swymi zabawkami. On...

– Panie, skąd o nas wiedziałeś? – spytał Cadrach, ocierając usta wierzchem dłoni.

– I co zamierzasz z nami zrobić? – dopytywała się Miriamele.

– Co do pierwszego pytania – zaczął Streawe – już wam mówiłem. Słabi muszą mieć swoje sposoby. Perdruin nie jest krajem, przed którym drżałyby inne narody, dlatego też musimy mieć dobrych szpiegów. Każdy port w Osten Ard jest otwartym targowiskiem wiadomości, a wszyscy najlepsi handlarze są moimi ludźmi. Wiedziałem, że opuściliście Naglimund, zanim jeszcze dotarliście do rzeki Greenwade; przez cały czas moi ludzie śledzili wasze ruchy. – Z misy na stole wziął jakiś czerwonawy owoc i zaczął go obierać trzęsącymi się palcami. – A jeśli chodzi o drugie pytanie – powiedział. – Muszę przyznać, że to bardzo rozsądne pytanie.

Hrabia bezskutecznie zmagał się z twardą skórką owocu. Kierowana nagłym i nieoczekiwanym przypływem sympatii do starego księcia Miriamele wyjęła mu delikatnie owoc z ręki.

– Ja to zrobię – powiedziała.

Streawe uniósł brwi w zdziwieniu.

– Dziękuję ci, moja droga. To bardzo miło z twojej strony. A zatem pozostaje pytanie, co powinienem z wami zrobić... No cóż, muszę przyznać, że kiedy dowiedziałem się o waszym... stanie tymczasowej niezależności, pomyślałem sobie, że jest parę osób, które byłyby gotowe zapłacić za informację o miejscu waszego pobytu. Lecz później, kiedy było już jasne, że będziecie się przesiadać tutaj, w Ansis Pelippe, zdałem sobie sprawę z faktu, że jeszcze cenniejszy od informacji o tym, gdzie przebywacie, byłby widok samej księżniczki. Mam na myśli twego ojca czy też wuja.

Miriamele cisnęła ze złością do półmiska na wpół obrany owoc.

– Sprzedałbyś mnie moim wrogom?

– No, no, moja droga – uspokoił ją hrabia. – Czy ja o czymś takim mówiłem? A kogo ty nazywasz wrogiem? Swego ojca, Króla? Swego dobrego wuja, Josuę? Nie mówimy o sprzedaniu cię handlującym niewolnikami kupcom Naskadu. A poza tym – dodał pośpiesznie – to rozwiązanie nie wchodzi już w rachubę.

– Co to ma znaczyć?

– To, że nie mam zamiaru sprzedawać cię komukolwiek – odparł Streawe. – O to możesz się nie martwić.

Miriamele podniosła owoc, który zaczęła obierać. Teraz *jej* dłoń drżała.

– Co z nami będzie?

– Może hrabia będzie zmuszony uwięzić nas w swych głębokich, winnych piwnicach dla naszego bezpieczeństwa – odezwał się Cadrach, wpatrując się z zadowoleniem w prawie pustą karafkę. Był już mocno podchmielony i w bardzo dobrym humorze. – Ach, czy to nie byłoby okropne?

Miriamele odwróciła się z niesmakiem.

– A więc? – zwróciła się do Streawe’a.

Starzec wziął od niej śliski owoc i odgryzł kawałek.

– Powiedz mi jedno – zaczął. – Czy jedziesz do Nabbanu?

Miriamele zawahała się i przez chwilę milczała.

– Tak – odpowiedziała wreszcie. – Tam jadę.

– Po co?

– Dlaczego miałabym ci mówić? Wprawdzie nie wyrządziłeś nam krzywdy, ale i nie okazałeś dowodów przyjaźni.

Streawe nie odrywał od niej wzroku. Uśmiechnął się, choć jego zaczerwienione oczy zachowały niewzruszony wyraz.

– Lubię takie młode damy, które wiedzą swoje. Głupi sentymentalizm i błędne rozumowanie są czymś tak powszechnym w Osten Ard, i choć nie są grzechem, przyprawiać muszą aniołów o niekończące się jęki rozpaczy. Ale ty, Miriamele, już jako dziecko wyglądałaś mi na kogoś, kto coś zdziała na tym świecie. – Sięgnął po stojącą przed Cadrachem karafkę i napełnił ponownie swój puchar. Mnich powiódł wzrokiem za naczyniem jak pies, któremu odebrano kość. – Powiedziałem, że nikt cię nie sprzeda – odezwał się hrabia Streawe. – To znaczy, niezupełnie to chciałem powiedzieć. Nie patrz tak na mnie, moja panno! Poczekaj, aż skończę. Mam... przyjaciela. Tak pewnie byś go nazwała, chociaż nie znamy się dobrze osobiście. Jest to osoba duchowna, ale obraca się także w innych kręgach. Najlepszy przyjaciel, jakiego można pragnąć, gdyż posiada rozległą wiedzę i znaczne wpływy. Problem tylko w tym, że jest on człowiekiem o wręcz irytującym poczuciu moralności. Nie raz pomógł Perdruińczykom i mnie także. Krótko mówiąc, jestem mu winien parę przysług. A wracając do sprawy, nie tylko ja wiem o twoim wyjeździe z Naglimundu. On także dowiedział się o tym ze swoich prywatnych źródeł...

– On też? – powtórzyła Miriamele. Spojrzała złowrogo na Cadracha. – Czy wysłałeś przed nami gońca z wieścią?

– M... ja p...pani, nie pisnąłem ani słowa – wybełkotał mnich. Czy ona wiedziała, że nie jest aż tak pijany, jak udaje?

– Proszę, księżniczko. – Streawe uniósł drżącą dłoń. – Jak już mówiłem, mój przyjaciel jest wpływową osobą. Nawet ludzie z jego otoczenia nie zdają sobie sprawy z jego wpływów. Jego sieć informacyjna, choć mniejsza od mojej, jest tak głęboka i rozległa, że wciąż mnie zdumiewa. Ale nie to chciałem powiedzieć. Kiedy mój przyjaciel przysłał mi wiadomość – każdy z nas ma wyuczone ptaki, które przenoszą nasze listy – poinformował mnie o twoich działaniach. Ja już o tym wiedziałem. Lecz on nie znał moich planów wobec ciebie; tych, o których wspominałem wcześniej.

– Chodzi o sprzedanie mnie.

Streawe chrząknął przepraszająco. Przez chwilę był to prawdziwy kaszel. Odzyskawszy oddech, mówił dalej:

– Jak już mówiłem, mam u mego przyjaciela dług do spłacenia. Tak więc kiedy poprosił mnie, abym powstrzymał cię przed podróżą do Nabbanu, nie miałem wyboru...

– O co cię poprosił? – Miriamele nie chciała wierzyć własnym uszom. Czy nigdy nie ucieknie przed wtrącaniem się innych osób w jej sprawy?

– On nie chce, żebyś jechała do Nabbanu. Twierdzi, że nie jest to właściwa pora.

– Nie jest właściwa pora? Co to za „on” i co znaczy niewłaściwa...

– On? On jest dobrym człowiekiem. Jednym z nielicznych, o których można tak się wyrazić. Ja sam niespecjalnie szanuję tego typu ludzi. Właściwa pora oznacza ocalenie twego życia. A przynajmniej twej wolności.

Księżniczka czuła, że włosy przylepiają się jej do czoła. W pokoju było ciepło i wilgotno, a ten zagadkowy, irytujący starzec po drugiej stronie stołu znowu się uśmiechał, szczęśliwy niczym dziecko, które nauczyło się jakiejś nowej sztuczki.

– Chcesz mnie tutaj zatrzymać? – spytała wolno. – Uwięzisz mnie po to, by uratować moją wolność?

Hrabia Streawe wyciągnął dłoń i chwycił ciemny sznurek, niewidoczny prawie na tle jakiegoś wymiętego gobelinu. Gdzieś w domu rozległo się słabe dzwonienie.

– Niestety tak, moja droga – powiedział. – Muszę cię zatrzymać, dopóki mój przyjaciel nie przyśle innych instrukcji. Dług musi być spłacony, a przysługa odpłacona. – Za drzwiami rozległy się czyjeś kroki w ciężkich butach. – Księżniczko, wszystko to naprawdę tylko dla twojego dobra, choć pewnie trudno w tej chwili tak to ocenić.

– Sądy zostaw mnie – burknęła Miriamele. – Jak możesz? Czy nie wiesz, że zanosi się na wojnę? Że niosę ważne wiadomości do księcia Leobardisa? – Pomyślała, że musi dotrzeć do księcia i przekonać go, by przyłączył się do Josui. Jeśli tak się nie stanie, jej ojciec zniszczy Naglimund i dalej będzie brnął w szaleństwo.

Hrabia roześmiał się.

– Ach, moje dziecko. Konie podróżują o wiele wolniej od ptaków, nawet od tych, które przenoszą tak ważne wieści. Widzisz, Leobardis wyruszył ze swoją armią na Północ prawie miesiąc temu. Gdybyś nie podróżowała tak szybko i skrycie, gdybyś po drodze porozmawiała z ludźmi z miast, wiedziałabyś o tym.

Miriamele opadła zdumiona na krzesło, a hrabia uderzył mocno kłykciami w stół. Drzwi natychmiast się otworzyły i do pokoju wszedł Lenti z dwoma towarzyszami. Wszyscy mieli na sobie te same stroje. Lenti

zdjął tylko swą maskę Śmierci; wzrok miał ponury a twarz trochę bardziej różową niż maska, choć niewiele więcej było w niej życia.

– Lenti, dopilnuj, aby im niczego nie brakowało – powiedział Streawe. – Potem zamknij dobrze drzwi i przyjdź pomóc mi wsiąść do lektyki.

Kiedy ludzie Streawe'a zaczęli podnosić Cadracha, Miriamele zwróciła się do hrabiego:

– Jak mogłeś to zrobić? – syknęła. – Zawsze mile cię wspominałam; ciebie i ten twój zdradliwy ogród!

– Ach, ogród – odparł Streawe. – Pewnie chciałabyś go znowu zobaczyć, prawda? Nie złość się, księżniczko. Porozmawiamy jeszcze. Mam ci wiele do powiedzenia. Cieszę się, że cię znowu spotykam. I pomyśleć, że taka energiczna dziewczyna jest córką tamtej bladej, wstydliwej Hylissy.

Lenti i jego towarzysze wyprowadzili ich na zewnątrz, na deszcz. Wychodząc, spojrzała jeszcze na hrabiego; siedział wpatrzony w kominek i powoli kiwał siwą głową.

ZAPROWADZILI JĄ DO WYSOKIEGO DOMU pełnego zakurzonych gobelinów i starych, trzeszczących krzeseł. Zamek Streawe'a, wybudowany na odnodze Sta Mirore, był niemal pusty; kręciła się po nim tylko garstka milczącej służby oraz kilku nerwowo wyglądających posłańców, którzy pojawiali się i znikali niczym gronostaj przemykający przez dziury w płocie.

Miriamele otrzymała własny pokój. Kiedyś mógł być nawet całkiem ładny. Teraz na wyblakłych gobelinach widniały tylko zarysy niewyraźnych postaci i krajobrazów. Słoma w jej sienniku była tak stara i wysuszona, że szeleściła nieustannie przez całą noc.

Każdego ranka ubierała się z pomocą służącej o ponurej twarzy, która uśmiechała się czasem przez zaciśnięte usta i prawie się nie odzywała. Cadracha umieszczono w innym pokoju, więc zupełnie nie miała z kim porozmawiać. Oszukując bezczynność, czytała starą *Księgę Aedona* zdobioną ilustracjami tak wyblakłymi, że z brykających zwierząt pozostały jedynie kontury, co sprawiało, że wyglądały jak wyrzeźbione w krysztale.

Przez cały czas Miriamele planowała i rozważała możliwości ucieczki, lecz ziejący pustką pałac hrabiego wydawał się o wiele trudniejszym miejscem do ucieczki niż najgorsza z piwnic w Hayholt. Frontowe drzwi skrzydła, w którym ją trzymano, wciąż pozostawały zamknięte. Równie niedostępne były drzwi innych pokoi. Pokojówka oraz pozostali służący przyprowadzani byli przez groźnie wyglądającego strażnika o szerokiej twarzy. Jeśli w ogóle był sens rozważać możliwość ucieczki, to wchodziły w grę tylko drzwi w przeciwległym końcu korytarza – te zawsze były otwarte. Prowadziły do otoczonego murem ogrodu Streawe’a i tam właśnie spędzała Miriamele większość dnia.

Ogród okazał się mniejszy, niż go pamiętała, ale przecież nie było w tym nic dziwnego: kiedy widziała go ostatnio, była małą dziewczynką. Wydawał się też starszy, jakby kwiaty i jasnozielona roślinność zmęczyły się latami wegetacji.

Na obrzeżach ogrodu i wzdłuż alejek rosły czerwone i żółte róże, wypierane jednak powoli przez rozrastające się bujnie winne krzewy; ich krwiste kwiaty o kształcie dzwonków rozsiewały intensywny zapach, który mieszał się z mnóstwem innych słodkich i smutnych woni. Mury i drzwi porastał orlik. Jego postrzępione kwiaty lśniły w mroku niczym migocące słabo gwiazdy. Tu i ówdzie wśród gałęzi drzew i kwitnących krzewów pojawiały się pasemka jeszcze dziwniejszych barw – były to ogony

śpiewających wysoko ptaków o oczach koloru onyksu z Wysp Południowych.

Wprawdzie ogród otoczony był wysokim murem, lecz nie było nad nim żadnego dachu. Pierwszego ranka Miriamele próbowała wspiąć się na mur, ale szybko odkryła, że kamień, z którego go zbudowano, jest zbyt śliski, a pnącza winorośli zbyt kruche. Do ogrodu zlatywały się często małe ptaki z pobliskich wzgórz; sfruwały zygzakami na gałęzie drzew i skakały po nich wesoło, dopóki coś ich nie wystraszyło; wtedy wzlatywały szybko i znikały za murem, przypominając Miriamele o wolności. Czasem znad morza przylatywała jakaś mewa. Łopocząc skrzydłami, lądowała na ścieżce i paradowała dumnie, muskając swe piórka przed bardziej kolorowymi mieszkańcami ogrodu. Przez cały czas czujnie rozglądała się w nadziei otrzymania jakichś okruchów z posiłku Miriamele. Choć nad ziemią widniało błękitne niebo ozdobione kłębiącymi się obłokami, wspaniale upierzeni mieszkańcy ogrodu pozostawali w swoich kryjówkach, popiskując cicho w zielonym cieniu.

Czasami wieczorem Streawe dotrzymywał jej towarzystwa w ogrodzie. Przynosił go ponury Lenti, który sadzał hrabiego na krześle z wysokim oparciem i okrywał wzorzystym pledem jego słabe, zupełnie już nieprzydatne nogi. Rozdrażniona niewolą Miriamele celowo prawie nie reagowała, kiedy Streawe próbował ją zabawiać wesołymi historyjkami lub plotkami z portu. Czuła jednak, że nie potrafi tak zupełnie zignorować starca.

Kiedy już zrozumiała, że nie uda jej się uciec, a mijające dni stępiły nieco ostrze jej goryczy, stwierdziła, że przebywanie w ogrodzie, gdy popołudnie przechodziło w wieczór, daje jej nieoczekiwaną radość. Codziennie pod koniec dnia, gdy niebo zmieniało barwę z błękitnej na szarą, a potem przechodziło w czerń i świece dopalały się w świecznikach,

Miriamele łatała swe odzienie, które podarła w czasie podróży na Południe. Kiedy nocne ptaki rozpoczynały swe pierwsze, nieśmiałe jeszcze śpiewy, piła miętową herbatę, udając, że nie słucha opowieści starego hrabiego. Kiedy słońce zachodziło, wkładała płaszcz do jazdy konnej. Tego roku miesiąc Yuven był niespotykanie zimny, tak że nawet w otoczonym murem ogrodzie noc była chłodna.

Minął już prawie tydzień niewoli Miriamele w pałacu hrabiego Streawe'a kiedy przybył do niej zasmucony i powiadomił o śmierci jej wuja, księcia Leobardisa, który zginął pod murami Naglimundu. Najstarszy syn księcia, Benigaris – jej kuzyn, którym nigdy się specjalnie nie interesowała – powrócił, by zasiąść na tronie w Sancellan Mahistrevis. „Z pewnością pomogła mu w tym jego matka, Nessalanta" – pomyślała Miriamele. Nessalanta była jeszcze jedną krewną, za którą Miriamele nigdy nie przepadała. Wieści zmartwiły ją, gdyż uważała Leobardisa za dobrego człowieka. Poza tym jego śmierć oznaczała wycofanie wojsk Nabbanu z pola bitwy i pozostawienie Josui samemu sobie.

Trzy dni później, wieczorem, pierwszego dnia miesiąca Tiyagar Streawe sam drżącą dłonią nalał jej do czary herbaty i oznajmił, że Naglimund padł. Dodał też, że mówi się o wielu zabitych i nielicznych, którym udało się przeżyć. Kiedy zaczęła płakać, objął ją niezręcznie kościstymi ramionami.

ZAPADAŁ ZMIERZCH. Kawałki nieba widoczne przez ciemną gęstwinę liści miały barwę niezdrowego, posiniaczonego ciała.

Deornoth potknął się o niewidoczny korzeń, powodując, że Sangfugol i Isorn runęli na ziemię obok niego. Isorn, padając, puścił ramię harfiarza. Sangfugol przewrócił się i leżał bez ruchu, jęcząc. Bandaż – zrobiony z cienkiej spódnicy jednej z kobiet – którym miał owiniętą łydkę, zaczerwienił się od świeżej krwi.

– Och, biedaku – powiedziała Vorzheva i kulejąc, zbliżyła się do leżącego. Przykucnęła, rozkładając swą podartą suknię, i ujęła dłoń Sangfugola. Harfiarz leżał ze wzrokiem utkwionym nieprzytomnie w konary drzew nad jego głową.

– Mój Boże, musimy się zatrzymać – powiedział Deornoth. – Jest już za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć.

Josua odwrócił się wolno. Był potargany i patrzył nieprzytomnie.

– Deornoth, powinniśmy iść, dopóki całkiem się nie ściemni. Każda chwila najsłabszego nawet światła jest dla nas cenna.

Deornoth przełknął ślinę. Dużo go kosztowało, by sprzeciwić się swemu panu.

– *Musimy* znaleźć bezpieczne miejsce na noc, mój książę. Trudniej będzie to zrobić w ciemności. Poza tym idąc dalej, narażamy rannych na większe niebezpieczeństwo.

Josua spojrzał nieprzytomnie na Sangfugola. Deornothowi nie podobała się zmiana, jaką zaobserwował u Josui. Książę zawsze był spokojnym człowiekiem i choć wielu uważało go za dziwaka, był stanowczym przywódcą – nawet w najtrudniejszych chwilach, tuż przed upadkiem Naglimundu. Teraz wydawało się, że z niechęcią odnosi się do jakiegokolwiek działania, zarówno w sprawach małych, jak i dużych.

– Dobrze – przemówił wreszcie Josua. – Jeśli tak uważasz.

– Przepraszam, ale może moglibyśmy podejść jeszcze trochę w górę tego wąwozu? – spytał ojciec Strangyeard. – To będzie zaledwie parę kroków, a zawsze bezpieczniej jest założyć obóz na wzniesieniu niż na dnie wąwozu, czy nie mam racji? – Spojrzał wyczekująco na Josuę, lecz książę chrząknął tylko. Po chwili archiwista zwrócił się do Deornotha. – Co o tym myślisz?

Deornoth spojrzał na pozostałych; zobaczył przestraszone oczy patrzące na niego z umorusanych twarzy.

– Dobry pomysł, ojcze – powiedział. – Tak zrobimy.

Bardziej dla światła niż ciepła rozpalili niewielkie ognisko w obłożonym kamieniami, pośpiesznie wykopanym zagłębieniu. Z nastaniem nocy w lesie zapadał przejmujący chłód i chętnie ogrzaliby się przy ogniu, lecz nie mogli ryzykować zdradzenia swego położenia. Nie mieli też nic do jedzenia, co dałoby się usmażyć na ogniu. Nie mogli sobie pozwolić na to, by tracić czas na polowanie.

Ojciec Strangyeard i księżna Gutrun czyścili ranę Sangfugola i zakładali mu świeży opatrunek. Wyglądało na to, że biało-czarna strzała, która ugodziła harfiarza poprzedniego wieczoru, naruszyła kość. Choć starali się zrobić to najdokładniej, jak umieli, nie udało im się wydobyć całego grotu. Kiedy Sangfugol odzyskał świadomość, stwierdził, że prawie nie czuje chorej nogi. Teraz spał płytkim i niespokojnym snem. Vorzheva stała w pobliżu, spoglądając na młodzieńca ze współczuciem. Celowo unikała Josui, lecz on wydawał się tym nie przejmować.

Deornoth złorzeczył w duchu, że ma na sobie cienki płaszcz. „Gdybym tylko wiedział, że będziemy nocować w lesie – narzekał – wziąłbym ze sobą płaszcz do jazdy konnej z futrzanym kapturem”. – Uśmiechnął się ponuro do swych myśli i nagle roześmiał się głośno. Jego krótki śmiech zwrócił uwagę klęczącego nieopodal Einskaldira.

– Co cię tak śmieszy? – spytał Rimmersman i zmarszczył brwi, nie przestając ostrzyć swego podręcznego topora. Po chwili uniósł go, dotknął ostrza zrogowaciałym palcem i jeszcze raz przyłożył topór do osełki.

– Nic szczególnego. Właśnie pomyślałem, jak głupi jesteśmy i jak nieprzygotowani.

– Szkoda czasu na rozpaczanie – mruknął Einskaldir, nie odrywając wzroku od ostrza topora, który teraz zbliżył do czerwonego płomienia ogniska. – Walcz i żyj albo walcz i giń. Bóg i tak czeka na wszystkich.

– Nie to mam na myśli. – Deornoth umilkł i się zamyślił. Zaczął głębiej zastanawiać się nad tą z pozoru błahą myślą; nagle wydało mu się, że zaraz zgubi jej wątek. – Wciąż ktoś nas goni lub prowokuje – powiedział wolno. – Wciąż jesteśmy poganiani albo wabieni. Od naszej ucieczki z Naglimundu trzy dni temu nie opuszcza nas strach.

– A czego tu się bać? – wtrącił burkliwie Einskaldir, szarpiąc swą ciemną brodę. – Jeśli nas złapią, zabiją. Istnieją gorsze rzeczy, niż zostać zabitym.

– No właśnie! – powiedział Deornoth. Czuł, jak mocno bije mu serce. – O to właśnie chodzi! – Pochylił się i wtedy zorientował się, że niemal krzyczy. Einskaldir przestał ostrzyć topór i patrzył przed siebie. – Nad tym się zastanawiam – dokończył spokojniej już Deornoth. – Dlaczego nas nie zabili.

Einskaldir spojrzał na niego i chrząknął.

– Próbowali.

– Nie. – Nagle Deornoth poczuł, że jest pewien. – Kopacze... czy też Bukkeny, jak wasi ludzie je nazywają... *one* próbowały. Ale nie Nornowie.

– Zwariowałeś, Erkynlandczyku – rzucił Einskaldir z odrazą. Deornoth powstrzymał się przed ripostą i podpełzł wokół ogniska do Josui.

– Mój książę, muszę z tobą pomówić.

Josua nie odpowiadał, znowu pogrążony w myślach. Siedział wpatrzony w Towsera. Stary błazen spał oparty plecami o drzewo; łysa głowa opadła mu na pierś i podskakiwała lekko. Deornoth nie dostrzegł niczego szczególnego w śpiącym starcu, więc usadowił się pomiędzy księciem a przedmiotem jego uwagi. Twarz Josui była prawie niewidoczna, lecz

Deornothowi wydało się, że w słabym blasku ogniska dostrzegł uniesione w zdziwieniu brwi Josui.

– O co chodzi, Deornoth?

– Mój książę, twoi ludzie potrzebują cię. Dlaczego zachowujesz się w tak dziwny sposób?

– Niewielu zostało z moich ludzi, prawda?

– Ale wciąż pozostają twoimi ludźmi i szczególnie teraz jesteś im potrzebny, gdy znajdujemy się w tak wielkim niebezpieczeństwie.

Deornoth usłyszał, jak Josua bierze głęboki oddech, jakby w zdziwieniu, a może, by odpowiedzieć coś w złości. Lecz kiedy przemówił, jego głos był spokojny.

– Deornoth, znaleźliśmy się w złych czasach. Każdy stawia im czoło na swój sposób. Czy o tym chciałeś ze mną porozmawiać?

– Nie tylko o tym, mój panie. – Deornoth przysunął się jeszcze bliżej, aż znalazł się w zasięgu wyciągniętego ramienia księcia. – Czego chcą Nornowie, książę Josuo?

Josua uśmiechnął się ponuro.

– Wydawało mi się, że jest to dość oczywiste. Chcą nas zabić.

– A zatem dlaczego jeszcze tego nie zrobili?

Na chwilę zapadło milczenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, co powiedziałem. Dlaczego nas jeszcze nie zabili? Mieli wiele okazji.

– Uciekamy przed nimi od...

Deornoth chwycił ramię Josui zniecierpliwiony. Poczuł, jak chudy jest książę.

– Mój panie, czy wierzysz, że Nornowie... słudzy Króla Burz, którzy zniszczyli Naglimund, nie byliby w stanie schwytać kilkunastu wygłodzonych i rannych mężczyzn i kobiet?

Poczuł, że Josua napina ramię.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Nie wiem! – Deornoth puścił ramię Josui i podniósłszy z ziemi patyk, zaczął odrywać z niego nerwowo korę. – Nie chce mi się wierzyć, by nie mogli zapędzić nas w zasadzkę, gdyby tylko naprawdę chcieli.

– Usiresie powieszony! – Josua wziął głęboki oddech. – Wstyd mi, że zająłeś się czymś, co należy do mnie. Masz rację. To nie ma sensu.

– Może istnieje coś ważniejszego od naszej śmierci – powiedział Deornoth zamyślony. – Jeśli chcą nas zabić, dlaczego nas nie otoczyli? Skoro chodzący trup zaskoczył nas niemal całkowicie, dlaczego nie mieliby tego zrobić Nornowie?

Josua zamyślił się na chwilę.

– Może to oni *nas* się boją. – Książę znowu zamilkł. – Zawołaj pozostałych – przemówił wreszcie. – Wydaje się to zbyt ważne, byśmy sami o tym mówili.

Kiedy wszyscy skupili się wokół małego ogniska, Deornoth powiódł po nich wzrokiem i pokiwał głową. Josua, on sam, Einskaldir, Isorn, Towser – mocno zaspany – i księżna Gutrun; należało jeszcze doliczyć Strangyearda, który nie zmieścił się przy ogniu, i Vorzhevę opiekującą się Sangfugolem. Tylko dziewięcioro, czy to możliwe, aby pozostało ich tylko tylu? Dwa dni temu pochowali Helmfesta i młodą służącą. Gamwold, starszy gwardzista o siwych włosach, umarł w czasie ataku, gdy został ranny Sangfugol. Nie udało im się odzyskać jego ciała, nie mówiąc już o pochówku. Spadł z wysoka na skalny występ i tam go zostawili na pastwę wiatru i deszczu.

„Tylko dziewięcioro – pomyślał. – Josua ma rację; rzeczywiście małe królestwo”.

Kiedy Josua skończył mówić, odezwał się nieśmiało Strangyeard.

– Aż strach to powiedzieć – zaczął – ale... ale może oni tylko z nami igrają, bawią się w kotka i myszkę.

– Co za okropny pomysł! – powiedziała Gutrun. – Ale z drugiej strony to poganie, więc wszystko jest możliwe.

– Oni są czymś więcej niż poganami, księżno – powiedział Josua.

– Oni są nieśmiertelni. Wielu z nich żyło już w czasach, kiedy Aedon Usires wędrował po wzgórzach Nabbanu.

– Ale oni umierają – odezwał się Einskaldir. – Ja to wiem.

– Są okropni – wtrącił Isorn. Widać było, jak jego potężnym ciałem wstrząsnął dreszcz. – Teraz już wiem, że to oni przybyli z Północy, kiedy zostaliśmy schwytani do niewoli w Elvritshalli. Już same ich cienie są zimne; jak wiatr z *Huelheim*, krainy śmierci.

– Chwileczkę – powiedział Josua. – O czymś mi przypomniałeś, Isornie. Mówiłeś kiedyś, że w niewoli niektórych z was torturowano.

– Tak, nigdy tego nie zapomnę.

– Kto ich torturował?

– Czarni Rimmersmeni, ci, którzy mieszkają u podnóża Burzowej Góry. To oni pomagali Skalemu Kaldskryke, choć, jak już mówiłem, chyba nie otrzymali zapłaty, jakiej się spodziewali. W rezultacie byli prawie tak samo przestraszeni jak my, ich więźniowie.

– Ale torturowali was Czarni Rimmersmeni. A Nornowie?

Isorn zamyślił się; jego szeroka twarz znieruchomiała.

– Nie... – powiedział wolno. – Nie wydaje mi się, by Nornowie mieli z tym coś wspólnego. Oni byli tylko czarnymi cieniami w płaszczach

z nasuniętymi na twarze kapturami, które przybywały do Elvritshalli. Sprawiali wrażenie, że nie obchodzi ich to, co się wokół dzieje, choć właściwie nie mieliśmy okazji widywać ich często, co mnie wcale nie martwiło.

– Tak więc – powiedział Josua – nie wygląda na to, by Nornowie interesowali się torturowaniem.

– Chyba specjalnie się tym nie przejmują – warknął Einskaldir. – W Naglimundzie mieliśmy okazję przekonać się, że nie pałają do nas sympatią.

– A jednak nie wydaje mi się, aby ścigali nas przez las Aldheorte tylko dla zabawy. – Książę zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Nie mam pojęcia, dlaczego mieliby się nas obawiać, zważywszy na to, że stanowimy tak słabego przeciwnika. Czego mogliby chcieć?

– Wsadzić nas do klatek – odezwał się Towser ponuro, rozcierając obolałe nogi. Wielogodzinny marsz w ciągu dnia dał mu się bardziej we znaki niż komukolwiek z pozostałych z wyjątkiem może Sangfugola. – Żebyśmy dla nich tańczyli.

– Cicho, starcze – warknął Einskaldir.

– Nie rozkazuj mu – powiedział Isorn, rzucając Einskaldirowi znaczące spojrzenie, choć z pewnością trudno było je dostrzec przy tak słabym świetle.

– Myślę, że Towser ma rację – odezwał się Strangyeard swym cichym i łagodnym głosem.

– Co masz na myśli? – spytał Josua.

Archiwista chrząknął.

– To brzmi sensownie – zaczął. – To znaczy, nie to, że chcą, abyśmy dla nich tańczyli. – Spróbował się uśmiechnąć. – Chodzi mi o te klatki. Może zamierzają nas uwięzić.

Deornoth ożywił się bardzo.

– Chyba jest tak, jak mówi Strangyeard! Nie zabili nas, kiedy mogli to zrobić. Chcą nas pewnie pojmać żywcem.

– Albo przynajmniej *niektórych* z nas – dodał powoli Josua. – Może w tym celu posłużyli się ciałem tego biednego pikiniera: może chcieli dostać się pośród nas, a potem porwać jednego z nas.

– Nie. – Deornoth uspokoił się. – Dlaczego więc nie otoczyli nas wtedy, kiedy mieli okazję? Zadawałem sobie już wcześniej to pytanie, lecz nie potrafię na nie odpowiedzieć.

– Jeśli chcieli... schwytać jednego z nas – wysunął Strangyeard – mogli się obawiać, że zginie w czasie walki.

– Skoro tak – powiedziała księżna Gutrun – jestem pewna, że nie chodzi im o mnie. Ja nie mogę się przydać już prawie do niczego, nawet samej sobie. Pewnie chodzi im o księcia Josuę. – Zrobiła znak Drzewa na piersi.

– Oczywiście – rzekł Isorn, obejmując swym potężnym ramieniem matkę. – Elias wysłał ich, żeby schwytali Josuę. Chce cię żywego, mój panie.

Josua wydawał się zakłopotany.

– Możliwe. Dlaczego więc strzelają do nas z łuków? – Wskazał na leżącego Sangfugola. Vorzheva wlewała mu właśnie wodę do ust, podtrzymując głowę. – Ich cel może zostać ugodzony nawet przypadkiem, kiedy uciekamy.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Siedzieli dręczeni niepewnością, wsłuchani w odgłosy wilgotnej nocy.

– Chwileczkę – odezwał się Deornoth. – Gubimy się we własnych myślach. Kiedy zostaliśmy przez nich zaatakowani?

– O świcie po tamtej nocy, kiedy... kiedy przyszedł do naszego ogniska młody pikinier – powiedział Isorn.

– Czy ktoś wtedy został ranny?

– Nie – powiedział Isorn zamyślony. – Ale udało nam się uciec. Strzały padały tuż obok.

– Jedna z nich strąciła mi kapelusz – zauważył zrzędliwie Towser. – Przepadł! Mój najlepszy kapelusz!

– Szkoda, że to nie była twoja najlepsza głowa – warknął Einskaldir.

– Ale przecież Nornowie są bardzo dobrymi łucznikami – ciągnął Deornoth, nie zwracając uwagi na Rimmersmana i błazna. – Czy ktoś jeszcze został kiedyś trafiony?

– Wczoraj! – powiedział Isorn i pokiwał głową. – Powinieneś pamiętać. Gamfold nie żyje, Sangfugol jest ciężko ranny.

– *Ale on nie zginął od strzały*.

Wszyscy spojrzeli na Josuę. Książę powiedział to z taką mocą, że Deornoth aż zadrżał.

– Gamfold spadł – powiedział książę. – Z wyjątkiem Gamfolda wszyscy, którzy zginęli, zostali zabici w walkach z kopaczami. Deornoth ma rację! Nornowie ścigają nas od trzech dni – pełnych trzech dni – i strzelali do nas wielokrotnie. Zranili jedynie Sangfugola.

Książę wstał i jego twarz zniknęła w cieniu. Pozostali słyszeli jego kroki.

– Ale dlaczego? Dlaczego zaryzykowali strzał? Robiliśmy coś, co ich przestraszyło. Coś... – Zawahał się. – Albo szliśmy gdzieś...

– O czym mówisz, książę Josuo?

– Kierowaliśmy się na wschód, do środka lasu.

– To prawda! – powiedział Deornoth zamyślony. – Od chwili, gdy ruszyliśmy Przełazem, kierowaliśmy się na południe. A wtedy po raz pierwszy spróbowaliśmy skręcić na wschód, w głąb lasu. Później spadł

Gamfold i harfiarz został ranny, a my zawróciliśmy zboczem w dół i trzymaliśmy się skraju lasu Aldheorte.

– Pędzą nas – powiedział wolno Josua – jak głupie zwierzęta.

– Ale to dlatego, że próbowaliśmy zrobić coś, co ich zaniepokoiło – zauważył Deornoth. – Próbują nie dopuścić, byśmy skierowali się na wschód.

– A my wciąż nie wiemy dlaczego – powiedział Isorn. – Pędzą nas do pułapki?

– Raczej na miejsce kaźni – wtrącił Einskaldir. – Chcą nas pewnie zabić u siebie w domu. Będą mieli zabawę. Zaproszą gości.

Josua usiadł i pozostali ujrzeli przez chwilę błysk jego zębów w uśmiechu.

– Postanowiłem nie przyjmować ich zaproszenia – powiedział.

JAKIEŚ DWIE GODZINY PRZED ŚWITEM ojciec Strangyeard poklepał Deornotha po ramieniu. Deornoth słyszał, jak archiwista podpełza w ciemności, lecz mimo to wzdrygnął się pod dotknięciem jego ręki.

– To tylko ja, sir – uspokoił go Strangyeard. – Moja kolej na objęcie straży.

– Nie ma potrzeby. Chyba i tak nie będę mógł zasnąć.

– Dobrze. W takim razie może... będziemy czuwali razem. Jeśli moja gadanina nie będzie ci przeszkadzała.

Deornoth uśmiechnął się do siebie.

– Nie będzie mi przeszkadzała, ojcze. I nie musisz nazywać mnie „sir”. Miło jest mieć chwilę spokoju. Tak mało mieliśmy go ostatnio.

– Nie ma nic bardziej przerażającego, niż widzieć, jak słowa w mych ukochanych księgach stają się coraz mniej wyraźne.

– Nic bardziej przerażającego? – powtórzył cicho Deornoth.

– Nic – powtórzył z uporem Strangyeard. – Nie znaczy to, że nie boję się innych rzeczy; lecz śmierć, na przykład – no cóż, Pan weźmie mnie do siebie, kiedy uzna to za stosowne. Ale myśl o tym, że mógłbym spędzić ostatnie lata mego życia w ciemności, nie mogąc czytać pism, które stanowią moje dzieło tutaj, na ziemi... – Archiwista urwał zawstydzony. – Wybacz, Deornoth, gadam o rzeczach nieważnych. To taka pora. W domu, w Naglimundzie, często budziłem się o tej porze, tuż przed wschodem słońca. – Duchowny znowu zamilkł. Obaj rozmyślali o tym, co stało się z miejscem, w którym mieszkali.

– Strangyeardzie, jeśli się uratujemy – odezwał się nagle Deornoth – a ty nie będziesz mógł już czytać, przyjdę do ciebie i będę ci czytał. Moje oczy i mój umysł nie są tak bystre jak twoje, ale potrafię być uparty niczym głodny koń. Poza tym po jakimś czasie nabiorę wprawy. Tak, będę ci czytał.

Archiwista westchnął.

– To bardzo miło z twojej strony – odezwał się po chwili. – Ale kiedy będziemy już bezpieczni i Josua zasiądzie na wielkim tronie Osten Ard, będziesz miał ważniejsze rzeczy do zrobienia niż czytanie staremu molowi książkowemu.

– Nie, nie wydaje mi się.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu wsłuchani w wiatr.

– A zatem wyruszymy dzisiaj na wschód? – spytał Strangyeard.

– Tak. Sądzę, że Nornom taki plan się nie spodoba. Obawiam się, że kolejni z nas mogą zostać ranni lub zabici. Ale musimy się trzymać tego planu. Dzięki Bogu, książę Josua zdaje sobie z tego sprawę.

Strangyeard westchnął.

– Wiesz, zastanawiam się nad czymś. Może to głupie, ale... – zamilkł.

– Co?

– Może im nie chodzi o księcia Josuę? Może oni chcą... schwytać mnie.

– Ojcze Strangyeardzie! – Deornoth był zupełnie zaskoczony. – Ale dlaczego?

Duchowny uniósł głowę zawstydzony.

– Wiem, że to brzmi głupio, ale muszę o tym powiedzieć. Widzisz, to ja studiowałem rękopis Morgenesa o Trzech Wielkich Mieczach i ja wciąż mam go przy sobie. – Poklepał dłonią po kieszeni swego obszernego habitu. – Razem z Jarnaugą badaliśmy go i studiowaliśmy, próbując odkryć, gdzie znajduje się miecz Fingila, Minneyar. Teraz, kiedy Jarnauga nie żyje – nie twierdzę, że jestem kimś ważnym, ale... – Wyciągnął coś małego zawieszonego na łańcuszku; przedmiot pozostawał ledwie widoczny w świetle budzącego się dnia. – Dał mi swój manuskrypt, emblemat Ligi. Być może przez to jestem niebezpieczny dla reszty naszej grupy. Może gdybym się poddał, pozwoliliby wam odejść?

Deornoth roześmiał się.

– Ojcze, jeśli to ciebie chcą zatrzymać przy życiu, mamy szczęście, że jesteś z nami; inaczej pewnie już dawno by nas wypłoszyli i wybili jak gołębie. Nigdzie nie odchodź.

Strangyeard wydawał się wahać.

– Jeśli tak mówisz, Deornoth...

– Tak, tak. Potrzebna nam jest też twoja mądrość, może nawet bardziej niż cokolwiek innego, z wyjątkiem księcia.

Archiwista uśmiechnął się zawstydzony.

– To bardzo miło z twojej strony.

– Mam rację – powiedział Deornoth i poczuł, że traci humor. – Jeśli przeżyjemy dzisiejszy dzień, będzie nam potrzebne coś więcej niż mądrość. Będziemy potrzebowali mnóstwo szczęścia.

Deornoth zdecydował poszukać wygodnego miejsca i zdrzemnąć się przed świtem. Trącił łokciem Strangyearda, któremu głowa opadła na pierś.

– Zostawię cię, ojcze.

– Hmm...? Ach! Oczywiście, sir. – Duchowny pokiwał głową energicznie, podkreślając swoją czujność. – Naturalnie. Idź się przespać.

– Ojcze, wkrótce wzejdzie słońce.

– Tak. – Strangyeard uśmiechnął się.

Deornoth odszedł kilkadziesiąt kroków i wybrał kawałek równego terenu w zagłębieniu powalonego drzewa. Tuż nad ziemią wiał zimny wiatr, jakby polował w lesie na ciepłe ciała. Deornoth owinął się szczelnie płaszczem i spróbował ułożyć się wygodnie. Po dłuższej chwili – wciąż zziębnięty – stwierdził, że chyba nie uda mu się zasnąć. Pomstując cicho pod nosem, by nie pobudzić pozostałych, wstał i ponownie zapiął pas z mieczem, po czym udał się w stronę posterunku Strangyearda.

– To ja, ojcze – powiedział cicho, wychodząc zza drzew na kawałek otwartej przestrzeni. Zatrzymał się zdziwiony. Ujrzał zadziwiająco bladą twarz i zmrużone oczy. Strangyeard leżał nieruchomo – uśpiony albo nieprzytomny – w ramionach ubranego na czarno napastnika. Tuż przy gardle duchownego sterczał nóż niczym kolec ogromnej róży z kości słoniowej.

Deornoth rzucił się naprzód i w tym momencie dostrzegł dwie kolejne postacie o bladych twarzach i zmrużonych oczach. Zawołał, używając ich dawnego imienia:

– Białe lisy! Nornowie! Zostaliśmy zaatakowani!

Krzycząc, zadał cios bladej postaci i chwycił ją za ramiona. Przewrócili się, pociągając ze sobą archiwistę, tak że przez chwilę Deornoth zagubił się w plątaninie kończyn. Czuł, że postać wyciąga w jego stronę silne i zwinne ramiona. Dłonie chwyciły go za twarz i odepchnęły ją, odsłaniając szyję.

Deornoth zamierzył się pięścią i trafił w coś twardego jak kość. Usłyszał jęk bólu. Teraz wśród drzew rozległy się krzyki i słychać było odgłos łamanych gałęzi. Oszołomiony zastanawiał się, czy dźwięk ten oznacza przybycie kolejnych wrogów, czy przebudzenie jego towarzyszy.

„Miecz! – pomyślał. – Gdzie jest mój miecz?”

Miecz miał w pochwie, która jednak zaplątała mu się wokół pasa. Wydawało się, że księżyc zaczął teraz świecić pełnią blasku. Blada twarz wyrosła przed nim raz jeszcze; w otwartych ustach widać było wyszczerzone zęby jak u tonącego psa. Kiedy spojrzał w oczy tamtego, zobaczył, że jego spojrzenie jest nieludzko zimne, jak kamień z dna morza. Deornoth spróbował sięgnąć po swój sztylet. Norn chwycił go za gardło jedną ręką; druga mignęła niewyraźnie w górze.

„On ma nóż!” Deornoth miał dziwne uczucie, że unosi się na szerokiej rzece niesiony powolnym prądem, lecz zaraz przez głowę przemknęły mu paniczne myśli: „Cholera, zapomniałem, że on ma nóż!”

Wpatrywał się w Norna przez kolejną, niekończącą się chwilę; przyglądał się jego nieziemskiej twarzy, białym, cienkim jak pajęczyna włosom, które skleiły mu się na czole, cienkim ustom naciągniętym mocno na czerwonych dziąsłach. I uderzył nagle z całej siły czołem w trupią twarz wroga. Zanim poczuł moc tego pierwszego uderzenia, ponowił atak. Poczuł, że wypełnia go jakby ogromny cień. Krzyki i wycie nocnego wiatru zlały się w odległe buczenie, a księżyc skrył się za strzępami ciemności.

Kiedy oprzytomniał, spojrzał w górę i zobaczył Einskaldira, który wydawał się płynąć w jego kierunku, ramiona Rimmersmana poruszały się niczym skrzydła wiatraka, a jego topór był tylko lśniącą plamą. Miał otwarte usta, jakby krzyczał, lecz Deornoth nie słyszał niczego. Tuż za nim ukazał się Josua. Obaj rzucili się na dwóch prawie niewidocznych wrogów. Ostrza wirowały, przecinając ciemność refleksami odbitego blasku

księżyca. Deornoth chciał wstać i im pomóc, lecz coś go przygniatało do ziemi, jakiś bezkształtny, niedający się ruszyć ciężar. Natężył wszystkie siły. Zdumiony swą niemocą pchał tak długo, aż ciężar zsunął się z niego, a on poczuł na sobie powiew nocnego wiatru.

Josua i Einskaldir wciąż poruszali się w tyle; w niebieskawym świetle ich twarze wyglądały jak maski. Z lasu zaczęły wyłaniać się kolejne dwunogie postacie, lecz Deornoth nie potrafił powiedzieć, czy są to przyjaciele, czy wrogowie. Coś stało się z jego wzrokiem; czuł kłucie w oczach. Przesunął dłonią po twarzy. Była mokra i lepka. Kiedy odsunął dłoń tak, by padło na nią światło, zobaczył, że palce są czarne od krwi.

DŁUGI, WILGOTNY TUNEL prowadził w głąb zbocza. Były tam wąskie, oświetlone pochodniami schody, setki porośniętych mchem, starych stopni, które biegły przez wnętrze Sta Mirore z ogromnego domu hrabiego Streawe’a do małej, ukrytej przystani. Miriamele domyśliła się, że tunel był z pewnością ostatnią drogą ucieczki dla wielu szlachciców, zmuszonych uciekać nocą ze swych wspaniałych domostw, gdy chłopi stawali się zbyt swawolni albo gdy zaczynali dyskutować o prawach uprzywilejowanych.

Kiedy już przeszli całą tę dość męczącą drogę pod okiem Lentiego i innych milczących sług hrabiego, Miriamele i Cadrach znaleźli się na kamiennym pomoście, którego naturalnym dachem było skalne sklepienie. Przed nimi ciągnęły się szare wody zatoki podobne do zmierzwionego dywanu. Tuż pod ich stopami podskakiwała na wodzie przycumowana mała łódź.

Niebawem przybył sam Streawe, niesiony w swej rzeźbionej i zasłoniętej lektyce przez czterech krzepkich mężczyzn w marynarskich strojach. Przybyli oni inną, krętą ścieżką. Stary hrabia ubrany był w gruby płaszcz i szalik mający chronić go przed mgłą. Miriamele pomyślała, że

żółtawe światło świtu sprawia, iż przypomina on kogoś z odległej przeszłości.

– A więc – powiedział i dał znak, by opuszczono lektykę na kamienny pomost – rozstajemy się. – Uśmiechnął się ponuro. – Z żalem pozwalam ci odjechać, choćby z tego powodu, że zwycięzca z Naglimundu, twój ukochany ojciec Elias, wiele by dał za twój bezpieczny powrót. – Potrząsnął głową i zakasłał. – Ale jestem człowiekiem honoru; dług niespłacony jest jak duch nierozgrzeszony, jak mówimy w Perdruin. Pozdrów mego przyjaciela, kiedy go zobaczysz. Przekaż mu moje uszanowanie.

– Nie powiedziałeś mi, kim jest ten twój „przyjaciel” – odparła Miriamele krótko. – Ten, do którego nas wysyłasz.

Streawe machnął dłonią.

– Jeśli on zechce powiedzieć ci, kim jest, sam to zrobi.

– A ty chcesz wysłać nas do Nabbanu przez otwarte morze w tej marnej *isgbahta*? – mruknął Cadrach. – W takiej rybackiej łódce?

– Miejsce, do którego się udajecie, znajduje się bardzo blisko – powiedział hrabia. – Poza tym będą z wami Lenti i Alespo, którzy obronią was przed kilpami. – Drżącą ręką wskazał na obu służących. Lenti żuł coś z ponurą miną. – Nie myślisz chyba, że wysłałbym was samych? – Streawe uśmiechnął się. – Jaką miałbym pewność, że dotrzecie do mego przyjaciela i mój dług zostanie spłacony?

Dał znak służącym, by podnieśli lektykę. Popychani przez swych strażników Miriamele i Cadrach weszli do malutkiej łodzi i usiedli ciasno obok siebie.

– Miriamele i Padreicu, nie myślcie o mnie źle, proszę – zawołał Streawe, gdy jego słudzy wnosili go już po śliskich schodach. – Moja mała wyspa musi zachować delikatną równowagę, bardzo delikatną równowagę.

Czasem zabiegi, które pozwalają ją zachować, wydają się okrutne. – Po tych słowach zasłonił szczelnie okno swej lektyki.

Ten, którego Streawe nazwał Alespo, odwiązał linę i Lenti wysunął wiosło, by odepchnąć łódkę od pomostu. Kiedy oddalali się powoli od latarni przystani, Miriamele poczuła ogromny smutek. Płynęli do Nabbanu, miejsca, w którym nie pokładała już teraz większych nadziei. Cadrach, jej jedyny sprzymierzeniec, milczał ponuro od chwili, gdy znowu znaleźli się razem. Jak nazwał go Streawe? Gdzieś słyszała już to imię. Ją samą wysyłano do jakiegoś nieznanego przyjaciela hrabiego Streawe’a. Była tylko pionkiem w ich dziwnych interesach. A poza tym wszyscy, od miejscowych szlachciców do ostatniego wieśniaka, wiedzą o niej więcej niż ona sama. Czy mogło być coś jeszcze gorszego?

Miriamele westchnęła smutna i zrezygnowana.

Siedzący naprzeciw niej po drugiej stronie łódki Lenti wyprostował się.

– Tylko niczego nie próbuj – warknął. – Mam nóż.

5. Dom Tego, Który Śpiewa

SIMON UDERZYŁ DŁONIĄ W ZIMNĄ, kamienną ścianę jaskini, a ból napełnił go dziwną satysfakcję.

– Cierpiący Usiresie! – zaklął. – Usiresie cierpiący na Drzewie! – Uniósł ramię, by jeszcze raz uderzyć ścianę, lecz opuścił je i z wściekłością wpił paznokcie w spodnie.

– Uspokój się, chłopcze – powiedział Haestan. – Nic nie mogliśmy zrobić.

– Nie pozwolę, żeby go zabili! – Spojrzał na Haestana błagalnie. – Geloë powiedziała przecież, że musimy iść do Kamienia Rozstania. A ja nie wiem nawet, gdzie on jest!

Haestan pokręcił głową zmartwiony.

– Nie wiem, co to za kamień. Od chwili, gdy dzisiejszego popołudnia przewróciłeś się i uderzyłeś w głowę, nie zrozumiałem ani słowa z tego, co mówisz. Gadasz jak obłąkaniec. A co do trolla i Rimmersmana, co możemy zrobić?

– Nie wiem! – warknął Simon. Przyłożył do ściany bolącą dłoń. Za zasłoną słychać było wycie wiatru. – Uwolnić ich! – dodał po chwili. – Możemy uwolnić obu: Binabika i Sludiga. – Teraz był już pewien, że łzy,

które tak długo powstrzymywał, nie popłyną. Nagle poczuł, że odzyskuje siły i jasność umysłu.

Haestan chciał już coś odpowiedzieć, lecz się powstrzymał. Spojrzał na drżące pięści chłopca i wyraźną jeszcze szramę na jego policzku.

– We dwóch przeciwko całej górze?

Simon wpatrywał się intensywnie w jedno miejsce.

– Musi być jakiś sposób!

– Trolle zabrały z ładunkiem Binabika naszą jedyną linę. Chłopcze, oni siedzą w głębokim dole strzeżonym przez strażników.

Po dłuższej chwili Simon odwrócił się i osunął, siadając na podłodze jaskini. Odsunął od siebie zrobiony z owczej wełny dywanik, by być możliwie jak najbliżej bezlitosnej skały.

– Haestanie, nie możemy tak po prostu pozwolić im umrzeć. Nie możemy. Binabik powiedział, że jego ludzie strącą ich ze skały. Jak oni mogą być takimi... takimi potworami?

Haestan przykucnął i pogrzebał nożem w palenisku.

– Ja nie rozumiem pogan i im podobnych – odparł brodacz. – To dziwny lud. Dlaczego ich uwięzili, a nas zostawili w spokoju, i to z bronią?

– Ponieważ nie mamy liny – powiedział z goryczą Simon i zadrżał. Teraz czuł przenikający go chłód. – Gdybyśmy nawet zabili strażników, co by nam to dało? Zrzuciliby nas w przepaść i nikt nie mógłby zanieść Ciernia do Josui. – Simon zamyślił się na chwilę. – A może dałoby się ukraść jakąś linę?

Haestan nie wyglądał na zachwyconego tym pomysłem.

– W ciemności, na obcym terenie? Jak nic skończylibyśmy z włóczniami w plecach.

– Na grzech i potępienie! Musimy coś zrobić, Haestanie! Czy mamy okazać się tchórzami? Nie możemy tylko się przyglądać.

Gwałtowny powiew wiatru wsunął swe lodowate ostrze do wnętrza jaskini. Simon skrzyżował ramiona ciasno na piersi.

– Jeśli już nic nie mogę zrobić, przynajmniej rozwalę temu ich Pasterzowi jego małą, głupią główkę. Potem już mi będzie wszystko jedno, mogą mnie zabić.

Gwardzista uśmiechnął się smutno.

– Ach, chłopcze, głupoty gadasz. Sam powiedziałeś, że ktoś musi zanieść miecz księciu Josui. – Wskazał na zawinięty w sukno Cierń, który złożono na podłodze pod ścianą. – Gdyby książę nie otrzymał miecza, oznaczałoby to, że Ethelbearn i Grimmric zginęli na darmo. Mielibyśmy powód do wstydu. Zbyt wiele nadziei – nieważne, jak nikłych – pokładanych jest w tym orężu. – Haestan zachichotał. – A poza tym, chłopcze, jak myślisz, co zrobiliby z kompanem tego, który zabił ich króla? Sprowadziłbyś śmierć także na mnie. – Haestan jeszcze raz pogrzebał w palenisku. – Jesteś jeszcze żółtodziobem i nie rozumiesz świata. Nie byłeś na wojnie, tak jak ja; nie widziałeś tego, co ja widziałem. Czy nie widziałem dwóch z moich towarzyszy umierających od chwili, kiedy wyruszyliśmy z Naglimundu? Dobry Bóg zachowuje swoją sprawiedliwość na dzień Sądu Ostatecznego. Do tego czasu musimy polegać na nas samych. – Haestan pochylił się i widać było, że temat go wciąga. – Musimy starać się robić wszystko jak najlepiej, ale nie zawsze można wszystko robić dobrze, Simonie... – Urwał nagle wpatrzony w wejście do jaskini.

Widząc wyraz zdziwienia na jego okrągłej twarzy, Simon odwrócił się szybko. Ktoś stał w wejściu.

– To ta mała trollka – powiedział Haestan cicho, jakby się bał, żeby dziewczyna nie spłoszyła się i nie uciekła. Sisqinanamook patrzyła na nich

czujnie szeroko otwartymi oczami, lecz Simon dostrzegł też na jej twarzy upór i determinację.

– Przyszłaś wyrazić swoją radość? – spytał ze złością.

Sisqinanamook wytrzymała jego spojrzenie.

– Pomóżcie mi – odezwała się wreszcie.

– Elysio, Matko Boża – powiedział zdumiony Haestan – ona potrafi gadać.

Dziewczyna cofnęła się przestraszona wybuchem gwardzisty, lecz nie uciekła. Choć Haestan przyklęknął, wciąż był wyższy od byłej narzeczonej Binabika.

– Potrafisz mówić naszym językiem?

Patrzyła na niego przez chwilę, jakby nie rozumiejąc, po czym wykonała jakiś znak skrzyżowanymi palcami.

– Trochę – powiedziała. – Trochę mówić. Binabik nauczyć.

– Powinienem się był domyślić – odezwał się Simon. – Od chwili naszego spotkania Binabik usiłował wbić mi do głowy różne rzeczy.

Haestan parsknął. Simon dał znak Sisqinanamook, by weszła. Wsunęła się za zasłonę, lecz przykucnęła tuż obok, pod ścianą. Śnieżny wąż wyrzeźbiony na ścianie widniał nad jej głową niczym aureola świętego.

– Dlaczego mielibyśmy ci pomagać? – spytał Simon. – I w czym?

Dziewczyna patrzyła na niego z wyrazem zagubienia na twarzy. Powtórzył swe pytania, tym razem wolniej.

– Pomóżcie Binbiniqegabenikowi – odpowiedziała wreszcie. – Pomóżcie mnie, pomóżcie Binabikowi.

– Pomóc Binabikowi? – powtórzył zdziwiony Haestan. – Przecież to przez ciebie on ma kłopoty!

– Jak? – spytał Simon. – Jak pomóc Binabikowi?

– Odejść – odparła Sisqinanamook. – Binabik odejść z Mintahoq. – Wsunęła dłoń pod swą grubą, skórzaną kurtkę. Przez chwilę Simon pomyślał, że to jakiś podstęp – może podsłuchując, zrozumiała wystarczająco dużo z tego, co mówili o ucieczce – lecz gdy wsunęła dłoń, trzymała w niej zwiniętą, cienką linę. – Pomóc Binabikowi – powtórzyła. – Wy pomóc, pomóc.

– Litościwy Aedonie – wyszeptał Simon.

Szybko zebrali swoje rzeczy i zrobili z nich niedbale dwa pakunki. Kiedy włożyli futrzane płaszcze, Simon poszedł w róg jaskini, gdzie leżał czarny miecz, Cierń – przedmiot wielu nadziei, być może płonnych, jak powiedział Haestan. W słabym świetle ogniska wśród futer, którymi go owinięto, widać było tylko wypukłość w kształcie miecza. Simon zacisnął palce na jego zimnej rękojeści i przypomniał sobie tamto uczucie, gdy uniósł miecz w obronie przed atakującym Igjarjukiem. Przez moment wydawało mu się, że metal się rozgrzewa. Ktoś dotknął jego ramienia.

– Nie, nie zabijać – powiedziała Sisqinanamook. Zaniepokojona wskazała miecz, po czym delikatnie szarpnęła Simona za ramię. Simon zacisnął mocniej dłoń na rękojeści i spróbował podnieść Cierń; był zbyt ciężki, by dźwignąć go jedną ręką. Wstając, z trudem zwrócił się do dziewczyny.

– Nie biorę go po to, by kogokolwiek zabijać. Po niego właśnie udaliśmy się na smoczą górę. Nie po to, żeby zabijać.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego, aż wreszcie skinęła głową.

– Pozwól mi go wziąć, chłopcze – powiedział Haestan. – Ja jestem wypoczęty.

Simon ugryzł się w język, by nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego, i pozwolił, aby żołnierz wziął miecz. W rękach krzepkiego gwardzisty Cierń nie wydawał się wcale lżejszy, ale i nie cięższy. Haestan uniósł ręce

ponad głowę i ostrożnie wsunął miecz w dwie pętle, które miał przygotowane z tyłu swego ładunku.

„To nie jest mój miecz – upomniał siebie Simon. – Przecież wiem o tym. Haestan ma rację, że chce go nieść. Ja jestem za słaby. – Czuł, jak zagłębia się w kolejne myśli. – On nie należy do nikogo. Kiedyś był własnością sir Camarisa, ale ten nie żyje. Wydaje się, że miecz ma własną duszę...”

No cóż, jeśli Cierń chce opuścić tę przeklętą górę, będzie musiał zrobić to z nimi.

Zgasili ogień i wyszli cicho na zewnątrz. Simon poczuł pulsowanie w głowie od zimnego, nocnego powietrza. Zatrzymał się na progu.

– Haestanie – szepnął. – Musisz mi coś obiecać.

– O co chodzi, chłopcze?

– Nie czuję się bardzo... silny. Z pewnością czeka nas długa droga bez względu na to, dokąd pójdziemy. Pewnie także przez śnieg. Gdyby coś mi się stało... – zawahał się na chwilę – gdyby coś mi się stało, proszę, pochowaj mnie gdzieś, gdzie jest ciepło. – Simon zadrżał. – Mam dość zimna.

Przez chwilę Simon z zakłopotaniem myślał, że Haestan się rozpłacze. Na zarośniętej twarzy gwardzisty pojawił się dziwny grymas, kiedy ten pochylił się, by być bliżej Simona. Po chwili jednak wyszczerzył zęby w uśmiechu, który wydawał się może nieco wymuszony, i objął drżące plecy Simona swym potężnym ramieniem.

– No chłopcze, nie warto o tym mówić – szepnął. – Rzeczywiście będzie to długi marsz i będzie zimno, ale nie aż tak źle, jak myślisz. Wszystkim nam się uda. – Haestan spojrzał szybko na Sisqinana mook, która zerkała na nich z niecierpliwością, stojąc na skalnym występie przed jaskinią. – Jiriki zostawił nam konie – szepnął Simonowi do ucha. – Są

u podnóża góry, w jaskini. Powiedział mi, gdzie to jest. Tak więc nie ma się co bać, chłopcze, wszystko będzie dobrze. Gdybyśmy tylko wiedzieli, dokąd idziemy, bylibyśmy już w połowie drogi!

Wyszli na kamienny szlak, mrużąc oczy przed ostrym wiatrem, który ciął oblicze Mintahoq niczym brzytwa. Mgła się rozeszła. Na górę i skrytą w cieniu dolinę spoglądał księżyc swym żółtym, kocim okiem. Chwiejąc się pod ciężarem bagaży, ruszyli za Sisqinanamook, która w ciemności była tylko małym cieniem.

Szli w milczeniu szlakiem, który prowadził wokół góry; przez cały czas musieli zmagać się z napierającym na nich wiatrem. Już po kilkuset krokach Simon poczuł, że zwalnia. Zastanawiał się, jak uda mu się zejść na sam dół. I dlaczego nie może pozbyć się tej przeklętej słabości?

Wreszcie dziewczyna dała im znak, aby się zatrzymali, po czym poprowadziła ich w bok, do szczeliny ukrytej w ciemności. Z powodu ogromnych ładunków z trudem mogli się przez nią przecisnąć. Dziewczyna zniknęła. Stali zdezorientowani, patrząc, jak para ich oddechów wypełnia otwór szczeliny, lśniąc w blasku księżyca.

– Jak myślisz, co ona knuje? – spytał szeptem Haestan.

– Nie wiem. – Simon z ulgą oparł się o ścianę. Poczuł, że z dala od wiatru robi mu się ciepło i kręci w głowie. Biała Strzała, którą otrzymał od Jirikiego, wbijała mu się w kręgosłup.

– Zapędziła nas w dziurę jak króliki, to pewne... – zaczął Haestan, lecz zamilkł, gdy tylko usłyszał jakiś odgłos na ścieżce. Kiedy hałas się wzmógł, Simon wstrzymał oddech.

Z góry nadeszły ścieżką trzy trolle; przeszły obok szczeliny. Ciągnąc za sobą niedbale po kamieniach ostre włócznie, rozmawiały cicho w swym gardłowym języku. Wszyscy mieli tarcze z naciągniętej skóry, a jednemu

z nich zwisał u pasa barani róg; Simon nie miał wątpliwości, że użycie go natychmiast ściągnęłoby mnóstwo uzbrojonych trolli.

Troll z rogiem powiedział coś do pozostałych i wszyscy zatrzymali się dokładnie naprzeciwko kryjówki Simona i Haestana. Simon starał się nie oddychać i czuł, że kręci mu się w głowie. Chwilę później – kiedy opowieść dobiegła końca – trolle roześmiały się cicho i ruszyły dalej szlakiem wokół góry. Wkrótce ich ciche rozmowy umilkły.

Simon i Haestan długo czekali, zanim odważyli się wychylić ze swej kryjówki. Na srebrzystej od blasku księżyca ścieżce nie było nikogo. Haestan przecisnął się przez ciasną szczelinę na zewnątrz, po czym pomógł wyjść Simonowi.

KSIĘŻYC PRZESUNĄŁ SIĘ, znowu pogrążając więźniów w niemal kompletnej ciemności. Sludig oddychał cicho, lecz nie spał. Binabik leżał na plecach z wyciągniętymi nogami, wpatrzony w przesuwające się gwiazdy. Z góry dochodziło głośne zawodzenie wiatru.

Nad krawędzią dołu ukazała się czyjaś głowa. Chwilę później zwinięta lina poleciała ze świstem w dół i uderzyła o kamienne podłoże. Binabik naprężył ciało, lecz nie drgnął nawet; wpatrywał się w niewyraźny zarys postaci w górze.

– Co to? – warknął w ciemności Sludig. – Czy ci barbarzyńcy nie zaczekają nawet do świtu? Czy muszą zabijać nas o północy, aby ukryć swe czyny przed słońcem? Bóg i tak się o tym dowie. – Wyciągnął dłoń i pociągnął za linę. – Dlaczego mielibyśmy się tam wspinać? Siedźmy tutaj. Może przyślą po nas kilku strażników. – Rimmersman zachichotał nieprzyjemnie. – Będę miał okazję do przetrącenia kilku karków. Albo będą musieli nas zadźgać tutaj jak niedźwiedzie.

– *Na Oczy Qinkipy!* – syknął ktoś u góry w języku trolli. – *Łap linę, głupcze!*

– *Sisqi?* – spytał zdumiony Binabik. – *Co ty robisz?*

– *Coś, czego sobie nigdy nie wybaczę; choć nie wybaczyłabym sobie też, gdybym tego nie zrobiła. A teraz bądź cicho i wchodź na górę!*

Binabik pociągnął energicznie za linę.

– *Ale jak ty ją sama utrzymasz? Nie ma jej tam do czego przywiązać, a krawędź jest śliska.*

– Do kogo ty mówisz? – spytał Sludig, zdezorientowany rozmową w obcym języku.

– *Przyprowadziłam wspólników!* – zawołała cicho Sisqinanamook. – *Wchodź! Strażnicy powrócą, gdy Sedda dotknie szczytu Sikkihoq!*

Po krótkim wyjaśnieniu Binabik wysłał Sludiga na górę. Rimmersman, osłabiony bezczynnością więzienia, wspinał się bardzo powoli, aż wreszcie zniknął w ciemności ponad krawędzią dołu. Binabik jednak nie poszedł za nim.

Głowa Sisqi ponownie pojawiła się nad dołem.

– *Pośpiesz się, zanim pożałuję swojej głupoty! Wspinaj się!*

– *Nie mogę! Nie będę uciekał przed sprawiedliwością mego ludu.* – Binabik usiadł.

– *Oszalałeś? Co to znaczy? Zaraz wrócą strażnicy!* – W jej głosie wyraźnie zabrzmiała nuta strachu. – *Przez twoje głupie sztuczki zginą twoi towarzysze z nizin.*

– *Nie, Sisqi, zabierz ich stąd. Pomóż im uciec. Będę ci wdzięczny. Już jestem.*

Dziewczyna podskoczyła niecierpliwie.

– Ach, Binabiku, jesteś moim utrapieniem! Najpierw upokarzasz mnie przed naszym ludem, a potem jeszcze mówisz jak szaleniec! Wychodź! Wychodź!

– Nie złamię jeszcze jednej przysięgi.

Sisqinanamook spojrzała na księżyc.

– Qinkipo, Śnieżna Panno, ratuj mnie. Binbiniqegabeniku, dlaczego jesteś tak uparty? Czy gotów jesteś umrzeć po to, aby udowodnić, że masz rację?

Ku jej zdziwieniu Binabik zaczął się śmiać.

– A czy ty gotowa jesteś mnie uratować po to, aby pokazać, że nie mam racji?

Nad krawędzią dołu ukazały się kolejne dwie głowy.

– Do diabła, trollu – warknął Sludig. – Dlaczego zwlekasz? Czy jesteś ranny? – Rimmersman przykląkł na kolano, jakby miał zamiar zejść z powrotem do dołu.

– Nie! – zawołał Binabik w języku Westerling. – Nie czekajcie na mnie. Sisqinanamook zaprowadzi was w bezpieczne miejsce, skąd będziecie mogli wyruszyć na dół. Przed wschodem słońca możecie dotrzeć poza granice Yiqanuc.

– Co cię tutaj trzyma? – spytał Sludig zdumiony.

– Jestem potępiony przez mój lud – powiedział Binabik. – Złamałem przysięgę. Nie zrobię tego po raz drugi.

Sludig mruknął coś pod nosem zły i zdezorientowany. Kolejna postać pojawiła się obok niego ponad dołem.

– Binabiku – odezwała się postać. – To ja, Simon. Musimy iść. Musimy odnaleźć Kamień Rozstania. Tak powiedziała Geloë. Musimy zanieść tam Cierń.

Troll roześmiał się ponownie, lecz teraz jego śmiech zabrzmiał pusto.

– I chcesz powiedzieć, że beze mnie nie możecie pójść i nie znajdziecie Kamienia Rozstania?

– Tak! – przytaknął rozpaczliwie Simon. Mieli coraz mniej czasu. – My nie wiemy, gdzie on jest! Geloë powiedziała, że ty musisz nas tam zaprowadzić! Naglimund upadł. Może pozostaliśmy jedyną nadzieją Josui... a także i *twojego* ludu!

Binabik siedział na dnie dołu zamyślony. Wreszcie chwycił za linę i zaczął się wspinać. Kiedy dotarł do krawędzi, wpadł wprost w objęcia Simona, który uściskał go najmocniej, jak potrafił. Sludig poklepał trolla po ramieniu; był to przyjacielski gest, który niemal nie posłał Binabika z powrotem do dołu. Haestan stał z boku i puszczając kłęby pary z gąszczu swej brody, zwijał linę.

Binabik wyswobodził się z uścisku Simona.

– Nie wyglądasz najlepiej, przyjacielu. Widzę, że dokuczają ci jeszcze rany. – Troll westchnął.

– Ach, to jest okrutne. Nie mogę zostawić cię na łaskę mego ludu, ale i nie chcę złamać kolejnej przysięgi. Nie wiem, co powinienem zrobić. – Zwrócił się do czwartej postaci. – *Tak więc* – powiedział w języku trolli – *uratowałaś mnie, a przynajmniej moich towarzyszy. Dlaczego zmieniłaś zdanie?*

Sisqinanamook spojrzała na niego z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– *Nie jestem pewna, czy zmieniłam* – odparła. – *Słyszałam to, co mówił ten dziwny mieszkaniec nizin z białymi włosami* – mówiąc to, wskazała na Simona, który przyglądał się trollom w niemym zdumieniu. – *To mogła być prawda; to znaczy, wierzę, że rzeczywiście było coś, co uznałeś za ważniejsze niż ślubowanie*. – Spojrzała na niego groźnie. – *Nie jestem*

usychającym z miłości głupcem, który wybaczyłby ci wszystko, ale i nie jestem też mściwym potworem. Jesteś wolny. Teraz idź.

Binabik poruszył się niespokojnie.

– To, co nie pozwoliło mi wrócić do ciebie – powiedział – *nie jest ważne tylko dla mnie, lecz dla wszystkich. Zbliża się straszliwe niebezpieczeństwo. Istnieją bardzo małe szanse, by stawić mu opór, lecz nie można ich zaprzepaścić.* – Opuścił wzrok na chwilę, lecz podniósł go znowu i odważnie spojrzał jej w oczy. – *Moja miłość do ciebie jest równie trwała jak posady góry. Było tak od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem cię na twej Ścieżce Dorosłości – piękną i pełną wdzięku niczym śnieżna wydra w blasku gwiazd na górze Chugik. Lecz nawet dla tej miłości nie mogłem pozwolić, by wieczne mroki zimy ogarnęły cały świat.* – Wziął ją za ramię. – *Powiedz mi, Sisqi, co zrobisz? Odesłałaś strażników i więźniowie uciekli. Równie dobrze mogłabyś wypisać tutaj, na śniegu, swoje imię.*

– *To już jest sprawa między mną i moimi rodzicami* – odpowiedziała ze złością i wyrwała ramię. – *Zrobiłam to, czego chciałeś. Jesteś wolny. Dlaczego marnujesz cenne chwile wolności, próbując przekonać mnie o swojej niewinności? Dlaczego mówisz mi o Chugik? Idź!*

Sludig nie rozumiał języka trolli, lecz zrozumiał gest Sisqi.

– Binabiku, jeśli ona chce, żebyśmy sobie poszli, to ma rację! Na Aedona! Musimy się śpieszyć.

Binabik machnął dłonią.

– Idźcie, dogonię was. – Jednak kiedy odwrócił się do Sisqi, pozostali nie ruszyli się z miejsca. – *Zostanę* – powiedział. – *Sludig jest niewinny i wyświadczyłaś mu ogromną przysługę, ratując go. Ale ja zostanę i uszanuję wolę mego ludu. Zrobiłem już dość dużo w walce z Królem Burz.* – Spojrzał na zachód, gdzie właśnie księżyc skrył się za czarnymi

chmurami. – *Teraz inni mogą kontynuować to, co zacząłem. Chodź, odciągniemy strażników, żeby moi przyjaciele zdążyli uciec.*

Na okrągłej, ożywionej twarzy Sisqi pojawił się teraz wyraz strachu.

– *Ach, bądź przeklęty, Binbiniqegabeniku, czy pójdziesz wreszcie? Nie chcę, żebyś zginął!* – W jej oczach zalśniły łzy gniewu. – *Czy teraz jesteś zadowolony? Wciąż cię kocham, choć złamałeś mi serce!*

Binabik podszedł bliżej i jeszcze raz wziął ją w ramiona, przyciągając do siebie.

– *A więc chodź ze mną!* – powiedział stanowczo. – *Już się więcej nie rozstaniemy. Ucieknij i chodź ze mną; wtedy moja przysięga zostanie złamana i raz na zawsze będę przeklęty! Widzisz, jaki jest świat: poza naszymi górami istnieją rzeczy, które z pewnością wprawią cię w zdumienie!*

Sisqi wyswobodziła się z objęć Binabika i odwróciła od niego. Wydawało się, że płacze.

Po długiej chwili Binabik zwrócił się do pozostałych.

– Bez względu na to, co się stanie – przemówił w języku Westerling z dziwnym, niepewnym uśmiechem na twarzy – czy zostaniemy, czy pójdziemy, czy będziemy walczyć, czy też uciekać, najpierw musimy udać się do jaskini mojego mistrza.

– Dlaczego? – spytał Simon.

– Nie mamy moich kości i tym podobnych rzeczy. Pewnie wrzucono je do jaskini, którą dzieliłem z mistrzem; moi ludzie nie odważyliby się zniszczyć rzeczy należących do Tego, Który Śpiewa. Najważniejsze jednak jest to, że muszę przejrzeć manuskrypty. Jeśli tego nie uczynię, wątpię, bym potrafił odnaleźć Kamień Rozstania.

– Ruszaj więc, trollu – burknął Haestan. – Nie wiem, jak twojej pani udało się odwieść strażników, ale nie wątpię, że wrócą.

– Masz rację. – Binabik skinął na Simona. – Chodź, Simonie, przyjacielu, znowu musimy się śpieszyć. Zdaje się, że tak już chyba ma wyglądać nasza przyjaźń. – Binabik ręką dał znak Sisqi. Bez słowa ruszyła przodem.

Początkowo szli z powrotem głównym szlakiem, lecz wkrótce Sisqi skręciła nagle na ścieżkę tak wąską, że trudno byłoby ją dostrzec nawet w dzień. Był to ledwie widoczny szlak, który piął się ostro w górę szerokiego zbocza. Choć szli między skałami i mogli przytrzymywać się rękoma, posuwali się bardzo wolno, niemal w całkowitej ciemności. Pomimo wysokich butów Simon wielokrotnie czuł uderzenia ostrych kamieni.

Ścieżka wciąż pięła się w górę, przecinając spirale głównego szlaku. Blada Sedda przesuwała się wolno po niebie w kierunku majaczącego w ciemności masywu jednego z sąsiadów góry Mintahoq. Simon zastanawiał się, w jaki sposób byliby w stanie się poruszać, gdyby księżyc zniknął zupełnie. W pewnej chwili pośliznął się, lecz machając ramionami, odzyskał równowagę; powtarzał sobie w myśli, że przecież wspinają się wąskim szlakiem w górę zbocza w ciemności. Uchwyciwszy się jakiejś skały, Simon stanął i zamknął oczy; pogrążył się teraz w całkowitej ciemności i słyszał tylko ciężki oddech Haestana za sobą. Wciąż czuł słabość, która nie opuszczała go przez cały czas pobytu w Yiqanuc. Jak dobrze byłoby się położyć i zasnąć, ale to było tylko nieosiągalne marzenie. Po chwili zrobił znak Drzewa i ruszył dalej. Wreszcie wyszli na kawałek płaskiej przestrzeni, skalny występ przed wejściem do małej jaskini schowanej głęboko w zboczu. Simon pomyślał, że widoczne w świetle księżyca skały wydają mu się znajome. W momencie kiedy zdał sobie sprawę, że tu właśnie przyprowadziła go kiedyś w ciemności Qantaqa, z wnętrza jaskini wyskoczyła jakaś szarobiała postać.

– *Sosa*, Qantaqa! – zawołał cicho Binabik. Chwilę później przewrócił się pod naporem futrzanej lawiny. Pozostali stali z boku zdezorientowani, gdy wilczyca oblizywała trolla swym gorącym językiem. – *Muqang*, przyjacielu – zdołał wreszcie przemówić Binabik. – Wystarczy! Jestem pewien, że dzielnie strzegłaś domu Ookequka. – Drżąca z podniecenia wilczyca cofnęła się, a Binabik wstał. – Włócznie mych wrogów są mniej niebezpieczne niż powitania przyjaciół – powiedział uśmiechnięty. – Musimy szybko iść do jaskini. Sedda zbliża się do zachodniej strony nieba.

Po tych słowach wszedł wyprostowany do jaskini, a za nim Sisqi. Simon i pozostali musieli pochylić się w wejściu. Qantaqa, zdecydowana nie opuszczać już swego pana, przemknęła pędem obok nóg Simona i Haestana, niemal ich przewracając.

Znalazłszy się w środku, zatrzymali się w ciemności przepełnionej piżmowym, wilczym i paroma innymi zapachami. Przy pomocy krzesiwa Binabik zapalił nasączoną oliwą pochodnię.

Jaskinia Tego, Który Śpiewa była dość osobliwym miejscem. Choć wejście było niskie, sufit znajdował się tak wysoko nad głowami przybyłych, że ginął w mroku i pozostawał poza zasięgiem blasku pochodni. Ściany jaskini – niczym ściany ula – zawierały tysiące małych nisz, które wyglądały jak wyrzeźbione w skale. W każdej z nich coś tkwiło. W jednej znajdowały się wysuszone szczątki jednego tylko kwiatu, inne wypełniono patykami, kośćmi i przykrytymi naczyniami. W większości nisz przechowywano zwinięte skóry; w niektórych było ich tak dużo, że część wystawała na zewnątrz, przypominając wyciągnięte ramiona żebraków.

Jaskinia nosiła wyraźne ślady tygodniowej obecności Qantaqi. Na środku pomieszczenia w pobliżu szerokiego paleniska leżały pozostałości tego, co kiedyś było kolistym obrazem, wykonanym całkowicie z małych,

kolorowych kamieni. Sądząc po rodzaju zniszczeń, wilczyca najwyraźniej tarzała się tam i używała tego miejsca do czochrania się. Z całej kompozycji pozostała jedynie krawędź, zdobiona pismem runicznym, i fragment czegoś białego, co znajdowało się pod niebem pełnym wirujących, czerwonych gwiazd.

Widać też było, że Qantaqa zainteresowała się innymi przedmiotami z jaskini. Pod ścianą znajdował się pokaźny stos ubrań, które wilczyca przyciągnęła, robiąc sobie legowisko. Przy nim leżało kilka mocno przeżutych przedmiotów; wśród nich znajdowały się skórzane zwoje pokryte pismem – zupełnie nieznanym Simonowi – oraz składany kij Binabika.

– Mogłaś sobie znaleźć coś innego do żucia – powiedział troll nieco zmartwiony i podniósł kij.

Wilczyca przekrzywiła głowę i zaskomlała zakłopotana, po czym podeszła do Sisqi, która zaglądała właśnie do jednej z nisz; zaabsorbowana tym, co robi, odtrąciła mimowolnie jej ogromny łeb. Qantaqa przycupnęła na ziemi i zaczęła się drapać niepocieszona. Binabik zbliżył swój kij do zapalonej pochodni. Zobaczył, że ślady zębów nie są głębokie.

– Na szczęście żuła tylko dla pociechy, znalazłszy zapach Binabika – powiedział uśmiechnięty.

– Czego szukasz? – zapytał go zniecierpliwiony Sludig. – Musimy wyruszyć jeszcze przed świtem.

– Masz rację – odparł Binabik i wsunął swój kij za pas. – Chodź, Simonie, pomożesz mi.

Przy pomocy Haestana i Sludiga Simon ściągnął te zwoje, których Binabik nie mógł dosięgnąć. Były wykonane z bardzo cienkiej skóry i tak wysmarowane tłuszczem, że aż kleiły się w dłoni; litery pisma runicznego, którym pisano na zwojach, były wypalone. Simon podawał Binabikowi

kolejne rulony, a ten przeglądał je szybko i odrzucał na szybko rosnący stos.

Rozglądając się po tym ogromnym, skalnym plastrze miodu i tym, co go wypełniało, Simon zastanawiał się, ile wysiłku wymagało stworzenie takiej biblioteki, bo, rzeczywiście – Simon zdał sobie sprawę – był to księgozbiór równie ogromny jak archiwum ojca Strangyearda w Naglimundzie czy też pełna ciężkich woluminów pracownia Doktora Morgenesa, choć tutaj księgami były skórzane zwoje z literami wypisanymi ogniem zamiast atramentem.

Wreszcie Binabik wybrał kilkanaście zwojów, które go zainteresowały. Zwinął je w jeden gruby rulon, który następnie wsunął do swojej torby; znalazł ją przy wejściu do jaskini.

– Czy teraz możemy już iść? – spytał Sludig.

Haestan zacierał zziębnięte dłonie. Żeby pomóc przy przeglądaniu zwojów, musiał zdjąć grube rękawice.

– Jak tylko odłożymy resztę na miejsce. – Troll wskazał na stos porzuconych skór.

– Oszalałeś?! – wykrzyknął Haestan. – Dlaczego mamy tracić cenny czas?

– Ponieważ te rzeczy są także bardzo cenne – odparł Binabik spokojnie. – Jeśli zostawimy je na zimnej ziemi, szybko się zniszczą. – „Ten, który nie zapędza stada na noc, rozdaje baraninę za darmo”, tak mówią Qanucowie. To zajmie tylko chwilę.

– Na cholerne Drzewo Usiresa – zaklął Haestan. – Simonie, chłopcze, pomogę ci – powiedział, pochylając się nad stosem zwojów. – Jeśli się nie pośpieszymy, świt nas tu zastanie.

Binabik dawał Simonowi wskazówki co do rozmieszczenia niektórych zwojów na wyższych półkach. Zniecierpliwiony Sludig przyglądał się im

przez chwilę, po czym się przyłączył. Sisqi w milczeniu przeglądała kolejne nisze i wkrótce ona także usypała swój stos rulonów. Zwinęła je w jeden i wsunęła pod skórzaną kurtkę. Nagle odwróciła się i zawołała coś w języku trolli. Binabik przedarł się przez plątaninę futer i stanął u jej boku.

Sisqi trzymała w dłoni zwój związany ciasno czarnym, skórzanym rzemieniem, który oplatał nie tylko jego środek, lecz także oba końce. Binabik wziął od niej zwój i dotknął swego czoła dwoma palcami, co najwyraźniej było wyrazem wielkiej czci.

– To jest węzeł Ookequka – powiedział cicho do Simona. – Jestem tego pewien.

– To jest jaskinia Ookequka, prawda? – spytał Simon zdumiony. – Dlaczego więc dziwi cię ten węzeł?

– Ponieważ taki węzeł oznacza coś ważnego – wyjaśnił Binabik. – A poza tym nigdy czegoś takiego nie widziałem; mistrz nie pokazał mi tego albo sporządził manuskrypt tuż przed tym, jak wyruszyliśmy w podróż, w czasie której zmarł. Wydaje mi się, że takiego węzła używano tylko do rzeczy o wielkiej mocy, wiadomości i zaklęć przeznaczonych tylko dla wtajemniczonych. Jeszcze raz dotknął palcami węzła i zmarszczył brwi zamyślony. Sisqi patrzyła na zwój szeroko otwartymi oczami.

– No, to już ostatni z tych przeklętych rupieci – powiedział Haestan. – Trollu, zabierz go ze sobą, jeśli jest ci potrzebny. Nie możemy już tracić więcej czasu.

Binabik zawahał się na chwilę; rozglądał się po jaskini, gładząc palcem węzeł. Wreszcie wsunął zwój do rękawa.

– Tak, już czas – przytaknął Haestanowi. Skinął na pozostałych, by poszli przodem, po czym zgasił pochodnię umieszczoną w szczelinie kamiennej podłogi i ruszył za nimi.

Znalazłszy się na zewnątrz, towarzysze Simona zatrzymali się przed wejściem do jaskini; zbici w gromadkę przypominali stadko spłoszonych owiec. Sedda zniknęła wreszcie na zachodzie za górą Sikkihoq, lecz mimo to nagle zrobiło się jasno.

W ich stronę zbliżał się duży oddział trolli. Ich ponure twarze ginęły w nasuniętych na głowy kapturach; w dłoniach nieśli włócznie i żagwie, które rozmieścili wokół wejścia do jaskini, po czym zajęli pozycje po obu stronach ścieżki. Choć było ich tak wiele, trolle zachowywały całkowite milczenie, tak że Simon słyszał wyraźnie syk płonących pochodni; po chwili usłyszał też odgłos pojedynczych kroków.

– Na Kamienie Chukku – szepnął ponuro Binabik.

Sisqi cofnęła się i chwyciła go za ramię. Stała nieruchomo z wyrazem determinacji na twarzy.

UAMMANNAQ, PASTERZ, i Nunuuika, Łowczyni, mieli na sobie długie buty i szaty ściągnięte pasami. Ich czarne włosy powiewały swobodnie, jakby ubierali się w pośpiechu. Kiedy Binabik wyszedł im naprzeciw, uzbrojone trolle natychmiast stanęły za nim, otaczając jego towarzyszy kręgiem włóczni. Sisqinanamook wyszła poza krąg i stanęła u boku Binabika z brodą wyzywająco zadartą do góry. Unikając spojrzenia córki, Uammannaq skierował wzrok na Binabika.

– *Tak więc, Binbiniqegabeniku* – powiedział – *nie staniesz przed sądem swego ludu? Miałem o tobie lepsze zdanie, bez względu na to, jak nisko jesteś urodzony.*

– *Moi przyjaciele są niewinni* – odpowiedział Binabik. – *Trzymałem waszą córkę jako zakładnika, dopóki Rimmersman Sludig nie uwolnił się i nie dołączył do pozostałych.*

Nunuuika podjechała do przodu, aż zrównała się z mężem.

– Binabiku, uwierz nam, my też posiadamy trochę mądrości, nawet jeśli nie jesteśmy aż tak mądrzy jak twój mistrz. Kto odesłał straże? – Mówiąc to, spojrzała na Sisqi. Twarz Łowczyni była zimna i wyrażała dumę. – *Córko, uważałam cię za głupią, kiedy zdecydowałaś się poślubić tego sztukmistrza. Muszę przyznać, że jesteś nie tylko głupia, ale i lojalna.* – Łowczyni zwróciła się do Binabika. – *To, że znowu udało ci się oczarować moją córkę, nie oznacza jeszcze, że uda ci się uniknąć wyroku. Lodowy Dom wciąż nie stajał. Zima zabiła wiosnę. Rytuał Przyśpieszenia nie odbył się, a zamiast niego przybywasz ty ze swoimi dziecinnymi opowiastkami. Na dodatek wyczyniasz jakieś diabelskie sztuczki w jaskini swego mistrza, której strzegła twoja wilczyca.* – W głosie Nunuuiki dało się odczuć narastającą złość. – *Zostałeś osądzony, krzywoprzysięzco. Pójdziesz na krawędź przepaści Ogohak i zostaniesz z niej strącony.*

– *Córko, wracaj do domu* – przemówił ponuro Uammannaq. – *Dopuściłaś się wielkiego zła.*

– *Nie!* – Okrzyk Sisqi wywołał zdumienie wśród zebranych trolli. – *Tak, posłuchałam głosu mego serca, ale słuchałam też mądrości, którą zdobyłam. Wilczyca nie wpuszczała nas do domu Ookequka i z pewnością nie pomogło to Binabikowi.* – W tym momencie wyciągnęła z rękawa Binabika związany rzemieniem zwój i uniosła go w stronę zebranych. – *Oto, co znalazłam. Nikomu nie przyszło do głowy, by zobaczyć, co zostawił nam Ookequk.*

– Tylko głupiec szpera w rzeczach Tego, Który Śpiewa – powiedział Uammannaq, lecz nieco łagodniejszym tonem.

– *Ale, Sisqi* – odezwał się Binabik zakłopotany. – *Nie wiemy, co zawiera ten rękopis! Może to być jakieś straszne zaklęcie albo...*

– *Mam pomysł* – powiedziała zdecydowanie Sisqi. – *Czy widzicie, czyj to jest węzeł?*

Łowczyni spojrzała na zwój i uczyniwszy lekceważący gest, oddała go natychmiast swemu mężowi.

– *Tak, to jest węzeł Ookequka...*

– *I wiesz dobrze, matko, jaki to węzeł.* – Sisqi zwróciła się do ojca. – *Czy rozwiązywano zwój?*

– *Nie* – odparł Uammannaq.

– *Dobrze. A zatem, ojcze, rozwiń go i przeczytaj.*

– *Teraz?*

– *Jeśli nie teraz, to kiedy? Czy mamy czekać, aż ten, z którym jestem zaręczona, zostanie skazany?*

Sisqi wyrzuciła z siebie szybko ostatnie słowa i zamilkła; para z jej oddechu zawisła w powietrzu. Uammannaq pociągnął ostrożnie za rzemień i rozwinął skórzany zwój, dając znak jednemu z trolli, by zbliżył się z pochodnią.

– Binabiku – Simon zawołał zza kręgu włóczni – co się dzieje?

– Zostańcie wszyscy na miejscach i niczego nie róbcie – krzyknął do niego Binabik w języku Westerling. – Powiem wam wszystko, gdy będzie to możliwe.

– *Wiedzcie to...* – zaczął czytać Uammannaq – *...że ja jestem Ookequk, Ten, Który Śpiewa, z góry Mintahoq, Chugik, Tutusik, Rinsenatuq, Sikkihoq, Namyet i pozostałych gór Yiqanuc.* Pasterz czytał powoli, przerywał, by mrużąc oczy, odczytać i zrozumieć sens pociemniałych liter. *Wyruszam w długą podróż i nie wiem, czy z niej powrócę. Dlatego na tej skórze zostawiam pożegnalną pieśń, która przemówi w moim imieniu, kiedy będę daleko.*

– *Mądrze postąpiłaś, Sisqi* – powiedział Binabik, słuchając Pasterza. – *Ty powinnaś zostać uczniem Ookequka, a nie ja! Skąd wiedziałaś?*

Sisqi uciszyła go gestem dłoni.

– Jestem córką Chidsik ub Lingit, dokąd przybywają petycje w sprawach sądu ze wszystkich gór. Myślisz, że nie rozpoznałabym węzła na testamencie?

– Muszę ostrzec tych, którzy po mnie pozostają. – Uammannaq czytał dalej słowa Ookequka. *– Widzę nadciągającą ogromną i zimną ciemność, jakiej jeszcze mój lud nie widział. Jest to straszliwa zima, która wynurzy się z cienia Vihyuyaq, góry nieśmiertelnych Dzieci Chmury. Spadnie ona na Yiqanuc niczym czarny wiatr z Krainy Zmarłych i skruszy nasze góry swą okrutną dłonią...*

Kiedy Pasterz przeczytał te słowa, kilku słuchaczy wydało okrzyki przerażenia; ich szorstkie głosy odbiły się echem od ginącego w ciemnościach nocy zbocza góry. Pozostali poruszyli się niespokojnie, aż zamigotały ich pochodnie.

– W podróż tę zabieram mego ucznia, Binbiniqegabenikaa. W odpowiednim czasie przekażę mu szczegóły i długie opowieści, które mogą okazać się pomocne dla naszego ludu w tych trudnych czasach. Wiem też, że inni, którzy mieszkają poza Yiqanuc, także przygotowali lampy dla rozświetlenia mroków zbliżającej się ciemności. Idę, by połączyć światło mej lampy z ich światłami, choć tak marne może się ono wydawać w obliczu niebezpieczeństwa. Jeśli nie będę mógł powrócić, zamiast mnie przybędzie młody Binbiniqegabenika. Proszę, byście obdarzyli go szacunkiem, jakim i mnie byście obdarzyli, gdyż jest on bardzo zdolnym uczniem. Kiedyś może zostanie on Tym, Który Śpiewa potężniejszym ode mnie.

Kończę mą pieśń śmierci. Żegnam się z górą i niebem. Dobrze było żyć. Dobrze było być jednym z Dzieci Lingit i mieszkać na pięknej górze Mintahoq.

Uammannaq opuścił zwój, mrugając oczami. Długie jęki zebranych były jedyną odpowiedzią na pożegnalną pieśń Tego, Który Śpiewa.

– *Nie zdążył* – powiedział cicho Binabik. W jego oczach zalśniły łzy. – *Odszedł za szybko i nie zdążył mi niczego powiedzieć, a przynajmniej nie dość dużo. Och, Ookequku, jak nam ciebie będzie brakować! Jak to możliwe, że zostawiłeś swój lud, nie stawiając między nim a Królem Burz żadnego muru, a zamiast tego został tak niedoświadczony osesek jak Binabik!* – Troll klęknął i dotknął czołem śniegu.

Zapadła pełna kłopotliwego milczenia cisza, w której słychać było tylko zawodzenie wiatru.

– *Przyprowadźcie mieszkańców nizin* – powiedziała Nunuuika do strażników i skierowała surowe, pełne boleści spojrzenie ku córce. – *Udamy się do Domu Przodka. Mamy wiele do przemyślenia.*

SIMON BUDZIŁ SIĘ POWOLI. Potem patrzył długo na nieregularne cienie widoczne na popękanym suficie Chidsik ub Lingit, starając się przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Czuł się już trochę lepiej, nie kręciło mu się tak w głowie, lecz blizna na policzku wciąż paliła, jakby przypiekano mu to miejsce ogniem.

Usiadł. Sludig i Haestan siedzieli pod ścianą nieopodal i rozmawiali cicho, popijając coś z jednego bukłaka. Simon wyplątał się ze swego płaszcza i rozejrzał za Binabikiem. Jego przyjaciel siedział w kucki prawie na środku pokoju przed Pasterzem i Łowczynią; wyglądał, jakby o coś błagał. Simon przeraził się, lecz w następnej chwili zobaczył, że wszyscy inni także kucają. Była wśród nich także Sisqinanamook. Słuchając wznoszących się i opadających gardłowych głosów trolli, Simon odniósł wrażenie, że jest świadkiem raczej narady niż sądu. Tu i tam widać było w cieniu małe grupki kucających trolli. Nieliczne palące się jeszcze lampy przypominały jasne gwiazdy na niebie pełnym piorunów.

Simon ponownie położył się i zwinął, starając się znaleźć kawałek płaskiego miejsca na podłodze. Jak dziwne wydawało mu się, że się tam znajduje! Czy będzie jeszcze kiedyś miał dom, miejsce, w którym będzie się budził rano wciąż w tym samym łóżku?

Powoli osunął się w półsen; znowu śnił o mroźnych, górskich przełęczach i czerwonych oczach.

– Simonie, przyjacielu! – Binabik delikatnie potrząsnął jego ramieniem. Troll wyglądał na zmęczonego; cienie pod jego oczami widoczne były nawet w tak słabym świetle. Mimo to wyglądał na zadowolonego. – Czas się obudzić.

– Binabiku – powiedział zaspany Simon. – Co się dzieje?

– Przyniosłem ci czarę herbaty i wieści. Zdaje się, że nie grozi mi już okropny skok w przepaść. – Troll uśmiechnął się. – Sludig i ja nie zostaniemy strąceni w otchłań Ogohak.

– Ależ to cudownie! – zawołał Simon. Poczuł ukłucie w sercu, a potem zaraz ogromną ulgę. Zerwał się i zaczął ściskać Binabika tak mocno, że troll się przewrócił. Herbata rozlała się na kamienną podłogę.

– Za długo przebywałeś w towarzystwie Qantaqi – roześmiał się Binabik, uwalniając się z uścisku Simona. – Widzę, że od niej przejąłeś zwyczaj gorących powitań.

Pozostałe trolle przyglądały się tej dziwnej scenie. Wszyscy szeptali zdumieni, widząc, jak ten chudy mieszkaniec nizin ściska trolla, jakby byli bliskimi krewnymi. Simon dostrzegł ich spojrzenia i pochylił głowę zawstydzony.

– Co powiedzieli? – zapytał. – Możemy odejść?

– Najprościej mówiąc: tak, możemy iść. – Binabik usiadł obok Simona. Miał przy sobie swój kościany kij, który zabrał z jaskini Ookequka. Mówiąc, oglądał liczne ślady zębów, jakie pozostawiła na nim Qantaqa. –

Lecz mamy wiele do omówienia. Zwój Ookequka przekonał Pasterza i Łowczynię, że mówiłem prawdę.

– Co więc jest jeszcze do omówienia?

– Wiele spraw. Jeśli udam się z wami w podróż do Josui, mój lud znowu zostanie bez Tego, Który Śpiewa. Lecz wydaje mi się, że mimo to powinienem pójść. Jeśli Naglimund rzeczywiście upadł, musimy zastosować się do słów Geloë. Być może już tylko ona pozostała spośród tych, którzy posiedli wielką mądrość. Chyba jedyna nasza nadzieja to odnaleźć pozostałe dwa miecze. Nie możemy pozwolić, by na nic zdała się twoja odwaga na smoczej górze. – Binabik wskazał na Cierń oparty o ścianę niedaleko Haestana i Sludiga. – Jeśli nie stawimy czoła Królowi Burz – powiedział – bez znaczenia będzie, czy zostanę na górze Mintahoq, czy nie, gdyż nic z tego, co przekazał mi Ookequk, nie powstrzyma zimy. – Troll zatoczył dłonią szeroki łuk. – Kiedy lawina zasypuje twój dom – mówią trolle – nie zostawaj, by ratować skorupy. – Powiedziałem moim ludziom, że powinni zejść na dół, na tereny wiosennych łowów, choć nie będzie tam wiosny i zwierzyny, na którą można by polować. – Binabik stał teraz, szarpiąc róg swej grubej kurtki. – Chciałem, żebyś wiedział, że mnie i Sludigowi nie grozi już nic złego. – Uśmiechnął się. – Kiepski żart. Oczywiście wszyscy znajdujemy się w ogromnym niebezpieczeństwie. Tyle tylko, że nie są nim już moi ludzie. – Troll położył swą małą dłoń na ramieniu Simona. – Spróbuj jeszcze zasnąć, jeśli możesz. Pewnie wyruszymy o świcie. Porozmawiam z Haestanem i Sludigiem; musimy omówić wiele rzeczy. – Binabik odwrócił się i odszedł w drugi koniec jaskini.

Simon patrzył, jak jego drobna postać pojawia się i znika w kolejnych cieniach.

„Już tyle rzeczy zostało omówionych – pomyślał sennie – a ja nie uczestniczyłem w żadnej z rozmów. Zawsze zaczyna się tak, że ktoś obmyśla jakiś plan, a kończy na tym, że ja robię to, co on wymyśli. Czuję się jak wóz – i to stary, rozlatujący się wóz. Kiedy wreszcie zacznę decydować o sobie samym?” – Zastanawiał się nad tym, czekając na sen.

Zanim poczyniono ostatnie przygotowania, słońce wzeszło już wysoko na zachmurzonym niebie. Chłopiec skwapliwie wykorzystał to opóźnienie na sen.

Wreszcie Simon, jego towarzysze i duża grupa trolli wyruszyli na ścieżki Mintahoq za Pasterzem i Łowczynią, tworząc paradę, jakiej Simon jeszcze nigdy nie widział. Kiedy sunęli krętymi szlakami poprzez najbardziej uczęszczane części góry, setki trolli stawały na kołyszących się mostach lub wybiegały ze swych jaskiń, by przyjrzeć się przechodzącym. Wielu z nich schodziło po rzemiennych drabinach i dołączało do procesji.

Większość trasy prowadziła pod górę, a wąska ścieżka powodowała, że ogromny tłum posuwał się bardzo wolno. Wydawało się, że wiele czasu minęło, zanim obeszli górę i znaleźli się na jej północnym stoku. Simon poczuł, że ogarnia go senność. Śnieg wirował nad szarą przepaścią; wzdłuż przeciwległej krawędzi doliny niczym zęby sterczały pozostałe szczyty gór Yiqanuc.

Procesja zatrzymała się wreszcie na długim, kamiennym występie, który stanowił czubek cypla wychodzącego ponad północną część doliny. Poniżej ciągnęła się kolejna ścieżka przytulona ciasno do zbocza, a potem skalne ściany góry Mintahoq urywały się nagle, ustępując miejsca białej otchłani, rozświetlonej tu i ówdzie słonecznymi plamami. Patrząc w dół, Simon przypomniał sobie sen: była w nim niewyraźna, biała wieża, którą lizały języry ognia.

Odwróciwszy się od niepokojącego go widoku, zobaczył, że na skalnym występie, na którym się zatrzymali, znajduje się wysoka, śnieżna budowla o kształcie jaja. Widział ją już wcześniej, kiedy po raz pierwszy wyszedł z jaskini. Oglądając budowlę z bliska, Simon mógł podziwiać precyzję, z jaką wycięto trójkątne bloki śniegu i połączono je ze sobą, oraz bogate rzeźby, jakby wtopione w śnieżne ściany, przez co Lodowy Dom przypominał ogromny brylant, którego liczne załamania odbijały błękit, zieleń i róż.

Uzbrojone trolle ustawiły się z jednej strony Lodowego Domu, gdy tymczasem Nunuuika i Uammannaq przeszli obok nich i stanęli pomiędzy śnieżnymi filarami tworzącymi wejście do domu. Przez otwarte drzwi Simon widział jedynie niebieskoszarą dziurę. Binabik i Sisqi zajęli miejsca na lodowych schodach poniżej; stali ze splecionymi dłońmi schowanymi w rękawicach. Obok nich stanął Qangolik, Ten, Który Wzywa Duchy. Choć barania maska skrywała jego twarz, Simon miał wrażenie, że Qangolik nie jest już tak ożywiony jak przy pierwszym spotkaniu. Przed sądem miotał się niczym tokujący ptak, teraz zaś opadł na stopnie ciężko jak zmęczony żniwiarz.

Pasterz uniósł swą zakrzywioną włócznię i przemówił, a Binabik zaraz przetłumaczył jego słowa.

– Dziwne czasy nadeszły. – Uammannaq miał mocno podkrążone oczy. – Wiemy, że stało się coś złego. Żyjemy zbyt blisko góry, która jest z kości ziemi, by nie zauważyć niepokoju, jaki zapanował na ziemiach wokół nas. Lodowy Dom jest wciąż tutaj. Nie stopniał jeszcze. – W tej chwili wzmógł się wiatr, jakby chciał podkreślić znaczenie słów Pasterza. – Zima nas nie opuszcza. Początkowo winiliśmy za to Binabika. Ten, Który Śpiewa albo jego uczeń zawsze śpiewali rytuał Przyśpieszenia i zawsze przychodziło lato. Lecz teraz usłyszeliśmy, że lato nie nadchodzi nie

dlatego, że nie odprawiono rytuału. Dziwne czasy. Wszystko jest inaczej. – Pokiwał powoli głową, potrząsając brodą.

– Musimy zerwać z tradycją – dodała Nunuuika, Łowczyni. – Słowo mędrca powinno stać się nakazem dla tych, którzy nie posiedli jego mądrości. Ookequk przemówił, jakby był wśród nas. Teraz wiemy więcej o tym, czego się obawialiśmy, a czego nie potrafiliśmy nazwać. Mój mąż ma rację: dziwne nadeszły czasy. Dotąd żyliśmy zgodnie z tradycją, lecz teraz ona nas krępuje. A zatem Łowczyni i Pasterz ogłaszają, że Binbiniqegabenika jest wolny od kary. Bylibyśmy głupcami, zabijając tego, który próbował obronić nas przed burzą, o jakiej mówił Ookequk. Bylibyśmy więcej niż głupcami, zabijając tego, który znał myśli Ookequka. – Nunuuika przerwała, czekając, aż Binabik skończy tłumaczyć jej słowa. Po chwili zaczęła mówić dalej, lecz teraz przesunęła dłonią po czole w jakimś rytualnym geście. – Rimmersman, Sludig, stanowi jeszcze dziwniejszy problem. Nie jest on z ludu Qanuc, więc nie był winny krzywoprzysięstwa, o które oskarżaliśmy Binabika. Lecz jest on synem wrogiego nam ludu i jeśli prawdę mówią opowieści najdalej wędrujących naszych myśliwych, mieszkający na zachodzie Rimmersmeni stali się jeszcze bardziej okrutni niż kiedyś. Jednak Binabik zapewnia nas, że Sludig jest inny, że walczy on w tej samej bitwie co Ookequk. Nie mamy co do tego pewności, lecz w tak szalonych czasach nie możemy też temu zaprzeczyć. A zatem także i Sludig jest wolny od kary i wolno mu opuścić Yiqanuc. Jest to pierwszy Croohok, który został ułaskawiony od bitwy w dolinie Huhinka za czasów mojej praprababki, kiedy śniegi przybrały barwę krwi. Wzywam duchy gór, bladą Seddę, Qinkipę Spośród Śniegów, Moraga Bezokiego, dzielnego Chukku i wszystkich innych, by strzegli nasz lud, jeśli sąd nasz miałby okazać się błędny.

Kiedy Łowczyni skończyła, Uammannaq stanął obok niej i uczynił szeroki gest, jakby łamał coś i wyrzucał. Przyglądające się trolle zanuciły tylko jedną, ostro brzmiącą sylabę i zaczęły szeptać między sobą podniecone.

Simon odwrócił się i uścisnął dłonie Sludiga. Rimmersman uśmiechnął się nieśmiało; jego zaciśnięte usta ledwie były widoczne za pożółkłą brodą.

– Małe trolle mają rację – powiedział. – Rzeczywiście nadeszły dziwne czasy.

Uammannaq uniósł dłoń, by uciszyć rozmowy.

– Teraz mieszkańcy nizin odejdą. Binbiniqegabenika – który, jeśli wróci, będzie Tym, Który Śpiewa – może udać się z nimi, by zabrać ten dziwny, magiczny przedmiot – tu wskazał na Cierń, który Haestan trzymał oparty przed sobą – do mieszkańców nizin, skoro, jak mówi, mogą posłużyć się nim w walce z zimą. Wyślemy z nimi grupę myśliwych pod dowództwem naszej córki, Sisqinanamook, jako eskortę mieszkańców nizin, dopóki nie opuszczą oni ziem ludu Qanuc. Później myśliwi udadzą się do wiosennego miasta nad Jeziorem Błękitnego Błota i przygotują je na przybycie pozostałych członków klanów. – Uammannaq dał znak i jeden z trolli wystąpił ze skórzanym bukłakiem, bogato zdobionym kolorowymi haftami. – Mamy dla was dary.

Binabik podprowadził przyjaciół do panującej pary. Łowczyni wręczyła Simonowi pochwę z pięknie wyprawionej skóry i ozdobionej paciorkami koloru wiosennego księżyca. Pasterz podarował mu nóż, który pasował do pochwy; cały wykonano z jednego kawałka jasnej kości. Na jego rękojeści widniały wizerunki wyrzeźbionych ptaków.

– Magiczny miecz mieszkańca nizin jest dobry do walki ze smokami – powiedziała Nunuuika. – Lecz skromny nóż Qanuców łatwiej ukryć i łatwiej użyć w mniejszych pomieszczeniach.

Simon podziękował uprzejmie i odsunął się na bok. Haestan otrzymał pokaźny bukłak, pięknie wyszywany i ozdobiony wstążkami, po brzegi wypełniony napojem Qanuców. Gwardzista, który miał już parokrotnie okazję skosztować tego dość kwaśnego trunku i nawet osiągnął już stan pewnego w nim upodobania, ukłonił się, mruknął parę niezrozumiałych słów podziękowania i wycofał się.

Sludig przybyły do Yiqanuc w charakterze więźnia, odjeżdżający zaś jako mniej więcej gość, otrzymał włócznię z bardzo ostrym grotem, wykonanym z lśniącego, czarnego kamienia. Drzewce włóczni nie było rzeźbione, gdyż wykonano ją w pośpiechu – trolle nie używały włóczni długości odpowiedniej dla Sludiga – lecz cała była dobrze wyważona i mogła służyć też jako kij w czasie marszu.

– Mam nadzieję, że doceniacie też dar darowanego wam życia – powiedział Uammannaq. – I zapamiętacie, że sprawiedliwość Qanuców jest surowa, lecz nie okrutna.

Sludig zadziwił wszystkich, przyklękając na jedno kolano.

– Będę o tym pamiętał – powiedział.

– Binbiniqegabeniku – zaczęła Nunuuika. – Ty otrzymałeś już najcenniejszy dar, jakim mogliśmy cię obdarować. Jeśli ona nie zmieniła zdania, my ponawiamy nasze zaproszenie do poślubienia naszej najmłodszej córki. Pobierzecie się, gdy odbędzie się rytuał Przyśpieszenia w przyszłym roku.

Binabik i Sisqi chwycili się za ręce i skłonili przed Pasterzem i Łowczynią, gdy padły słowa błogosławieństwa. Teraz wysunął się Ten, Który Przywołuje Duchy. Intonując pieśń, natarł im czoła oliwą. Simon odniósł wrażenie, że robił to z wyrazem rozczarowania na twarzy. Kiedy Qangolik skończył i zszedł ze schodów Lodowego Domu, zaręczyny zostały odnowione.

Łowczyni i Pasterz wygłosili słowa pożegnania skierowane do odchodzących, które Binabik zaraz przetłumaczył. Wprawdzie Nunuuika uśmiechnęła się i dotknęła dłoni Simona swymi małymi, silnymi palcami, lecz Simonowi wciąż wydawała się zimna i twarda jak kamień, wciąż niebezpieczna niczym grot jej włóczni. Kiedy skończyła mówić, Simon zmusił się do uśmiechu i wycofał się powoli.

QANTAQA CZEKAŁA NA NICH zwinięta w kłąb w śniegu przed Chidsik ub Lingit. Ścieląca się mgła przesłoniła południowe słońce. Simon zadrżał przed powiewem wiatru.

– Musimy iść w dół, przyjacielu – powiedział Binabik. – Szkoda, że ty, Sludig i Haestan jesteście tacy duzi; nie mamy tak silnych baranów, a to zwolni nasz marsz.

– Ale dokąd idziemy? – spytał Simon. – Gdzie jest Kamień Rozstania?

– Wszystko w swoim czasie – odparł troll. – Kiedy zatrzymamy się na noc, przejrzę moje zwoje, ale teraz powinniśmy jak najszybciej wyruszyć. Górskie przełęcze mogą być zdradliwe. Czuję w powietrzu nadchodzący śnieg.

– Znowu śnieg – westchnął Simon, zakładając na ramiona swój tobołek. – Znowu śnieg.

6. Bezimienni polegli

...I Drukhi odnalazł ją,

śpiewała Maegwin,

Ukochana Nenais'u, wiatronoga tancerka,
Na trawie zielonej leżała, milcząca jak kamień.
Jej oczy ciemne w niebo wpatrzone,
Jej krew lśniąca odpowiedzią mu była,
Jej głowy nikt nie utulił, włosy w nieładzie.

Maegwin zakryła na chwilę dłonią oczy przed ostrym wiatrem, po czym nachyliła się, by poprawić kwiaty na kopcu swego ojca. Wiatr zdążył już rozrzucić fiołki; na znajdującym się nieopodal grobie Gwythinna pozostało tylko kilka suchych płatków. Gdzie jest to zdradliwe lato? Kiedy znowu zakwitną kwiaty, żeby mogła przystroić miejsca spoczynku jej ukochanych osób, tak jak na to zasługiwali? Wiatr zagrzechotał pozbawionymi liści koronami brzóz i Maegwin zaczęła znowu śpiewać.

Długo w objęciach ją trzymał,
Zmierzch okrył ich swym cieniem, noc zerkała nieśmiało,

A on wciąż ją tulił, by wynagrodzić godziny samotności.
W dal wpatrzony,
Drukhi śpiewał o świetle ze Wschodu, co czasu nie zna.
Szeptem jej obiecywał, że na słońce będą czekać.
Świt dłonią złocistą ją pieścił,
Lecz ogrzać nie potrafił słowiczego dziecka.
Duch Nenais'u odleciał, gniazda pozbawiony.
Drukhi mocno do piersi ją przytulił,
Jego krzyk echem się odbił wśród lasów i pustkowi.
Tam, gdzie niegdyś dwa serca słychać było, teraz jedno tylko biło...

Maegwin urwała, zastanawiając się, czy kiedyś znała dalsze słowa pieśni. Pamiętała, jak niania śpiewała ją, kiedy była mała; smutna pieśń o Sithach – „Sprawiedliwych", jak ich dawniej nazywano. Maegwin nie znała legendy, która kryła się za pieśnią. Wątpiła też, by znała ją nawet niania. Była to po prostu smutna piosenka ze szczęśliwszych czasów, z czasów dzieciństwa w Taig, zanim zmarli jej brat i ojciec.

Wstała, otrzepując ziemię z czarnej spódnicy, i rozłożyła kilka ostatnich zeschniętych kwiatów pośród strzelających w górę na kopcu Gwythinna źdźbeł trawy. Potem ruszyła z powrotem ścieżką w górę. Otulając się płaszczem przed przenikliwym wiatrem, zastanawiała się, dlaczego nie dołączyła do swego ojca Llutha i brata, dlaczego nie spoczęła w pokoju tam, na zboczu wzgórza? Co jeszcze ją czekało?

Wiedziała, co by na to odpowiedział Eolair. Hrabia Nad Mullach powiedziałby, że poza Maegwin nie było już nikogo, kto mógłby poprowadzić ich ludzi. „Nadzieja – mawiał Eolair w swój łagodny, mądry

sposób – jest jak popręg przy królewskim siodle; rzecz drobna, lecz wystarczy, by pękła, a świat przewraca się do góry nogami”.

Myśl o Eolairze wznieciła w Maegwin iskrę gniewu. Co *on* mógł wiedzieć? Co mógł wiedzieć o śmierci ktoś taki jak Eolair, ktoś, kto cieszył się życiem i życie traktował jak dar od bogów? Czy potrafił zrozumieć ten okropny ciężar, z jakim budziła się każdego ranka, wiedząc, że ci, których kochała, odeszli, że jej lud – pozbawiony swych korzeni i przyjaciół – skazany jest na pełne upokorzenia, powolne wymieranie? Jaki dar bogów wart był takiego ciężaru, tych niekończących się, ponurych myśli?

Teraz Eolair z Nad Mullach często do niej przychodził i rozmawiał z nią, jakby była dzieckiem. Kiedyś, dawno temu, Maegwin zakochała się w nim, lecz nigdy nie była aż tak naiwna, by wierzyć, że odwzajemni jej uczucie. Któż chciałby ją pokochać: wysoka jak mężczyzna, niezdarna, bardzo bezpośrednia, bardziej przypominała chłopską córkę niż księżniczkę. Lecz teraz, gdy z domu Lluth ubh-Llythinna pozostała tylko ona i jej przygnębiona macocha Inahwen, Eolair zaczął się nią interesować.

Oczywiście nie miał żadnych niegodziwych zamiarów. Maegwin roześmiała się głośno i zaraz pomyślała, że nie podoba jej się własny śmiech. Och, bogowie, niegodziwe zamiary? Nie, nie w przypadku uczciwego hrabiego Eolaira. Tego właśnie nienawidziła w nim najbardziej: jego nienagannej uczciwości i uprzejmości. Miała dosyć litości.

A gdyby nawet – choć było to niemożliwe – liczył na jakieś korzyści, co mógłby zyskać poprzez małżeństwo z nią? Była przecież ostatnią córką pokonanego domu, władczynią wyniszczonego ludu. Hernystirczycy stali się dzikimi istotami, które żyły teraz w lasach porastających góry Grianspog; powrócili do jaskiń, z których kiedyś wyszli, zapędzeni tam wirem zniszczenia, jaki rozpętali Wielki Król Elias i jego sługa Skali Kaldskryke.

A może Eolair miał rację. Może rzeczywiście jej życie należało do jej ludu. Jeszcze tylko w niej płynęła krew Llutha; stanowiła cieniutkie ogniwo ze szczęśliwszą przeszłością, lecz jedyne, jakie pozostało tym, którzy przeżyli w Hernysadharc. A zatem będzie żyła. Nikomu nie przyszłoby chyba do głowy, że samo pozostawanie przy życiu może się okazać tak ciężkim obowiązkiem!

Idąc wciąż wąskim szlakiem, Maegwin poczuła nagle, że coś mokrego dotknęło jej twarzy. Spojrzała w górę. Na tle ołowianego nieba wirowało mnóstwo małych punkcików. Jeszcze raz coś mokrego opadło na jej twarz.

„Śnieg”. Na tę myśl jej i tak już zimne serce oziębło jeszcze bardziej. „Śnieg w środku lata w miesiącu Tiyagar. Brynioch, Pan Niebios, i inni bogowie rzeczywiście odwrócili się od Hernystirczyków”.

Kiedy przyszła do obozu, przywitał ją jedyny strażnik, może dziesięcioletni chłopiec z czerwonym, zakatarzonym nosem. Na omszałych kamieniach przed jaskinią bawiło się kilkoro dzieci ubranych w ciepłe, futrzane okrycia; próbowały chwytać na języki szybko opadające płatki śniegu. Dzieci cofnęły się z szeroko otwartymi oczami, widząc nadchodzącą Maegwin, której czarna spódnica powiewała na wietrze.

„Wiedzą, że księżniczka zwariowała – pomyślała z goryczą. – Wszyscy inni powiedzieliby to samo: «Mówi do siebie, za to całymi dniami nie odzywa się do nikogo innego. I do tego mówi tylko o śmierci. Naturalnie, że zwariowała»”.

Zastanowiła się, czy może dobrze byłoby uśmiechnąć się do dzieci, lecz spojrzawszy na ich umorusane twarze i podarte ubrania, doszła do wniosku, że mogłoby to je jeszcze bardziej przestraszyć. Przyśpieszyła więc kroku i weszła do jaskini.

„Czy ja zwariowałam? – zastanowiła się nagle. – Czy szaleniec czuje właśnie taki przeraźliwy ciężar? Czy i jego myśli są tak ciężkie, że

sprawiają, iż moja głowa jest jak ramiona tonącego, który walczy, przegrywa...?”

W dużej jaskini nie było prawie nikogo. Przy obłożonym kamieniami ognisku leżał stary Craobhan. Powracał powoli do zdrowia po ranach, jakich doznał w czasie bezowocnej próby obrony Hernysadharc. Starzec rozmawiał z Arnoranem, jednym z ulubionych harfiarzy jej ojca, Llutha. Podnieśli wzrok, kiedy podeszła. Widziała, że obserwują ją uważnie, starając się rozpoznać, w jakim jest nastroju. Arnoran zaczął wstawać, lecz skinieniem dłoni dała mu znak, by siedział.

– Pada śnieg – powiedziała.

Craobhan wzruszył ramionami. Wiekowy rycerz był prawie całkiem łysy, jeśli nie liczyć kilku siwych kosmyków na głowie pokrytej plątaniną niebieskich żyłek.

– Niedobrze, pani. Niedobrze. Wprawdzie mało mamy inwentarza, lecz zbyt gęsto gnieździmy się w tych kilku jaskiniach, tak że większość z nas w ciągu dnia musi pozostawać na zewnątrz.

– Teraz będzie jeszcze większy ścisk. – Arnoran pokiwał głową. Nie był tak stary jak Craobhan, lecz wydawał się bardziej wątły. – A to oznacza, że ludzie będą bardziej nerwowi.

– Czy znasz *Kamień Pożegnania*? – spytała nagle harfiarza. – To stara pieśń o Sithach i o kimś o imieniu Nenais’u, kto umiera.

– Chyba kiedyś ją śpiewałem – odparł Arnoran. Zmrużonymi oczami wpatrywał się w ogień, próbując przypomnieć sobie słowa i melodię. – Tak, to bardzo, bardzo stara piosenka.

– Nie musisz śpiewać – powiedziała Maegwin. Usiadła obok harfiarza ze skrzyżowanymi nogami; jej spódnica napięła się między kolanami niczym skóra bębna. – Zagraj mi tylko melodię.

Arnoran sięgnął z wysiłkiem po swą harfę i zagrał kilka przypadkowych dźwięków.

– Nie jestem pewien, czy pamiętam...

– Nieważne. Spróbuj. – Żałowała, że nie potrafiła powiedzieć czegoś, co by ich rozweseliło choć na chwilę. Czy jej ludzie zasługiwali na widok swej księżniczki nieustannie pogrążonej w żałobie? – Dobrze będzie pomyśleć przez chwilę o innych czasach – powiedziała wreszcie.

Arnoran przytaknął jej i uderzył w struny; zamknął oczy, jakby w ciemności łatwiej było mu odnaleźć to, czego szukał. Wreszcie zaczął grać melodię pełną dziwnych dźwięków, które graniczyły z dysonansem, lecz go nie powodowały. Maegwin także zamknęła oczy. Teraz słyszała głos swej niani, opowiadającej jej historię o Drukhim i Nenais’u – jakie dziwne imiona mieli w starych balladach! – historię ich miłości i tragicznej śmierci oraz ich walczących ze sobą rodzin.

Arnoran grał przez jakiś czas. Myśli Maegwin pełne były obrazów z dalszej i bliższej przeszłości. Widziała, jak blady Drukhi pochyla się pogrążony w smutku i zaprzysięga zemstę, lecz w jego obliczu rozpoznała umęczoną twarz swego brata. Zobaczyła też Nenais’u, martwą na trawie; czy to nie ona sama, Maegwin?

Arnoran przestał grać. Maegwin otworzyła oczy, nie wiedząc, kiedy umilkła muzyka.

– Kiedy Drukhi umarł, mszcząc swoją żonę – powiedziała, jakby kontynuując przerwaną rozmowę – jego rodzina nie mogła dłużej mieszkać z rodziną Nenais’u.

Arnoran i Craobhan wymienili spojrzenia, lecz ona nie zwracała na nich uwagi i mówiła dalej.

– Teraz już pamiętam. Niania śpiewała mi tę piosenkę. Rodzina Drukhiego uciekła daleko i żyła samotnie. – Umilkła na chwilę i spojrzała

na Craobhana. – Kiedy Eolair i inni powrócą z wyprawy?

Starzec policzył na palcach.

– Powinni wrócić z nowiem, za niecałe dwa tygodnie.

Maegwin wstała.

– Niektóre z tych jaskiń ciągną się głęboko, do wnętrza góry – powiedziała. – Czy nie tak?

– Zawsze istniały drogi prowadzące do wnętrza Grianspog. – Craobhan skinął głową, starając się ją zrozumieć. – Niektóre z nich wykopano nawet głębiej, dla celów wydobywczych.

– A zatem jutro rano zaczniemy je badać. Będziemy gotowi do drogi, zanim powrócą hrabia i jego ludzie.

– Do drogi? – Craobhan zmrużył oczy zdziwiony. – Dokąd, pani?

– W głąb gór – odparła. – Przyszło mi to do głowy, kiedy Arnoran śpiewał. My, Hernystirczycy, jesteśmy jak rodzina Drukhiego z piosenki: nie możemy tutaj dłużej mieszkać. Maegwin zatarła ręce, starając się pozbyć chłodu jaskini. – Król Elias zniszczył swego brata Josuę. Teraz nic i nikt nie powstrzyma Skalego.

– Ale moja pani! – przerwał jej Arnoran. – Jest przecież jeszcze Eolair, a z nim wielu dzielnych Hernystirczyków...

– Nikt nie powstrzyma Skalego – ciągnęła. – A poza tym dla tana Kaldskryke łąki Hernystiru niewątpliwie będą bardziej przychylnym domem tego mroźnego lata niż jego ojczysty Rimmersgard. Jeśli zostaniemy w tych naszych norach, w końcu nas złapią i wybiją jak króliki. – Mówiła coraz głośniej. – Lecz jeśli pójdziemy w głąb gór, *nigdy* nas nie znajdą. A wtedy Hernystirczycy przetrwają, z dala od szaleństw Eliasa i Skalego!

Stary Craobhan spojrzał na nią zmartwiony. Wiedziała, że zastanawia się nad tym samym, co i inni: czy Maegwin utraciła rozum w wyniku strat,

które dotknęły ich wszystkich?

„Może i tak – pomyślała. – Ale nie w tej sprawie. Jeśli o to chodzi, jestem pewna, że mam rację”.

– Księżniczko Maegwin – powiedział starzec. – Jak będziemy się żywić? Skąd weźmiemy ubrania, zboże...

– Sam to powiedziałeś – odpowiedziała. – Pod górami przechodzą tunele. Jeśli zbadamy je i nauczymy się w nich poruszać, będziemy mogli mieszkać wewnątrz gór, z dala od Skalego, i wychodzić, kiedy będziemy chcieli, czy też kiedy będzie to konieczne, żeby zapolować, zdobyć zapasy, a nawet napadać na obozy Skalego, jeśli przyjdzie nam na to ochota!

– Ale... ale... – Starzec zwrócił się do Arnorana, lecz harfiarz nie znalazł słów, by go wesprzeć. – Ale co powie na to twoja matka, Inahwen? – przemówił wreszcie.

Maegwin prychnęła z pogardą.

– Moja *macocha* całymi dniami wysiaduje z innymi kobietami i wciąż narzeka, że jest bardzo głodna. Mniej z niej pożytku niż z dziecka.

– Co w takim razie pomyśli Eolair? Co powie dzielny hrabia?

Maegwin popatrzyła na drżące dłonie Craobhana, a potem na jego stare, kaprawe oczy. Przez chwilę współczuła mu, lecz gniew był silniejszy.

– Craobhanie, pamiętaj: hrabia z Nad Mullach może nam powiedzieć, co o tym myśli, lecz on mi nie rozkazuje. Składał przysięgę domowi mego ojca i zrobi, co mu każę!

Po tych słowach odeszła, pozostawiając obu mężczyzn szepczących przy ognisku. Nawet przenikliwy chłód na zewnątrz jaskini nie mógł ochłodzić jej rozpalonej twarzy, choć długo stała wystawiona na śnieg i wiatr.

HRABIA GUTHWULF Z UTANYEAT obudził się i usłyszał ostatnie dźwięki dzwonu na Wieży Zielonego Anioła, który wybił właśnie północ. Guthwulf zamknął oczy w nadziei, że sen wróci, lecz na próżno. W ciemności widział kolejne sceny bitew i turniejowych pojedynków, powtarzającej się dworskiej etykiety, chaosu polowania. W każdej z nich na pierwszy plan wysuwała się twarz Eliasa: wyraz głębokiej ulgi – ukrytej szybko – który dostrzegł Guthwulf, kiedy przebił się przez pierścień atakujących, by uratować przyjaciela w czasie wojen z Thrithingami; puste spojrzenie czarnych oczu, z jakim Elias przyjął potwierdzenie śmierci jego żony Hylissy; i najbardziej niepokojące, ukradkowe, wesołe, lecz jednocześnie zakłopotane spojrzenie Króla, jakie Guthwulf napotykał zawsze, gdy zostawali sami.

Hrabia usiadł, przeklinając. Sen minął i nie było widoków na jego powrót. Nie zapalając lampy, ubrał się. Padający przez wąskie okno blask gwiazd wystarczył, by dostrzec drzemiącego na podłodze, w nogach jego łóżka, służącego i przejść nad nim. Wsunął na nogi pantofle, a na nocną koszulę zarzucił płaszcz i wyszedł na korytarz. Otumaniony mnóstwem trapiących go myśli zdecydował, że pospaceruje godzinę.

Korytarze Hayholt były puste, ani jednego strażnika. Tu i ówdzie dopalały się pochodnie umieszczone w kinkietach na ścianach. Wokół nie było żywej duszy, a mimo to w ciemnych wnętrzach rozbrzmiewały odgłosy szeptów. „Pewnie to głosy strażników na murach – pomyślał hrabia. – Niosą się jak pozbawione ciała duchy. – Zadrżał. – Potrzebna mi kobieta. Ciepłe ciało w łóżku. Miła paplanina, która wypełni ciszę, kiedy tego zapragnę. Takie wstrzemięźliwe życie może rozstroić każdego”.

Skręcił i ruszył korytarzem prowadzącym do pomieszczeń służby. Była tam taka zuchwała pokojówka o kręconych włosach, która by nie

odmówiła. Czy nie opowiadała mu, że jej ukochany zginął w bitwie pod wzgórzem Bullback i że czuje się samotna?

Jeśli taka jak ona obchodzi żałobę, to ja zostanę mnichem!

Ogromne drzwi do pomieszczeń służby były zamknięte. Guthwulf warczał i ciągnął mocno, lecz drzwi zamknięto na zasuwę od wewnątrz. Zastanawiał się, czy nie zacząć walić pięścią w masywny dąb i czekać, aż ktoś otworzy – ten ktoś szybko posmakowałby, co znaczy gniew Guthwulfa – lecz w końcu się rozmyślił. W panującej wokół ciszy było coś, co go zniechęcało do zwracania na siebie uwagi.

„A poza tym – pomyślał – ta lokowata dziewka nie jest warta takich wysiłków”.

Odstąpił od drzwi, pocierając szczecinę na brodzie, i nagle kątem oka dostrzegł coś bladego, co skręcało właśnie, idąc korytarzem. Obrócił się szybko zdumiony, lecz niczego już nie dostrzegł. Podszedł kilka kroków i wyjrzał za róg. Tamta część korytarza była pusta. W powietrzu unosił się zdyszany szept: był to niski, kobiecy głos, jakby mamrotanie w bólu. Guthwulf odwrócił się i poszedł na sztywnych nogach w kierunku swojej sypialni.

„Jakieś nocne sztuczki – pomyślał. – Drzwi pozamykane, korytarze puste. Na Krwawiącego Usiresa, jakby w tym cholernym zamku nikt nie mieszkał!”

Nagle zatrzymał się, rozglądając. Co to za korytarz? Nie poznawał lśniących płytek na podłodze ani sztandarów o dziwnych kształtach, które majaczyły w ciemności na ścianie. Jeśli się nie pomylił i nie zabłądził, powinien tu być korytarz prowadzący do kaplicy. Wrócił do miejsca, w którym korytarz się rozwidlał, i skręcił w drugą odnogę. Wprawdzie w tym korytarzu nie było niczego poza kilkoma wąskimi oknami, lecz teraz był pewien, że idzie właściwą drogą.

W pewnym momencie chwycił za parapet jednego z okien i podciągnął się. Na zewnątrz powinien znajdować się albo front, albo ściana dziedzińca kaplicy...

Zdziwiony, Guthwulf poluźnił nieco uchwyt i osunął się na dół. Kolana ugięły się pod nim i upadł na podłogę. Przeturlał się i szybko stanął na nogi. Czując, jak mocno bije mu serce, wyciągnął do góry ramiona i podciągnął się raz jeszcze.

Rzeczywiście był to dziedziniec kaplicy, pogrążony w mrokach nocy, tak jak zwykle.

W takim razie co widział poprzednio? Były tam białe mury i las wynurzających się z ciemności wieżyczek, które początkowo wziął za drzewa; istny gąszcz smukłych minaretów, kościanych iglic, które odbijały blask księżyca i świeciły jakby naładowane jego energią! W Hayholt nie było takich wież!

Ale teraz widok, jaki miał przed sobą, potwierdzał, że nic się tam nie zmieniło. Widział dziedziniec, drzwi kaplicy i zasłonę oraz krzaki przy ścieżkach podobne do drzemiących owiec. Nieco dalej ujrzał majaczącą niewyraźnie w blasku księżyca Wieżę Zielonego Anioła – palec skierowany ku niebu, zamiast wielu dłoni wyciągniętych ku górze w błagalnym geście.

Opadł na podłogę i kucając, oparł się plecami o zimną, kamienną ścianę. Nie, to coś więcej! To znaczyło chorobę, szaleństwo... albo czary!

Po chwili opanował się. „Uspokój się, głupcze”. Wstał, potrząsając głową. „To nie jest rezultat szaleństwa, lecz zbyt wielu myśli, babskiego martwienia się. Ojciec zwykł siadywać nocą przed kominkiem i szeroko otwartymi oczami wpatrywać się w ogień, twierdząc, że widzi w nim duchy. Mimo to przeżył siedemdziesiąt wiosen i w chwili śmierci był całkiem normalny. Nie, to przez ciągłe myślenie o Królu, który mnie prześladuje. Bóg wie, może wokół nas pełno jest czarnej magii; nie mam

nic przeciwko magii, sądząc po tym, co widziałem tego roku, ale nie tutaj, w Hayholt”.

Guthwulf wiedział, że kilkaset lat temu zamek należał do Sithów, lecz obecnie otaczało go tyle uroków i zaklęć chroniących przed poprzednimi właścicielami, że z pewnością było to ostatnie miejsce, w którym mogliby się czegoś obawiać.

„Nie – pomyślał. – Te dziwne myśli nachodzą mnie, dlatego że Król tak bardzo się zmienił: w jednej chwili targa nim ślepy gniew, a w następnej jest już pełen dziecięcej troski”.

Guthwulf poszedł w stronę drzwi na końcu korytarza i wyszedł na dziedziniec. Nic się tam nie zmieniło. Po drugiej stronie ogrodu oświetlone było tylko jedno okno w prywatnych pokojach Króla.

„Elias nie śpi”. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. „Nie śpi dobrze od chwili, gdy Josua zaczął knuć przeciwko niemu”.

Ruszył przez dziedziniec w kierunku królewskiej rezydencji; niespotykanie o tej porze chłodny wiatr owiewał mu bose kostki. Porozmawia ze swym dawnym przyjacielem Eliasem; właśnie teraz, w środku nocy, kiedy towarzysze potrafią rozmawiać ze sobą szczerze. Zapyta go o Pryratesa i o straszliwą armię sprowadzoną przez Eliasa, która spadła na Naglimund niczym biała szarańcza. Guthwulf i Elias byli przyjaciółmi zbyt długo. Hrabia nie mógł pozwolić na to, aby ich przyjaźń rozpadła się jak zardzewiała zbroja. Tak, dzisiejszej nocy porozmawiają. Guthwulf dowie się, co za mroczne kłopoty sprawiły, że jego dawny kompan zachowuje się tak dziwnie. Po raz pierwszy w tym roku będzie mógł porozmawiać z Eliasem bez kręcącego się gdzieś w pobliżu Pryratesa, który przysłuchiwał się każdemu słowu i przenikał wszystkich spojrzeniem swych czarnych oczu fretki.

Drzwi na dziedziniec były zamknięte, lecz Guthwulf wciąż nosił na szyi ogromny klucz, który otrzymał od Eliasa po objęciu przez niego tronu. Żołnierska praktyczność kazała mu nosić go przy sobie, choć od chwili, gdy Elias wysłał go z tajemną misją, upłynęło już wiele miesięcy.

Zamków nie zmieniono. Ciężkie drzwi otworzyły się bezgłośnie; Guthwulf przyjął to z zadowoleniem, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego. Idąc schodami na górę królewskiej rezydencji, ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma tam ani jednego strażnika. Czy Elias tak bardzo ufał swej mocy, że nie obawiał się próby morderstwa? Z pewnością takie obawy nie licowałyby z jego zachowaniem po powrocie z Naglimundu.

Wszedłszy na górę, Guthwulf usłyszał stłumione głosy. Kierowany złym przeczuciem pochylił się i przyłożył ucho do dziurki od klucza. Zmarszczył brwi. „Powinienem był się domyślić – pomyślał ponuro. – Wszędzie rozpoznałbym to psie szczekanie Pryratesa. Co za przeklęta kreatura, czy on nigdy nie odstępuje Króla?”

Kiedy tak się zastanawiał, czy zapukać, usłyszał nagle stłumiony głos Eliasa. Dłoń Guthwulfa zastygła w powietrzu tuż przy drzwiach, kiedy usłyszał trzeci głos. Ten był wysoki i słodki, lecz brzmiała w nim jakaś obca nuta, jakby mówiąca istota nie była rodzaju ludzkiego. Głos ten podziałał na zmysły Guthwulfa niczym skok do zimnej wody, powodując, że włosy na jego głowie podniosły się, a jego oddech stał się drżący. Wydawało mu się, że usłyszał słowa „miecz” i „góry”, zanim ogarnęło go uczucie odrętwienia. Odskoczył od drzwi tak gwałtownie, że niemal spadł ze schodów.

„Czy te piekielne istoty są tutaj?” – zastanawiał się. Wytarł spocone dłonie o nocną koszulę i zstąpił o stopień niżej. „Co za diabelskie sprawy mają tu miejsce? Czy Elias postradał zmysły? Zaprzedał duszę?”

Głosy wzmogły się, a zaraz potem skrzypnęły drzwi, gdy ktoś odsunął od wewnątrz zasuwę. Guthwulf nie myślał już o spotkaniu z Eliasem; wiedział tylko, że nie chce być przyłapany na podsłuchiwaniu pod drzwiami i nie chce spotkać istoty, która mówi tak dziwnym głosem. Rozglądał się w pośpiechu za jakąś kryjówką, lecz klatka schodowa była bardzo wąska. Popędził schodami w dół, lecz zdążył zaledwie dotrzeć do drzwi prowadzących na zewnątrz, kiedy ktoś pojawił się na podeście u góry. Guthwulf skulił się we wnęce pod schodami. Te zaskrzypiały, a on wcisnął się w kąt jeszcze bardziej. W drzwiach zatrzymały się dwie postacie; jedna z nich była bardziej widoczna.

– Król jest zadowolony z tych wieści – powiedział Pryrates.

Ciemniejsza postać nic nie odpowiedziała. Pod czarnym kapturem błysnęła biała twarz. Pryrates wyszedł na zewnątrz. Kręcił swą łysą głową, rozglądając się czujnie. Jego szkarłatne szaty przybrały w świetle księżyca odcień fioletowoniebieski. Druga postać wyszła za nim do ogrodu.

Guthwulf poczuł nagle wzbierający w nim gniew; gniew silniejszy nawet od ślepego strachu. Żeby pan Utanyeat chował się pod schodami, i to przed czymś, z czym ten przeklęty kapłan spoufalał się jak z jakimś kuzynem z prowincji!

– Pryratesie! – zawołał, wychodząc spod schodów. – Chcę z tobą porozmawiać.

Hrabia stanął jak wryty na wysypanej żwirem ścieżce. Przed nim stał Pryrates – sam. Wiatr westchnął w żywopłotach; ich liście zadrżały, szeleszcząc – poza nimi nic nie było słychać, nic się nie poruszało.

– Hrabia Guthwulf – powiedział Pryrates, marszcząc swe pozbawione włosów brwi w zdziwieniu. – Co tutaj robisz? I to o tej porze. – Powiódł wzrokiem po stroju Guthwulfa. – Nie możesz spać?

– Tak... nie... a niech cię, klecho, to nie ma znaczenia! Szedłem właśnie do Króla!

Pryrates skinął głową.

– Ach, tak. Właśnie wracam od Jego Wysokości. Zażył swój nasenny napój, więc odłóż to, co masz mu do powiedzenia, na jutro.

Guthwulf spojrzał w górę na szydercze oblicze świecącego księżyca i rozejrzał się po dziedzińcu. Nie było tam nikogo poza nimi. Czuł się otumaniony, oszukany przez własne zmysły.

– Byłeś sam u Króla? – spytał.

Duchowny przyglądał mu się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Był tam jeszcze nowy podczaszy. A także kilku służących w przyległych pokojach. Dlaczego pytasz?

Hrabia czuł, że coraz bardziej traci pewność siebie.

– Podczaszy? Chciałem tylko wiedzieć... Myślałem... – Guthwulf starał się zachować twarz. – Przy tamtych drzwiach nie ma straży. – Wskazał na wejście.

– Chyba nie ma potrzeby ich strzec – Pryrates uśmiechnął się – skoro taki dzielny wojownik jak ty przechadza się po ogrodach. Ale masz rację. Porozmawiam z dowódcą straży. Teraz wybacz, ale udam się do swego skromnego łoża. Miałem dzisiaj bardzo pracowity dzień; sprawy wagi państwowej. Dobranoc. – Duchowny odwrócił się i odszedł; jego szaty zawirowały i zniknęły w cieniu po drugiej stronie dziedzińca.

DUSZA PODRÓŻNIKA POWRÓCIŁA DO NIEGO, w miarę jak posuwał się przez niekończące się śnieżne pustkowie, lecz jego imię nie powróciło. Nie mógł sobie przypomnieć, jak to się stało, że jedzie na koniu, ani nawet, czy to jego koń. Nie wiedział też, gdzie był i co było przyczyną okropnego

bólu, który przeszywał całe jego ciało, wykrzywiając i obezwładniając mu kończyny. Wiedział tylko, że musi jechać w kierunku jakiegoś miejsca poza horyzontem, kierując się według gwiazd, które migotały nocą na północno-zachodnim niebie. Nie pamiętał też, co to za miejsce.

Zatrzymywał się rzadko, tylko po to, by się przespać. A właściwie sama podróż wydawała się snem, z którego budził się czasem; była niczym długi, biały tunel, pełen wiatru i lodu. Towarzyszyły mu duchy; cała rzesza bezdomnych duchów idących tuż przy jego strzemionach. Niektóre z nich znalazły się tam za jego przyczyną – tak przynajmniej mówiło pełne wyrzutu spojrzenie ich bladych twarzy – inne były tymi naprzykrzającymi się duszami, dla których wcześniej zabijał. Jednak żadne nie miały teraz nad nim jakiejkolwiek władzy. Pozbawiony imienia był takim samym duchem jak i one.

I tak podróżowali razem: pozbawiony imienia człowiek i bezimienni zmarli – samotny jeździec i szepcący, bezcielesny tłum, który towarzyszył mu niczym piana niesiona przed morską falą.

Za każdym razem kiedy gasło słońce, a na migocącym północno-zachodnim niebie pojawiał się gwiezdny łuk, robił nacięcie na swym skórzanym siodle. Czasem nocą wiatr zasnuwał ciemne niebo zasłoną deszczu ze śniegiem i gwiazdy pozostawały niewidoczne. Lecz wtedy także nacinał swe siodło. Widok jasnych nacięć na ciemnej skórze dodawał mu otuchy, utwierdzał go w przekonaniu, że coś może się zmienić w tej odwiecznej jednostajności gór, kamieni i śnieżnych równin i że nie pełza wkoło jak ślepy owad, poruszający się po krawędzi pucharu. Głód był kolejną wskazówką upływu czasu; teraz zaczynał odczuwać go dotkliwiej niż najgorszy ból. Ale i to było dla niego dość osobliwą pociechą. Jeśli ktoś umiera z głodu, to znaczy, że żyje. Śmierć mogłaby oznaczać, że zostanie skazany na dołączenie do tłumu szepcących cieni, które go otaczały,

skazany na niekończącą się wędrówkę i jęki na tej pozbawionej życia pustyni. Lecz dopóki żył, pozostawała przynajmniej nikła nadzieja. Choć nie potrafił powiedzieć, czego mógł oczekiwać.

Po jedenastym nacięciu na siodle padł jego koń. W jednej chwili posuwali się jeszcze naprzód, pokonując kolejną śnieżną zaspę, w następnej koń osunął się powoli na kolana i drżąc, przewrócił się na ziemię, wzbijając kopytami unoszący się bezgłośnie tuman śnieżnego pyłu. Po chwili wydostał się spod zwierzęcia; jego ból był jak głos równie odległy co gwiazdy, za którymi podążał. Wstał z trudem i ruszył chwiejnym krokiem.

Słońce dwukrotnie wzeszło i schowało się, a on szedł dalej. Nawet towarzyszące mu duchy zniknęły wreszcie zmiecione wyjącym śniegiem. Pomyślał, że może robi się zimniej, lecz nie był pewien, co znaczy zimno.

Kiedy słońce wspięło się na niebo po raz trzeci, tym razem było to mroźne, szare sklepienie. Wiatr ustał i wirujący śnieg opadł, tworząc puszyste zaspy. Daleko na horyzoncie majaczyła góra, groźna niczym ząb rekina. Nad jej ocienionym szczytem unosiła się korona ciemnych chmur, które mieszały się z parą i dymem, jakie wydobywały się ze szczelin skutych lodem zboczy góry. Na ten widok wędrowiec opadł na kolana i złożył w milczeniu modlitwę dziękczynną. Wciąż nie znał swego imienia, ale wiedział, że tej góry szukał.

Minęły kolejno ciemność i jasność i wtedy znalazł się w pobliżu cienia góry; szedł wśród skutych lodem wzgórz i mrocznych dolin. Żyli tutaj śmiertelnicy. Patrzący podejrzliwie jasnowłosi mężczyźni i kobiety wyglądali z domów, które były domami ich klanów, wykonanymi z czarnych belek, błota i kamieni. Nie przechodził przez ich ponure wioski, choć wydawały mu się w jakiś odległy sposób znajome. Kiedy ich mieszkańcy wołali do niego i zbliżali się na bezpieczną odległość, nie zwracał na nich uwagi i brnął dalej.

Wędrował tak jeszcze jeden dzień, aż zostawił za sobą osady jasnowłosych ludzi. Tutaj góra nie dopuszczała już słońca, które wydawało się małe i odległe, a wokół panował wieczny mrok. Słaniając się czy wręcz czołgając, szedł schodami bardzo starej drogi, która prowadziła między wzgórzami u stóp góry; idąc, mijał lśniące od lodu i szronu ruiny dawno wymarłego miasta. Spod śnieżnej skorupy wyrastały kolumny podobne do połamanych kości. Na skraju góry widniały kamienne łuki podobne do oczodołów czaszki.

Znalazłszy się tak blisko celu, poczuł, że opuszczają go siły. Krucha, lodowa droga skończyła się przed olbrzymią bramą umieszczoną w zboczu góry. Brama była większa od wieży. Wykonano ją z chalcedonu, lśniącego alabastru i magicznego drewna; pokryta dziwnymi rzeźbami i runami wisiała na zawiasach z czarnego granitu. Właśnie przed nią się zatrzymał. Ostatnie tchnienie jego życia zdawało się ulatywać z umęczonego ciała. Brama otworzyła się, kiedy zaczęła ogarniać go ostateczna ciemność. Ukazały się w niej białe postacie, piękne jak lód w słońcu i groźne niczym najsroższa zima. Przyglądały się wszystkim jego niezłomnym, choć coraz słabszym wysiłkom na śnieżnym pustkowiu. Teraz, jakby nasyciwszy nieco swą niezgłębioną ciekawość, wniosły go wreszcie do wnętrza góry.

Bezimienny podróżny obudził się w podpartej kolumnami komnacie w samym sercu góry, którą wypełniało błękitne światło. Z tytanowej studni umieszczonej na środku komnaty unosiły się dym i para, które mieszały się ze śniegiem pod niewiarygodnie wysokim sufitem. Długo leżał, obserwując kłębiące się obłoki. Kiedy mógł wreszcie przesunąć wzrok nieco dalej, zobaczył ogromny tron z czarnego kamienia pokryty patyną mrozu. Siedziała na nim postać ubrana na biało; maska na jej twarzy lśniła, odbijając światło, jakie wydobywało się ze studni. Nagle poczuł, że wypełnia go ogromne uniesienie, ale i przerażający strach.

– Pani! – zawołał, odzyskawszy pamięć. – Zgładź mnie, Pani! Zgładź mnie, gdyż cię zawiodłem!

Srebrna maska zwróciła się w jego stronę. Z cienia dobiegły pozbawione słów chóralne śpiewy; wiele par błyszczących oczu spoglądało na niego, jakby duchy, które towarzyszyły mu w czasie podróży przez pustkowie, przyszły tutaj, by go osądzić i zobaczyć jego śmierć.

– *Nic nie mów* – powiedziała Utuk'ku. Jej przerażający głos chwycił go swymi niewidzialnymi dłońmi; zaklęcie chłodu wtargnęło do jego serca, zamieniając je w kamień. – *Dowiem się tego, co chcę wiedzieć.*

Doświadczenia podróży i rany, jakich doświadczył na śnieżnej równinie, sprawiły, że ból stał się jedynym uczuciem, jakie pamiętał. Tortury te znosił z równą obojętnością jak swą bezimienność, lecz były to tylko tortury ciała. Teraz przypomniano mu – jak większości tych, którzy odwiedzali Górę Burz – że istnieją udręki o wiele gorsze od tortur cielesnych, że istnieje cierpienie, którego nie łagodziła nawet możliwość śmierci.

Utuk'ku, władczyni góry, była starsza, niż sięgała ludzka pamięć, i nauczyła się wielu rzeczy. Być może mogła dowiedzieć się tego, czego chciała, bez uciekania się do tak okropnych tortur. Potrafiła być łaskawa, jeśli było to możliwe.

Jego krzyki odbijały się echem od ścian komnaty. Lodowate myśli królowej Nornów przenikały samą jego istotę, badając ją swymi bezlitosnymi, zimnymi szponami. Takiej agonii nie sposób było sobie wyobrazić. Czyniła z jego wnętrza zupełną pustkę, a on mógł tylko bezradnie się temu przyglądać. Wszystko, co się do tej pory wydarzyło, wszystkie jego doświadczenia i najskrytsze myśli opuszczały go, obnażone. Jakby przecięła go nożem niczym rybę i wypatroszyła jego szamoczącą się duszę.

Znowu zobaczył pościg na górze Urmsheim, odkrycie miecza przez tych, których ścigał, swoją walkę ze śmiertelnikami i Sithami. Jeszcze raz ujrzał śnieżnego smoka i własne rany, zobaczył siebie zakrwawionego i przygniecionego blokami odwiecznego lodu. A potem – jakby oglądał kogoś innego – ujrzał umierającą istotę, która brnęła przez śniegi w kierunku Burzowej Góry; bezimienny nieszczęśnik, który zgubił swoją ofiarę, swych towarzyszy, a nawet swój hełm w kształcie psiego pyska, symbol godności pierwszego śmiertelnika pełniącego funkcję Łowczego Królowej. Wreszcie zniknął obraz jego porażki.

Utuk'ku ponownie skinęła głową; jej srebrzysta maska jakby wpatrywała się w opary kłębiące się nad Studnią Oddychającej Harfy.

– *Śmiertelniku, nie tobie oceniać, czy mnie zawiodłeś, czy nie* – przemówiła wreszcie. – *Ale wiedz to: nie jestem niezadowolona. Dzisiaj nauczyłam się wielu pożytecznych rzeczy. Świat wciąż się jeszcze kręci, lecz kręci się dla nas.*

Uniosła dłoń. Płynący z cienia monotonny śpiew wzmógł się. Coś ogromnego jakby poruszyło się w głębi studni, powodując, że opary zatańczyły.

– *Oddaję ci twe imię, Ingenie Jeggerze* – powiedziała Utuk'ku. – *Pozostajesz Łowczym Królowej*. – Z kolan uniosła nowy hełm, biały i lśniący, w kształcie łba tropiącego psa z wywieszonym jęzorem i oczyma zrobionymi ze szkarłatnego kamienia. – *Tym razem będziesz tropił zwierzynę, na jaką żaden śmiertelnik jeszcze nie polował!*

Fala światłości wypłynęła ze Studni Harfy, oblewając ogromne kolumny. W komnacie rozległ się huk niczym grzmot pioruna; wydawało się, że od jego siły zadrżały posady samej góry. Ingen Jegger poczuł przypływ energii. W myśli składał swej wspaniałej pani tysiące obietnic.

– *Ale najpierw musisz wyspać się dobrze i wyzdrowieć* – przemówiła srebrna maska. – *Gdyż wyszedłeś poza próg śmierci o wiele dalej, niż może zrobić to śmiertelnik, by móc powrócić. Otrzymasz więcej siły, gdyż zadanie, które na ciebie czeka, jest trudne*. – Światłość zniknęła nagłe, jakby przykrył ją ciemny obłok.

LAS WCIĄŻ JESZCZE POGRĄŻONY BYŁ w ciemności. Gdy krzyk ustał, Deornoth miał wrażenie, że cisza dźwięczy mu w uszach. Krzepki Einskaldir pomógł mu wstać.

– Na Usiresa, spójrz tam – powiedział Rimmersman, z trudem łapiąc oddech.

Wciąż jeszcze oszołomiony Deornoth rozejrzał się, zastanawiając się, co takiego zrobił, że Einskaldir patrzy tak dziwnie.

– Josua! – zawołał Rimmersman. – Chodź tutaj!

Książę wsunął swój miecz, Najdel, do pochwy i ruszył przed siebie,

– Chociaż raz nie rozpłynęli się po swoim ataku – powiedział ponuro. – Deornoth, nic ci nie jest?

Rycerz pokiwał głową wciąż nieco oszołomiony.

– Boli mnie głowa – powiedział. – Na co oni tak patrzą?

– Przy...przyłożył mi nóż do gardła – wyjąkał ojciec Strangyeard. – Uratował mnie sir Deornoth.

Josua pochylił się nad Deornothem, lecz ten ze zdziwieniem zobaczył, że książę pochyla się jeszcze niżej i wreszcie klęka na jednym kolanie.

– Aedonie, miej nas w swojej opiece – powiedział cicho Josua.

Wreszcie Deornoth także spojrzał w dół. Tuż przy jego stopach leżał skulony, ubrany na czarno Norn, z którym walczył. Trupio blada twarz

postaci lśniła w blasku księżyca; rozbryzgana krew odbijała się wyraźnie od białej skóry, Norn wciąż ściskał w bladej dłoni niezwykle wąski nóż.

– Mój Boże! – zawołał Deornoth i zachwiał się.

Josua pochylił się jeszcze bardziej nad ciałem.

– Potężny cios zadałeś, przyjacielu – powiedział, lecz w tej samej chwili otworzył szerzej zdumione oczy i odskoczył, wysuwając z pochwy Najdel.

– Poruszył się – powiedział. W jego głosie czuć było napięcie. – Norn żyje.

– Długo już nie pożyje – odezwał się Einskaldir i uniósł swój topór.

Josua błyskawicznie wyciągnął ramię, tak że jego Najdel znalazł się między Rimmersmanem a jego ofiarą.

– Nie. – Książę dał znak pozostałym, by się cofnęli. – Bylibyśmy głupcami, zabijając go.

– Próbował nas zabić! – wycedził przez zęby Isorn. Powrócił właśnie z pochodnią, którą zapalił od krzesiwa. – Pomyśl tylko o tym, co zrobili w Naglimundzie!

– Nie mam zamiaru silić się na litość – powiedział Josua i oparł czubek swego miecza na bladym gardle Norna. – Chciałem go tylko wypytać jak jeńca.

Norn poruszył się, jakby pobudzony ukłuciem. Niektórzy z zebranych wstrzymali oddech.

– Josua, stoisz za blisko! – zawołała Vorzheva. – Odsuń się!

Książę spojrzał na nią zimno i nie poruszył się. Obniżył nieco miecz, przystawiając go teraz do piersi więźnia. Norn zatrzepotał powiekami i otworzył oczy, po czym otwierając zakrwawione usta, wziął głęboki oddech.

– *Ai, Nakkiga* – przemówił ochryple, rozprostowując swe cienkie, pajęcze palce – *o’do ’the stazho...*

– Książę Josuo, to poganin – powiedział Isorn. – Nie potrafi nawet mówić ludzkim językiem.

Josua nic nie odpowiedział, lecz ukłuł Norna jeszcze raz. W świetle pochodni oczy więźnia emanowały dziwnym, fioletowym blaskiem. Norn spojrzał na miecz oparty na jego piersi, po czym powiódł wzrokiem w górę ostrza, aż jego wzrok spoczął wreszcie na Josui.

– Mówię – przemówił Norn powoli. – Mówię waszym językiem. Głos miał zimny i wysoki, niczym dźwięk szklanego fletu. – Niedługo będzie to już język martwych. – Norn usiadł i rozejrzał się uważnie. Książęcy miecz towarzyszył każdemu jego ruchowi.

Wydawało się, że Norn ma stawy w dziwnych miejscach; jego ciało było elastyczne tam, gdzie ciało śmiertelnika powinno być sztywne. Patrzący odskoczyli w obawie, że obcy jest wystarczająco silny, by ich zaatakować, choć nos miał zupełnie zakrwawiony i zniekształcony, a i na jego ciele widniały ślady innych ran.

– Gutrun, Vorzhevo... – powiedział Josua, nie odwracając wzroku od więźnia. Twarz Norna emanowała blaskiem pomimo zakrzepłej na niej krwi. – Ty też, Strangyeardzie – powiedział książę. – Harfiarz i Towser zostali sami. Idźcie do nich i rozpalcie ognisko. Potem przygotujcie się do wymarszu. Teraz już nie ma sensu się ukrywać.

– Od samego początku było to bezsensowne – powiedział więzień.

Widać było, że Vorzheva powstrzymuje się, by nie odpowiedzieć Josui.

Obie kobiety odeszły. Ojciec Strangyeard ruszył za nimi, robiąc znak Drzewa i cmokając.

– A teraz mów, piekielna istoto. Dlaczego za nami idziecie? – Wprawdzie książę mówił surowym tonem, lecz Deornoth dostrzegł na jego

twarzy wyraz fascynacji.

– Nic wam nie powiem. – Więzień rozchylił swe wąskie usta w szyderczym uśmiechu. – Czy nie przywykliście jeszcze do umierania, nie doczekawszy się odpowiedzi na swoje pytania?

Rozwścieczony, Deornoth zrobił krok do przodu i kopnął Norna w bok ciężkim butem. Więzień skrzywił się, lecz nie okazał żadnej innej oznaki bólu.

– Zrodziłeś się z diabelskiego nasienia, a diabły to mistrzowie kłamstwa – warknął Deornoth. Wciąż czuł okropny ból głowy i widok tego chudego, uśmiechającego się stworzenia był dla niego prawie nie do zniesienia. Przypomniał sobie gromady Nornów chodzących po Naglimundzie niczym robactwo i poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Deornoth... – rzucił Josua ostrzegawczo, po czym ponownie zwrócił się do więźnia. – Skoro jesteście tak potężni, dlaczego nas po prostu nie zabijecie i nie skończycie z tym? Dlaczego tracicie swój czas na kogoś tak nieporównanie gorszego od was?

– Nie obawiaj się, nie będziemy już dłużej czekać. – W szyderczym głosie Norna zabrzmiała nuta zadowolenia. – Schwytaliście mnie, ale moi towarzysze dowiedzieli się tego, co jest nam potrzebne. Możecie już odmawiać wasze modlitwy śmierci do małego człowieczka na kiju, którego wielbicie, gdyż nic już nas nie powstrzyma.

W tym momencie do więźnia zbliżył się rozzłoszczony Einskaldir.

– Ty psie! Bluźnisz!

– Cisza! – warknął Josua. – Robi to celowo. – Deornoth położył ostrożnie dłoń na napiętym ramieniu Einskaldira. Nie należało pozwalać sobie na takie gesty w stosunku do impulsywnego Rimmersmana. – Co chcesz powiedzieć przez to, że „dowiedzieli się tego, co jest wam

potrzebne”? Co to może być? Mów albo pozwolę Einskaldirowi dobrać się do ciebie.

Norn roześmiał się – jego śmiech zabrzmiał jak wiatr wiejący w suchych liściach – lecz Deornoth dostrzegł zmianę w jego czerwonych oczach, gdy przemówił Josua. Wydawało się, że książę trafił w jakiś czuły punkt Norna.

– Zabij mnie więc, powoli albo szybko – prowokował więzień. – Nic więcej nie powiem. Wasz czas, czas śmiertelników przebiegłych i dokuczliwych, prawie się skończył. Zabijcie mnie. Mieszkańcy Mroku będą o mnie śpiewać w najniższych komnatach Nakkigi. Moje dzieci będą wspominały me imię z dumą.

– Dzieci? – powtórzył zdziwiony Isorn.

Norn spojrzał z pogardą na jasnowłosego Rimmersmana, lecz nic nie powiedział.

– Ale dlaczego? – dopytywał się Josua. – Dlaczego mielibyście się sprzymierzać ze śmiertelnikami? I jakie stanowimy zagrożenie dla was, którzy mieszkacie daleko na Północy? Jaką korzyść może mieć wasz Król Burz z tego szaleństwa?

Norn milczał ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

– Mów. Niech piekło pochłonie twoją duszę!

Żadnej odpowiedzi.

Josua westchnął.

– Co z nim zrobimy? – szepnął jakby do siebie.

– To! – Einskaldir wysunął się spod ramienia Deornotha i wzniósł topór. Norn patrzył na niego przez moment; jego przechylona twarz przypominała umazaną krwią maskę z kości słoniowej. W następnej chwili Rimmersman zatoczył łuk toporem i wbił go w czaszkę Norna, przygważdżając go do ziemi. Ciało Norna zgięło się wpół, drgając, wyprostowało, a potem znowu

się złożyło, jakby miał dodatkowe stawy w połowie ciała. Z jego głowy uleciała mgiełka krwi. Umierający Norn przypominał wijącego się zmiażdżonego świerszcza. Deornoth nie mógł znieść tego widoku i musiał się odwrócić.

– A niech cię diabli, Einskaldir – przemówił wreszcie Josua głosem drżącym z wściekłości. – Jak śmiesz? Nie kazałem ci tego robić!

– Nawet jeślibym tego nie zrobił, to co? – spytał Einskaldir. – Zabralibyśmy go ze sobą? Żeby obudzić się którejś nocy z tą szczerzącą zęby trupią gębą przy swoim gardle? – Najwyraźniej jego rozgniewany głos dodawał mu pewności.

– Dobry Boże, Rimmersmanie, czy ty nigdy nie potrafisz powstrzymać się z atakiem? Jeśli nawet nie żywisz szacunku dla mnie, przynajmniej powinieneś mieć wzgląd na swego pana Isgrimnura, który nakazał ci wobec mnie posłuszeństwo. Książę pochylił się tak bardzo, że jego chuda twarz znalazła się tuż przed lśniącą, czarną brodą Einskaldira, jakby chciał znaleźć coś w jego oczach. Żaden z nich nie powiedział ani słowa.

Deornoth widział w świetle księżyca profil twarzy Josui, zawziętej i smutnej. Ten widok przypomniał mu obraz przedstawiający sir Camarisa, który jechał na swą pierwszą bitwę z Thrithingami. Największy rycerz Króla Johna miał identyczne spojrzenie, pełne dumy i desperacji jak u wygłodniałego jastrzębia. Deornoth potrząsnął głową, próbując odegnać cienie wspomnień. Cóż za szaleńcza noc!

Einskaldir pierwszy odwrócił głowę.

– To był potwór – mruknął. – Teraz już nie żyje. Dwa inne odegnaliśmy ranne. Pójdę wytrzeć nieczystą krew z mojego miecza.

– Najpierw pochowasz ciało – powiedział Josua. – Isorn, pomóż Einskaldirowi. Przeszukajcie ubranie Norna; może znajdziecie coś dla nas ważnego. Niech Bóg nam dopomoże, tak mało wiemy.

– Pochować go? – W głosie Isorna zabrzmiała nuta powątpiewania, ale i respektu.

– Nie możemy zostawiać niczego, co mogłoby nas zdradzić. Żadnej informacji. – Josua wydawał się zmęczony mówieniem. – Jeśli pozostali Nornowie nie znajdą jego ciała, może nie domyślą się, że nie żyje. Mogą się zastanawiać, co on nam może powiedzieć.

Isorn skinął głową niezbyt przekonany i zabrał się do wykonania nieprzyjemnego zadania. Josua odwrócił się i wziął Deornotha pod ramię.

– Chodź – powiedział książę. – Musimy porozmawiać.

Odeszli dość daleko od polanki, jednak w zasięgu słuchu. Widoczne między gęstymi gałęziami drzew kawałki nieba przybrały barwę ciemnoniebieską, która zwiastowała nadchodzący świt. Odezwał się jakiś ptak.

– Einskaldir chce dobrze, książę – powiedział Deornoth, przerywając dość kłopotliwą ciszę. – Jest porywczy, niecierpliwy, ale nie jest zdrajcą.

Josua spojrzał na niego zdziwiony.

– Niech nas Niebiosa mają w opiece, Deornoth, myślisz, że tego nie wiem? Czy mówiłbym tylko tyle, gdybym myślał inaczej? Ale Einskaldir postąpił pochopnie. Chciałem usłyszeć coś więcej od Norna, choć koniec chyba i tak byłby taki sam. Nienawidzę zabijania z zimną krwią, ale co byśmy zrobili z tym potworem? Einskaldir uważa jednak, że zbyt dużo filozofuję, by być dobrym żołnierzem. – Uśmiechnął się smutno. – Pewnie ma rację. – Josua uniósł dłoń, powstrzymując odpowiedź Deornotha. – Ale nie o tym chciałem mówić z tobą na osobności. Einskaldir to mój problem. Chciałem natomiast usłyszeć twoje zdanie na temat słów Norna.

– Których, Wasza Wysokość?

Josua westchnął.

– Powiedział, że jego towarzysze znaleźli to, czego szukali. Co to może znaczyć?

Deornoth wzruszył ramionami.

– Książę, kręci mi się jeszcze w głowie.

– Ale sam mówiłeś, że musi istnieć jakiś powód, dla którego jeszcze nas nie zabili. – Josua usiadł na omszałym pniu powalonego drzewa i dał znak, by Deornoth zrobił to samo. Sklepienie nieba przybierało teraz barwę lawendy. – Wysyłają do nas chodzącego trupa; strzelają z łuków, lecz nas nie zabijają, po to by nas powstrzymać przed pójściem na wschód; i wreszcie wysyłają kilku spośród siebie, by wkradli się do naszego obozu niczym węże. Czego chcą?

Deornoth nie potrafił udzielić żadnej odpowiedzi, bez względu na to, jak intensywnie myślał. Wciąż miał przed oczyma szyderczy uśmiech Norna. Ale pamiętał też tamto chwilowe spojrzenie, pełne niepokoju...

– Oni boją się... – powiedział Deornoth, czując, że już prawie wie – ...oni boją się...

– Mieczy – wycedził Josua. – Oczywiście! Czego innego mogliby się bać?

– Ale my nie mamy magicznych mieczy – powiedział Deornoth.

– Mogą o tym nie wiedzieć – odparł Josua. – Być może jest to jedna z zalet Ciernia i Minneyara, że są niewidzialne nawet dla czarów Nornów. – Josua klepnął się po udzie. – Oczywiście! Musi tak być, gdyż inaczej Król Burz odnalazłby je i zniszczył! W jaki inny sposób mogłaby przetrwać broń niebezpieczna dla niego?

– Ale dlaczego próbowali powstrzymać nas przed podróżą na wschód?

Książę wzruszył ramionami.

– Kto to może wiedzieć? Musimy się nad tym zastanowić, ale jestem przekonany o słuszności naszych domysłów. Obawiają się, że mamy jeden

lub oba miecze, i nie chcą stawić nam czoła, dopóki się nie upewnią.

Deornoth poczuł, że ponownie ogarnia go zwątpienie.

– Lecz słyszałeś, co powiedziało to stworzenie. Teraz już wiedzą.

Josua przestał się uśmiechać.

– To prawda. Albo przynajmniej są prawie pewni. Choć świadomość tego może w jakiś sposób działać na naszą korzyść. Nie wiem w jaki, ale może. – Wstał. – Teraz jednak nie boją się już nas atakować. Musimy więc podróżować szybciej. Chodź.

Deornoth ruszył za księciem w blasku wstającego dnia, zastanawiając się, jak ludzie tak pokaleczeni i przestraszeni mogą iść jeszcze szybciej.

7. Morze ognia

KRĄŻĄCE NA TLE SZAREGO, porannego nieba mewy odpowiadały żałosnym echem na skrzypienie dulek w łodzi. Słuchając monotonnego pisku wioseł, Miriamele miała wrażenie, że ktoś nieustannie wbija jej palec pod żebra. Czuła, że wzbiera w niej złość. Wreszcie zwróciła się do Cadracha rozwścieczona.

– Ty... ty *zdrajco!* – wyrzuciła z siebie.

Zakonnik wybałuszył oczy; zbladł najwyraźniej przestraszony.

– Co? – Cadrach wyglądał, jakby chciał się odsunąć, lecz nie było takiej możliwości; siedzieli ciasno obok siebie na rufie małej łodzi. Lenti, ponury sługa Streawe’a, obserwował ich poirytowany z ławki; wiosłował wraz z innym służącym.

– Moja pani... – zaczął Cadrach. – Ja nie...

Jego niemrawe protesty rozzłościły ją jeszcze bardziej.

– Zdaje ci się, że jestem głupia? – warknęła. – Wprawdzie wolno myślę, lecz jeśli już pomyślę wystarczająco długo, zawsze wiem, o co chodzi. Hrabia nazwał cię imieniem *Padrei*c, i nie on pierwszy!

– To jakaś pomyłka, moja pani. Tamten człowiek był umierający, jeśli dobrze pamiętasz; cierpiał bardzo, to były jego ostatnie chwile...

– Ty *świnio*! Powiesz mi pewnie, że Streawe przypadkiem dowiedział się o moim wyjeździe z zamku, i to chyba zanim ja sama zdecydowałam się wyjechać? Dobrze się bawiłeś, prawda? Pracowałeś na obie strony, czy nie tak? Najpierw wziąłeś złoto od Vorzhevy, żeby mnie eskortować, a potem, kiedy podróżowaliśmy razem, brałeś ode mnie, pożyczając na dzban wina albo na kolację...

– Jestem tylko biednym sługą Bożym – bronił się odważnie Cadrach.

– Siedź cicho, ty zdradliwy pijaczyno! Wziąłeś też złoto od hrabiego Streawe'a, a może nie? Powiadomiłeś go, że jadę. Zastanawiałam się, gdzie się podziewałeś, kiedy przybyliśmy do Ansis Pelippe. A gdzie byłeś, kiedy mnie uwięziono? Gościłeś na zamku? Raczyłeś się kolacyjkami z hrabią? – Była tak rozżalona, że brakowało jej słów. – I... i pewnie powiadomiłeś też tego tam, do którego teraz płyniemy! Może nie? Jak możesz nosić szaty duchownego? Dlaczego Bóg nie zabije cię po prostu za twoje bluźnierstwa? Dlaczego nie spalisz się tu na miejscu? – Urwała, przełykając łzy złości i próbując złapać oddech.

– No, no – zagroził jej Lenti i opuścił groźnie swą jedyną brew. – Przestań już krzyczeć i nie próbuj żadnych sztuczek!

– Zamknij się! – odpowiedziała Miriamele.

Cadrach dostrzegł w tej chwili jakąś szansę dla siebie.

– Tak, tak. Nie obrażaj pani. Na świętego Muirfatha, nie chce mi się wierzyć...

Mnich nie zdążył dokończyć. Z okrzykiem gniewu na ustach Miriamele pochyliła się i pchnęła go mocno. Cadrach wypuścił głośno powietrze zdumiony, zamachał ramionami, próbując odzyskać równowagę, i wpadł w zielone fale zatoki Emettin.

– *Oszalałaś?* – ryknął Lenti. Rzuciwszy wiosło, zerwał się na nogi.

Cadrach zniknął w odmętach zielonej wody.

Miriamele wstała, by krzyczeć dalej za mnichem. Łódź przechyliła się, powodując, że Lenti opadł na swoje miejsce, wypuszczając jedno z wioseł, które zanurkowało w wodzie niczym srebrzysta ryba.

– Ty zdradziecki oszuście! – krzyczała za mnichem, choć on wciąż pozostawał pod wodą. – Niech cię piekło pochłonie!

Wreszcie Cadrach wynurzył się na powierzchnię, wypuszczając z ust fontannę słonej wody.

– Utonę! – wycharczał. – Tonę! Pomóżcie mi! – Ponownie zniknął pod powierzchnią wody.

– Utop się, zdrajco! – zawołała Miriamele i wrzasnęła, gdyż Lenti chwycił ją za ramię i wykręcił je, pociągając ją na siedzenie.

– Wściekła suka! – krzyknął.

– Niech umiera – powiedziała, dysząc i próbując oswobodzić ramię. – Co on cię obchodzi?

Lenti uderzył ją otwartą dłonią w bok głowy. Miriamele rozpłakała się.

– Pan powiedział, żeby dwoje dowieźć na nabbańską stronę, ty wściekła suko. Pokażemy się z jedną, koniec ze mną.

Tymczasem Cadrach powtórnie wynurzył się na powierzchnię; parskał obficie, machał ramionami i wydawał odgłosy, które świadczyły, że rzeczywiście tonie. Drugi ze służących Streawe’a gapił się przez cały czas szeroko otwartymi oczami, nie przestając wiosłować, przez co łódź zawróciła i płynęła w kierunku miotającego się w wodzie Cadracha.

Mnich zauważył, że wracają; w jego wybałuszonych oczach widać było wyraźnie strach. Spróbował zbliżyć się do nich, lecz chaotyczna szamotanina spowodowała, że jego głowa po raz kolejny zniknęła pod wodą. Wynurzył się chwilę później jeszcze bardziej przerażony.

– Ratunku! – piszczał, z trudem łapiąc oddech i wyrzucając ramiona w paroksyzmie strachu. – Coś... Coś tu jest!

– Na Aedona i wszystkich świętych! – warknął Lenti. Pochylił się nad burtą tak, by zachować równowagę. – Co tam znowu, rekiny?

Miriamele siedziała obojętnie na dziobie łodzi i płakała. Lenti chwycił linę cumowniczą i rzucił w stronę mnicha. Początkowo Cadrach nie zauważył jej i dalej młócił ramionami wodę, lecz po kilku chwilach jedna ręka przypadkowo zaplątała mu się w linę.

– Chwyć ją, głupcze! – krzyknął Lenti. – Trzymaj!

Wreszcie mnichowi udało się uczepić liny dwoma rękoma. Lenti ciągnął Cadracha, który kopał nogami wodę. Kiedy topielec znalazł się już dość blisko, drugi ze służących pochylił się, by pomóc Lentiemu. Po paru nieudanych próbach i wielu przekleństwach udało im się wreszcie przerzucić przez burtę ciężkiego od wody mnicha. Łódź przechyliła się. Cadrach leżał na jej dnie, krztusząc się i wymiotując wodą z zatoki.

– Okryj go swoim płaszczem – zwrócił się Lenti do Miriamele, kiedy Cadrach przestał wymiotować i oddychał tylko chrapliwie. – Jeśli on umrze, każę ci płynąć wpław do brzegu.

Wykonała polecenie z wyraźną niechęcią.

Przed nimi wyrastały brunatne wzgórza północno-wschodniego wybrzeża Nabbanu. Słońce było już prawie w zenicie, pokrywając powierzchnię zatoki warstwą oślepiającej miedzi. Obaj służący wiosłowali, łódź kołysała się, dulki skrzypiały monotonnie.

Miriamele wciąż pałała wściekłością, lecz teraz jej złość nie była już tak gwałtowna; zmieniła się raczej w bezsilny gniew. Wybuch minął, pozostał tylko dogasający żar.

„Jak mogłam być tak głupia? – zastanawiała się. – Ufałam mu; co więcej, polubiłam go nawet! Polubiłam jego towarzystwo, choć nieustannie był podchmielony”.

Parę chwil wcześniej, kiedy poruszyła się na miejscu, usłyszała jakiś brzęk w kieszeni habitu Cadracha. Okazało się, że to sakiewka z pieczęcią hrabiego Streawe’a. Do połowy wypełniały ją srebrne monety, lecz były tam także dwa złote imperatory. Ten oczywisty dowód zdrady mnicha ponownie rozpalił w niej płomień gniewu. Zastanawiała się, czy nie wrzucić go znów do wody – nawet ryzykując wybuch Lentiego – lecz wreszcie stwierdziła, że nie ma w sobie tyle złości, by go zabić. W rzeczywistości zdziwił ją fakt, że jej gniew tak szybko wygasł.

Spojrzała na mnicha, który zwinięty spał niespokojnym snem z głową opartą obok niej na ławce. Usta miał otwarte i oddychał tak, jakby nawet we śnie z trudem łapał powietrze. Jego rumiana zwykle twarz zaróżowiła się jeszcze bardziej. Miriamele osłoniła dłonią oczy i spojrzała w górę na słońce. Lato tego roku było zimne, lecz tutaj, na wodzie słońce prażyło niemiłosiernie.

Prawie nieświadoma tego, co robi, wzięła swój zniszczony płaszcz i przykryła nim czoło Cadracha, chroniąc go przed słońcem. Przyglądający się temu w milczeniu Lenti zmarszczył brwi i pokręcił głową. Miriamele zobaczyła nagle, że ponad jego ramieniem coś gładkiego rozbija powierzchnię wody i zaraz odpływa wężowym ruchem w głębiny.

Przez chwilę przyglądała się mewom i pelikanom, jak zataczały koła w powietrzu, a potem wracały nad skaliste wybrzeże i lądowały na nim, trzepocząc mocno skrzydłami. Przenikliwe krzyki mew przypomniały jej Meremund, dom dzieciństwa na wybrzeżu Erkynlandu.

„Z południowej ściany widziałam łodzie płynące w górę i w dół rzeki Gleniwent. Z zachodniej ściany widać było ocean. Byłam księżniczką uwięzioną swoją pozycją, lecz miałam wszystko, czego zapragnęłam. A teraz – patrzcie na mnie”.

Prychnęła z obrzydzeniem, ściągając na siebie kolejne groźne spojrzenie Lentiego.

„Mogę szukać przygód – pomyślała – lecz jestem bardziej uwięziona niż kiedykolwiek. Choć podróżuję w przebraniu, dzięki temu zdrajcy wiedzą o moim przybyciu szybciej niż na dworze mego ojca. Ludzie, których prawie nie znam, przekazują mnie sobie z rąk do rąk jak ulubione świecidełko. I nigdy już nie będę mogła wrócić do Meremundu, chyba że...”

Wiatr zwichrzył jej krótko obcięte włosy. Czuła w sobie zupełną pustkę.

„Chyba że co? Że mój ojciec się zmieni? Nigdy się nie zmieni. Zniszczył wuja Josuę. Zabił Josuę! Dlaczego miałby stać się inny? Nigdy nic już nie będzie tak jak dawniej. Razem z Naglimundem zostały pogrzebane wszelkie nadzieje na lepsze. Wszystkie ich plany, opowieści starego Jarnaugi, rozmowy o magicznych mieczach, a także wszyscy ludzie, którzy tam mieszkali – wszystko odeszło. Co zostało? Jeśli ojciec się nie zmieni, już zawsze będę tak uciekała. Ale on nigdy się nie zmieni. A jeśli umrze, we mnie umrze to, co jeszcze pozostało”.

Wpatrzona w lśniącą powierzchnię zatoki Emettin wspominała ojca, jakim był kiedyś. Kiedy miała trzy lata, po raz pierwszy wsadził ją na konia. Miriamele widziała tę scenę tak wyraźnie, jakby to było przed chwilą. Elias uśmiechał się z dumą, widząc, jak przerażona przylgnęła do grzbietu czegoś, co jej wydawało się potworem. Nie spadła i przestała płakać, gdy tylko postawił ją na ziemi.

„Jak to możliwe, by jedna osoba – nawet jeśli jest Królem – mogła dopuścić do takich okropności na ziemi, do jakich dopuścił mój ojciec? Kiedyś mnie kochał. Może wciąż mnie kocha, lecz zatruł me życie. A teraz chce zatruć cały świat”.

Fale uderzyły o łódź mocniej, gdy zbliżyli się do skał pokrytych złocistą czapą blasku późnego poranka.

Lenti i i jego towarzysz wysunęli wiosła z dulek i używali ich teraz do sterowania łodzią między ostrymi skałami. Kiedy zbliżyli się do brzegu i woda stała się bardziej przejrzysta, Miriamele po raz kolejny dostrzegła coś tuż pod jej powierzchnią. Coś szarego mignęło i zaraz zniknęło z pluskiem, by pojawić się za chwilę dalej z drugiej strony łodzi.

Lenti zobaczył, że Miriamele czemuś się przygląda, i spojrzał przez ramię. Na jego niewzruszonej twarzy pojawił się wyraz strachu. Mruknął coś do swego towarzysza i obaj zaczęli szybciej wiosłować.

– Co to jest? – spytała Miriamele. – Rekin?

Lenti nie podniósł wzroku.

– Kilpa – rzucił krótko, nie przestając wiosłować.

Miriamele wpatrywała się w wodę, lecz nie widziała już nic poza małymi falami, które rozbijały się o skały, tworząc delikatną mgiełkę.

– Kilpy w zatoce Emettin? – spytała z niedowierzaniem. – One nigdy nie podpływają aż tak daleko! Przecież one żyją na głębokim morzu!

– Już nie – mruknął Lenti. – Atakują łodzie wzdłuż całego wybrzeża. Każdy głupiec o tym wie. A teraz siedź cicho! – Lenti dyszał ciężko, wiosłując.

Zaniepokojona Miriamele wciąż wpatrywała się w wodę, lecz nic nie zmąciło już jej gładkiej powierzchni.

Kiedy kil ich łodzi otarł się o piasek, Lenti i drugi służący wyskoczyli z niej i szybko wciągnęli na plażę. Podnieśli razem Cadracha i rzucili bezceremonialnie na ziemię; mnich leżał, jęcząc. Nikt nie troszczył się o Miriamele. Przeszła ostatnie kilkanaście kroków po wodzie z szatą Cadracha nad głową.

Ścieżką, która prowadziła w dół stromego klifu, zbliżał się mężczyzna w czarnej sutannie duchownego. Zszedł na dół i zbliżył się do nich przez piasek.

– Zdaje się, że to handlarz niewolników, któremu macie mnie przekazać – powiedziała Miriamele najbardziej oziębłym tonem, na jaki mogła się zdobyć. Nie spuszczała wzroku z przybysza. Lenti i jego towarzysz spoglądali tylko nerwowo na zatokę, lecz nic nie odpowiedzieli.

– Hej, tam! – zawołał mężczyzna. Na tle monotonnego ryku fal jego głos zabrzmiał donośnie i pogodnie.

Miriamele otworzyła szeroko oczy zdumiona. Podeszła kilka kroków w stronę mężczyzny.

– Ojciec Dinivan? – spytała z wahaniem. – Czy to możliwe?

– Księżniczka Miriamele! – zawołał radośnie. – Nareszcie jesteś. Tak się cieszę. – Jego szeroki, promienny uśmiech upodabniał go do chłopca, lecz kręcone włosy na głowie wokół wyciętej tonsury zdobiła siwizna. Przyklęknął na jedno kolano, a kiedy wstał, przyjrzał jej się uważnie. – Nie rozpoznałbym cię z daleka. Mówiono mi, że podróżujesz w chłopięcym przebraniu, które, jak widzę, jest bardzo skuteczne. Do tego jeszcze ufarbowałaś włosy na czarno.

Miriamele, zdezorientowana, nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, lecz jednocześnie poczuła, że ogromny ciężar spadł jej z serca. Spośród wszystkich gości odwiedzających jej ojca w Meremundzie i Hayholt Dinivan był jednym z niewielu, którzy zamiast pochlebstw mówili jej prawdę, przywozili plotki z odległych stron, ale i dobre rady. Choć ojciec Dinivan był głównym sekretarzem Lektora Ranessina, głowy Matki Kościoła, jego przyjaźń i pokora sprawiały, że Miriamele często zapominała, jak wysokie piastuje on stanowisko.

– Ale... co ty tutaj robisz? – spytała wreszcie. – Skąd... skąd się tutaj wziąłeś? Żeby mnie uratować przed handlarzem niewolników?

Dinivan roześmiał się.

– Moja pani, to *ja* jestem tym handlarzem. – Próbował przyjąć bardziej poważną minę, lecz nie bardzo mu się to udało. – Handlarze niewolników, błogosławiony Usiresie, czego ci naopowiadał stary Streawe? Ach, opowiesz mi później. – Zwrócił się do strażników Miriamele. – Słuchajcie obaj. Oto pieczęć waszego pana. – Pokazał dokument, na dole którego widniała litera „S” odciśnięta w czerwonym wosku. – Możecie odejść i podziękujcie mu.

Lenti rzucił okiem na pieczęć bez większego zainteresowania. Wyglądał na zmartwionego.

– O co chodzi? – spytał zniecierpliwiony duchowny. – Coś się stało?

– Grasują tu kilpy – odpowiedział ponuro Lenti.

– W tak złych czasach kilpy są *wszędzie*. – powiedział Dinivan i uśmiechnął się przyjaźnie. – Mamy południe, a poza tym jest was dwóch i jesteście silni. Nie macie się chyba czego zbytnio obawiać. Macie broń?

Lenti wyprostował się i popatrzył buńczucznie na duchownego.

– Mam nóż – oświadczył energicznie.

– *Ohe, vo stetto* – powtórzył za nim jak echo w języku perdruińskim jego towarzysz.

– Tak więc jestem przekonany, że dacie sobie radę – zapewnił ich Dinivan. – Niech Aedon was strzeże. Zrobił szybko znak Drzewa mniej więcej w ich kierunku i znowu odwrócił się do Miriamele. – Chodźmy. Zostaniemy tutaj na noc, ale później będziemy musieli się spieszyć. Do Sancellan Aedonitis są stąd dobre dwa dni drogi, a tam czeka na wieści od ciebie Lektor Ranessin.

– Lektor? – powtórzyła zdumiona. – Co on ma z tym wspólnego?

Dinivan odpowiedział jedynie machnięciem ręki i spojrzał na Cadracha, który leżał na boku z twarzą schowaną w swym przemoczonym kapturze.

– Później porozmawiamy o tym i o wielu innych sprawach. Zdaje się, że Streawe powiedział jeszcze mniej, niż ja mu powiedziałem. Nie dziwi mnie to. Stary, przebiegły szakal. – Duchowny zmrużył oczy. – A co z twoim towarzyszem, z nim chyba podróżowałaś, prawda? Streawe powiedział, że jest z tobą mnich.

– Nieomal utonął – powiedziała spokojnie Miriamele. – Wypchnęłam go za burtę.

Dinivan uniósł gęstą brew.

– Wypchnęłaś? Biedak! No cóż, twym aedonickim obowiązkiem jest pomóc mu stanąć na nogi, chyba że wy chcecie mu pomóc? – Dinivan odwrócił się do obu służących, którzy pośpiesznie wsiadali do łodzi.

– Nie możemy – odparł ponuro Lenti. – Musimy wrócić przed nocą. Zanim się ściemni.

– Tak też sobie pomyślałem. Tak, Usires obarcza nas różnymi ciężarami, ponieważ nas kocha. – Dinivan schylił się i chwycił Cadracha pod pachy. Sutanna napięła się na jego szerokich, muskularnych plecach, gdy dźwignął mnicha do pozycji siedzącej. – Chodźmy, księżniczko – powiedział, lecz znieruchomiał, kiedy mnich jęknął. Duchowny przyglądał się twarzy Cadracha. Na jego obliczu pojawił się trudny do określenia wyraz twarzy.

– To... to jest Padreic – powiedział cicho.

– *Ty też!* – wykrzyknęła Miriamele. – Co ten idiota wyprawia? Czy oznajmił mój przyjazd we wszystkich miastach między Nascadu i Warinsten?

Dinivan wpatrywał się w mnicha jakby zdezorientowany.

– Co?

– Streawe też go znał. To Cadrach sprzedał mnie hrabiemu! I tobie też powiedział o tym, że wyjeżdżam z Naglimundu?

– Nie, księżniczko, nie. – Duchowny pokiwał głową. – Dopiero w tej chwili dowiedziałem się, że on jest z tobą. Nie widziałem go od lat. – Dinivan odruchowo zrobił znak Drzewa. – Szczerze mówiąc, myślałem, że nie żyje.

– Usiresie umęczony! – zaklęła Miriamele. – Czy ktoś mi powie, o co w tym wszystkim chodzi?

– Musimy się schronić; tam będziemy mogli porozmawiać. Możemy przenocować w wieży latarni morskiej. – Wskazał na kamienną iglicę, widoczną na przylądku na zachód od miejsca, w którym stali. – Ale jeśli on nie może chodzić, to nie będzie łatwo tam się dostać.

– Zmuszę go do chodzenia – oświadczyła zdecydowanie Miriamele.

Oboje pochylili się, aby postawić na nogi mamroczącego Cadracha.

Wieża okazała się mniejsza, niż wydawała się z plaży; była to przysadzista, kamienna budowla z drewnianą poręczą wokół najwyższego piętra. Drzwi nasiąkły i spęczniały od wilgoci morza, lecz Dinivan zdołał je otworzyć i weszli do wewnątrz, podtrzymując mnicha. W okrągłym pomieszczeniu znajdował się tylko prosty stół, krzesło i postrzępiony dywan, zwinięty u podnóża schodów. Przez niezasłonięte okiennicą okno napływało do wnętrza morskie powietrze. Cadrach, który przez całą drogę do latarni nie odezwał się ani słowem, przeszedł kilka chwiejnych kroków i osunął się na drewnianą podłogę. Oparłszy głowę na zwiniętym dywanie, zasnął natychmiast.

– Biedak jest wyczerpany – powiedział Dinivan. Wziął lampę ze stołu i zapalił ją od innej. Przyglądał się uważnie mnichowi. – Zmienił się, ale może to wpływ morskiej przygody.

– Długo był w wodzie – powiedziała Miriamele; w jej głosie zabrzmiała nuta winy.

– Zostawmy go więc w spokoju. – Dinivan wyprostował się. – Pójdziemy na górę. Mamy sobie wiele do powiedzenia. Jadłaś coś?

– Ostatni raz wczoraj wieczorem. – Miriamele poczuła nagle, że umiera z głodu. – Chce mi się też pić.

– Zaraz wszystko dostaniesz. – Dinivan uśmiechnął się. – Idź na górę. Rozbiorę tylko twego towarzysza z mokrego ubrania i zaraz do ciebie przyjdę.

Pokój na górze był trochę lepiej umeblowany. Wyposażono go w łóżko, dwa krzesła i ogromną drewnianą skrzynię, którą ustawiono pod ścianą. Kołyszące się lekko drzwi pokoju prowadziły na balkon. Na skrzyni stał talerz przykryty chustką. Miriamele uniosła ją i zobaczyła ser, owoce i trzy okrągłe bochenki ciemnego chleba.

– Winogrona z Teligure – tam, za wzgórzem – są naprawdę wspaniałe – powiedział, stając w drzwiach, duchowny. – Częstuj się.

Nie trzeba jej było tego powtarzać. Wzięła cały bochenek chleba, kawał sera oraz dużą kiść winogron i usiadła na jednym z krzeseł. Przez chwilę Dinivan przyglądał się z zadowoleniem, jak je, po czym znowu zszedł na dół. Niebawem wrócił z pełnym dzbanem.

– Studnia jest prawie pusta, ale woda w niej jest bardzo dobra – powiedział. – A zatem, od czego zaczniemy? Słyszałaś już chyba o Naglimundzie, prawda?

Miriamele skinęła głową z pełnymi ustami.

– Ale może nie wiesz, że Josua i kilka innych osób uciekli.

Zdumiona zakrztusiła się skórką chleba. Dinivan przytrzymał jej dzban, by mogła się napić.

– Kto z nim uciekł? – spytała, odzyskawszy mowę. – Książę Isgrimnur? Vorzheva?

Dinivan pokręcił głową.

– Tego nie wiem. Naglimund doznał ogromnych zniszczeń i mało kto przeżył. Różne rzeczy opowiadają na Północy. Trudno oddzielić prawdę od plotki, ale pewne jest, że Josua uciekł.

– Skąd o tym wiesz?

– Obawiam się, księżniczko, że nie wszystko mogę ci powiedzieć, przynajmniej jeszcze nie teraz. Uwierz mi, to dla dobra sprawy. Moim przełożonym jest Lektor Ranessin i jemu składałem przysięgę wierności, ale są rzeczy, o których nie mówię nawet Jego Świątobliwości. – Uśmiechnął się. – I tak właśnie powinno być. – Sekretarz wielkiej osobistości musi zawsze zachowywać dyskrecję, nawet wobec tejże osobistości.

– Ale dlaczego nakłoniłeś hrabiego Streawe’a, aby przysłał mnie do ciebie?

– Nie wiem, jak dobrze byłaś poinformowana. Słyszałem, że miałaś udać się do Sancellan Mahistrevis, aby porozmawiać ze swoim wujem, księciem Leobardisem. Nie mogłem ci na to pozwolić. Czy wiesz, że Leobardis nie żyje?

– Streawe powiedział mi o tym. – Wstając, wzięła z talerza brzoskwinię. Po chwili namysłu odłamała jeszcze kawał sera.

– Ale czy wiedziałaś, że Leobardis zginął z powodu zdrady? Zdrady jego własnego syna?

– Benigarisa? – spytała zdumiona. – Czy on nie zajął miejsca księcia na tronie? Czy szlachta nie przeciwstawiała się?

– Oficjalnie nie mówi się o jego zdradzie, lecz wszyscy o tym szepczą. Ponadto jego największym poplecznikiem jest Nessalanta, jego matka, choć

jestem przekonany, że i ona domyśla się, co zrobił Benigaris.

– Skoro wiecie o tym, dlaczego czegoś nie zrobicie? Dlaczego Lektor nie reaguje?

Dinivan skłonił głowę skupiony.

– Ponieważ jest to jedna z rzeczy, o których mu nie powiedziałem. Choć nie wątpię, że słyszał pogłoski.

Miriamele położyła swój talerz na łóżku.

– Elysio, Matko Boża! Dinivanie, dlaczego mu o tym nie powiedziałeś?

– Nie mogę tego udowodnić, a także nie mogę ujawnić mego źródła informacji. Gdyby Lektor działał, nie posiadając dowodu, mógłby tylko pogorszyć i tak już napiętą sytuację. Mamy wiele innych spraw w Nabbanie, księżniczko.

– Proszę. – Miriamele machnęła niecierpliwie dłonią. – Oto siedzę tutaj w przebraniu mnicha, ostrzyżona na chłopca, a wszyscy dookoła – z wyjątkiem ciebie – są moimi wrogami, takie przynajmniej mam wrażenie. Mów mi Miriamele. I powiedz mi, co się dzieje w Nabbanie.

– Powiem ci trochę, choć znaczna część opowieści będzie musiała poczekać. Pamiętam o swoich obowiązkach sekretarza: Lektor chciałby, żebyś odwiedziła go w Sancellan Aedonitis; po drodze będziemy mieli dużo czasu na rozmowy. – Dinivan pokiwał głową. – Wystarczy powiedzieć, że ludzie cierpią. Dzisiaj zwracają oczy na tych, którzy kiedyś głosili koniec świata na ulicach Nabbanu, a z których się wyśmiewali. Matka Kościół jest jak oblegane miasto. – Pochylił się i przez chwilę wpatrywał w swe duże dłonie, szukając słów. – Ludzie czują cień nad sobą. Nie potrafią go nazwać, lecz on jest i zaciemnia ich świat. Śmierć Leobardisa, którego wszyscy bardzo kochali, wstrząsnęła jego poddanymi, lecz najbardziej przerażają ich pogłoski o rzeczach gorszych niż wojna na Północy, straszniejszych niż książęce spory. – Dinivan wstał i otworzył szeroko

drzwi, wpuszczając podmuch wiatru. Morze w dole lśniło całkowicie spokojne. – Ci, którzy przepowiadają przyszłość, twierdzą, że powstaje siła, która obali świętego Usiresa Aedona i ludzkich królów. Wykrzykują na placach, że już niedługo wszyscy będziemy się kłaniać nowemu władcy, prawowitemu panu Osten Ard. – Dinivan odszedł od drzwi i stanął nad Miriamele. Patrząc na jego twarz, widziała, jak bardzo jest zmartwiony. – W wielu mrocznych miejscach wymawia się nawet jego imię, imię plagi. Mówi się o Królu Burz.

Miriamele westchnęła głęboko. Nawet południowe słońce nie było w stanie rozproszyć cieni, które gromadziły się w pokoju latarni.

– Mówili o tych rzeczach w Naglimundzie – powiedziała Miriamele później, kiedy stali na ścieżce, z której roztaczał się widok na morze. – Starzec Jarnauga zdaje się uważał, że nadchodzi koniec świata. Ale nie słyszałam wszystkiego. – Odwróciła się i spojrzała zasmucona na Dinivana. – Nie mówili mi wszystkiego, ponieważ jestem dziewczyną. To niesprawiedliwe. Jestem mądrzejsza od większości mężczyzn, których znam!

Dinivan zachował powagę.

– Nie wątpię w to, Miriamele. Ale uważam, że powinnaś podjąć większe wyzwanie niż bycie mądrzejszą od mężczyzn.

– Ale ja wyjechałam z Naglimundu, żeby coś zrobić – ciągnęła zasmucona. – Tak! To było sprytne, prawda? Myślałam, że uda mi się namówić Leobardisa, aby poparł mego wuja, gdy tymczasem on już to zrobił. Tylko że on zginął, więc na cóż się to zdało Josui? – Poszła ścieżką wokół wieży, aż ujrzała grzbiet urwiska i jego zbocze, które opadało łagodnie do zielonej doliny. Dalej ciągnęły się łagodne wzgórza, mieniące się różnymi odcieniami traw, falującymi, gdy przemykał wśród nich wiatr.

Próbowała wyobrazić sobie koniec świata, lecz nie potrafiła. – Skąd znasz Cadracha? – spytała wreszcie.

– Nigdy nie słyszałem tego imienia, dopóki ty go nie wymieniłaś. – Znałem go wiele lat temu, ale pod imieniem Padreic.

– Jak dawno temu mogło to być? – Miriamele uśmiechnęła się. – Nie jesteś przecież aż tak stary.

Duchowny pokiwał głową.

– Sądząc po twarzy, wyglądam młodo, ale w rzeczywistości mam prawie czterdzieści lat; prawie tyle, co twój wuj Josua.

– No dobrze – powiedziała, zmarszczywszy brwi. – Dawno temu. Gdzie go spotkałeś?

– Widywałem go tu i tam. Byliśmy w tym samym... zakonie, tak byś pewnie powiedziała. Ale w Padreicu zaszła wtedy jakaś zmiana. Odłączył się od nas. Potem nie słyszałem już o nim niczego dobrego. Miałem wrażenie, że zszedł na złą drogę.

– O tak. – Miriamele skrzywiła się.

Dinivan spojrzał na nią uważnie.

– Jak to się stało, że sprawiłaś mu niespodziewaną i chyba niezbyt pożądaną kąpiel?

Opowiedziała mu o ich podróży, o prawdopodobnych drobniejszych oszustwach Cadracha i o udowodnionej, większej zdradzie. Kiedy skończyła, Dinivan poprowadził ją do wieży. Miriamele stwierdziła, że znowu jest głodna.

– Nie postąpił wobec ciebie uczciwie, Miriamele, ale chyba nie zachował się tak zupełnie źle. Może jest jeszcze dla niego nadzieja; i to nie tylko nadzieja na zbawienie, którą wszyscy żywimy. Chodzi mi o to, że może zejść z pijackiej i przestępczej drogi. – Dinivan zszedł kilka stopni w dół i przechyliwszy się przez poręcz, spojrzał na Cadracha. Owinięty

w koc mnich wciąż spał; ręce miał rozrzucone, jakby dopiero co wyciągnięto go ze wzburzonych fal. Jego mokre szaty wisiały na niskich krokwiach. Dinivan wrócił do pokoju. – Jeśli jest już zupełnie skończonym łotrem, dlaczego nie zostawił cię, kiedy otrzymał swoje złoto od Streawe’a?

– Pewnie chciał sprzedać mnie komuś innemu – odparła z goryczą. – Może mojemu ojcu, mojej ciotce albo handlarzom dziećmi z Narax, kto wie?

– Może – powiedział Dinivan. – Ale nie sądzę, by to było jego zamiarem. Myślę, że jednak zachował pewne poczucie odpowiedzialności wobec ciebie, choć nie przeszkadza to w czerpaniu zysków tam, gdzie nie przyniesie ci to szkody, jak na przykład w kontaktach z Perdruińczykami. Nie wydaje mi się, aby chciał zrobić ci krzywdę lub pozwolić komuś na to, jeśli została choć cząstka z tego Padreica, jakiego znałem.

– Słaba nadzieja – odpowiedziała stanowczo Miriamele. – Prędzej gwiazdy zaświecą w południe, niż ja mu znowu zaufam.

Dinivan spojrzał na nią i zrobił w powietrzu znak Drzewa.

– Moja pani, lepiej wystrzegać się takich przepowiedni w dzisiejszych czasach. – Po chwili znowu się uśmiechał. – Skoro już mówimy o świecących gwiazdach, przypomniało mi się, że mamy coś do zrobienia. Kiedy otrzymałem zgodę na wykorzystanie tego miejsca do spotkania z tobą, obiecałem latarnikowi, że zapalę dziś w nocy jego latarnię. Płynący wzdłuż wybrzeża żeglarze będą jej wyglądać. Ostrzega ich przed skałami, kiedy płyną na wschód do portu w Bacea-sa-Repra. Chyba już czas ją zapalić, zanim się ściemni. Chcesz pójść ze mną?

Miriamele skinęła głową i wyszła za nim na balkon.

– Byłam kiedyś w Wentmouth, kiedy zapalali Hayefur – powiedziała. – Była ogromna!

– Z pewnością o wiele większa od naszej świeczki – przyznał Dinivan. – Uważaj przy wchodzeniu. Ta drabina jest stara.

Najwyższe pomieszczenie wieży było tak duże, by pomieścić latarnię, którą stanowiła właściwie ogromna lampa naftowa, umieszczona na środku pokoju. Wycięta w dachu nad lampą dziura pozwalała ulatywać dymowi, a ustawione wokół knota blaszane osłony chroniły płomień przed wiatrem. Za lampą powieszono duży, wygięty ekran z blachy, zwrócony w stronę morza.

– Do czego to służy? – spytała Miriamele, przesuwając palcem po gładkiej powierzchni ekranu.

– Pozwala dalej wysyłać światło – wyjaśnił Dinivan. – Widzisz, jest wygięty na zewnątrz jak puchar. Odbite w nim promienie wysyłane są przez okno – mniej więcej. Padreic wyjaśniłby to lepiej.

– Masz na myśli Cadracha? – spytała Miriamele zdziwiona.

– Tak. Kiedyś znał się na takich rzeczach. Wiedział bardzo dużo o różnych urządzeniach: dźwigniach, bloczkach i takich tam. Interesował się filozofią naturalną, zanim... się zmienił. – Dinivan uniósł małą lampę i przytknął ją do dużego knota. – Jeden Aedon wie, ile oliwy potrzebuje ten olbrzym – powiedział. Po chwili knot zajął się płomieniem. Blacha na ścianie sprawiała, że płomień wydawał się bardzo jasny, choć przez szerokie okno do pomieszczenia wciąż wlewało się światło zachodzącego słońca.

– Na ścianie wiszą ucieradła – powiedział Dinivan, wskazując na dwie długie tyki, zakończone na jednym końcu metalowym kapturkiem. – Musimy pamiętać, żeby rano zgasić lampę.

Kiedy wrócili na drugie piętro, Dinivan zaproponował, by zajrzeli do Cadracha. Idąca za nim Miriamele zawróciła i poszła po dzban z wodą i winogrona. Uznała, że nie ma sensu głodzić go na śmierć.

Mnich zdążył już się obudzić. Siedział na jedynym krześle i patrzył przez okno na zatokę, która ginęła w ciemnoniebieskim świetle zmroku. Nie wyrażał chęci rozmowy i początkowo nie odpowiedział na poczęstunek Miriamele, lecz w końcu napił się trochę wody. Później przyjął też winogrona.

– Padreic – odezwał się Dinivan, pochylając się nad nim. – Nie pamiętasz mnie? Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

– Poznaję cię, Dinivanie – odpowiedział wreszcie Cadrach. Jego ochrypły głos zabrzmiał dziwnie w okrągłym pokoju latarni. – Ale Padreic ec-Crannhyr dawno już umarł. Teraz jest tylko Cadrach. – Mnich unikał spojrzenia Miriamele.

Dinivan przyglądał mu się uważnie.

– Nie chcesz mówić? – spytał. – Nie mógłbyś zrobić niczego, co skłoniłoby mnie do potępienia cię.

Cadrach spojrzał na niego; na jego okrągłej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech, a w jego szarych oczach widać było cierpienie.

– Doprawdy? Nie mógłbym zrobić niczego tak podłego, że Matka Kościół i... nasi przyjaciele nie chcieliby mnie przyjąć z powrotem? – Roześmiał się gorzko i machnął dłonią z dezaprobatą. – Kłamiesz, bracie Dinivanie. Istnieją zbrodnie nie do wybaczenia, a dla tych, którzy je popełniają, wyznaczono specjalne miejsce. – Odwrócił się ze złością i nic już nie chciał powiedzieć.

Zza okna dochodziły pomruki fal, które uderzały o skaliste wybrzeże i odpływały; ich ściszone głosy wydawały się z radością witać nadchodzącą noc.

TIAMAK PATRZYŁ, JAK STARSZY MOGAHIB, Roahog Garncarz i pozostali starsi wsiadają do kołyszącej się łodzi. Wszyscy mieli bardzo

poważne miny, jak przystało na tak doniosłe okazje. Ich rytualne naszyjniki z piór opadły pod wpływem pełnego wilgoci gorąca.

Mogahib stanął niepewnie w łodzi i odwrócił się.

– Nie zawiedź nas, Tiamaku, synu Tugumaka – powiedział skrzekliwym głosem. Starzec zmarszczył brwi i niecierpliwym gestem odsunął z oczu liście zdobiące mu głowę. – Powiedz mieszkańcom lądu, że Wrańczycy nie są ich niewolnikami. Twój lud pokłada w tobie najgłębsze zaufanie.

Jeden z synów bratanka Starszego Mogahiba pomógł mu usiąść. Przeciążona łódź odpłynęła z prądem, kołysząc się mocno.

Tiamak skrzywił się i spojrzał na sękatą, pokrytą rzeźbami Laskę Wspólnoty, którą mu dali. Wrańczycy martwili się, gdyż Benigaris, nowy władca Nabbanu, zażądał większych danin zboża i klejnotów, a także młodych Wrańczyków do służby w gospodarstwach nabbańskich szlachciców. Starsi postanowili, że Tiamak przemówi w ich imieniu, zaprotestuje przeciwko mieszaniu się mieszkańców lądu w sprawy Wrańczyków.

I tak na barki młodego Tiamaka nałożono kolejny obowiązek. Czy ktoś kiedykolwiek wyraził się z szacunkiem o jego wykształceniu? Nie, zawsze traktowali go trochę lepiej niż szaleńca, jak kogoś, kto odwrócił się od swego ludu i przejął zwyczaje mieszkańców lądu; chyba że potrzebowali kogoś, kto mógł napisać lub porozmawiać z Perdruińczykami albo Nabbańczykami w ich własnym języku. Wtedy przychodzili do niego i mówili: „Tiamaku, spełnij swój obowiązek”.

Stojąc na ganku swego domu, splunął i patrzył na szemrzącą w dole zieloną wodę. Wciągnął drabinę, lecz rzucił ją, zamiast złożyć starannie, jak miał w zwyczaju. Był bardzo rozgoryczony.

Czekając, aż zagotuje się woda, pomyślał, że będzie z tego przynajmniej jakiś pożytek. Jeśli uda się do Nabbanu, na co nalegali jego

ziomkowie, odwiedzi swego mądrego przyjaciela, który tam mieszka, i może dowie się czegoś więcej o dziwnej wiadomości od Doktora Morgenesa. Od tygodni łamał sobie nad nią głowę, lecz wciąż nie znalazł ostatecznej odpowiedzi. Ptak wysłany do grubego Ookequka z Yiqanuc powrócił z jego własnym listem i bez jakiejkolwiek odpowiedzi. Było to niepokojące. Ptaki wysłane do Doktora Morgenesa także nie przyniosły żadnej odpowiedzi, lecz to – choć bardzo go rozczarowało – nie było aż tak wielkim zaskoczeniem, gdyż w ostatnim swoim liście Morgenes napisał, że przez jakiś czas nie będzie mógł się z nim komunikować. Nie otrzymał też odpowiedzi na listy wysłane do czarownicy z lasu Aldheorte i swego przyjaciela z Nabbanu. Dwa ostatnie ptaki Tiamak wysłał zaledwie kilka tygodni temu, więc istniała jeszcze szansa, że przylecą z odpowiedzią.

„Lecz jeśli udam się do Nabbanu – pomyślał – nie będę mógł odebrać żadnej odpowiedzi przez najbliższe dwa miesiące albo i dłużej”. Nagle zaczął się zastanawiać, co zrobi z ptakami. Nie miał aż tyle ziarna, by zostawić je zamknięte na cały czas swej nieobecności; wiedział też, że nie może ich zabrać ze sobą. Będzie musiał je wypuścić i liczyć na to, że zostaną gdzieś w pobliżu jego drzewa figowego i złapie je po powrocie. A jeśli odfruną gdzieś dalej i nie wrócą? No cóż, będzie musiał wyuczyć nowe.

Westchnięcie Tiamaka stłumił syk pary, która zaczęła właśnie wylatywać spod pokrywki garnka z gotującą się wodą. Wrzucając do garnka żółcień, mały uczony starał się przypomnieć sobie modlitwę o bezpieczną podróż, z którą zwracano się do Tego, Który Zawsze Stąpa Po Piasku, lecz jedynym, co potrafił sobie w tej chwili przypomnieć, była modlitwa o wskazanie kryjówek ryb, zupełnie nieodpowiednia na tę okoliczność. Znowu westchnął. Choć właściwie nie wierzył już w bogów swego ludu, uważał, że nie zaszkodzi pomodlić się, tyle tylko, że należało

odmówić właściwą modlitwę. W chwilę później Tiamak zaczął się zastanawiać, co ma zrobić z tym przeklętym pergaminem, o którym Morgenes wspominał w swoim liście, czy też wydawał się wspominać, gdyż skąd stary doktor mógłby wiedzieć, że jest on w posiadaniu Tiamaka? Czy powinien zabrać go ze sobą i ryzykować zgubienie? Chyba musiał wziąć pergamin ze sobą, jeśli zamierzał pokazać go swemu przyjacielowi w Nabbanie i spytać go o radę.

Tyle problemów. W głowie buczało mu od nich, jakby miał w niej stado much. Musiał wszystko przemyśleć, jeśli miał wyruszyć rano. Musiał przemyśleć każdy szczegół tej zagadki.

Przede wszystkim wiadomość od Morgenesa, którą zdążył już przeczytać dziesiątki razy od chwili, gdy ją otrzymał cztery pełnie księżyca temu. Wziął pergamin z drewnianej skrzyni, na której leżał, i wygładził, pozostawiając na nim żółte smugi po żółcieniu. Znał jego treść na pamięć.

Doktor Morgenes pisał o swoich obawach, że „...czas Gwiazdy Zdobywcy” nadszedł – choć Tiamak nie wiedział, co to mogło oznaczać – oraz że będzie potrzebna pomoc Tiamaka, jeśli podejmą próbę uniknięcia „...pewnych straszliwych rzeczy, o których wspomina niesławna, zagubiona księga kapłana Nissesa...” Ale jakich rzeczy? – „Niesławna, zagubiona księga...” Każdy uczony wiedział, że chodziło tu o *Du Svardenvyrd* Nissesa.

Tiamak sięgnął do skrzyni i wyjął z niej coś zawiniętego w liście. Rozpakował swój cenny pergamin i rozłożył go na podłodze obok listu Morgenesa. Pergamin ten, na który Tiamak trafił przypadkiem na placu w Kwanitupulu, był czymś, na co nigdy nie byłoby go stać. Stronę pokrywały kruszące się, brązowe litery pisma runicznego z leżącego na Północy Rimmersgardu; w rzeczywistości był to archaiczny język Nabbańczyków sprzed pięciu wieków.

...Sprowadź ze Skalistego Ogrodu Nuenni
Człowieka, który choć Ślepy, widzi.
Odnajdź ostrze, które Różę ścina,
U stóp wielkiego Drzewa Wierszopisa.
Odnajdź Głos, który cicho
Imię właściciela wymawia,
Na statku, na Najpłytszym Morzu.
Kiedy Ostrze, Głos i Człowiek
Do prawej Dłoni Księcia przyjdą,
Wtedy Uwięzieni znowu będą Wolni...

Pod tym niezrozumiałym poematem wypisane było imię „Nisses”.

Wrańczyk nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Morgenes nie mógł wiedzieć, że Tiamak odnalazł stronę tej niemal mitycznej księgi – nie mówił o tym nikomu. A jednak Doktor napisał, że Tiamak ma do wykonania ważne zadanie i będzie ono związane z *Du Svardenvyrd*!

Jego pytania, wysłane do Morgenesa i innych, pozostały bez odpowiedzi. Wciąż nie wie, co to wszystko może znaczyć, a musi udać się do Nabbanu, aby bronić sprawy swego ludu przed mieszkańcami lądu.

Tiamak przelał herbatę z garnka do swej trzeciej najulubieńszej czary – tego ranka upuścił i stłukł swą drugą najulubieńszą czarę, kiedy Starszy Mogahib i jego towarzysze zaczęli wrzeszczeć pod jego oknem. Otoczył ciepłą czarę swymi delikatnymi dłońmi i dmuchał na napój. „Gorący dzień, gorąca herbata”, mawiała jego matka. Istotnie dzień był gorący. Powietrze było tak nieruchome i tak ciężkie, że miał wrażenie, iż może skoczyć z ganku swego domu i popłynąć przez nie. Same upały nie przeszkadzały mu tak bardzo, gdyż wtedy mniej odczuwał głód. Jednak tego dnia w powietrzu unosiło się coś, co go niepokoiło, jakby cała kraina Wran była

rozżarzonym prętem, położonym na kowadle świata, a nad nim wisiał drżący, ogromny młot gotowy w każdej chwili zgnieść wszystko.

Tego ranka Roahog, Garncarz, wykorzystał moment, kiedy pomagano Starszemu Mogahibowi wspiąć się po drabinie, i powiedział mu, że kolonia ghantów buduje nowe gniazdo niedaleko zagajnika w dole rzeki. Nigdy dotąd ghanty nie podchodziły tak blisko ludzkich osiedli, dlatego wiadomość ta zaniepokoiła Tiamaka, choć Roahog dodał zaraz ze śmiechem, że Wrańczycy puszczą gniazdo z dymem; czuł, że zostało naruszone jakieś bliżej nieokreślone, lecz powszechnie uznane prawo.

I tak upalne popołudnie mijało powoli, zbliżając się do wieczora, a Tiamak próbował skupić się na żądaniach księcia Nabbanu i na liście Morgenesa, lecz jego rozmyślania wciąż mąciła wizja ghantów budujących gniazdo: widział ich brązowoszare szczęki chrzęszczące pracowicie, ich rozbiegane, czarne i lśniące oczka. Nie mógł pozbyć się absurdalnego wrażenia, że wszystkie te rzeczy w jakiś sposób są ze sobą powiązane.

„To przez ten upał. Gdybym tak miał dzban chłodnego piwa paprociowego, pozbyłbym się tych absurdalnych wizji”.

Ale nie miał nawet dość żółcienia, by zaparzyć kolejną czarkę herbaty, a co dopiero mówić o piwie paprociowym. Nic nie było w stanie rozproszyć troski, jaka przepełniała serce Tiamaka.

TIAMAK WSTAŁ O ŚWICIE. Zanim ugotował i zjadł ciasteczko z ryżowej mąki, powietrze nad moczarami zdążyło się już nieprzyjemnie nagrzać. Zaczął się pakować z grymasem na twarzy. W taki dzień powinno się pójść popływać w jednym z bezpiecznych stawów, a nie wyruszać w podróż.

W rzeczywistości niewiele miał do pakowania. Wybrał zapasowe spodnie, koszulę i parę sandałów, w które zamierzał ubrać się w Nabbanie.

Uznał bowiem, że nie ma powodu utwierdzać Nabbańczyków w ich powszechnym przekonaniu o zacofaniu jego ludu. W tej podróży nie potrzebował zrobionego z kory pulpitu do pisania ani drewnianej skrzyni. Nie miał odwagi zabierać ze sobą swych cennych książek i manuskryptów, gdyż istniało duże prawdopodobieństwo, że zanim dotrze do miast mieszkańców stałego lądu, kilkakrotnie wyląduje w wodzie.

Zdecydował jednak, że zabierze rękopis Nissesa. Zawinął go w dodatkową warstwę liści, po czym umieścił w naoliwionej, skórzanej torbie, którą otrzymał od Doktora Morgenesa, kiedy jeszcze mieszkał w Perdruin. Do płaskodennej łodzi zapakował swą torbę, Laskę Zgromadzeń, odzież, a także trzecią najulubieńszą czarę, kilka naczyń do gotowania, procę i zawinięte w liść okrągłe kamienie. Sakiewkę z pieniędzmi i nóż przypiął do pasa. Wreszcie wspiął się na czubek figowego drzewa, aby wypuścić swoje ptaki.

Znalazłszy się na słomianym dachu domu, usłyszał senne, stłumione odgłosy ptaków pozostających w zamknięciu. Wcześniej wysypał na parapecie okna w czwartej najulubieńszej czarce resztkę ziarna w nadziei, że po jego wyjeździe ptaki przynajmniej przez jakiś czas pozostaną w pobliżu domu.

Wsunął dłoń do małego domku przez dach z kory, wyjął ostrożnie jednego ze swych gołębi – był to ładny biało-szary ptak o imieniu Tak-szybki – i wyrzucił go w powietrze. Ptak zatrzepotał skrzydłami i usiadł na gałęzi nad głową Tiamaka. Zdziwiony zachowaniem pana zagruchał pytająco. Tiamak czuł się jak ojciec, który musi odesłać swoje dzieci do obcych. Musiał jednak wypuścić ptaki i szybko zamknąć drzwi do ich domu, które otwierały się tylko do wewnątrz. Gdyby ich nie zamknął, te czy inne ptaki weszłyby do środka i znalazły się w pułapce. Pod nieobecność Tiamaka nie byłoby nikogo, kto mógłby je uratować.

Bardzo nieszczęśliwy wyjmował kolejno Czerwonookiego, Płaskostopego i Miodowego Łasucha. Wkrótce nad jego głową rozległ się chór gruchających z dezaprobatą gołębi. Zaniepokojone pozostałe wewnątrz domku ptaki uciekały spłoszone w jego drugi koniec, tak że Tiamak musiał mocno wyciągać ramię, by je schwytać. Sięgając po jedno z ostatnich upartych stworzeń, Tiamak natrafił dłonią na kępkę zimnych piór w ocienionym odległym końcu ptasiego domku. Zmartwiony chwycił pierzastą kulkę i wyjął na zewnątrz. Był to jeden z jego ptaków; od razu zorientował się, że jest martwy. Przyglądał mu się szeroko otwartymi oczami. Rozpoznał w nim Czarną Plamę, jednego z gołębi, którego kilkanaście dni temu wysłał do Nabbanu. Najwyraźniej jakieś zwierzę zraniło gołębia: wiele piór miał powyrywanych, a na tych, które pozostały, widniały liczne plamki zakrzepłej krwi. Tiamak był pewien, że ptaka nie było jeszcze poprzedniego dnia. Wywnioskował więc, że musiał przybyć nocą; leciał pewnie ostatkiem sił po to tylko, by umrzeć w domu.

Świat stał się niewyraźny, kiedy łzy napłynęły do oczu Tiamaka. Biedny Czarna Plama. Był dobrym ptakiem, jednym z najszybszych. I bardzo dzielnym. Na całym ciele ptaka widać było krew pod postrzępionymi piórami. Biedny, dzielny Czarna Plama.

Wokół cieniutkiej łapy gołębia owinięto wąski pasek pergaminu. Tiamak odłożył na chwilę pierzastą, nieruchomą kulkę, wypłoszył dwa ostatnie ptaki z wnętrza domku i zablokował jego drzwi zaostrzonym patykiem. Potem, trzymając delikatnie ciało Czarnej Plamy, zszedł po gałęziach do okna swego domu i wszedł do środka. Położył ptaka i ostrożnie odczepił pasek pergaminu. Rozłożywszy go pomiędzy palcami na podłodze, czytał małe literki zmrużonymi oczami. Wiadomość pochodziła od jego mądrego przyjaciela z Nabbanu – Tiamak potrafił

rozpoznać jego charakter pisma nawet w ptasich listach – lecz nie wiadomo dlaczego, była niepodpisana.

Już czas i jesteś bardzo potrzebny. Morgenes nie może ci odpowiedzieć, ale ja proszę w jego imieniu. Udaj się do Kwanitupulu, zatrzymaj się w gospodzie, o której rozmawialiśmy, i czekaj tam na dalsze wiadomości ode mnie. Jedź natychmiast. Od tego może zależeć życie innych, a nawet coś więcej.

Pod wiadomością narysowano pióro w kole – symbol Ligi Pergaminu.

Tiamak wpatrywał się zdumiony w list. Przeczytał go jeszcze dwukrotnie w nadziei, że w jakiś cudowny sposób znajdzie tam coś innego, lecz słowa pozostały te same. Udaj się do Kwanitupulu! Ale przecież starsi polecili mu popłynąć do Nabbanu! W ich plemieniu nie było nikogo innego, kto potrafił mówić językiem mieszkańców lądu tak dobrze, by spełnić rolę emisariusza. A poza tym, co powiedziałby swym współplemieńcom? Że jakiś mieszkaniec lądu, którego nawet nie znają, polecił mu udać się do Kwanitupulu i czekać tam na dalsze instrukcje? Że z tej przyczyny zignorował sprawy swego ludu? Co dla Wrańczyków znaczyła Liga Pergaminu? Dla nich byli oni tylko grupką uczonych z lądu, którzy rozprawiali o starych księgach i jeszcze starszych wydarzeniach. Jego lud nigdy by tego nie zrozumiał.

Ale jak można było zignorować powagę wezwania? Wiadomość jego przyjaciela brzmiała jednoznacznie; mówiła nawet, że było to życzenie Morgenesa. Gdyby nie Doktor, Tiamak nie przeżyłby tamtego roku w Perdruin, nie mówiąc już o wspaniałym towarzystwie, w jakie wprowadził go Morgenes. Jak mógł nie wyświadczyć tej przysługi, jednej jedynej, o jaką poprosił go Doktor?

Gorące powietrze wdzierało się oknami do wnętrza domu niczym wygłodniała bestia. Tiamak złożył wiadomość i schował ją do swej

sakiewki. Stwierdził, że teraz musi zająć się Czarną Plamą. Potem się zastanowi. Zbliżał się wieczór i Tiamak miał nadzieję, że będzie chłodniej. Oczywiście zaczeka jeszcze jeden dzień, zanim wyruszy tu czy tam. Oczywiście zaczeka...?

Tiamak owinął ciało ptaka w liście palmowe i obwiązał je cienkim sznurkiem. Przeszedł na szczudłach przez płycizny na ławicę piachu z tyłu domu. Tam złożył ptaka na kamieniu i obsypał kawałkami kory oraz pasemkami cennego, starego pergaminu. Odmówiwszy modlitwę do Tej, Która Czeka, By Zabrać Wszystko Z Powrotem za duszę Czarnej Plamy, zapalił mały stos przy pomocy swego krzemienia i kawałka metalu.

Patrząc na wznoszące się w górę smużki dymu, Tiamak pomyślał, że dawne czasy nie były takie złe. Dostarczały przynajmniej jakiegoś zajęcia w chwilach, kiedy przepełniały go troski i zmęczenie. Na moment nawet udało mu się pozbyć trapiących go myśli o czekającej go podróży; siedział z uczuciem dziwnego spokoju i obserwował, jak dym ze stosu pogrzebowego Czarnej Plamy unosi się wolno ku drżącemu, szaremu niebu. Wkrótce dym zniknął, a wiatr rozwiał popioły nad zieloną wodą.

KIEDY MIRIAMELE I JEJ DWAJ TOWARZYSZE zjechali ze wzgórza na Trakt Północnego Wybrzeża, Cadrach popędził nieco swego konia, zostawiając za sobą księżniczkę i Dinivana. Poranne słońce świeciło im w plecy. Konie, które sprowadził dla nich Dinivan, biegły kłusem, podrzucając głowami i chwytając w nozdrza świeży powiew porannej bryzy.

– Hej, Padreicu! – zawołał Dinivan, lecz mnich nie odpowiedział. Jego potężne bary podskakiwały równomiernie. Kaptur opuścił na oczy, jakby chciał skoncentrować się na swych myślach. – No dobrze, Cadrachu – zawołał ponownie Dinivan. – Dlaczego nie chcesz jechać z nami?

Pomimo swej ciężkiej postury i krótkich nóg Cadrach dobrze prezentował się na koniu. W pewnym momencie zatrzymał swego wierzchowca i odwrócił się, gdy jadący za nim doganiali go.

– Widzisz, bracie, problem leży w imionach – powiedział, szczerząc zęby w nerwowym uśmiechu. – Ty używasz tego, które należy do kogoś, kto dawno już nie żyje. Natomiast księżniczka nadała mi inne imię: „zdrajca” i ochrzciła mnie w zatoce Emettin, by przypieczętować umowę. Widzisz więc, że dość myląca może być ta – że tak powiem – *mnogość* imion. – Po tych słowach skłonił się ironicznie i uderzył konia piętami. Zwolnił dopiero wtedy, kiedy odjechał na bezpieczną odległość.

– Jest bardzo zgorzkniały – odezwał się Dinivan, obserwując zgarbione plecy Cadracha.

– A jakiż on może mieć powód do zgorzknienia? – spytała wyzywająco Miriamele.

Duchowny pokiwał głową.

– Bóg jeden wie.

Miriamele nie była pewna, co takie słowa mogą znaczyć w ustach kapłana.

Trakt Północnego Wybrzeża wił się pomiędzy łańcuchem wzgórz a zatoką Emettin. Czasem prowadził głębiej w ląd, tak że brunatne zbocza pagórków wznosiły się po jego prawej stronie, zasłaniając całkowicie wody zatoki. W innych miejscach oddalał się od nich i powracał na skaliste wybrzeże. W miarę jak zbliżali się do Teligure, droga stawała się coraz bardziej ruchliwa: mijali wozy gubiące luźne siano, podróżujących pieszo kramarzy, którzy nieśli swoje towary zawieszone na kijach, oraz małe grupki paradujących dumnie miejscowych żołnierzy. Wielu podróżnych schylało głowy lub czyniło na piersi znak Drzewa na widok złotego Drzewa zawieszonego na piersi ubranego na czarno Dinivana i ubranych w szaty

mnichów jego towarzyszy. Żebracy biegli wzdłuż drogi obok konia Dinivana, wołając: „Ojcze, Ojcze! Na litościwego Aedona, Ojcze!” Przy tych, którzy bez wątpienia byli kalekami, Dinivan sięgał do sakiewki, wyjmował z niej cintisa i rzucał im. Miriamele zwróciła uwagę na fakt, że bez względu na to, jak bardzo byli okaleczeni, mało który z żebraków pozwalał monecie upaść na ziemię.

W południe dotarli do Taligure. Było to rozległe miasto, położone u stóp wzgórz, gdzie często odbywały się jarmarki. Posilili się kupionymi na placu owocami i twardym chlebem. Tutaj w tłumie kupujących i sprzedających ich szaty duchownych nie zwracały niczyjej uwagi.

Miriamele siedziała z kapturem odrzuconym do tyłu, tak by poczuć na czole słoneczne ciepło. Wokół rozbrzmiewały echem wołania straganiarzy i głośniejsze okrzyki rozwścieczonych, oszukanych kupujących. Cadrach i Dinivan stali nieopodal; duchowny targował się ze sprzedawcą gotowanych jaj, gdy tymczasem jego towarzysz spoglądał ponuro na drzwi budki kupca winnego. Miriamele ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje się szczęśliwa.

„Tak po prostu?” – szydziła w myślach z samej siebie, lecz było jej zbyt dobrze w słonecznym blasku, by poddawać się autoironii. Najadła się, przez cały ranek jechała wolna jak wiatr, a teraz nikt nie zwracał na nią uwagi. Miała też dziwne poczucie bezpieczeństwa.

Nagle przypomniała sobie o Simonie, chłopcu z kuchni, i jej pełne zadowolenia myśli objęły także i jego. Pamiętała jego miły uśmiech. Tak, on nie uśmiechał się w tak wyuczony sposób, w jaki robili to dworzanie jej ojca. Ojciec Dinivan też miał dobry uśmiech, ale, co oczywiste, zdecydowanie różnił się od Simona. Zdała sobie sprawę, że dni, w czasie których podróżowała do Naglimundu z Simonem i trollem Binabikiem, były chyba najwspanialsze w całym jej życiu. Uśmiechnęła się do siebie na

tak niedorzeczną myśl i przeciągnęła leniwie jak kot na parapecie. Przecież wtedy stanęli wobec strachu i śmierci, ścigani byli przez strasznego myśliwego Ingena oraz jego charty i wreszcie zginęli niemal w łapach Hunów, żądnych krwi, kudłatych olbrzymów. Lecz mimo wszystko czuła się wtedy wolna. Udając służącego, czuła się bardziej sobą niż kiedykolwiek przedtem. Simon i Binabik rozmawiali z nią, a nie z królewską córką, nie z władzą jej ojca czy też nadziejami na nagrodę lub awans.

Tęskniła za jednym i drugim. Poczuła nagłe ukłucie na wspomnienie małego trolla i biednego, niezdarnego i rudowłosego Simona, którzy wędrowali teraz pewnie przez śnieżne pustkowie. Pochłonięta smutkiem uwięzienia w Perdruin niemal o nich zapomniała; gdzie oni teraz są? Czy są w niebezpieczeństwie? Czy żyją jeszcze?

Nagle na jej twarz padł cień. Drgnęła zaskoczona.

– Chyba nie uda mi się już dłużej utrzymać naszego przyjaciela z dala od straganu kupca winnego – powiedział Dinivan. – Nie jestem nawet pewien, czy mam do tego prawo. Powinniśmy wyruszyć w dalszą podróż. Spałaś?

– Nie. – Miriamele naciągnęła kaptur na głowę i wstała. – Rozmyślałam tylko.

KSIĄŻĘ ISGRIMNUR SIEDZIAŁ PRZY OGNIU, dysząc ciężko. Miał ogromną chęć rozbić coś albo kogoś grzmotnąć. Nogi bolały go straszliwie, twarz szczypała niemiłosiernie od czasu, gdy zgolił brodę. Jakim musiał być cholernym głupcem, że się na to zgodził! Od czasu wyjazdu z Naglimundu jego poszukiwania księżniczki Miriamele nie posunęły się ani o krok. Teraz nawet sprawy się pogorszyły.

Do pewnego momentu Isgrimnur był przekonany, że zbliża się do celu. Wiedział, że to tylko kwestia czasu, kiedy podążał za Miriamele do Perdruin, a potem stary moczymorda Gealsgiathem upewnił go co do przypuszczenia, że kapitan wysadził ją razem z mnichem Cadrachem w Ansis Pelippe. Isgrimnur znał dobrze Ansis Pelippe i pomimo swego stroju mnicha z łatwością poruszał się po mniej bezpiecznych dzielnicach miasta. Wiedział, że niebawem dogoni księżniczkę i odwiezie ją do jej wuja Josui, do Naglimundu, gdzie nie będzie musiała obawiać się wątpliwej życzliwości swego ojca Eliasa.

I wtedy spadł na niego podwójny cios. Pierwszy nie był gwałtowny; był raczej kulminacją wielu bezowocnych poszukiwań i bezskutecznych łapówek – wreszcie zrozumiał, że Miriamele i jej towarzysz zniknęli z Ansis Pelippe, tak jakby wzbili się w powietrze i odlecieli. Od wigilii święta przesilenia dnia z nocą nie widział ich żaden przemytnik, złodziejaszek czy portowa dziwka. Oboje tworzyli parę, której trudno było nie zauważyć: dwaj mnisi podróżujący razem, jeden gruby, drugi młody i szczupły, a mimo to zniknęli. Nie widział ich żaden przewoźnik; nikt nie słyszał nawet, żeby prosili kogokolwiek o przewiezienie. Zniknęli!

Drugie uderzenie miało siłę ogromnego kamienia i wiązało się z bardziej osobistym nieszczęściem. Nie minęły dwa tygodnie od jego przybycia do Perdruin, gdy portowe tawerny zatrzęsły się od opowieści o upadku Naglimundu. Marynarze powtarzali plotki radośnie, rozwodząc się nad rzezią, jakiej dokonała druga tajemnicza armia Eliasa na mieszkańcach zamku, jakby przekazywali sobie jakąś dawną, opowiadaną przy ogniskach opowieść.

Och, moja Gutrun – modlił się wtedy Isgrimnur, czując w żołądku kulę strachu i wściekłości. – *Niech cię strzeże Usires. Jeśli i tym razem cię ocali,*

gołymi rękoma wybuduję Mu katedrę. I Isorna, mego dzielnego syna, i Josuę, i pozostałych...

Pierwszej nocy płakał samotnie w ciemności ulicy, gdzie nikt nie mógł dojrzeć ogromnego szlochającego mnicha, więc choć przez chwilę nie musiał udawać. Odczuwał strach, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył.

„Jak to możliwe, że stało się to tak szybko? – zastanawiał się. – Ten cholerny zamek był tak zbudowany, że powinien wytrzymać dziesięć takich oblężeń! Czy zdradził ktoś z wewnątrz?”

Zakładając, że jego rodzina uratowała się w jakiś cudowny sposób i że ją odnajdzie, rozważał, w jaki sposób odzyska swe ziemie, które z królewską pomocą ukradł mu Skali Ostronosy? Teraz, kiedy Josua został pokonany, Leobardis i Lluth nie żyli, nie było nikogo, kto mógłby stawić czoło Eliasowi.

Ale wciąż miał przed sobą zadanie odnalezienia Miriamele. Przynajmniej ją mógł odnaleźć, uratować ze zdradzieckich łap Cadracha i odwieźć w bezpieczne miejsce. Przynajmniej w tym jednym mógł przeszkodzić Eliasowi.

I tak z uczuciem całkowitej porażki dotarł wreszcie do karczmy „Pod Kapeluszem i Siewką” – miejsca najpodlejszego z podłych, do jakiego właśnie tęskniła jego dusza. Przed nim stał jeszcze nietknięty szósty dzban cierpkiego piwa. Isgrimnur siedział zamyślony.

Może nawet się zdrzemnął, gdyż przez cały dzień chodził po nabrzeżu i był bardzo zmęczony. Człowiek, który stał przed nim, musiał zjawić się przed chwilą. Isgrimnurowi nie podobało się jego spojrzenie.

– Na co się tak gapisz? – mruknął.

Obcy zmarszczył brwi, łącząc je nad nosem. Na jego wychudzonej twarzy pojawił się pogardliwy uśmieszek. Był wysoki, ubrany na czarno,

lecz z pewnością nie robił na księciu Isgrimnurze takiego wrażenia, jak zamierzał.

– Czy ty jesteś tym mnichem, który chodzi i wypytuje po całym mieście? – spytał obcy.

– Odejdź – odparł Isgrimnur. Sięgnął po dzban z piwem. Trunek orzeźwił go nieco, więc napił się jeszcze.

– Czy to ty wypytywałeś o innych mnichów? – spytał ponownie obcy. – O tego wysokiego i tego niskiego?

– Może i ja. Kim jesteś i czego chcesz ode mnie? – Isgrimnur chrząknął, wycierając usta wierzchem dłoni. Bolała go głowa.

– Nazywam się Lenti – powiedział obcy. – Mój pan chce z tobą pomówić.

– A kim jest twój pan?

– Nieważne. Chodź. Pójdziemy zaraz.

Isgrimnur beknął.

– Nie mam zamiaru spotykać żadnych tajemniczych panów. Jeśli chce, może przyjść do mnie. A teraz odejdź.

Lenti pochylił się i utkwił wzrok w Isgrimnurze. Isgrimnur dostrzegł na jego brodzie pryszcze.

– Pójdziesz teraz ze mną, gruby staruchu, jeśli nie chcesz mieć kłopotów – szepnął dobitnie. – *Mam nóż*.

Potężna pięść Isgrimnura trafiła go dokładnie w miejsce, gdzie spotykały się brwi. Lenti poleciał do tyłu i opadł bezwładnie, jakby otrzymał cios młotem do ogłuszania bydła. Kilku gości tawerny spojrzało na nich, uśmiechając się, i wróciło zaraz do swych niezbyt przyjemnych rozmów.

Po paru chwilach Isgrimnur pochylił się i wylał strumień piwa na twarz czarno ubranej ofiary.

– Wstawaj, człowieku, wstawaj. Rozmyśliłem się. Pójdę spotkać się z twoim panem. – Isgrimnur wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy tymczasem Lenti parskał pianą. – Czułem się paskudnie, ale na Dłoń Świętego Aedona, nagle poczułem się znacznie lepiej!

TRZEJ PODRÓŻNI ZOSTAWILI za sobą Teligure. Jechali na zachód traktem Północnego Wybrzeża, który wił się między małymi miasteczkami. Zbierano właśnie siano na zboczach wzgórz i w całej dolinie pojawiły się nagle liczne kopki, podobne do głów obudzonych ludzi. Miriamele słuchała śpiewów nadzorców i wesołych pokrzykiwań kobiet idących przez brunatne pastwiska z butelkami i sakwami, w których niosły popołudniowy posiłek dla pracowników. Ich życie wydało jej się szczęśliwe i proste. Podzieliła się tą myślą z Dinivanem.

– Jeśli zginanie karku na polu od świtu do nocy jest według ciebie czymś szczęśliwym i prostym, masz rację – odparł, mrużąc oczy przed słońcem. – Odpoczynku mają mało, a kiedy jest nieurodzajny rok, nie mają co jeść. A ponadto – powiedział i uśmiechnął się figlarnie – większość zbiorów muszą oddać swemu baronowi w postaci dziesięciny. Ale tak chyba chciał Bóg. Niewątpliwie uczciwa praca lepsza jest od życia żebraka lub złodzieja, przynajmniej w oczach Matki Kościoła, jeśli nie w oczach niektórych żebraków i większości złodziei.

– Ojcze Dinivanie! – wykrzyknęła Miriamele nieco zdziwiona. – To brzmi... nie wiem, ale... jak herezja.

Duchowny roześmiał się.

– Bóg Najwyższy obdarzył mnie naturą nieco heretyczną, moja pani, ale sądzę, że jeśli pożałuje swego daru, wkrótce zabierze mnie na swe łono

i wszystko naprawi. Moi przełożeni zgodziliby się z tobą. Często mówiono mi, że mam język diabła i że to on podsuwa mi pytania w mojej głowie. Lektor Ranessin, proponując mi stanowisko swego sekretarza, powiedział: „Lepiej dyskutować z diabelskim językiem niż z takim, który milczy, oraz z pustą głową”. Według niektórych, bardziej tradycyjnych dostojników Matki Kościoła Ranessin jest trudnym przełożonym. – Dinivan zmarszczył brwi. – Ale oni nic nie wiedzą. Jest najlepszym człowiekiem na ziemi.

W miarę jak mijało popołudnie, Cadrach pozwalał, by dystans między nim a jego towarzyszami zmniejszał się, aż w końcu jechali już prawie obok siebie. Jednak ta zmiana nie rozwiązała mu języka; wprawdzie wydawało się, że słucha pytań Miriamele i opowieści Dinivana o ziemi, przez którą jechali, lecz nie włączył się do ich rozmowy.

Usiane chmurami niebo przybrało kolor pomarańczy, a słońce świeciło im w oczy, kiedy dotarli do murów miasta Granis Sacrana, gdzie mieli przenocować. Miasto położone było na urwistym cyplu, z którego roztaczał się widok na Trakt Północnego Wybrzeża. Liczne krzewy winorośli porastały pobliskie wzgórza, rdzawe teraz od blasku zachodzącego słońca.

Ku zdziwieniu podróżnych przy szerokiej bramie stał oddział żołnierzy. Straż zatrzymywała osoby wchodzące do miasta. Nie był to miejscowy oddział, lecz uzbrojeni żołnierze z godłem złotego zimorodka, królewskim znakiem rodu Benidrivinów. Kiedy Dinivan podał ich imiona – wybierając na wszelki wypadek imię Cadracha i Malachiasa za zgodą księżniczki – polecono im jechać dalej i poszukać noclegu gdzie indziej.

– Ale dlaczego? – dopytywał się Dinivan.

Nieśmiały żołnierz tylko uparcie powtarzał swój rozkaz.

– W takim razie chcę mówić z twoim sierżantem.

Sierżant powtarzał jedynie słowa swego podwładnego.

– Ale dlaczego? – pytał dociekliwy duchowny. – Z czyjego rozkazu zakazujecie nam wstępu do miasta? Czy panuje tutaj jakaś zaraza, czy coś w tym rodzaju?

– Rzeczywiście, coś w tym rodzaju – powiedział sierżant, drapiąc się po swym długim nosie z zakłopotaniem. – Są to rozkazy samego księcia Benigarisa, tak mi się przynajmniej wydaje. Jest tam jego pieczęć.

– A ja mam pieczęć Lektora Ranessina – odparł Dinivan, wyjmując z kieszeni pierścień i podtykając jego rubin pod nos zaskoczonego sierżanta. – Wiedz, że podróżujemy w świętych sprawach Sancellan Aedonitis. Czy tu panuje zaraza? Jeśli powietrze i woda nie są tutaj trujące, przenocujemy w mieście.

Dowódca oddziału zdjął swój hełm i popatrzył zmrużonymi oczami na pierścień. Kiedy podniósł wzrok, na jego grubej twarzy wciąż widać było zakłopotanie.

– Jak już mówiłem, Wasza Eminencjo – zaczął zmartwiony – można to nazwać plagą. Chodzi o tych szaleńców zwanych Tancerzami Ognia.

– Co to za Tancerze Ognia? – spytała Miriamele, pamiętając, by naśladować burkliwy głos chłopca.

– Przepowiadacze końca świata – odparł ponuro Dinivan.

– Gdyby tylko o to chodziło – powiedział sierżant i rozłożył ręce w geście bezradności. Był to ogromny mężczyzna o szerokich barach i masywnych nogach, lecz wydawał się zupełnie zagubiony. – Oni zwariowali. Książę Benigaris rozkazał nam... mieć na nich oko. Nie wolno nam interweniować, ale pomyślałem, że przynajmniej dobrze będzie ograniczyć przypływ obcych do miasta... – Urwał, spoglądając z niepokojem na pierścień Dinivana.

– Nie jesteśmy obcymi, a poza tym istnieje małe ryzyko, że jako sekretarz Lektora uwierzę w ich przepowiednie – powiedział stanowczo

Dinivan. – Wpuść nas zatem, żebyśmy mogli odpocząć dzisiejszej nocy. Mamy za sobą długą drogę i jesteśmy zmęczeni.

– Dobrze, Wasza Eminencjo – powiedział sierżant i dał znak, by żołnierze otworzyli bramę. – Ale nie biorę odpowiedzialności...

– Wszyscy odpowiadamy za coś w tym życiu, każdy z nas – odparł z powagą duchowny, lecz zaraz dodał łagodniej: – Lecz Pan, Usires, rozumie nasze ciężary.

Kiedy przejeżdżali obok przepychających się żołnierzy, Dinivan uczynił nad nimi znak Drzewa.

– Strażnik wydawał się bardzo zmartwiony – powiedziała Miriamele, kiedy jechali główną ulicą. Okiennice w oknach wielu domów były pozamykane, lecz zza drzwi spoglądały na nich blade twarze. Jak na miasto wielkości Granis Sacrana ulice były zadziwiająco puste. Tu i tam pojawiały się grupki przejeżdżających żołnierzy, lecz prawie wcale nie widać było mieszkańców miasta; ci zaś, którzy nadchodzili zakurzonymi ulicami, rzucali niespokojne spojrzenia Miriamele i jej towarzyszom, po czym opuszczali wzrok i szybko się oddalali.

– Nie tylko sierżant wydaje się zmartwiony – odpowiedział Dinivan, kiedy jechali w cieniu wysokich domów i sklepów. – W dzisiejszych czasach strach panoszy się po całym Nabbanie niczym plaga.

– Strach idzie tam, gdzie go zapraszają – przemówił cicho Cadrach, lecz zaraz odwrócił głowę, unikając pytających spojrzeń swych towarzyszy.

Kiedy dotarli na rynek w centrum miasta, wiedzieli już, dlaczego ulice Granis Sacrana są tak puste. Wokół rynku zebrał się tłum ludzi; wszyscy śmiali się lub szeptali coś do siebie. Choć słońce nie zdążyło jeszcze całkiem zajść, na ścianach domów otaczających rynek pozatykano liczne płonące pochodnie. Rzucały one drżące cienie w mroczne wnęki między

domami i oświetlały białe szaty Tancerzy Ognia, którzy kołysali się, wykrzykując na środku placu.

– Jest ich chyba ze stu albo i więcej! – zauważyła Miriamele ze zdziwieniem.

Dinivan patrzył zatroskany. Niektórzy spośród gapiów wykrzykiwali jakieś szyderstwa lub nawet rzucali kamieniami w podrygujących tancerzy, lecz inni wpatrywali się w nich uważnie, ze strachem nawet, jakby przyglądali się jakiemuś zwierzęciu, od którego obawiali się odwrócić.

– Za późno na skruchę! – krzyczał jeden z tancerzy, odłączając się od pozostałych i podskakując jak osiołek tuż przed pierwszym szeregiem zebranych. Tłum cofnął się natychmiast jakby w obawie, że się zarazi. – Za późno! – krzyczał tańczący. Na jego młodej twarzy pokrytej pierwszym zarostem widniał radosny uśmiech. – Za późno! Sny nam powiedziały! Nadchodzi pan!

Inna z biało odzianych postaci wspięła się na kamień położony na samym środku placu i dała ręką znak, by pozostali tancerze się uciszyli. Wśród tłumu rozległa się fala pomruków, kiedy postać na kamieniu zsunęła z głowy obszerny kaptur i okazało się, że jest to jasnowłosa kobieta. Byłaby bardzo ładna, gdyby nie jej nieruchome spojrzenie, oczy nienaturalnie białe w blasku pochodni oraz szeroki, upiorny uśmiech.

– Nadchodzi ogień! – krzyczała. Tancerze podskoczyli, wydali okrzyk i umilkli. Niektórzy z tłumu próbowali rzucać jakieś obelżywe słowa pod jej adresem, lecz zamilkli, uciszeni spojrzeniem jej płonących oczu. – Nie obawiajcie się, że was ominie – powiedziała; jej głos zabrzmiał bardzo wyraźnie w ciszy, jaka zapadła. – Ognie obejmą wszystkich. Ognie i lód, które przyniosą Wielką Zmianę. Pan nie oszczędzi żadnego z tych, którzy nie przygotowali się na jego przyjście.

– Wielbicielko demonów, bluźnisz przeciw naszemu prawdziwemu Zbawicielowi! – przemówił nagle Dinivan, stając w strzemionach. Jego głos brzmiał donośnie. – Opowiadasz tym ludziom kłamstwa!

Kilka osób z tłumu powtórzyło jego słowa i szmer w tłumie wzmógł się. Kobieta w bieli odwróciła się i dała znak stojącym obok niej towarzyszom. Kilkunastu tancerzy klęczało u jej stóp wokół kamienia, jakby się modlili. Teraz jeden z nich wstał, przeszedł przez plac i powrócił z pochodnią, którą wyjął z jednego z licznych uchwytów; kobieta wzięła od niego pochodnię i wzniosła ją nad głowę.

– Czym jest Usires Aedon – krzyczała – jeśli nie drewnianym człowieczkiem na drewnianym drzewku? Kim są królowie i królowe, jeśli nie małpami wyniesionymi ponad ich stan? Pan obali wszystko, co stoi na jego drodze, a jego majestat wzniesie się ponad oceany i ziemie Osten Ard! Król Burz nadchodzi! Niesie ze sobą mróz, który zmrozi serce, grom, który ogłuszy, i oczyszczający ogień!

Kobieta rzuciła pochodnię u swych stóp. Nagle wokół kamienia, na którym stała, pojawiła się ściana ognia. Niektórzy spośród tancerzy wydali przeraźliwe okrzyki, kiedy ich szaty objął płomień. Tłum cofnął się z okrzykiem zdumienia przed naporem ognia.

– Elysio, Matko Boża! – zawołał przerażony Dinivan.

– Tak będzie! – krzyczała kobieta, choć płomienie pełzały w górę jej szat i objęły już włosy, otaczając jej głowę koroną dymu i ognia. Wciąż śmiała się jakby w zatraceniu. – On przemawia w snach! Nadchodzi koniec świata! – Płomień wspiął się jeszcze wyżej, całkiem ją zasłaniając, lecz jej ostatnie słowa rozbrzmiewały echem na placu. – Pan nadchodzi! Pan nadchodzi...!

Miriamele przylgnęła do karku swego konia, starając się powstrzymać wymioty. Dinivan podjechał trochę do przodu i zsiadł z konia. Próbował

pomóc niektórym spośród przewróconych przez cofający się tłum. Księżniczka wyprostowała się, lecz z trudem oddychała.

Cadrach nie zwracał na nią uwagi i wpatrywał się w upiorną scenę, jaka się przed nimi rozgrywała. Na jego twarzy – purpurowej w blasku ognia – pojawił się wyraz nieszczęścia i głodu, jakby nadeszło wreszcie wydarzenie ważne, ale i okropne, coś, czego obawiał się od tak dawna, że samo czekanie stało się gorsze od strachu.

8. Na grzbiecie Sikkihoq

BINABIK, DOKĄD JEDZIEMY? – Simon pochylił się, przybliżając swe czerwone dłonie do ognia. Jego rękawice suszyły się obok na świerkowym pniu.

Troll podniósł wzrok znad zwoju, który studiował razem z Sisqi.

– Na razie w dół. Potem będziemy potrzebowali więcej wskazówek. Pozwól mi teraz poszukać paru z nich.

Simon powstrzymał się przed pokazaniem mu języka, lecz w rzeczywistości odprawa Binabika wcale go nie uraziła. Był w dobrym nastroju.

Powoli nabierał sił. Czuł się coraz lepiej. Podróżowali już dwa dni w dół góry Mintahoq, głównej góry Trollich Turni. Teraz zostawili już Mintahoq za sobą i przeszli na zbocze sąsiedniego szczytu Sikkihoq. Tego wieczoru Simon po raz pierwszy nie myślał tylko o tym, by położyć się i zasnąć, gdy zatrzymali się na noc. Zamiast tego pomógł innym szukać drewna na ognisko, a potem także pomógł wyrzucić śnieg z płytkiej jaskini, w której mieli przenocować. Dobrze było znowu poczuć się sobą. Blizna na policzku bolała jeszcze, lecz już nie tak bardzo. Przypominała mu o tym, co się stało, bardziej niż cokolwiek innego.

Zdał sobie sprawę, że smocza krew zmieniła go. Nie w jakiś magiczny sposób, jak to miało miejsce w opowieściach stajennego Shema – nie rozumiał mowy zwierząt ani też nie potrafił widzieć na setki mil. Choć może niezupełnie było to prawdą. Kiedy tego dnia śnieg przestał padać na chwilę, białe doliny Pustkowia ukazały mu się z wielką wyrazistością; miał wrażenie, że są tak blisko jak fałdy koca, którym był okryty, tyle tylko że ciągnęły się aż do ciemnej granicy majaczącego w oddali lasu Aldheorte. Stojąc przez chwilę w zupełnym bezruchu pomimo wiatru, który szczypał w twarz i szyję, miał wrażenie, że rzeczywiście posiada dar magicznego widzenia. Tak jak wtedy, gdy wspinał się na Wieżę Zielonego Anioła, by zobaczyć cały Erkynland, i miał wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, a będzie można zmienić świat.

Lecz nie to czuł po spotkaniu ze smokiem. Czekając, aż rękawice wyschną, spojrzał na Binabika i Sisqi i dostrzegł sposób, w jaki się dotykali, choć ich ręce się nie stykały, długie rozmowy, jakie prowadzili między sobą, wymieniając zaledwie krótkie spojrzenia. Simon zrozumiał, że czuje i widzi rzeczy inaczej niż przedtem, zanim wszedł na Urmsheim. Teraz wyraźniej widział związek między ludźmi i wydarzeniami; każdy z elementów był częścią większej zagadki, tak jak w wypadku Binabika i Sisqi. Troszczyli się bardzo o siebie, a jednocześnie ich świat zazębiał się z wieloma innymi światami: ze światem Simona, innych trolli, księcia Josui czy Geloë. Simon ze zdziwieniem odkrywał, że wszystko jest ze sobą połączone! Lecz choć trudno było objąć zrozumieniem cały świat, jednak każdy pyłek życia w tym świecie walczył o swe istnienie. I każdy pyłek był ważny.

Tego właśnie w pewnym sensie nauczyła go smocza krew. Nie był kimś wielkim; wręcz przeciwnie, był malutki. Lecz jednocześnie był ważny, równie ważny jak najmniejsza iskierka światła na ciemnym niebie. Iskra,

która mogłaby być gwiazdą prowadzącą żeglarza do portu czy też gwiazdą oglądaną przez samotne dziecko w bezsenną noc...

Simon potrząsnął głową i chuchnął w zmarznięte dłonie. Myśli wymykały mu się, były jak myszy harcujące w otwartej spiżarni. Znowu pomacał rękawice, lecz wciąż były wilgotne. Wsunął dłonie pod pachy i przysunął się nieco do ogniska.

– Simonie, czy jesteś zupełnie pewny, że Geloë powiedziała Kamień Rozstania? – spytał Binabik. – Już drugi wieczór studiuję zwoje Ookequka i nic nie znalazłem.

– Przekazałem ci wszystko, co powiedziała. – Simon patrzył na zewnątrz jaskini, gdzie ciasno spętane barany uderzały się przypadkowo rogami. – Nie mógłbym zapomnieć. Mówiła ustami Leleth, małej dziewczynki, którą uratowaliśmy, i powiedziała: *Idźcie do Kamienia Rozstania. Jest to jedyne bezpieczne miejsce, w którym można schronić się przed nadciągającą burzą – w każdym razie bezpieczne przez jakiś czas.*

Binabik wydął usta rozczarowany. Powiedział szybko kilka słów w języku Qanuc do Sisqi, a ona przytaknęła mu z powagą.

– Nie wątpię, że jest tak, jak mówisz, Simonie. Zbyt wiele widzieliśmy razem. Nie mogę też wątpić w słowa Geloë, która jest najmądrzejszą z osób, jakie znam. Problem polega na mej niewiedzy. – Wskazał na rozłożoną przed nim skórę. – Może zabrałem niewłaściwe pisma.

– Za dużo myśli, mały trollu – zawołał Sludig z drugiego końca jaskini. – Z Haestanem uczymy twoich przyjaciół, jak się gra w „Zdobywcę”. Wasze kamienie do procy są prawie tak dobre jak prawdziwe kości do gry. Chodź, zagraj z nami i zapomnij na chwilę o swych kłopotach.

Binabik podniósł wzrok i uśmiechnął się, machając dłonią do Sludiga.

– Simonie, dlaczego nie przyłączysz się do nich? – spytał. – Z pewnością byłoby to bardziej interesujące niż przyglądanie się mojej niemocy.

– Ja też myślę – odparł Simon. – Myślę o Urmsheim. O Igjarjuku i o tym, co się stało.

– Nie wyglądało to pewnie tak, jak sobie wcześniej wyobrażałeś, prawda? – spytał Binabik pochylony znowu nad zwojem. – Rzeczy nie są takie, jakimi opisuje się je w starych piosenkach, szczególnie gdy chodzi o smoki. Ale ty, Simonie, zachowałeś się niczym sir Camaris albo Tallistro.

Simon poczuł na twarzy rumieniec zadowolenia.

– Nie wiem. Nie widziałem w moim zachowaniu nic szczególnego. To znaczy, co innego mogłem zrobić? Ale nie o tym myślałem. Zastanawiałem się nad smoczą krwią. Jej skutkiem jest coś więcej niż tylko to. – Wskazał na swój policzek i białe pasmo włosów. Binabik nie podniósł wzroku, by zobaczyć, na co pokazuje Simon, lecz uczyniła to Sisqi. Uśmiechnęła się nieśmiało, spoglądając na niego czarnymi oczami jak na jakieś przyjazne, lecz zwykle niebezpieczne zwierzę. Po chwili wstała i wyszła z jaskini.

– Dzięki niej myślę o rzeczach inaczej – ciągnął Simon, spoglądając za wychodzącą Sisqi. – Myślałem i śniłem przez cały czas, kiedy trzymali cię w tamtej dziurze.

– I o czym myślałeś? – spytał Binabik.

– Trudno powiedzieć. O świecie i o tym, jak jest stary. O tym, jak jestem mały. W pewnym sensie nawet i Król Burz jest mały.

Binabik przyglądał się z powagą twarzy Simona.

– Tak, pewnie jest mały w stosunku do tego wszystkiego, co znajduje się pod gwiazdami, tak jak mała jest góra w porównaniu z całym światem. Lecz góra jest większa od nas i jeśli na nas spadnie, znajdziemy się martwi w ogromnej dziurze.

Simon pomachał dłonią zniecierpliwiony.

– Wiem, wiem. Nie twierdzę, że się nie boję. Tylko że to... trudno wyrazić. – Szukał właściwych słów. – To tak, jakby krew smoka nauczyła mnie innego języka, innego sposobu widzenia rzeczy, kiedy o nich myślę. Jak można wyjaśnić komuś inny język?

Binabik chciał już odpowiedzieć, lecz znieruchomiał wpatrzony w niewidoczny punkt tuż nad ramieniem Simona. Zaniepokojony chłopiec odwrócił się, ale nie zobaczył niczego poza niewyraźną ścianą jaskini i kawałkiem szarego nieba upstrzonego płatkami śniegu.

– Co się stało? Binabiku, jesteś chory?

– Mam – powiedział troll. – Wiedziałem, że coś mi to mówi. Językowe różnice. Widzisz, różne tłumaczenia.

Wstał szybko i podszedł do swojej torby. Niektóre spośród trolli spojrzały na niego. Jeden z nich chciał coś powiedzieć, lecz powstrzymał się, widząc determinację Binabika. Po paru chwilach Binabik powrócił na swoje miejsce z naręczem nowych zwojów.

– Co się dzieje? – spytał Simon.

– Chodzi o język, różnice między językami. Ty powiedziałeś: Kamień Rozstania.

– Tak powiedziała Geloë – bronił się Simon.

– Naturalnie. Lecz zwoje Ookequka nie zostały spisane w języku, którym obaj się posługujemy. Niektóre z nich są kopiami z nabbańskiego, inne spisano w języku Qanuc, a jeszcze inne w oryginalnym języku Sithów. Ja szukałem „Kamienia Rozstania”, ale w języku Sithów będzie to raczej „Kamień Pożegnania”. Drobna różnica, lecz znacznie utrudnia odnalezienie wiadomości. Zaczekaj.

Zaczął szybko przeglądać zwoje; poruszał bezgłośnie ustami, a jego pękaty palec wędrował wzdłuż kolejnych wierszy. Tymczasem powróciła

Sisqi z dwoma miseczkami zupy. Jedną z nich postawiła obok Binabika, który był tak zaabsorbowany, że skinął jedynie głową w podzięce. Drugą ofiarowała Simonowi. Nie wiedząc, jak się zachować, Simon skłonił głowę, kiedy ją odbierał.

– Dziękuję – powiedział.

Sisqinanamook chciała coś powiedzieć, lecz powstrzymała się, jakby nie mogła przypomnieć sobie odpowiednich słów. Przez chwilę patrzyli na siebie; niemożność rozmowy powstrzymywała ich przed nawiązaniem przyjaźni. Wreszcie Sisqi także skłoniła głowę i usiadła obok Binabika, zadając mu po cichu jakieś pytanie.

– *Chash* – odparł. – Zgadza się. – Po tych słowach znowu umilkł i zagłębił się w poszukiwaniach. – Ho, ho! – zawołał wreszcie, uderzając dłonią w udo. – Tak, to jest odpowiedź. Znaleźliśmy to!

– Co? – Simon pochylił się ku niemu. Zwój pokrywały dziwne znaczki, podobne do malutkich rysunków, śladów żmii albo ptasich łapek.

Binabik pokazywał na jeden ze znaków, kwadrat o zaokrąglonych rogach, pełen kropek i kresek.

– *Sesuad'ra* – wyszeptał troll, przeciągając długo sylaby słowa, jak ktoś, kto podziwia wspaniały materiał. – *Sesuad'ra* – Kamień Pożegnania. Czy też jak nazwała go Geloë – Kamień Rozstania. Jest to sithijska nazwa, jak sądzę.

– Ale co to jest? – Simon wpatrywał się w runiczne znaki, lecz w niczym nie przypominały one liter pisma Westerling.

Binabik przyglądał się zwojowi.

– Jest to miejsce, w którym zerwano porozumienie; Zida'ya i Hikeda'ya – Sithowie i Nornowie – rozdzielili się i postanowili pójść własnymi drogami. Jest to miejsce mocy, ale i ogromnego smutku.

– Gdzie ono jest? Jak możemy tam iść, skoro nie wiemy, gdzie to jest?

– Kiedyś było ono częścią Enki-e-Shao’saye, Letniego Miasta Sithów.

– Opowiadał mi o nim Jiriki – powiedział Simon podekscytowany. – Pokazał mi je w lusterku. W tym, które mi podarował. Może moglibyśmy znaleźć to miejsce. – Zaczął szukać w swej torbie prezentu od Jirikiego.

– Nie trzeba, Simonie, nie trzeba! – roześmiał się Binabik. – Byłbym głupcem i najnędzniejszym z uczniów Ookequka, gdybym nic nie wiedział o Enki-e-Shao’saye. Było to jedno z Dziewięciu Miast, miasto wielkiej wiedzy i urody.

– A więc wiesz, gdzie jest Kamień Rozstania?

– Enki-e-Shao’saye znajdowało się na południowo-wschodnim skraju wielkiego lasu Aldheorte. – Binabik zmarszczył brwi. – Tak więc, jak widzisz, nie jest to blisko. Czeka nas wielotygodniowa podróż. Miasto znajdowało się po drugiej stronie lasu, patrząc od naszej strony, ponad równinami Thrithingów. – Jego twarz pojaśniała. – Teraz przynajmniej wiemy, dokąd zmierzamy. To dobrze, *Sesuad’ra*. – Powtórzył to słowo zamyślony. – Nigdy nie widziałem tego miasta, ale pamiętam słowa Ookequka. Legenda mówi, że jest to miasto dziwne i ponure.

– Ciekawe, dlaczego Geloë je wybrała – rzekł Simon.

– Może nie widziała innej możliwości. – Binabik zabrał się do jedzenia swej zimnej już zupy.

BARANOM, RZECZ JASNA, nie podobało się, że idzie za nimi wilczyca. Choć minęło już kilkanaście dni od chwili wyruszenia, zapach Qantaqi wciąż je niepokoił, dlatego Binabik zmuszony był wysuwać się daleko do przodu. Qantaqa bardzo dobrze dawała sobie radę na stromych i wąskich szlakach. Za nią zdążały trolle na baranach; śpiewały lub rozmawiały cicho, żeby nie obudzić Makuhkuyay, bogini lawin. Z tyłu szli Simon, Haestan

i Sludig. Starali się nie wchodzić w koleiny powstałe po przejściu baranów, aby śnieg nie wsypywał im się do ich dobrze naoliwionych butów.

W miejscu, gdzie Mintahoq była zaokrąglona niczym zgarbione plecy starca, Sikkihoq stawała się urwista i stroma. Ścieżki trolli prowadziły blisko grzbietu góry. Czasem zbaczały i obchodziły oblodzone, skalne bloki, w innych miejscach kryły się w cieniu góry, prowadząc podróżnych wewnętrzną stroną krawędzi nad przepaścią, która ginęła pod nimi we mgle i śniegu.

Kiedy tak brnęli powoli wąskimi ścieżkami, nieustannie ocierając z oczu padający śnieg, Simon zorientował się, że modli się, aby wreszcie dotarli na dół. Bez względu na to, czy wracał do sił, czy też nie, jedno było pewne: nie nadawał się do życia w górach. Z powodu rzadkiego powietrza bolały go płuca, a nogi były słabe i ciężkie, niczym namoknięte bochenki chleba. Kiedy wieczorem ułożył się do snu, mięśnie miał tak boleśnie napięte, że niemal grały.

Niepokoiły go także wysokości, na jakich się poruszali. Wcześniej uważał się za nieustraszonego wspinacza, ale było to, zanim wyruszył z Hayholt w szeroki świat. Teraz, zamiast rozglądać się na boki, wolał śledzić opadające i wznoszące się brązowe buty Sludiga. Za każdym razem, kiedy jego wzrok wędrował ku wiszącym nad nimi skalnym masom albo ku bezdennym przepaściom pod nimi, Simon próbował sobie przypomnieć, jak wygląda równina, lecz nie potrafił. Pamiętał tylko, że istnieją takie miejsca, gdzie można po prostu się odwrócić i pójść obojętnie w jakim kierunku, nie ryzykując śmiertelnego upadku. Mieszkał przecież w takim miejscu, więc muszą one jeszcze istnieć. Gdzieś czekały na jego stopy mile równiny, gładkiej jak dywan.

Na nocleg zatrzymali się w miejscu, gdzie szlak rozszerzał się nieco. Simon pomógł Haestanowi zdjąć tobołek i patrzył, jak gwardzista opada na

mokry od śniegu kamień, oddychając tak ciężko, że prawie zniknął za obłokiem pary. Haestan zsunął na chwilę kaptur z głowy i zadrżał owiany podmuchem wiatru. Zaraz nasunął kaptur z powrotem. W jego ciemnej brodzie lśniły kryształki lodu.

– Zimno, chłopcze – powiedział. – Bardzo zimno.

Nagle wydał się Simonowi bardzo stary.

– Haestanie, czy masz rodzinę? – spytał Simon.

Gwardzista nie odzywał się przez chwilę, jakby zaskoczony, po czym uśmiechnął się.

– Można to tak nazwać. Mam kobietę, żonę, ale nie mam dzieciaków. Pierwsze umarło, a potem już nie mieliśmy. Ostatni raz widziałem ją jeszcze przed zimą. – Pokręcił głową. – Jest bezpieczna. Poszła z innymi do Hewenshire. Powiedziałem jej, że Naglimund jest zbyt niebezpieczny. Powiedziałem, że zbliża się wojna. – Znowu pokręcił głową. – Jeśli twoja czarownica mówi prawdę, wojna skończyła się, a książę Josua przegrał.

– Ale Geloë mówiła, że uciekł – wtrącił ożywiony Simon.

– Tak, to już coś.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając wycia wiatru między skałami. Simon popatrzył na Cierń leżący na wierzchu tobołka Haestana, czarny i lśniący, pokryty topniejącymi płatkami śniegu.

– Czy miecz jest dla ciebie za ciężki? Mógłbym go trochę ponieść.

Haestan przyglądał mu się przez chwilę, zanim się uśmiechnął.

– A chętnie, chłopcze. Powinieneś mieć miecz, skoro sypnęła ci się już pierwsza broda. Choć nie wiem, czy będzie z niego taki pożytek jak z każdego innego miecza – jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Rozumiem. Wiem, jak on się zmienia. – Pamiętał te chwile, kiedy trzymał Cierń w dłoni. Początkowo był zimny i ciężki jak kowadło. Później, kiedy stał na krawędzi przepaści, patrząc w mlecznoniebieskie

oczy smoka, miecz stał się lekki niczym brzozowy patyk. Jego lśniące ostrze zdawało się żyć własnym życiem, oddychać. – Wydaje się, jakby był żywy. Jak zwierzę czy coś takiego. Czy jest teraz ciężki dla ciebie?

Haestan potrząsnął głową i spojrzał na padający śnieg.

– Nie, chłopcze. On chyba chce iść tam, dokąd i my idziemy. Może myśli, że idzie do domu.

Simon uśmiechnął się na myśl o tym, że rozmawiają o mieczu, jakby był koniem albo psem. Lecz bez wątpienia wokół Ciernia wciąż wyczuwało się pewne napięcie, jak wokół pająka, który przyczaił się w swej sieci, czy też ryby zawieszonej nieruchomo w zimnej ciemności dna rzeki. Simon spojrzał na miecz ponownie. Jeśli on *rzeczywiście* żył, to był czymś dzikim. Jego czerń pożerała światło, pozostawiając jedynie słaby refleks odbicia, który przypominał lśniące okruchy w brodzie skąpca. Mroczne, dzikie istnienie.

– Idzie tam, dokąd my idziemy – powiedział Simon i zamyślił się na chwilę. – Ale to nie będzie dom. Nie mój dom.

LEŻĄC NOCĄ W WĄSKIEJ JASKINI, która stanowiła zaledwie małą szczelinkę w potężnym grzbiecie góry Sikkihoq, Simon śnił o gobelinie. Gobelin był żywym obrazem i wisiał na zupełnie czarnej ścianie. Przedstawiał, podobnie jak święte obrazy w kaplicy w Hayholt, ogromne drzewo z konarami wzniesionymi ku niebu. Drzewo było białe i gładkie jak marmur harcha. Na drzewie wisiał głową w dół książę Josua – tak samo, jak Usires Aedon.

Przed Josuą stała jakaś niewyraźna postać, która wbijała w niego gwoździe ogromnym, szarym młotem. Josua nic nie mówił ani nie krzyczał, lecz stojący wokół jego zwolennicy zawodzili głośno. Szeroko otwarte oczy Josui wypełniał cierpliwie znoszony ból; była to taka sama twarz jak twarz

rzeźby przedstawiającej Usiresa, która wisiała na ścianie pokoju służących, gdzie Simon mieszkał jako mały chłopiec.

Simon nie mógł dłużej znieść tego widoku. Przedarł się do gobelinu i pobiegł w kierunku niewyraźnej postaci. Biegnąc, poczuł, że trzyma w dłoni coś ciężkiego. Uniósł ramię, by uderzyć, lecz mroczna postać chwyciła go za rękę i wyrwała mu broń. Simon trzymał czarny młot. Z wyjątkiem koloru był identyczny jak ten, który dzierżyła postać.

– *Lepszy* – przemówiła postać. Podrzuciła w drugiej dłoni czarny jak heban młot i ponownie zaczęła wbijać gwoździe. Tym razem przy każdym uderzeniu Josua krzyczał, krzyczał, krzyczał...

Simon obudził się, drżąc w ciemności; słyszał chrapliwe oddechy swoich towarzyszy. Na zewnątrz zawodził wiatr, mknąc przez górskie przełęcze. Chciał obudzić Binabika, Haestana albo Sludiga, kogokolwiek, kto porozmawiałby z nim w jego języku, lecz nie mógł znaleźć żadnego z nich w ciemności, a poza tym, pomimo strachu, zdawał sobie sprawę, że nie powinien nikogo niepokoić.

Położył się, nasłuchując zawodzenia wiatru. Bał się znowu zasnąć, bał się ponownie usłyszeć te przeraźliwe krzyki. Wytężał wzrok, by coś zobaczyć i mieć pewność, że nie śpi, lecz nic nie widział.

Zanim nastał świt, zmęczenie zwyciężyło jego umęczony umysł i wreszcie usnął. Po przebudzeniu nie potrafił powiedzieć, czy męczyły go jeszcze jakieś senne koszmary.

JESZCZE TRZY DNI WĘDROWALI mroźnymi szlakami, zanim zeszli z grzbietu Sikkihoq. Znalazłszy się na ramionach góry, nie musieli już iść gęsiego, więc gdy tylko zeszli na szeroką półkę ośnieżonego granitu, zatrzymali się, żeby to uczcić. Była to jedna z nielicznych popołudniowych godzin, kiedy świeciło słońce. Zdołało przebić się przez pajęczynę chmur,

wiatr zaś choć raz przypominał rozbawione zwierzę, a nie groźnego drapieżcę.

Binabik pojechał na wilczycy naprzód, by zbadać teren, po czym pozwolił jej zapolować. Natychmiast zniknęła pośród pokrytych śniegiem głazów. Uśmiechnięty troll powrócił do swych towarzyszy.

– Dobrze jest choć na chwilę zapomnieć o urwiskach – powiedział, sadowiąc się obok Simona, który zdjął buty i rozcierał białe od mrozu palce u nóg. – Kiedy się jedzie takim wąskim i niebezpiecznym szlakiem, można jedynie myśleć o tym, by nie stracić równowagi.

– Albo idzie – dodał Simon, spoglądając znacząco na swe stopy.

– Albo idzie – zgodził się Binabik. – Wrócę za chwilę.

Troll wstał i przeszedł na drugi koniec porowatej półki, gdzie pozostałe trolle siedziały w kole i popijały z jednego bukłaka. Niektóre z nich zdjęły kurtki; wytatuowane ptaki, niedźwiedzie i wijące się ryby pełzały po ich śniadych ramionach w słabym blasku słońca. Rozsiodłane barany pasły się puszczone wolno, skubiąc skąpe kępki mchu i małe krzewy, którym udało się wydostać ze szczelin między skałami. Jeden z trolli doglądał stada, choć najwyraźniej sercem był zupełnie gdzie indziej. Patrzył posępnie na wędrujący z rąk do rąk bukłak, grzebiąc w ziemi końcem włóczni. Początkowo jego towarzysze pokpiwali sobie z nieszczęścia kompana, lecz wreszcie jeden z nich podszedł do pasterza i poczęstował go napojem.

Binabik zbliżył się do Sisqi, która siedziała z kilkoma łowczyniami. Nachylił się, szepcąc jej coś do ucha, i otarł swą twarz o jej policzek. Roześmiała się i odepchnęła go zarumieniona. Widząc swego przyjaciela tak szczęśliwym, Simon poczuł delikatne ukłucie zazdrości, jednak zaraz je opanował. Może kiedyś i on znajdzie kogoś. Pomyślał ze smutkiem o księżniczce Miriamele; znacznie przewyższała swą pozycją każdego podkuchennego. Choć z drugiej strony była tylko dziewczyną, taką samą

jak te, z którymi Simon przekomarzał się w Hayholt w tak bardzo – jak mu się zdawało – odległych czasach. Nie było między nim a księżniczką żadnej różnicy, kiedy stali obok siebie przy moście w Da'ai Chikiza czy też przed olbrzymem. Byli przyjaciółmi, którzy wspólnie stawiali czoło niebezpieczeństwom.

„Ale wtedy nie wiedziałem, kim ona jest. Teraz już wiem i widzę różnicę. Tylko dlaczego? Czy ja czymś się od niej różnię? A ona? Nie. Ona mnie pocałowała! I to po tym, kiedy znowu była księżniczką!"

Czuł zarówno pewne uniesienie, jak i smutek. Kto decydował o tym, co jest właściwe? Porządek świata wydawał się zmienny i gdzie było napisane, że odważny podkuchenny nie może stanąć z dumą przed księżniczką, która i tak była w stanie wojny ze swym ojcem?

Przez chwilę pogrążył się w marzeniach. Wyobraził sobie, że przybywa do wielkiego miasta jako bohater; widział siebie z mieczem na ogromnym rumaku, jak na obrazie przedstawiającym sir Camarisa, który kiedyś oglądał. Do tego Miriamele patrzy na niego i podziwia go. Marzenie rozwiało się, gdy Simon zaczął się zastanawiać, do jakiego miasta mógłby tak wjeżdżać. Według słów Geloë Naglimund padł. Do swego rodzinnego miasta, Hayholt, Simon nie miał po co wracać. Cierń nie był bardziej jego niż sir Camarisa, najsłynniejszego właściciela miecza, lecz przede wszystkim – zdał sobie sprawę, spoglądając na swe pokryte pęcherzami stopy – nie miał konia.

– Proszę, przyjacielu – wyrwał go z zadumy głos Binabika. – Uratowałem dla ciebie łyk wina na polowania. – Wyciągnął w stronę Simona skórzany bukłak, nieco mniejszy od tego, jaki podawały sobie trolle.

– Próbowałem już tego – powiedział Simon, wąchając podejrzliwie. – Smakowało... no cóż, Haestan powiedział, że smakuje jak końskie siki,

i chyba ma rację.

– Ach. Zdaje się, że Haestan zmienił zdanie co do kangkang – zachichotał Binabik, wskazując głową w stronę pijących. Do trolli przyłączyli się Sludig i Erkynlandczyk, który pociągał właśnie spory łyk wina. – Ale to nie jest kangkang – powiedział Binabik i wcisnął bukłak w dłoń Simona. – To jest wino, które pijemy w czasie polowań. Mężczyznom u nas nie wolno go pić; niektórzy tylko – ja, na przykład – mogą używać go w celach leczniczych. Nasze łowczynie piją je, kiedy muszą czuwać przez całą noc z dala od jaskiń. Jest bardzo dobre, szczególnie na obolałe ciało i tym podobne.

– Czuję się dobrze – oświadczył Simon, spoglądając z powątpiewaniem na bukłak.

– Nie chodzi o to, że ja ci je daję. – Binabik zaczynał tracić cierpliwość. – Zrozum, że rzadko się zdarza, by ktokolwiek został nim poczęstowany. Siedzimy tutaj i cieszymy się, że udało nam się odbyć podróż bez żadnych ran i strat. Cieszymy się z tych krótkich chwil słońca i mamy nadzieję, że szczęście nie opuści nas w dalszej części podróży. A poza tym, to wino jest jakby prezentem. Sisqinanamook chciała cię nim poczęstować.

Simon spojrzał na Sisqi, która rozmawiała z innymi łowczyniami. Uśmiechnęła się i potrząsnęła swą włócznią, jakby salutowała Simonowi.

– Przepraszam – powiedział Simon. – Nie zrozumiałem. – Uniósł bukłak i napił się. W gardle rozlała mu się słodka, oleista ciecz. Zakasłał, lecz zaraz poczuł przyjemne ciepło w żołądku. Wypił kolejny łyk, ale tym razem potrzymał wino przez chwilę w ustach, próbując przypomnieć sobie, z czym kojarzy mu się jego smak.

– Z czego zrobione jest to wino? – spytał.

– Z jagód, które rosną na wysoko położonych łąkach wokół Jeziora Błękitnego Błota; tam gdzie udają się moi ziomkowie. Z jagód i zębów.

Simon nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

– Z jagód i czego?

– Zębów. – Binabik uśmiechnął się, ukazując w uśmiechu swe pożółkłe zęby. – Z zębów śnieżnego niedźwiedzia. Oczywiście są one utarte. Pomagają zachować siły i sprawność w czasie polowania.

– Zęby... – Pamiętając o tym, że wino jest prezentem, Simon nic już więcej nie powiedział. W rzeczywistości nie było nic złego w zębach – sam miał ich pełne usta. Wino na polowania smakowało całkiem dobrze i przyjemnie łechtało żołądek. Uniósł ostrożnie bukłak i pociągnął ostatni łyk. – Jagody i zęby – powiedział, oddając bukłak. – Bardzo dobre. Jak mówicie w waszym języku „dziękuję”?

Binabik powiedział mu.

– *Guyop!* – Simon zawołał do Sisqi, a ona uśmiechnęła się i skinęła głową. Jej towarzyszki ponownie wybuchnęły śmiechem i ukryły twarze w futrzanych kapturach.

Przez jakiś czas Binabik i Simon siedzieli w milczeniu, delektując się ciepłem. Simon czuł, jak wino przyjemnie rozchodzi się w jego żyłach, i w tej chwili nawet nieprzyjemne zbocza dolnej części Sikkihoq, które ich czekały, wydały mu się przyjazne. Góra pod nimi opadała niczym pomarszczony koc fałdami pokrytych śniegiem wzgórz. Na samym dole przechodziły one w monotonne, najeżone kolcami drzew Pustkowie.

Kiedy Simon odwrócił się, by przyjrzeć się okolicy, jego uwagę zwróciła góra Namyet, jeden z sąsiadów Sikkihoq, która podczas chwilowej jasności pogodnego popołudnia wydawała się odległa zaledwie o rzut kamieniem. Jej pofałdowane zbocze ginęło w długich, niebieskawych, pionowych cieniach. Szczyt góry skrzył się w słońcu.

– Czy tam też mieszkają trolle? – spytał.

Binabik podniósł wzrok i przytaknął.

– Namyet także należy do łańcucha gór Yiqanuc. Mintahoq, Chugik, Tutusik, Rinsenatuq, Sikkihoq i Namyet, Yamok i Huudika – Szare Siostry – oto cała kraina trolli. Na górze Yamok, co znaczy Mały Nos, zginęli moi rodzice. Widać ją tam, za Namyet, widzisz? – Troll wskazał na niewyraźny, kanciasty kształt, widoczny słabo w blasku słońca.

– Jak oni zginęli?

– W smoczym śniegu, jak mówimy na Dachu Świata; jest to śnieg, którego górna warstwa zamarza, a potem nagle załamuje się niczym ogromne szczęki. Jak smocze szczęki. Ty wiesz coś o tym.

Simon pogrzebał kamieniem w ziemi i mrużąc oczy, spojrzał w górę na majaczący na wschodzie szczyt góry Yamok.

– Płakałeś?

– Oczywiście, ale w mojej kryjówce. A ty... nie, ty nie znałeś swych rodziców, prawda?

– Nie. Opowiadał mi o nich trochę Doktor Morgenes. Mój ojciec był rybakiem, a matka pokojówką.

Binabik uśmiechnął się.

– Biedni, lecz czcigodni przodkowie. Czy można pragnąć lepszego początku? Ilu może spełnić wymogi królewskiej krwi? Kto mógłby pomyśleć o odnalezieniu swego prawdziwego ja, kiedy wszyscy wkoło klękają i kłaniają się?

Simon pomyślał o Miriamele i o ukochanej Binabika, Sisqinanamook, lecz nic nie powiedział.

Po chwili troll uśmiechnął się i przysunął do siebie swój tobołek. Pogrzebał w nim i wyjął skórzaną sakiewkę. Coś w niej zagrzechotało.

– Moje kości – powiedział, wysypując je delikatnie na kamień. – Zobaczymy, czy okażą się prawdziwszym przewodnikiem, niż były ostatnim razem.

Binabik schował kości w złożonych dłoniach i zaczął nucić cicho. Długo siedział tak z zamkniętymi oczami, trzymając kości i nucąc. Wreszcie rzucił je na ziemię. Simon nie potrafił rozróżnić wśród nich żadnego konkretnego wzoru.

– Kamienny Krąg – powiedział Binabik spokojnie, jakby te słowa wypisane były na gładkiej powierzchni pożółkłych kości. – To jest punkt, w jakim się znaleźliśmy, że tak powiem. Oznacza on, jak mi się wydaje, naradę. W czasie naszej podróży szukamy mądrości, pomocy.

– Czy kości, które prosisz o pomoc, mówią ci, że szukasz pomocy? – Simon chrząknął. – To nic niezwykłego.

– Cicho, głupi mieszkańcu nizin – odparł Binabik z udawaną powagą. – W tych kościach jest coś więcej, niż jesteś w stanie pojąć. Odczytanie ich nie jest rzeczą łatwą. – Zanucił i ponownie wyrzucił kości. – Pochodnia u Wejścia do Jaskini – powiedział i jeszcze raz wyrzucił w milczeniu. Przyjrzawszy im się, zmarszczył brwi i przygryzł wargę. – Czarna Szczelina. Taki układ widzę dopiero drugi raz; zawsze, kiedy go wyrzucałem, byliśmy razem. Ten rzut jest znaczący.

– Wyjaśnij mi to, proszę – powiedział Simon. – Wsunął buty na nogi i poruszał palcami.

– Drugi rzut, Pochodnia u Wejścia do Jaskini, mówi, że musimy szukać jakichś korzyści w miejscu, do którego się udajemy, to znaczy *Sesuad’ra* – przy Kamieniu Rozstania Geloë. Nie oznacza to, że dopisze nam tam szczęście, lecz mamy szansę. Czarną Szczelinę, ostatni rzut, już ci objaśniałem. Jego powinniśmy się obawiać. Czarna Szczelina jest dziwnym i rzadkim układem kości, który może oznaczać zdradę albo coś, co

przychodzi z innego miejsca... – Troll umilkł; przez chwilę wpatrywał się zamyślony w kości, po czym zebrał je do swej sakiewki.

– Co więc to wszystko oznacza?

– Ach, Simonie, przyjacielu. – Troll westchnął. – Kości nigdy tak po prostu nie odpowiadają na pytania, nawet przy najpomyślniejszych rzutach. A w tak trudnych chwilach jak ta zrozumienie ich znaczenia staje się jeszcze trudniejsze. Muszę mieć więcej czasu na zastanowienie się. Być może będę musiał zaśpiewać trochę inną piosenkę i rzucić jeszcze raz. Po raz pierwszy od dłuższego czasu, rzucając kości, nie widzę Cienistej Ścieżki, choć nasza droga z pewnością nie jest jaśniejsza. Widzisz, należy wystrzegać się próby odczytania z kości prostych odpowiedzi.

Simon wstał.

– Niewiele rozumiem z tego, co mówisz, ale chciałbym, żebyśmy znaleźli kilka prostych odpowiedzi. Ułatwiłoby to wiele rzeczy.

Binabik uśmiechnął się.

– Proste odpowiedzi na pytania życia. Byłyby to czary, jakich nigdy jeszcze nie widziałem.

Podszedł do nich troll o imieniu Snenneq – krępy pasterz z kępką zarostu na brodzie – popatrzył na Simona podejrzliwie, jakby już sam wzrost chłopca stanowił obrazę dobrych obyczajów. Przez chwilę podniecony rozmawiał o czymś z Binabikiem i zaraz odszedł. Binabik wstał szybko i zagwizdał na Qantaqę.

– Snenneq mówi, że barany są bardzo niespokojne – wyjaśnił Binabik. – Przyszedł się dowiedzieć, gdzie jest Qantaqa, czy czasem ona ich nie płoszy.

Chwilę później nad krawędzią jednej ze skał ukazał się szary łeb wilczycy.

– Jest pod nami i pod wiatr – powiedział troll, kręcąc głową. – Jeśli coś niepokoi barany, z pewnością nie jest to Qantaqa.

Wilczyca skoczyła w dół ze skalnego występu. Za chwilę była już u boku swego pana, przyciskając swój ogromny łeb do jego brzucha.

– Ona też wydaje się zaniepokojona – zauważył Binabik. Przyklęknął, by podrapać wilczycę po brzuchu; jego ramiona zniknęły w gęstym futrze. Qantaqa rzeczywiście sprawiała wrażenie niespokojnej. Tylko przez chwilę stała nieruchomo, lecz zaraz uniosła pysk, węsząc. Jej uszy poruszyły się jak skrzydła ptaka, który wznosi się w powietrze. Zamruczała cicho i znowu trąciła łbem Binabika. – Pewnie śnieżny niedźwiedź. To zdaje się czas ich polowań. Powinniśmy zejść niżej. Będziemy bezpieczniejsi, kiedy zejdziemy z Sikkihoq.

Binabik zawołał Snenneqa i pozostałe trolle. Zaczęli likwidować prowizoryczny obóz, osiodłali barany i umocowali na nich bukłaki i torby z żywnością.

Po chwili podeszli do nich Sludig i Haestan.

– Hej, chłopcze – Haestan zwrócił się do Simona. – Znowu trzeba włożyć skórzane buty. Teraz wiesz, co to znaczy być żołnierzem. Marsz, marsz i marsz, aż ci stopy zamarzną i płuca zwiotczeją.

– Ale ja nigdy nie chciałem zostać piechurem – odparł Simon, zarzucając na ramię tobołek.

Sprzyjająca pogoda nie utrzymała się długo. Gwiazdy zdążyły zniknąć za chmurami, zanim rozbili obóz na noc na krawędzi długiego i płaskiego występu. Ich ogniska były jedynymi światłami pod dzikim, zasnutym śniegiem niebem.

Świt rozjaśnił ciemny horyzont do barwy kamiennej szarości, tak że zlewał się prawie z granitową skałą, po której wędrowali. Zeszli ostrożnie w dół z występu i poszli wąskimi, krętymi szlakami. W południe dotarli do

innego, w miarę płaskiego miejsca; było to łagodnie opadające zbocze, pokryte głazami i mniejszymi kamieniami, pozostałymi po przejściu jakiegoś lodowca. Grunt w tym miejscu był bardzo zdradliwy. Nawet barany posuwały się nadzwyczaj ostrożnie; czasem wolały przeskakiwać z głazu na głaz, niż iść po luźnych, drobnych kamieniach. Za nimi szli Sludig, Haestan i Simon. Co jakiś czas któryś z nich trącał nogą kamień wielkości pięści, który staczał się w dół, wywołując beczenie i nerwowe spojrzenia zwierząt. Droga była też bardzo niebezpieczna dla ich kolan i kostek. Po jakimś czasie Simon i jego towarzysze zatrzymali się, żeby owinąć buty szmatami, co dawało im większą przyczepność.

Wciąż padał śnieg, niezbyt gęsty, lecz wystarczająco obfity, by pokryć większe głazy warstwą białego pyłu i wypełnić śnieżną zaprawą szczeliny między mniejszymi kamieniami. Simon odwrócił się i spojrzał w górę kamienistego zbocza; górna część Sikkihoq majaczyła w śnieżnej mgle niczym stojący w drzwiach ogromny, ciemny cień. Zdumiał się odległością, jaką do tej pory pokonali, lecz zaraz zmarkotniał, spoglądając w drugą stronę; droga, którą musieli pokonać, by dotrzeć do wątpliwych przyjemności na Pustkowiu, była równie daleka.

Haestan zauważył jego rozczarowanie i podsunął mu misternie zdobiony bukłak, prezent od trolli.

– Jeszcze dwa dni, chłopcze, i wyjdziemy na płaskie – powiedział, uśmiechając się kwaśno. – Napij się.

Simon rozgrzał się łykiem kangkang i podał bukłak Sludigowi. Rimmersman natychmiast uniósł go do ust; jego żółtawą brodę rozjaśnił krótki uśmiech.

– Dobre – powiedział. – Nie jest to miód ani południowe wino, ale lepsze to niż nic.

– Niech będę przeklęty, jeśli on nie ma racji – odezwał się Haestan.

Odebrał bukłak i pociągnął jeszcze długi łyk, zanim z powrotem zawiesił go u pasa. Simonowi wydawało się, że gwardzista mówi nieco bełkotliwie, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że Haestan popija tak od rana. W końcu czy mieli inne lekarstwo przeciw obolałym nogom i monotonnie padającemu śniegowi? Lepiej być nieco wstawionym, lecz rozgrzanym, niż nieustannie marznąć.

Simon zmrużył oczy, usiłując patrzeć poprzez padający śnieg. Widział podskakujące postacie jadących przed nimi trolli, lecz poza nimi wszystko inne pozostawało jedynie niewyraźnymi cieniami. Gdzieś tam, jeszcze przed jadącymi na przedzie trollami, znajdowali się Qantaqa i Binabik, który szukał najlepszego zejścia z rumowiska. Nagle Simon usłyszał niesione wiatrem gardłowe okrzyki; nie rozumiał ich, lecz nie miał wątpliwości.

Obok jego stóp przeleciał kamień i zatrzymał się nieopodal. Wycie wiatru zagłuszyło odgłos jego upadku. Simon zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby z góry potoczył się na nich naprawdę duży odłamek skały. Czy byliby w stanie go usłyszeć? Czy też spadłby na nich niczym dłoń miażdżąca muchę, która wygrzewa się na parapecie? Odwrócił się zaniepokojony, widząc oczyma wyobraźni zbliżający się ogromny, okrągły głaz, który zgniecie wszystko, co znajduje się na ścieżce.

Nie było tam żadnego kamienia, ale za to majaczyły jakieś postacie na zboczu powyżej. Przez chwilę stał z szeroko otwartymi ustami niepewny, czy te ogromne, kołyszące się kształty są majakami spowodowanymi śnieżnym oślepieniem. Wzrok Sludiga powędrował za spojrzeniem Simona.

– Huneny! – wykrzyknął Rimmersman. – *Vaer Hunen!* – Olbrzymy są na zboczu nad nami!

Poniżej jeden z trolli, niewidoczny w śnieżnej zadymce, powtórzył ostrzeżenie Sludiga.

Niewyraźne, wysokie postacie sunęły w dół rumowiska. Potrącone przez olbrzymy kamienie toczyły się przed nimi w dół, przelatując obok Simona i jego towarzyszy. Krzyczące trolle próbowały zawrócić swe barany, by stawić czoło niebezpieczeństwu. Widząc, że nie mają już szans zaskoczyć przeciwnika, atakujące Huneny wydały z siebie niezrozumiały ryk wyzwania, który zdawał się trząść całą górą. Kilku z nich wyłoniło się z mgły, wymachując szerokimi maczugami podobnymi do sękatych kijów. Wydawało się, że ich czarne pyski z wyszczerzonymi zębami same unoszą się wśród padającego śniegu, lecz Simon wiedział, jaka siła drzemie w tych białych, kudłatych istotach. W skórzastych maskach rozpoznał twarz Śmierci, jej szpony w dwukrotnie dłuższych od ludzkich ramionach.

– *Binabiku!* – krzyknął Simon. – Olbrzymy!

Jeden z Hunenów chwycił duży kamień i cisnął go w dół zbocza. Kamień spadał, podskakując niczym zepchnięty wóz. Natychmiast grad włóczni poleciał w kierunku napastnika, lecz kamień minął Simona i wpadł w grupę trolli. Ponad tonącym we mgle zboczem rozległo się przeraźliwe beczenie baranów i okrzyki miażdżonych i umierających trolli. Simon stał z wybałuszonymi oczami, gdy nagle tuż przy nim pojawiła się ogromna postać z ramieniem odchylonym do tyłu jak ramię katapulty. Cień przesunął się ze świstem i w tym momencie Simon poczuł, że coś zepchnęło go na bok. Upadł twarzą w śnieg i kamienie.

Chwilę później był już na nogach; potykając się, szedł przez mgłę w stronę kłębiących się postaci. Huneny pojawiały się i znikały; były zaledwie drapieżnymi cieniami, które momentami ginęły zupełnie w padającym śniegu.

Umysł Simona wypełniał przeraźliwy, histeryczny krzyk nakazujący mu uciekać, lecz głos ten był stłumiony, jakby wypchano mu głowę czymś miękkim. Na jego dłoniach widniała krew, lecz nie wiedział czyja. Wytarł je

odruchowo o przód koszuli i wyjął z pochwy nóż. Teraz ryki rozbrzmiewały ze wszystkich stron.

Grupa trolli jechała pod górę z nastawionymi włóczniami. Ich ryczący przeciwnik zamachnął się szerokim jak pień drzewa ramieniem, zrzucając z siodła jadących na czele jeźdźców. Trolle i barany potoczyły się w dół w krwawej plątaninie, aż spoczęły nieruchome u stóp wzniesienia. Jadącym za nimi towarzyszom udało się ugodzić kilkunastoma włóczniami olbrzyma, który wydał z siebie przeraźliwy, charczący ryk.

Simon dostrzegł w dole Binabika. Troll zsiadł z Qantaqi, a wilczyca natychmiast rzuciła się w kłębowisko walczących. Binabik umieszczał strzały w wydrążonej części swego kija. Simon wiedział, że są to strzały z zatrutymi grotami, lecz nie zdążył nawet zrobić kroku w stronę swego przyjaciela, gdy wpadła na niego jakaś postać i runęła u jego stóp.

Na ziemi leżał Haestan z twarzą wciśniętą między kamienie; na jego tobołku leżał przywiązany miecz, Cierń. Stał wpatrzony w niego, gdy nagle rozległo się wycie tak przeraźliwe, że przeniknęło nawet jego zamroczenie. Odwrócił się i zobaczył Sludiga, który cofał się w dół po nierównym zboczu, opierając się włócznią przed nacierającym na niego Hunenem; to właśnie jego ryk niemal wstrząsnął niebiosami. Biały brzuch i ramiona olbrzyma pokrywały krwawe plamki, lecz Sludig także był zakrwawiony: lewe ramię wyglądało jakby zanurzono je w kuble z czerwoną farbą.

Simon pochylił się i chwyciwszy Haestana za płaszcz, potrząsnął nim, lecz gwardzista nie reagował. Zacisnął więc dłoń na czarnej rękojeści Ciernia i wyciągnął go powoli przez pętlę, którą przymocowano oręże do tobołka. Miecz był bardzo zimny i ciężki jak koński pancerz. Przeklinając ze strachu i złości, spróbował go podnieść, lecz mu się nie udało. Przerażony zebrał siły ponownie, ale i tym razem nie podniósł miecza powyżej pasa.

– Usiresie, gdzie jesteś? – jęknął i upuścił miecz na ziemię z hukiem, jakby to był kawał gruzu. – Pomóż mi! Jaki pożytek z takiego cholernego miecza? – Spróbował jeszcze raz, prosząc Boga o pomoc, lecz Cierń ani drgnął.

– Simonie! – zawołał Sludig, z trudem łapiąc oddech. – Uciekaj! Ja... nie mogę!

Kudłate, białe ramię olbrzyma zatoczyło łuk i Rimmersman cofnął się chwiejnie tuż poza zasięg łapy Hunena. Otworzył usta, by krzyknąć do Simona jeszcze raz, lecz musiał odskoczyć w bok przed ostrymi pazurami. Na jasnej brodzie i włosach Sludiga widać było plamki krwi. Zgubił gdzieś hełm.

Simon rozejrzał się przerażony i dostrzegł między kamieniami włócznię któregoś z trolli. Chwycił ją i okrążył olbrzyma o przekrwionych oczach i szerokich nozdrzach, który próbował zabić Sludiga. Simon miał teraz przed sobą szerokie jak ściana, białe i włochate plecy Hunena. Chwilę później, zanim zdołał zdziwić się swym czynem, skakał już po śliskich kamieniach i wbijał włócznię w splątane futro najmocniej, jak potrafił. Na skutek uderzenia ramiona odskoczyły mu do góry, a w ustach aż zazgrzytało, tak że przez chwilę opierał się oszołomiony o szerokie plecy olbrzyma. Hunen podrzucił głowę i zawył, młócąc na boki ramionami, gdy Sludig zbliżył się z przodu z włócznią. Simon zobaczył, że Rimmersman znika, a zaraz potem bestia, zginając się wpół, powala Sludiga na ziemię.

Plujący krwią olbrzym stał nad Sludigiem; jedną ręką próbował uderzyć go maczugą, drugą zaś przyciskał do zakrwawionego brzucha. Rozwścieczony myślą, że taki potwór będzie atakował jego przyjaciół jeszcze w chwili śmierci, Simon wydał okrzyk gniewu; chwyciwszy za futro bestii i wystający z jej pleców koniec włóczni wskoczył na grzbiet Hunena.

Olbrzym wyprostował cielsko, śmierdzące mokrym włosem i zgniłym mięsem. Ogromne, zakończone szponami łapy młóciły po omacku, szukając owada, który usiadł mu na plecach, Simon zaś wbił po samą rękojeść nóż, który otrzymał od trollów. Nóż utkwił w szyi tuż pod wykrzywioną szczęką. Chwilę później poczuł, że chwytają go palce szerokie jak jego przegub i że wylatuje w powietrze. Przez jakiś czas miał uczucie, że nic nie waży; niebo było popękaną, wirującą szarością, bielą i ciemnym błękitem. Wreszcie upadł.

Leżał wpatrzony w okrągły kamień tuż obok jego nosa. Nie czuł kończyn; ciało miał bezwładne jak wypatroszona ryba, nie słyszał nic poza odległym rykiem i cienkimi piskami. Kamień leżał przed nim, okrągły, masywny, nieruchomy. Była to bryła granitu poprzecinana białymi paskami, która, być może, leżała tam od zarania dziejów. Nie odznaczała się niczym szczególnym. Tylko kawałek kości ziemi, którego ostre krawędzie wygładziły eony wiatru i wody.

Simon nie mógł się ruszyć, lecz widział wyraźnie ten nieruchomy, wspaniale nieistotny kamień. Leżał, wpatrując się w niego długo, i czuł pustkę tam, gdzie miał ciało, aż kamień zaczął migotać w różowym blasku zachodzącego słońca.

Przyszli po niego, kiedy ukazała się Sedda, księżyc; jej blade oblicze wynurzyło się z wieczornej mgły. Małe, delikatne dłonie uniosły Simona i położyły na kocu. Kołysał się lekko, kiedy niosły go w dół zboczem, a potem ułożyły przy ogromnym ognisku. Patrzył w górę, jak księżyc wspina się po niebie. Przyszedł Binabik i powiedział wiele kojących słów, lecz wszystkie one wydawały się Simonowi bez związku. Pozostali pomogli opatrzyć jego rany i owinąć je chłodnymi, nasączonymi wodą szmatami. Potem Binabik nucił jakieś powtarzające się pieśni i dał mu

czarę ciepłego napoju. Podtrzymując opadającą głowę chłopca, pozwolił, by cierpki płyn wsączył się do jego gardła.

„Pewnie umieram” – pomyślał Simon. Myśl ta w pewnym sensie uspokoiła go. Miał wrażenie, że dusza opuściła już jego ciało, gdyż prawie w ogóle go nie czuł. „Szkoda, że nie zdążyliśmy wydostać się z tych śniegów i nie udało mi się wrócić do domu...”

Pomyślał też, że odczuwał już kiedyś taki spokój; w chwili, kiedy stanął przed Igjarjukiem, zapadła cisza, która zdawała się ogarniać cały świat. Przeżył chwilę bezczasu, zanim zadał cios mieczem, zanim trysnęła fontanna czarnej krwi.

„Lecz tym razem miecz mi nie pomógł... Czy stracił coś ze swej przydatności, odkąd zeszli z Urmsheim? Czy może był on tak samo niestały jak pogoda i wiatr?”

Simon przypomniał sobie letnie, ciepłe popołudnie w Hayholt, kiedy słońce zaglądało przez okna do komnaty Doktora Morgenesa, powodując, że leniwie unoszące się drobinki pyłu przypominały szybujące iskierki.

Nie czyń żadnego miejsca swym domem – powiedział mu wtedy starzec. – *Niech twoim domem będzie twoja własna głowa. Znajdziesz wszystko, co jest potrzebne do jej umeblowania: pamięć, przyjaciół, którym możesz zaufać, umiłowanie nauki i tym podobne rzeczy. W ten sposób będziesz miał dom wszędzie tam, dokąd się udasz...*

„Czy takie jest umieranie? – zastanawiał się Simon. – Czy jest to właśnie podróż do domu? To nie jest takie złe”.

Binabik znowu zaczął śpiewać; jego senna pieśń przypominała płynącą wodę. Simon poddał się jej mocy i popłynął z nurtem.

Obudziwszy się następnego dnia, Simon nie miał pewności, czy jeszcze żyje. Ci, którzy przeżyli, zmienili rano miejsce postoju; Simon i pozostali ranni zostali przeniesieni do jaskini pod przechyloną skałą. Kiedy otworzył

oczy, ujrzał nad sobą dziurę, w której widział szare niebo. O tym, że wciąż znajduje się na tym samym świecie, przekonały go nastroszone, czarne ptaki przelatujące przed wejściem do jaskini; ptaki i ból odczuwany we wszystkich kończynach.

Leżał, sprawdzając, jak bardzo boli, i zginając kolejne stawy. Był obolały, lecz mógł się poruszać. Był cały.

Niebawem nadszedł Binabik z kolejną porcją leczniczego napoju. Troll też nie uszedł bez obrażeń, o czym świadczyły długie zadrapania na jego policzku i szyi. Binabik był bardzo poważny, lecz Simonowi wydawało się, że zaledwie zerknął na jego rany.

– Odnieśliśmy poważne straty – powiedział troll. – Przykro mi o tym mówić, ale... Haestan nie żyje.

– Haestan? – Simon usiadł. Przez chwilę zapomniał o bolących mięśniach. – *Haestan?* – Poczuł ciężar w żołądku.

Binabik skinął głową.

– Spośród dwóch tuzinów mych towarzyszy dziewięciu zginęło, a sześciu kolejnych odniosło poważne rany.

– Jak zginął Haestan? – Odczuwał mdlące uczucie nierzeczywistości. Jak to możliwe, by Haestan nie żył? Czy nie rozmawiali ze sobą zaledwie parę chwil temu... parę chwil... – A co ze Sludigiem?

– Sludig jest ranny, ale to nic poważnego. Poszedł z trollami narąbać drewna na ognisko. Musimy wyleczyć rannych, rozumiesz? A Haestan... – Binabik uderzył się w pierś wewnętrzną stroną dłoni. Simon wiedział już, że jest to gest trolli mający odegnać zło. Troll miał bardzo nieszczęśliwą minę. – Jeden z olbrzymów zadał mu cios maczugą w głowę. Powiedziano mi, że odepchnął cię, ratując przed niebezpieczeństwem, i niedługo potem sam zginął.

– Och, Haestanie – jęknął Simon. Myślał, że się rozpłacze, lecz łzy nie popłynęły. Czuł, że twarz ma dziwnie odrętwiałą, a jego smutek jest słaby. Objął swą głowę dłońmi. Stary gwardzista był tak pełen życia, taki serdeczny. Źle, że tak szybko można odebrać komuś życie. Doktor Morgenes, Grimmric i Ethelbearn, An’nai, a teraz jeszcze Haestan – wszyscy nie żyją, wszyscy umarli dlatego, że próbowali zrobić coś dobrego. Gdzie były moce, które powinny strzec takich niewinnych ludzi?

– A Sisqi? – spytał Simon, przypominając sobie nagle o narzeczonej trolla. Spojrzał uważnie na twarz przyjaciela, lecz Binabik uśmiechnął się tylko zdawkowo.

– Przeżyła i nie odniosła większych obrażeń.

– Czy możemy znieść ciało Haestana z góry? Nie chciałby chyba tam zostać.

Binabik pokręcił głową niechętnie.

– Nie możemy przenieść go tutaj. Nie na naszych baranach. On był ogromnym mężczyzną, za duży dla baranów. Poza tym czeka nas jeszcze niebezpieczna droga, zanim dotrzemy na równinę. Musimy zostać tutaj, lecz jego kości spoczną z honorem z kośćmi naszych ludzi. Pozostanie z innymi dzielnymi wojownikami. Myślę, że tego by sobie życzył. Powinieneś się jeszcze przespać, ale dwie osoby chciałyby z tobą porozmawiać.

Binabik cofnął się. Przy wejściu do jaskini czekali Sisqi i pasterz Snenneq. Teraz podeszli oboje i stanęli obok Simona. Narzeczona przemówiła w języku trolli. Jej ciemne oczy wypełniał smutek. Stojący obok niej Snenneq przestępował z nogi na nogę z zakłopotaniem.

– Sisqinanamook mówi, że przykro jej z powodu tego, że utraciłeś przyjaciela. Mówi też, że wykazałeś rzadko spotykaną odwagę. Wszyscy mogli zobaczyć na własne oczy, jaki dzielny byłeś też na smoczej górze.

Simon skinął głową zawstydzony. Snenneq chrząknął i zaczął swoje przemówienie. Simon czekał cierpliwie, aż Binabik przetłumaczy mu słowa trolla.

– Snenneq, pierwszy pasterz na Niższym Chugiku, także wyraża swój smutek. Wczoraj skończyło się niejedno dobre życie. Chciałby oddać ci coś, co zgubiłeś.

Pasterz wręczył Simonowi z wielką czcią nóż z kościaną rączką.

– Wyrwano go z szyi martwego olbrzyma – powiedział cicho Binabik. – Na darze od ludu Qanuc była krew przelana w obronie tego ludu. Ma to ogromne znaczenie dla trolli.

Simon przyjął nóż i wsunął go w zdobioną pochwę przypiętą do pasa.

– *Guyop* – powiedział. – Powiedz im, że cieszę się, że go odzyskałem. Nie wiem dokładnie, co znaczy „krew przelana w obronie tego ludu”, gdyż walczyliśmy przeciw wspólnemu wrogowi. Nie chcę myśleć teraz o zabijaniu.

– Oczywiście. – Binabik powiedział coś krótko do Sisqi i pasterza.

Przytaknęli mu oboje. Sisqi pochyliła się i dotknęła ramienia Simona w niemym geście współczucia, po czym odwróciła się i wyszła razem z Snenneq’em.

– Sisqi przewodzi trollom, które budują kopce dla zmarłych – wyjaśnił Binabik. – Ty, Simonie, przyjacielu, nie masz nic do roboty. Śpij.

Binabik otulił Simona troskliwie płaszczem i opuścił jaskinię; wychodząc, starannie omijał śpiących na podłodze pozostałych rannych. Simon popatrzył za nim, myśląc o Haestanie i innych zmarłych. Czy nawet teraz wędrowali drogą w kierunku całkowitego bezruchu, której on przez chwilę doświadczył?

Kiedy zasnął, śniło mu się, że widzi, jak szerokie bary jego przyjaciela z Erkynlandu znikają w końcu korytarza, który prowadzi do białej ciszy.

Simon pomyślał, że Haestan nie wydawał się iść ze skruchą – ale w końcu to był tylko sen.

NASTĘPNEGO DNIA POŁUDNIOWE SŁOŃCE przebiło się przez mgły, oblewając swym blaskiem wyniosłe szczyty Sikkihoq. Simon czuł się lepiej, niż się tego spodziewał. Z pomocą Sludiga udało mu się pokuśtykać do skalnej półki, na której kończono budowę kopców. Było ich dziesięć, dziewięć małych i jeden duży, kamienie na wszystkich ułożono starannie, aby nie zniszczył ich wiatr.

Zanim Sludig i pomagające mu trolle przykryli płaszczem Haestana, Simon zobaczył jego bladą twarz, umazaną krwią. Haestan miał oczy zamknięte, lecz rany, jakie otrzymał, nie pozostawiały wątpliwości, że jego kompan nie śpi tylko. Zginął z rąk brutalnych sług Króla Burz i to należało zapamiętać. Haestan był prostym człowiekiem. Z pewnością doceniłby napomknienie Simona o zemście.

Kiedy pochowano Haestana i przykryto jego kopiec kamieniami, opuszczono do grobów ciała dziewięciu trolli i ich towarzyszek; każde z nich miało przy sobie jakiś charakterystyczny dla niego przedmiot – tak powiedział Simonowi Binabik. Po zabezpieczeniu wszystkich dziewięciu kopców wystąpił Binabik. Uniósł dłoń i pozostałe trolle zaintonowały pieśń. Wielu z nich miało łzy w oczach; jedna zalśniła też na policzku Binabika. Po pewnym czasie trolle przestały śpiewać. Teraz wystąpiła Sisqi. Wręczyła Binabikowi pochodnię i małą torbę. Binabik wysypał z niej coś na wszystkie groby, po czym podpalił je. Z każdego uniosła się wąska strużka dymu, którą zaraz poszarpał górski wiatr. Oddawszy pochodnię Sisqi, zaczął nucić, wypowiadając bardzo długi strumień słów w języku Qanuc. Melodia ta wznosiła się i opadała, podobnie jak głos samego wiatru.

Wreszcie Binabik skończył pieśń wiatru. Wziął pochodnię i torbę i wzniecił smugę dymu także na kopcu Haestana.

Sedda powiedziała swym dzieciom

– zaśpiewał w języku Westerling,

Lingitowi i Yanie,
Drogę dla siebie wybrać kazała;
Drogę ptaka lub drogę księżyca.
Teraz wybierajcie – powiedziała.
Droga ptaka to droga jaja.
Śmierć jest drzwiami,
Dzieci jaja za nimi pozostają,
Rodzice zaś ich próg przestępują.
Czy taką drogę chcecie?
Na drodze księżyca nie ma śmierci.
Życie wciąż trwa pod gwiazdami.
Nie przechodzicie przez ciemne drzwi
I nie odkrywacie żadnych nowych krain za nimi.
Czy taką drogę chcecie?
Krewka Yana,
Jasnowłosa i uśmiechnięta,
Powiedziała: – Wybieram drogę księżyca.
Nie chcę żadnych drzwi.
Ten świat jest mym domem.
Lingit, jej brat,
Powolny, ciemnooki,

Powiedział: – Ja wybiorę drogę ptaka.
Będę chodził pod nieznanym niebem,
Ten świat mym dzieciom pozostawię.
My, dzieci Lingita,
Wszyscy jego drogą idziemy,
Raz tylko przez krainę kamieni przechodzimy,
By potem odejść,
Zniknąć za drzwiami.
Wędrujemy za nimi,
Gwiazd na niebie szukamy.
W jaskiniach poza nocą polujemy,
Obce krainy przemierzamy, dziwne światła widzimy,
Lecz nigdy nie powracamy.

Kiedy Binabik skończył śpiewać, skłonił się w stronę kopca Haestana.

– Żegnaj, dzielny człowieku. Trolle będą pamiętały twoje imię. Przez sto wiosen będziemy śpiewać o tobie na górze Mintahoq! – Odwrócił się do stojących nieopodal Simona i Sludiga. – Chcielibyście coś powiedzieć?

Simon pokiwał głową zmieszany.

– Tylko... niech cię Bóg błogosławi, Haestanie. Będą też śpiewać o tobie w Erkynlandzie, już ja tego dopilnuję.

Sludig wystąpił do przodu.

– Powinienem odmówić aedonicką modlitwę – powiedział. – Twoja pieśń była bardzo dobra, Binabiku z Mintahoq, ale Haestan był aedonitą i musi otrzymać odpowiednie pożegnanie.

– Proszę – odparł Binabik. – Wysłuchaliście mojego.

Rimmersman wyjął spod koszuli drewniane Drzewo i stanął u szczytu kopca Haestana. Wciąż unosił się z niego dym.

Panie, strzeż nas

– zaczął Sludig.

Niech Usires, Jego Syn jedyny, zabierze cię
I zaprowadzi na zielone łąki
Jego królestwa.
Gdzie dusze prawych i sprawiedliwych
Śpiewają na wzgórzach,
A aniołowie z drzew śpiewają radośnie
Głosem samego Boga.
Niech Odkupiciel strzeże cię
Przed wszelkim złem
I niech twa dusza znajdzie wieczny spokój,
A serce ulgę.

Sludig położył swe Drzewo na szczycie kopca i wrócił do Simona.

– Pozwólcie powiedzieć mi coś jeszcze – Binabik zawołał głośno. Powtórzył to samo w swoim języku i jego ludzie zwrócili się do niego skupieni. – Oto po raz pierwszy od tysięcy lat Qanuc i Utku – troll i mieszkaniec nizin – walczyli obok siebie, przelewali krew i zginęli razem. Sprowadziło to na nas nienawiść naszego wroga i naszą nienawiść do niego, lecz jeśli nasze ludy staną wspólnie do walki, która się zbliża, śmierć naszych przyjaciół tym większe będzie miała znaczenie. – Binabik odwrócił się i powtórzył to samo w swoim języku.

Wielu spośród trolli przytaknęło mu, uderzając końcami włóczni o ziemię. Gdzieś z góry dobiegło wycie Qantaqi. Jej żałosny głos odbił się echem wśród gór.

– Nie zapomnijmy o nich, Simonie – powiedział Binabik, kiedy pozostałe trolle dosiadły baranów. – Ani o innych, którzy już umarli. Niech dar ich życia dodaje nam sił, gdyż jeśli się nam nie uda, oni chyba będą zaliczać się do szczęśliwców. Możesz iść?

– Nie za długo – odpowiedział Simon. – Sludig mi pomoże.

– Nie będziemy dzisiaj długo jechać, mamy już późne popołudnie – powiedział troll, spoglądając zmrużonymi oczami na białą plamę słońca.

– Ale musimy się śpieszyć. Zabijając zaledwie pięciu olbrzymów, straciliśmy niemal połowę naszych ludzi. W górach Króla Burz pełno jest tych istot, a nie mamy pewności, czy nie ma ich więcej gdzieś w pobliżu.

– Kiedy twoi ziomkowie odłączą się od nas i pojadą do Jeziora Błękitnego Błota, o którym mówili wasi przywódcy?

– To kolejna sprawa, która mnie niepokoi – odparł ponuro Binabik.

– Za jakiś dzień lub dwa zostaniemy tylko we trójkę. – Odwrócił się, gdy ogromna, szara postać przycisnęła się do jego łokcia, dysząc ciężko. Qantaqa trącała go niecierpliwie swym szerokim pyskiem. – W czwórkę – poprawił się, lecz nie poprawiło mu to humoru.

Simon ruszył w dół podnóża Sikkihoq z uczuciem pustki; miał wrażenie, że jeśli zatrzyma się i stanie wyprostowany, wiatr przeleci przez niego. Odszedł jeszcze jeden przyjaciel, a dom pozostawał tylko słowem.

9. Zimno i przekleństwa

ZAPADAŁ ZMIERZCH. Obdarci poddani księcia Josui stłoczyli się pod plątaniną wierzb i cyprysów w porośniętym mchem wąwozie, który kiedyś był korytem rzeki. Teraz jego środkiem płynęła zaledwie błotnista strużka. Nad nimi wznosił się pagórek; jego szczyt ginął za plątaniną drzew.

Mieli nadzieję znaleźć się na górze przed zachodem słońca – byłaby to najlepsza pozycja do obrony w ciasnym wąwozie – lecz zmierzch szybko zapadał, a oni prawie się czołgali.

Deornoth zastanawiał się, czy ich przeczucia się sprawdziły, i Nornom bardziej zależało na tym, żeby skierować ich w odpowiednim kierunku, niż żeby ich zabić. Przez cały dzień nadlatujące strzały nie dawały im spokoju. Niektóre z nich dotarły do celu, lecz żadne z ran nie okazały się groźne. Jedna ze strzał trafiła Einskaldira w hełm i drasnęła go nad okiem, krwawił przez całe popołudnie. Inna ugodziła Isorna w plecy, a jeszcze następna była przyczyną długiej, krwawej pręgi na przedramieniu lady Vorzhevy.

Ku zdziwieniu pozostałych Vorzheva wydawała się prawie nie zauważać odniesionej rany; opatrzyła ją tylko paskiem ze swej podartej spódnicy i poszła dalej bez słowa narzekania. Deornoth był pod wrażeniem takiego aktu odwagi, choć zastanawiał się, czy jej zachowanie nie jest raczej przejawem pełnego desperacji braku rozwagi. Najwyraźniej nie

rozmawiała z księciem Josuą. Zawsze, gdy tylko się zbliżał, stawała się bardzo ponura.

Jak dotąd Josua, ojciec Strangyeard i księżna Gutrun nie odnieśli żadnych ran. Dlatego gdy tylko znaleźli się pod słabą osłoną wąwozu, natychmiast zajęli się opatrywaniem pozostałych. Duchowny został obok Towsera, który rozchorował się w czasie marszu, gdy tymczasem pozostała dwójka opatrywała rany Sangfugola.

„Nawet jeśli Nornowie nie chcą nas zabić, z pewnością zależy im na tym, żeby nas zatrzymać – pomyślał Deornoth, rozcierając bolącą nogę. – Może nie obchodzi ich już, czy mamy jeden z Wielkich Mieczy, a może jeden ze szpiegów powiedział im, że nie mamy żadnego. Dlaczego więc po prostu nas nie zabiją? Czy chcą dostać Josuę? – Deornoth czuł, że kręci mu się w głowie od tych myśli. – Co powinniśmy zrobić? Czy lepiej wykrwawić się, a potem dać się złapać, czy też stawić czoło wrogowi i umrzeć w walce?”

Tylko czy mieli wybór? Nornowie byli jak cienie w lesie. Ich bladolicy prześladowcy mogli robić, co chcieli, dopóki mieli strzały. Co skłoniłoby ich do walki?

Nad mokrą ziemią szybko tworzyła się mgła, drzewa i skały stawały się nierzeczywiste, jakby Josua i jego ludzie zostali schwytani między światem życia i śmierci. Nad ich głowami przeleciała bezgłośnie sowa podobna do szarego ducha.

Deornoth wstał z trudem, by pomóc Strangyeardowi. Przyszedł też do nich książę i przyglądał się, jak duchowny ociera czoło Towsera swoją chustką.

– Szkoda... – odezwał się Strangyeard, nie podnosząc głowy. – Szkoda, że taka mgła, lecz mimo to mamy bardzo mało czystej wody. Mokro dookoła, ale nam nic z tego.

– Jeśli dzisiejsza noc będzie równie wilgotna i zimna jak poprzednia – powiedział Deornoth, ściskając dłoń Towsera, który gorączkowo chwycił chustkę – będziemy mogli wyżąć nasze ubrania i wypełnić wodą Kynslagh.

– Nie możemy spędzić tutaj nocy – powiedział Josua. – Musimy wejść wyżej.

Deornoth popatrzył na niego uważnie. Zupełnie nie widać było po nim dotychczasowego znużenia; wręcz przeciwnie, jego oczy błyszczały żywo. Kiedy wszyscy wokół umierali, on zdawał się wracać do życia.

– Ale jak, mój książę? – spytał Deornoth. – Czy będziemy w stanie wciągnąć nasze poranione ciała na tamto wzgórze? Nie wiemy nawet, jak tam jest wysoko.

Josua przytaknął mu, lecz powiedział:

– Musimy jednak dostać się tam przed nocą. Na nic nie przydadzą nam się resztki sił, jakie zachowaliśmy, jeśli będą mogli zaatakować nas z góry.

Podszedł Einskaldir z twarzą umazaną zakrzepłą krwią i przykucnął obok księcia.

– Jeśli w ogóle zbliżyliby się na odległość miecza. – Ścisnął mocniej topór i roześmiał się gorzko. – Wystarczy, żebyśmy się pokazali, a poćwiartują nas na kawałki. Lepiej od nas widzą w ciemności.

– Musimy iść na górę grupą – powiedział książę. – Jedno przy drugim, jak przestraszone bydło. Ci od zewnętrznej owiną sobie nogi i ramiona najgrubszymi okryciami, jakie mamy. W ten sposób może nie będą strzelali, by nie zabić tego, kogo nie chcą zabić; może będą się obawiali, że nie trafiając w kogoś z przodu, ugodzą osobę z tyłu.

Einskaldir chrząknął.

– Tak więc będziemy stanowić doskonały cel. Żeby zabić jednego, będą musieli zabić więcej. Czyste szaleństwo!

Josua odwrócił się do niego gwałtownie.

– Einskaldirze, nie ty odpowiadasz za życie tych ludzi, lecz ja! Idź, jeśli chcesz walczyć po swojemu. Lecz jeśli chcesz zostać, siedź cicho i rób, co ci każę!

Pozostali, zajęci dotąd rozmową, umilkli w napięciu. Rimmersman wpatrywał się przez chwilę w Josuę; jego spojrzenie wydawało się puste, a broda mu drżała. Po chwili na jego twarzy pojawił się ponury uśmiech podziwu.

– *Haja* – tak, książę Josuo – odparł krótko.

Książę położył dłoń na ramieniu Deornotha.

– Nawet jeśli nie ma już dla nas nadziei, możemy tylko brnąć dalej...

– *Jest jeszcze nadzieja, jeśli potraficie ją usłyszeć.*

Deornoth odwrócił głowę, spodziewając się zobaczyć obok siebie księżnę Gutrun, gdyż wydawało mu się, że słyszy głos starszej kobiety, głos niski i trochę ochrypły, lecz Gutrun opatrywała rany Sangfugola i była zbyt daleko, by docierał tu jej głos.

– Kto mówi? – spytał Josua i powiódł wzrokiem po rosnących wokół drzewach. Wysunął z pochwy swój wąski miecz. – Pytałem, kto mówi?

– *Ja* – usłyszeli zwięzłą odpowiedź. Akcent wskazywał, że mówi to ktoś, dla kogo Westerling nie jest językiem ojczystym. – *Nie chciałam was przestraszyć. Ale, jak powiedziałam, jest jeszcze nadzieja. Przychodzę jako przyjaciel.*

– To jakieś sztuczki Nornów! – warknął Einskaldir i jak zwykle uniósł topór, przechylając głowę, by zorientować się, skąd dochodzi głos.

Josua powstrzymał go uniesioną dłonią i zawołał:

– Jeśli jesteś przyjacielem, dlaczego się nie pokażesz?

– *Ponieważ nie skończyłam się jeszcze przemieniać, a nie chcę was przestraszyć. Wasi przyjaciele są moimi przyjaciółmi – Morgenes z Hayholt, Binabik z Yiqanuc.*

Deornoth poczuł dreszcz emocji, słysząc słowa niewidocznej istoty, która wspominała znane mu imiona, i to w samym środku nieznanego lasu Aldheorte!

– Kim jesteś? – zawołał.

Coś zaszeleściło w mrocznych zaroślach. Z mgły wyłoniła się dziwna postać. Nie, po chwili Deornoth zorientował się, że były to dwie postacie: duża i mała.

– W tej części świata – przemówiła większa postać, a w jej chrapliwym nieco głosie zabrzmiała wesoła nuta – nazywają mnie Geloë.

– *Valada* Geloë! – Josua wstrzymał oddech. – Ta mądra kobieta. Binabik opowiadał nam o tobie.

– Niektórzy mówią mądra, inni czarownica – odparła. – Binabik jest mały, ale uprzejmy. Lecz o tym porozmawiamy później. Ściemnia się.

Geloë nie była wysoka ani bardzo masywna, jednak coś w jej postawie sprawiało wrażenie siły. Jej krótko obcięte włosy były prawie zupełnie siwe; nos miała ostry i wydatny, zakrzywiony do dołu. Lecz najbardziej uwagę patrzących przyciągały jej oczy: duże, przymrużone, chwytały promienie zachodzącego słońca, przez co lśniły żółtawym blaskiem, który przywodził Deornothowi na myśl oczy jastrzębia lub sowy. Oczy Geloë tak bardzo go zaabsorbowały, że dopiero po jakimś czasie dostrzegł dziewczynkę, którą kobieta trzymała za rękę.

Dziewczynka miała osiem lub dziewięć lat i była bardzo blada. Jej oczy o niespotykanie głębokim odcieniu brązu także posiadały dziwną intensywność. Lecz podczas gdy spojrzenie Geloë przyciągało uwagę tak jak drżąca strzała na napiętej cięciwie łuku, mała dziewczynka wydawała się patrzeć w nicość, jej spojrzenie przypominało spojrzenie ślepego żebraka.

– Przyszłyśmy tutaj z Leleth, żeby się do was przyłączyć – wyjaśniła Geloë – i żeby was poprowadzić, przynajmniej przez jakiś czas. Jeśli spróbujecie wejść na tamto wzgórze, część z was zginie. Nikomu nie uda się dotrzeć na sam szczyt.

– Skąd wiesz? – spytał stanowczo Isorn. Był zdezorientowany, podobnie jak i inni.

– A wiem. Jasne jest, że Nornowie nie chcą was zabić; gdyby było inaczej, nie przeszlibyście pieszo przez las nawet jednej dziesiątej tej drogi, którą dotąd pokonaliście. Lecz jeśli wyjdziecie poza to wzgórze, wejdziecie na terytorium zakazane dla Hikeda'ya. A zatem, jeśli są wśród was tacy, na których życiu im nie zależy – a z pewnością tak jest – Nornowie zaryzykują i zabiją ich po to, by odstraszyć pozostałych od tych wzgórz.

– Co więc nam radzisz? – spytał Josua, wysuwając się do przodu. Ich spojrzenia się spotkały. – Za tym wzgórzem możemy znaleźć bezpieczeństwo, ale nie wolno nam ryzykować pójścia tam. Czy mamy położyć się tutaj i umrzeć?

– Nie – odparła spokojnie Geloë. – Powiedziałam tylko, że nie powinniście wchodzić na wzgórze. Można się dostać na drugą stronę inną drogą.

– Przefruniemy? – warknął Einskaldir.

– Niektórzy. – Geloë uśmiechnęła się, jakby usłyszała dobry dowcip. – Musicie tylko iść za mną. Wzięła dziewczynkę za rękę i ruszyła wzdłuż krawędzi wąwozu.

– Dokąd idziesz? – zawołał za nią Deornoth i zaraz poczuł ukłucie strachu, widząc, że dziewczynka i kobieta znikają w mroku.

– Idźcie za mną – rzuciła przez ramię Geloë. – Robi się coraz ciemniej.

Deornoth odwrócił się do Josui, lecz książę pomagał już wstać księżnej Gutrun. Kiedy wszyscy zbierali w pośpiechu swój skromny dobytek, Josua

podszedł do Vorzhevy i wyciągnął dłoń w jej stronę. Ona zaś, nie zważając na niego, wstała i ruszyła przed siebie z dumnie podniesioną głową niczym królowa na czele procesji. Pozostali poszli za nią chwiejnym krokiem, szepcąc między sobą.

GELOË ZATRZYMAŁA SIĘ, by zaczekać na maruderów. Stojąca u jej boku Leleth patrzyła niespokojnie w las, jakby spodziewała się tam kogoś zobaczyć.

– Dokąd idziemy? – spytał Deornoth, kiedy zatrzymał się z Isornem, by zdrapać z butów błoto z koryta rzeki.

Sangfugol, nie mogąc iść o własnych siłach, siedział sam, dysząc ciężko.

– Nie wyjdziemy z lasu – wyjaśniła czarownica i spojrzała na widoczny między gałęziami wierzby kawałek purpurowego nieba. – Ale przejdziemy pod wzgórzem do części starego lasu, która kiedyś nazywała się Shisae’ron. Jak już mówiłam, Hikeda’ya nie będą nas tam ścigać.

– Przejdziemy pod wzgórzem? Co to ma znaczyć? – dopytywał się Isorn.

– Idziemy teraz korytem pradawnej rzeki Re Suri’eni – wyjaśniła Geloë. – Kiedy byłam tutaj po raz pierwszy, las tętnił życiem i nie był taką ciemną dżunglą, jaką stał się teraz. Ta rzeka – podobnie jak wiele innych – płynęła przez wielkie lasy, a różne stworzenia i istoty pływały jej nurtem od Da’ai do wielkiego Asu’a.

– Asu’a? – zdziwił się Deornoth. – Czy nie tak nazywali Sithowie Hayholt?

– Asu’a było czymś więcej, niż Hayholt może być kiedykolwiek – odpowiedziała stanowczo Geloë, spoglądając na maruderów. – Wy, ludzie, jesteście czasem jak jaszczurki, które wygrzewają się na ruinach starego

domu i myślą: „Co za wspaniałe miejsce do wygrzewania się, które ktoś dla mnie zbudował”. Stoicie teraz na piasku, który kiedyś był dnem wspaniałej, szerokiej rzeki; na jej brzegach rosły kwiaty, a jej nurtem pływały łodzie Starego Ludu.

– To była zaczarowana rzeka? – spytał Isorn zamyślony. Zdumiony rozglądał się dookoła, jakby w samym korycie rzeki mógł znaleźć jakieś oznaki zdrady.

– Idiota! – rzuciła pogardliwie Geloë. – Tak, to była zaczarowana rzeka. Cała ta kraina była – jak byś ty powiedział – zaczarowana. A jak myślisz, co za istoty nas ścigają?

– Wie...wiedziałem o tym – wymamrotał zawstydzony Isorn. – Nie o to mi chodziło. Ich strzały i miecze były prawdziwe i tylko one mnie obchodziły.

– Były tak samo prawdziwe jak strzały i miecze twoich przodków, *Rimmersmenów,* co przyczyniło się do konfliktów między wami a nimi. Różnica jednak polega na tym, że chociaż zbóje króla Fingila zabili swymi mieczami z czarnego żelaza wielu Sithów, Fingil i inni wasi przodkowie zestarzeli się wreszcie i zmarli. Dzieci Wschodu nie umierają – przynajmniej nie w takim czasie, jaki jesteście w stanie pojąć – i nie zapominają dawnych krzywd. Z wiekiem przybywa im tylko cierpliwości. – Geloë wstała, rozglądając się za Leleth, która oddaliła się nieco. – Ruszajmy – zawołała zdecydowanie. – Po drugiej stronie będzie czas na leczenie ran.

– Po drugiej stronie czego? – spytał Deornoth. – Jak przejdziemy? Nie powiedziałaś do końca.

– Szkoda czasu na wyjaśnienia – powiedziała. – Wkrótce tam będziemy.

Zmierzch szybko zapadał i marsz stawał się coraz trudniejszy, lecz Geloë była pewnym przewodnikiem. Zwiększyła tempo i zatrzymywała się

jedynie, by pozwolić dołączyć maruderom.

Niebo przybrało już odcień nocy, kiedy rzeka ponownie skręciła. Nagle przed nimi wyłonił się ciemniejszy kształt, coś równie wysokiego jak drzewo, lecz ciemniejszego od wszystkiego, co ich otaczało. Piechurzy zatrzymali się, a ci, którzy mieli jeszcze trochę siły, jęknęli zmęczeni.

Geloë wyjęła ze swej torby pochodnię i podała ją Einskaldirowi. Powstrzymał uwagę cisnącą mu się na usta, napotkawszy spojrzenie jej żółtych, zmrużonych oczu.

– Weź ją i zapal od krzemienia i metalu – powiedziała. – Tam, gdzie idziemy, będzie nam potrzebne trochę światła.

Niedaleko przed nimi koryto rzeki ginęło w ciemności ogromnej dziury widocznej w zboczu wzgórza; jej sklepione wejście wykonane z ciosanych kamieni niemal zupełnie ginęło pod mchem.

Einskaldir uderzył w ostrze swej siekiery i iskra natychmiast przeskoczyła na pochodnię. W jej żółtawym blasku ukazały się pod mchem inne kamienie. Ze zbocza wzgórza ponad wejściem wyrastały olbrzymie, stare drzewa, wiecznie ścigające się ku słońcu.

– Tunel pod całym wzgórzem? – spytał zdumiony Deornoth.

– Stary Lud potrafił wspaniale budować – powiedziała Geloë – lecz najlepiej budowali wokół rzeczy stworzonych przez naturę i tak miasto współżyło często z lasem albo z górą.

Sangfugol zakasłał.

– Wygląda to jak... kryjówka duchów – szepnął.

Geloë prychnęła.

– Nawet jeśli tak jest, nie tych zmarłych powinniście się obawiać. – Chciała chyba jeszcze coś powiedzieć, lecz nagle usłyszeli świst i plaśnięcie. Strzała utkwiła w pniu cyprysa, tuż obok głowy Einskaldira.

– *Wy, którzy uciekacie* – rozległ się zimny głos, którego echo nie pozwoliło zorientować się, skąd pochodzi. – *Teraz musicie się poddać. Dotąd was oszczędzaliśmy, ale nie możemy pozwolić wam iść dalej. Wszystkich was zniszczymy.*

– Oszczędź nas, Aedonie! – zapłakała księżna Gutrun, a jej odwaga nagle się załamała. – Ratuj nas, Panie! – Po tych słowach osunęła się na mokrą ziemię.

– To przez tę pochodnię! – zawołał Josua, podchodząc szybko. – Zgaś ją, Einskaldirze.

– Nie – odezwała się Geloë. – Nigdy nie znajdziecie drogi w ciemności. – *Hikeda'yei* – zawołała donośnie. – Czy wiecie, kim jestem?

– *Tak, stara kobieto, wiemy* – odpowiedział głos. – *Lecz bez względu na to, jaki należy ci się szacunek, straciłaś go w chwili, gdy związałaś swój los z tymi śmiertelnikami. Świat mógł kręcić się dalej, a ty mogłaś żyć spokojnie w swoim domu, ale nie chciałaś tego. Teraz ty także jesteś jak krab bez skorupy. Ty też możesz umrzeć, stara kobieto.*

– Zgaś pochodnię, Einskaldirze – rzucił Josua. – Zapalimy drugą, kiedy będziemy już bezpieczni.

Rimmersman patrzył przez chwilę na księcia. Było już ciemno i gdyby nie skaczący płomień pochodni, Josua nie dostrzegłby uśmiechu Einskaldira.

– Ruszajcie zaraz za mną – odpowiedział Rimmersman.

Chwilę później z pochodnią uniesioną wysoko nad głową pomknął korytem rzeki w kierunku sklepionego wejścia. Strzała przemknęła obok pozostałych, kiedy Einskaldir, który teraz był zaledwie podskakującym, świetlnym punktem, skręcił nagle i zrobił unik.

– Ruszajcie! Biegnijcie! – zawołał Josua. – Pomagajcie biegnącym najbliżej was! Biegnijcie!

Ktoś krzyczał w obcym języku i nagle cały las wypełnił się wrzawą. Deornoth schylił się i chwycił Sangfugola pod ramię. Postawił go na nogi i razem ruszyli pod zwisającymi gałęziami, kierując się za skaczącą iskrą pochodni Einskaldira.

Gałęzie biły ich po twarzy i cięły po oczach okrutnymi szponami. Gdzieś przed nimi rozległ się kolejny okrzyk bólu i przeraźliwe głosy wzmogły się. Deornoth odwrócił się na chwilę. Z mgły wyłaniało się mnóstwo bladych postaci; widok ich czarnych jak smoła oczu napełnił go grozą.

Coś uderzyło w bok głowy Deornotha z taką siłą, że aż się zachwiał. Usłyszał szlochanie harfiarza, który wisiał na jego ramieniu. Przez długą chwilę Deornothowi wydawało się, że najprościej będzie po prostu położyć się na ziemi.

– *Litościwy Aedonie, daj mi odpoczynek* – usłyszał słowa własnej modlitwy. – *W Twych ramionach zasnę, na Twym łonie spokój znajdę...* – Lecz Sangfugol nie pozwolił mu się zatrzymać i ciągnął go za sobą. Oszołomiony i rozzłoszczony wstał z trudem raz jeszcze i ujrzał między gałęziami lśniące na niebie gwiazdy.

„Za mało światła, żeby widzieć pod wzgórzem” – pomyślał i zorientował się, że znowu biegnie. Lecz wydawało mu się, że posuwają się z Sangfugolem bardzo wolno; czarna plama wejścia wcale się nie przybliżała. Spuścił głowę i zaczął przyglądać się swoim stopom; widział tylko niewyraźne cienie, które ślizgały się na błotnistym podłożu koryta rzeki. „Moja głowa. Znowu jestem ranny w głowę...”

Następną rzeczą, jakiej Deornoth był świadomy, było to, że wpadł w ciemność tak nagle, jakby ktoś zarzucił mu worek na głowę. Czuł, że kilka par dłoni podtrzymuje go i prowadzi do przodu. Miał dziwne uczucie lekkości i pustki w głowie.

– Pochodnia jest przed nami – powiedział ktoś w pobliżu.

„To chyba głos Josui – pomyślał Deornoth. – Czy on też jest pod tym workiem?”

Przeszedł jeszcze kilka chwiejnych kroków i dopiero wtedy dostrzegł światło. Spojrzał w dół, starając się zrozumieć to wszystko. Einskaldir siedział na ziemi oparty o ścianę, która wyżej przechodziła w sklepienie. Rimmersman trzymał w dłoni pochodnię. Na jego brodzie lśniła krew.

– Weź ją – powiedział Einskaldir, lecz słowa te nie były skierowane do konkretnej osoby. – Ja... mam strzałę... strzałę w plecach. Nie... nie mogę oddychać. – Powoli osunął się do przodu na nogę Josui.

Wyglądało to tak dziwnie, że Deornoth miał ochotę się roześmiać, lecz nie mógł. Uczucie pustki wypełniało go coraz bardziej. Schylił się, by pomóc Einskaldirowi, lecz nagle sam znalazł się w głębokiej, czarnej dziurze.

– Usiresie, ratuj nas! Spójrzcie na głowę Deornotha! – ktoś zawołał. Nie rozpoznał głosu i zastanawiał się, o kogo tak się niepokoili... Ciemność znowu powróciła i nie mógł myśleć. Dziura, do której wpadł, wydawała się bardzo głęboka.

RACHEL, ZWANA SMOKIEM, przełożona pokojówek w Hayholt, poprawiła na ramieniu stos mokrej bielizny, starając się złapać równowagę i odciążyć nieco bolące plecy. Oczywiście nie miało to sensu: wiedziała, że nie zazna ulgi, dopóki Bóg Ojciec nie zabierze jej do nieba.

Rachel wcale nie czuła się jak Smok. Pokojówki nazwały ją tak dawno temu, kiedy siła jej woli była jedyną przeszkodą między starym zamkiem Hayholt a falami rozkładu. Zdziwiłyby się, widząc ją dzisiaj w takim stanie: zgarbiona, utyskująca starucha. Sama się dziwiła. Któregoś ranka, spojrzawszy w srebrną tacę, ujrzała wiedźmę o wychudzonej twarzy

i podkrążonych oczach. Choć już od lat nie przejmowała się swym wyglądem, ten widok był dla niej zaskakującą przemianą.

Czy od śmierci Simona upłynęły zaledwie cztery miesiące? Jej wydawało się, że minęły całe lata. Tamtego dnia poczuła, że wszystko wymyka jej się z rąk. Zawsze panowała nad całym gospodarstwem Hayholt niczym kapitan tyran, lecz mimo narzekań młodych podwładnych praca zawsze była wykonana na czas. Rachel nigdy nie przejmowała się buntowniczymi protestami: w jej przekonaniu życie było jedynie niekończącą się walką z nieporządkiem, w której nieporządek i tak był zwycięzcą. Zamiast pogodzić się z bezskutecznością swych wysiłków, Rachel podwoiła swoje wysiłki. Jej rodzice, głęboko wierzący aedonici z Północy, nauczyli ją, że im bardziej beznadziejna sprawa, tym odważniej trzeba stawiać jej czoło. Lecz siły opuściły ją, gdy Simon zginął w ognistym piekle, w jakie zamieniły się komnaty Doktora Morgenesa.

Nie można było powiedzieć o Simonie, żeby był bardzo grzecznym dzieckiem; nie, daleko mu było do tego. Uparty i nieposłuszny, marzyciel i gamoń. Mimo to w jakiś dziwny, irytujący sposób ożywiał ją. Gotowa była znosić ataki gniewu, jakie u niej wywoływał, byleby tylko żył.

W rzeczywistości trudno jej było pogodzić się z myślą, że Simon nie żyje. Nic nie mogło przetrwać pożaru w komnatach Morgenesa, który powstał – jak jej powiedzieli gwardziści Króla – w wyniku zapalenia się pewnych diabelskich substancji Doktora. Widok walących się krokwi i wypalonego wnętrza nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że nikt nie mógł tam przeżyć dłużej niż kilka chwil. Lecz Rachel nie czuła, że Simon zginął. Była mu prawie matką; chyba tak. Wychowywała go – oczywiście z pomocą pokojówek – od chwili jego narodzin, kiedy rodzona matka umarła zaraz po porodzie mimo wysiłków Doktora Morgenesa. Czy nie

wiedziałaby zatem, gdyby naprawdę odszedł? Czy nie czułaby, że więź, jaka łączyła ją z tym niezdarnym gamoniem, została ostatecznie zerwana?

„Och, litościwa Rhiapo – pomyślała. – Znowu płaczesz, starucho? Jesteś miękka jak cukierki”.

Rachel znała takich spośród służby, którzy utracili dzieci i mówili później o nich, jakby żyły, dlaczego więc ona nie miałaby myśleć podobnie o Simonie? Tylko że to niczego nie zmieniało. Chłopiec nie żył; zgubiło go upodobanie do przebywania w towarzystwie tego szalonego alchemika Morgenesa.

Jednak od tamtej chwili wszystko zmieniło się, i to na gorsze. Chmura opadła na jej ukochany zamek Hayholt; w każdym jego rogu snuła się mgła niepokoju. Stopniowo traciła przewagę w bitwie z brudem i nieporządkiem, a ostatnio praktycznie uznała się za pokonaną. Stało się tak, choć zamek opustoszał jak nigdy dotąd – przynajmniej nocą. W ciągu dnia, kiedy słabe promienie słońca zaglądały przez wysokie okna oraz rozjaśniały ogrody i dziedzińce, Hayholt znowu się ożywiał. Działo się w nim nawet więcej niż kiedykolwiek wcześniej, kiedy do zamku zaczęli przybywać najemni żołnierze Thrithingów i Wysp Południowych, którzy mieli zastąpić żołnierzy Eliasa poległych pod Naglimundem. Część z jej podwładnych odeszła z Hayholt do swych krewnych na wsi; bały się nieokrzesanych i wytatuowanych Thrithingów. Rachel z niepokojem stwierdziła, że nie było komu zastąpić utraconych pokojówek, choć wielu żebraków włóczyło się bezczynnie po ulicach Erchesteru i koczowało pod murami samego Hayholt.

Rachel wiedziała jednak, że nie należało za to winić wyłącznie mieszkających teraz na zamku dzikusów. W ciągu dnia zamek pełen był buńczucznych żołnierzy i chełpliwych szlachciców, za to nocą wydawał się równie opuszczony jak cmentarz za murami Erchesteru. Na korytarzach

rozbrzmiewały echem dziwne głosy. Słychać było kroki, nawet kiedy nikt nie przechodził. Rachel zamykała teraz od wewnątrz pomieszczenie, w którym spała z tymi pokojówkami, które jeszcze pozostały. Powiedziała im, że to dla bezpieczeństwa przed pijanymi żołnierzami, ale wszyscy dobrze wiedzieli, że nie czarni Thrithingowie byli przyczyną dokładnie zamykanych drzwi i wspólnie odmawianych przed snem modlitw.

Co dziwniejsze – choć nigdy nie przyznałaby się do tego przed swymi podwładnymi, których niech błogosławiona Rhiapa ma w swojej opiece – Rachel kilkakrotnie zgubiła się w korytarzach; nie potrafiła ich rozpoznać. Ona, Rachel, która od lat poruszała się po tym zamku z taką samą pewnością jak każdy jego władca, gubiła się we własnym domu. Można to było tłumaczyć albo starością, albo dziełem diabła.

Rachel opuściła na ziemię worek z mokrymi prześcieradłami i oparła się o ścianę. Minęło ją trzech duchownych rozprawiających o czymś żywo w języku nabbańskim. Nie poświęcili jej więcej uwagi niż podróżny zdechłemu psu, którego mija przy drodze. Popatrzyła za nimi, z trudem łapiąc oddech. I pomyśleć, że w jej wieku, po tylu latch służby nosi mokre prześcieradła jak pierwsza lepsza pokojówka! Ale przecież ktoś to musi robić. Ktoś musi walczyć.

Tak, od chwili śmierci Simona wszystko psuło się coraz bardziej i nie zanosiło się na to, by coś miało się zmienić na lepsze. Zmarszczyła brwi i jeszcze raz dźwignęła swój ciężar.

RACHEL SKOŃCZYŁA ROZWIESZAĆ mokre prześcieradła. Obserwując, jak łopoczą poruszane popołudniowym wiatrem, zastanawiała się nad niespotykanym o tej porze chłodem. Był środek lata, miesiąc Tiyagar, a wciąż panował chłód, jakby to była wczesna wiosna. Pewnie, że lepsze to niż okropna susza, która skończyła się w zeszłym roku, lecz ona

tęskniła do upalnych dni i ciepłych nocy, które powinny nastać o tej porze roku. Bolały ją stawy, a chłodne ranki nie przynosiły jej ulgi. Wydawało się, że wilgoć przenika nawet kości.

Wróciła przez dziedziniec, zastanawiając się, gdzie podziały się jej pomocnice. Pewnie siedziały gdzieś w kącie i chichotały, gdy tymczasem ich przełożona harowała jak wół. Rachel była strapiona, lecz miała jeszcze dość siły w prawym ramieniu, by pobudzić parę dziewczyn do pracy.

„Źle się dzieje – myślała, idąc wokół Muru Zewnętrznego – że nie ma nikogo, kto zaprowadziłby w zamku rządy silnej ręki”. Miała nadzieję, że Elias okaże się godnym następcą starego Króla Johna, lecz gorzko się rozczarowała. Jabłko spadło o wiele dalej od jabłoni, niż można się było tego spodziewać. Ale nie było w tym nic dziwnego: tacy byli mężczyźni. Buńczuczni, chełpliwi mężczyźni; zupełnie jak chłopcy, nawet będąc dorosłymi, nie zachowywali się lepiej od gamoniowatego Simona. Nie wiedzieli, jak postępować; tak, nie wiedzieli, a Król Elias nie był wśród nich wyjątkiem.

Na przykład to szaleństwo z jego bratem. Rachel nigdy nie przepadała za księciem Josuą. Wydawał jej się trochę za mądry i za poważny; ktoś, kto ma o sobie wysokie mniemanie. Ale każdy powie, że głupotą było posądzać go o zdradę! Josua za bardzo bujał w obłokach i zbyt pochłaniały go książki, by zdecydować się na taki nonsens. A co zrobił jego brat, Elias? Pognał z armią na Północ i przy pomocy jakichś sztuczek zburzył zamek Josui, spalił go i wybił jego mieszkańców. Dlaczego? Zrobił to kierowany zwykłą męską dumą, jakiej nie wyzbył się Wielki Król. W rezultacie wiele erkynlandzkich kobiet zostało wdowami, zbiory się nie udały, a całe Hayholt i jego mieszkańcy – niech Usires wybaczy jej te słowa, choć są samą prawdą – zmierza prosto do piekła.

Rachel miała teraz przed sobą tył Bramy Nearulagh; jej długi cień pogrążył w ciemności mury po obu stronach. Kruki i kanie walczyły ze sobą o resztki mięsa, jakie pozostały na czaszkach dziesięciu głów nabitych na kolce u szczytu bramy.

Rachel odruchowo wstrząsnęła się i zrobiła znak Drzewa. Oto przykład kolejnej zmiany obyczajów w Hayholt. Nigdy, od chwili gdy przybyła na zamek, nikt nie okazał takiego okrucieństwa wobec zdrajców, jakiego dopuścił się Elias. Wszystkich zdrajców wychłostano i poćwiartowano na Placu Bitewnym w Erchesterze w obliczu niespokojnego tłumu, który nie bardzo wiedział, jak ma się zachować. Żaden ze skazanych szlachciców nie był kimś szczególnie lubianym – baron Godwig na przykład cieszył się bardzo złą sławą za swe tyrańskie rządy w Cellodshire – lecz wszyscy wyczuwali błahość oskarżeń Króla. Godwig i jego towarzysze niedoli czekali na śmierć zdumieni; kręcili głowami i zapewniali o swej niewinności aż do chwili, kiedy pałki gwardzistów spadły na ich głowy, które teraz widniały na Bramie Nearulagh. Od dwóch tygodni ptaki, niczym mali rzeźbiarze, pracowały sumiennie, by wydobyć na światło dzienne ich czaszki. Mało który z przechodniów potrafił dłużej zatrzymać na nich wzrok. Każdy zaraz odwracał wzrok, jakby zobaczył coś zakazanego zamiast srogiej lekcji, o jakiej myślał Król.

Elias nazwał ich zdrajcami i jako zdrajcy zmarli. Rachel pomyślała, że lud nie będzie ich specjalnie opłakiwał, lecz mimo to ta śmierć jeszcze bardziej pogrążyła wszystkich we mgle beznadziejności.

Kiedy Rachel mijała szybko bramę ze wzrokiem wbitym w ziemię, została niemal przewrócona przez młodego szlachcica, który prowadził konia błotnistą ulicą. Ustawiwszy się bezpiecznie pod murem, Rachel obejrzała się, by przyjrzeć się grupie przejeżdżających jeźdźców.

Wszyscy – z wyjątkiem jednego – byli żołnierzami. Na ich zbrojach powiewały zielone tuniki gwardii królewskiej, lecz ten, który nie był żołnierzem, ubrany był w szkarłatną szatę, czarny płaszcz podróżny i długie, czarne buty.

Pryrates! Rachel znieruchomiała. Dokąd jechał ten diabeł ze swoją strażą honorową?

Duchowny wydawał się unosić nad pozostałymi jeźdźcami. Żołnierze śmiali się i rozmawiali ze sobą, lecz Pryrates siedział na koniu wpatrzony przed siebie; jego łysa głowa ani drgnęła, a oczy patrzyły nieruchomo na bramę, którą miał przed sobą.

Działo się naprawdę źle, skoro przybył czerwony duchowny; jakby sam Pryrates rzucił urok na Hayholt. Rachel zastanawiała się nawet przez chwilę, czy to nie Pryrates, który – jak wiedziała – nie lubił Morgenesa, podpalił komnaty Doktora. Czy człowiek Matki Kościoła mógłby zrobić coś takiego? Czy mógłby zabić niewinnych ludzi, takich jak Simon, z powodu urazy, jaką do nich żywi? Lecz mówiono, że ojcem duchownego jest diabeł, a jego matką czarownica. Rachel jeszcze raz zrobiła znak Drzewa, wpatrzona w sztywne plecy oddalającego się powoli Pryratesa.

Zastanawiała się, czy to możliwe, by jeden człowiek sprowadził nieszczęście na wszystkich innych? I dlaczego miałby to robić? Żeby wysługiwać się diabłu? Rozejrzała się uważnie, zawstydzona takimi myślami, i splunęła, by odegnać zło. Ale co to miało za znaczenie? Przecież taka starucha jak ona nic nie mogła zrobić. Chyba nic...

Patrzyła, jak Pryrates i jego straż wyjeżdżają poza Bramę Nearulagh, potem odwróciła się i ruszyła wolno w stronę rezydencji, rozmyślając o urokach i złej pogodzie.

PROMIENIE POPOŁUDNIOWEGO SŁOŃCA padały ukośnie między drzewami, powodując, że ich liście lśniły. Z lasu mgła wreszcie ustąpiła. W koronach drzew odezwało się kilka ptaków. Deornoth wstał, czując, że głowa nie boli go już tak bardzo.

Geloë przez całe rano troskliwie opatrywała okropne rany Einskaldira i dopiero później pozwoliła zająć się nim Isornowi i księżnej Gutrun. Rimmersman, który rzucał się w gorączce, kiedy Geloë przykładała okłady do ran na jego boku i plecach, teraz leżał spokojnie. Valada nie potrafiła jednak powiedzieć, czy będzie żył.

Popołudnie spędziła, zajmując się pozostałymi rannymi; opatrzyła ropiejącą nogę Sangfugola, jak również rany, jakie otrzymali inni. Posiadała ogromną wiedzę o leczeniu ziołami, a jej kieszenie pełne były różnych przydatnych rzeczy. Była niemal pewna, że wszyscy – z wyjątkiem Rimmersmana – szybko wyzdrowieją.

Las po tej stronie tunelu pod wzgórzem nie różnił się specjalnie od lasu, który opuścili – przynajmniej na pierwszy rzut oka. I tutaj rosły gęsto dęby i czarne bzy, a ziemia usłana była szczątkami spróchniałych, martwych od dawna drzew. Było jednak coś innego w samym sercu lasu; czuło się tutaj jakieś ożywienie, atmosferę wytchnienia, jakby powietrze było lżejsze albo słońce świeciło cieplej. Deornoth pomyślał, że być może wrażenie takie spowodowane jest tylko faktem, że przeżyli dzień dłużej, niż się tego spodziewali.

Geloë siedziała na kłodzie obok księcia Josui. Deornoth początkowo zamierzał do nich podejść, lecz zawahał się niepewny, czy nie będzie przeszkadzał. Josua pomachał do niego, uśmiechając się smutno.

– Chodź, Deornoth, usiądź. Jak twoja głowa?

– Boli, Wasza Wysokość.

– To było potworne uderzenie – powiedział Josua.

Geloë podniosła wzrok i popatrzyła uważnie na Deornotha. Wcześniej opatrzyła jego ranę na głowie w miejscu, w którym uderzył go konar, i orzekła, że skaleczenie jest „niegroźne”.

– Deornoth jest moją prawą ręką – wyjaśnił jej Josua. – Dobrze, żeby słyszał, o czym mówimy, na wypadek gdyby coś mi się stało.

Geloë wzruszyła ramionami.

– To, o czym będę mówiła, nie jest żadną tajemnicą. A przynajmniej nie powinno być tajemnicą między nami. – Odwróciła się na chwilę, by spojrzeć na Leleth. Dziewczynka siedziała na kolanach Vorzhevy, ze wzrokiem utkwionym w coś niewidzialnego i zupełnie nie zwracała uwagi na pieszczoty i słowa kobiety. – Książę Josuo, dokąd zamierzasz się udać? – spytała Geloë. – Udało ci się ujść przed zemstą Nornów, przynajmniej na jakiś czas. Dokąd pójdziesz?

Książę zmarszczył brwi.

– Dotąd nie myślałem o konkretnym miejscu; wciąż uciekaliśmy tylko, by znaleźć bezpieczeństwo. Tak więc jeśli to miejsce... – wskazał dłonią na otaczający ich las – jak twierdzisz, chroni nas przed demonami, uważam, że tutaj powinniśmy zostać.

Czarownica pokiwała głową.

– Oczywiście zostaniemy tutaj, aż wszyscy nabiorą tyle sił, by iść dalej. Ale co potem?

– Nie wiem jeszcze. – Josua spojrzał na Deornotha, jakby się spodziewał, że on mu coś podpowie. – Mój brat opanował wszystkie ziemie objęte władzą królewskiego berła. Nie znam nikogo, kto udzieliłby mi schronienia, narażając się na gniew Eliasa. – Uderzył lewą dłonią w kikut prawej ręki. – Chyba wszystkie nasze wysiłki na nic się zdały. To była marna gra.

– Nie bez powodu zadałam ci to pytanie – powiedziała Geloë i wygodniej usiadła na kłodzie. Deornoth zauważył, że nosi męskie buty, i to mocno wysłużone. – Pozwól, że poinformuję cię o kilku ważnych sprawach, a wtedy, być może, łatwiej dostrzeżesz pewne możliwości. Po pierwsze, jeszcze przed upadkiem Naglimundu wysłałeś grupę na poszukiwanie czegoś, czy tak?

Josua zmrużył oczy.

– Skąd wiesz o tym?

Geloë potrząsnęła głową zniecierpliwiona.

– Powiedziałam ci już wcześniej, że znam Morgenesa i Binabika z Yiqanuc. Znałam też Jarnaugę z Tungoldyru. Kontaktowaliśmy się w czasie jego pobytu w twoim zamku i dużo mi wtedy powiedział.

– Biedny Jarnauga – powiedział Josua. – Umarł dzielnie.

– Wielu spośród mędrców umarło; zostało ich tylko kilku – odparła. – Z pewnością odwaga nie jest tylko domeną szlachciców i żołnierzy. Lecz ponieważ z każdą śmiercią krąg mędrców maleje, dlatego ważne jest, abyśmy dzielili się naszą wiedzą między sobą, a także z innymi. Stąd Jarnauga opowiedział mi o wszystkim, czego dokonał po przybyciu z Północy do Naglimundu. Ach! – Geloë wyprostowała się. – Coś mi się przypomniało. Ojcze Strangyeardzie! – zawołała.

Duchowny podniósł wzrok i spojrzał na nią niepewny. Skinęła, by się zbliżył, a on wstał, pozostawiając leżącego harfiarza, i podszedł do niej.

– Jarnauga bardzo cię cenił – powiedziała Geloë. Na jej pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech. – Czy dał ci coś, zanim was opuścił?

Strangyeard skinął głową i wyjął spod habitu lśniący wisiorek.

– To – powiedział cicho.

– Tak myślałam. Pomówimy o tym później, lecz powinieneś uczestniczyć w naszych naradach jako członek Ligi Pergaminu.

– Członek... – powtórzył zdziwiony Strangyeard. – Ja? Ligi...?

Geloë znowu się uśmiechnęła.

– Oczywiście. Znam Jarnaugę i wiem, że dokonał rozważnego wyboru. Ale, jak już mówiłam, porozmawiamy o tym na osobności. – Po tych słowach ponownie zwróciła się do Josui i Deornotha. – Widzicie więc, że wiem o poszukiwaniu Wielkich Mieczy. Nie wiem, czy Binabikowi i pozostałym udało się odnaleźć Cierń, miecz Camarisa, ale *mogę* wam powiedzieć, że jeszcze wczoraj troll i chłopiec żyli.

– Chwała niech będzie Aedonowi – powiedział cicho Josua. – Dobre wieści! Dobre wieści w chwili, kiedy tak o nie trudno. Bardzo się o nich martwiłem od momentu, gdy tylko wyruszyli. Gdzie oni są?

– Chyba w Yiqanuc, u trolli. Trudno wytłumaczyć to w paru słowach, więc powiem wam tylko tyle, że mój kontakt z Simonem był bardzo krótki i nie mogłam długo rozmawiać. Poza tym miałam im do przekazania bardzo ważną wiadomość.

– Co to było? – spytał Deornoth.

Początkowo bardzo ucieszył się z przybycia Geloë, lecz później miał jej za złe, widząc, jak przejmuje od księcia Josui inicjatywę. Było to z jego strony zachowanie głupie i aroganckie, ale chciał, aby książę poprowadził ich w sposób, w jaki Deornoth wiedział, że potrafi to zrobić.

– Opowiem wam też i o tym, lecz najpierw musimy pomówić o innych sprawach. – Odwróciła się do Strangyearda. – Czego się dowiedziałeś o dwóch pozostałych mieczach?

Duchowny chrząknął.

– No cóż... – zaczął. – Dobrze wiemy, gdzie znajduje się Smutek. Nosi go Król Elias jako prezent od Króla Burz – jeśli wierzyć pogłoskom – i nie odstępuje ani na chwilę. Podejrzewamy, że Cierń jest gdzieś na Północy; zakładając, że troll i jego towarzysze żyją, możemy chyba mieć nadzieję na

jego odnalezienie. Ostatni z mieczy, Minneyar, który kiedyś należał do króla Fingila – ale to pewnie wiecie – tak więc, Minneyar prawdopodobnie nigdy nie opuścił Hayholt. A zatem dwa... dwa...

– Dwa spośród mieczy znajdują się w rękach mego brata – dokończył Josua. – A trzeciego szukają troll i chłopiec na bezkresnej Północy. – Uśmiechnął się smutno i pokręcił głową. Tak, marne mamy szanse w tej grze.

Geloë utkwiła w nim swe stanowcze spojrzenie i powiedziała zdecydowanie:

– Lecz mimo wszystko, książę Josuo, jest to gra, w której nie ma takiej możliwości jak poddanie się i w której musimy grać pionkami, jakie wylosowaliśmy. Rzeczywiście, stawka jest bardzo duża.

Książę wyprostował się i uniesioną dłonią powstrzymał odpowiedź rozzłoszczonego Deornotha.

– Masz rację, *valada* Geloë. Jest to jedyna gra, jaką możemy podjąć. Nie wolno nam też przegrać. Tak więc, czy powiesz nam coś więcej?

– Wiele już wiecie albo się domyślacie. Hernystir na Zachodzie upadł, król Lluth nie żyje, a jego ludzie skryli się na wzgórzach. W Nabbanie władzę objął poprzez zdradę Benigaris, który sprzyja Eliasowi. Skali z Kaldskryke panuje w Rimmersgardzie zamiast Isgrimnura, Naglimund jest zburzony i pełen Nornów, którzy straszą tam niczym duchy. – Mówiąc to, podniosła swoją laskę i narysowała na ziemi mapę, na której zaznaczyła wszystkie wspomniane miejsca. – Las Aldheorte jest wolny, ale nie jest to miejsce, z którego ludzie mogliby się bronić, chyba że w ostateczności, gdy nie będą mieli wyboru.

– Czy my nie jesteśmy w takiej właśnie sytuacji? – spytał Josua. – Sama widzisz. Oto moje królestwo, wszyscy są tutaj. Możemy się ukrywać, ale

jak mamy walczyć z Eliasem, kiedy jest nas tak mało, że nie wspomnę już o jego sprzymierzeńcu, Królu Burz?

– Doszliśmy wreszcie do spraw, które zostawiłam na sam koniec – odparła Geloë. Kiedy to będziemy mówić o rzeczach dziwniejszych niż ludzkie wojny. – Jej guzowate, brązowe dłonie szybko przesuwały się, rysując kolejny szkic na ziemi. – Dlaczego jesteśmy bezpieczni w tej części lasu? Ponieważ panują tutaj Sithowie i Nornowie, nie odważą się ich zaatakować. Od lat panuje między tymi dwoma rodami kruchy pokój. Sądzę, że nawet pozbawiony duszy Król Burz nie zdecydowałby się narazić na gniew pozostałych jeszcze Sithów.

– Dwoma *rodami?* – spytał Deornoth.

Geloë spojrzała na niego surowo.

– Czy nie słuchałeś tego, co opowiadał wam Jarnauga w Naglimundzie? – spytała. – Jaki pożytek z tego, że mędrcy poświęcają swe życie, skoro ci, dla których to robią, nie słuchają ich?

– Jarnauga powiedział nam, że Ineluki – Król Burz – był kiedyś księciem Sithów – wtrącił szybko Strangyeard, machając dłońmi, jakby chciał odegnać niebezpieczeństwo. – O tym wiedzieliśmy.

– Przez wieki Nornowie i Sithowie stanowili jedną rodzinę – powiedziała Geloë. – Kiedy poszli własnymi drogami, podzielili między siebie Osten Ard i przyrzekli, że nie przekroczą swoich granic bez powodu.

– Tylko co nam, biednym śmiertelnikom, z tego, że o tym wiemy? – spytał Deornoth.

Geloë machnęła dłonią.

– Jesteśmy tutaj bezpieczni, ponieważ Nornowie zatrzymali się na granicy terytorium Sithów. A poza tym, nawet w dzisiejszych czasach w takich miejscach istnieje jeszcze moc, przed którą Nornowie z pewnością czują respekt. – Geloë zwróciła się do Deornotha. – Poczułeś moc, prawda?

Lecz problem polega na tym, że nie możemy walczyć z nimi w dziesiątkę czy dwunastkę. Musimy znaleźć takie miejsce, w którym będziemy bezpieczni przed Nornami, ale i w którym będą mogli zebrać się ci, którzy nie popierają złych rządów Eliasa. Jeśli Król Elias zacieśni kontrolę nad Osten Ard i zamieni Hayholt w twierdzę nie do zdobycia, nigdy nie uda nam się zdobyć Wielkiego Miecza, o którym wiemy, że go ma, jak również tego, który może mieć. Musimy stawić czoło nie tylko magii, lecz także wojnie pozycyjnej.

– O czym mówisz? – spytał Josua wpatrzony w twarz Geloë.

Geloë wskazała laską na mapę.

– Tutaj, na wschód od lasu, ciągną się łąki Wyżyn Thrithingów. Na granicy między nimi znajduje się miejsce, w którym Nornowie i Sithowie rozdzielili się; było tam kiedyś starożytne miasto Enki-e-Shao'saye. Miejsce to nosi nazwę *Sesuad'ra* – to znaczy Kamień Rozstania.

– I... i tam bylibyśmy bezpieczni? – spytał z nadzieją Strangyeard.

– Przez jakiś czas – odparła Geloë. – Posiada ono ogromną moc, która mogłaby powstrzymać sługi Króla Burz. Ale to i tak byłoby dużo, gdyż właśnie czasu najbardziej nam trzeba, czasu, by zebrać tych, którzy gotowi byliby walczyć przeciwko Eliasowi, oraz żeby zebrać naszych rozproszonych sprzymierzeńców. Lecz przede wszystkim potrzeba nam czasu na rozwiązanie tajemnicy trzech Wielkich Mieczy, a także na znalezienie sposobu przeciwstawienia się Królowi Burz.

Josua siedział wpatrzony w rysunek na ziemi.

– To jest początek – odezwał się wreszcie. – Jest to nikły płomień nadziei pomimo całej beznadziejności.

– Dlatego do was przyszłam – powiedziała czarownica. – Dlatego też powiedziałam Simonowi, by udał się tam z tymi, którzy jeszcze zostali.

Ojciec Strangyeard chrząknął znacząco.

– Dobra, Geloë, chyba czegoś nie rozumiem. W jaki sposób rozmawiałaś z chłopcem? Jeśli on jest na dalekiej Północy, nie mogłabyś powrócić tutaj na czas. Czy użyłaś do tego ptaków, tak jak robił to często Jarnauga?

Geloë pokręciła głową.

– Nie. Mówiłam do niego przez dziewczynkę, Leleth. Trudno to wyjaśnić, ale ona pomogła mi nabrać sił i dotrzeć aż do Yiqanuc oraz powiedzieć Simonowi o Kamieniu Rozstania. – Zaczęła czubkiem buta zmazywać rysunek na ziemi. – Nie byłoby rozsądne zostawiać wiadomość mówiącą o tym, dokąd się udajemy – powiedziała i zarechotała.

– Czy potrafiłabyś dotrzeć w taki sposób do każdego? – spytał Josua z zainteresowaniem.

Geloë pokręciła głową.

– Spotkałam Simona i dotknęłam go. Był w moim domu. Nie potrafiłabym odnaleźć kogoś i rozmawiać z nim, jeśli go nie znam.

– Ale moja siostrzenica, Miriamele, była w twoim domu; tak przynajmniej mi powiedziano – odparł książę ożywiony. – Bardzo się o nią martwię. Czy mogłabyś ją dla mnie znaleźć, przemówić do niej?

– Próbowałam. – Czarownica wstała i spojrzała na Leleth. Dziewczynka spacerowała bez celu na skraju polany, poruszając bladymi ustami, jakby śpiewała niemą piosenkę. – Jest przy niej ktoś lub coś, co nie pozwala mi do niej dotrzeć – ściana, można by powiedzieć. Miałam bardzo mało siły i mało czasu, dlatego nie próbowałam drugi raz.

– Spróbujesz jeszcze? – spytał Josua.

– Może – powiedziała, odwracając się do niego. – Ale muszę z rozwagą używać swoich sił. Czeka nas jeszcze długa walka. – Geloë zwróciła się w stronę ojca Strangyearda. – Chodź ze mną, ojcze. Są sprawy, o których

musimy pomówić. Zostałeś obarczony obowiązkiem, który może się okazać ciężkim brzemieniem.

– Wiem – odpowiedział spokojnie Strangyeard. Odeszli oboje, pozostawiając Josuę zatopionego w myślach.

Deornoth przyglądał się księciu przez jakiś czas, po czym wrócił do swego płaszcza.

Leżący nieopodal Towser rzucał się i mamrotał męczony majakami.

– Białe twarze... łapią mnie ręce, ręce... – Zakrzywione palce starca zagarnęły powietrze; na chwilę ustał śpiew ptaka.

...I TAK – SKOŃCZYŁ JOSUA – istnieje promień nadziei. Jeśli *valada* Geloë uważa, że to miejsce jest dla nas bezpieczne...

– I będziemy mogli zadać cios Królowi – warknął Isorn nachmurzony.

– Tak. I przygotować się do podjęcia walki – ciągnął Josua. – Musimy tak zrobić. W każdym razie jest to jedyne miejsce, do którego możemy się udać. Kiedy wszyscy odzyskamy siły, opuścimy las i przejdziemy przez Wyżyny Thrithingów; potem udamy się na wschód do Kamienia Pożegnania.

Vorzheva, blada z gniewu, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz uprzedziła ją księżna Gutrun.

– Dlaczego mamy wychodzić z lasu, książę Josuo? Dlaczego mamy iść dalszą drogą i odsłaniać się na równinach?

Geloë przytaknęła, siadając obok Josui.

– Dobre pytanie. Po pierwsze, dlatego że na otwartej przestrzeni możemy poruszać się o wiele szybciej, a czas jest dla nas bardzo cenny. Po drugie, ten sam zakaz, który powstrzymuje Nornów przed wchodzeniem do lasu, obowiązuje także i nas. Znajdujemy się na terenach Sithów.

Przybyliśmy tutaj dlatego, że nasze życie było w niebezpieczeństwie, ale pozostając w lesie dłużej, narazilibyśmy się na ich gniew. Sithowie nie przepadają za śmiertelnikami.

– Ale czy Nornowie nie będą nas ścigali?

– Znam takie ścieżki w lesie, które pozwolą nam bezpiecznie dotrzeć do łąk – odparła czarownica. – A jeśli chodzi o przejście przez Wyżyny Thrithingów, nie sądzę, by Nornowie czuli się aż tak pewnie, żeby poruszać się w ciągu dnia w otwartym terenie. Są bardzo niebezpieczni, ale jest ich znacznie mniej niż ludzi. Król Burz czekał całe wieki; myślę, że okaże jeszcze trochę cierpliwości, zanim odkryje przed śmiertelnikami całą swoją siłę. Raczej powinniśmy obawiać się żołnierzy Eliasa albo samych Thrithingów. – Geloë zwróciła się do Josui. – Ty pewnie wiesz lepiej ode mnie. Czy Thrithingowie służą teraz Eliasowi?

Książę pokręcił głową.

– Z nimi nigdy nie wiadomo. Żyje tam wiele klanów, które nie zawsze pozostają wierne nawet swoim tanom. Poza tym, jeśli nie będziemy szli blisko lasu, możemy nie spotkać żywej duszy. Thrithingowie zamieszkują bardzo rozległy teren.

Kiedy Josua skończył mówić, Vorzheva wstała i odeszła; po chwili zniknęła w kępie brzóz. Josua patrzył za nią przez chwilę, po czym wstał i poszedł za Vorzhevą, pozwalając Geloë odpowiedzieć na pytania pozostałych, którzy nie słyszeli jej wcześniejszych wyjaśnień o *Sesuad’ra*.

VORZHEVA STAŁA OPARTA o pień brzozy i obrywała z niego nerwowo kawałki cieniutkiej kory. Josua zatrzymał się i patrzył na nią długo. Jej suknia przypominała postrzępioną szmatę; sięgała zaledwie do kolan. Z halki dawno już zrobiono bandaże. Tak jak pozostali, była brudna, z plątaniny jej gęstych, czarnych włosów sterczały połamane gałązki, jej

ramiona i nogi pokrywała siatka zadrapań. Ranę od strzały na jej przedramieniu owinięto brudną, zakrwawioną szmatą.

– Dlaczego jesteś zła? – spytał cicho.

Vorzheva odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego jestem zła? Dlaczego? Ty głupcze!

– Unikasz mnie od czasu, kiedy opuściliśmy Naglimund – powiedział Josua i podszedł bliżej. – Kiedy kładę się obok ciebie, sztywniejesz niczym duchowny, który zwietrzył grzech. Czy tak postępuje kochanka?

Vorzheva uniosła dłoń, jakby chciała go uderzyć, ale Josua stał za daleko.

– *Miłość?* – powiedziała zdławionym głosem, tak że słowo to zabrzmiało pełne bólu i ciężaru. – Kim ty jesteś, żeby mówić mi o miłości? Wszystko dla ciebie zostawiłam, a ty mi to mówisz? – Potarła dłonią policzek, pozostawiając na nim brudny ślad.

– W moich rękach jest życie pozostałych – powiedział wolno książę. – Ja dźwigam ten ciężar. Mężczyźni, kobiety, dzieci, setki zabitych w Naglimundzie. Może rzeczywiście byłem obojętny od chwili upadku zamku, ale to z powodu mych ponurych myśli, duchów, które mi nie dają spokoju.

– Mówisz, że od chwili upadku zamku – wycedziła Vorzheva. – Od chwili upadku zamku traktujesz mnie jak dziwkę. Nie rozmawiasz ze mną, z każdym innym, tylko nie ze mną. Ale w nocy przychodzisz do mnie, obmacujesz i przytulasz się. Czy myślisz, że kupiłeś mnie na targu jak konia? Pojechałam z tobą, żeby uwolnić się od tamtych równin... i żeby cię kochać. Ale ty nigdy nie traktowałeś mnie dobrze. A teraz chcesz zaciągnąć mnie tam z powrotem i wystawić na pośmiewisko. – Wybuchnęła płaczem,

lecz widać było, że są to łzy złości, i szybko przeszła na drugą stronę drzewa, by książę nie widział jej twarzy.

Josua stał zdumiony.

– O czym ty mówisz? Komu miałbym wystawić cię na pośmiewisko?

– Moim ludziom, głupcze! – zawołała Vorzheva. Jej głos odbił się echem wśród drzew. – Moim ludziom!

– Thrithingom... – powiedział wolno Josua. – Oczywiście.

Nagle wyłoniła się zza drzewa z rozpromienionym wzrokiem, niczym duch.

– Nie pójdę. Możesz zabrać swoje małe królestwo i iść, gdzie ci się podoba, ale ja nie wrócę w swe rodzinne strony *tak* poniżona! – Gwałtownym ruchem wskazała na swoje podarte ubranie.

Josua uśmiechnął się smutno.

– To głupie, co mówisz. Spójrz na mnie, na syna Wielkiego Króla Prestera Johna! Wyglądam jak strach na wróble! Ale jakie to ma znaczenie? Wątpię, byśmy spotkali kogokolwiek z twoich ludzi, a jeśli nawet, co z tego? Czy jesteś aż tak dumna, by raczej umrzeć w lesie, niż pozwolić zobaczyć się swoim ziomkom w łachmanach?

– Tak! – krzyknęła. – Tak! Myślisz, że jestem głupia! Masz rację! Dla ciebie porzuciłam dom i uciekłam z ziem mego ojca. I teraz mam powrócić do nich jak zbity pies? Wolałabym umrzeć tysiąc razy, niż doczekać tej chwili! Wszystko mi już odebrano, czy chcesz jeszcze, bym się czołgała? – Opadła na ziemię; jej białe kolana zagłębiły się w błocie. – Dobrze, będę cię błagała. Nie idź przez ziemie Thrithingów. A jeśli pójdziesz, zostaw mi trochę jedzenia, a ja pójdę do tamtego miejsca przez las.

– To już jest zupełne szaleństwo – warknął Josua. – Czy nie słyszałaś, co mówiła Geloë? Jeśli nie zabiją cię Sithowie, wpadniesz w ręce Nornów i będziesz cierpiała jeszcze bardziej.

– Więc mnie zabij. – Spróbowała wyciągnąć Najdel z pochwy Josui. – Wolę umrzeć, niż iść do Thrithingów.

Josua chwycił ją za nadgarstek i zmusił, żeby wstała. Próbowała wyzwolić się z mocnego uścisku i kopała jego nogi zabłoconymi, zniszczonymi bucikami.

– Jesteś dzieciak – rzucił ze złością i odchylił się, gdy Vorzheva zamachnęła się, by uderzyć go wolną ręką w twarz. – Dzieciak z pazurami. – Obrócił ją tak, że znalazł się za jej plecami, i zmusił, żeby szła przed nim. Kiedy doszli, potykając się, do przewróconego drzewa, usiadł i posadził ją na swych kolanach; objął ją mocno, by nie mogła wyswobodzić rąk. – Jeśli będziesz zachowywała się jak kapryśna dziewczyna, potraktuję cię odpowiednio – wycedził przez zęby. Odchylił się do tyłu, by uniknąć uderzenia głową wyrywającej się Vorzhevy.

– Nienawidzę cię! – wyrzuciła z siebie.

– W tej chwili ja też cię nienawidzę – powiedział i mocniej przycisnął ją do siebie. – Ale może mi to minie.

Wreszcie przestała się wyrywać i opadła wyczerpana.

– Jesteś silniejszy – jęknęła. – Ale czasem musisz spać. Wtedy zabiję ciebie i siebie.

Josua także dyszał ciężko. Vorzheva była silną kobietą, a brak jednej dłoni nie ułatwiał mu walki z nią.

– Jest nas zbyt mało, byśmy mogli pozwolić sobie jeszcze na zabijanie – mruknął. – Lecz jeśli będzie trzeba, potrzymam cię tak do chwili naszego wymarszu. Pójdziemy do *Sesuad’ra* i dotrzemy tam żywi, jeśli ja mam tu coś jeszcze do powiedzenia.

Vorzheva raz jeszcze spróbowała się wyrwać, lecz szybko dała za wygraną, czując, że Josua nie zwolnił uścisku. Siedziała nieruchomo; z czasem jej oddech stawał się coraz wolniejszy, a drżenie rąk ustawało.

Cienie wydłużały się. Samotny świerszcz, wyczuwając zbliżający się wieczór, rozpoczął swą zgrzytliwą pieśń.

– Gdybyś tylko mnie pokochał – odezwała się wreszcie wpatrzona w pogrążający się w ciemności las – nie musiałabym nikogo zabijać.

– Pani, mam dość rozmów – odparł książę.

KSIĘŻNICZKA MIRIAMELE i jej dwaj duchowni towarzysze opuścili Trakt Północnego Wybrzeża późnym rankiem i zjechali do doliny Commeis, która stanowiła bramę miasta Nabban. Miriamele z trudem była w stanie śledzić drogę pod nogami konia, kiedy zjeżdżali krętymi ścieżkami w dół zbocza. Nie mogła się powstrzymać, by nie spoglądać ciekawie przed siebie, gdyż wiele czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni widziała prawdziwe oblicze Nabbanu, ojczyzny jej matki. Tam, gdzie przejeżdżali, zabudowania wiejskie ustępowały miejsca pierwszym budynkom rozległego i potężnego kiedyś miasta. Całą dolinę wypełniały ciasno położone obok siebie osady i mniejsze miasta; nawet z jej zboczy wyrastały podobne do zębów, kamienne, pomalowane na biało domy.

Nad doliną rozpościerała się szara chmura powstała z niezliczonych dymów ognisk. Miriamele wiedziała, że zwykle wiatr od morza przepędzał dymy i niebo nad Nabbanem było błękitne. Lecz dzisiaj wiatr nie wiał.

– Tylu ludzi – dziwiła się. – A jeszcze więcej w samym mieście.

– Lecz w pewnym sensie nie jest to wcale dużo – zauważył ojciec Dinivan. – Erchester jest przynajmniej pięciokrotnie mniejszy, lecz leżący w nim Hayholt jest stolicą świata, jaki znamy. Wielkość Nabbanu jest już tylko wspomnieniem – nie mówię oczywiście o Matce Kościele. Teraz Nabban jest jego stolicą.

– Czy to nie interesujące, że ci, którzy kiedyś zabili naszego Pana, Usiresa, tak się teraz do niego tulą? – zauważył Cadrach jadący nieco

z przodu. – Trzeba umrzeć, żeby doczekać się większej liczby przyjaciół.

– Nie rozumiem twych słów – odpowiedział z powagą Dinivan. – Ale wyczuwam w nich więcej goryczy niż przemyślenia.

– Doprawdy? – spytał Cadrach. – Mówię o bardzo wygodnych bohaterach, których nie ma wśród nas i którzy nie mogą mówić za siebie. – Cadrach zmarszczył brwi. – O Panie miłosierny, ile bym dał za odrobinę wina. – Po tych słowach odwrócił się, nie zważając na pytające spojrzenie Dinivana.

Pióropusze dymu przypominały Miriamele o czymś.

– Ilu jest tutaj Tancerzy Ognia, których widzieliśmy w Teligure? Czy oni są w każdym mieście?

Dinivan pokręcił głową.

– Myślę, że zbierają się po kilku z każdego miasta i wędrują, głosząc swe nikczemne nauki. Nie ich liczby trzeba się obawiać, lecz rozpaczy, którą roznoszą niczym plagę. Na każdego, który przyłączy się do nich i wędruje do innego miasta, przypada kilku innych, którzy przyjmują ich nauki do swego serca, i tracą wiarę w Boga.

– Ludzie wierzą w to, co widzą – powiedział Cadrach i skierował niespodziewanie wzrok na Dinivana. – Słuchają słów Króla Burz i widzą, co potrafi jego ręka. Czekają, żeby Bóg ukarał heretyków, ale On nic nie robi.

– To kłamstwo, Padreicu – zaprzeczył gwałtownie Dinivan. – Albo Cadrachu; nie wiem, które imię teraz wybrałeś. Bo właśnie wybór jest rzeczą najważniejszą. Bóg pozwala, by każdy z nas wybierał. Nie zmusza nas do miłości.

Mnich prychnął jakby z odrazą, lecz nie odwracał wzroku.

– Tak. Tego nie robi na pewno.

Miriamele miała wrażenie, że Cadrach w pewnym sensie prosi o coś Dinivana; jakby chciał pokazać mu coś, czego sekretarz Lektora nie dostrzega.

– Bóg chce... – zaczął duchowny.

– Lecz jeśli Bóg nie przymusza, nie nakłania, ale i nie odpowiada na wyzwania Króla Burz czy kogokolwiek innego. – Cadrach umilkł na chwilę; w jego ochrypłym głosie słychać było powstrzymywane emocje. – Dlaczego więc się dziwisz, że ludzie uważają, iż nie ma Boga albo że jest On bezradny?

Dinivan patrzył przez chwilę przed siebie, po czym potrząsnął głową ze złością. – Dlatego właśnie istnieje Matka Kościół. On szerzy słowo Boże, a ludzie mogą wybierać.

– Ludzie wierzą w to, co widzą – powiedział smutno Cadrach i umilkł.

Jechali dalej wolno w milczeniu na dół doliny.

W POŁUDNIE DOTARLI do zatłoczonego Traktu Anitulleańskiego. W obu kierunkach płynęły strumienie ludzi idących obok wozów, które wracały z targu lub dopiero tam jechały. Mało kto zwracał uwagę na Miriamele i jej towarzyszy. Do zachodu słońca przejechali znaczną część doliny.

Wieczorem zatrzymali się w Bellidanie, jednym z licznych miasteczek, których tak dużo wyrosło przy drodze, że nie sposób było powiedzieć, gdzie kończyło się jedno, a zaczynało drugie. Nocleg dostali w miejscowym klasztorze, w którym sygnet Dinivana i jego stanowisko pozwoliło pozostać im w centrum uwagi. Miriamele bardzo wcześnie udała się do małej celi, gdyż nie chciała, by ktokolwiek ją rozpoznał. Dinivan wyjaśnił mnichom, że jego towarzysz jest chory, i sam przyniósł jej posiłek składający się z chleba i jęczmiennej zupy. Kiedy ułożyła się do snu

i zgasiła świecę, znowu zobaczyła Tancerzy Ognia i kobietę w białych szatach, które obejmował ogień, lecz tutaj, za grubymi murami klasztoru, nie bała się już tak bardzo. Pomyślała, że było to jeszcze jedno niepokojące wydarzenie w niespokojnym świecie.

Późnym popołudniem następnego dnia dotarli do miejsca, w którym Trakt Anitulleański zaczynał wspinać się przełęczą między wzgórzami do właściwego miasta Nabban. Minęli grupę pielgrzymów i kupców, którzy siedzieli wyczerpani przy drodze, wachlując się kapeluszami o szerokich rondach. Niektórzy z nich zatrzymali się, tylko żeby odpocząć i się napić, lecz inni utknęli na dobre; ich osły całkowicie odmówiły posłuszeństwa i nie chciały ciągnąć przeładowanych wózków pod stromą górę.

– Jeśli zatrzymamy się przed nocą – powiedział Dinivan – możemy zostać na noc w jednym z miasteczek na wzgórzach. Wtedy rankiem dotrzemy szybko do Nabbanu. Lecz z pewnych przyczyn zależy mi, by podróżować możliwie najszybciej. Dlatego jeśli będziemy jechać jeszcze po zapadnięciu zmroku, przed północą znajdziemy się w Sancellan Aedonitis.

Miriamele spojrzała do tyłu, w dół drogi, a potem przed siebie, gdzie droga ginęła między złocistymi wzgórzami.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby się zatrzymać – powiedziała. – Jestem bardzo obolała.

Dinivan wyglądał na zmartwionego.

– Rozumiem. Jestem jeszcze mniej od ciebie przyzwyczajony do jazdy konnej i też piecze mnie tyłek. – Zaczerwienił się i roześmiał. – Wybacz, pani. Jednak czuję, że im szybciej dotrzemy do Lektora, tym lepiej.

Miriamele spojrzała na Cadracha, by sprawdzić, czy chciałby coś powiedzieć, lecz mnich jechał pogrążony we własnych myślach, kołysząc się miarowo w rytm kroku konia. – Skoro uważasz, że może to mieć jakieś znaczenie – powiedziała – jedźmy nocą. Lecz doprawdy nie wiem, co

miałabym do powiedzenia Lektorowi – lub on mnie – a co nie mogłoby zaczekać jeszcze jednego dnia.

– Miriamele, rzeczy się zmieniają – odparł Dinivan ściszonym głosem, choć na drodze w tym miejscu nie było nikogo z wyjątkiem wozu, który skrzypiąc, jechał w pewnej odległości przed nimi. – W takich czasach jak dzisiaj, kiedy nic nie jest pewne i nie do końca znamy wszystkie niebezpieczeństwa, często można żałować, że nie zrobiło się czegoś w odpowiednim czasie. Przynajmniej tyle wiem. I, za pozwoleniem, tej mądrości będę się trzymał.

Jechali przez cały wieczór i nie zatrzymali się, kiedy nad wzgórzami pojawiły się pierwsze gwiazdy. Droga wiła się przełęczami, a potem zaczęła opadać, mijając kolejne miasteczka i osady; wreszcie dotarli do przedmieść wielkiego miasta oświetlonego tyloma światłami, że przyćmiewały blask gwiazd.

Pomimo północy ulice Nabbanu były zatłoczone. Na każdym rogu płonęły pochodnie. W obrębie ich drżącego światła popisywali się żonglerzy i tancerze, liczący na kilka monet od pijanego przechodnia. Z okien tawern – zamkniętych przed chłodem letniej nocy – sączyło się światło latarń i stłumione odgłosy klientów.

Miriamele kiwała się na koniu znużona, kiedy zjechali z Traktu Anitulleańskiego i skierowali się Drogą Fontann na wzgórze Sancelline. Teraz wyłonił się przed nimi Sancellan Aedonitis. Smukłe iglice budowli były w świetle latarni zaledwie nitkami złota, lecz pod nimi ciepły blask rozświetlał setki okien.

– W domu Bożym zawsze ktoś czuwa – powiedział cicho Dinivan.

Kiedy wspinali się wąską ulicą w kierunku ogromnego placu, Miriamele dostrzegła blade, wygięte kształty Sancellan Mahistrevis, widocznego nieco na zachód za Sancellan Aedonitis. Książęcy zamek

postawiono na najbardziej wysuniętym ku morzu kamiennym cyplu, który wydawał się dominować nad morzem, tak samo jak niegdyś Nabban dominował nad terytoriami człowieka.

„Dwa sancellany – pomyślała Miriamele. – Jeden wybudowany po to, by rządzić ciałem, drugi zaś po to, by rządzić duszą. Sancellan Mahistrevis wpadł już w ręce tego mordercy Benigarisa, ale Lektor jest pobożnym i dobrym człowiekiem; tak twierdzi Dinivan, a on wie, co mówi. Przynajmniej tam jest jeszcze jakaś nadzieja”.

Gdzieś w ciemności ponad ich głowami zawołała mewa. Miriamele poczuła ukłucie żalu. Gdyby jej matka nie poślubiła Eliasa, wtedy ona, Miriamele, mogłaby się tutaj wychowywać i tutaj żyć – ponad oceanem. To byłby jej dom. Wracałaby teraz do swego domu.

„Ale gdyby moja matka nigdy nie poślubiła mego ojca – pomyślała, ziewając – nie byłabym sobą. Głupia jestem”.

Kiedy dotarli wreszcie do drzwi pałacu Lektora, Miriamele była już tak śpiąca, że wszystko, co się działo wokół, stało się dla niej zamazaną plamą. Kilku ludzi bardzo ciepło powitało Dinivana – wyglądało na to, że ma wielu przyjaciół. Następną rzeczą, jaką pamiętała, było to, że poprowadzono ją do pokoju z miękkim i ciepłym łóżkiem. Zdejmując tylko buty, w płaszczu wsunęła się pod koc. Z korytarza dochodziły ściszone głosy, a potem usłyszała bijące gdzieś w górze claveańskie dzwony; wybiły więcej razy, niż była w stanie policzyć. Zasnęła wsłuchana w odległy śpiew.

Ojciec Dinivan obudził ją rano, przynosząc jagody, chleb i mleko. Usiadła w łóżku i zaczęła jeść, podczas gdy ojciec Dinivan zapalił świece i przechadzał się w pozbawionym okien pokoju.

– Jego Świątobliwość wstał wcześnie rano. Wyszedł ze swego pokoju, zanim do niego przyszedłem; poszedł gdzieś sam. Często tak robi, kiedy chce się nad czymś zastanowić. Po prostu chodzi po korytarzach w koszuli

nocnej. Nie chce być wtedy z nikim, chyba że ja jestem gdzieś w pobliżu. – Dinivan zarumienił się jak chłopiec. – Ten pałac jest prawie tak duży jak Hayholt. Trudno powiedzieć, gdzie on teraz jest.

Miriamele otarła szerokim rękawem mleko z brody.

– Czy spotka się z nami?

– Oczywiście. Jak tylko wróci. Ciekawe, nad czym rozmyśla. Ranessin to głęboki człowiek, głęboki jak morze; nie zawsze widać, co kryje się pod jego gładką powierzchnią.

Miriamele wzdrygnęła się, przypominając sobie kilpy w zatoce Emettin. Odstawiła swoją czarę.

– Czy mam włożyć męskie ubranie?

– Co? – Dinivan zatrzymał się zaskoczony jej pytaniem. – Ach, chodzi ci o spotkanie z Lektorem. Myślę, że nikt nie powinien się jeszcze dowiedzieć, że jesteś tutaj. Można by powiedzieć, że mógłbym swe życie zawierzyć braciom – i chyba tak jest – ale mieszkam tutaj i pracuję zbyt długo, by ufać gadułom. Przyniosłem ci czyste ubranie. – Wskazał na ubranie leżące na stołku, obok miski z parującą lekko wodą. – A zatem chodźmy, jeśli skończyłaś swoje obżarstwo. – Dinivan stał w wyczekującej pozie zamyślony nad czymś.

Miriamele spojrzała na ubrania, a potem na ojca Dinivana.

– Czy mógłbyś się odwrócić, żebym mogła się przebrać? – spytała wreszcie.

Dinivan najpierw wybałuszył na nią oczy, potem strasznie się zaczerwienił, co bardzo ubawiło Miriamele, choć tego nie pokazała.

– Wybacz, księżniczko! Co za brak szacunku! Wybacz, zaraz wyjdę. Wrócę niebawem. Przepraszam, ale myślę o tylu rzeczach jednocześnie. – Po tych słowach wycofał się tyłem z pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi.

Miriamele roześmiała się i wyszła z łóżka. Ściągnęła ubranie przez głowę i drżąc, umyła się; bardziej z zainteresowaniem niż ze zgrozą obejrzała swe opalone dłonie i przeguby. Pomyślała z satysfakcją, że jej ręce przypominają teraz ręce żeglarza. Wyobrażała sobie, jak mrugałyby do siebie damy dworu na ich widok!

Woda była ciepła, lecz w pokoju panował chłód, tak więc skończywszy się myć, szybko wciągnęła na siebie czyste ubranie. Przejechała dłonią po swych krótko obciętych włosach i pomyślała, żeby je także umyć, jednak na myśl o pełnych przeciągów korytarzach zrezygnowała. Chłód przypomniał jej o młodym Simonie wędrującym gdzieś przez mroźne bezdroża Północy. Pod wpływem impulsu dała mu swą ulubioną błękitną chustę; jakże żałosny wydawał się jej teraz ten prezent. Ale zrobiła to w dobrych intencjach. Chusta była za cienka, by go ogrzać, ale może przypomina mu ona o niebezpiecznej podróży, jaką razem przebyli. Może doda mu odwagi.

Dinivan stał na korytarzu, próbując przybrać maskę cierpliwości. Powróciwszy w swe rodzinne strony, duchowny zachowywał się jak rumak wojenny, który z drżeniem oczekuje bitwy. Natychmiast wziął ją pod ramię i poprowadził korytarzem.

– Gdzie jest Cadrach? – spytała. – Czy on pójdzie z nami na spotkanie z Lektorem?

Dinivan pokręcił głową.

– Nie mogę już za niego ręczyć. Wprawdzie powiedziałem, że nie spodziewam się z jego strony większego niebezpieczeństwa, ale uważam też, że ulega on wielu słabościom. Smutne to, gdyż przydałaby nam się teraz rada takiego człowieka, jakim był kiedyś. Jednak uznałem, że lepiej będzie nie wystawiać go na jakiekolwiek pokusy. Spożywa smaczny posiłek z innymi braćmi. W ten sposób pozostanie pod naszą dyskretną kontrolą.

– Kim był Cadrach? – spytała, wyciągając szyję, by obejrzeć sięgające sufitu gobeliny rozwieszone na ścianach korytarza; przedstawiały one sceny Podniesienia Aedona, Zaparcia się przez świętego Vilderivisa oraz chłosty Imperatora Crexisa. Patrzyła na te znieruchomiałe postacie o wybałuszonych, białych oczach i zastanawiała się nad wiekami, w czasie których gobeliny wisiały tutaj, podczas gdy świat kręcił się nieustannie. Czy kiedyś, kiedy ona i wszyscy jej znajomi będą już prochem, jej ojciec i wuj staną się tematami podobnych gobelinów i malowideł?

– Cadrach? – Był świętym człowiekiem, i to nie tylko z powodu stroju. – Dinivan zamyślił się na chwilę, zanim zaczął mówić dalej. – Księżniczko, innym razem pomówimy o twoim towarzyszu; wybacz mą nieuprzejmość. Teraz zastanów się nad tym, co powiesz Lektorowi.

– A co on chce wiedzieć?

– Wszystko. – Dinivan uśmiechnął się smutno. – Lektor chciałby wiedzieć wszystko o wszystkim. On twierdzi, że to z powodu odpowiedzialności, jaka spoczywa na jego barkach, stara się, by jego decyzje miały solidne podstawy, ale mnie się wydaje, że on jest po prostu ciekawski. – Roześmiał się głośno. – On wie więcej o rachunkowości niż większość pisarzy w kancelarii Sancellan. Słyszałem też, jak prowadził długie dyskusje o dojeniu krów z rolnikiem z Krainy Jezior. – Dinivan spoważniał. – Ale teraz nastały naprawdę ciężkie czasy. Jak już mówiłem wcześniej, nie mogę ujawniać Lektorowi wszystkich źródeł mych wiadomości, dlatego twoje słowa i świadectwo tego, co widziałaś, będą bardzo pomocne w przekazaniu mu nowin, o których musi się dowiedzieć. Opowiedz mu o wszystkim. Ranessin to mądry człowiek. On wie więcej o tym, co porusza światem, niż ktokolwiek ze znanych mi osób.

Miriamele wydawało się, że wędrówka ciemnymi korytarzami Sancellan Aedonitis nigdy się nie skończy. Szybko straciła orientację, gdzie

się znajdują, gdyż wszystkie korytarze były do siebie podobne; czasem tylko różniły się gobelinami lub mnichami, którzy je przemierzali. Kamienne korytarze były do tego wilgotne i słabo oświetlone. Miriamele odetchnęła z ulgą, kiedy dotarli wreszcie do ogromnych, drewnianych drzwi, na których wyrzeźbiono rozłożyste Drzewo.

Dinivan miał już je otworzyć, lecz w ostatniej chwili się zatrzymał.

– Powinniśmy w dalszym ciągu zachować środki ostrożności – powiedział, prowadząc ją do mniejszych drzwi nieopodal. Otworzył je i weszli do małego pomieszczenia, którego ściany obito welwetem.

W palenisku pod ścianą płonął ogień. Znaczną część pokoju zajmował szeroki stół pełen dużych książek i pergaminów. Duchowny pozostawił Miriamele w pomieszczeniu, by ogrzała sobie dłonie przy ogniu.

– Zaraz wrócę – oznajmił i odsłonił kotarę obok stołu. Zasłona opadła za Dinivanem.

Kiedy Miriamele poczuła w palcach przyjemne mrowienie ciepła, podeszła do stołu, aby przyjrzeć się leżącym na nim pergaminom. Nie wydawało się, by zawierały cokolwiek interesującego; pełno w nich było cyfr i opisów granic posiadłości. Wszystkie księgi były religijne, lecz jedna z nich wyróżniała się drzeworytami przedstawiającymi dziwne postacie i niezrozumiałe ceremonie; otwarta księga leżała na pozostałych. Przeglądając ostrożnie kolejne strony, znalazła jedną, którą założono czerwoną zakładką z materiału. Widniał na niej prosty rysunek człowieka o wytrzeszczonych oczach, czarnych dłoniach i głowie, z której wyrastały rogi. U stóp rogatej postaci zgromadziła się grupka przerażonych osób; na tle czarnego nieba, ponad głową postaci wisiała samotna, jasno świecąca gwiazda. Miriamele miała wrażenie, że człowiek z ilustracji patrzy wprost na nią.

– *Sa Asdridan Condiquilles* – przeczytała podpis poniżej ilustracji. – Gwiazda Zdobywcy.

Miriamele zadrżała. Poczuła płynący od księgi chłód, jakiego nie doświadczyła nawet w wilgotnych korytarzach Sancellan. Poczuła się, jakby rozpoznała jakiś koszmar z dzieciństwa, którego zło dopiero teraz rozpoznała. Szybko odłożyła księgę na swoje miejsce i odeszła od stołu, ocierając palce o ubranie, jakby dotknęła czegoś nieczystego.

Zza zasłony, za którą zniknął Dinivan, dochodziły ściszone głosy. Przysunęła się do wyjścia w nadziei, że zrozumie, o czym mówią, lecz osoby rozmawiały zbyt cicho. Ostrożnie odchyliła zasłonę i dostrzegła smugę światła, która wpadała do małego pomieszczenia z sąsiedniego pokoju.

Wydawało się, że jest to sala przyjęć Lektora, gdyż tak ozdobionego pomieszczenia nie widziała od chwili, gdy poprzedniej nocy znalazła się – bardzo śpiąca – w sali przejściowej. W sali, którą widziała teraz, wysoki sufit pokrywały malowidła przedstawiające sceny z *Księgi Aedona*. Okna były kawałkami szarego, porannego nieba. Na środku sali stał tron, a za nim powiewał ogromny błękitny sztandar ozdobiony Kolumną i Drzewem Matki Kościoła.

Na tronie siedział Lektor Ranessin: szczupły mężczyzna w wysokim kapeluszu na głowie, który słuchał grubego człowieka ubranego w przypominającą namiot złocistą szatę pisarza. Z boku stał Dinivan; duchowny szurał niecierpliwie nogą.

– Ale o to właśnie chodzi, Wasza Świątobliwość – powiedział bardzo wyważonym tonem gruby mężczyzna o lśniącej twarzy. – Za wszelką cenę uniknąć obrazy Wielkiego Króla. Stał on się niezwykle drażliwy. Musimy wziąć pod uwagę naszą wysoką pozycję, jak i dobro tych wszystkich, którzy upatrują w Matce Kościele źródło umiarkowania i dobrego

przykładu. – Mężczyzna wyciągnął z rękawa małe pudełko, wyjął coś z niego i wsadził do ust. Jego okrągłe policzki spłaszczyły się, kiedy zaczął ssać.

– Rozumiem, Velligisie – odparł Lektor i uśmiechnął się, unosząc jednocześnie dłoń. – Zawsze służysz dobrą radą. Jestem nieskończenie wdzięczny Bogu za to, że postawił cię na mej drodze. – Velligis pochylił nieco swą okrągłą głowę w geście podziękowania. – A teraz, jeśli pozwolisz – ciągnął Ranessin – powinienem poświęcić chwilę biednemu Dinivanowi. Odbył daleką podróż i bardzo jestem ciekaw, jakie przywiózł wieści.

Pisarz klęknął na kolano – nie był to łatwy wyczyn dla człowieka jego rozmiarów – i ucałował rąbek błękitnej szaty Lektora.

– Wasza Świątobliwość, jeśli będziesz mnie potrzebował, będę w kancelarii do popołudnia. – Sekretarz wstał i opuścił pokój kołyszącym krokiem, wyciągając z pudełka kolejnego cukierka.

– Rzeczywiście jesteś wdzięczny Bogu za to, że pozwolił wam się spotkać? – zapytał uśmiechnięty Dinivan.

Lektor skinął głową.

– Tak. Velligis jest dla mnie przykładem tego, dlaczego ludzie nie powinni traktować siebie poważnie. Ma dobre chęci, lecz jest przy tym tak bardzo pompatyczny.

Dinivan pokręcił głową.

– Jestem w stanie uwierzyć, że ma dobre chęci, lecz jego rada jest nie do przyjęcia. Jeśli Matka Kościół miałaby kiedykolwiek stanąć w obronie dobra, to moment ten właśnie nadszedł.

– Wiem, co czujesz, Dinivanie – powiedział cicho Lektor. – Ale nie możemy obecnie podejmować pochopnych decyzji, gdyż moglibyśmy ich potem żałować. Przywiozłeś księżniczkę?

Sekretarz Ranessina skinął głową.

– Zaraz ją przyprowadzę. Została w moim gabinecie. – Odwrócił się i przeszedł przez Salę Przyjęć.

Miriamele szybko opuściła zasłonę. Kiedy wyłonił się zza niej Dinivan, ona znowu stała przy palenisku.

– Chodź ze mną – powiedział. – Lektor jest już wolny.

Znalazłszy się przed tronem, Miriamele złożyła głęboki ukłon i ucałowała rąbek szaty Ranessina. Starzec wyciągnął rękę i pomógł jej się wyprostować – jego dłoń okazała się zaskakująco mocna.

– Usiądź, proszę, obok mnie – powiedział, dając znak Dinivanowi, by podsunął krzesło. – Sobie też przynieś – dodał po chwili.

W czasie, gdy Dinivan przysuwał krzesła, Miriamele miała okazję po raz pierwszy przyjrzeć się Lektorowi. Choć nie widziała go od ponad roku, miała wrażenie, że się prawie wcale nie zmienił. Jego długie, siwe włosy opadały po obu stronach bladej, ładnej twarzy. Jego oczy przypominały oczy dziecka; żywe i pełne jakby ukrytej przebiegłości. Miriamele nie mogła powstrzymać się przed porównaniem go z hrabią Streawe’em, lordem Perdruin. Regularne rysy twarzy Streawe’a nosiły wyraźne piętno chytrości. Ranessin wyglądał o wiele bardziej niewinnie, lecz Miriamele nie potrzebowała zapewnień Dinivana co do tego, że wiele kryje się pod tą zewnętrzną maską.

– Droga księżniczko – odezwał się Ranessin, kiedy wszyscy usiedli. – Nie widziałem cię od dnia pogrzebu twego dziadka. Urosłaś, ale cóż to za dziwne szaty masz na sobie. – Uśmiechnął się. – Witaj w domu Bożym. Czy brakuje ci czego?

– Nie, jeśli chodzi o żywność, Wasza Świątobliwość.

Ranessin zmarszczył brwi.

– Nie przepadam za tytułami, a mój jest jednym z tych trudniejszych do wymówienia. Jako młodzieniec w Stanshire nigdy mi się nie śniło, że wyląduję w Nabbanie i że będą się do mnie zwracali imionami zbliżonymi do „Świętego” czy „Wyniesionego”, zamiast nazywać mnie moim imieniem.

– Czy Ranessin nie jest twym prawdziwym imieniem? – spytała Miriamele.

Lektor roześmiał się.

– Nie. Jestem z pochodzenia Erkynlandczykiem i otrzymałem imię Oswine. Lecz ponieważ Erkynlandczycy rzadko kiedy dostępują takich zaszczytów, z przyczyn politycznych rozsądniej było przyjąć nabbańskie imię. – Poklepał lekko jej dłoń. – Skoro już jesteśmy przy przyjmowaniu imion, Dinivan powiedział mi, że dużo podróżowałaś i wiele widziałaś od chwili opuszczenia domu twego ojca. Czy opowiesz mi o swoich podróżach?

Dinivan skinął głową zachęcająco, więc Miriamele wzięła głęboki oddech i zaczęła swą opowieść.

Lektor słuchał uważnie, a ona opowiadała o coraz większym szaleństwie jej ojca i o tym, jak doprowadziło to do jej ucieczki z Hayholt; mówiła o złym doradcy Pryratesie i o uwięzieniu Josui. Przez okna, umieszczone wysoko pod sufitem, zaczęły wdzierać się do sali promienie słońca. Dinivan wstał, by posłać kogoś po jedzenie, gdyż zbliżało się południe.

– To fascynujące – powiedział Lektor, kiedy czekali na powrót jego sekretarza. – Opowieść twoja potwierdza liczne pogłoski, jakie mnie doszły. – Przesuwał palcem po nosie. – Usiresie, Panie, oświeć nas swoją mądrością. Dlaczego człowiek nie potrafi zadowolić się tym, co już posiada?

Dinivan powrócił niebawem, a z nim inny duchowny z tacą pełną sera i owoców oraz dzbanem napoju z grzanego mleka zaprawionego winem i korzeniami. Miriamele podjęła swą opowieść. Kiedy tak rozmawiali i jedli, a Ranessin zasypywał ją grzecznymi, lecz bystrymi pytaniami, wydało jej się, że rozmawia z dobrym dziadkiem. Opowiedziała mu o psach Nornów, które ścigały ją i służącą Leleth, a potem o tym, jak uratowali je Simon i Binabik. Kiedy mówiła o odkryciach w domu czarownicy Geloë, a także o mrocznych przepowiedniach Jarnaugi w Naglimundzie, Dinivan i Lektor wymienili między sobą spojrzenia.

Miriamele umilkła, a Lektor poprawił swój kapelusz, który stopniowo zsuwał mu się z głowy, i wzdychając, oparł się wygodnie. W jego jasnych oczach widać było smutek.

– Tyle do przemyślenia, tyle niepokojących pytań, które pozostają bez odpowiedzi. Och, Boże, na ciężką próbę wystawiasz swoje dzieci. Mam przeczucie, że nadchodzi wielkie zło. – Zwrócił się do Miriamele. – Dziękuję ci, księżniczko, za wieści. Nie są one pomyślne, lecz tylko głupiec lubi pławić się w błogiej ignorancji, a ja staram się nie być głupcem. To mój najgorszy kłopot. – Wydął usta zamyślony. – No cóż, Dinivanie – odezwał się wreszcie. – To stawia wieści, które wczoraj otrzymałem, w jeszcze bardziej mrocznym świetle.

– Co to za wieści, Wasza Świątobliwość? – spytał Dinivan. – Nie mieliśmy okazji porozmawiać po moim powrocie.

Lektor napił się wina.

– Elias przysyła do mnie Pryratesa. Jego statek przybywa jutro z Hayholt. Podobno przyjeżdża z ważną misją od Wielkiego Króla.

– Pryrates przyjeżdża? – spytała Miriamele zaniepokojona. – Czy mój ojciec wie, że jestem tutaj?

– Nie, nie. Nie obawiaj się – uspokoił ją Lektor. Ponownie poklepał ją po dłoni. – On chce rozmawiać z Matką Kościołem. Nikt nie wie o twoim pobycie tutaj z wyjątkiem mnie i Dinivana.

– On jest diabłem – powiedziała ostro Miriamele. – Nie ufaj mu.

Ranessin pokiwał głową smutno.

– Chętnie wysłucham twego ostrzeżenia, księżniczko Miriamele, lecz czasem moim obowiązkiem jest rozmawiać z diabłami. – Spojrzał na swe dłonie, jakby miał nadzieję, że trzyma w nich rozwiązanie wszystkich problemów.

Kiedy Dinivan wyprowadzał Miriamele, Lektor pożegnał ją uprzejmie, lecz wydawał się pogrążony w myślach.

10. Lusterko

SIMON STWIERDZIŁ, że znajduje się w kleszczach uporczywego gniewu, którego nie potrafił się pozbyć. Idąc ze Sludigiem za trollami, które zjeżdżały w dół zbocza, pozostawiając za sobą surowe, nagie skały, czuł, że kipiąca w nim wściekłość mąci mu myśli i nie pozwala pomyśleć o niczym dłużej niż tylko przez chwilę.

Maszerował na sztywnych nogach wciąż posiniaczony i obolały; w żołądku czuł kulę gniewu. Idąc, rozmyślał. Haestan nie żył. Stracił jeszcze jednego przyjaciela. Nic nie mógł na to poradzić. Nie mógł tego zmienić. Nie potrafił nawet płakać z tego powodu. I to go najbardziej denerwowało: nie mógł nic zrobić. Nic.

Blady i milczący Sludig nie wykazywał chęci do rozmowy. Szli więc obok siebie szerokimi płytami zwietrzałego granitu i kluczyli między zaspami śniegu, z którego unosiła się mgiełka, wzbijana kopytami baranów.

Podgórze stawało się coraz okazalsze, jakby wychodziło im na spotkanie. Za każdym zakrętem po raz kolejny ukazywały im się ośnieżone wzgórza, za każdym razem trochę większe. Sikkihoq zaś oddalała się ku niebu; wydawała się wyższa, jakby nie mając już nic do czynienia ze śmiertelnikami, powróciła do bardziej jej odpowiadającego i wzniosłego towarzystwa nieba i chmur.

– *Nie zapomnę cię* – Simon ostrzegł Sikkihoq, spoglądając w tył na ogromny, kamienny sztylet. Chciał to wykrzyczeć. Wydawało mu się, że gdyby wytężył wzrok, zobaczyłby jeszcze miejsce, w którym pozostały kopce. – *Nie zapomnę, że na twym zboczu pochowany jest mój przyjaciel.*

Popołudnie szybko minęło. Posuwali się coraz prędzej, w miarę jak szlak stawał się coraz szerszy i mniej stromy. Droga nie była już tak kręta. Simon dostrzegł objawy życia, których nie widział w wyższych partiach góry: biało-brązowe króliki skubały trawę pomiędzy łachami śniegu, na karłowatych, poskręcanych wiatrem drzewach kłóciły się sójki i wiewiórki. Po krainie nieczułego kamienia to powinno poprawić jego samopoczucie. Zamiast tego wznieciło tylko gniew. Jakim prawem żyły te małe i pozbawione znaczenia stworzenia, gdy tymczasem inni umierali? Zastanawiał się, dlaczego miało ich obchodzić to, że w każdej chwili jastrząb, żmija lub strzała myśliwego mogły zakończyć życie tych stworzeń. Myśl o życiu pełzającym bezsensownie w cieniu śmierci napełniała go dziwnie podniecającym obrzydzeniem.

Z nadejściem wieczoru wybrali kawałek łagodnego zbocza pokrytego kamieniami i zaroślami, które nadawało się na obóz; przed siekącym śniegiem i wiatrem osłaniała je swym ciałem góra Sikkihoq. Simon rzucił na ziemię swój tobołek i zaczął zbierać drewno na ognisko, lecz po chwili zatrzymał się, by popatrzeć na słońce, znikające właśnie za górami na zachodzie. Wiedział, że jedną z nich jest Urmsheim, smocza góra. Horyzont przybrał barwę róż, jakie pamiętał z ogrodów w Hayholt.

Tam, walcząc o życie swych towarzyszy, zginął An’nai, krewny Jirikiego. Obok niego pochowano chudego, małomównego żołnierza, Grimmrica. Simon pamiętał jego gwizdanie, kiedy jechali na północ, które czasem denerwowało go, a czasem dodawało odwagi. Teraz zamilkł już na zawsze. Grimmric i An’nai nigdy nie zobaczą już tak pięknego zachodu

słońca, jaki oglądał w tej chwili Simon; pięknego i pozbawionego znaczenia.

Gdzie oni są? W niebie? Jak Sithowie mogli iść do nieba, skoro w nie nie wierzyli? W takim razie w co oni wierzyli, że dokąd idą po śmierci? Simonowi wydawało się, że byli poganami, co znaczyło, że byli inni, lecz An’nai był wierny i odważny. Był nawet bardzo miły dla Simona na swój dziwny sposób. Jak więc An’nai mógł nie pójść do nieba? Jak niebo mogło być tak głupim miejscem?

Gniew, który opadł w nim nieco, znowu powrócił. Simon wyrzucił daleko przed siebie jeden z patyków, jakich zdążył już nazbierać. Leciał, wirując w powietrzu, po czym opadł i potoczył się długim, kamiennym zboczem, aż wreszcie zniknął w zaroślach poniżej.

– Chodź, Simonie – zawołał Sludig. – Potrzebne nam jest twoje drewno. Nie jesteś głodny?

Simon nie odpowiadał; stał wpatrzony w czerwony horyzont, zaciskając zęby. Kiedy poczuł dłoń na swym ramieniu, odtrącił ją ze złością.

– Chodź, proszę – powiedział łagodnie Rimmersman. – Niedługo będzie kolacja.

– Gdzie jest Haestan? – Simon spytał przez zaciśnięte zęby.

– O co ci chodzi? – Sludig podniósł głowę. – Wiesz, gdzie go zostawiliśmy.

– Nie. Ja pytam, gdzie jest Haestan? *Prawdziwy* Haestan?

– Ach. – Sludig uśmiechnął się. Jego broda urosła i stała się bardzo gęsta. – Dusza Haestana jest w niebie z Usiresem i Panem Bogiem.

– *Nie.* – Simon odwrócił się i znowu spojrzał na niebo, które ściemniało już, dotknięte pierwszym odcieniem granatu śmiertelnej nocy.

– Dlaczego tak mówisz?

– On nie jest w niebie. Nie ma żadnego nieba. Jak może istnieć niebo, kiedy wszyscy wyobrażają je sobie inaczej?

– Głupstwa gadasz. – Sludig wpatrywał się przez chwilę w Simona, starając się odgadnąć jego myśli. – A może każdy idzie do swojego nieba – powiedział żołnierz i położył dłoń na ramieniu Simona. – Bóg swoje wie. Chodź i usiądź.

– Jak Bóg mógłby pozwolić umierać ludziom bez przyczyny? – spytał Simon, przyciskając do siebie mocno ramiona, jakby chciał coś ukryć.

– Jeśli Bóg jest do tego zdolny, to znaczy, że jest okrutny. A jeśli nie jest okrutny, no cóż... to znaczy, że nic nie może zrobić. Tak jak starzec, który siedzi przy oknie, lecz nie może wyjść. Jest stary i głupi.

– Nie mów tak o Bogu Ojcu – odparł chłodno Sludig. – Żaden niewdzięczny chłopak nie będzie szydził z Boga. On dał ci wszystkie dary życia...

– To kłamstwo! – krzyknął Simon. Żołnierz otworzył oczy zdziwiony. Siedzący przy ognisku odwrócili głowy w ich stronę. – To kłamstwo, kłamstwo! *Jakie* dary? Dar pełzania tu i tam jak robak, żeby znaleźć coś do jedzenia, kąt do spania; a potem nagle coś rozgniata cię bez ostrzeżenia? Cóż to za dar? Żeby czynić dobrze i... walczyć przeciwko złu, jak nakazuje *Księga Aedona*; a jeśli to będziesz robił, zabiją cię! Jak Haestana! Jak Morgenesa! Tymczasem źli żyją dalej... żyją dalej, bogacą się i śmieją z dobrych! To głupie kłamstwo!

– Simonie, mówisz okropne rzeczy! – odparł Sludig podniesionym głosem. – Szaleństwo i smutek każą ci tak mówić...

– To kłamstwo, a ty jesteś głupcem, głupcem, skoro w nie wierzysz! – krzyknął Simon i rzucił drewno pod nogi Sludiga. Odwrócił się i zaczął biec w dół ścieżką, czując w żołądku ból, który niemal odbierał mu oddech; biegł krętą ścieżką tak długo, aż obóz zniknął z pola widzenia.

Za nim rozlegało się słabe ujadanie Qantaqi, jakby ktoś klaskał w innym pokoju. Wreszcie opadł zmęczony na kamień leżący przy ścieżce i siedział, pocierając dłonie o wytarte spodnie. Kamień porośnięty był mchem, który choć brązowy od wiatru i mrozu, wydawał się tchnąć życiem. Wpatrywał się w mech i zastanawiał, dlaczego nie mógł płakać i czy w ogóle chciał płakać.

Po pewnym czasie usłyszał jakiś hałas; odwróciwszy się, zobaczył Qantaqę, jak zbliża się do niego po kamiennym zboczu. Wilczyca biegła z nosem spuszczonym nisko nad ziemią. Zeskoczyła na ścieżkę i przez chwilę stała, przyglądając mu się ciekawie z głową przekrzywioną na jedną stronę, po czym podeszła bliżej, ocierając się o jego nogę. Simon przesunął palcami po jej gęstym futrze. Wilczyca poszła dalej ścieżką, aż stała się zaledwie cieniem w zapadającej ciemności.

– Simonie, przyjacielu. – Zza zakrętu wyłonił się Binabik. – Qantaqa idzie polować – powiedział, spoglądając na znikającą wilczycę. – Trudno jej wytrzymać przez cały dzień, tak jak ją proszę. Jest dobrym kompanem, skoro stać ją na takie wyrzeczenie.

Simon nie odpowiadał, więc troll podszedł bliżej i przykucnął u jego boku, kładąc swój kij na kolanach.

– Jesteś bardzo zdenerwowany – powiedział.

Simon wziął głęboki oddech i po chwili wypuścił powietrze.

– Wszystko jest kłamstwem – powiedział cicho.

Binabik spojrzał na niego pytająco.

– Co znaczy „wszystko”? I co znaczy, że jest kłamstwem?

– Wydaje mi się, że nic nie możemy zrobić. Nic, co mogłoby polepszyć sprawy. Umrzemy.

– Kiedyś – zgodził się z nim troll.

– Umrzemy, walcząc z Królem Burz. Kłamstwem będzie twierdzenie, że tak się nie stanie. Bóg nas nie uratuje; nawet nam nie pomoże. – Simon podniósł kamień i cisnął go na drugą stronę ścieżki, gdzie grzechocząc, zginął w ciemności. – Binabiku, nie mogłem nawet podnieść Ciernia. Co za pożytek z miecza, którego nie możemy użyć? W jaki sposób mieczem – albo i trzema Wielkimi Mieczami, czy jak się tam one nazywają – zabijemy takiego wroga? Jak zabić kogoś, kto już nie żyje?

– Nie potrafimy jeszcze odpowiedzieć na te pytania – odparł troll. – Nie wiem. Skąd wiesz, że ten miecz służy do zabijania? A jeśli już o tym mówimy, skąd wiesz, że ktoś z nas będzie zabijał?

Simon podniósł kolejny kamień i rzucił go.

– Ja też niczego nie wiem, Binabiku. Jestem tylko podkuchennym. – Simon rozżalił się nad samym sobą. – Chcę tylko wrócić do domu. – Słowa uwięzły mu w gardle.

Troll wstał, otrzepując siedzenie.

– Nie jesteś już chłopcem, Simonie. Pod każdym względem jesteś mężczyzną. Owszem, młodym, lecz mężczyzną – w każdym razie prawie mężczyzną.

Simon pokiwał głową.

– Nieważne. Myślałem... nie wiem. Myślałem, że to będzie tak jak w opowieści. Że znajdziemy miecz, którego moc pozwoli nam zniszczyć wroga, i znowu wszystko będzie dobrze. Nie wiedziałem, że będą jeszcze ginęli ludzie! Jak może istnieć Bóg, który pozwala ludziom umierać bez względu na to, co robią?

– Jeszcze jedno pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć. – Binabik uśmiechnął się nieśmiało, by nie zranić uczuć Simona. – Nie potrafię ci też powiedzieć, w co należy wierzyć. Prawdy o bogach, zawarte w opowieściach, odnoszą się do przeszłości. Nawet Sithowie, którzy żyją

bardzo długo, nie potrafią powiedzieć, kiedy i jak powstał świat, a przynajmniej nie są tego pewni. Ale powiem ci coś ważnego... – Troll pochylił się i dotknął ramienia Simona, czekając, aż jego młody przyjaciel podniesie głowę. – Bogowie z nieba czy z kamienia są bardzo odlegli i możemy tylko domyślać się ich zamiarów. – Troll ścisnął ramię Simona. – Jednak obaj żyjemy w czasach, kiedy bóg ponownie zszedł na ziemię. Nie ma on dobrych zamiarów. Ludzie mogą walczyć i umierać, mogą budować mury i rozbijać skały, lecz Ineluki umarł i powrócił: tego nie dokonał nikt, nawet wasz Usires Aedon. Wybacz, nie chcę mówić bluźnierstw, ale czy to, czego dokonał Ineluki, nie jest boskim wyczynem? – Binabik potrząsnął Simonem i spojrzał mu w oczy. – Jest okrutny i zazdrosny, a świat, jaki może stworzyć, będzie okropnym miejscem. Bardzo niebezpieczne jest nasze zadanie i bardzo trudne – może nawet jest niewykonalne – ale jest to zadanie, przed którym nie możemy uciec.

Simon odwrócił wzrok.

– To właśnie mówiłem. Jak można walczyć z Bogiem? Zgniecie nas jak mrówki. – Kolejny kamień poleciał w ciemność.

– Być może. Lecz jeśli nie spróbujemy, nie będzie szans na nic innego poza zgnieceniem mrówek. Nawet najgorsze niesie coś ze sobą. Może umrzemy, lecz śmierć jednych może oznaczać życie innych. Nie jest to zbyt wiele, ale w każdym razie jest to już coś. – Troll przeszedł kilka kroków i usiadł na innym kamieniu. Niebo szybko ciemniało. – A poza tym – powiedział z powagą – może i głupio jest modlić się do bogów, lecz z pewnością przeklinanie ich nie jest przejawem mądrości.

Simon nic nie odpowiedział. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Wreszcie Binabik odkręcił część swego kija, która skrywała nóż, i wysunął flet z jego drugiej strony. Najpierw zagrał kilka dźwięków, po czym rozległa się powolna, melancholijna melodia. Obca otoczeniu muzyka,

która odbiła się echem od górskiego zbocza, w ciemności wydawała się współbrzmieć z głosem samotności Simona. Zadrżał, czując przenikający podarte ubranie wiatr. Blizna na twarzy paliła niemiłosiernie.

– Binabiku, czy jesteś jeszcze moim przyjacielem? – odezwał się wreszcie.

Troll przestał grać.

– Simonie, przyjacielu, do śmierci i poza nią. – Troll przyłożył flet do ust i zaczął ponownie grać.

Kiedy dźwięki fletu umilkły, Binabik zagwizdał na Qantaqę i poszedł w górę ścieżki. Simon ruszył za nim.

OGIEŃ DOPALAŁ SIĘ, a bukłak z winem zataczał ostatnie koło, gdy Simon zebrał wreszcie odwagę, by podejść do Sludiga. Rimmersman ostrzył grot włóczni, prezent od trolli. Wreszcie podniósł głowę.

– Tak? – spytał ponuro.

– Sludigu, przepraszam. Nie powinienem tego mówić. Ty byłeś uprzejmy.

Rimmersman spojrzał na niego chłodnym wzrokiem, lecz po chwili wyraz jego twarzy złagodniał.

– Simonie, możesz sobie myśleć, co ci się podoba, ale nie bluźnij tak przy mnie przeciw Jedynemu Bogu.

– Przepraszam. Jestem tylko podkuchennym.

– Podkuchennym! – Sludig zaśmiał się ochryple. Popatrzył w oczy Simona i ponownie się roześmiał, tym razem jeszcze weselej. – Tak myślisz, prawda? Simonie, jesteś głupcem. – Wstał, cmokając i kręcąc głową. – Podkuchenny! Podkuchenny, który walczy ze smokami

i olbrzymami. Spójrz na siebie! Jesteś wyższy ode mnie, choć Sludig nie grzeszy brakiem wzrostu!

Simon patrzył na Rimmersmana zdumiony. Rzeczywiście: był wyższy od Sludiga o pół dłoni.

– Ale ty jesteś silny! – zaprotestował Simon. – Jesteś dorosłym mężczyzną.

– A ty szybko się nim stajesz. Jesteś silniejszy, niż ci się wydaje. Simonie, prawda jest taka, że nie jesteś już chłopcem. Nie możesz się zachowywać, jakbyś nim był. – Rimmersman przyglądał mu się przez chwilę. – W rzeczywistości to niebezpiecznie nie uczyć cię więcej sztuki walki. Miałeś szczęście, wychodząc cało z kilku pojedynków, ale szczęście jest zmienne. Potrzebujesz więcej lekcji władania mieczem i włócznią i ja ich ci udzielę. Z pewnością Haestan by sobie tego życzył, a poza tym będziemy mieli jakieś zajęcie w czasie naszej długiej podróży do twojego Kamienia Rozstania.

– A więc przebaczasz mi? – Simon czuł się zakłopotany tą rozmową o byciu dorosłym.

– Jeśli muszę. – Rimmersman usiadł ponownie. – Teraz idź spać. Przed nami długa droga. Jutro po rozbiciu obozu poćwiczymy trochę.

Simonowi wcale nie podobało się, że został odesłany do łóżka, lecz nie chciał ryzykować kolejnej sprzeczki. Nie czuł się też na siłach, by wrócić do ogniska i zasiąść do wspólnego posiłku. Wiedział, że wszyscy obserwowali go wcześniej i teraz z pewnością zastanawiali się, czy znowu wybuchnie.

Podszedł więc do łóżka, które wcześniej zrobił ze sprężystych gałęzi i liści. Położył się na nim i szczelnie owinął płaszczem. Chętnie przespałby się w jakiejś jaskini albo gdzieś na równinie, z dala od góry, gdzie nie byliby wystawieni na bezlitosny wiatr. Świecące jasnym i zimnym światłem

gwiazdy zdawały się drżeć na niebie. Simon wpatrywał się w nie, pokonując wzrokiem niewyobrażalne odległości, i pozwolił myślom błądzić swobodnie, aż wreszcie nadszedł sen.

ZBUDZIŁ GO ŚPIEW TROLLI. Pamiętał niewyraźnie szarego kotka i uczucie, że ktoś lub coś schwytało go w pułapkę, lecz sen szybko się oddalał. Otworzył oczy, ale ujrzawszy słabe światło poranka, szybko je zamknął. Nie chciał wstawać i stawiać czoło kolejnemu dniowi.

Trolle wciąż śpiewały, pobrzękując uprzężą baranów. Widział rytuał siodłania tak często, że potrafił sobie wszystko wyobrazić z zamkniętymi oczami. Trolle zaciskały popręgi i wypełniały juki; przez cały czas rozbrzmiewał ich gardłowy, lecz wysoki i monotonny śpiew. Co pewien czas przerywały pracę; wtedy poklepywały swe barany i tarmosiły ich gęstą wełnę, przytulając się do nich, by zaśpiewać im cicho do ucha, podczas gdy zwierzęta mrugały żółtymi, skośnymi oczami. Zbliżał się czas słonawej herbaty, suszonego mięsa i cichej, wesołej rozmowy.

Tyle tylko, że nie będzie ona tak wesoła; był to trzeci poranek po bitwie z olbrzymami. Towarzysze Binabika byli pogodnymi trollami, lecz gorycz, która wezbrała w sercu Simona, chyba ich zaraziła. Potrafili śmiać się z przeraźliwego zimna czy zawrotnych wysokości, lecz teraz padł na nich cień, którego nie rozumiały, podobnie jak i Simon.

Powiedział prawdę Binabikowi: myślał, że wszystko będzie dobrze, gdy znajdą miecz zwany Cierniem. Jego moc i niezwykłość były tak oczywiste, że wydawało się niemożliwe, iż nie może on spowodować żadnej zmiany w walce z Królem Burz i jego mrocznymi sprzymierzeńcami. Ale może sam miecz nie wystarczał. Może to, o czym mówił poemat, nie mogło nastąpić, dopóki nie spotkają się wszystkie trzy miecze.

Simon jęknął. Niewykluczone, że dziwny wiersz z księgi Nissesa nie miał żadnego znaczenia. Czyż nie mówiono o nim, jak o szaleńcu? Nawet Morgenes nie wiedział, co naprawdę znaczy poemat.

Kiedy szron dzwony Clavesa pokryje,
A Cienie przejdą drogą,
Kiedy woda w Studni zmętnieje,
Trzy Miecze powrócić muszą.
Kiedy Bukkeny z ziemi wypełzną,
A z wyżyn Huneny zejdą,
Kiedy Koszmar za gardło Sen błogi chwyci,
Trzy Miecze powrócić muszą.
By zmienić ścieżkę Losu,
By rozproszyć Czasu Mgły.
Jeśli Wcześnie stawi czoło Zbyt Późno,
Trzy Miecze powrócić muszą...

Prawdą było, że Bukkeny wypełzły z ziemi, lecz Simon nie chciał przywoływać wspomnień skrzeczących kopaczy. Od chwili ich ataku na obóz Isgrimnura w pobliżu klasztoru świętego Hoderunda Simon nigdy już nie czuł się pewnie, stąpając po gołej ziemi. Dlatego też jedyną zaletą, jaką widział w podróżowaniu po kamiennym grzbiecie bezlitosnej góry Sikkihoq, była pewność, że chroniła ich przed Bukkenami.

Wspomnienie w wierszu o olbrzymach, z których ręki tak niedawno przecież poległ Haestan, wydawało mu się okrutnym żartem. Huneny nie musiały nawet schodzić z gór, gdyż Simon i jego przyjaciele byli tak głupi, że sami poszli do nich. Lecz olbrzymy rzeczywiście wyszły ze swych kryjówek, o czym Simon i pozostali dobrze wiedzieli. Razem z Miriamele –

wspomnienie jej wywołało ukłucie tęsknoty – spotkali jednego w lesie Aldheorte, zaledwie o tydzień konnej jazdy od bram Erchesteru.

Nie potrafił zrozumieć pozostałej części wiersza, lecz nic, co zawierała, nie wydawało się niemożliwe: Simon nie miał pojęcia, kim był Claves czy też gdzie znajdował się jego dzwon, lecz wyglądało na to, że wkrótce wszystko ogarnie mróz. Nawet jeśli tak się stanie, co mają z tym wspólnego trzy miecze?

„Trzymałem Cierń” – pomyślał. Przez chwilę ponownie poczuł moc oręża. „W tym momencie byłem wielkim rycerzem, czy nie tak?”

Ale czy było to zasługą miecza, czy raczej tego, że miał odwagę stawić czoło niebezpieczeństwu i pozbyć się strachu? Gdyby uczynił to samo z nie tak potężnym mieczem, czy byłby mniej dzielny? Oczywiście, zginąłby, tak samo jak Haestan, An’nai, Morgenes i Grimmric... ale czy miało to znaczenie? Przecież wielcy bohaterowie też umierają. Czy Camaris, prawdziwy pan Ciernia, nie zginął w odmętach wzburzonego morza?

Simon pozwolił błądzić swym myślom. Czuł, że osuwa się w sen. Pozwolił mu się prawie zupełnie ogarnąć, lecz wiedział, że niebawem przyjdzie Binabik albo Sludig, żeby go obudzić. Poprzedniego wieczoru powiedzieli, że jest mężczyzną, czy też że prawie nim jest. Zapragnął, by choć raz nie obudzono go ostatniego, jak dziecka, któremu pozwala się spać jeszcze, kiedy dorośli już się krzątają.

Otworzył oczy, rozpraszając ciemność snu, i jęknął. Wydobył się spod płaszcza, zebrał z ubrania gałązki i sosnowe igły, strzepnął płaszcz, po czym natychmiast owinął się nim ponownie. Szybko podniósł tobołek, który służył mu za poduszkę, jakby nawet na chwilę nie chciał rozstawać się ze swoim skromnym dobytkiem.

Ranek był chłodny; w powietrzu unosiły się tu i tam płatki śniegu. Simon przeciągnął się i poszedł w stronę ogniska, przy którym siedzieli już,

rozmawiając, Binabik i Sisqi. Narzeczeni trzymali się za ręce usadowieni tuż przed przezroczystymi niemal, niskimi płomieniami ogniska. Obok nich leżał oparty o pień drzewa Cierń; teraz był jak matowoczarny pręt, w którym nie odbijało się żadne światło. Widziani z tyłu oboje wyglądali jak para dzieci rozmawiających z ożywieniem o grze, w którą mają się bawić, czy też o jakimś zakamarku godnym zbadania, i Simon poczuł chęć zaopiekowania się nimi. Chwilę później zdał sobie sprawę, że pewnie rozmawiali o tym, jak utrzymać przy życiu swoich ludzi, jeśli zima nie ustąpi, albo co powinni zrobić, kiedy zaatakują ich inne olbrzymy, i cała wizja się rozpadła. Oni nie byli dziećmi, a gdyby nie ich odwaga, on już by nie żył.

Nagle Binabik odwrócił się i zobaczył, że Simon ich obserwuje. Mały troll uśmiechnął się do niego na powitanie, słuchając jednocześnie tego, co szybko mówi Sisqi. Binabik wskazał leżące na kamieniu kawał sera i piętkę chleba. Simon chrząknął i schylając się, wziął jedzenie, po czym odszedł na swoje miejsce.

Słońce nie wyszło jeszcze zza grzbietu Sikkihoq. Ich obóz pozostawał wciąż w cieniu góry, lecz szczyty gór na zachodzie lśniły już oświetlone promieniami wschodzącego słońca. Szary cień świtu pokrywał jeszcze ciągnące się pod nimi Białe Pustkowie. Simon ugryzł kawałek suchego chleba i żując go, patrzył poprzez pustkowie na brzeg odległego lasu, podobnego do ciemniejszej śmietanki w wiadrze z mlekiem.

Qantaqa, która dotąd leżała u boku Binabika, wstała, przeciągnęła się i poczłapała cicho w kierunku Simona. Na jej pysku widniały ślady krwi jakiegoś biednego zwierzęcia, które stało się jej śniadaniem, a którego resztki zlizywała jeszcze z pyska swym długim, różowym jęzorem. Zbliżywszy się do Simona, zastrzygła raźno uszami, jakby mieli udać się na jakąś umówioną wyprawę, lecz postała tylko przez chwilę, pozwalając mu

się podrapać, po czym zwinęła się w kłębek gotowa do kolejnej drzemki. Była tak ciężka, że gdy oparła się o nogę Simona, niemal zrzuciła go z kamienia, na którym siedział.

Simon skończył jeść i otworzył swój tobołek, by wyjąć naczynie z wodą. Razem z nim wysunęło się coś niebieskiego, splątanego z jego uchwytem. Była to chustka, którą Miriamele zawiązała mu wokół szyi, kiedy wyruszał w podróż na smoczą górę. Jiriki zdjął mu ją, kiedy opatrywał jego rany, lecz rozważnie schował ją do torby wraz ze skromnym dobytkiem Simona. Teraz leżała na jego dłoni niczym kawałek nieba; patrząc na nią, Simon poczuł pieczenie w oczach. W której części tego ogromnego świata była teraz Miriamele? Geloë nie potrafiła tego powiedzieć w czasie tej krótkiej chwili, kiedy się porozumieli. W której części Osten Ard wędrowała teraz księżniczka? Czy choć raz pomyślała o nim? A jeśli tak, jakie były jej myśli?

„Tak pewnie myślała: «Po co dałam moją piękną chustkę jakiemuś brudnemu kuchcikowi?»” Z przyjemnością poczuł ukłucie żalu nad samym sobą. No cóż, w końcu nie był pierwszym lepszym podkuchennym. Jak powiedział Sludig, był chłopcem z kuchni, który walczył ze smokami i olbrzymami. Lecz w tej chwili wolałby być raczej chłopcem z kuchni, który siedzi w miłej, ciepłej kuchni w Hayholt.

Simon zawiązał sobie chustkę Miriamele wokół szyi i wsunął jej końce pod kołnierzyk wystrzępionej koszuli. Napił się wody i znowu zaczął szukać w torbie, lecz nie mógł znaleźć tego, czego szukał. Po chwili przypomniał sobie, że schował to w kieszeni płaszcza, i przestraszył się. Kiedy wreszcie nauczy się być bardziej ostrożnym? Sto razy mógł to zgubić. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy poczuł zgubę przez materiał płaszcza. Wsunął dłoń do kieszeni i poszperawszy chwilę, wyciągnął przedmiot na zewnątrz.

Lusterko Jirikiego było zimne jak lód. Potarł je o rękaw, po czym uniósł do góry i spojrzał na swe odbicie. Broda znacznie mu urosła od momentu, kiedy przyglądał się sobie po raz ostatni. Rudawy zarost – prawie brązowy w słabym świetle – zaczynał zacierać linię jego szczęki, lecz z miejsca ponad brodą wystawał ten sam nos i patrzyły na niego te same niebieskie oczy. Wyglądało na to, że stawanie się mężczyzną oznaczało niewiele więcej niż stawanie się trochę innym Simonem, co było raczej smutnym objawem.

Pocieszającą rzeczą było to, że broda zakryła większość jego pryszczy. Pomyślał, że nie licząc jednej czy dwóch plamek na czole, przypomina mniej więcej młodego mężczyznę. Przechylił nieco lusterko i spojrzał na białe pasmo, wypalone przez smoczą krew w jego rudej czuprynie. Czy ono go postarzało? Czy z nim wyglądał doroślej? Nie potrafił powiedzieć. Jego włosy dalej opadały lokami na ramiona. Powinien poprosić Sludiga albo kogoś innego, żeby mu je skrócił, tak jak robiło to wielu królewskich rycerzy. Ale właściwie dlaczego miałby się przejmować włosami? Z pewnością zginie z rąk olbrzymów, zanim urosną na tyle długie, by mu przeszkadzały.

Położył lusterko na kolanach i patrzył w nie, jakby to była kałuża. Jego oprawka rozgrzała się nieco od dłoni Simona. Co powiedział mu Jiriki? Że lusterko będzie zwykłym lusterkiem do przeglądania się, chyba że Simon będzie go potrzebował? Tak powiedział. Jiriki powiedział, że Simon będzie mógł z nim porozmawiać... Z lusterkiem? W lusterku? A może *przez* lusterko? Simon nie miał pewności w jaki sposób, lecz przez chwilę czuł silną potrzebę zawołania Jirikiego na pomoc. Myśl ta nie dawała mu spokoju. Wezwałby Jirikiego i powiedział mu, że potrzebują pomocy. Król Burz był przeciwnikiem, którego śmiertelnicy sami nie mogli pokonać.

„Ale przecież Króla Burz nie ma tutaj – pomyślał Simon. – A Jiriki i tak zna sytuację. Co ja bym mu powiedział? Żeby pędem przybył w góry, ponieważ chłopiec z kuchni boi się i chce wrócić do domu?”

Simon wpatrywał się w lustro i przypomniał sobie chwilę, kiedy zobaczył w nim Miriamele. Księżniczka była wtedy na statku; stała oparta o poręcz i patrzyła na zachmurzone niebo, szare, zachmurzone niebo...

Kiedy tak patrzył w leżące na jego kolanach lusterko, wydało mu się, że znowu widzi tamto zamglone niebo. Strzępy chmur przepływały przez jego powierzchnię, zniekształcając obraz jego twarzy. Miał wrażenie, że otacza go mgła, i po chwili nie potrafił już oddzielić się od obrazu w lusterku. Zachwiał się, jakby weń wpadał. Odgłosy obozu stawały się coraz słabsze, aż wreszcie ucichły zupełnie, gdyż mgła stała się grubą, choć nieokreśloną ścianą szarości. Otulała go szczelnie ze wszystkich stron, odcinając światło...

Szara mgła zaczęła się powoli rozpraszać niczym para uchodząca spod pokrywki garnka, a kiedy ustąpiła całkowicie, stwierdził, że twarz, którą widzi, nie jest już jego twarzą. Patrzyła na niego zmrużonymi oczami kobieta: piękna kobieta, stara i młoda jednocześnie. Rysy jej twarzy zmieniały się, jakby patrzyła na niego spod powierzchni falującej wody. Jej jasne włosy przytrzymywał diadem z kwiatów podobnych do drogocennych kamieni; jej spojrzenie paliło niczym roztopione złoto – oczy miała jasne i czujne jak oczy kota. W jakiś sposób wyczuwał, że była stara, bardzo stara, lecz nie można było tego wyczytać z jej twarzy; może tylko mówiła o tym napięta skóra wokół ust i delikatne rysy, które sprawiały wrażenie, że skórę jej twarzy naciągnięto wprost na kości. Z jej oczu biła pradawna wiedza i uwięziona w nich pamięć. Jej wysokie kości policzkowe i gładkie czoło sprawiały, że przypominała posąg...

„Posąg...?” Simon nie potrafił myśleć jasno, ale wiedział, że widział gdzieś posąg podobny do tej kobiety... widział taką twarz... widział ją w...

– *Proszę, odpowiedz mi* – przemówiła kobieta. – *Przychodzę do ciebie po raz drugi. Nie zbywaj mnie i tym razem! Zapomnij o dawnych urazach, nawet jeśli są słuszne. Zbyt długo panuje niezgoda pomiędzy naszym domem a domem Ruyan Ve. Teraz mamy wspólnego wroga. Potrzebuję twojej pomocy!*

Jej głos rozbrzmiewał słabo w jego głowie, jakby dochodził długim korytarzem, lecz mimo to Simon wyczuwał władczy ton – podobny do tonu Geloë, ale jakby głębszy, łagodniejszy, pozbawiony nieco ostrej, lecz dodającej pewności nuty. Głos kobiety tak różnił się od głosu Geloë, jak sama czarownica różniła się od Simona.

– *Nie mam już takiej siły jak kiedyś* – mówiła kobieta. – *A tej, jaka mi została, będę potrzebowała w walce przeciw cieniowi z Północy. Ty musisz wiedzieć o tym cieniu. Tinukeda’yei! Dzieci ogrodu, proszę, odpowiadajcie!* – Po tej wyraźnej prośbie głos zamilkł. Nastąpił długi moment ciszy i jeśli nawet padła jakaś odpowiedź, Simon jej nie usłyszał. Nagle kobieta spojrzała na niego, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Melodyjny dotąd głos przybrał ton podejrzenia i niepokoju. – *Kto to jest? Śmiertelne dziecko?*

Przestraszony Simon nic nie odpowiedział. Twarz z lusterka wciąż wpatrywała się w niego i nagle Simon poczuł, że coś sięga po niego poprzez mgłę; moc rozproszona, lecz potężna jak słońce schowane za chmurami.

– *Powiedz mi, kim jesteś.*

Simon spróbował odpowiedzieć. Nie dlatego, że chciał, lecz dlatego, że niemożliwością było oprzeć się słowom, które rozbrzmiewały w jego głowie. Coś jednak go powstrzymywało.

– *Podróżujesz w miejscach, które nie są dla ciebie* – rozległ się głos kobiety. – *Kim jesteś?*

Próbował odpowiedzieć, lecz coś powstrzymywało jego słowa, jakby ktoś zacisnął palce na jego gardle. Twarz zadrżała i zaczęła emanować jasnoniebieskim światłem; jego blask zacierał powoli wizerunek pięknej, starej kobiety. Simon poczuł, że przenika go fala chłodu, która – wydawało mu się – mogłaby zamienić jego wnętrzności w czarny lód.

Teraz rozległ się inny głos, ostry i zimny.

– *Kim on jest? Jest nieproszonym gościem, Amerasu.*

Pierwsza twarz zniknęła już całkowicie. Z nieprzeniknionej szarości lusterka popłynęły srebrzyste refleksy. Ukazała się inna twarz, cała ze lśniącego metalu, pozbawiona wyrazu i nieruchoma. Widział ją na Ścieżce Snów i wtedy także odczuwał taki sam śmiertelny strach. Znał jej imię: Utuk’ku, Królowa Nornów. Pomimo wysiłków nie mógł odwrócić twarzy. Trwał więc nieruchomo w tym piekielnym uścisku. Oczy Utuk’ku pozostawały niewidoczne w głębi maski, lecz czuł jej spojrzenie niczym mroźny oddech.

– *To dziecko jest nieproszonym gościem.* – Każde słowo było ostre i zimne jak sopel lodu. – *Tak jak i ty, prawnuczko. A nieproszeni goście odejdą, kiedy przyjdzie Król Burz...*

Postać w srebrnej masce roześmiała się. Simon czuł, jakby lodowaty młot uderzał w jego serce. Przeraźliwe zimno zaczęło nieubłaganie pełzać w górę, objęło jego palce, dłoń, potem ramię. Wkrótce miało dotrzeć do twarzy, miało dotknąć jej niczym śmiertelny pocałunek srebrzystych, lśniących od mrozu ust...

Simon upuścił lusterko i sam się przewrócił. Ziemia wydawała się bardzo daleka; miał wrażenie, że spada w otchłań. Ktoś krzyczał. *On* krzyczał.

SIMON PODNIÓSŁ SIĘ przy pomocy Sludiga i stał, chwiejąc się i dysząc. Po chwili odtrącił ramię Rimmersmana. Czuł się bardzo osłabiony, ale chciał stać o własnych siłach. Trolle zebrały się wokół niego i zdezorientowane rozmawiały między sobą ściszonymi głosami.

– Simonie, co się stało? – spytał Binabik, przepychając się przez stojących wokół chłopaka. – Czy coś cię zraniło? – Obok Binabika stała Sisqi, która wciąż trzymała go za rękę; patrzyła w oczy Simona, jakby chciała z nich odgadnąć, co przydarzyło się temu dziwnemu mieszkańcowi nizin.

– Widziałem twarze w lusterku Jirikiego – powiedział, nie mogąc powstrzymać drżenia. Sisqi podała mu jego płaszcz, który przyjął z wdzięcznością. – Jedna z nich była twarzą Królowej Nornów. Ona chyba też mnie widziała.

Binabik powiedział coś do pozostałych trolli, gestykulując. Wróciły do ogniska. Krępy Snenneq pomachał włócznią w stronę nieba, jakby groził niewidzialnemu wrogowi.

Binabik popatrzył uważnie na Simona.

– Opowiedz mi o tym.

Simon opowiedział mu wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy podniósł lusterko. Kiedy opisywał pierwszą twarz, Binabik zmarszczył brwi w skupieniu, a gdy zakończył swoją opowieść, troll pokręcił tylko głową.

– Królową Nornów znamy aż za dobrze – mruknął Binabik. – To jej łucznicy poczęstowali mnie strzałą w Da’ai Chikiza. Pamiętam o ich prezencie. Ale nie wiem, kim mogłaby być druga postać. Mówisz, że Utuk’ku nazwała ją wnuczką?

– Tak mi się wydaje. Królowa Nornów użyła też innego imienia, którego nie pamiętam. – Kiedy próbował teraz mówić o tym, co widział, Simon nie był już taki pewien, czy to, co widział, było prawdą.

– W takim razie musi to być ktoś z panującego domu Sithów albo Nornów. Gdyby był z nami Jiriki, natychmiast powiedziałby nam, kim była druga kobieta i co znaczyły jej słowa. Mówisz, że sprawiała wrażenie, jakby prosiła kogoś?

– Chyba tak. Ale Binabiku, Jiriki powiedział mi, że lusterko jest teraz tylko zwykłym lusterkiem do przeglądania się! Mówił, że ono nie posiada już mocy magicznych, chyba że chciałbym go przywołać, a ja nie próbowałem go przywołać! Naprawdę, nie próbowałem!

– Uspokój się, Simonie. Wierzę ci. Może sam Jiriki nie do końca był świadom mocy tego lusterka albo coś się zmieniło od chwili jego odejścia. W każdym razie uważam, że powinieneś zostawić lusterko, a przynajmniej nie wyjmować go z torby. To tylko moja uwaga. Zrobisz, jak zechcesz. Pamiętaj, proszę, że może ono sprowadzić niebezpieczeństwo na nas wszystkich.

Simon spojrzał na lusterko, które leżało odwrócone na kamieniu. Podniósł je, otarł z kurzu i odwracając wzrok, wsunął do kieszeni płaszcza.

– Nie zostawię go, ponieważ to jest prezent – powiedział. – A poza tym możemy jeszcze potrzebować pomocy Jirikiego. – Poklepał lusterko w kieszeni. Jego oprawa była jeszcze ciepła. – Ale nie będę go używał, dopóki nie będę musiał.

Binabik wzruszył ramionami.

– Twoja decyzja. Wracaj do ogniska i ogrzej się. Jutro wyruszamy o świcie.

Grupa obszarpanych podróżników wyruszyła wczesnym rankiem, a późnym popołudniem dotarła do Jeziora Błękitnego Błota. Usytuowane pomiędzy wzniesieniami przedgórza Sikkihoq jezioro przypominało ciemnoniebieskie zwierciadło, równie płaskie jak lusterko w kieszeni

Simona. Zasilały je dwa wodospady, które spływały ze skutych lodem gór. Głęboki szum ich opadających wód przypominał oddech bogów.

Kiedy minęli ostatnią przełęcz powyżej jeziora i spokojne dotąd pomruki wody wzmogły się, trolle zatrzymały swoje barany. Wiatr ustał. Nad podróżnymi unosiły się obłoki pary z oddechów zwierząt i jeźdźców. Simon dostrzegł strach na twarzach trolli.

– Co się dzieje? – zapytał nerwowo, w każdej chwili spodziewając się ryków atakujących olbrzymów.

– Chyba miały nadzieję, że Binabik się myli – odparł Sludig. – Zdaje się, że spodziewały się zastać tutaj wiosnę.

Simon nie dostrzegł niczego niezwykłego. Otaczające jezioro wzgórza przykrywały czapy śniegu, a wiele drzew pozbawione było liści. Pokryte białym puchem śniegu wiecznie zielone krzewy przypominały pędy bawełny.

Większość trolli dotknęła piersi wnętrzem dłoni, jakby to, co zobaczyli, bardziej do nich przemawiało niż słowa Binabika czy jego mistrza Ookequka. Jeźdźcy ruszyli dalej wąskim szlakiem, który prowadził do doliny jeziora, a Simon i Sludig poszli wolno za nimi. Powiew wiatru przyniósł ze zbocza Sikkihoq kolejną porcję śniegu.

Rozbili obóz przed ogromną jaskinią na północno-zachodnim brzegu jeziora. Wokół jaskini widać było dobrze utarte szlaki. Ogromne kamienne palenisko – niemal pełne popiołu – świadczyło o tym, że obozowało tu wiele pokoleń trolli. Wkrótce nad jeziorem zapłonęło ognisko, największe od chwili, gdy zeszli z Mintahoq. Kiedy zapadła ciemność i na niebie zaczęły pojawiać się gwiazdy, płomienie rzucały przedziwne cienie na kamienne zbocza wzgórz.

Binabik podszedł do Simona, który siedział przy ogniu i smarował tłuszczem swoje buty. Na prośbę Binabika odłożył je, wziął płonącą żagiew

i poszedł za nim. Przez jakiś czas szli wzdłuż krawędzi wzgórza, okrążając jezioro, aż dotarli do innej jaskini, której wysokie wejście prawie zupełnie skrywały rosnące przed nią świerki. Z wnętrza dochodziły dziwne, świszczące odgłosy. Simon spojrzał na trolla pytająco, lecz Binabik uśmiechnął się tylko i dał mu znak, by poszedł za nim. Swym kijem podniósł nieco najniższe gałęzie drzewa, aby wyższy od niego Simon mógł wejść do środka, nie podpalając świerku.

Jaskinię wypełniał zapach zwierząt, ale był to znajomy zapach. Simon uniósł żagiew, tak że jej blask objął całą jaskinię. Sześć koni spojrzało do tyłu, rżąc nerwowo. Obok zwierząt widać było wysoki stos siana.

– Dobrze – powiedział Binabik, podchodząc do Simona. – Obawiałem się, że uciekną albo zabraknie im paszy.

– Czy to nasze konie? – spytał Simon i podszedł bliżej. Najbliżej stojący koń parsknął i cofnął się. Simon wyciągnął dłoń w jego stronę, by zwierzę ją powąchało. – Chyba nasze.

– Oczywiście – powiedział wesoło Binabik. – My, trolle, nie jesteśmy rzeźnikami koni. Moi ludzie zostawili je tutaj, kiedy udaliśmy się na górę. Trzymamy też tutaj nasze barany w porze porodu, kiedy jest zimno. Simonie, przyjacielu, nie będziesz już musiał iść pieszo.

Simon poklepał najbliższego wierzchowca, który, choć niechętnie, pozwolił się dotknąć, a potem dostrzegł siwoczarną klacz, na której wyjechał z Naglimundu. Podszedł do niej, żałując, że nic dla niej nie ma.

– Simonie! – zawołał Binabik. – Łap!

Zdążył się odwrócić i chwycić coś twardego, co pokruszyło się nieco, kiedy ścisnął w dłoni.

– Sól – powiedział Binabik. – Przyniosłem ją z Mintahoq. Po bryłce dla każdego. Barany bardzo lubią sól. Waszym koniom też chyba będzie smakowała.

Simon podsunął bryłkę klaczy. Wzięła ją, łaskocząc pyskiem jego dłoń. Pogłaskał jej silny kark, czując, jak drży. – Nie pamiętam, jak się nazywa – powiedział smutno. – Haestan mówił mi, ale zapomniałem.

Binabik wzruszył ramionami i zaczął rozdzielać sól pomiędzy pozostałe konie.

– Cieszę się, że cię znowu widzę – przemówił Simon do klaczy. – Powinienem dać ci nowe imię. Może nazwę cię „Nadzieja”? – Klacz nie wykazywała większego zainteresowania imionami. Machnęła ogonem i trąciła pyskiem kieszeń Simona w poszukiwaniu kolejnej bryłki soli.

Kiedy Simon i Binabik wrócili do ogniska, bukłak z napojem kangkang przechodził szybko z rąk do rąk siedzących wokół niego trolli, którzy kołysząc się, śpiewali. Od grupy odłączyła się Sisqi; podeszła do Binabika, wzięła go za rękę i położyła głowę na jego ramieniu. Z daleka wydawało się, że trolle dobrze się bawią, lecz gdy Simon podszedł bliżej, zobaczył, że wyraz ich twarzy mówi co innego.

– Binabiku, dlaczego oni są tacy smutni?

– My, mieszkańcy góry Mintahoq, mówimy: „W domu będzie czas na opłakiwanie zmarłych”. Kiedy tracimy jednego z nas na szlaku, grzebiemy go tam, gdzie zginął, lecz zachowujemy nasze łzy do chwili, gdy znajdziemy się w bezpiecznym miejscu. Na Sikkihoq zginęło ośmiu naszych ludzi.

– Ale powiedziałeś „w domu”. Oni nie są jeszcze w domu.

Binabik pokręcił głową i odpowiedział na pytanie Sisqi, która zadała je cichym głosem. Po chwili znowu zwrócił się do Simona.

– Ci łowcy i pasterze przygotowują się na przyjście pozostałych trolli. Wieść jest przekazywana z góry na górę: góry nie są już bezpiecznym miejscem, a wiosna nie nadchodzi. – Mały troll uśmiechnął się smutno. – Simonie, przyjacielu, oni są w domu.

Binabik poklepał dłoń Simona i razem z Sisqi odszedł w stronę ogniska. Podłożono drewna do ognia i płomienie strzeliły w górę tak, że cała dolina jeziora zajaśniała pomarańczowym światłem. Żałobne pieśni trolli niosły się nad spokojnymi wodami jeziora, wznosząc się nawet ponad smutne zawodzenie wiatru i szum wodospadu.

Simon poszedł poszukać Sludiga. Znalazł Rimmersmana niedaleko ogniska. Siedział na skale otulony płaszczem z bukłakiem pełnym kangkang między kolanami. Simon usiadł obok niego, wypił łyk i wciągnął haust zimnego powietrza. Otarłszy rękawem usta, oddał Sludigowi bukłak.

– Simonie, opowiadałem ci o Skipphavven? – spytał Sludig wpatrzony w ogień i kołyszących się trolli. – Nie można wiedzieć, co to piękno, dopóki nie zobaczy się dziewcząt zbierających jemiołę z masztu *Sotfengsel*, pogrzebanego statku Elvrita. – Pociągnął łyk i podał bukłak Simonowi. – Ach, dobry Boże, mam nadzieję, że Skalemu z Kaldskryke zostało choć tyle dumy Rimmersmana, by opiekować się grobami statków w Skipphavven. Niech zgnije w piekle.

Simon napił się jeszcze, zakrywając przed Sludigiem wykrzywioną twarz. Kangkang smakowało okropnie, lecz działało rozgrzewająco.

– Czy Skali jest tym, który przejął ziemie księcia Isgrimnura? – spytał.

Sludig spojrzał na niego nieco zamglonym wzrokiem. Opróżnił już znaczną część bukłaka.

– Tak. Zdradziecki syn suki wilczycy i padlinożernego gawrona. Niech zgnije w piekle. Wypowiedział walkę na śmierć i życie. – Rimmersman pogładził brodę w zamyśleniu i spojrzał w niebo. – Ta bitwa objęła cały świat.

Simon poszedł za jego wzrokiem i zobaczył, że z północnego zachodu nadciągają ciemne chmury, zakrywając widoczne na horyzoncie gwiazdy. Przez chwilę wydawało mu się, że to Król Burz wyciąga swą czarną dłoń,

zakrywając światło i ciepło. Drżąc, szczelniej otulił się płaszczem, lecz chłód nie ustępował. Jeszcze raz sięgnął po bukłak. Sludig wciąż patrzył w niebo.

– Jesteśmy bardzo mali – powiedział Simon między łykami. Miał wrażenie, że w jego żyłach płynie kangkang.

– Tak jak i gwiazdy, *kunde-manne* – mruknął Sludig. – Ale wszystkie świecą najjaśniej, jak tylko potrafią. Napij się jeszcze.

Później – Simon nie był pewien, ile czasu upłynęło ani co stało się ze Sludigiem – Simon zorientował się, że siedzi na kłodzie przy ognisku. Z jednej strony siedziała Sisqi, z drugiej zaś brodaty pasterz Snenneq. Wszyscy trzymali się za ręce. Simon upominał siebie, by uważać na małe, szorstkie dłonie, które spoczywały w jego własnych. Wszystkie trolle kołysały się, więc i on się kołysał. Pozostałe śpiewały, więc i on przyłączył się do nich, choć nie rozumiał słów ich pieśni. Słuchając ich dzielnego śpiewu, jaki niósł się pod czarne niebo, Simon czuł, że serce bije mu jak młotem.

CZY NAPRAWDĘ MUSIMY dzisiaj jechać? – spytał Simon, starając się utrzymać siodło na końskim grzbiecie, gdy tymczasem Sludig zaciskał popręg. Jedyna paląca się pochodnia nie dawała dużo światła w ciemnej jaskini służącej za stajnię. Świt wyzierał powoli zza ściany świerków.

– Dobre pytanie – odparł Binabik stłumionym głosem, sprawdzając popręgi skórzanego siodła. – Na Kamienie Chukku! Dlaczego nie zaczekam, dopóki nie wyjdziemy na zewnątrz? Czuję się, jakbyśmy szli na polowanie na białe łasice w głębokim śniegu.

– Chętnie odpocząłbym dzień – powiedział Simon. W rzeczywistości nie czuł się wcale tak źle, biorąc pod uwagę ilość trunku wypitego

poprzedniej nocy; odczuwał tylko pewną słabość w stawach i delikatne pulsowanie w skroniach.

– Ja też. A pewnie i Sludig nie miałby nic przeciwko temu – odparł troll. – Ach! *Kikkaksut!* Tu jest coś ostrego!

– Trzymaj to cholerne siodło! – warknął Sludig, kiedy siodło wysunęło się z uchwytu Simona.

Koń wierzgnął zdenerwowany i odsunął się nieco, zanim Simon ponownie je chwycił.

– Widzisz – ciągnął Binabik. – Nie wiemy, ile czasu zajmie nam podróż przez Pustkowie. Jeśli zima nie ustąpi, im szybciej wyruszymy, tym lepiej dla nas. Są też pewnie tacy, którzy zaniosą wieści o nas do niepożądanych uszu. Nie wiemy, ilu spośród łowców przeżyło na Urmsheim. Chyba widzieli Cierń. – Troll poklepał miecz, który owinięty w skóry wisiał przywiązany do siodła Simona.

Na wspomnienie Ingena Jeggera Simon poczuł ucisk w żołądku i tak już nadwerężonym po zjedzeniu porannej porcji suszonej ryby. Nie chciał myśleć o okropnym łowczym Królowej w hełmie o kształcie psiego pyska, który ścigał ich niczym mściwy duch.

„Proszę, Boże – pomyślał – żeby on umarł na smoczej górze. Nie chcemy już więcej wrogów, a szczególnie takich jak on”.

– Chyba masz rację – powiedział, wzdychając. – Ale nie podoba mi się to.

– Jak mawiał Haestan? – wtrącił Sludig, zapinając wreszcie rzemień. – Teraz wiesz, co to znaczy być żołnierzem?

– Tak, tak mawiał. – Simon uśmiechnął się smutno.

KIEDY SIMON I JEGO TOWARZYSZE wyprowadzili konie, Sisqinanamook i pozostałe trolle czekali na nich zebrani razem. Trolle próbowały skupić się na ceremonii pożegnania, lecz najwyraźniej fascynowały je konie, których nogi były dłuższe od nich samych. Początkowo konie kręciły się nerwowo, kiedy małe stworzenia dotykały ich i głaskały, lecz widać było, że trolle były dobrymi pasterzami: wierzchowce wkrótce się uspokoiły i stały, wyrzucając z nozdrzy kłęby pary i pozwalając się podziwiać.

Wreszcie Sisqi dała im znak, by się uciszyli, i przemówiła szybko w swoim języku do Simona i Sludiga. Binabik uśmiechnął się i powiedział:

– Sisqinanamook żegna was w imieniu ludu Qanuc z góry Mintahoq oraz w imieniu jego Pasterza i Łowczyni. Mówi, że Qanucowie zobaczyli ostatnio wiele nowych rzeczy i choć świat zmienia się na gorsze, jednak nie wszystkie zmiany są złe. – Binabik skinął na Sisqi, a ona przemówiła ponownie, teraz zwracając się do samego Sludiga. – Żegnaj, Rimmersmanie – tłumaczył troll. – Jesteś najbardziej uprzejmym Croohokiem, o jakim Sisqi kiedykolwiek słyszała, i żaden ze stojących tutaj trolli nie boi się już ciebie. Powiedz swojemu Pasterzowi i swojej Łowczyni – Binabik uśmiechnął się po tych słowach, wyobrażając sobie pewnie księcia Isgrimnura w tej roli – że Qanucowie także są dzielnym ludem, ale są też ludem sprawiedliwym, który nie lubi bezsensownej walki.

Sludig skinął głową.

– Powiem.

Sisqi spojrzała na Simona.

– A ty, Śnieżnowłosy, nie obawiaj się. Ona opowie trollom, którzy zostali na Mintahoq i podziwiają historię walki ze smokiem, o odwadze, jakiej była świadkiem. Wszyscy tutaj zebrani zrobią to samo. – Binabik słuchał przez chwilę uważnie, po czym uśmiechnął się. – Prosi cię też, byś

czuwał nad jej ukochanym, to znaczy nade mną, i żebyś chronił go swoją odwagą. Prosi cię o to w imię nowej przyjaźni.

Słowa te bardzo poruszyły Simona.

– Powiedz jej – odparł wolno – że będę bronił jej ukochanego, który jest także moim przyjacielem, do śmierci i poza nią.

Kiedy Binabik tłumaczył te słowa, Sisqi patrzyła uważnie na Simona. Potem skłoniła głowę sztywno i z dumą. Simon i Sludig zrobili to samo. Trolle zaczęły przepychać się do przodu, dotykając tych, którzy mieli odjechać, jakby chcieli z nimi coś przesłać. Simon spostrzegł nagle, że został otoczony przez małe, czarne głowy, i znowu musiał się upomnieć, że nie są to dzieci, lecz dorośli mężczyźni i kobiety, którzy kochali, walczyli i umierali z taką samą odwagą jak każdy rycerz Erkynlandu. Szorstkie dłonie ściskały jego własne; padło też wiele słów, które brzmiały serdecznie, lecz których nie rozumiał.

Sisqi i Binabik odeszli na bok w stronę jaskini, w której spali. Kiedy dotarli do niej, Sisqi weszła do środka i za chwilę ukazała się na zewnątrz, trzymając w dłoni długą włócznię, której drzewce pokrywały liczne rzeźby.

– *Proszę* – powiedziała. – *Kochany, będziesz jej potrzebował tam, dokąd idziesz, i z pewnością podróż ta potrwa dłużej niż dziewięć razy dziewięć dni. Weź ją. Wiem, że spotkamy się jeszcze – jeśli bogowie będą nam sprzyjać.*

– *Spotkamy się, nawet jeśli nie będą nam sprzyjać.* – Binabik próbował się uśmiechnąć, lecz nie mógł. Wziął włócznię i oparł ją o wejście do jaskini. – *Kiedy ponownie się spotkamy, nie będzie już nad nami żadnego cienia. Będziesz w moim sercu, Sisqi.*

– *Przytul mnie teraz do swego serca* – powiedziała cicho. Zbliżyli się do siebie i objęli. – *Zimno w tym roku nad Jeziorem Błękitnego Błota.*

– *Wrócę...* – zaczął Binabik.

– Nie mów nic. Mamy mało czasu.

Ich twarze zbliżyły się do siebie, znikając w cieniu kapturów, i stali tak długo. Oboje drżeli.

CZĘŚĆ DRUGA

RĘKA BURZY

11. Kości ziemi

MAWIANO CZĘSTO, ŻE SPOŚRÓD wszystkich ludzkich krain w Osten Ard tajemnice najgłębiej mieszkały w Hernystirze. Lecz kraina ta wcale nie była ukryta jak legendarne Trolle Turnie majaczące za lodową granicą Białego Pustkowia albo kraina Wran, którą spowijały mgły jej zdradzieckich bagien. Tajemnice Hernystiru spoczywały w sercach jego mieszkańców, a także pod słonecznymi łąkami głęboko w ziemi.

Spośród wszystkich śmiertelników Hernystirczycy najbardziej kochali kiedyś Sithów i najlepiej ich znali. Wiele się od nich nauczyli, choć o tym wspominały już tylko stare ballady. Handlowali też z Sithami, przywożąc od nich towary, jakich żaden kowal ani rzemieślnik w Imperium Nabbańskim nie potrafił wykonać. W zamian Hernystirczycy oferowali swym nieśmiertelnym sprzymierzeńcom owoce ziemi: czarny malachit, ilenit, jasne opale, szafiry, cynober, a także lśniące łagodnie złoto. Wszystkie te kruszce wydobywali pracowicie z tysięcy tuneli, jakie wykopali pod górami Grianspog.

Sithowie odeszli, zniknęli z powierzchni ziemi w opinii większości ludzi. Lecz niektórzy spośród Hernystirczyków nie wierzyli w to. Wieki upłynęły od chwili, kiedy Lud Sprawiedliwych uciekł z zamku Asu’a, opuszczając ostatnie z Dziewięciu Miast dostępnych śmiertelnikom.

Większość ludzi zupełnie zapomniała o Sithach, a jeśli wspominała ich, to tylko w starych, zasnutych mgłą czasu legendach. Lecz wśród Hernystirczyków, ludzi szczerych choć tajemniczych, wciąż byli tacy, którzy spoglądali w ciemne dziury w zboczach gór Grianspog, wspominając przeszłość.

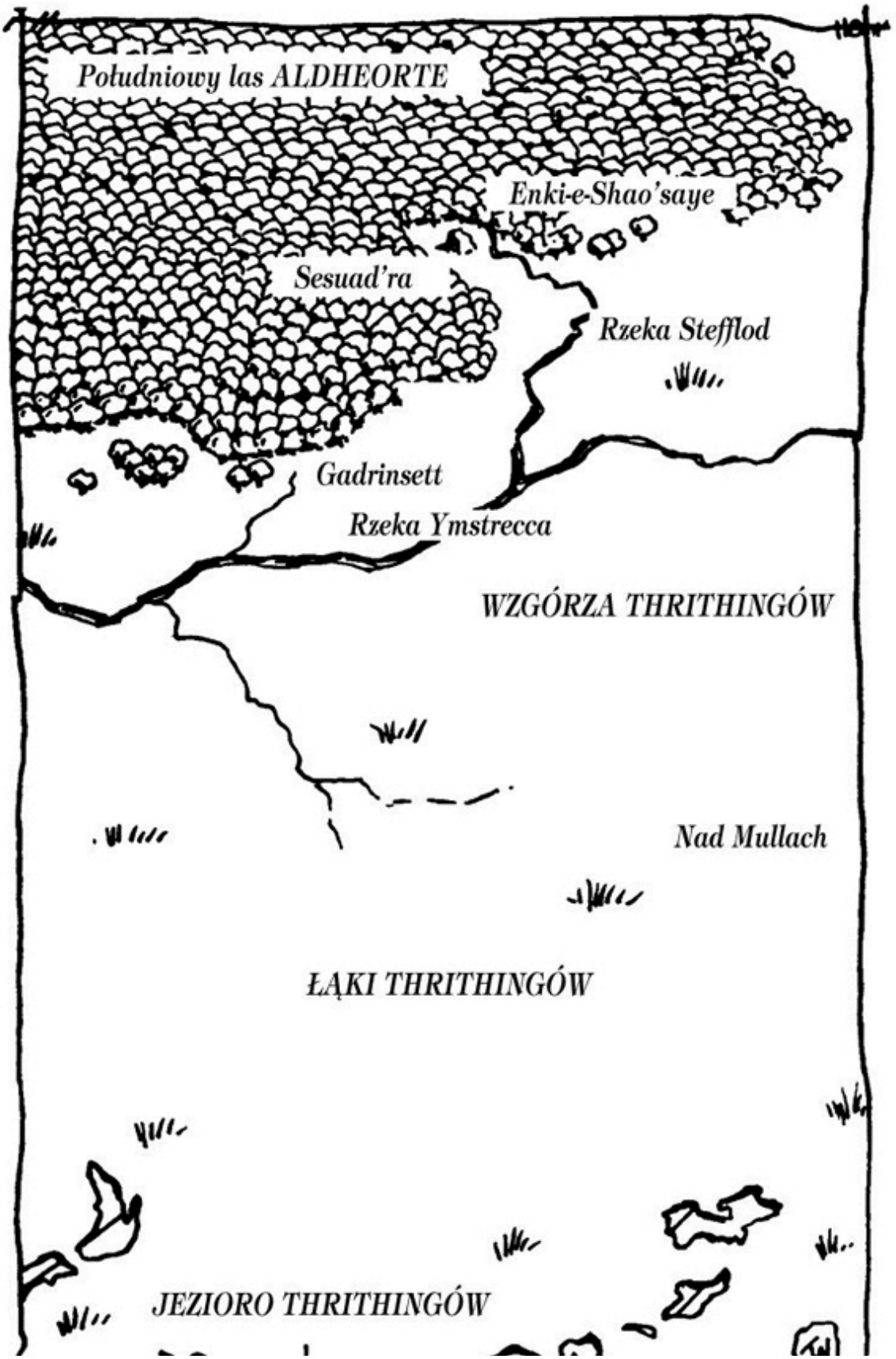
Południowy las ALDHEORTE
Enki-e-Shao'saye
Sesuad'ra
Rzeka Stefflod
Gadrinsett
Rzeka Ymstrecca
WZGÓRZA THRITHINGÓW
Nad Mullach
ŁĄKI THRITHINGÓW
JEZIORO THRITHINGÓW

Eolair nie lubił specjalnie jaskiń. Całe dzieciństwo spędził na łąkach i pastwiskach zachodniego Hernystiru, gdzie łączyły się rzeki Inniscrich i Cuimnhe. Otrzymawszy tytuł hrabiego Nad Mullach, sprawował władzę nad tym terytorium. Później, jako wysłannik króla Lluth ubh-Llythinna, podróżował do wszystkich wielkich miast i pałaców Osten Ard, niosąc życzenia Hernystiru pod światłami niezliczonych lamp i niebios różnych narodów.

Tak więc choć nikt nie mógł podać w wątpliwość jego odwagi, a on sam przysiągł królowi Lluthowi służyć jego córce Maegwin aż do końca, Eolair nie był specjalnie uszczęśliwiony faktem, że on i jego lud znaleźli się głęboko w skalistym wnętrzu Grianspog.

– Niech mnie Bagba ugryzie! – zaklął Eolair. Kropla płonącej smoły upadła mu na rękaw, przypiekając skórę przez cienki materiał. Pochodnia dopalała się już. Zastanawiał się, czy nie zapalić następnej, ale to oznaczałoby powrót, a wiedział, że nie może jeszcze wracać. Przez moment wyobrażał sobie chwilę, kiedy znajdzie się bez światła w obcym tunelu wydrążonym głęboko we wnętrzu góry, i zaklął cicho. Gdyby nie śpieszył się jak ostatni idiota, zabrałby ze sobą krzesiwo. Eolair nie lubił popełniać tak prostych błędów. Jeszcze kilka podobnych pomyłek, a szczęście może się w końcu odwrócić.

Uporawszy się z rękawem, zawrócił ku rozwidleniu korytarza. Wpatrywał się w podłoże w nadziei, że znajdzie coś, co pomoże mu zadecydować, w którą stronę pójść. Nie znajdując żadnej wskazówki, zdesperowany z sykiem wypuścił powietrze.

– Maegwin! – zawołał. Jego głos odbijał się echem w ciemności tuneli. – Jesteś tam, moja pani?

Echo umilkło. Eolair stał w kompletnej ciszy z dogasającą pochodnią i nie miał pojęcia, co robić. Najwyraźniej Maegwin potrafiła poruszać się

w tym podziemnym labiryncie o wiele lepiej od niego, więc może nie powinien się tak martwić. Był pewien, że tak głęboko pod ziemią nie spotka niedźwiedzia lub innego groźnego zwierza; gdyby nawet mieszkał tam jakiś, zaatakowałby go do tej pory. Garstka mieszkańców Hernysadharc, która zdołała przetrwać, mieszkała we wnętrzu góry już od dwóch tygodni, budując wśród kości ziemi nowy dom dla wygnanego narodu. Tam w dole dzikie zwierzęta nie były jedynym niebezpieczeństwem, które niepokoiło Eolaira. W górach pojawiły się dziwne stworzenia, a w całym kraju dochodziło do tajemniczych morderstw, ludzie znikali już znacznie wcześniej, nim przybyła armia Skalego Kaldskryke, by na rozkaz Króla Eliasa stłumić rebelię Hernystirczyków.

Nie zapominał też o mniejszych, bardziej prozaicznych zagrożeniach: Maegwin mogła upaść i złamać nogę albo wpaść do podziemnego jeziora lub rzeki. Mogła też przecenić swoją znajomość jaskiń i wędrować teraz bez światła, oczekując śmierci głodowej.

Jedyne, co mógł zrobić, to iść dalej. Pomyślał, że pójdzie jeszcze kawałek, lecz zawróci, nim pochodnia wypali się do połowy. W ten sposób, kiedy skończy się pochodnia, powinien znaleźć się w zasięgu głosu od jaskiń, które teraz dawały schronienie największej grupie wygnańców z Hernystiru.

Eolair odpalił od dogasającej następną pochodnię, której dymiącym końcem wypisał na murze przy rozwidleniu tuneli runiczny znak Nad Mullach. Po chwili wahania wybrał szerszy korytarz i ruszył przed siebie.

Tunel, podobnie jak i ten, który przed chwilą opuścił, był niegdyś częścią kopalni ciągnącej się pod górami Grianspog. Na tej głębokości tunel prowadził przez twardą skałę. Eolair wyobraził sobie, ile pracy musiało kosztować wyrąbanie go. Krokwie podtrzymujące ściany i strop miały rozmiary największych drzew! Eolair nie ukrywał podziwu dla żmudnej

i heroicznej pracy tamtych budowniczych – przodków jego i Maegwin – którzy przebijali się przez skorupę ziemi, aby wydobyć na światło dzienne piękne, drogocenne kamienie.

Stary tunel prowadził w dół. W świetle kołyszącej się pochodni ukazywały się dziwne, niewyraźne znaki, wyryte na ścianach. Tunele już od dawna były opuszczone, lecz panowała w nich atmosfera jakby oczekiwania na czyjś powrót. Odgłos kroków Eolaira wydawał się biciem serca któregoś z bogów, dlatego hrabia nie mógł się oprzeć myśli o Czarnym Cuamhu, panu podziemi. Nagle w ciemności, której słońce nie dotknęło swym promieniem od początku Czasu, ten bóg wnętrza ziemi wydał mu się tak bardzo prawdziwy, tak bliski.

Eolair zwolnił, by lepiej przyjrzeć się znakom na ścianach, i stwierdził, że większość z nich przedstawia prymitywne postacie ogarów. Pokiwał głową domyślnie. Stary Criobhan opowiadał mu kiedyś, że górnicy w dawnych czasach nazywali Czarnego Cuamha Psem Ziemi i że zostawiali mu ofiary w najgłębszych tunelach, aby chronił ich przed opadającą skałą albo złymi gazami. Te płaskorzeźby przedstawiały wizerunek Cuamha otoczonego wypisanymi pismem runicznym imionami górników; w ten sposób chcieli wyjednać jego łaskę. Inne ofiary miały uprosić pomoc sług Cuamha, kopiących głęboko kałaków – były to istoty nadprzyrodzone, które pomagały szczęśliwym górnikom odnaleźć bogate żyły rudy.

Eolair ponownie wypisał swoje inicjały zgaszonym kawałkiem pochodni pod psem o okrągłych oczach.

„Cuamhu, panie – pomyślał. – Jeśli opiekujesz się jeszcze tymi tunelami, doprowadź Maegwin i naszych ludzi w bezpieczne miejsce. Zostaliśmy srodze doświadczeni”.

Maegwin. Nie mógł przestać o niej myśleć. Czy ona nie zdawała sobie sprawy ze swej odpowiedzialności? Jej ojciec i brat nie żyli. Żona zmarłego

króla była niewiele starsza od Maegwin i o wiele mniej zaradna. Dziedzictwo Llutha spoczywało w jej rękach, a co ona robiła?

Eolair nie bardzo sprzeciwiał się temu, by posuwać się w głąb jaskiń. Zima, podobnie jak i armia Skalego nie ustąpiły, a zbocza gór Grianspog nie były najlepszym miejscem do stawiania oporu obu przeciwnikom. Ci spośród Hernystirczyków, którzy przetrwali wojnę, rozproszyli się po bezludnych obszarach Hernystiru i Frostmarch, lecz najważniejsza grupa – pozostali przy życiu mieszkańcy dworu królewskiego – schronili się w górach. One były miejscem, w którym ich królestwo miało upaść lub przetrwać; nadszedł czas, by z gór uczynić twierdzę Hernystirczyków.

Tym, co naprawdę martwiło Eolaira, było zafascynowanie Maegwin wnętrzem ziemi, podróżą do serca góry. Od wielu dni, długo po tym, jak skończyli umacniać swój obóz, Maegwin udawała się w nieznane nikomu miejsca; na całe godziny znikała w tajemniczych jaskiniach, by powrócić wieczorem umorusana, ze wzrokiem pełnym podniecenia, który graniczył z obłędem. Stary Criobhan i pozostali prosili ją, by zaniechała tych wypraw, lecz Maegwin prostowała się tylko dumnie i odpowiadała stanowczo, że nie mają prawa sprzeciwiać się córce Llutha. Zawsze była gotowa opatrywać rannych, brać udział w naradach czy też bronić ich nowego domu, lecz pozostały czas należy do niej. Twierdziła, że będzie go spędzała tak, jak uważa to za stosowne.

Niespokojny o jej bezpieczeństwo Eolair także wypytywał ją, dokąd chodzi, i napomykał, że nie powinna zapuszczać się do jaskiń sama. Lecz Maegwin niewzruszenie odpowiadała coś o „pomocy bogów” i „tunelach, które prowadzą w przeszłość, do Ludu Sprawiedliwych”, co mniej więcej miało znaczyć, że taki ograniczony idiota jak hrabia Nad Mullach nie powinien zajmować się rzeczami, których nie rozumie.

Eolair miał wrażenie, że Maegwin popada w obłęd. Obawiał się o nią, o ich lud i o siebie samego. Hrabia od dłuższego czasu obserwował, jak księżniczka się pogrąża. Śmiertelna rana Llutha i śmierć jej brata Gwythinna, który poległ z ręki zdrajcy, zraniły ją tak głęboko, że Eolair nie potrafił jej w żaden sposób pomóc, a wszystkie jego wysiłki pogarszały tylko sprawę. Nie wiedział, dlaczego jego próby pocieszenia Maegwin w smutku tak ją złościły, ale domyślał się, że królewska córka bardziej obawiała się współczucia niż śmierci.

Eolair nie mógł ulżyć jej cierpieniom, lecz sam cierpiał, widząc jej udrękę. Jedyne, co mógł zrobić, to pomóc jej utrzymać się przy życiu. Lecz i to nie było łatwe, gdyż królewska córka postanowiła radzić sobie sama.

Ten dzień okazał się najgorszy. Maegwin wstała, zanim jeszcze świt zaczął sączyć się do jaskini przez szczelinę w suficie. Zabrała pochodnie, liny i tym podobne rzeczy, które nie wróżyły niczego dobrego, po czym udała się do tuneli. Minęło popołudnie, a ona nie wracała. Po kolacji Eolair, zmęczony patrolowaniem lasu Circoille, wyruszył na jej poszukiwanie. Pomyślał, że jeśli nie znajdzie jej szybko, wróci tu ponownie z grupą.

Prawie przez godzinę szedł w dół plątaniną tuneli, znacząc swą drogę na ścianach i obserwując, jak jego pochodnia wypala się coraz bardziej. Zaszedł już tak daleko, że nie miał złudzeń co do tego, iż powróci przy świetle. Nie chciał się poddać, lecz jeśli zostanie dłużej, oboje zaginą w labiryncie; i jaka byłaby z tego korzyść?

Wreszcie zatrzymał się w miejscu, gdzie tunel przechodził w wykutą w kamieniu komnatę, z której prowadziły kolejne trzy czarne korytarze. Zaklął i stwierdził, że nie ma co dłużej się oszukiwać. Maegwin mogła być wszędzie; może nawet już ją minął. Kiedy wróci, przywitają go pewnie drwiny pozostałych, gdyż okaże się, że księżniczka wróciła godzinę temu. Eolair uśmiechnął się ponuro i poprawił swój warkocz czarnych włosów,

który rozplątał się w czasie marszu. Żarty nie byłyby jeszcze najgorsze. Lepiej dać się trochę poniżyć niż...

Nagle gdzieś w oddali rozległ się cienki głos, ledwie słyszalna melodia, niczym dawne wspomnienie.

...Jego głos odbił się echem w lesie
i na pustkowiu.
Gdzie dotąd dwa serca biły,
teraz jedno tylko pozostało...

Serce Eolaira zabiło mocniej. Stanął na środku komnaty i osłonił dłońmi usta.

– Maegwin! – zawołał. – Pani, gdzie jesteś? Maegwin!

Jego wołanie odbiło się głośnym echem. Kiedy umilkło, nasłuchiwał uważnie, lecz nie było żadnej odpowiedzi.

– Maegwin, to ja, Eolair! – zawołał. Znowu czekał, aż chór głosów zamilknie. Tym razem ciszę ponownie przerwał odległy śpiew.

...Jej czarne oczy w niebo wpatrzone.
Tylko jej lśniąca krew była mu odpowiedzią,
Jej głowa nieutulona, czarne włosy w nieładzie...

Kręcił powoli głową, aż wreszcie się zorientował, że głos brzmi wyraźniej w otworze tunelu z lewej strony. Pochylając się, wszedł do niego i natychmiast krzyknął zdumiony, gdyż niemal przewrócił się w ciemności. Oparł się o nierówną ścianę i schylił po pochodnię, która w tym momencie zaskwierczała i zgasła. Macając dłonią, natrafił na wodę, a tuż obok jakby dziurę. Stojąc w całkowitej ciemności, miał przed oczyma scenę, którą zobaczył na chwilę przed zgaśnięciem światła. Znalazł się na szczycie

kamiennych schodów, które prowadziły w dół pochyłego tunelu – schody do środka świata.

Ciemność. Został schwytany w całkowitą ciemność. Eolair poczuł dreszcz strachu, lecz zaraz się opanował. Był prawie pewien, że głos, który słyszał, należał do Maegwin. To był jej głos! Kto inny mógłby śpiewać stare ernystirskie piosenki we wnętrzu świata!

Poczuł nagle dziecinny strach przed czymś, co mogło czaić się w ciemności i wabić swe ofiary znajomymi głosami. Na Stado Bagby, co ze mnie za mężczyzna?

Pomacał dłońmi ściany po obu stronach. Były wilgotne. Klęknąwszy, sprawdził stopień poniżej; zapadł się na środku, a zagłębienie wypełniła woda. Niżej był następny stopień. Próbując dalej nogą, napotkał kolejny.

– Maegwin! – zawołał jeszcze raz, lecz teraz nikt nie śpiewał.

Stawiając kroki ostrożnie, z dłońmi wysoko nad głową, tak by w każdej chwili móc oprzeć się o ścianę, Eolair zaczął powoli schodzić po nierównych schodach. Ostatni błysk światła i obraz, jaki zapamiętał w tamtej chwili, zniknęły mu sprzed oczu. Wytężał wzrok, lecz wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Słychać było tylko szuranie jego stóp oraz odgłos kapiącej wszędzie wody.

Eolair nie wiedział, ile przeszedł kroków ani ile upłynęło czasu. Wreszcie schody się skończyły. Kiedy wysunął ostrożnie stopę, wyczuł poziomy grunt. Posunął się trochę do przodu, jednocześnie przeklinając się za to, że nie zabrał krzesiwa. Kto by przypuszczał, że krótka wyprawa po księżniczkę przerodzi się w walkę o życie? I gdzie jest ta, która śpiewała, bez względu na to, czy to Maegwin, czy inna, mniej przyjazna mieszkanka jaskiń?

Wydawało się, że tunel biegnie teraz poziomo. Szedł wolno krętym korytarzem; jedną dłonią przesuwał po ścianie, a drugą macał w ciemności

przed sobą. Kiedy uszedł kilkaset kroków, tunel skręcił po raz kolejny. Z ulgą stwierdził, że teraz coś widzi: było to słabe światło, które ukazywało zarys wnętrza tunelu i zdawało się dochodzić zza kolejnego zakrętu.

Kiedy dotarł za róg, oblało go jasne światło bijące z otworu w ścianie tunelu. Kamienny korytarz ciągnął się dalej aż do miejsca, w którym skręcał w prawo, gdzie Eolair nie mógł już niczego zobaczyć, lecz teraz całą jego uwagę pochłaniała dziura w ścianie. Z bijącym mocno sercem opadł na kolana i spojrzał w szczelinę; zdumiony tym, co zobaczył, zerwał się natychmiast, uderzając głową o kamień. W następnej chwili przełożył nogi przez otwór i skoczył. Opadając, ugiął nieco nogi, aby się nie przewrócić, i zaraz stanął wyprostowany.

Znalazł się w przestronnej jaskini, której sufit – ozdobiony spiczastymi, kamiennymi soplami – wydawał się drżeć w migocącym świetle dwóch lamp oliwnych. W przeciwległym końcu jaskini widać było ogromne drzwi, dwukrotnie wyższe od człowieka. Drzwi dochodziły do kamiennego nadproża tak idealnie, jakby stanowiły jedną całość ze skałą, a ich potężne zawiasy umocowano bezpośrednio w ścianie jaskini. Przed drzwiami otoczona linami i rozmaitymi narzędziami, siedziała...

– Maegwin! – zawołał i podbiegł ku niej, potykając się o nierówną podłogę. Księżniczka nie poruszyła się; siedziała z głową zwieszoną na kolana. – Maegwin, czy ty...?

Kiedy podszedł jeszcze bliżej, uniosła głowę. Uchwyciwszy jej wzrok, zatrzymał się.

– Księżniczko...?

– Spałam. – Potrząsnęła głową i przesunęła dłonią po swych kasztanowych włosach. – Spałam i miałam sen... – Maegwin urwała i spojrzała na Eolaira. Twarz miała prawie czarną od brudu, a jej oczy lśniły

dziwnie. – Kto...? – zaczęła i znowu pokiwała głową. – Eolair! Miałam bardzo dziwny sen. Wołałeś mnie...

Przykucnął u jej boku. Nie widział, by odniosła jakieś rany. Pomacał dłońmi jej głowę, szukając śladów po upadku.

– Co robisz? – spytała bez większego zainteresowania. – Skąd się tu wziąłeś?

Odchylił się nieco, by móc przyjrzeć się jej twarzy.

– To ja powinienem zadać ci to pytanie, pani. Co tutaj robisz? Ludzie zamartwiają się o ciebie.

Uśmiechnęła się leniwie.

– Wiedziałam, że znajdę – powiedziała. – Wiedziałam.

– O czym ty mówisz? – spytał Eolair rozzłoszczony. – Chodź, musimy wracać. Dzięki bogom, masz lampy. Gdyby nie one, zostalibyśmy tutaj na zawsze!

– Chcesz powiedzieć, że nie przyniosłeś pochodni? Głupi Eolairze! Ja zabrałam ze sobą dużo różnych rzeczy, przecież stąd jest bardzo daleko do górnych jaskiń. – Wskazała na porozrzucane przedmioty. – Mam chyba trochę chleba. Jesteś głodny?

Eolair znowu przykucnął strapiony. Czy tak wyglądało szaleństwo? Księżniczka wydawała się całkiem szczęśliwa w tej dziurze, głęboko w ziemi. Co jej się stało?

– Odpowiedz mi, proszę – odezwał się najspokojniej, jak potrafił – co tutaj robisz.

Maegwin roześmiała się.

– Badam. A przynajmniej początkowo tym się zajmowałam. To nasza jedyna nadzieja. Chodzi mi o to, że musimy iść głębiej. Coraz głębiej, bo inaczej dopadnie nas wróg.

Eolair syknął zdesperowany.

– Księżniczko, zrobiliśmy tak, jak nam poleciłaś. Schroniliśmy się w jaskiniach. Lecz teraz nasi ludzie zachodzą w głowę, dokąd poszła królewska córka.

– Ale ja wiedziałam, że to znajdę – ciągnęła, jakby nie słyszała słów Eolaira. Mówiła teraz szeptem. – Bogowie nas nie opuścili – powiedziała, rozglądając się, jakby się obawiała, że ktoś może ich podsłuchać. – Rozmawiali ze mną w snach. Nie opuścili nas. – Wskazała na ogromne drzwi za nimi. – Podobnie jak i nasi dawni sprzymierzeńcy, Sithowie. A przecież tego nam trzeba, prawda, Eolairze? Potrzebujemy sprzymierzeńców. – W jej oczach pojawił się błysk strachu. – Myślałam o tym nieustannie i teraz wiem, że mam rację! W tej okropnej godzinie Hernystir potrzebuje pomocy, a kto może być lepszym sprzymierzeńcem niż Sithowie, którzy już kiedyś stanęli po naszej stronie? Wszyscy wierzą, że Lud Sprawiedliwych już nie istnieje. Ale tak nie jest! Jestem przekonana, że oni tylko skryli się głębiej!

– Dość już, księżniczko – odezwał się Eolair, chwytając ją za ramię. – To czyste szaleństwo. Nie mogę tego znieść, pani. Chodź, Wracajmy.

Maegwin wyrwała ramię i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Hrabio, to twoje słowa są szalone! Wracać? Nie wiem, ile czasu spędziłam na przecinaniu zasuwy drzwi. Zasnęłam, kiedy skończyłam pracę, ale udało mi się! Teraz mogę przejść przez drzwi! Więc nie mów mi o powrocie!

Eolair spojrzał na drzwi, by się przekonać, czy księżniczka mówi prawdę. Gruba jak nadgarstek mężczyzny zasuwa rzeczywiście była przecięta. Nieopodal leżał młotek i wyszczerbione dłuto.

– Co to za drzwi? – spytał podejrzliwie. – Z pewnością kiedyś była tutaj kopalnia.

– Mówiłam ci – odparła chłodno. – Są to drzwi do przeszłości; drzwi, które prowadzą do Ludu Sprawiedliwych. Do Sithów. – Kiedy spojrzała na Eolaira, jej kamienny wzrok złagodniał nieco. Na twarzy pojawiło się teraz inne uczucie, uczucie zakłopotania i tęsknoty. Serce hrabiego wypełnił ogromny smutek, przed którym nie potrafił się obronić.

– Och, Eolairze – przemówiła błagalnym głosem. – Czy nie rozumiesz? Możemy się uratować! Chodź, pomóż mi! Proszę, Eolairze. Wiem. Myślisz, że jestem głupia, głupia jak koń, ale przecież kochałeś mojego ojca! Proszę, pomóż mi otworzyć te drzwi!

Eolair nie mógł spojrzeć jej w oczy. Odwrócił głowę i spojrzał na drzwi, czując, jak łzy napływają mu do oczu. Biedna dziewczyna! Dlaczego aż tak cierpiała? Z powodu śmierci ojca i brata? Dlatego, że utraciła królestwo? Pewnie przez wszystkie te tragedie. Lecz inni także cierpieli, a mimo to ich stan nie był aż tak opłakany. Sithowie istnieli niegdyś naprawdę; tak, byli równie prawdziwi jak deszcz czy skała. Jednak minęło już pięć wieków od czasu, gdy zniknęli. Dlatego twierdzenie, że bogowie prowadzili Maegwin do Sithów, którzy dawno już odeszli... Nawet Eolair, który potrafił uszanować to, co nieznane, widział wyraźnie, że Maegwin popadła w obłęd po utracie najbliższych.

Otarł twarz rękawem. Dziwne, skomplikowane znaki pokrywały ściany po obu stronach drzwi; kapiąca woda zatarła większość miniaturowych twarzy i postaci. Rzeczywiście stanowiły one przykład niezwykle misternej pracy, na jaką nie zdobyliby się z pewnością nawet najambitniejsi górnicy z Hernystiru. Co to za miejsce? Może jakaś dawna świątynia? Czy modlono się tutaj do Czarnego Cuamha, z dala od prostych kapliczek poświęconych innym bogom, które często można było spotkać na powierzchni?

Eolair wciągnął głęboko powietrze, zastanawiając się, czy popełnia bardzo wielki błąd.

– Księżniczko, nie mogę słuchać dłużej, jak się oszukujesz, ale nie mogę też zabrać cię siłą. Jeśli pomogę ci otworzyć drzwi – powiedział wolno, nie podnosząc wzroku, by nie widzieć jej pełnego nadziei spojrzenia – czy potem wrócisz ze mną?

– Och, tak. Zrobię, co zechcesz! – zapewniła go z dziecinną gorliwością. – Wtedy pozwolę ci decydować. Jestem pewna, że kiedy ujrzysz krainę Sithów, nie będzie ci śpieszno do zadymionej jaskini. Na pewno!

– Dobrze. Pamiętaj, Maegwin, że obiecałaś. – Eolair wstał i chwycił klamkę drzwi. Pociągnął mocno. Drzwi ani drgnęły.

– Hrabio Eolairze – powiedziała Maegwin.

Jeszcze raz pociągnął, lecz bez rezultatu. Odwrócił się do Maegwin.

– Co?

Wskazała na drzwi palcem ze złamanym paznokciem.

– Przepiłowałam zasuwę, ale kawałki jej pozostały jeszcze w zamknięciu. Czy nie powinniśmy ich wyjąć?

– To nie będzie miało znaczenia... – zaczął, przyglądając się drzwiom.

Część przeciętego bolca utkwiła w zasuwie, uniemożliwiając otworzenie dziwnej przeszkody, Eolair wypuścił z sykiem powietrze i wydłubał przeszkadzające kawałki bolca. Upadły z brzękiem na wilgotną, kamienną podłogę.

Przy kolejnej próbie zawiasy zaskrzypiały rozpaczliwie. Maegwin podeszła i także chwyciła za klamkę. Zawiasy zaprotestowały jeszcze głośniej. Nie przestając ciągnąć, Eolair obserwował mimochodem mięśnie na przedramionach Maegwin. Ta młoda kobieta była silna; tak, zawsze taka była. Tylko w jego obecności – jak zauważył – jej ostry język tracił niekiedy swą moc.

Napinając się, Eolair wciągnął głęboko powietrze. Nie mógł nie poczuć zapachu Maegwin. Spocona i brudna, zupełnie nie przypominała wyperfumowanej damy z nabbańskiego dworu, lecz ten surowy, ciepły i pełen życia zapach nie był mu nieprzyjemny. Eolair potrząsnął głową, próbując pozbyć się takich myśli, i pociągnął jeszcze mocniej. Patrzył na zawziętą twarz Maegwin, kiedy skrzypienie drzwi przeszło w przeciągły pisk. Odrzwia uchyliły się ze zgrzytem: najpierw o cal, potem parę cali, wreszcie o stopę – przez cały czas rozlegał się zgrzyt ich protestu. Przestali ciągnąć, kiedy ujrzeli czarną szparę, szeroką na łokieć. Stali, dysząc ciężko, oparci o drewniane belki.

Maegwin schyliła się i podniosła lampę. Eolair wciąż jeszcze próbował złapać oddech, kiedy ona zniknęła w ciemnej szparze.

– Księżniczko! – zawołał zdyszany i przecisnął się za nią. – Zaczekaj! Tam może być złe powietrze! – Zanim skończył mówić, wiedział już, że powietrze jest dobre, może trochę ciężkie. – Tylko... – zaczął i stanął jak wryty obok Maegwin. Lampa, którą trzymała, roztaczała krąg światła.

– Mówiłam ci! – W jej głosie wyczuwało się pełną przerażenia satysfakcję. – Oto, gdzie mieszkają nasi przyjaciele!

– Na Bryniocha z Niebios! – szepnął zdumiony Eolair.

Mieli przed sobą szeroki wąwóz, którego dno zajmowało ogromne miasto. Patrzyli w dół z krawędzi wąwozu i wydawało im się, że niezliczone budynki wykuto z samego serca góry, jakby całe miasto było jednym kawałkiem żywego kamienia. Wszystkie drzwi i okna wykonano w twardej skale, każda wieża brała początek w kolumnie odwiecznego kamienia. Pomimo swych rozmiarów miasto wydawało się znajdować zadziwiająco blisko, jakby było tylko miniaturą, która ma wprowadzić patrzącego w błąd. Maegwin i Eolair znajdowali się na górnych stopniach

szerokich schodów prowadzących do wąwozu. Wydawało im się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć któregoś z dachów.

– Miasto Prawego Ludu – powiedziała Maegwin szczęśliwa.

Eolair pomyślał, że nawet jeśli było to miasto Sithów, to jego nieśmiertelni mieszkańcy zdecydowali się chyba spędzić lata banicji na powierzchni słonecznej ziemi, gdyż całe to misternie wyrzeźbione w kamieniu miasto było puste, a przynajmniej takim się wydawało. Poruszony odkryciem czegoś tak niesamowitego, hrabia miał nadzieję, że miasto okaże się tak opuszczone, na jakie wyglądało.

MAŁA CELA BYŁA ZIMNA. Książę Isgrimnur prychnął zirytowany, rozcierając zziębnięte dłonie. – Matka Kościół zrobiłaby lepiej, poświęcając kilka z tych przeklętych ofiar na ogrzanie swego największego domu. Złote świeczniki i gobeliny wyglądają pięknie, tylko jak można je podziwiać, zamarzając na śmierć?

Poprzedniego wieczoru pozostał do późna w sali gościnnej; siedział cicho przed wielkim kominkiem, słuchając opowieści podróżujących mnichów, z których większość przybyła do Sancellan Aedonitis załatwić takie czy inne interesy z Lektorem. Na przyjazne pytania odpowiadał zwięźle i niechętnie, wiedząc, że tutaj – pośród podobnych jemu – istniało największe niebezpieczeństwo, że ktoś rozpozna go mimo przebrania.

Słuchając wezwania dzwonu Claveana na poranną modlitwę, poczuł ogromną chęć powrotu do sali gościnnej. Ryzyko zdemaskowania było duże, lecz jak inaczej mógł uzyskać wiadomości, których tak pilnie poszukiwał?

– Gdyby tylko ten przeklęty hrabia Streawe wyrażał się jasno. Czy ciągnął mnie przez całe Ansis Pelippe po to tylko, żeby powiedzieć mi, iż Miriamele jest w Sancellan Aedonitis? Skąd to wiedział? I dlaczego

poinformował o tym właśnie mnie, który rozpytywałem wyłącznie o dwóch mnichów?

Isgrimnur rozważał przez chwilę ewentualność, że Streawe domyślał się, kim on jest, i – być może – specjalnie naprowadził go na fałszywy trop, gdy tymczasem Miriamele jest zupełnie gdzie indziej. Ale gdyby tak było, dlaczego władca Perdruin decydowałby się rozmawiać z nim osobiście? Spotkali się w pokoju hrabiego; siedzieli razem, popijając wino, Streawe i przebrany za mnicha Isgrimnur. Czy hrabia wiedział, kim jest Isgrimnur? Książę i tak nie miał wyboru, jak tylko zawierzyć słowom Streawe'a. Przeczesując zakamarki największego miasta Perdruin w poszukiwaniu księżniczki i mnicha Cadracha, Isgrimnur zabrnął w ślepą uliczkę. Wreszcie znalazł się tutaj: mnich z zakonu żebraczego, który korzysta z gościnności Matki Kościoła, by się przekonać, czy Streawe mówił prawdę.

Isgrimnur potupał nogami. Obcasy butów miał już prawie zdarte i dlatego wydawało mu się, że chłód wilgotnej, kamiennej podłogi przenika bezpośrednio do stóp. Pomyślał, że takie ukrywanie się w celi jest głupotą i w niczym mu nie pomoże. Powinien wyjść i wmieszać się w tłum przybywających do Sancellan mnichów. Poza tym, w samotności, znowu powracały twarze jego żony Gutrun i dzieci, wypełniając serce smutkiem i bezsilną rozpaczą. Pamiętał radość Isorna, kiedy powrócił z niewoli, jego dumę i uniesienie wywołane uczuciem pokonania strachu. Czy dożyje jeszcze takiej chwili? Może Bóg da, że tak. Wciąż żywił nadzieję, choć była krucha jak pajęcza nić, wystarczył jeden nieopatrzny ruch i można było ją zerwać.

Lecz nadzieja nie była odpowiednią dietą dla rycerza – nawet takiego starca jak książę, którego najlepsze dni dawno już minęły. Nie wolno mu było zapominać o służbie. Teraz, kiedy Naglimund padł, a ludzie Isgrimnura rozpierzchli się nie wiadomo gdzie, pozostała mu tylko służba

dla Miriamele i księcia Josui, który kazał mu ją odnaleźć. W rzeczywistości wdzięczny był za to, że ma jeszcze coś do zrobienia.

Isgrimnur stał w korytarzu, pocierając brodę. Na szczęście zarost był niewielki. Tego ranka nie potrafił zmusić się do tego, żeby się ogolić. Woda w miseczce niemal zamarzła, a poza tym nawet po kilku tygodniach podróży w przebraniu mnicha nie przywykł do codziennego maltretowania twarzy ostrą brzytwą. Nosił brodę od chwili, gdy osiągnął wiek dojrzały. Brakowało mu jej tak, jakby to była ręka lub noga.

Książę zastanawiał się, który korytarz zaprowadzi go znowu do sali gościnnej i jej zachęcającego ognia, kiedy nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się zaskoczony i dostrzegł stojących za nim trzech mnichów. Ten, który położył mu rękę na ramieniu – starzec z zajęczą wargą – uśmiechał się.

– Bracie, czy to nie ciebie widziałem wczoraj w sali gościnnej? – spytał. Mówił bardzo wyraźnie w języku Westerling z mocnym nabbańskim akcentem. – Przybyłeś właśnie z Północy, prawda? Chodź, zjesz z nami śniadanie. Jesteś głodny?

Isgrimnur wzruszył ramionami i przytaknął.

– Dobrze. – Stary mnich poklepał go po ramieniu. – Ja jestem brat Septes. A ci dwaj to Rovalles i Neylin, obaj z mojego zakonu. – Wskazał na młodych mnichów. – A więc przyłączysz się do nas?

– Dziękuję. – Isgrimnur uśmiechnął się niepewnie, zastanawiając się, czy wśród zakonnych nowicjuszy obowiązuje jakaś specjalna etykieta. – Niech Bóg was błogosławi – dodał.

– Ciebie także – powiedział Septes. Po tych słowach położył swą szczupłą dłoń na potężnym ramieniu Isgrimnura i poprowadził go korytarzem. Pozostali mnisi ruszyli za nimi, rozmawiając cicho.

– Czy widziałeś już kaplicę Elysijską? – spytał starzec.

Isgrimnur pokręcił głową.

– Przybyłem dopiero wczoraj wieczór.

– Jest piękna. Piękna. Nasze opactwo znajduje się w pobliżu jeziora Myrme, na Wschodzie, lecz ja staram się przyjeżdżać tutaj raz do roku. Zawsze przywożę ze sobą kilku młodszych braci, by pokazać im tę budowlę jako przykład wielkości Pana.

Isgrimnur potakująco skinął głową. Przez chwilę szli w milczeniu, a z bocznych korytarzy wyłaniali się kolejni mnisi; ubrani w podobne brązowe habity posuwali się grupami głównym korytarzem w kierunku jadalni, przypominając niesioną prądem ławicę ryb.

Potok sunących mnichów zwolnił przed szerokimi drzwiami sali. Kiedy Isgrimnur i jego nowi towarzysze znaleźli się w środku napierającego tłumu, Septes zadał mu pytanie. Isgrimnur nie usłyszał go w ogólnym tumulcie, więc stary mnich wspiął się na palce, by powtórzyć swoje pytanie tuż przy uchu starego rycerza.

– Pytałem, co słychać na Północy! – Septes prawie krzyczał. – Słyszeliśmy okropne pogłoski. Mówi się o głodzie, wilkach, srogich śnieżycach.

Isgrimnur przytaknął, marszcząc brwi.

– Jest bardzo źle – odpowiedział głośno. W tej chwili on i jego towarzysze zostali wepchnięci przez drzwi niczym korek przez szyjkę butelki i znaleźli się wewnątrz jadalni. Ryk rozmów był tak potężny, że mógłby chyba zatrząść stropem budowli. – Myślałem, że w czasie posiłków panuje tu milczenie! – zawołał Isgrimnur.

Młodzi towarzysze Septesa, podobnie jak i książę, wytrzeszczyli oczy zdumieni mnóstwem stołów ciągnących się w poprzek ogromnej sali. Ustawiono je chyba w dwanaście rzędów, a przy wszystkich siedzieli ciasno obok siebie mnisi; różowe łysiny ich wygolonych głów przypominały

paznokcie sturękiego ogra. Każdy z siedzących wydawał się pochłonięty głośną rozmową z sąsiadami; niektórzy machali łyżkami, chcąc przyciągnąć uwagę słuchaczy. Morze rozmów wydawało się nie mieć końca, podobnie jak ocean, który otaczał Nabban.

Septes roześmiał się, lecz jego śmiech natychmiast został wchłonięty przez panujący w sali zgiełk. Jeszcze raz wspiął się na palce.

– Cisza obowiązuje w naszym klasztorze, jak i w wielu innych, u was w Rimmersgardzie pewnie także. Lecz do Sancellan Aedonitis przybywają ci, którzy zajmują się sprawami bożymi, a oni są jak kupcy: muszą słuchać i rozmawiać.

– Debatują nad cenami dusz? – zauważył Isgrimnur, uśmiechając się ponuro, lecz stary mnich nie usłyszał jego słów.

– Jeśli lubisz ciszę, powinieneś udać się do archiwum – krzyknął Septes. – Jest tam cicho jak w grobowcu, a każdy szept przypomina uderzenie pioruna. – Chodź! Chleb i zupę można dostać przy tamtych drzwiach. Potem opowiesz mi więcej o tym, co się dzieje na Północy, dobrze?

Isgrimnur starał się nie patrzeć na to, jak stary mnich je, lecz trudno było tego nie zauważyć. Zajęcza warga Septesa powodowała, że zupa nieustannie ciekła mu po brodzie, tak że wkrótce mały strumyk płynął wzdłuż habitu.

– Przepraszam – powiedział Septes z ustami pełnymi chleba. Wyglądało na to, że zębów też nie ma zbyt wielu. – Nie spytałem o twoje imię. Jak cię nazywają?

– Isbeorn – odparł książę. Było to imię jego ojca, imię bardzo popularne.

– Ach, Isbeorn. Ja jestem Septes, ale chyba już ci się przedstawiałem? Powiedz nam coś więcej o tym, co się dzieje na Północy. Jedną z przyczyn,

dla których przyjeżdżam do Nabbanu, są wiadomości; jesteśmy ich spragnieni w Krainie Jezior.

Isgrimnur opowiedział mu, co wydarzyło się na północ od Frostmarch, o zabójczych burzach i złych czasach. Z trudem ukrywając gorycz, opowiedział o Skalim Kaldskryke, który pozbawił go władzy w Elvritshalli, oraz o zniszczeniach i mordach, jakie potem miały miejsce.

– Słyszeliśmy, że książę Isgrimnur zdradził Wielkiego Króla – powiedział Septes, wycierając chlebem resztkę zupy z miski. Podróżni powiedzieli nam, że Elias odkrył, iż książę spiskuje z bratem Króla, Josuą, w celu pozbawienia go tronu.

– To kłamstwo! – odparł ze złością Isgrimnur i grzmotnął pięścią w stół tak, że miska młodego Neylina niemal się przewróciła.

Siedzący wokół mnisi odwrócili głowy. Septes uniósł brwi zdziwiony.

– Wybacz – powiedział. – Powtarzamy tylko pogłoski, któreśmy słyszeli. Pewnie jest to dla ciebie bolesny temat. Czy Isgrimnur był opiekunem waszego zakonu?

– Książę Isgrimnur jest uczciwym człowiekiem – oświadczył książę. W duchu przeklinał siebie za to, że dał się ponieść nerwom. – Nie mogę znieść, gdy inni go zniesławiają.

– Oczywiście – uspokajał go Septes wystarczająco głośno, by być słyszanym w ogólnej wrzawie. – Ale słyszeliśmy też inne opowieści z Północy, straszne opowieści, prawda? Rovalles, opowiedz mu, co usłyszeliśmy od podróżnego.

Młody Rovalles zaczął mówić, lecz zakrztusił się skórką chleba i gwałtownie się rozkaszlał. Drugi z nowicjuszy, Neylin, grzmotnął go kilka razy w plecy. Rovalles odzyskał wprawdzie oddech, lecz jego towarzysz wciąż bił go po plecach, najwyraźniej podniecony swą pierwszą wizytą w Nabbanie.

– Człowiek, którego spotkaliśmy w drodze do Sancellan Aedonitis, pochodził chyba z Hewenshire, a w każdym razie z Erkynlandu – powiedział Rovalles, kiedy powstrzymano już Neylina. Młody mnich nie mówił tak dobrze językiem Westerling jak Septes; często zatrzymywał się i zastanawiał nad odpowiednim słowem. – On powiedzieć, że kiedy Elias nie może pokonać twierdzy Josui, Wielki Król sprowadzić białe demony z ziemi, a one za pomocą czarów zabić wszystkich w twierdzy. On przysięga, że tak jest, że on to widzieć.

Septes, który przez cały czas wycierał swój habit, teraz pochylił się do Isgrimnura.

– Isbeornie, wiesz równie dobrze jak ja, że ludzie są bardzo przesądni. Gdyby to on jeden opowiadał coś takiego, nazwałbym go szaleńcem. Ale tutaj, w Sancellan, wielu opowiada po cichu, że Elias pokumał się z demonami i złymi duchami. – Swymi zgiętymi palcami dotknął dłoni Isgrimnura, który z trudem powstrzymał się, żeby nie cofnąć ręki. – Z pewnością słyszałeś o oblężeniu, choć twierdzisz, że opuściłeś Północ, zanim się skończyło? Jaką prawdę skrywają te opowieści?

Isgrimnur przyglądał się przez chwilę staremu mnichowi, zastanawiając się, jaki był prawdziwy sens tego pytania? Wreszcie westchnął. To był tylko uprzejmy stary mnich z zajęczą wargą i nic poza tym. Czasy były niebezpieczne; dlaczego Septes nie miałby próbować wyżebrać trochę informacji od kogoś, kto przybył właśnie z kraju, o którym tyle się mówi?

– Słyszałem niewiele więcej od ciebie – odezwał się wreszcie. – Ale mogę powiedzieć, że nadchodzi jakieś zło; zło, o którym pobożni ludzie woleliby nie wiedzieć, ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli to odstraszy zło. – Septes uniósł brwi, zdumiony językiem Isgrimnura, lecz nie przerywał mu. Podekscytowany Isgrimnur mówił dalej. – Tworzą się jakieś obozy, można by powiedzieć, lecz te, które wydawałyby się godne zaufania,

w rzeczywistości są bardziej plugawe. Nie mogę nic więcej dodać. Nie wierzcie wszystkiemu, co usłyszycie, i nie używajcie pochopnie słowa „przesąd”... – Isgrimnur zamilkł, zdając sobie sprawę, że porusza niebezpieczny temat. Gdyby powiedział więcej, stałby się źródłem potwierdzającym pogłoski, jakie niewątpliwie krążyły po Sancellan Aedonitis. Nie mógł zwracać na siebie uwagi innych, dopóki nie miał pewności, że księżniczka Miriamele rzeczywiście tu jest.

Jednak to, co dotąd powiedział, najwyraźniej zadowoliło Septesa. Starzec odchylił się do tyłu, wciąż ścierając z piersi plamę po zupie.

– Ach – westchnął. Jego głos zabrzmiał nieco głośniej od rozmów pozostałych siedzących przy stole. – Niestety, opowieści, które słyszeliśmy, były wystarczająco groźne, by traktować twoje słowa poważnie, prawda? Bardzo poważnie. – Skinął na jednego z nowicjuszy, by pomógł mu wstać. Isbeornie, dziękuję ci, że zechciałeś posilić się w naszym towarzystwie – powiedział. – Niech Bóg ma cię w opiece. Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać w sali gościnnej wieczorem? Jak długo zostaniesz tutaj?

– Nie wiem jeszcze – odparł Isgrimnur. – Ja także dziękuję.

Stary mnich i jego dwaj towarzysze zniknęli w tłumie wychodzących. Isgrimnur przez chwilę jeszcze siedział zamyślony. Potem i on wstał.

„Tutaj nie słyszę nawet własnych myśli”. Pokręcił głową i ruszył w stronę drzwi. Jego ogromne rozmiary znacznie ułatwiły mu przejście, tak że szybko znalazł się w głównym holu. „Zrobiłem już, co miałem do zrobienia, lecz nie mogę powiedzieć, że przybliżyło mnie to do odnalezienia Miriamele – pomyślał ze smutkiem. – Czy w ogóle istnieje jakiś sposób, żeby do niej dotrzeć? A może po prostu spytać pierwszego lepszego, czy zaginiona córka Eliasa jest gdzieś w pałacu? Na dodatek ona podróżuje w przebraniu chłopca. Może to i lepiej. Może popytam mnichów,

czy nie pojawili się tutaj ostatnio jacyś młodzi mnisi. – Prychnął przygnębiony, obserwując potok sunących postaci w habitach. – Elysio, Matko Boża, szkoda, że nie ma tutaj Eolaira. Ten przeklęty Hernystirczyk uwielbia takie głupoty. On by sobie poradził. Co ja tutaj robię?”

Książę Isgrimnur potarł dłonią swą nienaturalnie gładką szczękę. Po chwili, ku swemu zaskoczeniu, roześmiał się na myśl o tym, w jak beznadziejnej i głupiej znalazł się sytuacji.

Przechodzący duchowni omijali ostrożnie tego mnicha z Północy o ogromnym brzuchu, który najwyraźniej przeżywał jakąś religijną ekstazę. Isgrimnur ryczał ze śmiechu, aż wreszcie łzy popłynęły po jego różowych, wygolonych policzkach.

POWIETRZE NAD BAGNAMI było niczym gorący i wilgotny koc. Tiamak czuł pragnienie burzy chcącej wyzwolić swe istnienie; jej drażniący oddech powodował mrowienie na jego ramionach. Ile by dał, żeby burza w końcu nadeszła i spadł choć mały deszcz! Myśl o kroplach deszczu, które rozpryskują się na twarzy i naginają liście namorzynów, wydawała mu się marzeniem o jakichś niesłychanie dobrych czasach.

Tiamak westchnął, wyciągnął z wody żerdź i położył ją na ławkach swej łodzi. Przeciągnął się, próbując – bez powodzenia – rozluźnić mięśnie pleców. Płynął już trzy dni i spędził dwie bezsenne prawie noce, w czasie których zastanawiał się, co powinien zrobić. Czy zdradziłby swoich współplemieńców, udając się do Kwanitupulu? Czy zrozumieliby jego dług wobec mieszkańców lądu, a przynajmniej wobec kilku z nich?

Z pewnością by tego nie zrozumieli. Tiamak zasępił się i sięgnął po bukłak z wodą. Zaczerpnął duży łyk i wypłukał nim dobrze usta, zanim połknął wodę. Zawsze traktowali go jak kogoś obcego. Jeśli nie uda się do

Nabbanu i nie przedstawi ich sprawy księciu Benigarisowi, uznają go po prostu za zdrajcę. Tak zamknęliby sprawę starsi wioski.

Zdjął z głowy chusteczkę i zanurzył w rzece, po czym znowu rozłożył ją na głowie. Wspaniale chłodna woda popłynęła po twarzy i szyi. Siedzące nad jego głową jasno upierzone ptaki umilkły na chwilę, gdy nad bagnami przetoczył się odległy grzmot. Tiamak poczuł, że serce bije mu szybciej.

– Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku, spraw, aby burza już nadeszła.

Jego łódź zaczęła zwalniać, od chwili gdy przestał pracować żerdzią. Teraz zwróciła się dziobem do środka rzeki, powodując, że Tiamak znalazł się twarzą do brzegu, czy raczej do tego, co byłoby brzegiem, gdyby była to rzeka płynąca przez stały ląd. Tutaj, w krainie Wran, była to zaledwie plątanina namorzynów, których korzenie trzymały wystarczająco dużo piasku, by wyrosło na nim trochę drzew. Tiamak wydał z siebie odgłos rezygnacji i ponownie opuścił żerdź do wody. Skierował łódź zgodnie z prądem i popchnął ją do przodu przez gęsto rosnące lilie, czepiające się kadłuba niczym palce tonących pływaków. Czekało go jeszcze kilkanaście dni drogi do Kwanitupulu; przynajmniej tyle, jeśli burza, o którą tak się modlił, nie przyniesie z deszczem mocnego wiatru; taki wiatr mógłby powyrywać drzewa z korzeniami i zamienić tę część Wran w niedostępną plątaninę korzeni, pni i połamanych gałęzi.

– Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku – zmienił nieco swoją modlitwę. – Spraw, by nadeszła wkrótce orzeźwiająca, lecz łagodna burza!

Przez cały czas nie mógł pozbyć się ciężaru niepokojących go myśli. Jak miał wybierać pomiędzy dwoma tak odpowiedzialnymi zadaniami? Mógł płynąć do Kwanitupulu, zanim zdecyduje się, czy zostać tam, zgodnie z życzeniem Morgenesa, czy też udać się do Nabbanu, jak polecili mu Starszy Mogahib i pozostali. Próbował w jakiś sposób pogodzić się z tą myślą, lecz wydawało mu się, że takie rozważania przypominały bardziej

leczenie, które powoduje ropienie rany, a należało chyba zacisnąć zęby i wyczyścić ją, aby mogła zacząć się goić.

Tiamak pomyślał o swojej matce, która prawie całe swoje życie spędziła na kolanach, pilnując pieca albo tłukąc ziarno; wstawała jeszcze przed świtem i zmęczona padała na hamak późną nocą. Nie okazywał wielkiego szacunku starszym wioski, lecz teraz Tiamak przestraszył się nagle, że duch matki może go obserwować. Nigdy nie zrozumiałaby swego syna, który odwraca się od swoich dla dobra obcych. Ona chciałaby, żeby Tiamak udał się do Nabbanu. Powiedziałaby mu, że pierwszeństwo mają jego ludzie, a dopiero później jego honor.

Kiedy myślał o niej, wszystko wydawało mu się jasne. Przede wszystkim jest Wrańczykiem; tego nic nie mogło zmienić. Musi więc udać się do Nabbanu. Morgenes, ten miły starzec, zrozumiałby go. Gdy już wypełni obowiązek wobec swego ludu, pojedzie do Kwanitupulu, tak jak prosili go przyjaciele z lądu.

Teraz Tiamak poczuł pewną ulgę. Zdecydował, że wobec tego może zatrzymać się i spróbować znaleźć coś do jedzenia. Wyciągnął rękę i sprawdził linkę wędki, którą przywiązał z tyłu łodzi. Wydawała się naprężona. Wyciągnąwszy ją, stwierdził z oburzeniem, że przynęta znowu została zjedzona, a to, co ją zjadło, nie zaczekało nawet, by wyrazić swą wdzięczność. Przynajmniej haczyk pozostał na swoim miejscu. Metalowe haczyki były niezwykle drogie; za ten musiał pracować jako tłumacz przez cały dzień na targu w Kwanitupulu. W następnym miesiącu znalazł na targu manuskrypt z imieniem Nissesa, za który także oddał całodniowy zarobek. Tak więc dokonał dwóch kosztownych zakupów, lecz haczyk w rzeczywistości okazał się o wiele mniejszy od tych, które strugał z kości, a które zwykle łamały się na pierwszym pieńku. Co do manuskryptu Nissesa – Tiamak poklepał skórzaną, naoliwioną torebkę spoczywającą na

dnie łodzi – jeśli trafnie ocenił jego pochodzenie, z pewnością był on bezcennym klejnotem, wartym pracy na targu.

Tiamak wciągnął linkę, zwijając ją ostrożnie, po czym skierował łódź do zarośniętego namorzynem brzegu. Przez jakiś czas płynął wzdłuż niego, aż wreszcie znalazł miejsce, gdzie zamiast korzeni drzew ciągnął się kawałek brudnego gruntu pokrytego falującą trzciną. Trzymając łódź możliwie najbliżej brzegu, wyciągnął zza paska nóż i wbił go w wilgotną glebę; po chwili wydobył lśniące jaja plujaka. Przeznaczył jedno na przynętę do haczyka, pozostałe zawinął w chusteczkę. Potem wyrzucił linkę do wody, pozwalając jej ciągnąć się swobodnie za łodzią. Kiedy ponownie skierował łódź na środek rzeki, w oddali rozległ się grzmot. Wydawało się, że tym razem zagrzmiało dalej. Pokręcił smutno głową. Burza nie spieszyła się.

Dopiero późnym popołudniem minął wiszące nisko nad wodą zarośla namorzynu i wpłynął na niczym nieosłonięty odcinek rzeki. W tym miejscu była szersza i głębsza. Morze sitowia ciągnęło się aż po horyzont; trawy trwały nieruchome pod ciężarem gorącego powietrza, poprzecinane lśniącymi grzbietami innych strumieni. Niebo poszarzało od złowieszczych chmur, lecz zza nich wystrzelały wesoło promienie słońca, co wprawiło Tiamaka w dobry humor. W pewnym momencie poderwał się ibis; zatrzepotał wolno białymi skrzydłami i opadł w trzciny nieco dalej. Na południu, za mokradłami i bagiennym lasem, majaczyła ciemna linia gór Nascadu. Na zachodzie, niewidoczne za bezkresną równiną porośniętą namorzynem i wierzbą, szumiało morze.

Tiamak popychał łódź zamyślony, chwilami zupełnie pochłonięty poprawkami, jakie zdecydował się wprowadzić do swej pracy zatytułowanej *Sovrańskie Lekarstwa Uzdrowicieli z Wran*. Nagle przyszło mu do głowy, że kształt wierzbowej bazi może mieć jakiś związek

z użyciem jej przez Thrithingów z Łąk jako lekarstwa małżeńskiego, i układał właśnie odnośnik, który by to sugerował, lecz nie stwierdzał tego wyraźnie, gdy nagle poczuł za plecami dziwne drganie. Zaskoczony odwrócił się i zobaczył, że linka wędki jest naciągnięta i brzęczy jak trącona struna lutni.

Przez chwilę był pewien, że to tylko pieniek – naprężenie było tak mocne, że drżenie ogarnęło nawet rufę łodzi – lecz kiedy przechylił się przez burtę, dostrzegł, że coś srebrzystoszarego podpłynęło pod powierzchnię wody i zaraz, wijąc się, zginęło w jej odmętach. Ryba! Długa jak ramię Tiamaka! Wydał okrzyk radości i zaczął ciągnąć linkę. Wydawało się, że srebrzysta ryba wyskoczy wprost na niego. Przez krótką chwilę nad wodą ukazała się jasna, lśniąca płetwa, która jednak zaraz zniknęła pod łodzią, napinając linę. Tiamak pociągnął ostrożnie i lina poddała się nieco. To musiała być silna ryba. Z przerażeniem pomyślał, że linka mogłaby pęknąć, i wyobraził sobie, jak jego posiłek odpływa. Popuścił trochę linkę. Pozwoli rybie zmęczyć się i dopiero potem spokojnie ją przyciągnie.

Tymczasem będzie szukał suchego miejsca, gdzie mógłby rozpalić ognisko. Zawinąłby rybę w liście minoga i na pewno znalazłoby się trochę dziko rosnącego szybkoziela... Już prawie czuł smak niebiańskiej potrawy. Upał, zbyt wolno zbliżająca się burza, zawód, jaki sprawi Morgenesowi – wszystko to przesłonił teraz widok wymarzonego posiłku. Jeszcze raz sprawdził linkę i z zadowoleniem stwierdził, że wciąż jest napięta. Od tygodni nie jadł świeżej ryby!

Nagle jakiś plusk przerwał jego rozmyślania. Tiamak podniósł wzrok i dostrzegł przy brzegu rozchodzące się kręgi wody. Znajdował się od nich o kilka rzutów kamieniem. Ale było też coś jeszcze: w następnej chwili dostrzegł rząd małych guzków podobnych do wysepek, które płynęły w stronę jego łodzi.

„Krokodyl!” – pomyślał przerażony. Jego wspaniały obiad! Pociągnął mocno za linę, lecz ryba wciąż stawiała opór, schowana pod łodzią. Dłonie paliły niemiłosiernie, kiedy próbował – bez powodzenia – wyciągnąć ją na powierzchnię. Widział niewyraźne cielsko krokodyla, który sunął tuż pod powierzchnią wody, rozbijając jej gładkie lustro swym potężnym ogonem. Jego guzowaty grzbiet wyłonił się na chwilę, około stu łokci od miejsca, w którym siedział Tiamak, i zniknął pod wodą. Zanurkował po jego rybę!

Nie było czasu na zastanawianie się. Jeśli się zawaha, straci wszystko: swój obiad, haczyk, linkę. Czuł, że jego pusty żołądek wypełnia czarna kula gniewu, a bolesna obręcz zaciska się wokół skroni. Gdyby żyła jeszcze jego matka, z pewnością nie poznałaby swego niezdarnego, wstydliwego syna. A gdyby zobaczyła, co zrobił w następnej chwili, ze zdumienia z trudem dobrnęłaby do kapliczki Tej, Która Zrodziła Ludzkość, by podziękować za cudowną odmianę.

Tiamak owinął sobie wokół nadgarstka rzemień wychodzący z rękojeści noża i skoczył do wody. Wściekły i zrozpaczony mruczał coś przez cały czas niewyraźnie i dlatego ledwie miał czas, by wciągnąć powietrze w płuca i zamknąć usta, a już zielona woda zamknęła się wokół jego głowy.

Młócąc ramionami, otworzył oczy. Promienie słońca jak przez chmury prześwitywały przez unoszący się w wodzie szlam. Spojrzał w górę w kierunku ciemnego prostokąta dna jego łodzi i dostrzegł pod nim lśniący kształt. Pomimo ogromnego przerażenia poczuł satysfakcję, widząc, jak duża ryba wisi na końcu linki. Nawet jego ojciec Tugumak musiałby przyznać, że zdobycz jest imponująca!

Kiedy Tiamak zaczął płynąć w kierunku swej ofiary, migocąca ryba pomknęła wzdłuż dna łodzi i zniknęła po jej drugiej stronie. Lina napięła się mocno na drewnianym kadłubie. Tiamak chwycił ją z całej siły, lecz przylgnęła do łodzi tak mocno, że Wrańczyk nie był w stanie dobrze jej

uchwycić. Zakrztusił się nieco przerażony, wypuszczając bańki powietrza. Musi się spieszyć. Musi! Krokodyl zaatakuje go lada moment!

W podwodnej ciszy słyszał bicie własnego serca. Ryba wciąż pozostawała poza zasięgiem jego wzroku, jakby zdecydowała się doprowadzić do tego, by nie tylko ona cierpiała. Przerażenie krępowało ruchy Tiamaka. Uznał rybę za straconą. Teraz musiał ratować samego siebie.

Za późno!

Ciemna postać przemknęła obok niego i skierowała się ku górze, znikając i pojawiając się w cieniu łodzi. Nie był to największy krokodyl, jakiego Tiamak kiedykolwiek widział, lecz z pewnością największy, pod jakim się znalazł. Biały brzuch zwierza przepłynął nad nim; Tiamak poczuł uderzenie fali wywołanej silnym ogonem.

Czuł coraz bardziej, że powietrze z jego płuc pragnie wydostać się na zewnątrz i zmącić błotnistą wodę swymi bąbelkami. Odbił się nogami i odwrócił. Miał wrażenie, że oczy wyskoczą mu zaraz z głowy. Nagle zobaczył podobną do stępionej strzały postać krokodyla, który płynął w jego stronę. Jego szczęki rozwarły się. Tiamak dostrzegł czerwonawą ciemność i mnóstwo zębów. Machając ramionami, obrócił się i patrzył, jak przeraźliwie powoli płynie jego nóż, którym pchnął poprzez wodę. Gad uderzył w jego klatkę piersiową, ocierając się o Tiamaka chropawą skórą. Nóż Tiamaka wbił się płytko w bok bestii, przesunął się po twardej skórze i odskoczył. Krokodyl popłynął dalej, okrążając łódź i zostawiając za sobą rdzawą chmurkę.

Tiamak miał wrażenie, że jego płuca straszliwie urosły; czuł coraz większy napór na żebra, aż wreszcie zaczęły ukazywać mu się przed oczami czarne plamki. Dlaczego postąpił tak głupio? Nie chciał umierać w ten sposób: zjedzony topielec!

Kiedy spróbował odbić się do góry, poczuł na nodze miażdżący ucisk, a potem zaraz został pociągnięty w dół. Wypuściwszy z dłoni nóż, młócił wolną nogą i ramionami, czując, że opada w ciemność rzecznego dna. Krztusząc się, wypuścił kolejne bańki powietrza. Jego wzrok stawał się coraz bardziej zamglony; w wyłaniającej się ciemności dostrzegł twarze starszych jego plemienia, Mogahiba, Roahoga, Garncarza i innych; wszyscy oni patrzyli na niego z wyrazem bezlitosnej kpiny z jego głupoty.

Nóż wciąż pozostawał przywiązany do nadgarstka. Opadając na dno, próbował odnaleźć jego rękojeść. Wreszcie chwycił ją w obie dłonie i przezwyciężając siłę, która ciągnęła go w dół, schylił się i odnalazł twarde szczęki, które trzymały jego nogę. Jedną ręką chwycił krokodyla za pysk, tak by mieć pod palcami jego zakrzywione zęby, gdy tymczasem drugą – tę, w której trzymał nóż – zamierzył się w skórzastą powiekę gada. Poczuł, jak zwierzę szarpnęło głową konwulsyjnie i jeszcze mocniej zacisnęło szczęki; piekący ból popłynął w górę od nogi ku sercu. Z ust Tiamaka wypłynęło kilka kolejnych baniek cennego powietrza. Wbił nóż najmocniej, jak tylko potrafił, czując, że jego myśli stają się mroczną plątaniną twarzy i nonsensownych słów. Kiedy ostatkiem sił przekręcił ostrze, poczuł, że krokodyl rozwiera nieco pysk. W tym momencie pociągnął mocno za górną szczękę, unosząc ją wystarczająco wysoko, by wyszarpnąć nogę. Woda wokół nich stawała się coraz bardziej czerwona. Tiamak nie czuł zupełnie nic poniżej kolana, powyżej zaś jedynie ból rozrywający mu klatkę piersiową. Gdzieś pod nim na dnie rzeki krokodyl wił się konwulsyjnie, zataczając coraz mniejsze kręgi. Tiamak spróbował odbić się w górę ku słońcu, którego już prawie nie pamiętał; czuł, że iskra życia w nim gaśnie.

Przebił się przez wielkie ciemności, zanim dotarł do światła.

Słońce wisiało na szarym niebie. Wierzby na brzegu rzeki stały milczące i nieruchome. Wciągnął haust jakże cennego teraz gorącego,

bagiennego powietrza i niemal zanurzył się ponownie, gdyż powietrze wdarło się do jego płuc z gwałtownością rzeki, która zerwawszy tamę, zalewa wysuszoną dolinę. Przed oczyma przesuwały mu się wszystkie barwy i odcienie, aż wydało mu się, że posiadł jakąś ostateczną tajemnicę. Lecz kiedy ujrzał swą łódź unoszącą się na wzburzonej wodzie niedaleko od niego, uczucie objawienia prysnęło. Znowu poczuł odrętwiającą ciemność, która pełzła w górę jego kręgosłupa i wdzierała się do czaszki. Kierując się ku łodzi, stwierdził, że jego ciało w dziwny sposób pozbawione jest bólu, jakby był tylko głową unoszącą się na wodzie. Dotarł do burty i chwycił ją dłonią, dysząc ciężko. Ogromnym wysiłkiem woli wciągnął się do środka; zupełnie nie zwracał uwagi na otarty o ławkę policzek – był bezpieczny. Wreszcie ciemność go zmogła. Przestał walczyć i pozwolił się jej ogarnąć.

Kiedy się obudził, niebo przybrało barwę krwi. Nad bagnami wiał gorący wiatr. Wydawało mu się, że płonące niebo przeniknęło także do jego głowy, gdyż czuł, że jest rozpalony niczym garnek właśnie wyciągnięty z pieca. Zdrętwiałymi palcami wyciągnął spod ławki zapasowe spodnie i obwiązał nimi to, co zostało z nogi zmasakrowanej pod kolanem. Nie miał dość siły, aby przyjrzeć się krwawiącym zagłębieniom, które biegły od kolana do pięty. Broniąc się przed kolejną chmurą omdlenia, Tiamak zastanawiał się, czy będzie mógł jeszcze kiedyś chodzić. Potem przysunął się do burty i pociągnął za linkę, która wciąż napięta, ginęła w głębinach wody. Ostatkiem sił przeciągnął srebrzystą rybę przez dziób łodzi. Opadła, trzepocząc się, na płaskie dno. Leżała z otwartymi oczami i pyskiem, jakby chciała zadać ostateczne pytanie.

Tiamak przewrócił się na plecy i spojrzał na purpurowe niebo. Z góry dobiegł grzmot. Kilka kropel spadło na jego rozgorączkowane ciało. Uśmiechnął się i po raz kolejny osunął w ciemność.

ISGRIMNUR WSTAŁ Z ŁAWKI i zbliżył się do kominka. Niedługo pójdzie spać, więc stwierdził, że wygrzeje się jeszcze przez chwilę, zanim wróci do tej cholernie zimnej celi.

Słuchał ściszonych odgłosów rozmów, które wypełniały salę gościnną, podziwiając różnorodność języków i akcentów. Sancellan Aedonitis stanowiło jakby mały, odrębny świat – nawet wyraźniej niż Hayholt – lecz pomimo że usłyszał tyle zdań i opinii, nie posunął się ani o krok w rozwiązaniu swych problemów.

Książę przemierzał labirynt korytarzy przez całe rano i popołudnie, w nadziei że spotka jakiegoś podejrzanego mnicha lub znajdzie coś, co naprowadzi go na ślad księżniczki. Niestety, jego poszukiwania okazały się bezowocne, jeśli nie liczyć wiedzy na temat rozmiarów i potęgi Matki Kościoła. Niemożność zdobycia jakichkolwiek informacji o księżniczce tak go rozczarowała, że wieczorem zdecydował się opuścić Sancellan Aedonitis.

Kolację zjadł w karczmie przy drodze na zboczu Wzgórza Sancellińskiego, a potem spacerował po Sali Fontann – nie był tam od wielu lat. Razem z Gutrun odwiedził to miejsce na krótko przed ich ślubem w czasie pielgrzymki do Nabbanu, którą w rodzinie Isgrimnura tradycyjnie odbywali wszyscy przyszli małżonkowie. Gra światła na wodzie i jej nieustanna muzyka pozwoliły Isgrimnurowi poddać się uczuciu przyjemnej melancholii. Wciąż martwił się o żonę i tęsknił do niej, lecz po raz pierwszy od tygodni jego myśli nie były aż tak bolesne. Ona musi być bezpieczna, tak jak i Isorn. Musi w to wierzyć, co innego mógłby zrobić? Pozostali członkowie rodziny, jego drugi syn i dwie córki, znajdowali się w bezpiecznych rękach starego Tana Tonnruda w Skoggey. Czasami, kiedy nic nie było pewne, należało zawierzyć dobroci Boga.

Po spacerze Isgrimnur – uspokojony i gotowy do dalszych poszukiwań – powrócił do Sancellan. Mnisi, którzy towarzyszyli mu przy porannym posiłku, zajrzeli na krótko do sali gościnnej, lecz wyszli wcześnie; stary Septes tłumaczył, że starają się zachować porządek dnia, który panował w ich klasztorze. Książę siedział, wsłuchując się w rozmowy, lecz bez rezultatu.

Rozmowy mnichów – choć bardzo ostrożne w słowach – dotyczyły głównie tego, czy Lektor Ranessin uzna sukcesję Benigarisa do książęcego tronu Nabbanu. Wprawdzie żadna decyzja Lektora nie mogłaby zmusić Benigarisa, by usunął swój tyłek z tronu, lecz Dom Benidrivinów i Matka Kościół dawno już ustanowili równowagę w sprawowaniu władzy w Nabbanie. Obawiano się, że Ranessin podejmie jakąś pochopną decyzję i na przykład odmówi Benigarisowi prawa do władzy, opierając się na pogłoskach mówiących, że nowy książę zdradził swego ojca lub też że nie bronił go należycie w bitwie pod Naglimundem. Jednak większość nabbańskich duchownych – wychowanków Sancellan – zapewniała swych kolegów z obcych stron, że Ranessin jest człowiekiem honoru i dobrym dyplomatą i z pewnością podejmie słuszną decyzję.

Książę Isgrimnur powachlował brzegiem swej sutanny, próbując wpuścić pod spód nieco ciepłego powietrza. Gdyby tak honor i dyplomacja Lektora potrafiły rozwiązywać wszystkie problemy...

„Oczywiście! Ależ to jasne! Jaki ze mnie dureń, że nie wpadłem na to wcześniej!” Isgrimnur uderzył swą ogromną dłonią po udzie i cmoknął głośno. „Porozmawiam z Lektorem. Bez względu na to, co myśli, nie zdradzi mojej tajemnicy. Nie wyrządzi też krzywdy Miriamele. Jeśli ktokolwiek potrafi odnaleźć ją tutaj bez większego zamieszania, to z pewnością jest nim Jego Świątobliwość”.

Teraz książę poczuł się znacznie lepiej. Odwrócił się, roztarł dłonie nad ogniem i ruszył przez lśniącą, drewnianą podłogę sali gościnnej.

Jego uwagę zwrócił niewielki tłum przy jednym z wejść. W otwartych drzwiach stało kilkunastu mnichów, a kilkunastu innych znajdowało się na balkonie, z którego wpadało do wnętrza zimne powietrze. Ci, którzy siedzieli wewnątrz, zaczęli protestować, niektórzy przysunęli się nawet bliżej ognia. Isgrimnur zbliżył się do drzwi, chowając dłonie w obszernych rękawach, i zerknął przez ramię stojącego z tyłu grupy mnicha.

– Co się dzieje? – spytał. W dole na dziedzińcu dostrzegł kilkunastu ludzi, połowę z nich stanowili jeźdźcy. Nie widział w tym niczego niezwykłego. Ludzie w dole poruszali się powoli; piesi najwyraźniej stanowili gwardię sancellańską, która witała przybyłych.

– To doradca Wielkiego Króla – powiedział stojący przed nim mnich. – Pryrates. Był tu kiedyś, to znaczy w Sancellan Aedonitis. Mówią, że jest bardzo mądry.

Isgrimnur zacisnął zęby, powstrzymując okrzyk gniewu i zdziwienia. Poczuł ogarniającą go falę wściekłości i wspiął się na palce. Rzeczywiście, ujrzał małą, łysą głowę duchownego, podskakującą regularnie na tle purpurowego płaszcza, który wydawał się pomarańczowy w świetle pochodni umieszczonych w bramie. Książę stwierdził nagle, że zastanawia się nad tym, jak mógłby zbliżyć się wystarczająco blisko, by wbić nóż w plecy zdrajcy. „Ach, słodki Boże, z jaką zrobiłbym to radością!”

„Głupcze, jaka byłaby z tego korzyść, poza tą niewątpliwą, że Pryrates zniknąłby z powierzchni ziemi. Nie pomogłoby mi to w odnalezieniu Miriamele, zostałbym schwytany i nie mógłbym kontynuować poszukiwań. A co by się stało, gdyby Pryrates nie umarł? Może posiadać jakąś magiczną osłonę”.

Nie, to nie byłoby dobre. Lecz gdyby udało mu się spotkać z Lektorem, napomknąłby o tym diabelskim duchownym i jego szatańskich radach, jakich udziela Wielkiemu Królowi. „Ale co, na Boga, robi tutaj Pryrates?” Isgrimnur ruszył do swojej celi, próbując pozbyć się myśli o zabiciu duchownego, która wciąż nie dawała mu spokoju.

Stojący w dole Pryrates podniósł wzrok w stronę balkonu sali gościnnej, jakby usłyszał, że ktoś go woła; jego czarne oczy lśniły przenikliwym blaskiem, a blada, łysa głowa przypominała muchomora postawionego w cieniu dziedzińca. Oddzieleni od niego ciemnością i odległością mnisi nie mogli dostrzec uśmiechu, jaki pojawił się na jego posępnej twarzy, lecz poczuli nagły powiew chłodnego powietrza, który ogarnął Sancellan Aedonitis, szarpiąc płaszcze straży. Patrzący z góry zadrżeli i szybko wycofali się do wewnątrz. Zamykając za sobą drzwi, zgromadzili się przy ogniu.

12. Lot ptaka

SIMON I JEGO TOWARZYSZE zostawili ludzi Binabika i pojechali na południowy wschód wzdłuż podnóża Trollich Turni; przypominali dzieci, które uczepiły się brzegu, bojąc się wejść na głębszą wodę. Po ich prawej stronie ciągnęło się aż po horyzont Białe Pustkowie.

Kiedy szarym popołudniem przeprowadzali swoje konie przez wąski, kamienny bród, który ledwie pozwalał na przejście na drugi brzeg jednego ze strumieni Jeziora Błękitnego Błota, nadleciał klucz żurawi; ptaki krzyczały tak głośno, że ich gęganie zdawało się wypełniać całe niebo. Żurawie skręciły nad głowami podróżnych i odleciały na południe.

– Powinny lecieć trzy miesiące temu – zauważył ponuro Binabik. – Źle, bardzo źle. Wiosna i lato spóźniają się jak pokonana armia.

– Nie wydaje mi się, żeby teraz było zimniej niż wtedy, gdy szliśmy na Urmsheim – odparł Simon i ścisnął mocno cugle swej klaczy, Nadziei.

– Wtedy była późna wiosna – mruknął Sludig, starając się zachować równowagę na śliskich kamieniach. – Teraz mamy środek lata.

Simon zastanowił się nad tym.

– Och – powiedział tylko.

Zatrzymali się na drugim brzegu strumienia, aby podzielić się prowiantem, w jaki zaopatrzyły ich trolle Binabika. Słońce z trudem

przebijało się przez szarość popołudnia. Simon zastanawiał się, gdzie będzie, kiedy nadejdzie kolejne lato – jeśli będzie jeszcze jakieś lato.

– Czy Król Burz może sprawić, że zima zostanie już na zawsze? – spytał.

Binabik wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem. W każdym razie udało mu się sprowadzić zimę w czasie miesięcy Yuven i Tiyagar. Nie myślmy o tym, Simonie. Takie zmartwienia nie pomogą nam w wykonaniu naszego zadania. Albo Pan Burz zwycięży, albo nie. Tylko to się liczy.

Simon gramolił się niezgrabnie w siodle. Z zazdrością patrzył, z jaką wprawą porusza się na koniu Sludig.

– Nie chodzi mi o to, żeby go powstrzymać – odparł zaczepnie. – Zastanawiałem się tylko, co on ma zamiar zrobić.

– Gdybym tylko wiedział – westchnął Binabik. – Nie przeklinałbym siebie za to, że jestem tylko kiepskim uczniem wspaniałego mistrza. – Troll zagwizdał na Qantaqę.

Tego popołudnia zatrzymali się, kiedy było jeszcze dość widno, by zebrać drewno na ognisko i pozwolić Simonowi na ćwiczenia ze Sludigiem. Rimmersman znalazł pod śniegiem długi konar, złamał go na pół, a koniec każdej połowy owinął szmatą dla lepszego uchwytu.

– Czy nie możemy używać prawdziwych mieczy? – spytał Simon. – Przecież nie będę z nikim walczył kijem.

Sludig spojrzał na niego sceptycznie.

– A zatem wolałbyś pośliznąć się na mokrym gruncie, walcząc na prawdziwe miecze z kimś doświadczonym? Może chciałbyś użyć tego czarnego miecza, którego prawie nigdy nie możesz podnieść? – Ruchem głowy wskazał Cierń. – Simonie, wiem, że czujesz się zmarznięty i sponiewierany, lecz czy naprawdę tak bardzo chcesz umrzeć?

Simon popatrzył na niego hardo.

– Nie jestem aż taką niezdarą. Sam to mówiłeś. A poza tym Haestan nauczył mnie już trochę.

– W ciągu dwóch tygodni? – Sludig patrzył teraz na niego rozbawiony. – Jesteś dzielny, Simonie, i szczęście ci dopisuje – o czym nie możesz zapominać – lecz ja chcę zrobić z ciebie lepszego wojownika. Twoim następnym przeciwnikiem może nie być potężny Hunen, ale uzbrojony człowiek. No, weź swój nowy miecz i zaatakuj mnie.

Kopnięciem posłał Simonowi jego kij i uniósł swój. Simon trzymał konar przed sobą i zaczął wolno obchodzić Sludiga. Rimmersman miał rację: pokryta śniegiem ziemia była zdradliwa. Zanim jeszcze zdążył zamierzyć się na swego nauczyciela, grzmotnął ciężko na siedzenie. Siedział naburmuszony.

– Nie wstydź się – powiedział Sludig, robiąc krok do przodu i przykładając koniec swej pałki do piersi Simona. – Kiedy upadniesz – w walce zdarzają się potknięcia i upadki – pamiętaj, aby trzymać miecz skierowany do góry, bo inaczej możesz nie mieć już okazji do podjęcia walki.

Przyznając w duchu rację Rimmersmanowi, Simon chrząknął, odtrącił dłonią pałkę Sludiga i podniósł się na kolana. Następnie wstał i podjął okrążanie przeciwnika.

– Dlaczego to robisz? – spytał Sludig. – Dlaczego mnie nie zaatakujesz?

– Ponieważ jesteś ode mnie szybszy.

– Dobrze, masz rację. – Sludig zamierzył się pałką i Simon poczuł piekący ból pod żebrami. – Przez cały czas musisz zachowywać równowagę. Przez chwilę miałeś skrzyżowane stopy. – Zamierzył się po raz kolejny, lecz teraz Simon zdołał się uchylić i zadać cios, który Sludig zbił w kierunku ziemi.

– Widzę, że się uczysz, Simonie Wojowniku! – zawołał Binabik.

Troll siedział przy dopiero co rozpalonym ognisku i drapiąc Qantaqę po karku, obserwował pojedynek na kije. Wilczyca wydawała się bardzo ubawiona, choć nie było wiadomo, czy powodem jej radości były pieszczoty Binabika, czy też widok okładanego Simona; jej ogon kiwał się wesoło, a jęzor zwisał z uśmiechniętego pyska.

Simon i Rimmersman walczyli około godziny. Simon nie zadał ani jednego ciosu, za to wiele ich otrzymał. Kiedy wreszcie opadł zmęczony na płaski kamień leżący w pobliżu ogniska, z wielką ochotą pociągnął łyk kangkang z bukłaka Binabika. Po drugim łyku nabrał ogromnej ochoty na trzeci, lecz troll cofnął bukłak.

– Nie byłbym twoim przyjacielem, gdybym pozwolił ci się upić – oświadczył stanowczo troll.

– Chcę się napić, dlatego że bolą mnie żebra.

– Jesteś młody i szybko się wyleczysz – odparł Binabik. – W pewnym sensie jestem za ciebie odpowiedzialny.

Simon skrzywił się, lecz nic nie odpowiedział. Miło było usłyszeć, że ktoś się troszczy o niego, nawet jeśli niezupełnie zgadzał się z tym, w jaki sposób to robiono.

Kolejne dwa dni podróży w zimnie skrajem Trollich Turni – a także dwa popołudnia, które uczeń Sludiga nazywał w duchu „laniem podkuchennego” – nie sprawiły, że Simon zobaczył świat w nieco pogodniejszych kolorach. Wielokrotnie kiedy siedział na mokrej ziemi, czując, że kolejna część jego ciała nabrzmiewa pulsującą opuchlizną, zastanawiał się, czy nie powiedzieć Sludigowi, że władanie mieczem już go nie interesuje, lecz wspomnienie bladej twarzy Haestana złożonego na grobowym kopcu sprawiało, że po raz kolejny wstawał gotowy do walki. Gwardzista bardzo chciał, aby Simon nauczył się walczyć, bronić siebie

i innych. Haestan nigdy nie potrafił do końca wyrazić tego, co chciał – nigdy nie mówił bez potrzeby – lecz zawsze powtarzał tylko, że silniejsi niesłusznie znęcają się nad słabszymi.

Simon przypomniał sobie Fengbalda, sprzymierzeńca Eliasa. Dowodząc grupą uzbrojonych ludzi, spalił swoje włości i zabijał własnych poddanych tylko dlatego, że sprzeciwił mu się cech tkaczy. Simon z niesmakiem przypomniał sobie, jak bardzo podziwiał Fengbalda i jego wspaniałą zbroję. Zbir – takie określenie pasowało do hrabiego Falshire i jemu podobnych; także do Pryratesa, choć duchowny w czerwieni był bardziej subtelnym i niebezpiecznym zbirem. Simon wyczuwał, że Pryrates nie znajduje aż tak wielkiej przyjemności w tłamszeniu tych, którzy mu się sprzeciwiają; duchowny używał raczej swej siły z zapamiętałym okrucieństwem, które miało usunąć wszelkie przeszkody między nim i jego nieznanym celem.

Wielokrotnie wspomnienie łysego duchownego wystarczało, by poderwać Simona z ziemi do walki. Wtedy Sludig cofał się, mrużąc oczy w skupieniu, i czekał, aż Simon wyładuje swą furię i przypomni sobie, że odbywa kolejną lekcję. Wspomnienie Pryratesa uprzytamniało, dlaczego musi nauczyć się walczyć. Choć wiadomo było, że taką bronią z pewnością nie można pokonać alchemika, wiedział jednak, że może mu to pomóc utrzymać się przy życiu, dopóki nie odnajdzie Pryratesa. Pryrates miał na sumieniu wiele zbrodni, lecz śmierć Morgenesa i spowodowanie ucieczki Simona z własnego domu wystarczyły, aby wciąż miał przed oczyma jego twarz, nawet wtedy, gdy krzyżował kije ze Sludigiem pośród śniegów Białego Pustkowia.

Tuż po świcie czwartego dnia od chwili, kiedy opuścili Jezioro Błękitnego Błota, Simon obudził się, drżąc pod skąpym przykryciem ze związanych gałęzi, pod którymi spała cała czwórka. Leżąca dotąd na jego nogach Qantaqa przeniosła się do Binabika. Wraz z nią odeszło ciepło jej

futra, dlatego Simon nie widział innego rozwiązania, jak wynurzyć się wprost w poranne, krystaliczne powietrze poranka. Szczękając zębami, otrzepywał z włosów sosnowe igły.

Sludig zniknął gdzieś z pola widzenia, lecz Binabik siedział na ośnieżonym kamieniu obok pozostałości po ognisku z poprzedniego dnia i wpatrywał się w niebo na wschodzie, jakby kontemplował blask słońca. Simon odwrócił się, by pójść za spojrzeniem Binabika, lecz nie dostrzegł niczego poza bladym słońcem, które wypełzało właśnie ponad najwyższe szczyty Trollich Turni.

Leżąca u stóp Binabika Qantaqa podniosła głowę, gdy Simon zbliżył się, chrzęszcząc butami na śniegu, lecz zaraz ponownie położyła swój ogromny, kudłaty łeb na łapach.

– Binabiku, dobrze się czujesz? – spytał Simon.

Początkowo wydawało się, że troll nie słyszy, lecz po chwili odwrócił się do Simona uśmiechnięty.

– Dzień dobry, Simonie, przyjacielu – powiedział. – Czuję się zupełnie dobrze.

– Ach, tak. Ja tylko... tak się wpatrywałeś.

– Spójrz. – Binabik wysunął pękaty palec z rękawa kurtki i wskazał na wschód.

Simon ponownie się odwrócił i osłonił dłonią oczy.

– Niczego nie widzę.

– Przyjrzyj się. Patrz na ostatni ze szczytów, ten po twojej prawej stronie. Tam. – Troll wskazał na lodowy szczyt ginący w cieniu, gdyż słońce znajdowało się za nim.

Simon wpatrywał się przez jakiś czas, nie chcąc przyznać, że niczego nie widzi. Kiedy już miał się poddać, wreszcie coś dostrzegł: były to

ciemne linie biegnące pod szklaną powierzchnią góry, podobne do krawędzi szlifowanych klejnotów. Zmrużył oczy, próbując rozpoznać szczegóły.

– Chodzi ci o te cienie? – spytał wreszcie, a Binabik skinął głową ożywiony. – Co to jest? – dopytywał się Simon.

– Coś więcej niż cienie – odpowiedział cicho Binabik. – To, co tam widzisz, to wieże upadłego Tumet’ai.

– Wieże w środku góry? Co to jest Tooma-tie?

Binabik zmarszczył brwi nieco zniecierpliwiony.

– Simonie, słyszałeś to imię wiele razy. Co za ucznia wybrał sobie Doktor Morgenes? Czy pamiętasz, kiedy rozmawiałem z Jirikim o Ua’kiza Tumet’ai nei-R’i’anis?

– Tak jakby – mruknął niewyraźnie Simon. – Co to jest?

– Pieśń o upadku miasta Tumet’ai, jednego z wielkich Dziewięciu Miast Sithów. Pieśń ta opowiada o opuszczeniu Tumet’ai. Cienie, które widzisz, są jego wieżami uwięzionymi w tysiącach lat lodów.

– Naprawdę? – Simon wpatrywał się w ciemne, pionowe linie, które przypominały długie plamy pod mlecznym lodem. Próbował wyobrazić je sobie jako wieże, lecz nie potrafił. – Dlaczego miasto zostało opuszczone?

Binabik przesunął dłonią po grzbiecie Qantaqi.

– Wiele było przyczyn. Jeśli chcesz, to opowiem ci przynajmniej część tej historii później, kiedy będziemy jechali. W ten sposób szybciej minie nam czas.

– Ale dlaczego wybudowali miasto na pokrytej lodem górze? – spytał Simon. – Wydaje się to głupie.

Binabik spojrzał na niego poirytowany.

– Simonie, rozmawiasz z kimś, kto wychował się w górach, jak zapewne pamiętasz. Jedną z cech człowieka dorosłego jest, jak mi się

wydaje, to, że zastanawia się nad swoimi słowami, zanim otworzy usta.

– Przepraszam. – Simon próbował ukryć złośliwy uśmieszek. – Nie sądziłem, że trollom rzeczywiście podoba się tam, gdzie mieszkają.

– Simonie – odezwał się Binabik stanowczo. – Myślę, że powinieneś pójść po konie.

A ZATEM, CO TO ZA DZIEWIĘĆ MIAST? – spytał wreszcie Simon.

Jechali już od godziny; teraz zostawili wreszcie z boku podnóże gór i wypłynęli na śnieżne morze Białego Pustkowia. Trzymali się czegoś, co Binabik nazwał Starym Traktem Tumet'ai. Była to szeroka droga na grobli, która kiedyś łączyła skute lodem miasto z jego kuzynami na południu. Teraz niewiele już pozostało z samej drogi, jedynie kilka ogromnych kamieni ustawionych po obu stronach szlaku albo krótkie odcinki wyłożone mniejszymi kamieniami widoczne spod śniegu.

Simon nie zadał tego pytania dlatego, że zapragnął kolejnej lekcji historii – i tak głowę miał pełną dziwnych imion i miejsc – lecz monotonna kraina, przez którą jechali, niekończące się śnieżne pole upstrzone tylko gdzieniegdzie pniami obumarłych drzew, wywołały u niego głód opowieści.

Jadący nieco z przodu Binabik szepnął coś do Qantaqi. Wilczyca zatrzymała się i czekała, wypuszczając obłoki pary, aż Simon zrówna się z nimi. Klacz Simona odskoczyła i zatańczyła nerwowo. Qantaqa ruszyła spokojnie naprzód, a Simon poklepał klacz po karku i zaczął coś do niej szeptać. Po kilku podskokach koń szedł już spokojnie, parskając tylko od czasu do czasu nerwowo. Qantaqa nie zwracała uwagi na klacz i szła z nisko spuszczoną głową, węsząc po śniegu.

– Dobra Nadzieja, dobra. – Simon poklepał dłonią kark klaczy, czując pod palcami pracujące mięśnie. To on dał jej imię, a ona była mu posłuszna! Czuł wypełniającą go radość. Była teraz jego koniem.

Binabik uśmiechnął się, widząc dumny wyraz twarzy Simona.

– Okazujesz jej szacunek. To dobrze – powiedział. – Bardzo często ludziom wydaje się, że ci, którzy im służą, robią to ze słabości albo z poczucia niższości – zachichotał troll. – Ci, którzy tak uważają, powinni przejechać się na takim wierzchowcu jak Qantaqa, która mogłaby ich pożreć, gdyby tylko jej się tak spodobało. – Binabik podrapał wilczycę między łopatkami; Qantaqa zatrzymała się na chwilę, by w pełni nacieszyć się pieszczotą, i zaraz ruszyła dalej.

Jadący z przodu Sludig odwrócił głowę.

– Ha! Niedługo będziesz równie dobrym jeźdźcem jak wojownikiem! Nasz przyjaciel Śnieżnowłosy jest najdzielniejszym w świecie kuchcikiem!

Simon zmarszczył brwi zażenowany i poczuł, jak skóra marszczy mu się wokół blizny na policzku.

– To nie jest moje imię.

Sludig roześmiał się, widząc jego zawstydzenie.

– A co ci się nie podoba w imieniu Simon Śnieżnowłosy? Należy ci się, uczciwie je otrzymałeś.

– Simonie, przyjacielu, jeśli to ci się nie podoba – odezwał się Binabik – będziemy nazywać cię inaczej. Ale Sludig ma rację: zdobyłeś to imię z pełnym honorem, nadał ci je Jiriki, członek najwyższego rodu Sithów. Sithowie widzą lepiej niż śmiertelnicy, przynajmniej niektóre rzeczy. Nie powinno się tak beztrosko odrzucać nadanego przez nich imienia, podobnie jak i innych ich darów. Pamiętasz tę chwilę, kiedy trzymałeś Białą Strzałę nad rzeką?

Simon nie musiał się bardzo wysilać, żeby sobie przypomnieć. Moment, kiedy wpadł do rwącej rzeki Aelwent, pozostał czarną plamą w jego wspomnieniach, choć od tego czasu przeżył wiele dziwnych przygód. W wodzie znalazł się przez swoją idiotyczną dumę, która była drugą stroną

jego gamoniowatej natury. Próbował wtedy pokazać Miriamele, jak lekko traktuje nawet takie rzeczy jak dary Sithów. Niedobrze mu się zrobiło na samo wspomnienie swojej głupoty. Ale z niego był dureń! Skąd mu przyszło do głowy, że Miriamele będzie się nim przejmowała?

– Pamiętam – odparł krótko, lecz radość chwili już przeminęła. Każdy mógł jeździć na koniu, nawet gamoń. Czy miał powód, żeby puszyć się tak bardzo, w końcu jechał na koniu dobrze zaprawionym w boju. – Binabiku, miałeś mi opowiedzieć o Dziewięciu Miastach – rzekł ponuro.

Troll spojrzał zdziwiony, słysząc pełen rezygnacji głos Simona, lecz nic nie powiedział. Zatrzymał Qantaqę.

– Odwróćcie się na chwilę i popatrzcie do tyłu – zwrócił się do Simona i Sludiga. Rimmersman parsknął zniecierpliwiony, lecz posłuchał trolla.

Słońce uwolniło się wreszcie z uścisku góry. Jego skośne promienie oświetlały teraz oblicze najbardziej na wschód wysuniętego szczytu, oblewając ogniem jego lodowy policzek i pogrążając w cieniu szczeliny. Uwięzione wieże, które o świcie były zaledwie ciemnymi żyłkami, teraz wydawały się promieniować ciepłym, czerwonawym światłem, jakby krew płynęła zimnymi żyłami góry.

– Dobrze się przyjrzyjcie – powiedział Binabik. – Może żaden z nas nigdy już tego nie zobaczy. Tumet’ai było miejscem o wielkich właściwościach magicznych, podobnie jak wszystkie wielkie miasta Sithów. Coś takiego nigdy już nie powstanie. – Troll wziął głęboki oddech i nagle zaczął śpiewać.

T’seneí mezu y’eru,
Iku’do saju-rhá,
O do’ini he-huru.
Tumet’ai! Zi’inu asuná!

Shemisayu, nunai temuy’á...

Bezwietrzny poranek poniósł pieśń Binabika, która odeszła bez echa.

– To jest początek pieśni o upadku Tumet’ai – oznajmił uroczyście. – Bardzo stara pieśń. Znam tylko kilka jej wersetów. Ten, który wam zaśpiewałem, znaczy mniej więcej to:

Zwiastunie gwiazdy dnia,
O wieżach ze srebra i purpury,
Zimny mrok cię ogarnął.
Tumet’ai! Komnato Świtu!
Pierwsze opłakiwane i ostatnie, które z pamięci odeszło...

Troll pokiwał głową.

– Tak trudno jest mi znaleźć odpowiednie słowa na wyrażenie kunsztu Sithów, szczególnie że wasz język nie jest moim. Mam nadzieję, że mi wybaczycie. – Uśmiechnął się kwaśno. – Większość sithijskich pieśni mówi o utracie i dawnych wspomnieniach, więc rozumiecie, że komuś, kto żyje tak krótko jak ja, trudno jest oddać ich prawdziwy sens.

Simon wpatrywał się w prawie niewidoczne wieże, ledwie dostrzegalne pasemka pod skorupą lodu.

– Dokąd odeszli Sithowie, którzy tam mieszkali? – spytał. W myślach wciąż słyszał smutne słowa pieśni Binabika: Zimny mrok cię ogarnął. Czuł niemal, jak ten sam mrok opada na jego serce, zaciska się niczym lodowa obręcz. „Zimny mrok cię ogarnął”. Miejsce na jego twarzy, gdzie naznaczyła go smocza krew, pulsowało żywo.

– Tam, gdzie Sithowie zawsze odchodzą – odparł troll. – Daleko. Do mniejszych miejsc. Umierają lub odchodzą w cień albo żyją i stają się mniejsi. Urwał wpatrzony w ziemię, starając się znaleźć odpowiednie

słowa. – Tak, Simonie, oni wnieśli do tego świata wiele piękna i sami także podziwiali wiele z tego, co piękne na tym świecie. Wiele razy powtarzano, że świat nie jest już tak dobry przez to, że jest ich mniej. Nie potrafię powiedzieć, czy rzeczywiście jest tak, jak mówią. – Troll chwycił gęste futro Qantaqi i dał jej znak; wilczyca ruszyła żywo poprzez pustkowie. – Simonie, chciałbym, żebyś zapamiętał to miejsce... ale nie smuć się. W świecie wciąż jest jeszcze wiele piękna.

Sludig zrobił na piersi znak Drzewa.

– Trollu, nie mogę powiedzieć, bym podzielał twój podziw dla takich magicznych miejsc. – Szarpnął lejcami i jego koń ruszył przed siebie. – Dobry Pan Usires przyszedł, aby uwolnić nas od pogaństwa. To nie przypadek, że pogańskie demony, które zagrażają naszemu światu, są kuzynami tych Sithów, których tak opłakujesz.

Simon poczuł falę gniewu.

– Głupio mówisz, Sludigu. A Jiriki? Czy on też jest demonem?

Rimmersman odwrócił się do niego z uśmiechem na ustach ledwie widocznych wśród jasnej brody.

– Nie, młodziku, ale nie jest on także magicznym towarzyszem czy obrońcą, jak ci się pewnie wydaje. Jiriki jest starszy i mądrzejszy, niż potrafimy to sobie wyobrazić. Jest też przez to o wiele bardziej niebezpieczny, niż zdajemy sobie sprawę. Bóg wiedział, co robi, kiedy pomógł ludziom wygnać Sithów z tej ziemi. Tak, Jiriki był dobry, lecz nasze ludy nigdy nie będą mieszkać obok siebie. Jesteśmy zbyt różni.

Simon powstrzymał się przed gwałtowną odpowiedzią i wbił wzrok w ośnieżoną ścieżkę. Bywały chwile, kiedy bardzo nie lubił Sludiga.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu; słychać było tylko głośne oddechy i chrzęst końskich kopyt na śniegu. Wreszcie Binabik przemówił.

– Simonie, masz niezwykłe szczęście – powiedział.

– Szczęście bycia ściganym przez demony? – mruknął Simon. – Czy też szczęście zobaczenia, jak umierają moi przyjaciele?

– Proszę! – Troll uniósł swą małą dłoń, powstrzymując jego dalsze słowa. – Nie o takim szczęściu mówię. Oczywiście to, przez co przeszliśmy, było koszmarem. Ja chciałem po prostu powiedzieć, że widziałeś trzy z wielkich Dziewięciu Miast Sithów. Niewielu – jeśli w ogóle ktokolwiek spośród śmiertelników – może się tym poszczycić.

– Trzy?

– Tumet’ai, którego resztki oglądałeś właśnie pod lodem. – Mówiąc, troll rozkładał palce i liczył. – Da’ai Chikiza w lesie Aldheorte, gdzie odniosłem ranę od strzały. No i wreszcie Asu’a, na którego kościach stanął zamek Hayholt, gdzie się urodziłeś.

– Sithowie wybudowali tam Wieżę Zielonego Anioła, która stoi do dziś – powiedział Simon, przypominając sobie niewyraźny zarys budowli podobnej do palca wskazującego niebo. – Często na nią wchodziłem. – Zamyślił się na chwilę. – Czy drugie miejsce nazywało się Enki... Enki...?

– Enki-e-Shao’saye? – podpowiedział Binabik.

– Tak. Czy Enki-e-Shao’saye było jednym z wielkich miast?

– Zgadza się. Zobaczymy też jego ruiny – jeśli w ogóle jakieś zostały – gdyż znajduje się ono niedaleko Kamienia Rozstania. – Binabik pochylił się, ponieważ Qantaqa przeskakiwała właśnie mały pagórek.

– Ja już je widziałem – powiedział Simon. – Jiriki pokazał mi to miasto w lusterku. Było piękne, pełne zieleni i złota. Nazwał je Letnim Miastem.

Binabik uśmiechnął się.

– A zatem widziałeś cztery. Kilku tylko spośród największych mędrców, przeżywszy całe życie, może pochwalić się tym, czym ty.

Simon zamyślił się nad słowami Binabika. Kto by pomyślał, że lekcje historii Morgenesa okażą się tak ważne? Stare miasta i stare opowieści stały

się częścią jego własnego życia. Przyszłość wydawała mu się w przedziwny sposób powiązana z przeszłością, i to w taki sposób, że obie przetaczały się przez teraźniejszość niczym ogromne koło...

Koło. Cień koła...

Zobaczył nagle to, co widział w tamtym śnie: ogromne, czarne koło, które toczy się nieubłaganie w dół i pcha wszystko inne przed sobą. W jakiś sposób przeszłość wdzierała się w sam środek teraźniejszości, rzucając długi cień na to, co miało nastąpić...

Czuł coś w swoim umyśle, coś, czego nie mógł dosięgnąć; jakiś tajemniczy kształt, który tam istniał, lecz którego nie potrafił rozpoznać. Dotyczyło to jego snów, a także Przeszłości i Przyszłości...

– Binabiku, wydaje mi się, że muszę wiedzieć więcej – odezwał się wreszcie. – Ale trzeba by zrozumieć tyle rzeczy. Nigdy ich wszystkich nie spamiętam. Jak nazywały się pozostałe miasta? – Przez chwilę jego uwagę zwrócił jakiś ruch na niebie, ciemne, rozrzucone punkciki podobne do niesionych wiatrem liści. Wytężył wzrok, lecz zorientował się, że było to tylko stado lecących wysoko ptaków.

– Dobrze jest znać przyszłość, Simonie – powiedział troll. – Lecz najważniejsze jest to, co sprawia, że ktoś jest mędrcem. Dlatego dobrze jest znać nazwy Dziewięciu Miast, choć nie sądzę, by okazały się bardzo przydatne. Kiedyś znały je dzieci w kołyskach. Znasz już Asu’a, Da’ai Chikiza, Enki-e-Shao’saye i Tumet’ai. Jhina Tsenei spoczywa na dnie mórz południowych. Ruiny Kementari znajdują się gdzieś na wyspie Warinsten, miejscu urodzenia waszego Króla Prestera Johna, lecz chyba nikt nie widział ich już od lat. Także w zapomnienie odeszły Mezutu’a i Hikehikayo, oba miasta legły pod górami północno-zachodniego Osten Ard. I wreszcie ostatnie, Nakkiga... ale ty chyba już je widziałeś, a przynajmniej...

– Co to znaczy?

– Nakkiga było miastem, które Nornowie wybudowali dawno temu w cieniu Burzowej Góry, dopóki nie odeszli do jej wnętrza. Widziałeś je na Ścieżce Snów, po której chodziłeś ze mną i z Geloë, lecz pewnie będąc pod wrażeniem ogromu góry, przeoczyłeś kruszące się pozostałości miasta. Tak więc w pewnym sensie odwiedziłeś także i Nakkigę.

Simon zadrżał na wspomnienie niekończących się lodowych korytarzy we wnętrzu Burzowej Góry, przeraźliwie białych twarzy i płonących oczu, które świeciły w jej mrokach.

– Nigdy nie chciałbym już zobaczyć tego z bliska – powiedział. Zmrużywszy oczy, Simon spojrzał na niebo. Ptaki wciąż kołowały leniwie nad ich głowami. – Czy to kruki? – spytał Binabika i wskazał w górę. – Od jakiegoś czasu wciąż krążą nad nami.

Troll spojrzał w górę.

– Tak, kruki, i to duże. – Uśmiechnął się figlarnie. – Może czekają, aż padniemy nieżywi i ułatwimy im poszukiwanie pożywienia. Przykro będzie je rozczarować, prawda?

Simon chrząknął.

– Może one wyczuwają, że umieram z głodu... i że już długo nie pożyję.

Binabik przytaknął z powagą.

– Ależ jestem bezmyślny. Rzeczywiście, ty przecież nie miałeś nic w ustach od chwili przerwania postu, a to – na Kamienie Chukku! – biedaku, było godzinę temu! Doprawdy, zdaje się, że szybko nadchodzi twój koniec. – Skończywszy tę sarkastyczną tyradę, Binabik zaczął grzebać w swojej torbie, trzymając się grzbietu Qantaqi jedną ręką. – Może znajdę suszoną rybę dla ciebie.

– Dziękuję. – Simon starał się, by jego odpowiedź zabrzmiała entuzjastycznie; w końcu cokolwiek do jedzenia było lepsze niż nic.

Kiedy Binabik kontynuował poszukiwania, Simon jeszcze raz spojrzał w niebo. Czarne ptaki wciąż unosiły się bezgłośnie wysoko w górze, niesione wiatrem pod ciemnymi chmurami niczym postrzępione łachmany.

KRUK PARADOWAŁ PO PARAPECIE, nastroszywszy pióra w obronie przed zimnym wiatrem. Pozostałe, równie grube i zuchwałe po ucztach, jakich dostarczyły im szubienice, tłoczyły się, skrzecząc, na pozbawionych liści drzewach za oknem. Żadne inne odgłosy nie dochodziły z opustoszałego dziedzińca.

Kruk przez cały czas bacznie obserwował wnętrze komnaty swym żółtym okiem, nawet wtedy gdy dziobem muskał pióra; dlatego miał dość czasu, by uskoczyć z parapetu, kiedy nadleciał puchar – kracząc ochryple, rozpostarł skrzydła i sfrunął na drzewo do swych towarzyszy. Z ciemnej cieczy, która rozlała się pod oknem, uleciał obłoczek pary.

– Nienawidzę ich oczu – powiedział Król Elias. Sięgnął po nowy puchar, którego tym razem użył zgodnie z przeznaczeniem. – Te ich cholerne, wścibskie oczy. – Otarł dłonią usta. – Mam wrażenie, jakby mnie śledziły.

– Śledziły, wasza wysokość? – powtórzył wolno Guthwulf. Uważał, by nie doprowadzić Eliasa do ataku furii, w jakie często wpadał. – Dlaczego ptaki miałyby szpiegować?

Przez chwilę Król wpatrywał się w niego zielonymi oczami, po czym uśmiechnął się.

– Och, Guthwulf, jesteś taki niewinny, taki prostoduszny! – Elias zachichotał ochryple. – Chodź, przysuń krzesło. Dobrze jest porozmawiać znowu z kimś szczerym.

Hrabia Utanyeat zrobił tak, jak mu polecił Król, i przysunął się możliwie najbliżej, tak że jego krzesło znalazło się tuż przy pożółkłym

Smoczym Tronie. Starał się nie patrzeć na czarny miecz wiszący w pochwie u boku Króla.

– Nie wiem, Eliasie, co rozumiesz przez „niewinny” – powiedział; w głębi duszy przeklinał sztywność, jaką wyczuwał w swoim głosie. – Bóg jeden wie, jak pracowicie kiedyś spędzaliśmy czas w Świątyni Grzechu. Jeśli jednak przez niewinność rozumiesz brak zdrady, lojalność wobec Króla i przyjaciela, to z radością przyjmuję twe słowa i uważam je za pochlebstwo. – W tych dniach słowo „zdrada” przyprawiało go o palpitacje serca; gnijące resztki wiszące na widocznej w oddali szubienicy były tylko jedną z przyczyn.

Elias wydawał się nie zauważać obaw Guthwulfa.

– Nie, stary przyjacielu, nie. Nie mam nic złego na myśli. – Napił się ciemnego napoju.

– Tak niewielu mogę dzisiaj zaufać. Za to mam tysiące wrogów. – Król zamyślił się, a wtedy wyraz jego twarzy jeszcze bardziej podkreślał jego bladość, napięcie i zmęczenie. – Wiesz, że Pryrates wyjechał do Nabbanu – odezwał się wreszcie. – Możesz mówić swobodnie.

Guthwulf poczuł nagle iskrę nadziei.

– Panie, czy podejrzewasz Pryratesa o zdradę?

Iskra szybko zgasła.

– Nie, Guthwulfie, źle mnie zrozumiałeś. Chciałem tylko powiedzieć, że zdaję sobie sprawę, iż w obecności duchownego czujesz się nieswojo. Nic dziwnego; ja też kiedyś nie czułem się przy nim swobodnie. Ale zmieniłem się. Tak, zmieniłem. – Król roześmiał się dziwnie i po chwili krzyknął głośno. – Hengfisku! Jeszcze wina, i to szybko, durniu!

Z przyległej komnaty Króla wyłonił się nowy podczaszy z pełnym dzbanem. Guthwulf patrzył na niego ponuro. Był przekonany, że ten brat Hengfisk o wybałuszonych oczach jest szpiegiem Pryratesa; jakby nie dość

tego, było w nim także coś złego. Patrząc na mnicha, miało się wrażenie, że jego twarz na zawsze zastygła w grymasie idioty, jakby rozśmieszał go od wewnątrz jakiś dowcip, którego nie mógł opowiedzieć innym. Hrabia Utanyeat próbował kiedyś porozmawiać z nim w korytarzu, lecz Hengfisk wybałuszał tylko oczy i uśmiechał się niemo uśmiechem tak szerokim, jakby jego twarz miała za chwilę pęknąć. Gdyby chodziło o kogoś innego spośród służących, Guthwulf z pewnością przyłożyłby mu za taką zuchwałość, lecz Elias stał się bardzo drażliwy i nigdy nie było wiadomo, za co może się obrazić. Poza tym nawet sam wygląd głupkowatego mnicha był odrażający: jego ciało sprawiało wrażenie surowego mięsa, jakby opalono i ściągnięto z niego wierzchnią warstwę skóry. Dlatego Guthwulf nie miał ochoty go dotykać.

Kiedy Hengfisk nalewał ciemnego płynu do królewskiego puchara, kilka dymiących kropel spadło na jego dłonie, lecz mnich nawet nie drgnął. Wycofał się pośpiesznie z wciąż obecnym uśmiechem idioty na twarzy. Guthwulf powstrzymał drżenie. Szaleństwo! Co się stało z tym królestwem?

Elias zignorował scenę z mnichem i siedział wpatrzony w jakiś punkt za oknem.

– Pryrates ma... tajemnice – przemówił wreszcie wolno, jakby rozważał każde wypowiedziane słowo.

Hrabia z trudem skupił uwagę.

– Ale nie przede mną – ciągnął Król. – Może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. On myśli, że ja nie wiem o tym, iż Josua przeżył upadek Naglimundu. – Uniósł dłoń, powstrzymując okrzyk zdziwienia Guthwulfa. – A oto jeszcze jedna tajemnica, która nie jest tajemnicą: ma zamiar pozbyć się ciebie.

– Mnie? – spytał zdumiony Guthwulf. – Chce mnie zabić? – Gniew, który w nim wzbierał, nagle przerodził się w strach.

Król wyszczerzył zęby w uśmiechu, który upodabniał go do osaczonego psa.

– Nie wiem, Wilku, czy zamierza cię zabić, ale na pewno chce cię usunąć z drogi. Pryrates uważa, że poświęcam ci zbyt wiele uwagi, zamiast całą skierować na niego. – Elias zaśmiał się, co bardziej przypominało szczeknięcie psa.

– Ale... ale Eliasie... – Guthwulf jąkał się zaskoczony. – I co zrobisz?

– Ja? – wzrok Króla pozostawał niepokojąco spokojny. – Niczego nie zrobię. I ty też nie.

– Co?

Elias zagłębił się w swoim tronie, tak że przez chwilę jego twarz pozostawała w cieniu ogromnej smoczej czaszki.

– Oczywiście ty sam możesz się bronić – dodał pogodnie. – To znaczy nie mogę pozwolić, abyś go zabił – zakładając, że byłoby to możliwe, choć nie wydaje mi się. Szczerze mówiąc, stary przyjacielu, teraz on jest dla mnie ważniejszy od ciebie.

Słowa Króla zawisły w powietrzu; wydawały się czymś tak nieprawdopodobnym, że przez chwilę Guthwulf był przekonany, iż śni. Kiedy mijały kolejne chwile, a sala nie przybierała innych kształtów, zmusił się, by przemówić ponownie.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz. Jeszcze nie teraz. – Elias pochylił się, a jego płonące oczy przypominały lampy ustawione za cienkim, zielonym szkłem. – Ale kiedyś zrozumiesz, Guthwulfie. Mam nadzieję, że dożyjesz tej chwili, by wszystko zrozumieć. Teraz jednak nie mogę pozwolić, abyś przeszkadzał Pryratesowi. Dlatego nie będę zdziwiony, jeśli zdecydujesz się opuścić

zamek. Tylko ty mi zostałeś spośród moich przyjaciół. Twoje życie jest dla mnie ważne.

Hrabia Utanyeat chciał się roześmiać, słysząc te dziwne słowa, lecz nie potrafił wydobyć z siebie głosu przygnieciony uczuciem chorej nierzeczywistości.

– Ale nie tak ważne jak Pryratesa? – odezwał się po chwili.

Dłoń Eliasa pomknęła błyskawicznie do przodu niczym atakujący wąż i zacisnęła się na rękawie Guthwulfa.

– Nie bądź głupcem! – syknął. – Pryrates jest dla mnie niczym! Naprawdę liczy się tylko to, w czym Pryrates mi pomaga. Mówiłem ci, że zbliżają się wielkie wydarzenia! Ale najpierw wszystko... się zmieni.

Guthwulf wpatrywał się w rozgorączkowaną twarz Króla i czuł, że coś w nim zamiera.

– Eliasie, ja wyczuwam te zmiany – powiedział. – Niektóre z nich widziałem.

Jego dawny przyjaciel uśmiechnął się dziwnie.

– Ach, chodzi ci o zamek. Tak, niektóre z tych zmian dokonują się tutaj. Ale to jeszcze zbyt mało, żeby zrozumieć.

Guthwulf nie potrafił opanować zniecierpliwienia. Coraz wyraźniej czuł ogarniającą go wściekłość.

– Więc pomóż mi zrozumieć. Powiedz mi, co robisz!

Król pokręcił głową.

– Pewnie i tak nic byś z tego nie zrozumiał. Nie, nie teraz i nie w ten sposób.

Znowu odchylił się do tyłu, a jego twarz ponownie pogrążyła się w cieniu, przez co wydawało się, że ogromna smocza głowa z czarnymi oczodołami i wielkimi kłami jest jego własną. Przez jakiś czas siedzieli

w milczeniu. Guthwulf słuchał złowrogiego krakania, które dochodziło z dziedzińca.

– Chodź tutaj, mój przyjacielu – odezwał się wreszcie Elias miarowym głosem. Guthwulf podniósł wzrok i zobaczył, że Król wysunął trochę z pochwy swój miecz o podwójnej gardzie. Lśniący metal raz wydawał się czarny, raz szary, przez co przypominał cętkowany brzuch jakiegoś pradawnego gada. Kruki umilkły nagle. – Podejdź tutaj – powtórzył Król.

Hrabia Utanyeat nie mógł oderwać wzroku od miecza. Pozostała część pokoju pogrążyła się w szarości i stała się nierzeczywista; sam miecz zaczął się jarzyć, choć nie emanował żadnym światłem, a powietrze stało się ciężkie jak kamień.

– Eliasie, czy zabijesz mnie teraz? – Guthwulf czuł ciężar każdego swego słowa; z trudem był w stanie je wymówić. – Czy zaoszczędzisz kłopotu Pryratesowi?

– Dotknij miecza, Guthwulfie – powiedział Elias. Kiedy w pokoju pociemniało, jego oczy wydawały się lśnić jeszcze jaśniej. – Chodź i dotknij miecza. Potem sam zrozumiesz.

– Nie – odpowiedział cicho Guthwulf i z przerażeniem zobaczył, że jego ramię wysuwa się do przodu, jakby powodowane własną wolą. – Nie chcę dotykać tego cholernego miecza... – Jego dłoń zawisła nad odpychającym i migocącym orężem.

– Cholernego miecza? – Elias roześmiał się, a jego głos wydawał się bardzo odległy. Wyciągnął ramię i ujął delikatnie dłoń Guthwulfa, jakby to była dłoń kochanki. – Sam nie zgadniesz. Czy wiesz, jak on się nazywa?

Guthwulf patrzył, jak jego palce opadają na nierówną powierzchnię rękojeści. Śmiertelny chłód zaczął pełznąć w górę jego ramienia i Guthwulf poczuł ukłucia tysięcy szpilek. Zaraz po chłodzie nadeszła ognista ciemność. Głos Eliasa jakby odpływał w dal.

– ...Nazywa się Jingizu... – zawołał Król. – Nazywa się Smutek...

I wśród przeraźliwej mgły, która spowiła jego serce, poprzez skorupę mrozu, który opadł na jego oczy, uszy i usta, a potem je przeniknął, Guthwulf poczuł przeraźliwą, triumfalną pieśń miecza. Miecz dźwięczał poprzez niego, najpierw cicho, potem głośniej, aż rozbrzmiała przeraźliwie potężna muzyka, która najpierw współgrała z jego rytmem, lecz zaraz go wchłonęła, zagłuszyła jego słabe, pozbawione życia dźwięki, aż wreszcie jej mroczny, triumfujący ton ogarnął pieśń jego duszy. Smutek śpiewał w nim, wypełniał go. Guthwulf słyszał go, jak śpiewa jego głosem, jakby to on stał się mieczem albo miecz przemienił się w Guthwulfa. Smutek żył i szukał czegoś. Podobnie jak i Guthwulf; obca melodia zupełnie go pochłonęła. On i miecz byli teraz jednym.

Smutek sięgnął po swych braci.

Odnalazł ich.

Tuż obok pojawiły się dwa lśniące kształty. Guthwulf zapragnął być z nimi, połączyć swoją pieśń z ich pieśniami, aby razem stworzyli jeszcze wspanialszą muzykę. Wypełniała go tęsknota pozbawiona krwi i ciepła; przypominał pęknięty dzwon, który pragnąłby zadzwonić, albo magnetyt tęskniący do bieguna północnego. Było ich teraz trzech, on i dwa pozostałe miecze; trzy pieśni, jakich świat jeszcze nie słyszał, lecz każda z nich była niekompletna bez dwóch pozostałych. Wyprężył się w stronę swych braci, jakby chciał ich dotknąć, lecz pozostałe miecze były daleko. Wciąż pozostawały oddalone. Pomimo wysiłków Guthwulf nie mógł przybliżyć mieczy, połączyć się z nimi.

Wreszcie delikatna równowaga została zburzona i Guthwulf zaczął opadać w niekończącą się nicość...

Przychodził do siebie powoli; on, Guthwulf, mężczyzna zrodzony z kobiety, wciąż opadał w ciemności. Był przerażony.

Czas mknął. Czuł, jak robaki zjadają jego ciało, jak rozpada się w ciemnym wnętrzu ziemi rozrywany na niezliczone cząstki, które pozbawione głosów pragnęły krzyczeć; jednocześnie niczym mknący wiatr leciał, śmiejąc się między gwiazdami w niezliczone miejsca pomiędzy życiem i śmiercią. Na chwilę drzwi Tajemnicy otworzyły się, a na ich progu pojawiła się ciemna postać, która przywoływała go do siebie...

Jeszcze długo po tym, jak Elias schował miecz do pochwy, Guthwulf leżał, szlochając na stopniach przed Smoczym Tronem; wciąż płakał i bezsilnie zaciskał palce.

– Teraz rozumiesz? – spytał Król, rozpromieniony, jakby poczęstował swego przyjaciela wyjątkowo smakowitym winem. – Czy rozumiesz, dlaczego nie mogę przegrać?

Hrabia Utanyeat wstał wolno. Ubranie miał brudne i wilgotne. Bez słowa odwrócił się od swego władcy i chwiejnym krokiem ruszył przez salę; nie odwracając się, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

– Widzisz? – krzyknął za nim Elias.

Trzy kruki ponownie sfrunęły na parapet. Stały obok siebie, patrząc żółtymi, nieruchomymi oczami.

– Guthwulfie? – Elias nie krzyczał już, lecz mimo to jego głos zabrzmiał w pustej sali jak uderzenie dzwonu. – Wracaj, stary przyjacielu.

BINABIKU, SPÓJRZ! – ZAWOŁAŁ SIMON. – Co robią te ptaki?

Troll spojrzał w stronę, w którą wskazywał palec Simona. Kruki krążyły na niebie, zataczając obszerne koła.

– Może są czymś zaniepokojone. – Binabik wzruszył ramionami. – Nie znam się specjalnie na zwyczajach tych stworzeń...

– Nie, one czegoś szukają! – zawołał Simon ożywiony. – Szukają czegoś! Jestem pewien! Przyjrzyj się im!

– Ale wciąż pozostają wysoko w górze. – Binabik mówił teraz głośniej, gdyż krakanie ptaków wzmogło się, przecinając ciszę niczym niezwykle ostry miecz.

Sludig także zatrzymał swego konia i zmrużywszy oczy, patrzył w górę na dziwne widowisko.

– Nie jestem aedonitą, jeśli nie mamy do czynienia z czarną magią – powiedział. – Kruk był ptakiem Starego Jednookiego w dawnych, mrocznych czasach... – Urwał, dostrzegłszy coś nowego. – Tam! – powiedział, wskazując palcem. – Czy one nie atakują innego ptaka?

Teraz i Simon już widział: pomiędzy krukami miotał się szary, mniejszy ptak. W którąkolwiek stronę by się zwracał, już był tam kruk. Simon widział wyraźnie, że mniejszy ptak słabnie, jego lot jest coraz bardziej chaotyczny, coraz mniej ma miejsca do ucieczki.

– To jest wróbel! – zawołał Simon. – Taki sam, jakie miał Morgenes! One chcą go zabić!

Zataczające koła kruki jakby wyczuły, że ich ofiara słabnie. Krąg zacieśniał się, a krakanie się wzmogło. I kiedy już się wydawało, że polowanie dobiegło końca, wróbel znalazł jakąś lukę i wystrzelił nierównym lotem poza czarny krąg, uciekając w stronę pobliskiej kępy świerków. Kruki rzuciły się za nim, skrzecząc przeraźliwie.

– Ten ptak nie znalazł się tu chyba przypadkiem – powiedział Binabik, rozkręcając swój kij i wytrząsając z niego woreczek ze strzałkami. – Kruki też nie czekały tak cierpliwie nad naszymi głowami bez powodu. – Troll chwycił się sierści Qantaqi. – *Chok,* Qantaqa! – zawołał. – *Ummu Chok!*

Wilczyca pomknęła przed siebie, wyrzucając ogromnymi łapami tumany śniegu. Sludig uderzył piętami swego wierzchowca i koń pomknął

za Qantaqą. Simon – przeklinając pod nosem, mocował się przez chwilę z cuglami Nadziei. Zanim je rozplątał, kobyła sama zdecydowała, że podąży za koniem Sludiga. Simon przytulił się do jej grzbietu, kiedy pędzili przez śnieżne pagórki, a wzbijany w górę kopytami śnieg leciał mu prosto w oczy.

Kruki krążyły wokół kępy drzew jak rój czarnych os. Jadący na przodzie Binabik zniknął między drzewami. Tuż za nim znajdował się Sludig z włócznią w dłoni. Simon przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób Rimmersman zamierza zaatakować ptaki taką bronią, lecz w następnym momencie sam znalazł się wśród drzew. Ściągnął cugle, zatrzymując konia. Schylił się przed nisko wiszącą gałęzią, lecz nie dość szybko, by uniknąć śniegowej czapy, która spadła najpierw na kaptur jego płaszcza, a potem zsunęła się za kołnierz.

Binabik stał obok Qantaqi w samym środku małego lasku z pustą częścią swego kija przytkniętą do ust. Policzki trolla wydęły się i zaraz potem czarna, pierzasta kula spadła między gałęziami; kruk zdążył jeszcze zatrzepotać skrzydłami na ziemi pokrytej śniegiem i zdechł.

– Tam! – powiedział Binabik, wskazując palcem.

Sludig podrzucił włócznię do góry, grzechocząc jej końcem o gałęzie, a Qantaqa szczeknęła podekscytowana.

Czarne skrzydło musnęło twarz Simona. Kruk zaatakował tył głowy Sludiga; jego szpony bezskutecznie drapały w metalowy hełm. Inny ptak nadleciał z góry i skrzecząc, zawisł nad ramionami Rimmersmana, który opędzał się energicznie włócznią.

– Dlaczego ja nie noszę hełmu? – pomyślał zdesperowany Simon, zasłaniając oczy, które nagle stały się jego wrażliwym punktem.

Cały lasek rozbrzmiewał teraz krakaniem. Qantaqa wspięła się przednimi łapami na pień drzewa i rzucała łbem z boku na bok, jakby

chciała złapać któregoś z ptaków.

Coś małego i nieruchomego jak śnieżna kulka spadło spośród gałęzi nad ich głowami. Binabik przyklęknął obok Rimmersmana i wziął kulkę w dłonie.

– Mam go! – zawołał. – Wyjedźmy na otwartą przestrzeń! *Sosa*, Qantaqa! Wspiął się na grzbiet wilczycy z jedną dłonią wsuniętą za kurtkę. Musiał jednak uchylić się przed kolejnym atakiem jednego z kruków; drzewce włóczni Sludiga świsnęło tuż obok jego głowy i uderzyło z całą siłą w ptaka, rozrywając go na strzępy. Chwilę później Binabik był już poza drzewami. Simon i Sludig szybko podążyli za nim.

Choć z tyłu wciąż dochodziło gniewne krakanie, teren wokół wydawał się Simonowi bezpieczny. Odwrócił się i zobaczył wpatrzone w nich żółte oczy ptaków, które siedziały na najwyższych gałęziach, lecz już ich nie goniły.

– Uratowałeś ptaka? – spytał.

– Jedźmy dalej – odpowiedział Binabik. – Potem dokładnie sprawdzimy, co mamy.

Kiedy wreszcie się zatrzymali, troll wyjął dłoń schowaną pod kurtką. Otworzył ją wolno, jakby niepewny, co w niej znajdzie. Wróbel nie żył albo był bliski śmierci. Leżał nieruchomo na boku, poraniony i zakrwawiony. Przy jego nodze wisiał strzęp pergaminu.

– Tego się spodziewałem – powiedział Binabik, spoglądając przez ramię. Na tle nieba widać było wyraźnie sylwetki kruków siedzących na szczycie najbliższego drzewa; przypominały zgarbionych inkwizytorów. – Zdaje się, że przybyliśmy później, niż mogliśmy sobie na to pozwolić.

Swym malutkim palcem rozwinął pergamin, a właściwie resztkę większej całości, którą zjedzono lub podarto.

– Tylko kawałek – powiedział smutno Binabik.

Simon spojrzał na malutkie znaki pisma runicznego widoczne na wystrzępionym skrawku pergaminu.

– Moglibyśmy wrócić pod drzewa i poszukać brakującej części – powiedział, choć w istocie nie uważał tego za dobry pomysł.

Troll pokręcił głową.

– Jestem pewien, że reszta spoczywa już w brzuchu kruka. Podobnie stałoby się i z tym kawałkiem, jak również i z samym posłańcem, gdybyśmy przybyli jeszcze później. Przyjrzał się uważnie skrawkowi. – Potrafię odcyfrować zaledwie parę słów, lecz nie mam wątpliwości, że ta wiadomość była przeznaczona dla mnie. Widzisz? – Wskazał na mały zawijas. – Koło i pióro Ligi Pergaminu. Wiadomość została wysłana przez Tego, Który Nosi Zwój.

– Przez kogo?

– Cierpliwości, Simonie, przyjacielu. Może dowiemy się czegoś z tego, co pozostało. – Binabik rozłożył delikatnie zwijający się pasek. – Mogę odczytać tylko dwa fragmenty – powiedział. – Tutaj jest napisane: „...się fałszywego posłańca”, natomiast tutaj: „Śpiesz się. Burza nad...” Potem jest już tylko znak Ligi.

– Fałszywego posłańca – powtórzył Simon i poczuł dreszcz strachu. – Taki sen miałem w domu Geloë. Doktor Morgenes ostrzegł mnie w nim, abym uważał na fałszywego posłańca. – Starał się nie dopuszczać wspomnienia tamtego snu, w którym Doktor pojawił się jako zwęglony trup.

– „Wystrzegaj się fałszywego posłańca”, takie ostrzeżenie prawdopodobnie zawierała wiadomość – powiedział Binabik, przytakując. – „Śpiesz się. Burza nad...” – Pewnie nadchodzi.

Simon poczuł, że ogarnia go potworny strach, który starał się opanować od jakiegoś czasu.

– Fałszywy posłaniec – powtórzył bezradnie. – Co to może znaczyć? Binabiku, kto to napisał?

Troll pokręcił głową. Wsadził skrawek do torby i przyklęknął, wydrapując w śniegu dziurę.

– Był to ktoś, Kto Nosi Zwój, a ich nie pozostało już wielu. Mógł to być Jarnauga, jeśli jeszcze żyje. A może Dinivan z Nabbanu. – Włożył wróbla do dziury i ponownie przysypał śniegiem.

– Dinivan? – spytał Simon.

– Jest pomocnikiem Lektora Ranessina, głowy waszej Matki Kościoła – powiedział Binabik. – Bardzo dobry człowiek.

Milczący dotąd Sludig odezwał się nagle.

– Lektor też należy do waszego pogańskiego koła? – spytał zdumiony. – Razem z trollami i im podobnymi?

Binabik uśmiechnął się pod nosem.

– Nie Lektor. Jego pomocnik, ojciec Dinivan. Sludigu, to nie jest pogańskie koło, ale grupa tych, którzy pragnęli uratować ważną wiedzę przed zapomnieniem, choćby na takie czasy jak dzisiejsze. – Troll zmarszczył brwi. – Zastanawiam się, kto mógł nam wysłać tę wiadomość; nam albo raczej mnie, gdyż to prawdopodobnie sztuka mojego mistrza sprowadziła do nas tego ptaka. Jeśli nie zrobił tego żaden z wymienionych przeze mnie, to nie wiem, kto to mógł być. Nie znam już nikogo, Kto Nosi Zwój, chyba że wybrano nowe osoby.

– Czy mogła to być Geloë? – spytał Simon.

Binabik zastanowił się przez chwilę i pokręcił głową.

– Jest jedną z najmądrzejszych pośród mądrych, lecz nigdy nie była Tym, Który Nosi Zwój i wątpię, aby użyła symbolu Ligi zamiast swego własnego. – Binabik wspiął się na grzbiet Qantaqi. – Po drodze zastanowimy się nad znaczeniem ostrzeżenia. Spotkaliśmy już wielu

posłańców, którzy wskazali nam drogę do tego miejsca, i z pewnością spotkamy jeszcze niejednego. Którzy są fałszywi? To trudna zagadka.

– Patrzcie, kruki lecą! – zawołał Sludig.

Simon i Binabik odwrócili się i zobaczyli, że stado ptaków wzbija się w powietrze niczym chmura dymu i zatoczywszy koło na niebie, odlatuje na północny zachód; ich pogardliwe krakanie powracało niesione echem.

– Zrobiły to, po co je tutaj przysłano – powiedział Binabik. – Teraz wracają chyba na Burzową Górę.

Simon poczuł, że zimny strach zaciska swój uścisk.

– Chcesz powiedzieć, że... Król Burz posłał je za nami?

– Nie wątpię, że ich zadaniem było, abyśmy nie otrzymali tej wiadomości – powiedział Binabik, schylając się po swój kij.

Simon patrzył za odlatującymi krukami. Był prawie pewien, że zaraz zobaczy na północnym horyzoncie ciemną postać i płonące, czerwone oczy w pozbawionej twarzy, czarnej głowie.

– Burzowe chmury na horyzoncie są bardzo ciemne – odezwał się Simon. – O wiele ciemniejsze niż przedtem.

– Chłopak ma rację. – Sludig patrzył ponuro. – Nadchodzi paskudna burza.

Binabik westchnął. Jego okrągła twarz także wyglądała ponuro.

– Wszyscy zrozumieliśmy ostatnią część wiadomości. Burza rozszerza się, i to nie tylko w jedną stronę. Czeka nas długa droga przez kraj otwarty i pozbawiony osłony. Będziemy musieli się bardzo śpieszyć.

Qantaqa ruszyła przed siebie. Simon i Sludig popędzili konie. Ponaglany czymś, czego nie rozumiał, Simon odwrócił się jeszcze raz, choć wiedział, co zobaczy.

Kruki – teraz niewiele większe od czarnych punkcików na wietrze – znikały w ciemnych chmurach nadchodzącej burzy.

13. Klan Ogiera

PO NIEMAL MIESIĄCU SPĘDZONYM w prastarym lesie grupa księcia znalazła się wreszcie na równinie. Kiedy wyszli poza ostatni rząd drzew, ujrzeli przed sobą morze falujących traw, częściowo skrywających się w porannej mgle, które stapiały się gdzieś daleko z szarym horyzontem.

Ojciec Strangyeard przyspieszył kroku, by zrównać się z Geloë. Czarownica kierowała się zdecydowanie na otwartą przestrzeń, na której mokre łodygi płożyły się u jej stóp.

– *Valada* Geloë – odezwał się Strangyeard, z trudem łapiąc oddech. – Ach, Morgenes napisał wspaniałą książkę. Wspaniałą! *Valada* Geloë, czytałaś ten fragment? – Spróbował przełożyć jedną z luźnych stron manuskryptu, lecz w tej chwili potknął się o kępę trawy i tylko cudem odzyskał równowagę. – Jest tu chyba coś ważnego. Ach, ależ ze mnie głupiec, jest tu wiele istotnych rzeczy. Co za wspaniała książka!

Geloë położyła dłoń na ramieniu Leleth i dziewczynka zatrzymała się. Stała nieruchomo wpatrzona we mgłę.

– Strangyeardzie, zrobisz sobie krzywdę – rzuciła rzeczowo Geloë. Spojrzała na niego wyczekująco. – A więc?

– Och – mruknął archiwista. Zaczął szarpać swą opaskę na oku zażenowany, niemal gubiąc część stron. – Nie chciałem cię zatrzymywać.

Mogę to przeczytać w czasie marszu.

– Mówię ci jeszcze raz: zrobisz sobie krzywdę. Czytaj.

Zanim jednak Strangyeard zaczął czytać, przybyli pozostali.

– Dzięki Bogu – zawołał Isorn. Razem z Deornothem wynurzył się spośród drzew porastających zbocze wzniesienia. – Nareszcie wyszliśmy z tego przeklętego lasu i jesteśmy na otwartej przestrzeni.

Położyli ostrożnie na ziemi nosze, zadowoleni, że choć na chwilę mogą pozbyć się ciężaru Sangfugola. Pielęgnowany przez czarownicę harfiarz szybko dochodził do zdrowia po przebytym zakażeniu krwi; mimo to nie był w stanie iść dłużej niż kilka godzin.

Geloë odwróciła się do Isorna.

– Dziękuj Bogu, dziękuj, choć możemy jeszcze żałować, że nie ma wokół nas chroniących nas drzew.

Teraz spośród drzew, powłócząc nogami, wyszli i pozostali. Książę Josua podtrzymywał Towsera, który szedł w milczeniu oszołomiony; oczy starca zwrócone były ku górze, jakby kontemplował odległe niebiosa skryte za zasnutym mgłą niebem. Za nimi szły Vorzheva i księżna Gutrun.

– Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy widziałem Równiny Thrithingów – powiedział Josua. – I to te zamieszkane przez bardziej łagodne plemiona. Prawie zapomniałem, jakie są piękne. – Zamknął na chwilę oczy zamyślony, po chwili otworzył je i spojrzał w dal, w kierunku niewyraźnego horyzontu. – Nie ma drugiej takiej krainy w całym Osten Ard; niektórzy nazywają ją „stołem Boga”.

– Jeśli rzeczywiście jest to stół Boga, to my jesteśmy kostkami, które On rzuca – zauważył Sangfugol, uśmiechając się słabo. – Dobry Aedonie, powinienem śpiewać ballady o Jacku Mundwoode i jego rozbójnikach, a nie małpować ich leśne wędrówki. – Harfiarz zaczął gramolić się z noszy. – Mam już dość tego narzędzia tortur, które trzęsie mną i podrzuca

nieustannie. Chcę usiąść; choćby i na trawie. Bardziej boję się podróży w powietrzu niż trawy.

– Taką okazujesz nam wdzięczność – odezwał się Isorn wesoło. – Oj, harfiarzu, chyba pokażę ci, co znaczy prawdziwe podrzucanie.

– Dobrze, odpoczniemy tutaj – powiedział Josua. – Nie oddalajcie się, a gdyby ktoś z was chciał odejść dalej niż na rzut kamieniem, niech weźmie ze sobą towarzysza.

– Tak więc uciekliśmy przed lasem – westchnął Deornoth. – Gdyby Einskaldir mógł to zobaczyć. – Przypomniał mu się grób Rimmersmana usypany na jednej z polanek Shisae'ron, zwykły kopiec ozdobiony jedynie jego hełmem i drewnianym Drzewem Strangyearda. Nawet lecznicze zdolności Geloë nie uratowały go przed straszliwymi ranami, jakie otrzymał w czasie ucieczki przed Nornami. I tak niepohamowany Einskaldir spoczął na zawsze w miejscu wiecznego spokoju. – Niech Bóg błogosławi tego zawziętego cholernika. – Deornoth pokiwał głową. – Nigdy się nie poddawał, ale chyba też nigdy nie wierzył, że przeżyje.

– Nie udałoby nam się, gdyby nie on – powiedział Isorn. – Jeszcze jedno imię na liście.

– Na jakiej liście?

– Na liście długów wobec naszych wrogów: Skalego, Eliasa i innych. – Twarz Isorna spochmurniała. – Winni im jesteśmy zemstę krwi. Kiedyś zapłacą za to, co zrobili. A wtedy Einskaldir zobaczy to z nieba. I będzie się śmiał.

Deornoth chciał coś powiedzieć, lecz nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Z pewnością Einskaldir będzie się śmiał, jeśli potrafi obserwować bitwy z nieba. Deornoth nie chciał bluźnić, lecz żałował, że Einskaldir nie żył w dawnych czasach pogańskiego okresu Rimmersgardu i że został skazany na wieczność w cichym raju Aedona.

W ogólnym zamieszaniu Vorzheva powiedziała coś cicho do księżnej Gutrun i ruszyła łagodnym zboczem w kierunku mokrej łąki. Szła chwiejnym krokiem przez wilgotne trawy, jakby pogrążona we śnie, ze wzrokiem utkwionym w sobie tylko wiadomy punkt.

– Vorzhevo – zawołał Josua głosem bardziej zdecydowanym niż zwykle. – Nie odchodź sama. Mgła jest bardzo gęsta i za chwilę stracimy cię z oczu.

– Książę Josuo, musiałaby odejść bardzo daleko, żebyśmy jej nie usłyszeli – powiedziała księżna Gutrun, prowadząc powoli Towsera.

– Może i masz rację – odparł Josua. – Ale wolałbym nie błądzić we mgle i niepotrzebnie zdradzać naszą obecność krzykiem. Chyba nie zapomniałaś o eskorcie, która nam towarzyszy od samego Naglimundu.

Gutrun pokręciła głową ponuro i zamyśliła się nad słowami księcia. Vorzheva, głucha na słowa Josui i księżnej, była już tylko niewyraźnym cieniem sunącym we mgle niczym duch.

– Zawsze taka uparta – powiedział Josua, patrząc za nią.

– Pójdę z nią. – Geloë zwróciła się do Gutrun. – Proszę, przypilnuj dziewczynki. – Popchnęła Leleth w stronę księżnej i ruszyła za szybko znikającą Vorzhevą.

Josua roześmiał się smutno, patrząc, jak odchodzi.

– Jeśli tak wyglądają moje rządy nad królestwem złożonym z dziewięciu czy dziesięciu osób, to mój brat może spokojnie siedzieć na Smoczym Tronie – powiedział do Deornotha. – Za życia mego ojca ludzie prosili, by pozwalał im wykonywać jego rozkazy.

„Nawet królowa?” – pomyślał Deornoth, lecz nie powiedział tego. Patrzył, jak ciemna postać Geloë zbliża się do widma Vorzhevy. „Jeśli masz dumną i upartą kobietę, lepiej nie mierz swego sukcesu miarą jej posłuszeństwa”. Głośno powiedział tylko:

– Proszę, panie, nie mów źle o sobie. Jesteś głodny, zmęczony i zziębnięty. Rozpalę ognisko.

– Nie, Deornoth. – Josua potarł kikut nadgarstka, jakby go bolał. – Nie zostaniemy tutaj długo. – Odwrócił się i spojrzał na skraj lasu i cienie, które znaczyły jego krawędź. – Musimy odejść dalej, zanim zatrzymamy się na dłuższy postój. Zatrzymamy się, kiedy znajdziemy się na otwartej przestrzeni. Wprawdzie będziemy wtedy całkowicie odsłonięci, lecz każdy, kto będzie chciał nas podejść, także będzie widoczny.

– Niezły pomysł – mruknął Sangfugol z ziemi. – Stanowimy wesołą gromadkę pielgrzymów.

– Pielgrzymi na drodze przez piekło nie mogą pozwolić sobie na zbyt wiele uciech – powiedział Josua. Książę odszedł na pewną odległość i zatrzymał się pogrążony w myślach.

DLACZEGO WIĘC MU NIE POWIESZ? – W głosie Geloë zabrzmiała nuta irytacji, lecz jej żółte, jastrzębie oczy nie zdradzały prawie wcale emocji. – Vorzhevo, na gałąź i konar, nie jesteś małą dziewczynką, lecz kobietą. Dlaczego tak się zachowujesz?

W oczach Vorzhevy zalśniły łzy.

– Nie wiem. Nie rozumiem go.

Geloë pokręciła głową.

– Ja nie rozumiem żadnego z was. Niewiele czasu spędziłam wśród ludzi, a to z powodu ich śmiesznej niepewności. Wciąż mówią: Chcę to, nie chcę tego... Zwierzęta wydają mi się bardziej rozsądne. Robią to, co muszą, i nie łamią sobie głowy nad tym, czego nie można zmienić. – Czarownica położyła swą pokrytą guzami dłoń na ramieniu Vorzhevy. – Dlaczego przejmujesz się rzeczami nieistotnymi? Jestem przekonana, że nie jesteś obojętna księciu Josui. Dlaczego nie powiesz mu prawdy?

Vorzheva westchnęła.

– On uważa mnie za głupią dziewuchę, wychowaną na wozie. Dlatego jest wobec mnie oziębły. Jeśli mu powiem, to tylko pogorszy sprawę. Przykro mi. – Rozzłoszczona otarła twarz postrzępionym rękawem. – Wszystko przez to, że znowu zobaczyłam Feluwelt, tak moi ludzie nazywają to miejsce, gdzie na łąki pada cień lasu. Ten widok przywrócił mi wiele wspomnień i sprawił, że poczułam się bardzo nieszczęśliwa...

– *Valada* Geloë? – Głos ojca Strangyearda dobiegał gdzieś niedaleko z mgły. – *Valada* Geloë? Jesteś tam?

Przez moment na surowej twarzy Geloë pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

– Tutaj, Strangyeardzie. Czy coś się stało?

Z szarej mgły wynurzyła się chuda, niekształtna postać archiwisty.

– Nie, nie. Chciałem tylko... – Zatrzymał się, widząc załzawioną twarz Vorzhevy. – Och, przepraszam. Bardzo przepraszam. Jakże niegrzecznie z mojej strony. – Odwrócił się, by ponownie zniknąć we mgle.

– Nie odchodź! – odezwała się niespodziewanie Vorzheva. – Zostań z nami, ojcze.

Strangyeard spojrzał najpierw na nią, potem na Geloë.

– Nie chcę przeszkadzać, pani. Chodziło mi tylko o coś, co znalazłem w książce Morgenesa. Opaska Strangyearda przekrzywiła mu się, a na czoło opadł lok wilgotnych, rudawych włosów, co sprawiło, że przypominał wystraszonego dzięcioła. Wydawało się, że zaraz odejdzie, lecz powstrzymała go uniesiona dłoń Geloë.

– Posłuchaj Vorzhevy, Strangyeardzie, i przejdź się z nami. Zdaje się, że przynajmniej tobie będę mogła się na coś przydać. – Duchowny spojrzał na nią nerwowo. – Chodź. Wrócimy powoli i porozmawiamy po drodze.

Strangyeard wciąż trzymał w dłoni plik luźnych stron z rękopisu Morgenesa; uszedłszy kilka kroków, zaczął je przeglądać.

– Chyba zgubiłem gdzieś ten fragment – powiedział, przerzucając strony. – Wydawało mi się, że może być ważny, było tam coś o magii, o Sztuce jak wyrażał się o niej Morgenes. Zdumiewa mnie ta wiedza. Nie miałem pojęcia... – Na jego twarzy pojawił się triumfujący uśmiech. – Jest. – Zmrużył oczy. – Wspaniała sztuka słów...

Przeszli kilkanaście kroków w ciszy.

– Przeczytasz? – spytała Geloë.

– Oczywiście! – Strangyeard chrząknął.

...W rzeczywistości wydaje się, że przedmioty przydatne w Sztuce dzielą się, ogólnie rzecz biorąc, na dwie kategorie... – Zaczął czytać duchowny. – *...te, których wartość istnieje w nich samych, i te, których wartość zależy od ich pochodzenia. Wbrew powszechnym przesądom zioło zebrane na cmentarzu nie jest pożyteczne dlatego, że stamtąd pochodzi, lecz ze względu na swe właściwości. Ponieważ zioło to występuje głównie na cmentarzu, kojarzy się ono z tym miejscem i nie sposób ich rozdzielić.*

Inną kategorię stanowią przedmioty „zrobione”; ich wartość zależy od kształtu czy od ich stanu surowego. Sithowie, którzy opanowali sztukę rzemiosła w stopniu niedostępnym dla śmiertelników, robili przedmioty, których wykonanie stanowiło Sztukę, choć oni sami tak by tego nie określili. Na przykład słynne strzały mistrza Vindaomeyo zostały wyrzeźbione ze zwykłego drewna i ozdobione piórami powszechnie znanych ptaków, a jednak każda z nich stanowi niezwykle cenny talizman.

Jeszcze inne przedmioty czerpią swą moc z surowca, z którego je wykonano. Przykładem mogą być Wielkie Miecze, o których wspomina się w zaginionej księdze Nissesa. Wszystkie wydają się czerpać swą moc z materiału, z jakiego je zrobiono, choć i wykonanie każdego z nich było

także wielką sztuką. Minneyar, miecz króla Fingila, zrobiono z żelaznego kilu jego łodzi; Rimmersmani przywieźli na swych statkach żelazo z zaginionego Zachodu do Osten Ard. Cierń, miecz, którego ostatnim właścicielem był sir Camaris, najszlachetniejszy rycerz Prestera Johna, wykuto z rozżarzonych metali spadającej gwiazdy; także i one nie były znane w Osten Ard. Wreszcie Smutek, miecz, którym – jak twierdzi Nisses – Ineluki zabił własnego ojca, wykonano z magicznego drewna i żelaza, czyli z surowców, o których mówiono, że nie dają się połączyć. Tak też wydaje się, że pochodzenie surowców, z których powstały takie przedmioty, daje im ich moc. Lecz legenda głosi też, że przy wykuwaniu wszystkich trzech mieczy posłużono się niezwykle potężnymi Zaklęciami Tworzenia, tak więc moc Wielkich Mieczy może pochodzić zarówno od ich surowca, jak i od sposobu, w jaki powstały.

Ti-tuno, róg używany w czasie polowań, pochodzący z baśniowego Mezu'tua, a wykonany z zęba smoka Hidohebhi, stanowi jeszcze jeden przykład, w jaki sposób przedmiot nabiera mocy dzięki właściwościom surowca i rzemiosła... – Strangyeard urwał. – Dalej opisuje inne przedmioty. Wszystko to jest bardzo ciekawe – jaką on miał wiedzę – ale wydawało mi się, że fragment o mieczach może być dla nas najbardziej interesujący.

Geloë skinęła powoli głową.

– Masz rację. Myślałam o trzech mieczach, które są naszą nadzieją. Morgenes słusznie chyba podaje przyczyny ich wartości. Może rzeczywiście okażą się przydatne w walce z Inelukim. Dobrze, że odnalazłeś ten fragment, Strangyeardzie.

Różowe policzki duchownego przybrały barwę pąsowej róży.

– Jesteś zbyt uprzejma. Zbyt uprzejma.

Geloë uniosła głowę.

– Słyszę już pozostałych. Vorzhevo, czy już się pozbierałaś?

– Nie jestem aż tak głupia, za jaką mnie uważasz – odpowiedziała cicho Vorzheva.

Czarownica roześmiała się.

– Nie uważam, byś była szczególnie głupia. Chyba jednak większość ludzi okazuje się głupia. Ja także do nich się zaliczam; oto błąkam się po łąkach bez dachu nad głową niczym zagubiona jałówka. Czasami jawna głupota okazuje się jedynym rozwiązaniem trudnych problemów.

– Hmm – mruknął Strangyeard zdumiony. – Hmm.

Grupa obszarpańców kontynuowała swą podróż przez pogrążone we mgle łąki; kierowali się na południe, w kierunku rzeki Ymstrecca, która wiła się poprzez Wyżyny Thrithingów. Obóz rozbili na odsłoniętej ze wszystkich stron równinie. Drżąc od wilgoci i wiatru, skupili się wokół małego ogniska. Geloë ugotowała zupę z ziół i korzeni, które zebrała. Pozwoliła im się rozgrzać i nasycić, lecz Deornoth marzył o czymś bardziej treściwym.

– Pozwól mi, panie, wyruszyć jutro nieco dalej – prosił Josuę, gdy siedzieli przy ognisku. Wszyscy pozostali, z wyjątkiem Geloë, owinęli się w płaszcze i zasnęli, przytuleni do siebie jak małe kocięta. Czarownica gdzieś zniknęła. – Z pewnością upolowałbym kilka zajęcy, a w zaroślach – pomimo zimnego lata – pewnie ukrywają się kuropatwy. Już od kilku dni nie jedliśmy mięsa!

Josua uśmiechnął się chłodno.

– Ach, przyjacielu, chciałbym pozwolić ci zrobić, o co prosisz, ale tutaj potrzebuję twej siły i rozumu. Ci ludzie ledwie trzymają się na nogach; mówię o tych, którzy w ogóle mogą chodzić. Tak, dobrze byłoby skosztować zająca, lecz muszę mieć cię tutaj. A poza tym *valada* Geloë mówi, że całymi latami można nie jeść mięsa.

Deornoth skrzywił się.

– Ale kto by chciał tak żyć?

Przyglądał się uważnie księciu. Josua, szczupły z natury, schudł jeszcze bardziej; pod skórą jego twarzy wyraźnie rysowały się kości. Odrobina tłuszczu, jaką kiedyś można było dostrzec, teraz zniknęła, a jego wysokie czoło i jasne oczy sprawiały, że przypominał wizerunek starożytnego mnicha-filozofa: wzrok zawsze miał utkwiony gdzieś daleko, zdając się ignorować wirujący wokół niego świat.

Ogień zasyczał, obejmując wilgotne drewno.

– Panie, pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie – przemówił cicho Deornoth. – Czy jesteśmy tak pewni tego Kamienia Rozstania, aby w jego poszukiwaniu ciągnąć chorych i rannych przez tereny Thrithingów? Nie mam nic przeciwko Geloë, która – jak wszyscy wiemy – jest bardzo dobrym kompanem, ale żeby iść aż tak daleko? Kilka mil na zachód stąd zaczyna się Erkynland. Z pewnością znaleźlibyśmy jakąś oddaną duszę w jednym z miast w Dolinie Hasu. Nawet gdyby zbyt bali się twego brata, aby udzielić nam schronienia, dostalibyśmy przynajmniej jedzenie i cieplejsze ubrania dla rannych.

Josua westchnął i przetarł oczy.

– Możliwe, Deornoth, możliwe. Wierz mi, też się nad tym zastanawiałem. – Wyciągnął nogi, trącając końcem buta węgle z ogniska. – Nie możemy jednak ryzykować ani oszczędzać zbytnio czasu. Każda godzina marszu przez otwarty teren oznacza zwiększony wysiłek jednego z patroli Eliasa, które nas szukają, jak również chroni nas przed atakiem z zaskoczenia. Nie, wydaje się, że jedynym miejscem, do którego możemy się udać, jest Kamień Rozstania Geloë i im szybciej tam dotrzemy, tym lepiej. W Erkynlandzie nie ma dla nas miejsca, przynajmniej na razie,

a może już na zawsze. – Książę pokiwał głową i znowu się zamyślił. Deornoth westchnął i pogrzebał w ognisku.

Rankiem trzeciego dnia podróży przez równiny dotarli do brzegu rzeki Ymstrecca. Szeroka rzeka lśniła słabo pod przepastnym, szarym niebem; była zaledwie niewyraźną srebrną żyłką podobną do snu przemykającego przez pogrążone w mroku, wilgotne łąki. Odgłosy rzeki wydawały się równie stłumione jak jej blask; zaledwie szmer odległej rozmowy.

Ludzie Josui chętnie zatrzymali się na odpoczynek nad brzegiem rzeki, rozkoszując się pluskiem i widokiem szybko płynącej wody – pierwszej od chwili, kiedy wyszli z lasu. Kiedy Gutrun i Vorzheva oświadczyły, że pójdą kawałek w dół rzeki, by umyć się swobodnie, Josua kategorycznie zaprotestował, obawiając się o ich bezpieczeństwo. Zgodził się, choć niechętnie, dopiero wtedy, gdy Geloë oznajmiła, że pójdzie z nimi. Trudno było kwestionować wiedzę i przezorność czarownicy.

– Ach, czuję się tak, jakbym myła się po raz pierwszy – powiedziała Vorzheva, zanurzając stopę w wodzie. Wybrały kawałek piaszczystego brzegu, gdzie rosnąca pośrodku koryta rzeki kępa brzóz poszerzała jej bieg i osłaniała je przed wzrokiem pozostałych. Jej głos zabrzmiał beztrosko, choć twarz przeczyła temu. – Przypomina mi się dzieciństwo. – Zmarszczyła brwi, polewając wodą mocno podrapane nogi. – Ależ ta woda jest zimna!

Księżna Gutrun rozpięła dekolt sukni. Stała trochę dalej od brzegu, a woda opływała jej grube łydki. Księżna spryskała szyję i obmyła twarz.

– Nie jest taka zła! – Roześmiała się. – Obok naszego domu w Elvritshalli przepływa rzeka Gratuvask, w niej dopiero jest zimna woda! Każdego roku wiosną panny z miasta schodzą, by się w niej wykąpać; ja też tak robiłam za młodu. – Wyprostowała się wpatrzona w dal. – Mężczyźni muszą pozostać w domach przez cały ranek pod karą chłosty, aby

dziewczęta mogły się wypluskać. Tak, tam woda jest naprawdę zimna! Powstaje ze śniegów, które topnieją w górach na Północy. Żeby usłyszeć prawdziwe wrzaski, trzeba posłuchać setki dziewcząt wskakujących do zimnej wody w poranek miesiąca Avrel! – Znowu się roześmiała. – Jedna z opowieści mówi o młodzieńcu, który bardzo chciał zobaczyć kąpiące się w rzece Gratuvask panny – to bardzo znana historia, może ją słyszałyście? – Urwała nagle, pozwalając, by woda wyciekła z jej złożonych dłoni. – Vorzhevo, źle się czujesz?

Vorzheva stała zgięta wpół z twarzą bladą jak ściana.

– To nic takiego – powiedziała ochrypłym głosem i wyprostowała się. – Zaraz przejdzie. Widzisz, już mi lepiej. Opowiedz tę historię.

Gutrun przyglądała się jej podejrzliwie. Zanim jednak księżna zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszały głos Geloë, która nieopodal czesała kościanym grzebieniem włosy Leleth.

– Opowieść musi zaczekać – przemówiła czarownica stanowczo. – Nie jesteśmy same.

Vorzheva i Księżna spojrzały w kierunku, w którym wskazywała Geloë. Na wzgórzu oddalonym od nich o kilkaset jardów na południe stał jeździec na koniu. Był zbyt daleko, by rozpoznać jego twarz, lecz nie miały wątpliwości, że patrzy w ich stronę. Wszystkie kobiety spojrzały na niego, nawet Leleth zwróciła w jego stronę szeroko otwarte oczy. Na chwilę zapadła zupełna cisza i wszystkim wydawało się, że nie bije żadne serce. Potem jeździec zawrócił konia i zjeżdżając ze wzgórza, zniknął z pola widzenia.

– Co... co za okropieństwo – odezwała się księżna i chwyciła mokrą dłonią dekolt swej sukni. – Kim on jest? Czy to ci straszni Nornowie?

– Nie jestem pewna – szepnęła Geloë. – Powinnyśmy wrócić do pozostałych, na wypadek gdyby Josua go nie zobaczył. Musimy uważać na

obcych bez względu na to, czy przychodzą jako wrogowie, czy przyjaciele.

Vorzheva zadrżała. Wciąż była bardzo blada.

– W tych stronach żaden obcy nie przychodzi jako przyjaciel – powiedziała.

Usłyszawszy wieści od kobiet, Josua upewnił się, że nie mogą dłużej tracić czasu. Zawiedzeni zebrali swój skąpy dobytek i wyruszyli dalej na wschód z biegiem rzeki Ymstrecca; las pozostał już teraz zaledwie ciemnym paskiem na zamglonym, północnym horyzoncie.

Przez resztę popołudnia nikogo już nie zobaczyli.

– Te ziemie wydają się urodzajne – zauważył Deornoth, kiedy szukali miejsca na obóz. – Czy to nie dziwne, że nie spotkaliśmy innych ludzi poza tamtym jeźdźcem?

– Wystarczy jeden – odparł ponuro Josua.

– Moi ludzie nigdy nie lubili tych okolic, zbyt blisko starego lasu – powiedziała Vorzheva i zadrżała. – Pod drzewami mieszkają duchy zmarłych.

– Jeszcze rok temu śmiałbym się z takiego gadania. Ale teraz widziałem je, a nawet jeszcze gorsze istoty. Dobry Boże, co się stało z tym światem!

Szykując posłanie z trawy, Geloë rozejrzała się za Leleth.

– Książę Josuo, świat ciągle jest ten sam – powiedziała. – Tyle tylko, że w tak trudnych chwilach widzimy rzeczy wyraźniej. Lampy miast zaciemniają wiele cieni, które widać bardzo wyraźnie w świetle księżyca.

DEORNOTH OBUDZIŁ SIĘ w środku nocy, czując, jak szybko bije mu serce. Wcześniej miał sen. Śniło mu się, że Król Elias zamienił się w podobne do pająka stworzenie o ostrych szponach i czerwonych oczach, które przywarło do pleców księcia Josui. Josua nie był w stanie go

zobaczyć i nie wiedział nawet, że na grzbiecie nosi swego brata. Deornoth próbował mu o tym powiedzieć, lecz Josua nie słuchał go, śmiał się tylko, idąc ulicami Erchesteru z paskudną bestią-Eliasem na plecach, bestią podobną do zdeformowanego dziecka. Za każdym razem, kiedy Josua schylał się, aby pogłaskać jakieś dziecko po głowie czy też dać monetę żebrakowi, Elias psuł jego dobry uczynek, wyrywając żebrakowi monetę albo drapiąc dziecko po twarzy brudnymi pazurami, gdy tylko Josua ruszał dalej. Wkrótce za Josuą podążał już całkiem znaczny tłum, który domagał się jego ukarania, lecz książę nieświadomy niczego szedł dalej, choć Deornoth krzyczał ze wszystkich sił, pokazując diabelską bestię na grzbiecie Josui.

Deornoth rozejrzał się po łąkach pogrążonych w ciemności nocy i potrząsnął głową, starając się pozbyć uczucia niepokoju. Wciąż miał przed oczami twarz Eliasa ze snu, pomarszczoną i pełną zawziętości. Wszyscy z wyjątkiem Geloë spali; czarownica drzemała przy dogasającym ognisku lub może rozmyślała.

Deornoth ponownie położył się na plecach i próbował zasnąć, lecz nie mógł. Bał się, że sen powróci. Wreszcie, rozzłoszczony własną słabością, wstał i strzepnął cicho płaszcz. Podszedł do ogniska i usiadł obok Geloë.

Czarownica nawet na niego nie spojrzała. Siedziała ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w żar ogniska, jakby nic poza nim nie istniało, i twarzą czerwoną od blasku ognia. Poruszała ustami, lecz nie wydawała żadnych dźwięków. Deornoth poczuł mrowienie na karku. Co ona robi? Czy powinien ją obudzić?

Geloë wciąż poruszała ustami. Teraz najwyraźniej szeptała coś.

– ...Amerasu, gdzie jesteś? Twój duch jest niewyraźny, a ja jestem słaba...

Deornoth zatrzymał dłoń tuż przy zgrzebnym rękawie czarownicy.

– Jeśli w ogóle chcesz pomóc, niech to będzie teraz – powiedziała Geloë głosem świszczącym jak wiatr. – Och, proszę. – Po jej ogorzałym policzku spłynęła łza, czerwona od blasku ognia.

Słysząc błagalny szept Geloë, Deornoth powrócił do legowiska. Jakiś czas jeszcze nie spał; leżał wpatrzony w białoniebieskie gwiazdy.

Przed świtem obudził się raz jeszcze, tym razem za sprawą Josui. Książę potrząsnął ramieniem Deornotha i zaraz przyłożył do ust kikut prawego nadgarstka, nakazując mu milczenie. Deornoth podniósł wzrok i zobaczył na zachodzie bryłę ciemności, odcinającą się od mroku nocy; bryła zbliżała się w ich kierunku. Stłumiony tętent kopyt stawał się coraz wyraźniejszy. Deornoth wstrzymał oddech. Pomacał ziemię obok siebie i poczuł lekką ulgę, kiedy ścisnął w dłoni rękojeść swego miecza. Josua podpełzł do pozostałych, by ich obudzić.

– Gdzie jest czarownica? – szepnął gorączkowo Deornoth, lecz książę był od niego zbyt daleko, by móc usłyszeć, więc podczołgał się do Strangyearda. Duchowny miał lekki sen, dlatego zdążył się już obudzić.

– Cicho – szepnął Deornoth. – Zbliżają się jacyś jeźdźcy.

– Kto? – spytał Strangyeard.

Deornoth pokręcił bezradnie głową.

Zbliżający się jeźdźcy wciąż pozostawali zaledwie cieniami, lecz teraz rozdzielili się niemal bezgłośnie na mniejsze grupy, otaczając obóz. Deornoth przeklinał siebie i swych towarzyszy za to, że nie mieli strzał ani łuków, a jednocześnie podziwiał obcych za mistrzowskie opanowanie jazdy konnej. Pomyślał, że głupotą byłoby walczyć mieczem z wojownikami na koniach – jeśli to w ogóle byli śmiertelnicy. Wydawało mu się, że naliczył dwa tuziny napastników, choć trudno było mieć pewność w tak słabym świetle.

Deornoth wstał, a kilka ciemnych postaci wokół niego zrobiło to samo. Josua wysunął z pochwy Najdel; nagły dźwięk metalu ocierającego się o skórę wydał się głośny niczym krzyk. Otaczający ich jeźdźcy zatrzymali konie i raz jeszcze na moment zapadła zupełna cisza. Ktoś, kto przejeżdżałby o rzut kamieniem od obozu, nie domyśliłby się, że jest tam ktokolwiek, nie mówiąc już o dwóch gotowych do walki grupach.

Ciszę przerwał głos:

– Przybysze! Weszliście na ziemie klanu Mehrdon! Złóżcie broń.

Krzesiwo uderzyło o stal i chwilę później za najbliżej stojącymi zapłonęła pochodnia; na obóz padły długie cienie. Zakapturzeni jeźdźcy w płaszczach otoczyli ludzi Josui pierścieniem włóczni.

– Złóżcie broń! – powtórzył głos w języku Westerling, choć z silnym akcentem. – Jesteście więźniami straży Pogranicza. Zabijemy was, jeśli będziecie stawiali opór. – Zapłonęły kolejne pochodnie. Nagle z mroków nocy wyłoniło się wiele uzbrojonych cieni.

– Miłościwy Aedonie! – odezwała się z ciemności księżna Gutrun. – Słodka Elysio, co teraz będzie?

Zbliżyła się do niej ogromna postać; był to Isorn, który chciał pocieszyć matkę.

– Nie ruszać się! – warknął w ciemności głos pozbawiony ciała. Po chwili jeden z jeźdźców podjechał bliżej; światło pochodni odbiło się w grocie jego opuszczonej włóczni. – Słyszę, że są tutaj kobiety – odezwał się jeździec. – Nie róbcie niczego głupiego, a nic im się nie stanie. Nie jesteśmy zwierzętami.

– A co z pozostałymi? – spytał Josua, występując do przodu w światło pochodni. – Mamy wielu chorych i rannych. Co z nami zrobicie?

Jeździec pochylił się, by przyjrzeć się Josui, i wtedy zobaczyli jego skrytą kapturem twarz. Rysy miał surowe, policzki pokryte bliznami,

a gęstą brodę zaplecioną w warkocze. Na przegubach dłoni dźwięczały ciężkie bransolety. Deornoth poczuł, że jego napięcie ustępuje nieco. Przynajmniej tym razem ich wrogowie byli śmiertelnikami.

Jeździec splunął na ciemną trawę.

– Jesteście więźniami, więc nie zadawajcie żadnych pytań. Tan Pogranicza zdecyduje. – Odwrócił się do swych towarzyszy. – Ozhbern! Kunret! Zapędźcie ich do koła, żeby szli razem! Odwrócił konia, by dopilnować podwładnych, którzy zaganiali włóczniami w krąg światła latarni Josuę, Deornotha i pozostałych.

– Wasz tan Pogranicza będzie niezadowolony, kiedy się dowie, że źle nas traktowaliście – powiedział Josua.

Przywódca obcych roześmiał się.

– Będzie jeszcze bardziej niezadowolony, jeśli nie doprowadzę was do wozów przed wschodem słońca. Odwrócił się do jednego z jeźdźców. – Wszyscy?

– Wszyscy, Hotvig. Sześciu mężczyzn, dwie kobiety, jedno dziecko. Jeden z nich nie może chodzić. – Końcem włóczni wskazał na Sangfugola.

– Wsadźcie go na konia – powiedział Hotvig. – Przerzućcie przez siodło albo jak tam chcecie. Musimy jechać szybko.

Kiedy ruszyli, Deornoth przesunął się do Josui.

– Mogło być gorzej – szepnął do księcia. – Mogliśmy wpaść w łapy Nornów zamiast Thrithingów.

Książę nie odpowiedział. Deornoth dotknął jego ramienia i poczuł napięte mięśnie Josui.

– O co chodzi, książę Josuo? Czyżby Thrithingowie pokumali się z Eliasem?

Jeden z jeźdźców spojrzał w ich stronę, ukazując w ponurym uśmiechu dziury po brakujących zębach.

– Cicho, mieszkańcy kamiennych domów – warknął. – Oszczędzajcie oddech na marsz.

Josua zwrócił napiętą twarz w stronę Deornotha.

– Nie słyszałeś go? – szepnął. – Nie słyszałeś?

Deornoth spojrzał na niego zaniepokojony.

– Co?

– Sześciu mężczyzn, dwie kobiety i dziecko – syknął Josua, rozglądając się na boki. – Dwie kobiety! Gdzie jest Vorzheva?

Jeździec pchnął go końcem włóczni w ramię i Josua zamilkł zmartwiony. W miarę jak posuwali się przez łąki poganiani przez jeźdźców, słońce coraz bardziej rozjaśniało wschodni horyzont.

RACHEL, ZWANA SMOKIEM, leżała w ciemności na swym twardym łóżku w pokoju dla służby i wydawało jej się, że słyszy skrzypienie szubienicy, choć wiatr wył głośno, przelatując przez blanki zamku. Tej nocy nad Bramą Nearulagh wisiało kolejnych dziewięć ciał; kołysały się bezradnie w takt wściekłej muzyki wiatru.

Gdzieś w pobliżu rozległ się płacz.

– Sarrah, czy to ty? – szepnęła Rachel. – Sarrah?

Zawodzenie wiatru ustało.

– T...tak, proszę pani – usłyszała stłumiony głos dziewczyny.

– Błogosławiona Rhiappo, czego beczysz? Obudzisz inne dziewczęta!

Poza Sarrah i Rachel w pomieszczeniu dla służby spały jeszcze tylko trzy kobiety. Wszystkie pięć łóżek zestawiły razem, żeby było im cieplej w dużym i chłodnym pokoju.

Sarrah starała się opanować, lecz kiedy odpowiedziała, jej głos wciąż drżał od płaczu.

– Bo...boję się.

– Czego, głupia, wiatru? – Rachel usiadła na łóżku, otulając się cienkim kocem. – To tylko burza. Przecież słyszałaś już wcześniej wiatr.

Światło pochodni, które sączyło się pod drzwiami do pokoju, pozwalało dostrzec bladą twarz Sarrah.

– To dlatego, że... Moja babcia mawiała... – Dziewczyna zakasłała.

– Babcia mawiała, że w taką noc jak dzisiaj... chodzą dusze zmarłych. I że można usłyszeć na wietrze głosy.

Rachel rada była, że rozmawiają w ciemności, która ukryła dreszcz jej własnego niepokoju. Jeśli kiedykolwiek miała nastać taka noc, to ta wydawała się bardzo odpowiednia. Od zachodu słońca wiatr wył jak ranne zwierzę, zawodząc wśród kominów Hayholt i drapiąc drzwi i okna swymi natarczywymi paluchami.

Starała się, by jej głos zabrzmiał stanowczo.

– Głupia dziewczyno, zmarli nie będą paradować po moim zamku. A teraz śpij już, bo zaraz inni wystraszą się twojego gadania. – Sama też położyła się na posłaniu, starając się przybrać pozycję najlepszą dla jej schorowanych pleców. – Śpij, Sarrah – powiedziała. – Wiatr nie zrobi ci krzywdy. Jutro czeka nas mnóstwo roboty. Jeden Pan wie, ile wiatr nazrzuca. Trzeba będzie to wszystko pozbierać.

– Przepraszam. – Blada twarz Sarrah osunęła się na łóżko. Jeszcze przez chwilę chlipała cicho, aż wreszcie umilkła.

Rachel wpatrywała się w ciemność i słuchała niespokojnych głosów nocy.

Może i zasnęła – choć trudno było cokolwiek powiedzieć, kiedy wszystko pogrążone było w ciemności – lecz Rachel zdała sobie sprawę, że od pewnego czasu słyszy coś, co nie jest głosem wiatru. Było to ciche, nieśmiałe drapanie, jakby odgłos ptasich pazurów na kamiennym dachu.

Coś było pod drzwiami.

Jeśli nawet wcześniej spała, to teraz była rozbudzona i przestraszona. Kiedy odwróciła głowę na bok, dostrzegła cień przesuwający się wzdłuż smugi światła pod drzwiami. Skrobanie wzmogło się i jednocześnie rozległ się czyjś płacz.

– Sarrah? – szepnęła Rachel, sądząc, że hałas obudził służącą, lecz dziewczyna nie odpowiadała. Jakiś czas nasłuchiwała wpatrzona w ciemność, aż wreszcie upewniła się, że dziwny, słaby odgłos dochodzi z korytarza, zza zamkniętych drzwi ich pokoju.

– Proszę – szepnął ktoś. – Proszę...

Czując gwałtowny przypływ krwi do głowy, Rachel usiadła na łóżku, po czym cicho opuściła bose stopy na zimną, kamienną podłogę. Czy to możliwe, by śniła? Wydawało jej się, że obudziła się, ale z drugiej strony miała wrażenie, że słyszy głos chłopca, głos podobny do...

Drapanie stało się bardziej natarczywe, co oznaczało chyba strach.

„Tak – pomyślała. – Cokolwiek to było, musiało być przestraszone, skoro tak się zachowywało... Wędrująca dusza, bezdomna, błąkająca się samotnie w tę straszną noc, szukająca swego dawno nie istniejącego łóżka?”

Rachel podeszła do drzwi najciszej, jak potrafiła. Serce waliło jej jak młotem. Wyjący na zewnątrz wiatr ustał. Była sama w ciemności, w której słychać było tylko oddechy śpiących służących i żałosne skrobanie tego czegoś, co znajdowało się za drzwiami.

– Proszę... – przemówił ponownie słaby i cichy głos. – Boję się bardzo...

Zrobiła znak Drzewa na piersi, po czym chwyciła zasuwę drzwi i odsunęła ją. Choć podjęła już decyzję, drzwi otwierała powoli; mimo wszystko bała się tego, co miała zobaczyć.

W świetle jedynej zapalonej w korytarzu pochodni dostrzegła niewyraźną postać podobną do stracha na wróble z czupryną potarganych włosów i cienkimi jak patyki kończynami. Postać odwróciła w jej stronę poczerniałą – jakby spaloną – twarz, ukazując białka szeroko otwartych oczu.

– Pomóż mi – odezwała się i wpadła wprost w ręce Rachel.

– Simon! – zawołała Rachel i, choć wydawało jej się to nierealne, poczuła ogromną radość. Wrócił, poprzez ogień, poprzez śmierć...

– Si...Simon? – powtórzył chłopiec, przymykając oczy z bólu i wyczerpania. – Simon nie żyje. – On... on zginął w płomieniach. Pyrates go zabił...

Nagle chłopiec osunął się w ramiona Rachel. Oszołomiona pozwoliła opaść mu na ziemię i przeciągnęła przez próg. Potem zaryglowała drzwi i poszła szukać świecy. Wiatr zawodził szyderczo; jeśli nawet wołały w nim inne głosy, Rachel nie potrafiła ich rozpoznać.

– To jest Jeremias, chłopiec od kupca – powiedziała zdumiona Sarrah, kiedy Rachel obmywała z jego twarzy zaschniętą krew. W blasku świecy podrapane policzki i zapadnięte oczy Jeremiasa sprawiały wrażenie pomarszczonej twarzy starca.

– Pamiętam, że kiedyś był pulchnym chłopcem – powiedziała Rachel. Kręciło jej się w głowie od słów Jeremiasa, lecz starała się robić wszystko po kolei. Co by pomyślały te leniwe dziewuchy, gdyby teraz się rozkleiła? – Co mu się stało? – spytała. – Jest chudy jak patyk.

Służące zebrały się wokół, owinięte szczelnie kocami. Jael, już nie tak tęga, bo musiała dzielić ogrom pracy z garstką pozostałych dziewcząt, wpatrywała się w śpiącego chłopca.

– Ktoś chyba mówił, że Jeremias uciekł – powiedziała zdziwiona.

– Dlaczego wrócił?

– Nie bądź głupia – odparła Rachel, próbując przeciągnąć podartą koszulę Jeremiasa przez jego głowę tak, by go nie obudzić. – Czy byłby w stanie wrócić do Hayholt w środku nocy, gdyby uciekł? Musiałby chyba umieć latać.

– W takim razie powiedz nam, gdzie się podziewał – odezwała się jedna z dziewcząt.

Gdyby nie szok Rachel spowodowany widokiem Jeremiasa, przełożona pokojówek z pewnością nie puściłaby płazem takiej impertynencji jednej ze swych podwładnych.

– Pomóżcie mi go odwrócić – powiedziała, ściągając koszulę z chłopca. – Położymy go na... Och! Elysio, Matko Boża! – Zdumiona zamilkła. Stojąca obok niej Sarrah wybuchnęła płaczem.

Plecy chłopca pokryte były siatką głębokich, krwistych pręg.

– Jest... jest mi niedobrze! – wymamrotała Jael i odwróciła się.

– Nie bądź głupia – powiedziała Rachel, starając się po raz kolejny okazać opanowanie nad sobą i sytuacją. – Zmocz twarz wodą, a potem przynieś mi miskę z resztą wody. Nie wystarczy ta mokra szmata. Zdejmijcie prześcieradło z łóżka, na którym spała Hepzibah, i podrzyjcie je na paski. Na męki Rhiappy, czy ja wszystko muszę robić sama?

Porwały na paski całe prześcieradło Hepzibah, a także połowę innego. Nogi chłopca także były pokryte pręgami,

Jeremias obudził się tuż przed świtem, Początkowo rozglądał się nieprzytomnie po pokoju, lecz po pewnym czasie oprzytomniał. Sarrah podała mu trochę wody do picia; na jej twarzy wyraźnie malował się smutek i współczucie.

– Gdzie jestem? – spytał wreszcie.

– Jesteś w pokoju dla służby, chłopcze – odpowiedziała żywo Rachel. – Wiesz pewnie gdzie. No, chłopcze, powiedz nam, w co się wplątałeś?

Przez moment patrzył na nią mętnym wzrokiem.

– Ty jesteś Rachel, Smok – powiedział wreszcie. Pomimo zmęczenia i strachu pokojówki z trudem potrafiły powstrzymać się od śmiechu. Rachel, o dziwo, wcale się nie rozzłościła.

– Tak, jestem Rachel – przytaknęła mu. – Gdzie się podziewałeś, chłopcze? Słyszałyśmy, że uciekłeś.

– Myślałaś, że ja jestem Simonem – powiedział Jeremias, rozglądając się ciekawie po pokoju. – Był moim przyjacielem, ale on przecież nie żyje, prawda? Czy ja też nie żyję?

– Żyjesz. Co ci się stało? – Rachel pochyliła się i odgarnęła splątane włosy Jeremiasa z jego czoła; jej dłoń zamarła na chwilę na policzku chłopca. – Jesteś bezpieczny. Opowiedz nam wszystko, co ci się przytrafiło.

Początkowo wydawało się, że znowu zaśnie, lecz po chwili otworzył oczy. Teraz mówił bardziej do rzeczy.

– Próbowałem uciec – powiedział. – Żołnierze Króla zbili mojego pana Jakoba i wyrzucili go za bramę. Tamtej nocy próbowałem uciec, ale strażnicy mnie złapali. Oddali mnie do Incha.

Rachel zmarszczyła brwi.

– Do tego zwierzaka.

Jeremias otworzył szerzej oczy,

– On jest gorszy niż zwierzę. Diabeł wcielony. Powiedział, że będę jego uczniem... na dole, w odlewni. Wydaje mu się, że jest tam królem. – Na twarzy chłopca pojawił się grymas i nagle się rozpłakał. – Mówi, że... że teraz on jest doktorem Inchem. Pobił mnie i... i wykorzystał.

Rachel pochyliła się i otarła jego policzki chusteczką. Dziewczęta zrobiły znak Drzewa.

Jeremias przestał płakać.

– Tam... tam na dole jest gorzej niż w jakimkolwiek innym miejscu.

– Mówiłeś coś, chłopcze, o doradcy Króla. A także o Simonie. Powtórz to.

Chłopiec otworzył szeroko załzawione oczy.

– Pryrates go zabił, Simona i Morgenesa. Duchowny poszedł tam z żołnierzami, Morgenes walczył z nimi, ale jego pokój spalił się i Simon z Doktorem zginęli.

– Skąd o tym wiesz? – spytała Rachel dość opryskliwie. – Skąd ktoś taki jak ty może wiedzieć o takich rzeczach?

– Sam Pryrates to powiedział! Przychodzi do Incha. Czasem chwali się, jak wtedy, kiedy zabił Morgenesa. Czasem pomaga Inchowi... krzywdzić ludzi. – Widać było, że Jeremias z trudem może mówić o tym, co widział. – Czasami duchowny zabiera ludzi ze sobą... zabiera ich, a oni ju...już nie wracają, – Chłopiec z trudem łapał oddech. – Dzie...dzieją się tam jeszcze inne rzeczy. Okropne rzeczy tam w dole. Och, Boże, nie odsyłajcie mnie tam z powrotem. – Chwycił Rachel za rękę. – Proszę, ukryjcie mnie!

Rachel starała się ukryć swoje przerażenie. Odpędzała myśli o Simonie i tym, co właśnie usłyszała, by móc zastanowić się nad wszystkim w samotności. Lecz choć bardzo starała się zachować spokój, nie potrafiła powstrzymać zimnego dreszczu nienawiści, jaki nią wstrząsnął, nienawiści, jakiej nigdy jeszcze nie czuła.

– Nie pozwolimy, żeby cię złapali – powiedziała. Jej stanowczy ton sugerował, że lepiej będzie nie sprzeciwiać się jej woli. – My... my...

Umilkła zakłopotana. Nie miała pojęcia, co mogą zrobić. Nie mogły ukrywać chłopca zbyt długo w pomieszczeniach dla służby, zważywszy na to, że uciekł on z królewskiej odlewni, która znajdowała się pod zamkiem Hayholt.

– O jakich innych rzeczach mówiłeś? – spytała Jael. Wpatrywała się w chłopca swymi cielęcymi, brązowymi oczami,

– Dajcie już spokój – rzuciła ostro Rachel, lecz Jeremias zaczął już odpowiadać.

– Nie wiem – odparł. – Tam są... cienie, które się poruszają. Cienie bez ludzi. A także rzeczy, które są, a potem ich nie ma. No i głosy... – Chłopiec zadrżał, spoglądając ponad płomieniem świecy w ciemny róg pokoju. – Głosy, które krzyczą, śpiewają i... – W jego oczach znowu pojawiły się łzy.

– Wystarczy – wtrąciła zdecydowanie Rachel, niezadowolona, że tak długo pozwoliła mu mówić.

Pokojówki zaczęły zerkać na siebie niespokojnie jak przestraszone owce.

„Elysio! – pomyślała. – Jeszcze mi tego potrzeba, żeby mi się ostatnie dziewuchy przestraszyły i odeszły z zamku”.

– Dosyć gadania – powiedziała głośno. – Chłopiec musi odpocząć. Jest tak zmęczony i pobity, że majaczy. Niech się wyśpi.

Jeremias pokręcił z trudem głową.

– Mówię prawdę – powiedział. – Nie pozwólcie, żeby mnie złapali!

– Nie pozwolimy – odpowiedziała Rachel. – Śpij. Jeśli nie będziemy mogły cię tutaj ukryć, zastanowimy się, jak pomóc ci wydostać się z zamku. Będziesz mógł pójść do swych krewnych. Ten jednooki diabeł, Inch, nie dostanie cię już w swoje łapy.

– ...I Pryrates – zaczął niewyraźnie Jeremias, zapadając w sen. – On rozmawia z... z głosami...

Chwilę później chłopiec już spał. Strach znikał powoli z jego wychudzonej twarzy. Rachel spojrzała na niego i poczuła, że jej serce staje się twarde jak kamień. Ten diabelski duchowny, Pryrates! Morderca! Co za nieszczęście sprowadził na ich dom, jaką zarazę przywiódł na jej ukochany

Hayholt? I co zrobił jej Simonowi? Odwróciła się i spojrzała na wystraszone pokojówki.

– Lepiej spróbujcie się jeszcze przespać – warknęła. – Odrobina strachu nie zwolni was od sprzątania, do którego trzeba będzie się zabrać z samego rana.

Kiedy dziewczyny kładły się do łóżek, Rachel zdmuchnęła świecę i sama też się położyła, rozmyślając nad tym, co usłyszała. Wiejący na zewnątrz wiatr wciąż szukał drogi, by wedrzeć się do zamku.

PORANNE SŁOŃCE WZNIOSŁO SIĘ nad warstwę szarych chmur. Jego rozproszone światło dotarło do falujących łąk Thrithingów, lecz nie było w stanie osuszyć wilgoci bezkresnych łanów traw i wrzosów. Deornoth przemókł aż do ud i zmęczył się marszem.

Thrithingowie nie zatrzymywali się na posiłki; suszone mięso i owoce zjedli w siodłach podczas jazdy. Więźniowie nie otrzymali nic do jedzenia i pozwolono im zatrzymać się tylko na krótki odpoczynek w południe. Wtedy właśnie Deornoth i Josua wypytali ukradkiem pozostałych o Vorzhevę. Nikt nie widział, by odchodziła, choć Geloë zapewniła ich, że obudziła Vorzhevę, gdy tylko usłyszeli zbliżających się jeźdźców.

– Urodziła się tutaj – powiedziała czarownica do księcia. – Nie ma co się o nią martwić – dodała, lecz na jej twarzy wyraźnie malował się niepokój.

Po bardzo krótkim odpoczynku na znak Hotviga wszyscy na powrót podjęli marsz. Zaczął wiać wiatr z północnego zachodu; początkowo łagodny, potem coraz silniejszy, tak że wstążki przy siodłach Thrithingów trzepotały niczym proporce na placu turniejowym, a wysokie trawy gięły się wpół. Więźniowie szli ciężko, drżąc w mokrych ubraniach.

Wkrótce pojawiły się pierwsze oznaki, że zbliżają się do terenów zamieszkanych: małe stada bydła pasącego się na niskich wzgórzach, którego pilnowali pojedynczy jeźdźcy. Kiedy słońce stanęło w zenicie, stada były coraz większe i coraz mniejsza dzieliła je od siebie odległość. Wreszcie więźniowie stwierdzili, że idą wzdłuż jednego z krętych dopływów rzeki Ymstrecca wśród ogromnego, niekończącego się stada zwierząt składającego się w większości ze zwykłego bydła, lecz można było także dostrzec pasące się kudłate bizony i bawoły o długich, krętych rogach, które unosiły łby i kręcąc mordami, spoglądały nieprzytomnie na przechodzących.

– Miejscowym z pewnością nie spodobałaby się rada Geloë, by jeść tylko warzywa – zauważył Deornoth. – Jest tu tyle żywego mięsa, że wystarczyłoby dla całego Osten Ard. – Spojrzał wyczekująco na Josuę, lecz książę odpowiedział tylko niewyraźnym uśmiechem.

– Wiele z nich jest chorych – powiedziała Gutrun. W czasie częstych wyjazdów męża zarządzała z powodzeniem całym ich gospodarstwem w Elvritshalli i dlatego słusznie uważała się za znawcę zwierząt domowych. – Zobaczcie, jak na tak duże stado niewiele mają cieląt.

Jeden z jeźdźców, który przysłuchiwał się ich rozmowie, prychnął z pogardą, jakby chciał pokazać, co myśli o opiniach więźniów, lecz jego towarzysz skinął głową i powiedział:

– Tak, mamy zły rok. Dużo krów zdycha przy porodzie. Pozostałe jedzą, ale nie przybierają na wadze. – Broda Thrithinga powiewała na wietrze. – Tak, to zły rok – powtórzył.

Co pewien czas wśród pasących się stad można było dostrzec ustawione wokoło wozy otoczone palisadą z pośpiesznie wbitych pali. Wszystkie wozy były z drewna i miały duże, drewniane koła, lecz poza tym znacznie się różniły. Niektóre miały wysokość dwóch, a może nawet trzech

wysokości człowieka; były to drewniane domki z drewnianymi dachami i zamkniętymi okiennicami. Inne, o wiele mniejsze, przypominały wóz-łóżko, zadaszony płócienną plandeką, która trzepotała hałaśliwie na wietrze. Dzieci bawiły się za drewnianymi ogrodzeniami albo biegały wśród tłoczącego się wokół łagodnego bydła. Na kilku wybiegach pasły się konie, a nie były to zwykłe konie pociągowe. Wiele z nich miało zgrabne, smukłe kończyny i piękne grzywy; w ich ruchach nawet z daleka dostrzec można było lekkość i siłę.

– Boże, gdybyśmy tak mieli kilka z nich – powiedział Deornoth. – Ale nie mamy niczego, za co moglibyśmy je kupić. Mam już dość chodzenia.

Josua spojrzał na niego i uśmiechnął się ponuro.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli odejdziemy stąd żywi, a tobie marzą się bitewne rumaki? Ja wolałbym już trochę twojego optymizmu zamiast tych koni.

W miarę jak Thrithingowie i ich więźniowie posuwali się na południe, odosobnione wcześniej wozy-wagony zaczęły pojawiać się coraz bliżej siebie niczym grzyby, które wyrosły gromadnie po jesiennym deszczu. Między mniejszymi obozami pojawiały się i znikały grupy jeźdźców. Ludzie z eskorty grupy Josui wymieniali z nimi głośne uwagi. Wreszcie wozy były już tak blisko siebie, że więźniowie mieli wrażenie, iż jadą przez miasto pozbawione ulic.

Po jakimś czasie dotarli do ogromnej palisady, której słupy przystrojone były grzechoczącymi na wietrze ozdobami z jasnego metalu i wypolerowanego drewna. Większość eskorty odjechała, lecz przywódca grupy, Hotvig, i sześciu jego ludzi wprowadzili grupę księcia przez kołyszącą się furtkę. Teren za palisadą podzielony był na kilka zagród; w jednej z nich stało kilka wspaniałych wierzchowców, a w innej pół tuzina tłustych, dorodnych krów. W osobnej zagrodzie stał ogromny ogier o bujnej

grzywie ustrojonej czerwonymi i złocistymi wstążkami. Kiedy przechodzili, koń opuścił nisko łeb; najwyraźniej przyzwyczajony był do tego, że to jego podziwiano. Mijając zwierzę, ludzie z eskorty grupy Josui przyłożyli z czcią dłonie do oczu.

– To jest ich klanowy ogier – powiedziała Geloë.

W przeciwległym końcu obozowiska stał olbrzymi wóz o szerokich kołach z grubymi szprychami. Na jego dachu łopotał proporzec z godłem przedstawiającym złotego ogiera. Przed wozem znajdowały się dwie osoby: potężny mężczyzna i dziewczyna. Dziewczyna zaplatała długą brodę mężczyzny w dwa grube warkocze, które opadały mu na pierś. Pomimo wieku – a wydawało się, że mężczyzna przeżył na pastwiskach co najmniej sześćdziesiąt lat – tylko gdzieniegdzie w jego czarnych włosach lśniło siwe pasemko, a jego ogromne ciało wciąż wyglądało na bardzo dobrze umięśnione. Mężczyzna trzymał na kolanach czarę; jego dłonie zdobiły pierścienie i bransolety.

Jeźdźcy zatrzymali się i zsiedli z koni. Hotvig podszedł do mężczyzny.

– Tanie Pogranicza, schwytaliśmy grupę obcych, którzy weszli na łąki Feluwelt bez twojego pozwolenia; sześciu mężczyzn, dwie kobiety i dziecko.

Tan Pogranicza spojrzał uważnie na więźniów i uśmiechnął się szeroko, ukazując krzywe zęby.

– Książę Josua, Bezręki – powiedział, lecz wcale nie wyglądał na zaskoczonego. – Czyżbyś zdecydował się zamieszkać pod gołym niebem, jak przystało mężczyźnie, odkąd straciłeś swój kamienny dom? – Pociągnął z czary długi łyk, opróżniając ją całkowicie, po czym podał puste naczynie dziewczynie i odesłał ją skinieniem ręki.

– Fikolmij – powiedział Josua, uśmiechając się lekko. – A więc teraz ty jesteś tanem Pogranicza.

– Kiedy nadszedł Czas Wyboru, z liczących się wodzów pozostał tylko Blehmunt. Rozbiłem mu łeb jak jajko. – Fikolmij roześmiał się i pogładził dopiero co zaplecioną brodę. Po chwili zmarszczył brwi jak przestraszony byk. – Gdzie jest moja córka?

– Jeśli mówisz o tej młodej dziewczynie, która była tu przed chwilą, to właśnie ją odesłałeś – powiedział Josua.

Fikolmij zacisnął pięść rozzłoszczony, lecz roześmiał się ponownie.

– Te twoje głupie sztuczki, Josua. Wiesz, o kim mówię. Gdzie ona jest?

– Powiem ci prawdę. – powiedział Josua. – Nie wiem, gdzie jest Vorzheva.

Tan przyglądał mu się uważnie.

– A zatem, mieszkańcu kamiennego domu – odezwał się wreszcie. – Nie jesteś już tak ważny w świecie. Naruszyłeś terytorium wolnych Thrithingów, a poza tym jesteś złodziejem córki. Zastanawiam się, czy nie wyglądałbyś lepiej, gdyby ci obciąć także drugą rękę. Pomyślę o tym. – Uniósł swą owłosioną dłoń i skierował ją w stronę Hotviga. – Zaprowadź ich do jednej z bawolich zagród. Niech tam czekają, dopóki się nie zastanowię, których posiekać, a których zostawić.

– Litościwy Aedonie, oszczędź nas – szepnął ojciec Strangyeard.

Tan roześmiał się, odrzucając z czoła kosmyk włosów.

– Dajcie tym miejskim szczurom parę koców i coś do jedzenia. Nie chcę, żeby zdechli z zimna w nocy i pozbawili mnie przyjemności.

Kiedy Hotvig i jego ludzie wyprowadzali więźniów, Fikolmij odwrócił się i zawołał do dziewczyny, żeby przyniosła mu jeszcze wina.

14. Ognista korona

TO BYŁ SEN. SIMON WIEDZIAŁ O TYM nawet w chwili, kiedy go śnił.

Zaczął się całkiem normalnie: leżał na strychu w Hayholt, ukryty w łaskoczącym sianie, i obserwował Shema, stajennego, i zamkowego kowala Rubena, Niedźwiedzia, którzy rozmawiali cicho na dole. Szerokie bary Rubena lśniły od potu, kiedy głośno uderzał w rozżarzoną do czerwoności podkowę.

Nagle sen przybrał inne wymiary. Głosy rozmawiających zmieniły się, zupełnie nie przypominały głosów Rubena i Shema. Simon słyszał ich rozmowę bardzo wyraźnie, a uderzający w rozgrzane żelazo młot nie wydawał żadnego dźwięku.

– ...Ale ja zrobiłem wszystko, o co prosiłeś – przemówił Shem dziwnym, chrapliwym głosem. – Przyprowadziłem do ciebie Króla Eliasa.

– Pozwalasz sobie na zbyt wiele – odparł Ruben. Simon nigdy nie słyszał, by kowal mówił takim głosem, zimnym i odległym niczym wiatr na górskiej przełęczy. – Niczego nie wiesz o tym, czego my chcemy... czego On chce. – Simon wyczuwał, że nie tylko głos kowala jest zły; cała jego postać emanowała złem. Był jak czarne, bezdenne jezioro, pokryte zaledwie cienką warstwą lodu. Jak to możliwe, by Ruben zmienił się w istotę tak złą, nawet jeśli to był tylko sen; ten miły, powolny Ruben.

Na pomarszczonej twarzy Shema pojawił się uśmiech, lecz w jego głosie wyczuwało się napięcie.

– Nic mnie nie obchodzi. Zrobię wszystko, czego On chce. Niewiele żądam w zamian.

– Żądasz o wiele więcej, niż odważyłby się jakikolwiek śmiertelnik – odpowiedział Ruben. – Nie dość, że ośmielasz się wzywać Czerwoną Dłoń, to jeszcze masz śmiałość prosić o przysługi. – Głos Rubena był zimny i nieczuły jak ziemia cmentarza. – Nie zdajesz sobie nawet sprawy, o co prosisz. Jesteś dzieckiem, kapłanie, które chwyta lśniące przedmioty, ponieważ wydają się ładne. Możesz skaleczyć się o coś ostrego i wtedy okaże się, że wykrwawisz się na śmierć.

– Nic mnie nie obchodzi – powtarzał Shem z uporem maniaka. – Nic mnie to nie obchodzi. Naucz mnie Słów Przemiany. Czarny jest mi to winien... On musi...

Ruben odchylił głowę i roześmiał się głośno. Wydawało się, że nad jego głową zapaliła się płomienna korona.

– Musi? – zawołał. Jego śmiech brzmiał przeraźliwie. – Nasz pan? Tobie?

Znowu się roześmiał i nagle skóra kowala zaczęła się łuszczyć. Z pęcherzy wylatywały malutkie smugi dymu, a pod odrywającymi się kawałkami skóry ukazało się płomienne jądro, które pulsowało czerwonawym światłem jak płonący żar rozdmuchiwany wiatrem.

– Dożyjesz Jego ostatecznego triumfu! To więcej niż większość śmiertelników mogłaby oczekiwać.

– Proszę! – Ruben płonął jeszcze, gdy Shem zaczął się kurczyć, stawał się ciemniejszy i coraz mniejszy niczym palący się arkusz pergaminu. Jego malutkie już ramię zakołysało się, opadając. – Proszę, nieśmiertelny. – Jego głos brzmiał dziwnie lekko, jakby przepełniony podstępem. – Nie będę już

prosił o nic więcej. Nie będę już mówił o Czarnym. Wybacz śmiertelnemu głupcowi. Naucz mnie Słowa!

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Ruben, płonął żywy płomień.

– Dobrze, kapłanie! Może jest to trochę ryzykowne, by dać ci tę niebezpieczną, lecz ostatnią zabawkę. Wkrótce Pan Wszystkiego znowu obejmie w posiadanie ten świat, a ty nie możesz zrobić niczego, czego on nie potrafiłby odwrócić. Dobrze, nauczę cię Słowa, ale ból będzie wielki. Za każdą zmianę trzeba zapłacić. – Nieziemski głos zabulgotał śmiechem. – Będziesz krzyczał...

– Nic mnie to nie obchodzi! – powiedział Shem. Jego spopielona postać pogrążała się teraz w ciemności, podobnie jak kowal i całe Hayholt.

– Nic mnie to nie obchodzi! Muszę wiedzieć...

Wreszcie nawet i płonące jądro, które wcześniej było Rubenem, stało się zaledwie jasnym punktem w ciemności... gwiazdą...

Simon obudził się, z trudem łapiąc oddech, jakby wynurzył się z odmętów wody. Nad jego głową rzeczywiście widniała pojedyncza gwiazda; podobna do błękitnobiałego oka, zaglądała przez dziurę w suficie szałasu, w którym spali. Simon jęknął.

Przytulony do Qantaqi Binabik uniósł głowę. Troll wyglądał na zaspanego, lecz starał się obudzić.

– Co się stało, Simonie? – spytał. – Przestraszył cię zły sen?

Simon pokręcił głową. Czuł jeszcze falę strachu, lecz był przekonany, że było to coś więcej niż tylko nocna fantazja. Miał wrażenie, że rozmowa, którą słyszał, odbyła się tuż obok, że to jego uśpiony umysł wplótł ją do treści swego snu, co mu się już wcześniej często zdarzało. Ze zdziwieniem, ale i ze strachem stwierdził, że dookoła nie było nikogo z wyjątkiem jego towarzyszy: Sludig chrapał, a Binabik najwyraźniej właśnie się obudził.

– Nic się nie stało – powiedział Simon, starając się, by jego głos brzmiał normalnie.

Podczołgał się do wejścia szałasu, czując wyraźnie siniaki, jakie zarobił w czasie wieczornej lekcji szermierki, i wyjrzał na zewnątrz. Gwiazda, którą zobaczył w dziurze, nie była wcale samotna; na czarnym niebie lśniła garść rozrzuconych jasnych punktów. Wiatr przegnał chmury i noc była jasna i pogodna. Jak okiem sięgnąć, ciągnęło się monotonne Białe Pustkowie. W żółtawym świetle księżyca nie widać było ani jednej żywej istoty.

A więc to jednak był sen, sen, w którym stary stajenny, Shem, potrafił przemawiać chrapliwym głosem Pryratesa, a Ruben, Niedźwiedź, mówił grobowym głosem czegoś, co nie należało do żywych istot Bożych...

– Simon? – odezwał się sennie Binabik. – Czy ty...?

Bał się, lecz skoro miał być mężczyzną, nie mógł wypłakiwać się na czyimś ramieniu za każdym razem, kiedy tylko śniło mu się coś złego.

– To nic. – Drżąc, powrócił na swe legowisko. – Nic mi nie jest.

Lecz sen wydawał się tak prawdziwy. Gałęzie ich mizernego szałasu zaskrzypiały poruszone wiatrem. Tak prawdziwy, jakby rozmawiali w jego głowie...

KIERUJĄC SIĘ STRZĘPAMI WIADOMOŚCI, jakie odczytali z przesyłki przyniesionej przez wróbla, każdego dnia jechali od świtu aż do późnego zmierzchu, by uciec przed zbliżającą się burzą. Lekcje szermierki ze Sludigiem odbywały się teraz przy ognisku, dlatego Simon nie miał prawie ani chwili dla siebie od momentu przebudzenia do wieczora, kiedy był już tak zmęczony, że padał wyczerpany, natychmiast zasypiając. Krajobraz, jaki widzieli codziennie, wcale się nie zmieniał: bezkresne, pagórkowate, białe pola, ciemne kępy splątanych, skarłowaciałych drzew i wiecznie wiejący

wiatr. Simon z zadowoleniem przyjął fakt, że jego broda stawała się coraz gęstsza. Wydawało mu się, że gdyby nie ona, wiatr starłby mu twarz do kości.

Podróżując przez Pustkowie, miało się wrażenie, że wiatr zupełnie ogołocił oblicze tej krainy, zostawiając tylko to, co najważniejsze. Gdyby nie coraz grubsza linia lasu na horyzoncie, można by sądzić, że każdego ranka znajdują się w tym samym, mrocznym i zimnym miejscu Pustkowia. Wspominając z rozrzewnieniem swe ciepłe łóżko, Simon doszedł do wniosku, że nawet gdyby sam Król Burz miał się wprowadzić do zamku ze swymi licznymi sługami, on i tak mógłby mieszkać w pomieszczeniach dla służby. Tak bardzo tęsknił za domem. Był tak zdesperowany, że gotów był zabrać materac do piekła, gdyby tylko diabeł pożyczył mu poduszkę.

Dni mijały, a burza zbliżała się do nich coraz bardziej; widoczny na północno-zachodnim horyzoncie czarny słup rósł nieuchronnie. Olbrzymie, chmurne ramiona chwytały firmament niczym konary sięgającego nieba drzewa. Między nimi błyskały ognie piorunów.

– Nie posuwa się bardzo szybko – powiedział Simon któregoś dnia, gdy spożywali w południe skromny posiłek. – W jego głosie zabrzmiała nuta nerwowego napięcia, które starał się ukryć.

Binabik przytaknął mu.

– Rośnie, ale rozprzestrzenia się powoli, z czego chyba możemy się cieszyć. – Troll wyglądał na wyjątkowo przygnębionego. – Im wolniej się przesuwa, tym dłużej pozostajemy poza jej zasięgiem. Myślę, że kiedy nadejdzie, przyniesie ze sobą ciemność, która nie minie jak przy zwykłej burzy.

– Co masz na myśli? – Teraz głos Simona drżał już wyraźnie.

– To nie jest zwykła burza ze śniegiem i deszczem – powiedział wolno Binabik. – Wydaje mi się, że ma przynieść ze sobą strach. Ona przychodzi

z Burzowej Góry. Wygląda bardzo nienaturalnie. – Binabik rozłożył ręce, jakby przepraszał Simona. – Rozprzestrzenia się, jak sam zauważyłeś, ale niezbyt szybko.

– Nie znam się na takich rzeczach – powiedział Sludig – ale muszę przyznać, że będę szczęśliwy, kiedy już opuścimy Pustkowie. Nie chciałbym dać się złapać jakiejkolwiek burzy na otwartym terenie, a ta wygląda szczególnie paskudnie. – Spojrzał na południe, mrużąc oczy. – Za dwa dni dotrzemy do lasu Aldheorte – powiedział. – Tam będziemy mogli się schronić.

Binabik westchnął.

– Chciałbym, żebyś miał rację, ale obawiam się, że przed tą burzą nie będzie schronienia, a już na pewno nie będzie nim las czy jakikolwiek dach.

– Masz na myśli miecze? – spytał cicho Simon.

Troll wzruszył ramionami.

– Może. Jeśli uda nam się znaleźć wszystkie trzy, wtedy, być może, moglibyśmy powstrzymać zimę albo nawet ją odegnać. Lecz najpierw musimy udać się tam, gdzie poleciła nam Geloë. Jeśli nie, to będziemy martwić się rzeczami, których nie jesteśmy w stanie zmienić, co byłoby głupotą. – Binabik wysilił się na uśmiech. – Kiedy wypadną ci już wszystkie zęby – mawiają trolle – musisz polubić papkę.

Ranek następnego dnia – siódmego spędzonego na Pustkowiu – okazał się bardzo brzydki. Wprawdzie burza wciąż pozostawała zaledwie ciemną plamą na horyzoncie, lecz nad ich głowami zebrały się bure chmury o czarnych krawędziach postrzępionych wiatrem. Do południa słońce zniknęło całkowicie za złowróżbnym całunem chmur i zaczął padać śnieg.

– To okropne – krzyknął Simon, mrużąc oczy przed siekącym śniegiem. Czuł, że drętwieją mu palce, choć na dłoniach miał grube, skórzane

rękawice. – Niczego nie widać! Nie możemy się zatrzymać i zbudować jakiegoś schronienia?

Binabik odwrócił się i zawołał do niego:

– Jeśli pojedziemy jeszcze trochę, dotrzemy do skrzyżowania! – Troll był teraz zaledwie niewyraźnym, ośnieżonym cieniem na grzbiecie Qantaqi.

– Do skrzyżowania! – ryknął Sludig. – Na tym pustkowiu?

– Podjedźcie bliżej – zawołał Binabik. – Wyjaśnię wam!

Simon i Rimmersman podjechali do wilczycy. Binabik przyłożył dłoń do ust, lecz mimo to wiatr unosił jego słowa. – Wydaje mi się, że niedaleko stąd Stary Szlak Tumet’ai schodzi się z Białym Szlakiem, który biegnie wzdłuż północnej krawędzi lasu. Na skrzyżowaniu powinno być jakieś schronienie, a przynajmniej bliżej lasu drzewa powinny rosnąć gęściej. Pojedźmy jeszcze kawałek. Jeśli nic tam nie znajdziemy, rozbijemy obóz.

– Tylko że wtedy może już być ciemno, trollu – krzyknął Sludig. – Jesteś mądry, lecz chyba będziemy potrzebować czegoś więcej niż twojej mądrości, by rozbić obóz w ciemności w taką śnieżycę. Skoro udało mi się przeżyć całe to szaleństwo, przez które przeszliśmy, nie chciałbym umrzeć w śniegu jak zbłąkana krowa! Czy ten śnieg nigdy się nie skończy?

Pojechali dalej przez ponure, mroźne popołudnie. Kobyła Simona brnęła powoli przez świeżo powstałe zaspy. Simon pochylił się nisko nad jej grzywą, próbując schować się przed wiatrem. Świat wydawał się równie biały i bezkształtny jak mąka.

Słońce było zupełnie niewidoczne. O tym, że zbliżał się wieczór, przekonali się, widząc, że i tak skąpe światło stawało się jeszcze ciemniejsze. Mimo to wydawało się, że Binabik nie ma zamiaru się zatrzymać. Jednak kiedy mijali kolejną kępę niezbyt zachęcającej wiecznie zielonej roślinności, Simon nie wytrzymał.

– Binabiku, zaraz zamarznę na śmierć! – zawołał ze złością poprzez wiatr. – Poza tym ściemnia się! Mamy kolejne drzewa, lecz my jedziemy dalej. Już prawie noc! Na cholerne Drzewo, nie jadę dalej!

– Simonie... – zaczął Binabik, starając się działać przekonująco, choć krzyczał z całych sił.

– Coś jest na drodze! – zawołał Sludig. – *Vaer!* Przed nami! Troll!

Binabik zmrużył oczy.

– Niemożliwe! – krzyknął z oburzeniem. – Żaden troll nie byłby aż tak głupi, żeby wędrować samotnie w taką pogodę!

Simon wpatrywał się w wirujący mrok.

– Niczego nie widzę.

– Ani ja. – Binabik strzepnął śnieg ze swego kaptura.

– Widziałem coś – warknął Sludig. – Może oślepia mnie śnieg, ale nie zwariowałem.

– Pewnie jakieś zwierzę – powiedział troll. – Albo, co gorsza, jeden ze zwiadowców kopaczy. Może rzeczywiście już czas, żebyśmy zatrzymali się i rozpalili ognisko, jak proponowałeś, Simonie. Tam, przed nami, widzę kępę drzew, która może okazać się dobrym schronieniem.

Na obóz wybrali najlepsze miejsce, jakie mogli znaleźć. Simon i Sludig spletli gałęzie między pniami drzew dla ochrony przed wiatrem, a Binabik zapalił wilgotne drewno za pomocą swego żółtego prochu i zaczął gotować wodę na zupę. Było zimno i nieprzyjemnie, tak że posiliwszy się skromnym posiłkiem, wszyscy trzej owinęli się płaszczami i położyli, drżąc. Wiatr wył tak głośno, że musieliby krzyczeć, gdyby przyszła im ochota na rozmowę. Choć towarzysze leżeli tuż obok, Simon poczuł się bardzo samotny ze swymi ponurymi myślami; dopiero po jakimś czasie zapadł w sen.

Simon obudził się, czując na twarzy gorący oddech Qantaqi. Wilczyca zaskomlała i trąciła go swym ogromnym łbem, tak że przewrócił się na bok.

Usiadł i zamrugał oślepiony promieniami porannego słońca, które dochodziło do wnętrza kępy drzew. Za ścianą z gałęzi utworzyła się śnieżna zaspa, która chroniła ich przed wiatrem. Dzięki temu Binabik bez problemu rozpalił ognisko.

– Dzień dobry, Simonie, przyjacielu – powiedział Binabik. – Przeżyliśmy burzę.

Simon odepchnął delikatnie łeb Qantaqi. Wilczyca zamruczała zniechęcona i odsunęła się. Pysk miała umazany krwią.

– Przez cały ranek jest niespokojna – roześmiał się Binabik. – Ale myślę, że mimo to nie przepuściła żadnej zmarzniętej wiewiórce ani ptakom, które pospadały z drzew.

– Gdzie jest Sludig?

– Przy koniach. – Binabik pogrzebał w ognisku. – Przekonałem go, że lepiej będzie wyprowadzić konie na otwartą przestrzeń, żeby rano któryś nie stąpnął ci na głowę lub na moje śniadanie. – Troll podniósł miskę. – To już ostatnia zupa. Zapamiętaj, jak smakuje, gdyż nasze suszone mięso też się prawie skończyło. Trzeba będzie ograniczyć jedzenie, jeśli mamy polegać tylko na tym, co możemy upolować.

Simon zadrżał, rozcierając garść śniegu na twarzy.

– Ale przecież dojdziemy chyba niedługo do lasu?

Binabik ponownie podsunął mu miskę z zupą.

– Nawet jeśli tak, to będziemy raczej posuwać się wzdłuż jego krawędzi. Może ta droga będzie bardziej kręta, ale za to łatwiejsza, gdyż oszczędzi nam przedzierania się przez zarośla. A poza tym przy tak mroźnym lecie mało które zwierzę nie będzie siedzieć w swojej norze. Simonie, jeśli za chwilę nie weźmiesz ode mnie zupy, sam ją wypiję. Podobnie jak ty, ja także nie jestem zainteresowany śmiercią z głodu, tyle tylko, że jestem bardziej wrażliwy.

– Ach, przepraszam. Dziękuję. – Simon pochylił się nad miską, z rozkoszą wdychając unoszącą się aromatyczną parę.

– Możesz umyć miskę, kiedy zjesz. – Troll pociągnął nosem. – Dobra miska jest dużym luksusem w czasie tak niebezpiecznej podróży jak nasza.

Simon uśmiechnął się.

– Mówisz jak Rachel, Smok.

– Nie spotkałem nigdy tego Smoka, Rachel – powiedział Binabik, wstając i otrzepując śnieg ze spodni. – Lecz wydaje mi się, że jeśli ona była twoją przełożoną, to musiała być bardzo dobrą i cierpliwą osobą.

Simon zachichotał.

Późnym rankiem dotarli do skrzyżowania. Miejsca przecięcia się obu dróg zaznaczono jedynie kamieniem, który przypominał mizerny paluch wystający z zamarzniętej ziemi. Nieczułe na mróz porosty przywarły mocno do jego powierzchni.

– Stary Szlak Tumet’ai prowadzi przez las. – Binabik wskazał na ledwie widoczną ścieżkę, która wiła się między świerkami. – Myślę, że jest już nieużywany i mocno zarośnięty, dlatego powinniśmy raczej jechać Białym Szlakiem. Może napotkamy jakieś opuszczone osiedla i znajdziemy w nich coś do jedzenia.

Biały Szlak okazał się drogą nieco mniej zaniedbaną od tej, która prowadziła ze starożytnego miasta Tumet’ai. Gdzie indziej widać było ślady podróżujących tędy ludzi: zardzewiała i połamana obręcz żelaznego koła zwisająca z przydrożnej gałęzi – wrzucił ją tam pewnie rozgniewany woźnica; gdzie indziej leżał wyrzucony prawdopodobnie z wozu zaostrzony kołek, który mógł służyć do rozbijania namiotu; minęli też ułożone w krąg osmalone kamienie, przykryte częściowo śniegiem.

– Kto tu może mieszkać? – spytał Simon. – Po co tu w ogóle droga?

– Kiedyś na wschód od opactwa świętego Skendiego znajdowało się kilka osad – wyjaśnił Sludig. – Pamiętasz opactwo Skendiego, zagrzebane w śniegu miejsce, które mijaliśmy w drodze na Smoczą Górę. Było tu nawet kilka miast: Sovebek, Grinsaby i inne. A poza tym jakieś sto lat temu ludzie podróżowali tędy wokół wielkiego lasu, kiedy wracali na Północ od Thrithingów, więc pewnie było tutaj i kilka gospód.

– Wcześniej niż sto lat temu – przemówił Binabik – w tej części świata panował duży ruch. My, Qanucowie – to znaczy niektórzy z nas – podróżowaliśmy latem dalej na południe, czasem nawet aż do granic nizin. Sithowie także wiele podróżowali. Tak pusto zrobiło się tutaj dopiero teraz, w tych smutnych czasach.

– Rzeczywiście wygląda jak pustkowie – powiedział Simon. – Jakby nikt tu już nie mieszkał.

Przez całe popołudnie jechali krętym szlakiem. Teraz, kiedy znaleźli się w pobliżu krawędzi lasu, drzewa rosły coraz gęściej; chwilami wydawało im się nawet, że mimowolnie wjechali do lasu Aldheorte. Wreszcie dotarli do kolejnego kamienia. Tkwił przy drodze mocno pochylony, lecz w pobliżu nie było żadnego skrzyżowania ani innego szczególnego miejsca. Sludig zsiadł z konia, by lepiej się rozejrzeć.

– Kamień pokryty jest pismem runicznym, ale litery są mocno zniszczone. – Zerwał z kamienia kawałek zmarzniętego mchu. – Tutaj jest chyba napisane, że niedaleko znajduje się Grinsaby. – Uśmiechnął się, potrząsając skrzącą się od mrozu brodą. – Może przynajmniej znajdziemy jakieś miejsce, gdzie można by przenocować pod dachem. Byłaby to miła odmiana. – Raźno wskoczył na konia. Simon także nabrał otuchy. Nawet opuszczone miasto było lepsze od Pustkowia.

Przypomniał sobie słowa pieśni Binabika. „Pogrążyłeś się w zimnym cieniu...” Przez chwilę poczuł się bardzo samotny. Może jednak miasto nie

będzie zupełnie opuszczone. Może znajdzie się tam gospoda z ogniskiem i jedzeniem...

Kiedy Simon rozmyślał tak o wygodach cywilizacji, słońce zdążyło już na dobre schować się za lasem. Wzmógł się wiatr i zapadł wczesny, północny zmrok.

Niebo wciąż było jeszcze jasne, lecz pokryty śniegiem teren przybrał barwę niebieskawoszarą, nasiąkając cieniem jak umoczony w atramencie gałgan. Simon i jego przyjaciele gotowi byli zatrzymać się i rozbić obóz, o czym żywo dyskutowali, przekrzykując wiatr, kiedy dotarli do pierwszych zabudowań Grinsaby.

Niestety, dachy domostw zapadły się pod ciężarem śniegu, jakby chciały pozbawić Sludiga jego skromnych oczekiwań. Ogrody i wybiegi dla zwierząt też najwyraźniej były od dawna nieużywane, pokrywała je głęboka do kolan warstwa śniegu. Simon widział już na Północy tyle pustych miast, że trudno było mu uwierzyć że Frostmarch i Pustkowie kiedyś w ogóle były zamieszkane, że ludzie żyli tutaj tak samo jak oni na swych zielonych polach Erkynlandu. Tęsknił za rodzinnymi stronami, za znajomymi miejscami, pogodą. A może zima dotarła już wszędzie?

Pojechali dalej. Wkrótce zaczęli napotykać coraz więcej opuszczonych zabudowań po obu stronach drogi, którą Binabik nazwał Białym Szlakiem. Niektóre nosiły jeszcze wyraźne ślady bytności swych właścicieli; zardzewiała siekiera ze zmurszałym trzonkiem, wbita w pieniek przed drzwiami zakrytymi prawie zupełnie zaspą śniegu albo stojąca pionowo miotła, wystająca z przydrożnej zaspy jak flaga czy ogon zamarzniętego zwierzęcia. Lecz większość gospodarstw była zupełnie pusta niczym porzucona czaszka.

– Gdzie się zatrzymamy? – zawołał Sludig. – Może się okazać, że nie znajdziemy domu, który miałby dach.

– Całkiem możliwe, dlatego rozejrzyjmy się przynajmniej za dobrymi ścianami – odparł Binabik. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Simon pociągnął go za rękaw.

– Spójrz! To jednak jest troll! Sludig miał rację! – Simon wskazał na miejsce, gdzie stała nieruchomo mała postać ubrana w płaszcz targany wiatrem. Ostatnie promienie słońca zdołały przecisnąć się między drzewami rosnącego za Grinsaby lasu i oświetliły obcego.

– Lepiej przyjrzyj się sobie – burknął Binabik, lecz uważnie zlustrował przybysza. – To nie jest troll. – Stojąca przy drodze postać była mała, ubrana w zniszczony płaszcz z kapturem. Zbyt krótkie spodnie nie sięgały butów i odsłaniały gołe, sinawe nogi.

– To jest mały chłopiec. – Stwierdziwszy to, Simon skierował swą klacz w stronę obcego. Jego towarzysze podążyli za nim. – Musi mu być strasznie zimno!

Chłopiec spojrzał na zbliżających się – na jego ciemnych brwiach i rzęsach skrzyły się płatki śniegu – i nagle zaczął uciekać.

– Stój – zawołał Simon. – Nie zrobimy ci krzywdy!

– *Halad, kunde!* – krzyknął Sludig.

Uciekający zatrzymał się i odwrócił. Sludig podjechał jeszcze kawałek, po czym zsiadł z konia i dalej poszedł pieszo.

– *Wsjer sommen marroven, kunde* – powiedział, wyciągając rękę.

Chłopiec przyglądał mu się podejrzliwie, lecz nie próbował uciekać.

Wydawał się mieć nie więcej niż siedem, osiem lat i sądząc po częściach ciała wystających spod ubrania, był chudy jak szczapa. W rękach trzymał pełno żołędzi.

– Jest mi zimno – powiedział całkiem poprawnie w języku Westerling.

Sludig popatrzył na niego zaskoczony, lecz uśmiechnął się i skinął głową.

– Chodź, chłopcze. – Odebrał od chłopca żołędzie i wsypał je do kieszeni swego płaszcza, po czym wziął malca na ręce. Obcy nie stawiał oporu. – Już dobrze. Pomożemy ci.

Rimmersman posadził ciemnowłosego chłopca przed sobą na siodle i otulił go płaszczem, w który sam był ubrany, tak że wydawało się, iż głowa chłopca wyrasta wprost z brzucha Sludiga.

– Trollu, czy teraz możemy spróbować znaleźć jakieś miejsce na postój? – warknął.

– Oczywiście – odparł Binabik.

Qantaqa ruszyła przed siebie. Simon i Sludig pojechali za trollem. Chłopiec wpatrywał się w wilczycę szeroko otwartymi oczami, lecz bez większego strachu. Dziura, którą wydeptał na ziemi w śniegu, szybko wypełniała się padającymi płatkami.

Kiedy jechali przez opuszczone miasto, Sludig wyjął bukłak z kangkang i pozwolił chłopcu wypić spory łyk. Chłopiec zakasłał, lecz poza tym sprawiał wrażenie, że nie jest mu obca gorycz płynu ludu Qanuc. Simon doszedł do wniosku, że obcy może być starszy, niż wydawał się na pierwszy rzut oka: jego zdecydowane ruchy sprawiały wrażenie, że nie jest wcale takim dzieckiem, jak sądzili. Wyglądał młodziej, być może, przez swoje duże oczy i szczupłą sylwetkę.

– Jak ci na imię, chłopcze? – spytał Sludig.

Obcy przyjrzał mu się uważnie.

– Vren – odpowiedział wreszcie; mówił płynnie z dziwnym akcentem. Pociągnął za bukłak, lecz Sludig pokręcił głową i wsunął go do torby zawieszonej na siodle.

– Shem? – spytał Simon zdumiony.

– Chyba Vren – powiedział Binabik. – To jest imię Hyrka. On może należeć do ludu Hyrka.

– Popatrzcie, jakie ma czarne włosy – odezwał się Sludig. – I skórę. Jeśli on nie jest Hyrką, ja nie jestem Rimmersmanem. Ale co on robi na tym śnieżnym pustkowiu?

Simon wiedział, że lud Hyrka był wędrownym plemieniem. Hyrkowie bardzo dobrze znali się na koniach i doskonale radzili sobie w grach, w których inni przegrywali pieniądze. Często spotykał ich na wielkim targu w Erchesterze. – Czy Hyrkowie mieszkają tutaj, na Białym Pustkowiu?

Sludig zmarszczył brwi.

– Nigdy o tym nie słyszałem, ale ostatnio widziałem takie rzeczy, w które nigdy nie uwierzyłbym w Elvritshalli. Myślałem, że głównie mieszkają w miastach albo na równinach razem z Thrithingami.

Binabik wyciągnął rękę i poklepał chłopca.

– Mnie też tak uczono, choć niektórzy z nich mieszkają również na wschód od Pustkowia, na stepach.

Kiedy ujechali trochę, Sludig znowu zsiadł z konia, by poszukać jakichś nadających się do zamieszkania domów. Wrócił, kiwając smętnie głową, i podszedł do Vrena. Chłopiec patrzył na niego spokojnie swymi brązowymi, ogromnymi oczami.

– Gdzie mieszkasz? – spytał Rimmersman.

– Ze Skodi – padła odpowiedź.

– Czy to jest gdzieś niedaleko? – spytał Binabik. Chłopiec wzruszył ramionami. – Gdzie są twoi rodzice? – Reakcja chłopca była taka sama.

Troll zwrócił się do swoich towarzyszy.

– Może Skodi to imię jego matki. Albo tak nazywa się jakaś osada znajdująca się w pobliżu Grinsaby. Możliwe też, że chłopiec odłączył się od karawany, choć jestem pewny, że nawet w najlepszych czasach te drogi nie były często używane. Nie mógłby chyba długo przetrwać sam w taką

zimę? – Troll wzruszył ramionami, jakby przejął sposób reagowania chłopca.

– Czy on zostanie z nami? – spytał Simon. Sludig mruknął coś zniecierpliwiony, lecz nic nie powiedział. Simon odwrócił się do niego rozzłoszczony. – Nie możemy go tutaj zostawić, żeby zamarzł na śmierć!

Binabik pokiwał dłonią pojednawczo.

– Nie ma obawy, nie zostawimy go. Wydaje mi się, że muszą tu gdzieś mieszkać jacyś ludzie poza Vrenem.

Sludig wstał.

– Troll ma rację: muszą mieszkać tutaj jacyś ludzie. Głupotą byłoby zabieranie chłopaka ze sobą.

– Pamiętam, że kiedyś ktoś mówił tak samo o Simonie – odparł Binabik ze spokojem. – Ale zgadzam się co do pierwszej części twej wypowiedzi. Znajdźmy jego dom.

– Może trochę jechać ze mną – powiedział Simon.

Rimmersman skrzywił się, lecz podał mu chłopca, który nie stawiał najmniejszego oporu. Simon otulił go swym płaszczem, tak samo jak Sludig przedtem.

– Śpij teraz, Vrenie – szepnął. W ruinach domów zajęczał wiatr. – Jesteś wśród przyjaciół. Zabierzemy cię do domu.

Chłopiec wpatrywał się w niego z namaszczeniem niczym drobny urzędnik przyglądający się ważnym osobistościom. Wysunął spod płaszcza swą małą dłoń i pogładził grzbiet Nadziei. Simon chwycił cugle jedną ręką, a drugą objął wpół siedzącego przed nim chłopca. Czuł się teraz bardzo dorosły i bardzo odpowiedzialny.

„Czy ja kiedyś będę ojcem? – zastanawiał się, kiedy jechali w zapadającym zmroku. – Czy będę miał synów? – zamyślił się nad tym przez chwilę. – A może córki?”

Wydawało mu się, że wszyscy ludzie, których znał, stracili ojców: Binabik w lawinie, ojciec księcia Josui zmarł ze starości, ojciec Jeremiasa, chłopca od kupca, zmarł na suchoty, może nawet i ojciec księżniczki Miriamele nie żył. Pomyślał o swoim ojcu, który utonął, zanim Simon się urodził. Czy ojcowie byli jak psy czy koty, płodzili dzieci, a potem odchodzili?

– Sludigu? – zawołał. – Czy ty masz ojca?

Rimmersman odwrócił się i spojrzał na niego poirytowany.

– O co ci chodzi, chłopcze?

– To znaczy, chciałem spytać, czy on żyje?

– O ile wiem, tak – odparł zdawkowo Rimmersman. – Ale wcale mnie to nie obchodzi. Nie zmartwiłbym się, gdyby się okazało, że ten stary diabeł jest już w piekle – dodał i odwrócił się.

„Ja nie będę takim ojcem” – zdecydował Simon i mocniej objął chłopca. Vren poruszył się pod płaszczem Simona. „Ja zostanę ze swoim synem. Będziemy mieli dom i nie odejdę z niego”.

Ale kto mógłby być matką? W jego wyobraźni zaczęły pojawiać się przypadkowe twarze: Miriamele, ledwie widoczna na swym balkonie w Hayholt, pokojówka Hepzibah, surowa, stara Rachel i groźnie spoglądająca lady Vorzheva. Gdzie byłby jego dom? Rozejrzał się po niekończącym się Białym Pustkowiu, a potem jego wzrok spoczął na zbliżającym się powoli cieniu lasu Aldheorte. Jak w tym zwariowanym świecie można było mieć nadzieję, że zamieszka się w jednym miejscu? Skłamałby, obiecując to swojemu dziecku. Dom? Będzie miał szczęście, jeśli znajdzie jakiekolwiek miejsce, żeby schować się w nocy przed wiatrem. Simon roześmiał się drwiąco, a Vren poruszył się niespokojnie; mocniej otulił płaszczem siebie i chłopca.

Dojechali już do wschodniego krańca Grinsaby, lecz nie spotkali już żywej duszy. Nic też nie wskazywało, żeby ktoś mieszkał tu ostatnio. Wypytywali Vrena, lecz on wciąż powtarzał tylko imię Skodi.

– Czy Skodi jest twoim ojcem? – spytał Simon.

– To jest kobiece imię – powiedział Sludig. – Imię kobiety Rimmersmenów.

Simon zapytał chłopca powtórnie:

– Czy Skodi jest twoją matką?

Vren pokręcił głową.

– Mieszkam ze Skodi. – Powiedział to tak wyraźnie pomimo swego akcentu, że Simon znowu zaczął się zastanawiać, czy nie jest starszy, niż go ocenili.

Jechali Białym Szlakiem wśród łagodnych wzgórz, między którymi czaiły się ostatnie, opuszczone domostwa. Zapadająca noc wypełniała przestrzeń między drzewami atramentowymi cieniami. Simon doszedł do wniosku, że jadą stanowczo za długo i że dawno temu powinni byli zatrzymać się na posiłek. W ciemności ich poszukiwania stały się zupełnie bezowocne. Binabik zapalał właśnie smolistą, sosnową gałąź, która miała posłużyć jako pochodnia, gdy Simon dostrzegł w oddali, pomiędzy drzewami błysk światła.

– Patrzcie tam! – zawołał. – To chyba ognisko!

Widoczne z daleka ośnieżone drzewa zdawały się jarzyć czerwonym blaskiem.

– Dom Skodi! Dom Skodi! – zawołał chłopiec, podskakując tak, że Simon musiał go mocno przytrzymać. – Ucieszy się!

Podróżni zatrzymali się wpatrzeni w migocące światło.

– Podjedźmy ostrożnie – powiedział Sludig, rozluźniając nieco uchwyt na swej włóczni, którą otrzymał od trolli. – Cholernie dziwne miejsce

wybrali sobie na mieszkanie. Nie mamy pewności, czy przyjmą nas życzliwie.

Słysząc słowa Sludiga, Simon poczuł dreszcz strachu. Gdyby tylko miał pewność, że poradzi sobie z Cierniem. Uspokoił się nieco, kiedy dotknął dłonią swego kościanego noża.

– Pojadę pierwszy – powiedział Binabik. – Jestem mniejszy, a Qantaqa porusza się ciszej. Podjedziemy bliżej i rozejrzymy się.

Troll szepnął coś do Qantaqi i wilczyca zeszła z drogi, pogrążając się w mroku nocy; jej ogon kołysał się jak obłoczek dymu.

Minęło kilka minut. Simon i Sludig jechali wolno, w milczeniu, między ośnieżonymi pagórkami. Wpatrując się w obiecujące światło migocące między wierzchołkami drzew, Simon pogrążył się jakby we śnie, z którego wytrącił go nagle troll. Qantaqa wyszczerzyła zęby w niemym uśmiechu, wywieszając swój długi jęzor.

– To jest chyba stary klasztor – oświadczył Binabik; jego twarz prawie zupełnie ginęła pod kapturem. – Na dziedzińcu pali się ognisko, a wokół siedzi kilka osób; wyglądają na dzieci. Nie widziałem koni ani nikogo, kto chciałby zastawić na nas pułapkę.

Wjechali cicho na szczyt najbliższego pagórka. W dole ujrzeli ognisko na polance otoczonej drzewami, a wokół niego małe, podskakujące postacie. Za ogniskiem widać było popękaną i rdzawą od blasku ognia ścianę klasztoru. Był to stary budynek, mocno zniszczony deszczem i wiatrem: tynk popękał, długi dach zapadł się w kilku miejscach – powstałe tam dziury przypominały szeroko otwarte usta. Wiele z rosnących dookoła budynku drzew wpychało swe konary przez małe okna, jakby chciały schronić się przed zimnem.

Kiedy tak stali wpatrzeni, Vren wymknął się pod ramieniem Simona i zsunął z siodła, przewracając się w śnieg. Przez chwilę stał, drżąc jak pies,

po czym pomknął w dół w kierunku ogniska. Niektóre z małych postaci odwróciły się w jego stronę i zawołały coś wesoło. Vren zatrzymał się między nimi, gestykulując żywo rękoma, a potem przeskoczył przez próg frontowych drzwi i zniknął w jasnym wnętrzu klasztoru.

Gdy minęło sporo czasu i nikt nie pojawił się w drzwiach, Simon spojrzał pytająco na swych towarzyszy.

– Zdaje się, że to jego dom – powiedział Binabik.

– Jedziemy dalej? – spytał Simon, lecz miał nadzieję, że Sludig i Binabik nie przyjmą jego propozycji. Sludig rzucił mu ponure spojrzenie i chrząknął zniecierpliwiony.

– Głupotą byłoby przepuścić okazję spędzenia nocy w cieple – mruknął. – Przecież zdecydowaliśmy się rozbić obóz. Ale ani słowa o tym, kim jesteśmy i co tutaj robimy. Jeśli będą pytać, powiemy, że jesteśmy żołnierzami zbiegłymi z garnizonu w Skoggey.

Binabik uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze pomyślane, lecz wątpię, by można było mnie wziąć za wojownika Rimmersmenów. Chodźmy, przyjrzymy się domowi Vrena.

Ruszyli żywo w kierunku polany. Małe postacie, które po przyjściu Vrena powróciły do tańca przy ogniu, zastygły w bezruchu i zamilkły na widok Simona i jego towarzyszy. Binabik miał rację, mówiąc, że są to dzieci, tyle tylko, że ubrane w łachmany.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na nowo przybyłych. Simon czuł, że przyglądają mu się uważnie. Dzieci były w różnym wieku, od trzech czy czterech lat do wieku Vrena albo nawet nieco starsze i wcale nie były do siebie podobne. Była wśród nich dziewczynka o włosach i oczach równie czarnych jak włosy i oczy Vrena, ale było też dwoje czy troje blondynów, którzy bez wątpienia pochodzili z Rimmersgardu. Wszystkie dzieci przyglądały się uważnie przybyszom szeroko otwartymi oczami. Kiedy

Simon, Sludig i Binabik stanęli na ziemi, głowy patrzących poruszyły się równocześnie, lecz nie padło ani jedno słowo.

– Witajcie – odezwał się Simon. Stojący najbliżej niego chłopiec obrzucił go ponurym spojrzeniem; po jego twarzy skakały płomienie z ogniska. – Czy twoja mama jest tutaj? – Chłopiec wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Chłopiec, którego przywieźliśmy, wszedł do środka – powiedział Sludig. – Tam pewnie też są dorośli.

Podrzucił w dłoni swą włócznię w zamyśleniu i natychmiast oczy dzieci z niepokojem podążyły za jego ruchem. Rimmersman z włócznią w dłoni ruszył w stronę drzwi, które zamknął za sobą Vren, po czym oparł ją o popękaną ścianę, rzucając groźne spojrzenie w stronę milczących dzieci.

– Nikomu nie wolno jej dotykać – powiedział. – Zrozumiano? *Gjal es, künden!*

Poklepał dłonią pochwę miecza i uderzył pięścią w drzwi. Simon spojrzał w tył na Cierń, zawinięty w skórę i przytwierdzony do jednego z bagaży. Zastanawiał się, czy zabrać go ze sobą, lecz doszedł do wniosku, że niepotrzebnie zwróciłby na niego uwagę dzieciaków. Bolało go, że tyle wysiłku kosztowało zdobycie czarnego miecza, a teraz zostawia go przywiązanego do siodła, jakby to była stara miotła.

– Binabiku – powiedział cicho, wskazując na ukryty miecz. – Czy myślisz, że...?

– Jestem pewien, że nie mamy się czego obawiać – szepnął troll. – Nawet gdyby dzieciaki próbowały go ukraść, musiałyby się nieźle namęczyć, żeby go unieść.

Masywne drzwi otworzyły się powoli. Na progu stał mały Vren.

– Wejdźcie, ludzie. Skodi mówi, żebyście weszli.

Binabik zsiadł z Qantaqi. Wilczyca pokręciła łbem, węsząc dookoła, i pomknęła w kierunku, skąd właśnie przybyli. Dzieci przy ognisku patrzyły za nią uważnie.

– Niech idzie polować – powiedział Binabik. – Nie przepada za zwiedzaniem ludzkich domów. Chodź, Simonie, nie możemy odrzucać gościnności, którą nam zaoferowano. – Troll minął Sludiga i wszedł za Vrenem do środka.

W palenisku płonął ogień prawie tak duży jak ognisko na dziedzińcu; huczał i trzeszczał, rzucając przedziwne cienie na popękane, pokryte pajęczynami ściany. W pierwszej chwili Simonowi wydawało się, że jest w norze jakiegoś zwierzęcia. Wszędzie widać było wiązki słomy, stosy ubrań i innych dziwnych przedmiotów.

– Witajcie, przybysze – powiedział ktoś. – Jestem Skodi. Czy macie coś do jedzenia? Dzieci są bardzo głodne.

Siedziała w fotelu tuż przy palenisku, a na jej kolanach i u jej stóp bawiło się kilkanaścioro dzieci młodszych od tych, które spotkali na zewnątrz. Początkowo Simon myślał, że Skodi jest jeszcze jednym dzieckiem, tyle tylko, że bardzo dużym, lecz przyjrzawszy się lepiej, stwierdził, że jest w jego wieku, a może nawet trochę starsza. Jej jasne, równie bezbarwne jak pajęcza nić włosy, okalały okrągłą twarz, która – mimo paru skaz – mogłaby być całkiem ładna, gdyby dziewczyna nie była tak gruba. Siedziała spokojnie i przyglądała się badawczo przybyszom swymi jasnoniebieskimi oczami.

Sludig spoglądał na nią podejrzliwie, czując się nieswojo w niewielkim pomieszczeniu.

– Coś do jedzenia? Niewiele... – Zawahał się na chwilę. – Ale chętnie podzielimy się tym, co mamy.

Machnęła dłonią niedbale, zrzucając niemal z kolan swym pulchnym, różowym ramieniem śpiącego malca.

– Nieważne. Jakoś sobie dajemy radę. – Zgodnie z przewidywaniami Sludiga posługiwała się językiem Westerling z mocnym rimmersgardzkim akcentem. – Siadajcie i powiedzcie mi, co nowego w świecie. – Zmarszczyła brwi i wydęła czerwone usta. – Może znajdzie się gdzieś tutaj trochę piwa. Wy, mężczyźni, lubicie piwo, prawda? Vrenie, poszukaj piwa. A gdzie są żołędzie, po które cię posłałam?

– Och. – Sludig wyjął nieśmiało żołędzie Vrena z kieszeni swego płaszcza.

– Dobrze – powiedziała Skodi. – A teraz idź po piwo.

– Tak, Skodi. – Vren pobiegł między dwoma rzędami zgromadzonych jedne na drugich stołków i zniknął w pogrążonym w cieniu drugim końcu pomieszczenia.

– Jak to możliwe, jeśli wolno nam spytać, że udało wam się tutaj przeżyć? – spytał Binabik. – To miejsce wydaje się zupełnie opuszczone.

Skodi już wcześniej przyglądała mu się chciwie. Teraz uniosła brwi zdumiona.

– Myślałam, że jesteś dzieckiem! – Była najwyraźniej rozczarowana. – Ale ty jesteś małym mężczyzną.

– Qanucem, moja pani. – Binabik skłonił się lekko. – Wy nazywacie ich trollami.

– Troll! – Klasnęła w dłonie uradowana.

Tym razem jedno z dzieci śpiących na jej kolanach zsunęło się na rozłożone wokół jej stóp koce. Malec nie obudził się, a na jego miejsce natychmiast wgramolił się inny.

– Wspaniale! Nigdy jeszcze nie gościliśmy tutaj trolla! – Odwróciła się i zawołała w stronę ciemnego końca pomieszczenia. – Vrenie! Gdzie jest

piwo dla tych mężczyzn?

– Skąd są te dzieciaki? – spytał Simon. – Czy wszystkie są twoje?

Dziewczyna popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Tak. Teraz są moje. Ich rodzice nie chcieli ich, więc są ze Skodi.

– No tak... – odezwał się Simon z zakłopotaniem. – To bardzo ładnie z twojej strony. Ale czym je karmisz? Mówiłaś, że są głodne.

– Tak, to rzeczywiście ładnie z mojej strony – przytaknęła mu Skodi z uśmiechem. – Ale tak właśnie mnie nauczono. Usires Pan mówił, żeby dawać schronienie dzieciom.

– Słusznie – burknął Sludig. – Dobrze mówisz.

W kręgu światła pojawił się Vren z dzbanem piwa i kilkoma popękanymi kielichami. Stos naczyń kołysał się niebezpiecznie, lecz przy pomocy podróżnych udało mu się postawić go i nalać wszystkim przybyszom piwa. Wzmógł się wiatr i płomienie w palenisku podskoczyły gwałtownie.

– Bardzo dobre ognisko – powiedział Sludig, ocierając wąsy z piany.

– Pewnie trudno ci było znaleźć suche drewno po wczorajszej burzy.

– Och, Vren narąbał dużo wczesną wiosną. – Pogłaskała głowę chłopca swą pulchną dłonią. – Potrafi też zabijać zwierzęta i gotować. Tak, Vren to dobry chłopak.

– Czy nie ma tutaj starszych? – spytał Binabik. – Nie chcę być nieuprzejmy, ale wydajesz się zbyt młoda na to, żeby opiekować się dziećmi na takim odludziu.

Skodi przyjrzała mu się uważnie, zanim odpowiedziała.

– Już ci mówiłam. Ich ojcowie i matki odeszli. Tylko ja zostałam. Ale dajemy sobie radę całkiem dobrze, prawda, Vrenie?

– Tak, Skodi. – Widać było, że chłopcu zamykają się już oczy. Usiadł wygodnie oparty o jej nogę, delektując się ciepłem z paleniska.

– A zatem – odezwała się Skodi. – Mówiliście, że macie coś do jedzenia. Może więc zjemy razem. Znajdzie się gdzieś tutaj kilka naczyń. Vrenie, leniuchu, obudź się! – Szturchnęła go delikatnie w głowę. – Obudź się. Czas przygotować kolację!

– Nie budź go – powiedział Simon, spoglądając ze współczuciem na czarnowłosego malca. – My zajmiemy się posiłkiem.

– Nonsens – odparła Skodi. Ponownie szturchnęła opierającego się Vrena. – On uwielbia przygotowywać kolacje. Przynieście to, co macie. Zostaniecie chyba na noc? W takim razie rozsiodłajcie konie. Zdaje się, że stajnia jest po drugiej stronie dziedzińca. Vrenie, leniuchu, wstawaj! Gdzie jest stajnia?

Za stajnią las dochodził do samego klasztoru. Przyprószone śniegiem stare drzewa kołysały się monotonnie, kiedy Simon i jego towarzysze wrzucali słomę na podłogę jednej z przegród, a do żłoba nanieśli śniegu, który miał później stopnieć. Stajnia sprawiała wrażenie używanej od czasu do czasu – na ścianach wisiały poczerniałe pochodnie, a szczeliny w popękanym tynku nosiły ślady prowizorycznej naprawy – lecz trudno było powiedzieć, kiedy ktoś korzystał z niej po raz ostatni.

– Czy mamy wnieść do środka wszystkie nasze bagaże? – spytał Simon.

– Tak myślę – odparł Binabik, poluzowując popręg jednego z jucznych koni. – Nie sądzę, żeby dzieci chciały ukraść coś, czego nie da się zjeść, ale pewne rzeczy mogą się gdzieś zapodziać.

Czuć było mocny zapach mokrej sierści koni. Simon potarł twardy bok Nadziei.

– Czy to nie dziwne, że mieszkają tu same dzieci?

Sludig roześmiał się krótko.

– Śnieżnowłosy, ta młoda kobieta jest starsza od ciebie; o tak, całkiem pokaźna kobieta. Dziewczyny w jej wieku często mają już swoje dzieci.

Simon zarumienił się i już chciał odgryźć się Sludigowi, lecz przerwał mu Binabik.

– Wydaje mi się – powiedział troll – że to, co mówi Simon, ma sens. Pewne rzeczy są tutaj niejasne. Nie zaszkodzi zadać jeszcze kilka pytań naszej gospodyni.

Simon owinął Cierń płaszczem. W tej chwili miecz był dość lekki. Wydawało się też, że pulsuje delikatnie, lecz Simon podejrzewał, że mogło to być tylko drżenie jego zziębniętych dłoni. Kiedy Vren zaprowadził ich do środka, umieścił miecz w pobliżu paleniska, gdzie mieli spać, i położył na nim kilka ich toreb, jakby chciał unieruchomić śpiącą bestię.

Kolacja była mieszaniną niezwykłych potraw i dziwnych rozmów. Trzej podróżni zaoferowali resztki suszonych owoców i mięsa, Skodi i jej mali podwładni podali zaś miski pełne gorzkich żołędzi i kwaśnych jagód. Przeszukując zrujnowaną spiżarnię, Vren znalazł spleśniały, lecz zjadliwy jeszcze ser, który jedli, popijając mętnym, rimmersgardzkim piwem. Ten skromny posiłek musiał zadowolić wszystkich; okazało się, że dzieci jest kilkanaścioro.

W czasie kolacji Binabik nie miał zbyt wiele okazji, by zadać więcej pytań. Te spośród podopiecznych Skodi, które były dość duże, by bawić się na zewnątrz, wciąż wstawały, by opowiedzieć o niesamowitych przygodach, jakie je spotkały tego dnia – tak niesamowitych, że nie mogły być prawdziwe. Jedna z dziewczynek opowiedziała o tym, jak to poleciała na czubek ogromnej sosny i ukradła piórko zaczarowanej sójki. Jeden ze starszych chłopców zaś zarzekał się, że w grocie w lesie znalazł skrzynię pełną złota należącego do ogra. Kiedy przyszła kolej na Vrena, ten ze spokojem opowiedział, jak to w czasie zbierania żołędzi napadł go i gonił

lodowy demon o lśniących, niebieskich oczach, a potem Simon i jego towarzysze uratowali go z mroźnych szponów bestii, siekąc go swymi mieczami, aż zostały z niego zaledwie lodowe okruchy.

W czasie kolacji Skodi kolejno brała na kolana mniejsze dzieci, przez cały czas słuchając opowieści z wyrazem zazdrosnej fascynacji na twarzy. Nagrodą za opowieść, która szczególnie jej się podobała, była dodatkowa porcja jedzenia. Dzieci przyjmowały je z taką łapczywością, że Simon doszedł do wniosku, iż po to tylko wymyślały tak nieprawdopodobne historie, by móc otrzymać kilka dodatkowych kęsów.

W twarzy Skodi było coś, co przyciągało uwagę Simona. Mimo ogromnej tuszy zachowała dziewczęcą kruchość oraz wesołość w uśmiechu i oczach. Kiedy śmiała się, słuchając którejś z historyjek dzieci, albo tak odwracała głowę, że blask ognia lśnił wesoło na jej płowych włosach, wydawała mu się całkiem ładna; kiedy indziej, gdy chciwie zabierała któremuś z mniejszych dzieci garść jagód i wpychała je sobie do ust czy też zamierała na moment zachwycona opowieścią – przypominając wtedy wariatkę – Simon czuł do niej odrazę.

Kilkakrotnie zauważyła, że Simon jej się przygląda. Jej spojrzenie niepokoiło go nieco i sprawiało, że się czerwienił. Pomimo sporej tuszy Skodi patrzyła spojrzeniem, które nie byłoby obce wygłodniałemu żebrakowi.

– Tak więc – powiedziała, kiedy Vren skończył swą szaleńczą opowieść – jesteście dzielniejsi, niż przypuszczałam. – Uśmiechnęła się szeroko do Simona. – Będziemy dzisiaj spali spokojnie, wiedząc, że jesteście z nami pod jednym dachem. Nie myślicie chyba, że lodowy demon Vrena ma braci?

– Mało prawdopodobne – odparł Binabik z uśmiechem. – Nie musicie się bać żadnych demonów, dopóki jesteśmy z wami. Wdzięczni jesteśmy, że

w zamian otrzymaliśmy dach nad głową i porządne ognisko.

– Och, nie – powiedziała Skodi, otwierając szeroko oczy. – To ja powinnam być wdzięczna. Nie mamy tu wielu gości. Vrenie, przygotuj spanie dla mężczyzn. Słyszysz mnie?

Vren wpatrywał się w Simona; jego czarne oczy przypominały studnie bez dna.

– Wspomniałaś coś o gościach, moja pani – wtrącił Binabik. – Skoro mówimy już o tym, to dręczy mnie pytanie, które chciałem zadać wcześniej. Jak to się stało, że znalazłaś się z dziećmi w tak odludnym miejscu?

– Nadeszły burze. Inni uciekli. Nie mieliśmy dokąd pójść. – Mówiła szybko, lecz z trudem potrafiła ukryć urażony ton. – Nie chcieli nas; nie chcieli dzieci. – Na wspomnienie dzieci jej głos złagodniał. – Czas, by maluchy poszły spać. Pomóżcie mi wstać.

Kilkoro z podopiecznych szybko poderwało się, by podźwignąć jej ogromne ciało z fotela. Idąc wolno w stronę drzwi znajdujących się w końcu pokoju z dwojgiem śpiących niemowląt uczepionych jej ciała jak małe nietoperze, zawołała:

– Vren pokaże wam drogę! Vrenie, przynieś świecę, kiedy będziesz wracał. – Zniknęła w ciemności.

Simon obudził się niespokojny w środku nocy, przestraszony ciemnością rdzawą od ognia i zupełnie pozbawioną światła gwiazd, a także zaniepokojony cieniutką nicią dźwięku, który wplatał się w niemy obraz pieśni wiatru. Potrzebował kilku chwil, żeby przypomnieć sobie, że śpią przy ognisku w starym klasztorze ogrzani ciepłem jego żaru i bezpiecznie schronieni pod jego dachem i rozpadającymi się ścianami. Wkrótce zorientował się, że dźwiękiem, który dochodził gdzieś z oddali, było

samotne wycie Qantaqi. Uspokoił się nieco, lecz strach nie całkiem go opuścił.

„Czy to był sen ostatniej nocy? Shem, Ruben i tamte głosy? Czy był to tylko szalony sen, czy może coś tak prawdziwego”.

Od tamtej nocy, kiedy uciekł z Hayholt, ani przez chwilę nie czuł się panem swego przeznaczenia. Już w czasie Nocy Kamienowania, kiedy w jakiś tajemniczy sposób odczuwał ohydne myśli Pryratesa i wbrew sobie był świadkiem rytuału, w czasie którego Elias otrzymał straszliwy miecz, Smutek, Simon zastanawiał się, czy w ogóle potrafi panować nad swym umysłem. Jego sny swą realnością znacznie wykraczały poza zwykłe majaki senne. Sen w domu Geloë, w którym ciało Morgenesa ostrzegło go przed fałszywym zwiastunem, czy powracająca wizja ogromnego, toczącego się koła i przypominającego wieżę drzewa: wizje te były zbyt natarczywe, zbyt mocne, by mógł je traktować tylko jako nękające go urojenia. Nie dalej jak poprzedniej nocy słyszał we śnie Pryratesa rozmawiającego z nieziemską istotą tak wyraźnie, jakby podsłuchiwał pod drzwiami. Nie były to sny, jakie miewał przedtem.

Kiedy Geloë i Binabik zabrali go na Ścieżkę Snów, sen, którego doświadczył wtedy, był bardzo podobny do pozostałych: czuł, że śni, lecz był to sen o niezwykłej sile i wyrazistości. Może to Pryrates albo coś innego spowodowało na wzgórzu, że otworzyły się w nim drzwi, które czasami prowadziły na drogę snów. Wszystko to wydawało się szaleństwem, lecz czy istniało jeszcze coś normalnego na tym świecie? Sny z pewnością są ważne; kiedy budził się, miał uczucie, że umyka mu coś nieskończenie ważnego, choć nigdy nie wiedział, co to mogło być.

Wśród wichru szalejącego za ścianami klasztoru rozlegało się żałosne wycie Qantaqi. Simon dziwił się, że troll nie wstaje, by ją uspokoić, lecz Binabik i Sludig chrapali niewzruszenie. Simon chciał wstać, żeby wpuścić

ją do środka – wydawała się tak bardzo samotna i opuszczona, a poza tym na zewnątrz było tak zimno – lecz stwierdził, że jego kończyny są zupełnie bezwładne. Spróbował jeszcze raz, lecz bez powodzenia. Tak jakby miał ręce i nogi zrobione z drewna.

Nagle poczuł się bardzo senny. Próbował opierać się senności, lecz ona wciągała go nieubłaganie. Dochodzące z oddali wycie Qantaqi ustało, a on wciąż osuwał się, jakby opadał w nieznane...

Kiedy obudził się ponownie, ostatnie węgle z paleniska wypaliły się już i w pomieszczeniu panowała kompletna ciemność. Czyjaś zimna dłoń dotykała jego twarzy. Otworzył usta przerażony, lecz prawie nie mógł oddychać. Czuł, że jego ciało jest wciąż ciężkie i że nie może się ruszać.

– Ładniutki – szepnęła Skodi; była zaledwie ciemniejszym cieniem w ciemności; Simon bardziej wyczuwał ją nad sobą, niż widział. Pogładziła jego policzek. – Masz już bródkę. Ładniutki. Zatrzymam cię.

Simon bezskutecznie próbował uniknąć jej dotyku.

– Ciebie też nie chcą, prawda? – powiedziała śpiewnym głosem, jakby rozmawiała z dzieckiem. – Ja to czuję. Skodi wie. Wyrzutek. Słyszę to w twojej głowie. Ale nie dlatego kazałam Vrenowi cię sprowadzić.

Usadowiła się obok niego w ciemności, przypominając namiot, który pozrywał się z kołków.

– Skodi wie, co ty masz. Słyszałam to, jak grało w moich uszach, i widziałam w snach. Pani Srebrzysta Maska chce to dostać. Jej Pan Czerwone Oczy też tego chce. Chcą zabrać miecz, czarny miecz. A kiedy go im dam, będą dla mnie mili. Będą kochać Skodi i dadzą jej prezenty.

Chwyciła pukiel włosów Simona w swe pulchne palce i szarpnęła go mocno. Uczucie bólu było bardzo odległe. Chwilę później pogładziła dłonią twarz i głowę Simona, jakby chciała mu wynagrodzić zadany wcześniej ból.

– Ładniutki – odezwała się wreszcie. – Przyjaciel dla mnie, przyjaciel w moim wieku. Na to czekałam. Zabiorę sny, które cię męczą. Zabiorę od ciebie wszystkie sny. Potrafię to zrobić.

Skodi mówiła teraz jeszcze ciszej i Simon zdał sobie sprawę, że nie słyszy już oddechów przyjaciół. Zastanawiał się, czy leżą cicho w ciemności i czekają na odpowiedni moment, żeby go uratować. Modlił się, żeby tak było i żeby szybko to zrobili. Miał wrażenie, że jego serce jest równie omdlałe jak jego ciało, choć czuł wyraźnie pulsujący w nim strach.

– Wypędzili mnie z Haethstad – mruczała Skodi. – Moją rodzinę i sąsiadów. Powiedzieli, że jestem czarownicą. Mówili, że rzucam na ludzi uroki. Wypędzili mnie. – Skodi zaczęła przeraźliwie sapać. Kiedy odezwała się ponownie, jej słowa zniekształcone były płaczem. – Po...pokazałam im. Kiedy ojciec spał pijany, zadźgałam matkę nożem i włożyłam nóż do jego dłoni. Sam się zabił. – Zaśmiała się gorzko, lecz w jej śmiechu nie czuło się wyrzutów sumienia. – Zawsze widziałam rzeczy, których inni nie potrafili zobaczyć, myślałam o rzeczach nieznanych innym. A potem, kiedy nadeszła surowa zima i nie odchodziła, mogłam też robić różne rzeczy. Teraz potrafię robić rzeczy, jakich nikt inny nie potrafi. – Mówiła teraz uniesionym głosem. – Moja siła wciąż rośnie. Jestem coraz silniejsza. Kiedy dam Pani Srebrzystej Masce i Panu Czerwone Oczy miecz, którego szukają, śpiewający, czarny miecz, który słyszałam w snach, wtedy będę taka jak oni. Wtedy wszyscy będą przepraszać mnie i dzieci.

Mówiąc to, w zamyśleniu wsunęła swą zimną dłoń pod koszulę Simona i gładziła jego pierś, jakby głaskała psa. Wiatr ustał i w tej przerażającej ciszy Simon zrozumiał nagle, że jego przyjaciele zniknęli. W ciemnym pokoju nie było nikogo oprócz niego i Skodi.

– Ale *ciebie* zatrzymam – powiedziała. – Zatrzymam dla siebie.

15. Za murami świątyni

OJCIEC DINIVAN SIEDZIAŁ WPATRZONY w swą misę i grzebał zamyślony w oliwnych pestkach i okruchach chleba, jakby oczekiwał, że wśród nich znajdzie pomocną wiadomość. Stół oświetlały świece. Głos Pryratesa brzmiał ostro i donośnie niczym gong z brązu.

– ...Tak więc widzisz, Wasza Świątobliwość, że Król Elias pragnie tylko przyjęcia jednego faktu: Matka Kościół może sprawować pieczę i władzę nad duszą człowieka, lecz nie ma ona żadnego prawa przeszkadzać prawowitemu Królowi w dysponowaniu dobrami materialnymi człowieka.

Łysy kapłan uśmiechnął się zadowolony. Dinivan ze smutkiem dostrzegł, że Lektor odwzajemnia ten uśmiech. Ranessin zdaje sobie chyba sprawę, że słowami Pryratesa Elias daje do zrozumienia, iż tutaj na ziemi pasterz Boży ma mniejsze prawo do władzy niż ziemski król? Dlaczego siedzi i niczego nie mówi?

Lektor skinął wolno głową. Spojrzał przez stół najpierw na Pryratesa, a potem krótko na księcia Benigarisa, nowego pana Nabbanu, który zmieszał się pod wnikliwym spojrzeniem Lektora i zaczął zaraz wycierać tłuszcz z brody szerokim, obszytym brokatem rękawem. Zwykle Uczta wigilii Hlafmansy była jedynie uroczystym wydarzeniem religijnym. Wprawdzie Dinivan dobrze wiedział, że książę jest oddanym stronnikiem

Eliasa, lecz teraz Benigaris pragnął bardzo, by uroczystość przybrała charakter bardziej oficjalny.

– Wasza Świątobliwość, Wielki Król, a także jego emisariusz, Pryrates, chcą jak najlepiej dla Matki Kościoła – powiedział ponuro Benigaris, unikając spojrzenia Ranessina, jakby się obawiał, że Lektor odnajdzie w jego oczach potwierdzenie plotek, które mówiły, że to on zamordował swego ojca. – Powinniśmy wysłuchać tego, co ma do powiedzenia Pryrates – dodał wpatrzony w jadło, którego obecność pozwalała mu się rozluźnić.

– Rozważamy wszystko, co Pryrates ma do powiedzenia – odparł spokojnie Lektor.

Ponownie zapadła cisza. Gruby Velligis i pozostali sekretarze powrócili do jedzenia, zadowoleni, że przynajmniej na razie udało się uniknąć sprzeczki, której tak się obawiali.

Dinivan opuścił wzrok na swój talerz. Czuwający u jego boku młody duchowny napełnił mu puchar wodą – miał chyba rację, unikając tego wieczoru wina – i wyciągnął rękę, by sprzątnąć talerz Dinivana z resztkami jedzenia, lecz kapłan powstrzymał go ruchem dłoni. Zdecydował, że lepiej będzie mieć pod ręką coś, na czym będzie mógł się skoncentrować, chociażby po to, by uniknąć wzroku zjadliwego Pryratesa, który nie próbował nawet ukrywać ogromnego zadowolenia z tego, że wprawiał w zakłopotanie dostojników Kościoła.

Bawiąc się w zamyśleniu okruchami na swym talerzu, Dinivan zastanawiał się, jak to jest, że tak nierozerwalnie związane są rzeczy wielkie i małe. Któregoś dnia ultimatum Króla Eliasa i odpowiedź Lektora mogą się okazać wydarzeniami niezwykłej wagi, jak wtedy, gdy trzeci Larexes uznał lorda Sulisa za heretyka i odstępcę od wiary, skazując tego wielkiego męża na wygnanie. Lecz pewnie nawet w tak doniosłym

wydarzeniu brali udział duchowni, którzy drapali się po nosach, gapili w sufit czy też narzekali na bolące stawy – a przecież znajdowali się w tyglu historii – podobnie jak Dinivan, który przewracał nożem resztki swej kolacji, albo bekający i popuszczający pasa książę Benigaris. Natura ludzka pewnie zawsze będzie klatką, w której siedzą anioł i małpa; zwierzę zawsze będzie zżymało się na pęta cywilizacji, bez względu na to, czy człowiek zajdzie do piekła, czy do nieba. Doprawdy to było zabawne... a przynajmniej powinno być.

Kiedy sekretarz Velligis spróbował nadać bardziej łagodny ton konwersacji, Dinivan poczuł nagle w palcach dziwne mrowienie: cały stół drżał pod jego dłońmi. „Trzęsienie ziemi” – pomyślał najpierw, lecz po chwili ze zdumieniem zobaczył, że oliwne pestki przesuwają się wolno, układając w runiczne litery. Podniósł wzrok, lecz wydawało się, że nikt z siedzących przy stole nie zauważył niczego niezwykłego. Velligis wciąż mówił, ocierając swą nalaną, spoconą twarz; pozostali spoglądali w jego stronę, udając zainteresowanie.

Pełzając jak robaki, resztki jedzenia Dinivana wymieszały się, tworząc dwa szydercze słowa: PERGAMINOWA ŚWINIA. Z obrzydzeniem podniósł wzrok i napotkał zimne spojrzenie czarnych oczu Pryratesa. Alchemik najwyraźniej bardzo dobrze się bawił. Poruszał swym białym palcem tuż nad stołem, kreśląc znaki w powietrzu. Kiedy Dinivan spojrzał na niego, natychmiast trzepnął wszystkimi palcami. Siły, które ułożyły okruchy i oliwne pestki w słowa, przestały działać i resztki zmieszały się ze sobą w jednej chwili.

Dinivan uniósł dłoń do łańcucha, który miał pod sutanną, i dotknął ukrytego znaku Pergaminu. Na ten widok Pryrates ucieszył się jak dziecko. Tak wielka pewność siebie czerwonego duchownego wprawiła Dinivana

w zakłopotanie, choć zwykle cechował go spory optymizm. Nagle zdał sobie sprawę, jaką wątłą i kruchą trzciną jest jego życie.

– ...Jak sądzę, nie są oni w rzeczywistości niebezpieczni – paplał Velligis. – Lecz jakim ogromnym ciosem dla Matki Kościoła są ci barbarzyńcy, którzy rozpalają swe ogniska na placach; tak dużym ciosem, że Kościół ośmiela się ich powstrzymywać! Słyszałem, że jest to rodzaj zaraźliwego szaleństwa, roznoszonego przez zatrute powietrze. Sam, kiedy wychodzę, zakrywam nos i usta chusteczką...

– Ale może Tancerze Ognia wcale nie są szaleni – przerwał mu Pryrates. – Może ich sny są... *prawdziwsze,* niż wam się wydaje.

– To jest... to jest... – mamrotał Velligis, lecz Pryrates nie zwracał na niego uwagi; wciąż wpatrywał się w Dinivana swymi denerwująco pustymi oczami.

„On niczego już się nie boi – pomyślał Dinivan. Myśl ta bardzo go przygnębiła. – Nic go nie powstrzyma. Jego ogromna ciekawość zmieniła się w nienasycony głód”.

Czy było tak samo, kiedy świat zaczął zmierzać ku gorszemu? Kiedy Dinivan i inni spośród Tych, Którzy Noszą Zwój dopuścili Pryratesa do swych tajemnych spotkań? Otworzyli przed młodym duchownym serca i bezcenne archiwa, doceniając bystrość jego umysłu bardzo długo, zanim okazało się, że toczy go robak zła. Wtedy dopiero wykluczyli go ze swego kręgu, lecz chyba za późno. I tak duchowny siedział teraz przy stole razem z wielkimi – podobnie jak Dinivan – tyle tylko, że czerwona gwiazda Pryratesa świeciła coraz jaśniej, gdy tymczasem ścieżka Dinivana wydawała się bardzo mroczna.

Dinivan zastanawiał się, czy było jeszcze coś, co mógłby zrobić? Wysłał wiadomości do obu żyjących jeszcze Tych, Którzy Nosili Zwój – uczniów Jarnaugi i Ookequka – choć od żadnego nie otrzymał odpowiedzi.

Przekazał też swe wskazówki i instrukcje innym sprzyjającym im osobom, jak na przykład mieszkającej w lesie Geloë czy małemu Tiamakowi z bagiennego Wranu. Zapewnił także bezpieczeństwo księżniczce Miriamele, sprowadzając ją do Sancellan Aedonitis i nakłaniając, by opowiedziała wszystko Lektorowi. Zaopiekował się wszystkimi drzewami, tak jak życzyłby sobie tego Morgenes; teraz mógł jedynie czekać na owoce...

Unikając wzroku Pryratesa, Dinivan rozejrzał się po jadalni Lektora, starając się zapamiętać szczegóły. Jeśli miała to być tak istotna noc, na dobre lub na złe, może dobrze byłoby zapamiętać z niej jak najwięcej. Może kiedyś w przyszłości – jaśniejszej, niż ją sobie teraz wyobrażał – jako starzec będzie stał u boku młodego artysty i dawał mu wskazówki: „Nie, to nie było tak! Ten szczegół wyglądał inaczej”. Uśmiechnął się, zapominając przez chwilę o swych zmartwieniach. Co za szczęśliwa myśl, żeby przetrwać troski tych mrocznych czasów, a potem żyć tak, by największym obowiązkiem było denerwowanie jakiegoś biednego artysty, który mozoli się, aby wypełnić zlecenie!

Tę chwilę beztroskich rozmyślań przerwał Dinivanowi widok znajomej twarzy, którą dostrzegł w drzwiach prowadzących do kuchni. Co robił tam Cadrach? W Sancellan Aedonitis był zaledwie od tygodnia i Dinivan nie widział powodu, dla którego mnich miałby przychodzić do prywatnych pomieszczeń Lektora. Jedynym powodem jego obecności tam mogło być szpiegowanie gości zaproszonych na kolację. Czy powodowała nim tylko ciekawość, czy może Cadrach... Padreic... przypomniał sobie o swych dawnych zobowiązaniach? *Sprzecznych* zobowiązaniach?

Zanim jednak Dinivan zdążył zastanowić się nad tym, twarz mnicha znalazła się w cieniu drzwi i zniknęła z pola widzenia. Chwilę później

w wejściu pojawił się służący z szeroką tacą, co oznaczało, że Cadrach oddalił się na dobre.

Dinivan nie miał czasu zastanawiać się więcej, gdyż w tej chwili Lektor uniósł się ze swego wysokiego krzesła u szczytu stołu. Łagodna twarz Ranessina była posępna; jasne płomienie świec rzucały cienie, które powodowały, że Lektor wydawał się znękanym kłopotami wiekowym starcem.

Jednym ruchem dłoni uciszył trajkoczącego Velligisa.

– Podjęliśmy decyzję – powiedział wolno. – Jego siwa głowa przypominała przykryty śniegiem odległy wierzchołek góry. – Porządek świata, o jakim mówisz, Pryratesie, nie jest pozbawiony sensu. Logika twych słów jest przekonująca. W podobnych słowach wyrażał się książę Benigaris i jego emisariusz Aspitis, który nas często odwiedzał.

– Hrabia Aspitis – wtrącił Benigaris z rumieńcem na twarzy. Zdążył wypić już całkiem sporo wina. – Hrabia – ciągnął odważnie. – Król Elias nadał mu tytuł hrabiego na moją prośbę. W dowód jego przyjaźni dla Nabbanu.

Na szczupłej twarzy Ranessina pojawił się ledwie ukrywany wyraz obrzydzenia.

– Benigarisie, wiemy, w jak bliskich stosunkach jesteś z Wielkim Królem. Wiemy też, że ty jesteś władcą Nabbanu. Ale teraz siedzisz przy naszym stole, w domu Bożym – przy moim stole – i dlatego nakazujemy ci milczenie, dopóki najwyższy dostojnik Matki Kościoła nie skończy mówić.

Dinivan zdumiał się złością, jaka wyraźnie zabrzmiała w głosie Lektora – Ranessin należał do najłagodniejszych ludzi – lecz i ucieszył, słysząc niespodziewaną siłę jego wypowiedzi. Benigaris poruszył tylko gniewnie wąsem i sięgnął po swój puchar równie niezdarnie jak zawstydzone dziecko.

Ranessin utkwił teraz niebieskie w oczy w Pryratesie. Dalej mówił tonem dostojnym i oficjalnym, którego rzadko używał, a który w jego ustach wydawał się bardzo naturalny. – Jak już mówiliśmy, świat, o jakim ty, Elias i Benigaris nauczacie, jest w jakimś stopniu sensowny. Jest to świat, w którym alchemicy i monarchowie sprawują rządy nie tylko nad cielesną postacią człowieka, lecz także nad jego duszą, i w którym królewscy słudzy namawiają zbałamucone dusze, by wydały się na pastwę płomieni płonących na chwałę fałszywych bożków. Świat, w którym niepewność niewidzialnego Boga zastąpiona jest pewnością mrocznego, płonącego ducha, zamieszkującego tę ziemię w sercu lodowej góry.

Po tych słowach Pryrates uniósł gwałtownie brwi, a Dinivan poczuł ukłucie zimnej radości. Dobrze. A więc są jeszcze rzeczy, które potrafią zaskoczyć to stworzenie.

– Wysłuchajcie mnie! – ciągnął Ranessin coraz mocniejszym głosem, tak że wydawało się, iż cisza zapadła nie tylko w pokoju, lecz wypełniła cały świat, jakby cały ten jasno oświetlony stół znalazł się na wierzchołku Stworzenia. – Ten świat – *wasz* świat, świat, o którym nauczacie swoimi przebiegłymi naukami – nie jest światem Matki Kościoła. Od dawna już wiemy o czarnym aniele, który chodzi po ziemi i wyciąga swe łapy, by niepokoić serca mieszkańców Osten Ard. Lecz *naszą* plagą jest sam szatan, nieugięty wróg światła Bożego. Bez względu na to, czy sprzyja wam nasz odwieczny wróg, czy tylko jakiś podstępny sługa ciemności, Matka Kościół zawsze stawała naprzeciw niego... i zawsze stawi mu czoło.

Wszyscy wstrzymali oddech i wydawało się, że trwa to wieki.

– Nie wiesz, co mówisz, starcze. – Głos Pryratesa zabrzmiał jak syczący płomień. – Jesteś coraz słabszy na umyśle...

Żaden z sekretarzy nie zaprotestował. Siedzieli nieruchomo z wybałuszonymi oczami, gdy tymczasem Ranessin pochylił się nad stołem

i ze spokojem spojrzał Pryratesowi prosto w oczy. Wydawało się, że świece w całej jadalni prawie zgasły, pozostawiając w kręgu swego blasku tylko dwie postacie, jedną w bieli, a drugą w czerwieni; ich cienie wydłużały się coraz bardziej...

– Kłamstwo, nienawiść i chciwość – odezwał się spokojnie Lektor. – Oto znani, odwieczni wrogowie. Nieważne pod czyim sztandarem kroczą.

Wstał – szczupły i blady – i uniósł dłoń. Dinivan jeszcze raz poczuł gorącą, bezgraniczną miłość, która kazała mu zgiąć pokornie kark przed tajemnicą boskiego celu Człowieka, która kazała mu oddać swe życie na służbę u tego pokornego i wspaniałego człowieka, a także Kościoła, którego ten starzec był ucieleśnieniem.

Ranessin nakreślił przed sobą znak Drzewa – zrobił to z niezwykłą powagą. Dinivan miał wrażenie, że stół zadrżał ponownie, lecz tym razem nie sądził, by było to dzieło alchemika.

– Pryratesie, otworzyłeś drzwi, które na zawsze powinny pozostać zamknięte – przemówił. – W swej głupocie i zadufaniu ty i Wielki Król sprowadziliście na świat ogromne zło, choć świat i tak już jęczał pod ciężarem strasznego cierpienia. Nasz Kościół – *mój* Kościół – będzie walczył z wami o każdą duszę aż do chwili nadejścia Dnia Sądu. Rzucam na ciebie ekskomunikę, na ciebie i na Króla Eliasa. Wyłączam też ze społeczności Kościoła każdego, kto pójdzie za wami w otchłań ciemności i błędu. – Jego ramiona popłynęły w dół i w górę dwukrotnie. – *Duos Onenpodensis, Feata Vorum Lexeran. Duos Onenpodensis, Feata Vorum Lexeran!*

Po tych donośnych słowach Lektora nie zabrzmiał odgłos gromu ani rogu sprawiedliwości; z oddali dobiegało tylko bicie dzwonu Claveana, który wybijał kolejną godzinę. Pryrates wstał powoli; twarz miał bladą jak ściana, a jego usta wykrzywiał drżący grymas.

– Popełniłeś straszny błąd – przemówił ochrypłym głosem. – Jesteś głupim starcem, a twoja wielka Matka Kościół jest tylko pergaminową zabawką. Drżał cały rozpierany pełną zdumienia furią. – Niedługo przyłożymy do niej pochodnię. Głośno będziecie krzyczeć, kiedy zapłonie. *Popełniłeś błąd.*

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł z jadalni, stukając obcasami o kamienną posadzkę; jego szaty falowały jak płomienie. Dinivanowi wydawało się, że w odgłosie kroków odchodzącego eksduchownego słyszy zapowiedź zagłady, ogromnego, ostatecznego pożaru, który strawi resztę ludzkiej historii.

MIRIAMELE PRZYSZYWAŁA WŁAŚNIE do swego płaszcza drewniany guzik, gdy nagle ktoś zastukał głośno do drzwi. Zaskoczona zsunęła się ze swej pryczy i podbiegła do wejścia; czując chłód podłogi, zorientowała się, że jest boso.

– Kto tam?

– Otwórz drzwi, książ... Malachiasie. Otwórz, proszę.

Odsunęła zasuwę. W drzwiach ukazała się lśniąca od potu twarz Cadracha, słabo widoczna w świetle dogasających świec zapalonych na ścianach korytarza. Minął ją bez słowa i wszedłszy do małej celi, zamknął łokciem drzwi tak energicznie, że Miriamele poczuła na twarzy pęd powietrza.

– Oszalałeś? – spytała. – Nie możesz tak po prostu wdzierać się do środka!

– Proszę, książniczko...

– Wynoś się! I to zaraz!

– Pani... – Ku zdumieniu Miriamele Cadrach opadł na kolana. Jego zwykle rumiana twarz była teraz blada. – Musimy natychmiast opuścić Sancellan Aedonitis. Jeszcze dziś wieczorem.

Patrzyła na niego zdumiona.

– Ty rzeczywiście oszalałeś – powiedziała zdecydowanie. – O czym ty mówisz? Czy coś ukradłeś? Nie widzę powodu, żeby cię dłużej bronić, a już na pewno, żeby uciekać stąd w popłochu...

Cadrach przerwał jej w połowie zdania.

– Nie. Nic złego nie zrobiłem – przynajmniej nie dzisiaj. A niebezpieczeństwo grozi przede wszystkim tobie. I to wielkie niebezpieczeństwo! Musimy uciekać!

Przez jakiś czas Miriamele nie wiedziała, co powiedzieć. Wyraz twarzy Cadracha wskazywał, że jest on rzeczywiście przestraszony; takim jeszcze go nie widziała.

Wreszcie mnich pierwszy przerwał ciszę.

– Pani, proszę. Wiem, że dotąd byłem niewiernym kompanem, ale uczyniłem też trochę dobrego. Proszę, uwierz mi tym razem. Jesteś w straszliwym niebezpieczeństwie!

– Co mi zagraża?

– Pryrates jest tutaj.

Odetchnęła z ulgą. Gwałtowna tyrada Cadracha przestraszyła ją naprawdę.

– Idioto. Wiem o tym. Rozmawiałam wczoraj z Lektorem i wiem wszystko o Pryratesie.

Gruby mnich podniósł się z kolan, zaciskając szczękę z determinacji.

– Oto jedna z najgłupszych rzeczy, jakie kiedykolwiek wypowiedziałaś, księżniczko. Prawie nic o nim nie wiesz, za co powinnaś być wdzięczna.

Bardzo wdzięczna! – Cadrach chwycił ją za ramię.

– Przestań! Jak śmiesz! – Próbowała uderzyć go w twarz, lecz Cadrach uchylił się przed uderzeniem, nie puszczając jej ramienia. Miał zdumiewająco mocny uścisk.

– Na kości świętego Muirfatha! – syknął. – Miriamele, nie bądź tak głupia! – Pochylił się nad nią i spojrzał jej prosto w oczy. Przemknęło jej przez głowę, że nie czuje od niego wina. – Jeśli trzeba będzie, to potraktuję cię jak dziecko – warknął. Popchnął ją tak mocno, że opadła na swoją pryczę, i ponownie stanął nad nią; biła od niego złość połączona ze strachem. – Lektor rzucił ekskomunikę na Pryratesa i twego ojca. Czy wiesz, co to znaczy?

– Tak! – prawie krzyknęła. – I cieszę się z tego!

– Tylko że Pryrates się nie cieszy i dlatego stanie się coś złego. I to wkrótce. Nie powinno cię być tutaj, kiedy to się wydarzy.

– Coś złego? O czym ty mówisz? Przecież Pryrates jest tutaj sam. Ma ze sobą tylko kilku gwardzistów mego ojca. Co on może zrobić?

– A ty twierdzisz, że wszystko o nim wiesz. – Cadrach pokiwał głową z politowaniem. Po chwili odwrócił się i zaczął zbierać do torby porozrzucane ubrania i rzeczy Miriamele. – Ja przynajmniej nie chcę czekać, żeby się przekonać, co on zamierza.

Miriamele patrzyła na niego oszołomiona. Kim był ten człowiek, który przypominał Cadracha, lecz który krzyczał, rozkazywał i szarpał nią jak pierwszy lepszy zbir?

– Nigdzie nie pójdę, dopóki nie zobaczę się z ojcem Dinivanem – odezwała się wreszcie. W jej głosie nie było już tyle stanowczości, co wcześniej.

– Wspaniale – odparł Cadrach. – Jak sobie życzysz. Tylko przygotuj się do drogi. Jestem pewien, że Dinivan zgodzi się ze mną, jeśli w ogóle go

znajdziemy.

Niechętnie zabrała się do czegoś w rodzaju pakowania.

– Powiedz mi tylko jedno – powiedziała. – Czy przysięgasz, że jesteśmy w niebezpieczeństwie? I że nie ma to niczego wspólnego z czymś, co ty zrobiłeś?

Cadrach znieruchomiał. Po raz pierwszy od chwili, kiedy wszedł do celi, na jego obliczu pojawił się dziwny półuśmieszek, który przemienił się w maskę wielkiego smutku.

– Miriamele, każdy z nas dopuszcza się rzeczy, których potem żałuje. Ja popełniłem błędy, które z pewnością doprowadziły do łez siedzącego na swym tronie Boga. – Pokręcił głową zły, że tracą czas na rozmowy. – Jednak to niebezpieczeństwo jest bardzo prawdziwe i bliskie, a my nie możemy niczego zrobić, żeby mu zapobiec. Dlatego uciekamy. Tchórze zawsze przeżywają.

Ujrzawszy jego twarz, Miriamele nie chciała się dopytywać, co takiego Cadrach zrobił, że tak bardzo nienawidził samego siebie. Zadrżała i odwróciła się, by sięgnąć po swoje buty.

WPRAWDZIE BYŁ JUŻ PÓŹNY WIECZÓR, lecz mimo to Sancellan Aedonitis wydawał się dziwnie pusty. Grupki mnichów zebrały się w kilku salach, gdzie siedzieli w kącie i rozmawiali szeptem; kilku innych maszerowało ze świecami korytarzami, wypełniając powierzone im misje. Poza nimi nie było nikogo. Umocowane na ścianach pochodnie paliły się nierówno, jakby dusiły je niespokojne porywy wiatru.

Miriamele i Cadrach znajdowali się na opustoszałej górnej galerii; posuwali się z pomieszczeń przeznaczonych dla gości do części administracyjnej i oficjalnej, która stanowiła serce domu Bożego.

W pewnej chwili mnich chwycił Miriamele za ramię i wciągnął ją do ocienionej alkowy.

– Zgaś świecę i spójrz – powiedział cicho. Wsunęła głowę w szczelinę między dwoma kamiennymi płytkami i pochyliła się do przodu. Poczuła na twarzy powiew zimnego powietrza.

– Na co mam patrzeć?

– Tam, w dole. Widzisz tamtych ludzi z pochodniami? – Starał się wskazać odpowiednie miejsce, choć okno, przez które patrzyli, było bardzo wąskie. Miriamele dostrzegła na dziedzińcu co najmniej tuzin żołnierzy w zbrojach, z włóczniami na ramionach.

– Tak – odpowiedziała wolno. Wydawało jej się, że żołnierze zebrali się tam, żeby zagrzać sobie dłonie przy ognisku. – I co?

– To gwardziści z pałacu księcia Benigarisa – wyjaśnił ponuro Cadrach. – Ktoś spodziewa się dzisiejszej nocy kłopotów i spodziewa się ich tutaj.

– Myślałam, że uzbrojonym żołnierzom nie wolno wchodzić do Sancellan Aedonitis. – Groty włóczni żołnierzy rozbłysły blaskiem pochodni niczym płomienie.

– Tak, ale przecież sam książę Benigaris jest dzisiaj gościem podejmowanym kolacją przez Lektora.

– Dlaczego on nie wrócił jeszcze do Sancellan Mahistrevis? – Miriamele cofnęła się przed wiejącym wiatrem. – Przecież ma blisko do domu.

– Wspaniałe pytanie – odparł Cadrach; na jego pogrążonej w cieniu twarzy pojawił się gorzki uśmiech. – No właśnie, dlaczego?

KSIĄŻĘ ISGRIMNUR PRZEJECHAŁ PALCEM po ostrym jak brzytwa ostrzu swego miecza, Kvalnira, i z zadowoleniem skinął głową. Osełkę i pojemnik z oliwą wsunął z powrotem do torby. Ostrzenie miecza zawsze go uspokajało. Żałował tylko, że musi zostawić go w ukryciu. Wzdychając, zawinął miecz w szmaty i wsunął pod siennik.

„Nie byłoby wskazane iść z mieczem na spotkanie z Lektorem – pomyślał – bez względu na to, jak bardzo poprawiłoby mi to samopoczucie. Jego straż mogłaby mieć coś przeciwko temu”.

W rzeczywistości Isgrimnur wcale nie był umówiony na spotkanie z Lektorem. Nie należało się spodziewać, by wpuszczono do sypialni Pasterza Matki Kościoła jakiegoś dziwnego mnicha, lecz książę wiedział, że w pobliżu znajdują się pokoje Dinivana, których nie strzegą żadne straże. Poza tym Dinivan znał Isgrimnura i miał o nim bardzo wysokie mniemanie. Jeśli duchowny rozpozna swego gościa, który odwiedza go o tak późnej porze, z pewnością wysłucha tego, co książę ma do powiedzenia.

A jednak książę czuł ucisk w żołądku podobnie jak przed niejedną bitwą. Dlatego właśnie wyjął swój miecz: od chwili opuszczenia Naglimundu nie wyjmował Kvalnira z pochwy więcej niż dwa razy, więc nie miał okazji do stępienia wykutego przez Dverningów miecza, lecz gładzenie ostrza pozwalało żołnierzowi zająć się czymś, kiedy czekanie stawało się zbyt trudne. Tej nocy było coś dziwnego w powietrzu, dziwna aura oczekiwania, która przypomniała Isgrimnurowi brzegi Clodu w czasie bitwy w Krainie Jezior.

Nawet Król John, tak dzielny wojownik, okazywał zdenerwowanie tamtej nocy. Nic dziwnego – wiedzieli, że tysiące Thrithingów czają się gdzieś w ciemności poza blaskiem ich ognisk i że ci barbarzyńscy mieszkańcy nizin nie zawsze przestrzegają cywilizowanych reguł wojny i lubią atakować jeszcze przed świtem.

Tamtej nocy Prester John przyszedł do ogniska, by napić się wina i porozmawiać ze swym młodym przyjacielem – Isgrimnur nie odziedziczył jeszcze wtedy książęcego tytułu. Kiedy rozmawiali, Król wyciągnął z pochwy swój miecz, Biały Gwóźdź, a potem ostrzył go i czyścił. Siedzieli, gawędząc najpierw bardzo ostrożnie, często przerywali i nasłuchiwali w ciemności, potem coraz swobodniej, gdyż nastał świt i wiedzieli już, że Thrithingowie nie mają zamiaru atakować ich po ciemku.

John opowiadał Isgrimnurowi o latach swej młodości spędzonych na wyspie Warinsten – którą opisał jako wyspę pełną zacofanych i przesądnych głupków – i o swych pierwszych podróżach na stały ląd w Osten Ard. Isgrimnur z wielką fascynacją słuchał opowieści o młodości Króla: Prester John miał wtedy prawie pięćdziesiąt lat i młodemu Rimmersmanowi wydawało się, że jest on Królem od początku świata. Lecz kiedy Isgrimnur spytał go o znane z legend zabicie bestii Shurakai, John machnął tylko ręką, jakby odganiał natrętną muchę. Nie chciał też mówić o tym, jak otrzymał Biały Gwóźdź, twierdząc, że opowieści o tym były przesadzone i ma ich dość.

Isgrimnur uśmiechnął się na myśl o tym, że przypomniał sobie tę chwilę czterdzieści lat później, kiedy siedzi w mnisiej celi w Sancellan Aedonitis. Jeśli Isgrimnur kiedykolwiek widział Johna okazującego strach, to właśnie wtedy, gdy nerwowo ostrzył Biały Gwóźdź; obawiał się nie bitwy, lecz jej rezultatu.

Książę prychnął. Oto minęły dwa lata od śmierci Johna, a on, Isgrimnur, siedzi i maże się, zamiast zrobić coś dla dobra królestwa Johna.

„Jeśli Bóg zechce, Dinivan będzie moim przewodnikiem. On jest bardzo mądry. Przekona Lektora Ranessina i razem odnajdziemy Miriamele”.

Naciągnął kaptur na głowę i otworzył drzwi; światło pochodni z korytarza oświetliło nieco pokój. Jednak wrócił i zgasił świecę. Mogła przewrócić się na siennik i podpalić cały budynek.

CADRACH NIEPOKOIŁ SIĘ CORAZ BARDZIEJ. Siedzieli już jakiś czas w gabinecie Dinivana; dzwon Claveana wybił na wieży godzinę jedenastą.

– On tutaj nie przyjdzie, księżniczko, a ja nie wiem, gdzie jest jego sypialnia. Musimy iść.

Miriamele zaglądała do sali audiencyjnej Lektora przez zasłonę w drzwiach prowadzących do gabinetu Dinivana. Na suficie sali obserwowała namalowane postacie, które, oświetlone światłem jedynej pochodni, wydawały się pływać w zmąconej wodzie.

– Znając Dinivana, jego sypialnia musi znajdować się gdzieś w pobliżu jego gabinetu – powiedział Cadrach.

Pełen zmartwienia ton mnicha sprawił, że Miriamele poczuła nad nim przewagę.

– Wróci tutaj. Zostawił zapalone świece. Czym się tak martwisz?

Cadrach podniósł wzrok znad papierów Dinivana, które ukradkiem przeglądał.

– Byłem dzisiaj przy kolacji. Widziałem twarz Pryratesa. On nie należy do tych, którzy pozwalają, by się im sprzeciwiano.

– Skąd to wiesz? I co tam robiłeś?

– Robiłem to, co należało. Miałem oczy otwarte.

Miriamele opuściła zasłonę w drzwiach.

– Zdaje się, że posiadasz wiele ukrytych talentów. Gdzie nauczyłeś się otwierać drzwi bez klucza? Tak przecież tutaj weszliśmy.

Cadrach popatrzył na nią zaskoczony.

– Pani, mówiłaś, że chcesz się z nim zobaczyć. Nalegałaś, żeby tu przyjść. Myślałem, że lepiej będzie wejść do środka, niż wystawać na korytarzu i czekać, aż nadejdzie straż Lektora albo inny duchowny i spyta, co robimy w tej części Sancellanu.

– Włamywacz, szpieg, porywacz; masz niezwykłe talenty jak na mnicha.

– Możesz sobie ze mnie drwić, księżniczko. – Cadrach wydawał się niemal zawstydzony. – Nie wybierałem sobie życia, czy też należałoby powiedzieć, że dokonałem złego wyboru. Oszczędź mi, proszę, tych nieprzyjemnych drwin, dopóki nie znajdziemy się w jakimś bezpiecznym miejscu.

Miriamele usiadła na krześle Dinivana i zacierając zziębnięte dłonie, spojrzała na mnicha uważnie.

– Cadrachu, skąd pochodzisz?

Pokiwał głową.

– Nie mam ochoty mówić teraz o tych rzeczach. Coraz mniej wierzę w to, że Dinivan przyjdzie tutaj. Musimy iść.

– Nie. Jeśli nie przestaniesz nalegać, zacznę krzyczeć. I wtedy zobaczymy, co powie na to straż Lektora?

Cadrach wyjrzał na korytarz i zaraz schował się szybko do wewnątrz. Pomimo chłodu włosy Cadracha zwisały z boku głowy zlepione potem.

– Pani, proszę, błagam, dla twego dobra, uciekajmy już. Zbliża się północ i niebezpieczeństwo zwiększa się z każdą chwilą. Po prostu *uwierz* mi! – mówił coraz bardziej zdesperowany. – Nie możemy już czekać...

– Mylisz się. – Miriamele cieszyła się w duchu, że uzyskuje wciąż nad Cadrachem przewagę. Wyciągnęła nogi i oparła je o zarzucony wieloma przedmiotami stół Dinivana. – Jeśli trzeba, będę czekać i całą noc. – Jeszcze raz spróbowała zgromić Cadracha surowym spojrzeniem, lecz

mnich stanął teraz za nią, poza zasięgiem jej wzroku. – A poza tym nie będziemy pędzić w ciemną noc jak skończeni idioci, dopóki nie porozmawiamy z Dinivanem. Jemu ufam o wiele bardziej niż tobie.

– Nie mam ci tego za złe – westchnął Cadrach. Zrobił w powietrzu znak Drzewa, a potem uniósł jedną z ksiąg Dinivana i opuścił ją na głowę Miriamele, która osunęła się nieprzytomna na dywan. Przeklinając samego siebie, pochylił się, by ją podnieść, i zamarł, słysząc głosy w korytarzu.

NAPRAWDĘ MUSISZ JUŻ IŚĆ – powiedział Lektor sennie. Siedział podparty poduszką na swym szerokim łożu z otwartą księgą *En Semblis Aedonitis* na kolanach. – Poczytam jeszcze chwilę. Też musisz trochę odpocząć, Dinivanie. Dla nas wszystkich był to bardzo męczący dzień.

Jego sekretarz przestał studiować kolorowe kasetony na ścianie i odwrócił się.

– Dobrze, ale nie czytaj za długo, Wasza Świątobliwość.

– Obiecuję. Przy świecy szybko męczą mi się oczy.

Dinivan przyglądał się przez chwilę starcowi, a potem pod wpływem impulsu przyklęknął i unosząc nieco dłoń Lektora, ucałował ilenitowy pierścień, który starzec miał na palcu.

– Niech Bóg cię błogosławi, Wasza Świątobliwość. – Dinivan wstał. – Właśnie ekskomunikowałeś Wielkiego Króla, Wasza Świątobliwość. To dzień niezwykły, czyż nie?

Lektor ponaglił go ruchem dłoni.

– Niczego to nie zmieni. Król i Pryrates i tak zrobią po swojemu, a ludzie będą czekać, żeby zobaczyć, co się stanie. Elias nie jest pierwszym władcą, którego dotyka cenzura Matki Kościoła.

– W takim razie po co to robić? Po co mu się sprzeciwiać?

Ranessin popatrzył na niego uważnie.

– Mówisz tak, jakby moja decyzja o ekskomunice nie była spełnieniem twych nadziei. Ty najlepiej ze wszystkich wiesz po co, Dinivanie. Musimy zabierać głos zawsze, gdy pojawia się zło, bez względu na to, czy jest nadzieja na sukces, czy też nie. – Zamknął leżącą przed nim księgę. – Nie mam już sił nawet na czytanie. Sam powiedz, Dinivanie. Czy można żywić większe nadzieje?

Duchowny spojrzał na niego zdziwiony.

– Dlaczego mnie pytasz, Wasza Świątobliwość?

– Znowu nie jesteś ze mną szczery, mój synu. Wiem, że jest wiele rzeczy, którymi nie chcesz kłopotać zmęczonego starca. Wiem też, że istnieją słuszne powody twej powściągliwości. Ale powiedz mi, opierając się na swej wiedzy: czy można mieć nadzieję?

– Wasza Świątobliwość, zawsze jest nadzieja. Ty mnie tego nauczyłeś.

– Ach. – Na twarzy Ranessina pojawił się trochę dziwny uśmiech, wyrażający chyba jego zadowolenie. Położył się wygodnie na swych poduszkach.

Dinivan zwrócił się do młodego nowicjusza, który sypiał w nogach łóżka Lektora.

– Tylko nie zapomnij zamknąć dobrze drzwi po moim wyjściu. – Młodzieniec, zaspany nieco, skinął głową. – I nie wpuszczaj nikogo do sypialni Lektora dzisiejszej nocy.

– Nie wpuszczę, ojcze.

– Dobrze. – Dinivan ruszył w stronę ciężkich drzwi. – Dobranoc, Wasza Świątobliwość. Bóg z tobą.

– I z tobą – odpowiedział Ranessin z głębi poduszki.

Kiedy Dinivan wyszedł na korytarz, nowicjusz wstał i powłócząc nogami, poszedł do drzwi, by zasunąć zasuwę.

W korytarzu było jeszcze ciemniej niż w sypialni Lektora. Dinivan musiał wytężyć wzrok, by dostrzec czterech strażników Ranessina; odziani w zbroje stali na baczność pod ścianą pogrążoną w cieniu z mieczami w pochwach u boków i pikami w dłoniach. Odetchnął z ulgą i ruszył w ich stronę długim korytarzem, którego sklepiony sufit ginął w mroku. Może powinien poprosić o jeszcze dwóch. Nie będzie miał pewności co do bezpieczeństwa Lektora, dopóki Pryrates nie odjedzie do Hayholt, a zdradziecki Benigaris nie powróci do swego książęcego pałacu.

Potarł dłonią oczy, podchodząc do strażników. Rzeczywiście czuł się bardzo zmęczony, zupełnie wyczerpany. Postanowił, że wejdzie na chwilę do swego gabinetu, by zabrać kilka rzeczy, i pójdzie spać. Do porannej mszy zostało już tylko parę godzin...

– Kapitanie – odezwał się do strażnika, który nosił białe pióra na hełmie. – Chyba dobrze by było, gdybyście wezwali... – Urwał wpatrzony w żołnierza. Oczy strażnika lśniły niczym końce szpilek w głębi jego hełmu, lecz nie poruszały się, tkwiły nieruchomo, wpatrzone w jakiś punkt za Dinivanem, podobnie jak oczy pozostałych żołnierzy. Wszyscy czterej stali nieruchomo jak posągi. – Kapitanie? – Sztywne ramię strażnika nie poruszyło się pod jego dotykiem. – Na Usiresa Aedona – wyszeptał. – Co tu się stało?

– Oni nie widzą cię i nie słyszą.

Ten chrapliwy głos był mu znajomy. Dinivan odwrócił się błyskawicznie i zobaczył błysk czerwieni w drugim końcu korytarza.

– Diable! Co ty zrobiłeś?

– Oni śpią. – Pryrates roześmiał się. – Rano niczego nie będą pamiętali. Tajemnicą pozostanie, w jaki sposób przestępcy przedostali się tutaj i zabili Lektora. Może niektórzy, jak na przykład Tancerze Ognia, będą o tym mówić jak o... *czarnym cudzie*.

Dinivan czuł, jak jego ciało obejmuje paraliżujący strach, który jednak mieszał się z gniewem.

– Nie zrobisz krzywdy Lektorowi.

– A kto mnie powstrzyma? Ty? – Pryrates roześmiał się drwiąco. – Możesz spróbować, czego tylko chcesz, mały człowieczku. Krzycz, jeśli chcesz, lecz nikt niczego nie usłyszy w tym korytarzu, dopóki ja tutaj jestem.

– W takim razie sam cię powstrzymam. – Dinivan sięgnął pod szatę i wyciągnął zawieszone na szyi Drzewo.

– Ach, Dinivanie, minąłeś się ze swym powołaniem. – Alchemik ruszył naprzód; blask pochodni zalśnił na jego łysej głowie. – Powinieneś raczej zostać błaznem Boga, a nie sekretarzem Lektora. Nie możesz mnie powstrzymać. Nie masz pojęcia o mądrości i mocy, jaką posiadłem.

Dinivan stał jak sparaliżowany w miejscu, gdy tymczasem Pryrates zbliżał się, stukając obcasami o kamienną podłogę.

– Jeśli mądrością według ciebie jest sprzedawanie tanio swej nieśmiertelnej duszy, to cieszę się, że jej nie zdobyłem. – Czując rosnący strach, Dinivan starał się, by jego głos zabrzmiał naturalnie.

Pryrates wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– I to jest właśnie twój błąd, twój i wszystkich tych pokornych głupców, którzy nazywają się Tymi, Którzy Noszą Zwój. Liga Pergaminu! Towarzystwo dla jęczących, pokrętnych i niedoszłych uczonych. A ty, Dinivanie, jesteś z nich najgorszy. Sprzedałeś swą duszę dla przesądów i zapewnień. Zamiast otworzyć się na tajemnicę nieskończoności, schowałeś się między służalcami o zrogowaciałych kolanach, którzy tylko całują pierścień Kościoła.

W jednej chwili fala strachu, którą dotąd odczuwał Dinivan, zamieniła się w falę wściekłości.

– Zatrzymaj się! – zawołał, unosząc przed sobą Drzewo. Wydawało się, że Drzewo jarzy się, jakby drewno, z którego je zrobiono, tliło się. – Nie pójdziesz dalej, sługo złego, chyba że po moim trupie.

Pryrates otworzył szeroko oczy, udając zdumienie.

– A więc nasz sekretarz pokazuje pazurki! Dobrze, zagramy tak, jak chcesz, a ja pokażę ci moje pazury. – Uniósł dłonie nad głową. Szaty alchemika poderwały się, jakby przez korytarz przeleciał powiew gwałtownego wiatru. Pochodnie na ścianach zadrżały i zgasły. – I zapamiętaj to – Pryrates syknął w ciemności. – Posiadam moc Słów Przemiany! Nie jestem niczyim sługą. – Drzewo w dłoni Dinivana rozjarzyło się jaśniej, lecz Pryrates pozostał w cieniu. Alchemik śpiewał coraz głośniej w języku, którego sam dźwięk przyprawiał Dinivana o drżenie i zaciskał na jego gardle pętlę grozy.

– W imię Boga Najwyższego... – wykrzyknął Dinivan, lecz w tym momencie głos Pryratesa wzniósł się na szczyt triumfującej kulminacji i jakby wyrwał słowa modlitwy z jego ust. Dinivan z trudem łapał powietrze. – W imię... – Jego głos się załamał.

Teraz zaklęcie Pryratesa przybrało formę pełnej pomruków i sapań mowy, gdyż alchemik poddawany był jakiejś rozdzierającej przemianie. W miejscu, gdzie przedtem stał Pryrates, wił się niemożliwy do rozpoznania cień, który tworząc plątaninę zwojów, rósł coraz bardziej, aż stał się tak duży, że zasłonił nawet blask gwiazd, pogrążając korytarz w całkowitej ciemności. Ogromne płuca dyszały niczym kowalskie miechy. Zabójcze, odwieczne zimno wypełniło korytarz niewidzialnym mrozem.

Dinivan wydobył z siebie okrzyk pełnej przerażenia wściekłości i rzucił się do przodu, próbując uderzyć niewidzialnego wroga swym Drzewem, lecz został powstrzymany jak lalka przez masywną, lecz przeraźliwie niematerialną istotę. Walczyli pogrążeni w zimnej ciemności. Dinivan

wstrzymał oddech, gdy poczuł, że coś wciska się do jego przerażonych myśli i grzebie płonącymi paluchami w jego głowie, próbując otworzyć jego umysł, jakby to był słoik. Z całych sił starał się zachować obraz Świętego Aedona w swych mknących myślach. Wydawało mu się, że istota, która go usiłuje penetrować, sapie z bólu.

Cień wydawał się przybierać coraz bardziej materialną formę. Jego uchwyt zacisnął się na nim; był jak miażdżąca kości pięść z galarety i ołowiu. Na policzku poczuł zimny i kwaśny oddech, jakby pocałunek zjawy.

– W imię Boga... i Ligi... – jęknął Dinivan. Zwierzęce odgłosy i przeraźliwie charczący oddech wydawały się słabnąć. Jego głowę wypełniły anioły z bolesnego, płonącego światła, które tańcem witały ciemność i ogłuszały go swą niemą pieśnią.

CADRACH WYCIĄGNĄŁ bezwładne ciało Miriamele na korytarz, składając pośpieszne obietnice różnym świętym, bogom i demonom. Jedynym światłem był niebieskawy blask gwiazd, który sączył się przez umieszczone wysoko w ścianie okna. Tyle światła wystarczyło jednak, by dostrzec skuloną na podłodze pustać duchownego, który przypominał porzuconą lalkę. Nie można też było nie usłyszeć przeraźliwych krzyków i wrzasków, jakie dochodziły z sypialni Lektora, której masywne drzwi leżały roztrzaskane na ziemi.

Odgłosy ustały nagle, kończąc się przeciągłym zawodzeniem rozpaczy, które przeszło w gulgoczący świst. Grymas przerażenia wykrzywił twarz Cadracha. Pochylił się i przerzucił księżniczkę przez ramię, po czym przykucnął niezdarnie i podniósł torbę z jej rzeczami. Wyprostowany ruszył chwiejnym krokiem w przeciwną stronę od sypialni Lektora, starając się utrzymać na nogach.

Za rogiem korytarz rozszerzał się, lecz i tam pochodnie były zgaszone. Wydawało mu się, że widzi słaniające się w mroku postacie uzbrojonych strażników, lecz żołnierze trwali nieruchomo niczym posągi. Powolne echo kroków rozbrzmiewało za nim pod sklepionym sufitem korytarza. Cadrach ruszył szybko przed siebie, przeklinając śliską podłogę.

Korytarz skręcił raz jeszcze, przechodząc w wielki przedpokój. Kiedy Cadrach szybko mijał sklepione przejście, nagle uderzył w coś twardego jak ściana, choć nie dostrzegł niczego w przejściu. Zdumiony zachwiał się i zatoczył do tyłu. Miriamele zsunęła się z jego ramienia na twardą podłogę.

Odgłos zbliżających się kroków stawał się coraz głośniejszy. Przerażony Cadrach wyciągnął dłoń przed siebie, napotykając nienaturalną ścianę, niewidoczną, lecz nieustępliwą. Przypominała kryształ, lecz była bardziej przezroczysta, tak że wyraźnie widać było znajdującą się za nią komnatę.

– Ach, proszę, nie pozwól mu jej schwytać – szeptał mnich, drapiąc rozpaczliwie i próbując znaleźć jakąś wyrwę w niewidzialnej przeszkodzie. – Proszę!

Jego wysiłki na nic się nie zdały. Ściana była idealnie gładka.

Cadrach klęknął przed wejściem; opuścił wolno głowę na pierś, gdy tymczasem kroki się zbliżały. Klęcząc tak, przypominał więźnia oczekującego na miejscu straceń. Nagle podniósł głowę.

– Zaczekaj! – syknął. – Pomyśl, idioto, pomyśl! – Potrząsnął głową i wziął głęboki oddech, potem wypuścił i jeszcze raz wciągnął głęboko powietrze. Z dłonią wyciągniętą przed wejściem wyszeptał jedno słowo. Poczuł powiew zimnego powietrza, który poruszył gobelinami na ścianach przedpokoju. Przeszkoda zniknęła.

Przeciągnął Miriamele po podłodze przez jedno ze sklepionych wejść, które prowadziły do wielkiej komnaty. Zniknęli w chwili, gdy czerwona

postać Pryratesa pojawiła się w miejscu niewidzialnej przeszkody. Gdzieś z oddali dochodziły niewyraźne okrzyki trwogi.

Duchowny w czerwieni zatrzymał się jakby zdziwiony faktem, że przeszkoda zniknęła. Odwrócił się w kierunku, skąd przyszedł, i nakreślił w powietrzu jakiś znak, jakby chciał zatrzeć wszelkie ślady swej dotychczasowej działalności. Jego głos odbijał się gromkim echem we wszystkich kierunkach.

– Morderstwo! – zawołał. – Mordercy są w domu Bożym!

Gdy echa umilkły, uśmiechnął się krótko i ruszył w stronę komnaty, w której mieszkał jako gość Lektora.

Pod wpływem jakiejś myśli zatrzymał się jednak w przejściu i odwrócił, rozglądając po komnacie. Jeszcze raz uniósł dłoń i poruszył palcami. Jedna z pochodni zaiskrzyła się i strzeliła płomieniem, który natychmiast przeskoczył na jeden z gobelinów wiszących na ścianach komnaty. Wiszące tu od wieków arcydzieła natychmiast zajęły się ogniem, którego języry skoczyły ku belkom sufitu i popełzły na inne ściany. Z tyłu holu pojawiły się kolejne zarzewia.

Alchemik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Niech wróżbom stanie się zadość – powiedział do siebie i odszedł, chichocząc.

Z licznych korytarzy Sancellan Aedonitis dochodziły strzępy zdezorientowanych i przerażonych głosów.

KSIĄŻĘ ISGRIMNUR POCHWALIŁ w duchu samego siebie za to, że zabrał świecę. W korytarzu było zupełnie ciemno. Gdzie się podziali wartownicy? Dlaczego nie zapalono pochodni? Bez względu na to, jaka była tego przyczyna, Sancellan najwyraźniej budził się do życia. Isgrimnur usłyszał podekscytowany, jak ktoś krzyczy głośno o morderstwie; zaraz

potem rozległy się kolejne, bardziej odległe okrzyki. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powrócić do swego pokoju, lecz doszedł do wniosku, że takie zamieszanie może okazać się dla niego korzystne. Bez względu na przyczynę zaniepokojenia – a wątpił, aby rzeczywiście było to morderstwo – mogło ono pozwolić mu dotrzeć do sekretarza Lektora bez odpowiadania na liczne pytania straży Ranessina.

Świeca w drewnianym świeczniku rzucała cień Isgrimnura wysoko na ściany korytarza. Słysząc zbliżające się głosy, zaczął się gorączkowo zastanawiać, którędy iść dalej. Wreszcie wybrał sklepione wejście, które wydawało mu się najprawdopodobniej właściwe.

Niedaleko za drugim skrętem korytarza znalazł się na szerokiej galerii. Na podłodze wśród splątanych zasłon leżała postać w habicie; tuż obok stało kilku uzbrojonych strażników ze wzrokiem wpatrzonym niewzruszenie w przeciwległą ścianę.

„Czy to są posągi? – zastanawiał się. – A niech mnie licho, posągi nigdy tak nie wyglądają. Tamten opiera się, jakby szeptał coś do ucha swemu koledze”. – Isgrimnur wpatrywał się w niewidzące oczy strażników, które lśniły w głębi ich hełmów, i poczuł, że skóra mu cierpnie. „Ratuj nas, Aedonie. To z pewnością jest czarna magia”.

Ze zdumieniem rozpoznał leżącego, gdy tylko odwrócił ciało. Nawet w słabym świetle świecy twarz Dinivana wydawała się sina. Na policzku zakrzepły podobne do łez strużki płynącej z uszu krwi. Całe ciało przypominało worek połamanych gałązek.

– Elysio, Matko Boża, co tu się stało? – jęknął książę.

Dinivan zamrugał oczami i otworzył je nagle, zaskakując Isgrimnura tak bardzo, że niemal opuścił jego głowę na podłogę. Dinivan wodził wzrokiem przez chwilę, zanim spojrzał na Isgrimnura. Może to z powodu

świecy, którą książę trzymał niezgrabnie w dłoni, lecz w oczach duchownego zabłysła dziwna iskra.

– Lektor... – wyszeptał Dinivan. Isgrimnur pochylił się nad nim. – Zajmij się... Lektorem.

– Dinivanie, to ja – powiedział. – Książę Isgrimnur. Przyszedłem, żeby odnaleźć Miriamele.

– Lektor – powtarzał uparcie duchowny; jego zakrwawione usta z trudem się poruszały.

Isgrimnur wyprostował się.

– Dobrze. – Rozglądał się bezradnie w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby położyć zranioną głowę duchownego, lecz niczego takiego nie dostrzegł. Opuścił głowę Dinivana na podłogę, wstał i poszedł do końca korytarza. Prawie nie miał wątpliwości, który pokój należy do Lektora; drzwi leżały roztrzaskane na podłodze i nawet marmur wokół futryny był opalony i pokruszony. Od razu zrozumiał, jaki los spotkał Lektora Ranessina. Powiódł wzrokiem po zrujnowanej komnacie, po czym wyszedł śpiesznie na korytarz. Ściany nosiły liczne ślady krwi, jakby ktoś wymalował je ogromnym pędzlem. Trudno było rozpoznać ludzkie istoty w poszarpanych ciałach głowy Matki Kościoła i jego młodego służącego; nie oszczędzono im żadnej zniewagi. Nawet zahartowane serce starego żołnierza, Isgrimnura, ścisnęło się na ten widok.

Kiedy książę powrócił do Dinivana, płomienie pojawiły się już w przejściu, lecz Isgrimnur nie zwracał na nie uwagi. Jeszcze nie czas myśleć o ucieczce. Podniósł zimną dłoń Dinivana.

– Lektor nie żyje. Czy możesz pomóc mi odnaleźć księżniczkę Miriamele?

Duchowny oddychał ciężko. Światło jego oczu gasło coraz bardziej.

– Ona je... jest tutaj – powiedział wolno. – Mówią na nią... Malachias. Spytaj brata pokojowego. – Z trudem łapał oddech. – Za...zabierz ją do... do Kwanitupulu... do gospody „Puchar Pelippy”. Jest tam... Tiamak.

W oczach Isgrimnura pojawiły się łzy. Ten człowiek powinien już nie żyć. Tylko siła woli mogła jeszcze trzymać go przy życiu.

– Odnajdę ją – powiedział. – Zawiozę w bezpieczne miejsce.

Dinivan wydawał się rozpoznawać go teraz.

– Powiedz Josui... – urwał, oddychając z trudem. – Powiedz mu, że... obawiam się... *fałszywych posłańców.*

– Co to znaczy? – spytał Isgrimnur, lecz Dinivan milczał, a dłonią przesuwał wolno po piersi niczym zdychający pająk, aż do kołnierza szaty.

Isgrimnur wyciągnął delikatnie spod szaty duchownego jego Święte Drzewo i położył je na piersi Dinivana, lecz on potrząsnął słabo głową i jeszcze raz spróbował sięgnąć pod habit. Isgrimnur wsunął dłoń i wyciągnął zawieszony na łańcuchu złoty wisior w kształcie zwoju pergaminu i gęsiego pióra. Zatrzask zerwał się, gdy książę podniósł wisior do góry; łańcuch zsunął się na mokre włosy Dinivana i z góry wyglądał jak lśniący wąż, który pełznie u szyi duchownego.

– Daj... Tiamakowi – wycharczał Dinivan.

Isgrimnur z trudem usłyszał jego słowa zagłuszane teraz odgłosami wzmagających się okrzyków oraz trzaskiem płomieni w korytarzu za nimi. Książę wsunął wisior do kieszeni swego habitu i podniósł wzrok, zaskoczony nagłym ruchem, jaki dostrzegł w pobliżu. Jeden z nieruchomo tkwiących strażników oświetlonych teraz pulsującym blaskiem ognia kołysał się w miejscu. Chwilę później runął do przodu z hukiem; jego hełm potoczył się po kamiennej podłodze. Leżący żołnierz jęknął.

Kiedy Isgrimnur ponownie spojrzał na Dinivana, światło w jego oczach zupełnie zgasło.

16. Bezdomni

W KLASZTORZE PANOWAŁA zupełna ciemność, a ciszę mącił tylko urywany oddech Simona. Skodi odezwała się ponownie; jej głos nie był już słodkim szeptem.

– Wstań.

Simon miał wrażenie, że do ruchu zmusza go jakaś siła, delikatna jak pajęcza nić, lecz silna jak stal. Jego mięśnie napinały się wbrew jego woli, lecz on sam opierał się. Wcześniej próbował wstać, teraz walczył, by leżeć spokojnie.

– Dlaczego ze mną walczysz? – spytała Skodi rozdrażniona. Jej chłodna dłoń pogładziła pierś Simona i przesunęła się niżej, na drżący brzuch. Poczuł, że zupełnie traci kontrolę nad swymi kończynami, a wola dziewczyny objęła go całego niczym ogromna dłoń. Silna i niepojęta moc pociągnęła go i postawiła na nogi. Zachwiał się w ciemności, nie mogąc utrzymać równowagi. – Damy im miecz – nuciła Skodi. – Czarny miecz. Och, dostaniemy śliczniutkie prezenty...

– Gdzie są... moi... przyjaciele? – jęknął Simon.

– Cicho, głupi. Wyjdź na dziedziniec.

Szedł bezwolnie przez ciemny pokój, potykając się i obijając o niewidoczne przeszkody niczym niezręcznie sterowana kukiełka.

– Tędy – odezwała się Skodi. – Zawiasy frontowych drzwi zaskrzypiały i pokój wypełnił czerwonawy blask ogniska z dziedzińca. Skodi stanęła w otwartych drzwiach; wirujący wiatr rozwiał jej jasne włosy. – Chodź, Simonie. Co za noc! *Szalona* noc!

Płomienie z ogniska strzelały teraz jeszcze wyżej niż w chwili ich przybycia. Niemal sięgały pochyłego dachu, powodując, że popękana ściana klasztoru przypominała rdzawą płaskorzeźbę. Wszystkie dzieci wrzucały do ognia najprzeróżniejsze przedmioty: połamane krzesła i kawałki innych mebli, a także drewno przyniesione z rosnącego wokół lasu, płonął więc, sycząc nieustannie. Zdawało się, że mali strażnicy ogniska gotowi są spalić wszystko, co im wpadnie w ręce, nie bacząc na to, czy da się to spalić; i tak w ognisku znalazły się kamienie, zwierzęce kości, potłuczone gliniane naczynia, a nawet kawałki witraży ze zniszczonych okien. Podsycane wiatrem ognisko huczało i wznosiło się wysoko, a jego blask odbijał się w oczach dzieci, sprawiając, że przypominały ślepia lisów.

Simon wyszedł chwiejnie na ośnieżony dziedziniec, a Skodi za nim. Gdzieś niedaleko rozległo się przeciągłe, samotne wycie. Jak żółw wygrzewający się na plaży Simon odwrócił głowę w stronę zielonookiej postaci, która przycupnęła na wzgórzu na skraju polany. Poczuł ukłucie nadziei, gdy postać uniosła pysk i znów zawyła.

– Qantaqa! – zawołał; imię zabrzmiało dziwnie, kiedy wymówił je, ledwie poruszając ustami.

Wilczyca pozostała na wzgórzu. Zawyła raz jeszcze. Tym razem był to okrzyk strachu i frustracji tak wyraźny, jakby mówiła ludzkim głosem.

– Paskudne zwierzę – powiedziała Skodi z obrzydzeniem. – Zżera dzieci, wyje do księżyca. Nie przyjdzie blisko domu Skodi. Nie zniszczy moich czarów.

Utkwiła wzrok w zielonych oczach i wycie Qantaqi zamieniło się w bolesne popiskiwanie. Chwilę później wilczyca odwróciła się i zniknęła ze wzgórza. Simon zaklął w duchu i jeszcze raz spróbował wyrwać się z jej mocy, lecz czuł się równie bezradny jak kot, którego ktoś podniósł za sierść. Czuł, że ma jedynie kontrolę nad głową, która boli go przy każdym ruchu. Przekręcił wolno głowę, rozglądając się za Sludigiem i Binabikiem i nagle znieruchomiał z szeroko otwartymi oczami.

Na zmarzniętej ziemi pod spękaną frontową ścianą klasztoru leżały dwie skulone postacie – duża i mała. Łzy na policzku Simona natychmiast zamarzły w piekące sople, gdy jakaś siła odwróciła jego głowę i popchnęła go bliżej ogniska.

– Zaczekaj – odezwała się Skodi. Jej obszerna, biała koszula nocna powiewała na wietrze. Była boso. – Nie chcę, żebyś podchodził za blisko. Mógłbyś się poparzyć i nie byłbyś już tak dobry. Stań tutaj. – Wskazała pulchnym ramieniem miejsce oddalone o kilka kroków.

Simon poczuł, że idzie chwiejnym krokiem przez topniejący śnieg w kierunku wskazanego miejsca, jakby był przedłużeniem jej ręki.

– Vrenie! – zawołała Skodi. W jej głosie słychać było radość, radość opętanego. – Gdzie jest ten sznur? Gdzie się podziewasz?

Ciemnowłosy chłopiec ukazał się w drzwiach.

– Jestem, Skodi.

– Zwiąż mu jego ładniutkie rączki.

Vren popędził przez śliski dziedziniec. Chwycił omdlałe ramiona Simona, założył mu je za plecy i zręcznie związał sznurem nadgarstki.

– Vrenie, dlaczego to robisz? – wyrzucił z siebie Simon. – Byliśmy dla ciebie dobrzy.

Mały Hyrka nie zwracał na Simona uwagi, zacisnął tylko mocniej węzły. Skończywszy, oparł swe małe dłonie na biodrach Simona i pchnął go

w stronę miejsca, gdzie leżeli Sludig i Binabik.

Podobnie jak Simon obaj mieli ręce związane na plecach. Binabik spojrzał na Simona, błyskając białkami oczu. Sludig oddychał, lecz wydawał się nieprzytomny; na jego jasnej brodzie widać było zamarzniętą ślinę.

– Simonie, przyjacielu – przemówił troll, z trudem wymawiając słowa. Binabik wziął głębszy oddech, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz opadł do tyłu i zamilkł.

W drugim końcu dziedzińca Skodi pochyliła się, by narysować na topniejącym śniegu koło. Kreśliła je, wysypując z garści czerwonawy proszek. Kiedy koło było już gotowe, zaczęła pisać na błotnistej ziemi znaki runiczne, wysuwając język między zębami, jak robią zaabsorbowane czymś dzieci. Vren stał oddalony o kilka kroków i spoglądał to na Skodi, to na Simona z twarzą pozbawioną wszelkich emocji; przypominał raczej czujne zwierzę.

Skończywszy podsycać ognisko, dzieci skupiły się pod ścianą klasztoru. Jedna z najmłodszych dziewczynek siedziała na ziemi w swej cienkiej koszulce, popłakując cichutko. Starszy chłopiec gładził ją po głowie, próbując uspokoić. Dzieci obserwowały Skodi z pełną zachwytu uwagą. Poryw wiatru wzniecił słup ognia, którego blask nałożył na ich poważne twarze rdzawe maski.

– Gdzie jest Honsa? – zawołała Skodi i wyprostowała się, otulając szczelniej swą koszulą. – Honsa!

– Przyprowadzę ją, Skodi – powiedział Vren. Zniknął w cieniu za rogiem budynku i po chwili pojawił się znowu z czarnowłosą dziewczynką Hyrka starszą od niego o rok lub dwa. Dzieci niosły ciężki koszyk, który kołysał się i podskakiwał między nimi na nierównym gruncie. Postawiły kosz u stóp Skodi i wróciły szybko do pozostałych dzieci. Znalazłszy się

wśród swoich rówieśników, Vren przykucnął, wyciągnął zza paska nóż i zaczął nerwowo piłować nim koniec sznura, którym związał Simona. Simon wyczuwał napięcie chłopca i zastanawiał się, jaki może być tego powód.

Skodi sięgnęła do koszyka i wyjęła z niego czaszkę; jej żuchwa trzymała się tylko na kilku kawałkach wysuszonego ciała, przez co, pozbawiona oczu, przypominała zdumioną twarz. Simon zobaczył, że w koszyku jest więcej czaszek. Teraz już nie miał wątpliwości, co się stało z rodzicami koczujących tu dzieci. Pomimo odrętwienia poczuł dreszcz na całym ciele, lecz miał wrażenie, że nie jest to jego ciało, a kogoś, kogo obserwuje z odległości. Kucający nieopodal Vren przejechał lśniącym ostrzem swego noża po sznurze; twarz miał poważną i skupioną. Simon przypomniał sobie ze zgrozą, jak Skodi opowiadała o tym, że oprócz innych prac Vren zabija i gotuje dla niej.

Skodi trzymała przed sobą czaszkę. Jej dziwnie ładna twarz pozostawała całkowicie skupiona na trzymanym przedmiocie; była jak naukowiec pochłonięty rozwiązywaniem trudnego problemu matematycznego. Kołysząc się z boku na bok niczym łódź na wietrze z trzepoczącym żaglem koszuli, zaczęła śpiewać swym wysokim, dziecięcym głosem.

W ziemi, głębokiej ziemi, gdzie kret schodzi do podziemi
i pieśń śpiewa o zimnym kamieniu, błocie i kości szarzeniu;
nocą, gdy zimno i mrocznie, on w śpiewie nie spocznie
i głęboko w ziemi ryje, gdzie się robak biały wije
i umarli, spoczywając, sen swój śnią;
gdzie chrząszczy gromada jaja białe składa
i łapami skrzypią skrzyp, skrzyp, skrzyp;

a wszystko w mroku ginie w ciemności pelerynie,
ich wstyd zasłoniła, imiona pogrążyła,
zmarłych imiona, przeszłość utracona,
puste wiatry, puste słowa.
Kamień trawa porasta, pola suche chwast zarasta,
wszystko, co widzieli, w ciemności zapomnieli,
więc we śnie pogrążeni płaczą,
płaczą, choć oczu nie mają, przeszłość dawną wspominają,
w ciemności się przewracają, pod mchem spoczywają.
W grobie wszyscy jednacy, czy uczeni, czy prostacy,
bez przyszłości, bez imienia, wiedzy i znaczenia,
powrotu wypatrują spragnieni, w szczeliny wpatrzeni,
na słońce blade spoglądają, choć miłość okrutną przeklinają
i spokój, co w życiu utracili, wszystkie troski i zmartwienia,
żony i dzieci wspomnienia,
gorzkie lekcje przeżyte, doświadczenia nabyte,
lecz wciąż spragnieni powrotu, powrotu, powrotu,
spragnieni powrotu.
Powróćcie!
W ziemi, głębokiej ziemi, kopcem przywaleni,
gdzie krew, kość i skóra zostaje i błotnista maź powstaje,
i gdzie świat gnijący śpiewa...

Pieśń Skodi rozbrzmiewała nieprzerwanie, unosiła się i opadała niczym czarny wir w zarośniętym i opuszczonym stawie. Simon czuł, że zanurza się razem z nią, porwany jej natarczywym rytmem, aż wreszcie płomienie, gwiazdy i lśniące oczy dzieci zlały się w pasemka światła, a jego serce

pogrążyło się w ciemności. Miał wrażenie, że jego umysł jest zupełnie oddzielony od obolałego ciała i tego, co dzieje się dookoła. Jego myśli wypełnił niewyraźny bełkot idioty. Po ośnieżonym dziedzińcu przemykały niewyraźne postacie, lecz były one mu zupełnie obojętne.

Jedna z postaci wzięła do ręki jasny, okrągły przedmiot i rzuciła go do ognia, a zaraz potem dorzuciła garść proszku. Z ognia wzniósł się pióropusz purpurowego dymu i zasłonił wszystko. Kiedy wiatr rozwiał dym, ogień płonął równie jasno jak przedtem, lecz wydawało się, że dziedziniec pogrążył się w jeszcze większej ciemności. Czerwony blask, który oblewał klasztorne budynki, ściemniał, niczym prastary zachód słońca nad zamierającym światem. Wiatr ustał, lecz na dziedziniec wpełzł jeszcze większy chłód. Choć Simon miał wrażenie, że jego ciało nie należy już do niego, czuł chłód przenikający go do kości.

– Przyjdź do mnie, Pani Srebrna Masko! – zawołała największa z postaci. – Porozmawiaj ze mną, Panie Czerwone Oczy! Chcę wam coś zaproponować! Mam coś ładniutkiego, co wam się spodoba!

Wiatr ucichł, lecz mimo to płomienie ogniska kołysały się; drżały i pulsowały jak ogromne zwierzę schwytane do worka. Chłód stawał się coraz bardziej dotkliwy. Blask gwiazd przygasł. Wśród płomieni uformowały się ciemne usta, a nad nimi pojawiły się dwa czarne, puste oczodoły.

– Mam dla was prezent! – zawołała radośnie duża postać obok.

Simon, odurzony, z trudem przypomniał sobie, że ma ona na imię Skodi. Niektóre dzieci płakały, lecz pomimo ciszy ich głosy były stłumione.

Twarz w ogniu wykrzywiła się. Z czarnej, rozdziawionej gęby wydobył się powolny ryk, niski i donośny niczym trzeszczące posady góry. Jeśli usta wypowiedziały jakieś słowa, nie sposób było zrozumieć ich znaczenie. Chwilę później twarz zaczęła drżeć i zatarła się.

– Zostań! – zawołała Skodi. – Dlaczego odchodzisz! – Rozglądała się wściekle dookoła, machając rękami; uniesienie widoczne dotąd na jej twarzy zniknęło. – Miecz! – wrzasnęła w stronę dzieci. – Przestańcie beczeć, głupie osły! Gdzie jest miecz? Vren!

– W środku, Skodi – odparł malec.

Vren trzymał na kolanach jednego z mniejszych chłopców. Simon zauważył, że ramiona chłopca pod postrzępionym płaszczem są chude i nagie.

– Więc przynieś go, głupcze! – krzyknęła Skodi, podskakując z wściekłości. Twarz w płomieniach była teraz prawie niedostrzegalna. – Przynieś go!

Vren wstał szybko, a siedzący na jego kolanach chłopiec zsunął się na ziemię i dołączył do grupy kwilących dzieci. Vren pomknął do budynku, Skodi zaś ponownie odwróciła się do falującego słupa ognia.

– Wróć, wróć – przywoływała znikającą twarz. – Mam prezent dla mojej Pani i mojego Pana.

Simon poczuł, że Skodi nie ma teraz nad nim takiej mocy. Poczuł, że wraca do swego ciała – było to dziwne wrażenie, jakby wkładał płaszcz zrobiony z łaskoczących piórek.

W drzwiach ukazał się Vren z twarzą niezwykle poważną.

– Za ciężki! – zawołał. – Honsa, Endë i inni. Chodźcie tutaj! Musicie mi pomóc!

Kilkoro dzieci ruszyło przez śnieg w kierunku budynku; idąc, niezgrabnie oglądały się przez ramię na jęczący ogień i gestykulującą opiekunkę. Dotarłszy do wejścia, ruszyły za Vrenem do środka niczym stadko przestraszonych gęsiąt.

Skodi znowu odwróciła się od ognia; twarz miała czerwoną, a usta drżące.

– Przynieś miecz, leniuchu! Szybko!

Chłopiec wystawił głowę z wnętrza domu.

– Jest ciężki, Skodi. Ciężki jak kamień!

Skodi popatrzyła szalonym wzrokiem na Simona.

– To twój miecz, prawda? – Twarz z ognia zniknęła, lecz gwiazdy wciąż świeciły blado na nocnym niebie – przypominały bardziej lodowe kulki niż źródła światła – a płomienie ogniska pulsowały i tańczyły niewzruszenie. – Pewnie wiesz, jak go przenieść! – Jej wzrok był nie do zniesienia.

Simon nic nie odpowiedział, zbierając wszystkie siły, by powstrzymać się przed pijackim bełkotem, by ukryć swe myśli przed jej natrętnym wzrokiem.

– Muszę dać im miecz! – syknęła. – Oni go szukają. Wiem o tym! Sny mi o tym powiedziały. Pan i Pani dadzą mi... moc! – Roześmiała się, a jej dziewczęcy chichot przeraził go jak nic dotąd. – Och, ładniutki Simonie – powiedziała wesoło. – Co za szalona noc! Idź i przynieś mi swój czarny miecz. – Odwróciła się i zawołała w stronę drzwi opactwa. – Vrenie, chodź i rozwiąż mu ręce!

Vren wyjrzał na zewnątrz.

– Nie! – krzyknął, rzucając jej pełne wściekłości spojrzenie. – On jest zły! Ucieknie! *Zrobi ci krzywdę!*

Twarz Skodi zastygła w okropnym grymasie.

– Rób, co ci każę! Rozwiąż go!

Ze łzami w oczach i wciąż wściekły chłopiec ruszył przed siebie. Szarpnął brutalnie za ręce Simona i wsunął nóż pod sznur. Sapiąc, zaczął przecinać więzy. Kiedy je przeciął, odwrócił się i popędził z powrotem do budynku.

Simon wstał i rozcierając powoli ręce, myślał, że mógłby po prostu uciec. Skodi stała teraz tyłem do niego i przemawiała czule do ogniska.

Kątem oka dostrzegł Binabika i Sludiga. Rimmersman wciąż leżał nieruchomo, lecz troll szarpał się, próbując uwolnić się z więzów.

– Weź... weź miecz i uciekaj, Simonie, przyjacielu! – szepnął Binabik. – My... my jakoś uciekniemy.

Nagle rozległ się głos Skodi.

– Miecz!

Simon poczuł, że znowu znajduje się we władaniu mocy, której nie potrafił się oprzeć. Poszedł posłusznie w stronę budynku, jakby pchała go niewidzialna dłoń. Znajdujące się wewnątrz dzieci skupiły się w rogu, gdzie było palenisko, i wciąż próbowały podnieść Cierń. Kiedy Simon wszedł, Vren rzucił mu gniewne spojrzenie, lecz odsunął się na bok. Simon klęknął przed mieczem, który przypominał raczej twarde i kanciaste zawiniątko, schowane w szmaty i skóry. Odwinął miecz, choć dłonie miał dziwnie zdrętwiałe.

Kiedy chwycił za wytłaczaną rękojeść, sączący się do wnętrza blask ognia zarysował żarzącą się smugę wzdłuż czarnego ostrza. Miecz zadrżał pod jego palcami jak nigdy dotąd; było to drżenie pełne pragnienia i oczekiwania. Po raz pierwszy Simon poczuł niewypowiedzianą i przeraźliwą obcość Ciernia, lecz nie mógł go odrzucić, tak samo jak nie potrafił uciec. Podniósł miecz. Cierń nie wydawał mu się tak bardzo ciężki, jak zdarzało się to wcześniej, lecz wciąż wyczuwał dziwny opór, jakby wyciągał go z błotnistego dna stawu.

Poczuł, że musi iść w stronę drzwi. Choć nie widział Skodi, wciąż potrafiła poruszać nim jak lalką. Czuł, że jakaś siła ciągnie go na rozświetlony blaskiem ognia dziedziniec.

– Chodź tutaj, Simonie – przemówiła, gdy stanął w drzwiach, i rozłożyła szeroko ramiona jak kochająca matka. – Chodź i stań przy mnie w kole.

– On ma miecz! – wrzeszczał Vren z progu budynku. – Zrobi ci krzywdę!

Skodi roześmiała się szyderczo.

– Nie zrobi. Skodi jest zbyt silna. A poza tym on jest moim nowym pieszczoszkiem. Lubi mnie, prawda? – Wyciągnęła dłoń w kierunku Simona. Cierń wydawał się nabrzmiewać przeraźliwym, ospałym życiem. – Nie przerwij koła – powiedziała pogodnie, jakby grali w jakąś grę. Chwyciła Simona za ramię i przyciągnęła do siebie, pomagając mu przejść nad kołem czerwonawego proszku. – Teraz będą mogli zobaczyć miecz! – oznajmiła radośnie.

Jej ciepła, różowa dłoń spoczęła na dłoni Simona, która obejmowała rękojeść Ciernia, drugą objęła go za szyję i przycisnęła do pulchnych piersi i brzucha. Simon ledwie wytrzymywał bijący od ognia żar, a bliskość ciała Skodi była jak duszący sen. Choć był od niej o pół głowy wyższy, czuł się jak bezradne niemowlę. Jaką czarownicą była ta dziewczyna?

Skodi zaczęła krzyczeć przeraźliwie w języku Rimmerspakk, kołysząc się przytulona do niego. Twarz w ognisku znowu stała się wyraźniejsza. Poprzez łzy Simon dostrzegł czarne usta, które otwierały się i zamykały jak pysk rekina. Zimna i przeraźliwa obecność, która starała się ich wywęszyć z drapieżną cierpliwością.

Nagle zaryczał głos. Tym razem Simon miał wrażenie, że słyszy rozmowę zagłuszaną innymi dźwiękami, nierozpoznawalne słowa, których brzmienie przeszyło go do szpiku kości.

Skodi jęknęła z podniecenia.

– To jeden z najważniejszych służących Pana Czerwone Oczy, tak jak się spodziewałam! Spójrz, panie, spójrz! Oto prezent, którego oczekiwałeś! – Zmusiła Simona, by podniósł Cierń, i patrzyła wyczekująco na poruszającą się w ogniu postać, która znowu coś mówiła. Skodi

skrzywiła się. – Nie rozumie mnie – szepnęła tuż przy szyi Simona, jakby rozmawiała z kochankiem. – Nie może znaleźć odpowiedniej drogi. Bałam się, że tak będzie. Moje zaklęcie nie wystarcza. Skodi musi zrobić coś, czego nie chciała. – Odwróciła głowę. – Vrenie, potrzebujemy krwi! Weź miskę i przynieś trochę krwi tego wysokiego.

Simon chciał krzyknąć, lecz nie mógł. Cieniutkie włosy Skodi unosiły się na falach gorąca jakby były obłoczkami dymu. Jej oczy wydawały się zupełnie płaskie i nieludzkie – przypominały gliniane skorupy.

– Krew, Vrenie!

Chłopiec stał nad Sludigiem z glinianą miską w jednej ręce, w drugiej trzymał nóż – bardzo duży w jego małej dłoni. Odwrócił się i spojrzał na Skodi, nie zwracając uwagi na rzucającego się na ziemi trolla.

– Tak, z tego dużego! – krzyknęła Skodi. – Chcę zatrzymać małego! Vrenie, ty głupia małpo, pośpiesz się. Potrzebuję krwi do ognia. Posłaniec może odejść!

Vren uniósł nóż.

– Tylko nieś ostrożnie! – krzyknęła Skodi. – Nie wylej, kiedy będziesz już w kole. Wiesz, ile małych się schodzi, kiedy wypowiada się zaklęcia, i jak są głodni.

Nagle chłopiec odwrócił się i ruszył w stronę Skodi i Simona; na jego twarzy widać było gniew i strach.

– Nie! – wrzasnął. Simonowi wydawało się przez chwilę, że Vren ma zamiar zaatakować Skodi. – Nie! – krzyknął ponownie Vren, wymachując nożem; po jego policzkach płynęły łzy. – Dlaczego chcesz ich zostawić? Dlaczego chcesz go zatrzymać? – Wskazał nożem w stronę Simona. – On jest za stary, Skodi! Jest zły! Nie taki jak ja!

– Vrenie, co ty wyprawiasz? – Skodi zmrużyła oczy zaniepokojona, widząc, że chłopiec zbliża się do koła. Zamachnął się i ostrze jego noża

zalśniło w blasku ogniska. Simon czuł okropny ból w mięśniach, kiedy spróbował uchylić się przed atakiem, lecz wciąż pozostawał w uścisku żelaznej pięści. Pot zalewał mu oczy.

– Nie chcę, żebyś go lubiła! – krzyczał Vren.

Jęczący z wysiłku Simon zdołał spowodować, że ostrze skierowane w jego żebra nie trafiło celu i prześliznęło się tylko po plecach, zostawiając za sobą smugę zimnego bólu. Z ognia wydobył się potężny ryk, a potem odległe gwiazdy zgasły i ciemność ogarnęła Simona.

EOLAIR ZOSTAWIŁ JĄ NA CHWILĘ i wrócił za ogromne drzwi po jeszcze jedną lampę.

Czekając na powrót hrabiego Nad Mullach, Maegwin rozglądała się zadowolona po kamiennym mieście, które ciągnęło się pod nimi w jaskini. Oto mieli przed sobą miasto Sithów, dawnych sprzymierzeńców Hernystirczyków, Znalazła je! Był już taki moment, że skłonna była uwierzyć w swe szaleństwo, które sugerowali Eolair i inni, ale w końcu dopięła swego.

Początkowo myśl ta tylko zakłócała jej sny; niespokojne sny, mroczne i chaotyczne, pełne cierpiących twarzy, tych, których kochała i utraciła. Z czasem zaczęły pojawiać się inne obrazy. Te nowe sny przyniosły ze sobą piękne miasto z powiewającymi sztandarami, miasto kwiatów i urzekającej muzyki, miasto bez wojny i rozlewu krwi. Lecz wizje te pojawiły się dopiero niedawno i choć wolała te ułamki radosnego snu od koszmarów, które zwykle ją męczyły, nie przyniosły ukojenia. Wręcz przeciwnie, swym bogactwem i cudownością wzbudziły w Maegwin obawę, że zwariowała. I tak wędrując tunelami góry Grianspog, zaczęła słyszeć szepcące głosy z głębi ziemi, jakich nigdy dotąd nie słyszała.

Myśl o starożytnym mieście nabierała jasności, aż wreszcie wyparła wszystko inne, co działo się pod słońcem. A blask słońca przynosił tylko zło; gwiazda dnia stała się drogowskazem dla nieszczęść, lampą, dzięki której wrogowie Hernystirczyków mogli wytropić i wybić jej lud. Bezpieczni byli tylko w głębi ziemi, głęboko wśród jej posad, gdzie wciąż żyli bohaterowie i bogowie z przeszłości, gdzie okrutna zima nie miała dostępu.

Teraz, stojąc ponad fantastycznym, kamiennym miastem – jej miastem – poczuła ogromną satysfakcję. Ogarnął ją spokój po raz pierwszy od chwili, gdy jej ojciec, król Lluth, odjechał, by stawić czoło Skalemu Ostronosemu. Prawdą było, że kamienne wieże i kopuły widoczne w skalnym wąwozie nie przypominały ulotnego letniego miasta z jej snów, lecz nie było wątpliwości, iż wszystko to, co widziała, nie zostało wykonane ręką człowieka i znajdowało się w miejscu, gdzie nie stanęła noga Hernystirczyka. Jeśli nie była to siedziba nieśmiertelnych Sithów, to czyja? Była szczęśliwa i wierzyła głęboko, że mają przed sobą miasto dawnych sprzymierzeńców.

– Maegwin? – zawołał Eolair i przecisnął się przez uchylone drzwi. – Gdzie jesteś?

Słysząc troskę w jego głosie, uśmiechnęła się, lecz ukryła uśmiech.

– Tutaj jestem, hrabio. Tam, gdzie kazałeś mi czekać.

Zbliżywszy się, stanął przy niej i spojrzał w dół.

– Kamienni bogowie – powiedział, kręcąc głową. – Mimo wszystko, to jest wspaniałe.

Maegwin uśmiechnęła się ponownie.

– A czego innego spodziewałeś się po takim miejscu? Zejdźmy na dół i poszukajmy tych, którzy tu mieszkają. Wiesz, że nasz lud jest w wielkiej potrzebie.

Eolair spojrzał na nią uważnie.

– Księżniczko, wątpię, aby ktokolwiek tu mieszkał. Czy widzisz, żeby coś się ruszało? Nie ma tu żadnych świateł oprócz naszego.

– Skąd wiesz, że Sprawiedliwi nie widzą w ciemności? – spytała. Pomyślała, że ogólnie rzecz biorąc, mężczyźni są głupi, lecz zdarzają się wyjątki, jak na przykład hrabia. Była tak podniecona i uradowana, że z trudem powstrzymywała śmiech. Bezpieczeństwo! Myśl o tym rozpierała ją. Czy ktoś mógł wyrządzić im krzywdę w domu dawnych obrońców Hernystirczyków?

– Dobrze, pani – przemówił powoli Eolair. – Zejdziemy kawałek, jeśli te schody na to pozwolą, lecz pamiętaj, że twoi ludzie niepokoją się o ciebie. Musimy szybko wracać. Zawsze możemy powrócić tutaj z posiłkami.

– Oczywiście. – Jej niedbały gest świadczył o tym, jak niewiele obchodziły ją argumenty Eolaira. Wiedziała, że powrócą tu z wszystkimi ludźmi i zostaną w tym mieście na zawsze, z dala od Skalego, Eliasa i innych żądnych krwi szaleńców, którzy mieszkają na powierzchni ziemi.

Eolair chwycił ją za łokieć i prowadził z przesadną ostrożnością. Ona sama miała ochotę popędzić w dół wyciosanymi w surowym kamieniu schodami. Kto mógł ich tam skrzywdzić?

Schodząc, przypominali dwie gwiazdy spadające w otchłań; blask ich lamp odbijał się od jasnych dachów w dole. Ich kroki rozbrzmiewały echem w ogromnej jaskini i odbijając się od niewidocznego sufitu, powracały nieskończenie zwielokrotnione niczym delikatny trzepot skrzydeł tysięcy nietoperzy.

Choć miasto wydawało się nienaruszone, najbardziej przypominało szkielet. Połączone ze sobą budynki pokryte były jasnymi, kamiennymi dachówkami w tysiącach odcieni, począwszy od koloru pierwszego śniegu

poprzez niezliczone barwy piasku, perły i szarości. Okrągłe okna przypominały niewidzące oczy ślepca. Wyłożone gładkim kamieniem ulice lśniły, jakby były szlakiem uczęszczanym przez ślimaki.

Doszli do połowy schodów, kiedy Eolair zatrzymał się nagle, przyciskając ramię Maegwin do swego boku. W świetle lampy jego zmartwiona twarz wydawała się niemal przezroczysta; pomyślała, że mogłaby teraz dojrzeć jego myśli.

– Wystarczy, pani – powiedział. – Twoi ludzie będą cię szukać.

– Moi ludzie? – spytała, odsuwając się. – Czyż nie są to także twoi ludzie? A może nie chcesz już mieć nic wspólnego z bandą kryjących się po jaskiniach istot?

– Maegwin, wiesz, że nie to miałem na myśli – odparł zdecydowanie.

„Ach, Eolairze, czy widzę ból w twych oczach? – pomyślała. – Czy to bardzo boli być uwiązanym do opętanej? Jak mogłam być tak głupia i pokochać cię, wiedząc, że nie mogę liczyć na nic poza uprzejmą wyrozumiałością?”

Głośno zaś powiedziała:

– Możesz iść, hrabio, dokąd ci się podoba. Nie wierzyłeś mi. Teraz pewnie boisz się, że mógłbyś spotkać tych, których istnieniu zaprzeczałeś. Ja idę do miasta.

Eolair zmarszczył brwi zawiedziony. Widząc jego twarz, na której nieświadomie rozmazał sadzę z lampy, Maegwin zastanawiała się, jak ona wygląda. Długie, żmudne godziny spędzone na poszukiwaniach, a potem na kopaniu i przecinaniu zasuwy blokującej ogromne drzwi wydały jej się teraz odległym snem. Jak długo jest pod ziemią? Z przerażeniem spojrzała na swe paznokcie pokryte skorupą brudu i pomyślała, że rzeczywiście musi wyglądać jak obłąkana, lecz zaraz odrzuciła tę myśl. Nie warto było przejmować się tym w takiej chwili.

– Pani, nie mogę pozwolić, żebyś się tutaj zgubiła – odezwał się wreszcie Eolair.

– W takim razie, szlachetny hrabio, idź ze mną albo zmuś mnie, bym wróciła do twego przeklętego obozu. – W następnej chwili pożałowała tego, co powiedziała, lecz stało się i nie mogła cofnąć swych słów.

Eolair nie rozzłościł się, jak się tego spodziewała. Wręcz przeciwnie, na jego twarzy pojawił się wyraz znużonej rezygnacji. Ból, który już wcześniej dostrzegła w jego oczach, nie zniknął, lecz jakby przenikał go coraz bardziej i rozlewał się po całej jego twarzy.

– Maegwin, obiecałaś mi. Zanim otworzyłem drzwi, powiedziałaś, że zastosujesz się do mojej decyzji. Nie sądziłem, że mogłabyś złamać przysięgę. Twój ojciec z pewnością by tego nie zrobił.

Maegwin żachnęła się poruszona.

– Nie mieszaj do tego mojego ojca!

Eolair pokręcił głową.

– Spokojnie, moja pani, obiecałaś.

Maegwin utkwiła w nim spojrzenie. Coś w jego spokojnej, mądrej twarzy nie pozwalało jej ruszyć dalej schodami, jak zamierzała. Wewnętrzny głos kazał jej drwić z własnej głupoty, lecz pozostała na miejscu.

– Hrabio Eolairze, tylko częściowo masz rację – odparła wolno. – Nie mogłeś sam otworzyć drzwi, jeśli pamiętasz. Musiałam ci pomóc.

– I co z tego? – spytał, spoglądając na nią uważnie.

– Proponuję kompromis. Wiem, że uważasz mnie za okropnego uparciucha albo i kogoś gorszego, ale wciąż mi zależy na twojej przyjaźni, Eolairze. Zawsze wiernie służyłeś domowi mego ojca.

– A zatem umowa? – spytał oschle.

– Jeśli pozwolisz, żebyśmy zeszli na sam dół schodów, aż staniemy na ulicy miasta, wtedy wrócę z tobą, zgodnie z twoim życzeniem. Obiecuję.

Na jego ustach pojawił się smutny uśmiech.

– Obiecujesz?

– Przysięgam na Stado Bagdy. – Maegwin dotknęła brudną dłonią swej piersi.

– Tutaj na dole może lepiej byłoby przysięgać na Czarnego Cuamha. – Eolair skrzywił się. Wstążka podtrzymująca jego warkocz rozwiązała się i włosy opadły na ramiona. – Dobrze. Nie podoba mi się pomysł niesienia cię na górę wbrew twej woli.

– Nie dałbyś rady – odparła Maegwin z uśmiechem. – Jestem za silna. Idźmy. Jak mówiłeś, ludzie czekają na nas.

Ruszyli w milczeniu w dół schodów; Maegwin z uczuciem bezpieczeństwa, jakie w jej mniemaniu dawały im cienie i kamienne góry, Eolair milczący i pogrążony w myślach. Choć stopnie były wystarczająco szerokie, szli ostrożnie, spoglądając pod nogi. Schody były popękane i poszczerbione, jakby ziemia poruszyła się w niespokojnym śnie, lecz mimo to wciąż zdumiewało ich misterne i piękne wykonanie. W świetle lampy dostrzegli delikatne wzory, które wiły się schodami, a potem dalej ścianą; często były to znaki tak delikatne jak pędy młodych paproci czy też piórka kolibra. Maegwin nie potrafiła ukryć uśmiechu zadowolenia i satysfakcji.

– Widzisz? – Przysunęła lampę bliżej ściany. – Czy możliwe jest, by zrobiła to ręka śmiertelnika?

– Widzę, pani – odpowiedział rzeczowo Eolair. – Lecz z drugiej strony schodów nie ma takiej ściany. – Wskazał ręką na krawędź, która wisiała nad wąwozem. Choć pokonali już znaczną część schodów, odległość do dna wąwozu wciąż była wystarczająca, by zabić się, spadając na dół. – Proszę,

nie przyglądaj się tym rzeźbom aż tak blisko, gdyż możesz się potknąć i spaść ze schodów.

– Będę uważała, hrabio. – Maegwin dygnęła uprzejmie.

Eolair nachmurzył się, rozzłoszczony pewnie jej frywolnym nastrojem, lecz skinął tylko głową.

Zbliżając się do dna wąwozu, ogromne schody rozszerzały się niczym wachlarz. Światło lampy pozwalało im tylko rozejrzeć się w pobliżu wiszącej nad nimi skalnej ściany; było zbyt słabe, by rozproszyć panującą dalej niezgłębioną ciemność. Budynki, które z wysokości krawędzi wąwozu wydawały się wspaniale rzeźbionymi zabawkami, teraz wznosiły się nad nimi, las fantastycznych kopuł i spiralnych wież, zwężających się ku górze niczym ogromne stalagmity i ginących w mrokach wysokości. Mosty z litego kamienia ciągnęły się od ścian jaskini do wież; jedne prowadziły do ich wnętrza, jeszcze inne zaś wiły się wokół nich niczym wstęgi. Wszystkie części miasta łączyły różne kamienne spoiwa, przez co przypominało ono raczej ogromny, żywy organizm niż rzeźbę w martwej skale; jednak nie ulegało wątpliwości, że jest zupełnie puste.

– Pani, Sithowie dawno stąd odeszli, jeśli w ogóle tutaj żyli – powiedział Eolair z powagą, lecz Maegwin miała wrażenie, że usłyszała w jego głosie nutę zadowolenia. – Czas wracać.

Maegwin rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– Czy mężczyzna nie jest niczego ciekawy? W takim razie co to jest? – spytała, wskazując na jaśniejszy punkt w środku pogrążonego w mroku miasta. – Jeśli to nie jest lampa, to ja jestem Rimmersmanem.

Hrabia wpatrywał się w dół.

– Nie wydaje mi się, żeby to była lampa – rzekł wolno. – Ale to może być coś innego. Światło, które dochodzi z góry.

– Jestem w podziemiach już dość długo – powiedziała Maegwin. – Na powierzchni z pewnością jest już dawno po zachodzie słońca. – Odwróciła się i dotknęła jego ramienia. – Chodź, Eolairze, proszę! Nie zachowuj się jak starzec. Jak mógłbyś stąd odejść, nie sprawdzając, co to może być?

Hrabia zmarszczył brwi, lecz Maegwin widziała, że walczy z samym sobą. Najwyraźniej też chciał wiedzieć. Choć to on sprawował urząd posła odwiedzającego dwory całego Osten Ard, czasem okazywał się bezbronny jak dziecko, próbując ukryć swe myśli.

– Proszę – powtórzyła.

Zanim odpowiedział, sprawdził oliwę w lampie.

– Dobrze, pójdziemy. Ale tylko dlatego, by zaspokoić twoją ciekawość. Nie ma wątpliwości, że odnalazłaś miejsce, które kiedyś należało do Sithów albo do ludzi posiadających zdolności, jakie my zatraciliśmy. Lecz oni nie mogą odwrócić naszego losu.

– Hrabio, bez względu na to, co myślisz, pośpieszmy się!

Chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą do miasta.

Pustka kamiennych ulic przeczyła jej słowom. Idąc, wzbijali obłoczki kurzu, które falowały nieustannie. W miarę jak posuwali się do przodu, Maegwin czuła, że jej entuzjazm słabnie; posmutniała, spoglądając na groteskowy obraz wież i mostów widocznych w świetle lampy. Widok ten ponownie przywiódł jej na myśli kości, jakby znaleźli się we wnętrzu jakiegoś szkieletu prastarego i ogromnego zwierza. Idąc coraz dalej krętymi ulicami opuszczonego miasta, miała wrażenie, że bestia ją połyka. Po raz pierwszy poczuła, że kamienna głębia, warstwa kamieni oddzielająca ją od słońca, przygniata ją.

Mijali niezliczoną liczbę otworów w kamiennych fasadach, otworów, których gładkie krawędzie przytrzymywały niegdyś dopasowane drzwi. Maegwin wyobrażała sobie, że widzi w ciemnych wejściach wpatrzone

w nią oczy – nie mściwe, lecz smutne – oczy, które spoglądały na obcych bardziej z żalem niż ze złością.

W obliczu monumentalnych ruin córka Llutha poczuła ciężar tego wszystkiego, czym jej lud się nie stał, tego, czym już nigdy nie mógł się stać. Żyjąc na pławiących się w słonecznym blasku polach, dali się zapędzić do jaskiń we wnętrzu góry. Nawet ich bogowie odwrócili się od nich. Sithowie przynajmniej pozostawili po sobie wspaniały, kamienny pomnik. Hernystirczycy budowali z drewna, tak że nawet ślad nie zostanie po bielejących kościach ich wojowników na polach Inniscrich. Wkrótce nic po nich nie pozostanie.

Chyba że ktoś ich uratuje. Hrabia szedł obok niej w milczeniu; kiedy tak spoglądał w górę, podziwiając wspaniałe wieże, przypominał wieśniaka z obrzeża lasu Circoille, który po raz pierwszy przybył do Hernysadharc. Obserwując profil jego twarzy – chudy nos, warkocz potarganych włosów – poczuła nagle, że wzbiera w niej miłość do niego, i to w miejscu, w którym – jak jej się wydawało – skutecznie ją uwięziła; była to bezradna miłość, równie bezradna i niezaprzeczalna jak jej smutek. Maegwin przypomniała sobie tamten dzień, prawie dwadzieścia lat temu, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy.

Z niechęcią wspominała, że choć była wtedy jeszcze dziewczyną, wzrostem dorównywała kobietom. Stała za tronem swego ojca w wielkiej sali dworu Taig, nowy hrabia Nad Mullach przybył, by złożyć przysięgę wierności. Tamtego dnia Eolair wydawał się tak młody; szczupły i jasnooki, przypominał lisa, był nerwowy, lecz najwyraźniej rozpierała go duma. Wydawał się młody? Był młody: ukończył zaledwie dwadzieścia dwa lata i aż kipiał od z trudem powstrzymywanej młodzieńczej radości. Uchwycił spojrzenie Maegwin, gdy wyjrzała zza wysokiego oparcia tronu Llutha.

Spłonęła rumieńcem. Eolair uśmiechnął się, ukazując swe lśniące, drobne, ostre zęby, i wydawało się, że odgryzł delikatnie kawałek jej serca.

Oczywiście dla niego ta chwila nie miała znaczenia. Maegwin wiedziała o tym. Choć tak młoda, już wtedy ciążył na niej los niezdarnej królewskiej córki na wydaniu, kobiety, która uwielbiała zajmować się świniami, końmi i chorymi ptakami i która nieustannie zrzucała coś ze stołu, gdyż nie miała za grosz gracji i delikatności, jakie przystoją damie. Nie, dla niego był to tylko nerwowy uśmiech, jakim obdarzył wpatrzoną w siebie dziewczynę, lecz tym nieświadomym uśmiechem pochwycił ją na zawsze w nierozerwaną sieć...

Przestała wspominać, gdy biegnąca między kamiennymi budynkami droga doprowadziła ich do szerokiej, przysadzistej wieży, ozdobionej siatką kamiennej winorośli i półprzezroczystymi kwiatami. Pozbawione drzwi ciemne wejście przypominało bezzębną, otwartą gębę. Eolair przyglądał się przez chwilę uważnie, zanim zrobił krok do przodu i zajrzał do środka.

Ginące w mroku wnętrze wieży wydawało się dziwnie podejrzane. Wewnątrz pięły się zasypane gruzem kręte schody, wokół ściany zewnętrznej zaś prowadziły w dół inne, tyle tylko, że w przeciwnym kierunku. Na końcu wiodących w dół schodów dostrzegli błysk światła – ledwie widoczną iskierkę.

Meagwin wstrzymała oddech. Nie czuła ani trochę strachu, choć znajdowali się w tak dziwnym miejscu.

– Zawrócimy, kiedy tylko powiesz.

– Schody są o wiele bardziej niebezpieczne – odparł Eolair. – Już teraz powinniśmy wracać. – Najwyraźniej wahał się, rozdarty pomiędzy ciekawością i poczuciem odpowiedzialności. Światło w dole kusiło swym słabym, lecz niezaprzeczalnym blaskiem. Maegwin wpatrywała się w nie w milczeniu. Hrabia westchnął. – Zejdziemy tylko kawałek.

Przez jakiś czas schodzili krętymi schodami, aż dotarli do szerokiego i niskiego korytarza. Tutaj ściany i sufit także pokrywała plątanina rzeźbionej w kamieniu winorośli, traw i kwiatów – roślinności, która mogła wyrosnąć tylko wysoko w górze, gdzie widać niebo i słońce. Kamienny gobelin ciągnął się w nieskończoność. Choć składał się z niezliczenie wielu części, żadna z nich nie przedstawiała wzoru, który by się powtarzał. Ogromne rzeźby powstały z przeróżnych skał o nieskończonej liczbie odcieni i struktur, lecz nie stanowiły one mozaiki złożonej z mniejszych płytek, którymi wyłożono podłogę. Wydawało się, że sama skała przybrała odpowiednią i miłą dla oka formę niczym żywopłot, który troskliwy ogrodnik przycina i pieści, by powstał z niego ptak lub zwierzę.

– Na bogów nieba i ziemi – szepnęła.

– Maegwin, musimy wracać – powiedział Eolair bez przekonania. Tutaj, głęboko pod ziemią wydawało się, że czas się zatrzymał.

Szli dalej, podziwiając w milczeniu piękne rzeźby. Wreszcie blask ich lampy zmieszał się z bardziej rozproszonym światłem, jakie dochodziło z odległego końca korytarza, którym szli. Skręciwszy, znowu znaleźli się w ogromnej jaskini, której sklepienie ginęło w mroku wysoko w górze.

Byli na kamiennym tarasie ponad wielką, płytką misą z kamienia. Arena, szeroka na trzy rzuty kamieniem, otoczona była rzędami ławek z jasnego i kruszącego się rogowca, jakby opuszczona misa była miejscem kultu lub ogromnego spektaklu. Ze środka misy dobywało się zamglone, białe światło podobne do wynaturzonego słońca.

– Na Cuamha i Bryniocha! – zaklął cicho Eolair. W jego głosie zabrzmiała nuta ciekawości. – Co to jest?

Na środku areny stał ołtarz z matowego granitu, a na nim znajdował się kanciasty kryształ; kamień skrzył się jak dogasająca świeca. Był mlecznobiały, o gładkich ścianach, lecz ostrych krawędziach, jak odłupany

kawał kwarcu. Jego dziwne, słabe światło gasło i rozjaśniało się na przemian, tak że wydawało się, iż stojące najbliżej ławki pojawiają się i znikają z każdym impulsem.

Zbliżywszy się, weszli w krąg słabego światła i powietrze wydało im się jakby cieplejsze. Maegwin wstrzymała oddech, urzeczona dziwnym pięknem oglądanego przedmiotu. Stali, wpatrzeni w śnieżny blask, obserwując zmieniające się szybko kolory w kamiennym wnętrzu: nagietek, koral, jasna lawenda.

– To jest piękne – odezwała się wreszcie.

– Tak.

Stali nieruchomo, zauroczeni. Wreszcie Eolair odwrócił się, choć zrobił to z wyraźną niechęcią.

– Tak, pani, ale nie ma już tutaj czego szukać.

Zanim Maegwin zdążyła coś odpowiedzieć, biały kamień rozjarzył się nagle, niczym rodząca się gwiazda; jego blask stawał się coraz bardziej intensywny, aż wypełnił całą jaskinię. Maegwin starała się nie stracić orientacji w tym morzu przerażającego blasku. Chwyciła ramię Eolaira. Skąpana w białym świetle twarz hrabiego stała się prawie niewidoczna. Druga strona jego oblicza ginęła w cieniu, tak że wydawał się tylko połową człowieka.

– Co się dzieje? – zawołała. – Czy kamień się wypala?

– Pani! – Eolair chwycił ją i próbował odciągnąć poza krąg światła. – Czy nic ci nie jest?

– *Na dzieci Ruyana!*

Maegwin zatoczyła się do tyłu, oszołomiona, wpadając w opiekuńczy uścisk Eolaira. Kamień przemówił głosem kobiety tak donośnym, że mogło się zdawać, iż przemawia do nich kilkoro ust mówiących ze wszystkich stron.

– Dlaczego nie odpowiadasz na moje pytania? Wzywałam cię trzykrotnie. Nie mam już sił. Wzywam cię po raz ostatni!

Słowa zostały wypowiedziane w języku, którego Maegwin nigdy dotąd nie słyszała, lecz zrozumiała je bez trudu, jakby mówiono w języku hernystirskim; brzmiały tak donośnie, jakby głos kobiety dochodził z wnętrza jej głowy. Czy to początki szaleństwa, którego tak się obawiała? Ale i Eolair zakrył uszy rękoma przestraszony.

– Na ród Ruyana! Błagam cię, zapomnij o dawnych niesnaskach, o dawnej niezgodzie! Teraz zagraża nam większy wróg!

Wydawało się, że głos z trudem wymawia słowa. Słychać w nim było zmęczenie i smutek, lecz także coś więcej: ogromną moc, która przyprawiała Maegwin o drżenie. Rozpostarłszy dłonie przed oczyma, patrzyła w jądro jasności, lecz niczego nie widziała. Blask, jaki na nią padał, wydawał się odpychać niczym silny wiatr. Czy to możliwe, by ktoś stał w samym środku tego żarzącego się centrum? A może sam kamień przemówił? Poczuła wzbierające w niej współczucie dla tego czegoś lub kogoś, kto wołał tak rozpaczliwie, choć trudno było jej pogodzić się z myślą, że kamień może mówić ludzkim głosem.

– Kim jesteś? – zawołała Maegwin. – Dlaczego jesteś w kamieniu? Nie chcę cię słyszeć!

– Co? A więc jest ktoś wreszcie! Na chwałę Ogrodu!

Nagle w głosie zamiast spodziewanego znużenia zabrzmiała nadzieja.

– Och, dawny krewniaku, czarne zło zagraża naszej przybranej ojczyźnie! Nie mogę doczekać się odpowiedzi na moje pytania... pytania, które mogą uratować nas wszystkich!

– Pani!

Teraz dopiero Maegwin zorientowała się, że Eolair ściska ją mocno w pasie.

– Nie zrobi mi krzywdy! – odezwała się do niego. Pomimo jego mocnego uścisku zbliżyła się nieco do kamienia. – Jakie pytania? – zawołała. – Jesteśmy Hernystirczykami! Jestem córką króla Llutha-ubh-Llythinna! Kim jesteś? Czy jesteś w kamieniu? Czy jesteś w tym mieście?

Emanujące z kamienia światło przygasło i zaczęło migotać. Po chwili ciszy głos odezwał się ponownie, lecz nieco ściszony.

– *Czy jesteś Tinukeda'ya? Słabo cię słyszę* – powiedziała kobieta w kamieniu. – *Już za późno! Oddalasz się! Jeśli słyszysz mnie jeszcze i chcesz stawić czoło wspólnemu wrogowi, przyjdź do nas do Jao e-Tinukai'i. Ktoś spośród was z pewnością wie, gdzie to jest.* – Głos stawał się coraz cichszy, aż wreszcie przeszedł w szept wibrujący delikatnie w uszach Maegwin. Kamień znowu się rozjarzył. – *Wielu szuka trzech Wielkich Mieczy! Posłuchaj! To możesz nas wszystkich uratować... albo zniszczyć.* – Kamień zamigotał. – *Tyle powiedział mi Las Tańczącego Roku, tyle wyśpiewały jego liście...* – Zamierający głos stawał się coraz bardziej rozpaczliwy. – *Nie udało mi się. Jestem za słaba. Babci też się nie udało... Widzę już tylko nadciągający mrok...*

Wreszcie szept ucichł. Mówiący kamień stał się teraz zaledwie plamą bladego światła.

– Eolairze, nie potrafiłam jej pomóc. – Czuła w sobie pustkę. – Niczego nie potrafiliśmy zrobić, a ona była tak smutna!

Eolair zwolnił łagodnie uścisk.

– Pani, nie wiemy dość, by pomagać komukolwiek – odparł cicho. – Sami potrzebujemy pomocy.

Maegwin odsunęła się od niego, z trudem powstrzymując łzy złości. Czy on nie czuł dobroci tej kobiety, jej smutku? Maegwin czuła się, jakby przed chwilą patrzyła na pięknego ptaka, który szamotał się w sieci, a ona nie mogła mu pomóc.

Odwróciła się do Eolaira i wtedy dostrzegła poruszające się za nim w ciemności iskierki. Zamrugała, lecz z pewnością nie był to wytwór jej oślepionych oczu. W ich stronę posuwał się rząd niewyraźnych świateł, które zbliżały się między ławkami w stronę pogrążonej teraz w cieniu areny.

Eolair spojrzał w tę samą stronę.

– Na tarczę Murhagha! – zaklął. – Od razu mówiłem, że to niebezpieczne miejsce! – Położył dłoń na rękojeści miecza. – Stań za mną, Maegwin!

– Mam się chować przed tymi, którzy nas uratują? – zawołała, odskakując w bok. Światła wciąż się zbliżały. – Wreszcie spotkaliśmy Sithów! – Zrobiła krok do przodu, wychodząc naprzeciw białym i różowym światełkom, unoszącym się w powietrzu niczym świetliki.

– Sithowie! – zawołała. – Wasi dawni sprzymierzeńcy potrzebują was!

Wypowiedziane szeptem słowa, jakie padły z ciemności, z pewnością nie pochodziły z ust śmiertelnika. Oszalała z podniecenia Maegwin była teraz pewna, że spełniły się jej marzenia. Obcy głos przemówił w dialekcie Hernystiru, lecz tak starym, że nie słyszano go od wieków. Co dziwniejsze, w głosie tym zabrzmiała nuta strachu.

– Nasi sprzymierzeńcy już dawno w proch się zamienili, podobnie jak i większość naszych ziomków. Kimże wy jesteście, że nie obawiacie się Czerepu?

Obcy podeszli teraz tak blisko, że znaleźli się w kręgu światła. Maegwin, pewna, że nic już nie jest w stanie jej zaskoczyć, poczuła się, jakby ziemia zadrżała jej pod nogami. Ścisnęła prawe ramię Eolaira, gdy ten wydał zdławiony okrzyk zdumienia.

Przede wszystkim zdumiały ich oczy przybyszów: wielkie, okrągłe i pozbawione białek. Mrugające w świetle cztery przybyłe istoty

przypominały zwierzęta spłoszone nocą w lesie. Były wzrostu człowieka, lecz niesłychanie wiotkie; w dłoniach o długich i cienkich palcach trzymały świecące pałeczki z jakiegoś półprzezroczystego kamienia. Delikatne, jasne włosy opadały po obu stronach ich szczupłych twarzy o niezwykle delikatnych rysach. Istoty miały na sobie proste ubrania z futra i zakurzonej skóry wzmocnionej na łokciach i kolanach.

Miecz Eolaira zaskrzypiał wysuwany z pochwy, a jego ostrze zalśniło różowym blaskiem w świetle kryształowych pałeczek.

– Odstąpcie! Kim jesteście?

Najbliżej stojąca istota cofnęła się, lecz zaraz wróciła na swoje poprzednie miejsce; na jej twarzy wyraźnie widać było nerwowe zdziwienie.

– Ale to przecież wy wdarliście się tutaj nieproszeni. Ach, jesteście dziećmi Hern, jak się spodziewaliśmy. Śmiertelnicy. – Odwróciła się i powiedziała coś do swych towarzyszy w języku, który przypominał cichą piosenkę. Tamci przytaknęli z powagą, po czym wszyscy zwrócili swe wielkie, okrągłe oczy na Maegwin i Eolaira. – Naradziliśmy się i doszliśmy do wniosku, że powinniście się przedstawić.

Przekonana, że jej marzenie się spełniło, Maegwin oparła się o ramię Eolaira i powiedziała:

– My... my jesteśmy... ja nazywam się Maegwin, córka króla Llutha, a to jest Eolair, hrabia Nad Mullach.

Głowy dziwnych istot poruszyły się na ich cienkich szyjach; znowu zaczęły rozmawiać między sobą w swym melodyjnym języku. Maegwin i hrabia spojrzeli na siebie zdumieni, lecz zaraz zwrócili się w stronę obcych, słysząc delikatne chrząknięcie jednego z nich.

– Przemawiacie stosownie. Czy rzeczywiście jesteście szlachetnymi ludźmi wśród swego rodu? Czy naprawdę nie macie złych zamiarów?

Niestety, od dawna już nie spotykaliśmy się z potomkami Hern, więc nie znamy ich dobrze. Przestraszyliśmy się, kiedy mówiliście do Czerepu.

Eolair wziął głęboki oddech.

– Kim jesteście? I co to za miejsce?

Przywódca obcych patrzył na niego przez chwilę; światło lampy Eolaira odbiło się jasno w oczach istoty.

– Ja jestem Yis-fidri. Moi towarzysze zwą się Shoennae, Imai-an i Yis-hadra, która to jest moją dobrą żoną. – Wszyscy przedstawiani skłaniali kolejno głowy. – Miasto nazywa się Mezutu’a.

Maegwin patrzyła zafascynowana na Yis-fidri’ego i jego towarzyszy, lecz czuła, że ogarnia ją uczucie zwątpienia. Wprawdzie spotkali zdumiewające istoty, lecz nie takich chyba oczekiwała...

– Wy, zdaje się, nie jesteście Sithami – powiedziała. – Gdzie oni są? Czy jesteście ich sługami?

Obcy spojrzeli na nią z przestrachem, po czym cofnęli się kilka kroków, aby się naradzić. Po chwili Yis-fidri odwrócił się i przemówił głosem bardziej stanowczym niż dotąd.

– Służyliśmy innym, lecz było to wiele wieków temu. Czy oni przysłali was po nas? Nie wrócimy. – Pomimo jego stanowczego i obronnego tonu było coś niezwykle patetycznego w jego kołyszącej się głowie i ogromnych, smutnych oczach. – Co powiedział wam Czerep?

Eolair pokręcił głową zdezorientowany.

– Wybaczcie naszą niedelikatność, lecz nigdy dotąd nie spotkaliśmy istot podobnych do was. Nie przybyliśmy tutaj po was. Nie mieliśmy pojęcia, że istniejecie.

– Czerep? Masz na myśli kamień? – spytała Maegwin. – Powiedział wiele rzeczy. Postaram się przypomnieć je sobie. Ale kim wy jesteście, jeśli nie Sithami?

Yis-fidri nie odpowiedział, lecz wyciągnął swe wrzecionowate ramię, unosząc kryształową pałeczkę, aż jej czerwonawy blask padł na twarz Maegwin.

– Z całym szacunkiem, ród Hern nie zmienił się tak bardzo od czasu, kiedy my, Tinukeda'ya z gór, znaliśmy ich – powiedział ze smutkiem. – Jak to możliwe, że odeszliśmy w zapomnienie. Czy tak wiele pokoleń śmiertelników przyszło i odeszło? Z pewnością ziemia obróciła się dopiero kilka razy od chwili, gdy wasze północne plemiona, te, które mają brody, znały nas? – Jego chuda twarz mówiła, że myślami jest gdzieś daleko. – Ludzie z Północy zwali nas Dverningami; przynosili nam dary, żeby uzyskać od nas przedmioty naszego rzemiosła.

Eolair wysunął się do przodu.

– Wy jesteście tymi, których nasi przodkowie nazywali Domhainami? Ale my wierzyliśmy, że istniejecie tylko w legendach albo że dawno już wymarliście. To wy jesteście... karlakami?

Yis-fidri nachmurzył się nieco.

– W legendach? Wy jesteście z rodu Hern, czy tak? W takim razie jak myślicie, kto nauczył waszych przodków zakładać kopalnie w tych górach? Myśmy to uczynili. A czy imiona mają jakieś znaczenie? Niektórzy śmiertelnicy nazywają nas karlakami, inni Dverningami lub Domhainami. – Machnął swą długą dłonią. – To tylko słowa. Jesteśmy Tinukeda'ya. Przybyliśmy z Ogrodu i nie możemy do niego powrócić.

Eolair wsunął do pochwy swój miecz ze szczękiem, który odbił się echem w jaskini.

– Księżniczko, szukałaś Sithów! To, cośmy znaleźli, jest równie dziwne! Miasto w sercu góry! Do tego jeszcze karlaki z naszych najstarszych legend! Czy świat pod ziemią oszalał w równym stopniu jak na jej powierzchni?

Maegwin wyglądała na równie zdumioną jak Eolair i zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Patrząc na karlaki, posmutniała; czarna chmura, która na chwilę się rozwiała, teraz ponownie opadała na jej duszę.

– Ale wy nie jesteście Sithami – odezwała się wreszcie zrezygnowana. – Ich nie ma tutaj. Nie pomogą nam.

Towarzysze Yis-fidri'ego podeszli bliżej i otoczyli przybyszów. Patrzyli na Eolaira i Maegwin ogromnymi, smutnymi oczami i wydawało się, że w każdej chwili gotowi są umknąć.

– Jeśli przyszliście tutaj w poszukiwaniu Zida'ya, tych, których nazywacie Sithami – powiedział wolno Yis-fidri – to jest to dla nas niezwykle ważne, gdyż my jesteśmy tutaj właśnie dlatego, aby się przed nimi ukryć. – Skinął głową zamyślony. – Tak, dawno temu zbuntowaliśmy się przeciwko ich zarozumiałej niesprawiedliwości i postanowiliśmy, że więcej nie będziemy ich słuchać, dlatego uciekliśmy. Myśleliśmy, że zapomnieli o nas, ale tak się nie stało. Teraz, kiedy jesteśmy słabi i zostało nas niewielu, znowu chcą nas pojmać. – W jego oczach pojawiła się iskra ożywienia. – Przemawiają nawet do nas poprzez Czerep, Świadka, który milczał przez długie lata. Używają swoich sztuczek, żeby zwabić nas z powrotem.

– Ukrywacie się przed Sithami? – spytał zdumiony Eoalir. – Dlaczego?

– Słuchajcie, dzieci Hern, kiedyś służyliśmy im. Później uciekliśmy. Teraz chcą nas zwabić podstępem. Mówią o mieczach, gdyż wiedzą, że zawsze z wielką ochotą zajmowaliśmy się ich wykuwaniem, a Wielkie Miecze należą do naszych największych osiągnięć. Pytają nas o śmiertelników, o których nigdy nie słyszeliśmy i których nigdy nie widzieliśmy. Co mogłoby nas łączyć ze śmiertelnikami? Jesteście pierwszymi, jakich spotykamy od bardzo, bardzo dawna.

Hrabia Nad Mullach czekał, aż Yis-fidri skończy. Lecz kiedy okazało się, że ten nie ma już nic więcej do powiedzenia, Eolair rzekł:

– Pytali o śmiertelników? Takich jak my? Czy wymienili jakieś imiona?

– Zida'ya, Pierwsza Babcia – jak ją nazywają – mówiła kilka razy... – Karlak naradzał się przez chwilę ze swymi towarzyszami. – Mówiła o Josui, Bezrękim.

– Bezręki! – Na bogów ziemi i strumieni, mówisz o Josui Bezrękim? – Eolair patrzył na niego pełen zdumienia. – Na niebiosa, to czyste szaleństwo! – Usiadł ciężko na jednej z kruszących się ławek.

Maegwin przysiadła obok niego. Już i tak kręciło jej się w głowie ze zmęczenia i rozczarowania, lecz kiedy wreszcie przeniosła wzrok z łagodnych oczu zdziwionych twarzy karlaków na twarz Eolaira, dostrzegła oblicze kogoś, kogo poraził piorun w jego własnym domu.

SIMON OBUDZIŁ SIĘ, powróciwszy z czarnej otchłani pełnej wyjącego wiatru. Wycie nie ustawało, lecz teraz, kiedy ciemność odeszła, miał przed oczyma czerwone światło.

– Vrenie, głupcze! – ktoś wrzeszczał w pobliżu. – W kole jest krew! Kiedy spróbował wziąć głębszy oddech, poczuł, że coś go przygniata tak mocno, że jego płuca z trudem pracowały. Przez chwilę przyszło mu na myśl, że może zawalił się na niego dach. Ogień? Czerwony ogień tańczył i falował. Czy Hayholt się paliło?

Zobaczył teraz dużą postać ubraną w białe, powiewające szaty. Wydawało mu się, że postać urosła do rozmiarów drzewa. Dopiero teraz się zorientował, że leży na zimnej ziemi, a nad nim stoi Skodi i krzyczy do kogoś. Jak długo...?

Mały Vren rzucał się na ziemi niedaleko; twarz miał pociemniałą, oczy wybałuszone, a dłońmi trzymał się za gardło. Choć nikt go nie dotykał,

kopał wściekle nogami w zmarzniętą ziemię. Gdzieś w pobliżu rozległo się smutne wycie Qantaqi.

– Jesteś zły! – krzyczała Skodi z twarzą czerwoną ze złości. – Zły Vren! Rozlał krew! Teraz zejdą się tutaj! Zły! – Wzięła głęboki oddech i ryknęła: – Kara! – Chłopiec wił się jak zbita żmija. Ze środka buzującego ogniska spoglądała twarz, której falujące usta wykrzywiał grymas uśmiechu. Chwilę później czarne oczy twarzy spoczęły na Simonie; ich spojrzenie było jak dotknięcie lodowatego jęzora. Simon chciał krzyczeć, lecz jakiś ogromny ciężar wciąż przygniatał mu plecy.

– *Muszko* – odezwał się głos w jego głowie, ciężkiej i wypełnionej mrokiem. Był to głos, który pojawiał się w wielu snach, głos czerwonych oczu i płonącej ciemności. – *Spotykamy się w bardzo dziwnym miejscu.... a ty masz ten miecz. Musimy powiedzieć o tobie naszemu Panu. Bardzo go to zainteresuje.* – Głos umilkł. Wydawało się, że postać w ogniu rośnie; jej oczy były zimnymi, czarnymi dołami w sercu piekła. – *Spójrz na siebie, chłopcze* – powiedział niewyraźnie głos. – *Krwawisz.*

Simon wyciągnął drżącą dłoń spod swego ciała, zdziwiony, że jest posłuszna jego woli. Wypuściwszy Cierń z dłoni, stwierdził, że rzeczywiście na jego drżących palcach widnieje krew.

– Kara! – wrzeszczała Skodi dziecięcym, załamującym się głosem. – Kara dla wszystkich! Mieliśmy ofiarować dary Panu i Pani!

Wilczyca zawyła raz jeszcze, tyle że bliżej.

Vren opadł bezwładnie twarzą do ziemi u stóp Skodi. Spoglądając na niego nieprzytomnie, Simon dostrzegł nagle, że ziemia wokół niego się wybrzusza, zakrywając ciało chłopca przed jego wzrokiem. Chwilę później ziemia wybrzuszyła się w innym miejscu; na wpół zmarznięta gleba rozstąpiła się z plaśnięciem. Z jej wnętrza wyłoniło się chude, ciemne ramię zakończone dłonią o długich pazurach; wydawało się, że rozłożone palce –

podobne do płatków czarnego kwiatu – chcą sięgnąć gwiazd. Obok pojawiła się inna dłoń, a zaraz za nią nie większa od jabłka głowa o jasnych oczach. Na pomarszczonej twarzy o skąpych, czarnych kocich wąsach widniał grymas uśmiechu ukazujący ostre jak szpilki zęby.

Simon chciał krzyknąć, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu. Na dziedzińcu pojawiły się kolejne kopce, a potem jeszcze następne. Chwilę później kopacze zaczęły wyłazić na powierzchnię niczym robaki z psującego się ciała.

– Bukkeny! – krzyknęła Skodi przestraszona. – Bukkeny! Vrenie, ty głupcze, mówiłam ci, żebyś nie rozlał krwi w magicznym kole! – Machała tłustymi rękami w stronę kopaczy, które pojawiły się obok dzieci krzyczących niczym stado popiskujących szczurów. – Ukarałam go! – wrzeszczała, wskazując na nieruchomego chłopca. – Odejdźcie! – Odwróciła się do ogniska. – Każ im odejść, Panie! Każ im odejść!

Ogień zakołysał się na zimnym wietrze, lecz twarz patrzyła nieruchomo.

– Simonie, pomóż! – zawołał Binabik głosem ochrypłym ze strachu. – Pomóż nam! Jesteśmy związani!

Simon z trudem przewrócił się na bok, starając się podciągnąć kolana. Czuł ogromny ból w plecach, jakby kopnął go koń. Miał wrażenie, że wokół niego wiruje mnóstwo lśniących płatków śniegu.

– Binabiku! – jęknął.

Kilka skrzeczących ciemnych postaci oderwało się od głównej grupy skupionej wokół dzieci i smyrgnęło w stronę budynku klasztoru, gdzie leżeli związani Sludig i troll.

– Stójcie! – Skodi zakryła uszy dłońmi, jakby chciała schować się przed żałosnym płaczem dzieci. Mała stopa, podobna do jasnego grzyba, wyłoniła się na krótko z plątaniny kopaczy i zaraz ponownie zniknęła. – Stójcie!

Nagle ziemia wokół niej wybrzuszyła się w wielu miejscach, ochlapując błotem jej białą koszulę. Chude ramiona owinęły się wokół jej grubych kostek, a po chwili kilkanaście Bukkenów wspinało się po jej nogach, jakby były to pnie drzewa. Koszula wybrzuszała się, w miarę jak kolejni kopacze wspinali się do góry, aż wreszcie cienka tkanina pękła niczym przeciążona torba, ukazując mnóstwo oczu, cienkich nóg i uzbrojonych w pazury dłoni, które niemal zupełnie zasłoniły tłuste ciało Skodi. Skodi otworzyła usta, by krzyknąć, lecz w następnej chwili zniknęło w nich pająkowate ramię. Dziewczyna wytrzeszczyła jasne oczy.

Simonowi udało się wreszcie unieść się nieco, gdy nagle coś szarego przemknęło obok niego i skoczyło na kotłującą się i piszczącą masę, pod którą zniknęła Skodi, przewracając ją na ziemię. Piski kopaczy wzmogły się, lecz najwyraźniej były to odgłosy strachu, gdyż Qantaqa chwytała za karki i miażdżyła głowy, wyrzucając wysoko w górę bezwładne ciała. Skończywszy z jedną grupą, popędziła w stronę innej gromady Bukkenów, które zaatakowały Binabika i Sludiga.

Ogień płonął teraz wysoko, a wciąż widoczna w nim postać śmiała się. Simon czuł, że ten śmiech go osłabia, wysysa z niego resztki sił.

– To śmieszne, muszko, prawda? Zbliż się i razem popatrzymy.

Simon starał się nie zwracać uwagi na głos, który przyciągał go swą mocą. Z trudem wstał i zataczając się, odszedł od ogniska i czyhającej w nim postaci. Idąc, podpierał się Cierniem, lecz rękojeść wymykała się spod jego mokrej od krwi dłoni. Czuł zimny ból i zdrętwienie w miejscu na plecach, gdzie zranił go Vren.

Postać przywołana przez Skodi wciąż go kusiła; jej głos rozbrzmiewał echem w głowie Simona, drażniąc go jak chłopiec, który schwytał owada.

– Muszko, dokąd idziesz? Chodź tutaj. Pan zechce cię poznać...

Niezwykle trudno było iść w przeciwnym kierunku. Simon miał wrażenie, że życie wycieka z niego jak woda. Piski kopaczy i odważne warczenie Qantaqi zlały się w jego uszach w odległy, niewyraźny ryk.

Początkowo nie zauważył nawet pazurów, które uczepiły się jego nogi, lecz gdy wreszcie spojrzał w dół, w ślepia Bukkena podobne do pajęczych jaj, wydało mu się, że zajrzał przez okno do innego świata, okropnego świata, do którego nie miał dostępu. Powrócił do rzeczywistości dopiero wtedy, gdy drapiące pazury zaczęły szarpać nogawki jego spodni i wbiły się w nogi. Krzyknąwszy z przerażenia, uderzył pięścią w pomarszczoną twarz. Kolejne kopacze wspinały się już po jego nogach. Z okrzykiem obrzydzenia strząsał je kopnięciami, lecz wciąż pojawiały się nowe.

Cierń zadrżał w jego dłoniach. Nie zastanawiając się, Simon uniósł miecz i opuścił go ze świstem w sam środek kotłujących się postaci. Poczuł buczenie oręża, jakby miecz zaśpiewał bezgłośnie. Cierń stał się nagle niezwykle lekki i odcinał głowy i ramiona niczym źdźbła trawy, wkrótce jego ostrze spływało strumieniami czarnej posoki. Przy każdym ruchu Simon czuł w plecach przeszywający ból, lecz jednocześnie miał wrażenie, że ogarnia go szalone uniesienie. Atakujące go kopacze leżały już martwe u jego stóp lub uciekły, a on wciąż zadawał razy plątaninie ciał.

– *Ho, ho, ale z ciebie zawzięta muszka! Chodź do nas.* – Wydawało mu się, że głos dociera do jego głowy z łatwością, jakby była otwartą raną; na myśl o tym skrzywił się z obrzydzeniem. – *Mamy dzisiaj wielką noc, szaloną noc.*

– Simonie! – Zduszony głos Binabika przedarł się wreszcie przez skorupę jego nienawiści. – Simonie, rozwiąż nas!

– *Wiesz, muszko, że wygramy. Nawet w tej chwili, daleko na Południu, jeden z waszych największych sprzymierzeńców ponosi klęskę... rozpacza... umiera...*

Simon odwrócił się i ruszył chwiejnym krokiem w kierunku trolla. Qantaqa z pyskiem umazanym krwią trzymała na dystans grupę skrzeczących i podskakujących kopaczy. Simon znowu uniósł miecz i zadawał razy z taką zawziętością, że uśmiercał po kilka stworzeń jednocześnie, tak że pozostałe wolały usunąć się z drogi. Głos w jego głowie wydawał się teraz mówić coś natrętnie, bez końca, tak że nie potrafił zrozumieć poszczególnych słów. Przed oczami migał mu dziedziniec zalany blaskiem ognia.

Pochylił się, by rozwiązać Binabika, lecz był tak zamroczony, że niemal przewrócił się na ziemię. Binabik przyłożył do Ciernia sznur, którym go związano, i potarł nim kilkakrotnie o ostrze miecza, aż więzy opadły mu z rąk. Troll szybko roztarł zdrętwiałe dłonie i zajął się Sludigiem. Przez chwilę mocował się z węzłem na jego przegubach, lecz zaraz zwrócił się do Simona.

– Przyłóż tutaj swój miecz – powiedział i wytrzeszczył oczy. – Na Kamienie Chukku! Simonie, masz całe plecy we krwi!

– Chłopcze, krew otworzy drzwi. Chodź do nas!

Simon chciał coś powiedzieć do Binabika, lecz nie mógł wymówić słowa.

Opuścił więc miecz i niezdarnie dźgnął Sludiga w plecy. Rimmersman jęknął i zaczął powoli powracać do świadomości.

– Uderzyli go kamieniem w głowę, kiedy spał – wyjaśnił smutno Binabik. – Pewnie dlatego, że jest taki duży. Mnie tylko związali.

Przeciął więzy Sludiga i zwrócił się do Simona.

– Musimy dostać się do koni. Masz tyle siły?

Simon skinął głową, która wydawała się bardzo ciężka. Czuł, że miejsce wyjącej plątaniny myśli zajmuje teraz przerażająca pustka. Po raz drugi tej nocy poczuł, że jego dusza uwalnia się z krępującej skorupy ciała, lecz tym

razem obawiał się, że nie będzie powrotu. Ze wszystkich sił bronił się, by nie upaść, gdy tymczasem Binabik pomagał wstać zamroczonemu Sludigowi.

– *Pan czeka w Komnacie Studni...*

– Musimy spróbować pobiec do stajni – powiedział głośno Binabik, starając się przekrzyczeć wściekłe warczenie Qantaqi, która tak skutecznie odpędzała Bukkeny, że dzielił ich od napastników krąg wolnej przestrzeni.

– Możemy spróbować dostać się tam za Qantaqą, ale nie wolno nam zwalniać ani się wahać.

Simon stał, chwiejąc się.

– Trzeba przynieść siodła – powiedział. – Są w klasztorze.

Troll popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– To czyste szaleństwo!

– Nie. – Simon potrząsnął głową, chcąc uwolnić się od zamroczenia.

– Nie odjadę bez... bez Białej Strzały. Ona... oni... nie dostaną jej. – Popatrzył na drugą stronę dziedzińca, na Bukkeny tłoczące się w miejscu, gdzie przedtem stała Skodi.

– *Staniesz przed Oddychającą Harfą, usłyszysz słodki głos...*

– Simonie – zaczął Binabik, lecz urwał i wykonał gest dłonią, mający chronić trolle przed szaleńcami. – Ledwie trzymasz się na nogach. Ja pójdę.

Zanim Simon zdążył odpowiedzieć, troll był już w drzwiach klasztoru i po chwili zniknął w ciemnym wnętrzu budynku. Wkrótce pojawił się ponownie, ciągnąc za sobą siodła.

– Damy je do niesienia Sludigowi – powiedział Binabik. Kątem oka obserwował wyczekujące Bukkeny. – Jest zbyt nieprzytomny, żeby walczyć, więc posłuży nam za tragarza.

– *Chodź do nas!*

Kiedy Binabik wieszał siodła na Rimmersmanie, Simon spojrzał na krąg przyglądających im się jasnych oczu. Czekające kopacze cmokały i szczebiotały cicho, jakby rozmawiały ze sobą. Wiele z nich ubranych było w postrzępione, proste ubrania, a niektóre trzymały w swych pajęczych dłoniach noże o wyszczerbionych ostrzach. Bukkeny także spoglądały na Simona, kołysząc się niby czarne maki.

– Simonie, jesteś gotowy? – spytał szeptem Binabik.

Simon skinął głową i opuścił miecz. Do tej pory Cierń był lekki jak piórko, lecz teraz stał się nagle tak ciężki, że Simon nie mógł utrzymać go w powietrzu.

– *Nihut,* Qantaqa! – krzyknął Simon.

Wilczyca skoczyła do przodu, otwierając szeroko pysk. Kopacze zapiszczały przerażone, kiedy wilczyca rzuciła się w wir ich młócących ramion i obnażonych zębów. Simon ruszył za nią, machając ciężko Cierniem.

– *Chodź. Pod Nakkigą jest wiele zimnych korytarzy. Czarni śpiewają i czekają na ciebie. Chodź do nas!*

Simon miał wrażenie, że czas przestał istnieć. Cały świat zamknął się w tunelu czerwonego światła i białych oczu. Ból w plecach wydawał się pulsować w rytm jego serca, a pole widzenia zmniejszało się lub zwiększało, w miarę jak posuwał się chwiejnie do przodu. Potworny ryk opadał na niego niczym morskie fale; hałas rozbrzmiewał w jego głowie i na zewnątrz. Zamierzył się mieczem i poczuł, że Cierń natrafił na coś. Wyciągnął go i zadał kolejny cios. Stworzenia próbowały go dosięgnąć. Niektórym udało się wbić pazury w jego ciało.

Tunel zwęził się i zapadła w nim ciemność, lecz po chwili znowu był szerszy. Sludig mówił coś do Simona, lecz zbyt cicho, by mógł usłyszeć jego słowa. Rimmersman pomógł mu wspiąć się na grzbiet Nadziei

i wsunąć Cierń w uchwyt na siodle. Otaczały ich kamienne ściany, lecz kiedy Simon uderzył konia piętami, ściany zniknęły nagle, a on znalazł się pod drzewami; przez ich korony migotały gwiazdy na nocnym niebie.

– *Nadszedł czas, chłopcze. Krew otworzyła drzwi! Chodź, ciesz się razem z nami!*

– Nie! – Simon usłyszał swój krzyk. – Zostaw mnie w spokoju!

Koń pomknął przez las. Binabik i Sludig, którzy nie zdążyli jeszcze dosiąść swych wierzchowców, krzyknęli za nim, lecz hałas panujący w jego głowie zagłuszył ich słowa.

– *Drzwi są otwarte! Chodź do nas!*

Gwiazdy przemawiały do niego, namawiały go, by zasnął; obiecywały, że kiedy się obudzi, będzie daleko od... oczu w ognisku... od... Skodi... od... ostrych pazurów... będzie daleko od...

– *Drzwi są otwarte! Chodź do nas!*

Pędził na oślep przez ośnieżony las, starając się zostawić za sobą okropny głos. Gałęzie siekły mu twarz. Gwiazdy spoglądały zimno w dół poprzez korony drzew. Czas przemijał, może były to całe godziny, lecz on wciąż pędził jak oszalały. Wydawało się, że jego szał ogarnął także Nadzieję. Spod jej kopyt wylatywały tumany śniegu, gdy tak pędzili w ciemności. Simon był sam. Jego przyjaciele zostali gdzieś z tyłu, lecz postać z ognia wciąż przemawiała do niego radośnie w jego myślach.

– *Chodź, chłopcze! Chodź, naznaczony przez smoka! To szalona noc! Czekamy na ciebie pod Lodową Górą...*

Słowa w głowie Simona huczały niczym stado rozwścieczonych os. Wił się w siodle, bił po uszach i całej twarzy, próbując odgonić głos. Nagle w tym szalonym pędzie pojawiło się coś przed nim; plama ciemności, ciemniejsza niż noc. Serce zamarło mu na chwilę, lecz było to tylko drzewo. Drzewo!

Pędził na oślep zbyt szybko, by móc ominąć przeszkodę. Odebrał uderzenie jakby zadane dłonią olbrzyma i spadł z siodła w nicość. Wciąż opadał. Gwiazdy oddalały się.

Czarna noc przykryła wszystko.

17. Bezwartościowy zakład

MINĘŁO POPOŁUDNIE. Smagane wiatrem niebo rozciągało się nad łąkami niczym czerwona kurtyna. Zaświeciły pierwsze gwiazdy. Deornoth siedział owinięty w zgrzebny koc i spoglądając w górę, zastanawiał się, czy Bóg zupełnie się już od nich odwrócił.

Ludzi Josui zapędzono do wąskiego bydlęcego wybiegu, ogrodzonego drewnianymi palami wbitymi głęboko w ziemię i związanymi liną. Choć ogrodzenie nie było zbyt szczelne – w niektórych miejscach szczeliny były tak szerokie, że Deornoth mógł wsunąć w nie ramię – było jednak mocne jak murowana ściana.

Lustrując swych towarzyszy, Deornoth zatrzymał wzrok na Geloë. Czarownica kołysała na kolanach Leleth i śpiewała jej cicho do ucha; obie patrzyły w coraz ciemniejsze niebo.

– I pomyśleć, że umknęliśmy przed Nornami i kopaczami, żeby skończyć tutaj. – W głosie Deornotha zabrzmiała nuta rozdrażnienia. – Geloë, znasz przecież różne zaklęcia. Czy nie mogłabyś w jakiś sposób zaczarować Thrithingów? Uśpić ich albo zamienić się w groźną bestię i zaatakować?

– Deornoth – odezwał się Josua ostrzegawczo, lecz Geloë nie potrzebowała obrońców.

– Sir Deornoth, mało wiesz o tym, jak działa Sztuka – odparła stanowczo. – Przede wszystkim, to, co ty nazywasz czarami, ma swoją cenę. Jeśli można by tak po prostu użyć ich do obrony przed garstką uzbrojonych ludzi, wojskami obu książąt dowodziliby czarownicy. Po drugie, nie wyrządzono nam jeszcze krzywdy. Ja nie jestem Pryratesem: nie tracę energii na przedstawienia dla znudzonych i ciekawskich. Muszę skupić myśli na większym wrogu, wrogu o wiele bardziej niebezpiecznym niż ktokolwiek w tym obozie.

Po tych słowach Geloë zamilkła i znowu zwróciła wzrok ku niebu, jakby tak długa wypowiedź zmęczyła ją; rzeczywiście rzadko kiedy mówiła tyle naraz.

Strapiony Deornoth zrzucił koc z ramion i wstał. Czy jest już z nim tak źle? Co z niego za rycerz, że wymyśla starej kobiecie za to, że nie wybawiła go z niebezpieczeństwa? Wstrząsnął nim dreszcz gniewu i niezadowolenia z samego siebie; zaciskał i rozwierał bezsilnie pięści. Co mógł zrobić? Czy taka banda obdartusów była w stanie zrobić jeszcze cokolwiek?

Isorn pocieszał matkę. Księżna Gutrun wykazała wielką odwagę w ich kolejnych okropnych przygodach, lecz teraz wydawało się, że dotarła do kresu sił. Sangfugol był unieruchomiony. Towser praktycznie popadł w obłęd. Starzec leżał skulony na ziemi ze wzrokiem utkwionym przed siebie; jego zaciśnięte usta drżały, kiedy ojciec Strangyeard próbował wlać w nie wodę z miski. Idąc wolno w stronę księcia Josui, który siedział na zabłoconej kłodzie z brodą opartą na dłoni, Deornoth poczuł, że ogarnia go kolejna fala rezygnacji.

Na szczupłym nadgarstku księcia wciąż pozostawała obręcz kajdanów, którymi Elias przykuł go do ściany swego lochu. Wydawało się, że cień padł na wymizerowaną twarz Josui, lecz białka jego oczu zalśniły, kiedy

patrzył na zbliżającego się wolno Deornotha. Przez długą chwilę obaj milczeli. Słychać było porykiwania bydła i odgłosy jeźdźców, gdyż Thrithingowie spędzali swoje stada na noc.

– Niestety, przyjacielu – odezwał się wreszcie książę. – Czyż nie mówiłem, że w najlepszym razie będzie to kiepska gra?

– Wasza Wysokość, zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Nikt nie zrobiłby więcej, niż ty zrobiłeś.

– A jednak ktoś taki się znalazł. – Przez moment wydawało się, że Josua odzyskał swój gorzki humor. – Siedzi teraz na tronie z kości w Hayholt; je i pije przy kominku, podczas gdy my tkwimy w zagrodzie do szlachtowania bydła.

– Złego wyboru dokonał. Król będzie żałował swej decyzji.

– Obawiam się, że nie będziemy mieli okazji dożyć tej chwili – westchnął Josua. – Deornoth, strasznie mi przykro z twojego powodu. Jesteś najwierniejszym z rycerzy. Szkoda, że nie znalazłeś sobie lepszego pana, któremu służyłbyś swoim oddaniem...

– Wasza Wysokość, proszę. – Deornoth poczuł, że słowa księcia sprawiły mu prawdziwy ból. – Nie ma nikogo innego poza królestwem niebios, komu chciałbym służyć.

Josua spojrzał na niego z boku, lecz nic nie powiedział. Palisada zadrżała, gdy przejechała grupa jeźdźców.

– Jesteśmy bardzo daleko od tego królestwa – odezwał się wreszcie. – A z drugiej strony zaledwie o kilka oddechów. – Jego twarz zginęła teraz w ciemności. – Śmierć mnie nie przeraża. Czuję tylko ogromny ciężar nadziei, które zaprzepaściłem.

– Josuo... – zaczął Deornoth, lecz książę powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Niczego nie mów. Jest tak, jak mówię. Przez całe moje życie prowadziłem wszystkich do nieszczęść. Moja matka umarła przy porodzie, a najlepszy przyjaciel mego ojca, Camaris, zginął niedługo potem. Żona mego brata zginęła, pozostając pod moją opieką. Jej jedyna córka uciekła ode mnie i Bóg jeden wie, co się z nią dzieje. Naglimund, twierdza, która miała przetrwać wieloletnie oblężenie, padła po kilku tygodniach, kiedy ja jej broniłem; wielu niewinnych ludzi zginęło w strasznych mękach.

– Książę, nie mogę tego słuchać. Czy masz zamiar przyjąć na swoje barki niegodziwości całego świata? Zrobiłeś, co było w twojej mocy!

– Czy aby na pewno? – spytał Josua z powagą, jakby dyskutował o jakimś problemie teologicznym z jednym z mnichów. – Nie jestem pewien. Jeśli istnieje przeznaczenie, to jestem tylko kiepską nitką w gobelinie Boga Najwyższego. Lecz niektórzy twierdzą, że my sami o wszystkim decydujemy, nawet o najgorszym.

– Bzdura.

– Być może. Jednak nie da się ukryć, że zła gwiazda zawisła nad wszystkim, do czego się biorę. Ha! Wyobrażam sobie, jak zaśmiewały się anioły i diabły, kiedy przysięgałem, że odbiorę Smoczy Tron! Patrzcie na mnie i na moją armię obszarpanych błaznów, duchownych i kobiet! – Książę roześmiał się gorzko.

Deornoth znowu poczuł wzbierający w nim gniew, lecz tym razem powodem był jego władca. Z trudem się powstrzymywał. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek dojdzie do takiej chwili.

– Mój książę – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Mówisz jak głupiec, cholerny głupiec. Duchowni, błazny i kobiety! Cały oddział rycerzy nie zdziałałby więcej niż twoi duchowni i kobiety, a już na pewno nie okazałby więcej odwagi niż oni!

Drżąc z wściekłości, wstał i odszedł na drugi koniec błotnistego wybiegu. Wydawało się, że gwiazdy zgasną zupełnie na niebie. Nagle poczuł na swoim ramieniu czyjąś dłoń, która z zadziwiającą siłą odwróciła go do tyłu. Naprzeciw niego stał Josua. Książę wysunął do przodu głowę na długiej szyi, przez co przypominał jastrzębia gotowego do ataku.

– Deornoth, co ja ci zrobiłem, że tak do mnie mówisz? – spytał napiętym głosem.

W innej sytuacji Deornoth upadłby na kolana, by prosić o przebaczenie za brak szacunku, lecz teraz uspokoił drżące mięśnie i wziął głęboki oddech, zanim odpowiedział.

– Josuo, mogę wciąż cię kochać, ale nienawidzić tego, co mówisz.

Książę wpatrywał się w niego, lecz wyraz jego oczu pozostawał niewidoczny w ciemności.

– Źle się wyraziłem o naszych towarzyszach, to prawda. Lecz nic takiego nie powiedziałem o tobie, sir Deornoth...

– Elysio, Matko Boża, Josua! – Deornoth prawie płakał. – Nie dbam o siebie! Co do innych, jestem przekonany, że wymknęło ci się to, dlatego że jesteś zmęczony. Wiem, że nie miałeś niczego złego na myśli. Ty sam jesteś ofiarą swych surowych sądów! Dlatego twierdzę, że jesteś głupcem!

Josua drgnął.

– Co?

Deornoth wyrzucił ramiona w górę, czując w głowie zamęt, jak wtedy gdy w czasie letniego święta wszyscy wkładają maski i mówią prawdę. Lecz tutaj, w zagrodzie dla bydła, nie było masek.

– Jesteś gorszym wrogiem dla samego siebie, niż mógłby być Elias! – krzyknął, nie dbając o to, czy ktoś go usłyszy. – Twoja wina, ty zawiodłeś, ty nie wypełniłeś obowiązku! Gdyby Usires Aedon miał powrócić dzisiaj do Nabbanu i zostać ponownie powieszony w ogrodzie przy świątyni,

z pewnością znalazłbyś jakiś powód, żeby siebie za to obwinić! Nie obchodzi mnie, kto wygaduje oszczerstwa; nie mam zamiaru wysłuchiwać dłużej prawego człowieka, który został zniesławiony!

Josua patrzył na niego zdumiony. Przez jakiś czas panowała przerażająca cisza, którą przerwało dopiero skrzypnięcie drewnianej furtki. Do zagrody weszło kilku mężczyzn z włóczniami, prowadzonych przez Hotviga, który schwytał ich na brzegu rzeki Ymstrecca. Rozglądając się w mroku, zawołał:

– Josua? Chodź tutaj.

– Czego chcesz? – spytał spokojnie książę.

– Tan Pogranicza chce cię widzieć, i to zaraz. – Dwóch ludzi Hotviga zbliżyło się z opuszczonymi włóczniami.

Deornoth spróbował uchwycić spojrzenie Josui, gdy oddalał się prowadzony przez dwóch Thrithingów. Hotvig zatrzasnął za nimi wysoką furtkę. Usłyszeli skrzypienie zamykanej zasuwy.

– Deornoth, chyba nie zrobią mu krzywdy, jak myślisz? – spytał Strangyeard. – Nie odważą się podnieść ręki na księcia, prawda?

Deornoth opadł na błotnistą ziemię; po jego policzkach popłynęły łzy.

WNĘTRZE WOZU FIKOLMIJA wypełniały zapachy tłuszczu, dymu i naoliwionej skóry. Tan spojrzał znad wołowego udźca i skinieniem głowy nakazał Hotvigowi wyjść na zewnątrz. Wrócił do swego posiłku, nie zwracając uwagi na stojącego księcia. Oprócz nich był w wozie jeszcze jeden mężczyzna. Stał obok Fikolmija, o pół głowy wyższy od Josui i prawie tak samo umięśniony jak barczysty tan. Z wyjątkiem długich wąsów twarz miał dokładnie ogoloną, co pozwalało dostrzec blizny zbyt regularne, by mogły być przypadkowe. Mężczyzna patrzył na księcia

z nieukrywaną pogardą. Pobrzękując licznymi bransoletami, opuścił jedną dłoń na rękojeść swego długiego, wygiętego miecza.

Josua wytrzymał przez jakiś czas spojrzenie jego zmrużonych oczu, po czym przeniósł wzrok na liczne siodła i uprzęże zawieszone na ścianach i suficie wozu, których srebrzyste sprzączki migotały w blasku ognia.

– Widzę, Fikolmiju, że przekonałeś się nieco do wygód życia – powiedział Josua, spoglądając na rozrzucone po podłodze dywany i ozdobne poduszki.

Tan podniósł wzrok i splunął do paleniska.

– Tfu. Śpię pod gwiazdami, jak zawsze. Ale potrzebuję jakiegoś miejsca bezpiecznego przed wścibskimi uszami. – Ugryzł kawał mięsa i zaczął żuć energicznie. – Nie jestem jakimś tam mieszkańcem kamiennych pudełek. – Ogryziona kość zagrzechotała w palenisku.

– Dawno już nie spałem w łóżku czy choćby pod dachem. Wiesz o tym dobrze, Fikolmiju. Czy po to mnie tu wezwałeś, żeby nazywać mnie mięczakiem? Jeśli tak, to zrobiłeś już swoje i możesz mnie odesłać do moich ludzi. A może przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby mnie zabić? Twój towarzysz ma spojrzenie kata.

Fikolmij upuścił ogryzioną kość do paleniska i uśmiechnął się szeroko; oczy miał czerwone jak oczy knura.

– Nie znasz go? Ale on zna ciebie. Prawda, Utvart?

– Znam go – odparł stojący mężczyzna niskim głosem.

Tan pochylił się do przodu, wpatrując się w księcia badawczo.

– Na Czworonogiego – roześmiał się. – Książę Josua ma więcej siwych włosów niż stary Fikolmij! Szybko się starzejecie w waszych kamiennych domach!

Josua uśmiechnął się słabo.

– Miałem ciężką wiosnę.

– O tak, tak! – Fikolmij najwyraźniej dobrze się bawił. Podniósł puchar i przechylił go do ust.

– Fikolmiju, czego chcesz ode mnie?

– To nie ja chcę czegoś od ciebie, Josuo, choć przeciw mnie zgrzeszyłeś. Utvart chce z tobą mówić. – Wskazał głową na swego groźnie spoglądającego towarzysza. – Mówiliśmy o wieku. Utvart jest tylko o kilka lat młodszy od ciebie, lecz nie nosi jeszcze brody mężczyzny. Wiesz dlaczego?

Utvart poruszył się niespokojnie, pocierając dłonią rękojeść swego miecza.

– Nie mam żony – odezwał się ponuro.

Josua spoglądał to na jednego, to na drugiego, zachowując całkowite milczenie.

– Książę Josuo, jesteś bystry – powiedział wolno Fikolmij i pociągnął kolejny łyk z pucharu. – Wiesz, w czym problem. Utvartowi skradziono narzeczoną. Przysiągł, że nie poślubi innej, dopóki nie zabije tego, który jest temu winien.

– Dopóki nie zabije – powtórzył Utvart.

Josua wykrzywił usta.

– Nie ukradłem niczyjej narzeczonej. Vorzheva poszła za mną po tym, jak opuściłem wasz obóz. Błagała, bym ją zabrał ze sobą.

Fikolmij postawił z hukiem puchar, rozlewając ciemne piwo do ognia, który zasyczał jakby zdumiony.

– A niech cię, czy twój ojciec nie miał męskich potomków? Który prawdziwy mężczyzna chowa się za kobietą albo pozwala jej robić, co jej się podoba? Wszystko było już postanowione! Wyznaczono cenę!

– Vorzheva się nie zgodziła.

Tan wstał ze swego stołka i wpatrywał się w księcia, jakby był on jadowitym wężem. Jego umięśnione ramiona drżały.

– Wy, mieszkańcy kamiennych domów, jesteście jak zaraza. Któregoś dnia wolni Thrithingowie wpędzą was do morza i ogniem wyczyszczą wasze gnijące domy.

Josua patrzył na niego spokojnie.

– Thrithingowie próbowali już tego. Dlatego mieliśmy okazję poznać się wcześniej. A może zapomniałeś już o niezręcznym sojuszu, jaki zawarliśmy, sojuszu przeciwko twoim ludziom?

Fikolmij splunął ponownie, lecz tym razem nie próbował nawet celować do paleniska.

– Dało mi to szansę wzmocnienia mojej pozycji. I udało się. Dzisiaj jestem jedynym panem wszystkich Thrithingów. – Patrzył wyzywająco na Josuę, jakby w oczekiwaniu na sprzeciw. – A poza tym sojusz zawarłem z twoim ojcem. Jak na mieszkańca kamiennego domu, był wielkim człowiekiem. Jesteś zaledwie jego marnym cieniem.

Twarz Josui pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

– Mam dość gadania. Zabij mnie, jeśli chcesz, ale przestań nudzić.

Fikolmij skoczył do przodu. Jego ogromna pięść uderzyła w bok głowy księcia i Josua osunął się na kolana.

– Stawiasz się, robaku! Powinienem zabić cię własnymi rękoma! – Tan stał nad Josuą, dysząc z gniewu. – Gdzie jest moja córka?

– Nie wiem.

Fikolmij chwycił Josuę za postrzępioną koszulę i postawił go na nogi. Utvart przyglądał się im nieobecnym wzrokiem, kołysząc się z boku na bok.

– I wcale cię to nie obchodzi, co? Na stepowy grom. Marzyłem o tym, żeby cię zgnieść, jak bardzo marzyłem! Opowiedz mi o mojej córce,

złodzieju. Ożeniłeś się z nią w końcu?

Na skroni Josui pojawiła się strużka krwi. Spojrzał odważnie na Tana.

– Nie mieliśmy zamiaru się pobierać...

Kolejny cios wstrząsnął głową księcia. Krew popłynęła z nosa i górnej wargi.

– Śmiałeś się ze starego Fikolmija w swoim kamiennym domu, co? – syknął tan. – Ukradłeś mu córkę, zrobiłeś z niej swoją dziwkę i nie zapłaciłeś nawet jednego konia! Bardzo się śmiałeś? – Uderzył Josuę w twarz otwartą dłonią; kropelki krwi rozprysnęły się w powietrzu. – Myślałeś, że możesz bezkarnie zabrać moją własność i uciec! – Po kolejnym ciosie świeża strużka krwi popłynęła z nosa Josui, lecz uderzenie nie było tak silne jak poprzednie. – Jesteś bystry, Bezręki. Bystry. Ale Fikolmij też nie jest głupi.

– Vorzheva nie będzie... niczyją dziwką.

Fikolmij chwycił Josuę i oparł o drzwi wozu. Kiedy padały kolejne ciosy, książę nie podnosił ramion, by się przed nimi obronić.

– Ukradłeś moją własność – warczał tan, pochylając się tak nisko nad Josuą, że ocierał brodą o zakrwawioną koszulę księcia. – To jak byś ją nazwał? Kim była u ciebie?

Pomimo razów i krwi na twarzy Josua przez cały czas zachowywał kamienny spokój. Teraz wydawało się, że spokój zamienia się w smutek.

– Źle ją traktowałem... – Zwiesił głowę.

Utvart zrobił krok do przodu, wyciągając swój miecz z bogato zdobionej pochwy. Jego czubek uderzył o sufit wagonu.

– Pozwól mi go zabić – wycedził przez zęby. – Powoli.

Fikolmij podniósł na niego rozwścieczony wzrok. Pot popłynął mu z twarzy, kiedy spojrzał znowu na Josuę i podniósł nad jego głową swą ogromną pięść.

– Pozwól mi – prosił Utvart.

Tan uderzył trzykrotnie pięścią w ścianę. Wisząca uprząż zadzwoniła cicho.

– Hotvigu! – ryknął.

Drzwi wozu otworzyły się natychmiast. Wszedł Hotvig, prowadząc przed sobą mniejszą postać. Oboje zatrzymali się na progu.

– Słyszałaś wszystko! – zagrzmiał Fikolmij. – Zdradziłaś swój klan i mnie dla... dla tego! – Pchnął Josuę, który zatoczył się na ścianę i osunął na podłogę.

Vorzheva wybuchnęła płaczem. Hotvig powstrzymał ją szarpnięciem, kiedy chciała się pochylić nad Josuą. Książę uniósł powoli głowę i spojrzał na nią nieprzytomnie spuchniętymi oczami.

– Żyjesz – zdołał powiedzieć.

Spróbowała wyrwać się Hotvigowi, lecz on trzymał ją blisko przy sobie, ignorując paznokcie raniące jego ramię i odchylając głowę, gdy próbowała dosięgnąć oczu. – Strażnicy schwytali ją na granicznych pastwiskach – warknął Fikolmij. Uderzył córkę lekko otwartą dłonią rozgniewany jej oporem. – Uspokój się, zdradliwa suko! Powinienem był cię utopić w Umstrejha zaraz po urodzeniu. Jesteś gorsza od twojej matki, a ona była najgorszą krową, jaką kiedykolwiek spotkałem. Dlaczego płaczesz nad tym kawałkiem gówna? – Szturchnął Josuę butem.

Książę popatrzył nieco przytomniej. Spojrzał na tana, po czym odwrócił się do Vorzhevy.

– Cieszę się, że jesteś bezpieczna.

– Bezpieczna! – Vorzheva roześmiała się ochrypłym głosem. – Kocham mężczyznę, który mnie nie chce. Ten, który mnie chce, traktowałby mnie jak klacz rozpłodową i tłukł, gdybym tylko mu się sprzeciwiła. – Szarpnęła się w uścisku Hotviga i odwróciła w stronę Utvarta, który opuścił swój

miecz na podłogę. – Pamiętam cię, Utvarcie! Uciekłam przed tobą, ty gwałcicielu dzieci i jagniąt, gdy nie możesz dostać dziecka! Ty, który bardziej kochasz swoje blizny, niż potrafiłbyś kiedykolwiek pokochać kobietę! Wolałabym zdechnąć, niż zostać twoją żoną!

Utvart milczał z ponurą twarzą. Za to Fikolmij parsknął kwaśno.

– Na Czworonogiego, córko, prawie zapomniałem o tym wyszczerbionym nożu, który masz zamiast języka. Może nawet Josua z zadowoleniem przyjął dla odmiany moje pięści? A co do przyjmowania, możesz dać się zabić zaraz po ślubie, jeśli tak ci się podoba. Ja tylko chcę zapłaty za narzeczoną i poszanowania dla Klanu Ogiera.

– Znam lepsze sposoby, żeby to osiągnąć, niż zarzynanie bezbronnych więźniów – odezwał się nowy głos.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę, nawet Josua, choć zrobił to bardzo wolno. W drzwiach stała Geloë oparta o belkę nadproża; jej płaszcz powiewał na wietrze.

– Uciekli z zagrody! – ryknął Fikolmij. – Nie ruszaj się, kobieto! Hotvigu, siodłaj konie i sprowadź pozostałych. Ktoś za to odpowie!

Geloë weszła do wozu, który nagle stał się bardzo ciasny. Klnąc pod nosem, Hotvig przecisnął się obok niej i wypadł w ciemność. Czarownica spokojnie zamknęła za nim drzwi.

– Znajdzie ich w zagrodzie – powiedziała. – Tylko ja potrafię chodzić, gdzie mi się podoba.

Utvart uniósł miecz i trzymał go przy jej gardle. Geloë spojrzała mu w oczy swymi żółtymi oczami i ogromny Thrithing odskoczył do tyłu, wymachując mieczem, jakby nagle ujrzał zjawę. Fikolmij przyglądał jej się; jego zdumienie mieszało się z umiarkowanym gniewem.

– Po coś przyszła, starucho?

Uwolniwszy się z uścisku Hotviga, Vorzheva opadła na kolana i przeszła na nich obok swego ojca do Josui, któremu otarła twarz swoim podartym płaszczem. Książę delikatnie powstrzymał jej rękę, słuchając tego, co mówi Geloë.

– Jak już mówiłam, chodzę tam, gdzie mi się podoba. Dlatego teraz jestem tutaj.

– Jesteś w moim wozie, starucho. – Tan otarł pot z czoła owłosionym ramieniem.

– Fikolmiju, myślałeś, że możesz uwięzić Geloë. Co za głupota. Ale przyszłam tutaj, żeby dać ci radę, gdyż mam nadzieję, że masz więcej rozumu, niż okazałeś go dzisiaj.

Widać było, że Thrithing powstrzymuje się przed kolejnym uderzeniem. Widząc jego zmagania i napięty wzrok, Geloë pokiwała głową i uśmiechnęła się ponuro.

– Słyszałeś o mnie.

– Słyszałem o diabelskiej czarownicy o twoim imieniu, która kryje się po lasach i zabiera ludziom dusze – odburknął Fikolmij.

Utvart stał tuż za nim; usta miał mocno zaciśnięte, a oczy szeroko otwarte i rozglądał się, jakby chciał się upewnić, gdzie są drzwi i okna.

– Nie wątpię, że słyszałeś wiele łgarstw – powiedziała Geloë. – Lecz jest w nich pewnie i trochę prawdy, bez względu na to, jak bardzo są nieprawdziwe. Prawdą jest to, Fikolmiju, że trudny ze mnie przeciwnik. – Zamrugała wolno niczym sowa, która dostrzegła właśnie swoją bezbronną ofiarę. – Trudny przeciwnik.

Tan pociągnął się za brodę.

– Nie boję się ciebie, kobieto, ale nie chcę bez potrzeby zadawać się z demonami. Nie jesteś mi potrzebna. Odejdź, a ja nie będę cię niepokoił. Ale nie mieszaj się do nie swoich spraw.

– Głupiec! – Geloë wyrzuciła ramiona w górę, a jej płaszcz zatrzepotał jak czarne skrzydło.

Drzwi za nią otworzyły się nagle. Wiatr, który wdarł się do wagonu, zgasił lampy i pogrążył jego wnętrze w ciemności; palił się tylko ogień w palenisku, które teraz przypominało drzwi piekieł. Ktoś zaklął przestraszony; szum wiatru prawie zagłuszył przekleństwo.

– Mówiłam ci! – zawołała Geloë. – Chodzę tam, gdzie mi się podoba!

Drzwi zamknęły się, choć czarownica się nie poruszyła. Wiatr ucichł. Geloë pochyliła się, tak że drżące płomienie odbiły się w jej żółtych oczach.

– Moją sprawą jest, co stanie się z tymi ludźmi, a także i twoją, chociaż nie wiesz o tym. Nasz wróg jest i twoim wrogiem, a jest o wiele większy, niż jesteś w stanie to zrozumieć, Fikolmiju. Kiedy nadejdzie, przemknie przez twoje pastwiska jak ogień.

– Ha! – roześmiał się tan, lecz w jego głosie zabrzmiała nuta niepewności. – Nie praw mi kazań. Wiem wszystko o waszym wrogu, Królu Eliasie. Nie jest większym mężczyzną niż Josua. Thrithingowie nie boją się go.

Zanim Geloë zdążyła odpowiedzieć, rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, a zaraz potem ukazał się w nich Hotvig z włócznią w dłoni i wielce zdumioną miną. Pomimo długiej brody był jeszcze młodym mężczyzną i teraz, mówiąc do swego wodza, patrzył na czarownicę z nieukrywanym strachem.

– Więźniowie są w zagrodzie. Nikt z zewnątrz nie widział, żeby ona wychodziła. Furtka jest zamknięta, a w ogrodzeniu nie ma żadnych dziur.

Fikolmij chrząknął i machnął ręką.

– Wiem. – Tan patrzył przez chwilę zamyślony na Geloë, aż wreszcie uśmiechnął się wolno. – Chodź tutaj – powiedział do Hotviga i szepnął mu

coś do ucha.

– Tak będzie – odparł Hotvig, rzucając Geloë nerwowe spojrzenie, i zniknął za drzwiami.

– Tak – powiedział Fikolmij i uśmiechnął się szeroko, ukazując większość swych koślawych zębów. – A zatem uważasz, że powinienem pozwolić uciec temu psu. – Trącił nogą Josuę, za co córka natychmiast odpłaciła mu pełnym nienawiści spojrzeniem. A co będzie, jeśli tego nie zrobię? – zapytał wesoło.

Geloë zmrużyła oczy.

– Już ci mówiłam, że jestem trudnym przeciwnikiem.

Fikolmij zachichotał.

– A co mi zrobisz, kiedy każę moim ludziom zabić pozostałych więźniów, jeśli nie wrócę do nich przed następną zmianą warty? – Poklepał się po brzuchu zadowolony. – Jestem pewien, że masz różne uroki i zaklęcia, którymi mogłabyś mnie pokonać, ale teraz, zdaje się, oboje trzymamy sobie miecze przy gardłach? – Stojący w rogu wozu Utvart warknął jakby podniecony takim obrotem sprawy.

– Och, koński królu, niech świat strzeże się takich jak ty – rzuciła Geloë z obrzydzeniem. – Myślałam, że uda mi się przekonać ciebie, żebyś nam pomógł, a byłoby to dla naszego wspólnego dobra. – Pokiwała głową. – Teraz, jak mówisz, miecze zostały już wyciągnięte. Obawiam się, że aby je odłożyć, trzeba będzie poświęcić niejedno życie.

– Nie boję się twoich gróźb – warknął Fikolmij.

Geloë popatrzyła na niego przez chwilę, potem spojrzała na Josuę, który wciąż siedział na podłodze i przyglądał się wszystkiemu z dziwnym spokojem. Wreszcie przeniosła wzrok na Utvarta. Olbrzym zmarszczył groźnie brwi i poruszył się niespokojnie.

– Myślę, że mimo to mogę wyświadczyć ci jedną przysługę, tanie Fikolmiju.

– Nie potrzebuję...

– Cicho! – krzyknęła Geloë. Tan zamilkł i siedział z zaciśniętymi pięściami i wybałuszonymi, czerwonymi oczami. – Nieomal złamałeś swoje własne prawa – powiedziała. – Prawa wielkich Thrithingów. Pomogę ci tego uniknąć.

– Co ty wygadujesz, diabelska kobieto?! – wrzasnął. – Jestem głową wszystkich klanów!

– Rada klanów nie uzna takiego tana, który łamie ich odwieczne prawa – odpowiedziała. – Wiem o tym. Wiem bardzo dużo.

Fikolmij zamachnął się i cisnął pucharem w przeciwległą ścianę.

– Jakie prawa? Powiedz mi, jakie prawa, albo cię uduszę, choćbyś miała zamienić mnie w popiół!

– Prawo ceny za narzeczoną i prawo zaręczyn. – Geloë wskazała na Josuę. – Zabiłbyś tego mężczyznę, lecz on jest jej narzeczonym. Jeśli inny – tutaj wskazała na zamyślonego Utvarta – chce ją mieć, musi o nią walczyć. Czy nie mam racji, tanie?

Fikolmij uśmiechnął się; był to uśmiech kwaśny i złośliwy, który pojawił się na jego ustach niczym niespodziewana plama.

– Przechytrzyłaś samą siebie, wścibska starucho. Oni nie są zaręczeni. Josua sam to przyznał. Nie złamię żadnego prawa, zabijając go. Utvart jest gotów zapłacić za narzeczoną.

Geloë patrzyła na niego uważnie.

– Rzeczywiście nie są mężem i żoną, gdyż Josua nie prosił ją o to. Ale czyżbyś zapomniał o swych własnych zwyczajach, Fikolmiju z Klanu Ogiera? Istnieją jeszcze inne formy zaręczyn.

Thrithing splunął.

– Nie ma innych poza ojcostwem... – Urwał i zmarszczył czoło zamyślony. – Dziecko?

Geloë nie odpowiedziała.

Vorzheva patrzyła w podłogę. Jej twarz skrywały włosy, lecz dłoń, którą gładziła zakrwawiony policzek księcia, zastygła w bezruchu.

– To prawda – odezwała się wreszcie.

Przez twarz Josui przemknęła mieszanina uczuć tym trudniejszych do odczytania, że zakrywały je liczne sińce i zadrapania.

– Ty...? Od kiedy wiesz...? Niczego nie mówiłaś!

– Wiedziałam o tym, jeszcze zanim padł Naglimund – powiedziała Vorzheva. – Bałam się ci o tym powiedzieć.

Josua patrzył, jak łzy płyną po jej brudnych policzkach. Uniósł dłoń i dotknął jej ramienia, po czym opuścił je bezwładnie na kolana i spojrzał na Geloë. Czarownica patrzyła mu długo w oczy i wydawało się, że wymienili między sobą jakąś tajemną myśl.

– Na Czworonogiego! – zagrzmiał Fikolmij wesoło. – Zaręczyny przez poczęcie, tak? Jeśli to jego dziecko.

– To jest jego dziecko, ty świnio! – zawołała Vorzheva. – Nie mogłoby być niczyje inne!

Utvart wystąpił do przodu, pobrzękując sprzączkami butów. Czubek jego miecza opadł na podłogę i zagłębił się na pół cala w drewno.

– A zatem wyzwanie – powiedział. – Walczymy na śmierć i życie. – Spojrzał na Geloë i spoważniał. – Walczymy o Vorzhevę, córkę tana. Zwróciwszy się do księcia, wyszarpnął z podłogi miecz, który wyszedł tak lekko, jakby nic nie ważył. – Wyzwanie.

Josua popatrzył mu w oczy, zanim odpowiedział, ledwie otwierając opuchnięte usta:

– Bóg słyszy.

DEORNOTH WPATRYWAŁ SIĘ w obolałą twarz księcia.

– Rano? – zawołał na tyle głośno, by zwrócić uwagę groźnie spoglądającego strażnika. Opatuleni w ciepłe płaszcze Thrithingowie nie wydawali się specjalnie zachwyceni obowiązkiem pilnowania więźniów w wystawionej na zimny wiatr zagrodzie. – Dlaczego po prostu cię nie zabiją?

– To jest jakaś szansa – powiedział Josua i zakasłał gwałtownie.

– Jaka szansa? – zapytał rozgoryczony Deornoth. – Jaką może mieć szansę pobity, jednoręki mężczyzna, który ma wstać rano i walczyć z olbrzymem? Litościwy Aedonie, gdybym tylko mógł dostać w swe ręce tę żmiję, Fikolmija...

W odpowiedzi Josua splunął tylko krwią w błoto.

– Książę ma rację – powiedziała Geloë. – To jest szansa. Zawsze to lepsze niż nic.

Czarownica wróciła do zagrody, by opatrzyć rany Josui. Kiedy nadchodziła, strażnicy cofnęli się szybko, pozwalając jej przejść; wieść o tym, kim jest, szybko rozeszła się po obozie. Córka Fikolmija nie wróciła z nią. Vorzheva pozostała zamknięta w wozie swego ojca; na jej twarzy wciąż lśniły łzy smutku i gniewu.

– Przecież miałaś nad nim przewagę – odezwał się Deornoth do Geloë. – Dlaczego wtedy nie zaatakowałaś? Dlaczego pozwoliłaś mu posłać po straże?

Żółte oczy Geloë zalśniły w blasku pochodni.

– Nie miałam żadnej przewagi. Sir Deornoth, już ci kiedyś mówiłam, że nie mogę bawić się w jakieś magiczne wojenne sztuczki. Owszem,

uciekłam z zagrody, ale wszystko inne było tylko udawaniem. A teraz, jeśli przestaniesz zabierać głos w sprawach, o których nie masz pojęcia, ja zrobię pożytek z moich zdolności tam, gdzie jest to możliwe. – Po tych słowach odwróciła się do księcia.

– Jak jej się udało uciec z zagrody? – Deornoth nie mógł przestać o tym myśleć. W jednej chwili chodziła w mroku w drugim końcu zagrody, a w następnej już jej nie było.

Pokręcił głową. Dalsze sprzeczki wydały mu się bezużyteczne; miał wrażenie, że wszystko, co robi ostatnio, jest zupełnie bezsensowne. Dotknął ramienia Josui.

– Książę, proś, o co chcesz, jeśli mogę pomóc ci w czymkolwiek. – Przyklęknął na kolano i zwrócił się do Geloë. – Daruj me głupie słowa, *valada* Geloë.

Czarownica mruknęła coś na znak przyjęcia przeprosin. Deornoth wstał i odszedł.

Wygłodniali podróżnicy siedzieli przy ognisku. Thrithingowie nie okazali się zupełnie bezwzględni i dali im gałęzi na rozpalenie ogniska.

– Nie byli bezwzględni – pomyślał Deornoth – ale nie byli też głupi: takie kruche gałęzie pozwoliły im się ogrzać, lecz nie mogły posłużyć jako broń, którą mogłaby stać się płonąca żagiew. Myśl o broni nie dawała mu spokoju, kiedy usiadł między Sangfugolem i ojcem Strangyeardem.

– Paskudnie skończyliśmy – powiedział. – Słyszeliście, co zrobili z Josuą?

Strangyeard załamał swe szczupłe dłonie.

– Matko Elysio, ci Thrithingowie to nieokrzesani barbarzyńcy. Wiem, że w oczach Boga wszyscy ludzie są równi, ale to jest potworne! To znaczy, nawet ciemnota nie może być wymówką dla takiego... – Urwał wzburzony.

Sangfugol usiadł, mrugając oczami z bólu, jaki czuł w nodze. Ktoś, kto znał go wcześniej, byłby wielce zdziwiony, widząc go teraz: oto harfiarz, który zawsze dbał o swoje stroje aż do przesady, siedział tutaj brudny i obdarty jak ostatni włóczęga.

– A co się stanie, jeśli Josua umrze? – spytał cicho. – Jest moim panem i chyba go kocham, lecz jeśli umrze, co będzie z nami?

– Przy odrobinie szczęścia będziemy kimś trochę lepszym od niewolników – odparł Deornoth; wydało mu się, że słowa te powiedział ktoś inny. Czuł zupełną pustkę. Jak do tego wszystkiego doszło? Jeszcze rok temu świat był czymś tak pewnym i regularnym jak codzienny posiłek. – Tak, przy odrobinie szczęścia... – ciągnął, lecz nie dokończył myśli. Nie potrzebował.

– Gorzej z kobietami – szepnął Sangfugol, spoglądając na księżną Gutrun, która trzymała na kolanach śpiącą Leleth. – Ci ludzie to nieokrzesani brutale. Widzieliście, jakie sobie porobili blizny?

– Isornie – zawołał nagle Deornoth. – Chodź tutaj, jeśli możesz.

Syn księcia Isgrimnura okrążył małe ognisko i usiadł obok pozostałych.

– Wydaje mi się – powiedział Deornoth – że musimy przygotować się na jutro, kiedy każą walczyć Josui.

Strangyeard popatrzył na niego zmartwiony.

– Ale jest nas tak mało. Zaledwie kilku, a ich całe tysiące.

Isorn przytaknął mu, uśmiechając się ponuro.

– Przynajmniej możemy zdecydować, jak chcemy umrzeć. Nie pozwolę im dotknąć mojej matki. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Na Usiresa, przysięgam, że wolałbym sam ją zabić.

Sangfugol rozejrzał się dookoła, jakby miał nadzieję, że to, co mówią, okaże się żartem.

– Ale my nie mamy żadnej broni! – szepnął podniecony. – Zwariowaliście? Może uda nam się przeżyć, jeśli niczego nie będziemy robić, ale z pewnością zginiemy, gdy tylko zaczniemy działać.

Deornoth pokręcił głową.

– Nie, harfiarzu. Jeśli nie stawimy im czoła, nie okażemy się mężczyznami, bez względu na to, czy zabiją nas, czy nie. Bylibyśmy gorsi od psów, które przynajmniej chwytają niedźwiedzia za gardło, gdy ten je rozszarpuje. – Powiódł wzrokiem po zebranych. – Sangfugolu! Musimy się naradzić. Może byś zaśpiewał jakąś piosenkę, żeby te pastuchy nie dziwiły się, dlaczego siedzimy tutaj razem.

– Piosenkę? Co masz na myśli?

– Piosenkę. Długą, nudną piosenkę wychwalającą zalety spokojnego poddania się. Jeśli skończysz, a my będziemy jeszcze rozmawiać, zacznij od nowa.

Harfiarz najwyraźniej się ożywił.

– Nie znam takiej.

– Wymyśl zatem, słowiku – powiedział ze śmiechem Isorn. – I tak za długo już wędrowaliśmy bez muzyki. Pożyjmy sobie dzisiaj, skoro jutro mamy umrzeć.

– Ty planuj po swojemu – odparł Sangfugol. – Ja nie mam zamiaru umierać. – Wyprostował się i zaczął nucić, szukając słów. – Boję się – powiedział po chwili.

– My też – odpowiedział Deornoth. – Śpiewaj.

FIKOLMIJ WSZEDŁ CHWIEJNYM KROKIEM na wybieg, gdy tylko słońce dotknęło szarego nieba. Tan wielkich Thrithingów ubrany był w bogato zdobiony wełniany płaszcz; na jego piersi widniał zawieszony na

łańcuchu ogier z surowego złota. Wydawało się, że jest w wylewnym nastroju.

– Tak więc nadszedł czas rozrachunku. – Roześmiał się i splunął na ziemię. Na jego nadgarstkach pobrzękiwały metalowe bransolety. – Josuo Bezręki, jesteś w formie?

– Bywałem w lepszej – odparł Josua, wciągając buty. – Czy masz mój miecz?

Fikolmij dał znak. Wystąpił Hotvig z Najdelem w pochwie. Młody Thrithing przyglądał się ciekawie, jak sprawnie Josua zapina pas miecza na biodrach mimo braku jednej dłoni. Skończywszy, Josua wysunął miecz z pochwy i uniósł do góry, tak że w jego ostrzu odbiło się światło poranka. Hotvig odstąpił do tyłu z szacunkiem.

– Czy mogę prosić o osełkę? – spytał Josua. – Ostrze jest stępione.

Tan zachichotał i wyciągnął własną osełkę i oliwę zza pasa.

– Naostrz go, mieszkańcu kamiennego domu, naostrz. Chcemy najlepszego widowiska, jakie odgrywacie na waszych miejskich placach turniejowych. Ale to chyba nie będzie zupełnie to samo, co wasze zamkowe zabawy, co?

Josua wzruszył ramionami i położył cieniutką warstwę oliwy wzdłuż krawędzi Najdela.

– Nigdy mnie one specjalnie nie pociągały.

Fikolmij zmrużył oczy.

– Zdaje się, że po lekcji, jakiej ci wczoraj udzieliłem, jesteś w bardzo dobrej formie. Czy ta wiedźma rzuciła na ciebie jakieś zaklęcie? Nie byłoby to honorowe.

Josua raz jeszcze wzruszył ramionami, chcąc pokazać, co myśli o pojęciu honoru Fikolmija, lecz zanim odpowiedział, uprzedziła go Geloë.

– Nie było żadnych zaklęć, żadnych uroków.

Fikolmij popatrzył na nią podejrzliwie i znowu zwrócił się do Josui.

– Dobrze. Moi ludzie przyprowadzą cię, kiedy będziesz gotowy. Cieszę się, że jesteś w formie. To z korzyścią dla widowiska. – Tan odwrócił się i opuścił zagrodę, a tuż za nim jego trzej strażnicy.

Deornoth, który przysłuchiwał się całej rozmowie, zaklął cicho. Wiedział, ile wysiłku kosztowało księcia przyjęcie tak swobodnej postawy. Obaj z Isornem pomogli Josui wstać tuż przed świtem. Choć Geloë dała mu leczniczy wywar, Josua z trudem potrafił sam się ubrać. Lekarstwo Geloë nie miało nic wspólnego z magią, a miało mu tylko dodać sił; czarownica twierdziła, że by podziałało w pełni, musiałaby mieć jeszcze gałązkę srebrnika. Ciosy, jakie otrzymał osłabiony głodem książę, znacznie nadwątliły jego siły. Deornoth wątpił w duchu, czy Josua w ogóle będzie w stanie utrzymać się na nogach, gdy zamachnie się mieczem.

Ojciec Strangyeard podszedł do księcia.

– Wasza Wysokość, nie ma innego sposobu? Wiem, że Thrithingowie to barbarzyński naród, lecz Bóg nie gardzi żadnym swoim stworzeniem. W każdej piersi potrafi rozpalić iskrę litości. Może...

– Ojcze, to nie Thrithingowie tego pragną – odpowiedział łagodnie Josua. – Chce tego Fikolmij. On pała odwieczną nienawiścią do mnie i mego domu; tak dawną, że może sam nie jest w pełni tego świadom.

– Ale wydawało mi się, że Klan Ogiera walczył po stronie twego ojca w czasie wojen Thrithingów – powiedział Isorn. – Dlaczego miałby cię nienawidzić?

– Ponieważ to mój ojciec pomógł mu zostać tanem wielkich Thrithingów. Nie może zapomnieć faktu, że mieszkaniec kamiennego domu, jak nas nazywa, dał mu władzę, jakiej nie otrzymałby od swego ludu. A potem jego córka uciekła od niego i ja zabrałem ją ze sobą,

pozbawiając go zapłaty w koniach. Dla tana jest to wielka zniewaga. Nie, nikt – ksiądz ani ktokolwiek inny – nie ułagodzi Fikolmija.

Josua raz jeszcze spojrzał na swój wąski miecz i wsunął go do pochwy. Rozejrzał się po zebranych.

– Głowy do góry – powiedział. Książę wydawał się dziwnie ożywiony i zadowolony. – Śmierć nie jest wrogiem. Jestem pewien, że Bóg dla wszystkich przygotował jakiś kąt.

Po tych słowach ruszył w stronę furtki. Strażnicy Fikolmija otworzyli ją i natychmiast nastawili włócznie gotowi eskortować Josuę przez osadę.

Nad pastwiskami przemykał chłodny wiatr; był jak niewidzialna dłoń, która tarmosi trawy i brzdąka na linach namiotów. Na niższych wzgórzach widać było pasące się bydło. Umorusani chłopcy dokazujący między wagonami zaniechali swych zabaw i ruszyli za eskortą Josui w kierunku wozu tana.

Deornoth przyglądał się twarzom dzieci i ich rodziców, w miarę jak przyłączali się do rosnącej procesji. Zamiast spodziewanej nienawiści czy żądzy krwi dostrzegł na nich zaledwie ciekawość – taką samą, jaką widział w dzieciństwie na twarzach swych braci i sióstr, kiedy obok ich domu przejeżdżał malowany wóz kupca albo Gwardia Wielkiego Króla. Ci ludzie mieli jedynie nadzieję zobaczyć coś ciekawego. Niestety, wiązało się to z czyjąś śmiercią, a tym kimś był jego ukochany książę.

Na ogrodzeniu wokół wozu Fikolmija powiewały złociste wstążki, jakby obchodzono jakieś święto. Tan siedział na stołku przed drzwiami swego wozu. Obok niego na ziemi siedziało kilku innych wystrojonych Thrithingów; Deornoth domyślił się, że są to przywódcy pozostałych klanów. W pobliżu stała grupka kobiet, a wśród nich Vorzheva. Córka tana nie miała już na sobie porwanej dworskiej sukni. Ubrano ją w tradycyjny strój klanu: wełnianą suknię z kapturem przepasaną szerokim pasem

nabijanym kolorowymi kamieniami; na czole miała przepaskę połączoną z kapturem. W przeciwieństwie do innych kobiet, które nosiły przepaski w ciemnych kolorach, jej była biała. Deornoth pomyślał ze smutkiem, że bez wątpienia jest to symbol panny na sprzedaż.

Kiedy Josua i jego eskorta weszli przez bramę, Vorzheva i książę spojrzeli na siebie. Josua zamaszystym gestem wykonał znak Drzewa na piersi, po czym ucałował dłoń i dotknął nią tego miejsca na piersi. Vorzheva odwróciła się, jakby chciała ukryć łzy.

Fikolmij wstał i zaczął przemawiać do zebranego tłumu; mówił raz w języku Westerling, raz w gardłowym języku Thrithingów w zależności od tego, czy zwracał się do siedzących obok przywódców klanów, czy do zebranych poza ogrodzeniem. Kiedy tan kontynuował swoje przemówienie, Deornoth prześliznął się między strażnikami, którzy przyprowadzili Josuę, i stanął u jego boku.

– Wasza Wysokość – odezwał się cicho, kładąc dłoń na ramieniu Josui. Książę drgnął jakby wyrwany ze snu.

– Ach, to ty.

– Książę, chciałbym prosić o wybaczenie, zanim... zanim cokolwiek się stanie. Jesteś najlepszym panem, jakiego można mieć. Nie miałem prawa mówić tak do ciebie wczoraj.

Josua uśmiechnął się smutno.

– Miałeś prawo. Szkoda tylko, że nie miałem więcej czasu, żeby przemyśleć to, co mi powiedziałeś. Rzeczywiście ostatnio zbyt dużo myślałem o sobie. Wytykając mi to, zachowałeś się jak prawdziwy przyjaciel.

Deornoth klęknął na kolano i ucałował dłoń Josui.

– Niech cię Bóg błogosławi, Josuo – powiedział. – Niech cię błogosławi. Nie kończ za szybko z tym dzikusem.

Książę patrzył zamyślony na wstającego Deornotha.

– Może będę musiał. Chyba jestem zbyt słaby, żeby długo walczyć. Będę musiał skorzystać z każdej okazji, jaka mi się nadarzy.

Deornoth chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz czuł, że ma zbyt ściśnięte gardło. Uścisnął tylko dłoń Josui i się wycofał.

Wreszcie rozległy się liczne okrzyki ożywienia i przez ogrodzenia przeskoczył Utvart. Thrithing zajął miejsce obok tana. Przeciwnik Josui zdjął skórzaną kamizelkę, obnażając muskularny tors wysmarowany tłuszczem. Widząc to, Deornoth zasępił się; pomyślał, że Utvart będzie mógł szybko się poruszać, a tłuszcz pozwoli mu zachować ciepło.

Thrithing miał swój wygięty miecz wsunięty bezpośrednio za szeroki pas, a długie włosy związał z tyłu głowy w węzeł. Blizny na twarzy wymalował czerwoną i czarną farbą, przez co przywodził na myśl demona. W pewnym momencie wyciągnął miecz i uniósł go nad głową, wywołując kolejną salwę okrzyków.

– Chodź, Bezręki! – zawołał. – Utvart czeka.

Ojciec Strangyeard zaczął modlić się głośno, kiedy Josua opuszczał zagrodę. Deornoth poczuł, że słowa modlitwy Strangyearda drażnią go, i się wycofał. Po chwili namysłu zbliżył się do ogrodzenia w miejscu, gdzie stał jeden ze strażników. Podniósł wzrok i dostrzegł patrzącego w jego stronę Isorna. Deornoth prawie niedostrzegalnie skinął głową i Isorn ruszył powoli w jego stronę, aż znalazł się nieopodal.

Josua zostawił swój płaszcz księżnej Gutrun, która tuliła go teraz jak niemowlę. Obok niej stała Leleth; dziewczynka chwyciła brudną dłonią spódnicę księżnej. Geloë stała w pobliżu z kapturem nasuniętym głęboko na oczy.

Kiedy Deornoth spoglądał na swych towarzyszy, ich oczy odwracały się szybko, jakby obawiały się zbyt długiego spojrzenia. Sangfugol zaczął

cicho śpiewać.

– Tak więc, synu Prestera Johna, stajesz przed wolnym ludem Thrithingów trochę mniej potężny, niż byłeś – powiedział ze śmiechem Fikolmij.

Inni także się roześmiali i zaczęli szeptać między sobą.

– Tylko jeśli chodzi o moje dobra – odparł ze spokojem Josua. – Słuchaj, Fikolmiju, chcę zaproponować zakład – pomiędzy tobą i mną.

Tan roześmiał się zdziwiony.

– Odważnie mówisz, Josuo. Odważnie jak na kogoś, kto wie, że wkrótce umrze. – Fikolmij przyglądał się księciu zamyślony. – O jakim zakładzie mówisz?

Josua uderzył dłonią w pochwę miecza.

– Zakładam się o ten miecz i moją lewą rękę.

– Słusznie, gdyż jest to twoja jedyna ręka – odparł wesoło Fikolmij.

Zebrani wybuchnęli śmiechem.

– Niech będzie tak: jeśli Utvart mnie pokona, dostanie Vorzhevę, a ty dostaniesz za nią konie, czy tak?

– Trzynaście koni. – Wydawało się, że tan jest w doskonałym humorze. – I co z tego?

– Tylko to. Vorzheva i tak należy już do mnie. Jesteśmy zaręczeni. Jeśli przeżyję, niczego nie zyskam. – Jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Vorzhevy stojącej w drugim końcu zagrody. Po chwili znowu spojrzał zimno na tana.

– Zyskasz życie! – ryknął Fikolmij. – Ale i tak nie ma o czym gadać. Nie przeżyjesz.

Czekający cierpliwie Utvart uśmiechnął się, słysząc te słowa.

– Dlatego właśnie proponuję zakład – powiedział Josua. – Z tobą, Fikolmiju. Jak mężczyzna z mężczyzną.

Niektórzy z zebranych zaczęli cmokać zaciekawieni. Fikolmij rozejrzał się dookoła i uciszył ich wzrokiem.

– Mów.

– Stawka będzie niewielka; taka, jakiej odważni mężczyźni nie wahają się postawić w miastach, gdzie my żyjemy. Jeśli ja wygram, dasz mi tyle samo, ile spodziewasz się otrzymać od Utvarta. – Josua uśmiechnął się.

– Wybiorę sobie trzynaście spośród twoich koni.

Teraz w głosie Fikolmija dało się słyszeć nutę gniewu.

– Dlaczego w ogóle miałbym się z tobą zakładać? Zakład ma sens tylko wtedy, kiedy obie strony coś ryzykują. Czego mógłbym chcieć od ciebie? – Spojrzał na księcia zarozumiale. – I cóż ty takiego masz, czego nie mógłbym zabrać twoim ludziom po twojej śmierci?

– Honor.

Fikolmij popatrzył na niego zdumiony. Szepty dookoła wzmogły się.

– Na Czworonogiego, o czym ty mówisz? Mam gdzieś twój strachliwy honor mieszkańca kamiennego domu.

– Ach. – Josua uśmiechnął się słabo. – A twój honor?

Książę odwrócił się nagle twarzą do zebranych wiszących na ogrodzeniu zagrody Fikolmija. Przez tłum przeleciała fala cichych rozmów.

– Wolni Thrithingowie! – zawołał. – Przyszliście, by zobaczyć, jak umieram. – Rozległy się śmiechy. Gruda ziemi poleciała w kierunku Josui, lecz przeleciała tuż obok i spadła w pobliżu członków klanu Fikolmija, którzy spojrzeli groźnie w tłum. – Zaproponowałem waszemu tanowi zakład. Przysięgam, że Aedon, Bóg tych, którzy mieszkają w kamiennych domach, ocali mnie i pokonam Utvarta.

– Warto byłoby to zobaczyć! – zawołał ktoś łamanym językiem Westerling.

Pozostali roześmiali się. Fikolmij wstał i ruszył w kierunku Josui, jakby chciał go uciszyć, lecz rozejrzawszy się dookoła, rozmyślił się. Skrzyżował tylko ramiona na piersi i stał wyczekująco.

– Jaką proponujesz stawkę, człowieczku? – zawołał ktoś z siedzących na przodzie.

– Wszystko to, co mi jeszcze zostało: mój honor i honor moich ludzi. – Josua wyciągnął miecz z pochwy i uniósł go wysoko. Rękaw jego koszuli osunął się, ukazując zardzewiałą obręcz kajdanów Eliasa, którą wciąż nosił na lewym nadgarstku; w blasku poranka obręcz przypominała krwawy pierścień. – Jestem synem Prestera Johna, Wielkiego Króla, którego dobrze pamiętacie. Fikolmij znał go najlepiej.

Tłum zamruczał, co tan skwitował groźnym spojrzeniem.

– Oto mój zakład – zawołał Josua. – Jeśli przegram z Utvartem, będzie to znaczyło, że nasz Bóg Usires Aedon jest słaby i że Fikolmij ma rację, mówiąc, iż jest silniejszy od mieszkańców kamiennych domów. Będziecie wiedzieli, że Ogier waszego tana jest potężniejszy od Smoka i Drzewa domu Johna, który jest największym domem w miastach Osten Ard.

Głosy się wzmogły. Josua rozejrzał się spokojnie po tłumie.

– A co postawi Fikolmij? – zawołał ktoś.

Stojący tuż obok Utvart spoglądał na księcia, wściekły, że odwrócił od niego uwagę tłumu, lecz jednocześnie niepewny, w jakim stopniu zakład Josui może przysporzyć mu większej chwały, kiedy już zabije tego okaleczonego mieszkańca kamiennego domu.

– Tyle koni, ile wynosi cena Vorzhevy. A ja i moi ludzie odejdziemy wolni – odparł Josua. – Niedużo, zważywszy na to, że na szali leży honor księcia Erkynlandu.

– Książę bez domu! – zawołał ktoś drwiąco, lecz inne głosy zagłuszyły żartownisia, domagając się, by Fikolmij przyjął zakład; krzyczeli, że byłby głupcem, gdyby pozwolił mieszkańcowi kamiennego domu tak się pysznić. Na twarzy tana pojawił się z trudem ukrywany grymas wściekłości, lecz nie zareagował na ponaglające go okrzyki. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał udusić księcia własnymi rękami.

– Dobrze. Przyjmuję zakład – warknął wreszcie i uniósł ramię na znak zgody. Tłum zafalował uradowany. – Na stepowy grom, słyszeliście go. Zakład został przyjęty. Moje konie przeciwko jego pustym słowom. A teraz skończmy już te głupoty. – Tan najwyraźniej stracił dobry humor. Pochylił się tak, by tylko Josua mógł go usłyszeć. – Jak już umrzesz, zabiję twoje kobiety i dzieci własnymi rękoma. Powoli. Nikt nie będzie robił ze mnie pośmiewiska i jeszcze kradł należnych mi koni. – Fikolmij odwrócił się i spoczął na swoim stołku, gdzie siedział nachmurzony, słysząc dowcipy członków swego klanu.

Kiedy Josua odpiął i odrzucił pas swego miecza, Utvart wystąpił naprzód; jego umięśnione ramiona zalśniły, wznosząc ciężki miecz.

– Wciąż tylko mówisz, człowieczku – warknął Thrithing. – Za dużo mówisz.

Trzema susami pokonał dzielącą ich odległość i zadał pierwszy cios. Najdel błysnął w powietrzu, powstrzymując uderzenie z cichym brzękiem, lecz zanim Josua zdążył zaatakować, Utvart obrócił się i złożył do kolejnego oburęcznego ciosu. Josua zdołał odskoczyć, lecz tym razem zakrzywiony miecz Utvarta zadźwięczał głośno, starłszy się z Najdelem, który niemal wypadł z ręki księcia. Josua cofnął się kilka chwiejnych kroków na błotnistej murawie, zanim odzyskał równowagę. Utvart uśmiechnął się szeroko i zaczął krążyć dookoła księcia, zmuszając go do szybkiego odwracania się, tak by zawsze był zwrócony lewym ramieniem

do Thrithinga. Utvart zamarkował cios i zaatakował. Josua pośliznął się na rozdeptanej kopytami ziemi i przyklęknął na jedno kolano. Udało mu się odparować cios Utvarta, lecz Thrithing pociągnął swój miecz, raniąc lewe ramię księcia.

Josua wstał ostrożnie. Utvart wyszczerzył zęby w uśmiechu i zaczął krążyć dalej. Krople krwi kapały z dłoni Josui. Książę otarł ją o spodnie i natychmiast uniósł do góry, gdyż Utvart zadał kolejny cios. Po chwili krew znowu popłynęła po jego nadgarstku, a potem po rękojeści miecza.

Deornoth miał wrażenie, że zrozumiał, dlaczego Josua zaproponował zakład: książę miał nadzieję, że rozzłości tym Fikolmija i Utvarta, a tym samym zmusi ich do popełnienia jakiegoś błędu – lecz nie było wątpliwości, że plan księcia się nie powiódł. Tan rzeczywiście wściekł się, jednak nie z nim miał walczyć Josua, a Utvart nie okazał się tak porywczy, jak spodziewał się tego Josua. Wręcz przeciwnie, Thrithing zdawał się być roztropnym przeciwnikiem. Zamiast polegać wyłącznie na swej sile i zasięgu długich ramion, próbował najpierw zmęczyć przeciwnika: zadawał potężne ciosy i odskakiwał natychmiast, zanim książę zdążył zaatakować.

Obserwując ten jednostronny pojedynek, Deornoth czuł coraz większy ciężar na sercu. Głupotą było spodziewać się czegoś innego. Josua był dobrym szermierzem, lecz z takim przeciwnikiem miałby kłopoty nawet w swych najlepszych dniach. A przecież był ranny, zmęczony i słaby jak osesek. Wynik pojedynku był tylko kwestią czasu...

Deornoth odwrócił się w stronę Isorna. Młody Rimmersman pokiwał smutno głową; on także wiedział, że Josua broni się tylko i odwleka to, co nieuniknione. Isorn uniósł brwi pytająco.

– Teraz?

Mimo okrzyków tłumu słychać było modlitwę ojca Strangyearda. Pilnujący ich strażnicy przyglądali się z zaciekawieniem walce, trzymając niedbale włócznie. Deornoth uniósł dłoń.

– Zaczekaj...

Krew popłynęła z dwóch kolejnych ran: lekkiego zadraśnięcia na lewym nadgarstku Josui i głębszej rany na nodze. Książę otarł pot z czoła, zostawiając krwawą smugę na twarzy, jakby chciał upodobnić ją do twarzy Thrithinga. Josua zatoczył się do tyłu, unikając niezdarnie kolejnego ciosu Utvarta, złapał równowagę i skoczył do przodu. Jego miecz nie sięgnął brzucha przeciwnika. Milczący dotąd Thrithing roześmiał się głośno i zadał cios. Josua zablokował go i znowu zaatakował. Utvart ożywił się i przez jakiś czas rozlegał się brzęk stali. Tłum podskakiwał i krzyczał. Cienki Najdel i długi miecz Utvarta błyskały, śmigając w tańcu w takt własnej muzyki.

Na twarzy Thrithinga pojawił się szeroki grymas zadowolenia, lecz twarz Josui była blada. Książę wydął sine usta, walczył ostatkiem sił. Odparował dwa kolejne potężne ciosy Utvarta i zaatakował, pozostawiając cieniutką, czerwoną smugę na żebrach Thrithinga. Niektórzy z widzów wydali okrzyk i zaklaskali, uradowani, że walka jeszcze się nie skończyła, lecz Utvart zmrużył oczy rozgniewany i skoczył do przodu, zadając ciosy raz po raz niczym kowal, który uderza w kowadło. Josua mógł tylko cofać się z cienkim mieczem uniesionym do góry. Kiedy książę spróbował nieudolnie odparować któreś z uderzeń, Utvart odtrącił Najdela niedbale i młócił dalej, aż wreszcie jego miecz odbił się od gardy Josui i uderzył go w głowę. Książę zatoczył się i opadł na kolana; z boku jego głowy, tuż nad uchem pociekła kolejna strużka krwi. Uniósł Najdel, by osłonić się przed kolejnymi ciosami, lecz widać było, że wzrok ma mętny, a miecz chwieje się jak gałąź na wietrze.

Tłum krzyczał coraz głośniej. Fikolmij stał z rozwianą brodą i zaciśniętymi pięściami niczym bóg, który zsyła gromy na ziemię. Utvart podchodził do Josui bardzo wolno, był zadziwiająco ostrożny, jakby wciąż spodziewał się jakiegoś podstępu ze strony mieszkańca kamiennego domu. Lecz książę najwyraźniej nie miał już sił; próbował wstać, lecz kikut prawej dłoni ślizgał się w błocie.

Nagle z drugiego końca zagrody dobiegły inne odgłosy. W pobliżu miejsca, gdzie stali więźniowie, kłębiły się jakieś postacie i błyskały włócznie. Rozległ się okrzyk zdziwienia kobiety, a potem zaraz jakiś mężczyzna wrzasnął z bólu. Chwilę później oderwały się dwie spośród kłębiących się postaci. Deornoth prowadził jednego ze strażników Thrithingów, zaciskając ramię na jego gardle. Drugą ręką rycerz przyciskał włócznię strażnika do jego brzucha.

– Koński królu, każ pozostałym odsunąć się albo ci tutaj zginą. – Deornoth przycisnął mocniej włócznię do brzucha Thrithinga. Mężczyzna jęknął, lecz nie krzyczał. Na jego ciemnobrązowej koszuli pojawiła się krwawa plama.

Fikolmij zrobił krok do przodu czerwony z gniewu.

– Oszalałeś? Wszyscy zwariowaliście? Na Czworonogiego, zgniotę was wszystkich!

– W takim razie ludzie z twojego klanu także zginą. Nie mamy w zwyczaju zabijania z zimną krwią, ale nie możemy stać bezczynnie i patrzeć, jak mordują naszego księcia, którego wczoraj pobiłeś tak, że nie ma sił walczyć.

Tłum mruczał zawiedziony, lecz wściekły Fikolmij nie zwracał na to uwagi. Uniósł ramię pobrzękując bransoletami, by wezwać swoich wojowników, lecz w tej chwili rozległ się czyjś głos.

– Nie! – zawołał Josua, który chwiejąc się, wstał wreszcie. – Deornoth, puść ich.

Rycerz patrzył na niego zdumiony.

– Ale Wasza Wysokość...

– Puść ich. – Josua oddychał ciężko. – To jest moja walka. Jeśli mnie kochasz, uwolnij ich. – Mrugając, książę starł krew z czoła.

Deornoth zwrócił się do Isorna i Sangfugola, którzy obezwładnili pozostałych strażników. Patrzyli na niego tak samo zaskoczeni.

– Uwolnijcie ich – odezwał się wreszcie. – Książę każe ich uwolnić.

Isorn i Sangfugol opuścili włócznie, pozwalając Thrithingom odsunąć się. Strażnicy skorzystali skwapliwie z okazji i natychmiast wycofali się poza zasięg włóczni, mrucząc gniewnie. Isorn nie zwracał na nich uwagi, lecz stojący obok harfiarz trząsł się jak ranny ptak. Geloë, która przez cały czas pozostawała na swoim miejscu, spojrzała na Josuę.

– Chodź, Utvarcie – przemówił książę drżącym głosem; jego uśmiech przypominał białą kreskę na krwawej masce. – Wybacz im. Nie skończyliśmy jeszcze.

Stojący nieopodal Fikolmij poruszał ustami, jakby coś żuł. Wreszcie otworzył je szerzej, by coś powiedzieć, lecz nie zdążył.

Utvart skoczył do przodu i natarł na gardę Josui. Chwila przerwy nie przywróciła księciu sił; cofał się, chwiejnie odtrącając wygięty miecz Thrithinga. Kolejny cios musnął pierś Josui, a po następnym miecz Utvarta odbił się płazem i uderzył księcia w łokieć, wytrącając mu broń z ręki. Książę rzucił się za mieczem, lecz w chwili gdy zacisnął palce na rękojeści, pośliznął się i runął na ziemię.

Widząc swoją szansę, Utvart skoczył do przodu. Josua zdążył jeszcze podnieść miecz i odbić cios w dół, lecz wstając, znalazł się w tak niewygodnej pozycji, że Utvart chwycił go muskularnym ramieniem

i zaczął przyciągać w kierunku zakrzywionego ostrza swego miecza. Josua uniósł kolano i prawe ramię, by utrzymać przeciwnika na dystans; potem udało mu się podnieść i drugie ramię, choć Najdel pozostawał unieruchomiony przez miecz Utvarta. Silniejszy od niego Thrithing zdołał odepchnąć Najdel i powoli zbliżał oręż do gardła Josui. Książę zacisnął usta w grymasie ostatecznego wysiłku, a mięśnie jego szczupłego ramienia drżały jak struny. Przez chwilę udało mu się zatrzymać sunący ku górze miecz. Obaj mocowali się, stojąc pierś w pierś. Czując, że książę opada z sił, Utvart zacisnął swój uchwyt i uśmiechnął się. Przyciągał do siebie Josuę bardzo wolno, jakby w rytualnym geście. Pomimo ogromnego wysiłku księcia długie i wygięte ostrze sunęło nieubłaganie w górę, aż wreszcie oparło się na jego gardle.

Tłum zamilkł. Gdzieś w górze zawołał żuraw i zaraz ponownie zapadła cisza.

– Teraz Utvart cię zabije! – zawołał Thrithing.

W tym momencie Josua przestał stawiać opór i rzucił się w objęcie Utvarta, odchylając głowę w bok. Wygięte ostrze prześliznęło się wzdłuż szyi Josui, przecięło głęboko skórę, lecz księciu wystarczył ten ułamek sekundy, by uderzyć kolanem w krocze Utvarta.

Thrithing jęknął i upadł do tyłu, a Josua za nim; miecz Utvarta przeleciał ponad jego ramieniem. Uderzywszy o ziemię, Thrithing wypuścił z sykiem powietrze i wtedy Josua wyswobodził swój miecz. Wsunął jego ostrze pod brodę Utvarta i pchnął do góry na szerokość dłoni albo i dalej, poprzez szczękę aż do mózgu.

Josua przeturlał się, uwalniając z kurczowego uścisku Utvarta, i wstał. Dopiero teraz było widać, że cały ocieka krwią. Stał przez chwilę na drżących nogach z opuszczonymi bezradnie ramionami, wpatrzony w leżące przed nim ciało.

– Wielkoludzie – powiedział, dysząc. – To... to ty... za dużo mówisz.

Chwilę później przewrócił oczami i opadł ciężko na pierś Thrithinga. Leżeli tak razem, ich krew mieszała się i wydawało się, że bardzo długo na całej równinie nic się nie poruszyło i nie padło ani jedno słowo. A potem rozległy się krzyki.

CZĘŚĆ TRZECIA

SERCE BURZY

18. Utracony ogród

PO DŁUGIEJ PODRÓŻY przez głuchą, miękką pustkę Simon powrócił wreszcie do hałaśliwej granicy snu i jawy. Przebudził się w ciemności i zdał sobie sprawę, że znowu przemawia do niego ten sam głos, co w czasie koszmarnej ucieczki z klasztoru Skodi. Otworzyły się w nim jakieś drzwi w nieznane i wydawało się, że wciąż stoją otworem.

Tym razem nieproszonym gościem nie była postać z ognia, wysłaniec Króla Burz. Nowy głos różnił się od tamtego przerażającego ryku jak dzień od nocy. Nie szydził z Simona i nie groził mu; w rzeczywistości wcale do niego nie mówił.

Był to głos kobiety, melodyjny, lecz silny. Lśnił w ciemnym śnie Simona niczym latarnia morska. Choć jej słowa przepełniał smutek, to jednak niosły Simonowi dziwne uczucie pocieszenia. Simon wiedział, że śpi i wystarczy tylko chwila, aby się obudził i powrócił do rzeczywistości. Mimo to głos wabił i Simon wzbraniał się przed przebudzeniem. Wspominając mądrą i piękną twarz, którą ujrzał w lusterku Jirikiego, z zadowoleniem unosił się na granicy przebudzenia i słuchał, gdyż był to ten sam głos, ta sama osoba. To właśnie kobieta z lusterka weszła przez drzwi, które się w nim otworzyły. Simon odczuwał niewypowiedzianą

wdzięczność za jej obecność. Niewiele pamiętał z obietnic Czerwonej Dłoni, ale nawet tutaj, w cieniu snu, odczuwał zimne ukłucie strachu.

– *Ukochany Hakatri, mój piękny synu* – przemówił głos kobiety. – *Jakże ja tęsknię za tobą. Wiem, że jesteś poza granicą głosu i odpowiedzi, lecz nie mogę się powstrzymać, by nie mówić do ciebie, jakbyś był przy mnie. Zbyt wiele razy tańczono koniec roku, od chwili gdy odszedłeś na Zachód. Chłód opada na serca, opada na cały świat.*

FROSTMARCH
Saegard
HERNYSTIR
Góry Grianspog
Las Cirocille
Inniscrich
Hernysadharc
Nad Mullach
Rzeka Cuihmne
Wzgórza Dillathi
Rzeka Baraillean
Abaingeat
Crannhyr
W

Simon zrozumiał, że choć głos śpiewał w jego śnie, słowa te nie były przeznaczone dla niego. Poczuł się jak mały, biedny chłopiec, który podgląda przez okno bogatą i potężną rodzinę. Lecz podobnie jak bogatych mogły trapić smutki, jakich mały żebrak nie potrafił zrozumieć – nieszczęścia inne niż głód czy fizyczny ból – tak też i głos w jego śnie pomimo swej wspaniałości przepełniony był udręką.

– W pewnym sensie wydaje się, że twarz księżyca obróciła się zaledwie kilkakrotnie, odkąd Dwie Rodziny opuściły Venyha Do'sae, miejsce naszego urodzenia za Wielkim Morzem. Ach, Hakatri, gdybyś widział nasze łodzie sunące po wzburzonych falach! Z drewna srebrzystego je wykonano, żagle z jasnego płótna łopotały na ich masztach; były dzielne i piękne, jak ryby, co unoszą się nad wodą. Będąc wtedy dzieckiem, siedziałam na dziobie, patrząc, jak fale rozstępują się przed nami, otoczona obłokiem skrzącej się piany morskiej! I gdy nasze łodzie dotknęły brzegu tej ziemi, zapłakaliśmy. Znaleźliśmy wolność, umykając przed cieniem Nieistnienia.

Niestety, odkryliśmy, że wcale nie uciekliśmy przed cieniem, a jedynie zamieniliśmy go na inny: ten cień rósł w nas samych.

Oczywiście potrzebowaliśmy wiele czasu, by to zrozumieć. Nowy cień rósł powoli; najpierw w naszych sercach, potem w oczach i rękach, lecz teraz zło, jakie przyniósł ze sobą, jest większe, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Ogarnęło całą ziemię, którą tak kochaliśmy, do której pędziliśmy jak syn w ramiona matki czy kochanek do swej ukochanej...

Nasza nowa ziemia pogrążyła się w cieniu tak samo jak stara, Hakatri, i nasza to wina. A teraz twój brat, którego zniszczył cień, sam stał się przerażającą ciemnością. Pogrąża w mroku wszystko, co kiedyś kochał.

Och, na Ogród, który przepadł, tak ciężko stracić synów!

Teraz coś jeszcze starało się zwrócić uwagę Simona, lecz mógł tylko leżeć bezradnie, nie chcąc, czy też nie mogąc, się obudzić. Wydawało mu

się, że ktoś poza tym snem-który-nie-jest-snem wymawia jego imię. Czy miał przyjaciół albo rodzinę, która go szukała? Ale to i tak nie miało znaczenia. Nie potrafił uwolnić się od głosu kobiety. Jej przerażający smutek wił się w nim jak zaostrzony kij lub wyszczerbiony nóż. Postąpiłby okrutnie, zostawiając kobietę samą z jej smutkiem. Wreszcie głosy, które wzywały go z oddali, ucichły.

Pozostała tylko obecność kobiety. Wydawało się, że płacze. Simon nie znał jej i nie miał pojęcia, do kogo mówiła, lecz zapłakał razem z nią.

GUTHWULF BYŁ ZŁY I ZDEZORIENTOWANY. Czyścił swoją tarczę i próbował słuchać sprawozdania swego kasztelana, który powrócił właśnie z majątku Guthwulfa w Utanyeat. Jednak żadna z czynności nie szła mu dobrze.

Hrabia splunął cytrylem na podłogę zarzuconą sitowiem.

– Powtórz to jeszcze raz, niczego nie rozumiem.

Kasztelan, człowiek o okrągłym brzuchu i oczach fretki, ze wszystkich sił powstrzymał grymas zniecierpliwienia – Guthwulf nie należał do tych panów, przed którymi można było okazywać swoje zniecierpliwienie bez żadnych konsekwencji.

– Panie, jest tak: twoje włości w Utanyeat są prawie puste. W Wulfholt pozostało zaledwie kilku służących. Prawie wszyscy chłopi odeszli. Nie będzie komu zwozić jęczmienia i owsa, a żniwa za dwa tygodnie.

– Moi poddani odeszli? – Guthwulf patrzył nieprzytomnie na dzika i srebrzyste włócznie lśniące na jego czarnej tarczy; ich groty wyłożone były masą perłową. Kiedyś kochał ten herb jak własne dziecko. – Jak śmieli? A kto żywił tych paskudnych próżniaków przez wszystkie te lata? Dobrze, najmij innych do żniw, ale nie przyjmuj tych, którzy uciekli. Ani jednego.

Teraz kasztelan nie potrafił już powstrzymać zniecierpliwienia.

– Mój panie, hrabio Guthwulfie, chyba mnie nie słuchasz. W całym Utanyeat nie ma już tylu wolnych ludzi do wynajęcia. Twoi wasale, baronowie, mają własne problemy i nie mogą oddawać swoich poddanych. Na całym wschodzie i północy Erkynlandu zboże pozostanie na polu. Armia Skalego Kaldskryke zebrała swoje plony po drugiej stronie rzeki, w Hernystirze, i pewnie niebawem przekroczy rzekę, gdyż splądrowali już doszczętnie kraj Llutha.

– Słyszałem, że Lluth nie żyje – powiedział wolno Guthwulf. On sam odwiedził kiedyś króla Llutha w jego dworze, Taig. Pamiętał, z jaką łatwością obrażał pasterskiego króla w obliczu całego jego dworu. A przecież było to zaledwie kilka miesięcy temu. Dlaczego teraz czuł się tak podle? – Dlaczego wszystkie te łotry uciekają ze swych domów?

Kasztelan popatrzył na niego dziwnie, jakby hrabia zapytał go o własne imię.

– Dlaczego? Z powodu wojen, plądrujących wojsk na granicy i całego tego zamieszania we Frostmarch. No i oczywiście z powodu Białych Lisów.

– Białych Lisów?

– Tak, panie. Wiesz przecież o Białych Lisach. – Kasztelan nie ukrywał już teraz swoich uczuć. – To one pomagały armii, którą dowodziłeś pod Naglimundem.

Guthwulf popatrzył na kasztelana, pocierając w zamyśleniu górną wargę.

– Masz na myśli Nornów?

– Tak, panie. Ludzie nazywają ich Białymi Lisami z powodu trupio białej skóry i lisich oczu. – Kasztelan z trudem opanował drżenie. – Tak, Białe Lisy.

– Dlaczego o nich mówisz? – spytał hrabia, lecz nie uzyskawszy natychmiastowej odpowiedzi, spytał jeszcze raz podniesionym głosem: – Niech Aedon rozszarpie twą duszę, co oni mają wspólnego z moimi żniwami?

– Hrabio, Nornowie wyłażą ze swego gniazda w ruinach Naglimundu i kierują się na południe – odparł zdziwiony kasztelan. – Ludzie, którzy koczują pod gołym niebem, widzieli ich maszerujących nocą przez wzgórza; byli jak duchy. Podróżują w ciemności, po kilku w grupach i zawsze kierują się na południe, w stronę Hayholt. – Kasztelan rozejrzał się nerwowo, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. – Idą tutaj.

Po wyjściu kasztelana Guthwulf siedział długo, popijając wino. Popatrzył na kły przytwierdzone do czuba hełmu i odłożył go na miejsce, rezygnując z czyszczenia. Nie miał serca do takiej pracy, choć za kilka dni miał poprowadzić Królewską Gwardię, a nie zajmował się swoją zbroją od czasu oblężenia Naglimundu. Wszystko szło źle od tamtej pory. Wydawało się, że w zamku roi się od duchów, a do tego jeszcze ten przeklęty szary miecz i jego dwaj bracia; nawiedzali go w snach, tak że bał się kłaść i zasypiać...

Postawił kielich z winem i siedział wpatrzony w migocącą świecę, aż poczuł, że nastrój melancholii mija. Przynajmniej nie wyobrażał sobie już żadnych przykrych rzeczy. Ciągłe nocne hałasy, przemykające cienie na korytarzach i dziedzińcach, nocni goście Eliasa, którzy znikali nie wiadomo gdzie, wszystko to sprawiało, że Guthwulf zaczynał obawiać się o stan swego umysłu. Po tym, jak Król zmusił go do tego, by dotknął przeklętego miecza, Guthwulf nabrał pewności, że magia, czy coś innego, wydrążyła w jego umyśle szczelinę, przez którą sączyło się niszczące go szaleństwo.

Lecz kasztelan upewnił go, że nie był to tylko jego wymysł. Nornowie przybywali do Hayholt. Białe Lisy zbierały się.

Guthwulf wysunął z pochwy nóż i rzucił nim w drzwi. Utkwił głęboko w dębowej desce. Poczłapał przez pokój, wyciągnął nóż i rzucił ponownie szybkim ruchem. Wiatr zawył w koronach drzew za oknem. Nóż znowu utkwił w desce.

SIMON LEŻAŁ ZAWIESZONY WE ŚNIE, który nie był snem, a głos w jego głowie przemawiał.

– ...I tak widzisz, Hakatri, mój najmilszy synu, może właśnie tutaj zaczęły się nasze kłopoty. Mówiłam o Dwóch Rodzinach, jakbyśmy tylko my byli jedynymi, którzy ocaleli z całego Venyha Do'sae, ale to właśnie łodzie Tinukeda'ya przeniosły nas przez Wielkie Morze. Ani my, Zida'ya, ani nasi bracia, Hikeda'ya nie dotarliby do nowego lądu, gdyby nie Ruyan, Żeglarz, i jego ludzie. Niestety, ze wstydem muszę przyznać, że za morzem traktowaliśmy Dzieci Oceanu równie źle jak wcześniej w Ogrodzie. Myślę, że cień zaczął rosnąć wtedy, gdy większość ludzi Ruyana odeszła na własny ląd. Och, Hakatri, jakże głupio postąpiliśmy, przenosząc nasze dawne niesnaski na nowe miejsce, a przecież umarłyby one wraz z naszym domem na dalekim Wschodzie.

MASKA KLAUNA, OZDOBIONA DZIWNYMI piórami i rogami, podskakiwała przed oczyma Tiamaka, migocąc w blasku ognia. Przez chwilę czuł się zdezorientowany. Jak to możliwe, że Święto Wiatru nadeszło tak szybko? Do dnia, gdy czczono Tego, Który Zgina Drzewa, pozostało jeszcze mnóstwo czasu! Ale przecież miał przed sobą jednego z klaunów wiatru, który tańczył i podskakiwał. A poza tym jak inaczej można było wytłumaczyć ten okropny ból głowy, jaki odczuwał, jeśli nie

nadmierną ilością wypitego piwa z paproci, co było wyraźnym znakiem obchodów święta.

Klaun wiatru cmoknął kilkakrotnie, szarpiąc za coś, co trzymał w dłoni Tiamak. Co on robi? I wtedy Tiamak przypomniał sobie. Oczywiście, to była jego moneta: wszyscy przynosili paciorki albo pieniądze dla Tego, Który Zgina Drzewa. Klauni zbierali te błyszczące dary do glinianych naczyń i grzechotali nimi, wznosząc je do nieba. Była to jedyna muzyka tego święta, muzyka, która miała zjednać im Tego, Który Zgina Drzewa i uprosić, by powstrzymywał wichry i powodzie.

Tiamak wiedział, że powinien oddać klaunowi swoją monetę, przecież po to ją tutaj przyniósł. Lecz w sposobie, w jaki klaun trącał go swą ręką, było coś niepokojącego. Maska klauna mrugała i łypała pożądliwie oczami. Coraz bardziej niespokojny Tiamak ścisnął mocniej metal. Coś tu było nie tak...

Kiedy obraz rozjaśnił się nagle, Wrańczyk przerażony otworzył szeroko oczy. Podskakująca maska klauna przeobraziła się w chitynowy pysk ghanta, zwisającego z gałęzi tuż nad jego łodzią. Ghant próbował delikatnie wytrącić nóż ze spoconej dłoni Tiamaka.

Wrańczyk wydał okrzyk obrzydzenia i rzucił się na tył łodzi. Ghant zaskrzypiał mackami i zaczął machać opancerzoną przednią łapą, jakby chciał powiedzieć, że wszystko to było pomyłką. Tiamak chwycił żerdź służącą do sterowania łodzią i zamachnął się, nie pozwalając ghantowi umknąć. Rozległo się głośne uderzenie i obrzydliwy stwór poleciał nad wodą z nogami podkurczonymi jak u przypieczonego pająka. Wydał tylko cichy plusk, znikając w zielonej wodzie.

Tiamak wstrząsnął się z obrzydzenia, czekając, aż zwierzę pojawi się na powierzchni wody. Nad jego głową rozległy się inne cmoknięcia. W górze dostrzegł kilkanaście innych ghantów, każdy wielkości dużej małpy, które

spoglądały na niego uwieszone bezpiecznie na wyższych gałęziach. Ich pozbawione wyrazu oczy lśniły. Tiamak nie miał wątpliwości, że gdyby tylko wyczuły, że nie może wstać, natychmiast by go zaatakowały, choć wydawało się dziwne, że odważyłyby się zaatakować dorosłego człowieka, nawet jeśli był ranny. Miał jednak nadzieję, że nie zdawały sobie sprawy, jak jest słaby i co oznaczają zakrwawione bandaże na jego nodze.

– No, paskudne robale! – zawołał, wymachując żerdzią i nożem. Poczuł w skroniach ból wywołany własnym krzykiem. Zamrugał gwałtownie i modlił się, by nie zemdleć z wysiłku. Wiedział, że gdyby stracił przytomność, nigdy już by się nie obudził. – Chodźcie na dół, a dam wam taką samą lekcję jak waszemu przyjacielowi!

Ghanty w odpowiedzi zapiszczały zaczepnie, jakby chciały powiedzieć: Nie ma co się spieszyć, jeśli nie dostaniemy cię dzisiaj, z pewnością zrobią to inne ghanty. Twarde, upstrzone porostami pancerze zaskrzypiały, trąc korę wierzby, kiedy ghanty zaczęły piąć się wyżej. Starając się opanować atak dreszczy, Tiamak spokojnie, lecz zdecydowanie skierował łódź na środek wody, poza zasięg zwisających nad nią gałęzi.

Ze zdumieniem stwierdził, że słońce dawno już minęło zenit. Pewnie zasnął na siedząco, choć było jeszcze tak wcześnie. Dreszcze chwilowo minęły, lecz czuł się bardzo słaby, a zraniona noga pulsowała niczym rozgrzane żelazo.

W pewnym momencie Tiamak roześmiał się nieprzyjemnie. Pomyśleć, że jeszcze dwa dni temu nie mógł się zdecydować, dokąd się udać, kto z ubiegających się o jego usługi będzie miał szczęście je otrzymać, a kto będzie musiał zaczekać. Pamiętał, że postanowił spełnić życzenie starszych wioski i udać się najpierw do Nabbanu, a potem dopiero do Kwanitupulu; potrzebował wielu godzin, by podjąć w końcu taką decyzję. W jednej chwili wszystko się odmieniło. Będzie mógł mówić o szczęściu, jeśli dotrze

żywy do Kwanitupulu; długa podróż do Nabbanu nie wchodziła już w grę. Stracił zbyt dużo krwi i bardzo dokuczała mu rana. W tej części Wranu nie rosły zioła, którymi mógłby zacząć ją leczyć. Na domiar złego natknął się na gniazdo ghantów, które widziały w nim potencjalną ofiarę.

Serce biło mu mocno. Znowu opadała go chmura słabości. Zanurzył dłoń w zimnej wodzie i pochlapał nią twarz. Obrzydliwy robal rzeczywiście go dotykał, delikatnie jak złodziejaszek, próbując wytrącić z dłoni nóż, tak by nie mógł się bronić, kiedy następne go zaatakują. Jak można było sądzić, że ghanty są tylko zwierzętami? Niektórzy spośród jego współplemieńców twierdzili, że ghanty są po prostu wyrośniętymi owadami albo krabami, do których były podobne, lecz Tiamak dostrzegał ogromną inteligencję czającą się za ich bezlitosnymi, czarnymi oczami. Ghanty mogły być potomkami Tych, Którzy Tchną Ciemnością, a nie Tej, Która Zrodziła Ludzkość – jak twierdził Starszy Mogahib – lecz nie znaczyło to, że muszą być głupie.

Rozejrzał się po dnie łodzi, aby się zorientować, czy ghanty nie ukradły czegoś, zanim się obudził. Wydawało się, że ma wciąż cały swój skromny dobytek: parę sztuk oficjalnych ubrań, Laskę Wspólnoty, którą otrzymał od starszych, parę naczyń kuchennych, procę i wreszcie schowany do skórzanej torby manuskrypt Nissesa. Nie brakowało niczego.

Wśród tych przedmiotów leżały też szczątki ryby, której połów doprowadził Timaka do obecnych kłopotów. W ciągu dwóch dni pełnych ataków gorączki i majaków musiał zjeść znaczną część ryby albo też obdziobały ją ptaki. Tiamak próbował przypomnieć sobie cokolwiek, lecz jedyne, co mu przychodziło do głowy, to wizja siebie samego płynącego bez końca pod niebem, z którego lał się wolno żar pokrywający wodę lśniącą taflą. Czy pamiętał, żeby rozpalić ogień i zagotować bagienną wodę, zanim przemył ranę? Jak przez mgłę przypominał sobie, że próbował

przyłożyć iskrę do kawałków drewna ułożonych w jednym z kamiennych garnków, lecz zupełnie nie pamiętał, czy udało mu się rozpalić ogień.

Zakręciło mu się w głowie od intensywnego myślenia. Uznał, że nie ma sensu medytować nad tym, co zrobił, a czego nie zrobił. Najwyraźniej wciąż był bardzo chory. Jego jedyną szansą było dotrzeć do Kwanitupulu, zanim powróci gorączka. Kiwając żałośnie głową, wyrzucił za burtę szkielet ryby, który potwierdzał, że była wspaniała, i włożył koszulę, gdyż wstrząsnął nim kolejny dreszcz. Opadł na rufę i sięgnął po kapelusz z liści palmy piaskowej, który uplótł w pierwszym dniu podróży. Naciągnął go głęboko na piekące oczy, by ochronić je przed ostrym południowym słońcem. Skropił wodą powieki i zaczął odpychać się żerdzią, pracowicie kierując łódź wzdłuż szerokiego kanału, choć obolałe mięśnie protestowały przy każdym ruchu.

Gorączka powróciła w nocy. Kiedy udało mu się po raz kolejny wyswobodzić z jej pazurów, zorientował się, że łódź unosi się, obracając powoli, na bagnistej mieliźnie. Noga, choć wciąż spuchnięta i strasznie obolała, nie wydawała się w gorszym stanie. Może przy odrobinie szczęścia uda mu się dotrzeć szybko do Kwanitupulu i uratować ją.

Otrząsając się z resztek snu, Tiamak odmówił kolejną modlitwę do Tego, Który Zawsze Kroczy Po Piasku. Od nieprzyjemnej przygody z krokodylem Tiamak, mimo swej dość sceptycznej natury, wydawał się bardziej przekonany do istnienia tego boga. Nie dbał specjalnie o to, czy nawrót wiary był spowodowany otumaniającą gorączką, czy też nastąpił pod wpływem bliskości śmierci. Nie próbował analizować swych uczuć w tej delikatnej materii. Wiedział tylko, że nie chce być jednonogim uczonym albo co gorsza martwym uczonym. Był pewien, że na zdradliwych bagnach, przez które płynął, oprócz pomocy bogów nie było

innego źródła wsparcia, jeśli nie liczyć szybko opuszczającej go stanowczości. Po takim podsumowaniu pomodlił się raz jeszcze.

Wypłynął z mielizny i posuwając się dalej kanałem, dotarł do miejsca, gdzie łączyło się kilka wodnych odnóg. Zdziwiony, że dotarł aż tutaj, spoglądając na gwiazdy – szczególnie na gwiazdozbiory Nura i Wydry o lśniących łapach – kierował się w kierunku Kwanitupulu i morza. Pracował żerdzią aż do zmroku i dopiero wtedy postanowił dać odpocząć znużonemu umysłowi i obolałemu ciału. Walcząc ze snem, popłynął jeszcze kawałek, aż dotarł do dużego kamienia na błotnistym brzegu. Użył go jako kotwicy, która pozwalała pozostać daleko od brzegu, gdzie mógł wreszcie zasnąć bez obawy przed łażącymi po drzewach ghantami czy innymi nieproszonymi gośćmi.

Pokrzepiony, Tiamak ruszył w dalszą drogę. Wprawdzie stracił połowę kolejnego popołudnia – ósmego albo dziewiątego od chwili opuszczenia domu, jak mu się wydawało – walcząc z nawrotem gorączki, lecz był wystarczająco silny, by wiosłować jeszcze trochę wieczorem, a nawet nocą, gdyż chciał nadrobić stracony czas. Stwierdził, że po zachodzie słońca w powietrzu jest znacznie mniej kąsających i kłujących owadów. Przyjemna, błękitna aura zmierzchu wprawiła go więc w tak dobry humor, że postanowił uczcić to rzecznym jabłkiem, które znalazł wiszące samotnie na jednej z gałęzi. O tej porze roku zazwyczaj nie było już rzecznych jabłek, a te, które uszły uwagi ptaków, płynęły unoszone prądem wody niczym spławiki wędek, aż lądowały na jakiejś błotnistej tamie albo na oblepionych ziemią splątanych korzeniach. Tiamak uznał znalezienie jabłka za dobry znak. Podziękował serdecznie łaskawym bóstwom i schował owoc, gdyż postanowił najpierw nasycić się myślą o nim.

Smak skórki był raczej kwaśny, lecz już jasny miąższ okazał się wspaniale słodki. Żywiący się dotąd wodnymi robakami oraz jadalnymi

trawami i liśćmi Tiamak wpadł w takie podniecenie pod wpływem nowego smaku, że niemal stracił przytomność i odłożył spory kawałek jabłka na później.

Kwanitupul zajmował północny brzeg górnego odgałęzienia zatoki Firannos, gdzie w rzeczywistości nie było prawdziwego brzegu. Zajmując północny skraj Wranu, był właściwie w dużej mierze częścią głównego bagna.

Niegdyś była tam tylko mała wioska kupiecka składająca się z kilku domów na drzewach lub palach, która szybko się rozrosła, gdy kupcy z Nabbanu, Perdruin i Wysp Południowych odkryli cenne przedmioty pochodzące z niedostępnego terytorium Wranu – niedostępnego oczywiście dla wszystkich poza Wrańczykami. Kupcy z całego wybrzeża zjeżdżali się na targi Kwanitupulu, by handlować egzotycznymi piórami, którymi można było ozdobić kobiece stroje, suchymi błotami przydatnymi do farbowania, a także pudrami i minerałami o niezwykle rzadkich właściwościach. Z braku miejsca wbijano przy brzegu głęboko w błoto pale i zatapiano przy nich łodzie wypełnione kamieniem i gruzem; miejsca te dawały początek nowym chatom i drogom.

W miarę jak Kwanitupul rósł, kolejni Nabbańczycy i Perdruińczycy napływali, by rozbijać swe stragany obok miejscowych kupców. Miasto zajmowało następne kanały i odnogi bagna, zatykając je licznymi mostami i zabudowaniami, pieniącymi się jak wodne hiacynty. Z biegiem czasu miasto zdominowało zatokę Firannos, podobnie jak jego starsza i większa siostra, Ansis Pelippe, zdominowała zatokę Emettin i środkowe wybrzeże Osten Ard.

Wciąż rozgorączkowany, Tiamak zostawił wreszcie za sobą odludne bagno i posuwał się coraz bardziej zatłoczonymi kanałami Kwanitupulu. Początkowo minęło go zaledwie kilka płaskodennych łodzi, z Wrańczykami

w uroczystych strojach z piór, chcącymi uczcić pierwszą wizytę w największej wiosce na bagnach. W miarę jak zbliżał się do centrum Kwanitupulu, pojawiały się statki różnych rozmiarów i kształtów, od wspaniale rzeźbionych i zadaszonych baldachimami barek bogatych kupców do ogromnych statków przewożących ziarno lub kopaliny; wszystkie one pruły wodę niczym władcze wieloryby, zmuszając mniejsze jednostki do ustąpienia drogi albo zaryzykowania wywrotki.

Zwykle Tiamak lubił patrzeć na Kwanitupul, choć w przeciwieństwie do swoich współplemieńców widział też Ansis Pelippe i inne miasta portowe Perdruin, których Kwanitupul był zaledwie mierną namiastką. Teraz jednak gorączka to uniemożliwiała. Plusk wody i okrzyki Kwanitupulczyków wydawały mu się dziwnie odległe, a kanały, którymi przecież pływał już wielokrotnie, wydawały się obce.

Przez cały czas usiłował przypomnieć sobie nazwę gospody, do której miał się udać. W liście przyniesionym przez jego wspaniałego – niestety martwego już gołębia – ojciec Dinivan skierował go do... do...

„Jesteś bardzo potrzebny”. Tak, tę część pamiętał. Ale tak trudno było mu myśleć przez gorączkę. „Udaj się do Kwanitupulu” – pisał Dinivan. „Zatrzymaj się w gospodzie, o której mówiliśmy, i zaczekaj tam na dalsze wiadomości”. Co tam jeszcze było? „Od ciebie może zależeć coś więcej niż tylko ludzkie życie”.

Ale o jakiej gospodzie rozmawiali? Nagle Tiamak dostrzegł przed sobą kolorową plamę i wtedy w ostatniej chwili skierował łódź w bok, umykając przed statkiem z wymalowanymi ślepiami na kadłubie. Jego właściciel podskakiwał na dziobie i wymachiwał pięściami w kierunku Tiamaka. Tiamak widział, że tamten porusza ustami, lecz on słyszał tylko odległy ryk. Jaka to była gospoda? – zastanawiał się, płynąc dalej.

– „Puchar Pelippy”! – olśniło go nagle. Nie zdawał sobie sprawy, że krzyknął głośno nazwę gospody, lecz wokół panowała taka wrzawa, że nie zwróciło to niczyjej uwagi.

„Puchar Pelippy”. O tej gospodzie pisał Dinivan w swoim liście. Nazywała się tak dlatego, że prowadziła ją kobieta, która była kiedyś zakonnicą w zakonie świętej Pelippy. Tiamak nie pamiętał jej imienia; pamiętał tylko, że lubiła dyskutować o teologii i filozofii. Morgenes zatrzymywał się u niej zawsze, kiedy podróżował do Wranu, ponieważ lubił właścicielkę gospody i jej nieco swawolny, lecz mimo to rozsądny sposób myślenia.

Wspomnienia dodały Tiamakowi wigoru. Może w gospodzie spotka Dinivana! Albo będzie tam sam Morgenes, który wyjaśni mu, dlaczego nie odpowiadał na ostatnie listy. W każdym razie Tiamak wierzył, że nawet jeśli nie spotka swych przyjaciół, ich nazwiska pomogą mu znaleźć miejsce i jakąś przyjazną duszę pod „Pucharem Pelippy”.

Wciąż trawiony gorączką, lecz z nadzieją w sercu, Tiamak sięgnął ponownie po żerdź. Jego krucha łódka popłynęła przez zieloną, brudną wodę.

DZIWNY GŁOS W GŁOWIE SIMONA wciąż mówił. Czar kobiecego głosu wciąż trzymał go delikatnie w swej mocy; było to więzienie, które zdawało się nie mieć granic. Znajdował się w całkowitej ciemności, jakby za chwilę miał się zanurzyć we śnie, lecz jego umysł nie spał, był trzeźwy jak u kogoś, kto udaje, że śpi, gdy tymczasem jego wrogowie planują zdradę w drugim końcu pokoju. Nie obudził się, ale i nie zapadł w sen. Głos znowu przemówił, wywołując obrazy piękne, lecz przerażające:

– I choć odszedłeś, Hakatri – nie wiem, czy w śmierć, czy na daleki Zachód – to ci powiem, gdyż w rzeczywistości nikt nie wie, jak czas płynie

na Ścieżce Snów albo gdzie mogą zawędrować myśli rzucone na łuski Wielkiej Bestii czy innego Świadka. Może się zdarzyć, że gdzieś kiedyś usłyszysz te słowa i dowiesz się o swojej rodzinie i swoim ludzie. A poza tym pragnę z tobą porozmawiać, ukochany synu, choć tak dawno odszedłeś.

– Wiesz, że brat twój siebie obwiniał za twą straszliwą ranę. Kiedy odszedłeś wreszcie na Zachód, chcąc ulżyć swemu sercu, on stał się zimny i nieprzystępny.

– Nie będę opowiadać ci całej historii o plądrujących żeglarzach, okrutnych śmiertelnikach, którzy przybyli morzem. Mówiło się już o ich przyjściu, jeszcze zanim odszedłeś; niektórzy twierdzą, że to ci Rimmersmeni zadali nam największy cios, niszcząc Asu'a, nasz wielki dom, i wypędzając na wygnanie tych, którzy przeżyli. Niektórzy twierdzili, że Rimmersmeni byli naszymi najgorszymi wrogami, lecz inni uważali, że najokrutniejszy cios otrzymaliśmy wtedy, gdy twój brat, Ineluki, podniósł rękę na waszego ojca, Iyu'unigato. Tak, na waszego ojca a mojego męża; zabił go w wielkiej sali Asu'a. Jeszcze inni twierdzą, że nasz cień rósł o wiele wcześniej, w głębinach czasu. Według nich było to jeszcze w Venyha Do'sae, Utraconym Ogrodzie, z którego przynieśliśmy cień w naszych sercach. Mówią, że nawet ci, którzy urodzili się na nowej ziemi – tak jak ty, mój synu – przyszli na świat z duszą splamioną cieniem, dlatego nie ma – ich zdaniem – niewinności od chwili, gdy świat był młody.

Oto i problem cieni, Hakatri. Na pierwszy rzut oka nie ma tu niczego niezrozumiałego: po prostu coś, co pojawia się przed ogniem. Lecz to, co pozostaje w cieniu z jednej strony, z drugiej może lśnić blaskiem. To, co jednego dnia skrywa cień, innego może umrzeć zniszczone siłą blasku słońca, a świat zostanie umniejszony tą stratą. Nie wszystko, co wyrasta w cieniu, musi być złe, mój synu...

„PUCHAR PELIPPY”... „Puchar Pelippy”...

Tiamak z trudem zbierał myśli. Powtórzył kilkakrotnie nazwę gospody, lecz przez moment nie wiedział, co ona znaczy. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że patrzy na kołyszącą się tablicę z wymalowanym złocistym pucharem. Wpatrywał się w szyld zmrużonymi oczami, a potem rozejrzał dookoła w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie mógłby przywiązać łódź.

Szyld z pucharem wisiał nad drzwiami niezbyt szacownie wyglądającej gospody, w zaciszu części magazynowej wioski. Rozlatujący się budynek wydawał się opierać o dwa inne z nim sąsiadujące, niczym pijak prowadzony przez kompanów. Na wodzie unosiła się gromada małych i średnich łodzi przywiązanych do prymitywnego nabrzeża lub bezpośrednio do pali, na których stała gospoda i sąsiadujące z nią budynki. Wokół gospody panował zadziwiający spokój, jakby wszyscy goście i stajenni spali.

Gorączka znowu powróciła, a wyczerpany wiosłowaniem Tiamak był już bardzo słaby. Popatrzył sceptycznie na zwisającą z pomostu drabinę. Najwyraźniej była mocno poplątana. Nie mógł dosięgnąć najniższych szczebli nawet za pomocą żerdzi. Zastanawiał się, czy nie spróbować podskoczyć, lecz doszedł do wniosku, że skoro ktoś nie ma dość sił, by utrzymać się na powierzchni wody, głupotą byłoby podskakiwanie w małej łodzi. Wreszcie, nie widząc innego wyjścia, zawołał o pomoc.

Jeśli rzeczywiście był to ulubiony zajazd Doktora, to Morgenes odznaczał się niezwykłą tolerancją wobec niedbalstwa. Ponieważ nikt się nie pojawił, zawołał ponownie, a jego głos rozszedł się żałosnym echem po wyludnionej okolicy. W drzwiach powyżej pojawiła się siwa głowa i nieruchomo przyglądała się Tiamakowi, jakby stanowił ciekawy, lecz nie do rozwiązania problem. Wreszcie właściciel głowy zdecydował się opuścić bezpieczne drzwi i wyszedł na pomost. Był to stary Perdruińczyk albo

Nabbańczyk, wysoki, dobrze zbudowany o przystojnej, różowej twarzy małego dziecka. Kucnąwszy na krawędzi pomostu, spoglądał w dół na Tiamaka, uśmiechając się.

– Drabina. – Tiamak wskazał żerdzią. – Nie mogę jej dosięgnąć.

Starzec popatrzył uprzejmie na drabinę i jakby zamyślił się nad tym, co usłyszał. Wreszcie uśmiechnął się szerzej i skinął głową. Pomimo ogromnego zmęczenia i boleśnie pulsującej nogi Tiamak zorientował się, że odpowiada uśmiechem na uśmiech tego dziwnego człowieka z pomostu. Mężczyzna odwrócił się nagle i zniknął w drzwiach.

Tiamak zawył zrozpaczony, lecz starzec po chwili pojawił się z bosakiem. Za jego pomocą natychmiast rozplątał drabinę, która opadła luźno, uderzając końcem o powierzchnię wody. Tiamak zebrał swoje rzeczy i rozpoczął wspinaczkę. Dwukrotnie musiał odpoczywać w czasie tak krótkiej drogi. Zraniona noga paliła niemiłosiernie, jak przypiekana ogniem.

Zanim dotarł na górę, poczuł, że kręci mu się w głowie, jak nigdy dotąd. Starzec zniknął, lecz kiedy Tiamak z trudem otworzył ciężkie drzwi i kuśtykając, przeszedł przez próg, zobaczył go znowu. Siedział pośród lin i różnych narzędzi w rogu małego dziedzińca na stosie kocy, które wyglądały, jakby służyły mu za łóżko. Większość wilgotnego podwórka zajmowały dwie przewrócone do góry nogami łodzie. Jedna miała sporą dziurę w burcie, co mogło oznaczać, że wpadła na ostrą skałę, druga była pomalowana zaledwie do połowy.

Kiedy Tiamak szedł ścieżką między licznymi słoikami z białą farbą, starzec uśmiechnął się do niego głupkowato i zanurzył się w kocach, jakby miał zamiar zasnąć.

W końcu podwórka widniały właściwe drzwi do gospody. Jej parter zajmowała duża, obskurna jadalnia z kilkoma długimi stołami i paroma

stołkami. Przy kontuarze stała potężnie zbudowana Perdruinka o kwaśnej minie i siwiejących włosach, która przelewała piwo z jednego dzbana do drugiego.

– Czego chcesz? – spytała.

Tiamak zatrzymał się na progu.

– Czy ty jesteś... – Dopiero po chwili przypomniał sobie imię zakonnicy. – Xorastra?

Kobieta skrzywiła się.

– Nie żyje od trzech lat. Była moją ciotką. Zupełnie pomylona. A ty kim jesteś? Nie przyjmujemy zapłaty w paciorkach ani piórach.

– Szukam pokoju. Zraniłem nogę. Jestem przyjacielem ojca Dinivana i Doktora Morgenesa.

– Nigdy o takich nie słyszałam. Błogosławiona Elysio, jak na dzikusa nieźle mówisz w naszym języku. Nie mamy wolnych pokoi. Możesz spać na zewnątrz, ze starym Ceallio. Jest dziecinny, ale nieszkodliwy. Sześć cintisów za noc, dziewięć z jedzeniem. – Odwróciła się, wskazując mniej więcej w stronę podwórka.

Kiedy skończyła mówić, z góry zbiegła z hukiem trójka dzieci okładających się rózgami i wrzeszczących niemiłosiernie. Nieomal przewróciły Tiamaka, kiedy przeciskały się, by wybiec na zewnątrz.

– Potrzebuję kogoś, kto obejrzy moją nogę. – Tiamak zachwiał się. – Proszę. – Sięgnął do sakiewki przywiązanej do paska i wyjął z niej dwa złote imperatory, które stanowiły jego oszczędności z ostatnich dwóch lat. Zabrał je ze sobą na wypadek, gdyby znalazł się w takiej właśnie krytycznej sytuacji; co mu po pieniądzach, jeśli umrze? – Proszę, mam złoto.

Siostrzenica Xorastry odwróciła się, wybałuszając oczy.

– Na Rhiappę i jej wielkich Piratów! – zaklęła. – Patrzcie, patrzcie!

– Proszę, dobra kobieto. Mogę przynieść ci więcej takich. – Oczywiście nie mógł, ale wiedział, że obiecując jej to, mógł liczyć na pomoc. – Wezwij tylko golibrodę albo uzdrawiacza, żeby zobaczył moją nogę, i daj mi jakiś kąt, a także coś do jedzenia.

Jej usta, szeroko otwarte na widok złotych monet, otworzyły się jeszcze szerzej, kiedy Tiamak runął nieprzytomny u jej stóp.

CHOĆ NIE WSZYSTKO, co wyrasta w cieniu, jest złe, to jednak większość z tego, co kryje się w ciemności, robi tak dlatego, żeby ukryć swoje zło przed wzrokiem innych.

Simon powoli zagłębiał się w ten dziwny sen, zaczynał czuć się, jakby to do niego przemawiał pełen boleści, cierpliwy głos. Odczuwał żal, że tak długo był nieobecny, że przyniósł cierpienia tej wzniosłej duszy.

– Twój brat długo skrywał swe zamiary pod płaszczem cienia. Wiele razy odtańczono koniec roku po upadku Asu'a, zanim dowiedzieliśmy się, że on wciąż żyje – jeśli jego upiorną egzystencję można nazwać życiem. Długo knuł w ciemności, setki lat mrocznych planów, zanim zaczął działać. A i teraz, choć widać jego zamierzenia, wiele pozostaje w cieniu. Myślę, obserwuję, zastanawiam się, odgaduję, lecz me stare oczy nie potrafią uchwycić istoty intrygi. Wiele rzeczy oglądałam od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałam, jak opadają liście w Osten Ard, a mimo to nie potrafię tego zrozumieć. Co on planuje? Do czego dąży twój brat, Ineluki...

GWIAZDY NAD BURZOWĄ GÓRĄ wydawały się zupełnie nagie; lśniły białym światłem jak wypolerowana kość, zimne niczym bryły lodu, lecz w oczach Ingena Jeggera były piękne.

Stał obok swego konia. Wiatr świstał w otworach jego hełmu w kształcie wyszczerzonego psiego pyska. Nawet rumak Ingena, wychowany w najzimniejszych i najmroczniejszych stajniach, próbował schować się przed okrutnie zacinającym śniegiem, który wiatr ciskał niczym strzały. Ale Ingen Jegger był w bardzo podniosłym nastroju. Zawodzenie wiatru było dla niego jak kołysanka, a ukłucia zacinającego śniegu pieszczotą. Pani Ingena posłała go z wielkim zadaniem.

– Żadnemu Łowczemu Królowej nie powierzono dotąd tak ważnego zadania – powiedziała w Komnacie Harfy wypełnionej błękitnym światłem Studni. Kiedy mówiła, jęki Oddychającej Harfy – ogromnej, półprzezroczystej zmieniającej kształty, spowitej we mgły ze Studni – wstrząsały posadami Burzowej Góry. – Pozwoliliśmy powrócić ci z Gniazda Śmierci. – Lśniąca maska Utuk’ku odbijała błękitne światło Studni z taką siłą, że wydawało się, iż między jej ramionami a czubkiem głowy wyrósł płomień. – Obdarzyliśmy cię także bronią i mądrością, jakich nie otrzymał dotąd żaden z Łowczych Królowej. Teraz stajesz przed zadaniem, jakiego nikt nie otrzymał, śmiertelnik czy też nieśmiertelny.

– Wykonam je, Pani – odpowiedział, a jego serce zabiło tak mocno, jakby za chwilę miało pęknąć z radości.

Teraz stojąc na królewskim szlaku, Ingen Jegger spoglądał na ruiny starego miasta, rumowisko skrywające podnóże ogromnej lodowej góry. Pomyślał, że w czasach, gdy jego przodkowie osiągnęli status okrzesanych dzikusów, starożytne miasto Nakkiga wznosiło się ku niebu w całej swej krasie; smukłe wieżyce z alabastru i białego magicznego drewna tworzyły jakby naszyjnik wokół szyi góry. Zanim jego przodkowie poznali ogień, Hikeda’ya zbudowali w samym sercu góry komnaty podparte kolumnami, a każda z nich lśniła tysiącem krystalicznych ścianek odbijających blask lampy – były jak plejada gwiazd w czarnym wnętrzu ziemi.

I oto on, Ingen Jegger, został przez nich wybrany! Przywdział płaszcz, jakiego nie nosił żaden śmiertelnik! Nawet dla kogoś tak wyjątkowego i doświadczonego była to myśl oszałamiająca.

Wiatr zelżał nieco. Rumak, który w zacinającym śniegu był zaledwie ogromnym, jasnym cieniem, zarżał zniecierpliwiony. Poklepał konia dłonią w rękawicy i na chwilę przyłożył ją do karku zwierzęcia, wyczuwając szybki puls. Wsunął nogę w strzemię, usiadł w siodle i zagwizdał na Niku'a. Chwilę później na pobliskim wzgórzu pojawił się ogromny, biały ogar. Prawie tak ogromny jak wierzchowiec łowczego, Niku'a wypełniał powietrze dookoła parą swego gorącego oddechu; na krótkiej sierści psa osiadły kropelki rosy, przez co lśniła jak pogrążony w blasku księżyca marmur.

– Chodź – syknął Ingen Jegger. – Czekają nas wielkie czyny! – Droga prowadziła w dół, ku pogrążonym w nieświadomości ziemiom i ich śpiącym mieszkańcom. – Śmierć idzie za nami.

Spiął konia ostrogami. Kopyta zadudniły jak młoty na skutej lodem drodze.

TAK WIĘC W ZNACZNYM STOPNIU NIE WIEM, co knuje twój brat. – Głos w głowie Simona słabł coraz bardziej, zanikał jak ostatnia róża w jesiennym ogrodzie. – *Zmuszona byłam użyć podstępów, które okazały się niczym wobec licznych mieszkańców Nakkigi i nieśmiertelnej nienawiści Czerwonej Dłoni. Co gorsza nie wiem, z czym walczę, choć teraz chyba zaczynam trochę rozumieć. Nawet jeśli jest to tylko okruch prawdy, widzę, jak jest okropna. Okropna.*

Ineluki rozpoczął swoją grę. Ja go zrodziłam i nie mogę uchylać się od odpowiedzialności. Dwóch synów miałam, Hakatri. Dwóch synów straciłam. – Głos kobiety był już zaledwie szeptem, oddechem, a jednak

Simon wciąż wyczuwał bijącą z niego gorycz. – *Kochany, najstarsi są zawsze najbardziej samotni, lecz ci, którzy kochają, nie powinni zostawiać innych na tak długo...*

Głos umilkł.

Simon budził się powoli z otchłani ciemności, która go ogarnęła. W uszach słyszał dziwne echo, jakby nieobecność głosu powodowała jeszcze większą pustkę. Kiedy otworzył oczy, oślepiło go światło, a gdy je zamknął, wciąż widział jasne pierścienie. Uchylił powieki ponownie i zobaczył, że znajduje się w lesie, w niewielkim zagłębieniu pokrytym świeżym śniegiem.

Blade światło poranka sączyło się między konarami drzew, powodując, że nagie gałęzie emanowały srebrzystym blaskiem, a ziemia skrzyła tysiącem iskier.

Było mu bardzo zimno i był zupełnie sam.

– Binabiku! – zawołał. – Qantaqa! – Chwilę później dodał: – Sludigu! – Wokół panowała cisza.

Simon wyplątał się z własnego płaszcza i wstał. Strzepnął z siebie warstwę śniegu i pokręcił głową, by pozbyć się resztek snu. Znajdował się między ścianami parowu. Sądząc po licznych kawałkach gałęzi wplątanych w jego spodnie i koszulę, musiał spaść z konia. Obmacał całe ciało, lecz nie stwierdził innych obrażeń poza gojącą się już raną na plecach i śladami zębów na nodze; był tylko posiniaczony, podrapany i bardzo obolały. Chwyciwszy się wystającego korzenia, zaczął wspinaczkę po ścianie parowu. Nogi trzęsły się pod nim, gdy przeskakiwał krawędź zagłębienia. Jak okiem sięgnąć widać było tylko pokryte śniegiem drzewa. Ani śladu przyjaciół czy konia; w rzeczywistości nie było wokół niczego prócz niekończącego się białego lasu.

Simon próbował przypomnieć sobie, jak znalazł się w parowie, lecz jedyne, co pamiętał, to ostatnie, szalone godziny w klasztorze Skodi, przeraźliwy, lodowy głos, który nie dawał mu spokoju, i szaleńcza jazda w ciemności. Potem był już tylko łagodny i smutny głos, który od dawna przemawiał w jego snach.

Rozejrzał się w nadziei, że znajdzie choć swoje siodło, lecz bez powodzenia. Przy nodze uwiązaną miał pustą pochwę. Szukając dookoła, dostrzegł wreszcie nóż, który otrzymał od trolli. Leżał na dnie parowu. Przeklinając samego siebie, Simon zsunął się z powrotem po nóż. Ściskając go w dłoni, poczuł się trochę lepiej, lecz niewielka to była pociecha. Kiedy znowu znalazł się na górze i rozejrzał po niekończącym się, nieprzyjaznym i ośnieżonym lesie, uzmysłowił sobie, że ogarnia go uczucie opuszczenia i strachu, jakiego dawno już nie odczuwał. Stracił wszystko, wszystko! Cierń, Białą Strzałę i wszystkie niezwykłe przedmioty, które zdobył! Teraz wszystko przepadło! Nie było też jego przyjaciół!

– Binabiku! – zawołał. Echo jego głosu przemknęło między drzewami i zamarło. – Binabiku! Sludigu! Pomóżcie mi! – Dlaczego go opuścili? Dlaczego?

Zawołał przyjaciół raz jeszcze, a potem wołał bez ustanku, miotając się po leśnej polanie.

Gdy wreszcie ochrypł, nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, opadł na kamień i starał się powstrzymać łzy. Mężczyzna nie powinien płakać, tylko dlatego że się zgubił. Taka rzecz nie przystoi mężczyźnie. Świat stał się nagle niewyraźny i zamglony, ale to tylko okropne zimno, które szczypało w oczy. Mężczyzna nie powinien płakać, bez względu na to, jak okropne rzeczy mu się przytrafiły...

Wsunął dłonie do kieszeni płaszcza, by ogrzać je trochę, i poczuł pod palcami rzeźbione wypukłości lusterka Jirikiego. Wyjął je z kieszeni.

Odbiło się w nim szare niebo, jakby lusterko pełne było chmur. Trzymał przed sobą łuskę Większej Bestii.

– Jiriki – szepnął, chuchając na lusterko, jakby ciepło jego oddechu mogło ożywić przedmiot. – Potrzebuję pomocy! Pomóż mi! – Lecz jedyną twarzą, jaką ujrzał, była jego własna; twarz z jasną blizną i rzadką, rudawą brodą. – Pomóż mi!

Śnieg znowu zaczął padać.

19. Dzieci Żeglarza

MIRIAMELE WRACAŁA DO PRZYTOMNOŚCI powoli i z mozołem. Czuła się okropnie. Kołysanie podłogi bynajmniej nie pomagało pozbyć się huczenia w głowie. Przypomniało pewną kolację na zamku w Meremundzie w czasie święta Aedonmansy, kiedy miała dziewięć lat. Niefrasobliwy służący pozwolił jej wtedy wypić trzy kielichy wina. Oczywiście zostało wcześniej rozwodnione, lecz mimo to Miriamele mocno się rozchorowała i kompletnie zniszczyła odświętną sukienkę, obficie wymiotując.

Takie samo kołysanie, jakie teraz odczuwała, poprzedzało wtedy najgorszy moment. Miała wrażenie, że znajduje się w łodzi na środku oceanu. Ranek po tamtej pijackiej przygodzie spędziła w łóżku z okropnym bólem głowy, prawie tak samo dokuczliwym jak teraz. Co mogło doprowadzić ją do takiego stanu?

Otworzyła oczy. W pokoju było dość ciemno, a sufitowe belki wyglądały na ciężkie i surowe. Materac, na którym leżała, był bardzo niewygodny, a pokój nie przestawał się kołysać. Czyżby tak się upiła, że upadła i straciła przytomność? A może rozbiła niebezpiecznie głowę i teraz umiera...?

Cadrach!

Nagle coś jej zaświtało w głowie. Przypomniała sobie, że przecież nie piła ani... Czekała w gabinecie ojca Dinivana i... i...

I Cadrach ją uderzył. Powtarzał wciąż, że nie mogą dłużej czekać, a ona nalegała. A potem uderzył ją w głowę czymś ciężkim. Jej biedna głowa! I pomyśleć, że przez chwilę, przez głupią chwilę żałowała tego, że chciała go utopić!

Spróbowała wstać, lecz natychmiast musiała się zgiąć wpół. Sufit znajdował się tak nisko, że nie sposób było się wyprostować. A to kołysanie! Elysio, Matko Boża, to było gorsze od upicia się! Wydało jej się dziwne, że po uderzeniu w głowę wszystko aż tak wiruje i chwieje się. Czuła się zupełnie tak, jakby była na statku...

Była na statku, i to na statku z rozwiniętymi żaglami. Zrozumiała to nagle, sumując wskazówki, które dopiero teraz do niej dotarły: kołysanie się podłogi, delikatne, lecz wyraźnie słyszalne skrzypienie drewna i wreszcie rzadsze i słonawe morskie powietrze. Jak do tego doszło?

Trudno było cokolwiek zobaczyć w niemal całkowitej ciemności, lecz o tyle, o ile była w stanie, zorientowała się, że wokół znajduje się mnóstwo mniejszych i większych beczek. Kiedy rozglądała się w ciemności, do jej świadomości doszedł nowy odgłos, który dał się słyszeć od początku, tyle tylko, że dopiero teraz go rozpoznała.

Ktoś chrapał.

Poczuła nagle, że ogarnia ją mieszanina wściekłości i strachu. Jeśli to Cadrach, odnajdzie go i zadusi. Jeśli to nie jest Cadrach; miłosierny Aedonie, kto mógł wiedzieć, w jaki sposób znalazła się na tym statku albo co uczynił szalony mnich, że razem ich uwięzili? Jeśli da się złapać, to być może czeka ją wyrok śmierć, jaki otrzymują podróżni na gapę. Ale jeśli to był Cadrach; och, tak bardzo pragnęła chwycić go za tłusty kark!

Przykucnęła między dwoma beczułkami. Nagły ruch wywołał ukłucie przeszywającego bólu. Powoli, najciszej jak potrafiła, zaczęła pełznąć w kierunku, skąd dochodziło zgrzytliwe chrapanie. Wprawdzie ktoś, kto chrapał i mruczał w ciemności, z pewnością spał mocno, nie było jednak powodu podejmowania niepotrzebnego ryzyka.

Nagle nad jej głową rozległo się walenie. Miriamele przykucnęła z obawy przed samym dźwiękiem, jak i przed możliwością odkrycia jej. Kiedy chwilę później nic się nie wydarzyło, a dudnienie powtórzyło się w nieco łagodniejszej formie, uznała, że jest to coś normalnego na statku, i ruszyła między rzędami ciasno ustawionych beczek w kierunku swej chrapiącej ofiary.

W pobliżu śpiącego nie miała już żadnych wątpliwości; zbyt wiele razy słyszała ten pijacki bełkot.

Pochyliła się nad nim. Macając dłonią, odnalazła podtrzymywany ramieniem pusty dzban po winie, którym się upił. Wyczuła charakterystyczną dla Cadracha okrągłą twarz i kwaśny od wina oddech ulatujący z ust. Upewnienie się, że to Cadrach, wywołało w niej przypływ wściekłości. Tak łatwo byłoby rozwalić dzbanem tę nasiąkniętą winem czaszkę albo zepchnąć jedną z beczek i rozgnieść go jak robaka. Od pierwszego spotkania był dla niej jak plaga. Okradł ją i sprzedał wrogom, a potem jeszcze uderzył i siłą wywlókł z domu Bożego. Kimkolwiek była, kimkolwiek stał się jej ojciec, to jednak wciąż pozostawała księżniczką, potomkiem króla Prestera Johna i królowej Ebekah. Żaden pijany mnich nie ma prawa jej dotykać! Żaden mężczyzna! Nikt!

Gniew, który wzbierał w niej powoli niczym tłumiony płomień, wybuchł nagle i zgasł równie szybko. Po policzkach popłynęły łzy; poczuła w piersi ból powstrzymywanego płaczu.

Chrapanie ustało. Cadrach zamruczał coś i po chwili w ciemności tuż przed nią rozległ się zrzędliwy głos:

– Pani?

Na chwilę zamarła, ale zaraz wzięła głęboki oddech i zamierzyła się w niewidocznego mnicha. Uderzyła na oślep, lecz to wystarczyło. Jej następny cios dotarł do celu.

– Ty cholerny rzezimieszku! – syknęła i uderzyła jeszcze raz.

Cadrach wydał zduszony okrzyk bólu i odsunął się niezdarnie, tak że jej młócące ramiona uderzały teraz w wilgotną podłogę ładowni.

– Dla...dlaczego...? – mamrotał. – Pani! Uratowałem ci życie!

– Kłamca! – rzuciła i znowu wybuchnęła płaczem.

– Nie, księżniczko, to prawda. Przepraszam, że cię uderzyłem, ale nie miałem wyjścia.

– Przeklęty kłamca!

– Nie! – Teraz głos mnicha zabrzmiał zadziwiająco przekonująco. – I bądź cicho. Nie możemy dać się złapać. Musimy zostać tutaj; dopiero nocą spróbujemy się wymknąć.

Prychnęła ze złością i wytarła nos w rękaw.

– Tępak! – powiedziała. – Głupcze! Dokąd mamy się wymknąć? Przecież jesteśmy na morzu!

Na chwilę zapadła cisza.

– To niemożliwe – jęknął po chwili. – To niemożliwe.

– Nie czujesz tego podskakiwania w górę i w dół? Nie masz pojęcia o statkach, podły zdrajco. Zakotwiczony w porcie statek tak się nie kołysze. To jest falowanie morza. – Jej gniew powoli opadał, ustępując miejsca pustce i ogłupieniu. Próbowała go zatrzymać. – A teraz, jeśli nie powiesz mi

zaraz, jak się tutaj znaleźliśmy i jak się stąd wydostaniemy, pożałujesz, że kiedykolwiek opuściłeś Crannhyr, czy skąd tam naprawdę przybyłeś.

– Och, bogowie mego ludu – jęknął Cadrach. – Jestem głupcem. Musieli odcumować, kiedy spaliśmy.

– Kiedy ty spałeś, zamroczony winem. Ja leżałam nieprzytomna.

– Ach, pani, masz rację. Chciałbym, żeby tak nie było. Rzeczywiście się upiłem, żeby zapomnieć, księżniczko, a było co zapominać.

– Jeśli masz na myśli to, że mnie uderzyłeś, nie pozwolę ci o tym zapomnieć.

W ładowni znowu zapadła cisza. Kiedy mnich wreszcie przemówił, jego głos zabrzmiał dziwnie smutno.

– Miriamele, proszę. Księżniczko. Wielokrotnie wyrządzałem zło, ale tym razem zrobiłem to, co uważałem za najlepsze.

Miriamele parsknęła oburzona.

– Co uważałeś za najlepsze?! Żeby okazywać aż taką arogancję...!

– Pani, ojciec Dinivan nie żyje – wyrzucił z siebie szybko. – Podobnie jak i Ranessin, Lektor Matki Kościoła. Pryrates zabił ich w samym sercu Sancellan Aedonitis.

Chciała coś powiedzieć, lecz miała zbyt ściśnięte gardło.

– Oni nie...?

– Nie żyją, księżniczko. Do jutrzejszego ranka wieści rozejdą się po całym Osten Ard jak gnany wiatrem ogień.

Trudno jej było pojąć to, co usłyszała. Kochany ojciec Dinivan, który rumienił się jak chłopiec! I Lektor, który chciał wszystko naprawić. Teraz niczego się już nie da zrobić. Nigdy.

– Czy mówisz prawdę? – spytała ostro.

– Niestety, pani. Bardzo bym chciał, aby okazało się to kolejnym kłamstwem na mej długiej liście, ale tak nie jest. Pryrates sprawuje teraz władzę w Matce Kościele, to prawie pewne. Twoi jedyni przyjaciele w Nabbanie nie żyją i dlatego właśnie ukrywamy się w ładowni statku, który stał zakotwiczony w pobliżu Sancellan Aedonitis...

Mnich nie dokończył, lecz ton jego głosu przekonał Miriamele, że mówi prawdę. Wydawało się, że w ładowni statku pociemniało. Miriamele zapłakała, wylewając wszystkie łzy, jakie powstrzymywała od chwili opuszczenia domu; miała wrażenie, że czarny całun rozpaczy spowił cały świat.

– Tak więc, gdzie my jesteśmy? – spytała wreszcie. Założywszy dłonie na kolana, kołysała się wolno w przód i w tył, przeciwnie do kołysania się statku.

Z ciemności wydobył się smutny głos Cadracha.

– Nie wiem, pani. Jak już ci mówiłem, skryliśmy się na statku, który znajdował się w pobliżu Sancellan Aedonitis. Było ciemno.

Miriamele starała się opanować, choć wdzięczna była za to, że w ciemności nikt nie może widzieć jej czerwonej od łez twarzy.

– Ale na czyim statku? Jak on wyglądał? Jaki miał herb na żaglu?

– Nie znam się na statkach, księżniczko. Wiem tylko, że jest to duży statek. Żagle miał zwinięte, ale na kadłubie widziałem chyba wymalowanego drapieżnego ptaka, ale nie jestem pewien, gdyż lampy paliły się bardzo słabo.

– Jakiego ptaka? – dopytywała się.

– Chyba łowi ryby, czy coś takiego. Był czarno-złoty.

– Rybołów. – Miriamele usiadła wyprostowana, uderzając palcami o kolano. – To statek należący do domu Prevanów. Szkoda, że nie wiem, po czyjej są stronie, ale minęło tyle czasu od mojego pobytu tutaj. Może oni

popierają mego zmarłego wuja i zabiorą nas w bezpieczne miejsce. – Uśmiechnęła się gorzko, lecz Cadrach nie mógł tego dostrzec w ciemności. – Ale dokąd?

– Uwierz mi, pani – powiedział Cadrach energicznie. – W obecnej chwili najzimniejsze i najciemniejsze komnaty Burzowej Góry byłyby dla nas bezpieczniejsze od Sancellan Aedonitis. Mówiłem ci, Lektor Ranessin został zamordowany. Czy wyobrażasz sobie, jaką władzę musiał posiąść Pryrates, skoro nie obawiał się zabić Lektora w domu Bożym?

Dłoń Miriamele znieruchomiała.

– To dziwne, co powiedziałeś. Co ty wiesz o Burzowej Górze i jej komnatach?

Nagle niewygodny rozejm, jaki zapanował między nimi z powodu szoku i strachu, wydał się jej głupi. Kolejny wybuch gniewu Miriamele miał pokryć ten nagły strach.

Kim był ten mnich, który tyle wiedział i zachowywał się tak dziwnie? Oto znowu okazało się, że zaczyna mu ufać, uwięziona w ciemnej norze, do której on ją sprowadził.

– Zadałam ci pytanie.

– Moja pani – zaczął i zawahał się, szukając słów. – Istnieje wiele rzeczy...

Urwał nagle. W ładowni rozległo się skrzypienie, a w następnej chwili drzwi luku otworzyły się i ujrzeli płonącą pochodnię. Mrugając, rzucili się do tyłu między beczki, skuleni jak robaki odkryte w ziemi. Miriamele dostrzegła przez moment postać w płaszczu, która schodziła w dół. Przytuliła się do ściany, podciągnęła nogi i nakryła twarz kapturem.

Osoba, która zeszła na dół, poruszała się bardzo cicho i zwinnie manewrowała między beczkami. Miriamele wstrzymała oddech, gdy kroki zatrzymały się tuż przed nią. Nie oddychała tak długo, że wydawało jej się,

iż pękną jej płuca. Szum morza brzmiał w jej uszach jak ryk byka, lecz słyszała też dziwne, melodyjne buczenie, jakby bzyczenie ospałych os. W pewnym momencie buczenie ustało.

– Dlaczego się tutaj chowasz? – spytał głos, a chudy palec dotknął jej twarzy. Miriamele wypuściła z sykiem długo wstrzymywany oddech i otworzyła oczy. Głos zawołał: – Ach, jesteś tylko dzieckiem!

Postać, która się nad nią pochylała, miała bladą, złocistą skórę i ogromne, szeroko rozstawione, czarne oczy, wpatrujące się w Miriamele spod grzywki białych włosów. Osoba wydawała się stara i krucha; płaszcz z kapturem nie skrywał szczupłej postaci.

– Niska! – szepnęła zdumiona księżniczka i uniosła dłoń do ust.

– Czemu cię to dziwi? – Postać uniosła brwi w zdziwieniu. Jej skórę przecinały drobniutkie zmarszczki, lecz poruszała się bardzo zwinnie. – Czy znasz lepsze miejsce na spotkanie Niski niż morski statek? Nie, obca dziewczyno, pytanie powinno raczej brzmieć: co ty tutaj robisz? – Postać odwróciła się w stronę ładowni, gdzie ukrywał się mnich. – Pytanie dotyczy także i ciebie, człowieku. Dlaczego chowacie się w ładowni?

Nie uzyskawszy odpowiedzi od żadnego z pasażerów na gapę, Niska pokręciła głową.

– No cóż, muszę chyba wezwać pana...

– Nie, proszę – odezwała się Miriamele. – Cadrach, wychodź. Niski mają dobry słuch. – Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że zjedna im tym samym przychylność obcej istoty. – Gdybyśmy wiedzieli, że to ty, nie próbowalibyśmy się nawet chować. Przed Niską nie można się ukryć.

– Tak – przytaknęła im zadowolona. – A teraz powiedzcie mi, kim jesteście.

– Ja jestem Malachias... – Miriamele urwała, zdając sobie sprawę, że nie da się już ukryć jej płci. – To znaczy Marya. Tak się nazywam. A to jest

mój towarzysz, Cadrach. – Mnich chrząknął, gramoląc się spod żaglowego płótna.

– Dobrze. – Niska uśmiechnęła się zadowolona. – Ja nazywam się Gan Itai. A mój statek nosi nazwę *Chmura Eadne*. Odpędzam śpiewem kilpy.

Cadrach patrzył zdumiony.

– Odpędzasz kilpy? Co to znaczy?

– Mówiłeś, że dużo widziałeś w świecie – wtrąciła Miriamele. – Wszyscy wiedzą, że nie wypływa się statkiem w morze bez Niski, która śpiewem odstrasza kilpy. Wiesz chyba, jak wygląda kilpa? – Niska wyszczerzyła bezzębne dziąsła w uśmiechu. – Tak, jesteśmy dziećmi Żeglarza. Dawno temu powróciliśmy na morze i tam zostaliśmy. A teraz powiedzcie Gan Itai, co robicie na statku.

Miriamele spojrzała na Cadracha, lecz mnich wydawał się pogrążony w myślach. W świetle pochodni widać było kropelki potu na jego bladej twarzy. Nie wiadomo, czy ze strachu, czy z innego powodu, mnich zupełnie wytrzeźwiał. W jego oczach widać było niepokój, lecz wzrok miał bystry.

– Nie możemy wszystkiego powiedzieć – odpowiedziała Miriamele. – Nie zrobiliśmy niczego złego, ale nasze życie jest w niebezpieczeństwie, dlatego się ukrywamy.

Gan Itai zmrużyła oczy i wydęła usta zamyślona.

– Muszę powiedzieć panu, że jesteście tutaj – odezwała się wreszcie. – Przykro mi, jeśli to dla was coś złego, ale najważniejsza jest *Chmura Eadne*. Zawsze zgłasza się pasażerów na gapę. Bezpieczeństwo mojego statku jest najważniejsze.

– Nie chcemy wyrządzić krzywdy twemu statkowi – rzuciła zdesperowana Miriamele, lecz Niska już szła szybko w kierunku drabiny; jej zwinność kłóciła się z jej kruchością.

– Przykro mi, ale muszę zrobić to, co do mnie należy. Lud Ruyana żyje według zasad, których nigdy nie łamie. – Pokręciła głową i zniknęła w drzwiach ładowni. Zanim klapa luku opadła na swoje miejsce, ujrzeli kawałek porannego nieba.

Miriamele oparła się ciężko o beczkę.

– Elysio, ratuj nas. Co my zrobimy. Co będzie, jeśli ten statek należy do wrogów?

– Jeśli o mnie chodzi, to dla mnie same statki już są wrogami. – Cadrach wzruszył ramionami zrezygnowany. – Głupio postąpiłem, ukrywając nas tutaj. A co do odkrycia... – Machnął pulchną dłonią zrezygnowany. – Prędzej czy później musiało to nastąpić, skoro wypłynęliśmy w morze. Dalej twierdzę, że wszystko jest lepsze od pozostania w Sancellan Aedonitis. – Otarł pot z czoła. – Ach, jak cierpi mój żołądek. Jak to powiedział mędrzec: „Istnieją trzy rodzaje ludzi: żywi, martwi i ci na morzu”. – Wyraz obrzydzenia na jego twarzy przeszedł w zamyślenie. – Ale spotkaliśmy Niskę! Żywą Tinukeda’ya! Na kości Anaxosa, świat pełen jest starych legend!

Zanim Miriamele zdążyła spytać, co miał na myśli, usłyszeli odgłos ciężkich butów stąpających nad ich głowami, potem właz otworzył się z piskiem, a w nim ukazała się pochodnia i długie cienie.

MAEGWIN SIEDZIAŁA NA STAROŻYTNEJ, kruszącej się arenie, pośrodku tajemniczego, kamiennego miasta, ukrytego w sercu góry, naprzeciw czterech stworzeń, o których wspominały legendy z dawnych czasów. Przed nią znajdował się ogromny kamień, który mówił do niej, jakby był człowiekiem. A jednak wciąż czuła ogromne rozczarowanie.

– Sithowie – szepnęła cicho. – Myślałam, że będą tutaj Sithowie.

Eolair spojrzał na nią obojętnie i ponownie odwrócił się do wielkookiego karlaka.

– To dziwne. Skąd znasz imię Josui Bezrękiego?

Yis-fidri wyglądał na zmieszanego. Jego chuda twarz podskakiwała na końcu cienkiej szyi niczym kwiat słonecznika na długiej łodydze.

– Dlaczego szukacie Sithów? Czego chcecie od naszych dawnych panów?

Maegwin westchnęła.

– No cóż, pomyliliśmy się – odezwał się szybko Eolair. – Lady Maegwin myślała, że Sithowie pomogą nam, tak jak zrobili to w przeszłości. Hernystirczycy zostali napadnięci.

– A ten Josua Bezręki, czy on jest najeźdźcą, czy też jednym z dzieci Herna, tak jak wy? – Yis-fidri i jego towarzysze pochylili się skupieni.

– Josua Bezręki nie jest Hernystirczykiem, ale nie jest też najeźdźcą. Jest jednym z wodzów walczących w wielkiej wojnie, jaka szaleje na górze. – Eolair mówił wolno i wyraźnie. – Nasz lud został zaatakowany przez wrogów Josui. Dlatego można powiedzieć, że walczy po naszej stronie, jeśli jeszcze żyje.

– Josua nie żyje – powiedziała obojętnie Maegwin. Masa otaczających ich kamieni i ziemi przytłaczała ją. Po co ta cała paplanina? Te pająkowate istoty nie były Sithami. Nie było to miasto pełne powiewających proporców i rozbrzmiewające muzyką, jakie widziała w snach. Jej plany zawiodły.

– Nie jestem tego pewien, pani – odparł ze spokojem Eolair. – Kiedy po raz ostatni byłem w polu, słyszałem pogłoski o tym, że żyje; pogłoski, którym można było wierzyć. – Ponownie odwrócił się do cierpliwych karlaków. – Proszę, powiedzcie nam, gdzie słyszeliście o Josui. Nie jesteśmy waszymi wrogami.

Yis-fidri nie dawał się zbić z tropu.

– A czy ten Josua Bezręki walczy po stronie naszych dawnych panów, czy przeciwko nim?

Eolair zastanowił się, zanim odpowiedział.

– My, śmiertelnicy, niczego nie wiemy o Sithach i ich walkach. Josua pewnie też niczego o nich nie wie.

Yis-fidri wskazał na migocący głaz ustawiony na środku areny.

– Ale przecież Pierwsza Babka Zida'ya – Sithów – mówiła do was poprzez Czerep! – W jego głosie zabrzmiała nuta zadowolenia, jakby przyłapał Eolaira na jawnym kłamstwie.

– Nie wiemy, czyj to był głos. Jesteśmy tutaj obcy; i dla was, i dla Czerepu.

– Ach. – Yis-fidri i jego towarzysze nachylili się ku sobie i zaczęli mówić coś szybko do siebie w swoim języku; ich słowa płynęły jak dźwięki melodii. Wreszcie wyprostowali się. – Zaufamy wam. My wierzymy, że z was czcigodni ludzie – powiedział Yis-fidri. – Nawet gdybyśmy nie ufali, i tak widzieliście już, gdzie mieszkają ostatnie karlaki. Dopóki z wami nie skończymy, możemy tylko mieć nadzieję, że nie wydacie nas naszym dawnym panom. – Roześmiał się smutno, spoglądając nerwowo po cieniach. – A my nie należymy do tych, którzy zmuszają innych do zrobienia czegoś. Jesteśmy słabi, starzy... – Karlak starał się uspokoić. – Niczego już nie uratujemy, zatrzymując wiedzę dla siebie. Dlatego wszyscy nasi ludzie mogą powrócić na to miejsce, zwane Miejscem Świadka.

Yis-hadra, ta, którą Yis-fidri nazwał swoją żoną, uniosła dłoń. Skinęła w stronę ciemności nad wielką misą i zawołała śpiewnie w języku karlaków.

Natychmiast ukazały się światła i dziwne istoty zaczęły płynąć bezgłośnie między ławkami areny; było ich ze czterdzieści. Każda z nich trzymała w dłoni pałeczkę świecącą różowym blaskiem. Ogromne głowy

i poważne oczy upodabniały ich do wynaturzonych dzieci, groteskowych nieco, lecz nie przerażających.

W przeciwieństwie do Yis-fidri i jego towarzyszy nowo przybyli najwyraźniej bali się zbliżyć do Maegwin i Eolaira. Minęli ich i rozsiedli się na kilkudziesięciu spośród setek ławek areny z twarzami zwróconymi w kierunku migocącego Czerepu i z dłońmi zaciśniętymi na kryształowych pałeczkach. Mroczna misa przypominała teraz umierającą galaktykę rozświetloną słabym światłem ostatnich gwiazd.

– Było im zimno – szepnął Yis-fidri. – Są szczęśliwi, że mogą wrócić do ciepła.

Nagle Maegwin podskoczyła olśniona. Dotarło to do niej w jednej chwili: miasto było jakby zbudowane z ciszy; pod skorupą świata nie słychać było śpiewu ptaków ani szelestu liści poruszanych wiatrem.

Eolair przyglądał się przez chwilę poważnym oczom karlaków, zanim ponownie zwrócił się do Yis-fidri’ego.

– Ale wydawało mi się, że wy boicie się tego miejsca.

Karlak popatrzył na niego zakłopotany.

– Tak, boimy się głosów naszych dawnych panów. Ale Czerep jest ciepły, a domy i ulice wielkiego Mezutu’a są zimne.

Hrabia Nad Mullach wziął głęboki oddech.

– Proszę, jeśli wierzycie, że nie chcemy wyrządzić wam krzywdy, powiedzcie, skąd znacie imię Josui.

– Od naszego Świadka, Czerepu, jak już mówiliśmy. Sithowie wezwali nas do miejsca Świadka i pytali o tego Josuę i o Wielkie Miecze. Czerep milczał od dawna, lecz ostatnio znowu zaczął do nas przemawiać, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

– Przemawiać? – spytał Eolair. – Tak jak do nas? Czym jest Czerep?

– Stary, jest stary. Jeden z najstarszych Świadków. – W głosie Yis-fidri’ego znowu zabrzmiała nuta niepokoju. – Siedzące w pobliżu karlaki odwróciły głowy, a na ich wąskich twarzach pojawił się niepokój. – Długo milczał. Nikt do nas nie mówił.

– Co to znaczy? – Hrabia spojrzał na Maegwin, by się przekonać, czy i ona podziela jego zdziwienie, lecz księżniczka odwróciła wzrok. Czerep pulsował delikatnym, mlecznym światłem. – Chyba nie rozumiem – odezwał się Eolair. – Czym jest Świadek?

Karlak długo się zastanawiał, szukając słów, by wyjaśnić coś, co nigdy nie wymagało wyjaśnienia.

– W dawnych czasach – przemówił wreszcie – my i inni urodzeni w Ogrodzie mówiliśmy przez różne przedmioty, które mogły być Świadkami: kamienie, łuski, stawy czy stosy pogrzebowe. Poprzez te i inne rzeczy, jak na przykład wielka Harfa Nakkigi, świat urodzonych w Ogrodzie był powiązany więzami myśli i słowa. Ale my, Tinukeda’ya, zapomnieliśmy wiele jeszcze przed upadkiem potężnego Asu’a i oddzieliliśmy się od tych, którzy tam mieszkali... którym kiedyś służyliśmy.

– Asu’a? – powtórzył Eolair. – Słyszałem gdzieś tę nazwę...

Słuchająca niezbyt uważnie Maegwin przyglądała się Czerepowi, którego zmieniające się kolory migały niczym pstrokate rybki pod kryształową skorupą. Siedzące dookoła kamienia karlaki także obserwowały Czerep, lecz ich twarze były ponure, jakby głód blasku onieśmielał je.

– Kiedy padł Asu’a – ciągnął Yis-fidri – rzadko mówiący zamilkli. Zamilkł Mówiący Ogień w Hibehikayo, a także Czerep tutaj, w Mezutu’a. Widzisz, karlaki zatraciły sztukę używania ich. Dlatego, gdy Zida’ya

przestali do nas przemawiać, my, Tinukeda’ya, nie mogliśmy dłużej używać Świadków, nawet do porozumiewania się między sobą.

– Jak to się stało, że zapomnieliście sztuki używania tych przedmiotów? – zastanawiał się Eolair. – Jak można coś takiego zatracić, choćby w tak małej grupie, w jakiej żyjecie teraz? – Mówiąc, wskazał na siedzących wokół kamiennej misy. – Jesteście nieśmiertelni, czy nie tak?

Żona Yis-fidri’ego odrzuciła nagle głowę do tyłu i wydała jęk, zaskakując Maegwin i Eolaira. Sho-vennae i Imai-an, pozostali towarzysze Yis-fidri’ego, przyłączyli się do niej. Ich lament przerodził się w dziwną, smutną pieśń, która wzniosła się pod sufit jaskini i odbiła echem w ciemności. Pozostałe karlaki odwróciły się w ich stronę i patrzyły, kołysząc wolno głowami; przypominały pole szarobiałych mleczy.

Yis-fidri przymknął oczy i podparł brodę drżącymi dłońmi. Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy zawodzenie ustało.

– Nie, dzieci Herna – powiedział wolno. – Nie jesteśmy nieśmiertelni. Prawdą jest, że żyjemy o wiele dłużej niż wy, śmiertelnicy, o ile się nie zmieniliście. Ale w przeciwieństwie do Sida’ya i Hikeda’ya – naszych dawnych panów, Sithów i Nornów – nie żyjemy nieskończenie długo, nie jesteśmy jak góry. Nie, śmierć przychodzi po nas tak samo, jak i po was; przychodzi jak złodziej albo rozbójnik. – Wyraz gniewu pojawił się na jego twarzy. – Może u naszych dawnych panów płynęła trochę inna krew jeszcze w Ogrodzie, z którego pochodzą wszyscy pierworodni; może dlatego żyjemy krócej. A może jest tak z powodu tajemnicy, jakiej przed nami strzeżono, przed nami, którzy mieli być tylko sługami i wasalami. – Zwrócił się do swej żony i czule dotknął jej policzka. Yis-hadra położyła głowę na jego ramieniu; jej szyja poruszała się z gracją łabędzia. – Niektórzy spośród nas umarli, inni pozostali, lecz utraciliśmy Sztukę Świadków.

Eolair pokręcił głową niedowierzająco.

– Słucham twych słów uważnie, lecz zdaje się, że nie zrozumiałem wszystkiego, co powiedziałeś. Głos, który przemawiał do nas, ten, który nazwałeś Babką Sithów, powiedział, że poszukuje się Wielkich Mieczy. Co ma z tym wspólnego książę Josua?

Yis-fidri uniósł dłoń.

– Chodźcie, pójdziemy w lepsze miejsce do rozmowy. Obawiam się, że niektórzy spośród naszych ludzi boją się was. Czasy, gdy Sudhoda'ya przebywali wśród nas, są odleglejsze niż życie niektórych spośród nas. – Wstał, skrzypiąc, i wyprostował wrzecionowate ramiona, przypominając szarańczę, która wspina się po łodydze zboża. – Dokończymy naszą rozmowę w Sali Wiedzy. – Spojrzał przepraszająco na Eolaira i Maegwin. – A poza tym jestem zmęczony i głodny. – Pokiwał głową. – Dawno już tyle nie mówiłem.

Imai-an i Sho-vennae pozostali na arenie, być może po to, by wyjaśnić pozostałym karlakom, kim byli śmiertelnicy. Maegwin widziała, jak karlaki zebrały się na środku ogromnej misy w pobliżu migającego Czerepu. Jeszcze godzinę temu pełna była nadziei i oczekiwań, lecz teraz z zadowoleniem opuszczała arenę. Jej ciekawość przerodziła się w niepokój. Coś takiego jak Miejsce Świadka powinno znajdować się pod gołym niebem, na którym świecą gwiazdy, jak areny w Nabbanie czy wielki teatr w Erchesterze, a nie chować się pod martwym, bazaltowym sklepieniem. W każdym razie nie było tutaj pomocy dla Hernystirczyków.

Yis-fidri i Yis-hadra prowadzili ich opuszczonymi korytarzami, przyświecając sobie kryształowymi pałeczkami, które w mroku wyglądały jak świetliki; szli wąskimi ulicami, szerokimi, rozbrzmiewającymi echem placami albo delikatnymi mostami, pod którymi była tylko mroczna pustka.

Lampy Maegwin i Eolaira wypaliły się już i zgasły. Jedynym światłem był różowy blask pałeczek karlaków. Kontury Mezutu'a wydawały się w tym świetle łagodniejsze, krawędzie nie tak ostre, jakby zaokrąglone deszczem i wiatrem, choć Maegwin wiedziała, że tutaj, głęboko pod ziemią nic takiego nie mogło trapić miejskich murów. Jej myśli nie skupiały się już na wspaniałych widokach, lecz rozpamiętywały porażkę. Tutaj nie było Sithów. Jeśli ci spośród nich, którzy jeszcze żyli, wzywali pomocy istot tak słabych jak karlaki, znaczyło to, że znaleźli się w jeszcze gorszym położeniu niż lud Maegwin.

Tak więc skończyły się nadzieje na pomoc, przynajmniej na pomoc ziemską. Nie ma ratunku dla jej ludzi, chyba że wymyśli coś innego. Dlaczego bogowie zesłali Maegwin takie sny? Czy tylko po to, by ją jeszcze bardziej pogrążyć? Czy rzeczywiście Brynioch, Mircha i Rhynn odwrócili się od nich? Wielu jej ludzi, ukrytych teraz w jaskiniach na górze, bało się walczyć z armią Skalego, jakby uważali, że bogowie nie chcą już sprzyjać plemieniu Llutha i walka z wrogiem byłaby obrazą mieszkańców niebios. Czy sen o Sithach i spotkanie z bojaźliwymi karlakami miały okazać się tylko lekcją pokory? Czy bogowie sprowadzili ją tutaj, by pokazać jej, że Hernystirczycy także wkrótce odejdą, podobnie jak dumni Sithowie czy zręczne karlaki?

Maegwin wyprostowała się. Nie wolno jej było poddawać się takim myślom. Była przecież córką Llutha... królewską córką. Coś wymyśli. Popełniła błąd, polegając na istotach omylnych, takich jak ludzie czy Sithowie. Bogowie ześlą jej pomoc. Na pewno dadzą jej – muszą dać – jakiś znak, plan, nawet w tak rozpaczliwej sytuacji.

Usłyszawszy jej westchnienie, Eolair spojrzał na Maegwin uważnie.

– Pani? Nic ci nie jest?

Machnęła tylko dłonią.

– Kiedyś całe to miasto było w pełni oświetlone – przemówił nagle Yis-fidri. – Tak, serce góry skrzyło się wtedy.

– Kto tutaj mieszkał? – spytał hrabia.

– Nasz lud. Tinukeda’ya. Ale większość z nich odeszła. Niewielu tutaj pozostało. Mieszkaliśmy też w mniejszym mieście Hikehikayo, w północnych górach. – Na jego twarzy pojawił się grymas. – Ale stamtąd też nas wypędzili.

– Wypędzili? Jak?

Yis-fidri pokręcił głową i przyłożył dłoń do swej długiej brody.

– Nie byłoby dobrze mówić o tym. Nie można sprowadzać zła na niewinne dzieci Herna. Nie obawiajcie się. Ci, z naszych ludzi, którzy tam żyli, uciekli, pozostawiając zło za sobą.

Jego żona powiedziała coś w ich śpiewnym języku.

– Prawda – odparł Yis-fidri z żalem. Zamrugał szybko. – Nasi ludzie zostawili za sobą tamte góry. Mamy nadzieję, że na dobre zostawili też zło.

Eolair spojrzał na Maegwin tak, że nie mogła tego zignorować. Nie słuchała większości rozmowy, zajęta myślami o problemach swego ludu. Uśmiechnęła się smutno w odpowiedzi, dając tym samym hrabiemu do zrozumienia, że zauważa jego wysiłki i docenia je, lecz zaraz znowu stała się jakby nieobecna.

Eolair ponownie zwrócił się do karlaka.

– Czy możesz powiedzieć mi, co to za zło?

Yis-fidri popatrzył na niego zamyślony.

– Nie – powiedział wreszcie. – Nie mam prawa mówić ci aż tyle, choć jesteście szlachetnymi ludźmi. Może usłyszysz więcej, kiedy to przemyślę. Na razie musisz się zadowolić tym, co usłyszałeś – powiedział i szedł dalej w milczeniu.

Posuwali się przez starożytne miasto w ciszy mąconej tylko odgłosem ich kroków, a światełka pałeczek jaśniały spokojnym blaskiem.

Sala Wiedzy okazała się sklepioną jaskinią niewiele mniejszą od Miejsca Świadka. Umiejscowiona pośród licznych wież, otoczona była kamienną fosą, która miała przypominać miażdżące fale morskie. Kopuła także była misternie rzeźbiona na wzór morskiej muszli, a wykonano ją z jasnego kamienia, który nie świecił tak jak kryształowe pałeczki, lecz również wydawał się emanować słabym blaskiem.

– Ocean Nieskończony i Wieczny – powiedział Yis-fidri, wskazując na kamienne fale. – Nasz dom rodzinny znajdował się na wyspie, na morzu, które wszystko otacza. My, Tinukeda’ya, zbudowaliśmy statki, które poniosły przez wodę wszystkich urodzonych w Ogrodzie. Ruyan Ve, największy z nas, poprowadził statki i przywiódł nas na ten ląd, ratując od zagłady. – W oczach karlaka pojawiła się iskra ożywienia, a w jego głosie zabrzmiała triumfalna nuta. Potrząsał energicznie głową, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów. – Bez nas nie byłoby statków. Wszyscy – panowie i słudzy – odeszliby w Nieistnienie. – Po chwili zamrugał i rozejrzał się dookoła; jego ożywienie minęło. – Chodźcie, ludzie Herna – powiedział. – Spieszmy do Banipha-sha-ze, Sali Wiedzy.

Jego żona skinęła na nich i ruszyła dookoła nieruchomego oceanu w drugi koniec jaskini, która znajdowała się na skraju fosy. Kręty pomost prowadził ich w dół.

– Tutaj mieszkamy z mężem – powiedziała Yis-hadra. Nie posługiwała się językiem hernystirskim tak dobrze jak jej małżonek. – Opiekujemy się tym miejscem.

Wnętrze Sali Wiedzy pozostawało w mroku, lecz kiedy Yis-hadra znalazła się w środku, przesunęła dłońmi po ścianach. Tam, gdzie ich dotknęła, kamienie zaczęły świecić żółtym światłem.

Maegwin ujrzała teraz wyraźnie profil Eolaira, który przypominał ducha ze snów. Zmęczenie całego dnia zaczynało dawać znać o sobie; nogi miała coraz słabsze, myśli się plątały. Zastanawiała się, jak to się stało, że Eolair pozwolił jej zrobić coś tak szalonego. Powinien był... co? Ogłuszyć? Nieść ją wbrew jej woli na samą górę? Znienawidziłaby go, gdyby to zrobił. Przesunęła dłonią po potarganych włosach. Dlaczego wszystko to musiało się wydarzyć; dlaczego ich małe, głupie życie nie mogło trwać dalej w Taig, z jej ojcem i bratem, z zimą na swoim miejscu...

– Maegwin! – Hrabia chwycił ją za łokieć. – Prawie uderzyłaś głową w drzwi.

Wyszarpnęła ramię i schyliła się w przejściu.

– Widziałam je.

Coraz większa część pokoju stawała się widoczna, w miarę jak Yis-hadra dotykała kolejnych kamieni. Pomieszczenie było okrągłe, a w jego ścianach co kilka kroków widniały niskie drzwi. Wykonano je z ciosanego kamienia i zawieszono na zawiasach z matowego brązu. Ich powierzchnię pokrywały litery pisma runicznego, jakiego Maegwin jeszcze nie widziała, nawet na wielkich drzwiach prowadzących do Mezutu’a.

– Usiądźcie, proszę – powiedział Yis-fidri, wskazując na rząd granitowych stołków, które jak grzyby wyrastały z ziemi obok niskiego stołu. – Przygotujemy jedzenie? Czy zjecie z nami?

Eolair spojrzał na Maegwin, lecz ona udawała, że patrzy w inną stronę. Była bardzo zmęczona i rozżalona. Nie znaleźli Sithów, a te pająkowate istoty nie mogły im pomóc w walce z takimi przeciwnikami jak Skali czy Król Elias. Nie było nadziei na pomoc, tutaj, na ziemi.

– To bardzo miło z twojej strony, Yis-fidri – powiedział hrabia – Z przyjemnością zasiądziemy z wami do stołu.

W podłodze było palenisko, w którym zapalono węgielkami. Widząc, z jaką troską obchodził się z nimi Yis-fidri, można było przypuszczać, że rozpalano je tylko przy wyjątkowych okazjach.

Meagwin mimo woli zwróciła uwagę na to, z jaką gracją poruszają się karlaki, znosząc kolejne potrawy. Wprawdzie chodziły dość pokracznie na sztywnych nogach, lecz pojawiały się i znikały w drzwiach, a także omijały przeszkody z dziwną, taneczną płynnością; a kiedy rozmawiały, brzmiało to tak, jakby pieściły się słowami swego melodyjnego języka.

Zdała sobie sprawę, że patrzy na parę starożytnych kochanków, słabych, lecz tak przywykłych do siebie, że stali się kończynami jednego ciała. Kiedy już przyzwyczaiła się do widoku tych dziwnych istot o sowich oczach, uznała, że byli tacy właśnie, na jakich wyglądali: małżeństwo, które przeszło przez smutek i strach, lecz którego szczęście przetrwa wieki.

– Proszę – przemówił Yis-fidri, nalewając coś z kamiennego dzbana do pucharów. – Pijcie.

– Co to jest? – spytała cicho Maegwin. Powąchała płyn, lecz nie znalazła w nim niczego nadzwyczajnego.

– Woda, potomku Herna – odparł zdziwiony Yis-fidri. – Czy wy już nie pijecie wody?

– Pijemy – odparła Maegwin z uśmiechem i podniosła puchar do ust. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni piła ze swego bukłaka; z pewnością minęło już wiele godzin. Piła dużymi łykami; woda była zimna i słodka jak miód. Nie potrafiła jednak dokładnie określić jej smaku. Gdyby spróbowała określić jej kolor, byłby to błękit wczesnego poranka.

– Wspaniała! – Pozwoliła Yis-fidri’emu napełnić swój puchar ponownie.

Karlaki przyniosły tacę pełną kawałków białego, nieco lśniącego grzyba i miski wypełnione czymś, co Maegwin ze zgrozą rozpoznała jako rodzaj

robaka o wielu łapach. Zawinięto je w liście i pieczono na węglach. Uczucie przyjemności, jakie ogarnęło Maegwin po wypiciu wody, natychmiast zniknęło.

Eolair dzielnie skosztował kilku kawałków grzyba – nie przypadkiem uważano go za najlepszego posła w Osten Ard – a potem przeżuł ostentacyjnie i przełknął jednego z robaków; później już tylko przekładał kolejne porcje, udając, że je. Maegwin wystarczyło popatrzeć na jego minę, by umocnić się w swym przekonaniu, że nie należy tykać jedzenia.

– Powiedz mi, Yis-fidri, dlaczego wasz dom nazywa się Komnatą Wiedzy – poprosił hrabia Nad Mullach. Pozwolił, by kilka kawałków upadło mu z dłoni między fałdy jego płaszcza.

– Pokażemy wam, kiedy skończymy jeść – odpowiedziała z dumą Yis-hadra.

– Czy zatem mogę spytać cię o inne rzeczy, jeśli nie będzie to nieuprzejme? Mamy mało czasu. – Eolair wzruszył ramionami. – Muszę odprowadzić tę damę do naszych ludzi, którzy są w jaskiniach na górze.

Maegwin powstrzymała złośliwą uwagę. Rzeczywiście, odprowadzić damę!

– Pytaj, potomku Herna.

– Wspominałeś śmiertelnika, który nosi imię Josua Bezręki. A głos z kamienia mówił coś o Wielkich Mieczach. Co to za miecze i co mają one wspólnego z Josuą?

Yis-fidri przez chwilę zdrapywał długim palcem resztkę grzyba z brody.

– Muszę zacząć: „Jeszcze zanim się zaczęło”, jak mawiamy. – Popatrzył na Eolaira, a potem na Meagwin. – W dawnych czasach wykuliśmy miecz dla króla z Północy. Lecz król nie dotrzymał umowy. Kiedy przyszedł czas zapłaty, on zaczął się targować, a potem zabił naszego przywódcę. Nazywał

się Elvrit, był pierwszym panem Rimmersgardu. Miecz, który wykuły dla niego karlaki, nazwał Minneyar.

– Słyszałem tę legendę – powiedział Eolair.

Yis-fidris powstrzymał go uniesioną dłonią.

– Ale nie znasz jej całej, hrabio Eolairze, jeśli dobrze pamiętam twe imię. Przeklęliśmy miecz i pilnie go obserwowaliśmy, choć był daleko od nas. Wszystko, co wykujemy, pozostaje w naszych sercach i nie ginie nam z oczu. Minneyar, choć był potężnym orężem, przyniósł Elvritowi i jego plemieniu wiele smutku.

Yis-fidri napił się wody. Jego żona przypatrywała mu się z czułością, położywszy dłoń na jego dłoni.

– Mówiliśmy ci, że nasi Świadkowie trwali w milczeniu przez wieki. Aż wreszcie, mniej więcej rok temu, Czerep przemówił do nas, czy raczej coś przemówiło do nas poprzez Czerep, tak jak za dawnych czasów. Nie wiedzieliśmy, kto lub co do nas mówiło; było to coś, co przemawiało przez Mówiący Ogień w naszym dawnym domu, Hikehikayo, co mówiło do nas łagodnie i przekonująco. Dziwne nam się wydało, że oto nagle przemawiają Czerep i Mówiący Ogień jak w dawnych czasach, lecz pamiętaliśmy przecież, jakie to zło wypędziło naszych ziomków z ich domu – nie musicie niczego o nim wiedzieć, gdyż strach by was ogarnął – dlatego nie wierzyliśmy słowom, które usłyszeliśmy. Choć minęło wiele czasu od chwili, gdy po raz ostatni używaliśmy Świadków, wciąż niektórzy z nas pamiętali, co się czuje, kiedy przemawia Zida’ya. Teraz to nie było to samo. Cokolwiek stało przed Mówiącym Ogniem na Północy, wydawało się bardziej przypominać zimny oddech Nieistnienia niż żywą istotę, choć przemawiało tak łagodnie.

Yis-hadra jęknęła cicho. Maegwin, która mimo woli słuchała opowieści karlaka, zadrżała.

– To, co mówiło – ciągnął Yis-fidri – chciało dowiedzieć się czegoś o mieczu zwanym Minneyarem. Wiedziało, że my go wykuliśmy, a także to, iż posiadamy więź z naszymi wyrobami, jak ktoś, kto straci dłoń, a potem mimo wszystko ją czuje, jakby jej wcale nie brakowało. I tak to coś przemawiało do nas poprzez kolejnych Świadków, wypytywało, czy rzeczywiście król Fingil zabrał Minneyar do Asu'a, by podbić wielki zamek, i czy miecz jest tam jeszcze.

– Asu'a – szepnął Eolair. – Oczywiście, przecież to Hayholt.

– Tak nazywają go śmiertelnicy – przytaknął mu Yis-fidri. – Przestraszyliśmy się tego dziwnego, przerażającego głosu. Musicie pamiętać, że jesteśmy wyrzutkami dłużej, niż wy możecie sobie wyobrazić. Jasne było, że jakaś nowa siła powstała w świecie, siła, która posiadła umiejętność używania dawnej Sztuki. Ale my nie chcemy, by nasi dawni panowie odnaleźli nas i sprowadzili do siebie, dlatego początkowo nie odpowiadaliśmy. – Karlak podparł się na łatanych skórą łokciach. – Aż niedawno temu – kilka zmian twarzy Kobiety-księżyca, jak wy to widzicie na niebie – Czerep znowu przemówił. Tym razem mówił głosem najstarszych z Sithów, głosem, który i wy słyszeliście. Ona także pytała nas o Minneyar. Jej także nie odpowiedzieliśmy.

– Z obawy, że zrobią z was służących.

– Tak, potomku Herna. Nie zrozumiesz tego strachu, jeśli nigdy nie uciekałeś przed jarzmem. Nasi panowie są nieśmiertelni, my nie. Oni zachowują dawną wiedzę, my tracimy ją, odchodzimy. – Yis-fidri kołysał się na swym stołku w przód i w tył, a jego stare, skórzane ubranie skrzypiało jak świerszcz. – Lecz my wiedzieliśmy o czymś, czego nie wiedział żaden z pytających – mówił dalej, a w jego oczach pojawił się blask, jakiego nie można było zobaczyć na powierzchni ziemi. – Widzicie, nasi panowie myślą, że Minneyar nigdy nie opuścił Asu'a. I to prawda.

Lecz ten, który odnalazł miecz na zamku, a którego wy nazywacie Królem Johnem Presterem, kazał go przekuć na inny miecz. Nazwał go Białym Gwoździem i podróżował z nim po całym świecie.

Hrabia Nad Mullach zagwizdał zdumiony.

– A więc Biały Gwóźdź w rzeczywistości był dawnym Biczem Północy, jak nazywano Minneyar Fingila! Dziwne! Ciekawe, jakie jeszcze tajemnice zabrał Prester John do swego grobu u brzegu Kynslagh? – Zamyślił się na chwilę. – Ale wciąż nie rozumiem...

– Cierpliwości. – Karlak uśmiechnął się chłodno. – Ach, niecierpliwe dzieci, nigdy nie potrafilibyście opanować opornego kamienia. Cierpliwości. – Wziął głęboki oddech. – Władczyni Zida'ya powiedziała nam, że miecz, jeden z Wielkich Mieczy, ma ogromne znaczenie dla tego, co się obecnie dzieje, a także dla losu śmiertelnika zwanego Josuą Bezrękim.

– Książę Josua Bezręki.

– Tak. Lecz my uważamy, że to podstęp, gdyż powiedziała także, iż miecz ten może okazać się bardzo przydatny w walce z tym samym złem, które wypędziło naszych ludzi z Hikehikayo, oraz że to samo zło może wkrótce zagrozić wszystkim, którzy chodzą po ziemi lub w jej wnętrzu. Jak to możliwe, by los śmiertelnika mógł mieć znaczenie dla sporów między nieśmiertelnymi? – Głos karlaka zadrżał. – To pewnie kolejna pułapka, żeby nas przestraszyć. Chce pewnie, żebyśmy zwrócili się do niej o pomoc i jeszcze raz wpadli w jej szpony. Nie słyszałeś, jak mówiła: „Przyjdźcie do nas do Jao e-Tinukai'i". Czy ktoś wabił kiedyś swoją ofiarę w sposób bardziej oczywisty niż teraz?

– Tak więc – powiedział Eolair – miecz może zdecydować o tym, czy Josua przeżyje?

Yis-fidri spojrzał na niego z niepokojem.

– Tak mówiła. Ale jak ona może twierdzić, że jego los jest związany z mieczem, skoro nawet nie wie, że Minneyar został przekuty? Powiedziała, że tylko my o tym wiemy i że być może więcej istnień – a może całe istnienie – związanych jest z Minneyarem i pozostałymi dwoma mieczami.

Yis-fidri wstał z wyrazem strachu na twarzy.

– I powiem wam jeszcze rzecz straszną – dodał ze smutkiem. – Choć trudno uwierzyć naszym dawnym panom, obawiamy się, że mówią prawdę. Może rzeczywiście świat stanął w obliczu czegoś strasznego. Jeśli tak, to karlaki mogły się do tego przyczynić.

Eolair rozejrzał się dookoła, próbując zrozumieć sens tego, co przed chwilą usłyszał.

– Jak to możliwe? Historia Białego Gwoździa pozostaje tajemnicą, której przecież nikomu nie zdradziliście. Więc jaki zły los mogliście sprowadzić na świat?

Karlak wyglądał na bardzo zgnębionego.

– Nie powiedziałem wam wszystkiego. Czerep wezwał nas kiedyś; zdarzyło się to przed waszym przybyciem. Usłyszeliśmy groźnie brzmiący głos obcego z Hikehikayo, który znowu pytał o przeklęty miecz Minneyar. – Karlak opadł ciężko na stołek. – Tym razem w Miejscu Świadka był tylko jeden spośród nas; był nim młody Sho-vennae. Był sam i głos bardzo go przestraszył. Groził mu, obiecywał i znowu groził. – Yis-fidri uderzył dłonią w stół. – Musicie zrozumieć, on się bał! My wszyscy się boimy! Nie jesteśmy tacy jak kiedyś. – Spuścił wzrok jakby zawstydzony, a potem spojrzał na swą żonę. Wydawało się, że jej wzrok dodał mu odwagi. – Wreszcie strach wziął górę i Sho-vennae powiedział obcemu o tym, że Minneyar został przekuty na Biały Gwóźdź. – Yis-fidri pokręcił głową. – Biedny Sho-vennae. Nie powinniśmy byli zostawiać go samego przy Czerepie. Niech Ogród nam to wybaczy. Widzicie, ludzie

Herna, może i nasi dawni panowie okłamali nas, ale i tak obawiamy się, że nic dobrego nie wyszło z ciemności Hikehikayo. Jeśli Pierwsza Babka Sithów mówiła prawdę, kto wie, jaką moc przekazaliśmy złemu?

Maegwin prawie nie słuchała opowieści karlaka. Gubiła wątek, z trudem chwytając fragmenty; wciąż rozmyślała znużona o swym niepowodzeniu. Źle pojęła wolę bogów. Potrzebowała samotności, czasu na zastanowienie się.

Hrabia Eolair siedział zamyślony; w pomieszczeniu zapadła cisza. Wreszcie Yis-fidri wstał.

– Posililiście się – powiedział. – Pokażemy wam teraz nasze skarby i będziecie mogli wrócić na jasną powierzchnię ziemi.

Eolair i Maegwin ruszyli w milczeniu za karlakami długim, opadającym korytarzem, aż wreszcie znaleźli się w komnacie, której ściany pokrywał labirynt rzeźb.

– W tej komnacie, podobnie jak i w niższych, znajdują się mapy – oświadczył Yis-fidri. – Karlaki kopią od dawna. Tutaj przedstawiony jest każdy tunel, każde zagłębienie, jakie wyryto w kamieniu. Oto historia naszego ludu, a my oboje opiekujemy się tym. – Uniósł dłoń z dumą. – Mapy jasnego Kementari, labirynt Jhina-T’senei, tunele pod górami, które Rimmersmeni nazywają Vestivegg, a także korytarze ciągnące się nad naszymi głowami – wszystko jest tutaj. Katakumby Zae-y’miritha dawno już zostały pogrzebane, lecz tutaj żyją!

Eolair rozglądał się dookoła. Wnętrze komnaty przypominało kamień o wielu ściankach; każda ze ścianek, a nawet każde jej zagłębienie czy wybrzuszenie zakrywała mapa wyryta w żywym kamieniu.

– I macie mapy tuneli, które biegną tutaj, przez góry Grianspog? – spytał powoli.

– Oczywiście, hrabio Eolairze – odparł Yis-fidri. Karlak ożywił się bardzo, znalazłszy się wśród map. – Mamy te i wiele innych.

– Gdybyśmy je posiadali, byłyby nam bardzo pomocne w walce.

Maegwin spojrzała na niego poirytowana.

– Co, mamy taszczyć ze sobą górę kamieni? Albo schodzić tutaj za każdym razem, kiedy nie będziemy wiedzieli, które wybrać przejście?

– Nie – powiedział Eolair. – Ale moglibyśmy je skopiować, tak jak robią to aedoniccy mnisi. – Jego wzrok się ożywił. – Z pewnością istnieją tunele, o których nie mieliśmy pojęcia! Moglibyśmy zdziałać cuda, atakując obóz Skalego. Widzisz, Maegwin, jak bardzo pomogłaś swoim ludziom; twoja pomoc jest cenniejsza od włóczni czy mieczy! – Zwrócił się do Yis-fidriego. – Czy pozwoliłbyś nam skopiować te mapy?

Karlak popatrzył strapiony na żonę. Kiedy rozmawiali ze sobą śpiewnie, Maegwin obserwowała Eolaira. Hrabia chodził od ściany do ściany, przekrzywiając głowę w zależności od kierunku miniaturowej rzeźby. Czuła, że wzbiera w niej gniew. Czy jemu się wydawało, że jest dla niej uprzejmy, chwaląc ją za to „odkrycie”? Szukała pomocy legendarnych Sithów, a nie zbieraniny strachów na wróble z kamiennymi mapami tuneli. Tuneli, które ona pierwsza ponownie odkryła. Jak śmie ją pocieszać!

Czuła coraz większy ciężar samotności, gniewu i zagubienia. Lecz nagle w plątaninie jej myśli jedna błysnęła.

Eolair musi odejść.

Dopóki był przy niej, czuła się skrępowana, nie potrafiła zrozumieć, czego chcieli od niej bogowie. Przy nim czuła się jak dziecko, rozbeczane, kapryśne dziecko, które nie potrafi wyprowadzić swych ludzi z niebezpieczeństwa.

Yis-fidri odwrócił się w ich stronę.

– Moja żona i ja musimy porozmawiać z naszymi ludźmi, zanim podejmiemy decyzję. Należy się zastanowić, gdyż jest to coś nowego.

– Naturalnie – odparł Eolair. – Mówił spokojnym głosem, lecz Maegwin wyczuwała w nim z trudem powstrzymywany entuzjazm. – Naturalnie. Zrobicie to, co uważacie dla was za najlepsze. Odejdziemy teraz i wrócimy tutaj za dzień lub dwa czy też wtedy, kiedy będziecie chcieli. Ale powiedzcie swoim ludziom, że może to uratować potomków Herna, którym przecież karlaki pomagały w przeszłości. Hernystirczycy zawsze żywili do was szacunek. – Maegwin pomyślała o czymś innym. – Czy pod Hayholt także są tunele?

Yis-hadra skinęła głową.

– Tak. Asu’a, jak my nazywamy zamek, wznosi się wysoko w górę, ale i siedzi głęboko w ziemi. Teraz jego kości spoczywają pod zamkiem śmiertelnych królów, lecz poniżej zamku wciąż żyją nasze tunele.

– I macie tutaj ich mapy?

– Oczywiście – odparła z dumą żona karlaka.

Maegwin skinęła głową zadowolona i zwróciła się do Eolaira.

– Widzisz – powiedziała. – Oto odpowiedź, jakiej szukałam. Staje przed nami zadanie, które musimy podjąć, jeśli nie chcemy, by nasz lud nazwał nas zdrajcami. – Po tych słowach zamilkła.

Eolair złapał przynętę.

– O czym mówisz, księżniczko?

– Musisz odnaleźć Josuę, hrabio – powiedziała szybko. Z zadowoleniem słuchała własnego głosu, pełnego spokojnego autorytetu. – Słyszałeś, co powiedział przy stole Yis-fidri. Sprawa miecza jest niezwykle ważna. Uważam, że należy powiadomić o tym księcia Josuę, gdyż może mu to pomóc w walce z Eliasem. Oboje wiemy, że dopóki Wielki Król będzie miał przewagę, dopóty nie uwolnimy się od Skalego Ostronosego.

Odszukaj Josuę i opowiedz mu historię miecza. Pamiętaj, że uratuje to nasz lud.

W rzeczywistości Maegwin nie pamiętała nawet z grubsza opowieści karlaka – przez cały czas trapiły ją jej własne mroczne myśli – zapamiętała tylko, że była mowa o Josui i mieczu jego ojca.

Eolair patrzył na nią zdumiony.

– Iść do Josui? Pani, co ty mówisz? Nie mamy pojęcia, gdzie on teraz jest, jeśli w ogóle żyje. Chcesz, żebym zostawił naszych ludzi i udał się z tak wątpliwą misją?

– Sam zapewniałeś mnie, że on żyje – odparła chłodno. – Jeszcze niedawno pouczałeś mnie, jakie mamy szanse na przetrwanie. Czy mam więc wątpić w to, że on żyje?

Opanowanie Eolaira nie pozwoliło odgadnąć, co myśli. Maegwin wzięła głęboki oddech, zanim zaczęła mówić dalej.

– W każdym razie, hrabio, chyba nie doceniasz wagi słów, jakie od nich usłyszeliśmy. Owszem, mapy naszych tuneli są ważne, ale możemy też posłać Josui mapy twierdzy Eliasa i jej tajemnych przejść, co pozwoli pokonać Wielkiego Króla. – Dopiero usłyszawszy własne słowa, Maegwin pomyślała, że to całkiem dobry plan. – Wiesz, że Skali nigdy nie przestanie nas nękać, dopóki za jego plecami będzie stał Elias.

Eolair pokręcił głową.

– Za dużo pytań, pani, za dużo. Oczywiście jest wiele racji w tym, co mówisz. Musimy się nad tym zastanowić. Skopiowanie map zajmie wiele dni. Tak, musimy to przemyśleć, naradzić się z Criobhanem i pozostałymi rycerzami.

Maegwin pragnęła, by Eolair połknął haczyk natychmiast. Obawiała się, że mając więcej czasu, hrabia znajdzie inne rozwiązanie i pomiesza jej

szyki. Przy nim miała wrażenie, że jest bezwolną lalką. Jak to możliwe, że ma na nią tak wielki wpływ? Spojrzała na niego chłodno.

– Nie podoba mi się twój opór, hrabio. Wydaje mi się, że marnujesz swój czas, włócząc się za mną po podziemiach. Lepiej go wykorzystasz, wykonując zadanie, które może pomóc nam wydostać się z kłopotów. – Maegwin uśmiechnęła się drwiąco. Dumna była z tego, jak dobrze ukrywa swe prawdziwe uczucia, lecz z drugiej strony własne okrucieństwo – choć wydało jej się konieczne – przeraziło ją.

„Co się ze mną dzieje? – zastanawiała się, obserwując uważnie reakcję Eolaira. – Czy to jest dyplomacja? – Przez chwilę poczuła paniczny strach. – Czy ja zwariowałam? Nie, lepiej, żeby odszedł. Na stado Bagdy, jeśli tak wyglądają rządy monarchów...” Jednak głośno powiedziała tylko:

– Przypominam ci, hrabio, że składałeś przysięgę wierności domowi mego ojca. Nie będę cię powstrzymywała, gdybyś zechciał odmówić wykonania pierwszego polecenia, jakie wydała ci córka Llutha – bogowie cię osądzą. – Eolair chciał coś powiedzieć, lecz Maegwin powstrzymała go uniesioną dłonią; bardzo brudną dłonią, jak zauważyła. – Hrabio Eolairze, nie będę się z tobą sprzeczała. Zrobisz to, o co cię proszę, albo nie. To wszystko.

Eolair zmrużył oczy, jakby ujrzał jej prawdziwe oblicze po raz pierwszy i nie aprobował tego, co zobaczył. Jego pogardliwe spojrzenie było dla niej ciosem w samo serce, ale było za późno na odwrót. Hrabia długo milczał, zanim odpowiedział.

– Dobrze, pani – przemówił wreszcie spokojnie. – Zrobię, jak każesz. Nie wiem, skąd ten nagły kaprys. Kaprys czy raczej szaleństwo! Gdybyś spytała mnie o radę i potraktowała jak przyjaciela rodziny, a nie tylko wasala, z radością spełniłbym twą wolę. A tak masz moje posłuszeństwo

i nic poza tym. Myślałaś, że zachowujesz się jak królowa, a tymczasem okazałaś się smarkulą.

– Bądź cicho – przerwała mu stanowczo.

Karlaki przyglądały się im z zaciekawieniem, jakby oglądały dziwną i niezrozumiałą pantomimę. Światła Komnaty Wiedzy przygasły na moment i cienie w tym labiryncie kamiennych ścian stały się nagle monstrualnie wielkie. Chwilę później znowu zaświeciły mocniej, wypełniając swym blaskiem ciemne zakamarki, ale cień, jaki padł na serce Maegwin, pozostał.

ZAŁOGA *CHMURY EADNE* nie potraktowała Cadracha i Miriamele specjalnie brutalnie, lecz i nie rozczulano się nad nimi. Widok tak niespodziewanej pary pasażerów na gapę ubawił żeglarzy. Kiedy Miriamele i Cadrach znaleźli się na pokładzie, marynarze zaczęli z nich szydzić, zastanawiając się głośno nad grzechami mnichów, którzy wybierają na kompanów młode dziewczyny, oraz nad cnotą takich dziewcząt, które pozwalały im zabierać się w podróż.

Miriamele spoglądała na nich hardo, niewzruszona ich grubiańskimi uwagami. Choć żeglarze znani byli z tego, że nosili brody, wielu spośród członków załogi *Chmury* nie miało nawet bokobrodów; Miriamele była przekonana, że więcej widziała i doświadczyła w ciągu roku niż niejeden z nich przez całe życie.

Jednak od razu zorientowała się, że *Chmura Eadne* nie jest jakimś tam ociężałym statkiem kupieckim, lecz zwinnym okrętem, który zręcznie manewruje wzdłuż linii brzegowej. Wychowana w Meremundzie otoczonym morzem i rzeką, Miriamele potrafiła ocenić jakość statku po kołysaniu pokładu oraz po odgłosach żagli łopoczących na wietrze. Jeszcze godzinę temu była zupełnie zrozpaczona. Teraz jej serce zabiło mocniej,

oddychała pełną piersią. Zniosłaby nawet chłostę kapitana. Żyła i była na pełnym morzu! Na porannym niebie ukazało się słońce, gwiazda nadziei.

Spojrzawszy na proporzec powiewający na głównym maszcie, upewniła się, że Cadrach miał rację. Ujrzała brunatno-żółtego rybołowa Prevana. Szkoda, że nie miała więcej czasu, by porozmawiać z Dinivanem o sytuacji na nabbańskim dworze; wiedziałaby, po czyjej stronie stoi dom Prevana i inni...

Odwróciła się do Cadracha, by przypomnieć mu o zachowaniu tajemnicy, lecz w tym momencie pilnujący jej marynarz, który nawet przy dość porywistym wietrze cuchnął solonym mięsem, zaciągnął ją do drewnianych schodów.

Stojący na nadbudówce mężczyzna odwrócił się i spojrzał w dół. Miriamele wstrzymała oddech ze zdumienia. Nie był to ktoś, kogo znała, a i on nie wydawał się jej rozpoznawać. Lecz bez wątpienia mężczyzna był bardzo, bardzo przystojny. Ubrany w czarne spodnie, kurtkę i buty – wszystko lamowane złotem – w przepięknej pelerynie ze złotogłowia powiewającej nad jego ramionami na wietrze, który wichrzył jego złociste włosy. Ten dziwny mężczyzna przypominał boga słońca z dawnych legend.

– Na kolana, prostaki – syknął jeden z marynarzy.

Cadrach klęknął natychmiast. Zdumiona Miriamele wolniej wykonała polecenie. Nie potrafiła oderwać wzroku od twarzy złocistego mężczyzny.

– Oto oni, lordzie – powiedział marynarz. – Ci, których znalazła Niska. Jeden z nich to dziewczyna.

– Widzę – odpowiedział oschle mężczyzna. – Pozostańcie na kolanach – zwrócił się do Miriamele i Cadracha. – Wy możecie odejść. Trzeba rozwinąć wszystkie żagle, jeśli mamy dotrzeć do Grenammanu przed nocą.

– Tak, lordzie.

Kiedy marynarze odeszli pospiesznie, ten, którego nazywali lordem, odwrócił się do krzepkiego brodacza, prawdopodobnie kapitana, by dokończyć rozmowę. Potem szlachcic zerknął na więźniów i odszedł sprężystym krokiem. Miriamele wydało się, że zatrzymał na niej swój wzrok nieco dłużej, niż nakazywałaby zwykła ciekawość, i poczuła dziwne mrowienie, trochę ze strachu, a trochę z podniecenia; odwróciła się i patrzyła, jak odchodzi. Za nim rzuciła się para służących, przytrzymująca targaną wiatrem pelerynę, by o nic nie zahaczyła. Złotowłosy mężczyzna odwrócił się i uchwyciwszy spojrzenie Miriamele, uśmiechnął się.

Krzepki kapitan spoglądał na Cadracha i Miriamele z nieukrywanym obrzydzeniem.

– Hrabia mówi, że po śniadaniu zdecyduje, co z wami zrobić – warknął i splunął z wiatrem. – Kobiety i mnisi. Czy może być większy pech, i to w takich czasach? Wyrzuciłbym was za burtę, gdyby nie to, że hrabia jest na statku.

– Kim... kim jest właściciel statku? – spytała cicho Miriamele.

– Nie poznajesz godła, flądro? Nie poznałaś milorda, kiedy stał przed twoim nosem? Aspitis Preves, hrabia Driny i Eadne, jest właścicielem tego statku. Módlcie się lepiej, żeby was polubił, bo inaczej pójdziecie spać z kilpami. – Jeszcze raz splunął szarym sokiem z cytryla.

I tak już blady Cadrach, słysząc słowa kapitana, zbladł jeszcze bardziej, lecz Miriamele prawie nie zwróciła na nie uwagi. Wciąż myślała o śmiałym spojrzeniu i złocistych włosach Aspitisa i zastanawiała się, jak to się stało, że w tak niebezpiecznej sytuacji ogarnęła ją nieoczekiwana fascynacja.

20. Tysiąc kroków

SAM WIDZISZ. – BINABIK WSKAZAŁ na Qantaqę zrezygnowany. Wilczyca siedziała z najeżoną sierścią i uszami płasko położonymi; płatki śniegu skrzyły się na jej szarym, gęstym futrze. – Na Oczy Qinkipy! – zaklął troll. – Wierz mi, zmusiłbym ją, gdybym potrafił. Wróci do klasztoru, ale tylko ze mną. – Znowu odwrócił się do Qantaqi. – Qantaqa! Simon *mosoq! Ummu!* – Pokręcił głową. – Nie pójdzie.

– Co jej się stało? – Sludig kopnął ziemię, wyrzucając w górę chmurę śniegu. – Z każdą godziną ślady stają się coraz mniej widoczne. A jeśli chłopak jest ranny, to z każdą godziną jest bliższy śmierci.

– Na Córę Gór, Rimmersmanie – zawołał Binabik. – Każda godzina każdego dnia przybliża nas wszystkich do śmierci. – Zamrugał zaczerwienionymi oczami. – Wiem, że musimy się spieszyć. Czy myślisz, że mnie Simon nie obchodzi? Dlaczego zatem kręcimy się dookoła od samego rana? Gdybym tylko mógł zamienić się z Qantaqą na nosy, z pewnością bym to zrobił! Ale wydaje mi się, że ona bardzo się przestraszyła tych okropieństw w klasztorze Skodi. Z ledwością mogę ją nakłonić, by szła ze mną.

Qantaqa znowu się zaparła. Pochyliła ogromny łeb i zaskomlała, lecz wzmagający się wiatr niemal zagłuszył jej protest. Sludig uderzył się po

nogach dłońmi w grubych rękawicach.

– A niech mnie, trollu, wiem! Ale my potrzebujemy jej nosa! Nie wiemy nawet, w którym kierunku chłopak poszedł ani dlaczego nie odpowiada na nasze wołanie. Krzyczymy od wielu godzin!

Binabik pokręcił smutno głową.

– To mnie najbardziej martwi. Nie uszliśmy daleko, kiedy znaleźliśmy jego konia; może pół mili. Potem przeszliśmy drugie tyle, ale wciąż ani śladu po Simonie.

Rimmersman usiłował przewiercić zmrużonymi oczami zacinający śnieg.

– Chodź. Jeśli spadł z konia, będzie pewnie wracał po własnych śladach... jeżeli są jeszcze widoczne. Pociągnijmy wilczycę jeszcze kawałek w kierunku klasztoru. Może gdy poczuje chłopca, pójdzie jego śladem.

Jego koń ruszył przed siebie, a za nim konie obciążone jukami. Binabik z grymasem na twarzy zagwizdał na Qantaqę. Wilczyca podeszła niechętnie.

– Nie podoba mi się burza, która nadchodzi – zawołał troll. Jadący niedaleko przed nim Rimmersman był już zaledwie niewyraźnym cieniem. – Nie podoba mi się. Jest zwiastunem ciemności, którą widzieliśmy gromadzącą się na Północy, w pobliżu Burzowej Góry. Szybko się zbliża.

– Wiem – zawołał przez ramię Sludig. – Wkrótce będziemy musieli zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo, bez względu na to, czy znajdziemy chłopca, czy nie.

Binabik skinął głową i trzykrotnie uderzył się energicznie w pierś. Jeśli bogowie trolli nie patrzyli na nich, nikt nie dostrzegł jego gestu udręki.

Klasztor, który tak niedawno był sceną przerażających wydarzeń, pogrążył się w ciszy, przypominając przysypany śniegiem grób. Padający

wciąż śnieg nie pozwalał dokładnie zobaczyć, co stało się ze Skodi i jej dziećmi, lecz nie zakrył wszystkiego. Qantaqa nie chciała podejść do murów bliżej niż na odległość lotu strzały. Binabik i Sludig sami musieli wejść na dziedziniec, by się przekonać, że żaden z nieruchomych, ośnieżonych pagórków nie jest Simonem. Zaraz potem opuścili mury klasztoru.

Tysiąc kroków od klasztoru zatrzymali się i stali w milczeniu, popijając z bukłaka kangkang i nasłuchując żałosnego wycia wiatru. Qantaqa, szczęśliwa, że oddalają się od okropnego miejsca, węsząc, uniosła nos i ułożyła się u stóp Binabika.

– Święty Aedonie, trollu – odezwał się Sludig. – Co to za czarownica ta Skodi? Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Czy ona była jednym z tych, którzy wierzą w Króla Burz?

– Tacy jak ona robią wszystko, czego chce Król Burz, choć czasem o tym nie wiedzą. Posiadała pewną moc, ale chciała zostać Mocą, a to, jak mi się zdaje, coś zupełnie innego. Pragnęła zostać małą królową Nornów ze swoją grupką wyznawców. W czasach wojen i niepokojów powstają takie dziwne nowe siły. Stary porządek ulega zmianie i pojawiają się tacy jak Skodi, spragnieni władzy.

– Bogu dziękuję, że udało się wytępić całe gniazdo, do ostatniego szczeniaka. – Sludig zadrżał i zmarszczył brwi. – Nic dobrego nie wyszłoby z tego, gdyby któreś z nich przeżyło.

Binabik popatrzył na niego uważnie.

– Niewinnych można urobić, jak się chce, tak jak te dzieci, ale przy odrobinie szczęścia może dałoby się je odmienić. Nie wierzę w zło nie do odkupienia.

– Doprawdy? – Rimmersman roześmiał się głośno. – A co powiesz o twoim Królu Burz? Co dobrego mógłbyś powiedzieć o takim piekielnym

nasieniu?

– Kiedyś kochał swój lud ponad swoje życie – odparł spokojnie Binabik.

Słońce zadziwiająco szybko przesunęło się po zachmurzonym niebie.

Kiedy zatrzymali się po raz kolejny, zapadał zmierzch. Jeszcze dwa razy przemierzyli odcinek między klasztorem i miejscem w lesie, do którego zdecydowali się szukać Simona. Krzyczeli i szukali w zaroślach, lecz bezowocnie. Simona nie znaleźli, za to nadciągała ciemność i burza.

– Na Krew Aedona – rzucił Sludig, poklepując siwą klacz Simona, którą przywiązali do jucznych koni. – Dobrze, że nie straciliśmy tego przeklętego miecza. – Wskazał na Cierń, lecz nie dotknął go. W miejscu, gdzie miecz wystawał spod szmat, płatki śniegu obsuwały się, pozostawiając ciemną plamę pośród przykrywającej wszystko bieli. – Chociaż nie ułatwi nam to podjęcia decyzji. Gdyby chłopiec zginął wraz z mieczem, moglibyśmy zrobić tylko jedno: szukać.

Binabik spojrzał na niego gniewnie.

– O jakiej decyzji mówisz?

– Trollu, nie możemy rzucić wszystkiego dla chłopaka. Dobry Pan wie, jak bardzo go lubię, ale mamy też zobowiązanie wobec księcia Josui. Ty i inni, którzy czytali księgi, wciąż powtarzacie, że Josua potrzebuje tego miecza albo wszyscy zginiemy. Czy możemy zapomnieć o tym i szukać w nieskończoność zagubionego chłopca? Okazalibyśmy się większymi głupcami niż chłopiec, który się zgubił.

– Simon nie jest głupcem. – Binabik położył głowę na karku Qantaqi, chowając twarz w jej sierści. – Mam już dosyć łamania przysiąg. Obiecałem, że się nim zaopiekuję. – Troll nie potrafił ukryć napięcia w swoim głosie pomimo maskującego futra wilczycy.

– Czasem musimy podejmować trudne decyzje, trollu.

Binabik podniósł głowę. Spojrzenie jego brązowych, łagodnych zwykle oczu było teraz nieugięte.

– Nie mów mi o decyzjach ani o trudnościach. Weź miecz. Przysięgałem na grobie mojego mistrza, że zaopiekuję się Simonem. Dla mnie nie ma nic ważniejszego.

– A zatem jesteś skończonym głupcem – warknął Sludig. – Zostało nas już tylko dwóch, a świat dookoła pogrąża się bez reszty w zimie. Czy wyślesz mnie samego z mieczem, który może uratować tak samo mój lud, jak i twój? Czy zrobisz to tylko dlatego, by dotrzymać obietnicy danej zmarłemu mistrzowi?

Binabik wyprostował się. W jego oczach zalśniły łzy złości.

– Nie waż się pouczać mnie o moich przysięgach – syknął. – Nie będę słuchał rad głupiego Croohoka!

Sludig uniósł pięść, jakby chciał uderzyć trolla. Wpatrywał się przez jakiś czas w swą drżącą dłoń, po czym odwrócił się i ruszył między drzewa. Binabik nawet nie spojrzał za nim, tylko odwrócił się do Qantaqi i zaczął gładzić jej futro. Łza spłynęła mu po policzku i zniknęła w futrzanym kapturze.

Zapadła cisza; mijały minuty.

– Trollu?

Sludig stał na skraju polanki, tuż za końmi. Binabik nie podniósł głowy.

– Posłuchaj – ciągnął Sludig. – Musisz mnie wysłuchać. – Rimmersman nie ruszał się z miejsca, jak niespodziewany gość, który czeka, aż go zaproszą. – Kiedyś, krótko po naszym pierwszym spotkaniu, powiedziałem ci, że nie masz pojęcia, co to jest honor. Chciałem wtedy iść i zabić Storfota, tana Vestvennby, za to, że obraził księcia Isgrimnura. Ty odradziłeś mi to. Powiedziałeś, że mój pan, Isgrimnur, dał mi zadanie do

wykonania i że zrobienie czegoś, co je uniemożliwia, byłoby oznaką głupoty, a nie odwagi czy honoru.

Troll wciąż gładził sierść Qantaqi zamyślony.

– Binabiku, ty wiesz, co to jest honor. Ja też wiem. Trudny wybór przed nami, ale nie powinno być tak, żeby wspólnicy walczyli ze sobą i obrzucali się zniewagami jak kamieniami.

Troll opuścił dłonie na kolana i długo milczał z opuszczoną na pierś głową.

– Sam sobie przyniosłem wstyd, Sludigu – odezwał się wreszcie. – Słusznie przypominasz mi moje własne słowa. Proszę cię o wybaczenie, chociaż na nie nie zasłużyłem. – Odwrócił się z nieszczęśliwą miną do Sludiga, który ruszył ku niemu.

– Nie możemy szukać Simona w nieskończoność – powiedział cicho Rimmersman. – Jest to prawda, która nie ma nic wspólnego z miłością czy przyjaźnią.

– Nie mylisz się – powiedział Binabik. Pokręcił wolno głową. – Nie mylisz. – Wstał i z wyciągniętą dłonią ruszył w stronę brodatego żołnierza. – Jeśli potrafisz wybaczyć moją głupotę...

– Nie ma nic do wybaczania.

Dłoń Binabika zniknęła w szerokiej dłoni Sludiga. Na twarzy trolla pojawił się znużony uśmiech.

– Proszę tylko o jedną przysługę. Rozpalmy tutaj ognisko na dzisiejszą noc i na jutrzejszą. Jeśli nie znajdziemy jego śladów, pojutrze rano wyruszymy w kierunku Kamienia Pożegnania. Gdybyśmy tego nie zrobili, miałbym uczucie, że opuściłem go, nie poszukawszy dobrze.

Sludig skinął głową z powagą.

– Masz rację. A teraz pozbierajmy drewno. Zaraz zapadnie noc.

– Zimny wiatr wcale nie ustaje – powiedział Binabik. – Smutna wiadomość dla wszystkich, którzy pozostają pod gołym niebem.

BRAT HENGFISK, PODCZASZY KRÓLA, wskazał na drzwi. Jak zwykle na jego twarzy pojawił się ohydny grymas, jakby z trudem opanowywał jakiś monstrualny śmiech. Gdy tylko hrabia Utanyeat minął drzwi, milczący Hengfisk natychmiast pomknął schodami w dół, pozostawiając hrabiego w dzwonnicy. Guthwulf potrzebował kilku chwil, by złapać oddech. Ostatnio nie sypiał dobrze, a na wieżę prowadziły bardzo długie schody.

– Wzywałeś mnie, Wasza Wysokość? – spytał.

Król stał pochylony nad parapetem jednego z łukowatych okien; jego gruby płaszcz lśnił w blasku pochodni jak zielonkawy odwłok muchy. Było dopiero popołudnie, lecz purpura i szarość nieba przypominały raczej wieczór. Patrząc na zgarbionego Eliasa, Guthwulf pomyślał, że Król przypomina sępa. U jego boku wisiał ciężki, szary miecz; na którego widok hrabia zadrżał mimowolnie.

– Burza jest tuż-tuż – powiedział Elias, nie odwracając się. – Byłeś kiedyś tak wysoko na Wieży Zielonego Anioła?

Guthwulf starał się opanować drżenie głosu.

– Byłem w sali frontowej i może raz w pokojach kapelana, ale nigdy tak wysoko.

– To dziwne miejsce – powiedział Król ze wzrokiem utkwionym gdzieś za północno-zachodnim oknem. – To miejsce, Wieża Zielonego Anioła, było kiedyś centrum największego królestwa, jakie Osten Ard kiedykolwiek widziało. Wiedziałeś o tym, Guthwulfie? – Elias odwrócił się od okna. Oczy miał jasne, lecz twarz pociągłą i wychudzoną, jakby żelazna korona, którą nosił na skroni była za ciasna.

– Masz na myśli królestwo twego ojca, Wasza Wysokość? – spytał hrabia zdumiony i przestraszony.

Poczuł strach już w chwili, gdy przybył posłaniec od Króla. Ten człowiek nie był już jego dawnym przyjacielem. Chwilami wydawał się taki sam jak dawniej, lecz Guthwulf wiedział, że to tylko złudzenie; Elias, którego znał, prawdopodobnie już nie istniał. Szubienice na placu Bitewnym oraz szpice Bramy Nearulagh pełne były pozostałości po śmiertelnikach, którzy w taki czy inny sposób rozgniewali nowego Eliasa. Dlatego Guthwulf wiedział, że trzeba siedzieć cicho i robić, co każą – przynajmniej na razie.

– Nie, idioto. Na miłość boską, moje władza rozciąga się nad o wiele większym królestwem niż mojego ojca. Król Lluth wciąż deptał mu po piętach. Teraz nie ma innych królów poza mną. – Jego chwilowy gniew minął i Elias zatoczył łuk ramieniem. – Nie, Guthwulfie, na tym świecie istnieją rzeczy, o jakich ci się nawet nie śniło. Tutaj była niegdyś stolica potężnego imperium; większego od Rimmersgardu Fingila Wielkiego, starszego od Nabbanu z czasów imperatorów i potężniejszego w wiedzę niż zagubiona Khandia. – Mówił ściszonym głosem, tak że jego słowa niemal zagłuszało wycie wiatru. – Ale z jego pomocą, uczynię ten zamek stolicą jeszcze większego królestwa.

– Z czyją pomocą, Wasza Wysokość? – Guthwulf nie mógł powstrzymać się przed zadaniem tego pytania. Poczuł falę zimnej zazdrości. – Z pomocą Pryratesa?

Elias przez chwilę patrzył na niego dziwnie, a potem wybuchnął śmiechem.

– Pryratesa? Guthwulfie, rozbrajasz mnie swoją dziecięcą szczerością!

Hrabia przygryzł wargę, powstrzymując złośliwą – i być może fatalną w skutkach – uwagę. Stał, zaciskając pokryte bliznami pięści.

– Taki jestem, mój Królu – powiedział tylko.

Król znowu odwrócił się do okna. Na jego głową drzemały nieruchomo olbrzymie kiście dzwonów. Gdzieś w oddali rozległ się głuchy grzmot.

– Ale duchowny rzeczywiście ma przede mną tajemnice – powiedział Elias. – On wie, że moja władza rośnie, w miarę jak rozumiem coraz więcej, więc próbuje ukryć przede mną pewne rzeczy. Widzisz to, Guthwulfie? – Wskazał poza okno. – Ach, na Ognie Piekielne, człowieku, jak możesz stamtąd cokolwiek zobaczyć – mruknął Król. – Chodź bliżej! Boisz się, że zamarzniesz od wiatru? – Roześmiał się dziwnie.

Guthwulf niechętnie podszedł do okna. Zastanawiał się, jakim człowiekiem był Elias, zanim zaczął popadać w obłęd: porywczy, owszem, ale nie zmienny jak wiosenny wiatr; dowcipny, ale lubił rubaszny, żołnierski dowcip, a nie szydercze, niezrozumiałe kpiny. Guthwulf stwierdził, że coraz trudniej mu przypomnieć sobie tamtego Eliasa, jego przyjaciela. Jak na ironię wydawało się, że im bardziej Elias popadał w szaleństwo, tym bardziej przypominał swego brata, Josuę.

– Tam. – Król wskazał ponad mokrymi dachami Hayholt w kierunku szarej Wieży Hjeldina wystającej z północnej ściany muru obronnego. – Przeznaczyłem ją dla Pryratesa, by mógł prowadzić swoje badania, a on nikogo do niej nie wpuszcza, nawet swego Króla. Mówi, że to dla mego bezpieczeństwa. – Elias patrzył gniewnie na wieżę, równie szarą jak niebo, z górnymi oknami z grubego, czerwonego szkła. – Alchemik robi się coraz bardziej dumny.

– Wypędź go, Eliasie, albo zniszcz! – rzucił Guthwulf bez zastanowienia, lecz postanowił mówić dalej. – Wiesz, że zawsze jestem z tobą szczery, jak przyjaciel. Wiesz też, że nie jestem tchórzem, który zacznie beczeć, gdy poleje się trochę krwi lub zachrzęszczą czyjeś kości. Ale ten człowiek jest jak jadowity wąż, lecz jeszcze bardziej niebezpieczny.

Wbije ci nóż w plecy. Powiedz tylko słowo, a zabiję go. – Skończywszy, poczuł, że serce wali mu, jakby za chwilę miał wyruszyć do boju.

Król patrzył na niego przez chwilę, a potem roześmiał się.

– Ach, oto Wilk, jakiego znałem. Nie, nie, stary przyjacielu, już ci kiedyś mówiłem: Pryrates jest mi potrzebny. Użyję wszystkich i wszystkiego, co będzie potrzebne, by wykonać zadanie, przed jakim stoję. Nie wbije mi noża w plecy, gdyż on mnie także potrzebuje. Alchemik wykorzystuje mnie, a przynajmniej tak mu się wydaje.

W oddali rozległ się kolejny grzmot, kiedy Elias odsunął się od okna i położył dłoń na ramieniu Guthwulfa. Nawet przez gruby rękaw hrabia czuł bijący od Eliasa chłód.

– Ale ja nie chcę, żeby Pryrates zabił ciebie – powiedział Król. – A z pewnością będzie chciał to zrobić. Dzisiaj przybył posłaniec z Nabbanu. Pryrates donosi w liście, że negocjacje z Lektorem przebiegają bardzo pomyślnie i wraca za kilka dni. Dlatego wysyłam cię na czele mych wojsk na Wzgórza Thrithingów. Młody Fengbald domagał się dowództwa, ale ty zawsze mi dobrze służyłeś, a poza tym usuniesz się z drogi czerwonemu duchownemu, przynajmniej do chwili, gdy zrobi już to, na czym mi zależy.

– Z wdzięcznością przyjmuję możliwość służenia Królowi – powiedział wolno Guthwulf targany uczuciem strachu i gniewu na przemian. I pomyśleć, że hrabia Utanyeat musi uciekać się do takich podstępów i umizgów!

Nagle przyszło mu do głowy, że mógłby chwycić Eliasa, tak po prostu, chwycić go i wypchnąć poza niski parapet okna. Wyskoczyłby razem z nim; polecieliby daleko w dół i rozbili się jak jajka. Usiresie Zbawco, jaką ulgą byłoby powstrzymać tę gnijącą zarazę, która rozlazła się po całym Hayholt

i toczyła już nawet Guthwulfa! Aż w głowie mu się zakręciło od takiej myśli, lecz głośno powiedział tylko:

– Czy jesteś pewien, że plotki o twoim bracie nie są tylko plotkami? Wymysłami zniechęconych chłopów? Trudno mi uwierzyć, by ktokolwiek... cokolwiek przeżyło... przeżyło w Naglimundzie. –„Jeden krok – pomyślał. – Tylko jeden krok i obaj polecieliby w dół. Tylko kilka chwil i zacząłby się długi, mroczny sen...”

Elias odszedł od okna, rwąc wątek jego myśli. Guthwulf poczuł na swym czole chłodne krople potu.

– Ja nie potrzebuję plotek, mój drogi. Ja jestem Elias, Wielki Król, i ja wiem. – Podszedł do okna w południowo-wschodniej ścianie, która patrzyła teraz w samą paszczę wiatru. Jego kruczoczarne włosy zawirowały. – Tam. – Wskazał w dal ponad lekko wzburzoną, ołowianą powierzchnią Kynslagh. Blask błyskawicy oświetlił na chwilę jego głęboko zapadnięte oczy. – Josua żyje naprawdę i znajduje się... gdzieś... tam. Otrzymałem wiadomość z zaufanego źródła. – Rozległ się grzmot. – Pryrates twierdzi, że powinienem lepiej wykorzystywać swoją energię. Gdybym po stokroć się nie przekonał, jak czarne i puste jest jego serce, mógłbym podejrzewać, że zrobiło mu się żal Josui, tak bardzo sprzeciwia się tej wyprawie. Ale ja zrobię po swojemu. Jestem Królem i chcę śmierci Josui. – Kolejny błysk piorunu ukazał jego twarz niby wykrzywioną grymasem rytualną maskę. Mówił głosem coraz bardziej napiętym. Przez chwilę wydawało się, że tylko zaciśnięta na kamieniu dłoń przytrzymuje go przed upadkiem z wieży. – Chcę też, żeby wróciła moja córka. Chcę, żeby Miriamele wróciła. Nie posłuchała swego ojca i przyłączyła się do moich wrogów. Musi zostać ukarana.

Guthwulf nie wiedział, co ma powiedzieć. Skinął tylko głową, starając pozbyć się kotłujących w głowie myśli, jakby to była studnia wypełniona

czarną wodą. Król i jego przeklęty miecz! Nawet teraz Guthwulf odczuwał ohydną obecność miecza. Pojedzie do Thrithingów i zapoluje na Josuę, jeśli tego chce Elias. Przynajmniej uwolni się od tego okropnego zamku, jego nocnych odgłosów, okropnych sług i szalonego Króla. Będzie mógł znowu jasno myśleć. Będzie oddychał świeżym powietrzem wśród żołnierzy, w których towarzystwie zawsze czuł się swobodnie.

Grzmot rozległ się gdzieś blisko, wprawiając dzwony w drżenie.

– Zrobię, jak każesz, mój Królu – powiedział.

– Oczywiście. – Elias skinął głową, spokojny już. – Oczywiście.

GUTHWULF ODSZEDŁ ZASĘPIONY, lecz Król pozostał w dzwonnicy; stał, wpatrując się w zachmurzone niebo, nasłuchując wiatru z taką uwagą, jakby rozumiał jego żałosne zawodzenie. Rachel, przełożona pokojówek, zaczynała czuć się coraz bardziej skrępowana w swojej ciasnej kryjówce. Jednak dowiedziała się tego, czego chciała się dowiedzieć. Głowę miała pełną myśli zupełnie niezwiązanych z codzienną pracą; ostatnio dopuszczała do siebie myśli, o jakie nigdy dotąd by siebie nie podejrzewała.

Wdychając ostry, lecz dobrze znany zapach pasty do polerowania, zerknęła przez szczelinę między kamienną framugą a odłupanymi, drewnianymi drzwiami. Król wciąż stał nieruchomo, wpatrzony w dal. Na myśl o swoim wykroczeniu Rachel zadrżała ze strachu. Szpiegowała jak jakaś występna, cwana dziewucha. I to szpiegowała samego Króla! Elias był przecież synem jej ukochanego Króla Johna – choć mu nie dorównywał – i Rachel, ostatni bastion sprawiedliwości w Hayholt, szpiegowała właśnie jego.

Na samą myśl o tym nogi się pod nią uginały; nie pomógł pachnący olejek. Oparła się o ścianę pracowni dzwonnika, dziękując Bogu, że jest

taka mała. Było w niej tyle lin, haków i naczyń ze smarami, że nawet gdyby zrobiło jej się słabo, nie mogłaby się przewrócić.

W rzeczywistości nie miała zamiaru szpiegować – wcale nie. Usłyszała głosy, sprawdzając straszliwie brudne schody na trzecim piętrze Wieży Zielonego Anioła. Zeszła cichutko do zasuniętej kotarą alkowy, żeby nie wyglądało, że podsłuchuje Króla, gdyż jego to głos rozpoznała. Król minął ją i poszedł wyżej. Przez cały czas coś mówił, jakby do uśmiechającego się głupio Hengfiska, który wszędzie za nim chodził, lecz jego słowa wydawały się zupełnie nonsensowne. Rachel usłyszała coś o „szeptach z Nakkigi” oraz o „pieśniach z wyżyn”. Król mówił też o „nasłuchiwaniu wołania świadków” i o „umowie na wzgórzu i jej rychłym wyniku”, i wielu innych, jeszcze mniej zrozumiałych rzeczy.

Mnich z wybałuszonymi oczami towarzyszył Królowi jak zwykle. Potok słów wylewał się wprost na niego, lecz mnich potakiwał tylko głową i piął się w górę niczym śmiejący się cień monarchy.

Zafascynowana i zaciekawiona, jak dawno już jej się nie zdarzyło, Rachel zorientowała się, że idzie, kryjąc się w cieniu, na górę; wydawało się, że pokonali z tysiąc stopni, które prowadziły na szczyt wieży. Król nieustannie recytował swą niezrozumiałą litanię, aż wreszcie zniknęli w dzwonnicy. Czując swój wiek i pulsujący ból w chorych plecach, Rachel pozostała na niższym piętrze. Brakowało jej oddechu, więc oparła się o ścianę pokrytą dziwnymi kafelkami, podziwiając swoją odwagę. Przed sobą miała otwarty warsztat. Na kamiennym bloku posypanym trocinami leżała rozłożona na części ogromna dźwignia, a nieopodal, na podłodze, młot, wydawało się, że ten, kto go używał, wyszedł przed chwilą. Obok schodów były tylko pokój i mała alkowa zasunięta kotarą. Więc gdy nagle na schodach pojawił się mnich i zaczął szybko schodzić na dół, nie mogła zrobić nic innego, jak tylko schować się w alkowie.

W jej drugim końcu odkryła drewnianą drabinę, która prowadziła w górę, ginąc zresztą w ciemności. Świadoma, że została schwytana pomiędzy Króla i tego, kogo mógł sprowadzić mnich, nie widziała innego rozwiązania, jak wspiąć się na górę i spróbować znaleźć bezpieczniejszą kryjówkę; ktoś przechodząc obok alkowy, mógłby zaczepić o kurtynę i odsłonić ją, narażając Rachel na poniżenie albo i coś gorszego.

Tak, coś gorszego. Wspomnienie głów gnijących na górze Bramy Nearulagh dodało sił jej starym kończynom, które zaniosły ją wprost do pracowni dzwonnika.

Tak więc w rzeczywistości nie ona była winna, czyż nie? Nie miała zamiaru szpiegować; praktycznie została zmuszona do podsłuchania rozmowy Eliasa z hrabią. Rachel mówiła sobie, że z pewnością dobra święta Rhiappa zrozumie to i wstawi się za nią, gdy przyjdzie czas odczytywania Wielkiego Zwoju w przedsionku niebios.

Znowu spojrzała przez szczelinę. Król przeszedł do północnego okna, które wychodziło wprost na zbliżającą się burzę, lecz nie wydawało się, by miał zamiar odejść. Rachel bała się coraz bardziej. Ludzie mawiali, że Elias spędza bezsenne noce, pracując z Pyratesem w Wieży Hjeldina. Czy przesiadywanie po wieżach aż do świtu miało być kolejnym szaleństwem króla? Było dopiero popołudnie. Rachel czuła, że znowu kręci jej się w głowie. Czy zostanie tu na zawsze?

Rozglądając się panicznie wokół, nagle dostrzegła coś wyrytego na wewnętrznej stronie drzwi. Ze zdumieniem odczytała wypisane przez kogoś imię Miriamele. Napis wycięto głęboko, jakby ten, kto to zrobił, także był tutaj uwięziony i nie miał nic innego do roboty. Ale kto mógłby zawędrować aż tutaj i wypisywać imię Miriamele?

Przez chwilę pomyślała o Simonie. Pamiętała, jak świetnie chłopiec potrafił się wspinać i popadać w kłopoty, o jakich innym nawet się nie

śniło. Lubił bardzo Wieżę Zielonego Anioła; czy to nie tuż przed śmiercią Króla Johna zrzucił ze schodów Barnabasa, kościelnego? Rachel uśmiechnęła się. Ale z niego był hultaj.

Wspominając Simona, Rachel nagle uprzytomniła sobie, co powiedział Jeremias, chłopiec od kupca. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Pryrates. Pryrates zabił jej chłopca. Kiedy zaczynała myśleć o alchemiku, aż gotowała się ze złości i nienawiści. Do nikogo na świecie nie czuła aż takiej nienawiści.

Rachel potrząsnęła głową oszołomiona. Czuła się okropnie, myśląc o Pryratesie. Po tym, co Jeremias opowiedział o łysym duchownym, zaczęła snuć myśli tak mroczne, że ją samą zaskoczyły.

Przestraszona siłą swych uczuć, skupiła uwagę na wyrytym napisie. Starannie wypisane litery przekonały ją, że nie mógł tego zrobić Simon. Pismo było zbyt staranne. Nawet pod okiem Morgenesa pióro Simona wędrowało po stronie jak pijany chrabąszcz. Te litery wypisał ktoś wykształcony. Ale kto mógłby wypisać imię księżniczki w tak odludnym miejscu? Bez wątpienia Barnabas, kościelny, używał tego warsztatu, lecz myśl o tym starym, wysuszonym jaszczurze wydrapującym na drzwiach imię Miriamele nie mieściła się nawet w wyobraźni Rachel; a Rachel potrafiła wyobrazić sobie każdy grzech czy głupotę, jakie mogli popełnić mężczyźni wypuszczeni spod kontroli kobiet. Nie, kościelny Barnabas w roli tęskniącego kochanka wykraczał poza wszelkie prawdopodobieństwo.

Rachel złościła się na samą siebie, że jej myśli wciąż gdzieś ulatują. Czy rzeczywiście była już tak stara i strachliwa, że nie była w stanie się skupić, gdy tyle ważnych rzeczy było do przemyślenia? Od tamtej nocy, kiedy razem z innymi pokojówkami uratowała Jeremiasa, w jej głowie

zrodził się pewien plan, lecz jakaś jej część chciała o nim zapomnieć, chciała, by wszystko było po staremu.

„Głupia, zrozum wreszcie, że nic już nie będzie po staremu” – pomyślała.

Zastanawiając się, co zrobić ze zbiegłym chłopcem od kupca, Rachel i jej podwładne doszły do wniosku, że jedynym rozwiązaniem będzie pomóc mu uciec. Tak więc pewnego wieczoru przeszmuglowały go przez bramy Hayholt w przebraniu pokojówki, która rzekomo wracała do swej rodziny w Erchesterze. Patrząc, jak sponiewierany chłopiec odchodzi, kulejąc, ku wolności, Rachel doznała nagle olśnienia: nie mogła dłużej ignorować zła, jakie panoszyło się w jej domu. I tak przełożona pokojówek postanowiła, że wytępi wszelkie plugastwo.

Rachel usłyszała odgłos kroków na białej podłodze dzwonnicy i zaryzykowała spojrzenie przez szparę. Zielony płaszcz Króla znikał właśnie w drzwiach. Słuchała, jak kroki oddalają się i cichną. Sporo czasu jeszcze upłynęło, zanim zdecydowała się zejść po drabinie. Wyszła zza zasłony na chłodną klatkę schodową i poklepała się po czole i policzkach, mokrych od potu, choć przebywała w kamiennej, zimnej budowli. Zaczęła schodzić cicho i ostrożnie.

Rozmowa Króla powiedziała jej sporo z tego, czego chciała się dowiedzieć. Teraz musi tylko czekać i myśleć. Przecież zaplanowanie czegoś takiego nie mogło być trudniejsze niż zaplanowanie wiosennych porządków! A w pewnym sensie, czy nie to właśnie planowała?

Jej stare kości protestowały, lecz na twarzy pojawił się ten dziwny uśmiech, który pokojówki zawsze przyprawiał o drżenie. Rachel schodziła wolno w dół niekończących się schodów Wieży Zielonego Anioła.

BINABIK UNIKAŁ WZROKU SLUDIGA, który siedział po drugiej stronie ogniska. Troll zebrał swoje kości do torby. Tego ranka rzucał je kilkakrotnie. Ani razu nie ucieszył się z tego, co zobaczył.

Wzdychając, schował torbę z kośćmi do kieszeni i pogrzebał w popiele ogniska. Znajdowało się tam ich śniadanie: orzechy, które wykopał z zamarzniętej ziemi. Dzień był bardzo zimny; ponieważ zjedli wszystkie zapasy, Binabik uznał, że nie będzie wielkim grzechem, jeśli podkradnie trochę zapasów wiewiórek.

– Nic nie mów – odezwał się nagle troll. Po godzinie milczenia Sludig otworzył właśnie usta. – Proszę, Sludigu, nic nie mów przez chwilę. Proszę tylko o bukłak z kangkang, który jest w twojej kieszeni.

Rimmersman podał mu bukłak. Binabik pociągnął długi łyk i otarł usta rękawem kurtki. Po chwili rękaw powędrował do oczu.

– Obiecałem – powiedział cicho. – Prosiłem o dwie noce przy ognisku i dałeś mi je. Teraz muszę dotrzymać obietnicy, której z wielką radością bym nie dotrzymał. Musimy zabrać miecz i iść do Kamienia Pożegnania.

Sludig chciał coś powiedzieć, lecz wziął tylko bukłak od Binabika i też się napił.

Qantaqa wróciła z polowania i przyglądała się, jak troll i Rimmersman pakują w milczeniu swój skromny dobytek, potem zaskomlała niespokojnie i odbiegła w susach na brzeg polanki. Zwinięta w kłębek spoglądała z powagą na Binabika i Sludiga zza puszystego ogona.

Binabik wyjął z torby przy siodle Białą Strzałę, uniósł ją w górę, a potem przyłożył drewniane drzewce do swego policzka. Strzała lśniła bardziej niż leżący dookoła śnieg. Po chwili ponownie schował strzałę do torby.

– Wrócę po ciebie – powiedział troll. – Odnajdę cię. – Zawołał Qantaqę.

Sludig dosiadł konia i ruszyli przez las. Padający wciąż śnieg opadał na ich ślady. Zanim ucichły odgłosy przejazdu, wszelki ślad po nich zaginął.

SIMON ZDECYDOWAŁ, że siedzenie w jednym miejscu i rozpaczanie nic mu nie da. Niebo, jak na poranek, było nieprzyjemnie ciemne, a śnieg padał coraz intensywniej. Patrzył ponuro w lusterko. Jiriki miał rację, mówiąc, że nie przeniesie go w magiczny sposób do Simona. Schował lusterko do kieszeni i wstał, rozcierając ręce.

Możliwe, że Sludig i Binabik byli wciąż gdzieś niedaleko. A może podobnie jak Simon spadli z koni i potrzebowali pomocy? Nie miał pojęcia, jak długo leżał bezradnie w objęciach snu; mogły to być godziny albo dni. Jego towarzysze mogli jeszcze być w pobliżu albo zrezygnowali z poszukiwań i odjechali już bardzo daleko.

Snując takie ponure rozważania, zaczął iść linią przypominającą powiększającą się spiralę; pamiętał niezbyt wyraźnie, jak Binabik sugerował takie postępowanie w wypadku, gdyby ktoś się zgubił. Trudno mu było ocenić, czy było to najsłuszniejsze, gdyż nie był pewien, kto się właściwie zgubił. A poza tym nie słuchał zbyt uważnie, kiedy troll wyjaśniał, jak wyznaczać taką spiralę; pamiętał tylko, że trzeba brać pod uwagę ruch słońca, kolor kory i liści oraz kierunek, w jakim układały się w bieżącej wodzie korzenie pewnych drzew. W czasie wykładu Binabika Simon przyglądał się jaszczurce o trzech nogach, która sunęła wolno po leśnym podszyciu. Szkoda, że Binabik nie mówił wtedy trochę bardziej interesująco, ale teraz było już za późno.

Brnął przez coraz gęstszy śnieg, a niewidoczne za chmurami słońce wzeszło wysoko na niebo. Krótkie popołudnie szybko zaczęło się oddalać. Wiatr dął silnie, a burza chwyciła las Aldheorte w swe szpony i ścisnęła mocno. Zimno przenikało płaszcz Simona z taką łatwością, jakby to był

letni welon; wydawał się wystarczająco ciepły w towarzystwie Binabika i Sludiga, lecz Simon stracił rozeznanie, kiedy było mu naprawdę ciepło. Jego żołądek zaczął dawać znać o sobie. Ostatni raz jadł w domu Skodi; wspomnienie posiłku i jego następstw wywołało dreszcze, których nie zdążył jeszcze wypędzić zimny wiatr. Kto wie, ile czasu upłynęło od tamtej pory?

„Święty Aedonie – modlił się. – Daj mi coś zjeść”. Myśl ta stała się refrenem, który odbijał się echem w jego głowie w rytm skrzypiących na śniegu butów.

Niestety, tego problemu nie dało się obejść, zwracając swe myśli ku czemuś innemu. Simon wiedział, że już bardziej nie może się zgubić, ale z pewnością będzie coraz bardziej głodny.

Przyzwyczaił się do tego, że inni martwią się o jedzenie; co najwyżej pomagał po otrzymaniu wskazówek. Nagle został zupełnie sam, jak w czasie pierwszych okropnych dni spędzonych w lesie Aldheorte. Wtedy też był okropnie głodny. Przetrwał do chwili, kiedy odnalazł go troll, ale wówczas nie było zimy, a poza tym udawało mu się ukraść co nieco z leżących na uboczu zagród. Gdy teraz wędrował przez zmarznięte i bezludne Pustkowie, tamta podróż wydała mu się popołudniową wycieczką.

Wycie wiatru wzmogło się. Powietrze stało się jeszcze zimniejsze, wywołując kolejne dreszcze. Ciemność opadała powoli na las, oznajmiając szyderczo, że nawet tak mroczny dzień nie może trwać wiecznie. Simon starał się powstrzymać powracającą falę strachu. Przez cały dzień próbował zignorować delikatne drapanie jego pazurów; momentami wydawało mu się, że posuwa się na krawędzi otchłani, otchłani bez dna.

Pomyślał, że w sytuacji takiej jak ta łatwo przyjdzie mu zwariować. Nie trzeba skakać nagle w ramiona szaleństwa, jak robił to wykrzykujący

żebrak w Tawernianej Alei, lecz można osuwać się weń powoli i cicho. Wystarczy zrobić jeden błędny krok i opadać bezradnie, powoli w otchłań, której bliskość wydawała się tak oczywista. Opadałby tak bez końca, aż wreszcie zapomniałby, że wciąż opada. Jego prawdziwe życie, wspomnienia, przyjaciele i dom oddaliliby się, aż wreszcie staliby się zaledwie starymi, zakurzonymi przedmiotami w głowie przypominającej zabity deskami dom.

Zaczął się nagle zastanawiać, czy tak właśnie się umiera? Czy część ciebie pozostaje w ciele, jak śpiewała Skodi? Czy leżysz w ziemi i czujesz, jak twoje myśli kurczą się niczym ławica piachu wymywana przez fale? Czy jest to tak strasznie, leżeć w wilgotnej ciemności i powoli przestawać istnieć? Czy nie byłoby to lepsze od ciągłych udręk życia, ciągłej walki z przeciwnościami losu, od panicznej i bezsensownej ucieczki przed ostatecznym zwycięstwem śmierci?

„Po prostu się poddać. Przestać walczyć...” Myśl ta zabrzmiała kojąco, jak smutna, lecz ładna piosenka. Była jak łagodna obietnica, pocałunek przed snem...

Simon osunął się na kolana. W ostatniej chwili otrząsnął się i wyciągając rękę, złapał biały jak szkielet pień brzozy. Serce waliło mu mocno.

Ze zdumieniem zobaczył, że na butach i ramionach zebrał się śnieg, jakby stał tu już bardzo długo, choć jemu wydawało się, że minęła ledwie chwila. Potrząsnął głową i poklepał się po twarzy dłonią w rękawicy, aż poczuł, że jego ciało powraca do życia. Rozzłościł się na samego siebie. Żeby prawie zasnąć na stojąco? Zamarznąć? Co z niego za gamoń!

Nie. Raz jeszcze zgromił siebie. Binabik i Sludig mówili, że jest już prawie mężczyzną; musi im pokazać, że się nie mylili. Po prostu było mu zimno i był głodny. Nie będzie rozpaczał jak jakiś kuchcik, który nie potrafi

dostać się do kuchni. Widział wiele rzeczy i wiele zrobił. Przeżył gorsze chwile.

Ale co powinien zrobić?

Nie mógł natychmiast rozwiązać problemu głodu, ale nie było tak źle. Binabik mówił, że człowiek jest w stanie długo wytrzymać bez jedzenia, lecz nie wytrzyma ani jednej zimnej nocy bez schronienia. „Dlatego – mawiał troll – ogień jest bardzo ważny”.

Simon nie miał ognia i nie wiedział, jak go rozpalić.

Rozmyślając nad tym, wciąż szedł przed siebie. Miał nadzieję, że pomimo szybko zapadającej ciemności uda mu się znaleźć odpowiednie miejsce na nocleg. Padał coraz gęstszy śnieg, a on brnął właśnie dnem długiego i wąskiego wąwozu. Postanowił znaleźć wyżej położone miejsce, by nie musiał wygrzebywać się spod śniegu, jeśli przeżyje noc. Myśląc o tym, Simon poczuł na spękanych ustach grymas uśmiechu. Znając swoje szczęście, w wyżej położone miejsce uderzy pewnie piorun.

Roześmiał się głośno i przez chwilę poczuł się raźniej, lecz wiatr natychmiast pochwycił tę radość i wydarł ją, zanim zdążył się nią nacieszyć.

Na miejsce noclegu wybrał niewielki pagórek porośnięty kępą świerków przypominających strażników w białych pelerynach. Wolałby schować się za dużymi kamieniami albo w jaskini, lecz szczęście aż tak bardzo mu nie dopisywało. Nie zwracając uwagi na burczenie w żołądku, zaczął ubijać śnieg w duże bryły. Bryły umieścił między drzewami od strony nawietrznej; ubił je i wygładził, tak że utworzył ścianę sięgającą trochę powyżej kolan.

W świetle dogasającego dnia zaczął ścinać gałęzie rosnących w pobliżu świerków. Składał je pod śnieżną barykadą, aż utworzyły legowisko ze sprężystych gałęzi prawie tak samo wysokie jak śnieżna ściana. Uznając

dotychczasowe działania za niewystarczające, Simon ruszył między drzewa i nożem, który otrzymał od trolli, ścinał kolejne gałęzie tak długo, aż ułożył drugi stos. Zatrzymał się na chwilę, oddychając ciężko, i poczuł, że zimne powietrze wysysa ciepło z odsłoniętej twarzy tak szybko, jakby ktoś przyłożył do niej maskę z mokrego śniegu.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak ważne jest zachowanie ciepła w zimową noc – jeśli chce się obudzić rano żywy – i rzucił się gorączkowo do pracy. Wzmocnił ścianę ze śniegu, poszerzając ją i podwyższając. Wybudował kolejną, nieco niższą, po zewnętrznej stronie pierwszego stosu gałęzi. Potem biegał po lasku, obcinając nowe gałęzie; rękawice nasiąkły żywicą tak bardzo, że posklejały mu się palce, a żeby wyjąć z dłoni nóż, musiał nadepnąć na jego ostrze. Wreszcie stosy gałęzi dorównały wysokością większej ścianie. Teraz nic już prawie nie widział; nawet ogromne drzewa zmieniły się w ciemne plamy na śnieżnym tle.

Położył się na legowisku z gałęzi, podciągając wysoko kolana, by móc schować nogi pod płaszczem, i zaczął przykrywać się gałęziami z drugiego stosu. Pomimo zesztywniałych i klejących się dłoni starał się równo rozkładać gałęzie, by nie zostawiać odkrytych miejsc na ciele; ostatnimi gałęziami nakrył głowę. Twarz schował możliwie najgłębiej w kapturze. Leżał w bardzo nienaturalnej i niewygodnej pozycji, lecz czuł swój ciepły oddech we wnętrzu kaptura i choć na chwilę przestał drżeć.

Kładąc się, był tak zmęczony, że wydawało mu się, iż zaśnie natychmiast pomimo skrępowanych nóg i łaskotania gałęzi. Ze zdumieniem stwierdził, że w miarę upływu nocy rozbudzał się coraz bardziej. Chłód nie był wprawdzie tak przenikliwy jak w marszu pod wiatr, lecz skutecznie przedzierał się przez jego skąpą osłonę i przenikał ciało do kości. Był to swoisty rodzaj zimna, tępy, nieustanny i cierpliwy jak kamień.

Wystarczyłby sam chłód, lecz na domiar złego Simon słyszał dziwne odgłosy, choć również własny oddech i bicie serca wydawały mu się gromami. Zapomniał, jak inny jest las nocą, kiedy nie ma w pobliżu żadnego przyjaciela. Odgłosy wydawały się dochodzić z daleka, lecz słychać je było wystarczająco głośno, by nie zagłuszało ich wycie wiatru. Po wszystkich okropnościach, jakie widział, nie łudził się, że noc może być pozbawiona niebezpieczeństw; z pewnością dochodziły do niego jęki przeklętych dusz albo zawodzenia Hunenów poszukujących ciepłej krwi.

Czuł, że znowu ogarnia go mroczny strach. Był zupełnie sam! Był zbłąkanym, durnym gamoniem, który nigdy nie powinien był się mieszać do spraw lepszych od siebie! Nawet jeśli przeżyje noc i uniknie szponów jakiejś nocnej zjawy, i tak z pewnością umrze z głodu w ciągu dnia! Może nawet przetrwa kilka dni albo i tydzień przy odrobinie szczęścia, lecz z tego, co mówił Binabik, Kamień Pożegnania znajduje się bardzo daleko stąd, a do tego tylko on potrafił odnaleźć właściwą drogę w nieprzyjaznym lesie. Simon zdawał sobie sprawę, że nie posiada takich umiejętności, które pozwoliłyby mu przetrwać długą wędrówkę przez odludzie; nie był żadnym Jackiem Mundwode, daleko mu do tego. A poza tym nie miał prawie nadziei, że ktoś może tędy przejeżdżać i pomóc mu; nie w taką pogodę.

Jednak najgorsze było to, że utracił przyjaciół. Tego popołudnia zorientował się ni stąd, ni zowąd, że przestraszony krzyczy, powtarzając bez końca ich imiona, aż wreszcie ochrypł tak bardzo, że z trudem mógł wydobyć głos. Nim zamilkł, wydało mu się, że wykrzykuje imiona zmarłych, i tego przestraszył się najbardziej. Czuł, że idzie ścieżką na skraju przepaści; dzisiaj nawołuje zmarłych, jutro będzie z nimi rozmawiał, a wkrótce potem dołączy do nich – miotany szaleństwem żywy trup; to byłoby gorsze od śmierci.

Drżał nie tylko z zimna. Próbował oprzeć się ciemności, która ogarniała jego duszę. Wiedział, że nie chce jeszcze umierać, ale czy to miało znaczenie? Wydawało się, że nic już nie może zrobić.

„Ale ja nie umrę tutaj” – postanowił wreszcie, udając, że wybiera jedną z przedstawionych możliwości. Starał się zapanować nad paniką, uładzić ją i uspokoić jak przestraszonego konia. Dotknąłem smoczej krwi. Zdobyłem Białą Strzałę Sithów. Przecież to musi mieć jakieś znaczenie!

Nie wiedział, czy ma to jakiekolwiek znaczenie, lecz nagle poczuł, że bardzo chce żyć.

„Jeszcze nie umrę. Chcę spotkać się z Binabikiem, Josuą i... Miriamele. Chcę też zobaczyć, jak Pryrates i Elias cierpią za swoje czyny. Chcę mieć znowu dom, ciepłe łóżko. Och, miłościwy Aedonie, jeśli naprawdę istniejesz, pozwól mi odzyskać dom! Nie pozwól mi umrzeć na zimnie! Pozwól mi znaleźć dom... dom... znaleźć dom...”

Wreszcie przyszedł sen. Miał wrażenie, że słyszy własny głos odbijający się echem w starej, kamiennej studni. Wreszcie uwolnił się od zimnych, bolesnych myśli i znalazł ciepłe miejsce.

Przeżył tę noc i sześć następnych. Każdego ranka budził się bardzo sztywny, osamotniony i coraz bardziej głodny.

Niezwykły dla tej pory roku chłód zabił wiele dzieci wiosny jeszcze w jej łonie, lecz niektórym roślinom udało się wystrzelić ponad ziemię i zakwitnąć, choć okres fałszywej wiosny, po której zaraz powróciła zima, był bardzo krótki. Wcześniej Binabik i Sithowie dawali mu kwiaty do jedzenia, lecz Simon nie pamiętał, które są jadalne. Zjadał więc wszystkie napotkane. Nie zaspokoiły głodu, ale i nie otruły go. Nie gardził też kępami gorzkiej, żółtej trawy – bardzo gorzkiej – która uchowała się pod śnieżnymi czapami. Raz w przypływie rozpaczy spróbował zjeść garść świerkowych

igieł. Smakowały zadziwiająco paskudnie, a ich sok w połączeniu ze śliną utworzył na wpół zamarzniętą zawiesinę na jego coraz gęstszej brodzie.

Pewnego dnia, kiedy tęsknota za czymś prawdziwym do jedzenia stała się wręcz obsesyjna, na drodze Simona pojawił się zmarznięty chrząszcz. Rachel, Smok, uważała je za bardzo paskudne stworzenia, lecz głód okazał się silniejszy niż nauki Rachel. Takiej okazji nie mógł przepuścić.

Pierwszy chrząszcz okazał się dość trudny do przełknięcia. Kiedy poczuł, jak robak przebiera nogami w jego ustach, zakrztusił się i wypluł go na śnieg. Patrzył z obrzydzeniem na kopiącego bezradnie powietrze chrząszcza, lecz po chwili podniósł go, wsadził do ust, przeżuł i połknął najszybciej, jak potrafił. Czuł się, jakby jadł ruchomą nieco miękkawą skorupę orzecha, która smakowała jak spleśniały wodorost. Po godzinie, gdy nie sprawdziła się żadna z mrocznych przepowiedni Rachel, Simon zaczął rozglądać się po ziemi, w nadziei, że znajdzie więcej takich powolnych kąsków.

Inaczej niż głód i w pewnym sensie o wiele bardziej dokuczało mu nieustające zimno. Od czasu do czasu znajdował kępę trawy zwanej lutnikiem i przez chwilę głód przestawał być tak dokuczliwy, ani na moment nie mógł jednak pozbyć się chłodu. Gdy tylko przestawał się ruszać, natychmiast zaczynał drżeć mimowolnie. Przeklinał i machał ramionami, jakby złośliwe zimno było czymś, co może uderzyć, tak jak uderzył smoka Igjarjuka, ale zimno było wszędzie i nigdzie, nie można było z niego utoczyć czarnej krwi.

Jedyne, co mógł zrobić, to iść dalej. Brnął zatem nieustannie na południe, od świtu aż do momentu, kiedy słońce opuszczało szare niebo. Rytm jego życia wyznaczało człapanie stóp, wzmagające się i słabnące wycie wiatru, przejście słońca po niebie i opadanie płatków śniegu. Szedł, ponieważ to pozwalało mu zachować ciepło. Szedł na południe, ponieważ

pamiętał, jak Binabik mówił, że Kamień Rozstania znajduje się na łąkach na południe od lasu Aldheorte. Wiedział, że nie przetrwa podróży przez cały las Aldheorte, przez ten ogromny kontynent pokryty drzewami i śniegiem, ale musiał mieć jakiś cel. Niekończąca się wędrówka była łatwiejsza, kiedy musiał tylko pilnować, by słońce przeszło z jego lewej strony na prawą.

Szedł też dlatego, że kiedy stawał, dręczyły go okropne wizje. Czasem w poskręcanych pniach drzew widział twarze i słyszał głosy wymawiające jego imię oraz imiona obcych. Kiedy indziej wydawało mu się, że zamiast drzew otaczają go wieże; pojawiająca się gdzieniegdzie zieleń stawała w płomieniach, a wtedy jego serce waliło jak dzwon zwiastujący nieszczęście.

Ale przede wszystkim Simon szedł dlatego, że nic innego nie miał do roboty. Umarłby, gdyby się nie ruszał, a nie był jeszcze gotowy na śmierć.

Robaku, nie biegnij, nie uciekaj,
Robaku, choć gorzkiś w smaku; nic mnie nie obchodzi,
Czy robak odchodzi; kąsek smakowity, dzień udany,
Robak schwytany...

Był późny ranek siódmego dnia jego samotności. Simon szedł.

Szarobrązowy chrząszcz – większy i prawdopodobnie bardziej soczysty od czarnej odmiany, która była głównym składnikiem jego diety – sunął po pniu białego cedru. Simon próbował złapać go już kilkadziesiąt kroków wcześniej, lecz ten chrząszcz miał skrzydła – i odfrunął niezgrabnie, ale na szczęście niedaleko. Druga, również bezowocna, próba zaprowadziła go do cedru.

Simon śpiewał dla samego siebie, nie wiedział nawet, czy śpiewa głośno, czy cicho. Chrząszczowi, zdaje się, nie sprawiało to różnicy, więc Simon nie przerywał.

Zaśnij, chrząszczu, nie uciekaj, uwierz mi,
Zostań w miejscu, smaczny kąsku, nie bój się,
Ja już idę, przez śnieg pędzę, zostań tam...

Simon niczym myśliwy posuwał się czujnie i sprężyście, o ile pozwalało mu na to niedożywione i drżące ciało. Chciał tego chrząszcza. Potrzebował tego chrząszcza. Czując, że nadchodzi kolejna fala dreszczy, która może zniweczyć jego plany, rzucił się chciwie na pień drzewa, lecz kiedy rozchylił dłonie, by zajrzeć do środka, niczego tam nie było.

– Dlaczego chcesz go złapać? – spytał ktoś.

Ponieważ w ciągu ostatnich dni Simon nieustannie prowadził rozmowy z różnymi głosami, już chciał odpowiedzieć, gdy nagle serce zabiło mu mocniej. Odwrócił się na pięcie, lecz nikogo nie ujrzał.

„A więc zaczęło się, zaczęło się szaleństwo” – zdążył pomyśleć i w tym momencie ktoś klepnął go w ramię. Znowu się odwrócił i nieomal padł z wrażenia.

– Proszę. Mam go. – Chrząszcz, dziwnie nieruchomy, unosił się przed nim w powietrzu. Dopiero po chwili zorientował się, że trzyma go dłoń schowana w białej rękawiczce. Właściciel dłoni wyszedł zza drzewa. – Nie wiem, co z nim zrobisz. Czy twoi ludzie jedzą takie rzeczy? Nigdy o tym nie słyszałam.

Przez krótką chwilę Simon myślał, że to Jiriki; twarz o złocistych oczach otaczały ustrojone piórami warkocze zaplecione z lawendowych włosów – w tym samym odcieniu co włosy Jirikiego – lecz przyjrzawszy się dokładnie, stwierdził, że to nie jest jego przyjaciel.

Obcy był bardzo szczupły, lecz mimo to nieco okrąglejszy od Jirikiego. Podobnie jak u księcia dziwne rysy powodowały, że twarz przybierała chłodny, czasem nawet okrutny wyraz, przez cały czas zachowując dziwne

piękno. Przybysz wydawał się młodszy i bardziej otwarty niż Jiriki. Jej twarz – Simon dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przybysz jest rodzaju żeńskiego – szybko zmieniała swój wyraz, jakby wkładała kolejne maski. Dostrzegł w łagodnych, złocistych oczach obcej ten sam pradawny blask, jaki cechował Jirikiego.

– Seoman – powiedziała i roześmiała się cicho. Palec w białej rękawiczce dotknął jego skroni; Simon wyczuł w nim sprężystość i siłę ptasiego skrzydła. – Seoman, Śnieżnowłosy.

Simon drżał cały.

– Ki...ki...kim...?

– Aditu. – Rzuciła mu trochę drwiące spojrzenie. – Moja matka nadała mi imię Aditu no-Sa’onserei. Przysłano mnie po ciebie.

– Przysłana? P...przez...?

Aditu przechyliła głowę na bok, wyginając dziwnie szyję, i przyglądała się Simonowi, jakby patrzyła na jakieś nieporządne, lecz interesujące zwierzę, które przycupnęło na progu domu.

– Przez mojego brata. Przez Jirikiego. – Otworzyła szerzej oczy, kiedy Simon zaczął kołysać się z boku na bok. – Dlaczego patrzysz tak dziwnie?

– Czy ty... czy byłaś w moich snach? – spytał płaczliwym głosem.

Jak zaczarowany Simon usiadł nagle w śniegu tuż obok jej bosych stóp.

– Oczywiście, że mam buty – powiedziała później Aditu.

W JAKIŚ SPOSÓB UDAŁO JEJ SIĘ rozpalić ognisko; odgarnęła śnieg, naznosiła drewna tuż obok miejsca, gdzie opadł Simon, a potem zapaliła je szybkim ruchem palców. Simon wpatrywał się w ogień, próbując pozbierać myśli.

– Zdjęłam je, gdyż chciałam podejść jak najciszej. – Spojrzała na niego ironicznie. – Nie miałam pojęcia, kto może robić tyle hałasu, ale to byłeś ty. A poza tym miło jest poczuć śnieg na skórze.

Simon zadrżał na myśl o gołych stopach na lodzie.

– Jak mnie znalazłaś?

– Przez lusterko. Jego pieśń posiada ogromną moc.

– W takim razie... gdybym je zgubił, nie... nie znalazłabyś mnie?

Aditu popatrzyła na niego z powagą.

– W końcu i tak bym cię znalazła, ale śmiertelnicy to delikatne istoty. Mogłoby nie zostać zbyt wiele do szukania.

Wyszczerzyła zęby w grymasie, który zapewne miał być uśmiechem. Wydawała się jednocześnie i mniej, i bardziej podobna do ludzi niż Jiriki; momentami była wręcz dziecinnie bezpośrednia, lecz z drugiej strony o wiele bardziej egzotyczna i obca od swego brata. Koci wdzięk i rezerwa, które Simon dostrzegł u Jirikiego, wydawały się u niej jeszcze bardziej uwydatnione.

Simon kołysał się w przód i w tył, wciąż jeszcze nie mając pewności, czy nie śni i czy jest przy zdrowych zmysłach, gdy tymczasem Aditu wsunęła dłoń pod białą kurtkę, która wraz z białymi spodniami czyniła ją całkowicie niewidzialną na tle śniegu, i wyciągnęła niewielki pakunek zawinięty w lśniący materiał. Wręczyła go Simonowi. Mocował się przez chwilę niezdarnie, zanim udało mu się dotrzeć do wnętrza pakunku. Był tam bochenek złocistego chleba, jakby dopiero co wyjęty z pieca, i garść ogromnych, różowych jagód.

Simon jadł powoli, bardzo małymi kęsami, żeby się nie rozchorować, lecz czuł się jak w raju.

– Gdzie je znalazłaś? – spytał, pakując sobie jagody do ust.

Aditu długo patrzyła na niego, jakby zastanawiała się nad czymś. Wreszcie powiedziała beztroskim głosem:

– Wkrótce zobaczysz. Zaprowadzę cię tam, choć coś takiego jeszcze się nie zdarzyło.

Simon nie dopytywał się, co ma znaczyć ostatnia, tajemnicza uwaga. Zapytał tylko:

– Gdzie mnie zaprowadzisz?

– Do mojego brata. Tak jak mnie prosił – odparła Aditu. Patrzyła poważnie, lecz w jej oczach płonął dziki blask. – Zabiorę cię do domu mojego ludu: Jao e-Tinukai’i.

Simon skończył przeżuwać i połknął jagody.

– Pójdę wszędzie, gdzie jest ogień.

21. Książę stepów

NIC NIE MÓW – POWIEDZIAŁ HOTVIG. – Spójrz tylko na deresza przy ogrodzeniu.

Deornoth popatrzył we wskazanym kierunku i zobaczył wierzchowca. Koń spoglądał na niego czujnie, przestępując z nogi na nogę, jakby gotowy do ucieczki w każdej chwili.

– Ach, tak. – Deornoth skinął głową. – Dumna bestia. – Odwrócił głowę. – Książę, widziałeś tego?

Josua pomachał ręką. Głowę księcia spowijały płócienne bandaże, poruszał się bardzo wolno, jakby połamano mu wszystkie kości. Jednak uparł się uczestniczyć w wybieraniu wygranych dzięki zakładowi koni. Fikolmij wściekł się na samą myśl, że miałby spokojnie patrzeć, jak Josua wybiera trzynaście koni z zagrody samego tana Pogranicza, dlatego w zastępstwie przysłał Hotviga. Thrithing nie podzielał nastroju swego pana, wydawał się zadowolony z towarzystwa gości, a w szczególności towarzystwa księcia Josui. Nieczęsto zdarzało się na ich łąkach, by jednoręki wojownik zabił o połowę większego od siebie przeciwnika.

– Jak się nazywa ten deresz? – zapytał Josua Thrithinga, który opiekował się końmi Fikolmija; był to chudy starzec z kępką włosów na czubku głowy.

– Vinyafod – odparł starzec krótko i odwrócił się niegrzecznie.

– To znaczy „Wiatronogi” – Hotvig wymawiał to imię z trudem. Po chwili zarzucił sznur na kark deresza i podprowadził opierające się zwierzę do księcia.

Josua oglądał konia uśmiechnięty, a potem wyciągnął ramię i odważnie chwycił go za dolną wargę, odsłaniając zęby. Koń potrząsnął głową i odskoczył, lecz Josua chwycił go ponownie. Po kilku nerwowych szarpnięciach koń pozwolił się wreszcie obejrzeć, choć wciąż mrugał nerwowo oczami.

– Tak, tego z pewnością zabierzemy na Wschód, choć Fikolmij chyba się z tego nie ucieszy.

– Na pewno nie – odparł z powagą Hotvig. – Gdyby wasz zakład nie był sprawą honoru, której świadkami były wszystkie klany, zabiłby was już tylko za to, że zbliżacie się do jego koni. Vinyafod był częścią zapłaty, jakiej Fikolmij zażądał od Blehmunta, gdy został wodzem wszystkich klanów.

Josua pokiwał głową z powagą.

– Nie chciałbym rozzłościć tana tak bardzo, żeby ścigał nas i zabił, bez względu na obietnice. Deornoth, sam wybierz pozostałe konie. Masz lepsze oko ode mnie. Na pewno zabierzemy Vinyafoda, co więcej, zatrzymam go dla siebie. Ale, jak mówiłem, nie przetrzeb za bardzo stada Fikolmija, żeby nie musiał łamać danego słowa.

– Będę wybierał ostrożnie, panie. – Deornoth ruszył przez wybieg.

Zobaczywszy go, stary Thrithing próbował usunąć się na bok, lecz Deornoth wziął go pod ramię i zaczął zadawać pytania. Starzec próbował udawać, że niczego nie rozumie.

Josua patrzył na nich uśmiechnięty, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, by dać sobie trochę wytchnienia. Hotvig długo obserwował

księcia kątem oka, zanim się odezwał.

– Josuo, mówiłeś, że jedziecie na Wschód. Dlaczego?

Książę spojrzał na niego uważnie.

– Wiele jest przyczyn i nie o wszystkich mogę mówić. Przede wszystkim muszę znaleźć miejsce, gdzie będę mógł stawić czoło memu bratu i złu, które sprowadził.

Hotvig pokiwał głową z przesadną powagą.

– Zdaje się, że istnieją pokrewne dusze, które myślą tak jak ty.

– O czym ty mówisz? – spytał zaskoczony Josua.

– Inni mieszkańcy kamiennych domów też zmierzają na Wschód. Dlatego Fikolmij sprowadził nas aż tak daleko na północ od naszych pastwisk; chciał mieć pewność, że przybysze nie będą przechodzili przez nasze tereny. – Na pokrytej bliznami twarzy Hotviga pojawił się uśmiech. – Ale były też i inne powody przybycia tutaj. Na ostatnim Zjeździe Klanów tan Thrithingów z Łąk próbował przeciągnąć na swoją stronę część naszych wojowników. Dlatego Fikolmij nie chce, żeby jego ludzie mieszkali w pobliżu Thrithingów z Łąk. Ludzie boją się Fikolmija, ale go nie kochają. Wiele wozów odjechało z Klanu Ogiera...

Josua machnął dłonią zniecierpliwiony. Sprzeczki między Thrithingami nie były niczym nowym.

– Kim są mieszkańcy kamiennych domów, o których mówiłeś?

Hotvig wzruszył ramionami i pogładził zaplecioną w warkocze brodę.

– Kto to może wiedzieć? Przyjeżdżają z zachodu, całe rodziny; niektórzy na wozach, inni pieszo. Ale to nie są Thrithingowie. Słyszeliśmy o tym od naszych zwiadowców. Ci ludzie przecięli północne tereny wyżyn Thrithingów i pojechali dalej.

– Ilu ich było?

Thrithing znowu wzruszył ramionami.

– Mówią, że tylu, ilu jest ludzi w dwóch albo trzech naszych mniejszych klanach.

– A więc pewnie stu, a może dwustu. – Wydawało się, że książę zapomniał na chwilę o bólu, gdyż jego twarz ożywiła się po usłyszeniu tych wieści.

– To nie wszystko, książę Josuo – dodał Hotvig z ożywieniem. – To była tylko jedna grupa. Od tamtej pory pojawiły się następne. Ja sam widziałem tyle, ile palców u ręki. Są biedni i nie mają koni, więc pozwalamy im przejść.

– Myśmy też nie mieli koni, a nie przepuściliście nas – zauważył ironicznie Josua.

– Ponieważ Fikolmij wiedział, że to ty. Nasi zwiadowcy obserwowali was od kilku dni.

Nadszedł Deornoth, a za nim nachmurzony stary Thrithing.

– Wybrałem, Wasza Wysokość. Pokażę ci. – Wskazał na długonogiego gniadosza. – Ty wybrałeś dla siebie Vinyafoda, a ja wybrałem tego. Nazywa się Vildalix, to znaczy Wściekły Blask.

– Jest wspaniały – powiedział Josua, uśmiechając się. – Widzisz, Deornoth, pamiętałem, co mówiłeś o koniach Thrithingów. I oto masz jednego, tak jak chciałeś.

Deornoth spojrzał na bandaże Josui.

– Ale cena była za wysoka – zauważył.

– Pokaż mi resztę naszego stada – powiedział Josua.

Vorzheva wyszła naprzeciw Josui wracającemu wraz z towarzyszami do zagrody. Hotvig spojrzał tylko na nią i zaraz się usunął.

– Głupio postępujesz, chodząc tyle. – Córka tana zwróciła się do Deornotha: – Jak możesz ciągać go za sobą tak długo? On jest bardzo chory!

Deornoth nic nie powiedział i tylko skłonił głowę. Za to Josua uśmiechnął się.

– Uspokój się, pani – powiedział książę. – Nie wiń sir Deornotha. To ja chciałem zobaczyć konie, gdyż postanowiłem, że odjadę stąd, a nie odejdę. Co nie znaczy, że mogę przejść więcej niż kilkaset kroków, ale wkrótce nabiorę sił.

– Zwłaszcza spacerując po zimnie. – Vorzheva spojrzała gniewnie na Deornotha, jakby oczekiwała, że rycerz zacznie się z nią kłócić. Wzięła Josuę pod ramię i wszyscy troje ruszyli w stronę obozu.

Grupa księcia wciąż pozostawała w bydlęcej zagrodzie. Fikolmij oświadczył, że to, iż przegrał zakład, nie oznacza jeszcze, że powinien traktować nędznych mieszkańców kamiennych domów jak członków swoich klanów. Kilku wspaniałomyślnych Thrithingów przyniosło jednak koce, liny i tyczki do namiotów. Fikolmij nie był królem; ci, którzy pomogli byłym więźniom, omijali z daleka obóz tana, lecz nie wstydzili się i nie bali postąpić wbrew jego woli.

Idąc za radą praktycznie myślącej księżnej Gutrun, ludzie Josui utworzyli z grubych kocy namiot o podwójnym dachu zamknięty z trzech stron. Pozwala to chować się przed zimnymi deszczami, które z dnia na dzień stawały się ulewniejsze.

Ołowiane niebo wisiało niebezpiecznie nisko nad Thrithingami, jakby czyjaś gigantyczna dłoń uniosła ich pastwiska w górę. Taka zła pogoda, jaka trwała nieprzerwanie od tygodnia, a z przerwami od miesiąca, nie byłaby normalnym zjawiskiem nawet wczesną wiosną. A przecież był już środek lata i dlatego ludzie z Klanu Ogiera nie ukrywali swego niepokoju.

– Chodź, pani – powiedział Josua, kiedy dotarli do ogrodzenia zagrody. – Przespacerujmy się jeszcze kawałek.

– Nie powinieneś tyle chodzić! – zaprotestowała gwałtownie Vorzheva. – Nie z takimi ranami! Powinieneś usiąść i napić się gorącego wina.

– Przejdziemy się jeszcze trochę – oświadczył stanowczo Josua. – A potem chętnie napiję się wina. Deornoth, wybacz nam...

Deornoth skinął głową, skłonił się i ruszył w stronę bramy bydlęcej zagrody, przez chwilę obserwując ukradkiem utykającego księcia.

Zwycięstwo Josui nad Utvartem odmieniło ich sytuację. Książę, podobnie jak Vorzheva, przywdział nowy strój; chodził teraz w spodniach z miękkiej skóry, długich butach i wełnianej koszuli o bufiastych rękawach, jakie nosili strażnicy Thrithingów, a na głowie, zamiast swego książęcego diademu, miał przewiązaną jasną chustkę. Vorzheva ubrana była w obszerną szarą suknię, podwiniętą i ściągniętą pasem na biodrach, dla ochrony przed mokrą trawą; podwinięta suknia ukazywała grube, wełniane getry i niskie buty. Nie nosiła już białej opaski panny na wydaniu.

– Dlaczego mamy rozmawiać na osobności? – spytała. Ciekawość widoczna w jej oczach przeczyła niechęci, jaka zabrzmiała w pytaniu. – Co chcesz takiego powiedzieć, co trzeba ukrywać?

– Nie chcę niczego ukrywać – odparł Josua i objął ją ramieniem. – Chcę tylko, by nikt nam nie przeszkadzał.

– Moi ludzie niczego nie ukrywają – powiedziała. – Żyjemy zbyt blisko siebie.

Josua skinął głową.

– Pani, chciałem tylko powiedzieć, że jest mi przykro, bardzo przykro.

– Przykro?

– Tak. Już to powiedziałem w wozie twego ojca: źle cię traktowałem. Nie okazywałem ci należytego szacunku, na jaki zasługujesz.

Twarz Vorzhevy wykrzywił grymas radości i udręki zarazem.

– Ach, książę Josuo z Erkynlandu, ty wciąż mnie nie rozumiesz. Nie dbam o szacunek, jeśli tylko na tym ci zależy. Chcę twej uwagi! Pragnę twego serca! Jeśli to mi dasz, wtedy możesz okazywać mi swój... nieszacunek...

– Brak szacunku – podpowiedział cicho Josua.

– Brak szacunku, jak ci się tylko podoba. Nie traktuj mnie tak samo, jak traktujesz chłopów, którzy przychodzą do ciebie po sprawiedliwy sąd. Nie chcę twej rozwagi, rozważnych myśli, twego gadania, ciągłego gadania... – Szybko starła z policzka łzę złości. – Daj mi swe serce, ty przeklęty mieszkańcu kamiennego domu!

Stali teraz w wysokiej po kolana, falującej trawie.

– Próbuję – powiedział.

– Nie, nie próbujesz – syknęła z goryczą. – Twe serce wypełnia obraz tamtej kobiety, żony twojego brata. Mężczyźni! Wszyscy jesteście jak mali chłopcy; pielęgnujecie w sercach dawne miłości jak kamienie, które kiedyś znaleźliście, Jak mogę walczyć ze zmarłą kobietą? Nie mogę jej chwycić, uderzyć. Nie mogę jej odciągnąć ani iść za tobą, gdy się z nią spotykasz! – Stała na szeroko rozstawionych nogach – jakby gotowa do walki – i oddychała ciężko. Po chwili dłonie Vorzhevy opadły na brzuch i jej spojrzenie nie było już tak wojownicze. – Ale jej nie dałeś dziecka. A mnie tak.

Josua patrzył bezradnie na jej bladą twarz, rumieńce na policzkach i gęste czarne włosy. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch: z kępy trawy wynurzył się królik, usiadł na chwilę na tylnych łapach i rozejrzał się. Spojrzenie jego okrągłych, czarnych oczu spotkało się ze spojrzeniem

Josui. W następnej chwili królik skoczył do przodu i zniknął; mknął przez łąkę jak szary cień.

– Nie zrobiłaś nic złego, pani – powiedział. – Nic poza tym, że złączyłaś się z zadumanym cieniem mężczyzny. – Uśmiechnął się smutno, a potem zaraz głośno roześmiał. – Ale w pewnym sensie odrodziłem się. Pozwolono mi żyć, choć powinienem umrzeć. Muszę więc uznać to za dobry znak i spojrzeć na moje życie inaczej. Urodzisz nasze dziecko i pobierzemy się, gdy tylko dotrzemy do Kamienia Rozstania.

W oczach Vorzhevy znowu pojawiła się iskra oburzenia.

– Pobierzemy się tutaj, wśród moich ludzi – oświadczyła stanowczo. – Jesteśmy zaręczeni: przekonają się, że tak jest, i przestaną szeptać za plecami.

– Ale pani... – zaczął. – Musimy się spieszyć...

– Czy brak ci honoru? – spytała. – A co będzie, jeśli zginiesz, zanim tam dotrzemy? Dziecko będzie bękartem... a ja nie będę nawet wdową.

Josua chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz roześmiał się tylko. Objął ją ramieniem i nie zwracając uwagi na piekące rany, przytulił mocno. Opierała się przez chwilę, lecz wkrótce zmiękła, choć wciąż spoglądała nachmurzona.

– Pani, masz rację – powiedział Josua uśmiechnięty. – Nie będziemy odkładać ślubu. Udzieli go nam ojciec Strangyeard, a ja będę się tobą opiekował i będę dobrym mężem. A jeśli umrę, zanim dotrzemy do miejsca przeznaczenia, będziesz najwspanialszą wdową na tych łąkach.

Po tych słowach pocałował ją. Stali jakiś czas w deszczu, przytuleni do siebie.

– Drżysz – odezwała się wreszcie Vorzheva, lecz to jej głos wydawał się drżeć. Wysunęła się z objęć Josui. – Za dużo chodziłeś. Zepsujesz wszystko, umierając przed ślubem.

Patrzyła teraz na niego o wiele łagodniej, lecz w jej oczach wciąż czaił się cień strachu, którego nie potrafiła się pozbyć. Josua uniósł jej dłoń i ucałował. Wolno i ostrożnie jak para staruszków ruszyli w kierunku obozu.

MUSZĘ WAS OPUŚCIĆ – oświadczyła Geloë tamtego wieczoru.

Ludzie Josui siedzieli skuleni wokół ogniska, chroniąc się przed gwałtownym wiatrem, który targał ścianami ich tymczasowego schronienia.

– Nie, to niemożliwe – powiedział Josua. – Potrzebujemy twej rady.

Na myśl o tym, że czarownica odjeżdża, Deornoth poczuł jednocześnie smutek i radość.

– Spotkamy się znowu, i to niebawem – powiedziała. – Ale muszę dotrzeć pierwsza do Kamienia Pożegnania. Teraz, kiedy jesteście już bezpieczni, będę mogła zająć się pewnymi sprawami.

– O jakich sprawach mówisz? – Deornoth zorientował się zawstydzony, że w jego głosie brzmi nuta podejrzliwości, na szczęście nikt z pozostałych tego nie zauważył.

– Tam będą... – Geloë szukała właściwych słów. – Tam będą cienie. I głosy. A także niewyraźne twarze podobne do kręgów wody, do której wrzucono kamień. Muszę spróbować je odczytać, zanim nadejdą tam ludzie.

– A co powiedzą ci te rzeczy? – spytał Josua.

Geloë pokręciła siwą głową.

– Nie wiem. Może nic. Lecz Kamień znajduje się w specjalnym miejscu, miejscu o wielkiej mocy; może nauczę się czegoś. Nasz wróg jest nieśmiertelny. Może wśród nieśmiertelnych znajdziemy jakieś wskazówki, które pomogłyby nam go pokonać.

Geloë zwróciła się do księżnej Gutrun, która tuliła na kolanach śpiącą Leleth.

– Czy zaopiekujesz się dzieckiem do naszego spotkania?

– Oczywiście. – Gutrun skinęła głową.

– Dlaczego nie zabierzesz jej ze sobą? – spytał Deornoth. – Mówiłaś, że pomaga ci... zebrać siły.

Blask ognia odbijał się w ogromnych oczach Geloë.

– To prawda. Lecz ona nie potrafi podróżować w taki sposób, w jaki ja zamierzam. – Czarownica wstała i zaczęła wciągać buty na spodnie. – A przede wszystkim będę podróżowała nocą.

– Nie będzie cię na naszym ślubie! – zawołała zmartwiona Vorzheva. – Ojciec Strangyeard udzieli nam go rano.

Ci, którzy jeszcze nie znali tej wiadomości, rzucili się z życzeniami, które Josua przyjmował ze spokojem i wdziękiem, jakby siedział w sali tronowej Naglimundu. Uśmiechnięta Vorzheva w końcu się rozpłakała ze szczęścia na usłużnym ramieniu Gutrun. Leleth, gwałtownie obudzona, zsunęła się z kolan księżnej, wpatrywała się w milczeniu w całe zamieszanie, aż wreszcie pochwycił ją w ramiona ojciec Strangyeard.

– Vorzhevo, książę Josuo, to dobra wiadomość, lecz nie mogę zostać – powiedziała Geloë. – Nie sądzę, żebyście dotkliwie odczuli moją nieobecność. Nie przepadam za rozrywkami, a poza tym to, co mam zrobić, jest niezwykle ważne. Zamierzałam wyruszyć wczoraj, ale chciałam mieć pewność, że otrzymasz konie. – Wskazała w ciemność, gdzie nowe wierzchowce Josui parskały w swojej zagrodzie. – Nie mogę już dłużej czekać.

Zamieniła kilka słów na osobności z Josuą, ojcem Strangyeardem, a potem szepnęła coś do ucha Leleth. Dziewczynka przyjęła wiadomość z taką obojętnością, jakby słuchała odgłosów oceanu w morskiej muszli.

Geloë pożegnała się szybko i wyszła w ciemność; jej zniszczony płaszcz załopotał na wietrze.

Siedzący najbliżej wejścia do namiotu Deornoth wysunął głowę chwilę później. Usłyszał żałosne zawodzenie targanego wiatrem nieba, a kiedy spojrzał w górę, dostrzegł tylko przez chwilę coś ciemnego i skrzydlatego, co przeleciało na tle lodowatej tarczy księżyca.

Deornoth stał na straży – nie wierzyli aż tak bardzo Thrithingom, by zupełnie nie myśleć o swym bezpieczeństwie – kiedy z namiotu wynurzył się kulejący Josua.

– Gwiazdy prawie się nie ruszyły – szepnął Deornoth. – Spójrz. Tam jest Lampa, prawie nie drgnęła. – Wskazał na ledwie widoczne na zachmurzonym niebie skupisko gwiazd. – Wasza Wysokość, jeszcze nie twoja pora. Wracaj do łóżka.

– Nie mogę spać.

Deornoth był pewien, że w ciemności jego uśmiech pozostanie niewidoczny.

– Takie troski i wątpliwości są czymś normalnym tuż przed ślubem.

– Nie, Deornoth. Moje zmartwienia i moje wątpliwości, jak już kiedyś słusznie zauważyłeś, są trywialne. Są jednak ważniejsze rzeczy do przemyślenia.

Deornoth szczelniej otulił się płaszczem i na chwilę zapadła cisza. Noc stawała się coraz chłodniejsza.

– Cieszę się, że żyję – odezwał się wreszcie Josua. – Ale czuję się trochę jak mysz, której kot pozwolił uciec w róg pokoju. Owszem, żyję, ale jak długo to potrwa? Północ wyciąga swe ramię, a to jest coś gorszego niż zło, którego przyczyną jest mój brat. – Westchnął. – Kiedyś łudziłem się, że opowieść Jarnaugi okaże się nieprawdą, choć rzeczywistość wskazywała co innego. Lecz kiedy zobaczyłem wpatrujące się we mnie białe twarze pod

murami Naglimundu, coś we mnie umarło. Nie, nie martw się, Deornoth – dodał pospiesznie Josua. – Nie będę biegał, wygadując brednie, czego się pewnie obawiasz. Wziąłem sobie do serca twoje przestrogi. – Roześmiał się kwaśno. – Ale jednocześnie mówię samą prawdę. Istnieją nienawiści, które przenikają świat niczym krew, żywa ciepła krew. Całe moje studia nad złem wśród braci Usireanów, wszystkie ich uczone rozważania na temat diabła i jego dzieł nie powiedziały mi tyle, ile jedno spojrzenie tamtych czarnych oczu. Wierz mi, Deornoth, świat ma swe mroczne bebechy. Zastanawiam się, czy może lepiej byłoby nie wykraczać poza ogólnie dostępną wiedzę.

– Bóg z pewnością pozwala na takie rzeczy na ziemi, żeby sprawdzić naszą wiarę – odparł Deornoth. – Gdyby nikt nigdy nie widział zła, kto bałby się piekła?

– Rzeczywiście, kto? – Książę zmienił ton. – Ale nie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Zostawmy takie tematy dla Josui, który każdą rozmowę potrafi zmienić w ponure rozważania. – Znowu się roześmiał, lecz tym razem pogodniej. – Tak naprawdę przyszedłem do ciebie, byś został mym drużbą na naszym ślubie jutrzejszego ranka.

– Książę Josuo, jestem zaszczycony. Z radością... uczynię to z wielką radością.

– Deornoth, jesteś mym najwierniejszym przyjacielem.

– Ty jesteś najlepszym panem, jakiego można mieć.

– Nie mówiłem najwierniejszym wasalem czy rycerzem, Deornoth. – Josua mówił stanowczym głosem, lecz niepozbawionym szczypty humoru. – Powiedziałem „przyjacielem”. Ale nie myśl sobie, że mój drużba to tylko honor pozbawiony odpowiedzialności.

Książę spoważniał.

– Mój przyjacielu, nie mogę powiedzieć, bym dotąd rozpieszczał tych, którzy są mi drodzy. Możesz się ze mną nie zgadzać, ale to fakt. Dlatego

jeśli coś mi się stanie... chcę, abyś mi obiecał, że zaopiekujesz się Vorzhevą i naszym dzieckiem.

– Naturalnie, mój książę.

– Powiedz to – nalegał Josua. – Przysięgnij.

– Przysięgam na honor Błogosławionej Elysii, że będę troszczył się o dobro lady Vorzhevy i dziecka, które nosi w swym łonie, jakby należeli do mojej rodziny. Jeśli trzeba będzie, oddam za nich życie.

Josua uścisnął dłoń rycerza i przytrzymał ją na chwilę.

– Dobrze. Dziękuję ci. Niech Pan cię błogosławi, Deornoth.

– I ciebie, książę Josuo.

Książę westchnął.

– A także pozostałych. Czy wiesz, że jutro jest pierwszy dzień miesiąca Anitul? Znaczy to, że jutro przypada Hlafmansa. Wielu nieobecnych przyjaciół powinniśmy błogosławić dzisiejszej nocy; oni z pewnością są o wiele bliżej przerażającej twarzy ciemności niż my.

Deornoth dostrzegł przemykający cień, kiedy książę zrobił znak Drzewa. Stali długo w milczeniu, zanim Josua ponownie przemówił.

– Niech Bóg wszystkich nas błogosławi i uchroni przed złem.

MĘŻCZYŹNI WSTALI O ŚWICIE, by osiodłać konie i zapakować zapasy, jakie otrzymali za dwa konie, które Josua wymienił na ubrania i żywność. Ponieważ Leleth miała jechać z Gutrun, a Towser z Sangfugolem, pozostałe cztery konie mogły wieźć bagaże.

Kiedy konie były już gotowe, a mężczyźni powrócili do zagrody, wokół zebrała się spora grupka ciekawskich Thrithingów.

– Czy rozsyłałaś zaproszenia? – spytał surowo Josua.

Vorzheva popatrzyła na niego niewzruszona. Na czole miała teraz białą przepaskę panny młodej.

– Czy myślisz, że moi ludzie nie zauważyli, jak się pakujecie? – rzuciła. – A poza tym co za pożytek ze ślubu, który odbywa się potajemnie, jakby się coś kradło?

Odeszła dumnie wyprostowana, powiewając szeroką spódnicą ślubnej sukni. Po chwili wróciła, prowadząc młodą dziewczynę.

– To jest Hyara, moja młodsza siostra – wyjaśniła Vorzheva. – Pewnego dnia wyjdzie za mąż, więc chcę, żeby zobaczyła, że nie zawsze musi to być tak okropne.

– Postaram się wyglądać na kogoś, za kogo z przyjemnością można się wydać – powiedział Josua, unosząc brwi.

Hyara wpatrywała się w niego jak spłoszony jeleń.

Vorzheva nalegała, by ceremonia odbyła się pod gołym niebem, w obecności jej ludzi. Dlatego orszak ślubny wyszedł spod prowizorycznego namiotu. Ojciec Strangyeard mamrotał coś przestraszony, próbując przypomnieć sobie najważniejsze elementy ceremonii ślubnej; oczywiście nie miał ze sobą *Księgi Aedona*, a do tego nigdy dotąd nie udzielał ślubu. W gruncie rzeczy z osób żywotnie zainteresowanych sprawą on denerwował się najbardziej. Młoda Hyara wyczuła w nim pokrewną duszę, więc przycisnęła się do niego, tak że prawie znalazła się między jego nogami, co wcale nie poprawiło samopoczucia duchownego.

Wokół ogrodzenia bydlęcej zagrody zebrał się tłum ciekawskich i wesołych Thrithingów. „Są w podobnym nastroju jak w dniu kiedy przybyli obejrzeć śmierć Josui w pojedynku” – pomyślał Deornoth. Wśród tłumu znalazły się też matka i siostry zmarłego Utvarta, któremu nie udało się posiekać Josui. Wszystkie, ubrane w identyczne granatowe suknie

i chusty, patrzyły smutno na wychodzących mieszkańców kamiennych domów z zaciśniętymi zawzięcie ustami.

Choć przybycie rodziny Utvarta było pewnym zaskoczeniem, w zdumienie wprawiło wszystkich obecnych przybycie Fikolmija. Tan, który z wściekłości nie pokazywał się nigdzie po zwycięstwie Josui, teraz wszedł chwiejnym krokiem do zagrody w otoczeniu kilku przestraszonych Thrithingów. Choć minęła zaledwie godzina od świtu, czerwone oczy Fikolmija mówiły wyraźnie, że zdążył się już upić.

– Na Stepowy Grom! – ryknął. – Nie myśleliście chyba, że pozwoliłbym córce poślubić bogatego męża i nie przyszedł cieszyć się ich szczęściem? – Poklepał się po ogromnym brzuchu i zaśmiał się rubasznie. – Śmiało! Śmiało! Chcemy zobaczyć, jak wyglądają śluby w kamiennych labiryntach ich mieszkańców!

Słysząc ryk ojca, mała Hyara cofnęła się o krok i zaczęła rozglądać przerażona, gotowa do ucieczki. Deornoth chwycił ją za łokieć i przytrzymał delikatnie, aż uspokojona wróciła na swoje miejsce u boku Vorzhevy. Kompletnie przerażony ojciec Strangyeard kilkakrotnie zaczynał *Mansa Connoyis* – Modlitwę Połączenia – lecz bez powodzenia; za każdym razem gubił się po kilku wersetach i przerywał jak młyńskie koło, które pracuje nierówno poruszane przez krnąbrnego woła. Każda nieudana próba wywoływała głośniejszą salwę śmiechu Fikolmija i towarzyszących mu wojowników. I tak już czerwony duchowny czerwienił się coraz bardziej. Wreszcie Josua nachylił się i szepnął mu do ucha:

– Ojcze, jesteś przecież Tym, Który Nosi Zwój, tak jak twój przyjaciel Jarnauga – powiedział tak cicho, że tylko Strangyeard mógł usłyszeć. – Z pewnością taka prosta mansa jest dla ciebie dziecinną igraszką; nie przejmuj się nimi.

– Jednooki udziela ślubu jednorękiemu! – zawołał Fikolmij.

Strangyeard szarpnął nerwowo opaskę na oku i pokiwał głową.

– Ma...masz rację, książę. Wybacz. Kontynuujmy.

Wymawiając z uwagą poszczególne słowa, Strangyeard brnął przez długą ceremonię, jakby szedł przez głęboką i niebezpieczną wodę. Tan i jego towarzysze krzyczeli coraz głośniej, ale duchowny nie zwracał już na nich uwagi. Zebrani Thrithingowie mieli dość grubiaństwa Fikolmija. Za każdym razem, kiedy rzucał niestosowny żart, rozlegały się coraz głośniejsze pomruki niezadowolenia.

Kiedy Strangyeard zbliżał się do końca modlitwy, nadjechał Hotvig. Był potargany i rozchełstany, jakby pędził przez całą drogę do obozu.

Jeździec rozglądał się przez chwilę po zebranych, wreszcie zsiadł z konia i podszedł do tana. Powiedział mu coś szybko i wskazał ręką na zachód, skąd przyjechał. Fikolmij skinął głową najwyraźniej zadowolony, przemówił do siedzących obok Thrithingów, którzy wybuchnęli gromkim śmiechem. Hotvig patrzył na nich zdumiony, lecz jego zdumienie szybko przeszło w gniew. Kiedy Fikolmij i jego towarzysze wciąż rechotali rozbawieni przyniesioną wiadomością, Hotvig podszedł do ogrodzenia i skinął na Isorna. Młody Thrithing szepnął mu coś do ucha i Rimmersman otworzył szeroko oczy. Kiedy ojciec Strangyeard przerwał na chwilę modlitwę i schylił się po rytualny dzbanek z wodą, syn Isgrimnura podszedł do Josui.

– Wybacz, Josuo – szepnął. – Hotvig mówi, że do obozu zbliża się około sześćdziesięciu uzbrojonych jeźdźców. Są prawie milę stąd, ale jadą bardzo szybko. Na herbie przywódcy jest purpurowo-srebrzysty sokół.

Josua krzyknął zaskoczony.

– Fengbald! Co ten sukinsyn tutaj robi?

– Fengbald? – powtórzył jak echo Deornoth. To imię wydało mu się pochodzić z innego wieku. – Fengbald?

Przez tłum przebieg pomruk zdziwienia.

– Josuo! – syknęła Vorzheva. – Jak możesz mówić teraz o takich sprawach?

– Pani, przykro mi bardzo, ale nie mamy wyboru. – Zwrócił się do Strangyearda, który stał zdumiony, czując, że znowu traci pewność siebie. – Kończ szybko – ponaglił go Josua.

– Co?

– Mów zakończenie, człowieku. Pośpiesz się! Nie chcę, żeby mówili, że złamałem obietnicę i zostawiłem narzeczoną przed ślubem, ale jeśli zostaniemy tutaj dłużej, ona owdowieje, jeszcze zanim skończy się mansa. – Szturchnął delikatnie duchownego. – Strangyeardzie, kończ!

Archiwista wytrzeszczył jedyne oko.

– Niech miłość Zbawcy, Jego Matki Elysii i Jego Ojca Najwyższego pobłogosławi ten związek. Ob...obyście żyli długo, a wasza miłość niech trwa jeszcze dłużej. Jesteście mężem i żoną. – Machnął dłonią niecierpliwie. – Tak właśnie. Jesteście mężem i żoną, tak jak powiedziałem.

Josua pochylił się i ucałował zdumioną Vorzhevę, zaraz potem chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku bramy wybiegu. Za nimi biegł Isorn z pozostałymi.

– Josuo, czy tak ci śpieszno do nocy poślubnej? – szydził Fikolmij. Wraz ze swoimi ludźmi przepchnął się do bramy, gdy tymczasem pozostali Thrithingowie pytali, co się dzieje. – Zdaje się, że się śpieszycie.

– Ty wiesz dlaczego! – krzyknął do niego Deornoth, który z trudem powstrzymywał się, by nie wyciągnąć miecza. – Wiedziałeś, że przyjadą, co? Ty podstępny psie!

– Uważaj na to, co mówisz, człowieczku – warknął Fikolmij. – Powiedziałem tylko, że nie będę was zatrzymywał. Już dawno wysłałem wiadomość do Króla, gdy tylko wkroczyliście na moje terytorium. –

Roześmiał się głośno. – Dlatego nie złamałem żadnej obietnicy. Ale proszę, wyciągajcie miecze, jeśli chcecie walczyć ze mną i moimi ludźmi, zanim przyjadą Erkynlandczycy. A jeśli nie, wsiadajcie na swoje koniki i ruszajcie w drogę.

Vorzheva wyrwała się Josui. Podbiegła do swego ojca i uderzyła mocno w twarz.

– Zabiłeś moją matkę! – krzyknęła. – Ale kiedyś ja ciebie zabiję!

Zanim Fikolmij zdołał ją chwycić, już była u boku Josui. Najdel wysunął się z pochwy księcia i kołysał się groźnie niczym jęzor ognia na tle szarego nieba. Fikolmij wpatrywał się w Josuę czerwony ze złości. Widać było, że z trudem się opanowuje. Odwrócił się nonszalancko tyłem.

– Jedźcie, jeśli wam życie miłe – warknął. – Nie łamię obietnicy z powodu babskiego uderzenia.

– Josuo, Vorzhevo, tan tym razem słusznie powiedział – zawołał Hotvig. – Musicie jechać, jeśli wam życie miłe. Szybko jechać. Ale nie wszystko stracone. Macie godzinę przewagi i wypoczęte konie. Znajdę paru chętnych, którzy pomogą mi ich trochę zatrzymać.

Deornoth spojrzał na niego.

– Ty... znajdziesz... Ale przecież Fikolmij chce, żeby nas złapali.

Hotvig pokręcił energicznie głową.

– Nie wszyscy popierają tana. Dokąd jedziecie?

Josua wahał się przez chwilę, wreszcie powiedział:

– Hotvigu, proszę, nie mów tego naszym wrogom. Jedziemy na północ od miejsca, w którym łączą się rzeki, do Kamienia Pożegnania.

Thrithing popatrzył na niego dziwnie.

– Słyszałem o nim – powiedział. – Jedźcie szybko. Może się jeszcze spotkamy.

Hotvig odwrócił się i patrzył długo na Vorzhevę, po czym skłonił głowę.

– Powiedz swoim towarzyszom, że nie wszyscy Thrithingowie są tacy jak twój ojciec. – Po tych słowach odszedł.

– Nie ma czasu na gadanie! – zawołał Josua. – Na koń!

ZEWNĘTRZNE PASTWISKA OBOZU szybko zostawały w tyle. Choć jeźdźcy byli ranni lub niedoświadczeni, Vinyafod i pozostałe wierzchowce chciwie połykały przestrzeń. Spod ich kopyt wylatywały kępy trawy.

– Niestety, coś mi to przypomina – zawołał Josua do Deornotha i Isorna.

– Co?

– Znowu uciekamy ścigani przez silniejszego wroga! – Josua machnął ramieniem. – Mam już dosyć odwracania się plecami, bez względu na to, czy jest to mój brat, czy też słudzy Króla Burz!

Deornoth spojrzał na sine niebo, a potem zerknął przez ramię. Z tyłu widać było już tylko pojedyncze krowy, ale nie dostrzegł oznak pościgu.

– Musimy znaleźć jakieś miejsce i założyć tam twierdzę, książę! – zawołał.

– Masz rację! – zgodził się z nim Isorn. – Zobaczysz, ludzie będą zbierali się pod twoim sztandarem!

– A jak nas znajdą? – zawołał Josua, uśmiechając się drwiąco. – Jak ci ludzie nas znajdą?

– Jakoś znajdą – odkrzyknął Isorn. – Wszyscy inni jakoś znajdują. – Roześmiał się.

Książę i Deornoth zawtórowali mu. Vorzheva i pozostali patrzyli na nich jak na szaleńców.

– Jedźmy! Teraz jestem żonatym banitą!

PRZEZ CAŁY DZIEŃ SŁOŃCE prawie się nie pokazało. Kiedy słabe światło dnia zaczęło wreszcie gasnąć, a wieczór rozciągnął swój całun na niebie, książę i jego ludzie zdecydowali się rozbić obóz.

Wciąż jechali na północ, aż wczesnym popołudniem dojechali do rzeki Ymstrecca; przekroczyli ją błotnistym brodem, którego brzegi nosiły liczne ślady kopyt. Josua zdecydował, że bezpieczniej będzie jechać przeciwległym brzegiem rzeki, skąd od lasu dzieliła ich tylko godzina szybkiej jazdy. Jeśli Fengbald wciąż ich ścigał, mieli przynajmniej szansę ucieczki do lasu Aldheorte, którego gęstwina uniemożliwiała atak każdego wroga.

Mimo ciągłej obserwacji nie zauważyli jeźdźców Wielkiego Króla. Noc także minęła spokojnie. Rano posilili się chlebem z suszonym mięsem i ruszyli dalej. Wciąż jechali szybko, ale strach minął. Jeśli Hotvig próbował przeszkodzić Fengbaldowi, to najwyraźniej mu się to udało. Jedynym prawdziwym utrapieniem były cierpienia tych, którzy nie przywykli do konnej jazdy. W świetle zimnego, szarego poranka wciąż rozlegały się bolesne okrzyki.

Drugiego dnia podróży przez zieloną, lecz nieprzyjazną równinę Josua i jego ludzie ujrzeli wzdłuż brzegu rzeki duże, zadaszone wozy oraz chaty sklecone z błota i patyków. W kilku miejscach powstały nawet malutkie osady składające się z paru chat przyklejonych do siebie, jakby szukały towarzystwa na ciemnej równinie. Chłodne łąki spowijała gęsta mgła, tak że podróżni nie mogli się zorientować, czy mieszkają tu Thrithingowie, czy jakaś inna nacja.

– Hotvig miał rację – powiedział zamyślony Josua, kiedy mijali jedną z osad. Na rzece płynącej z tyłu chat podskakiwały niewyraźne postacie:

byli to osadnicy zarzucający sieci. – Wydaje mi się, że to Erkynlandczycy. Widzicie, na ścianie tamtej chaty wymalowane jest Święte Drzewo! Ale skąd oni się tutaj wzięli! Nasi ludzie nigdy nie mieszkali na tych terenach.

– Niepokoje, nieudane zbiory – powiedział Strangyeard. – Boże, jak ludzie muszą cierpieć w Erchesterze!

– To pewnie pobożni ludzie, którzy wiedzą, że Elias kuma się z diabłem – powiedziała Gutrun. Przycisnęła mocniej Leleth do swego pokaźnego biustu, jakby chciała ochronić dziewczynkę przed wspólnikami Wielkiego Króla.

– Panie, czy nie powiemy im, kim jesteś? W liczebności siła, a nas jest tak mało. Poza tym, jeśli oni są Erkynlandczykami, jesteś ich prawowitym księciem.

Josua spojrzał na widniejącą w oddali osadę i pokręcił głową.

– Może przybyli tutaj, żeby uciec od wszelkich książąt, prawowitych czy nie. Ponadto, jeśli nas ścigają, dlaczego mamy ich narażać, mówiąc, kim jesteśmy i dokąd jedziemy? Nie, ujawnimy się, dopiero gdy będziemy mieli twierdzę. Wtedy będą mogli przyjść do nas, jeśli zechcą, nie wymuszajmy tej decyzji końmi i mieczami.

Deornoth starał się nie okazywać tego po sobie, ale czuł się rozczarowany. Tak bardzo potrzebowali sprzymierzeńców. Dlaczego Josua zawsze musiał być taki prawy i ostrożny? Jasne było, że w niektórych sprawach książę nigdy się nie zmieni.

W miarę jak posuwali się przez posępny step, pogoda stale się pogarszała, jakby zawędrowali do kraju, gdzie zawitała zima, zamiast wczesnych dni miesiąca Anitul, czyli pełni lata. Północny wiatr sypał śniegiem, a przepastne niebo na stałe oblekło się ponurą szarością niczym popioły ognisk.

Choć krajobraz stawał się coraz bardziej ponury i nieprzyjazny, podróżni napotykali coraz większe osady na brzegach Ymstrecca, osady, które bardziej wydawały się gromadzić, niż rozrastać. Podobnie jak rzeka, która niesie liście, patyki i muł, zanim wyrzuci je gdzieś na mieliźnie, tak samo te osady wydawały się przybywać w to dziwne, nieprzyjazne miejsce przypadkiem; jakby zatrzymały się lub utknęły w zwężeniu rzeki, gdy tymczasem siła, które je tutaj przyniosła, pędziła dalej bez nich.

Jechali w milczeniu obok malutkich, rozklekotanych domostw, zarodków miast liczących nie więcej niż tuzin obskurnych chat, niemal tak samo nieprzyjaznych jak cała ta ziemia.

Spędziwszy drugą, trzecią i czwartą noc pod zachmurzonym, bezgwiezdnym niebem, wygnańcy dotarli na skraj doliny rzeki Stefflod. Kolejny wieczór przyniósł więcej śniegu i jeszcze zimniejsze powietrze, ale ciemność rozjaśniały liczne światła: płonęły pochodnie, ogniska, setki ognisk, które przypominały klejnoty wrzucone do ciemnej misy ujścia doliny. Podróżni napotkali największą jak dotąd osadę. Było to prawie miasto pełne ubogich chat skupionych w dolinie, gdzie spotykały się rzeki Ymstrecca i Stefflod. Po tak długiej podróży przez bezludne łąki widok ten dodał im otuchy.

– Książę, wciąż zachowujemy się jak złodzieje – szepnął Deornoth gniewnie. – Mój panie, jesteś synem Prestera Johna. Dlaczego ciągle musimy czaić się jak złodzieje?

Josua uśmiechnął się. Wciąż miał na sobie brudny strój Thrithingów, choć jedną z rzeczy, jakie wytargował za konie, było zapasowe ubranie.

– Deornoth, już nie prosisz mnie o przebaczenie jak dawniej za swoją bezpośredniość. Nie, nie przepraszaj. Zbyt wiele razem przeżyliśmy, bym miał się gniewać na ciebie. Masz rację, nie przybywamy tutaj jak przystało księciu i jego dworowi – żałosny to dwór, w każdym razie. Nie będziemy

jednak narażać kobiet i małej Leleth na niepotrzebne niebezpieczeństwo. – Odwrócił się do Isorna, który jak dotąd był najcichszy z ich trójki. – Przede wszystkim musimy uważać, by nikt nie się domyślił, że nie jesteśmy zwykłymi podróżnymi. Ty, Isornie, wyglądasz na zbyt dobrze odżywionego. A poza tym ci biedacy mogliby się przestraszyć takiego olbrzyma. – Zachichotał i klepnął krzepkiego Rimmersmana w bok. Zaskoczony nagłym przypływem dobrego humoru księcia, Isorn potknął się i niemal przewrócił.

– Josuo, nie mogę się skurczyć – mruknął. – Dobrze, że nie jestem tak ogromny jak mój ojciec, wtedy biedacy pouciekaliby z wrzaskiem w ciemną noc.

– Ach, jak mi brak Isgrimnura – powiedział Josua. – Niech Aedon ma twego ojca w opiece i pozwoli mu wrócić do nas bezpiecznie.

– Moja matka tęskni za nim bardzo i martwi się o niego – powiedział cicho Isorn. – Ale nigdy o tym nie mówi – dodał z powagą.

Josua spojrzał na niego uważnie.

– Tak, twoja rodzina nie należy do płaczliwych krzykaczy.

– Cokolwiek by mówić – wtrącił nagle Deornoth – Isgrimnur potrafi narobić zamieszania, kiedy jest niezadowolony! Pamiętam, jak dowiedział się, że Skali ma przyjechać na pogrzeb Króla Johna. Rzucił krzesłem w witraż biskupa Domitisa, rozbijając go na kawałki. Ach, a niech mnie! – Śmiejąc się, Deornoth potknął się o kępę trawy w ciemności. Księżyc tej nocy skąpił najwyraźniej swego światła. – Isornie, trzymaj bliżej pochodnię. A właściwie dlaczego idziemy pieszo i prowadzimy konie?

– Dlatego, że jeśli złamiesz nogę, poniesie cię koń – wyjaśnił rzeczowo książę. – Lecz jeśli złamie nogę twój nowy koń, czy ty go poniesiesz?

Rozmawiając o ojcu Isorna i jego legendarnym temperamencie – za który zawsze przepraszał, kiedy już ochłonął – schodzili trawiastym

zboczem w kierunku najbliższych świateł. Reszta grupy pozostała w obozie na skraju doliny; ognisko, którego pilnowała księżna Gutrun, przypominało z dołu malutką latarnię morską.

Stado zmarzniętych i wygłodniałych psów zaszczekało i rozpierzchło się na widok zbliżającej się trójki. Kilka niewyraźnych postaci obserwowało ich znad swych ognisk; inni stali z rękami założonymi na piersi przed zasłonami drzwi swych ubogich chat, także patrząc na przechodniów, lecz jeśli nawet dostrzegli coś podejrzanego, nikt ich nie zaczepił. Podsłuchane strzępy rozmów upewniły ich, że osadnicy rzeczywiście w większości byli Erkynlandczykami – mówili zarówno w języku dawnego Erkynlandu, jak i Westerling. Tu i ówdzie dało się też słyszeć gardłowy język Hernystiru.

Między domami napotkali kobietę, która rozmawiała z sąsiadką o króliku przyniesionym przez syna i o tym, jak ugotowali go na parze z kwasieniem, by uczcić Hlafmansę.

„Dziwne – pomyślał Deornoth. – Rozmawiają o tak trywialnych sprawach w samym środku tych pustych stepów, jakby za skałą stał kościół, do którego pójdą rano się modlić, albo jakby pod drzewem stał stragan z piwem, którym popiją swoją potrawkę z królika”.

Kobieta w średnim wieku, rumiana, o surowej twarzy, odwróciła się, gdy nadeszli, i przyglądała im się z ciekawością, ale i strachem. Isorn i Deornoth przeszli na drugą stronę ścieżki, by ją ominąć, lecz Josua zatrzymał się.

– Miłego wieczoru, dobra kobieto – powiedział książę, przekrzywiając głowę tak, że wyglądało, jakby się kłaniał. Czy wiesz, gdzie moglibyśmy dostać coś do jedzenia? Jesteśmy podróżnymi i możemy zapłacić pieniędzmi. Czy ktoś ma tu coś do sprzedania?

Kobieta przyjrzała mu się uważnie, a potem zwróciła się do swej towarzyszki.

– Nie ma tu żadnych gospód ani tawern – rzuciła ponuro. – Każdy trzyma dla siebie to, co ma.

Josua skinął wolno głową, jakby przesiewał drobinki najczystszego złota mądrości jej odpowiedzi.

– A jak nazywa się to miejsce? Nie ma go na żadnej mapie.

– Pewnie, że nie – prychnęła. – Nie było go tutaj jeszcze dwa lata temu. Tak naprawdę nie ma żadnej nazwy, ale ludzie nazywają je Gadrinsett.

– Gadrinsett – powtórzył Josua. – Miejsce Spotkań.

– Ludzie nie zbierają się tu w jakimś określonym celu. – Skrzywiła się. – Po prostu nie mogą iść dalej.

– Dlaczego? – spytał Josua.

Kobieta zignorowała pytanie i zaczęła się uważnie przyglądać księciu.

– Jeśli chcecie zjeść i zapłacicie za to, może będę mogła wam pomóc. Ale najpierw pokażcie pieniądze.

Josua pokazał jej garść cintisów i quinisów, które przywiózł w swej sakiewce z Naglimundu. Kobieta pokręciła głową.

– Miedziaków nie biorę. Ale dalej nad rzeką niektórzy sprzedają za srebrne monety. Macie coś do sprzedania? Skórzane popręgi od siodła, sprzączki, zapasowe ubrania? – Spojrzała na strój Josui i uśmiechnęła się ironicznie. – Nie, nie sądzę, żebyście mieli zapasowe ubrania. Chodźcie zatem, dam wam zupy, a wy opowiecie mi, co się dzieje w świecie.

Machnęła do swojej sąsiadki, która wciąż stała w bezpiecznej odległości, przyglądając się całej transakcji z szeroko otwartymi ustami, i poprowadziła ich między chatami.

Kobieta miała na imię Ielda i choć kilka razy powtarzała, że jej mąż może wrócić w każdej chwili, Deornoth sądził raczej, że chodziło o to, by zniechęcić obcych przed ewentualnym zamiarem obrabowania jej. W całym domostwie składającym się z rozlatującej się chaty i ogniska rozpalonego przed drzwiami nie było najmniejszego śladu mężczyzny, który mógłby tu mieszkać. Za to miała dzieci, i to kilkoro; jednak trudno było rozpoznać ich płeć z powodu ciemności i brudu. Dzieci gapiły się na obcych wybałuszonymi oczami z taką samą uwagą, z jaką obserwowałyby węża połykającego żabę.

Otrzymawszy srebrnego quinisa, który natychmiast zniknął w jej kieszeni, Ielda nalała im po misce zupy, a potem przyniosła skądś dzban piwa, które, jak twierdziła, jej mąż przywiózł aż z Falshire, gdzie poprzednio mieszkali. To utwierdziło Deornotha w przekonaniu, że jej mąż nie żyje: jaki mężczyzna mieszkający na takim odludziu wytrzymałby tak długo, nie wypijając swego piwa?

Josua podziękował z powagą. Cała trójka przekazała sobie już dzban kilkakrotnie, zanim przyszło im do głowy, że może i Ielda także by się napiła. Przyjęła dzban z wyraźną wdzięcznością i pociągnęła kilka solidnych łyków. Dzieci dyskutowały w dziwnym języku, który składał się głównie z pomruków, kilku rozpoznawalnych słów oraz powtarzanych często szturchnięć w głowę i plecy.

Ielda powoli zaczynała oswajać się ze swoimi gośćmi. Początkowo nieufna, wkrótce opowiedziała wszystko, co było jej wiadome o Gadrinsett i jego mieszkańcach. Okazała się bystra i pełna humoru. Choć podróżnych interesowała przede wszystkim informacja, jak dostać się do miejsca ich przeznaczenia – wskazówki Geloë nie były bardzo dokładne – z przyjemnością słuchali Ieldy naśladującej swoich sąsiadów.

Podobnie jak wielu innych mieszkańców Gadrinsett, Ielda wraz z rodziną uciekła z Falshire, kiedy Fengbald na czele gwardii erkynlandzkiej spalił dzielnicę handlarzy wełną za sprzeciw wobec Eliasa. Ielda wyjaśniła, że Gadrinsett jest większe, niż się podróżnym wydaje; według jej słów, ciągnęło się dalej wzdłuż doliny, a część wzgórz zasłaniała dalsze ogniska. Dodała też, że ludzie osiedlają się raczej tutaj, gdyż ziemia za miejscem, w którym łączą się rzeki Stefflod i Ymstrecca, jest niebezpieczna i cieszy się złą sławą.

– Jest tam pełno tajemniczych postaci – mówiła ożywiona. – Są tam kopce, na których nocami tańczą dusze. Dlatego Thrithingowie zostawili nas w spokoju, i tak by tutaj nie mieszkali. – Ściszyła głos i otworzyła szerzej oczy. – Jest tam też wzgórze, na którym spotykają się czarownice, wzgórze pełne magicznych kamieni, gorsze nawet od Thisterborg koło Erchesteru, jeśli słyszeliście kiedyś o tym złym miejscu. Niedaleko wzgórza jest miasto diabłów, przeklęte miejsce. – Tak, tam za rzeką pełno jest czarów; niektórym kobietom od nas zginęły dzieci. A jednej podrzucili odmieńca – wiecie, spiczaste uszy i tak dalej!

– To magiczne wzgórze chyba rzeczywiście jest okropnym miejscem – powiedział Josua z niezwykłą powagą, mrugając do Deornotha. – Gdzie to jest?

Ielda wskazała w ciemność.

– Prosto, w górę Stefflod. Dobrze robicie, że nie chcecie tam jechać. – Nagle zmarszczyła brwi. – A dokąd jedziecie?

Deornoth uprzedził Josuę.

– Jesteśmy podróżującymi rycerzami i mamy nadzieję przyłożyć nasze miecze do jakiegoś wielkiego zadania. Słyszeliśmy, że książę Josua, młodszy syn Wielkiego Króla Johna przybył na wschodnie ziemie i planuje obalić swego nikczemnego brata, Króla Eliasa. – Starając się zachować

powagę, Deornoth nie zwracał uwagi na pełne irytacji gesty Josui. – Chcielibyśmy przyłączyć się do niego.

Ielda prychnęła i powróciła do wyrabiania ciasta.

– Książę Josua? Tutaj, na stepach? A to dobry żart. Nie, żebym nie chciała tego. Ale nic już nie jest normalne od śmierci starego Prestera Johna, Panie, błogosław go. – Spoważniała, w jej oczach zalśniły łzy. – Ciężko nam wszystkim, bardzo ciężko...

Wstała nagle i zaczęła rozkładać spłaszczone kulki ciasta na czystym kamieniu ustawionym na brzegu paleniska; po chwili zaczęły cicho skwierczeć.

– Pójdę do sąsiadki – oświadczyła Ielda – i zobaczę, czy da się pożyczyć jeszcze trochę piwa. Nie będę jej powtarzała tego, coście mi naopowiadali o księciu, boby się uśmiała. Pilnujcie tych placuszków, dopóki nie wrócę; piekę je dla dzieci na rano. – Wstała i odeszła w ciemność, ocierając oczy brudnym szalem.

– Deornoth, co za głupoty wygadujesz? – rzucił Josua gniewnie.

– Ale słyszałeś? Ludzie tacy jak ona czekają, że coś zrobisz. Jesteś ich księciem. – Deornothowi wydawało się to tak oczywiste. Czyż Josua tego nie rozumie?

– Księciem czego? Księciem ruin, pustych łąk i stepów. Nie mogę im nic dać, przynajmniej na razie.

Josua wstał i przeszedł na skraj obozu. Dzieci Ieldy zerkały na niego ciekawie; białka ich oczu lśniły w ciemnym wejściu.

– Ale czy zyskasz cokolwiek bez pomocy ludzi? – spytał Isorn. – Deornoth ma rację. Jeżeli Fengbald wie, gdzie jesteśmy, to nie.

– Nie powstrzyma Guthwulfa i królewskiej armii.

– Jeżeli skieruje na nas swoją armię – odparł stanowczo Josua, machając ręką w geście rezygnacji – to kilkuset mieszkańców Gadrinsett

będzie znaczyło tyle co nic. Dlatego nie ma sensu mieszać ich do tego. My będziemy mogli skryć się w lesie Aldheorte, ale nie oni.

– I znowu planujemy odwrót, Książę – odpowiedział ze złością Deornoth. – Sam mówiłeś, że masz już tego dość!

Cała trójka sprzeczała się aż do powrotu Ieldy. Zamilkli natychmiast, zastanawiając się, ile usłyszała z ich rozmowy. Ale ich rozmowa była ostatnią rzeczą, jaka ją interesowała.

– Moje placki! – wrzasnęła i zaczęła ściągać je kolejno, sycząc za każdym razem, kiedy oparzyła palec. Wszystkie były czarne jak dusza Pryratesa. – Potwory! Jak mogliście? Wygadujecie te swoje bzdury o księciu, zamiast pilnować moich placków! – Odwróciła się i trzepnęła Isorna w potężne plecy.

– Przepraszam, dobra kobieto, Ieldo – powiedział książę, wyjmując kolejnego quinisa. – Proszę, weź to i nie gniewaj się...

– Pieniądze! – krzyknęła, lecz zabrała monetę. – A co z plackami? Czy jutro dam dzieciom pieniądze do jedzenia, kiedy będą płakały? – Chwyciła zrobioną z gałęzi miotłę i zamierzyła się w głowę Deornotha, zrzucając go nieomal z kamienia, na którym siedział. Skoczył na równe nogi i dołączył do Josui i Isorna, którzy już się wycofywali.

– Żebyście mi się tu więcej nie pokazywali! – wołała za nimi. – Będą pomagali wielkiej sprawie, też mi coś! Niszczyciele placków! Sąsiadka mówi, że książę nie żyje, a wy swoim gadaniem nie przywrócicie mu życia!

Zostawiając za sobą gniewne okrzyki Ieldy, Josua i jego towarzysze dotarli do koni i ruszyli skrajem Gadrinsett.

– Przynajmniej dowiedzieliśmy się, gdzie jest Kamień Pożegnania – przemówił Josua, kiedy uszli kawałek.

– Dowiedzieliśmy się czegoś więcej, Wasza Wysokość – dodał Deornoth, uśmiechając się. – Zobaczyliśmy, jakie gorące uczucia wciąż

wywołuje twoje imię wśród poddanych.

– Josuo, może i jesteś Księciem Stepów – wtrącił Isorn – ale z pewnością nie jesteś Księciem Placków.

Josua obrzucił obu pogardliwym spojrzeniem.

– Wolałbym wracać do obozu w milczeniu – wycedził wolno.

22. Brama Letniego Miasta

ŻADNA DROGA NAS TAM nie zaprowadzi – oświadczyła zdecydowanie Aditu. – Pomoże nam w tym pieśń.

Simon skrzywił się rozzłoszczony. Zadał proste pytanie, a siostra Jirikiego na swój sithijski, zwariowany sposób już po raz kolejny dawała mu odpowiedź, która wcale nie była odpowiedzią. Było zbyt zimno, żeby stać i wygadywać głupoty. Spróbował jeszcze raz.

– Jeżeli nie ma drogi, musi być przynajmniej jakiś kierunek. W którym to jest kierunku?

– Do środka. Do serca lasu.

Simon zerknął na słońce, żeby spróbować się zorientować.

– A więc to będzie... tam? – Wskazał na południe, dokąd wcześniej zmierzał.

– Niezupełnie. Czasami tak. Tak byłoby w wypadku, gdybyś chciał wejść przez Deszczową Bramę. Lecz to nie jest właściwe wejście o tej porze roku. Nie, my szukamy Letniej Bramy, a to inna pieśń.

– Wciąż mówisz o pieśni. Jak możesz dostać się gdzieś za pomocą pieśni?

– Jak? – powtórzyła zamyślona, a potem spojrzała uważnie na Simona. – Masz dziwny sposób myślenia. – Czy wiesz, jak się gra w shent?

– Nie. A co to ma do rzeczy?

– Mógłbyś się okazać ciekawym graczem. Zastanawiam się, czy ktokolwiek grał kiedyś ze śmiertelnikiem? Nikt z nas nie zadawałby takich pytań. Muszę nauczyć cię zasad gry.

Simon zaczął mruczeć pod nosem niezadowolony, lecz Aditu uniosła dłoń, powstrzymując jego protesty. Stała nieruchomo; jej lawendowe włosy drżały poruszane wiatrem. W białym stroju była prawie niewidoczna na tle śniegu. Wydawało się, że zasnęła na stojąco, jak bocian drzemiący wśród trzcin na jednej nodze, lecz lśniące oczy pozostały otwarte. Wreszcie zaczęła oddychać głęboko, wypuszczając powietrze z sykiem. Wkrótce głębokie oddechy przeszły w nucący dźwięk, który nie wydawał się wcale wydobywać z ust Aditu. Wiatr, który dotąd napierał swą zimną łapą na policzek Simona, nagle zmienił kierunek.

Po chwili zdał sobie sprawę, że nie tylko kierunek wiatru się zmienił. Wydawało się raczej, że wszystko wokół przesuwa się powoli; było to uczucie przyprawiające o zawrót głowy. Jako dziecko czasem kręcił się długo w kółko, a kiedy się zatrzymywał, świat nadal wirował. Teraz czuł się podobnie, lecz wirowanie nie było tak gwałtowne, jakby świat pod jego stopami poruszał się z precyzją otwierających się płatków kwiatów.

Nucenie Aditu przeszło w litanię sithijskich słów, a potem znowu stało się tylko milczącym oddechem. Wydawało się, że ciemne światło, które z trudem przedzierało się przez ośnieżone korony drzew, nabrało cieplejszych barw; szarość przeszła w złoto i błękit.

– Czy to magia? – Simon usłyszał, jak jego głos rozbija ciszę. Poczuł się nieswojo.

Aditu odwróciła głowę w jego stronę, lecz nie okazywała złości.

– Nie wiem, czy dobrze cię rozumiem. W taki sposób odnajdujemy ukryte miejsca, a takim miejscem jest Jao e-Tinukai’i. Ale same słowa nie

posiadają mocy, jeśli o to ci chodzi. Można je wypowiadać w innych językach. Pomagają poszukującemu przypomnieć sobie pewne znaki, ścieżki. Przykro mi, jeśli to nie jest dla ciebie magią. – Wyraz twarzy Aditu zaprzeczał jej słowom. Usta przystroił złośliwy uśmiech.

– Nie powinienem był ci przerywać – mruknął Simon. – Zawsze prosiłem mojego przyjaciela, Doktora Morgenesa, żeby nauczył mnie magii. Nigdy tego nie zrobił. – Nagle Simon przypomniał sobie słoneczne ranki w zakurzonych komnatach Doktora; pamiętał, jak Doktor mruczał wciąż i mówił coś do siebie, kiedy Simon sprzątał. Poczuł ukłucie żalu. Wszystko przepadło.

– Morgenes... – powiedziała Aditu zamyślona. – Spotkałam go, gdy odwiedzał mego wuja. Był ujmującym, młodym mężczyzną.

– Młodym mężczyzną? – Simon patrzył zdumiony na jej młodą, szczupłą twarz. – Doktor Morgenes?

Nagle Sithijka spoważniała.

– Nie powinniśmy tracić więcej czasu. Czy chciałbyś, żebym zaśpiewała pieśń w twoim języku? Nie przyniesie to większej szkody niż kłopoty, które już i tak mamy.

– Kłopoty? – Simon gubił się coraz bardziej, lecz Aditu ponownie przyjęła dziwną postawę. Poczuł, że musi mówić szybko, jakby za chwilę miały zamknąć się jakieś drzwi. – Tak, proszę, w moim języku!

Aditu uniosła się nieco na palcach i znieruchomiała, przypominając świerszcza na gałęzi. Przez jakiś czas oddychała miarowo, a potem znowu zaczęła nucić. Pieśń powoli stawała się zrozumiała; pojawiały się niezdarne dźwięki języka Simona, które nabierały miękkości, płynąc jak roztopiony wosk.

Zielone jest śpiące oko węża,

śpiewała, utkwiwszy oczy w soplach zwisających niczym kolorowe proporce z gałęzi przewróconego świerku. W ich skrzącej się głębi płonął ogień, który nie mógł pochodzić z bladej tarczy słońca.

Jego ścieżka skąpana w srebrzystym blasku księżyca.
Tylko Kobieta z siecią widzi
Tajemne miejsca, do których chadza...

Aditu uniosła ramię i jej dłoń zawisła w powietrzu. Dopiero po chwili Simon domyślił się, że powinien ją chwycić. Dłonią schowaną w rękawicy ujął jej palce, lecz Aditu wyrwała je w pośpiechu. Przez chwilę przestraszył się, że źle pojął jej intencje i w głupi sposób naruszył intymność tej złotookiej istoty, lecz kiedy jej palce poruszyły się niecierpliwie, zrozumiał zmieszany, że chciała, by zdjął rękawicę. Ściągnął ją zębami i objął jej szczupły nadgarstek wilgotnymi, ciepłymi palcami. Delikatnie, lecz zdecydowanie wyszarpnęła rękę i przysunęła swoją dłoń do jego; zimne palce zacisnęły się na jego palcach. Potrząsając głową jak kot, który właśnie się obudził, powtórzyła słowa pieśni:

Zielone jest śpiące oko węża,
Jego ścieżka skąpana w srebrzystym blasku księżyca.
Tylko Kobieta z siecią widzi
Tajemne miejsca, do których chadza...

Aditu poprowadziła Simona, pochylając się pod gałęziami świerku i zwisającymi z nich soplami. Las dookoła rozmazał się, jakby Simon znalazł się w środku jednego z sopli i stamtąd wyglądał na zewnątrz. Słyszał skrzypienie swych butów na śniegu, lecz miał wrażenie, że dochodzi ono z daleka, jakby głowę miał ponad koronami drzew.

Dziecko wiatru nosi koronę koloru indygo,

nuciła Aditu. Szli, lecz bardziej przypominało to unoszenie się, płynięcie.

Jego buty z króliczej skóry.
Nie widzi go Matka-księżyc,
Lecz słyszy jego oddech ostrożny...

Skręcili i posuwali się w dół czegoś, co mogło być wąwozem obrośniętym wiecznie zieloną roślinnością. Simon zamiast konarów widział raczej pogrążone w cieniu ramiona, które wyciągały się, by objąć podróżnych. Gałęzie uderzały go po udach, czuł ich mocny ostry zapach. Mokre od soku igły przyklejały się do jego spodni. Wiatr – szepcący teraz wśród kołyszących się gałęzi – był bardziej wilgotny, lecz wciąż zimny.

...Żółty jest pył na skorupie starego Żółwia,

Aditu zatrzymała się przed brunatnym kamieniem, który wystawał z ośnieżonego dna wąwozu niczym mur zrujnowanego domu. Kiedy stała przed nim, śpiewając, nagle promienie słońca zmieniły kierunek; cienie w zagłębieniach kamienia pogłębiły się i przetoczyły się nad nimi jak nurt rzeki, jakby słońce popędziło szybko na wieczorny spoczynek.

A on odwiedza głębokie kryjówki

śpiewała.

Ukryte pod suchą skałą,
W cieniu swego serca słucha...

Ominęli wielki kamień i nagle znaleźli się na krawędzi zbocza. Spod śniegu wystawały kamienie, jasnoróżowe albo żółtobrązowe. Widoczne na tle nieba drzewa miały odcień ciemniejszej zieleni, a z ich koron dochodził łagodny ptasi śpiew. Zima nie była tutaj tak sroga.

Simonowi wydawało się, że przenieśli się z jednego dnia w inny, jakby wędrowali przez normalny świat, poruszając się swobodnie na podobieństwo aniołów, o których mówiono mu w dzieciństwie, że fruwają tu i tam na polecenie Boga. Jak to możliwe?

Wpatrzony w widoczne między drzewami jednostajnie szare niebo, czując zaciskającą się dłoń Aditu, Simon zastanawiał się, czy przypadkiem nie umarł. A może ta istota ze wzrokiem utkwionym w czymś, czego on nie potrafił dostrzec, prowadziła jego duszę w jakieś ostateczne miejsce, podczas gdy jego martwe ciało leży w lesie, powoli znikając pod całunem padającego śniegu.

„Czy w niebie jest ciepło?” – zastanawiał się.

Przejechał po twarzy wolną dłonią i upewnił się, że żyje, czując pieczenie spękanej skóry. I tak jest to bez znaczenia: pójdzie tam, dokąd ona go prowadzi. Osiągnął taki stan błogiej bezradności, że wydawało mu się, iż nie może uwolnić się od jej dłoni, tak samo jak nie może uwolnić się od swej głowy.

...Chmura-pieśń kołysze purpurową pochodnią:
Rubin na dnie sinego morza.
Pachnie korą cedru,
A na jej piersi kość słoniowa...

Powolna pieśń Aditu wznosiła się i opadała, mieszając z pieśnią ptaków, jak wody jednej rzeki łączą się nieodwracalnie z nurtem innej. Każdy werset niekończącego się potoku słów, każda garść imion i barw była jak

skrząca się diamentami zagadka, której rozwiązanie Simon już prawie dostrzegał, lecz nigdy go nie ujrzał.

Minąwszy kamieniste zbocze, podróżni zanurzyli się w głębokim cieniu, wchodząc w gąszcz ciemnozielonych krzewów, wśród których rosły malutkie białe kwiatki. Liście były wilgotne, a śnieg pod stopami miękki, topniejący. Simon uchwycił mocniej dłoń Aditu. Spróbował otrzeć oczy oślepione niespodziewanym blaskiem. Białe kwiatki pachniały woskiem i cynamonem.

...Oko Wydry brązowe jak kamień.
Osuwa się pod dziesięć mokrych liści;
Kiedy tańczy w diamentowych strumieniach,
Śmieje się Ten, Który Nosi Latarnię...

Teraz do falującej pieśni Aditu i cichego śpiewu ptaków dołączył dźwięk plusku wody w płytkim stawie, dźwięk melodyjny, jakby pochodził od instrumentu z kruchego szkła. Topniejące płatki śniegu skrzyły się tysiącem iskier, a Simon słuchał oczarowany i patrzył na blask słońca przeświecającego wodę. Wydawało się, że z gałęzi kapie światło.

Szli obok wąskiego, lecz rwącego strumienia, którego wesołe szemranie odbijało się echem wśród drzew. Na kamieniach leżał topniejący śnieg, a pod mokrymi liśćmi widać było czarną ziemię. Simon czuł, że kręci mu się w głowie. Pieśń Aditu przenikała wszystkie jego myśli, tak jak strumień obejmował i pieścił wszystkie kamienie swego koryta. Jak długo szli? Początkowo wydawało mu się, że uszli zaledwie kilka kroków, teraz zaś miał wrażenie, że minęły godziny, dni! Dlaczego śnieg znikał? Jeszcze przed chwilą wszystko było nim przykryte!

„Wiosna! – pomyślał i poczuł, że wzbiera w nim nerwowy, choć radosny śmiech. – Chyba idziemy do wiosny!”

Szli wciąż wzdłuż strumienia. Pieśń Aditu unosiła się podobnie jak szemranie wody. Słońce zniknęło. Zachodnie niebo zakwitło czerwienią jak róża, zapalając swym ogniem liście, konary, pnie drzew i dotykając kamieni purpurą. Nagle ogień na niebie zapłonął jaśniej i zgasł, wszystko wypełniło się szkarłatem, by zaraz zniknąć pod warstwą czerni. Wydawało się, że świat pod stopami Simona wiruje teraz szybciej, lecz wciąż czuł mocne oparcie; jedna stopa za drugą – czuł też wyraźnie dłoń Aditu.

...Płaszcz Kamiennego Słuchacza jest czarny jak noc,
Jego pierścienie lśnią niczym gwiazdy,

Kiedy Aditu zaśpiewała ten fragment, na niebie rzeczywiście ukazały się białe gwiazdy. Pojawiały się i gasły, tworząc zmieniające się konstelacje. Niewyraźne kontury twarzy i postaci pojawiały się rozświetlone gwiezdnym blaskiem i zaraz znikały.

Dziewięć ich nosi: lecz jego nagi palec
Unosi się i smakuje południową bryzę...

Idąc pod czarnym niebem roziskrzonym migocącymi gwiazdami, Simon poczuł się, jakby całe jego życie przelatywało z nieprawdopodobną szybkością, a jednocześnie nocna podróż zdawała się ciągnąć niemal w nieskończoność. Czas jakby przepływał wprost przez niego, pozostawiając niezliczone zapachy i dźwięki. Las Aldheorte stał się ogromnym, żywym organizmem, który ulegał przemianie; zelżał śmiertelny chłód i nadeszło ciepło. Pomimo ciemności wyczuwał ogromne, konwulsyjne zmiany.

Szli wciąż w blasku gwiazd obok wesoło szemrzącej rzeki i Simonowi zdawało się, że czuje, jak zielone liście wyrastają z nagich gałęzi, a tętniące

życiem kwiaty wynurzają się ze zmarzniętej ziemi, rozwijając swe kruche płatki podobne do motylich skrzydeł. Las zrzucał z siebie zimę, jak wąż pozbywający się starej skóry.

Pieśń Aditu przenikała wszystko niczym złota nić w gobelinie tkanym z niemych kolorów.

...Fioletowe są cienie w oczach Rysia.
On słyszy wschodzące słońce;
Jego krok świerszcza usypia,
A białą różę budzi...

Poranny blask zaczął wypełniać las Aldheorte; świt rozchodził się równomiernie, jakby nie miał swego źródła. Wydawało się, że las ożył; każdy liść, każda gałąź drżała oczekiwaniem. Powietrze wypełniały tysiące odgłosów i niezliczone zapachy: śpiew ptaków, brzęczenie os, piżmowy zapach żywej gleby, słodka woń muchomorów, woń pyłków. Słońce wspięło się na niebo, niezasłonięte ani jedną chmurką, o barwie najczystszego jasnego błękitu.

...Peleryna Podniebnego Śpiewaka złotymi sprzączkami zdobiona,

Aditu śpiewała w uniesieniu, a las wydawał się pulsować dookoła, jakby jedno serce biło.

W jego włosach słowicze pióra.
Co trzy kroki perły za siebie rzuca,
A przed sobą kwiaty szafranu...

Aditu zatrzymała się i puściła dłoń Simona. Jego ramię opadło bezwładnie. Aditu stała na palcach z ramionami wzniesionymi ku słońcu. Kiedy tak stała wyprostowana, widać było jej smukłą talię.

Upłynęło dużo czasu, zanim Simon zdołał się odezwać.

– Czy my... – spróbował – czy jesteśmy...

– Nie, ale pokonaliśmy najtrudniejszy odcinek – wyjaśniła Aditu i spojrzała na niego wesoło. – Myślałam, że mi zgnieciesz rękę, tak mocno trzymałeś.

Simon przypomniał sobie silny, zdecydowany uchwyt jej dłoni, więc trudno było mu uwierzyć w to, co teraz usłyszał. Uśmiechnął się oszołomiony i potrząsnął głową.

– Ja jeszcze nigdy... – Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. – Jak daleko uszliśmy?

Pytanie Simona wydało jej się chyba znowu dziwne, gdyż zastanawiała się przez chwilę.

– Dość daleko w głąb lasu – powiedziała wreszcie. – Dość daleko.

– Czy odegnałaś zimę za pomocą magii? – spytał, rozglądając się dookoła.

Śnieg zniknął bezpowrotnie. Blask poranka przebijał się między koronami drzew i rozlewał po mokrych liściach na ziemi. Pajęcza nić drżała rozpalona snopem światła.

– Zima nie odeszła – wyjaśniła. – To my odeszliśmy od zimy.

– Co?

– Wiesz, że zima, o której mówisz, nie jest prawdziwa. Tutaj, w samym sercu lasu, jest miejsce, do którego nie docierają chłody ani burze.

Simonowi wydawało się, że zrozumiał słowa Aditu.

– A zatem odganiasz zimę za pomocą magii.

Aditu zmarszczyła brwi.

– Znowu to słowo. Tutaj świat tańczy swój prawdziwy taniec. Żeby zmienić tę prawdę, potrzeba by „magii”, niebezpiecznej magii, tak mi się przynajmniej wydaje. – Odwróciła się najwyraźniej znużona tematem. Wydawało się, że Aditu czasem ucieka się do małych oszustw, szczególnie kiedy chodziło o niepotrzebne rozwodzenie się nad drobiazgami. – Już prawie jesteśmy na miejscu, więc nie ma potrzeby odpoczywania. Chce ci się pić albo jeść?

W tej chwili Simon zdał sobie sprawę, że umiera z głodu, jakby nie jadł od wielu dni.

– Tak! I jeść, i pić!

Aditu bez słowa odwróciła się i zniknęła wśród drzew, pozostawiając Simona sam na sam ze strumieniem.

– Zostań tutaj! – zawołała, a jej okrzyk odbił się echem, tak że nie wiadomo było, skąd dochodzi. Niebawem wróciła, trzymając ostrożnie w każdej dłoni czerwonawą kulę. – Kraile – powiedziała. – Słoneczne owoce. Jedz.

Owoc okazał się słodki, pełen żółtawego soku o ostrawym posmaku. Pozwolił przyjemnie złagodzić głód.

– A teraz chodź – powiedziała. – Chciałabym dotrzeć do Shao Irigu dzisiaj przed południem.

– Co to jest Shao Irigu? A właściwie jaki mamy dziś dzień?

Aditu wyglądała na poirytowaną, jeśli tak przyziemny wyraz twarzy mógł w ogóle zagościć na jej egzotycznym obliczu.

– Shao Irigu to oczywiście Letnia Brama. Co do drugiego pytania, nie mogę dokonać wszystkich pomiarów. To potrafią tacy jak Pierwsza Babka. Zdaje się, że macie księżycową odległość, którą nazywacie Ahn-ee-tool?

– Anitul to nazwa miesiąca.

– Tyle tylko mogę powiedzieć. Teraz jest ten miesiąc, tak go nazywacie.

Simon poczuł się zirytowany; tyle to i on jej mógł powiedzieć, choć miesiące często szybko przemykały w czasie podróży. Miał nadzieję, że w sposób pośredni dowie się, ile czasu potrzebowali, żeby się tu dostać. Pewnie, że łatwiej było zapytać wprost, ale wyczuwał, że odpowiedź, jakiej udzieliłaby mu Aditu, nie byłaby zadowalająca.

Aditu ruszyła przed siebie, a Simon ciężko za nią. Pomimo rozdrażnienia miał nadzieję, że Aditu poprosi go, by znowu podał jej dłoń, ale wyglądało na to, że tę część podróży mieli już za sobą. Aditu szła w dół zbocza obok strumienia, nie oglądając się za siebie.

Niemal ogłuszony wesołą kakofonią ptasiego śpiewu i zdumiony wszystkim, co się dotąd wydarzyło, Simon otworzył usta, by wyrazić niezadowolenie z powodu jej niedomówień i uników, gdy nagle zatrzymał się zawstydzony swą niedomyślnością. Zmęczenie i złość opuściły go natychmiast, jakby zrzucił z ramion koc pełen śniegu. Przecież magią było wszystko, co mówiła Aditu! Najpierw byli w samym środku burzy, śmiertelnej burzy, która objęła cały północny świat, a potem poszli za pieśnią i znaleźli się pod błękitnym, słonecznym niebem! To było równie dobre jak rzeczy, które miały miejsce w opowieściach Shema Stajennego. Takiej przygody nie miał nawet Jack Mundwode. Simon, podkuchenny, szedł do królestwa Sithów!

Ruszył szybko przed siebie, chichocząc. Aditu obejrzała się i spojrzała na niego zaciekawiona.

Wraz ze zmianą pogody zmieniła się też roślinność: wiecznie zielone drzewa i mniejsze krzewy, wśród których Simon brnął w śniegu, ustąpiły miejsca dębom, brzozom i białym jesionom. Ich konary łączyły kwitnące pnącza tworzące baldachim podobny do witraża, lecz bardziej delikatny. Paprocie i leśny szczaw porastały kamienie i przewrócone drzewa, tak że

podłoże lasu przypominało nierówną zieloną kołdrę. W plamach cienia czaiły się grzyby niczym zbiegli żołnierze; inne – jasne, lecz dziwnie piękne – przywarły do pni drzew niczym stopnie krętych schodów. Poranne słońce obsypywało wszystko srebrzystymi i złocistymi okruchami swego blasku.

Strumień zwężał się nieznacznie i spływał w dół, do doliny, której dno zasłaniały pochylone nisko drzewa. Simon i Aditu szli ostrożnie po śliskich kamieniach, w powietrzu unosiła się delikatna mgiełka. Strumień opadał do coraz niżej położonych i połączonych ze sobą stawów. Z każdego z nich woda przelewała się do następnego. Nad stawami rozpościerały konary osiki i wierzby, a otaczające je kamienie porastał gruby, zielony mech.

Simon usiadł na jednym z nich, by dać odpocząć nogom i złapać oddech.

– Niedługo będziemy – powiedziała Aditu prawie życzliwie.

– Czuję się dobrze. – Wyciągnął nogi przed siebie i przyglądał się krytycznie swoim popękanym butom. Śnieg zniszczył skórę, ale po co się tym teraz martwić? – Czuję się dobrze – powtórzył.

Aditu usiadła obok na innym kamieniu i spojrzała w niebo. W jej twarzy było coś fascynującego, coś, czego nigdy nie zauważył w twarzy jej brata, choć tak bardzo byli do siebie podobni. Simon doszedł do wniosku, że Jiriki był dość interesujący, by mu się przyjrzeć, ale Aditu była śliczna.

– Piękna – szepnął.

– Co? – Aditu spojrzała na niego pytająco, jakby nie rozumiała tego słowa.

– Piękne – powtórzył Simon. – Wszystko jest tutaj takie piękne. Zgromił samego siebie za tchórzostwo i wziął głęboki oddech. – Ty także jesteś piękna, pani – dodał.

Aditu przyglądała mu się przez chwilę; jej złociste oczy wyrażały zdziwienie, a na ustach pojawił się jakby grymas niezadowolenia. A potem nagle wybuchnęła świszczącym śmiechem. Simon czuł, że się czerwieni.

– Nie złość się. – Znowu się roześmiała. – A ty jesteś bardzo pięknym Śnieżnowłosym Seomanem. Cieszę się, że jesteś szczęśliwy. – Na chwilę położyła swą dłoń na jego dłoni; jej dotyk był jak lód przyłożony do rozpalonego czoła. – Chodź – powiedziała. – Pójdziemy już.

Woda płynęła, nieustannie gulgocząc i szemrząc u ich boku, kiedy schodzili w dół. Skacząc ostrożnie po kamieniach za zwinną Aditu, Simon uznał, że tym razem nie powiedział niczego nieodpowiedniego. Jego bezpośredniość nie rozzłościła Aditu. Jednak postanowił trzymać język na wodzy. Ci Sithowie byli tacy nieobliczalni!

Kiedy dotarli prawie na dno doliny, zatrzymali się pod dwoma świerkami, których pnie z powodzeniem mogłyby być kolumnami podpierającymi niebiosa. W miejscu, gdzie oba drzewa wyrastały ponad swych sąsiadów ku odsłoniętemu niebu, splątane sieci pnączy utworzyły baldachim, którego kwitnące winorośle spuszczały się aż do ziemi, drżąc na wietrze. Wokół rozbrzmiewało brzęczenie pszczół, lecz najwięcej skupiało się ich wokół kwiatów; wszędzie migały skrzydła złocisto-czarnych owadów.

– Stój – powiedziała Aditu. – Nie przechodź tak beztrosko przez Letnią Bramę.

Simon zdumiał się, choć świerki rzeczywiście były wspaniałe.

– To jest brama? Dwa drzewa?

Aditu popatrzyła na niego z powagą.

– Seomanie, wszystkie pomniki z kamienia zostawiliśmy za sobą, kiedy uciekliśmy z Asu’a Patrzącego Na Wschód. A teraz posłuchaj. Jiriki kazał ci coś powiedzieć, zanim wejdziesz do Shao Irigu. Mój brat powiedział, że

bez względu na to, co stanie się później, ty zostaniesz specjalnie wyróżniony. Przybyłeś do miejsca, w którym nie stanęła dotąd stopa śmiertelnika. Czy to rozumiesz? Żaden śmiertelnik nie przechodził pod tą bramą.

– Och! – Słowa Aditu zaskoczyły Simona. Rozejrzał się szybko w obawie, że ujrzy niechętnych mu wrogów. – Ale... ale ja chciałem tylko, żeby ktoś mi pomógł. Umierałem z głodu...

– Chodź – powiedziała. – Jiriki czeka. Aditu zrobiła krok naprzód i odwróciła się. – I nie miej takiej zmartwionej miny – dodała z uśmiechem. – To rzeczywiście wielki zaszczyt, ale przecież ty jesteś Hikka Staja – Ten, Który Nosi Strzałę. Jirki nie łamie dawnych zwyczajów dla byle kogo.

Simon był już pod drzewami, kiedy dotarły do niego w pełni słowa Aditu. „Nie łamie zwyczajów?”

Aditu szła szybko, nieomal biegła, pewnie jak jeleń, ścieżką, która prowadziła w dół. Po tej stronie las wydawał się równie dziki, lecz jakby bardziej przystępny. Drzewa tak stare i potężne jak te z pewnością nie znały siekiery, a jednak zatrzymały się tuż przy tej dziwnej ścieżce; ich zwisające gałęzie mogłyby otrzeć się o głowę jedynie bardzo wysokiego podróżnika.

Szli dość długo krętą dróżką ciągnącą się nieco powyżej dna doliny. Las wokół był tak gęsty, że Simon nigdy nie widział w głąb dalej niż na rzut kamieniem. Miał też wrażenie, że właściwie stoi w miejscu, a obok niego przesuwa się rząd porośniętych mchem drzew. Powietrze było teraz ciepłe. Rwąca rzeka – która sądząc z odgłosów, wiła się gdzieś niedaleko – wypełniała leśne powietrze delikatną mgiełką. Senne brzęczenie pszczół i innych owadów działało na Simona równie kojąco jak solidny łyk napoju myśliwych Binabika.

Niemal pogrążony w błogostanie, szedł rozanielony zupełnie mechanicznie, stawiając najpierw prawą nogę, potem lewą, prawą i lewą, aż nagle Aditu zatrzymała go. Z lewej strony skończyła się ściana lasu i ukazało dno doliny.

– Odwróć się – powiedziała szeptem. – Pamiętaj, Seomanie, jesteś pierwszym spośród śmiertelników, który zobaczy Jao e-Tinukai'i – Łódź na Oceanie Drzew.

Oczywiście to, co zobaczył Simon, nie miało nic wspólnego z łodzią, ale natychmiast zrozumiał nazwę. Od wierzchołków drzew do ziemi i od pnia do pnia, od konara do konara rozciągały się łopoczące płachty materiału w tysiącach kolorów. Na pierwszy rzut oka przypominały wspaniałe żagle – rzeczywiście, w pierwszej chwili całe dno doliny przypominało przeogromny statek.

Niektóre z tych fantastycznie lśniących płócień rozpięte były w taki sposób, że tworzyły dachy. Inne wiły się dookoła pni lub rozpięte między konarami a ziemią tworzyły półprzeźroczyste ściany. Jeszcze inne powiewały po prostu na wietrze przywiązane lśniącymi sznurami do najwyższych gałęzi. Całe miasto falowało przy najmniejszym podmuchu wiatru niczym las wodorostów poruszanych prądem oceanu.

Płótna i liny odzwierciedlały z niewielkimi tylko zmianami naturalne barwy lasu, więc w niektórych miejscach dodatki prawie zupełnie zlewały się z tym, co wyrosło w sposób naturalny. Oczarowany subtelnym pięknem miasta Simon podszedł bliżej i zobaczył, że w wielu miejscach las i miasto wydają się nierozerwalne i harmonizują ze sobą w sposób doskonały.

Wijąca się środkiem doliny rzeka płynęła tutaj nieco łagodniej, lecz wciąż słychać było jej niespokojną, dźwięczną muzykę. Migocące światło, jakie rzucała na falujące ściany miasta, potęgowało wrażenie jej głębi.

Simonowi wydawało się, że widzi też inne srebrzyste wstęgi strumieni między drzewami.

Podłoże lasu między domami – jeśli to były domy – pokrywała gęsta roślinność, głównie sprężysta koniczyna. Rosła wszędzie, jak dywan, z wyjątkiem ścieżek z czarnej ziemi obłożonych migocącym, białym kamieniem. Z tego samego kamienia zbudowano widoczne tu i ówdzie mosty rozpięte nad rzeką. Obok ścieżek paradowały dziwne ptaki o zielono-niebiesko-żółtych opalizujących ogonach, które przypominały wachlarze; inne, trzepocząc niezdarnie skrzydłami, podfruwały na najniższe gałęzie – a wszystkie wydawały ostre, dość głupawo brzmiące okrzyki. Wśród górnych gałęzi drzew migotały pióra innych ptaków, podobnie ubarwionych, lecz o nieco słodszym głosie.

W ciepłym, łagodnym wietrze unosiły się aromaty korzeni, soków drzew i letnich traw; wonny chór rozbrzmiewał tysiącami pieśni, które w jakiś sposób współbrzmiały niczym części ogromnej układanki. Przepiękne miasto ciągnęło się w głąb skąpanego w słońcu lasu – były to niebiosa tak zachęcające, jakich nigdy by sobie nie wyobraził.

– Jest... piękne – szepnął Simon.

– Chodź – powiedziała Aditu. – Jiriki czeka w swoim domu.

Skinęła na Simona. Kiedy się nie poruszył, wzięła go delikatnie za rękę i poprowadziła. Simon rozglądał się zdumiony i zafascynowany, kiedy skręcili w najbardziej oddaloną ścieżkę. Szelest jedwabnych materii i szemranie rzeki zlewały się pod rozbrzmiewającym nad nimi ptasim chórem, tworząc nowy, nieskończenie miły dźwięk.

Simon długo patrzył, wąchał i słuchał, zanim znowu zaczął myśleć.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał wreszcie. W całym mieście – mieście z pewnością dwukrotnie większym od placu Bitewnego w Erchesterze – nie widać było ani żywej duszy.

– Jesteśmy samotnikami, Seomanie – powiedziała Aditu. – Przeważnie żyjemy w samotności; z wyjątkiem pewnych okresów. A poza tym jest południe, kiedy to wielu z nas opuszcza miasto i udaje się na przechadzkę. Zdziwiło mnie, że nie spotkaliśmy nikogo przy Stawach.

Choć jej słowa zabrzmiały rozsądnie, Simon odniósł wrażenie, że coś trapi Aditu, jakby sama nie wierzyła do końca w to, co powiedziała. Ale nie miał pewności: zachowania i reakcje, które miały określone znaczenia wśród tych, z którymi Simon dorastał, były prawie bezużyteczne przy ocenie Sithów. Jednak nie mógł pozbyć się myśli, że jego przewodniczkę coś trapi i że tym czymś jest ta kłująca w oczy pustka.

Nagle na ścieżkę wyszedł wolno ogromny żbik. Przez krótką chwilę serce Simona zabiło przeraźliwie szybko. Aditu szła spokojnie, nawet nie zwalniając, jakby niczego tam nie było. Machnąwszy krótkim ogonem, ogromny żbik skoczył w zarośla; jedynie kołyszące się paprocie świadczyły o jego obecności na ścieżce.

Simon zorientował się, że ptaki nie były jedynymi stworzeniami, które chodziły swobodnie po Jao e-Tinukai’i. Obok ścieżki śmigały lisie ogony – tak trudne do zobaczenia w nocy, nie mówiąc już o środku dnia – które w gęstym podszyciu przypominały migocące płomienie. Na przechodzących spoglądały obojętnie wiewiórki i zające. Simon był przekonany, że gdyby pochylił się nad którymś, ten odsunąłby się pewnie nieśpiesznie bardziej obrażony niż przestraszony.

Przeszli przez most nad jednym z rozwidleń rzeki i poszli długim korytarzem pod wierzbami, wiodącym wzdłuż strumienia. Wśród drzew po jego lewej stronie ciągnęła się wstęga białego płótna owinięta wokół ich pni i gałęzi. Wkrótce pojawiła się kolejna wstęga. Obie wiły się między drzewami, krzyżując się, pojawiając i znikając, jakby tańczyły w miejscu.

Pojawiły się inne białe wstęgi różnych szerokości, tworząc coraz ciekawszy układ najprzeróżniejszych węzłów. Początkowo układały się w proste obrazy, potem coraz bardziej złożone: świecące słońca, zachmurzone nieba nad oceanem wzburzonych fal, skaczące zwierzęta, postacie w zwiewnych szatach albo w miniaturowych zbrojach – wszystkie powstały ze splecionych ze sobą węzłów. Widząc te gobeliny utkane z gry światła i cieni, Simon zrozumiał, że ogląda jakąś historię. Wciąż narastający obraz z poskręcanych w węzły wstęg przedstawiał ludzi, którzy kochali i walczyli w bardzo dziwnej, podobnej do ogrodu krainie, pełnej stworzeń i roślin, nie do końca wyraźnych, choć dokładnie odtworzonych.

A potem najwidoczniej stało się coś złego. Używano już tylko białych wstęg, lecz Simon nieomal widział czarną plamę, która rozlewała się przez ludzkie życia i ich serca, widział, jak ich niszczyła. Brat walczył z bratem, a miejsce tak piękne dotąd straciło swój urok. Niektórzy spośród ludzi zaczęli budować statki...

– Tutaj – powiedziała nagle Aditu.

Obraz zaprowadził ich do miejsca, w którym liczne jasne wstęgi wirowały splątane, tworząc spiralę, która ciągnęła się zboczem łagodnego wzgórza. Po prawej stronie, obok dziwnych drzwi obraz oddalał się ponad rzeką, drżąc niczym jedwabny most. W tym miejscu węzły przedstawiały osiem wspaniałych statków na morzu. Gobelin dochodził do wierzb po drugiej stronie rzeki i zawracał w kierunku, z którego przyszli.

Simon zadrżał, kiedy Aditu dotknęła jego ramienia. Zupełnie zatracił się w tamtym śnie. Minęli wejście, a potem szli po schodach starannie wyciętych w zboczu wzgórza i wyłożonych kolorowymi, gładkimi kamykami. Także i tutaj korytarz, którym szli, tworzyły płachty półprzezroczystego, zwiewnego materiału; ściany tuż przy drzwiach były białe, dalej stawały się coraz ciemniejsze, jasnoniebieskie, turkusowe. Biały

strój Aditu odbijał zmieniające się światło, co sprawiało wrażenie, że także zmienia kolory.

Simon przesunął palcami po ścianie i stwierdził, że materiał jest rzeczywiście miękki, lecz dziwnie mocny; przesuwał się pod jego palcami gładko jak złoty łańcuch, ale był przy tym ciepły w dotyku jak puszek pisklęcia i drżał przy najmniejszym podmuchu wiatru.

Jednostajny korytarz wkrótce przeszedł w ogromny, wysoki pokój, który mógłby stanowić pomieszczenie każdego znanego mu domu, gdyby nie falujące ściany. Turkusowe barwy ustąpiły ultramarynie. Pod jedną ze ścian stał niski stół z ciemnego drewna, wokół leżały rozrzucone poduszki. Na stole znajdowała się różnokolorowa plansza. Simon pomyślał, że to mapa, ale zaraz domyślił się, że jest to miejsce przeznaczone do grania w grę zwaną shent, w którą grał Jiriki w swej myśliwskiej kryjówce. Przypomniał też sobie propozycję Aditu. Obok planszy znajdowało się misternie zdobione drewniane pudełko, w którym prawdopodobnie były przedmioty potrzebne do gry. Na stole stał jeszcze kamienny wazon, a w nim tylko jedna gałąź kwitnącej jabłoni.

– Usiądź proszę, Śnieżnowłosy. – Aditu wskazała dłonią. – Zdaje się, że Jiriki ma gościa.

Zanim Simon skorzystał z zaproszenia, przeciwległa ściana pokoju załopotała nagle. Część jej uniosła się do góry, jakby ktoś ją oderwał. Do pokoju weszła postać ubrana w jasnozielony strój, z którym mocno kontrastowały włosy, nieomal czerwone i zaplecione w warkocze.

Simon zdziwił się, z jaką łatwością rozpoznał wuja Jirikiego, Khendraja’aro. Sitha mruczał coś, co mogło być wyrazem złości – mogło być, gdyż poza tym Simon nie dostrzegł na jego twarzy jakichkolwiek innych wyrazów emocji. Khendraja’aro podniósł wzrok i dostrzegł Simona. Jego twarz zbladła, jakby krew wypłynęła z niego w jednej chwili.

– *Sudhoda’ya! Isi-isi’ye-a Sudhoda’ya!* – powiedział zduszonym głosem. Potem przesunął szczupłą dłonią z pierścieniami przez oczy i całą twarz, jakby chciał odpędzić niepożądany widok. Kiedy zobaczył, że nic się nie zmienia, zasyczał niczym rozzłoszczony kot, odwrócił się do Aditu i zaczął mówić szybko ich spokojnym, płynnym językiem, co jednak nie rozwiało podejrzeń Simona co do jego nastroju.

Aditu słuchała tyrady z kamienną twarzą i szeroko otwartymi oczami, lecz nie było w nich strachu. Kiedy Khendraja’aro skończył, odpowiedziała mu bardzo spokojnie. Wuj odwrócił się i ponownie spojrzał na Simona, wykonując palcami przedziwne gesty.

Wreszcie Khendraja’aro wziął głęboki oddech i zamarł w bezruchu. Tylko jego pełne ognia oczy wydawały się tętnić życiem. Bez słowa opuścił pokój i odszedł bezszelestnie korytarzem w stronę drzwi domu Jirikiego.

Simon poczuł się wstrząśnięty siłą oczywistego gniewu Sithy.

– Wspominałaś coś o łamaniu obyczajów? – spytał.

Aditu zaśmiała się dziwnie.

– Odwagi, Śnieżnowłosy. Jesteś Hikka Staja. – Przesunęła dłonią po włosach, co wydało się bardzo ludzkim gestem, i wskazała na ścianę, przez którą wszedł jej wuj. – Chodźmy do Jirikiego.

Wyszli znowu na słońce. Ten pokój także tworzyły łopoczące płótna, lecz jedna ze ścian została zwinięta i podwiązana do sufitu. Za nią znajdowało się łagodnie opadające wzgórze. W dole widać było płytkie zakole rzeki, przepływającej przed drzwiami domu Jirikiego. Zakole tworzyło właściwie rozlany staw z wąskim ujściem obrośniętym trzcinami i drżącymi osikami. Małe czerwonobrązowe ptaszki skakały po kamieniach na środku stawu niczym zdobywcy przechadzający się po murach podbitej twierdzy. Na brzegu stawu wygrzewały się w słońcu żółwie.

– Wieczorem wspaniale grają tutaj świerszcze.

Simon odwrócił się i zobaczył Jirikiego, który musiał stać w ocienionym przeciwległym końcu pokoju.

– Witaj w Jao e-Tinukai’i, Śnieżnowłosy – powiedział. – Znowu się spotykamy.

– Jiriki!

Simon skoczył i nie namyślając się, uściskał mocno gibkiego Sithę. Książę zesztywniał na chwilę, lecz zaraz się rozluźnił. Poklepał silną dłonią plecy Simona.

– Nigdy się nie żegnaliśmy – powiedział Simon i odsunął się zawstydzony swoim zachwytem.

– Masz rację – przyznał Jiriki.

Ubrany był w długi, luźny strój z cienkiego, niebieskiego materiału ściągnięty w pasie szeroką, czerwoną wstęgą; stopy miał bose. Jego lawendowe włosy spływały przed uszami zaplecione w warkocze i przytrzymane na czubku głowy grzebieniem z jasnego, wypolerowanego drewna.

– Umarłbym w lesie, gdybyś mi nie pomógł – powiedział Simon i zaraz uśmiechnął się zmieszany. – Gdyby Aditu mi nie pomogła – dodał, odwracając się w jej stronę. Siostra Jirikiego przyglądała im się uważnie. Skinęła głową ze zrozumieniem. – Umarłbym.

Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że w istocie tak było. Kiedy Aditu go znalazła, rozpoczął się już proces umierania.

– Tak. – Jiriki skrzyżował ramiona na piersi. – Jestem zaszczycony, że mogłem ci pomóc. Ale to nie zwalnia mnie jeszcze od zobowiązań. Byłem ci winien dwa życia. Jesteś moim Hikka Staja, Seomanie, i tak będzie. – Spojrzał na swą siostrę. – Zebrały się motyle.

Aditu odpowiedziała w ich płynnym, lirycznym języku, lecz Jiriki uniósł dłoń.

– Mów tak, żeby Seoman rozumiał. Jest moim gościem.

Patrzyła na niego przez chwilę.

– Spotkaliśmy Khendraja’aro. Jest niezadowolony.

– Wuj jest niezadowolony od czasów upadku Asu’a. Żadne moje poczynania nie są w stanie tego zmienić.

– Tu chodzi o coś więcej, Wierzbowa Witko, wiesz o tym. – Aditu patrzyła na niego stanowczym wzrokiem, lecz jej twarz niczego nie wyrażała. Na chwilę odwróciła się do Simona i jakby zarumieniła się zmieszana. – Dziwnie jest mówić tym językiem.

– Dziwne mamy czasy, Króliku, i ty też wiesz o tym. – Jiriki uniósł dłonie w kierunku słońca. – Ach, co za popołudnie. Musimy już iść, wszyscy. Jak już mówiłem, zebrały się motyle. Żartuję sobie z wuja, ale ciężko mi na sercu.

Simon patrzył na niego zupełnie zdezorientowany.

– Ale najpierw pozwólcie mi zdjąć to śmieszne ubranie – powiedziała Aditu. Wymknęła się przez kolejne ukryte drzwi tak szybko, jakby zniknęła.

Jiriki poprowadził Simona w kierunku wyjścia.

– Zaczekamy na nią niżej. Wiele mamy do omówienia, Seomanie, ale najpierw musimy pójść do Yasira.

– Dlaczego ona nazwała cię... Wierzbową Witką? – Spośród niezliczonych pytań, jakie kłębiły się w głowie Simona, to jedno potrafił wyrazić słowami.

– A dlaczego ciebie nazywają Śnieżnowłosym? – Jiriki przyjrzał się twarzy Simona i uśmiechnął swoim ciepłym, kocim uśmiechem. – Cieszę się, że widzę cię w zdrowiu.

– Chodźmy – powiedziała Aditu.

Zjawiła się za Simonem tak cicho, że ten aż jęknął z przestrachu. Spojrzał na nią i zmieszany odwrócił oczy, lecz zaraz musiał spojrzeć jeszcze raz. Aditu zamieniła zimowe ubranie na sukienkę, która była jak lśniący puszek; prawie przeźroczysty, biały strój ściągnęła w pasie wstążką koloru zachodzącego słońca. Pod zwiewnym materiałem widać było zarys jej szczupłych bioder i drobnych piersi. Simon poczuł, że robi mu się gorąco. Wychował się wśród pokojówek, w ich sypialni, lecz już dawno temu kazały mu się przenieść do innych podkuchennych. Taki widok powodował coś więcej niż tylko zmieszanie. Zorientował się, że gapi się nieprzyzwoicie, więc szybko odwrócił głowę, rumieniąc się. Nieświadomie zrobił znak Drzewa na piersi.

Śmiech Aditu był jak deszcz.

– Cieszę się, że mogę nareszcie pozbyć się tamtego ubrania! Tam, skąd przychodzi Simon, było zimno, Jiriki! Bardzo zimno!

– Masz rację, Aditu – powiedział Jiriki ponuro. – Rozkoszując się wciąż latem w naszym domu, łatwo zapominamy o zimie na zewnątrz. A teraz chodźmy do Yasira, gdzie nie wszyscy wierzą, że zima w ogóle istnieje.

Ruszył w stronę tonącego w słońcu wierzbowego korytarza nad rzeką. Aditu poszła za nim. Idący z tyłu Simon chcąc nie chcąc obserwował zarumieniony jej lekki, kołyszący się chód. Nie myślał o niczym przez chwilę, lecz nawet smukła siostra Jirikiego i najwspanialsze widoki Jao e-Tinukai’i nie były w stanie zająć jego uwagi na zawsze. Usłyszał kilka rzeczy, które zaczynały go niepokoić: Khendraja’aro był najwyraźniej zły na niego, a do tego Simon słyszał wyraźnie, jak Aditu wspominała coś o złamaniu zwyczajów. Co się właściwie działo?

– Jiriki, dokąd idziemy? – zapytał.

– Do Yasira. – Sitha wskazał przed siebie. – Tam, widzisz?

Simon osłonił dłonią oczy przed ostrym blaskiem słońca. Wokół było tyle rzeczy do oglądania, a słońce wcale w tym nie pomagało. A jeszcze kilka dni temu zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mu ciepło. Dlaczego znowu pozwalał się gdzieś ciągnąć, gdy marzyło mu się tylko, by móc położyć się w koniczynie i zasnąć...

Na pierwszy rzut oka Yasira wydawał się tylko ogromnym, dziwnie ukształtowanym namiotem, którego maszt wznosił się w górę na jakieś pięćdziesiąt łokci, a ściany wykonano z materiału jeszcze bardziej zwiewnego i kolorowego niż pozostałe budynki miasta. Dopiero kiedy podeszli bliżej, Simon zobaczył, że maszt jest w istocie gigantycznym jesionem o rozłożystych konarach, a jego korona wznosi się wysoko ponad Yasira. Kiedy podeszli jeszcze bliżej, przekonał się, dlaczego ściany ogromnego namiotu tak migotały.

Motyle.

Od najbardziej rozłożystych konarów jesionu aż do ziemi ciągnęły się tysiące nici, nici tak cieniutkich, że wydawały się zaledwie błyskami światła. Do tych nici uczepione na całej ich długości były motyle. Machały leniwie opalizującymi skrzydłami, stłoczone tak bardzo, że przykrywały się wzajemnie skrzydłami niczym gonty niewyobrażalnego dachu... Motyle, miliony motyli. Były we wszystkich możliwych kolorach i odcieniach, pomarańczowo-czerwone, czerwono-mandarynkowe, modre, żółte czy czarne jak noc. Wszędzie rozlegał się cichy szept ich skrzydeł, jakby mówiło letnie powietrze. Poruszały się wolno, jakby za chwilę miały zasnąć, ale Simon nie widział, by były uwiązane w jakikolwiek sposób. Motyle – tysiące drżących, kolorowych plamek – rozbijały słoneczny blask niczym przeogromny skarbiec pełen żywych klejnotów.

Yasira wydał się Simonowi lśniącym, tchnącym życiem środkiem Stworzenia. Zatrzymał się i nie potrafił powstrzymać płaczu.

Jiriki nie widział wzruszenia Simona.

– Małe skrzydełka są niespokojne – powiedział. – S’hue Khendraja’aro przyniósł już wiadomość.

Simon pociągnął nosem i wytarł oczy. Widząc Yasira, pomyślał, że teraz rozumie gorycz Inelukiego, nienawiść Króla Burz do ludzi. Zawstydzony słuchał Jirikiego jakby z oddali. Sithijski książę mówił coś o swoim wuju. Czy Khendraja’aro rozmawiał z motylami? Teraz już nic go nie obchodziło. Za dużo wrażeń. Nie chciał myśleć, chciał tylko się położyć i zasnąć.

Wreszcie Jiriki zauważył jego niepokój. Wziął go delikatnie za łokieć i poprowadził w kierunku Yasira. Włókna oblepione motylami opadały po obu stronach drewnianego wejścia, które było rzeźbioną, drewnianą ramą obrośniętą różami. Aditu weszła już do środka, a zaraz potem Jiriki poprowadził Simona.

Jeśli widok motyli z zewnątrz można było określić jako lśniący przepych, to od wewnątrz widać było coś zupełnie innego. Różnobarwne wiązki światła przebijały się przez ten żywy dach, jakby przenikały przed drżący witraż. Tysiące kolorów obmywało ogromny jesion, który stanowił kręgosłup Yasira. Simon znowu pomyślał o dziwnym lesie kołyszącym się na dnie falującego oceanu. Lecz tym razem myśl ta przytłoczyła go; miał wrażenie, że tonie, grzęźnie bezradnie w obfitości, której nie potrafił zrozumieć.

W ogromnej komnacie nie było dużo mebli. Na podłodze leżały przepiękne dywany, lecz w wielu miejscach widniały plamy trawy. Tu i ówdzie lśniły płytkie stawy obrośnięte kwitnącymi krzewami i obłożone kamieniami, podobnie jak na zewnątrz. Jedyną różnicę stanowiły motyle i Sithowie.

W komnacie znajdowało się mnóstwo Sithów ubranych w stroje tak różne jak skrzydła motyli. Najpierw pojedynczo, potem całymi grupami

zwracali się w stronę przybyłych; setki kocich oczu zalśniły w kolorowym świetle. Tłum wydał łagodny, lecz rozgniewany – jak sądził Simon – syk. Chciał uciec i nawet zrobił krok do tyłu, lecz Jiriki nie puszczał jego łokcia. Podprowadził Simona do wzniesienia u stóp drzewa. Stał tam wysoki, obrośnięty mchem kamień, który przypominał wystający z ziemi upominający palec. Przed nim na niskich ławkach siedziało dwoje Sithów w przepięknych, jasnych szatach, kobieta i mężczyzna.

Siedzący mężczyzna spojrzał na Simona i Jirikiego. Włosy miał czarne, związane na czubku głowy, a na czole nosił koronę z białego drewna brzozy. Jego twarz była podobna do twarzy Jirikiego: ostre rysy, złocisty odcień, lecz kąciki oczu i ust były jakby bardziej opuszczone, co świadczyć mogło o długim życiu dotkniętym rozczarowaniem. Siedząca po jego lewej ręce kobieta miała włosy koloru ciemnej miedzi; ona także nosiła brzozową koronę. Jej liczne warkocze zdobiły długie, białe pióra, a na rękach miała pierścienie i bransolety, czarne i lśniące jak włosy jej towarzysza. Ze wszystkich Sithów, jakich Simon dotąd widział, jej twarz była najspokojniejsza, zupełnie nieruchoma. Oboje roztaczali wokół siebie aurę spokoju, subtelności i starości, ale był to spokój ciemnego stawu w mrocznym lesie czy nieba, na którym zamarły pioruny. Było całkiem prawdopodobne, że taka łagodność skrywała coś niebezpiecznego, niebezpiecznego przynajmniej dla młodego śmiertelnika.

– Seomanie, musisz się ukłonić – powiedział cicho Jiriki.

Ponieważ i tak nogi mu się trzęsły, Simon klęknął. Poczuł silny zapach rozgrzanej ziemi.

– Seomanie Śnieżnowłosy – oświadczył głośno Jiriki. – Wiedz, że stajesz przed Shima’onari, królem Zida’ya, panem Jao e-Tinukai’i, oraz przed Likimeyą, królową Dzieci Świtu, panią Domu Tańczącego Roku.

Wciąż klęcząc, Simon podniósł wzrok oszołomiony. Wszyscy patrzyli teraz na niego, jakby był wielce niestosownym prezentem. Shima’onari powiedział coś do Jirikiego; słowa zabrzmiały tak szorstko, jak jeszcze nigdy nie zdarzyło się Simonowi słyszeć w języku Sithów.

– Nie, ojcze – powiedział Jiriki. – Bez względu na wszystko, nie możemy tak łatwo odwracać się od naszych tradycji. Gość jest gościem. Proszę, byś mówił językiem zrozumiałym dla Seomana.

Grymas wykrzywił nieco twarz Shima’onari. Kiedy zaczął mówić, okazało się, że nie radzi sobie tak dobrze z językiem Westerling jak jego syn czy córka.

– A więc to ty, chłopcze, uratowałeś życie Jirikiemu. – Pokiwał wolno głową, ale nie wydawał się bardzo zadowolony. – Nie wiem, czy to rozumiesz, ale mój syn zrobił coś bardzo złego. Sprowadził cię tutaj wbrew wszelkim zwyczajom naszego ludu! Jesteś śmiertelnikiem! – Wyprostował się i patrzył przez chwilę po twarzach zebranych Sithów. – Trudno, moja rodzino, mój ludu, już się stało – zawołał. – Temu chłopcu nie może stać się żadna krzywda. Tak bardzo jeszcze nie upadliśmy. On jest Hikka Staja, tym, który nosi Białą Strzałę. – Ponownie zwrócił się do Simona, a na jego twarzy pojawił się wyraz ogromnego smutku. – Ale nie możesz też odejść. Nie możemy ci na to pozwolić, a więc zostaniesz na zawsze. Zestarzejesz się i umrzesz tutaj, w Jao e-Tinukai’i.

Skrzydła milionów motyli zaszeptały.

– Zostanę? – Simon spojrzał na Jirikiego, nic nie rozumiejąc.

Na niewzruszonej zwykle twarzy księcia pojawiła się teraz popielata maska grozy i smutku.

Simon nic nie mówił, kiedy wracali do domu Jirikiego. Powoli zapadał zmierzch; dolinę wypełniały zapachy i dźwięki niebiańskiego lata.

Sitha nie starał się przerywać ciszy i prowadził go krętymi ścieżkami, wskazując głową kierunek lub dotykając go na chwilę dłonią. Gdy doszli do rzeki płynącej obok domu Jirikiego, gdzieś na wzgórzach rozległa się pieśń Sithów. Melodia, która płynęła echem przez dolinę, była strumieniem opadających dźwięków, miłych dla ucha, lecz niepozbawionych pewnego dysonansu, który przemykał między nimi jak lis pojawiający się i znikający w mokrym żywopłocie. Było w tej pieśni coś płynnego; dopiero po chwili Simon zorientował się, że Sithowie śpiewają w rytm płynącej rzeki.

Do słów dołączył flet i zwichrzył melodię jak wiatr lustro wody. Nagle odmienność tego miejsca spłynęła na Simona boleśnie: wzbierała w nim samotność, bolesna pustka, której nie mógł wypełnić Jiriki ani żaden inny Sitha. Pomimo swego piękna Jao e-Tinukai'i nie było lepsze od klatki. „A zwierzęta w klatkach usychały z tęsknoty i umierały szybko" – pomyślał Simon.

– Co ja zrobię? – powiedział bezradnie.

Jiriki patrzył na lśniącą rzekę i uśmiechał się smutno.

– Będziesz spacerował, myślał. Nauczysz się grać w shent. W Jao e-Tinukai'i jest wiele sposobów spędzania czasu.

Kiedy szli do domu Jirikiego, rzeczna pieśń płynęła z porośniętych drzewami wzgórz, spowijając ich smutną melodią, która płynęła powoli jak rzeka.

23. Głębokie wody

NA MATKĘ ELYSIĘ – powiedział Aspitis Preves. – Lady Maryo, jakie okropne chwile przeżyłaś! – Hrabia podniósł kielich do ust, lecz zauważył, że jest pusty. Postukał palcami w stół i giermek natychmiast nalał mu wina. – I pomyśleć, że córka szlachcica może zostać tak potraktowana w naszym mieście.

Wszyscy troje siedzieli przy okrągłym stole hrabiego, podczas gdy paź sprzątał resztki więcej niż sytej kolacji. Migająca lampa rzucała na ściany zniekształcone cienie; wiatr na zewnątrz grał na linach. Dwa spośród ogarów hrabiego kłóciły się o kość pod stołem.

– Wasza Lordowska Mość jest zbyt uprzejmy. – Miriamele pokręciła głową. – Włości mego ojca są bardzo małe. Jedne z najmniejszych w Cellodshire.

– Ach, zatem twój ojciec musi znać Godwiga? – Aspitis mówiący w języku Westerling wyrażał się coraz mniej zrozumiale, i to nie tylko dlatego, że nie był to jego ojczysty język; giermek napełniał jego kielich już kilkakrotnie.

– Oczywiście. Jest on najpotężniejszym baronem w tamtych stronach – prawa ręka Króla w Cellodshire. – Wspominając imię nikczemnego i pysznego Godwiga, Miriamele z trudem potrafiła zachować przyjemny

wyraz twarzy, mimo że miała przed sobą przystojnego Aspitisa. Spojrzała ukradkiem na Cadracha, lecz mnich siedział ponury i milczący.

„Pewnie uważa, że za dużo mówię” – pomyślała.

Poczuła przypływ gniewu. Kto tu powinien stroić miny? On nas w to wplątał i tylko dzięki mnie zamiast leżeć na dnie oceanu, siedzimy przy stole szlachcica, pijemy jego wino i zajadamy pyszny ser z Krainy Jezior.

– Ach, pani, wciąż nie mogę uwierzyć, że tak cię potraktowano – powiedział Aspitis. – Słyszałem wprawdzie, że ci Tancerze Ognia stają się kłopotliwi w niektórych prowincjach. Ja także słyszałem kilku szalonych heretyków, którzy głosili w Nabbanie nauki Tancerzy, ale żeby ośmielali się tykać łapami kobietę szlachetnego urodzenia!

– Tylko szlachciankę z Erkynlandu, nikogo ważnego – dodała szybko Miriamele, obawiając się, że za daleko zabrnęła w swojej improwizacji. – A poza tym ubrana byłam w strój podróżny; miałam jechać do klasztoru. Nie wiedzieli, kim jestem.

– To nie ma nic do rzeczy. – Aspitis pomachał gwałtownie dłonią, nieomal strącając rękawem świecę ze stołu.

Nie miał już na sobie wytwornego stroju, w którym pokazał się na pokładzie. Teraz zastąpił go długą, prostą szatą, jaką rycerze noszą w czasie pełnienia straży. Z wyjątkiem niewielkiego złotego Drzewa na piersi jedyną ozdobą jego stroju było godło Domu Prevanów wyhaftowane na obu rękawach: rybołów obejmował jego przedramiona skrzydłami, które przypominały pnące się płomienie. Miriamele była mile zaskoczona, że tak bogaty młodzieniec przyjmuje gości w tak skromnym stroju.

– To nie ma nic do rzeczy – powtórzył. – Ci ludzi to heretycy albo i gorzej. A poza tym szlachcianka z Erkynlandu nie różni się od dam Pięćdziesięciu Rodzin Nabbanu. Szlachecka krew jest taka sama w całym Osten Ard i powinna być strzeżona jak źródło na pustkowiu. – Pochylił się

i dotknął delikatnie jej ramienia przez rękaw. – Lady Maryo, gdybym tam był, prędzej życie swe bym oddał, niż pozwolił cię skrzywdzić. Odchylił się do tyłu i poklepał rękojeść swego miecza z udawaną nonszalancją. – Ale gdybym został zmuszony do tego ostatecznego poświęcenia, poprosiłbym kilku z nich, by mi towarzyszyli.

– Och – powiedziała Miriamele. – Och. – Wstrzymała oddech nieco zawstydzona. – Ależ hrabio, nie ma czym się martwić. Uszliśmy bezpiecznie, tyle tylko, że musieliśmy schronić się na twym statku. Było ciemno i ojciec Cadrach...

– Brat – wtrącił kwaśno mnich i pociągnął łyk wina.

– ...Brat Cadrach powiedział, że będzie to najbezpieczniejsze miejsce. Dlatego właśnie ukryliśmy się w ładowni. Przykro nam, że sprawiamy kłopot, i dziękujemy za uprzejmość, hrabio. Wystarczy, że wysadzisz nas w następnym porcie...

– Zostawić cię na jakiejś wyspie? Nonsens. – Aspitis pochylił się do przodu i patrzył na nią z bliska brązowymi oczami.

Miriamele pomyślała, że ma niebezpieczny uśmiech, który nie przerażał jej tak bardzo, jak niegdyś sobie to wyobrażała.

– Popłyniecie z nami i wysadzimy was w Nabbanie; tam jest wasze miejsce. Potrwa to ponad dwa tygodnie, pani. Będziesz tutaj dobrze traktowana – ty i twój opiekun. – Uśmiechnął się krótko do Cadracha, lecz ten nie podzielał jego dobrego humoru. – Zdaje się, że mam nawet na pokładzie strój, który będzie dobry dla ciebie. Z pewnością będzie bardziej pasował do twej urody niż... niż strój podróżny.

– Wspaniale! – Miriamele nieomal krzyknęła i dopiero po chwili przypomniała sobie o swoim położeniu. – Oczywiście, jeśli pozwoli na to brat Cadrach.

– Masz na pokładzie damskie ubrania? – spytał Cadrach, unosząc brwi.

– Po mojej siostrze. – Aspitis uśmiechnął się szczerze.

– Twoja siostra. – Cadrach chrząknął. – No cóż, będę się musiał zastanowić.

Miriamele już chciała zaprotestować, ale w porę się opamiętała. Starała się robić wrażenie posłusznej, lecz w duchu przeklinała mnicha. Dlaczego nie miałaby dla odmiany przebrać się w porządne ubranie?

Hrabia opowiadał z ożywieniem o swej rodowej twierdzy nad jeziorem Eadne. Jak na ironię Miriamele, która odwiedziła ten majątek w dzieciństwie, nie pamiętała niczego. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Jeden z paziów podszedł, by je otworzyć.

– Przychodzę, by porozmawiać z panem statku – odezwał się jakiś zdyszany głos.

– Wejdź, przyjaciółko – powiedział Aspitis. – Wy już się znacie. To Gan Itai znalazła lady Maryę i jej opiekuna, czy tak?

– To prawda, hrabio Aspitisie. – Niska skinęła głową. Jej czarne oczy zamigotały, gdy odbiło się w nich światło lampy.

– Gdybyś była tak dobra i wróciła za chwilę – Aspitis zwrócił się do Niski. – Wtedy porozmawiamy.

– Nie, hrabio. – Miriamele wstała. – Jesteś i tak bardzo uprzejmy. Nie powinniśmy cię dłużej zatrzymywać. Chodźmy, bracie Cadrachu.

– Zatrzymywać mnie! – Aspitis przyłożył dłoń do piersi. – Czy mógłbym narzekać, że stałem się ofiarą tak miłego towarzystwa? Lady Maryo, masz mnie chyba za głupca. – Skłoniwszy się, ujął jej dłoń i przytrzymał przy ustach. – Słodka pani, mam nadzieję, że nie jestem zbyt śmiały. – Strzelił palcami na pazia. – Młody Thures zaprowadzi was do kabiny. Kazałem kapitanowi zwolnić swoją. Tam przygotowano wam nocleg.

– Ach, nie możemy zabierać kapitanowi...

– Zachował się grubiańsko i nie okazał ci należytego szacunku, lady Maryo. I tak ma szczęście, że go nie powiesiłem, a nawet jestem skłonny mu przebaczyć. Parę nocy przespanych z resztą załogi dobrze mu zrobi. – Przesunął dłonią po falujących włosach i dał znak. – Idź już, Thuresie. Zaprowadź ich.

Aspitis skłonił się Miriamele i uśmiechnął uprzejmie do Cadracha. Tym razem mnich odwzajemnił uśmiech, choć właściwie trudno było to nazwać uśmiechem. Mały paź uniósł ostrożnie latarnię i wyprowadził gości.

Aspitis stał chwilę zamyślony. Odnalazł swój puchar i napełnił go winem, które wypił natychmiast w kilku łykach. Dopiero wtedy odezwał się.

– Gan Itai, to niepodobne do ciebie, żeby tutaj przychodzić, a już na pewno nie w nocy. Czy morze jest tak spokojne, że twoja pieśń nie jest potrzebna?

Niska pokręciła głową.

– Nie, panie. Morze jest bardzo wzburzone, ale w tej chwili bezpieczne, dlatego przyszłam do ciebie, żeby powiedzieć ci o moim niepokoju.

– Niepokoju? Z powodu dziewczyny? Niskowie nie są chyba tak przesądni jak marynarze.

– Nie, nie tak jak marynarze. – Nasunęła mocniej kaptur na głowę, tak że widać było tylko jej oczy. – Dziewczyna i mnich, nawet jeśli nie są tymi, za których się podają, najmniej mnie niepokoją. Z Północy nadchodzi wielka burza.

Aspitis popatrzył na Gan Itai.

– Opuściłaś posterunek na dziobie, żeby mi to powiedzieć? – spytał drwiąco. – Wiem o tym od samego początku naszej podróży. Kapitan mówi, że opuścimy głębiny, zanim burza nas dogoni.

– Możliwe, ale z północnych mórz napływają ogromne stada kilp, jakby przed nią uciekały. Hrabio Aspitisie, ich pieśń jest głośna i zimna. Zdaje się, że przypływają z najciemniejszych głębin. Nigdy takiej nie słyszałam.

Aspitis patrzył chwilę przed siebie zdegustowany; miał minę, jakby wieczór uważał za zepsuty, a wino zaczęło wreszcie na niego działać.

– *Chmura Eadne* ma do wykonania wiele zadań dla księcia Renigarisa – powiedział. – Rób, co do ciebie należy. – Opuścił głowę i skrył twarz w dłoniach. – Gan Itai, jestem zmęczony. Wracaj na dziób. Muszę iść spać.

Niska patrzyła na niego z twarzą niezwykle poważną, potem skłoniła się i wyszła tyłem, pozwalając, by drzwi same się cicho zamknęły. Hrabia Aspitis wyciągnął ramiona na stole i położył na nich głowę.

DOBRZE JEST ZNOWU ZNALEŹĆ SIĘ w towarzystwie szlachcica – powiedziała Miriamele. – Owszem, są trochę zadufani w sobie, ale przynajmniej wiedzą, jak okazać kobiecie szacunek.

Cadrach prychnął ze swego siennika na podłodze.

– Księżniczko, wierzyć mi się nie chce, że może ci się podobać ten strojniś obwieszony pierścionkami.

– Cicho! – syknęła Miriamele. – Idiota! Nie mów tak głośno! I nie nazywaj mnie tak. Pamiętaj, jestem lady Marya.

Mnich prychnął ponownie.

– Szlachcianka napastowana przez Tancerzy Ognia. Niezła bajeczka.

– Ale podziałała, prawda?

– Tak, tylko że teraz musisz wysiadywać z hrabią Aspitisem, a on będzie zadawał coraz więcej pytań. Gdybyś tak powiedziała, że jesteś córką biednego krawca, która ukryła się w obawie o swą cnotę, albo coś takiego,

hrabia dałby nam spokój i wysadził na pierwszej wyspie, na której będą uzupełniać zapasy.

– I zagoniłby nas do roboty od rana do wieczora albo po prostu kazał wrzucić do morza. Zaczynam już mieć dość naszego przebrania. Nie dość, że przez cały czas byłam pomocnikiem mnicha, to teraz jeszcze miałabym zostać córką krawca?

Wprawdzie nie widziała mnicha w ciemności kabiny, lecz po jego głosie poznała, że kręci głową, zaprzeczając jej.

– Nie, nie, nie. Pani, czy ty nic nie rozumiesz? My nie wybieramy sobie ról jak w dziecięcych zabawach, my walczymy o życie. Dinivan, człowiek, który nas tutaj sprowadził, został zabity. Rozumiesz? Twój ojciec i twój wuj prowadzą ze sobą wojnę. Wojna się rozszerza. Zabili Lektora, namiestnika Odkupiciela, na oczach całego Osten Ard i nie poprzestaną na tym. Pani, to nie jest gra!

Miriamele powstrzymała pełną złości odpowiedź i zamyśliła się nad słowami Cadracha.

– Dlaczego więc hrabia Aspitis nie wspomniał nic o Lektorze? Przecież o takich rzeczach rozmawia się przede wszystkim. A może to także zmyśliłeś?

– Pani, Ranessina zabito dopiero ostatniej nocy, a my uciekliśmy wczesnym rankiem. – Mnich starał się zachować cierpliwość. – Może przez dzień lub dwa Sancellan Aedonitis i Rada Kościelna nie ogłoszą jeszcze, co się stało. Proszę, uwierz mi albo źle skończymy.

– Hmm. – Miriamele położyła się, przykrywając kocem aż po brodę. Kołysanie statku działało na nią uspokajająco. – Wygląda na to, że gdyby nie moja inwencja i dobre maniery hrabiego, już byśmy źle skończyli.

– Pani, myśl sobie, co chcesz – powiedział Cadrach, wzdychając. – Ale błagam cię, nie ufaj nikomu bardziej niż mnie.

Zamilkł. Miriamele czekała na sen. W powietrzu unosiła się dziwna, nieprzyjemna melodia, niekończąca się i arytmiczna jak ryk morza, natrętna jak wzmagający się i słabnący wiatr. W ciemności na zewnątrz Gan Itai odstraszała swym śpiewem kilpy.

EOLAIR ZJEŻDŻAŁ ZE ZBOCZY GÓR GRIANSPOG w środku najgorszej śnieżycy tego lata. Tajemne przejścia przez las, które pracowicie wyciął ze swymi ludźmi kilka tygodni temu, zupełnie zginęły pod zaspami śniegu. Ponure niebo wisiało niepokojąco nisko, przypominało sufit grobowca. Torby przy jego siodle pełne były starannie przygotowanych map, a w głowie kłębiły się setki myśli.

Eolair wiedział, że nie ma co udawać, iż wszystkiemu winna jest przedłużająca się kapryśna pogoda. Ciężka choroba rozprzestrzeniała się po całym Osten Ard. Może Josua i miecz jego ojca rzeczywiście związani byli z czymś więcej niż tylko ludzkie wojny.

Hrabia Nad Mullach przypomniał sobie własne słowa, wypowiedziane przy królewskim Wielkim Stole rok temu. „Bogowie ziemi i niebios – pomyślał. – Zdawać by się mogło, że wieki całe upłynęły od tamtych względnie spokojnych dni!”

– Zło zbliża się do granic... – powiedział wtedy do zebranych rycerzy. – To, że napadani są podróżni i znikają samotnie mieszkający chłopi, nie jest tylko winą bandytów. Ludzie Północy boją się...

– Nie tylko bandytów... – Eolair potrząsnął głową zły na siebie. Tak bardzo zaabsorbowała go codzienna walka jego ludzi o przeżycie, że zapomniał o własnych przestrogach. Rzeczywiście istniały większe groźby niż Skali i jego armia rzezimieszków.

Eolair słuchał opowieści tych, którzy przeżyli upadek Naglimundu, straszliwych relacji o upiornej armii, która pomagała Eliasowi, Wielkiemu

Królowi. Już w dzieciństwie słyszał opowieści o Białych Lisach, demonach, które żyły w ciemności, w najzimniejszych, najbardziej niedostępnych obszarach Północy, a które pojawiały się jak plaga i znikały. Ostatniego roku nocami mieszkańcy Frostmarch rozmawiali szeptem przy ogniskach o takich białych demonach. On właśnie powinien był doszukać się prawdy, którą skrywały tamte opowieści, czyż nie o tym mówił przy Wielkim Stole?

Ale co to wszystko ma znaczyć? Jeśli rzeczywiście Białe Lisy miały z tym coś wspólnego, dlaczego takie istoty trzymały stronę Eliasa? Czy był w to wmieszany ten okropny duchowny Pryrates?

Eolair westchnął i przechylił się na jedną stronę, by pomóc koniowi utrzymać równowagę na stromej ścieżce. Może pomimo całej swojej śmieszności Maegwin miała rację, wysyłając go z tym zadaniem. Jeśli nawet, nie było powodów, by robić to w taki sposób. Dlaczego potraktowała go tak niegodziwie w podziemnym mieście, po tym wszystkim, co zrobił dla jej rodziny; przecież służył jej ojcu królowi Lluthowi tak wiernie jak nikt. Może powodowały nią strach i niezwykłość miejsca, lecz nawet to jej nie usprawiedliwiało.

Brak rozwagi był kolejną dziwną zmianą w zachowaniu Maegwin. Bał się o nią bardzo, lecz nie potrafił jej pomóc. Gardziła jego troskliwością i zdaje się traktowała go jak kogoś trochę tylko lepszego od sprytnego pochlebcy. Jego, Eolaira, który nienawidził fałszu, a który zmuszony został nauczyć się nim posługiwać w lojalnej służbie u jej ojca! Kiedy starał się jej pomóc, obrażała go i odwracała się plecami. Mógł tylko patrzeć, jak pogrąża się w chorobie, jak jej umysł wypełnia się urojeniami. Nic nie mógł na to poradzić.

Już drugi dzień Eolair jechał uśpionymi dolinami gór Grianspog, a za towarzysza miał tylko ponure myśli.

Zdumiał się, jak szybko Skali osiedlał swoich ludzi na zawojowanych ziemiach Hernystiru. Nie dość, że zajął domy w Hernysadharc i okolicznych wioskach, to zaczął jeszcze stawiać nowe, wielkie i długie, zbudowane z dopiero co wyciosanych bali. Obrzeże lasu Circoille szybko się kurczyło, a na jego miejscu pozostawały coraz większe połacie naszpikowane kikutami pieńków.

Eolair jechał szczytami wzniesień i widział w dole małe jak mrówki uwijające się postacie. Wśród ośnieżonych szczytów rozbrzmiewały uderzenia młota o klin.

Początkowo nie rozumiał, po co Skalemu nowe domy. Jego armia, choć liczna, z pewnością pomieściłaby się w domach opuszczonych przez Hernystirczyków. Ale teraz, patrząc na północne niebo, zrozumiał, co się dzieje.

„Z Północy przybywają *wszyscy* ludzie Skalego: młodzi, starzy, kobiety i dzieci. – Jeszcze raz spojrzał na malutkie postacie w dole. – Jeśli śnieg pada w Hernysadharc w końcu miesiąca Tiyagar, to co dopiero musi się dziać w Naarved albo Skoggey. A niech mnie Bagba ugryzie! Skali zapędził nas do jaskiń, a sam sprowadzi Rimmersmanów na nasze ziemie”.

Choć jego lud tyle już wycierpiał od wojowników Skalego Ostronosego, choć król Lluth zginął, a książę Gwythinn umarł śmiercią męczeńską, torturowany i poćwiartowany, choć setki jego dzielnych Mullachijczyków padło na zachodnich łąkach, Eolair stwierdził nagle, że ma jeszcze w sobie wiele złości i nienawiści. Wystarczył sam widok ludzi Skalego na drogach Hernysadharc, lecz myśl o ich kobietach i dzieciach mieszkających na ziemiach Hernystirczyków doprowadzała go do takiej wściekłości, jakiej nie okazał nawet wtedy, gdy padli pierwsi Hernystirczycy w Inniscrich. Spoglądając bezradnie z góry, przeklął najeźdźców i obiecał sobie, że doczeka chwili, gdy będą batem wypędzać

z szakali Skalego te tylko, które nie wyzdychają na zajętej przez nich hernystirskiej ziemi.

Nagle hrabia Nad Mullach zatęsknił za prawdziwą bitwą. W Inniscrich Hernystirczycy zostali tak przetrzebieni, że nie mogli otwarcie stawiać czoła wrogowi. Teraz zostali zapędzeni w góry Grianspog i mogli tylko dorywczo nękać wrogów. „O, bogowie – pomyślał. – Jakże byłoby wspaniale świsnąć mieczem w otwartej przestrzeni, stanąć ramię przy ramieniu z tarczą lśniącą w słońcu i zagrać do boju!” Książę wiedział, że były to głupie mrzonki. Wiedział, że jest człowiekiem z natury ostrożnym, który rozsądnie mówi o walce, ale teraz po prostu pragnął czegoś prostego, jasnego. Otwarta wojna pomimo swego bezsensownego okrucieństwa mogła wydać się cudowną głupotą, w której można było się zatracić, tak jak można zatracić się w ramionach kochanki.

W tej chwili tęsknota za tą zniewalającą, lecz niebezpieczną kochanką stawała się coraz silniejsza. Całe narody pogrążone w wojnie, zdumiewająca pogoda, szaleńcy na tronach, mroczne legendy zmieniające się w rzeczywistość! Jakże on pragnął prostoty rzeczy!

Ale nawet wtedy, kiedy snuł marzenia, wiedział, że równie mocno przeklinałby, gdyby się ziściły, gdyż wcale nie musi być tak, że owoce przemocy dostaną się mądrym albo sprawiedliwym.

Eolair okrążył najbardziej na zachód wysunięte posterunki Hernysadharc, największe obozy Rimmersmenów, którzy rozłożyli się na łąkach poniżej stolicy Hernystiru. Pojechał przez Dillathi, krainę pokrytą niezbyt wysokimi wzgórzami, która przypominała falochron rozciągnięty wzdłuż wybrzeża Hernystiru, mający chronić go przed najazdem od strony morza. I rzeczywiście wzgórza Dillathi skutecznie powstrzymałyby najeźdźcę, gdyby nie fakt, że przybył z przeciwnej strony.

Mieszkańcy wzgórz należeli do bardzo podejrzliwych ludzi, lecz ostatnimi laty przywykli do uciekinierów, więc Eolair z łatwością znalazł gościnę w kilku domach. Tych, którzy go przygarnęli, o wiele bardziej interesowały nowości niż wiadomość, że ich gość jest hrabią Nad Mullach. Takie to nastały czasy, że plotka stała się najcenniejszą monetą.

Z daleka od miast niewiele wiedziano o księciu Josui i o tym, gdzie przebywa oraz jaki związek może mieć jego walka z losem Hernystiru. Nikt w Dillathi nie miał pojęcia, czy brat Króla Eliasa w ogóle żyje. Lecz żołnierze, którzy przeżyli pod Inniscrich, roznieśli wieści o śmierci króla Llutha. Stąd Dillathijczycy z radością dowiadywali się, że córka Llutha wciąż żyje i że istnieje jeszcze jego dwór, choć na wygnaniu. Przed wojną niewiele obchodziło ich, co robi i mówi król w Taig; był po prostu częścią ich życia. Teraz Eolair miał wrażenie, iż czują się pokrzepieni wiadomością, że pozostał choć cień dawnego królestwa, jakby wierzyli, że póki żyje rodzina Llutha, istnieje nadzieja na wypędzenie Rimmersmenów.

Opuściwszy wzgórza Dillathi, Eolair ominął otoczone wysokimi murami Crannhyr, najdziwniejsze i najbardziej ku morzu wysunięte miasto Hernystiru, i skierował swego konia w kierunku Abaingeat, leżącego u ujścia rzeki Baraillean. Nie zdziwił się wcale, widząc, że tamtejsi Hernystirczycy pogodzili się jakoś z ciężkimi rządami zarówno Eliasa, jak i Skalego. Abaingeatczycy znani byli ze swej elastyczności. W innych częściach kraju krążył nawet dowcip, w którym określano to portowe miasto jako „Siedlisko Skrajnie Północnego Perdruinizmu”, a to z powodu umiłowania mieszkańców miasta do zysków i niechęci do polityki – przynajmniej tej, która przeszkadzała w interesach.

W Abaingeat Eolair zdobył pierwsze prawdziwe wskazówki co do miejsca pobytu Josui, a uzyskał je w bardzo typowy dla tego miejsca sposób.

Eolair jadł kolację w jednej z tawern na wybrzeżu, dzieląc stół z nabbańskim duchownym. Na zewnątrz wiatr wył przeraźliwie, a deszcz bębnił po dachu, wypełniając swym hałasem jadalnię tawerny. Dobry ojczulek opowiedział Eolairowi historię dość chaotyczną, lecz fascynującą, a zrobił to pod samym nosem brodatych Rimmermenów i wyniosłych Erkynlandczyków – nowych zdobywców Hernystiru. Duchowny przybył z Nabbanu, z samego Sancellan Aedonitis, i przysięgał, że ktoś, kogo określił mianem „najważniejszego duchownego w Sancella", powiedział mu, że Josua Bezręki przeżył upadek Naglimundu. Książę wraz z siedmioma towarzyszami miał się udać przez stepy na wschód. Duchowny zaklinał się, że powiedziano mu to w największej tajemnicy. Dlatego też skończywszy swą opowieść, pijany Nabbańczyk poczuł się natychmiast winny i błagał Eolaira, by przysiągł dochować tajemnicy. Eolair sądził, że duchowny podobnie postępuje wobec każdego, kto chce wysłuchać jego opowieści, lecz złożył przysięgę, zachowując całkowitą powagę.

Było kilka faktów w opowieści duchownego, które zastanowiły Eolaira. Dokładnie określona liczba osób, które przeżyły wraz z Josuą, mogła świadczyć o autentyczności całej historii, choć musiał przyznać, że wszystko to brzmiało jak z legendy: Jednoręki Książę i jego Dzielna Siódemka. Skrucha duchownego po zdradzie tajemnicy wydawała się autentyczna. Nie opowiadał swej historii po to, by zyskać splendor; raczej należał do tego rodzaju ludzi, którzy nie potrafią dochować tajemnicy.

Ale to nie wszystko. Dlaczego jakaś osobistość kościelna miałaby przekazać tak istotną informację durniowi, którego głupawa, czerwona gęba mogła gwarantować wszystko z wyjątkiem zaufania? Nikt chyba nie spodziewał się, że taki pijaczyna zatrzyma cokolwiek dla siebie, a już na pewno nie informację niezwykle ważną dla rozdartej wojną Północy?

Eolair był zaskoczony, ale i zaintrygowany. Nad Frostmarch rozległy się kolejne grzmoty, a hrabia poważnie zaczął się zastanawiać nad podróżą przez łąki poza Erkynlandem.

Tej samej nocy, wracając ze stajni – Eolair nigdy nie powierzał swego konia opiece innych, co zwykle wychodziło mu na dobre – zatrzymał się przed drzwiami tawerny. Wściekły wiatr zacinał śniegiem i szarpał okiennicami zamkniętych okien. Zza doków dochodziły pomruki niespokojnego morza. Wszyscy mieszkańcy Abaingeat pochowali się gdzieś. Miasto przypominało statek widmo, który, pozbawiony załogi, dryfuje bez celu w blasku księżyca.

Na północnym niebie pojawiały się dziwne światła: żółte, granatowe, fioletowe, jakby pozostałości po błyskawicach. Horyzont pulsował dźwiękiem i błyskami. Eolair nigdy czegoś takiego nie widział; było to coś, co gasło natychmiast, choć wydawało się niesłychanie żywotne. W porównaniu z milczącym Abaingeat Północ zdawała się tętnić życiem, dlatego Eolair zastanawiał się przez chwilę, czy warto jeszcze walczyć. Świat, który znał, odszedł i nic nie mogło go przywrócić. Może byłoby lepiej po prostu przyjąć...

Uderzył jedną rękawicą o drugą. Echo potoczyło się głucho po ulicy i ucichło. Potrząsnął głową, próbując pozbyć się dręczących myśli. Tamte światła rzeczywiście były zwodnicze.

I dokąd ma się teraz udać? Potrzebował kilku tygodni, by dotrzeć do łąk, za Hasu Vale, o których mówił duchowny. Wiedział, że trzymając się wybrzeża, może minąć Meremund i Wentmouth, ale to oznaczało samotną jazdę przez Erkynland oddany całkowicie Wielkiemu Królowi. Mógł też w końcu udać się za gwiazdą północy do swego domu w Nad Mullach. Jego twierdzę zajęły kruki Skalego, lecz ci, którzy przeżyli na wsi, z pewnością udzieliliby mu schronienia i podzielili się nowościami. Odpocząłby tam

i uzupełnił zapasy przed dalszą podróżą. Stamtąd mógłby skręcić na wschód i objechać Erchester od północy, posuwając się w cieniu wielkiego lasu.

Zastanawiając się, patrzył na upiorne światła na północnym niebie. Zanosiło się na bardzo zimną noc.

MORZE BYŁO WZBURZONE, a na niebie kłębiły się postrzępione, złowieszcze chmury. Na ciemnym horyzoncie pojawił się zygzag błyskawicy.

Cadrach chwycił się poręczy i jęknął, kiedy *Chmura Eadne* wzniosła się na grzbiecie fali, a potem opadła. Żagle nad ich głowami łopotały rytmicznie.

– Och, Bryniochu z Niebios – jęczał mnich. – Zabierz tę burzę!

– Co to za burza – rzuciła pogardliwie Miriamele. – Nigdy nie widziałeś prawdziwej burzy.

Cadrach wydał z siebie dźwięk, jakby coś łykał.

– I wcale nie chcę zobaczyć.

– A poza tym dlaczego wzywasz pogańskich bogów? Myślałam, że jesteś aedonickim mnichem.

– Całe popołudnie modliłem się o wstawiennictwo Usiresa – powiedział Cadrach; jego twarz miała kolor rybiego brzucha. – Pomyślałem sobie, że czas spróbować czegoś innego. – Wzniósł się na palce i przechylił przez poręcz.

Miriamele odwróciła głowę. Chwilę później mnich stał już na pokładzie, ocierając usta rękawem. Wiatr chlusnął deszczem po pokładzie.

– A ty, pani? Czy nic cię nie trapi?

Powstrzymała złośliwą odpowiedź. Mnich wyglądał naprawdę wzruszająco: resztki włosów przylgnęły do czoła, oczy mocno podkrążone.

– Owszem, wiele rzeczy, ale z pewnością nie podróż statkiem.

– Możesz uważać się za szczęśliwą – mruknął i znowu się odwrócił, by przechylić się przez poręcz. Lecz tym razem otworzył szeroko oczy. Wrzasnął przerażony i cofnął się gwałtownie, upadając na siedzenie.

– Na Kości Anaxosa! Co to jest?

Miriamele przysunęła się do poręczy i ujrzała podskakującą między falami szarą głowę. W pewnym stopniu przypominała głowę ludzką: pozbawiona włosów, ale i bez łusek, gładka i lśniąca jak u delfina, o czerwonych bezzębnych ustach i oczach podobnych do zgniłych jagód. Ruchliwe usta utworzyły koło, jakby miały śpiewać, lecz wydały tylko dziwny, gulgoczący gwizd i zniknęły pod wodą. Nurkując, zwierzę mignęło płetwowatymi stopami o długich palcach. W następnej chwili łeb ukazał się po raz drugi, tyle tylko, że trochę bliżej statku. Zwierzę przyglądało się podróżnym. Miriamele poczuła uścisk w żołądku.

– Kilpa – szepnęła.

– Jest okropna – powiedział Cadrach, który wciąż znajdował się poniżej wręgi. – Ma twarz potępionej duszy.

Puste, czarne oczy obserwowały Miriamele, kiedy przeszła kilka kroków wzdłuż burty. Bardzo dobrze rozumiała mnicha. Kilpa była o wiele bardziej przerażającym zwierzęciem niż wiele innych okropnych bestii. Tak przeraźliwie prawie ludzka, a jednak pozbawiona czegokolwiek, co mogłoby przypominać ludzkie uczucia czy zrozumienie.

– Dawno już ich nie widziałam – powiedziała wolno, nie mogąc oderwać od kilpy oczu. – I chyba nigdy nie oglądałam ich z tak bliska.

Myślami powróciła do dzieciństwa. Płynęła z matką Hylissą z Nabbanu na wyspę Vinitta. Kilpy wciąż przemykały obok ich statku i małej

Miriamele wydawało się, że one tylko dokazują jak morświny czy latające ryby. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego matka szybko odciągnęła ją wtedy od poręczy. Zadrżała.

– Mówisz, że widziałaś je już wcześniej, moja pani? – odezwał się głos.

Odwróciła się i ujrzała stojącego za nią Aspitisa, który opierał się jedną ręką na ramieniu wciąż przykucniętego Cadracha. Mnich wyglądał na bardzo chorego.

– Tak, bardzo dawno, w czasie podróży do... do Wentmouth – powiedziała szybko. – Są okropne, prawda?

Aspitis przytaknął wolno, lecz patrzył raczej na Miriamele niż na podskakujący w pobliżu burty łeb.

– Nie wiedziałem, że kilpy zapuszczają się na zimne, północne wody – powiedział.

– Czy Gan Itai ich nie odpędza? – spytała, próbując zmienić temat. – Dlaczego ta podpłynęła tak blisko?

– Ponieważ Niska jest zmęczona i poszła się przespać, a także dlatego, że kilpy stały się bardzo odważne.

Aspitis schylił się, podniósł z pokładu żelazny gwóźdź o kwadratowej główce i rzucił nim w milczącego obserwatora. Gwóźdź wpadł do wody tuż przed pozbawioną uszu i nosa głową kilpy. Jej czarne oczy nawet nie drgnęły.

– Są śmielsze, niż się tego spodziewałem – powiedział hrabia. – Od zimy zaatakowały kilka mniejszych statków, a zdarzało się, że nawet i większe. – Szybko uniósł dłoń ozdobioną pierścieniami. – Ale nie obawiaj się, lady Maryo. Nie ma lepszej śpiewaczki niż moja Gan Itai.

– Ta bestia jest obrzydliwa, a ja jestem chory – jęknął Cadrach. – Muszę się położyć. – Nie zwracając uwagi na wyciągniętą dłoń Aspitisa, wstał ciężko i odszedł.

Hrabia odwrócił się i krzycząc, wydał instrukcje znajdującym się w górze marynarzom.

– Musimy zwinąć częściowo żagle – wyjaśnił. – Nadchodzi bardzo gwałtowna burza. Możemy tylko spróbować ją przetrwać.

W tej chwili kolejna błyskawica rozjaśniła horyzont, jakby chciała podkreślić znaczenie słów Aspitisa.

– Pani, może czujesz się na siłach, by towarzyszyć mi przy wieczornym posiłku? – Grzmot przewalił się nad falami, a wiatr chlusnął na nich deszczem. – W ten sposób twój opiekun będzie miał trochę spokoju, by przyjść do siebie, a ty nie będziesz pozbawiona towarzystwa, jeśli burza się nasili.

Miriamele była ostrożna, lecz czuła pokusę. Wyczuwała w nim jakąś ukrytą drzemiącą siłę, jakby trzymał ją w ryzach, by jej nie przestraszyć. W pewnym sensie przypominał starego księcia Isgrimnura, który traktował kobiety z subtelną, nieomal przesadną czcią, jakby bał się, że jego wielka prostoduszność wymknie się spod kontroli i wybuchnie, strasząc i obrażając. Aspitis także wydawał się coś powstrzymywać. Była to cecha, która zawsze intrygowała ją u innych.

– Dziękuję, Wasza Lordowska Mość – powiedziała wreszcie. – Będę zaszczycona. Wybaczysz mi jednak, jeśli od czasu do czasu wrócę do kabiny, by zobaczyć, czy brat Cadrach nie cierpi za bardzo.

– Gdybyś tego nie zrobiła – powiedział, ujmując ją delikatnie za łokieć – nie byłabyś tą dobrą i delikatną damą, którą jesteś. Widzę, że oboje jesteście sobie bardzo bliscy; darzysz Cadracha szacunkiem, jakby był twym ukochanym wujem.

Marynarze przekazywali sobie komendy, przekrzykując wiatr. Kiedy Aspitis poprowadził ją przez pokład, Miriamele nie mogła powstrzymać się,

by nie spojrzeć przez ramię. Kilpa wciąż unosiła się nad wodą, obserwując ich uważnie; jej otwarty pysk tworzył okrągłą, czarną dziurę.

Giermek hrabiego, chudy, blady młodzieniec z grymasem niechęci na twarzy, nadzorował dwóch paziów, którzy znosili na stół owoce, chleb i biały ser. Thures, mniejszy z paziów, wszedł, uginając się pod ciężarem tacy z wołowym udźcem. Chłopiec pozostał w kabinie i za każdym razem, kiedy zniecierpliwiony giermek dawał znak, podawał nowy nóż. Mały paź wydawał się bystry; pilnie obserwował sytuację, lecz nachmurzony giermek i tak znalazł kilka okazji, by go skarcić za opieszałość.

– Widzę, że bardzo dobrze czujesz się na statku, lady Maryo – powiedział Aspitis, uśmiechając się, i nalał do kielicha wina z pięknego mosiężnego dzbana. Następnie podał go drugiemu paziowi, by nalał wina Miriamele. – Czy pływałaś już po morzu? Cellodshire pozostaje w dalekiej odległości od tego, co my w Nabbanie nazywamy Veir Maynis – Wielką Zielenią.

Miriamele przeklęła siebie w duchu. Cadrach miał chyba rację. Powinna była wymyślić prostszą historię.

– Tak, to znaczy, nie, nie pływałam. – Uniosła puchar i upiła długi łyk, zmuszając się do uśmiechu, choć wino było raczej kwaśne. – Kilka razy podróżowaliśmy statkiem po rzece Gleniwent. Pływałam też po Kynslagh. – Napiła się jeszcze raz i stwierdziła, że jej kielich jest pusty. Postawiła go na stole zawstydzona. Co on sobie o niej pomyśli?

– Kto to jest „my”?

– Słucham? – Odsunęła kielich przestraszona, lecz hrabia zrozumiał to opacznie i napełnił go winem, po czym odstawił na brzeg stołu, uśmiechając się ze zrozumieniem. Miriamele podniosła go ostrożnie.

– Pytałem, kto to jest „my”, lady Maryo, jeśli wolno spytać? Czy mówisz o sobie i swoim opiekunie? A może o sobie i rodzinie?

Wspominałaś twego ojca, barona... barona. – Zmarszczył brwi. – Wybacz, nie pamiętam jego imienia.

Miriamele także nie pamiętała. Ukryła swój paniczny strach, podnosząc kielich do ust; był to znowu długi łyk, gdyż potrzebowała czasu, by sobie przypomnieć. Wreszcie wiedziała już i przełknęła wino.

– Baron Seoman.

– Oczywiście, baron Seoman. Czy to on zabrał cię na rzekę Gleniwent?

Skinęła głową w nadziei, że nie będzie już więcej kłopotów.

– A matka?

– Nie żyje.

– Ach. – Chmura powagi spłynęła na złocistą twarz Aspitisa. – Wybacz. To niegrzecznie z mojej strony zadawać tyle pytań. Przykro mi to słyszeć.

Miriamele poczuła przypływ inwencji.

– Zmarła w czasie plagi w zeszłym roku.

Hrabia pokiwał głową.

– Tylu ludzi zmarło. Powiedz mi, pani – jeśli pozwolisz zadać jeszcze jedno tak bezpośrednie pytanie – czy istnieje jakiś mężczyzna, któremu jesteś przyrzeczona?

– Nie – odparła szybko i natychmiast tego pożałowała. Może powinna dać inną, potencjalnie mniej kłopotliwą odpowiedź. Wzięła głęboki oddech i wytrzymała spojrzenie hrabiego. Czuła mocny zapach pomadowej kuli, która wypełniała swą wonią całą kabinę. – Nie – powtórzyła. Aspitis był bardzo przystojny.

– Ach. – Hrabia pokiwał głową z powagą. Ze swoją młodzieńczą twarzą, mnóstwem wspaniałych loków wydawał się nieomal dzieckiem, które udaje dorosłego. – Ale spójrz, pani, niczego nie tknęłaś. Czy nie lubisz takich potraw?

– Ależ nie, hrabio Aspitisie! – zaprzeczyła gwałtownie, rozglądając się za miejscem, gdzie mogłaby postawić kielich, by wziąć nóż. Zobaczyła, że kielich znowu jest pusty. Aspitis dostrzegł jej spojrzenie i nachylił się z dzbanem.

Aspitis opowiadał, kiedy jadła. Mówił nieustannie, jakby czuł się winny za wcześniejsze wypytywanie. Przeważnie opowiadał o trywialnych wydarzeniach, jakie miały miejsce na nabbańskim dworze. Potrafił opowiadać, tak że wkrótce Miriamele słuchała, śmiejąc się żywo. Biorąc pod uwagę kołysanie się statku i fakt, że ściany kabiny przybliżały się do niej coraz bardziej, zaczynała się nawet zastanawiać, czy aby nie śmieje się za dużo. Miała wrażenie, że to sen. Coraz trudniej było jej utrzymać wzrok na uśmiechniętej twarzy Aspitisa.

Kiedy wreszcie zdała sobie sprawę, że w ogóle go nie widzi, poczuła na swym ramieniu delikatny dotyk dłoni. Aspitis stał za nią i wciąż opowiadał o damach dworu. Pomimo oszołomienia winem czuła jego gorącą i ciężką dłoń.

– ...Ale oczywiście ich piękno jest rodzajem... sztucznego piękna, jeśli wiesz, o czym mówię. Nie chcę być okrutny, ale czasami kiedy księżna Nessalanta znajdzie się na wietrze, puder ulatuje z niej niczym śnieg ze szczytu góry! – Dłoń Aspitisa ścisnęła delikatnie jej ramię i przeniosła się na drugie. Po drodze jego palce przesunęły się po jej karku. Zadrżała. – Nie zrozum mnie źle, pani. Do śmierci broniłbym honoru i piękna dam nabbańskiego dworu, lecz czuję, że nie ma nic tak wspaniałego jak naturalne piękno wiejskiej dziewczyny. – Jego dłoń powróciła na kark Miriamele, muskając go jak skrzydło ptaka. – Lady Maryo, ty jesteś tak piękna. Cieszę się bardzo z naszego spotkania. Już zapomniałem, jak wygląda twarz, która nie potrzebuje upiększeń...

Kabina zawirowała. Miriamele wyprostowała się nagle i trąciła łokciem swój kielich. Kilka czerwonych jak krew kropel popłynęło na jej serwetę.

– Muszę wyjść – powiedziała. – Potrzebuję powietrza.

– Ależ pani – odezwał się Aspitis szczerze przejęty. – Czy jesteś chora? Mam nadzieję, że twój wrażliwy organizm nie cierpi z powodu moich potraw.

Machnęła dłonią, by go uspokoić. Pragnęła tylko znaleźć się poza kręgiem jasno świecącej lampy i dusznego, pełnego perfum powietrza.

– Nie, nie. Chcę tylko wyjść na zewnątrz. – Zrobiła kilka chwiejnych kroków w stronę drzwi. – Proszę, źle się czuję.

Hrabia wzruszył bezradnie ramionami.

– Pozwól mi przynajmniej, bym dał ci ciepły płaszcz, który ochroni cię przed wilgocią.

Klasnął na paziów, którzy tłoczyli się w pomieszczeniu służącym za spiżarnię i kuchnię. Jeden z nich zaczął przeszukiwać ogromną skrzynię w poszukiwaniu odpowiedniego stroju, gdy tymczasem Miriamele stała cierpliwie z miną wielce udręczoną. Wreszcie otrzymała cuchnący stęchlizną wełniany płaszcz. Aspitis, ubrany w podobny strój, wziął ją pod ramię i poprowadził na pokład.

Wiał silny wiatr. Kiedy przechodzili przez krąg światła lampy, zacinający deszcz zamienił się w kaskady złotych iskier, a potem znowu zniknął w ciemności. Rozległ się grzmot.

– Usiądźmy przynajmniej pod dachem – zawołał Aspitis. – Z łatwością możemy nabawić się jakiejś malarii!

Poprowadził ją ku rufie, gdzie między wręgami łopotało rozciągnięte płótno w czerwone pasy. Sternik w trzepoczącym na wietrze płaszczu skłonił głowę, kiedy wchodzili pod daszek, lecz nie wypuszczał rumpla z dłoni. Usiedli na stosie wilgotnych dywanów.

– Dziękuję – powiedziała Miriamele. – To miło z twojej strony. Głupio mi, że sprawiam ci kłopot.

– Martwię się tylko, że takie lekarstwo może okazać się gorsze od samej choroby – odparł, uśmiechając się. – Gdyby był tutaj mój lekarz, już pewnie przystawiałby mi pijawki, żebym nie dostał zapalenia opon mózgowych.

Miriamele roześmiała się i wstrząsnęła. Zimne, ostre, morskie powietrze znacznie poprawiło jej samopoczucie. Już nie czuła się, jakby miała za chwilę zemdleć. W rzeczywistości czuła się już tak dobrze, że nie protestowała, kiedy Aspitis otoczył ją troskliwym ramieniem.

– Lady Maryo, jesteś dziwną, lecz fascynującą kobietą – szepnął; wyjący wiatr prawie zagłuszył jego słowa. Poczuła jego ciepły oddech na swym zimnym uchu. – Wyczuwam w tobie coś tajemniczego. Czy wszystkie wiejskie dziewczęta mają takie zmienne usposobienie?

Miriamele zdecydowanie nie wiedziała, jak traktować dreszcz, który odczuwała. Strach i podniecenie wydawały się mieszać niebezpiecznie.

– Nie – powiedziała wreszcie.

– Co nie, Maryo? – Wokół szalała burza, lecz dotyk Aspitisa pozostawał delikatny, jedwabisty.

Wydawało jej się, że z wiatrem przelatują kolejne obrazy: odległa, zimna twarz jej ojca, uśmiechający się łobuzersko Simon, brzegi rzeki Aelfwent pełne świateł i cieni. Słyszała szum swej gorącej krwi.

– Nie – powiedziała i wysunęła się z objęcia hrabiego.

Wstała z trudem i wyszła spod płóciennego dachu. Wiatr cisnął deszczem w jej twarz.

– Ale Maryo...

– Dziękuję za wspaniałą kolację, hrabio Aspitisie. Wybacz, że sprawiłam ci tyle kłopotu.

– Pani, nie ma nic do wybaczenia.

– W takim razie pożegnam cię.

Ruszyła chwiejnym krokiem przez pokład, a potem ostrożnie zeszła po drabinie do wąskiego korytarza. Otworzyła drzwi i weszła do kabiny, którą dzieliła z Cadrachem. Stała w ciemności, nasłuchując jego równomiernego, mocnego oddechu, szczęśliwa, że się nie obudził. Wkrótce usłyszała odgłos kroków Aspitisa na szczeblach drabiny; drzwi jego kabiny otworzyły się, a potem zamknęły.

Miriamele długo stała oparta o ścianę. Serce biło jej gwałtownie, jakby ukrywała się w obawie o swe życie.

Czy to była miłość? Co za urok rzucił na nią ten złotowłosy hrabia, że poczuła się jak ścigane dzikie zwierzę? Tak, była otumaniona i bez tchu jak spłoszony zając.

Myśl o tym, że miałaby położyć się spać, kiedy w jej głowie kłębiły się setki myśli, a obok na podłodze chrapał Cadrach, była nie do zniesienia. Uchyliła drzwi, przez chwilę nasłuchiwała, a potem wymknęła się na korytarz i z powrotem na pokład. Deszcz wciąż padał, lecz burza jakby nieco zelżała i morze nie było już tak wzburzone. Pokład kołysał się, więc idąc, trzymała się wanty.

Przyciągała ją niepokojąca, ale dziwnie kusząca melodia. Pieśń wznosiła się i opadała, przenikając burzliwą noc niczym srebrzystozielona nić. Momentami była słodka i cicha, a zaraz potem dźwięczna i głośna; rozbrzmiewała tak niespodziewanymi dźwiękami, że nie sposób było przypomnieć sobie, co się działo przed chwilą, albo zrozumieć, jak to możliwe, że cokolwiek innego może istnieć poza tym, co teraz słychać.

Gan Itai siedziała ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie dziobowym. Odrzuciła głowę do tyłu, tak że kaptur opadał na ramiona, a wiatr rozwiał białe włosy. Siedziała z zamkniętymi oczami, kołysząc się z boku na bok,

jakby jej pieśń była rwącą rzeką, która wymaga całej uwagi, gdy się po niej płynie.

Miriamele owinęła się szczelniej płaszczem i zasłuchana usiadła pod płóciennym dachem.

Pieśń Niski rozbrzmiewała jeszcze przez godzinę; unosiła się gładko, zmieniając rytm i tonację. Chwilami jej płynne słowa przypominały strzały mknące szybko do celu, kiedy indziej były jak klejnoty lśniące tysiącem barw. Pieśń nigdy nie cichła i zdawała się opowiadać o spokojnych, zielonych głębinach, o śnie i o nadchodzącej ciszy, ciężkiej i kojącej.

Miriamele obudziła się nagle. Podniósłszy głowę, zobaczyła, że z dziobowego pokładu patrzy na nią Gan Itai. Teraz, kiedy Niska nie śpiewała, ryk oceanu wydał jej się dziwnie płaski i pozbawiony melodii.

– Co tutaj robisz, dziecino?

Miriamele zmieszała się. Nigdy dotąd nie była tak blisko Niski. Czuła się, jakby podpatrywała coś bardzo osobistego.

– Wyszłam na pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Jadłam kolację z hrabią Aspitisem i zrobiło mi się niedobrze. – Wzięła głębszy oddech, by uspokoić drżący głos. – Pięknie śpiewasz.

Gan Itai uśmiechnęła się chytrze.

– To prawda, inaczej *Chmura Eadne* nie przebyłaby tylu bezpiecznych podróży. Chodź, usiądź przy mnie. Porozmawiamy. Teraz nie muszę śpiewać, a nocne czuwanie bardzo się dłuży.

Mirimale wspięła się na pokład i usiadła obok Niski.

– Czy męczysz się, kiedy śpiewasz? – spytała.

Gan Itai roześmiała się cicho.

– A czy matka męczy się, kiedy wychowuje dziecko? Oczywiście, ale to jest moja praca.

Miriamele spojrzała ukradkiem na pomarszczoną twarz Niski. Jej oczy patrzyły spod siwych brwi i pilnie śledziły morze.

– Dlaczego Cadrach nazwał cię Tinook... – Próbowała przypomnieć sobie tamto słowo.

– Tinukeda’ya. Ponieważ tak właśnie się nazywamy: Dzieci Oceanu. Twój przewodnik jest wykształcony.

– Ale co to znaczy?

– To znaczy, że zawsze żyliśmy na oceanie. Nawet w odległym Ogrodzie mieszkaliśmy na brzegu lądu. Dopiero kiedy przybyliśmy tutaj, niektóre z Dzieci Żeglarza zmieniły się. Niektóre zupełnie porzuciły ocean. Trudno mi w to uwierzyć. To tak, jakby ktoś przestał oddychać i wmawiał innym, że w ten sposób też można przyjemnie żyć. – Niska pokręciła głową, wydymając cienkie usta.

– Skąd wy pochodzicie?

– Z daleka. Osten Ard jest tylko naszym ostatnim domem.

Miriamele siedziała przez chwilę zamyślona.

– Zawsze myślałam, że Niskowie są tacy sami jak Wrańczycy. Jesteś do nich podobna.

Z ust Gan Itai wydobył się syczący śmiech.

– Słyszałam – powiedziała – że choć różne, niektóre zwierzęta upodabniają się do siebie, dlatego że wiodą podobne życie. Może Wrańczycy, podobnie jak Tinukeda’ya, zbyt długo zginali karki. – Znowu się roześmiała, lecz nie był to śmiech radości. – A ty, dziecko? – spytała Niska. – Teraz twoja kolej na udzielanie odpowiedzi. Skąd się tutaj wzięłaś?

Miriamele spojrzała na nią zaskoczona.

– Co?

– Skąd się tutaj wzięłaś? Myślałam o tym, co mówiłaś, i nie jestem pewna, czy ci wierzę.

– Hrabia Aspitis wierzy – odparła Miriamele nieco oburzona.

– Może i tak, ale ja jestem inna. – Gan Itai popatrzyła na Miriamele. Nawet w słabym świetle lampy jej oczy świeciły jak antracyt. – Opowiedz mi.

Miriamele potrząsnęła głową i spróbowała wstać, lecz poczuła na ramieniu szczupłą, ale silną dłoń.

– Przepraszam – powiedziała Niska. – Przestraszyłam cię. Nie bój się. Doszłam do wniosku, że nie ma w tobie żadnego niebezpieczeństwa, przynajmniej dla *Chmury Eadne*, która pozostaje pod moją opieką. Wśród moich ludzi uchodzę za szczególną osobę, ponieważ szybko wydaję sądy. Kiedy uważam, że coś jest dobre, lubię to. – Uśmiechnęła się. – Doszłam do wniosku, że cię lubię, Maryo, jeśli tak się nazywasz. Może to być teraz twoje imię. Nie musisz się bać starej Gan Itai.

Wzruszona nastrojem nocy, winem i tym tak niespotykanym uczuciem, Miriamele rozpłakała się.

– Już dobrze, dziecko, dobrze... – Gan Itai pogładziła ją po plecach.

– Nie mam domu. – Miriamele próbowała powstrzymać łzy. Czuła, że zaraz opowie o rzeczach, o których nie powinna mówić. – Jestem... zbiegiem.

– Kto cię ściga?

Miriamele pokręciła głową. Obłok piany wzniósł się nad dziobem, kiedy statek skoczył między fale.

– Nie mogę powiedzieć, ale jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Dlatego musiałam ukryć się na statku.

– A mnich? Twój uczony przewodnik? Czy on też jest w niebezpieczeństwie?

Pytanie Gan Itai zaskoczyło Miriamele. Nie miała ostatnio zbyt wiele czasu, by przemyśleć pewne sprawy.

– Tak, chyba tak.

Niska skinęła głową jakby z zadowoleniem.

– Nie bój się. Nie zdradzę twojej tajemnicy.

– Nie powiesz Aspitisowi...?

Gan Itai pokręciła głową.

– Zasady mego posłuszeństwa są bardzo skomplikowane. Ale nie mogę obiecać ci, że hrabia niczego się nie dowie. Jest bystry. Tak, bystry jest pan *Chmury Eadne*.

– Wiem – odparła szczerze Miriamele.

Burza znowu chlusnęła deszczem. Gan Itai pochyliła się do przodu i spojrzała na wzburzone morze.

– Na Dom Ve, nie lubią długo zostawać w dole! Przeklęte. Ale są silne! – Zwróciła się do Miriamele. – Muszę znowu zacząć śpiewać. Lepiej wróć do łóżka.

Miriamele podziękowała niezdarnie za towarzystwo, wstała i zeszła ostrożnie po śliskiej drabinie na niższy pokład. Piorun zagrzmiał w ciemności niczym ścigająca ich bestia. Nagle przestraszyła się, że źle zrobiła, otwierając swe serce przed tą dziwną istotą.

Przy zejściu z pokładu zatrzymała się i nadstawiła ucha. Cieniutka wstęga pieśni Gan Itai uniosła się raz jeszcze gotowa stawić czoło rozwścieczonemu morzu.

24. Psy Erchesteru

JOSUA I JEGO LUDZIE JECHALI na północ wzdłuż rzeki Stefflod. Minąwszy miejsce, w którym łączyła się z rzeką Ymstrecca, posuwali się w górę jej biegu przez pofałdowane niskimi wzgórzami łąki. Wkrótce teren zaczął się wznosić, tak że jechali właściwie trawiastą doliną rzeki.

Rzeka Stefflod wiła się, lśniąc matowym blaskiem niczym żyła zaśniedziałego srebra. Jej pieśń wydawała się początkowo stłumiona, podobnie jak pieśń Ymstrecca, lecz Deornoth miał wrażenie, że słychać w niej jakiś dziwny półszept, jakby skrywała odgłosy szepcącego tłumu. Czasem nabierały one mocy, snując nić melodii tak wyraźnej jak bicie dzwonów. Deornoth nadstawiał uszu, by pochwycić dźwięki, które zwróciły jego uwagę, lecz wszystko ginęło w plusku i szemraniu płynącej wody.

Równie nieuchwytna była gra świateł na powierzchni rzeki. Pomimo zachmurzonego nieba woda lśniła, jakby po jej dnie toczyły się płonące zimnym blaskiem gwiazdy. Kiedy indziej skrzyła się tysiącem klejnotów, by za chwilę ściemnieć; i nie miało znaczenia, czy słońce skryło się za chmury, czy nie.

– Dziwna, prawda? – zauważył ojciec Strangyeard. – Choć tyle już widzieliśmy, świat wciąż ma wiele do pokazania.

– Jest w niej coś... żywego. – Deornoth zmrużył oczy. Wydawało mu się, że po ożywionej skórze rzeki przemyka dreszcz światła, jakby lśniąca ryba płynęła pod prąd.

– No cóż, wszystko to jest... częścią Boga – powiedział Strangyeard, kreśląc na piersi znak Drzewa. – Więc jest żywe. – On także wpatrywał się w rzekę zmrużonymi oczami. – Ale wiem, co masz na myśli, Deornoth.

Zbocza doliny wznosiły się coraz bardziej, a sama dolina nabierała charakteru rzeki. Wzdłuż jej brzegów spuszczały sennie swe gałęzie wierzby, drżąc nachylone nad zimną wodą jak kobiety myjące włosy. Z czasem rzeka stawała się coraz szersza i zwalniała bieg. Jej brzegi porosły gęsto trzciny, z których dolatywały okrzyki ptaków ostrzegających przed obcymi.

„Obcy – pomyślał Deornoth. – Jesteśmy tutaj obcy. Jakbyśmy opuścili ziemie dla nas przeznaczone i wtargnęli na czyjeś terytorium”. Pamiętał, co powiedziała Geloë tamtej nocy, kiedy spotkali się po raz pierwszy: „Czasami, wy, ludzie, jesteście jak jaszczurki, które wygrzewają się na kamieniach zniszczonego domu i myślicie sobie: «Jakie wspaniałe miejsce do wygrzewania ktoś dla mnie zbudował»”.

„Chciała nam wtedy powiedzieć, że jesteśmy na ziemiach Sithów – pomyślał. – Teraz ponownie na nie wkraczamy. Pewnie dlatego wszystko wydaje się takie dziwne”. A jednak to wielce prawdopodobne wyjaśnienie nie pozwoliło mu pozbyć się uczucia niepokoju.

Rozbili obóz na łące. Tu i ówdzie widać było w niskiej trawie magiczne kręgi, jak nazwała je Ielda: idealne koła utworzone z małych, białych muchomorów, które lśniły wyraźnie na tle ciemnej ziemi. Księżna Gutrun bała się spać blisko nich, ale ojciec Strangyeard słusznie zauważył, że ludzie z Gadrinsett twierdzą, iż cała ta kraina jest „zaczarowana”, więc bliskość grzybowych kręgów nie ma większego znaczenia. Niezbyt

przekonana, Gutrun ustąpiła, gdyż w rzeczywistości bardziej chodziło jej o bezpieczeństwo Leleth niż własne.

Małe ognisko z zebranych po drodze wierzbowych gałęzi pozwoliło pozbyć się na chwilę uczucia niesamowitości. Siedzieli wokół ognia i rozmawiali, jedząc przez cały wieczór. Towser obudził się i leżał wpatrzony w niebo. Starzec prawie przez całą drogę spał głęboko, przypominając raczej dodatkowy bagaż niż towarzysza podróży.

– Gwiazdy nie są na swoim miejscu – odezwał się tak cicho, że nikt go nie usłyszał. Powtórzył te słowa głośniej.

Josua zbliżył się do niego i klękając, ujął drżącą dłoń błazna.

– O co chodzi, Towserze?

– Gwiazdy nie są na swoim miejscu. – Starzec uwolnił dłoń i wskazał na niebo. – Tam jest Lampa, ale ma o jedną gwiazdę za dużo. A gdzie jest Pastorał? Powinien być widoczny aż do żniw. Pojawiło się wiele gwiazd, których nie znam. – Jego usta drżały. – Wszyscy jesteśmy martwi. Weszliśmy w Krainę Cienia, jak mawiała moja babka. Wszyscy jesteśmy martwi.

– Uspokój się – szepnął Josua. – Nie jesteśmy martwi. Jesteśmy tylko w innym miejscu, a tobie ciągle coś się śni.

Towser popatrzył na niego zadziwiająco bystrym wzrokiem.

– Mamy miesiąc Anitul, zgadza się? Niech ci się nie wydaje, że zwariowałem ze starości, choć tyle przeszliśmy. Przyglądałem się letniemu niebu prawie dwukrotnie dłużej, niż ty chodzisz po tym świecie, młodzieńcze. Możemy być w innym miejscu, ale chyba jedne gwiazdy wiszą nad całym Osten Ard?

Josua milczał przez chwilę. Z tyłu dobiegały ciche odgłosy rozmów przy ognisku.

– Nie, stary przyjacielu. Nie chciałem powiedzieć, że postradałeś zmysły. Jesteśmy w dziwnym miejscu i kto wie, jakie gwiazdy świecą nad nami? W każdym razie nic na to nie możemy poradzić. – Znowu ujął dłoń starca. – Dlaczego nie przyjdziesz do ogniska? Miło będzie posiedzieć ze wszystkimi, przynajmniej przez jakiś czas.

Towser skinął głową i pozwolił, by Josua pomógł mu wstać.

– Odrobina ciepła nie zaszkodzi, mój książę. Czuję coraz większy chłód w kościach i nie jest to przyjemne.

– Tym bardziej trzeba zasiąść przy ognisku w tak wilgotną noc – odparł Josua.

Z ogniska pozostał już tylko żar, a nieznane gwiazdy Towsera przesuwały się po niebie. Josua drgnął, kiedy poczuł dłoń na ramieniu. Za nim stała Vorzheva z kocem przewieszonym przez ramię.

– Chodź, Josuo – powiedziała. – Położymy się nad rzeką.

Popatrzył na pozostałych; wszyscy spali z wyjątkiem Deornotha i Strangyearda, którzy rozmawiali cicho po drugiej stronie ogniska.

– Chyba nie powinienem zostawiać moich ludzi samych.

– Zostawiać swoich ludzi? – zaczęła gniewnie, lecz po chwili roześmiała się cicho. Potrząsnęła głową tak, że włosy przykryły jej twarz. – Ty się już nigdy nie zmienisz. Czy pamiętasz, że teraz jestem twoją żoną? Cztery noce minęły, a ślubu jakby nie było, dlatego że ty obawiałeś się pościgu królewskich żołnierzy i chciałeś być ze wszystkimi. Czy dalej się boisz?

Josua podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Nie dzisiejszej nocy. – Wstał i objął jej wąską talię. – Chodźmy nad rzekę.

Josua zostawił buty przy ognisku i poszli przez mokrą trawę, aż blask dogasającego ognia znikł zupełnie. Szept rzeki nasilił się, kiedy skręcili ku

piaszczystemu brzegowi. Vorzheva rozłożyła koc i ułożyła się na nim. Josua położył się obok niej, przykrywając ich swych grubym płaszczem. Przez chwilę leżeli w milczeniu u brzegu mrocznej Stefflod i patrzyli w królestwo gwiazd i księżyca. Vorzheva oparła głowę na piersi Josui; jej włosy przysłoniły jego policzek.

– Nie sądź tylko, że nasz ślub stracił na znaczeniu tylko dlatego, że został skrócony – powiedział stanowczo. – Obiecuję ci, że kiedyś będziemy żyli tak jak dawniej, wszystko będzie tak, jak miało być. Będziesz panią wielkiego domu, a nie wygnańcem na pustkowiu.

– Bogowie klanu! Josuo, jesteś głupcem! – powiedziała. – Czy myślisz, że mnie obchodzi, w jakim mieszkam domu? – Pocałowała go i przysunęła się bliżej. – Głupiec, głupiec, głupiec. – Czuł jej gorący oddech na swej chłodnej twarzy. Nic już nie mówili. Gwiazdy lśniły na niebie, a rzeka śpiewała im swoją pieśń.

DEORNOTH OBUDZIŁ SIĘ O ŚWICIE i usłyszał płacz Leleth. Dopiero po chwili zrozumiał, dlaczego tak go to zdziwiło. Po raz pierwszy usłyszał, by dziewczynka wydała z siebie jakikolwiek dźwięk.

Otrząsając się z resztek snu, położył dłoń na rękojeści miecza. Śniło mu się, że stał pod ogromnym białym drzewem, które zamiast liści miało płomienie. Usiadł i zobaczył księżną Gutrun trzymającą Leleth na kolanach. Ojciec Strangyeard wysunął głowę spod swego płaszcza; jego cienkie, rude włosy były mokre od rosy.

– Co się stało? – spytał Deornoth.

Gutrun pokręciła głową.

– Nie wiem. Obudziła mnie swym płaczem. – Księżna próbowała przytulić i ukołysać Leleth, lecz dziewczynka odpychała ją. Wciąż płakała,

patrząc w niebo szeroko otwartymi oczami. – Co się stało, malutka? – szeptała Gutrun.

Leleth wyswobodziła jedną dłoń i drżąc, wskazała na północny horyzont. Deornoth widział tylko kłębowisko czarnych chmur na skraju nieba.

– Czy widzisz tam coś? – spytał.

Dziewczynka pochlipywała cicho. Ponownie wskazała na horyzont, potem odwróciła się i ukryła twarz w ramionach Gutrun.

– To pewnie zły sen – uspokajała ją księżna. – No, spokojnie, malutka, to tylko zły sen.

Pojawił się Josua z Najdelem w dłoni. Książę był tylko w spodniach; jego szczupłe ciało lśniło w blasku świtu.

– Co się stało? – spytał.

Deornoth wskazał na ciemny horyzont.

– Dziewczynka coś tam zobaczyła i dlatego płacze.

Josua patrzył przed siebie zasępiony.

– Po tym, cośmy widzieli w Naglimundzie, lepiej zwracajmy uwagę na wszystko. Paskudne chmury. – Rozejrzał się po mokrej łące. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni – powiedział. – Ale musimy posuwać się szybciej. Mnie też się ta burza nie podoba. Wątpię, żebyśmy znaleźli jakieś schronienie, zanim dotrzemy do Kamienia Pożegnania. – Odwrócił się i zawołał na Isorna i pozostałych. – Siodłajcie konie. – Zjemy w czasie jazdy. Jedźmy. To nie jest tylko zwykła burza. Nie chciałbym, żeby nas dopadła.

Dolina rzeki wciąż się pogłębiała. Roślinność była coraz gęstsza i dorodniejsza. Pojawiały się kępy brzóz i olch, a także grupy dziwnych drzew o srebrzystych liściach i smukłych pniach porośniętych grubym mchem.

Podróżni nie mieli czasu podziwiać nowych roślin. Jechali, dopóki zmierzch nie zaczął snuć swej szarości. Burzowe chmury zakrywały już prawie całe niebo na północy.

Ułożyli krąg z kamieni i rozpalili duże ognisko – drewna nie brakowało – a Isorn i Deornoth zeszli nad rzekę, by napoić konie.

– Przynajmniej nie podróżujemy już pieszo – powiedział Isorn i odwiązał rzemień przytrzymujący kilka siodeł, które osunęły się na trawę. – Wystarczy, by podziękować Aedonowi za jego dobroć.

– Masz rację. – Deornoth poklepał Vidalixa. Krople potu na karku konia zdążyły już ostygnąć. Deornoth wytarł go kocem spod siodła i przeszedł do wierzchowca Josui Vinyafoda. – Jest jeszcze jeden drobiazg, za który powinniśmy być wdzięczni.

– Przeżyliśmy – odparł Isorn z poważną miną. – Moja żona i dzieci są bezpieczne w Tonrud w Skoggey, a ja jestem tutaj z matką. – Celowo nie wspominał swego ojca Isgrimnura, od którego nie miał wieści od chwili wyjazdu z Naglimundu.

Deornoth milczał, rozumiejąc, co czuje Isorn. Dobrze wiedział, jak bardzo jego przyjaciel kocha księcia. W pewnym sensie zazdrościł Isornowi, bo pragnął darzyć swego ojca podobnymi uczuciami. Nie mógł jednak spełnić nakazu Bożego, który przykazywał, by synowie czcili swych rodzicieli. Pomimo starań nigdy nie potrafił wykrzesać z siebie nic więcej poza wstrzemięźliwym szacunkiem dla tego złośliwego tyrana, który zniszczył jego dzieciństwo.

– Isornie – odezwał się wreszcie zamyślony – kiedy już wszystko będzie po staremu, czy opowiemy o tym naszym wnukom? Co im powiemy?

Wiatr powiał gwałtowniej, stukając gałązkami wierzby.

Jego przyjaciel nie odpowiedział. Po chwili Deornoth odwrócił się i spojrzał ponad końskim grzbietem w kierunku Isorna. Rimmersman był niewyraźną postacią na tle szaropurpurowego nieba.

– Isorn?

– Deornoth, spójrz na południe – powiedział Isorn napiętym głosem.

– Widzę pochodnie.

Daleko na łąkach, skąd właśnie przybyli, widać było poruszające się malutkie światła.

– Miłościwy Aedonie – jęknął Deornoth. – To Fengbald i jego ludzie. W końcu nas dogonili. – Odwrócił się i klepnął Vinyafoda po zadzie, zmuszając konia, by ruszył przed siebie. – Jeszcze nie odpoczniesz, kolego.

Obaj popędzili zboczem w kierunku smaganego wiatrem ogniska.

...I SĄ MOŻE MILĘ OD NAS – dodał Isorn zdyszany. – Znad rzeki wyraźnie widać światła.

Twarz Josui była opanowana, lecz bardzo blada w blasku ogniska.

– Bóg poddał nas trudnej próbie, pozwalając uciec tak daleko i dopiero teraz zamykając pułapkę. – Westchnął. Wszyscy wpatrywali się w niego wzrokiem pełnym oczekiwania i strachu. – No cóż. Musimy wygasić ogień i jechać dalej. Może uda nam się skryć w jakimś większym lasku; mogą nas minąć, jeśli nie mają psów. Potem zastanowimy się, co jeszcze można zrobić.

Kiedy wszyscy byli już w siodłach, Josua zwrócił się do Deornotha.

– Zabraliśmy ze sobą dwa łuki prawda?

Deornoth skinął głową.

– Weźcie po jednym z Isornem. – Książę uśmiechnął się ponuro i machnął kikutem prawej ręki. – Ze mnie nie byłby najlepszy łucznik,

a zdaje się, że przyszła pora, by pobawić się w strzelanie.

Deornoth jeszcze raz skinął głową.

Jechali szybko, lecz wszyscy wyczuwali, że nie potrwa to długo. Konie Thrithingów dzielnie się spisywały, choć miały za sobą dzień drogi. Vinyafod i Vildalix sprawiały wrażenie pełnych energii, lecz pozostałe wierzchowce wyraźnie osłabły, podobnie jak jeźdźcy.

„Zaszliśmy o wiele dalej, niż ktokolwiek byłby w stanie sobie to wyobrazić – myślał Deornoth, trzymając mocno lejce, gdyż jego koń pędził teraz w dół ze wzgórza jak statek niesiony falą. – Nie zhańbimy się, jeśli teraz nam się nie uda. Czy Bóg może od nas oczekiwać czegoś więcej ponad to, czego już dokonaliśmy?”

Obejrzał się do tyłu. Jego towarzysze także zaczynali zjeżdżać w dół. Deornoth ściągnął lejce, wyhamował rumaka, niebawem znowu jechał razem ze wszystkimi. Bóg może i zamierza przydzielić im jakieś zaszczytne miejsce w niebie, ale on nie zaprzestanie walki, dopóki niewinni ludzie jak księżna czy dziewczynka są narażeni na niebezpieczeństwo.

Isorn jechał, trzymając przed sobą Leleth. W blasku księżyca twarz młodego Rimmersmana była tylko rozmazaną, szarą plamą, lecz Deornoth nie potrzebował jej oglądać, by rozpoznać złość i determinację wypisane na obliczu przyjaciela. Jeszcze raz się obejrzał. Migocące światła zbliżyły się w ciągu ostatnich dwóch godzin.

– Zwolnijcie! – Zawołał Josua z ciemności. – Jeśli pojedziemy dalej, nie starczy nam sił na obronę. Na tamtym wzgórzu widzę lasek. Tam się zatrzymamy.

Ruszyli zboczem za księciem. Zimny wiatr wzmógł się i drzewa pochylały się, gwałtownie młócąc gałęziami. W ciemności jasne, kołyszące się pnie przypominały ubrane na biało duchy rozpaczające nad jakimś strasznym wydarzeniem.

– Tutaj. – Książę zatrzymał się za zewnętrznym kręgiem drzew. – Sir Deornoth, gdzie są łuki? – spytał spokojnie.

– Przy moim siodle, książę Josuo.

Deornoth rozpoznał w swym głosie tę samą okropną nutę etykiety, jakby brali udział w rytuale. Odwiązał oba łuki i rzucił jeden Isornowi. Rimmersman przekazał Leleth matce. Kiedy Isorn i Deornoth napinali cięciwy, Strangyeard przyjął od Sangfugola dodatkowy sztylet. Trzymał go z nieszczęśliwą miną, jakby chwycił węża za ogon.

– Co pomyśli sobie Usires? – powiedział ze smutkiem. – Co Bóg o mnie pomyśli?

– Będzie wiedział, że walczyłeś w obronie kobiet i dzieci – rzucił cicho Isorn, zakładając jedną z niewielu strzał, jakimi dysponowali.

– A teraz zaczekamy – szepnął Josua. – Trzymajmy się razem na wypadek, gdyby nadarzyła się sposobność ucieczki.

Minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Nocne ptaki ucichły i tylko jeden wołał nieustannie nad ich głowami, aż Deornoth zapragnął posłać strzałę w jego pierzaste gardło. W pewnym momencie usłyszeli dźwięk podobny do bębnienia, który wybijał się ponad monotonny szum rzeki. Deornothowi wydawało się, że czuje drżenie ziemi pod stopami. Zastanawiał się, czy na tej najwyraźniej niezamieszkanej ziemi kiedykolwiek polała się krew. Czy korzenie tych jasnych drzew kiedykolwiek piły coś poza wodą? Ogromne dęby na Polu Klęski podobno nurzały się we krwi, aż ich rdzenie przybrały kolor róży.

Odgłos kopyt stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie zagłuszył bicie serca Deornotha. Uniósł łuk, lecz nie napinał go, by zaoszczędzić siły. Migocące światła ukazały się na pobliskiej łące. Jadący na przedzie jeźdźcy zwolnili, jakby wyczuwali, że książę i jego ludzie ukrywają się w lasku. Kiedy zatrzymali konie, ich pochodnie zapłonęły mocniej w ciemności.

– Są ich ze dwa tuziny – zauważył Isorn rozczarowany.

– Ja wezmę pierwszego – szepnął Deornoth. – Ty drugiego.

– Nie strzelajcie, dopóki wam nie powiem – zarządził cicho Josua.

Przywódca grupy pościgowej zsiadł z konia i pochylił się nad ziemią, znikając z kręgu światła pochodni. Po chwili wyprostował się i odwrócił w stronę wzgórza; jego blada twarz pozostawała w cieniu kaptura. Deornoth miał wrażenie, że patrzący dostrzegł ich wśród cieni lasu. Naciągnął cięciwę.

– Spokojnie – szepnął Josua. – Jeszcze chwila...

Nagle rozległ się trzask w gałęziach nad ich głowami. Coś ciemnego spadło na głowę Deornotha. Zaskoczony wypuścił strzałę powyżej celu, do którego mierzył. Krzyknął i zataczając się do tyłu, zasłonił dłońmi oczy.

– Stójcie! – zawołał głos spośród gałęzi nad ich głowami; głos skrzeczący, nieludzki. – Stójcie!

Isorn, który patrzył ze zdumieniem, jak Deornoth marnuje cenną strzałę, spiesznie wycelował.

– Demony! – warknął i napiął cięciwę.

– Josua? – zawołał ktoś z dołu. – Książę Josuo? Jesteś tam?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Bądź pochwalony, Aedonie – wyrzucił z siebie Josua. Przedarł się przez krzaki i ukazał się w pełnym świetle księżyca; jego płaszcz powiewał jak żagiel na wietrze. – Jestem tutaj! – zawołał.

– Co on wyprawia? – syknął przerażony Isorn.

Vorzheva krzyknęła cicho, lecz Deornoth także rozpoznał głos.

– Josua? – wołał dowódca jeźdźców. – Tu Hotvig z Klanu Ogiera. Zrzucił kaptur, by pokazać brodę i targane wiatrem płowe włosy. – Jedziemy za tobą od kilku dni!

– Hotvig?! – zawołała Vorzheva. – Czy mój ojciec jest z tobą?

Thrithing roześmiał się chrapliwie.

– Nie, lady Vorzhevo. U tana mam takie same względy jak ty albo twój mąż.

Kiedy Thrithing i Josua witali się, reszta podróżnych wyszła z ukrycia. Wszyscy odetchnęli z ulgą i szeptali między sobą ożywieni.

– Jest dużo do opowiedzenia, Josuo – powiedział Hotvig, gdy jego towarzysze weszli na wzgórze. – Ale najpierw musimy rozpalić ognisko. Pędziliśmy jak sam Stepowy Grom. Jesteśmy zziębnięci i bardzo zmęczeni.

– Tak, najpierw ognisko. – Josua uśmiechnął się.

Deornoth wysunął się do przodu i ujął dłoń Hotviga.

– Chwała Usiresowi – powiedział. – Myśleliśmy, że to Fengbald. Już prawie wypuściłem do ciebie strzałę, ale coś w ciemności uderzyło mnie w rękę.

– Możesz chwalić Usiresa – rozległ się oschły głos. – Ale ja też tu miałam coś do powiedzenia.

Geloë wyszła zza drzew i weszła w krąg światła. Deornoth zauważył zdumiony, że czarownica jest bosa, ale za to ma na sobie spodnie i płaszcz z torby przy jego siodle.

– *Valada* Geloë! – zawołał zaskoczony Josua. – Nie musieliśmy cię szukać, sama do nas przyszłaś!

– Wy może mnie nie szukaliście, ale ja was szukałam. I dobrze zrobiłam, gdyż dzisiejsza noc mogłaby zakończyć się rozlewem krwi.

– Czy to ty mnie uderzyłaś, zanim zdążyłem wypuścić strzałę? – spytał wolno Deornoth. – Ale jak...

– Będzie czas na opowieści – przerwała Geloë i przyklęknęła, gdyż Leleth wyrwała się z objęć Gutrun i pobiegła do czarownicy z okrzykiem

radości na ustach. Obejmując dziewczynkę, Geloë uchwyciła spojrzenie Deornotha; na widok jej ogromnych, żółtych oczu zadrżał cały. – Będzie czas na opowieści – powtórzyła. – Teraz trzeba rozpalić ognisko. Księżyc zaszedł już daleko. Jeśli wyruszycie jutro przed świtem, przed zmrokiem dotrzecie do Kamienia Pożegnania. – Spojrzała na północne niebo. – A może także przed burzą.

NIEBO BYŁO CZARNE OD KŁĘBIĄCYCH SIĘ chmur. Deszcz przechodził w deszcz ze śniegiem. Rachel Smok zziębnięta i przemoczona schroniła się pod okapem jednego z domów na ulicy Żelaznych Kupców, by odetchnąć chwilę. Na pustych ulicach Erchesteru podskakiwały ziarna gradu. Główną Aleją brnęła w błocie samotna postać z dużym zawiniątkiem na plecach.

„Pewnie idzie na wieś z całym swoim dobytkiem – pomyślała z goryczą. – Jeszcze jeden odchodzi. Czy można go winić? Miasto wygląda, jakby zaraza przez nie przeszła”.

Drżąc, ruszyła dalej.

Pomimo okropnej pogody wiele drzwi na ulicy Żelaznych Kupców kołysało się niezamkniętych. W porywach wiatru wnętrza domów ziały ciemną pustką, a drzwi zamykały się z trzaskiem, jakby ktoś łamał kości. Rzeczywiście wydawało się, że plaga dotknęła miasto. Lecz to bardziej strach niż choroba wypędzał jego mieszkańców. Dlatego przełożona pokojówek musiała przejść przez całą dzielnicę handlarzy artykułami żelaznymi, zanim zdołała kupić potrzebny przedmiot. Niosła swój dobytek pod płaszczem, przyciśnięty do piersi, by nie dojrzało go ciekawskie oko przypadkowego przechodnia – którzy pomimo wyludnionych ulic czasem jednak się pojawiali – ani pełne dezaprobaty oko Boga.

Właściwie nie musiała włóczyć się po wyludnionym mieście; w kuchni Hayholt było wystarczająco dużo przedmiotów, by Rachel znalazła coś dla siebie. Ale to był jej plan i jej decyzja. Użycie czegokolwiek z kredensu Judith narażałoby kucharkę na niebezpieczeństwo, a Judith była jedną z niewielu osób, które Rachel darzyła szacunkiem. A poza tym to rzeczywiście był jej własny plan. Musiała przejść się jeszcze raz pustymi ulicami Erchesteru, by zebrać odwagę przed tym, co postanowiła zrobić.

– Wiosenne sprzątanie – upominała samą siebie. Z jej ust wydobył się ostry, zupełnie niepodobny do Rachel śmiech. – Wiosenne sprzątanie w środku lata, gdy wokół pełno śniegu. – Pokręciła głową i poczuła, że ma ochotę usiąść w błocie i zapłakać. – Wystarczy, staruszko – powiedziała do siebie, jak miała w zwyczaju. – Praca czeka i nie ma odpoczynku po tej stronie nieba.

Jeśli można było mieć wątpliwości co do tego, że Dzień Sądu Ostatecznego już się zbliża – jak przepowiedziano w świętej *Księdze Aedona* – wystarczyło wrócić myślą do komety, która pojawiła się na niebie wiosną tego samego roku, kiedy Elias objął rządy. W tamtych pełnych optymizmu dniach wielu uważało, że jest to znak nowego wieku i lepszych czasów dla Osten Ard. Teraz było jasne jak słońce, że kometa zapowiadała ostatnie dni Próby i Sądu. No bo co innego mogła taka piekielna czerwona plama na niebie oznaczać?

„Niestety – pomyślała, zerkając spod kaptura na opustoszałe sklepy. – Sami sobie przygotowaliśmy łoże boleści. Teraz Bóg każe nam w nim leżeć. Kierowany gniewem i mądrością zesłał nam plagę, suszę i na dodatek nienaturalne burze. I kto mógłby chcieć bardziej jasnego znaku niż biedny stary Lektor umierający w takich mękach?”

Straszliwa wieść przemknęła przez zamek i miasto niczym ogień. Przez ostatni tydzień o niczym innym się nie mówiło: Lektor Ranessin nie żył,

zamordowany we własnym łóżku przez okropnych pogan zwanych Tancerzami Ognia. Te pogańskie potwory podpaliły także część Sancellan Aedonitis. Rachel widziała Lektora na pogrzebie Króla Johna; piękny i święty mąż. I on także odszedł w tym straszliwym roku.

„Panie, zbaw nasze dusze. Święty Lektor zamordowany, demony i duchy chodzą nocami, nawet w Hayholt”. – Zadrżała na wspomnienie tego, co widziała z okna pokoju dla służby którejś z ostatnich nocy. Przyciągnął ją do okna nie hałas, lecz raczej nieokreślone uczucie; wyszła cicho z łóżka i stając na stołku, oparła się o parapet okna i wyjrzała do ogrodu. Tam wśród cieni żywopłotów przyciętych na kształt zwierząt stały w kole milczące, ubrane na czarno postacie. Przerażona przetarła dłonią stare i zmęczone oczy, ale nie był to sen. Jedna z zakapturzonych postaci odwróciła się i spojrzała na nią; nie miała oczu, były czarnymi dziurami w trupio bladej twarzy. Wskoczyła natychmiast do łóżka i przykryta po uszy leżała do rana, drżąc ze strachu.

Zanim nadszedł ten rok nieładu, Rachel ufała swym sądom z podobnie żelazną wiarą, jaką darzyła Boga, Króla i święty obowiązek zachowywania porządku. Lecz jej wiara została poważnie nadwątlona po ukazaniu się komety, a szczególnie po śmierci Simona. Przez dwa dni po przeraźliwym spektaklu w ogrodzie Rachel chodziła po zamku otumaniona, myślami daleka od pracy, i zastanawiała się, czy już stała się głupią staruchą; a przecież obiecywała sobie, że umrze, zanim to nastąpi.

Ale pomyślała, że jeśli nawet oszalała, to szaleństwo jest zaraźliwe. Wiele innych osób także widziało tajemnicze zjawy. Na kurczącym się targu przy Głównej Alei w Rochesterze szeptano wciąż o istotach, które chodziły nocą po mieście i poza jego murami. Niektórzy twierdzili, że są to duchy ofiar Eliasa, które nie mogły spocząć, dopóki ich głowy sterczały nabite na Bramę Nearulagh. Inni mówili, że Pryrates i Król zawarli umowę

z samym diabłem i że te piekielne istoty pomogły Eliasowi zniszczyć Naglimund, a teraz czekają na dalsze rozkazy.

Rachel Smok nie wierzyła kiedyś w nic, co nie mieściło się w katalogu rzeczy akceptowanych przez kościół, sporządzonym przez ojca Dreosana, i wątpiła, by sam Książę Demonów był w stanie jej zagrozić, gdy miała po swojej stronie Usiresa Odkupiciela i zdrowy rozsądek. Teraz Rachel wierzyła w zjawy tak samo jak jej przesądne pokojówki, ponieważ sama je zobaczyła. Widziała na własne oczy duchy z Piekieł w ogrodzie zamku. Nie miała wątpliwości, że zbliża się Dzień Sądu.

Jej rozważania przerwał nagle jakiś hałas na ulicy. Spojrzała przed siebie, osłaniając dłonią oczy przed zacinającym deszczem ze śniegiem. Na błotnistej ulicy stado psów walczyło o jakiś strzęp, który ciągnęły po ziemi. Zeszła im z drogi i przemykała się pod ścianami domów. Bezpańskie psy zawsze włóczyły się po ulicach Erchesteru, lecz kiedy miasto się wyludniło, zwierzęta stały się agresywne jak nigdy dotąd. Handlarz artykułami żelaznymi opowiadał jej, że kilka psów wskoczyło oknem do jednego z domów na Miedzianej Alei i zaatakowało śpiącą kobietę; tak ją pogryzły, że wykrwawiła się na śmierć. Na wspomnienie tamtej historii Rachel poczuła dreszcz strachu. Rozejrzała się, lecz ulica była pusta. Dwie niewyraźne postacie zamajaczyły w drugim jej końcu, lecz były zbyt daleko, by mogły okazać się pomocne. Wzięła głęboki oddech i ruszyła, jedną ręką trzymając się ściany, a drugą przyciskając do piersi swój skarb. Kiedy mijała walczące psy, rozejrzała się na wszelki wypadek za jakimiś otwartymi drzwiami.

Trudno było powiedzieć, o co walczą psy, gdyż one same, jak i przedmiot ich sporów umazani byli w błocie. Jeden z kundli wysunął łeb z plątaniny chudych brzuchów i kościstych zadów; z wywieszonym ozorem i pyskiem wykrzywionym grymasem idioty patrzył na przechodzącą

Rachel. Przypominał jej grzesznika skazanego na wieczne zatracenie, zagubioną duszę. Zwierzę patrzyło w milczeniu poprzez padający grad, wreszcie zwróciło łeb w stronę walczących towarzyszy i warcząc, rzuciło się na rozrywany pakunek.

Czując napływające łzy, Rachel schyliła głowę przed wiatrem i poszła szybko w stronę Hayholt.

GUTHWULF STAŁ OBOK KRÓLA na balkonie wychodzącym na dziedziniec Wewnętrznego Muru. Elias wydawał się w wyjątkowo dobrym humorze, biorąc pod uwagę niewielki tłum, jaki udało się spędzić do Hayholt, by podziwiał wyjazd Gwardii Królewskiej.

Słyszał od swoich żołnierzy pogłoski o nocnych strachach, przez które korytarze Hayholt i wielu domów w Erchesterze świeciły pustkami. Niewielu przyszło oglądać Króla, a ci, co przybyli, wydawali się pełni niepokoju. Guthwulf pomyślał, że nie miałby ochoty przejść się między nimi nieuzbrojony z szarfą królewskiego namiestnika na piersi.

– Przeklęta pogoda, co? – powiedział Elias ze wzrokiem utkwionym w najeźdźcach, starających się utrzymać konie w szeregu pomimo padającego gradu. – Dziwnie zimno jak na miesiąc Anitul, nie sądzisz, Wilku?

Guthwulf odwrócił się zdziwiony, zastanawiając się, czy miał to być dowcip Króla. Od miesięcy w zamku mówiło się przede wszystkim o anomaliach pogodowych. To było coś więcej niż „dziwnie zimno”. Taka pogoda była oznaką czegoś przeraźliwie złego i tylko utwierdzała hrabiego w przekonaniu, że zbliża się katastrofa.

– Tak, panie – odpowiedział tylko.

Nie miał już wątpliwości. Poprowadzi Gwardię Królewską, zgodnie z życzeniem Eliasa, lecz gdy tylko znajdą się poza zasięgiem królewskiej

władzy, ucieknie i nigdy nie wróci. Niech inni zabijacy i idioci, jak Fengbald, wypełniają rozkazy Króla. Guthwulf zbierze chętnych gwardzistów i razem ze swoimi lojalnymi Utanyeatczykami zaproponuje swe usługi Josui, bratu Eliasa. A jeśli wiadomość o tym, że książę żyje, okaże się tylko plotką, odjadą gdzieś daleko, gdzie zaprowadzą własne rządy, z dala od tego szalonego potwora, który kiedyś był jego przyjacielem.

Elias poklepał go po ramieniu, po czym nachylił się i dał znak. Dwóch gwardzistów wzniosło rogi i zagrało sygnał do wymarszu. Setka żołnierzy jeszcze raz spróbowała ustawić niespokojne konie w szeregu. Szmaragdowa chorągiew z królewskim smokiem powiewała na wietrze z taką siłą, że wydawało się, iż za chwilę wyrwie się z rąk trzymającego ją żołnierza. Zaledwie garstka spośród tłumu wiwatowała, lecz ich głosy i tak zagłuszał wiatr i grad.

– Wasza Wysokość, może powinieneś pozwolić mi zejść do nich – powiedział spokojnie Guthwulf. – Konie są niespokojne przez burzę. Jeśli poniosą, w jednej chwili znajdą się w tłumie.

Elias zmarszczył brwi.

– Co to, martwisz się o odrobinę krwi pod ich kopytami? Są zaprawione do boju, nie wystraszą się. – Król spojrzał na Guthwulfa. Patrzył tak obcym wzrokiem, że hrabia zadrżał mimowolnie. – Już tak jest, wiesz o tym – powiedział, uśmiechając się. – Albo ty zgnieciesz to, co masz przed sobą, albo sam zostaniesz zgnieciony. Nie ma ziemi niczyjej, przyjacielu.

Hrabia długo wytrzymał spojrzenie Króla, a potem spojrzał przybity na tłum. Co to miało znaczyć? Czy Elias coś podejrzewał? Czy cały ten pokaz zorganizowano po to, by Król mógł zdemaskować dawnego towarzysza i dołączyć jego głowę do tych, które sterczały jak jagody na Bramie Nearulagh?

– Ach, mój Królu – rozległ się znajomy głos. – Wyszedłeś, by zaczerpnąć trochę powietrza? Szkoda, że taki okropny dzień.

Pryrates stał w osklepionym przejściu i szczerzył zęby, uśmiechając się przebiegle. Na swój czerwony habit nałożył obszerny płaszcz z kapturem.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział Elias. – Mam nadzieję, że odpocząłeś po wczorajszej długiej podróży.

– Tak, Wasza Wysokość. To była ciężka podróż, ale noc spędzona we własnym łóżku w Wieży Hjeldin czyni cuda. Jestem gotów na twoje rozkazy. – Duchowny pochylił nieco głowę, udając pokłon; przez chwilę czubek jego bladej łysej głowy zalśnił jak księżyc. – I hrabia Guthwulf – dodał po chwili – Dzień dobry, hrabio. Słyszę, że wyjeżdżasz na polecenie Króla.

Guthwulf spojrzał na Pryratesa z nieukrywaną odrazą.

– Wbrew twoim radom, jak mi wiadomo.

Alchemik wzruszył ramionami, jakby chciał pokazać, że jego osobiste animozje nie mają znaczenia.

– Uważam tylko, że są ważniejsze sprawy, którymi powinien zająć się Król, niż szukanie brata. Josua pogrzebał swą władzę w Naglimundzie; nie widzę potrzeby ścigania go. On jest jak ziarno, które padło na kamienisty grunt, nie znajdzie już miejsca, gdzie mógłby wzrosnąć, wzmocnić się. Nikt nie odważy się sprzeciwić woli Wielkiego Króla i udzielić mu schronienia. – Znowu wzruszył ramionami. – Ale jestem tylko doradcą. Król wie swoje.

Elias przez cały czas patrzył w spokojny tłum zebrany na dziedzińcu i wydawał się nie zwracać uwagi na ich rozmowę. Potarł bezwiednie dłonią żelazną koronę na czole, jakby mu przeszkadzała. Guthwulf miał wrażenie, że skóra Eliasa jest chorobliwie przeźroczysta.

– Dziwne dni – powiedział Elias do siebie. – Dziwne dni...

– Rzeczywiście, dziwne dni – przyznał Guthwulf, zdecydowany kontynuować niebezpieczną rozmowę. – Pryratesie, słyszałem, że byłeś w Sancellan w noc, kiedy zamordowano Lektora.

Pryrates skinął głową z powagą.

– Coś przerażającego. Podobno zrobili to jacyś szaleni heretycy. Mam nadzieję, że nowy Lektor Velligis pozbędzie się ich.

– Będzie nam brakowało Ranessina – powiedział wolno Guthwulf. – Był znanym i szanowanym człowiekiem, nawet wśród tych, którzy nie przyjmują Prawdziwej Wiary.

– Tak, był wielkim człowiekiem – powiedział Pryrates. Jego czarne oczy zalśniły, gdy spojrzał ukradkiem na Eliasa. Elias wciąż patrzył w dół, lecz na jego bladej twarzy pojawił się wyraz bólu. – Bardzo wielkim człowiekiem – powtórzył duchowny.

– Moi ludzie nie wyglądają na szczęśliwych – mruknął Król, przechylając się przez kamienną poręcz. Pochwa jego ogromnego miecza zgrzytnęła o kamień i Guthwulf ledwie powstrzymał drżenie. Wciąż nie dawały mu spokoju sny o okropnym mieczu i jego braciach!

Pryrates stanął obok Króla. Hrabia odsunął się, uważając, by przypadkiem nie dotknąć nawet płaszcza alchemika. Kiedy się odwrócił, kątem oka zarejestrował jakiś ruch: szarpnięcie zasłony, blada twarz i błysk metalu. Chwilę później rozległ się przerażający wrzask.

– Morderca!

Pryrates zachwiał się i zrobił krok do tyłu; z jego pleców wystawała rękojeść noża.

Czas zaczął płynąć straszliwie wolno: ociężałość ruchów i bezwład myśli Guthwulfa spowodowały, że czuł się, jakby wszyscy wokół zanurzyli się w gęstym, zapierającym dech błocie. Alchemik odwrócił głowę, by dojrzeć atakującego. Była nim stara kobieta o wybałuszonych oczach,

powalona na ziemię odruchowym szarpnięciem duchownego. Pryrates wyszczerzył zęby w przeraźliwym – podobnym do psiego – grymasie agonii i wściekłości. Uniósł wysoko nagą pięść, wokół której pojawiło się dziwne szarożółte światło. Z jego palców sączył się dym, podobnie jak z noża poruszającego się w jego plecach. Teraz i Elias się odwrócił; oniemiały ze zdumienia. W oczach Króla pojawił się strach, jakiego Guthwulf nie spodziewał się nigdy zobaczyć. Leżąca na podłodze kobieta wiła się, próbując odsunąć się od duchownego.

Wydawało się, że czarne oczy Pryratesa całkowicie zapadły się w głąb jego głowy. Przez moment nad kobietą stał ubrany w czerwoną szatę kościotrup z żarzącą się dłonią.

Guthwulf nie wiedział, co skłoniło go do działania. Ktoś z ludu zaatakował królewskiego doradcę, hrabia Utanyeat był namiestnikiem króla, a mimo to rzucił się naprzód. Okrzyki tłumu, burza, bicie własnego serca, wszystko razem zlało się w jeden grzmiący puls, kiedy zwarł się z Pryratesem. Zwinna postać duchownego w dotyku była twarda jak żelazo. Pryrates odwracał głowę niesamowicie wolno. Jego płonący wzrok uchwycił spojrzenie Guthwulfa. Hrabia poczuł nagle, że zostaje wyrwany z własnego ciała i leci w czarną otchłań. Błysk ognia, podmuch strasznego żaru, jakby wpadł do jednego z pieców w odlewni pod zamkiem, a potem pogrążył się w wyjącej czerni.

Kiedy Guthwulf obudził się, wciąż pozostawał w ciemności. Całe jego ciało obejmował tępy ból. Krople jakiejś cieczy kapały mu na twarz, a on czuł zapach mokrego kamienia.

– ...Nawet jej nie widziałem – powiedział jakiś głos. Po chwili dopiero zorientował się, że głos należy do Króla, choć słychać w nim było dźwięczny ton, jakiego Guthwulf nigdy dotąd nie zauważył. – Na głowę Boga, i pomyśleć, że stałem się taki powolny i zamyślony. – W śmiechu

Króla zabrzmiała złowroga nuta. – Byłem przekonany, że ta kobieta przyszła po mnie.

Guthwulf chciał odpowiedzieć Królowi, lecz okazało się, że nie może wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i jak długo pozostawał nieprzytomny.

– Ja ją widziałem – powiedział Pyrates chrapliwym głosem. Jego głos także brzmiał bardzo dźwięcznie. – Może na chwilę ją zgubiłem, ale, na Mroki Wieczności, ta suka zapłaci za to.

Wciąż próbując coś powiedzieć, Guthwulf zastanawiał się, jak to możliwe, że Pyrates, którego zraniono, stoi i wydaje się zupełnie zdrów, podczas gdy on leży na ziemi.

– Chyba będę musiał zaczekać na Fengbalda albo wyślę gwardię z jednym z młodszych lordów. – Król westchnął znużony. – Biedny Wilk. – W jego głosie zabrzmiała jakby nuta współczucia.

– Nie powinien był mnie dotykać – rzucił z pogardą Pyrates. – Przeszkodził mi i dlatego ta flądra uciekła. Może nawet był z nią w zmowie.

– Nie, nie sądzę. On był zawsze lojalny. Zawsze.

Biedny Wilk? Czy oni uważali go za zmarłego? Guthwulf napiął wszystkie mięśnie. Czy zawlekli go do jakiegoś ciemnego pokoju, gdzie czekał na swój pogrzeb? Próbował poruszyć jakąś częścią ciała, lecz było dziwnie bezwładne.

Nagle straszliwa myśl przyszła mu do głowy. A może? Czy ktoś wrócił kiedykolwiek z zaświatów, by podzielić się doświadczonymi tam uczuciami? Jedynie Usires, ale on był synem Bożym. Och, miłościwy Aedonie, czy już na zawsze pozostanie uwięziony w ziemi pełnej robaków? Wzbierał w nim krzyk. Jak poczułby się, gdyby tak dotknął miecza? Boże, ratuj. Miłościwy Aedonie...

– Idę, Eliasie. Znajdę ją, nawet gdybym miał wyrwać każdy kamień z pomieszczeń dla służby i obedrzeć ze skóry wszystkie pokojówki. – Ostatnie słowa Pryrates wymówił z pewną słodyczą w głosie, jakby smakował wyborne wino. – Dopilnuję, by ukarano kogo trzeba.

– Ale powinieneś odpocząć – powiedział łagodnie Elias, jakby mówił do upartego dziecka. – Twoje rany...

– Moje rany zagoją się, kiedy zadam ból przełożonej pokojówek – rzucił alchemik. – Czuję się dobrze, jestem silny, Eliasie. Jeden nóż nie wystarczy, żeby się mnie pozbyć.

– Ach, to dobrze, to dobrze. – Głos Króla pozbawiony był wszelkich emocji.

Guthwulf usłyszał stukanie butów Pryratesa na kamiennej posadzce. Nie słychać było żadnych otwieranych ani zamykanych drzwi, a jedynie kolejne krople spadły na twarz Guthwulfa. Poczuł chłód wody.

– L...l...lias – udało mu się wreszcie powiedzieć.

– Guthwulf! – odezwał się Król nieco zaskoczony. – Ty żyjesz?

– Gdzi...gdzie?

– Co gdzie?

– ...Ja.

– Jesteś na balkonie, tam gdzie... przydarzył ci się wypadek.

Jak to możliwe? Czy nie oglądali rankiem królewskiej gwardii? Czy leżał nieprzytomny aż do wieczora? Dlaczego nie przenieśli go w wygodniejsze miejsce?

– ...On ma rację – mówił Elias. – Nie powinieneś był mu przeszkadzać. Co chciałeś zrobić? – Dźwięczna nuta powoli zanikała w głosie Eliasa. – Postąpiłeś bardzo głupio. Mówiłem ci, żebyś trzymał się z dala od Pryratesa.

– Nie widzę – wyrzucił z siebie Guthwulf.

– Nic dziwnego – odparł spokojnie Elias. – Masz bardzo poparzoną twarz, zwłaszcza wokół oczu. Źle wyglądają. Myślałem, że nie żyjesz, ale jednak przeżyłeś. – Głos Króla brzmiał jakby z oddali. – Szkoda, stary druhu, ale ostrzegałem cię, byś uważał na Pryratesa, czy nie tak?

– Ślepy? – powiedział Guthwulf z gardłem ściśniętym bolesnym skurczem. – Ślepy?

Jego chrapliwe wycie odbijało się echem od murów dziedzińca i wydawało się, że wrzeszczy stu Guthwulfów. Kiedy wreszcie ucichł krzyk jego rozpaczy, Król poklepał go po czole, jakby uspokajał starego psa.

DOLINA RZEKI CZEKAŁA na zbliżającą się burzę. Powietrze – już nie tak chłodne – stało się ciężkie i duszne. Rzeka Stefflod szemrała niespokojnie, a niebo nabrzmiało złowieszczymi chmurami. Podróżni rozmawiali cicho, jakby przejeżdżali obok śpiącej bestii, którą może obudzić nieopatrzny hałas.

Hotvig i jego ludzie zdecydowali się zaczekać na resztę swojej grupy; wszystkich było około osiemdziesięciu – mężczyźni, kobiety i dzieci. Ich wozy jechały najszybciej jak było to możliwe, lecz nie mogły dorównać jeźdźcom.

– Dziwi mnie fakt, że twoi ludzie zdecydowali się odciąć od korzeni klanu i pójść za nami w nieznane i niebezpieczne Pustkowie – powiedział Josua, kiedy się żegnali.

Hotvig uśmiechnął się, ukazując dziurę po brakującym zębie, który stracił w jednej z ostatnich bójek.

– Odciąć od korzeni klanu? U nas nie istnieje takie słowo. Nasze korzenie tkwią w naszych wozach i siodłach.

– Czy twoi ludzie nie boją się jechać w takie dziwne miejsce?

Skurcz niepokoju przemknął po twarzy Thrithinga, ale zaraz zastąpił go wyraz pogardliwej dumy. – Zapominasz, książę, że oni są moimi krewnymi. Powiedziałem im tak: „Jeśli nie boją się tam jechać mieszkańcy kamiennych domów, czy Wolni Thrithingowie okażą się od nich gorsi?” I pojechali ze mną. – Pogładził swą brodę, uśmiechając się. – A poza tym, warto zaryzykować, jeśli można wyrwać się spod rządów Fikolmija.

– Czy jesteś pewien, że on nie będzie was ścigał? – spytał Josua.

Hotvig pokręcił głową.

– Tłumaczyłem ci to wczoraj. Przez ciebie tan stracił twarz. Nawet gdyby tak się nie stało, często zdarza się, że klany dzielą się na mniejsze, rodzinne grupy. Próba powstrzymania nas przed odejściem byłaby ostatnią rzeczą, na jaką mógłby sobie pozwolić Fikolmij. Oznaczałoby to, że traci władzę.

Hotvig opowiedział przy wieczornym ognisku, że sposób, w jaki Fikolmij potraktował swoją córkę i księcia, wywołał wiele niezadowolenia wśród Klanu Ogiera. Fikolmij nigdy nie był popularnym wodzem, ale szanowano go jako dzielnego wojownika i dobrego stratega. Jednak fakt, że sama obecność mieszkańców kamiennych domów doprowadziła go do takiej nieroztropnej decyzji, jak zwrócenie się o pomoc do Fengbalda i innych ludzi Króla, i to bez konsultacji z wodzami pozostałych klanów, wywołał głośne komentarze podające w wątpliwość zdolności Fikolmija do sprawowania władzy nad Wielkimi Thrithingami.

Kiedy Fengbald z pięćdziesięcioma uzbrojonymi ludźmi przybył do obozu Fikolmija, grając rolę niezwyciężonego zdobywcy, Hotvig i kilku innych wojowników zebrali swoje rodziny przed wozem tana. Fikolmij pragnął jak najszybciej posłać Erkynlandczyków śladem Josui, lecz sprzeciwił mu się Hotvig i jego poplecznicy.

„Nigdy uzbrojeni mieszkańcy kamiennych domów nie będą jeździć po ziemi Klanu Ogiera bez zgody przywódców klanów” – wołał Hotvig, a inni go poparli. Fikolmij wściekał się i groził, lecz prawa Wolnych Thrithingów były jedyną niezmienną rzeczą w ich koczowniczym życiu. W rezultacie Hotvig i jego zwolennicy oznajmili hrabiemu Fengbaldowi – zadufanemu w sobie, niebezpiecznemu głupcowi, jak nazwał go Hotvig – że jeśli chce ścigać Josuę, musi objechać ziemie Klanu Ogiera. Fengbald dysponujący niewielkimi siłami nie miał wyboru. Musiał zawrócić możliwie najkrótszą drogą. Odjeżdżając, hrabia groził odwetem i wykrzykiwał, że długie lata wolności Thrithingów już się skończyły i niebawem Wielki Król Elias raz na zawsze połamie ich wozy.

Wynikiem poczynań Fikolmija były liczne spory, które omal nie zakończyły się bratobójczym rozlewem krwi. Kres niesnaskom położył dopiero exodus Hotviga i kilku innych wojowników, którzy wraz z rodzinami pojechali za Josuą. Fikolmij z wściekłością lizał swoje rany, lecz wciąż był pierwszy wśród Thrithingów.

– Nie, nie pojedzie za nami – powtórzył Hotvig. – Klany pomyślałyby, że potężny Fikolmij nie potrafi dać sobie rady bez kilku wozów i że wojny mieszkańców kamiennych domów są dla niego ważniejsze niż los własnych ludzi. My, wygnańcy, zostaniemy z wami przez jakiś czas przy Kamieniu Pożegnania i naradzimy się, co robić dalej.

– Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, co zrobiłeś – odparł Josua z powagą. – Uratowałeś nam życie. Gdyby Fengbald nas dogonił, wrócilibyśmy do Hayholt w kajdanach. Nikt nie powstrzymałby mojego brata.

Hotvig spojrzał na niego uważnie.

– Możesz tak myśleć, ale nie znasz siły Wolnych Thrithingów, jeśli sądzisz, że tak łatwo dalibyśmy się pokonać. – Potrząsnął długą włócznią. –

Thrithingowie z Łąk wiedzą, jak utrudniać życie mieszkańcom kamiennych domów z Nabbanu.

Przysłuchujący się całej rozmowie Strangyeard spojrzał na Hotviga pełnym niepokoju wzrokiem.

– Hotvigu, nie tylko Króla się obawiamy.

Thrithing skinął głową.

– Wiem. Mówiliście. I chętnie jeszcze o tym porozmawiam, ale teraz muszę wracać do moich ludzi. Jeśli jedziecie tam, dokąd mówi ta kobieta – wskazał na Geloë z szacunkiem – rozglądajcie się za nami jutro przed zachodem słońca. Wozy szybciej nie pojadą.

– Ale nie zwlekajcie – powiedziała czarownica. – Nie żartowałam, mówiąc, że musimy śpieszyć się przed burzą.

– Nie ma lepszych jeźdźców od Thrithingów – oznajmił stanowczo Hotvig. – A nasze wozy nie są gorsze. Dołączymy do was jutro wieczorem. – Znowu roześmiał się szeroko, pokazując dziurę po brakującym zębie. – Wpuść mieszczuchów, a oni zaraz znajdą kamień w samym środku łąk, żeby przy nim zamieszkać. – Wiedziałem – zwrócił się do Josui. – Kiedy zabiłeś Utvarta, wiedziałem, że nic już nie będzie jak dawniej. Ojciec nauczył mnie wierzyć w moją rękę i moje serce. – Uśmiechnął się. – A także w moje szczęście. – Postawiłem na ciebie jednego z moich źrebaków. Przyjaciele wstydzili się za mnie, że dałem się tak łatwo nabrać, ale przyjęli mój zakład. – Roześmiał się głośno. – Wygrałeś dla mnie cztery dobre konie! – Hotvig skierował swego wierzchowca na południe. – Do zobaczenia wkrótce!

– Tym razem bez strzał! – zawołał Deornoth.

– Jedźcie bezpiecznie – rzucił cicho Josua, kiedy Hotvig i jego towarzysze mknęli już przez łąkę.

Pełni otuchy po spotkaniu z Thrithingami podróżni jechali żwawo, choć nisko nad ich głowami wisiało czarne niebo. Kiedy w południe zatrzymali się, by coś przekąsić i napoić konie, Sangfugol namówił ojca Strangyearda, by wspólnie zaśpiewali. Zadziwiająco miły głos duchownego wspaniale współbrzmiał z głosem harfiarza. Nawet jeśli duchowny nie do końca zrozumiał, o czym traktuje *Ballada o Moirah o Stopach Okrągłych*, to cieszył się niezmiernie ze swego popisu i oklasków, jakich mu nie szczędzono. Kiedy ruszyli dalej, Deornoth znalazł się obok Geloë. Trzymała się na koniu jak wytrawny jeździec. Deornoth wciąż się zastanawiał, kim naprawdę jest ta mądra kobieta. Miała na sobie zapasowe ubranie z obozu Thrithingów, jakby przybyła do nich zupełnie naga. Wspomniawszy istotę z pazurami, która zaatakowała go w ciemności, Deornoth doszedł do wniosku, że istnieją pewne rzeczy, o które bogobojny rycerz nie powinien wypytywać.

– Wybacz, *valada* Geloë – powiedział. – Ale wyglądasz na zasmuconą. Martwisz się czymś, czego nam jeszcze nie powiedziałaś? – Wskazał na Sangfugola i Strangyearda, którzy rozprawiali wesoło z księżną Gutrun. – Czy przypadkiem nie śpiewamy na cmentarzu, jak mówi stare porzekadło?

Geloë nie odrywała wzroku od nieba. Leleth spojrzała na niego, jakby był interesującym kamieniem.

– Sir Deornoth, obawiam się wielu rzeczy – odezwała się wreszcie. – Problem w tym, że być „mądrą kobietą” oznacza wiedzieć wystarczająco dużo, by mieć powody do obaw, ale jednocześnie nie móc podać więcej wyjaśnień, niż zrobiłoby to dziecko. Boję się nadchodzącej burzy. Ten, który jest naszym prawdziwym wrogiem – nie wymówię jego imienia na tej ziemi – osiągnął już prawie całkowitą władzę. Zimne lato pokazało wszystkim, jak wiatrem i chmurami przemawia jego duma i gniew. Teraz

z Północy nadchodzi burza. Jestem pewna, że to jego burza. Jeśli mam rację, to przyniesie ona zgubę tym, którzy mu się oprą.

Deornoth przyjrzał się uważnie niebu. Nagle złowieszcze chmury wydały mu się czarną, morderczą ręką, która sięga z Północy poprzez nieboskłon i maca, na oślep, lecz cierpliwie. Deornoth wstrząsnął się na myśl o tym, że ręka ich w końcu znajdzie, i długo jechał wpatrzony w siodło, zanim znowu spojrzał na Geloë.

– Rozumiem – powiedział.

Promienie słońca przedzierały się czasem między chmurami. Wiatr zmienił kierunek i wiał teraz – silny, wilgotny – w ich twarze. Jadąc wciąż wzdłuż doliny, dotarli do szerokiego łuku Stefflod i po raz pierwszy zobaczyli las Aldheorte. Był o wiele bliżej, niż spodziewał się tego Deornoth; jego ciemna ściana rysowała się wyraźnie wzdłuż północnej krawędzi doliny.

– Już niedaleko – oznajmiła Geloë.

Jechali całe popołudnie, aż i tak przesłonięte chmurami słońce skryło się za horyzontem. Minąwszy kolejny zakręt rzeki, dotarli do grupki niskich wzgórz.

– Miłościwy Aedonie! – szepnął Deornoth.

– *Sesuad'ra* – powiedziała Geloë. – Oto Kamień Pożegnania.

– Ale to wcale nie jest kamień – odezwał się z niedowierzaniem Sangfugol. – To góra!

Z dna doliny wyrastało ogromne wzgórze. W przeciwieństwie do swoich niskich, zaokrąglonych sąsiadów *Sesuad'ra* wyrastał spośród traw niczym głowa zagrzebanego w ziemi olbrzyma; głowa z lesistą brodą i kanciastymi kamieniami widocznymi na krawędzi wierzchołka. Na samym szczycie góry, poza kamieniami, widniało coś białawego. Promienie

słońca załamywały się na nieregularnych, skalistych zboczach, mamiąc podróżnych złudzeniem, że góra odwraca się i śledzi ich ruchy.

– Jest bardzo podobny do Thisterborga, koło Hayholt – zauważył Josua.

– To nie jest kamień – powtarzał uparcie Sangfugol, kręcąc głową.

Geloë roześmiała się głośno.

Jest cały z kamienia. *Sesuad'ra* jest częścią kości ziemi; wyzwolił się z jej ciała w bólu w czasach Dni Ognia, lecz wciąż tkwi w środku świata.

Ojciec Strangyeard spoglądał niespokojnie na masywne wzgórze.

– Czy my... czy my tam zostaniemy? Będziemy tam mieszkać?

Czarownica uśmiechnęła się.

– Mamy pozwolenie.

Kiedy podjechali bliżej, przekonali się, że kamień nie jest tak gładki, jak wydawał się z odległości. Pomiędzy gęsto rosnącymi drzewami i krzewami ciągnęła się wąska ścieżka, najpierw u podnóża, później wyżej, pnąc się w górę dookoła skały i znikając dopiero przy samym szczycie.

– Jak to możliwe, że drzewa rosną i rozwijają się na skale? – pytał Deornoth. – Czy możliwe, by wyrastały z kamienia?

– *Sesuad'ra* pękał i wietrzał przez eony swego istnienia – odpowiedziała Geloë. – Rośliny zawsze znajdą jakiś sposób, a poza tym potrafią rozłupywać kamień, aż zostaną z niego okruchy nie większe od tych, jakie znajdują się na polach Hewenshire.

Deornoth uniósł brwi zdziwiony, słysząc nazwę miejsca, gdzie przyszedł na świat; przez chwilę zastanawiał się nawet, skąd Geloë zna ziemie jego ojca. Z pewnością nigdy z nią o tym nie rozmawiał.

Wkrótce znaleźli się w cieniu wzgórza, gdzie wiał chłodny wiatr. Przed sobą mieli ścieżkę, która pięła się w górę przytulona do zbocza wzgórza porośniętego trawą, mchem i gęstymi krzewami.

– Czy wchodzimy na górę? – spytała z niepokojem księżna Gutrun. – Na sam szczyt?

– Oczywiście – odparła Geloë nieco zniecierpliwiona. – Jest to najwyższe miejsce w promieniu wielu mil, a właśnie takie jest nam teraz potrzebne. Są też inne powody, czy muszę znowu je wyjaśniać?

– Nie, *valada* Geloë, prowadź – powiedział Josua. Na twarzy księcia widać było ożywienie, jakby trawił go wewnętrzny ogień. – Tego właśnie szukaliśmy. Stąd zaczniemy długą drogę do domu. – Zasępił się na chwilę. – Zastanawiam się, co powie Hotvig i jego ludzie, kiedy będą musieli zostawić na dole swoje wozy. Szkoda, że nie można zabrać ich na górę.

Czarownica machnęła dłonią.

– Martwisz się na zapas. Chodźcie na górę, a będziecie mieli niespodziankę.

Ruszyli przed siebie. Ścieżka ukryta pod trawą okazała się gładka jak podłoga na korytarzach Naglimundu i tak szeroka, że zmieściłby się na niej każdy wóz.

– Jak to możliwe? – spytał Josua.

– Zapominasz, że jest to sithijskie miejsce – odparła Geloë. – Pod jeżynami ciągnie się droga, którą wybudowali. Trzeba wielu stuleci, żeby zniszczyć dzieło Zida’ya.

Josua nie wyglądał na bardzo uradowanego.

– Dziwi mnie to i trochę niepokoi. W takim razie co powstrzyma naszych wrogów przed wejściem na górę?

Geloë prychnęła z dezaprobatą.

– Po pierwsze, łatwiej jest bronić dostępu na szczyt, niż zdobywać go z dołu. Po drugie, ukształtowanie góry właśnie temu sprzyja. Po trzecie,

nasz wróg powodowany gniewem może przechytrzyć samego siebie, co pozwoli nam przetrwać – przynajmniej przez jakiś czas.

– W jaki sposób? – dopytywał się Josua.

– Zobaczysz. – Geloë popędziła konia w górę ścieżki; przed nią podskakiwała na siodle Leleth.

Dziewczynka przyglądała się wszystkiemu szeroko otwartymi oczami bez najmniejszych śladów emocji. Josua wzruszył ramionami i pojechał za nimi.

Deornoth zbliżył się do Vorzhevy. Siedziała wyprostowana na koniu, lecz wyraźnie przestraszona.

– Pani, co się stało?

Uśmiechnęła się nerwowo.

– Moi ludzie zawsze nienawidzili i bali się tej doliny. Hotvig jest przywódcą klanu, więc nie okaże strachu, lecz nawet on boi się tego miejsca. – Westchnęła. – Ja też, ale muszę jechać za moim mężem na szczyt tej dziwnej góry.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy książę przywiózł tę dziwną kobietę do zamku w Naglimundzie, Deornoth poczuł dla niej sympatię i podziw.

– Pani, wszyscy bardzo się boimy – powiedział. – Tylko nie wszyscy przyznają się do tego. – Ścisnął delikatnie piętami boki Vildalixa i pojechał za Vorzhevą.

Nad drogą zwieszały się splątane winorośle i gałęzie drzew, utrudniając jazdę. Kiedy kolejny raz wyjechali z cienia, krążąc po wznoszącej się spirali wokół osi góry, mgła, która przylgnęła do zbocza, zamigotała tysiącem iskier w blasku popołudnia.

Lecz Deornothowi najdziwniejszy wydawał się zapach tego miejsca. *Sesuad’ra* pachniał odwiecznym wzrastaniem, wodą, korzeniami, wilgotną ziemią. Wokół panowała atmosfera spokoju, lecz także rozważnej

czujności. Od czasu do czasu ciszę przerywał śpiew niewidocznego ptaka, których pieśni były tak samo posępne i trwożliwe jak szepty dzieci zostawionych w ogromnej i wysokiej sali.

Na pewnej wysokości pojawiły się białe postacie nieomal dwukrotnie większe od człowieka z wygładzonych upływem lat kamieni. Choć nie sposób było rozpoznać ich konturów, łudziły wrażeniem ruchu, życia.

– Są to kolumny czasowe – rzuciła przez ramię Geloë, kiedy dotarli do pierwszej z nich. – Jedna na każdy księżyc roku. Miniemy ich dwanaście, przy każdym okrążeniu wzgórza. Kiedyś przypominały chyba zwierzęta i ptaki.

Deornoth spoglądał na bryłę, która mogła być głową, i zastanawiał się, jakie zwierzę tu stało. Zniszczony wiatrem i deszczem kamień pozbawiony był teraz jakiegokolwiek kształtu, jak roztopiony wosk albo porzucony trup. Zadrżał i zrobił na piersi znak Drzewa.

Niedługo potem Geloë zwróciła ich uwagę na północno-zachodnią część doliny, gdzie stary las dochodził prawie do brzegów Stefflod. Rzeka była teraz wąską lśniącą wstęgą, która ciągnęła się wzdłuż szmaragdowej doliny.

– Spójrzcie za rzekę, na skraj lasu. – Wskazała ręką ciemną krawędź lasu, która równie dobrze mogła być zamarzniętą morską falą oczekującą na wiosenne roztopy. – Ruiny Enki-e-Shao’saye. W pewnym sensie było to najpiękniejsze miasto wybudowane w Osten Ard od początku świata.

Szeptali między sobą, zasłaniając dłońmi oczy, a Deornoth zbliżył się do krawędzi ścieżki i wytężył wzrok. Nie zobaczył nic poza skruszoną i migocącą ścianą koloru lawendy.

– Nie ma zbyt wiele do oglądania – powiedział cicho.

– Teraz już nie – odparła Geloë.

Dzień się kończył, a oni wciąż się wspinali. Za każdym razem, kiedy wynurzali się z cienia północnego zbocza w coraz słabsze światło popołudnia, widzieli rozlewającą się na horyzoncie plamę ciemności. Burza zbliżała się szybko. Dotarła już do skraju lasu Aldheorte i cała północ pogrążyła się w mroku.

Gdy wreszcie okrążyli wzgórze po raz dwunasty i znaleźli się na szczycie, słońce zdążyło już zajść, pozostawiając na niebie jedynie czerwonawą smugę.

Wierzchołek wzgórza był prawie płaski i nieco węższy od podstawy. Okalały go pionowe kamienie, ogromne i surowe, każdy wysokości czterech ludzi, szare, poprzecinane białymi i różowymi żyłami jak skała, która tworzyła wzgórze.

Na środku szczytu, wśród falującej trawy stał rozległy, niski budynek z opalizującego kamienia zabarwionego teraz blaskiem zachodzącego słońca.

Na pierwszy rzut oka budynek przypominał świątynię podobną do starych nabbańskich budowli z czasów Imperium, lecz prostszą. Jego bezpretensjonalny, choć ciekawy styl sprawiał wrażenie, jakby budynek wyrastał wprost z ziemi. Budowla stanowiła nieodłączną część owianego wiatrem szczytu wznoszącego się pod niekończącym się niebem. Wyrachowana majestatyczność świątyń wybudowanych ludzką ręką była zupełnie obca budowniczym tego domu. W niektórych miejscach ściany poddały się upływowi niezliczonych lat. Przez dach wypchnęły swe korony wielkie drzewa; inne jak nieproszeni goście wciskały się przez osklepione wejścia. Lecz wciąż prostota i piękno tego miejsca pozostawały widoczne i tak dalekie od tego, co ludzkie, że długo nikt z podróżnych nie odważył się przemówić.

– A więc jesteśmy – przemówił wreszcie Josua uroczystym tonem. – Przebywszy tyle niebezpieczeństw i tyle wycierpiawszy, znaleźliśmy wreszcie miejsce, w którym możemy się zatrzymać.

– Tak nie będzie zawsze, książę Josuo – powiedziała Geloë cicho, jakby nie chciała zniszczyć uroczystego nastroju, lecz książę szedł już pewnym krokiem w kierunku białych ścian.

– Niekoniecznie – zawołał. – Ale na razie jesteśmy bezpieczni! – Odwrócił się i dał znak pozostałym, by się zbliżyli. Przez chwilę rozglądał się na wszystkie strony, a potem zawołał do Geloë: – Cofam to, co powiedziałem! Z pomocą kilku dobrych kompanów mógłbym odpierać ataki samego sir Camarisa, nawet gdyby pomagali mu wszyscy rycerze zasiadający przy Wielkim Stole mego ojca!

Ruszył wielkimi susami w kierunku jasnych ścian, które teraz nabrały niebieskiego odcienia. Zapadał wieczór. Pozostali ruszyli za nim przez trawę, rozmawiając cicho między sobą.

25. Płatki na wietrze

CO ZA GŁUPIA GRA – POWIEDZIAŁ SIMON. – Zupełnie bez sensu.

Aditu uniosła brwi.

– Nie ma sensu! – upierał się Simon. – To znaczy, spójrz! Mogłabyś wygrać, gdybyś tylko przesunęła się tutaj... – wskazał – i tutaj – pokazał jeszcze raz. – Kiedy podniósł wzrok, zorientował się, że Aditu patrzy na niego i uśmiecha się kpiąco. – Nie mogłabyś...? – skończył.

– Oczywiście, Seomanie. – Przesunęła gładkie kamienie po planszy gry tak, jak sugerował Simon, z jednej złotej wyspy na drugą poprzez szafirowobłękitne fale. Ocean na planszy otaczały czerwone płomienie i szare chmury. – Ale wtedy gra byłaby skończona, a doszliśmy dopiero do najpłytszych wód.

Simon pokręcił głową. Od kilku dni starał się nauczyć skomplikowanych zasad gry, a okazuje się, że to zaledwie początki. Jak można nauczyć się grać w grę, w której ludzie nie grają po to, żeby wygrać? Co prawda Aditu nie próbowała też przegrać. Simon odniósł wrażenie, że istotą gry jest wprowadzanie tematów i łamigłówek, z których większości nie był w stanie zrozumieć, tak jak nie rozumiał, na czym polega zjawisko tęczy.

– Jeśli się nie obrazisz – powiedziała Aditu, uśmiechając się – pokażę ci inny sposób. – Położyła kamienie na poprzednich miejscach. – Jeśli wykorzystam moje Pieśni do budowy Mostu tutaj... – Szybko przesunęła kamienie. – Wtedy można przejść na Wyspy Chmury Wygnania.

– Ale dlaczego chcesz mi pomagać? – Tkanina falujących ścian przyniosła muzykę. Gdyby Simon nie był pewien, że są sami w przestronnym brzoskwiniowym domu Aditu, pomyślałby, że ktoś gra tuż za ścianą. Przestał już dziwić się takim rzeczom, ale nie mógł powstrzymać drżenia; odbierał tę melodię jak bardzo małe stworzenie o wielu nogach, pełzające mu po karku. – Jak możesz wygrać grę, skoro wciąż pomagasz innym?

Aditu odchyliła się. Miała na sobie podobne ubranie jak przy pierwszym spotkaniu na ścieżce, a może jeszcze bardziej skąpe. Simon utkwił wzrok w planszy do gry. Wciąż nie czuł się swobodnie, patrząc na jej kształtne, złociste ciało.

– Seomanie – powiedziała. – Myślę, że się nauczysz. Już się uczysz. My, Zida’ya, gramy w tę grę od momentu, zanim czas się zaczął. Pierwsza Babka mówi, że przynieśliśmy ją ze sobą z Utraconego Ogrodu. – Położyła mu dłoń na ramieniu, wywołując gęsią skórkę. – W shent można grać tylko dla rozrywki. Grałam w gry, które polegały na plotkach i przyjaznym prześmiewaniu się, a wszystkie strategie zmierzały właśnie do tego. Są i inne gry, w których można wygrać, nieomal przegrywając. Brałam też udział w rozgrywkach, w których obaj grający rzeczywiście mozolnie się trudzą, by pokonać przeciwnika, lecz trwa to latami. – Uśmiechnęła się na wspomnienie czegoś. – Seomanie, czy nie widzisz, że wygrywanie i przegrywanie są zaledwie granicami, w których obrębie toczy się gra? Wewnątrz Domu Shent... – urwała, a na jej ożywionej twarzy pojawił się cień. – Trudno to wyrazić w waszym języku. – Po chwili znowu patrzyła na

niego pogodnie. – Może dlatego gra wydaje ci się taka trudna. Chodzi o to, że w Domu Shent wszystko jest istotne: rozstania, powroty, goście – zarówno przyjaciele, jak i wrogowie – narodziny, śmierć, wszystko jest ważne. – Wskazała dłonią na swój dom; podłogę z miękkiej trawy, pokoje wplecione w gałęzie kwitnących drzew. Simon przekonał się, że niektóre z nich miały ostre, malutkie kolce. – I nie ma znaczenia, czy w domu mieszkają śmiertelnicy, czy nie, liczy się życie w jego wnętrzu, a nie jego drzwi, ściany. – Aditu wstała i przeciągnęła się.

Simon spoglądał na nią ukradkiem, starając się przyoblec maskę obojętności nawet wtedy, kiedy jego serce biło w zawrotnym tempie na widok jej pełnych wdzięku ruchów.

– Jutro będziemy grali dalej – oznajmiła. – Myślę, że się uczysz, choć sam o tym nie wiesz. Nawet Sudhoda'ya mogą się czegoś nauczyć, grając w shent.

Simon nie miał wątpliwości, że Aditu znudziła się i że powinien się pożegnać. Wciąż bardzo uważał, by nie nadużywać gościnności. Nie cierpiał, kiedy Sithowie byli dla niego mili i wyrozumiali, jakby był głupim zwierzątkiem, które samo niczego nie potrafi zrozumieć.

– Pójdę już, Aditu.

Nie prosiła, by został. Czuł przepełniającą go złość, żal i jakieś głębokie rozczarowanie, kiedy skłonił lekko głowę i wyszedł pomiędzy kołyszącymi się gałęziami pełnymi kwiatów. Popołudniowe słońce żarzyło się poprzez pomarańczowe i różowe ściany, jakby już zbliżał się zachód.

Stał chwilę, spoglądając na świat przez migocącą mgiełkę, unoszącą się wokół małego wodospadu tuż przed drzwiami domu Aditu. Dolina przybrała odcień brunatnozłoty z plamami wzgórz porośniętych ciemnozielonymi drzewami albo połaciami szmaragdowych łąk. Patrząc na Jao e-Tinukar'i, wydawało się, że jest to miejsce jak każde inne: były tam

skały, kwiaty, drzewa, domy, lecz byli tam także Sithowie. Simon nabrał pewności, że nigdy ich nie zrozumie. Zdał sobie sprawę, że tak jak pod ziemią toczy się tajemnicze nieodgadnione życie, tak samo i Jao e-Tinukai'i pełne jest rzeczy niedocieczonych, których nie sposób pojąć. Przekonał się, jak mało rozumie, próbując ucieczki krótko po ogłoszeniu łaskawego wyroku, że resztę życia spędzi wśród uprzejmych Sithów.

Odczekał pełne trzy dni. Wydawało mu się wtedy, że taka cierpliwość świadczy o umiejętności stosowania z zimną krwią subtelnych taktyk godnych wielkiego Camarisa. Kiedy dwa tygodnie później wracał myślami do tamtego wydarzenia, mógł się tylko śmiać ze swej ignorancji. Co mu się wydawało...

Czwartego dnia po ogłoszeniu wyroku Simon wyszedł późnym popołudniem z domu Jirikiego. Przedostał się szybko na drugą stronę rzeki, czego dokonał – jak mu się wydawało – dyskretnie, wybierając jeden z wąskich mostów, a potem ruszył w kierunku miejsca, do którego przybyli z Aditu. Fresk z węzłów, który prowadził do domu Jirikiego, ciągnął się także i na drugim brzegu rzeki. Wydawało mu się, że mijane sceny przedstawiają tych, którzy przeżyli jakąś wielką katastrofę, i przypływają na statkach na nowy ląd – Sithowie w Osten Ard? – a potem budują wielkie miasta, ba! całe królestwa w lasach i górach. Simon nie miał czasu na dokładne studia, lecz dostrzegł szczegóły sugerujące, że przybysze nie zostawili w zniszczonym domu smutku i trudów życia.

Szedł ścieżką wzdłuż rzeki, aż wreszcie skręcił w kierunku porośniętych gęstymi krzewami podnóża wzgórz. Miał nadzieję, że idąc tamtędy, skróci nieco drogę i uniknie Sithów, bo nie wątpił, że gdyby którykolwiek z nich zauważył więźnia zmierzającego w stronę granic miasta, natychmiast podniósłby alarm. Dlatego nie szedł ścieżką, lecz skradał się między drzewami. Poczucie winy przytłaczało jego podniecenie

ucieczką: z pewnością Jiriki zostanie ukarany za to, że pozwolił uciec śmiertelnikowi. Ale przecież Simon też miał zobowiązania wobec swych przyjaciół, które były co najmniej równie ważne jak wiekowe prawa Sithów.

Nikt go nie widział, a przynajmniej nie próbował zatrzymać. Po kilku godzinach znalazł się w opuszczonej części starego lasu i uwierzył, że ucieczka się udała. Cała wyprawa z Aditu – od Stawów do domu Jirikiego – nie trwała dłużej niż dwie godziny. Do tej pory przeszedł przynajmniej dwukrotnie więcej i dokładnie w przeciwną stronę.

Gdy wyczołgał się z gęstego podszycia, stwierdził, że znajduje się w Jao e-Tinukai'i, tyle tylko, że w części, której jeszcze nie widział. Stał w samym środku pogrążonej w cieniu polany. Drzewa wokół przybrane były w cieniutkie jak pajęcza nić, jedwabiste serpentyny, które lśniły w blasku zachodzącego słońca. Las wydawał się wręcz opleciony ognistą siecią. Na środku polany rósł olbrzymi dąb. W jego pień wbudowano owalne drzwi z białego drewna, porośnięte mchem. Serpentyny wokół dębu wiły się tak gęsto, że drzewo prawie ginęło pod nimi. Simon zastanawiał się, co to za miniaturowy pustelnik żyje z dala od miasta. W porównaniu z przepięknymi domami Jao e-Tinukai'i miejsce to wydawało się archaiczne, jakby jego mieszkaniec ukrywał się nawet przed powolnym tempem życia Sithów. Dom mimo aury starości i samotności nie wydawał się groźny. Polana, pusta i cicha, kusiła wygodą i prostotą. Powietrze nie było krystalicznie czyste, lecz przyjemne. Jak wnętrze kieszeni ukochanej ciotuni. Z tego miejsca reszta Jako e-Tinukai'i zdawała się tętnić szaleńczym życiem. Mieszkać w spokoju pośród udrapowanych jedwabiem drzew, gdy tymczasem świat dookoła...

Kiedy Simon przyglądał się falującym serpentynom, zagruchał gołąb. Chłopiec przypomniał sobie o ucieczce. Jak długo stoi tutaj i gapi się jak

głupi? A jeśli właściciel tego dziwnego domu zastanie go tutaj? Wszystko się wyda i złapią go jak szczura.

Rozzłoszczony, ruszył szybko przez las. Nic się nie stało, źle ocenił czas. Jeszcze godzina, a znajdzie się poza granicami miasta i przejdzie przez Letnią Bramę. A potem, zaopatrzony w żywność z obficie zastawionego stołu Jirikiego, skieruje się na południe i dotrze na skraj lasu. Może zginąć po drodze, ale tak bywa z bohaterami. O tym dobrze wiedział.

Chęci Simona, by zostać martwym bohaterem, nie wpłynęły specjalnie na topografię Jao e-Tinukai'i. Kiedy wynurzył się wreszcie z gęstego poszycia, słońce chyliło się już ku zachodowi, a on stał w wysokiej po kolana złocistej trawie na lesistej łące przed Yasira, dokładnie tam, gdzie kiedyś stanął zdumiony widokiem niezliczonych migocących motyli. Jak to możliwe? Przecież trzymał się rzeki. Nigdy nie stracił jej z oczu i szedł cały czas w jednym kierunku. Wydawało mu się, że słońce prawidłowo przesuwa się po niebie. Drogę, jaką odbył tutaj z Aditu, miał wypisaną w sercu, pamiętał najdrobniejsze szczegóły. A mimo to przewędrował prawie całe popołudnie po to tylko, by przejść kilkaset kroków.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, zupełnie opadł z sił. Runął na ciepłą, wilgotną ziemię i leżał z twarzą w trawie, jakby otrzymał morderczy cios.

W domu Jirikiego było wiele pokoi, z których jeden otrzymał Simon. Książę większość czasu spędzał w otwartym pomieszczeniu, gdzie spotkali się po raz pierwszy po przybyciu Simona do miasta. Tam też spędzali wspólnie wieczory. Siedzieli z Jirikim na łagodnym zboczu, obserwując, jak światło dnia gaśnie, cienie się wydłużają, a woda w stawie ciemnieje. Kiedy ostatnie promienie słońca chowały się za drzewami, staw stawał się mrocznym lustrem, a w jego głębi zakwitały kwiaty gwiazd.

Simon nigdy dotąd nie przysłuchiwał się odgłosom nadchodzącej nocy, lecz w towarzystwie milczącego często Jirikiego, zaczął zwracać uwagę na

pieśni świerszcza, żaby; szemranie wiatru w koronach drzew przestało być tylko ostrzeżeniem przed tym, że trzeba mocniej naciągnąć czapkę. Poddając się nastrojowi wieczoru, czuł niekiedy, że znajduje się na krawędzi zrozumienia. Czuł, że zaczyna rozumieć, co to znaczy żyć w świecie, którego nie obchodzą miasta, zamki ani troski ich mieszkańców. Czasami przerażały go rozmiary tego świata, niezmierzona głębia wieczornego nieba posypanego zimnymi gwiazdami.

A jednak wciąż pozostawał dawnym Simonem i dlatego przeważnie czuł się zniechęcony.

– Czy na pewno to chciał powiedzieć? – Zlizał z palców sok dopiero co zjedzonej gruszki, której ogryzek wyrzucił ze złością na trawę. Siedzący obok Jiriki bawił się swoim ogryzkiem. Był to szesnasty – a może siedemnasty – wieczór Simona w Jao e-Tinukai'i. – Mam zostać aż do śmierci? To szaleństwo! – Naturalnie nie powiedział Jirikiemu o nieudanej próbie ucieczki, ale nie potrafił udawać, że cieszy go pobyt u Sithów.

Jiriki zrobił nieszczęśliwą minę. Simon nauczył się ją rozpoznawać: lekko wydęte usta i przymrużone oczy.

– Oni są moimi rodzicami – powiedział Sitha. – Są także Shima'onari i Likimeya, władcami Zida'ya. Ich decyzji nie można odwrócić, tak jak nie można zatrzymać kół roku.

– W takim razie dlaczego mnie tutaj przyprowadziłeś? Złamałeś tę zasadę!

– Nie, w rzeczywistości nie złamałem żadnej zasady. – Jiriki obrócił w palcach ogryzek i wrzucił go do stawu. Malutki krąg wskazał miejsce, gdzie upadł. – Zawsze istniało takie milczące prawo, lecz jest ono czymś innym od Słowa Posłuszeństwa. Zgodnie z tradycją Dzieci Świtu mogą postępować według własnej woli, dopóki nie kłóci się to ze Słowem Posłuszeństwa. Problem przyprowadzenia tutaj śmiertelnika sięga korzeni

nieporozumień, które podzieliły nas bardzo dawno temu. Seomanie, mogę cię tylko prosić o wybaczenie. Ryzykowałem, lecz nie miałem prawa stawiać na szali twego życia. Jednak wierzę, że choć raz – słuchaj, tylko ten jeden raz – wy, śmiertelnicy, możecie mieć rację, a my się mylimy. Zima zagraża nie tylko królestwom Sudhoga'ya.

Simon położył się i patrzył na coraz jaśniejsze gwiazdy. Starał się powstrzymać wzbierające w nim uczucie rozpaczy.

– Czy twoi rodzice nie mogliby zmienić zdania?

– Mogliby – powiedział wolno Jiriki. – Są mądrzy i miło by było, gdyby tak zrobili. Ale nie rób sobie wielkich nadziei. My nie podejmujemy pochopnie decyzji, zwłaszcza trudnych. Mogą potrzebować lat, by się zastanowić, a śmiertelnicy są niecierpliwi.

– Lat! – Simon był przerażony. Zrozumiał nagle zwierzę, które gotowe jest odgryźć sobie łapę, byleby tylko mogło uciec z pułapki. – Lat!

– Przykro mi, Seomanie. – Głos Jirikiego zabrzmiał chrapliwie, jakby przepełniał go ból, lecz złocista twarz Sithy pozostawała niewzruszona. – Jeden znak pozwala mieć nadzieję, lecz nie obiecuj sobie wiele. Motyle pozostały.

– Co?

– W Yasira. Zbierają się, kiedy mają zostać podjęte ważne decyzje. Nie odleciały, więc pozostają jeszcze problemy do rozwiązania.

– Jakie? – Pomimo ostrzeżeń Jirikiego Simon poczuł przypływ nadziei.

– Nie wiem. – Sitha pokręcił głową. – Ale na razie muszę trzymać się z boku. Mój głos nie jest miły matce i ojcu, więc muszę zaczekać, zanim będę mógł pójść do nich znowu i przedstawić swoje argumenty. Na szczęście Pierwsza Babka Amerasu niepokoi się poczynaniami moich rodziców, a szczególnie ojca. – Uśmiechnął się chytrze. – Jej zdanie bardzo się liczy.

Amerasu. Simon znał to imię. Sięgnął pamięcią do tamtej nocy. Twarz piękniejsza, lecz niewątpliwie starsza nawet od rodziców Jirikiego, którzy wydali mu się wieczni. Simon usiadł.

– Wiesz, Jiriki, widziałem kiedyś jej twarz w lusterku. Mówię o Amerasu, tej, którą nazywasz Pierwszą Babką.

– W lusterku? W smoczej łusce?

Simon skinął głową.

– Wiem, że miałem użyć go tylko wtedy, gdybym potrzebował pomocy, ale to, co się wydarzyło... to był przypadek. – Opisał dziwne spotkanie z Amerasu i straszliwą Utuk’ku w srebrzystej masce.

Jiriki zupełnie zapomniał o świerszczach i ich wspaniałych koncertach.

– Seomanie, nie zabroniłem ci używać lusterka – powiedział. – Dziwi mnie tylko, że zobaczyłeś w nim coś, co nie było tylko zwykłym odbiciem. – Wykonał dłonią nieznany Simonowi gest. – Muszę o tym porozmawiać z Pierwszą Babką. Bardzo dziwne.

– Czy mogę pójść z tobą?

– Nie, Śnieżnowłosy. – Jiriki uśmiechnął się. – Nikt nie przychodzi do Amerasu Urodzonej Na Statku bez jej zaproszenia. Nawet Korzeń i Konar – jak wy nazywacie najbliższych – muszą poprosić o taki zaszczyt. Nawet nie wiesz, jakie to dziwne, że ujrzałeś ją w moim lusterku. Jesteś niebezpieczny.

– Niebezpieczny? Ja?

Sitha roześmiał się.

– Mówię o twojej obecności tutaj. – Dotknął delikatnie ramienia Simona. – Śnieżnowłosy, jesteś wyjątkowy. Nieodgadniony. – Wstał. – Zajmę się tym. Brakuje mi jakiegoś zajęcia.

Simon, który nigdy nie grzeszył cierpliwością, pozostał sam w towarzystwie stawu, świerszczy i nieosiągalnych gwiazd.

Wszystko wydawało się takie dziwne. W jednej chwili walczył o życie, może nawet o los całego Osten Ard, pokonywał zmęczenie, czary i inne dziwne przeciwności losu; a chwilę później zima pierzchła, a on wpadł po uszy w lato i w... nudę.

Simon zdawał sobie sprawę, że to wszystko nie jest aż takie proste. Fakt, że odszedł ze świata, nie oznaczał jeszcze, że poprzednie problemy przestały istnieć. Wręcz przeciwnie: gdzieś tam daleko, w ośnieżonych lasach poza granicami Jako e-Tinukai'i błąkał się jego koń Nadzieja ze swoim bagażem, mieczem Cierniem, po który Simon i jego towarzysze szli setki mil i za który przelali swoją krew. Ludzie i Sithowie oddali życie, by odnaleźć ten miecz dla Josui. Teraz miecz zaginął gdzieś w głębi lasu, a Simon czuł się uwięziony tak samo niespodziewanie, jak kiedy Rachel zamykała go w ciemnej spiżarni za jakieś drobne przewinienie.

Simon opowiedział Jirikiemu o zagubionym mieczu, lecz Sitha wzruszył tylko ramionami ze spokojem niezrozumiałym dla Simona. Nic nie można było zrobić.

Simon oprzytomniał. Szedł w górę rzeki w ciszy wczesnego popołudnia. Dom Jirikiego i fresk z węzłów zostały daleko w tyle. Usiadł na kamieniu i obserwował białą czaplę. Stała nieruchomo w płytkiej wodzie zakola rzeki i rozglądała się dyskretnie, udając obojętność, by nie odstraszyć płochliwych ryb.

Był pewien, że minęły już co najmniej trzy tygodnie od jego przybycia do doliny. W ostatnich dniach jego pobyt zaczął wydawać mu się nudnym żartem, który ciągnie się już za długo i psuje wszystkim radość.

„Co ja mogę zrobić? – Zdesperowany podniósł z ziemi patyk i cisnął go do wody. – Stąd nie można uciec!"

Wspominając pierwszą nieudaną ucieczkę i następne, równie bezskuteczne próby, Simon prychnął niezadowolony i rzucił do rzeki

kolejny patyk. Za każdym razem, kiedy próbował znaleźć drogę na zewnątrz, wracał do centrum Jao e-Tinukai'i.

„Jak mogłem być takim gamoniem? – pomyślał. – Skąd mi przyszło do głowy, że tak łatwo będzie stąd odejść, skoro razem z Aditu musieliśmy wydostać się z zimy, żeby tutaj dotrzeć".

Patyk wirował przez chwilę jak wiatrak, a potem porwał go łagodny wir.

„Tak, to do mnie podobne – pomyślał. – Tak to już będzie. Pokręcę się tu i tam, a zanim się Sithowie zorientują, zestarzeję się i umrę".

Na myśl o tym poczuł ściśnięcie w gardle. Z całej duszy zapragnął znaleźć się wśród swoich, nawet Rachel Smok była lepsza niż nieśmiertelni Sithowie o kocich oczach i łagodnych głosach.

Niespokojny, zerwał się i przedzierając przez trzciny, poszedł w stronę ścieżki. I wtedy nieomal z kimś się zderzył. Był to Sitha, ubrany tylko w luźne niebieskie spodnie, który stał w zaroślach i wpatrywał się w rzekę. Simon pomyślał, że Sitha go szpieguje, lecz obcy w ogóle nie zareagował na widok Simona. Nie odrywał wzroku od rzeki. Śpiewał cicho; była to urywana, szeleszcząca melodia. Jego uwagę w pełni pochłaniało drzewo do połowy zanurzone w korycie rzeki.

Simon nie potrafił powstrzymać odgłosu zniecierpliwienia. Co z nimi? Włóczą się jak lunatycy, wygadują rzeczy, które nie mają sensu – nawet Jiriki czasami opowiada tajemnicze, zupełnie niezrozumiałe historie, a przecież jest najbardziej bezpośrednim spośród Sithów. Do tego jeszcze patrzą na Simona, jakby był owadem, jeśli w ogóle są skłonni go zauważyć.

Już kilkakrotnie Simon był pewien, że natknął się na Ki'ushapo i Sijandi, Sithów, którzy towarzyszyli Jirikiemu w wyprawie na Urmsheim, lecz tamci nie okazywali w najmniejszym stopniu, że go rozpoznają.

Oczywiście nie mógł przysiąc, że to z pewnością oni, lecz sposób, w jaki uparcie unikali jego wzroku, utwierdzał Simona w jego przekonaniu.

W czasie podróży przez północne pustkowie krewny Jirkiego An’nai i erkynlandzki żołnierz Grimmric zginęli na smoczej górze Urmsheim pod zamarzniętym wodospadem zwanym Drzewem Uduna. Zostali razem pochowani, Sitha i śmiertelnik; Jiriki powiedział, że była to rzecz niespotykana, więź, jakiej nie znały poprzednie wieki. A teraz Simon, śmiertelnik, przybył do Jao e-Tinukai’i. Być może Ki’ushapo oraz Sijandi nie aprobowali jego pobytu w sithijskim mieście, ale przecież wiedzieli, że uratował życie ich księcia, a także był Simonem Hikka Staja, Tym, Który Nosi Strzałę, więc dlaczego mieliby go unikać? Nawet jeśli Simon się pomylił, mogliby po prostu go odszukać, w końcu był tu jedynym śmiertelnikiem. Dlaczego nie chcieli się nawet przywitać? A może wstydzili się za swego księcia, że przyprowadził do doliny tak dziwne stworzenie? Dlaczego traktowali go jak powietrze, nie powiedzieli mu tego, nie powiedzieli czegokolwiek? Wuj Jirikiego Khendraja’aro miał przynajmniej tę zaletę, że nie ukrywał swych uczuć do śmiertelników.

Myśli o doznanych zniewagach wprawiły Simona w zły humor. Szedł wolno w górę strumienia, mając chęć wciśnięcia w błotnisty brzeg przystojnej twarzy Sithy.

Raptem ruszył w poprzek doliny; tym razem nie zamierzał uciekać, chciał tylko pozbyć się gromadzącej się w nim złości. Minął jeszcze kilku Sithów. Przeważnie spacerowali samotnie, ale zdarzały się i milczące pary. Niektórzy spoglądali na niego z całkowitą obojętnością, inni sprawiali wrażenie, że w ogóle go nie widzą. Raz spotkał czterech Sithów, którzy siedzieli i w skupieniu słuchali śpiewu piątego; patrząc uważnie na płynne ruchy dłoni śpiewającego.

– Miłościwy Aedonie – mruknął do siebie. – O czym oni rozmyślają przez cały czas? Są gorsi od Doktora Morgenesa! – Wprawdzie i Doktor potrafił zamilknąć na długie godziny, mrucząc jedynie nieprzytomnie, ale za to pod koniec dnia zwykł otwierać dzban z piwem i uczył wtedy Simona historii albo komentował dość kiepskie próby pisania swego ucznia.

Simon kopnął jodłową szyszkę i patrzył, jak się toczy. Musiał przyznać, że Sithowie są piękni. Ich wdzięk, zwiewne szaty, twarze pełne spokoju; wszystko to sprawiało, że Simon czuł się niczym upaćkany w błocie kundel, który ociera się o obrus stołu wielkiego pana. Niewola wywoływała w nim złość, lecz czasem jakiś okrutny wewnętrzny głos szeptał mu, że tak właśnie wygląda sprawiedliwość. Nie miał prawa tu być, a skoro już przybył, nie powinno się pozwolić, by ktoś tak pospolity wrócił do swoich i skalał nieśmiertelnych głupimi opowieściami. Jak Osgal, jeden z bandy Jacka Mundwode’a, który zawędrował do wnętrza zaczarowanej góry. Świat nie mógł już być taki sam.

Simon zwolnił bieg, kiedy złość nieco z niego uleciała. Usłyszał monotonny plusk wody spadającej na kamień. Zorientował się, że przeszedł w poprzek doliny i znalazł się w cieniu wzgórz. Zapłonęła w nim iskierka nadziei. Był w pobliżu Stawów, jak nazwała je Aditu; niedaleko powinna być Letnia Brama. Wydawało się, że zupełnie nieświadomie osiągnął to, czego z takim trudem próbował dokonać.

Udając całkowitą obojętność, skręcił ze ścieżki w stronę, skąd dochodził plusk wody. Przez cały czas przyglądał się niespiesznie z udawaną – skutecznie, miał nadzieję – nonszalancją. Już po kilku krokach zanurzył się w chłodnym cieniu wzgórz i szedł w górę zbocza porośniętego splątaną trawą i pokrytego nieśmiałymi błękitnymi goździkami oraz gwiezdnikami. W miarę jak odgłosy wody stawały się coraz wyraźniejsze, musiał powstrzymywać się od biegu. Mimo to panował nad sobą. Usiadł

pod drzewem, jakby odpoczywał w czasie przechadzki. Patrzył na promienie słońca przedzierające się między liśćmi i słuchał swego coraz wolniejszego oddechu. A potem, kiedy już prawie zapomniał, dokąd zmierza – czy wydawało mu się tylko, że odgłos wody się nasilił? – ponownie ruszył w górę zbocza.

Kiedy dotarł na szczyt, pewny, że ujrzy najniższy ze Stawów, okazało się, że znalazł się na krawędzi okrągłej doliny. Jej wyższe zbocza porastały białe brzozy. Ich żółknące liście grzechotały delikatnie na wietrze niczym kawałki złocistego pergaminu. Poniżej, za brzozami, rosły gęsto drzewa o srebrzystych, drżących liściach.

Dno doliny porastały rośliny tak ciemne, że całkowicie przesłaniały widok. Lecz i one poddawały się wiatrowi, wydając odgłosy przypominające syk tysiąca noży wysuwanych z delikatnych pochew.

Simon odetchnął z ulgą. W jego nozdrza uderzył zapach doliny, zbutwiały, lecz jednocześnie słodki z lekkim posmakiem goryczy. Wyczuł woń skoszonej trawy, a także intensywną, oszałamiającą woń pucharu pełnego hippokrasa, nad którym Morgenes przesiadywał w zimne wieczory. Był dziwnie oszołomiony. Czuł także inne zapachy – dziesiątki, setki – woń róży kwitnącej pod starym murem, zapach stajni, deszczu bębniącego o wyschniętą ziemię, słonawy zapach krwi, a nawet zbliżony, choć nie identyczny, zapach morskiej wody. Otrząsnął się jak mokry pies i zrobił kilka kroków w dół zbocza.

– Przykro mi. Nie możesz tam pójść.

Simon odwrócił się gwałtownie i ujrzał stojącą na szczycie wzgórza Sithijkę. Przez chwilę wydawało mu się, że to Aditu. Miała na sobie tylko skrawek materiału przepasany na biodrach. W blasku zachodzącego słońca jej skóra przybrała złocistoczerwony odcień.

– Co?

– Nie możesz tam pójść. – Mówiąc w jego języku, wymawiała słowa wyraźnie. Jej twarz nie wyrażała wrogości czy niezadowolenia. – Przykro mi, ale nie wolno ci tego zrobić. – Zrobiła krok do przodu i przyjrzała mu się uważnie. – Ty jesteś tym Sudhoda'ya, który uratował Jirikiego.

– I co z tego? A ty kim jesteś? – spytał ponuro. Starał się nie patrzeć na jej piersi i dobrze umięśnione nogi, co było prawie niemożliwe. Czuł wzbierającą w nim złość.

– Matka nazwała mnie Maye'sa – powiedziała. Wymawiała słowa zbyt wyraźnie, jakby język Simona stanowił pewną sztuczkę, której się nauczyła, lecz nigdy jeszcze nie pokazywała. Jej białe włosy przetykane były złocisto-czarnymi pasemkami. Wpatrzony w jej długie warkocze – dość bezpieczne miejsce, na którym można było zawiesić wzrok – Simon zdał sobie nagle sprawę, że wszyscy Sithowie mają białe włosy, że te niezliczone odcienie upodabniające ich do egzotycznych ptaków były po prostu farbami. Nawet Jiriki ze swoim dziwnym odcieniem lawendy był ufarbowany. Ufarbowany! Jak ladacznice, na które tak pomstował ojciec Dreosan w czasie swych kazań w Hayholt! Simon czuł coraz większy gniew. Odwrócił się plecami do Sithijki i ruszył w dół.

– Wracaj, Seomanie Śnieżnowłosy – zawołała. – To jest Las Tańczącego Roku. Nie możesz tam iść.

– Zatrzymaj mnie – warknął. Może pośle mu strzałę w plecy. Kilka dni wcześniej widział, jak Aditu doskonale włada łukiem; trafiła czterema strzałami tuż obok siebie w gałąź z odległości pięćdziesięciu kroków. Nie wątpił, że inne Sithijki potrafią to samo, ale teraz nic go nie obchodziło. – Możesz mnie zabić, jeśli chcesz – dodał i zaraz zaczął się zastanawiać, czy ta propozycja nie będzie potraktowana poważnie.

Wtulił głowę w ramiona i wszedł między szepcące brzozy. Nie nadleciała żadna strzała, więc zaryzykował spojrzenie do tyłu. Maye'sa

wciąż stała w miejscu z wyrazem zdumienia na twarzy.

Zaczął biec w dół, mijając kolejne rzędy białych pni. Zbocze stawało się coraz łagodniejsze. Stracił orientację. Wgłębienie ogromnej misy wciąż znajdowało się pod nim, lecz w jakiś tajemniczy sposób przeszedł wokół krawędzi doliny od miejsca, z którego wciąż przyglądała mu się Sithijka.

Zaklął ze wściekłości i jeszcze raz ruszył w dół, lecz znowu zbocze złagodniało, a potem zaraz zaczęło wznosić się ku górze. Nie posunął się ani trochę w stronę dna doliny. Pokonał zaledwie jedną trzecią drogi między brzozami.

Nie powiodły się także próby pójścia w kierunku przeciwnym do wznoszącego się zbocza. Wiatr wzdychał w gałęziach drzew, brzozowe liście szeleściły, a Simon walczył jak we śnie, lecz bez powodzenia, choć bardzo się starał. Wreszcie całkowicie zdesperowany zamknął oczy i ruszył pędem. Strach ustąpił miejsca uniesieniu, kiedy poczuł, że zbocze umyka mu spod stóp. Brzozowe gałęzie biły go po twarzy, ale jakimś dziwnym trafem nie uderzył w żaden z pni gęsto rosnących drzew.

Wreszcie zatrzymał się i otworzył oczy: znalazł się z powrotem na szczycie wzgórza. Obok niego stała Maye’sa; jej kusa spódniczka powiewała na wietrze.

– Mówiłam ci, że nie możesz pójść do Lasu Tańczącego Roku – powiedziała takim tonem, jakby wyjaśniała dziecku bolesną prawdę. – Myślałeś, że możesz? – Wyciągając giętką szyję, pokręciła głową. Patrzyła badawczo szeroko otwartymi oczami. – Dziwne stworzenie.

Po chwili zniknęła w dole zbocza prowadzącego do Jao e-Tinukai’i. Simon ruszył za nią. Szedł ze zwieszoną głową, patrząc na czubki swych butów wyłaniające się z trawy. Niebawem znalazł się na ścieżce przed domem Jirikiego. Zbliżał się wieczór i nad stawem rozśpiewały się świerszcze.

– Bardzo dobrze, Seomanie – powiedziała Aditu następnego dnia. Przyglądała się planszy shent i kiwała głową. – Ruch pozornie w złym kierunku! Oddalasz się od tego, co pragniesz zdobyć. Widzę, że się uczysz.

– Nie w każdej sytuacji – mruknął.

Jej oczy zalśniły.

– Nie. Potrzeba ci głębszej strategii. Ale to początki.

BINABIK I SLUDIG NIE WESZLI głęboko w las. Tyle tylko, by osłonić się przed porywistym wiatrem, który pędził przez równiny i którego wycie nie ustawało już ani na chwilę. Spętane konie parskały niespokojnie i nawet Qantaqa wydawała się zaniepokojona. Siedziała wyprostowana, nastawiając uszy, jakby w oczekiwaniu na spodziewane, lecz niedobre wydarzenie. Jej oczy lśniły blaskiem ognia.

– Trollu, czy myślisz, że jesteśmy tutaj bezpieczniejsi? – spytał Sludig, ostrząc miecz. – Chyba wolałbym siedzieć na otwartej przestrzeni niż w lesie.

Binabik zmarszczył brwi.

– Możliwe, ale czy wolałbyś też zmierzyć się z takimi włochatymi olbrzymami, jakie widzieliśmy?

Biały Szlak, droga, która ciągnęła się wzdłuż północnej granicy lasu Aldheorte, skręcił wreszcie wraz ze wschodnią ścianą lasu i poprowadził ich na południe. Wkrótce zobaczyli przed sobą grupę białych postaci, które, jak łatwo się domyślili, mogły być tylko Hunenami. Niegdyś nieskore do opuszczania swych łowisk u stóp Burzowej Góry, teraz olbrzymy przemierzały całe północne tereny. Pomni tragicznych spustoszeń, jakie spowodowały wśród nich bestie, nie próbowali stanąć do walki.

– Dlaczego uważasz, że w lesie jesteśmy bardziej bezpieczni? – dopytywał się Sludig.

– Takiej pewności nie mamy – przyznał Binabik. – Ale wiem, że małe kopacze niechętnie ryją pod lasem Aldheorte. Może olbrzymy także nie lubią się do niego zapuszczać.

Sludig prychnął i przeciągnął osełką po ostrzu miecza.

– A Hunen, którego zabił Josua w obronie Simona? Tamten był w lesie.

– Został tam zapędzony – odparł poirytowany troll, wsuwając w żar ogniska owiniętego w liście ptaka. – Sludigu, w życiu nie ma nic pewnego, ale wybieranie mniejszego ryzyka wydaje mi się rozsądniejsze.

Na chwilę zapadła cisza.

– Masz rację, trollu. – odezwał się wreszcie Sludig – Jestem zmęczony. Chciałbym, żebyśmy już dotarli do Kamienia Pożegnania. Dałbym księciu jego przeklęty miecz, a potem spałbym przez tydzień. I to w łóżku.

Binabik uśmiechnął się.

– Pewnie. Tylko że to nie jego miecz i wcale nie jestem pewien, czy jest mu przeznaczony. – Wstał i wyciągnął spod drzewa długie zawiniątko. – W ogóle nie wiem, do czego może być potrzebny. – Binabik rozwinął pakunek, odsłaniając czarne ostrze. Blask ognia nie wydobył z ciemności nic poza czarnymi krawędziami. – Widzisz? – powiedział Binabik, unosząc miecz. – Zdaje się, że Cierń uznał za stosowne, by nosił go teraz mały troll.

– Nie mów o nim, jakby był żywy – powiedział Sludig i nakreślił w powietrzu znak Drzewa. – To wbrew naturze.

– Może nie jest żywy tak jak dzik, ptak albo człowiek, lecz jest w nim coś więcej niż tylko właściwość metalu. Wiesz o tym.

– Może. – Rimmersman nachmurzył się. – A niech to, tak, wiem o tym. Dlatego nie lubię o nim rozmawiać. Śni mi się jaskinia, w której go znaleźliśmy.

– Nic dziwnego – powiedział cicho troll. – To było straszne miejsce.

– Chodzi mi nie tylko o miejsce, ani nawet o smoka czy śmierć Grimmricka. Śni mi się ten przeklęty miecz. Leżał tam wśród kości, jakby na nas czekał. Zimny, zimny jak wąż w gnieździe...

Sludig zamilkł. Binabik nie odpowiedział.

Rimmersman westchnął.

– A ja wciąż nie rozumiem, jaki pożytek będzie z niego miał Josua.

– Ja też nie wiem, ale z pewnością jest to potężny oręż. Trzeba o tym pamiętać. – Binabik przesunął dłonią po powierzchni miecza, jakby głaskał kota. – Sludigu, spójrz tutaj. Tak nas zaabsorbowały nasze walki, straty i nieszczęścia, że prawie zapomnieliśmy o Cierniu. A przecież to o nim krążą legendy! Może jest to największy miecz, jaki ujrzał światło dzienne w Osten Ard, większy od włóczni Oinduth Herna, większy od procy Chukku.

– Może i jest potężny – mruknął Sludig. – Ale wątpię, żeby przynosił szczęście. Zdaje się, że nie uratował sir Camarisa?

Binabik uśmiechnął się.

– Ale Camaris nie miał go ze sobą, kiedy utonął w zatoce Firannos. Błazen Towser powiedział nam o tym. Dlatego odnaleźliśmy go na smoczej górze. W przeciwnym razie leżałby na dnie oceanu, podobnie jak Camaris.

Wiatr wył, grzechocząc gałęziami nad ich głowami. Sludig przysunął się do ogniska.

– Jak to możliwe, że taki wielki rycerz wypadł ze statku? Bóg da, żebym zginął bardziej chwalebną śmiercią, w bitwie. To tylko potwierdza moje domysły, że statki lepiej obchodzić z daleka.

Binabik uśmiechnął się pogodnie.

– No proszę, takie słowa w ustach kogoś, kogo przodkowie byli największymi żeglarzami, jakich znała ludzkość! – Po chwili spoważniał. –

Chociaż niektórzy wątpią, czy zabrała go fala. Twierdzą, że sam się utopił.

– Co? Dlaczego miałby zrobić coś takiego? – Sludig pogrzebał oburzony w ognisku.

Troll wzruszył ramionami.

– To tylko plotki, ale ja nigdy ich nie lekceważę. Pisma Morgenesa pełne są dziwnych opowieści. *Qinkipa!* Szkoda, że nie miałem więcej czasu na czytanie książki Doktora! Morgenes pisał w życiorysie Prestera Johna, że sir Camaris był bardzo podobny do naszego księcia Josui: pełen dziwnych nastrojów. Był także wielbicielem królowej Ebekah. Król Prester John uczynił go jej specjalnym protektorem. Kiedy Róża Hernysadharc – jak wielu ją nazywało – zmarła przy porodzie Josui, Camaris wręcz rozpaczał. Stał się bardzo dziwny i okrutny, pomstował przeciwko Bogu i Niebiosom. Porzucił zbroję, miecz, jak ktoś, kto wybiera się do klasztoru albo wie, że umrze. Płynął do swego domu w Vinitta po pielgrzymce do Sancellan Aedonitis. Zginął w czasie burzy u wybrzeży Wyspy Harcha.

Binabik pochylił się i zaczął wyciągać z ognia ptaki, uważając, by nie poparzyć sobie palców. Ogień trzaskał, wiatr zawodził.

– No cóż – odezwał się Sludig. – Twoje słowa utwierdzają mnie w przekonaniu, że należy unikać ludzi dumnych. Może z wyjątkiem księcia Isgrimnura, który ma głowę na karku. Pozostali są zmienni i głupi jak gęsi. A twój książę Josua, za pozwoleniem, pierwszy wśród nich.

Binabik znowu się uśmiechnął.

– On nie jest moim księciem Josuą, ale jest – jak to określiłeś? – zmienny. Co wcale nie znaczy, że głupi. Może właśnie on jest naszą ostatnią nadzieją na powstrzymanie nadchodzącej burzy. – Troll zajął się przygotowywaniem kolacji, jakby rozmowa zeszła na niezręczny temat. Podał Rimmersmanowi gorącego ptaka. – Proszę. Zjedz coś. Może Huneny pozwolą nam się porządnie wyspać.

– Przyda nam się odpoczynek. Czeka nas jeszcze długa droga, zanim oddamy ten przeklęty miecz.

– Jesteśmy to winni tym, którzy zostali – powiedział Binabik wpatrzony w ciemność otaczającego ich lasu.

Zabrali się do jedzenia, a Qantaqa wstała i obeszła ognisko, nasłuchując zawodzącego wiatru.

ŚNIEG ZACINAŁ OKRUTNIE na Pustkowiu, niesiony przez wyjący wiatr z taką siłą, że mógł zedrzeć korę z drzew rosnących na północnym skraju Aldheorte. Wielki ogar niezrażony taką pogodą powrócił w susach poprzez śnieżycę; pod jego krótką sierścią poruszały się twarde jak kamień mięśnie. Kiedy pies zatrzymał się u boku Ingena, Łowczy Królowej sięgnął do kamizelki i wyciągnął kawał suszonego mięsa, na którego końcu widniał jakby paznokieć. Biały ogar natychmiast schrupał mięso i spojrzał w ciemność; jego zamglone, małe oczy mówiły, że chce iść dalej. Ingen podrapał psa za uszami. Dłoń w rękawicy przesunęła się pewnie po umięśnionej szczęce, która potrafiła zmiażdżyć skałę.

– Tak, Niku’a – szepnął łowczy, a jego głos zabrzmiał głucho wewnątrz hełmu. On także spoglądał niecierpliwie w dal. – Czujesz trop, prawda? Ach, Królowa będzie dumna. Będą śpiewali o mnie, dopóki słońce nie sczeźnie i nie spadnie z nieba.

Uniósł hełm i pozwolił, by wściekły wiatr owiał mu twarz. Wiedział, że ofiara, którą ściga, jest gdzieś przed nim i z każdym dniem zbliża się do niej; było to tak pewne jak gwiazdy na niebie. Nie czuł się jak niezmordowany ogar, był raczej jak drapieżnik, dziki, lecz cichy. Poczuł na twarzy mroźną noc i wiedział, że nic, co żyje pod czarnym niebem, nie może długo przed nim uciekać.

Ingen Jegger wyjął z rękawa nóż i patrzył w niego jak w lustro. Widział w nim Ingena, który boi się umrzeć w zapomnieniu. Promień księżyca albo gwiazdy odbił się w ostrzu noża, a ten zapłonął zimnym blaskiem. Wydawało się, że jego rzeźbione ostrze wije się pod palcami jak wąż. O tym właśnie marzył. Królowa w srebrnej masce wyznaczyła mu wielkie zadanie, zadanie godne legendy. Wkrótce zadanie zostanie wykonane; myśl o tym wywoływała dreszcz podniecenia. Ingen schował nóż do rękawa.

– Idź, Niku’a – szepnął, jakby ukryte gwiazdy mogły go zdradzić. – Pora osaczyć zwierzynę. Pobiegniemy.

Ingen dosiadł konia. Cierpliwy rumak ruszył przed siebie.

Śnieg pędził przez pustą noc w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stali mężczyzna, koń i pies.

POPOŁUDNIE ODCHODZIŁO, a półprzeźroczyste ściany domu Jirikiego stawały się coraz ciemniejsze. Aditu przyniosła do pokoju Simona owoce i ciepły chleb, za co byłby o wiele wdzięczniejszy, gdyby odeszła, zamiast go drażnić. Simon oczywiście podziwiał jej egzotyczną urodę i lubił jej towarzystwo; w rzeczywistości to właśnie jej uroda i bezwstydność nie pozwoliły mu skupić się na rzeczach tak przyziemnych jak jedzenie.

Aditu znowu przesunęła palcem po jego plecach. Simon prawie zakrztusił się kęsem chleba.

– Nie rób tego!

Sithijka popatrzyła na niego zaciekawiona.

– Dlaczego nie? Czy to cię boli?

– Nie! Oczywiście, że nie. Ale łaskocze. – Odwrócił się naburmuszony; w duchu żałował trochę, że brak mu manier, ale nie aż tak bardzo. Czuł się, jak zawsze w obecności Aditu, bardzo zmieszany. Jiriki nigdy nie

sprawiał – choć często dziwnie się zachowywał – że Simon czuł się jak gburowaty śmiertelnik, natomiast w obecności Aditu Simon miał wrażenie, że jest ulepiony z błota.

Tego dnia Sithijka ubrana była w pióra, kilka świecących paciorków i parę strzępów materiału. Jej ciało lśniło od pachnących olejków.

– Łaskocze? A czy to coś złego? – spytała. – Nie chcę cię zranić ani też sprawić, byś czuł się źle. To dlatego, że ty jesteś taki... – Szukała odpowiedniego słowa. – Taki niezwykły, a ja rzadko widywałam śmiertelników. – Wydawało się, że zakłopotanie Simona sprawia jej radość. – Jesteś tutaj bardzo szeroki... – Przesunęła palcem po jego ramionach i westchnęła, słysząc kolejny zduszony okrzyk. – Widać wyraźnie, że nie jesteś taki jak my.

Simon chrząknął i ponownie umknął przed jej ręką. Czuł się bardzo nieswojo, to było pewne. W jej towarzystwie czuł pewnego rodzaju cholerne mrowienie, a w samotności tęsknił za jej wizytami i się ich bał. Za każdym razem, kiedy zerkał ukradkiem na smukłe ciało, które pokazywała z bezwstydnością szokującą go do szpiku kości, przypominały mu się grzmiące kazania ojca Dreosana. Ze zdziwieniem stwierdził, że duchowny, którego zawsze uważał za idiotę, w gruncie rzeczy miał rację: diabeł rzeczywiście zastawiał pułapki. Widok zwinnych, kocich ruchów Aditu wypełniał Simona bolesną świadomością grzechu. Było to tym gorsze, że siostra Jirikiego nie należała nawet do ludzkiego rodzaju.

Zgodnie z naukami duchownego w chwilach cielesnego kuszenia Simon próbował wyobrażać sobie wizerunek Elysii, matki Bożej. W Hayholt takich wizerunków było mnóstwo, zarówno rzeźbionych, jak i malowanych, lecz z niepokojem stwierdził, że zawodzi go pamięć. Oczy świętej matki Usiresa w jego wspomnieniu były wesołe i niemal... kocie.

Mimo wszystko Simon był wdzięczny Aditu za to, że poświęca mu tyle uwagi, choć często jej zachowanie było przerażająco lekkomyślne. Ale najbardziej wdzięczny był za posiłki. Jiriki często przebywał poza domem, a Simon żywił spore wątpliwości co do tego, które owoce z ogromnych leśnych ogrodów księcia nadają się do spożycia. A mógł polegać tylko na siostrze Jirikiego. Nawet pośród najbliższej rodziny, Korzenia i Konaru, jak określił to książę, nie było nikogo, kto byłby kimś w rodzaju służącego. Wszyscy troszczyli się sami o siebie, co, zdaje się, szło w parze z samotniczym trybem życia Sithów. Sithowie hodowali zwierzęta lub raczej dolina była pełna zwierząt, które przychodziły, kiedy się je zawołało. Owce i kozy musiały być dojone, gdyż Aditu przynosiła mu często pachnące sery, ale wyglądało na to, że Sithowie nie jedzą mięsa. Simon rozmyślał czasami z apetytem o zwierzętach wędrujących swobodnie po całej dolinie. Oczywiście nigdy by się nie odważył na coś takiego, ale, miłościwy Aedonie!, jakże wspaniale byłoby zjeść barani udziec!

Aditu znowu go trąciła. Simon ze stoickim spokojem zignorował to. Wstała i przeszła obok stosu miękkich kocy, na których sypiał, i stanęła pod błękitną, falującą ścianą. Początkowo była purpurowa, ale Jiriki zmienił w jakiś sposób jej kolor na bardziej odprężający. Kiedy Aditu musnęła ścianę długim palcem, materiał zsunął się niczym odsłonięta zasłona, ukazując inny duży pokój.

– Wróćmy do naszej gry – powiedziała. – Jesteś zbyt poważny.

– Nigdy się jej nie nauczę – mruknął Simon.

– Nie starasz się. Jiriki mówi, że masz niezły umysł, choć mój brat nie jest nieomylny. – Aditu zanurzyła dłoń w fałdzie ściany i wyjęła kryształową kulę, która rozświetliła się pod dotknięciem. Umieściła ją na drewnianym trójnogu, tak że rozjaśniała cały pokój. Spod kolorowej planszy shent wysunęła drewnianą skrzyneczkę z gładkimi kamykami

służącymi jako pionki. – Zdaje się, że zrobiłam z siebie skowronkowe pole. Chodź, Seomanie, nie dąsaj się. Ostatnio miałeś dobry pomysł, żeby uciec od tego, czego w rzeczywistości szukałeś. Przesunęła dłonią po jego ramieniu, wywołując kolejną falę mrowienia, i obdarzyła go jednym ze swych tajemniczych, nieodgadnionych uśmiechów.

– Dzisiaj Seoman będzie grał w inną grę.

W wejściu stał Jiriki ubrany w strój, który wydawał się bardzo oficjalny; była to bardzo misternie haftowana bluza w różnych odcieniach żółci i błękitu. Na nogach miał miękkie, szare buty. U boku wisiał miecz Indreju schowany w szarej pochwie, a we włosach księcia tkwiły trzy długie pióra białej czapli.

– Otrzymał wezwanie.

Aditu odłożyła wolno pionki na planszę.

– A zatem będę musiała grać sama, chyba że ty zostaniesz, Wierzbowa Witko. – Spojrzała spod opuszczonych powiek.

Jiriki pokręcił głową.

– Nie, siostro. Muszę iść z Seomanem.

– Dokąd mam iść? – spytał Simon. – Kto mnie wzywa?

– Pierwsza Babka. – Jiriki uniósł dłoń i uczynił krótki, lecz uroczysty gest. – Amerasu Urodzona Na Statku chce cię widzieć.

KIEDY SZLI W MILCZENIU pod niebem pełnym gwiazd, Simon rozmyślał o wszystkim, co zobaczył, od chwili opuszczenia Hayholt. I pomyśleć, że kiedyś bał się, iż nigdy nie opuści zamku i umrze jako zamkowe popychadło! Czy wciąż będzie poznawał nowe miejsca, nowych ludzi? Pomyślał przerażony, że jeśli Amerasu albo ktoś inny nie wstawi się

za nim, piękne, lecz ograniczone widoki Jao e-Tinukai'i okażą się wszystkim, co go jeszcze czeka.

Ale najdziwniejsza ze wszystkich przeżyć była świadomość, że bez względu na to, gdzie szedł i co widział, zawsze jakby pozostawał tym samym starym Simonem; może trochę mniej gamoniowatym, lecz wciąż podobnym do tamtego niezdarnego chłopaka z kuchni. Dawne, spokojne dni odeszły bezpowrotnie, lecz Simon jakąś częścią swej duszy wciąż czuł z nimi łączność. Morgenes powiedział mu kiedyś, żeby swój dom miał w głowie. Tym sposobem nigdy mu go nie zabiorą. Czy to właśnie miał na myśli Doktor? Żeby być tą samą osobą, bez względu na to, gdzie się jest i co się dzieje? Simon nie potrafił zaakceptować tego do końca.

– Nie będę zanudzał cię instrukcjami – odezwał się nagle Jiriki. – Mamy specjalne rytuały, które poprzedzają wizytę u Pierwszej Babki, ale ty ich nie znasz i nie potrafisz ich wypełniać, nawet gdybyśmy ci je wyjaśnili. Nie martw się. Amerasu pragnie cię widzieć ze względu na to, kim jesteś i co widziałeś, a nie dlatego, żebyś przedstawiał Sześć Pieśni Pełnych Szacunku Próśb.

– Sześć czego?

– Nieważne. Ale pamiętaj jedno: chociaż Pierwsza Babka pochodzi z tej samej rodziny co ja i Aditu, oboje jesteśmy dziećmi Ostatnich Dni. Amerasu Urodzona Na Statku była jedną z pierwszych mówiących istot, które stanęły w Osten Ard. Mówię ci o tym nie po to, żeby cię przestraszyć – dodał szybko, widząc niepewny wyraz twarzy Simona – ale dlatego, że chcę, byś wiedział, iż ona jest inna nawet od mojego ojca i mojej matki.

Znowu zapadła cisza i Simon zaczął zastanawiać się nad słowami Jirikiego. Czy to możliwe, by tak przystojna kobieta o smutnej twarzy była jedną z najstarszych żyjących istot na świecie? Wierzył Jirikiemu, lecz jego

najśmielsze myśli, myśli, które sięgały do granic wyobraźni, nie potrafiły do końca pojąć słów Jirikiego.

Kręta ścieżka zaprowadziła ich do kamiennego mostu. Kiedy przeszli na drugą stronę rzeki, znaleźli się w bardziej zalesionej części doliny. Simon starał się zapamiętać ścieżki, którymi szli, lecz szybko zorientował się, że to niemożliwe. Pamiętał tylko, że przechodzili przez wiele strumieni, a każdy z nich szumiał melodyjniej od poprzedniego. Wreszcie dotarli do części lasu, która wydawała się bardzo cicha. Nie było słychać nawet świerszczy. Gałęzie kołysały się, ale wiatr milczał.

Kiedy wreszcie się zatrzymali, Simon ze zdumieniem spostrzegł, że stoją przed wysokim, oplecionym serpentynami drzewem, na które natknął się w czasie pierwszej próby ucieczki. Przez plątaninę jedwabnych nici przebłyskiwały delikatne światła, jakby ogromne drzewo przywdziało jarzący się płaszcz.

– Byłem już tutaj – powiedział wolno Simon. Ciepłe, nieruchome powietrze sprawiło, że poczuł się senny, a jednocześnie ożywiony.

Książę w zupełnym milczeniu poprowadził go w kierunku dębu. Jiriki przyłożył dłoń do obrośniętych mchem drzwi.

– Możemy wejść – powiedział cicho.

Drzwi otworzyły się do wewnątrz bezszelestnie.

Simon ujrzał za nimi coś niewyobrażalnego: wąski korytarz, obwieszony jedwabnymi nićmi podobnie jak drzewo. W tej plątaninie płonęły nie większe od świetlików migocące światełka, których blask wypełniał korytarz. Simon mógłby przysiąc na Święte Drzewo, że rozłożysty dąb był tylko drzewem, dlatego cofnął się o krok, by zobaczyć, dokąd prowadzi korytarz – czy to możliwe, żeby opadał w dół? Jiriki ujął go delikatnie za łokieć i przeprowadził przez próg. Drzwi zamknęły się za nimi.

Pogrążyli się w jedwabnej sieci i blasku świateł, jakby podróżowali między gwiazdami. Simon wciąż odczuwał dziwną senność. Każdy szczegół wydawał mu się bardzo wyraźny, lecz zatracił poczucie czasu. W końcu dotarli do komnaty przepełnionej zapachem cedru, kwiatu śliwy i innych woni, których Simon nie znał. Tutaj nie świeciło już tyle drobniutkich migocących iskierek, a obszerny pokój wypełniały długie, drżące cienie. Od czasu do czasu ściany komnaty trzeszczały, jakby znaleźli się w ładowni statku albo w drzewie ogromnym poza wszelkie wyobrażenie. Słyszał dźwięki podobne do wolno kapiącej wody, przypominające ostatnie krople po burzy skapujące do stawu z wierzbowej gałęzi. Wzdłuż ocienionych ścian stały niewyraźne postacie podobne do ludzi. Mogły to być posągi, gdyż trwały w bezruchu.

Simon wytężał wzrok, lecz oczy nie przyzwyczaiły się jeszcze do półmroku. Nagle coś otarło się o jego nogę. Podskoczył przestraszony, lecz chwilę później ujrzał w migocącym świetle kołyszący się ogon, który mógł należeć tylko do kota; stworzenie szybko zniknęło w ciemności panującej pod ścianą. Simon odetchnął.

Pomyślał, że z pewnością miejsce jest bardzo dziwne, lecz nie ma niczego, czego by się bał. Pogrążona w cieniu komnata emanowała ciepłem i spokojem; była zupełnie inna od wszystkiego, czego Simon doświadczył dotąd w Jao e-Tinukai’i. Judith, pulchna kucharka z Hayholt, z pewnością określiłaby ją jako przytulną.

– *Witaj w moim domu* – przemówił głos. Iskierki światła rozjarzyły się wokół jednej z postaci, ukazując siwą głowę i tył wysokiego krzesła. – *Podejdź bliżej. Ja widzę ciebie, ale ty mnie chyba nie widzisz.*

– Pierwsza Babka ma bardzo dobry wzrok – szepnął Jiriki.

Simonowi zdawało się, że w głosie Sithy zabrzmiała wesoła nuta. Podszedł bliżej. W złocistym świetle ukazała się pradawna, lecz

młodzieńcza twarz, którą widział w lusterku Jirikiego.

– Stoisz przed Amerasu y’Senditu no’e-Sa’onserei, Urodzoną Na Statku – oświadczył uroczyście Jiriki. – Okaż szacunek, Seomanie Śnieżnowłosy.

Simon nie miał nic przeciwko temu. Klęknął na drżących nogach i skłonił głowę.

– *Wstań, śmiertelny chłopcze* – powiedziała cicho. Mówiła niskim i łagodnym głosem, który poruszył jego wspomnienia. Czyżby ich krótki kontakt poprzez lusterko pozostawił tak głęboki ślad w jego umyśle? – *Hm* – mruknęła. – *Jesteś wyższy od mojego młodego Wierzbowej Witki. Jiriki, czy podasz chłopcu stołek, bym nie musiała wciąż patrzeć do góry? Sobie też przynieś.*

Kiedy usiadł obok Jirikiego, Amerasu przyjrzała mu się uważnie. Simon poczuł nagle, że nie potrafi wydobyć z siebie ani słowa, choć ciekawość była silniejsza od nieśmiałości. Spoglądał ukradkiem na Amerasu, starając się unikać jej zaglądających w głąb duszy oczu.

Była taka, jaką zapamiętał: lśniące, siwe włosy, skóra naciągnięta mocno na delikatnych kościach. Poza głębią spojrzenia, o którym wspominał Jiriki, inną oznaką jej wieku mogła być niezwykła ostrożność, z jaką wykonywała każdy ruch, jakby kości Amerasu były kruche jak wyschnięty pergamin. Mimo to była piękna. Urzeczony siłą jej spojrzenia Simon wyobraził sobie, że w chwili, gdy nastał świt świata, Amerasu mogła być tak oślepiająco piękna jak wschodzące słońce.

– *A zatem wypłynęłaś ze swoich głębin, mała rybko* – przemówiła wreszcie.

Simon skinął głową.

– *Czy podoba ci się w Jao e-Tinukai’i? Jesteś jednym z pierwszych, spośród twego rodzaju, którzy przybyli tutaj.*

Jiriki wyprostował się.

– Jednym z pierwszych, mądra Amerasu? Nie pierwszym?

Amerasu zignorowała pytanie i wciąż przyglądała się Simonowi. Czuł się łagodnie, lecz zdecydowanie schwytany w sieć jej woli, niczym rzucająca się ryba, która nieuchronnie zbliża się do oślepiającej powierzchni wody.

– Mów, chłopcze. Co myślisz?

– Ja... ja jestem zaszczycony tą wizytą – wybąkał i przełknął ślinę. W gardle zupełnie mu zaschło. – Zaszczycony. Ale... ale ja nie chcę zostać w dolinie. Nie na zawsze.

Amerasu wyprostowała się. Poczuł ulgę, lecz wciąż czuł silne więzy siły jej obecności.

– *Nie dziwi mnie to.* – Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się smutno. – *Musiałbyś pozostać tutaj bardzo długo, zanim życie znużyłoby cię tak jak mnie.*

Jiriki poruszył się na swoim siedzeniu.

– Czy powinienem wyjść, Pierwsza Babko?

Słysząc pytanie Jirikiego, Simon poczuł dreszcz strachu. Wyczuwał w Sithijce ogromną dobroć, ale i wielki ból. Poza tym była przeraźliwie silna! Wiedział, że jeśli zechce, może zatrzymać go tu na zawsze, tylko za pomocą swego głosu i niezgłębionych władczych oczu.

– Czy powinienem wyjść? – powtórzył pytanie Jiriki.

– *Wiem, Wierzbowa Witko, że cierpisz, słysząc moje słowa* – powiedziała Amerasu. – *Ale jesteś najodważniejszym z młodych i jesteś silny. Możesz wysłuchać prawdy.* – Poprawiła się na krześle, kładąc smukłą dłoń na swej piersi. – *Ty także, chłopcze, wiesz, co to strata. Masz to wypisane na twarzy. Lecz choć każda strata jest bolesna, życia i straty*

śmiertelników pojawiają się i znikają tak szybko jak pory roku. Nie chcę, by zabrzmiało to okrutnie. Nie chcę się też litować nad tobą.

Żaden spośród śmiertelników nie patrzył, jak przemijają suche wieki, wygłodniałe tysiąclecia; nikt z was nie widział, jak świat traci światło i barwy, dopóki nie zostaje nic poza wyschniętymi wspomnieniami. – Wydawało się, że w miarę jak mówiła, jej twarz stawała się coraz młodsza, jakby smutek był dla niej jedynym ożywczym napojem.

Teraz Simon dostrzegł w niej o wiele więcej niż tylko wspomnienie dawnego splendoru. Opuścił głowę, niezdolny powiedzieć cokolwiek.

– *Oczywiście, że tego nie doświadczyłeś* – powiedziała lekko drżącym głosem. – *Ale ja tak. Dlatego jestem tutaj, w ciemności. Nie dlatego, że boję się światła albo nie jestem dość silna, by znieść światło dnia.* – Roześmiała się, a jej śmiech przypominał żałosne wołanie z głębi wody. – *Nie. Jestem tutaj dlatego, że w ciemności widzę wyraźniej utracone dni i twarze.*

Simon podniósł na nią oczy.

– Miałaś dwóch synów – powiedział cicho. Zdał sobie sprawę, dlaczego jej głos brzmi tak znajomo. – Jeden z nich odszedł.

Amerasu drgnęła.

– *Obaj odeszli. Jiriki, co mu powiedziałeś? To nie są opowieści dla małych serc śmiertelników.*

– Nic mu nie mówiłem, Pierwsza Babko.

Pochyliła się nad Simonem zaintrygowana.

– *Co wiesz o moich synach? Co wiesz o starych legendach?*

Simon przełknął ślinę.

– Jednego z synów zranił smok. Musiał odejść. Został oparzony tak jak ja. – Dotknął blizny na policzku. – Drugi... drugim jest Król Burz. – Wymówiwszy to imię, Simon rozejrzał się, jakby w obawie, że coś

przerażającego wynurzy się z ciemności. Lecz słychać było tylko skrzypienie ścian i kapanie wody.

– *Skąd to wiesz?*

– Słyszałem twój głos we śnie. – Simon próbował znaleźć odpowiednie słowa. – Przemawiałaś w mojej głowie bardzo długo, kiedy spałem.

Twarz Amerasu sposępniała. Wpatrywała się w niego, jakby bała się czegoś, co w nim drzemie.

– *Nie bój się, chłopcze* – odezwała się wreszcie, wyciągając ramiona. – *Nie bój się. I wybacz mi.*

Jej chłodne palce dotknęły twarzy Simona. Światła zamigotały jak strzępy błyskawicy i zgasły. Komnata pogrążyła się w ciemności. Jej uścisk wydawał się coraz silniejszy. Ciemność śpiewała.

Nie czuł bólu, lecz miał wrażenie, że Amerasu jest w jego głowie; jej obecność była przemożna i tak intymnie z nim związana, że z przerażeniem poczuł się zupełnie obnażony i to uczucie było czymś znacznie głębszym niż tylko poczucie fizycznej nagości. Wyczuwając jego przerażenie, uspokoiła go, tuląc jego duszę jak wystraszonego ptaka, aż poczuła, że już się nie boi. A potem zaczęła macać ostrożnie wśród jego wspomnień, delikatnie, lecz uważnie.

Niewyraźne strzępy myśli i snów przemykały w jego umyśle, wirując jak płatki kwiatów niesione wichrem burzy: Morgenes i jego niezliczone książki, śpiewająca Miriamele, fragmenty nic nie znaczących rozmów Simona z Hayholt. Noc na Thisterborgu i okropny, czarny miecz rozlały się po jego umyśle jak czarna plama, a zaraz potem pojawiła się srebrna twarz Utuk’ku i trzy miecze z wizji, jakiej doświadczył w domu Geloë. Pulchna Skodi i istota, która śmiała się w ogniu na klasztornym dziedzińcu, zawirowały i zlały się w obłędny widok Drzewa Uduna i obojętnych oczu wielkiej bestii Igjarjuka. Pojawił się też Cierń – czarna smuga w blasku

wspomnienia. Kiedy wspomnienia przelatywały w jego umyśle, znowu poczuł bolesne pieczenie smoczej krwi i przeraźliwe uczucie związku z wirującym światem, a także bolesny bezmiar nadziei i bólu wszelkiej żywej istoty. Wreszcie obrazy znikły.

Światła zapaliły się powoli. Jiriki tulił głowę Simona. Rana na policzku pulsowała.

– Wybacz mi, Pierwsza Babko – powiedział Jiriki jakby z oddali. – Ale czy to było konieczne? Powiedziałby ci wszystko.

Amerasu długo milczała. Kiedy wreszcie przemówiła, widać było, że sprawia jej to trudność.

– *Wierzbowa Witko, nie mógłby mi powiedzieć wszystkiego. On nawet nie zdaje sobie sprawy, że wie o rzeczach, które są dla mnie ważne.* – Spojrzała na Simona z wyrazem znużonej czułości. – *Przepraszam, chłopcze. Nie miałam prawa tak cię ograbiać, ale jestem stara, boję się i nie zostało mi już wiele cierpliwości. Teraz boję się jeszcze bardziej.*

Spróbowała wstać. Jiriki wyciągnął ramię, a ona wstała, chwiejąc się, i zniknęła w cieniu. Po chwili wróciła z czarką wody, którą przystawiła do ust Simona. Zaczął pić łapczywie. Woda była zimna i słodka; smakowała ziemią i lasem, jakby zaczerpnięto jej z pnia pustego drzewa. W białej szacie Amerasu przypominała promieniujących światłem świętych z kościelnych obrazów.

– Co... co zrobiłaś? – spytał, siadając. W jego uszach rozlegało się buczenie, a przed oczami migały mu iskierki.

– *Dowiedziałam się tego, czego chciałam się dowiedzieć* – powiedziała. – *Widziałam cię w lusterku Jirikiego, lecz sądziłam, że to tylko przypadek. Ścieżka Snów ostatnio bardzo się zmieniła. Stała się niewyraźna i trudna do przewidzenia nawet dla doświadczonych osób. Teraz widzę, że nasze poprzednie spotkanie nie było przypadkowe.*

– Czy chcesz przez to powiedzieć, Pierwsza Babko, że ktoś spowodował twoje spotkanie z Simonem? – spytał Jiriki.

– *Nie. Chodzi mi o to, że granice między tamtymi światami a naszym stają się coraz słabsze. Ktoś taki jak ten chłopiec, targany w jedną i drugą stronę, przypadkiem lub z nieznanych powodów został wciągnięty w wiele potężnych i niebezpiecznych powiązań między światem snu a przebudzeniem...* – Urwała, siadając ostrożnie na swoim miejscu. – *Tak jakby żył na skraju wielkiego lasu. Kiedy drzewa zaczynają rozrastać się na zewnątrz, wtedy ich korzenie pojawiają się przede wszystkim na progu jego domu. Jeśli wilki z lasu zgłodnieją, przychodzą najpierw pod jego okna.*

Simon próbował coś powiedzieć.

– Czego się dowiedziałaś z... z moich wspomnień? O... o Inelukim?

Jej twarz pozostała niewzruszona.

– *Za dużo. Chyba teraz rozumiem przebiegły i okropny plan mego syna, ale muszę się jeszcze nad tym zastanowić. Choć jest niemal za późno, nie wolno mi poddawać się głupiemu pośpiechowi.* – Uniosła dłoń do skroni. – *Jeśli jest tak, jak myślę, jesteśmy w większym niebezpieczeństwie, niż moglibyśmy sobie to wyobrazić. Muszę pomówić z Shima'onari i Likimeya. Mam nadzieję, że mnie wysłuchają i że nie będzie za późno. Możliwe, że zaczynamy dopiero kopać studnię, a nasze domy już płoną.*

Jiriki pomógł Simonowi usiąść.

– Mój ojciec i moja matka muszą cię wysłuchać. Wszyscy wiedzą, jaka jesteś mądra, Pierwsza Babko.

Amerasu uśmiechnęła się smutno.

– *Kiedyś kobiety Domu Sa'onserei miały pieczę nad wiedzą. Ostatnie słowo należało do najstarszej w domu. Kiedy Jenjiyana spośród Skowronków uznała, że coś jest dobre, przemawiała i słuchano jej. Ale od czasów Ucieczki wiele rzeczy się zmieniło.* – Jej dłoń zatrzepotała

w powietrzu jak siadający ptak. – *Jestem pewna, że twoja matka pójdzie za głosem rozumu. Twój ojciec jest dobry, Jiriki, ale w pewnym sensie pogrążył się w przeszłości jeszcze bardziej ode mnie.* – Pokiwała głową. – *Wybacz mi. Jestem zmęczona i muszę wiele przemyśleć. Gdyby nie to, nie mówiłabym tyle, a przynajmniej nie przy chłopcu.*

Wyciągnęła ramię i musnęła palcami policzek Simona. Ból w miejscu dawnej rany zelżał. Patrząc na jej poważną twarz i czując ciężar, jaki musi dźwigać, Simon dotknął z nieśmiałą czułością jej dłoni.

– *Jiriki powiedział ci prawdę, chłopcze* – przemówiła. – *Na dobre czy złe, zostałeś naznaczony. Szkoda, że nie potrafię obdarzyć cię dobrym słowem na twą dalszą podróż.*

Światła znowu zgasły. Jiriki wyprowadził Simona w ciemności.

26. Malowane oczy

MIRIAMELE OPARŁA SIĘ O PORĘCZ, obserwując pełen życia basen portowy. Vinitta nie była dużą wyspą, lecz właśnie spośród jej władców, z domu Benidrivinów, wyszło dwóch ostatnich Imperatorów, a także trzech książąt, którzy otrzymali tytuły za czasów panowania Prestera Johna. Tu też urodził się legendarny Camaris, lecz ten wielki rycerz zajął dość poślednie miejsce w historii wyspy pełnej bohaterów. Port tętnił życiem: był liczącym się miejscem, dopóki na książęcym tronie zasiadał Benigaris.

Aspitis Preves i jego kapitan udali się do miasta w interesach. Miriamele nie miała pojęcia, jakie to interesy. Hrabia wspomniał tylko, że przybywa z ważną misją do samego księcia Benigarisa. Aspitis polecił Miriamele i Cadrachowi pozostać na pokładzie, sugerując, że port nie jest najodpowiedniejszym miejscem na spacery dla damy. Dodał też, że nie ma aż tylu ludzi, by zatroszczyć się i o swoje interesy, i jeszcze oddać dwóch żołnierzy do ich ochrony.

Miriamele wiedziała, o co mu chodzi. Choć podziwiał jej wdzięki i cieszył się z jej towarzystwa, nie chciał dać jej okazji do opuszczenia statku. Może nie uwierzył w całą jej opowieść albo bał się, że Cadrach namówi ją do odejścia; mnich nie ukrywał swej niechęci do hrabiego.

Westchnęła, spoglądając na rzędy płóciennych straganów ustawionych wzdłuż wybrzeża; każdy z nich był ustrojony girlandami i pełen dóbr wystawionych na sprzedaż. Wędrowni kramarze głośno zachwalali swoje towary, które nosili w olbrzymich torbach na plecach. Muzycy i tancerze prezentowali się, oczekując na monety od przechodniów, a marynarze z różnych statków mieszali się z mieszkańcami Vinitty w rozkrzyczanym i wesołym tłumie. Choć niebo pociemniało od chmur i od czasu do czasu padał deszcz, ludzie zebrani na portowym nabrzeżu wyglądali na zadowolonych. Miriamele zapragnęła do nich dołączyć.

Cadrach stał obok niej, bledszy niż zazwyczaj. Mnich milczał od chwili, kiedy hrabia wydał swoje polecenie. Patrzył na odchodzącego Aspitisa i jego ludzi z tak samo kwaśną miną, z jaką teraz spoglądał na tłum w porcie.

– Boże – powiedział. – Od takiej nieostrożności aż się człowiekowi niedobrze robi. Nie było jasne, do kogo skierowana była ta uwaga, ale Miriamele poczuła się urażona.

– A ty? – rzuciła. – Lepszy jesteś? Pijak i tchórz!

Wielka głowa Cadracha obróciła się powoli jak młyńskie koło.

– Ja to robię z ostrożności, pani. Przyglądałem się zbyt uważnie.

– Przyglądałeś się, czemu? Bzdura. Nie mam ochoty na twoje dwuznaczne wykłady. – Zadrżała z gniewu, lecz nie mogła wzbudzić w sobie poczucia prawości, jakiego oczekiwała. Przez ostatnie dni Cadrach odsunął się od niej i obserwował ją z pełnego dezaprobaty dystansu. Denerwowało ją to, a na dodatek sprawiało, że robiła sobie wyrzuty z powodu nieustannych flirtów z hrabią Aspitisem. Obecność szarych oczu Cadracha obserwujących ją, jakby była dzieckiem albo niegrzecznym zwierzątkiem, doprowadzała ją do szału.

– Dlaczego nie pójdziesz ponarzekać do marynarzy? – odezwała się wreszcie. – Zobaczysz, jak oni cię wysłuchają.

Mnich złożył ramiona na piersi. Mówił cierpliwie, lecz nie patrzył jej w oczy.

– Pani, czy mnie wysłuchasz? Jeszcze raz? Moja rada nie jest taka zła, jak sądzisz, i dobrze o tym wiesz. Jak długo będziesz wysłuchiwać słodkich słówek tej... tej nadwornej piękności? Jesteś jego małym ptaszkiem, którego wyjmuje z klatki, żeby się z nim pobawić, a potem wsadza go do niej z powrotem. Ty go nie obchodzisz.

– Bracie Cadrachu, dziwne, że ktoś taki jak ty mówi takie rzeczy. Hrabia oddał nam kabinę kapitana, żywi nas przy swoim stole i traktuje z pełnym szacunkiem. – Serce zabiło jej mocniej na wspomnienie ust Aspitisa tuż przy jej uchu, jego mocnego, lecz delikatnego uścisku. – Ty zaś okłamałeś mnie, przyznałeś się do przekupstwa i jeszcze mnie ogłuszyłeś. Tylko szaleniec mógłby po tym wszystkim przedstawiać siebie jako lepszego przyjaciela.

Teraz Cadrach opuścił wzrok i popatrzył jej długo w oczy. Wydawało się, że szuka czegoś; jego przenikliwy wzrok wywołał rumieńce na jej twarzy. Z szyderczym grymasem na twarzy odwróciła się.

– Bardzo dobrze, pani – powiedział. Kątem oka dostrzegła, że wzruszył ramionami. Odchodząc na drugi koniec pokładu, rzekł: – Zdaje się, że dziś już nie uczą specjalnie uprzejmości i przebaczania w Usiresowym Kościele.

Miriamele powstrzymała łzy złości.

– To ty jesteś człowiekiem Kościoła, nie ja. Nawet jeśli masz rację, ty jesteś tego najlepszym przykładem! – Nie poczuła wielkiej przyjemności ze swej odpowiedzi.

Znużona przyglądaniem się tłumom na wybrzeżu Miriamele zeszła do kabiny. Mnich siedział w ponurym milczeniu i patrzył przed siebie.

Wzruszyła ze złością ramionami i wróciła na pokład, spacerując niespokojnie tam i z powrotem. Ci spośród załogi, którzy nie zeszli na ląd, przygotowywali statek do dalszej podróży; niektórzy wspinali się po masztach, sprawdzając stan żagli, inni naprawiali różne drobne usterki. Tylko jeden wieczór mieli spędzić na wyspie, więc uwijali się, by jak najszybciej znaleźć się na brzegu.

W pewnym momencie Miriamele znalazła się przy pomoście prowadzącym na pokład *Eadne* i patrzyła na kłębiące się w dole tłumy. Chłodny, wilgotny wiatr rozwiewał jej włosy, a ona zastanawiała się nad zrzędzeniem Cadracha. Czy obrzydliwy mnich ma rację? Była świadoma, że hrabia lubi prawić pochlebstwa, ale czy rzeczywiście ona nic go nie obchodzi? Miriamele przypomniała sobie pierwszą noc na pokładzie i słodkie, sekretne pocałunki Aspitisa. Była pewna, że mnich się myli. Nie twierdziła, że hrabia kocha ją całym sercem, nie łudziła się, że jej twarz śni mu się po nocach – tak jak jego pojawiała się w jej marzeniach – ale była pewna, że ją lubił, a to było coś więcej, niż mogła powiedzieć o wszystkich mężczyznach, których znała. Jej ojciec chciał, aby poślubiła tego okropnego, zapijaczonego bufona Fengbalda, wuj zaś, by siedziała cicho i nie sprawiała kłopotów.

Ale był i Simon. Myśląc o nim, poczuła przyjemne ciepło. Słodki na swój głupiutki sposób, choć dzielnością dorównywał szlachcicom, jakich znała. Lecz był tylko podkuchennym, a ona jest królewską córką... tylko jakie to ma znaczenie? Znaleźli się na przeciwnych biegunach świata. Nigdy się już nie spotkają.

Nagle poczuła dłoń na swym ramieniu. Odwróciła się szybko i ujrzała pomarszczoną twarz Gan Itai. Pogodna zwykle Niska patrzyła na nią z powagą.

– Dziewczyno, muszę z tobą pomówić – powiedziała.

– C...co?

We wzroku Niski było coś niepokojącego.

– Miałam sen. Sen o... o tobie i o złych czasach. – Gan Itai pochyliła głowę i spojrzała na morze, zanim znowu zwróciła się do Miriamele. – Sen powiedział mi, że jesteś w niebezpieczeństwie, Mir...

Niska urwała ze wzrokiem utkwionym ponad ramieniem Miriamele. Księżniczka osłupiała. Czy się przesłyszała, czy Gan Itai chciała nazwać ją jej prawdziwym imieniem? Ale to niemożliwe; tylko Cadrach wiedział, kim jest, i nie przypuszczała, by zdradził się przed kimkolwiek na statku – takie informacje mogły przynieść nieobliczalne konsekwencje, a on był uwięziony na pokładzie tak samo jak ona. Nie, musiała się przesłyszeć. Niska mówi tak dziwnie.

– Ho! Śliczna pani! – zawołał pogodny głos z wybrzeża. – Poranek jest dość wilgotny, ale może chciałabyś zwiedzić Vinittę?

Miriamele odwróciła się. Przy końcu pomostu stał Aspitis ze swymi ludźmi. Hrabia ubrany był w przepiękny, błękitny płaszcz i lśniące buty. Wiatr rozwiewał mu włosy.

– Och, tak! – odparła uradowana. – Jak cudownie będzie zejść na ląd! Zaraz przyjdę!

Kiedy się odwróciła, Gan Itai już nie było. Miriamele zmarszczyła brwi zdziwiona. Nagle przypomniała sobie o mnichu, który z kamienną twarzą siedział w ich wspólnej kabinie, i zrobiło jej się go żal.

– Czy mam przyprowadzić brata Cadracha? – zawołała.

Aspitis roześmiał się.

– Oczywiście! Taki święty człowiek może okazać się przydatny; uratuje nas przed kilkoma pokusami! Tym sposobem zaoszczędzimy parę monet.

Miriamele pobiegła do kabiny. Cadrach popatrzył na nią dziwnie, wsunął buty, potem starannie wybrał najcieplejszy płaszcz i poszedł za nią.

Wiatr wzmógł się, a przelotne ulewy stawały się coraz gwałtowniejsze. Początkowo była dumna, że paraduje nabrzeżem z przystojnym, grzecznym hrabią, lecz wkrótce poczuła się znużona. Pełne ludzi wąskie ulice Vinitty nagle wydały się jej smutne i szare. Kiedy Aspitis kupił dla niej wianek z dzwonków i delikatnie zawiesił na szyi, ledwie się zdobyła na wdzięczny uśmiech.

„To pewnie przez tę pogodę – pomyślała. – Taka nienaturalna pogoda jest przyczyną tego, że zamiast pięknego lata zapanowały ponure ciemności, a zimno przenika do szpiku kości”.

Pomyślała o swym ojcu przesiadującym samotnie w wielkiej, lodowatej komnacie. Przypomniała sobie jego chłodną, odległą, podobną do maski twarz.

– Zimne kości i zimne serca – zaśpiewała cicho, kiedy hrabia odszedł trochę do przodu z pozostałymi.

Zimne kości i zimne serca
Leżą w deszczu po bitwie
Na zimnej plaży u brzegu jeziora Clodu,
Dopóki nie zawoła trąbka Aedona...

Około południa Aspitis zabrał ich na posiłek i Miriamele natychmiast poczuła, że jej zły humor mija. Gospoda, do której weszli, miała bardzo wysoką jadalnię, ale trzy ogromne paleniska sprawiały, że była ciepła i przytulna, a jednocześnie wypełniały ją zapachem pieczonego mięsa. Tłok był spory. Gospodarz i jego pomocnicy uwijali się jak w ukropie, podając kolejne dzbany piwa oraz puchary z winem i chwytając w locie rzucane im monety.

W końcu sali ustawiono prosty podest, na którym właśnie jakiś chłopiec popisywał się żonglerką w czasie przerwy w przedstawieniu kukiełkowym.

Starał się utrzymać w powietrzu kilka patyków, nie zwracając uwagi na pijackie przytyki gości, a jednocześnie zatrzymywał nogą rzucane od czasu do czasu na scenę drobniaki.

– Pani, czy zjesz coś? – spytał Aspitis.

Miriamele skinęła głową, posłał więc po jedzenie dwóch ze swych ludzi. Pozostali żołnierze bezceremonialnie usunęli grupę gości zajmujących jeden ze stołów. Wkrótce przyniesiono im barani udziec, chleb, cebulę i sporą ilość wina.

Pełen kielich pozwolił Miriamele pozbyć się uczucia zimna. Ponadto stwierdziła, że poranny spacer zaostrzył jej apetyt. Zjadła swoją porcję, zanim dzwon oznajmił południe. Rozsiadła się wygodnie, próbując powstrzymać nieprzyzwoite beknięcie.

– Spójrzcie – powiedziała. – Zaczynają przedstawienie. Możemy obejrzeć?

– Naturalnie – odparł Aspitis, machając przyzwalająco dłonią. – Naturalnie. Wybaczysz, że nie podejdę z tobą, ale nie skończyłem posiłku. Poza tym będzie to chyba przedstawienie Usiresowe. Nie sądź tylko, że jestem taki bezbożny, ale żyjąc na łonie Matki Kościoła, często je oglądam, i to w różnych wykonaniach, od najwspanialszych do najpodlejszych. – Odwrócił się i dał znak jednemu ze swoich ludzi, by jej towarzyszył. – Nie byłoby najlepiej, gdyby taka dama chodziła sama wśród tłumu.

– Ja także skończyłem jeść – oświadczył Cadrach, wstając. – Pójdę z tobą, lady Marya. – Mnich stanął obok żołnierza.

Przedstawienie już się rozpoczęło. Widzowie, a zwłaszcza dzieci, krzyczeli z zachwytu, gdy lalki podskakiwały i okładały się kijami. Miriamele także się roześmiała, kiedy Usires namówił Crexisa, by się nachylił, i wymierzył kopniaka w siedzenie złego Imperatora, lecz jej radość nie trwała długo. Zauważyła, że Kozioł zamiast rogów, z jakimi

zwykle go przedstawiano, ma na głowie rogi jelenia. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, lecz poczuła się nieswojo, widząc tę zmianę. Poza tym w wysokim głosie Usiresa brzmiała nuta strachu i desperacji, a jego wymalowane, przewrócone do góry oczy wydawały się bardzo smutne. Cadrach przyglądał się jej zamyślony.

– Tak więc budujemy nasze mały tamy – powiedział mnich, a jego słowa prawie utonęły w morzu okrzyków – podczas gdy wody wznoszą się wokół nas. – Nakreślił w powietrzu znak Drzewa.

Zanim zdążyła spytać go, co miał na myśli, okrzyki tłumu wzmogły się, więc spojrzała znowu na scenę. Usires został schwytany i powieszony na Drzewie Egzekucji drewnianą głową w dół. Kiedy Kozioł szturchnął bezradnego Zbawiciela, z ciemności wyłoniła się inna kukła. Ubrana była w pomarańczowo-czerwone, postrzępione szaty, tak że kiedy tańczyła, kołysząc się z boku na bok, szaty wirowały i sprawiały wrażenie, że lalkę obejmują płomienie. Kukła miała czarną, pozbawioną twarzy głowę, a w dłoni trzymała mały, drewniany miecz koloru błota.

– Oto nadchodzi Tancerz Ognia, żeby cię zrzucić w ciemną ziemię! – zaskrzeczał Kozioł.

Imperator zatańczył z radości.

– Ja nie wojuję mieczem – powiedział Usires. – Miecz nie może zranić tego, co jest we mnie Bogiem, co jest ciszą i pokojem.

Miriamele nieomal wydawało się, że widzi, jak usta lalki się poruszają.

– A zatem możesz zamilknąć na zawsze i wielbić swego Boga w kawałkach! – zawołał zwycięsko Imperator, kiedy Tancerz Ognia zaczął siekać swym mieczem Usiresa.

Śmiechy i wrzaski tłumu wzmogły się, jakby nadbiegało stado ogarów. Miriamele poczuła, że kręci jej się w głowie i wstrząsają nią dreszcze. Przestraszona odwróciła się od sceny.

Cadrach zniknął.

Miriamele odwróciła się do żołnierza stojącego z drugiej strony. Widząc jej pytający wzrok, zaczął się rozglądać, lecz nigdzie nie znaleźli mnicha.

Aspitis i jego ludzie przeszukali jadalnię, lecz na próżno. Hrabia poprowadził ich grupę na statek poprzez zimne ulice. Jego złość paraliżowała. Milczał przez całą drogę.

RYBAK SINETRIS DOKŁADNIE PRZYJRZAŁ SIĘ przybyszowi. Obcy był wyższy od niego o głowę, szeroki w barach i przemoczony do suchej nitki od deszczu, który walił w dach przybudówki na łódź. Sinetris zastanawiał się nad konsekwencjami próby powolnego obejścia przybysza i zaszycia się w swoim schronie. Był to jeden z takich dni, że nawet najtwardsi siedzieli skuleni przy ogniu i dziękowali Bogu za kawałek dachu nad głową. W końcu była to buda Sinetrisa i wydawało się to bardzo niesprawiedliwe, żeby on stał na zewnątrz, gdy tymczasem jakiś obcy pieklił się i wściekał.

Pozytywne skutki podjętej decyzji też były oczywiste. Pozostając na zewnątrz, Sinetris miał szansę uciec i uratować życie, kiedy już temu sapiącemu szaleńcowi przyjdzie ochota kogoś zamordować.

– Ojcze, nie wiem, o czym mówisz. Dzisiaj nie ma żadnych łodzi. Widzisz, jaka pogoda. – Sinetris wskazał deszcz, który padał prawie poziomo niesiony wiatrem.

Mężczyzna w habicie patrzył na niego wściekłym wzrokiem. Ogromny mnich, jeśli nim był, poczerwieniał na twarzy, a brwi drgały mu nerwowo. Sinetris zauważył zdziwiony, że mnich jakby zapuszczał brodę. Rybak wiedział, że aedoniccy mnisi nie noszą bród. Do tego jeszcze, sądząc z akcentu, obcy musiał być jakimś barbarzyńcą z Północy, Rimmersmanem czy kimś takim. Sinetris uważał, że po tych urodzonych za rzeką Gleniwent

wszystkiego można się spodziewać. Spojrzawszy na nierówne bokobrody i poocieraną, różową skórę mnicha, rybak utwierdził się w swej negatywnej opinii. Bez wątpienia był to człowiek, z którym lepiej nie mieć do czynienia.

– Chyba mnie nie rozumiesz, rybaku – syknął mnich, pochylając się i mrużąc groźnie oczy. – Przeszedłem prawie przez piekło, żeby się tu dostać. Powiedziano mi, że jesteś jedynym, który odważy się wypłynąć w taką pogodę, a to dlatego, że dostaniesz więcej. – Potężna łapa zacisnęła się na ramieniu Sinetrisa, który jęknął przestraszony. – Wspaniale. Możesz mnie oszukać, obrabować, nic mnie to nie obchodzi. Ale chcę się dostać do Kwanitupulu i mam dość proszenia ludzi, żeby mnie tam zabrali. Rozumiesz?

– A...ale możesz pojechać tam lądem! – pisnął Sinetris. – W taką pogodę się nie wypływa...

– A ile czasu będę potrzebował, żeby dotrzeć tam lądem?

– Dzień! Może dwa! Nie dłużej!

Dłoń na ramieniu rybaka zacisnęła się mocniej.

– Łżesz, człowieczku. Przy takiej pogodzie, podróżując przez bagnisty teren, potrzebowałbym przynajmniej dwóch tygodni. Ale ty masz nadzieję, że spróbuję lądem? Masz nadzieję, że pójdę tamtędy i utopię się gdzieś w bagnie? – Na twarzy mnicha pojawił się nieprzyjemny uśmiech.

– Nie, ojcze! Nie! Nie śmiałbym tak pomyśleć o świętym człowieku!

– A to dziwne, bo twoi znajomi, rybacy, twierdzili, że oszukujesz wszystkich, mnichów, duchownych! Ale teraz będziesz miał okazję pomóc słudze Bożemu i otrzymasz za to godziwą, a nawet więcej niż godziwą zapłatę.

Sinetris zaczął płakać tak rozpaczliwie, że aż sam się zdziwił.

– Ale Wasza Eminencjo! My naprawdę boimy się wypływać w taką pogodę! – Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że choć raz mówi prawdę, a nie tylko próbuje podbić cenę. W taką pogodę tylko głupiec udawałby bohatera. Teraz jego głos przepełniała rozpacz. – Utoniemy. Ty, najświętszy sługa Boży, i ja, biedny Sinetris, ciężko pracujący mąż i ojciec siedmiorga kochanych dzieci!

– Nie masz dzieci i niech Bóg ma w opiece kobietę, która zgodzi się być twoją żoną. Rozmawiałem z innymi rybakami, nie pamiętasz? Jesteś takim śmieciem, którego nawet wyrachowane Perdruin nie chciało na swoim brzegu. A teraz podaj cenę. Muszę jak najszybciej dostać się do Kwanitupulu.

Sinetris pociągnął parę razy nosem, by zyskać trochę czasu do namysłu. Rutynowa opłata przewoźnika wynosiła jednego quinisa, ale przy takiej pogodzie, a do tego jeszcze w taki dzień – bez przesady – trzy, a może nawet cztery quinisy nie powinny być wygórowaną ceną.

– Trzy złote imperatory.

Czekał, aż rozlegnie się ryk gniewu. Kiedy to nie nastąpiło, przez moment pomyślał z rozpaczą, że przez dwa dni mógł zarobić tyle, co przez całe lato. A potem zobaczył różową twarz, która przybliżała się do niego, aż poczuł na swym policzku gorący oddech.

– Ty robaku – powiedział mnich łagodnie. – Jest różnica między zwykłym rabunkiem a gwałtem. Chyba powinienem cię zmiąć jak serwetkę i zabrać tę cholerną łódź, zostawiając złotego imperatora dla twojej urojonej wdowy i nieistniejących dzieci, a to i tak za dużo jak za taką przeciekającą skorupę.

– Dwa złote imperatory, Wasza Eminencjo? Jeden dla mojej uro... wdowy, a jeden na mszę w kościele za moją biedną duszę.

– Jeden. Wiesz dobrze, że i tak przepłacam. Tylko dlatego, że się śpieszę. Wyruszamy zaraz.

– Zaraz? Ale łódź nie jest przygotowana...

– Poczekam. – Mnich puścił obolały nadgarstek Sinetrisa i skrzyżował ramiona na piersi. – No, ruszaj się!

– Ale dobry ojcze, co z moim złotym imperatorem?

– Dostaniesz go, gdy przypłyniemy do Kwanitupulu. Nie bój się, nie oszukam cię tak, jak ty oszukujesz innych. Czyż nie jestem sługą Bożym? – Dziwny mnich roześmiał się głośno.

Sinetris pociągnął nosem i ruszył po wiosła.

POWIEDZIAŁEŚ, ŻE MASZ WIĘCEJ ZŁOTA! – Charystra, właścicielka gospody znanej pod nazwą „Puchar Pelippy”, popatrzyła z odrazą. – Potraktowałam cię jak księcia, ciebie, człowieczka z bagien, a ty mnie okłamałeś! Powinnam była się domyślić i nie ufać jakiemuś tam brudnemu Wrańczykowi.

Tiamak wzruszył ramionami, starając się zachować spokój.

– Wydaje mi się, dobra pani, że oboje powinniśmy być zadowoleni. Zapłaciłem ci dwa złote imperatory.

Prychnęła.

– Już je wydałam.

– W dwa tygodnie? Charystro, oskarżasz mnie o kłamstwo, ale to, co robisz, można chyba nazwać grabieżą.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić! Otrzymałeś najlepsze miejsce i usługi najlepszego uzdrawiacza w Kwanitupulu.

Ból w ranach Tiamaka tylko potęgował jego gniew.

– Jeśli chodzi ci o tego pijaczynę, który wykręcił mi nogę tak, że bolała mnie jeszcze bardziej, to jestem pewien, iż jego zapłata nie powinna przewyższać ceny dwóch kufli paprociowego piwa. Zdaje się, że on je lubi, gdyż najwyraźniej przed przyjściem do mnie musiał uraczyć się zapłatą kilku poprzednich klientów.

Co za ironia! I pomyśleć, że Tiamak, autor *Sovrańskich Leków Uzdrowicieli z Wranu*, które to dzieło miało wkrótce ukazać się w poprawionym wydaniu, zmuszony jest oddawać się w ręce rzeźnika z lądu!

– W każdym razie cieszę się, że wciąż mam nogę – warknął. – A co do najlepszego miejsca, to szybko mnie z niego usunęłaś. – Tiamak wskazał dłonią na stos kocy, które dzielił z Cealliem, zdziecinniałym dozorcą.

Właścicielka gospody uśmiechnęła się głupawo.

– Czy ty nie jesteś zbyt zarozumiały jak na takiego z bagien? Proszę bardzo, idź do innej gospody i zobaczymy, czy tam potraktują Wrańczyka z taką samą uprzejmością jak Charystra.

Tiamak powstrzymał pełną wściekłości odpowiedź. Wiedział, że nie może pozwolić dać się ponieść. Jawnie go oszukiwała, ale tak właśnie jest, kiedy Wrańczyk powierza swój los w ręce mieszkańca suchego lądu. I tak już zawiódł swoje plemię, któremu obiecał, że pojedzie do Nabbanu i sprzeciwi się w jego imieniu wyższej daninie. Jeśli teraz wyrzuciliby go z „Pucharu Pelippy”, zawiódłby także Morgenesa. Doktor wyraźnie nakazał mu czekać w gospodzie, dopóki nie będzie potrzebny.

Tiamak zmówił krótką modlitwę o cierpliwość do Tego, Który Zawsze Kroczy Po Piasku. Jeśli jego pobyt w takim miejscu jest tak ważny dla Morgenesa i Dinivana, dlaczego nie przysłali mu chociaż trochę pieniędzy? Westchnął głęboko na myśl o tym, jak bardzo musi się płaszczyć przed wstrętną kobietą o czerwonej twarzy.

– Dobra pani, głupotą jest walczyć ze sobą – powiedział w końcu. – Czekam na przyjaciela, który z pewnością wkrótce się pojawi, i przywiezie więcej pieniędzy. – Tiamak zmusił się do uśmiechu. – A do tej pory pomieszkam za resztę z dwóch imperatorów, które już ci dałem. Z pewnością nie wydałaś wszystkiego. Jeśli będę musiał odejść, ktoś inny dostanie to złoto.

Patrzyła na niego przez chwilę, zastanawiając się, czy go nie wyrzucić

– No... – burknęła pod nosem. – Może z dobroci serca pozwolę ci zostać jeszcze przez trzy dni. Ale żadnych posiłków. Będziesz musiał przynieść więcej pieniędzy albo poszukać sobie jedzenia gdzie indziej. Moi goście otrzymują godziwe posiłki, których jednak nie mogę rozdawać za darmo.

Tiamak wiedział, że te godziwe posiłki składały się głównie z zupy i suchego chleba, ale wiedział też, że nawet tak paskudne jedzenie lepsze jest od głodu. Będzie musiał sobie poradzić. Przyzwyczajony był do skąpego odżywiania się, lecz teraz wciąż jeszcze czuł się osłabiony i chory. Z jaką radością stuknąłby kamykiem ze swej procy w tę kpiącą twarz!

– Dobrze, moja pani – powiedział, zaciskając zęby. – Dobrze.

– Moi przyjaciele powtarzają mi, że jestem za dobra.

Charystra wróciła do gospody, a Tiamak zanurzył się w cuchnącym kocu i zaczął rozmyślać, w jak podłym znalazł się położeniu.

Leżał w zupełnej ciemności. W głowie mu się kręciło od różnych myśli, lecz wciąż nie potrafił znaleźć rozwiązania swoich problemów. Ledwie chodził. Utknął bez środków do życia w obcym miejscu, wśród bezlitosnych mieszkańców lądu. Wyglądało na to, że Ci, Którzy Patrzyli i Planowali, zmówili się, by go dręczyć.

Stary Ceallio mruknął przez sen i obrócił się, opuszczając ciężkie ramię na twarz Tiamaka. Uderzenie było bolesne. Wrańczyk jęknął i usiadł. Nie było sensu złościć się na tego prostaka: Ceallio tak samo był winny ich

niewygodnej współegzystencji jak Tiamak. Wrańczyk zastanawiał się, czy Ceallio jest zły, że musi dzielić z kimś łóżko. Pogodny staruszek był bowiem otwarty jak dziecko. Wydawało się, że przyjmuje wszystko, co staje na jego drodze – kopniaki, kuksańce, przekleństwa – jak los, którego nie da się uniknąć; tak jak nie można uniknąć burzy.

Tiamak zadrżał na myśl o złej pogodzie. Długo zwlekająca burza, która zamieniała Wran i południowe wybrzeże w garnek pełen pary, wreszcie nadeszła, zalewając Kwanitupul strumieniami deszczu. Zwykle łagodne kanały pokryły się wzburzonymi falami. Większość statków została zakotwiczona z dala od portu, a wszelkie interesy w portowym mieście nieomal ustały. Gwałtowna burza zmniejszyła także liczbę napływających klientów, co spowodowało zły humor Charystry.

Tej nocy deszcz przestał padać po raz pierwszy od kilku dni. Niedługo po tym, jak Tiamak wpełzł do swego niewygodnego łóżka, bębnienie w dach ustało; zapadła cisza tak głęboka, że sama wydawała się nowym odgłosem. Pomyślał, że może właśnie ta niezwykła cisza nie pozwala mu zasnąć.

Drżąc, próbował naciągnąć na siebie koc, lecz starzec trzymał mocno drugi koniec. Pomimo podeszłego wieku starzec wydawał się o wiele silniejszy od Tiamaka, który nigdy nie zaliczał się do krzepkich, nawet według standardów swego plemienia. Wrańczyk przestał walczyć o przykrycie. Ceallio mruczał i pojękiwał, przeżywając sen o dawno minionym szczęściu. Tiamak siedział nachmurzony. Dlaczego w ogóle opuścił swój dom na drzewie figowym, na swym ukochanym bagnie? Nie miał wiele, ale wszystko należało do niego. I w przeciwieństwie do tego przewiewnego domu-łodzi było tam zawsze ciepło...

Wstrząsany dreszczami nagle zdał sobie sprawę, że przeraźliwy chłód oznaczał coś więcej niż tylko nocne zimno. Przenikał pierś jak sztylet.

Spróbował jeszcze raz pociągnąć za koc i usiadł zdesperowany. Może drzwi są otwarte.

Jęknął głośno, dając upust swej udręce, wypełzł z łóżka i zmusił się, by wstać. Rana w nodze pulsowała i paliła okrutnie. Pijany uzdrawiacz powiedział, że okłady wkrótce uśmierzą ból, ale Tiamak nie bardzo wierzył słowom obdartego moczymordy i jak na razie nie pomylił się. Pokuśtykał wolno po drewnianej podłodze, starając się nie wpaść na odwrócone do góry nogami łodzie, które zajmowały znaczną część pomieszczenia. Trzymał się blisko ściany, co pozwoliło uniknąć przeszkód, ale nagle na jego drodze pojawił się twardy stołek, w który Tiamak uderzył zdrową golenią. Zatrzymał się i zacisnąwszy usta, rozcierał bolące miejsce, jednocześnie powstrzymując okrzyk bólu i gniewu, które, obawiał się, nie będą miały końca. Dlaczego właśnie jemu musiał przypaść tak paskudny los?

Wreszcie ruszył, jeszcze ostrożniej, tak że podróż do drzwi zdawała się trwać wieki. Kiedy już do nich dotarł, zobaczył wielce rozczarowany, że są zamknięte. Nie mógł więc zrobić nic więcej, by uchronić się przed zimną nocą. W pewnym momencie huknął głową w futrynę i drzwi się otworzyły, a za nimi ukazał się szary prostokąt pustej przystani. Owiało go zimne powietrze, lecz zanim zdążył chwycić klamkę, coś zwróciło jego uwagę. Było coś dziwnego we mgle widocznej w blasku księżyca.

Tiamak potrzebował długiej chwili, zanim zrozumiał, że to nie deszcz pada na jego wysuniętą dłoń, ale małe, białe płatki. Nigdy czegoś takiego nie widział – żaden Wrańczyk nie widział – ale on był bardzo oczytany i słyszał, jak ludzie opisywali pył, który właśnie zobaczył. Po chwili już wiedział, co oznaczają opadające płatki i dlaczego z jego ust wydobywa się para, która zaraz rozpływa się w powietrzu.

W Kwanitupulu padał śnieg, i to w środku lata.

MIRIAMELE LEŻAŁA W CIEMNOŚCI w swoim łóżku i płakała tak długo, że umilkła ze zmęczenia. *Chmura Eadne* stała zakotwiczona w porcie Vinitty, a ona cierpiała pod ciężarem ogromnego kamienia samotności.

Nie bolała tak bardzo nad zdradą mnicha: choć czasami czuła do niego słabość, dawno już odkryła, na jakie podłości go stać. Większe znaczenie miał fakt, że Cadrach stanowił ostatnie ogniwo z jej prawdziwą osobą, z jej przeszłością. Nagle poczuła, że dryfuje po obcym morzu, jakby ktoś odciął linę kotwicy.

Nie była bardzo zaskoczona ucieczką Cadracha. Stosunki między nimi były tak nieżyczliwe, że tylko okoliczności sprawiły, iż nie zrobił tego wcześniej. Przypomniała sobie, z jaką chłodną rozwagą wybierał płaszcz podróżny, zanim zeszli ze statku, i zrozumiała, że już wcześniej planował ucieczkę, a przynajmniej od chwili ich przybycia na Vinittę. Chyba nawet ją ostrzegał? Na pokładzie jeszcze powiedział, żeby go wysłuchała „ten ostatni raz”.

Zdrada mnicha nie była zaskoczeniem, ale ból wcale przez to nie był mniejszy. Długo oczekiwany cios wreszcie został zadany.

Porzucenie i obojętność. Były to nici, które snuły się przez całe jej życie. Matka zmarła, ojciec stał się zimny i nieczuły, wuj Josua chciał tylko, żeby nie plątała się pod nogami – zaprzeczyłby temu, ale czytała to w jego słowach, zachowaniu. Przez jakiś czas miała nadzieję, że Dinivan i Lektor udzielą jej schronienia, ale i oni już nie żyli, pozostawiając ją bez przyjaciół. Wiedziała, że niczemu nie są winni, lecz mimo to nie mogła przejść nad tym do porządku.

Nikt już jej nie pomoże. Ci życzliwsi, jak Simon, troll czy kochany książę Isgrimnur, byli daleko albo nie posiadali władzy. Teraz odszedł i Cadrach.

Pomyślała, że musi w niej być coś, co odpycha ludzi. Jakaś plama jak czarne zabarwienie kanałów z białego kamienia, które widać dopiero po odpływie. A może plama nie jest w niej, lecz w duszach innych ludzi, którzy nie potrafią wypełnić zobowiązań i nie pamiętają o powinności wobec kobiety.

A złotowłosy Aspitis? Nie sądziła, że okaże się bardziej odpowiedzialny niż inni, ale on przynajmniej się nią interesował. Przynajmniej była mu do czegoś potrzebna.

Może kiedyś, gdy jej ojciec przeobrazi już świat według swych mrocznych wizji, ona znajdzie gdzieś dom dla siebie. Będzie szczęśliwa, mogąc mieszkać w małym domku nad morzem; chętnie pozbędzie się swego królewskiego dziedzictwa jak starej skóry węża. Ale co ma robić teraz?

Miriamele obróciła się i wtuliła twarz w szorstki koc; czuła, jak jej łóżko i cały statek kołysze się w łagodnym, lecz uporczywym uścisku morza. Zbyt wiele myśli, zbyt wiele pytań. Poczuła się zupełnie bezsilna. Pragnęła, by ktoś ją przytulił, ochronił, żeby czas pomknął jak strzała i mogła obudzić się w lepszym świecie.

Płakała cicho, lecz gwałtownie, dryfując jak niezakotwiczony statek na granicy snu.

Minęło popołudnie. Miriamele leżała w ciemnej kabinie, budząc się i znowu zapadając w sen.

Gdzieś nad jej głową obserwator obwieścił zachód słońca. Nic nie zagłuszało ciszy; jedynie plusk fal i stłumione okrzyki morskich ptaków. Statek był prawie pusty, większość marynarzy zeszła na ląd.

Miriamele nie zdziwiła się, kiedy drzwi jej kabiny otworzyły się cicho i ktoś siadł obok niej na łóżku.

Palce Aspitisa gładziły jej twarz. Odwróciła się. Żałowała, że nie może nakryć się cieniem tak jak kocem, że nie może znowu być małą dziewczynką, która mieszka nad morzem bez groźnych kilp, bez sztormowych fal, a jeśli już się zdarzą, to cichną zaraz na widok złocistych promieni słońca.

– Moja pani... – szepnął. – Tak mi przykro. Źle cię potraktowano.

Miriamele nic nie odpowiedziała, lecz jego głos był jak balsam kojący ból jej myśli. Mówił długo – o jej urodzie, dobroci. Trawiona gorączką smutku prawie nie rozumiała jego słów, ale jego głos brzmiał słodko i uspokajająco. Ulżyło jej. Kiedy wsunął się pod koc, poczuła dotyk jego skóry, ciepły, delikatny, stanowczy. Szepnęła coś, protestując, lecz bardzo łagodnie, bez przekonania; w pewnym sensie to też była dobroć.

Poczuła jego usta na szyi. Jego dłonie przesuwały się po ciele Miriamele z łagodną stanowczością, jakby pieścił ukochany przedmiot należący tylko do niego. Znowu powróciły łzy. Przepełniona samotnością, pozwoliła się objąć. Lecz jego dotyk nie zagłuszył wszystkich uczuć. Część jej pragnęła dać się wciągnąć w objęcia kojącego ciepła, bezpiecznego portu, takiego jak ten, w którym stała *Chmura Eadne*, z dala od sztormów; lecz jej inna część pragnęła uwolnić się, walczyć z niebezpieczeństwem. Był też i cień, który czaił się w niej głęboko, cień żalu, uwiązany do jej serca żelaznym łańcuchem.

Promyk światła sączący się do wewnątrz przez szparę w drzwiach zalśnił we włosach Aspitisa, gdy hrabia przylgnął do niej. A co będzie, jeśli ktoś wejdzie? Drzwi nie miały zamka. Próbowała się opierać. Nie zrozumiawszy istoty jej obaw, zaczął szeptać jej słowa uspokojenia, chwalić jej urodę.

Każdy lok jego włosów był inny, jak drzewa. Jego głowa wydawała się być lasem, a jego ciemna postać majaczącą nad nią odległą górą. Zapłakała

cicho, nie potrafiąc oprzeć się jego stanowczości.

Czas płynął. Aspitis znowu zaczął mówić.

Kochał ją za jej dobroć, rozum, słodycz.

Jego słowa, jego pieszczoty były ślepe, lecz wzniecały pożar. Lekceważyła te pochlebstwa, ale czuła, że ulega jego sile i pewności siebie. Przynajmniej choć trochę się nią interesował. Mógł ukryć ją w ciemności, otulić ją ciemnością jak kocem. Schowa się w głębi bezpiecznego lasu, dopóki świat znowu nie stanie się dobry.

Statek kołysał się łagodnie na falach.

Powiedział, że ochroni ją przed tymi, którzy chcą ją skrzywdzić. Nigdy jej nie opuści.

Wreszcie poddała się. Był ból, ale były też i obietnice. Niczego innego nie pragnęła. W pewnym sensie już kiedyś świat udzielił jej takiej lekcji.

PEŁNA SPRZECZNYCH UCZUĆ, Miriamele siedziała przy stole naprzeciw Aspitisa i przesuwała kawałki jedzenia z jednej strony talerza na drugą. Nie rozumiała, dlaczego hrabia chciał, by zasiadła z nim do stołu w jasno oświetlonej kabinie. Nie rozumiała, dlaczego ani trochę nie czuła już miłości.

Rozległo się pukanie do drzwi i zaraz potem wszedł żołnierz.

– Mamy go, lordzie – oświadczył.

Widać było, że cieszy się, iż zdołał naprawić popełniony wcześniej błąd. Miriamele znieruchomiała. Żołnierz odsunął się na bok i dwóch jego towarzyszy wprowadziło słaniającego się Cadracha. Mnich z trudem unosił głowę. Czy oni go pobili? Poczuła żal. Miała nadzieję, że Cadrach zniknie i nigdy go już nie zobaczy. Łatwiej było go nienawidzić, kiedy znajdował się gdzieś daleko.

– Jest pijany, lordzie Aspitisie – powiedział żołnierz. – Śmierdzi. Znaleźliśmy go pod „Pierzastym Węgorzem”, we wschodniej części portu. Wykupił już miejsce na jednym z perdruińskich statków handlowych, ale się urżnął i przegrał je w kości.

Cadrach patrzył mętnym wzrokiem z twarzą ściągniętą grymasem rezygnacji. Nawet ze swego miejsca Miriamele czuła bijący od niego odór wina.

– Miał... si... od...grać. Zr...biłbym to. – Pokręcił głową. – A może nie. Szczęście się odwróciło. Woda się podnosi...

Aspitis wstał i obszedł stół. Wyciągnął ramię i chwycił mnicha za brodę, ściskając tak mocno, że ciało wylało się między jego palcami. Podniósł głowę Cadracha tak wysoko, aż ich oczy spotkały się.

Hrabia zwrócił się do Miriamele.

– Lady Maryo, czy on próbował już czegoś takiego wcześniej?

Miriamele przytaknęła bezradnie. Bardzo chciała być gdzie indziej.

– Mniej więcej – westchnęła.

Aspitis ponownie skierował wzrok na Cadracha.

– Co za dziwny człowiek. Dlaczego nie porzuci służby u twego ojca, zamiast wymykać się jak złodziej? – Hrabia spojrzał na giermka. – Czy na pewno nic nie zginęło?

Giermek pokręcił głową.

– Nic, panie.

Cadrach próbował uwolnić twarz z rąk Aspitisa.

– Miałem swoje złoto. Nic nie ukradłem. Muszę odejść... – Próbował utrzymać wzrok na Miriamele, a w jego głosie zabrzmiała rozpaczliwa nuta. – Niebezpieczna burza... dopadnie nas. Niebezpieczeństwo.

Hrabia puścił jego głowę i wytarł dłoń w obrus.

– Boisz się burzy? Wiedziałem, że nietęgi z niego żeglarz, ale... dziwne to wszystko. Gdyby był moim poddanym, wychłostałbym go za coś takiego. Z pewnością nie otrzyma nagrody za to, że opuścił swoją niewinną podopieczną. Nie będzie też dzielił z tobą kabiny, lady Maryo. – Hrabia uśmiechnął się. – Mógł zwariować albo mu się w głowie poplątało od pijaństwa. Mówi o niebezpieczeństwie, lecz to on sam jest niebezpieczny. Zostanie uwięziony na statku aż do naszego powrotu do Nabbanu, gdzie oddam go władzom kościelnym, by otrzymał należytą karę.

– Uwięziony? – powtórzyła Miriamele. – To nie...

– Nie mogę pozwolić, by cię więcej niepokoił, moja pani. – Hrabia odwrócił się do żołnierzy. – Ładownia dobrze mu zrobi. Dajcie mu chleba i wody i załóżcie łańcuchy na nogi.

– Och, nie! – Miriamele była przerażona. Bez względu na to, jak bardzo gardziła mnichem i jego podstępnymi sztuczkami, myśl o jakiejkolwiek żywej istocie zakutej w łańcuchy w ciemnej ładowni...

– Proszę, moja pani. – Aspitis mówił głosem łagodnym, ale stanowczym. Muszę utrzymywać porządek na moim statku. Udzieliłem schronienia tobie i temu mężczyźnie. On był twoim opiekunem. Zdradził cię. Wciąż nie mam pewności, czy czegoś nie ukradł. A może zamierza sprzedać jakieś informacje na temat mojej misji na Vinitcie. Nie, Maryo, zostaw mnie takie męskie sprawy. – Dał znak i żołnierze wyprowadzili Cadracha.

Miriamele poczuła napływające łzy. Nie mogąc ich powstrzymać, zerwała się z krzesła.

– Wybacz, hrabio Aspitisie – wymamrotała, posuwając się wzdłuż stołu do drzwi. – Chcę się położyć.

Zanim wyszła, hrabia chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. Czuła ciepło jego ciała. Odwróciła się świadoma tego, jak głupio musi wyglądać

z mokrą twarzą i zaczerwienionymi oczami.

– Proszę, lordzie. Wypuść mnicha.

– Wiem, że czujesz się zagubiona, śliczna Maryo – powiedział łagodnie Aspitis. – Ale nie obawiaj się. Obiecałem, że zapewnię ci bezpieczeństwo.

Poczuła, że ulega, traci siły. Była tak zmęczona uciekaniem i ukrywaniem się. Chciała tylko, by ktoś ją objął i sprawił, by wszystko odeszło...

Miriamele zadrżała i wyrwała się z objęć hrabiego.

– Nie. Tak nie może być. Nie może! Jeśli go nie wypuścisz, ja nie zostanę na tym statku! – Odpychając go, otworzyła drzwi i wyszła.

Aspitis dogonił ją, zanim dotarła do drabiny prowadzącej na pokład. Gdzieś u góry w ciemności słychać było cichy śpiew Gan Itai.

– Pani, jesteś przygnębiona – powiedział. – Musisz się położyć.

Próbowała się wyrwać, lecz jego uścisk był mocny.

– Żądam, byś mnie puścił! Nie chcę zostać tutaj ani chwili dłużej. Zejdę na ląd i znajdę inny statek.

– Nie, moja pani, nie znajdziesz.

– Puść me ramię. To boli.

Pieśń Gan Itai jakby się załamała.

Aspitis pochylił się nad Miriamele. Jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy.

– Myślę, że musimy sobie wyjaśnić pewne rzeczy. – Roześmiał się. – A właściwie mamy wiele do omówienia. Pójdziesz teraz do swojej kabiny. Skończę kolację i przyjdę do ciebie.

– Nie pójdę.

– Pójdziesz.

Powiedział to z tak łagodną stanowczością, że powstrzymała gniewną odpowiedź, dziwnie przestraszona. Aspitis przyciągnął ją do siebie, odwrócił się i poprowadził siłą korytarzem.

Pieśń Niski, która wcześniej umilkła, teraz znowu zaczęła wznosić się i opadać, gdy Gan Itai szeptała nocy i spokojnemu morzu.

27. Czarne sanie

ZBLIŻAJĄ SIĘ – POWIEDZIAŁ SLUDIG. – Jeśli twój Kamień Pożegnania znajduje się dalej niż o pół mili, będziemy musieli podjąć walkę.

Strząsając wodę z kaptura, Binabik pochylił się nad grzbietem Qantaqi. Wilczyca oddychała ciężko, a jej boki falowały jak kowalski miech. Od świtu uciekali wśród burzy przez las.

– Chciałbym ci to obiecać, Sludigu, ale nie wiem, ile jeszcze czasu nam potrzeba. Myślę jednak, że przynajmniej dzień. – Troll pogładził mokre futro Qantaqi. – Dzielnie się spisujesz, stary przyjacielu. – Wilczyca nie zwracała na niego uwagi, pijąc wodę z pustego pnia.

– Olbrzymy polują na nas – rzucił ponuro Sludig. – Zasmakowało im ludzkie mięso. – Pokręcił głową. – Kiedy się wreszcie zatrzymamy, niektóre z nich tego pożałują.

Binabib nachmurzył się.

– Jestem za mały, żeby stanowić wystarczający posiłek, więc nie będę marnował ich czasu i nie dam się złapać. Tym sposobem nikt nie będzie żałował.

Rimmersman podjechał do pnia. Drżący z zimna koń był zupełnie suchy pomimo padającego deszczu; stanął tuż obok Qantaqi.

Kiedy zwierzęta piły, rozległo się przeciągłe wycie, głośniejsze od szalejącego wiatru.

– A niech mnie! – Sludig splunął i uderzył dłonią po rękojeści swego miecza. – Są wciąż w takiej samej odległości! Czy one biegają z szybkością konia?

– Prawie. Na to wygląda – powiedział Binabik. – Wydaje mi się, że powinniśmy kierować się bardziej w głąb lasu. Może w gęstwinie będą poruszały się wolniej.

– Mówiłeś, że samo wejście do lasu pomoże – rzucił Sludig i odjechał na bok.

– Jeśli przeżyjemy, będziesz mógł mi wypomnieć wszystkie popełnione błędy – warknął Binabik i chwycił się mocno gęstego futra Qantaqi. – A teraz, skoro nie wymyśliłeś sposobu na latanie, jedźmy.

Wiatr przyniósł kolejny dziki okrzyk.

SLUDIG MACHAŁ MIECZEM na lewo i prawo, torując drogę w zaroślach zbocza, w dół którego zjeżdżali.

– Mój miecz okaże się tępy wtedy, gdy najbardziej będzie mi potrzebny – narzekał.

Prowadzący konie Binabik potknął się i przewrócił w błoto. Osunął się kawałek w dół zbocza. Konie rzucały się nerwowo, stłoczone na ścieżce, którą Sludig wyciął w gęstych zaroślach. Troll wstał, z trudem utrzymując równowagę, i chwycił uzdę pierwszego z koni.

– Na Qinkipę ze Śniegów! Ta burza nigdy się nie skończy!

Prawie przez całe południe pokonywali zbocze. Zdawało się, że zaufanie Binabika do lasu przynajmniej częściowo się potwierdziło; wycia Hunenów stały się jakby bardziej odległe, choć nie umilkły. Las się

przerzedził. Drzewa wciąż były potężne, lecz nie tak monumentalne jak te rosnące w głębi lasu.

W koronach dębów, olch i wysokich świerków wiły się pnącza. Trawa i podszycie też były gęste, a nawet – pomimo nienaturalnego o tej porze zimna – z błota wyrastało kilka błękitnych kwiatków, uginających się pod ciężarem deszczu. Gdyby nie deszcz i zimny wiatr, ta część południowego lasu byłaby bardzo piękna.

Wreszcie dotarli do podnóża wzgórza i wspięli się na niską, kamienną półkę, by zdrapać z siebie choć część błota, zanim wyruszą dalej. Sludig spojrzał w górę zbocza i wskazał palcem.

– Miłościwa Elysio, trollu, spójrz.

Przez zarośla przedzierało się pół tuzina białych postaci; idąc, machały długimi ramionami jak małpy Nascadu. Jedna z nich uniosła łeb. Jej twarz przypominała czarną dziurę na tle jasnej, kudłatej sierści. Dudniący, przeraźliwy ryk popłynął nad zboczem, aż koń Sludiga zatańczył przerażony.

– To jest wyścig – powiedział Binabik. Jego okrągła, śniada zwykle twarz pobladła. – Jak dotąd idzie im całkiem dobrze.

Qantaqa z trollem na grzbiecie zeskoczyła z kamiennej półki. Sludig ruszył za nimi. Kopyta zabębniły na rozmokłej ziemi.

GNANI STRACHEM DOPIERO PO JAKIMŚ CZASIE zauważyli, że teren, wciąż porośnięty zaroślami, stał się dziwnie płaski. Jechali wzdłuż pustych, rzecznych koryt, które teraz szybko wypełniały się wodą. Od czasu do czasu przy brzegu pojawiały się kamienie, okryte wiekowym mchem i winoroślą.

– Wyglądają jak pozostałości mostów albo domów – zauważył Sludig.

– Masz rację – odparł Binabik. – Mam nadzieję, że znaczy to, iż zbliżamy się do celu. Kiedyś było tutaj wielkie sithijskie miasto. – Pochylił się, kiedy Qantaqa przeskakiwała powalone drzewo.

– Czy myślisz, że ono powstrzyma olbrzymy? – spytał Sludig. – Mówiłeś, że kopacze nie lubią miejsc, w których żyli Sithowie.

– One nie lubią lasu i las ich nie lubi – powiedział troll, zatrzymując Qantaqę. – Huneny, zdaje się, nie mają tego problemu. Może są mniej inteligentne albo odważniejsze. Albo dlatego, że nie kopią. Nie wiem. – Pochylił głowę, nasłuchując. Trudno było usłyszeć coś przez nieustanny szum deszczu w liściach, ale wydawało się, że na razie nic im nie grozi.

– Pójdziemy za strumieniem. – Wskazał na nowo powstały strumień, którego spienione wody pędziły tuż obok, niosąc połamane wiatrem gałęzie. – *Sesuad'ra*, Kamień Pożegnania, znajduje się w dolinie, w pobliżu skraju lasu, bardzo blisko miasta Enki-e-Shao'saye. Jesteśmy właśnie na jego peryferiach. – Wskazał małą dłonią dookoła. – Strumień z pewnością zmierza do doliny, więc rozsądnie będzie, jeśli będziemy mu towarzyszyć.

– A zatem mniej rozmów, a więcej towarzystwa – powiedział Sludig.

– Bywało, że mawiałem do wdzięczniejszych słuchaczy – rzucił Binabik z pewną rezerwą. Wzruszył ramionami i dał znak wilczycy.

Jechali wśród niezliczonych szczątków rozległego i dawno opuszczonego miasta. Kawałki starych murów migotały w zaroślach; stosy jasnej, pokruszonej cegły porozrzucane tu i ówdzie przypominały zbłąkane owce. Gdzie indziej swe obrośnięte mchem szczęki otwierały fundamenty zniszczonych wież. W przeciwieństwie do Da'ai Chikiza obecność lasu zaznaczyła się tutaj czymś więcej niż tylko wzrastaniem; z Enki-e-Shao'saye nie pozostało nic poza mizernymi szczątkami. Wydawało się, że las zawsze był częścią miasta, lecz w miarę upływu wieków obrócił się przeciwko niemu, zaciskając powoli uścisk swych pnączy, korzeni

i konarów na najpiękniejszych nawet arcydziełach sithijskich budowniczych, i cierpliwie kruszył kamień, oddając go ziemi.

Ruiny miasta miały swoją wymowę. Pokazywały, że czas nie jest obojętny nawet dla Sithów; udowadniały, że każda praca rąk, bez względu na to, jak wzniosła, ma taki sam koniec.

Binabik i Sludig znaleźli nieco szerszą ścieżkę biegnącą wzdłuż brzegu rzeki, więc przyśpieszyli. Cieszyli się, że nie słychać żadnych innych odgłosów poza ich własnymi. Zgodnie z przypuszczeniem trolla teren opadał stopniowo w kierunku południowo-zachodnim. Rzeka, klucząc, także zmierzała w tym kierunku, i płynęła coraz szybciej, jakby nabierała entuzjazmu. Jej wody rzucały się na brzegi rzeki, jakby chciały być wszędzie jednocześnie, a fale, które napotykały przeszkody, wydawały się skakać wyżej niż zazwyczaj, jakby ponownie ożywiona rzeka chciała udowodnić swemu bóstwu, że potrafi przetrwać.

– Kończy się las – zawołał Binabik zdyszany. – Widzisz, drzewa rosną coraz rzadziej. Widzę niebo między nimi!

Rzeczywiście, widoczne przed nimi drzewa zdawały się rosnąć jakby na krawędzi świata. Za nimi rozciągała się ściana szarości, jakby budowniczym świata nagle zabrakło inwencji.

– Masz rację, trollu – powiedział Sludig z ożywieniem. – Koniec lasu! Jeśli twoje sanktuarium nie jest zbyt daleko, to chyba uda nam się uciec tym cholernym olbrzymom!

– Kamień Pożegnania powinien być niedaleko stąd – rzucił troll, kiedy zjeżdżali ostatnim odcinkiem zbocza. – Chyba że moje zwoje kłamią.

Kiedy dotarli do ostatnich drzew, Qantaqa zatrzymała się gwałtownie, węsząc przy ziemi. Sludig zatrzymał konia obok.

– Błogosławiony Usiresie – szepnął Rimmersman.

Zbocze pod nimi opadało nagle bardzo gwałtownie w kierunku doliny. Z jej dna wznosił się *Sesuad'ra*, mroczny i tajemniczy w swym płaszczu z drzew. Wznosił się wysoko ponad dno doliny, co nie było bez znaczenia, gdyż ze wszystkich stron otaczała go tafla wody.

Dolina została zalana. Kamień Pożegnania – podobny do pięści, która wygraża deszczowym niebiosom, zamienił się w wyspę na szarym, niespokojnym morzu. Binabik i Sludig znaleźli się na krawędzi lasu zaledwie pół mili od miejsca przeznaczenia, ale każdą piędź ziemi dzielącej ich od Kamienia zalewały masy wody.

W lesie rozległ się ryk, odległy choć niebezpiecznie bliski. Żadne czary, które mogły pozostać w ruinach sithijskiego miasta, nie odstraszyły głodnych Hunenów.

– Na Aedona, trollu, jesteśmy jak muchy schwytane do dzbana z miodem. – Głos Sludiga po raz pierwszy zadrżał. – Zostaliśmy przyparci do krawędzi świata. Nawet jeśli podejmiemy walkę i odeprzemy pierwszy atak, nie mamy dokąd uciekać!

Binabik pogładził łeb Qantaqi. Wilczyca zaskomlała pod dotykiem trolla, jakby niecierpliwe oczekiwała podjęcia wyzwania, które dochodziło do nich z wiatrem.

– Spokojnie, Sludigu, musimy pomyśleć. – Binabik odwrócił się i spojrzał w dół urwistego zbocza. – Chyba w jednym punkcie masz rację. Nigdy nie uda nam się sprowadzić tędy koni.

– A co zrobimy, gdy znajdziemy się na dole? – warknął Sludig. Deszcz kapał z jego zaplecionej brody. – To nie jest kałuża! To cały ocean! Czy twoje zwoje wspominały coś na ten temat?

Binabik potrząsnął głową rozzłoszczony. Mokre włosy przylepiły mu się do czoła.

– Sludigu, spójrz w niebo! Tam też jest pełno wody, która spada na nas – to taka uprzejmość naszego wroga. – Splunął z obrzydzeniem. – Zamiast oceanu tydzień temu była tu tylko dolina, tak jak mówią zwoje. – Troll zasmucił się nagle. – Ciekawe, czy Josua i jego ludzie nie zostali zaskoczeni na dole. Na Córę Śniegów, co za myśl! Jeśli tak, to możemy spokojnie zostać tutaj, na skraju świata, jak powiedziałeś. W tym miejscu zakończy się podróż Ciernia.

Sludig zeskoczył z konia w błoto. Podszedł do jednego z jucznych koni i wyjął z jego torby zawinięty starannie czarny miecz. Wracając do Binabika, z łatwością niósł miecz w jednej ręce.

– Twój żywy miecz jest chyba gotów do walki – powiedział ponuro. – Kusi mnie, by się przekonać, co potrafi, choć w każdej chwili miecz może stać się bardzo ciężki.

– Nie – rzucił stanowczo Binabik. – Trolle nie lubią uciekać przed walką, ale też nie czas na to, by wyśpiewywać wasze pieśni żałobne i biec wesoło ku pełnej chwały porażce. Nasza podróż jeszcze się nie skończyła.

Sludig patrzył na niego ponuro.

– W takim razie, co proponujesz, trollu? Czy przefruniemy na skałę?

Binabik syknął zezłoszczony.

– Nie, ale najpierw możemy poszukać innej drogi na dół. – Wskazał na rzekę, której gwałtowne wody pędziły obok nich i znikały na stromym, zalesionym zboczu. – To nie jest jedyny strumień. Może inne spływają łagodniej do doliny.

– A potem co? Popłyniemy?

– Jak będzie trzeba. – W tym momencie rozległ się bliski okrzyk Hunenów; konie zaczęły rzucać się przerażone.

– Sludigu, weź konie – powiedział Binabik. – Nie wszystko przegraliśmy.

– Jeśli tak uważasz, to jesteś czarodziejem, trollu. Nazwę cię Sithą i będziesz mógł żyć wiecznie.

– Nie żartuj sobie – powiedział Binabik. – Nie kpij.

Zsunął się z grzbietu Qantaqi i szepnął jej coś do ucha. Natychmiast ruszyła wielkimi susami na wschód wzdłuż krawędzi zbocza. Sludig i troll ruszyli za nią, wycinając przejście dla koni.

Pozbywszy się ciężaru swego jeźdźca, Qantaqa poruszała się bardzo szybko i wkrótce znalazła kolejny dół. Choć było bardzo ślisko, udało im się zejść do najniższej krawędzi lasu, która znajdowała się teraz nad brzegiem morza.

Las nie kończył się nagle, lecz stopniowo znikał w wodzie. W niektórych miejscach sterczały jeszcze wierzchołki zatopionych drzew podobne do liściastych wysp. Nagie gałęzie wystawały z szarej wody niczym ramiona tonących ludzi.

Koń Sludiga zatrzymał się na samym skraju morza i kiedy Rimmersman z niego zsiadł, stanął po kostki w wodzie.

– Trollu, nie widzę tutaj większych możliwości niż na górze – powiedział, rozglądając się. – Tam przynajmniej znajdowaliśmy się wysoko.

– Obcinaj gałęzie – powiedział Binabik i ruszył przez błoto do Sludiga. – Tyle, ile się da, i wybieraj długie pnie. Zbudujemy tratwę.

– Oszalałeś! – warknął Rimmersman.

– Może. Ale ty jesteś silniejszy, więc tobie przypadło ścinanie. Mam w torbie linę, którą powiążemy gałązie. To potrafię. Śpiesz się!

Sludig prychnął, lecz zabrał się do pracy. Za chwilę jego miecz ciął już zawzięcie.

– Gdybym nie stracił po drodze moich toporów, zbudowałbym ci chatę w tym czasie, jaki potrzebuję na obrobienie drzewa tym marnym ostrzem.

Binabik nic nie odpowiedział zajęty związywaniem bali przygotowanych przez Sludiga. Skończywszy, ruszył w poszukiwaniu luźno leżącego drewna. Niedaleko odkrył kolejny strumień, który opadał w zagłębienie, zanim wpłynął do właściwej doliny. W jego najwęższym miejscu nagromadziło się wiele cennego budulca. Binabik znosił drewno całymi naręczami do miejsca, gdzie pracował Sludig.

– Qantaqa nie popłynie tak daleko. – Binabik chrząknął, niosąc ostatnie patyki. Popatrzył na majaczący w oddali *Sesuad'ra*. – Ale nie mogę zostawić jej samej sobie. Nie wiadomo, jak długo potrwa burza. Może mnie nigdy nie znaleźć. – Rzucił drewno i znowu zabrał się do wiązania. – Nie mogę zrobić tak dużej tratwy, by pomieściła naszą trójkę i rzeczy, które musimy zabrać. Nie ma tyle czasu.

– W takim razie będziemy płynąć w wodzie na zmianę – powiedział Sludig i zaraz zadrżał, spojrzawszy na smaganą wiatrem i deszczem wodę. – Elysio, matko Boża, na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Mądry Sludig! Masz rację. Tratwa musi być wystarczająco duża, by pomieściła jednego z nas, a pozostała dwójka będzie płynęła w wodzie; będziemy się zmieniać. – Binabik uśmiechnął się pod nosem. – Widzę, że Rimmersmeni nie stracili morskiej żyłki.

Przez las przetoczył się wściekły ryk. Spojrzeli w górę zaskoczeni i ujrzeli ogromną białą postać, teraz już naprawdę blisko.

– A niech to! – jęknął Sludig, obcinając zawzięcie gałęzie z wąskiego pnia. – Dlaczego one nas ścigają? Czy szukają miecza?

Binabik pokręcił głową.

– Prawie skończone – powiedział. – Potrzebuję jeszcze dwóch długich konarów.

Do pierwszego Hunena dołączyły następne. Wyglądały jak stado rozwścieczonych duchów wymachujących łapami ku niebu. Ryk

olbrzymów potoczył się ponad wodą, jakby Huneny groziły nie tylko malutkim istotom w dole, ale samemu Kamieniowi, który trwał nieruchomo poza ich zasięgiem.

– Zrobione – oświadczył Binabik, zaciągając ostatni węzeł. – Zsuńmy ją do wody. Jeśli nie popłynie, będziesz miał swoją bitwę.

Tratwa popłynęła, gdy tylko wypchnęli ją poza plątaninę gałęzi i podszycia. Wśród odgłosów burzy rozległy się głośne trzaski; Huneny zaczęły schodzie błotnistym zboczem. Sludig ostrożnie rzucił Cierń na mokre kłody. Binabik pośpiesznie przeglądał torby. Wybrał jedną z nich i rzucił Sludigowi, który stał po pas w wodzie.

– To są rzeczy Simona – zawołał troll. – Nie możemy ich zgubić. – Sludig wzruszył ramionami i położył torbę obok miecza.

– A co z końmi? – zawołał. Wycie stawało się coraz głośniejsze.

– A co możemy zrobić? – powiedział bezradnie Binabik. – Wypuścimy je! – Wyciągnął nóż i przeciął cugle przywiązane do uzdy konia Sludiga. Potem szybko poprzecinał rzemienie ładunków koni jucznych, pozbawiając je zbędnego ciężaru.

– Szybko, trollu! – zawołał Sludig. – Są bardzo blisko!

Binabik rozejrzał się i jeszcze raz schylił po jedną z toreb. Wyciągnął z niej kilka przedmiotów, po czym zbiegł szybko ze zbocza i wskoczył do wody.

– Wsiadaj – warknął Sludig.

– Qantaqa! – zawołał Binabik. – Chodź!

Wilczyca odwróciła się, szczerząc kły w stronę nadchodzących olbrzymów. Przestraszone konie rzucały się we wszystkie strony. Nagle koń Sludiga znalazł lukę między drzewami i popędził na wschód, a reszta pognała za nim. Olbrzymy były już bardzo blisko, zaledwie o kilkaset kroków. Schodziły szybko z otwartymi pyskami, śpiewając swą pieśń.

W łapach trzymały maczugi, którymi wymachiwały, jakby były to zwykłe trzcinki, i torowały sobie drogę wśród zarośli.

– Qantaqa! – zawołał Binabik przestraszony. – *Ummu ninit! Ummu sosa!*

Wilczyca odwróciła się i skoczyła do wody, przebierając szybko łapami. Sludig odepchnął tratwę i szedł jeszcze kilka kroków, dopóki nie stracił gruntu pod nogami. Qantaqa szybko ich dogoniła. Wdrapała się na tratwę po plecach Sludiga, przechylając ją niebezpiecznie i wpychając pod wodę Rimmersmana.

– Nie, Qantaqa! – krzyknął Binabik.

– Zostaw ją! – wycharczał Sludig. – Wiosłuj!

Pierwszy z olbrzymów wynurzył się z lasu, rycząc. Kręcił kudłatym łbem na prawo i lewo w poszukiwaniu ofiary. Nie znalazłszy nikogo, wtargnął do wody. Uszedł kilka kroków i nagle zniknął. Wynurzył się po chwili, młócąc rozpaczliwie łapami; jego futro oblepione było gałęziami. Uniósł pysk i zaszczekał przeraźliwe ku niebu, jakby wzywając pomocy. Pozostałe bestie zebrały się na brzegu i ryczały spragnione krwi.

Olbrzym dopłynął jakoś do brzegu. Wyszedł na brzeg, ociekając wodą, i jednym ruchem wyrwał z błota konar grubości ludzkiej nogi. Chrząkając, cisnął nim w powietrze. Konar wpadł do wody tuż obok tratwy, wzbijając wysoką fontannę. Tratwa niemal się wywróciła, a wystająca z konara mniejsza gałąź zraniła Sludiga w policzek. Zaskoczony Rimmersman poszedł pod wodę. Binabik zostawił Qantaqę, i przytrzymując się palcami nóg między balami tratwy, przechylił się poza jej krawędź. Chwycił obiema rękoma nadgarstek Sludiga i przytrzymał wysoko, dopóki Rimmersman nie złapał powietrza. Huneny ciskały kolejnymi pociskami, ale żaden nie upadł tak blisko tratwy jak pierwszy z nich. Wydawało się, że ich zawiedzione ryki wypełniały całą dolinę.

Przeklinając Huneny i tratwy, Sludig odepchnął wreszcie długą włócznią trolli ich jednostkę pływającą i wypłynęli poza plątaninę gałęzi. Machał nogami i pchał tratwę z jej dziwnym ładunkiem w kierunku kamienia.

EOLAIR JECHAŁ NA WSCHÓD ze swojego rodzinnego domu Nad Mullach, a nocne niebo rozświetlały dziwne światła. Okolice wokół jego majątku okazały się mniej gościnne, niż przypuszczał. Pogoda i zawierucha wojenna wypędziły wielu jego ludzi, a ci, którzy pozostali, niechętnie otwierali drzwi obcemu, nawet jeśli twierdził on, że jest panującym tu hrabią. Kajdanami Hernystiru bardziej stał się strach niż okupujący go żołnierze.

Mało kto wychodził nocą, więc głównie wtedy Eolair zmierzał do celu swej podróży. Nawet Skali zwycięzca przejął nastroje i zwyczaje pokonanych. Tego lata, pełnego śniegu i niespokojnych duchów, nawet zwycięzcy skłaniali głowy przed większą siłą.

Eolair nie miał już wątpliwości, że musi odnaleźć Josuę, jeśli książę jeszcze żyje. Maegwin pewnie wysłała go z misją z jakichś tam dziwnych powodów, ale było oczywiste, że na Północ padł cień, który nie jest cieniem człowieka, i tajemnica Białego Gwoździa może mieć z tym coś wspólnego. Jeśli nie, to dlaczego bogowie prowadziliby go do dziwnego miasta pod ziemią i kazali mu się spotkać z jeszcze dziwniejszymi jego mieszkańcami? Hrabia z natury był pragmatykiem. Po wielu latach służby u króla jego serce nie poddawało się tak łatwo fantazjom, choć z drugiej strony jako doświadczony dyplomata nie dowierzał zbiegom okoliczności. Gdyby ktoś chciał powiedzieć, że żadne siły nadnaturalne nie przyczyniły się do tego, że nastało lato-które-jest-zimą, że pojawiły się istoty z dawnych legend,

a mityczny miecz stał się ważny, znaczyłoby to, że zamyka oczy na rzeczywistość tak oczywistą jak niebo i ziemia.

A przede wszystkim, pomimo długich lat spędzonych na dworach Erkynlandu, Perdruin i Nabbanu i wielu słów ostrzeżenia skierowanych do Maegwin, Eolair był Hernystirczykiem. Hernystirczycy pamiętali lepiej niż inni śmiertelnicy.

Eolair jechał w głąb Erkynlandu, przez ponure Utanyeat w kierunku miejsca bitwy pod Ach Samrath, gdy tymczasem burza wzmagała się. Śnieg nie padał jeszcze obficie, ale już jakby nastał początek Novandera. Wiał coraz silniejszy wiatr, zamieniając płaskie równiny w krajobraz kotłującej się białej nicości. Zrobiło się tak zimno, że Eolair musiał zaprzestać na kilka dni podróży nocą, lecz nie obawiał się specjalnie, że ktoś może go rozpoznać; drogi i cała okolica były puste nawet w południe. Z ponurym zadowoleniem zauważył, że Utanyeat – majątek Guthwulfa, jednego z faworytów Wielkiego Króla – ucierpiał równie mocno jak wszystkie inne w Hernystirze. A jednak istniała jeszcze jakaś sprawiedliwość.

Jadąc nieustannie przez białą pustynię, Eolair myślał często o ludziach, których zostawił, a szczególnie o Maegwin. Zawsze darzył ją gorącym uczuciem, choć po stracie ojca i brata stała się nieobliczalna i dzika jak zwierzę. Uczucie to nie przeminęło, ale trudno mu było nie poczuć się zdradzonym, ośmieszonym takim traktowaniem, bez względu na jej intencje. Ale nie potrafił jej nienawidzić. Przyjaźnili się od czasów jej dzieciństwa; zawsze starał się z nią porozmawiać, kiedy przybywał na dwór, pozwalał oprowadzać się po ogrodach Taig, pokazywać sobie świnie i kurczaki, którym nadawała imiona i które traktowała z taką samą opryskliwą czułością, jak matka traktuje swe nieznośne dzieci.

Kiedy urosła – osiągając wzrost mężczyzny, lecz ani trochę ogłady – Eolair spostrzegł, że stała się zamknięta w sobie i coraz rzadziej na jej

twarzy pojawiał się dziewczęcy rumieniec, który tak bardzo mu się podobał. Wydawała się coraz bardziej zwracać do środka, jak róża, która z braku miejsca zwraca się ku sobie, aż kolce ranią jej łodygę. Wciąż darzyła Eolaira specjalnymi względami, ale ich wspólnie spędzane chwile stawały się coraz bardziej niezręczne, pełne milczenia i wzajemnego obwiniania się.

Przez jakiś czas wydawało mu się, że obchodzi ją żywiej niż tylko zwykły przyjaciel rodziny i odległy krewny. Zastanawiał się, czy dwóch takich samotników jak oni mogłoby się kiedykolwiek zrozumieć. Choć bystry i elokwentny Eolair zawsze czuł, że jego najlepsza część pozostaje ukryta głęboko, podobnie jak Nad Mullach ukryte jest z dala od Taig. Kiedy wreszcie zaczął o niej myśleć zupełnie poważnie, a jego podziw dla jej uczciwości i niechęci do nonsensu zaczął zamieniać się w głębsze uczucie, ona odwróciła się od niego. Tak jakby zdecydowała, że Eolair jest tylko jeszcze jednym spośród wielu pochlebców i próżniaków kręcących się wokół króla Llutha.

Pewnego długiego popołudnia we wschodnim Utanyeat, kiedy śnieg zacinał boleśnie w twarz, a Eolair zatonął w swych rozmyślaniach, zaczął nagle powtarzać: „Czy się myliłem? Czy przez cały ten czas obchodziłem ją choć trochę?” Przeraził się tej myśli, gdyż stawiała cały świat, jaki znał, na głowie i nadawała zupełnie inne znaczenie wszystkiemu, co zaszło między nimi, odkąd Maegwin dorosła. „Czy byłem ślepy? Lecz jeśli tak było, dlaczego potraktowała mnie w ten sposób? Czy nie okazywałem jej szacunku i uprzejmości?”

Długo roztrząsał ten problem, aż wreszcie dał spokój. Źle się czuł, rozmyślając o tym gdzieś w środku Pustkowia wiele miesięcy przed ponownym spotkaniem.

Ale odesłała go w gniewie, czy nie tak było?

Niespokojny wiatr dmuchnął śniegiem w twarz.

Rankiem minął Ach Samrath. Burza ucichła nieco, więc zatrzymał konia na wzgórzu nad polem bitwy, gdzie książę Sinnach i dziesięć tysięcy Hernystirczyków ponieśli klęskę zadaną przez Fingila z Rimmersgardu, i zdradzieckiego wodza Thrithingów Niyunorta. Zawsze, kiedy spoglądał na rozległe pole, przeżywał wstrząs, lecz tym razem nie był on reakcją na straszliwą przeszłość. Czując zimny powiew na twarzy i mając przed sobą zimne, nieprzyjazne oblicze spoglądającej na niego Północy, zrozumiał nagle, że zanim skończy się ta nowa, straszliwa wojna – nie wiadomo, czy na polu bitwy, czy w bezlitosnych szponach okrutnej zimy – szaleństwo śmierci sprawi, że Ach Samrath stanie się w ich historii nieistotnym drobiazgiem.

Pojechał dalej, czując, że wzbiera w nim gniew. Kto uruchomił tę ogromną machinę? Kto puścił to diabelskie koło w ruch? Elias czy jego ulubieniec Pryrates? Jeśli tak, to powinno istnieć specjalne piekło dla takich jak oni. Eolair miał nadzieję, że będzie w pobliżu, gdy będą ich tam pędzić – może Białym Gwoździem Prestera Johna, jeśli karlaki mówiły prawdę.

Zbliżywszy się do Aldheorte, Eolair znowu zaczął podróżować nocą. Tutaj, w zasięgu ręki Eliasa, tylko kilkanaście mil od granic Erchesteru, zima wydawała się nieco łagodniejsza, a poza tym nie mógł już liczyć na opustoszałe drogi, każdy z podróżujących mógł się okazać królewskim gwardzistą.

Pogrążone w cieniu wielkiego lasu milczące, ośnieżone pola wydawały się oczekiwać, jakby ta burza była tylko zwiastunem czegoś jeszcze mroczniejszego. Eolair wiedział, że są to tylko jego rojenia, lecz z drugiej strony był pewien, że cień strachu zawisł nad Erkynlandem i wypełnił powietrze niczym straszna, odbierająca odwagę mgła. Kiedy pozdrawiał na

drodze nielicznych chłopów i drwali podróżujących wozami, jedyną odpowiedzią był kreślony przez nich znak Drzewa, jakby był demonem albo wędrującym trupem. W świetle pochodni widać było, że twarze mijanych ludzi są blade i mizerne niczym oblicza zmarłych, jakby wiatr i śnieg wyssały z nich życie.

Dojechał do Thisterborgu. Ogromne wzgórze znajdowało się zaledwie kilka mil od bram Erchesteru i było najbliższe Hayholt, skąd w niektóre najciemniejsze noce można było nieomal poczuć bezsenną złość Eliasa, płonącą pośród nocy jak pochodnia na wysokiej wieży. Bez względu na to, jakie Elias miał plany, jakie snuł knowania, pozostawał tylko człowiekiem.

Szczyt Thisterborg wydawał się rozświetlany migocącymi światłami, jakby płonęły na nim obozowe ogniska. Eolair zastanawiał się, czy Elias ustawił tam posterunek i dlaczego. Czyżby Wielki Król obawiał się najazdu z lasu Aldheorte? Nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż Eolair postanowił objechać Thisterborg od strony przeciwnej i nie miał zamiaru sprawdzać, co to za światła płoną na jego szczycie. Mroczne wzgórze cieszyło się złą sławą jeszcze za czasów Króla Johna. Krążyło o nim wiele nieprzyjemnych opowieści. Eolair najchętniej nie podjeżdżałby tak blisko niego, lecz stary las i mury Erchesteru też należały do miejsc, których musiał się wystrzegać.

Zaczął właśnie okrążać wzgórze od północnej strony, posuwając się skrajem starego lasu, kiedy poczuł, że opada na niego fala strachu, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył. Jego serce waliło jak młotem, a na twarzy wystąpił zimny pot, który niemal natychmiast zamienił się w kruchy lód. Eolair czuł się jak mysz, która zbyt późno dostrzegła spadającego jastrzębia. Powstrzymywał się, by nie spiąć konia ostrogami i popędzić gdzie oczy poniosą. Rozglądał się trwożliwie, chcąc ustalić, co było przyczyną jego przerażenia, lecz niczego takiego nie dostrzegł.

Wreszcie klepnął konia i pojechał jeszcze kawałek między drzewa. Wydawało mu się, że cokolwiek powodowało jego strach, związane było raczej ze śniegiem niż mrocznym lasem. Burza nie była tutaj tak gwałtowna jak na samym skraju Aldheorte; śnieg prószył tylko, a niebo było czyste. Cały krajobraz przybrał chorobliwy odcień wyblakłych kości, jaki nadawał mu swym blaskiem wiszący na wschodnim niebie księżyc. Hrabia Nad Mullach spojrzał na Thisterborg, zastanawiając się, czy wzgórze mogłoby być przyczyną jego nagłego strachu, lecz nie zobaczył i nie usłyszał niczego nadzwyczajnego. Pomyślał, że może zbyt długo zaprzątał swój umysł niezdrowymi myślami, lecz i to wyjaśnienie szybko odrzucił. Eolair był Hernystirczykiem, a Hernystirczycy pamiętali.

W pewnym momencie dał się słyszeć słaby skrzypiący odgłos. Spojrzał na zachód poprzez śniegi w kierunku, z którego przybył. Coś poruszało się na białej równinie.

Strach ogarnął go ponownie niczym nagła fala mrozu. Eolair przyłożył drżącą dłoń do karku konia, kiedy zwierzę poruszyło się niespokojnie. Po chwili koń znieruchomiał, jakby sam zrozumiał swe przerażenie. Obłoki ich oddechów były jedynymi rzeczami, jakie poruszały się w cieniu drzew.

Skrzypienie stało się głośniejsze. Na razie Eolair widział tylko lśniącą bryłę, za którą sunęła inna, czarna. A potem ze zdumieniem rozpoznał nagle lśniące postacie.

Było to stado białych kóz o kudłatej sierści, w której odbijał się blask księżyca. Ich oczy były czerwone jak rozżarzone węgle, lecz w ich łbach było coś nienaturalnego. Rozważając to później, w dalszym ciągu nie potrafił powiedzieć co; może prócz tego, że w ich gładkich pyskach drzemała jakaś odrażająca inteligencja. Kozłów było dziewięć i wszystkie ciągnęły ogromne, czarne sanie; to właśnie skrzypienie ich płóz słyszał Eolair. Na saniach siedziała postać z kapturem na głowie, która nawet

z odległości około stu łokci wydawała się niebywale wielka. Obok sań szło kilkanaście mniejszych postaci. Wszystkie ubrane na czarno, szły z opuszczonymi głowami jak mnisi pogrążeni w medytacji.

Eolair poczuł, że ogarnia go strach prawie nie do opanowania. Jego koń był jak z kamienia, jakby strach zatrzymał jego serce i uśmiercił. Upiorna procesja przechodziła bardzo wolno, w milczeniu – słychać było tylko skrzypienie płóz. Kiedy zakapturzone postacie miały już zniknąć w ciemności niższych zboczy wzgórza, jedna z nich odwróciła się i Eolair ujrzał, jak mu się wydawało, na moment trupio bladą twarz z czarnymi dziurami, które mogły być oczami. Jakaś jego część, zdolna jeszcze do jakiegokolwiek myślenia, dziękowała bogom jego i innych ludów za dobrodziejstwo cienia starego lasu. Sanie i ich eskorta zniknęły wśród ośnieżonych lasów Thisterborgu.

Eolair stał długo w miejscu; drżał, lecz nie poruszył się, dopóki nie nabrał pewności, że jest bezpieczny. Czuł ból w szczękach od zaciśniętych kurczowo zębów. Czuł się, jakby został obnażony aż do samej duszy i wrzucony do głębokiej, czarnej studni. Kiedy wreszcie odważył się poruszyć, przywarł do karku wierzchowca i pogalopował na wschód. Nie musiał poganiać konia. Pędzili w chmurze śniegu.

Uciekając przed Thisterborgiem i jego tajemnicą w szyderczym blasku księżyca, Eolair zrozumiał nagle, że wszystkie jego obawy sprawdziły się i że na świecie istnieją rzeczy straszniejsze niż to, czego się boi.

INGEN JEGGER STAŁ POD rozłożystym świerkiem, nie zwracając uwagi na kąsający wiatr czy mróz zlepiający jego krótko przyciętą brodę. Gdyby nie błysk niecierpliwości w jego jasnoniebieskich oczach, można by sądzić, że jest tylko pechowym podróżnym, który zamarzł na śmierć w oczekiwaniu na ciepło poranka.

Ogromny, biały ogar poruszył się u jego stóp, wydając pytający dźwięk, podobny do skrzypienia zardzewiałych zawiasów.

– Zgłodniałeś, Niku’a? – Na surowej twarzy Ingena pojawił się wyraz nieomal czułości. – Spokojnie, niedługo najesz się do syta.

Ingen obserwował i nasłuchiwał nieruchomy, badając noc jak drapieżnik. Księżyc przesunął się z jednej szczeliny między drzewami do drugiej. W lesie słychać było tylko wiatr.

– Ach. – Zadowolony, zrobił kilka kroków i strzepnął śnieg z płaszcza. – Już czas, Niku’a. Wołaj swoich braci i siostry. Wołaj sforę Burzowej Góry! Nadszedł czas ostatniego pościgu.

Niku’a podskoczył, drżąc z podniecenia. Jakby rozumiejąc słowa Ingena, ogar wyszedł na środek polanki i tam znowu usiadł z pyskiem wzniesionym do nieba. Potężne mięśnie jego gardła napięły się i noc rozdarło kaszlące wycie. Zanim jeszcze ucichło pierwsze echo, rozległy się kolejne wołania. Zadrżały drzewa.

Ingen czekał z dłonią opartą o biały łeb ogara. Mleczne oczy Niku’a zalśniły w blasku przesuwającego się księżyca. Wreszcie, kiedy nadeszła najmroźniejsza godzina nocy, wiatr przyniósł odległe ujadanie.

Szczekanie stawało się coraz głośniejsze, aż wypełniło cały las. Z ciemności wynurzyły się białe postacie, podobne do czteronogich duchów. Ogary z Burzowej Góry kręciły się między drzewami, potrząsając wąskimi jak u rekinów głowami i węsząc. Blask gwiazd zalśnił na pyskach umazanych śliną i krwią. Niku’a czekał, warcząc i kąsając, aż wszystkie psy zgromadzą się wokół Ingena Jeggera.

Łowczy Królowej rozejrzał się po swym niezwykłym zgromadzeniu i podniósł z ziemi hełm o kształcie warczącego psa.

– Za długo włóczyliście się bezczynnie – syknął – grasując po lesie, porywając dzieci, uganiając się dla zabawy za głupimi podróżnymi. Teraz

wrócił wasz pan. Teraz zrobicie to, czego was nauczono. – Ogary patrzyły, jak wskoczył na czekającego pod drzewem z niezwykłą cierpliwością konia. – Ale tym razem ja poprowadzę, nie wy. To będzie dziwny pościg i tylko Ingen zna trop. Biegnijcie cicho. – Założył hełm na głowę i ogar spojrzał na ogary. – Poniesiemy śmierć wrogom Królowej.

Głuche warczenie rozległo się na polanie, kiedy psy wstały i zebrały się wokół Niku'a, kąsając się wzajemnie pełne oczekiwania. Ingen spiął konia ostrogami i się odwrócił.

– Za mną! – zawołał. – Za mną ku śmierci i krwi!

Ruszył szybko przed siebie, a za nim stado psów, milczących i białych jak śnieg.

OWINIĘTY W SWÓJ PŁASZCZ Isgrimnur siedział na dziobie łodzi i patrzył na wiosłującego i kichającego Sinetrisa. Minę miał bardzo ponurą, gdyż towarzystwo rybaka wydawało mu się niezwykle nieciekawe, lecz przede wszystkim dlatego, że nienawidził łodzi, a szczególnie tak małych jak ta, w jakiej właśnie został uwięziony. Sinetris przynajmniej w jednej sprawie nie skłamał: rzeczywiście nie była to odpowiednia pora na pływanie. Na całym wybrzeżu szalała straszna burza. Wzburzone fale zatoki Firannos nieustannie próbowały ich zalać, a Sinetris nie przestał jęczeć od chwili, gdy ich łódź tydzień temu znalazła się na wodzie jakieś trzydzieści mil na północ.

Książę musiał przyznać, że Sinetris potrafił panować nad łodzią, nawet jeśli chciał wyłącznie uratować własne życie. Nabbańczyk dobrze sobie radził w tak trudnych warunkach. Gdyby tylko mógł przestać jęczeć! Isgrimnur trwał w podobnym stanie ducha, ale dałby się raczej zanieść do piekła, niż zrobić z siebie durnia i pokazać, co czuje.

– Jak daleko do Kwanitupulu? – zawołał poprzez wycie wiatru i szum fal.

– Pół dnia, panie mnichu – odpowiedział krzykiem Sinetris; oczy miał czerwone i łzawiące. – Wkrótce przybijemy do brzegu, żeby się przespać. Będziemy tam jutro w południe.

– Przespać! – ryknął Isgrimnur. – Oszalałeś? Nawet jeszcze się nie ściemniło! Poza tym znowu będziesz chciał czmychnąć, ale tym razem nie będę już tak pobłażliwy. Jeśli przestaniesz jęczeć i zabierzesz się do pracy, dzisiejszej nocy prześpisz się w łóżku!

– Proszę, święty bracie! – wrzasnął Sinetris. – Nie każ mi wiosłować w ciemności! Wpadniemy na skały i jedyne łóżko, jakie nam zostanie, będzie to wśród kilp!

– Zachowaj swoje przesądy dla siebie. Dobrze ci płacę, a poza tym śpieszę się. Jeśli opadłeś z sił, mogę cię przez jakiś czas wyręczyć.

Zziębnięty i mokry Sinetris zdołał jeszcze wykrzesać z siebie spojrzenie pełne urażonej dumy.

– Ty! Zatopiłbyś nas w jednej chwili! Nie, okrutny mnichu, jeśli Sinetris ma umrzeć, niech umrze z wiosłami w dłoniach, jak przystało przewoźnikowi. Jeśli Sinetris ma zostać wyrwany z domu i z łona rodziny i poświęcić się dla zachcianek potwora w mnisich szatach, jeśli musi umrzeć... niech przynajmniej umrze jak jeden spośród braci cechu!

Isgrimnur jęknął.

– Niech to robi z zamkniętą gębą. I niech rusza żwawiej wiosłami.

– Wiosłuje – odparł Sinetris urażony i znowu zalał się łzami.

Minęła już północ, kiedy ujrzeli sylwetki pierwszych domów w Kwanitupulu. Sinetris, którego lamenty ograniczyły się w końcu do cichych i żałosnych pomruków, skierował łódź do jednego z licznych kanałów portu. Isgrimnur zasnął na chwilę i teraz rozglądał się, przecierając

oczy. Cienka warstwa śniegu pokrywała podupadłe magazyny i gospody Kwanitupulu.

„Jeśli dotąd wątpiłem, czy świat rzeczywiście przewrócił się do góry nogami, to mam teraz najlepszy tego dowód – pomyślał Isgrimnur. – Rimmersman podróżuje dziurawą łodzią po morzu, a na Południu w środku lata pada śnieg. Czy można jeszcze wątpić, że świat oszalał?”

Szaleństwo. Przypomniał sobie okropną śmierć Lektora i zrobiło mu się niedobrze. Szaleństwo, a może coś innego? Doprawdy dziwny zbieg okoliczności, że w taką noc byli tam Pryrates i Benigaris. Niezwykłe szczęście sprawiło, że Isgrimnur przybył do Dinivana i zdążył usłyszeć jego ostatnie słowa – i być może coś uratować.

Umknął z Sancellan Aedonitis dosłownie w ostatniej chwili, nim Benigaris, książę Nabbanu, rozkazał gwardzistom zablokować wszystkie drzwi. Isgrimnur nie mógł sobie pozwolić, by zostać schwytanym. Nawet jeśli nie zostałby od razu rozpoznany; prędzej czy później domyśliliby się, że kłamie. Wigilia Hlafmansy, noc, w którą został zamordowany Lektor, była złą dla wszystkich podejrzanych gości w Sancellan.

– Czy znasz miejsce zwane „Pucharem Pelippy”? – zapytał głośno. – Myślę, że to jakiś zajazd albo karczma.

– Nigdy o takim nie słyszałem, panie mnichu – odparł ponuro Sinetris. – Wygląda mi to na jakąś dziurę, a takich miejsc Sinetris nie odwiedza. – Teraz, kiedy wpłynęli na spokojne wody kanałów, przewoźnik odzyskał znaczną część swej godności.

Isgrimnur stwierdził, że wolał jego jęki.

– Na święte Drzewo, w ciemności nigdy go nie znajdziemy. Zabierz mnie do jakiejś gospody, którą znasz. Muszę coś zjeść.

Sinetris skierował łódź w stronę dzielnicy, w której były prawie wszystkie gospody Kwanitupulu. Pomimo późnej godziny ta część miasta

wydawała się dość ożywiona; jasne latarnie kołysały się na wietrze, a po ulicach kręciło się pełno pijanych hulaków.

– Święty bracie, tutaj jest dobra gospoda – oznajmił Sinetris, podpływając do schodów prowadzących do dobrze oświetlonego budynku. – Można napić się wina i dobrze zjeść. – Czując, że podróż dobiegła końca, Sinetris odważył się obdarzyć Isgrimnura szerokim, bezzębnym uśmiechem. – Są też kobiety. – Spojrzawszy na Isgrimnura, przestał się śmiać. – Albo chłopcy, jeśli wolisz – dodał.

Książę z sykiem wypuścił powietrze. Sięgnął do swego płaszcza i wyjął złotego imperatora, którego położył na ławce łodzi, obok chudej nogi Sinetrisa.

– Oto twoja złodziejska zapłata, tak jak obiecałem. A teraz chciałbym ci podpowiedzieć, jak możesz spędzić ten wieczór.

Sinetris spojrzał na niego lękliwie.

– Tak?

Isgrimnur zmarszczył okrutnie brwi.

– Baw się najlepiej, jak potrafisz, starając się, bym cię więcej nie zobaczył. Ponieważ jeśli cię zobaczę – uniósł owłosioną dłoń – zgniotę ci twoją głupią głowę. Zrozumiałeś?

Sinetris natychmiast opuścił wiosła do wody i odbił od brzegu z takim pośpiechem, że Isgrimnur ledwo zdążył postawić drugą nogę na schodach.

– A więc tak mnisi traktują Sinetrisa po tym, co dla nich zrobił? – rzucił oburzony przewoźnik, pusząc się jak tokujący gołąb. – Nic dziwnego, że tak źle mówi się o Kościele! Ty... brodaty barbarzyńco! – zawołał, znikając w ciemności kanału.

Isgrimnur roześmiał się głośno i ruszył schodami do gospody.

PO KILKU NOCACH SPĘDZONYCH na równinach – kiedy to musiał pilnować Sinetrisa, który kilkakrotnie próbował uciec i zostawić go na bezludnym wybrzeżu zatoki – Igrimnur wreszcie mógł się wyspać. Wstał, gdy słońce było już wysoko. Potem zjadł solidną porcję chleba z miodem i popił piwem. Było już południe, kiedy otrzymawszy instrukcje od karczmarza, wyszedł na deszcz i udał się do gospody zwanej „Pucharem Pelippy". Tym razem jego przewoźnikiem był Wrańczyk ubrany tylko w przepaskę na biodrach i kapelusz z szerokim rondem ozdobiony czerwonym, przemoczonym piórem. Ponure milczenie Wrańczyka było przyjemną odmianą po nieustannych złośliwościach Sinetrisa. Isgrimnur rozsiadł się wygodnie w łodzi, pogładził odrastającą brodę i rozejrzał się po mieście, którego nie widział od lat.

Widać było, że burza w znacznym stopniu unieruchomiła miasto. Jeśli Kwanitupul nie zmienił się bardzo od jego ostatniej wizyty, o tej porze powinno tu być o wiele więcej łodzi, a ulice powinien wypełniać egzotyczny tłum. Tymczasem nieliczni przechodnie szybko zmierzali w swoją stronę. Nawet zwyczajowe okrzyki pozdrowienia przewoźników zdawały się stłumione. Mieszkańcy przypominali owady unieruchomione śniegiem, który topniał na drewnianych chodnikach i siekł po odsłoniętych kończynach deszczem ze śniegiem, niesionym gwałtownym wiatrem. Tu i ówdzie pojawiały się grupki Tancerzy Ognia, maniaków religijnych, znanych już z ofiar składanych z samych siebie. Isgrimnur coraz częściej ich widywał od chwili przybycia do Nabbanu. Pomimo panującego zimna wystawali przy skrzyżowaniach ruchliwych kanałów i z obłędem w oczach wychwalali swego mrocznego pana, Króla Burz. Isgrimnur zastanawiał się, gdzie usłyszeli to imię. Nie wymieniało się go na południe od Frostmarch, nawet w dziecinnych legendach. Nie mógł oprzeć się myśli, że ci szaleńcy w habitach są tylko pionkami kogoś takiego jak Pryrates albo jeszcze

potężniejszego. Jeśli rzeczywiście tak było, to koniec, jaki przepowiadali, z pewnością nastąpi.

Isgrimnur zadrżał na myśl o tym i nakreślił na piersi znak Drzewa. Mroczne czasy nadeszły. Choć głośno krzyczeli, żaden z Tancerzy nie zabierał się do znanej już sztuczki podpalania samego siebie. Może dzień był zbyt wilgotny.

Wreszcie łódź zatrzymała się przed niezbyt atrakcyjną budowlą w części magazynowej portu, z dala od centrum. Kiedy Isgrimnur zapłacił, przewoźnik sięgnął hakiem przyczepionym do długiej żerdzi i spuścił na nabrzeże sznurową drabinę. Książę nie doszedł nawet do jej połowy, kiedy Wrańczyk odwrócił łódź i znikał w oddali.

Sapiąc i przeklinając swój duży brzuch, Isgrimnur wgramolił się wreszcie na nieco pewniejszy pomost. Zastukał mocno w zniszczone drzwi i czekał w zimnym deszczu, lecz nikt ich nie otwierał. Wreszcie w drzwiach ukazała się kobieta w średnim wieku.

– Nie wiem, gdzie się podział ten półgłówek – powiedziała do Isgrimnura, jakby książę zadał jej jakieś pytanie. – Nie dość, że muszę wszystko tutaj robić sama, to jeszcze przyszło mi otwierać drzwi.

Przez chwilę książę był tak zaskoczony, że nieomal zaczął przepraszać. Powstrzymał jednak swój rycerski zapał.

– Chcę pokój – odezwał się szorstko.

– Wejdź zatem – powiedziała niepewnie kobieta, otwierając szerzej drzwi.

Za drzwiami znajdowała się prowizoryczna przybudówka na łodzie cuchnąca smołą i starymi rybami. Leżały w niej dwa kadłuby łodzi, które przypominały ofiary wojny. W rogu ze stosu kocy wystawało śniade ramię. Przez moment Isgrimnurowi wydawało się, że to porzucone beztrosko ciało nieboszczyka, lecz kiedy ramię poruszyło się, przyciągając koc do siebie,

zdał sobie sprawę, że tam ktoś śpi. Przeczucie mówiło mu, że nie znajdzie tu wygód, jakich oczekiwał, ale szybko odpędził złe myśli.

„Zaczynasz grymasić, staruszku – upomniał samego siebie. – Na polu bitwy sypiałeś w błocie, krwi i gniazdach gryzących much”.

Przypomniał sobie, po co tutaj przyjechał. Jego wygody musiały odejść na drugi plan.

– A przy okazji – zawołał za gospodynią, która zdążyła już przemierzyć prawie całe podwórko. – Szukam kogoś. – Nagle stwierdził, że nie pamięta imienia, które przekazał mu Dinivan. Zatrzymał się, gładząc dłonią mokrą brodę, i wtedy przypomniał sobie. – Tiamak. Szukam Tiamaka.

Kiedy kobieta odwróciła się, jej kwaśną minę osłodził nieco wyraz chciwej satysfakcji.

– Ty? – spytała. – Czy to ty jesteś ten ze złotem?

Rozłożyła szeroko ramiona, jakby miała zamiar go uściskać. Choć dzieliła ich znaczna odległość, książę cofnął się z odrazą. Splątane koce w rogu zaczęły się ruszać, jakby uwijało się pod nimi stado prosiąt, i wreszcie opadły, odsłaniając małego i wychudzonego Wrańczyka, który usiadł i starał się otworzyć wciąż jeszcze zaspane oczy.

– Ja jestem Tiamak – powiedział, próbując powstrzymać ziewanie.

Mieszkaniec bagien przyjrzał się Isgrimnurowi i na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania, jakby spodziewał się czegoś lepszego.

– Przynoszę ci pozdrowienia – odezwał się niepewnie Igrimnur, nie wiedząc, jak zacząć. – Ale musimy porozmawiać na osobności.

– Zaprowadzę cię do pokoju – wtrąciła szybko kobieta. – Do najlepszego pokoju. A ten mały, śniady dżentelmen, nasz równie znakomity gość, może do ciebie dołączyć.

Isgrimnur odwrócił się plecami do Tiamaka, który próbował ubrać się pod kocem, gdy nagle drzwi wewnętrzne gospody otworzyły się i do środka

wbiegła horda dzieci wrzeszczących jak cały klan Thrithingów. Za nimi pojawił się wysoki, siwy staruszek, który śmiejąc się od ucha do ucha, udawał, że je goni. Dzieci odskoczyły, krzycząc wesoło, i wybiegły na ulicę. Zanim starzec podążył za nimi, wyrosła przed nim gospodyni groźnie podparta pod boki.

– Ceallio, ty ośle, jesteś tutaj po to, żeby otwierać drzwi! – Starzec, choć znacznie od niej wyższy, skulił się, jakby spodziewał się uderzenia. – Wiem, że jesteś głupi, ale nie głuchy! Czy nie słyszałeś, że ktoś puka do drzwi?

Starzec mruknął coś pod nosem. Gospodyni odwróciła się od niego z obrzydzeniem.

– Głupi jak but – zaczęła i umilkła, widząc, że Isgrimnur pada na kolana.

Książę miał wrażenie, że cały świat się zakołysał uniesiony dłonią olbrzyma. Długo nie mógł wydusić z siebie słowa, a w tym czasie gospodyni, mały Wrańczyk i stary odźwierny przyglądali mu się z niepewną fascynacją. Kiedy wreszcie Isgrimnur wydobył z siebie głos, przemówił do starca.

– Mój panie, Camarisie – powiedział przez ściśnięte gardło. Świat rzeczywiście oszalał: zmarli powstawali. – Miłościwa Elysio, Camarisie, nie pamiętasz mnie? To ja, Isgrimnur! Byliśmy przyjaciółmi i walczyliśmy razem dla Prestera Johna. Ach, Boże, ty żyjesz! Jak to możliwe?

Wyciągnął dłoń do starca, który przyjął ją jak dziecko przyjmujące od obcego jakiś ciekawy przedmiot. W uścisku stwardniałych dłoni starca wciąż czuło się siłę, nawet wtedy, gdy położył je łagodnie na dłoniach księcia. Jego przystojną twarz rozjaśnił uśmiech niezrozumienia.

– Co ty mówisz? – wtrąciła gniewnie właścicielka gospody. – Przecież to tylko stary Ceallio, dozorca. Jest tu od lat. Głupi.

– Camarisie... – szepnął Isgrimnur, przyciskając dłoń starca do swego mokrego od łez policzka. Nie mógł mówić. – Och, dobry panie, ty żyjesz.

28. Iskry

POMIMO NIEUSTANNIE zadziwiającego piękna Jao e-Tinukai’i, a może właśnie z jego powodu, Simon czuł się znudzony. A także niewypowiedzianie samotny.

Dziwna to była niewola: Sithowie nie przeszkadzali mu w niczym, lecz z drugiej strony poza Jirikim i Aditu nikt się nim nie interesował. Był jak piesek królowej. Dbali o niego, dobrze karmili, pozwalali chodzić, gdzie chce, lecz tylko w obrębie miasta. Tak jak pieszczoszek, bawił panów, ale nikt nie traktował go poważnie. Kiedy zwracał się do Sithów, odpowiadali uprzejmie w jego języku, lecz rozmawiając między sobą, używali sithijskiej mowy. Potrafił już rozróżnić kilka słów, lecz przeważnie zalewało go morze niezrozumienia. Wściekał się na myśl o tym, że mogą między sobą rozmawiać o nim. Lecz jeszcze gorsze było przypuszczenie, że może nigdy nie myślą o nim, gdy go nie widzą, co sprawiało, że czuł się równie pozbawiony znaczenia jak duch.

Od czasu rozmowy z Amerasu dni mijały szybciej. Leżąc bezsennie którejś nocy, stwierdził, że nie potrafi już powiedzieć, jak długo przebywa u Sithów. Kiedy spytał o to Aditu, powiedziała, że nie pamięta. Poszedł z tym samym pytaniem do Jirikiego, lecz książę popatrzył na niego z politowaniem i spytał, czy Simon rzeczywiście chce liczyć dni.

Zaniepokojony Simon nalegał, by Sitha powiedział mu prawdę, i w efekcie dowiedział się, że upłynęło niewiele więcej niż miesiąc.

Najtrudniejsze były noce. Przewracając się w swoich kocach w domu Jirikiego albo włócząc się po miękkiej, wilgotnej trawie, Simon przemyśliwał plany coraz to nowych ucieczek, równie desperackich jak nierealnych, nawet w jego mniemaniu. Stawał się coraz bardziej posępny. Wiedział, że Jiriki martwi się z tego powodu i śmiech Aditu jest coraz częściej wymuszony. Zdawał sobie też sprawę, że wciąż mówi o swojej niedoli, ale nie potrafił tego ukryć, nie chciał ukrywać. Z czyjej winy został schwytany?

Bez wątpienia Sithowie uratowali mu życie. Czy lepiej umrzeć z głodu i zimna, czy wieść życie rozpieszczanego, lecz uwięzionego gościa w najpiękniejszym mieście Osten Ard? Nawet jeśli taka niewdzięczność była niegodziwością, on i tak nie mógł zaakceptować swego niebiańskiego więzienia.

Dni były nieomal identyczne. Włóczył się po lasach albo rzucał kamieniami w niezliczone strumienie i rzeki, rozmyślając o przyjaciołach. Zażywając pełni lata w Jao e-Tinukai’i, trudno było wyobrazić sobie, jak inni muszą cierpieć na zewnątrz. Gdzie był Binabik? Miriamele? Czy jeszcze żyli? Czy walczyli wciąż, czy może pokonała ich czarna burza?

Coraz bardziej zdesperowany błagał Jirikiego, by jeszcze raz pozwolił mu porozmawiać z Amerasu, by pomogła mu odejść, lecz Sitha odmówił.

– Ja nie mogę pouczać Pierwszej Babki. Podejmie działania, kiedy przemyśli wszystko. Przykro mi, Seomanie, ale te sprawy są zbyt ważne, by pochopnie o nich decydować.

– Pochopnie! – wściekał się Simon. – Umrę, zanim ktokolwiek ruszy tutaj palcem! Umrę!

Jiriki był nieugięty, choć bardzo smutny.

Simon stawał się coraz bardziej bezsilny, a jego niepokój zaczął się przeradzać w gniew. Pełni rezerwy Sithowie stali się w jego oczach zadowolonymi z siebie, obłudnymi istotami. Chodzili po swoim słonecznym mieście, śpiewając i gapiąc się na drzewa, gdy tymczasem jego przyjaciele walczyli i umierali w coraz straszliwszej wojnie z Królem Burz i Eliasem. A kim był Król Burz, jeśli nie Sithą? Nic dziwnego, że więzili Simona, kiedy świat na zewnątrz marniał dotknięty chłodem gniewu Inelukiego.

I tak płynęły dni, każdy następny podobny do poprzedniego, każdy przynoszący większe niezadowolenie. Nie spotykał się już z Jirikim na wieczornym posiłku; wolał w samotności słuchać świerszczy i słowików. Zaczął unikać Aditu, której figlarność denerwowała go coraz bardziej. Wiedział, że jest dla niej tylko pieskiem do zabawy. Miał już dość drażniących go pieszczot. Jeśli ma być więźniem, będzie się zachowywał jak więzień.

Jiriki znalazł go w modrzewiowym lasku. Pszczoły brzęczały w koniczynie, a promienie słoneczne prześlizgiwały się między igłami drzew, tworząc na ziemi świetlne kratki. Simon gryzł kawałek kory z ponurą miną.

– Seomanie – powiedział książę – czy mogę z tobą pomówić?

Simon zmarszczył brwi. Wiedział już, że w przeciwieństwie do śmiertelników Sithowie i tak rozpoczynają rozmowę, nawet jeśli się nie wyraża na nią zgody.

– Chyba tak – odezwał się wreszcie.

– Chciałbym, żebyś poszedł ze mną – powiedział Jiriki. – Pójdziemy do Yasira.

Serce Simona zabiło gwałtownie, ale wciąż boleśnie.

– Po co?

– Nie wiem. Wiem tylko, że wszyscy mają przyjść, wszyscy, którzy mieszkają w Jao e-Tinukai’i. Ponieważ jesteś z nami, ciebie to także obowiązuje.

Stracił nadzieję. Nie pytali o niego. Przez chwilę wyobrażał sobie, że mogłoby się tak zdarzyć, że Shima’onari i Likimeya przepraszają go za błąd, obdarowują prezentami, a także wiedzą, potem odsyłają, by pomógł Josui oraz innym. Jeszcze jedno marzenie gamonia. Czy on nigdy z nich nie wyrośnie?

– Nie chcę iść – powiedział.

Jiriki przykucnął obok niego z wdziękiem polującego ptaka.

– Chciałbym, żebyś poszedł. Nie będę cię zmuszał ani błagał, ale będzie tam Amerasu. Bardzo rzadko poza Dniem Tańczącego Roku prosi, by jej wysłuchano.

Serce Simona znowu zabiło szybciej. Może Amerasu przemówi w jego imieniu i każe im go wypuścić! Ale jeśli tak miało być, dlaczego nie został zaproszony?

Wciąż udawał obojętność. Mimo wszystko uczył się od Sithów.

– Znowu mówisz o tym waszym Tańczącym Roku, Jiriki – powiedział. – Ale nigdy mi nie wyjaśniłeś, co to znaczy. Widziałem las Tańczącego Roku, wiesz o tym.

Jiriki powstrzymywał uśmiech.

– Z dość dużej odległości. Chodź, Seomanie. Teraz grasz swoją grę. Kiedy indziej opowiem ci o obowiązkach naszej rodziny, ale teraz muszę iść. A ty chodź ze mną.

Simon wyrzucił pogryziony kawałek kory.

– Pójdę, jeśli będę mógł siedzieć przy drzwiach i nie będę musiał nic mówić.

– Śnieżnowłosy, możesz siedzieć, gdzie ci się podoba. Może i jesteś więźniem, ale honorowym. Moi ludzie starają się uczynić twój pobyt tutaj bardziej znośnym. Co do drugiego warunku, nie wiem, czy będą cię o coś pytać. Chodź, jesteś już prawie dorosły. Nie bój się bronić swojej sprawy.

Simon zmarszczył brwi zamyślony.

– Prowadź zatem – powiedział.

Zatrzymali się przed wejściem do ogromnego, żywego namiotu. Motyle były podekscytowane i machały gwałtownie kolorowymi skrzydełkami, przez co dach Yasira migotał wciąż zmieniającymi się wzorami. Ich delikatny szelest wypełnił całą dolinę. Nagle Simon wyrwał ramię z uścisku Jirikiego i cofnął się.

– Nie chcę usłyszeć niczego złego – powiedział. Czuł zimną kulę w żołądku, jak wtedy gdy czekał na karę od Rachel albo przełożonego podkuchennych. – Nie chcę, żeby na mnie krzyczeli.

Jiriki popatrzył na niego zdziwiony.

– Seomanie, nikt nie będzie krzyczał. Nie mamy tego w zwyczaju. Spotkanie może nie mieć z tobą nic wspólnego.

Simon pokręcił głową zawstydzony.

– Masz rację, przepraszam.

Odetchnął głęboko i wzruszył nerwowo ramionami. Jiriki znowu wziął go za łokieć i poprowadził przez obrośnięte różami wejście. Obaj weszli do ogromnej kolorowej misy, wypełnionej szelestem tysięcy motylich skrzydeł.

Tak jak poprzednio Likimeya i Shima’onari siedzieli na niskich ławkach przed wystającym z ziemi kamieniem w centrum pomieszczenia. Pomiędzy nimi na wyższej ławce siedziała Amerasu; kaptur swej szaty odrzuciła na plecy. Jej śnieżnobiałe włosy rozsypały się na ramiona. Jedyną jej ozdobą była błękitna szarfa, którą przepasała wąską talię.

Kiedy Simon spojrzał na nią, ich oczy spotkały się na moment. Rozczarował się, jeśli liczył na pomocny uśmiech albo skinienie głową: jej wzrok przesunął się po nim, jakby był jednym z wielu drzew w lesie. Zasmucił się. Jeśli żywił jeszcze jakieś nadzieje, że Amerasu zajmie się losem gamoniowatego Simona, to nadszedł czas, by je włożyć między bajki.

Obok Amerasu, na podwyższeniu z matowoszarej skały znajdował się dziwny przedmiot: był to jasny, świecący krążek, umieszczony na szerokim stojaku wykonanym z ciemnego i lśniącego magicznego drewna, pokrytego sithijskimi rzeźbami. Simon myślał, że jest to toaletowe lusterko – słyszał, że mają je wielkie damy – lecz krążek wydawał się nie odbijać obrazów. Jego krawędzie były bardzo ostre; przypominał wylizany niemal do przeźroczystości lizak. Krążek miał kolor mroźnej bieli albo zimowego księżyca, lecz drzemały w nim także inne odcienie. Przed kamiennym dyskiem na rzeźbionym stojaku znajdowała się szeroka i płytka misa z tego samego co krążek surowca.

Simon nie potrafił dłużej zatrzymać na nich wzroku. Zmieniające się kolory denerwowały go; w jakiś dziwny sposób mieniący się kamień przypominał mu o szarym mieczu, Smutku, a tych wspomnień nie chciał odgrzebywać. Odwrócił głowę i rozejrzał się dookoła.

Tak jak mówił Jiriki, chyba wszyscy Sithowie przybyli tego popołudnia do Yasira, ubrani w swe zwyczajowo kolorowe szaty jak pięknie upierzone ptaki. Złocistoocy Sithowie wciąż pozostawali pełni rezerwy. Wejście Jirikiego i Simona zwróciło uwagę obecnych, lecz nikt nie przyglądał im się dłużej. Uwaga wszystkich wydawała się skupiona na trzech postaciach siedzących pośrodku tej drzewnej komnaty. Zadowolony z takiego obrotu sprawy Simon wybrał dla siebie i Jirikiego miejsca na samym brzegu. Nie

widział nigdzie Aditu, ale wiedział, że trudno byłoby ją znaleźć w tak pstrokatym tłumie.

Przez długi czas Simon nie dostrzegł żadnego ruchu, nikt nie przemawiał, lecz sądził, iż w pomieszczeniu przepływały ukryte prądy, które wykraczały poza jego zrozumienie, oraz że wszyscy z wyjątkiem niego komunikowali się w jakiś nieznany mu sposób. Nie był jednak aż tak mało spostrzegawczy, by nie zauważyć napięcia Sithów oczekujących na coś niespokojnie. Powietrze było jak przed burzą.

Zaczął się już zastanawiać, czy będą tak siedzieć przez całe popołudnie, jak rywalizujące koty na płocie, które długo obserwują się w milczeniu, gdy wreszcie wstał Shima’onari i zaczął mówić. Tym razem władca Jao e-Tinukai’i nie próbował mówić językiem Simona, lecz używał własnej, płynnej mowy. Przemawiał jakiś czas, wykonując przy tym wdzięczne ruchy dłońmi; rękawy jego jasnożółtej szaty powiewały za każdym razem, kiedy podkreślał poszczególne słowa. Cała przemowa była dla Simona połączeniem pomieszania z poplątaniem.

– Mój ojciec mówi o Amerasu i prosi, byśmy jej wysłuchali – szepnął Jiriki.

Simon był pełen rezerwy. Dość długo przemawiał Shima’onari, żeby to powiedzieć. Rozejrzał się po twarzach Sithów. Bez względu na to, co mówił ojciec Jirikiego, kompletnie zawładnął uwagą zebranych.

Kiedy skończył Shima’onari, wstała Likimeya i wszystkie oczy zwróciły się na nią. Ona także przemawiała długo w języku Zida’ya.

– Ona mówi, że Amerasu jest bardzo mądra – wyjaśnił Jiriki.

Simon zmarszczył brwi.

Kiedy Likimeya skończyła, w pomieszczeniu rozległo się przeciągłe westchnienie, jakby wszyscy wypuścili długo wstrzymywany oddech. Simon także odetchnął. Był to oddech ulgi; w miarę jak sithijska paplanina

przedłużała się, coraz trudniej było mu zebrać myśli. Nawet zawieszone w górze motyle niespokojnie trzepotały skrzydłami, rozsiewając dookoła migocące plamki.

Wreszcie wstała Amerasu. Tutaj wydawała się o wiele mniej krucha niż w swoim domu. Wcześniej widział ją raczej jako umęczoną świętą, lecz teraz dostrzegł w niej więcej anielskości; wyczuwał w niej tlącą się moc, która mogła wybuchnąć płomieniem czystego światła. Jej długie włosy lekko falowały, poruszane wiatrem, który mogły wywoływać motyle skrzydła.

– Widzę, że śmiertelny chłopiec jest tutaj – powiedziała. – Dlatego będę mówiła tak, żeby i on mógł zrozumieć, gdyż wiele z tego, o czym chcę mówić, otrzymałam od niego. Ma prawo usłyszeć.

Część Sithów popatrzyła obojętnie na Simona. Zaskoczony spuścił głowę i przycisnął brodę do piersi, dopóki nie odwrócili wzroku.

– W rzeczywistości – zaczęła Amerasu – choć może zabrzmi to dziwnie, niektóre sprawy, o których chcę powiedzieć, bardziej pasują do języka Sudhoda’ya. Śmiertelnicy zawsze żyli w obliczu takiej czy innej ciemności. Dlatego nazwaliśmy ich dziećmi zachodzącego słońca, kiedy po raz pierwszy przybyli do Osten Ard. Śmiertelnicy na wiele sposobów wyobrażają sobie, co dzieje się po ich śmierci, i kłócą się o to, kto ma rację. Ich spory często kończą się rozlewem krwi, jakby chcieli wysłać posłańców, którzy znajdą odpowiedzi na ich pytania. Lecz tacy posłańcy, o ile znam filozofię śmiertelników, nigdy nie powracają, by przekazać swoim braciom choć namiastkę prawdy, której szukają.

Jednak wśród śmiertelnych ludzi krążą opowieści mówiące, że niektórzy powracają jak bezcielesne duchy, choć nie przynoszą żadnych odpowiedzi. Te duchy są milczącym wspomnieniem cienia śmierci. Ci, którzy spotykają takie bezdomne duchy, nazywają siebie

„nawiedzonymi”. – Amerasu odetchnęła głęboko. Po chwili mówiła dalej. – Oto słowo, jakiego my, Zida’ya nie mamy, a może powinniśmy mieć.

Wciąż słychać było tylko szepty delikatnych skrzydeł.

– Uciekliśmy z Najdalszego Wschodu z nadzieją, że uciekniemy przez Niebyciem, którego cień padł na nasz Ogród. Znamy tę opowieść wszyscy z wyjątkiem chłopca; nawet dzieci urodzone już po Ucieczce z Asu’a wysysają ją z mlekiem matki, więc nie będę jej powtarzała.

I tak, kiedy przybyliśmy na nowy ląd, wydawało nam się, że uciekliśmy przed cieniem. Lecz my zabraliśmy ze sobą kawałek tego cienia. On jest częścią nas, tak samo jak śmiertelne kobiety czy mężczyźni Osten Ard nie mogą uciec przed swoim umieraniem.

Jesteśmy starym narodem. Nie walczymy wszędzie tam, gdzie da się walczyć. Dlatego woleliśmy uciec raczej z Venyha Do’sae, niż pogrążyć się w bezowocnej walce. Ale przekleństwem naszego narodu nie jest to, że nie chcemy oddawać życia w bezsensownej walce z wielkim cieniem, lecz to, że uchwyciliśmy ten cień i trzymamy go dla siebie, tulimy jak matka niemowlę.

Przynieśliśmy cień ze sobą. Może żadna myśląca i żywa istota nie może żyć bez takiego cienia, ale my, Zida’ya – pomimo naszego długowiecznego żywota, przy którym śmiertelnicy są jak muchy – nie możemy zignorować cienia, który jest śmiercią. Nie możemy zignorować wiedzy o Niebycie. Jednak my trzymamy ją dla siebie.

Śmiertelnicy muszą umrzeć i boją się tego. My, którzy kiedyś mieszkaliśmy w Ogrodzie, także musimy umrzeć, choć nasze życie jest o wiele dłuższe. Każdego z nas obejmuje śmierć od chwili, gdy po raz pierwszy otworzy oczy, czyniąc z niej kawałek siebie. Tęsknimy do tego, by całkowicie nas objęła, chociaż mijają wieki, a śmiertelnicy mnożą się i umierają jak myszy. Czynimy ze śmierci rdzeń naszego istnienia; staje się

ona naszym najskrytszym przyjacielem, kiedy przeżywamy nasze długie życie, ciesząc się z towarzystwa Nieistnienia.

Nie przekazaliśmy dzieciom Ruyana Ve tajemnicy prawie-nieśmiertelności, choć są one gałązką z tego samego krzewu. Odmówiliśmy wiecznego życia ludziom Ruyana, Tinukeda'ya, obejmując śmierć coraz mocniej. Jesteśmy nawiedzeni, moje dzieci.

Simon nie rozumiał większości z tego, co powiedziała Pierwsza Babka, lecz jej głos działał na niego jak nagana kochającego rodzica. Czuł się mały i nieważny, ale głos dodawał mu pewności swoją obecnością. Zebrani Sithowie zachowali swoje bierne milczenie.

– A potem przybyli żeglarze – powiedziała Amerasu. – Ale nie chcieli żyć i umierać w obrębie granic Osten Ard, jak żyły i umierały śmiertelne myszy przed nimi. Nie zadowalały ich okruchy, jakie im rzucaliśmy. My, Zida'ya, mogliśmy powstrzymać ich rozboje, zanim stali się wielcy, lecz nie, my rozpaczaliśmy nad utratą piękna, a potajemnie cieszyliśmy się. Nasza śmierć się zbliżała! – wspaniały i ostateczny koniec, który miał sprawić, że cienie staną się prawdziwe. Mój mąż Iyu'unigato też był taki. Jego subtelna, poetycka dusza kochała śmierć bardziej, niż kiedykolwiek pokochała żonę czy synów.

Po raz pierwszy w tłumie rozległy się szepty, niespokojne szepty, niewiele głośniejsze od szelestu motylich skrzydeł. Amerasu uśmiechnęła się smutno.

– Trudno jest słuchać takich rzeczy – powiedziała. – Ale nadszedł czas prawdy. Spośród wszystkich Zida'ya tylko jeden nie pragnął cichego zapomnienia. Był nim mój syn, Ineluki. On płonął. Nie chodzi mi o to, jak zginął – można to potraktować jako okrutną ironię albo zrządzenie nieuchronnego losu. Nie, Ineluki płonął swym życiem, a jego światło rozproszyło cienie, przynajmniej niektóre z nich.

Wszyscy wiedzą, co się stało. Wszyscy wiedzą, że Ineluki zabił swego łagodnego ojca, lecz potem sam został pokonany, przynosząc zgubę Asu’a, kiedy próbował uwolnić siebie i swoich ludzi od zapomnienia śmierci. Ale jego ognie płonęły tak mocno, że nie mógł w spokoju odejść do cienia poza życiem. Przeklinam go za to, co zrobił memu mężowi i swoim ludziom, ale moje matczyne serce wciąż wypełnia duma. Na Statki, na których wtedy przypłynęliśmy, on płonął wtedy i wciąż płonie! Ineluki nie umrze!

Amerasu uniosła dłoń, gdyż rozległy się kolejne szepty.

– Cicho, dzieci, cicho! – zawołała. – Pierwsza Babka sama jeszcze nie objęła tego cienia. Nie chwalę go za to, czym jest teraz, ale za gorącego ducha, jakiego nikt inny nie okazał, kiedy taki duch był jedyną rzeczą, która mogła uratować nas przed nami samymi. I on nas uratował, gdyż jego opór i jego szaleństwo skłoniły innych do przybycia tutaj, do domu naszego wygnania. – Opuściła dłoń. – Nie, mój syn objął nienawiść. Ona powstrzymała go przed odejściem w prawdziwą śmierć, ale okazała się płomieniem gorętszym od jego własnego, płomieniem, który go strawił. Nic nie zostało z jasnego płomienia, którym był mój syn. Prawie nic.

Kiedy zamilkła na dłuższą chwilę, Shima’onari wstał, jakby chciał podejść do niej, lecz Amerasu potrząsnęła głową.

– Nie, wnuku, pozwól mi mówić. – W jej głosie zabrzmiała nuta gniewu. – To mi tylko zostało. Jeśli nie zostanę wysłuchana, opadnie ciemność, która wcale nie będzie jak słodka śmierć, o której śpiewamy w naszych snach. Będzie straszniejsza od Nieistnienia, które wygnało nas z Ogrodu za morze.

Shima’onari, dziwnie poruszony, usiadł obok zastygłej w bezruchu Likimeya.

– Ineluki zmienił się – ciągnęła Amerasu. – Stał się czymś, czego świat jeszcze nie widział, tlącym się węglem rozpaczy i nienawiści. Przeżył tylko

po to, by naprawić dawne niesprawiedliwości i tragiczne błędy, które dzisiaj są faktem. Podobnie jak i my, Ineluki żyje tym, co było. Lecz w przeciwieństwie do swych żyjących braci nie chce pławić się we wspomnieniach przeszłości. On żyje, czy też istnieje – tutaj język śmiertelników jest bardziej precyzyjny – po to, by zobaczyć, jak obecny świat zostanie unicestwiony, a dawne niesprawiedliwości naprawione, lecz jego jedynym motywem jest gniew. Jego sprawiedliwość będzie okrutna, a metody jeszcze okropniejsze.

Amerasu stanęła obok przedmiotu na kamiennym podeście i dotknęła palcami krawędzi krążka. Simon przestraszył się, że może się skaleczyć. Przeraziła go myśl, że mógłby zobaczyć krew na złocistej skórze Amerasu.

– Od dawna wiedziałam, że Ineluki powrócił, wy też wiedzieliście. Lecz ja nie odganiałam tej myśli jak niektórzy i nie rozwodziłam się nad nią, by pławić się w słodkim bólu jak inni. Zastanawiałam się, myślałam i rozmawiałam z tymi nielicznymi, którzy mogliby mi pomóc; próbowałam zrozumieć, co wyrasta w cieniu umysłu mego syna. Ostatnim z tych, którzy przynieśli mi jakąś informację, jest śmiertelny chłopiec, Seoman, choć on sam nie zdaje sobie sprawy, co mi przekazał.

Simon znowu poczuł na sobie wzrok Sithów, ale teraz nie potrafił oderwać oczu od świetlistej twarzy Amerasu.

– Chłopiec sam został dotknięty przez los i wplątany w różne dziwne wydarzenia, ale nie jest on wielkim bohaterem czy kimś, kto posiada moc magii. Bardzo dobrze wypełnił swoje powinności, lecz wystarczy już zadań dla niego. To, czego się od niego dowiedziałam, pozwoliło mi zrozumieć istotę poczynań Inelukiego. – Wzięła głęboki oddech. – Są okropne. Mogłabym wam opowiedzieć, lecz słowa tego nie wyrażą. Jestem najstarsza spośród was, jestem Amerasu Urodzona Na Statku. Ale mogą znaleźć się tacy, którzy po cichu będą wątpić, odwracać twarz. Wielu z was

wolałoby żyć z pięknem wyobrażanych cieni zamiast brzydkiej czerni będącej jądrem tego cienia, cienia, który rzuca na nas mój syn.

A zatem pokażę wam, co widziałam. Sami się przekonacie. Możemy wciąż odwracać głowę, moje dzieci, ale nie możemy dłużej udawać. Możemy powstrzymać zimę na jakiś czas, lecz w końcu i tak nas ogarnie. – Jej głos stał się donioślejszy, choć bardziej żałosny. – Jeśli chcemy biec radośnie w ramiona śmierci, przyznajmy, że to właśnie robimy! Choć raz spójrzmy na siebie, przynajmniej na koniec.

Amerasu opuściła wzrok, jakby pod ciężarem ogromnego zmęczenia albo smutku. Nastąpiła chwila ciszy, a potem rozległy się ciche rozmowy. Uniosła głowę i położyła dłoń na jasnym krążku.

– Oto Lampa Mgieł, którą moja matka Senditu przyniosła z Tumet’ai, kiedy szron opadł na miasto. Podobnie jak łuski Wielkiej Bestii, Mówiący Ogień, śpiewający Czerep czy Staw w wielkim Asu’a, jest ona drzwiami prowadzącymi do Ścieżki Snów. Pokazała mi wiele rzeczy. Nadszedł czas, abyście i wy zobaczyli.

Amerasu dotknęła misy znajdującej się przed kamiennym krążkiem. Na krawędzi misy pojawił się biało-niebieski płomień. Krążek zaczął migotać, a wtedy całe Yasira pociemniało i Simonowi wydało się, że rzeczywiście popołudnie minęło i na niebie zawisł księżyc.

– Obecnie Ścieżki Snów zbliżyły się do naszych własnych – powiedziała Amerasu. – Tak jak zima Inelukiego wyparła lato. – Jej głos, choć wyraźny, wydawał się zaledwie szeptem. – Ścieżki Snów stały się niespokojne, więc użyczcie mi swych myśli i swej pomocy. Dawno już odeszły dni, kiedy córki Jejiyana potrafiły mówić bez trudu przez Świadków. – Przesunęła dłonią nad dyskiem i jeszcze bardziej pociemniało. Delikatny szelest motyli wzmógł się, jakby czuły zmianę.

Krążek zaświecił. Po jego powierzchni pełzła niebieskawa plama. Kiedy zniknęła, Lampa Mgieł stała się czarna. Na jej ciemnej powierzchni pojawiły się zimno lśniące gwiazdy, a z jej podstawy zaczął wyłaniać się jasny kształt. Była to góra, biała i spiczasta jak kieł.

– Nakkiga – rozległ się w ciemności głos Amerasu. – Góra, którą śmiertelnicy nazywają Burzową Górą. Dom Utuk'ku, która ukrywa swoją starość za srebrną maską i nie chce przyznać, że cień śmierci pada także na nią. Ona boi się Niebytu bardziej niż ktokolwiek z nas, choć jest najstarsza spośród żyjących – ostatnia z Urodzonych w Ogrodzie. – Amerasu uśmiechnęła się cicho. – Tak, moja prababka jest bardzo próżna. – Przez chwilę błysnął metal, lecz Lampa zamrugała i góra znowu się pojawiła. – Czuję ją – powiedziała Amerasu. – Czeka jak pająk. W niej nie płonie ogień sprawiedliwości, który ma w sobie Ineluki, bez względu na to, jak bardzo jest szalony. Ona pragnie tylko zniszczenia wszystkiego, co jej przypomina, jak bardzo została upokorzona w mrocznej przeszłości, gdy nasze ludy się podzieliły. To ona udzieliła schronienia memu nieszczęsnemu synowi i razem podsycali swoją nienawiść. Teraz są gotowi wprowadzić w czyn to, co od wieków planowali! Patrzcie!

Lampa Mgieł zaświeciła pulsującym światłem. Biała góra przybliżyła się; z jej wierzchołka unosił się dym. A potem nagle zaczęła zanikać w ciemności. Po chwili zniknęła i w jej miejscu pozostała tylko czarna pustka.

Mijały chwile. Simon, pochłonięty słowami Amerasu, poczuł, że się unosi. Napięcie powróciło, teraz było jeszcze silniejsze.

– Ach! – Amerasu szepnęła zdumiona.

Sithowie zaczęli szeptać i kręcić się nerwowo, czując ogarniający ich strach. Na powierzchni Lampy pojawił się srebrny punkt, który zaczął się rozlewać jak plama oliwy na wodzie. Plama rosła, aż wreszcie przybrała

postać kobiecej twarzy, nieruchomej z wyjątkiem jasnych oczu patrzących przez wycięcia maski.

Simon wpatrywał się w twarz bezradnie; w jego oczach pojawiły się łzy strachu. Nie mógł odwrócić wzroku. Była stara i silna... silna...

– Wiele razy obrócił się rok, kiedy widziałam cię po raz ostatni, Amerasu no’e-Sa’onserei. – Głos Królowej Nornów zabrzmiał zadziwiająco melodyjnie, lecz jego słodycz nie potrafiła ukryć do końca drzemiącej pod nim zgnilizny. – Tak, wiele razy, prawnuczko. Czy wstydzisz się swych krewnych z Północy, że nigdy dotąd nie zapraszałaś ich do siebie?

– Drwisz sobie, Utuk’ku Seyt-Hamakha. – Amerasu mówiła drżącym głosem, w którym słychać było strach. – Wszyscy wiedzą, dlaczego zostałaś wygnana.

– Mała Amerasu, zawsze lubiłaś sprawiedliwość. – Simon zadrżał, słysząc szyderczy głos Królowej Nornów. – Ale sprawiedliwi chcą dobrze. Tak jak wy. Nie przepędziliście śmiertelników, a mogłoby to wszystkich uratować. Nawet po tym, jak zniszczyli Urodzonych w Ogrodzie, wciąż nie możecie się od nich uwolnić. Ach, nawet teraz widzę jednego pośród was.

Simon czuł, że serce podchodzi mu do gardła i coraz trudniej mu oddychać. Okropne oczy patrzyły na niego. Dlaczego Amerasu nie każe jej odejść? Chciał biec, krzyczeć, ale nie mógł. Siedzący dookoła Sithowie wydawali się równie mocno przestraszeni.

– Upraszczasz rzeczy, prababko – przemówiła wreszcie Amerasu. – Kiedy nie kłamiesz.

Utuk’ku roześmiała się, a jej śmiech mógł kamienie zmusić do płaczu.

– Głupia! – zawołała. – Upraszczam? To wy przesadziliście! Zajmowaliście się śmiertelnikami i ich życiem, ale zapomnieliście o najważniejszych sprawach. Na waszą zgubę!

– Wiem, co zamierzasz! – powiedziała Amerasu. – Zabrałaś mi syna, czy raczej to, co z niego zostało, ale ja i tak, pomimo śmierci, odkryłam jego myśli. Widziałam...

– Dość! – okrzyk Utuk’ku przeleciał wiatrem przez Yasira, kładąc trawę i wywołując strach wśród motyli. – Dość! Powiedziałaś swoje i sama się skazałaś! Na śmierć!

Amerasu zaczęła drżeć, jakby walczyła z jakąś wewnętrzną siłą, stała z szeroko otwartymi oczami i poruszała ustami, nic nie mówiąc.

– Nikt już nie będzie mi przeszkadzał, nikt z was! – Głos Królowej Nornów nabierał siły. – Złudny pokój już nie istnieje! Skończył się! Skończył! Nakkiga wyrzeka się was wszystkich!

Sithowie krzyczeli zdumieni i rozgniewani. Likemeya podeszła szybko do Amerasu, gdy tymczasem twarz Utuk’ku zamigotała i zniknęła z powierzchni Lampy. Świadek przez chwilę pozostawał ciemny, ale zaraz w jego środku pojawiła się iskra, która rosła, aż wreszcie buchnęła płomieniem. W ogniu pojawiły się dwie ciemne dziury, oczy w ognistej twarzy. Strach sparaliżował Simona tak bardzo, że czuł drgające mięśnie. Zamiast gorąca przeraźliwy chłód bił od płomiennej twarzy. Amerasu przestała walczyć i zamarła w bezruchu.

Poniżej oczu pojawiła się inna dziura. Usta zaśmiały się. Oszalały z przerażenia Simon chciał uciekać – widział już tę przeraźliwą twarz.

Czerwona Dłoń! Chciał to wykrzyczeć, lecz strach chwycił go za gardło.

Likimeya wystąpiła do przodu wraz z mężem. Oboje chcieli osłonić Amerasu. Uniosła ramiona przed Lampą i ognistą zjawą, która się nad nią unosiła. Otoczył ją blask rozjarzonego światła.

– Wracaj do swej pomarszczonej pani i martwego pana! – zawołała. – Nie jesteś już jednym z nas!

Ognista zjawa znowu się roześmiała.

– Nie, nas jest więcej! Czerwona Dłoń i jego pan stali się silni. Cień Króla Burz musi paść na całe stworzenie. Ci, którzy nas zdradzili, będą jęczeć i wyć w jego ciemności!

– Nie masz tu żadnej mocy! – zawołał Shima’onari i chwycił uniesioną dłoń swej żony. Światło, które ich objęło, zaświeciło jaśniej, aż srebrzysta mgła objęła także twarz z płomieni. – To miejsce jest poza twoją mocą! Wracaj do swojej zimnej góry i czarnej pustki!

– Nie rozumiecie! – wołała zjawa. – My, jedyni spośród żyjących, powróciliśmy z Niebytu. Jesteśmy silni! Silni!

Jeszcze okrzyk dudniącego głosu nie umilkł, kiedy płomień w Lampie Mgieł buchnął nagle na zewnątrz, strzelając ognistą kolumną, a bezkształtna twarz ryknęła ponownie. Jej płomienne ramiona rozwarły się szeroko, jakby chciały objąć wszystko i zgnieść w płomiennym uścisku.

Potężny płomień dosięgnął motyli i w jednej chwili objął je żarem. Miliony z nich zdawały się ulecieć w powietrze, tworząc ogromną chmurę dymu i płonących skrzydeł. Jako płonące popioły, spadały na przerażonych Sithów albo rozbijały się o drzewa. Yasira pogrążyło się w chaosie, chaosie ciemności rozświetlanej tylko wirującymi iskrami.

Ognista zjawa na środku pokoju śmiała się, lecz nie świeciła żadnym światłem. Wręcz przeciwnie; wydawało się, że wsysa wszelką jasność i rośnie coraz bardziej. Wokół niej kłębiła się plątanina ciał Sithów.

Simon rozglądał się przerażony. Nie widział nigdzie Jirikiego.

Teraz dał się słyszeć inny dźwięk, który rósł, aż wreszcie stał się tak głośny jak radosne ryki Czerwonej Dłoni. Było to straszliwe ujadanie sfory psów.

W tej chwili w Yasira pojawiły się jasne postacie. Białe ogary wydawały się wypełniać całe Yasira; w ich małych oczach odbijał się blask

ognistej zjawy.

– *Ruakha, ruakha Zida'yei!* – Simon usłyszał gdzieś w pobliżu głos Jirikiego. – *T'si e-isi'ha as-Shao Irigu!*

Simon jęknął, szukając rozpaczliwie jakiejś broni. Mała, biała postać przemknęła obok niego, niosąc coś w mokrym pysku.

Jingizu.

Wspomnienie wdarło się do jego głowy. Jak płomień, który płonął na zewnątrz, wzniecił płomień wewnątrz, płonący jęzor wspomnienia zapłonął w jego wnętrzu: czarna głębia pod Hayholt, sen o nieszczęściu i ognistej zjawie.

Jingizu. Serce wszelkiego Smutku.

Yasira pogrążało się w coraz większym chaosie; w ciemności pełnej iskier rozlegały się głosy rozpaczy, plątały ciała, gasły przerażone oczy. Simon spróbował wstać, lecz zaraz rzucił się na ziemię. Miotający się Sithowie znaleźli swoje łuki; strzały przelatywały w ciemności niby pasemka światła.

Jeden z ogarów przysiadł u stóp Simona i opadł na ziemię – z jego szyi wystawała pierzasta strzała. Z obrzydzeniem odsunął się od padliny, czując pod palcami trawę i popioły z motyli. Jego dłoń trafiła na kamień. Ścisnął go mocno i podniósł. Czołgał się jak ślepy kret w kierunku największego żaru i hałasu. Przyciągało go coś, czego nie potrafił opisać, jakby zmuszony był do ponownego przeżycia jakiegoś snu pełnego widmowych postaci biegających w panicznym strachu, gdy tymczasem ich dom płonął.

Ogromny ogar, największy, jakiego Simon kiedykolwiek widział, przyparł Shima'onari do poczerniałego i dymiącego pnia wielkiego jesionu; szaty Sithy płonęły. Pozbawiony innej broni, ojciec Jirikiego chwycił łeb zwierzęcia, starając się odepchnąć jego pysk od swej twarzy. Wokół nich błyskały dziwne, niebieskawo-czerwone światła.

Nieco dalej Jiriki i inni Sithowie otoczyli ognistą zjawę. Na tle Czerwonej Dłoni książę był tylko małą postacią z mieczem uniesionym przeciwko drgającym płomieniom.

Simon opuścił głowę i wciąż czołgał się do środka Yasira. Wrzawa była ogłuszająca. Jedni biegli na pomoc Jirikiemu, inni miotali się w szalonym obłędzie – ich włosy i szaty płonęły. Nagłe uderzenie rzuciło Simona na ziemię. Jeden z ogarów skoczył na niego. Trupi pysk zbliżał się do jego gardła, pazury drapały mu ręce, kiedy próbował zasłonić się i wyczołgać spod bestii. Macał dłonią w ciemności, aż trafił na kamień i uderzył nim w łeb psa. Pies zaskamlał i wpił zęby w koszulę Simona, raniąc go w ramię; nie dosięgnął jednak gardła. Simon uderzył ponownie, próbując wyzwolić skaleczone ramię, a potem zamierzył się jeszcze raz. Pies znieruchomiał i zsunął się z jego piersi. Simon przewrócił się na plecy i odepchnął nogą martwe zwierzę.

Nagle rozległ się wrzask, który wzniósł się ponad wszystkie inne, i mroźny wiatr przeleciał przez Yasira; zimny podmuch, który wydawał się przenikać ciało na wylot. Podsycona wiatrem ognista zjawa na chwilę jeszcze się rozrosła, a potem zaczęła się kurczyć. Rozległ się dźwięk jakby grzmotu i dudnienia, gdy Czerwona Dłoń zniknął w chmurze syczących iskier. Kolejny podmuch rzucił Simona i wielu innych na ziemię, gdyż powietrze wypełniało pustkę w miejscu, gdzie przed chwilą pojawiła się zjawa. A potem wszystko się uspokoiło.

Simon leżał na plecach oszołomiony i patrzył w górę. Blask naturalnego zmierzchu wracał powoli, sącząc się przez konary potężnego drzewa, na których nie było już motyli, a tylko ich poczerniałe szczątki. Simon stanął na drżących nogach. Wokół wciąż biegali przerażeni Sithowie. Ci, którzy odnaleźli swoje włócznie i łuki, zabijali pozostałe jeszcze przy życiu psy.

Czy przeraźliwy wrzask był okrzykiem śmierci wydanym przez ognistą zjawę? Czy Jiriki i jego towarzysze w jakiś sposób ją pokonali? Simon spojrzał na środek pokoju, próbując dojrzeć, kto stoi obok Lampy Mgieł. Zmrużywszy oczy, zrobił krok do przodu. Zobaczył Amerasu i jeszcze kogoś.

U boku Pierwszej Babki stała postać w hełmie o kształcie warczącego psa spowita w obłoki dymu unoszącego się ze spalonej ziemi. Jednym ramieniem obejmowała Amerasu, przyciskając ją do siebie jak kochankę, drugim uniosła przyłbicę, za którą ukazała się twarz Ingena Jeggera.

– Niku'a! – zawołał. – Yinva! Chodź do mnie! – Oczy łowczego płonęły blaskiem tlącego się drzewa.

Ogromny ogar wstał, chwiejąc się. Sierść miał opaloną i poczerniałą, brzuch poszarpany. Shima'onari pozostał nieruchomy na ziemi; w dłoni trzymał zakrwawioną strzałę. Pies zrobił krok i opadł na bok. Leżał, oddychając ciężko, a w jego otwartym brzuchu widać było lśniące wnętrzności.

Łowczy otworzył szeroko oczy w zdumieniu.

– Zabiłaś go! – wrzasnął Ingen. – Moja duma! Najlepszy z psiarni! – Podszedł do zdychającego psa, niosąc przed sobą Amerasu. Jej głowa podskakiwała bezwładnie. – Niku'a! – szepnął i rozejrzał się dookoła.

Wokół stali Sithowie, umazani krwią, popiołem, i patrzyli na niego. Grymas smutku wykrzywił twarz Ingena. Spojrzał na osmalone konary drzewa i na szare niebo. Trzymał Amerasu przyciśniętą do swej piersi; siwe włosy zasłoniły jej twarz.

– Czego chcesz od Pierwszej Babki, śmiertelniku? – powiedziała spokojnie Likimeya. Jej biała suknia pobrudzona była popiołem. Klęczała przy mężu, ściskając jego zakrwawioną dłoń. – Sprawiłeś już dość bólu. Puść ją. Opuść to miejsce. Nie będziemy cię ścigać.

Ingen patrzył na nią jak na jakieś dawno zapomniane miejsce, do którego przybywa się po trudnej podróży. Na jego zamyślonej twarzy pojawił się ohydny uśmiech. Potrząsnął bezwładnym ciałem Amerasu. Zakrwawioną dłonią uniósł swój hełm i pomachał nim radośnie.

– Magiczny las już nie istnieje! – krzyknął. – Ja tego dokonałem! Pani, pochwal mnie, wykonałem twoje polecenie! – Uniósł w górę drugie ramię, pozwalając, by ciało Amerasu osunęło się na ziemię. Na jej szarej szacie i złocistych dłoniach lśniła krew. Z jej boku wystawała rękojeść przezroczystego prawie sztyletu. – Jestem nieśmiertelny! – zawołał łowczy Królowej.

Zduszony szloch Simona odbił się echem w przeraźliwej ciszy.

Ingen Jegger odwrócił się powoli. Na widok Simona uśmiechnął się.

– Ty mnie do niej zaprowadziłeś, chłopcze.

Nagle tuż obok łowczego wyłoniła się z dymu umazana popiołem postać.

– *Venyha s’anh!* – krzyknął Jiriki i wbił swój miecz w brzuch Ingena.

Ingen zatoczył się od ciosu, lecz po kilku krokach zatrzymał się pochylony nad mieczem, który pozostał w jego ciele. Powoli wyprostował się i zakasłał. Z jego ust kapała na jasną brodę krew, lecz on wciąż się uśmiechał. – Skończył się czas... Dzieci Świtu – powiedział chrapliwym głosem.

Rozległo się brzęczenie i w jednej chwili w jego ciele utkwiło kilkanaście strzał.

– Morderstwo!

Tym razem był to krzyk Simona. Skoczył na nogi, słysząc w uszach przeraźliwe bicie własnego serca. Usłyszał świst kolejnych strzał i rzucił się w stronę Ingena.

– Seomanie! Nie! – krzyknął Jiriki.

Łowczy osunął się na kolana, lecz pozostał wyprostowany.

– Wasza czarownica... nie żyje. – Wyciągnął dłoń w kierunku nadchodzącego Simona. – Słońce zachodzi...

Poleciały kolejne strzały i Ingen Jegger upadł na ziemię.

W sercu Simona nienawiść wybuchła gwałtownym płomieniem. Stanął nad łowczym i podniósł kamień. Ingen nie przestawał się uśmiechać i przez chwilę ich oczy spotkały się, a potem jego twarz rozmyła się w krwawej miazdze, a całe ciało przetoczyło się od siły ciosu. Simon przysunął się do niego niesiony falą ślepej wściekłości.

Wszystko mi zabrali. Śmiali się ze mnie. Wszystko.

Wściekłość ustąpiła miejsca oszalałej radości. Poczuł płynącą przez niego siłę. Nareszcie! Opuścił kamień na głowę Ingena, uniósł go i uderzył jeszcze raz, a potem jeszcze i jeszcze raz, aż czyjeś ręce odciągnęły go od ciała i osunął się w swoją czerwoną ciemność.

KHENDRAJA’ARO PRZYPROWADZIŁ GO do Jirikiego. Wuj księcia, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Jao e-Tinukai’i, ubrany był w szare, żałobne szaty. Simon także miał na sobie spodnie i koszulę w tym samym kolorze. Przyniosła mu je smutna Aditu w dzień po spaleniu Yasira.

Jiriki nie przebywał już w swoim domu o ścianach różowych, żółtych i brązowych, co, zdaniem Simona, upodabniało go do ula. Aditu wyjaśniła mu, że w tym drugim domu mieszka uzdrowicielka, która opiekuje się poparzeniami Jirikiego.

Khendraja’aro z kamienną twarzą pozostawił Simona przed wejściem i odszedł bez słowa. Simon wszedł do środka i znalazł się w zaciemnionym pokoju, w którym świeciła się mleczna kula ustawiona na drewnianym stojaku. Jiriki siedział w ogromnym łóżku. Dłonie złożył na piersi owiniętej jedwabistym bandażem. Twarz Sithy lśniła nasmarowana jakimś olejem, co

podkreślało jego egzotyczne rysy. W wielu miejscach jego skóra nosiła ciemne ślady. Brwi i część włosów miał spalone, lecz Simon z ulgą zobaczył, że książę nie ma większych blizn.

– Seoman – powiedział Jiriki i uśmiechnął się słabo.

– Jak się czujesz? – spytał Simon nieśmiało. – Bardzo boli?

Książę pokręcił głową.

– Nie, nie czuję wielkiego bólu, przynajmniej nie od tych ran. W naszej rodzinie jesteśmy zahartowani, jak pewnie pamiętasz z naszego pierwszego spotkania. – Jiriki przyjrzał mu się uważnie. – A jak twoje zdrowie?

Simon poczuł się nieswojo.

– Czuję się dobrze. – Urwał. – Tak mi przykro. – W obliczu tej tchnącej spokojem postaci poczuł się zawstydzony swoją zwierzęcością, zawstydzony tym, że na oczach wszystkich okazał się ryczącą bestią. Przez ostatnie dni nieustannie czuł ciężar tego wspomnienia. – Wszystko przeze mnie.

Jiriki uniósł szybko ramię, lecz zaraz opuścił je powoli z grymasem bólu na twarzy.

– Nie, Seomanie, nie. Nie masz za co przepraszać. Był to dzień grozy, a tyle już ich przeżyłeś.

– Nie w tym rzecz – odparł Simon ze smutkiem. – On przyszedł za mną! Ingen Jegger powiedział, że przyszedł za mną, by odnaleźć Pierwszą Babkę! Przyprowadziłem do niej mordercę!

Jiriki pokręcił głową.

– Seomanie, oni planowali to już od dawna. Uwierz mi, Czerwona Dłoń nie mógł przysłać tutaj swojego wysłańca. Ineluki nie jest jeszcze aż tak silny. To był dobrze pomyślany atak. Utuk’ku i Król Burz potrzebowali wiele mocy, by go zrealizować. Czy myślisz, że tylko przypadkiem Utuk’ku uciszyła Pierwszą Babkę w chwili, gdy Amerasu miała odsłonić plany

Inelukiego? Albo że właśnie wtedy wtargnął Czerwona Dłoń, co kosztowało wiele magicznej energii? Czy myślisz, że Ingen tak sobie wędrował po lasach i nagle postanowił zabić Amerasu Urodzoną Na Statku? Z pewnością nie, choć możliwe, że natknął się na twój ślad, zanim przyprowadziła cię do nas Aditu. Ingen Jegger nie jest głupcem; dużo łatwiej było mu tropić śmiertelnika niż jednego z nas, ale prędzej czy później znalazłby drogę do Jao e-Tinukai'i. Kto wie, jak długo stał przy Letniej Bramie, czekając, aż jego pani da mu znak w odpowiedniej chwili? To był wojenny plan, Seomanie, dokładny, choć i desperacki. Musieli bardzo się obawiać mądrości Pierwszej Babki. Nie jesteś winien, Seomanie. O śmierci Amerasu postanowiono w ciemności Nakkigi albo nawet tysiące lat wcześniej, kiedy Dwie Rodziny rozdzieliły się przy *Sesuad'ra*. Jesteśmy narodem, który w milczeniu znosi rany. Nie, nie jest twoją winą.

– Ale dlaczego? – Simon bardzo chciał uwierzyć słowom Jirikiego, lecz nie potrafił pozbyć się przeraźliwego uczucia straty, które zawisło nad nim kilkakrotnie tego ranka.

– Dlaczego? Ponieważ Amerasu zajrzała w głąb serca Inelukiego, a kto mógłby to zrobić lepiej? Odkryła jego plany i chciała ujawnić je swoim ludziom. Nigdy już ich pewnie nie poznamy albo wtedy, gdy Ineluki znowu poczuje się silny. – Ogarnęło go zmęczenie. – Seomanie, na nasz Las, tyle straciliśmy! Nie tylko mądrość Amerasu, lecz utraciliśmy także ostatnie ogniwo łączące nas z naszym Ogrodem. Teraz naprawdę pozostaliśmy bez domu. Spojrzał w górę, a jego twarz znalazła się w słabym świetle. Hernystirczycy śpiewali o niej pieśń:

Śnieżnobiała pierś, pani wzburzonego morza,
Ona jest światłem, które w ciemności nocy świeci,
Nawet gwiazdy pijane są jej blaskiem...

Jiriki odetchnął głęboko i chrząknął, by ulżyć spieczonemu gardłu. Na jego zwykle tak łagodnej twarzy pojawiło się gniewne spojrzenie.

– Nawet spoza śmierci, z miejsca, gdzie żyje, jak mógł Ineluki przysłać obcego, by zabił jego matkę?

– Co zrobimy? Jak można z nim walczyć?

– Seomanie Śnieżnowłosy, niech to nie będzie twoim zmartwieniem.

– Jak to? – Simon powstrzymywał gniew. – Jak możesz mówić do mnie w ten sposób? Po tym, cośmy razem widzieli?

– Nie to miałem na myśli. – Sitha uśmiechnął się, jakby szydził z samego siebie. – Zapomniałem już o najprostszych zasadach grzeczności. Wybacz mi.

Simon otrzymał to, na co czekał.

– Oczywiście, Jirki. Wybaczone.

– Chciałem tylko powiedzieć, że my, Zida'ya, będziemy mieli własne narady. Mój ojciec jest ciężko ranny i matka musi zebrać ludzi, ale nie w Yasira. Chyba już nigdy tam się nie zbierzemy. Czy wiesz, że to drzewo spłonęło białe jak śnieg? Czy nigdy nie miałeś takiego snu? – Jiriki podniósł głowę ożywiony. – Ach, wybacz jeszcze raz. Za dużo myślę i zapominam o ważnych sprawach. Czy już wiesz? Likimeya ogłosiła, że możesz odejść.

– Odejść? Z Jao e-Tinukai'i? – Radość Simona mieszała się z żalem i złością. – Dlaczego teraz?

– Ponieważ takie było ostatnie życzenie Amerasu. Powiedziała o tym moim rodzicom jeszcze przed spotkaniem. Nie wyglądasz na całkiem zadowolonego. Wrócisz do swoich ludzi. Tak będzie najlepiej. My musimy opłakiwać utratę najstarszych z nas, najlepszych. Teraz to nie miejsce dla śmiertelników, przecież tego chciałeś? Wrócić do swoich.

– Ale nie możecie przecież zamknąć się i odwrócić od wszystkiego! Nie teraz! Czy nie słyszałeś Amerasu? Wszyscy musimy walczyć z Królem Burz! Tylko tchórze nie zrobiliby tego! – Simon znowu zobaczył jej łagodną twarz, głębokie oczy...

– Uspokój się, młody przyjacielu – powiedział Jiriki, uśmiechając się krótko, nieco gniewnym uśmiechem. – Masz dobre intencje, ale nie wiesz wystarczająco dużo, by tak mówić. – Jego twarz złagodniała. – Nie obawiaj się. Wiele rzeczy się zmienia. Hikeda'ya zabił naszą najstarszą, zrobił to w naszym świętym domu. Przekroczyli pewną granicę i nie mają już odwrotu. Może o to im chodziło, ale fakty są najważniejsze. To jeszcze jeden powód, dla którego musisz odejść. Nie ma dla ciebie miejsca w naradach wojennych Zida'ya.

– Będziecie walczyć? – Simon poczuł, że nadzieja wraca do jego serca.

Jiriki wzruszył ramionami.

– Tak myślę, ale nie wiem jak ani kiedy.

– Tyle rzeczy się wydarzyło, tak szybko.

– Musisz iść, młody przyjacielu. Niebawem wróci Aditu. Jest u rodziców. Zaprowadzi cię tam, gdzie będziesz mógł znaleźć swoich ludzi. Ruszaj szybko, gdyż rzadko się zdarza, by Shima'onari albo Likimeya cofali swoje słowa. Moja siostra znajdzie cię w moim domu. – Jiriki schylił się i podniósł coś z porośniętej mchem podłogi. – I nie zapomnij zabrać swojego lusterka. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Możesz mnie jeszcze potrzebować. Wciąż jestem ci winien życie.

Simon wziął lusterko i schował do kieszeni. Zawahał się, lecz zaraz się pochylił i objął Jirikiego, starając się nie urazić jego ran. Sithijski książę dotknął chłodnymi wargami policzka Simona.

– Idź w pokoju, Seomanie Śnieżnowłosy. Spotkamy się jeszcze. Obiecuję.

– Żegnaj, Jiriki. – Odwrócił się i szybko wyszedł.

Zwolnił dopiero wtedy, gdy potknął się na krętej ścieżce, wokół której trzepotały ogromne płachty koloru piasku. Poczuł też nagle, że owiewa go dziwny chłód. Spojrzawszy w niebo, zobaczył, że pociemniało. Wiatr wiał zimniejszy niż kiedykolwiek wcześniej w Jao e-Tinukai'i.

„Lato odchodzi – pomyślał przestraszony. – Nie sądzę, żeby je jeszcze kiedyś odzyskali".

Nagle cała nic nie znacząca teraz złość do Sithów minęła i Simon poczuł ogromny smutek i żal na myśl o nich. Bez względu na wszystko, było tu piękno, jakiego nie oglądano od chwili, gdy świat był młody, piękno długo zachowane przed zabójczym mrozem czasu. Teraz mroźny wiatr szarpał jedwabiami. Wiele wspaniałości zginie na zawsze.

Ruszył śpiesznie do domu Jirikiego.

PODRÓŻ Z JAO E-TINUKAI'I minęła Simonowi szybko, jak niewyraźny sen. Aditu śpiewała w języku Sithów, a Simon trzymał ją za rękę, kiedy las migotał i zmieniał się dookoła. Spod szarobłękitnego nieba weszli wprost w paszczę zimy, która czekała jak polujący zwierz. Na ziemi leżało tyle śniegu, że Simon z trudem myślał o miejscu, gdzie ziemia nie jest nim przykryta, gdzie zima jeszcze nie dotarła. Tutaj, poza magicznym kręgiem Zida'ya, poczynania Króla Burz były tak przeraźliwie rzeczywiste. Ale zaraz przypomniał sobie, że nawet ten krąg został już zniszczony. Krew polała się w samym sercu lata.

Szli przez cały ranek i wczesne popołudnie, kierując się ku granicy lasu. Aditu odpowiedziała na kilka pytań Simona, lecz żadne z nich nie miało ochoty na dłuższe rozmowy, jakby chłód osłabił ich wzajemną sympatię. Wciąż czując się przy niej nieswojo, Simon posmutniał, ale świat w jakiś

sposób się zmienił i on nie miał siły już walczyć. Nie myślał; pozwolił, by zimowy świat ogarnął go.

Przez jakiś czas szli wzdłuż rwącej rzeki, aż dotarli do łagodnego zbocza. Dalej rozpościerała się tafla wody, szarej i tajemniczej jak misa alchemika. Z wody wznosiło się zalesione wzgórze.

– Oto miejsce twego przeznaczenia – oznajmiła nagle Aditu. – *Sesuad'ra*.

– Kamień Pożegnania?

Aditu skinęła głową.

– Kamień Rozstania.

Kiedy nagle stało się to prawdą, Simon poczuł się, jakby przechodził z jednego snu w drugi.

– Ale jak ja się tam dostanę? Czy mam tam dopłynąć?

Aditu nic nie powiedziała. Poprowadziła go w dół do miejsca, w którym rzeka wpadała z hukiem do doliny. Przy brzegu, choć z dala od wzburzonych wód rzeki, stała przycumowana srebrna łódka.

– Mniej więcej raz na sto zim – wyjaśniła Aditu – kiedy padają szczególnie obfite deszcze, ziemie wokół *Sesuad'ra* zalewa powódź. Chociaż po raz pierwszy zdarzyło się to, gdy na niebie jest Reniku Letnia Latarnia. – Odwróciła twarz, by ukryć uczucia, które zrozumiałby nawet śmiertelnik. – Trzymamy *hiyanha* – takie łodzie – w różnych miejscach, żeby umożliwić dostęp do *Sesuad'ra* tym, którzy chcą go odwiedzić.

Simon położył dłoń na łodzi, czując, jak gładkie jest jej drewno. Było w niej także srebrne wiosło.

– Czy jesteś pewna, że ja mam się tam udać? – spytał, czując nagle, że nie chce się żegnać.

– Tak, Seomanie. – Zdjęła z ramienia torbę, którą niosła i wręczyła mu ją. – To dla ciebie. Nie – poprawiła się zaraz. – To dla ciebie, żebyś zaniósł

księciu Josui od Amerasu.

Powiedziała też, że Josua będzie wiedział, co z tym zrobić; jeśli nie teraz, to w niedalekiej przyszłości.

– Amerasu? Przysłała... to?

Aditu położyła dłoń na jego policzku.

– Niezupełnie, Seomanie. Pierwsza Babka poleciła mi, bym ci to dała, gdy skończy się twoje uwięzienie. Daję ci to, gdyż zostałeś uwolniony. Przykro było mi patrzeć na twoje nieszczęście. Dobrze było cię poznać, jesteś wyjątkowy. – Pochyliła się i pocałowała go.

Simon wciąż czuł bijące szybko serce, kiedy jej usta dotknęły jego. Jej usta były ciepłe, suche i pachniały miętą. Aditu cofnęła się.

– Żegnaj, Śnieżnowłosy. Muszę wracać, by opłakiwać zmarłych.

Zanim zdążył podnieść dłoń na pożegnanie, odwróciła się i zniknęła wśród drzew. Patrzył przez chwilę, lecz już jej nie dostrzegł. Wszedł do łodzi i położył na podłodze worek, który mu dała. Wydawał się dość ciężki, ale Simon był zbyt zmęczony i przygnębiony, by zaglądać do środka. Pomyślał, że miło byłoby przespać się w łodzi na skraju lasu. Błogosławieństwem było zasnąć i spać przez rok i jeden dzień. Chwycił wiosło i pchnął łódź na spokojną wodę.

POPOŁUDNIE ODCHODZIŁO, a za nim nadciągał chłód nocy. Kiedy płynął w kierunku rosnącego cienia *Sesuad’ra*, panowała zupełna cisza i wydało mu się, że może jest jedyną żywą istotą w całym Osten Ard.

Długo nie zauważał zapalonych pochodni, które poruszały się na brzegu. Kiedy wreszcie je dostrzegł, był już wystarczająco blisko, by usłyszeć również głosy. Ramiona miał zziębnięte i zesztywniałe. Czuł, że już dłużej nie da rady; zdołał jeszcze ruszyć wiosłem kilka razy, aż usłyszał

plusk... Sludig?... i jakaś postać weszła do wody i przyciągnęła go do brzegu. Został wyciągnięty z łodzi i prawie zaniesiony na brzeg. A potem otoczyły go roześmiane twarze. Wydawały mu się znajome, lecz przemożny sen nie opuszczał go. Przypomniał sobie, gdzie się znajduje, dopiero wtedy, gdy ujrzał najmniejszą z postaci. Ruszył przed siebie chwiejnym krokiem i objął Binabika, nie próbując powstrzymać płaczu.

– Simonie, przyjacielu! – zawołał wesoło Binabik, poklepując Simona po plecach. – Qinkipa jest dobra! Radość! Wielka Radość! Kiedy jechaliśmy tutaj, prawie straciłem nadzieję, że cię jeszcze zobaczę.

Simon wciąż płakał i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Wreszcie postawił trolla na ziemi.

– Binabiku – powiedział ochrypłym głosem. – Och, Binabiku, widziałem okropne rzeczy.

– Dobrze, Simonie, już dobrze. – Troll uścisnął mu mocno dłoń. – Chodź, chodź na wzgórze. Rozpaliliśmy ognisko i na pewno znajdzie się przy nim coś do jedzenia.

Binabik poprowadził go jak dziecko. Tłum znajomych obcych został z tyłu; szli, rozmawiając i śmiejąc się. Płomienie pochodni zasyczały pod miękko padającymi płatkami śniegu i zaraz w górę poleciały iskry, by za chwilę zgasnąć. Później ktoś zaczął śpiewać, miłym, prostym głosem. Kiedy ciemność opadła na całą dolinę, ten słodki i dźwięczny głos wzniósł się ponad drzewami i odbił się echem nad czarną wodą.

Dodatek

Osoby

Erkynlandczycy

Barnabas – kościelny z kaplicy w Hayholt
Breyugar – hrabia Westfold, lord konstabl w Hayholt za rządów Eliasa
Colmund – giermek Camarisa, później baron Rodstandby
Deornoth, sir – rycerz Josui, czasem zwany „prawą ręką” księcia
Eahlstan Fiskerne – Król Rybak, pierwszy erkynlandzki pan Hayholt
Elias – książę, starszy syn Prestera Johna; później Wielki Król
Ethelbearn – żołnierz, towarzysz Simona w czasie podróży z Naglimundu
Fengbald – hrabia Falshire
Gamfold – żołnierz, który zginął w czasie ataku Nornów w Aldheorte
Godwig – baron Cellodshire
Grimmric – żołnierz, towarzysz Simona w czasie podróży z Naglimundu
Guthwulf – hrabia Utanyeat, namiestnik Wielkiego Króla
Haestan – gwardzista z Naglimundu, towarzysz Simona
Helfcene, ojciec – kanclerz w Hayholt
Helmfest – żołnierz, jeden z tych, którzy uciekli z Naglimundu
Hepzibah – pokojówka na zamku
Ielda – kobieta z Falshire, osadniczka w Gadrinsett
Inch – pomocnik Doktora, później nadzorca w odlewni
Jack Mundwode – mityczny leśny bandyta

Jael – pokojówka na zamku

Jakob – kupiec na zamku

Jeremias – pomocnik kupca

John – król John Prezbiter, Wielki Król

Josua – książę, młodszy syn Johna, pan Naglimundu, zwany „Bezrękim”

Judith – kucharka, przełożona nad kuchnią

Langrian – zakonnik z zakonu Hoderundianów

Leleth – służąca Miriamele

Malachias – chłopiec z zamku

Marya – jedno z imion Miriamele, którego używała w czasie podróży

Miriamele – księżniczka, jedyne dziecko Eliasa

Morgenes, Doktor – Ten, Który Nosi Zwój, lekarz na zamku Króla Johna

Osgal – jeden z kompanów mitycznego Mundwode’a

Ostrael – pikinier, syn Firsframa z Runchesteru

Przełożony podkuchennych – przełożony Simona w Hayholt

Rachel – ochmistrzyni zwana Smokiem

Ruen Niedźwiedź – kowal na zamku

Sangfugol – harfiarz Josui

Sarrah – pokojówka na zamku

Scenesefa – zakonnik z zakonu Hoderundianów

Shem Stajenny – stajenny na zamku

Simon (Seoman) – podkuchenny na zamku

Strangyeard, ojciec – archiwista z Naglimundu

Towser – błazen (prawdziwe imię: Cruinh)

Hernystirczycy

Arnoran – hernystirski minstrel

Bagba – bóg sprawujący pieczę nad bydłem

Brynioch Niebiański – bóg niebios

Cadrach-ec-Crannhyr, brat – zakonnik z nieznanego zakonu

Craobhan – stary rycerz, doradca króla Llutha

Cuamh Ziemski Pies – hernystirski bóg ziemi, patron górników

Eolair – hrabia Nad Mullach, emisariusz króla Llutha

Gealsgiath – kapitan statku, zwany „Starym”

Gormhbata – legendarny wódz

Gwythinn – książę, syn Llutha, przyrodni brat Maedwin

Hern – założyciel Hernystiru

Inahwen – trzecia żona Llutha

Lluth-ubh-Llythinn – król Hernystiru

Maegwin – księżniczka, córka Llutha, siostra przyrodnia Gwythinna

Mircha – bogini deszczu, żona Bryniocha

Mullachini – mieszkańcy majątku Eolaira, Nad Mullach

Murhagh Jednoręki – bóg

Rhynn – bóg

Sinnach – książę, wódz w bitwie na Polu Klęski

Rimmersmeni

Einskaldir – wódz z Rimmersgardu

Elvrit – pierwszy król Rimmersmenów w Osten Ard

Ende – dziecko u Skodi

Fingil – król, pierwszy pan Hayholt, „Krwawy Król”

Gutrun – księżniczka Elvritshalli

Hengfisk – duchowny hoderundiański

Hjeldin – król, syn Fingila, „Szalony Król”

Ingen Jegger – Czarny Rimmersman, nadzorca ogarów Nornów

Isbeorn – ojciec Isgrimnura, pierwszy książę z Rimmersgardu w służbie Króla Johna

Isgrimnur – książę Elvritshalli

Isorn – syn Isgrimnura i Gutrun

Jarnauga – Ten, Który Nosi Zwój z Tungoldyru

Nisse – (Nisses) duchowny, pomocnik Hjeldina, autor *Du Svardenvyrd*

Skali – tan Kaldskryke, zwany „Ostronosym”

Skendi – święty, założyciel opactwa

Skodi – młoda kobieta z Rimmersgardu w Grinsaby

Sludig – młody żołnierz, towarzysz Simona

Storfot – tan Vestvennby

Tonnrud – tan Skoggey, wuj księżniczki Gutrun

Udun – starożytny bóg niebios

Nabbańczycy

Anitulles – dawny władca

Antippa, lady – córka Leobardisa i Nessalanty

Ardrivis – ostatni władca, wuj Camarisa

Aspitis Preves – hrabia Eadne, głowa rodu Prevanów, przyjaciel Benigarisa

Benidrivinowie – szlachecki ród z Nabbanu, zimorodek w herbie

Benigaris – syn księcia Leobardisa i Nessalanty

Camaris-sa-Vinitta – brat Leobardisa, przyjaciel Prestera Johna

Clavenowie – ród szlachecki z Nabbanu, pelikan w herbie

Claves – dawny władca

Crexis Kozioł – dawny władca

Dinivan – sekretarz Lektora Ranessina

Domiitis – biskup katedry świętego Sutrina w Erchesterze

Elysia – matka Usiresa

Emettin – legendarny rycerz

Fluiren, sir – sławny rycerz ze zniesławionego rodu Sulianów

Hylissa – zmarła matka Miriamele, żona Eliasa, siostra Nessalanty

Ingadarinowie – szlachecki ród

Larexes III – poprzedni Lektor Matki Kościoła

Leobardis – książę Nabbanu, ojciec Benigarisa, Varellana i Antippy

Nessalanta – księżna Nabbanu, matka Benigarisa, ciotka Miriamele

Neylin – towarzysz Septesa

Nuanni (Nuannis) – starożytny bóg morza w Nabbanie

Pelippa – kobieta pochodzenia szlacheckiego z *Księgi Aedona*, święta, zwana „z Wyspy”

Prevanowie – szlachecki ród, rybołów w herbie

Pryrates, ojciec – duchowny, alchemik, czarownik, doradca Eliasa

Ranessin, Lektor – (Oswine z Stanshire, Erkynlandczyk) głowa Kościoła

Rhiappa – święta, w Erkynlandzie zwana „Rhiap”

Rovalles – towarzysz Septesa

Septes – mnich z opactwa w pobliżu jeziora Myrme

Sulis – rycerz awanturnik, dawny pan Hayholt, „Król Czapla”

Thures – młody paź Aspitisa

Tiyagaris – pierwszy władca

Usires Aedon – syn Boży w religii aedonickiej

Velligis – sekretarz

Sithowie

Aditu (no-Sa’onserei) – córka Likimeya i Shima’onari, siostra Jirikiego

Amerasu – królowa-Erl, matka Inelukiego i Hakatri

An’nai – porucznik Jirikiego, towarzysz polowań

Chmura-pieśń – postać z pieśni Aditu

Dziecko wiatru – postać z pieśni Aditu

Hakatri – starszy brat Inelukiego, ciężko zraniony przez Hidohebhi

Ineluki – książę, teraz Król Burz

Iyu’unigato – Król-Erl, ojciec Inelukiego

Jiriki (i-Sa’onserei) – książę, syn Shima’onari

Kamienny słuchacz – postać z pieśni Aditu

Kendharaja’aro– wuj Jirikiego

Ki’ushapo – towarzysz polowań Jirikiego

Kobieta z Siecią – postać z pieśni Aditu

Królik – imię, którym Jiriki nazywa Aditu

Mezumiiru – sithijska sedda (bogini księżyca)

Nenais’u – sithijska kobieta z pieśni An’nai, żyła w Enki e-Shao’saye

Pani Srebrna Maska i Pan Czerwone Oczy – imiona używane przez Skodi dla Utuk’ku i Inelukiego

Podniebny śpiewak – postać z pieśni Aditu

Senditu – matka Amerasu

Shima’onari – król Sithów, ojciec Jirikiego, syn Hakatri

Sijandi – towarzysz polowań Jirikiego

Ten, Który Nosi Latarnię – postać z pieśni Aditu

Urodzeni w Ogrodzie – wszyscy ci, których korzenie sięgają Venyha Do’sae, Ogrodu

Utuk’ku – królowa Nornów, władczyni Nakkiga

Vindaomeyo – Sitha, który w dawnych czasach wykonywał strzały, żył w Tumet’ai

Wierzbowa Witka – imię, jakim Aditu nazywa Jirikiego

Qanuc

Binabik (Qanuc) – (Binbiniqegabenik) uczeń Ookequka, przyjaciel Simona

Chukku (Qanuc) – legendarny bohater trolli, bóg

Kikkasut (Qanuc) – król ptaków, mąż Seddy

Lingit (Qanuc) – legendarny syn Seddy, ojciec ludu Qanuc i ludzi

Makuhkuya – bogini lawin

Morag Bezoki – bóg śmierci

Nunuuika – Łowczyni

Ookequk (Qanuc) – Ten, Który Śpiewa w plemieniu Mintahoq, mistrz Binabika

Qangolik – Ten, Który Wzywa Duchy

Qinkipa ze Śniegów (Qanuc) – bogini śniegu i zimna

Sedda (Qanuc) – bogini księżyca, żona Kikkasuta

Sisqi – (Sisqinanamook) najmłodsza córka Pasterza i Łowczyni, narzeczona Binabika

Snenneq – główny pasterz niższych Chugików, jeden z grupy towarzyszącej Sisqi

Uammannaq – Pasterz

Yana (Qanuc) – legendarna córka Seddy, matka Sithów

Thrithingowie

Blehmunt – przywódca klanu, którego Fikolmij zabił, żeby zostać tanem

Czworonogi – przysięga klanów Thrithingów (odnosi się do Ogiera)

Fikolmij – ojciec Vorzhevy, tan klanu Mehrdon i wszystkich Wielkich Thrithingów

Hotvig – strażnik pogranicza Wielkich Thrithingów

Hyara – młodsza siostra Vorzhevy

Klan Mehrdon – klan Vorzhevy (Klan Ogiera)

Kunret – Thrithing

Ozhbern – Thrithing

Stepowy Grom – przysięga klanów Thrithingów (odnosi się do Ogiera)

Utvart – Thrithing, który pragnął poślubić Vorzhevę

Vorzheva – towarzyszka Josui, córka przywódcy Thrithingów

Wrańczycy

Ci, Którzy Oddychają Ciemnością – bogowie

Ci, Którzy Patrzą i Panują – bogowie pogody Wranu

Roahog – garncarz, Wrańczyk

Starszy Mogahib – Wrańczyk

Ta, Która Zrodziła Ludzkość – bogini

Ta, Która Czeka, By Wszystko Zabrać – bogini śmierci

Ten, Który Zawsze Kroczy Po Piasku – bóg wrański

Ten, Który Zgina Drzewa – bóg wrański

Tiamak – uczony, korespondent Morgenesa

Tugumak – ojciec Tiamaka

Perdruińczycy

Alespo – służący Streawe'a

Ceallio – dozorca w gospodzie zwanej „Pucharem Pelippy"

Charystra – siostrzenica Xorastry, właścicielki „Pucharu Pelippy"

Lenti – służący Streawe'a

Sinetris – przewoźnik z wybrzeża

Streawe, hrabia – pan Ansis Pelippe i całego Perdruin

Tallistro, sir – rycerz johanicki zasiadający przy Wielkim Stole

Xorastra – właścicielka „Pucharu Pelippy"

Pozostali

Czarni – mieszkańcy Burzowej Góry

Gan Itai – Niska, która odstrasza kilpy na *Chmurze Eadne*

Honsa – dziewczynka Hyrka

Imai-an – karlak

Ruyan Ve – znany jako Ruyan Żeglarz, prowadził Tinukeda’ya (i innych) do Osten Ard

Sho-vennae – karlak

Vren – chłopiec Hyrka

Yis-fidri – karlak, mąż Yis-hadry, opiekun Komnaty Wiedzy

Yis-hadra – karlak, żona Yis-fidri’ego, opiekunka Komnaty Wiedzy

Miejsca

Abaingeat – port handlowy w Hernystirze u ujścia rzeki Barraillean

Aldheorte – ogromny las porastający znaczną część środkowego Osten Ard

Aleja Fontann – widokowe miejsce w mieście Nabban

Ansis Pelippe – stolica Perdruin

Asu’a Na Wschód Patrzące – sithijska nazwa Hayholt

Bacca-sa-Repra – miasto portowe na północnym wybrzeżu Nabbanu w zatoce Emettin; znaczy „Usta Rzeki”

Banipha-sha-ze – Komnata Wiedzy w Mezutu’a

Baraillean – rzeka na pograniczu Hernystiru i Erkynlandu; Erkynlandczycy nazywają ją „Greenwade”

Bellidan – nabbańskie miasto przy trakcie Anitulleańskim w dolinie Commeis

Biały Szlak – droga prowadząca wzdłuż północnego skraju lasu Aldheorte przez Białe Pustkowie

Burzowa Góra – siedziba Nornów, zwana przez Rimmersmenów „Sturmspeik” albo „Nakkiga”

Cellodshire – erkynlandzkie włości magnackie na zachód od Gleniwentu

Chidsik Ub Lingit – „Dom Przodka” ludu Qanuc na górze Mintahoq w Yiqanuc

Crannhyr – miasto na wybrzeżu Hernystiru

„Czerwony Delfin” – tawerna w Ansis Pelippe

Da’ai Chikiza – „Drzewo Śpiewających Wiatrów”, opuszczone miasto Sithów na wschód od Wealdhelm, w lesie Aldheorte

Dillathi – wzgórzysty obszar Hernystiru na południowy zachód od Hernysadharc

Dolina Commeis – dolina, przez którą wjeżdża się do Nabbanu

Drina – włości magnackie Devasallesa ofiarowane później przez Benigarisa Aspitisowi Prevesowi

Enki-e-Shao’saye – od dawna pozostające w ruinach sithijskie „Letnie Miasto” na wschód od lasu Aldheorte

Feluwent – thrithijska nazwa części północnych łąk leżących w cieniu lasu Aldheorte

Gadrinsett – osada u zbiegu rzek Stefflod i Ymstrecca zamieszkana przez uciekinierów z Erkynlandu

Gratuvask – rzeka w Rimmersgardzie, która przepływa w pobliżu Elvritshalli

Grenamman – wyspa u południowych wybrzeży Nabbanu

Grinsaby – miasto na Białym Pustkowiu na północ od lasu Aldheorte

Harborstone – skalisty cypel w Ansis Pelippe

Hasu Vale – dolina we wschodniej części Erkynlandu

Hewenshire – miasto w północnej części Erkynlandu na zachód od Naglimundu

Hikehikayo – opuszczone miasto karlaków pod górami Vestiveg, jedno z Dziewięciu Miast Sithów

Huelheim – mityczna kraina zmarłych z dawnych wierzeń rimmersgardzkich

Jao e-Tinukai'i – „Łódź na Oceanie Drzew", jedyne zamieszkane jeszcze przez Sithów miasto w lesie Aldheorte

Jezioro Clodu – jezioro w Nabbanie, nad którym rozegrała się Bitwa w Krainie Jezior w czasie wojny z Thrithingami

Jezioro Eadne – jezioro w Nabbanie, część lenna Domu Prevanów

Jezioro Myrme – jezioro w Nabbanie

Jhina-T'senei – jedno z Dziewięciu Miast Sithów, teraz zalane przez ocean

Katakumby Zae-y'miritha – jaskinie wykute lub przystosowane do zamieszkania przez karlaki

Kementari – jedno z Dziewięciu Miast Sithów, prawdopodobnie na lub w pobliżu wyspy Warinsten

Khandia – mityczne imperium na Dalekim Wschodzie

Komnata Wiedzy – komnata karlaków, w której zgromadzono mapy wyryte w kamieniu

Kwanitupul – duże miasto na pograniczu Wranu

Letnia Brama – wejście do Jao e-Tinukai'i, zwana także „Shao Irigu"

Mały Nos – góra w Yiqanuc, znana także pod nawą „Yamoc", na której zginęli rodzice Binabika

Mezutu'a – zamieszkane przez karlaki miasto pod górami Grianspog w Hernystirze, jedno z Dziewięciu Miast Sithów

Naarved – miasto w Rimmersgardzie

Nakkiga – „Maska Łez", pozostające w ruinach miasto Nornów u stóp Burzowej Góry; także odbudowane miasto Nornów wewnątrz góry.

Miasto u stóp góry było jednym z Dziewięciu Miast Sithów

Miejsce Echa – święte miejsce na górze Mintahoq

Miejsce Świadka – arena w Mezutu’a, na której stoi Czerep

Otchłań Ogohak – głęboka przepaść u zbocza góry Mintahoq, w którą strącano skazańców

„Puchar Pelippy” – gospoda w Kwanitupulu

Re Suri’eni – sithijska nazwa rzeki płynącej przez Shisae’ron

Sancellan Aedonitis – siedziba Lektora i główna katedra Kościoła Aedonickiego

Sancellan Mahistrevis – dawniej pałac Imperatorów, obecnie pałac księcia Nabbanu

Sesuad’ra – Kamień Pożegnania, miejsce rozstania Sithów i Nornów

Shao Irigu – sithijska nazwa Letniej Bramy

Shisae’ron – sithijska nazwa południowo-zachodniej części lasu Aldheorte

Skoggey – wolny majątek w Rimmersgardzie, siedziba tana Tonuruda

Sovebek – opuszczone miasto na Białym Pustkowiu na wschód od opactwa świętego Skendiego

Sta Mirore – główna góra w Perdruin, zwana także „Iglicą Streawe’a”

Stary Szlak Tumet’ai – droga, która prowadzi na południe przez Białe Pustkowie ze starożytnego miasta Tumet’ai

Stefflod – rzeka płynąca skrajem i wewnątrz lasu Aldheorte, łączy się z rzeką Ymstrecca

Teligure – znane z uprawy winogron miasto w północnym Nabbanie

Trakt Anitulleański – główna droga prowadząca ze wschodu do Nabbanu przez dolinę Commeis

Tumet’ai – leżące na północy, pokryte lodem sithijskie miasto, jedno z Dziewięciu Miast Sithów

Umstrejha – nazwa, którą Thrithingowie nadali rzece Ymstrecca

Urmsheim – smocza góra na północ od Białego Pustkowia

Utanyeat – dobra hrabiowskie w północno-zachodnim Erkynlandzie

Venyha Do’sae – Ogród, legendarny dom Zida’ya (Sithów), Hikeda’ya (Nornów) oraz Tinukeda’ya (karlaków i Nisków)

Yihyuyaq – nazwa, którą lud Qanuc nadał Burzowej Górze

Vinitta – wyspa na południu, miejsce urodzenia Camarisa i siedziba Domu Benidrivinów

Warinsten – wyspa u wybrzeży Erkynlandu, miejsce urodzenia Króla Johna

Wioska – wioska, w której mieszkał Tiamak

Wulfholt – majątek Guthwulfa w Utanyeat

Yijaijuk – nazwa ludu Qanuc dla góry Urmsheim

Yasira – miejsce, w którym zbierali się Sithowie w Jao e-Tinukai’i

Ymstrecca – rzeka, która płynie z zachodu na wschód przez Erk i wzgórza Thrithingów

Zwierzęta

Atarin – koń Camarisa

Bukkeny – rimmersgardzka nazwa dla kopaczy, zwane także „Boghanikami”

Czerwonooki – jeden z gołębi Tiamaka

Ghanty – nieprzyjemne, pokryte pancerzem, wyraźnie rozumne stworzenia żyjące w krainie Wran

Hidohebhi – Czarna Bestia, matka Shurakai i Igjarjuka, zabita przez Inelukiego, w Hernystirze nazywana Drochnathair

Hunen – rimmersgardzka nazwa dla olbrzymów

Igjarjuk – Lodowa Bestia z Urmsheim

Khaerukama'o Złocisty – smok, ojciec Hidohebhi

Kilpa – morskie stworzenie o pysku podobnym do ludzkiej twarzy

Kopacze – małe, podobne do ludzi stworzenia mieszkające pod ziemią

Krzywonogi – jeden z gołębi Tiamaka

Miodowy Łasuch – jeden z gołębi Tiamaka

Nadzieja – klacz Simona

Niku'a – pierwszy ogar Ingena Jeggera

Olbrzymy – duże, kudłate stwory podobne do ludzi

Plujak – mały, nieprzyjemny owad z bagien

Qantaqa – wilczyca, towarzyszka Binabika

Rim – koń gospodarski

Sfora Burzowej Góry – psy myśliwskie Nornów

Shurakai – Ognisty Smok zabity pod Hayholt, z jego kości powstał Smoczy Tron

Tak Szybki – jeden z gołębi Tiamaka

Vildalix – koń Deornotha, którego otrzymał od Fikolmija

Vinyafod – koń Josui, którego otrzymał od Fikolmija

Inne

Ballada o Moirach o Okrągłych Piętach – niezbyt przyzwoita pieśń śpiewana przez Sangfugola i ojca Strangyearda

Bitwa w Dolinie Huhinka – bitwa pomiędzy trollami i Rimmersmenami

Bitwa w Krainie Jezior – główna bitwa w wojnie z Thrithingami nad jeziorem Clodu

Biały Gwóźdź – miecz Prestera Johna, który zawierał gwóźdź z Drzewa i kość z palca świętego Eahlstana Fiskerne

Chmura Eadne – statek Aspitisa Prevesa

Cierń – gwiezdny miecz Camarisa

Cintis – nabbańska moneta, jedna setna złotego imperatora

Cytryl – kwaśny, aromatyczny korzeń przeznaczony do żucia

Czerep – Świadek w Mezutu'a

Dom Tańczącego Roku – nazwa rodu Jirikiego w języku Westerling

Drzewo – Drzewo Egzekucji, na którym powieszono głową do dołu Usiresa przed świątynią Yuvenisa w Nabbanie, teraz święty symbol religii aedonickiej

Dzieci Herna – nazwa nadana Hernystirczykom przez karlaki

Dzieci Żeglarza – nazwa nadana sobie przez Tinukeda'ya

Dni Ognia – prawdopodobnie bardzo odległy okres w historii Osten Ard

Du Svardenvyrd – mityczna, profetyczna księga napisana przez Nissesa

Dzień Sądu – nazwany tak przez Aedonitów czas, kiedy dokona się ostatecznie sprawiedliwość i przestanie istnieć świat śmiertelny

Dzik i Włócznie – herb Guthwulfa

En Semblis Aedonitis – słynna kaplica w kościele pod wezwaniem świętego Sutrina w Erchesterze

Festiwal Wiatru – święto wrańskie

Gwiazda Zdobywcy – księga okultystyczna z Nabbanu

Gwiezdniki – małe, białe kwiatki

Ilenit – drogocenny, lśniący metal

Indreju – miecz Jirikiego wykonany z magicznego drewna

Kamień Rozstania – pieśń Hernystirczyków o Kamieniu Pożegnania

Kangkang – napój ludu Qanuc

Kocioł Rhynna – uderzając w niego, Hernystirczycy wzywali do walki

Kolumna i Drzewo – symbol Matki Kościoła

Kraile – sithijska nazwa dla „słonecznych owoców”

Kvalnir – miecz Isgrimnura

Lampa – gwiazda (prawdopodobnie ta sama, którą Sithowie nazywają Reniku)

Lampa Mgieł – Świadek z Tumet’ai

Laska Luyasy – konstelacja trzech gwiazd na północno-wschodnim niebie widoczna na początku miesiąca Yuven

Lodowy Dom – święte miejsce ludu Qanuc, w którym odprawiano rytuał mający zapewnić nadejście wiosny

Lutnik – wysoka trawa

Mansa Connoyis – „modlitwa zjednoczenia”; modlitwa odmawiana w czasie ceremonii zaślubin

Minneyar – żelazny miecz króla Fingila odziedziczony po Elvricie

Minog – jadalna roślina o szerokich liściach znana w krainie Wran

Mówiący Ogień – Świadek w Hikehikayo

Nagroda Podróżnego – popularne piwo

Nur, Wydra – wrańskie nazwy gwiazd

Najdel – miecz Josui

Oinduth – czarna włócznia Herna

Ostatni Dzień Zimy – dzień, w którym lud Qanuc odprawia Rytuał Przyspieszenia

Pastorał – gwiazda (prawdopodobnie ta sama, którą Sithowie nazywają Laską Luyasy)

Piaskowa Palma – drzewo z bagien

Pięćdziesiąt Rodzin – szlacheckie rody nabbańskie

Reniku, Letnia Latarnia – sithijska nazwa gwiazdy, której pojawienie się zwiastuje koniec lata

Rytuał Przyspieszenia – rytuał odprawiany przez lud Qanuc, mający zapewnić nadejście wiosny

Rzeczne Jabłko – owoc z bagien

Shent – sithijska gra

Sieć Mezumiiru – konstelacja gwiazd; lud Qanuc nazywa ją „Kocem Seddy”

Srebrnik – kwiat o właściwościach ziela

Srebrzyste Drewno – drewno, z którego często budowali Sithowie

Staw – Świadek w starym Asu’a

Szybkoziele – korzeń

Smutek – miecz z żelaza i magicznego drewna wykuty przez Inelukiego, dar dla Eliasa (w języku sithijskim nazywany: Jingizu)

Sotfengsel – statek Elvrita, pogrzebany w Skipphawen

Śpiewająca Harfa – Świadek w Nakkiga, w Wielkiej Studni

Ti-tuno – słynny róg Sithów

Wielki Stół – zgromadzenie rycerzy i bohaterów króla Johna

Zdobywca – gra w kości popularna wśród żołnierzy

Żółcień – popularne zioło używane do parzenia herbaty w krainie Wran (a także na Południu)

KOŚCI – służą Binabikowi do wróżenia:

Bezskrzydły Ptak
Rybia Włócznia
Ścieżka Cieni
Pochodnia u Wejścia do Jaskini
Krnąbrny Baran
Chmury na Przełęczy
Czarna Szczelina
Niezawinięta Strzała
Kamienny Krąg

Święta

2 Feyever – Candlemansa
25 Marris – Elysiamansa
1 Avrel – Dzień Błazna
30 Avrel – Noc Kamienowania
1 Maia – Dzień Belthainna
23 Yuven – Wigilia Przesilenia Letniego
15 Tiyagar – Dzień Świętego Sutrina
1 Anitul – Hlafmansa
29 Septander – Dzień Świętego Granisa
30 Octander – Wigilia Orki
1 Novander – Dzień Zmarłych
21 Decander – Dzień Świętego Tunatha

24 Decander – Aedonmansa

Miesiące

Jonever, Feyever, Marris, Avrel, Maia, Yuven, Tiyagar, Anitul, Septander, Octander, Novander, Decander

Dni tygodnia

Sunday, Moonday, Tiasday, Udunsday, Drorsday, Frayday, Satrinsday

Słowa i wyrażenia

Hernystirskie

Domhaini – karlaki
Goirach – szalony albo dziki
Isgbahta – łódź rybacka
Sithi – miłujący pokój

Nabbańskie

Duos Onenpondensis, Feata Vorum lexeran! – Boże Wszechpotężny, niech to się stanie Twym prawem!

Duos wulstei – jak Bóg da

En Semblis Aedonitis – na podobieństwo Aedona

Sa Asdridan Condiquilles – Gwiazda Zdobywcy

Veir Maynis – Rozległa Zieleń, ocean

Perdruińskie

Avi stetto – mam nóż

Ohe, vo Stetto – tak, on ma nóż

Qanuc

Aia – Z powrotem (*Hinik aia* – wracaj)

Boghanik – kopacze (Bukkeny)

Chash – prawda

Chok – biegnij

Crookhok – Rimmersman

Croohokuq – liczba mnoga od Crookhok

Guyop – Dziękuję

Hinik – biegnij albo odejdź

Mosoq – szukaj

Muqang – dość

Nihut – atakuj

Ninit – chodź

Sosa – chodź (mocniejsze od ninit)

Ummu – teraz

Utku – mieszkańcy nizin

Rimmerspakk

Dverning – karlak

Gjal es, kunden! – Zostawcie to, dzieci!

Haja – tak

Halad, kunde! – Przestań! (do dziecka)

Kunde-manne – młodzieniec

Rimmersmanne – Rimmersman

Vaer – Strzeż się

Vjer sommen marroven – Jesteśmy przyjaciółmi

Sithijskie

Ai, Nakkiga, o'do 'tke stazho – Ach, Nakkiga, zawiodłem cię

Asu'a – Zwrócony na wschód

Hiyanha – łodzie pielgrzymów

Hikeda'ya – Dzieci Chmury; Nornowie

Hikka – Ten, Który Nosi

Isi-isi'ye-a Sudhoda'ya – To rzeczywiście jest śmiertelnik!

J'asu pra-peroihin – mój dom okryty wstydem

Ras – tytuł wyrażający szacunek: Panie albo Szlachetny Panie

Ruakha – Umierający S’hue – Pan

Ske’i – Stój

Staja Ame – Biała Strzała

Sudhoda’ya – Dzieci Zachodzącego Słońca: Śmiertelnicy

Venyha s’anh! – Na Ogród!

Yinva – chodź

Zida’ya – Dzieci Jutrzenki: Sithowie

Tytuł oryginału: *Stone of Farewell*

Copyright © 1990 by Tad Williams
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.
Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Jacek Pietrzyński

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Kamień Rozstania, wyd. II poprawione, Poznań 2013)

ISBN 978-83-7818-395-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com